

**Ken Follett**

# **Krawędź wieczności**

*EDGE OF ETERNITY: BOOK THREE OF THE CENTURY TRILOGY*

Tłumaczenie

Grzegorz Kołodziejczyk

Zbigniew A. Królicki



*Mary Read*

## O książce

Trylogia STULECIE to epicka opowieść autora Filarów Ziemi, przedstawiająca splątane ze sobą losy członków pięciu rodzin - amerykańskiej, niemieckiej, rosyjskiej, angielskiej i walijskiej - na tle wydarzeń minionego wieku. Akcja Krawędzi wieczności, ostatniej części trylogii, obejmuje okres od wzniesienia muru berlińskiego do zwycięstwa Baracka Obamy w wyborach prezydenckich.

Od rewolucyjnej Hawany, przez gorące południe Stanów Zjednoczonych, waszyngtońskie salony władzy i Londyn lat sześćdziesiątych, aż po bezkresną Syberię. W świecie, w którym z niespotykaną dotąd determinacją w dążeniu do władzy ścierają się mocarstwa, bohaterowie powieści - każdy na swój sposób - próbują znaleźć dla siebie miejsce. Realizują marzenia, knują spiski, cierpią, tęsknią, zdradzają i kochają, podczas gdy świat wkracza w erę zimnej wojny, ofiarami zamachów padają Martin Luther King i J.F. Kennedy, rock and roll przeżywa swój złoty wiek i próbuje nie ugiąć się pod naporem Beatlesów, dzieci kwiaty protestują przeciwko wojnie w Wietnamie, w Związku Radzieckim następuje odwilż, a na ulicach Pragi i Warszawy ludzie domagają się wolności - i wreszcie ją uzyskują.

## **KEN FOLLETT**

Światowej sławy brytyjski pisarz, urodzony w Walii w 1949 r. Po ukończeniu studiów filozoficznych na University College w Londynie podjął pracę jako reporter w małej gazecie. Publikował powieści sensacyjne pod pseudonimem. Jedenasta z kolei, Igła, wydana w 1978 r., przyniosła mu światową sławę. Kolejne tytuły, m.in. Klucz do Rebeki, Trzeci bliźniak, Zabójcza pamięć, Lot Ćmy, Zamieć, Świat bez końca, Upadek gigantów, Zima świata oraz najnowsza, Krawędź wieczności, utrwaliły jego pozycję jako autora bestsellerów. Choć książki odwołujące się do wydarzeń z okresu II wojny światowej dominują w jego twórczości, autor nadal za swoje najważniejsze dzieło uważa Filary Ziemi - sagę napisaną pod wpływem zainteresowania średniowieczem. Na podstawie powieści Folletta nakręcono filmy oraz seriale, m.in. Igłę, Lwy Pansziru, Klucz do Rebeki, Na skrzydłach orłów, Zamieć, Trzeciego bliźniaka oraz Filary Ziemi.

[www.ken-follett.com](http://www.ken-follett.com)

Tego autora

Powieści historyczne

UCIEKINIERSKI

NIEBEZPIECZNA FORTUNA

CZŁOWIEK Z SANKT PETERSBURGA

Filary Ziemi

FILARY ZIEMI

ŚWIAT BEZ KOŃCA

Stulecie

UPADEK GIGANTÓW

ZIMA ŚWIATA

KRAWĘDŹ WIECZNOŚCI

Thrillery wojenne

IGŁA

KRYPTONIM KAWKI  
LOT ÓMY  
KLUCZ DO REBEKI  
NOC NAD OCEANEM

Thrillery

MŁOT EDENU  
ZABÓJCZA PAMIĘĆ  
TRÓJKA  
ZAMIEĆ  
SKANDAL Z MODIGLIANIM  
TRZECI BLIŹNIAK  
LWY PANSZIRU  
PAPIEROWE PIENIĄDZE

Literatura faktu

NA SKRZYDŁACH ORŁÓW

## Spis treści

O książce.....	2
KEN FOLLETT .....	3
Spis treści.....	5
GŁÓWNI BOHATEROWIE.....	10
CZĘŚĆ PIERWSZA Mur 1961 .....	15
ROZDZIAŁ 1 .....	16
ROZDZIAŁ 2 .....	32
ROZDZIAŁ 3 .....	40
ROZDZIAŁ 4 .....	53
ROZDZIAŁ 5 .....	66
ROZDZIAŁ 6 .....	77
ROZDZIAŁ 7 .....	93
ROZDZIAŁ 8 .....	104
ROZDZIAŁ 9 .....	115
ROZDZIAŁ 10 .....	125
CZĘŚĆ DRUGA Pluskwa 1961-1962.....	134
ROZDZIAŁ 11 .....	135
ROZDZIAŁ 12 .....	169
ROZDZIAŁ 13 .....	184
CZĘŚĆ TRZECIA Wyspa 1962.....	200
ROZDZIAŁ 14 .....	201
ROZDZIAŁ 15 .....	217
ROZDZIAŁ 16 .....	231
ROZDZIAŁ 17 .....	257
ROZDZIAŁ 18 .....	285
ROZDZIAŁ 19 .....	299
ROZDZIAŁ 20 .....	326
CZĘŚĆ CZWARTA Pistolet 1963 .....	332
ROZDZIAŁ 21 .....	333
ROZDZIAŁ 22 .....	366
ROZDZIAŁ 23 .....	396

ROZDZIAŁ 24 .....	420
ROZDZIAŁ 25 .....	437
ROZDZIAŁ 26 .....	451
ROZDZIAŁ 27 .....	464
ROZDZIAŁ 28 .....	479
ROZDZIAŁ 29 .....	484
ROZDZIAŁ 30 .....	491
CZEŚĆ PIĄTA Pieśń 1963-1967 .....	508
ROZDZIAŁ 31 .....	509
ROZDZIAŁ 32 .....	524
ROZDZIAŁ 33 .....	550
ROZDZIAŁ 34 .....	560
ROZDZIAŁ 35 .....	565
ROZDZIAŁ 36 .....	584
ROZDZIAŁ 37 .....	603
ROZDZIAŁ 38 .....	623
ROZDZIAŁ 39 .....	652
ROZDZIAŁ 40 .....	668
CZEŚĆ SZÓSTA Kwiat 1968 .....	678
ROZDZIAŁ 41 .....	679
ROZDZIAŁ 42 .....	709
ROZDZIAŁ 43 .....	727
ROZDZIAŁ 44 .....	746
ROZDZIAŁ 45 .....	773
CZEŚĆ SIÓDMA Taśma 1972-1974 .....	793
ROZDZIAŁ 46 .....	794
ROZDZIAŁ 47 .....	809
ROZDZIAŁ 48 .....	821
ROZDZIAŁ 49 .....	832
ROZDZIAŁ 50 .....	843
CZEŚĆ ÓSMA Podwórko 1976-1983.....	858
ROZDZIAŁ 51 .....	859
ROZDZIAŁ 52 .....	866
ROZDZIAŁ 53 .....	887

ROZDZIAŁ 54 .....	895
CZEŚĆ DZIEWIĄTA Bomba 1984-1987.....	931
ROZDZIAŁ 55 .....	932
ROZDZIAŁ 56 .....	951
ROZDZIAŁ 57 .....	965
ROZDZIAŁ 58 .....	978
CZEŚĆ DZIESIĄTA Mur 1988-1989 .....	985
ROZDZIAŁ 59 .....	986
ROZDZIAŁ 60 .....	1009
ROZDZIAŁ 61 .....	1026
ROZDZIAŁ 62 .....	1035
EPILOG 4 listopada 2008 roku .....	1047
ROZDZIAŁ 63 .....	1048
PODZIĘKOWANIA.....	1051

Wszystkim bojownikom o wolność,  
a zwłaszcza Barbarze



Wszystkie cytaty z wypowiedzi Martina Luthera Kinga wykorzystane zostały w porozumieniu z występującą w imieniu jego spadkobierców prawnych firmą Writers House, Nowy Jork. Prawo autorskie dr Martin Luther King, Jr., copyright © 1963, 1968, odnowione w 1991 i 1996 roku przez Corettę Scott King.

Niniejsza książka to fikcja literacka. Nazwiska, osoby, postacie, miejsca oraz wydarzenia albo są wytworem wyobraźni autora, albo też zostały użyte fikcyjnie, tak że wszelkie podobieństwo do osób żyjących lub zmarłych, firm, wydarzeń i miejsc jest całkowicie przypadkowe.

## GŁÓWNI BOHATEROWIE

Amerykanie

Rodzina Dewarów

Cameron Dewar

Ursula „Beep” Dewar, jego siostra

Woody Dewar, jego ojciec

Bella Dewar, jego matka

Rodzina Peshkovów-Jakesów

George Jakes

Jacky Jakes, jego matka

Greg Peshkov, jego ojciec

Lev Peshkov, jego dziadek

Marga, jego babka

Rodzina Marquandów

Verena Marquand

Percy Marquand, jej ojciec

Babe Lee, jej matka

CIA

Florence Geary

Tony Savino

Tim Tedder, częściowo na emeryturze

Keith Dorset

Inni

Maria Summers

Joseph Hugo, FBI

Larry Mawhinney, Pentagon

Nelly Fordham, dawna miłość Grega Peshkova

Dennis Wilson, asystent Bobby'ego Kennedy'ego

Skip Dickerson, asystent Lyndona Johnsona

Leopold „Lee” Montgomery, dziennikarz

Herb Gould, producent telewizyjny w programie This Day

Suzy Cannon, dziennikarka, autorka kolumn plotkarskich

Frank Lindeman, właściciel sieci telewizyjnej

Postacie historyczne

John F. Kennedy, trzydziesty piąty prezydent USA

Jackie, jego żona

Robert (Bobby) Kennedy, jego brat

Dave Powers, asystent prezydenta Kennedy'ego

Pierre Salinger, rzecznik prasowy prezydenta Kennedy'ego

doktor Martin Luther King, pastor, przewodniczący organizacji o nazwie Konferencja

Chrześcijan Południowych

Lyndon B. Johnson, trzydziesty szósty prezydent USA

Richard Nixon, trzydziesty siódmy prezydent USA

Jimmy Carter, trzydziesty dziewiąty prezydent USA

Ronald Reagan, czterdziesty prezydent USA

George H.W. Bush, czterdziesty pierwszy prezydent USA

Brytyjczycy

Rodzina Leckwithów-Williamsów

Dave Williams

Evie Williams, jego siostra

Daisy Williams, jego matka

Lloyd Williams, parlamentarzysta, jego ojciec

Eth Leckwith, babka Dave'a

Rodzina Murrayów

Jasper Murray

Anna Murray, jego siostra

Eva Murray, jego matka

Muzycy z zespołu Guardsmen i Plum Nellie

Lenny, kuzyn Dave'a Williamsa

Lew, perkusista

Buzz, basista

Geoffrey, gitarzysta prowadzący

Inni

hrabia Fitzherbert, zwany Fitzem

Sam Cakebread, przyjaciel Jaspera Murraya

Byron Chesterfield (prawdziwe nazwisko Brian Chesnowitz), agent muzyczny

Hank Remington (prawdziwe nazwisko Harry Riley), gwiazda muzyki pop

Eric Chapman, dyrektor wytwórni płytowej

Niemcy

Rodzina Francków

Rebecca Hoffmann

Carla Franck, adopcyjna matka Rebekki

Werner Franck, adopcyjny ojciec Rebekki

Walli Franck, syn Carli

Lili Franck, córka Wenera i Carli

Maud von Ulrich, z domu Fitzherbert, matka Carli

Hans Hoffmann, mąż Rebekki

Inni

Bernd Held, nauczyciel

Karolin Koontz, piosenkarka folkowa

Odo Vossler, pastor

Postacie historyczne

Walter Ulbricht, pierwszy sekretarz Socjalistycznej Partii Jedności Niemiec

Erich Honecker, następca Ulbrichta

Egon Krenz, następca Honeckera

Polacy

Stanisław „Staś” Pawlak, oficer

Lidka, dziewczyna Camerona Dewara

Danuta Górka, działaczka Solidarności

Postacie historyczne

Anna Walentynowicz, suwnicowa

Lech Wałęsa, przywódca Związku Zawodowego „Solidarność”

generał Wojciech Jaruzelski, premier

Rosjanie

Rodzina Dworkinów-Peszkowów

Tania Dworkina, dziennikarka

Dimka Dworkin, asystent na Kremlu, brat bliźniak Tani

Nina, dziewczyna Dimki

Ania Dworkina, ich matka

Grigorij Peszkow, ich dziadek

Katerina Peszkowa, ich babka

Władimir, zawsze nazywany Wołodią, ich wujek

Zoja, żona Wołodii

Inni

Danił Antonow, redaktor w agencji prasowej TASS

Piotr Opotkin, redaktor naczelny

Wasilij Jenkow, dysydent

Natalia Smotrowa, urzędniczka w Ministerstwie Spraw Zagranicznych

Nik Smotrow, mąż Natalii

Jewgienij Filipow, asystent ministra obrony Rodiona Malinowskiego

Wiera Pletner, sekretarka Dimki

Walentin, przyjaciel Dimki

marszałek Michaił Pusznój

Postacie historyczne

Nikita Siergiejewicz Chruszczow, pierwszy sekretarz Komunistycznej Partii Związku  
Radzieckiego

Andriej Gromyko, minister spraw zagranicznych za czasów Chruszczowa

Rodion Malinowski, minister obrony za czasów Chruszczowa

Aleksiej Kosygin, przewodniczący Rady Ministrów

Leonid Breżniew, następca Chruszczowa

Jurij Andropow, następca Breżniewa

Konstantin Czernienko, następca Andropowa

Michaił Gorbaczow, następca Czernienki

Inne narodowości

Paz Oliva, kubański generał

Frederik Bíró, węgierski polityk

Enok Andersen, duński księgowy

# **CZĘŚĆ PIERWSZA**

**Mur**

**1961**

## ROZDZIAŁ 1

Rebecca Hoffmann otrzymała wezwanie z tajnej policji w deszczowy poniedziałek 1961 roku.

Dzień zaczął się zwyczajnie. Mąż Rebekki odwiózł ją do pracy swoim brązowym trabantem 500. Urokliwe stare uliczki śródmieścia Berlina wciąż poznaczone były wyrwami po wojennych bombardowaniach, tylko w niektórych miejscach stanęły betonowe budynki odcinające się od otoczenia niczym źle dobrane sztuczne zęby. Hans siedział za kierownicą i opowiadał o swojej pracy.

- Sądy służą sędziom, adwokatom, policji i władzom. Wszystkim oprócz ofiar przestępstw - mówił. - Tego można się spodziewać w zachodnich krajach kapitalistycznych, ale w komunizmie sądy powinny służyć obywatelom. Moi koledzy zachowują się tak, jakby tego nie rozumieli. - Hans był urzędnikiem w Ministerstwie Sprawiedliwości.

- Prawie od roku jesteśmy małżeństwem, znam cię od dwóch lat, a jak dotąd nie spotkałam żadnego z twoich kolegów - zauważyła Rebecca.

- Zanudziłoby cię - odparł bez namysłu. - To sami prawnicy.

- Żadnych kobiet?

- Nie. W każdym razie w moim wydziale. - Praca Hansa miała charakter administracyjny: przydzielał sprawy sędziom, wyznaczał terminy rozpraw, zarządzał budynkami sądowymi.

- Mimo to chciałabym ich poznać.

Hans był silnym mężczyzną, który nauczył się panować nad sobą. Jej upór wywołał w nim gniew, Rebecca dostrzegła znajomy błysk w oczach męża. Powściągnął go siłą woli.

- Coś zorganizuję - rzekł. - Może któregoś wieczoru wybierzemy się razem do baru.

Był pierwszym poznanym przez Rebecę mężczyzną, który dorównywał jej ojcu. Cechowała go pewność siebie i władczość, ale zawsze wysłuchiwał zdania żony. Miał dobrą posiadłość - niewielu ludzi w Niemczech Wschodnich stać było na samochód. Ci, którzy zajmowali stanowiska we władzach, zwykle bywali twardogłowymi komunistami, lecz Hans, o dziwo, podzielał polityczny sceptycyzm Rebekki. I podobnie jak jej ojciec był wysoki, przystojny i dobrze się ubierał. Mogła śmiało powiedzieć, że to mężczyzna, na którego czekała.

Tylko jeden raz przed ślubem na krótko w niego zważyła. Zdarzył im się drobny wypadek drogowy. Wina leżała całkowicie po stronie kierowcy drugiego samochodu, który bez zatrzymania się wyjechał z bocznej ulicy. Takie rzeczy dzieją się codziennie, lecz Hans



wpadł we wściekłość. Choć uszkodzenia wozów były minimalne, wezwał policję, wyciągnął legitymację urzędnika Ministerstwa Sprawiedliwości, po czym kazał aresztować sprawcę stłuczki i wsadzić do więzienia za niebezpieczną jazdę.

Później przeprosił Rebecę, twierdząc, że poniosły go nerwy. Mściwość Hansa przestraszyła ją i omal z nim nie zerwała. Wytłumaczył jednak, że nie był sobą z powodu stresu związanego z pracą zawodową, a ona mu uwierzyła. Później okazało się, że postąpiła słusznie, ponieważ Hans nigdy więcej w taki sposób się nie zachował.

Gdy minął rok, odkąd się poznali, Rebecca zaczęła się zastanawiać, dlaczego jeszcze nie poprosił jej, by za niego wyszła. Nie byli już dziećmi: ona miała dwadzieścia osiem lat, on trzydzieści trzy, od sześciu miesięcy weekendowe noce spędzali przeważnie razem. W końcu sama mu się oświadczyła. Zaskoczyło go to, ale się zgodził.

Zatrzymał samochód przed szkołą, w której pracowała. Budynek był nowoczesny i dobrze wyposażony, ponieważ komuniści poważnie traktowali oświatę. Przed bramą pięciu lub sześciu chłopców ze starszych klas stało pod drzewem i paliło papierosy. Nie zwracając uwagi na ich spojrzenia, pocałowała Hansa w usta i wysiadła.

Chłopcy przywitali się grzecznie, lecz gdy Rebecca przemierzała kałuże na szkolnym podwórku, czuła na swoim ciele tęskne spojrzenia nastolatków.

Pochodziła z rodziny związanej z polityką. Dziadek należał do Socjaldemokratycznej Partii Niemiec i zasiadał w Reichstagu, niemieckim parlamencie, aż do czasu dojścia Hitlera do władzy. Matka była radną miejską z ramienia tej samej partii w króciutkim okresie po wojnie, gdy w Berlinie Wschodnim panowała demokracja. Teraz jednak Niemcy Wschodnie były komunistyczną dyktaturą i Rebecca nie widziała sensu w angażowaniu się w politykę. Swój idealizm skierowała na nauczanie i miała nadzieję, że następne pokolenie będzie wykazywało mniej dogmatyzmu, za to więcej mądrości i współczucia dla ludzi.

W pokoju nauczycielskim rzuciła okiem na tablicę ogłoszeń. Większość lekcji tego dnia miała się odbyć w podwojonym składzie, co oznaczało, że w jednej klasie trzeba będzie zmieścić dwie grupy uczniów. Przedmiotem Rebekki był rosyjski, ale będzie musiała poprowadzić również angielski. Nie mówiła po angielsku, choć przyswoiła sobie odrobinę tego języka od swojej babci Angielki, Maud, która w wieku siedemdziesięciu lat wciąż tryskała energią.

Już drugi raz poproszono ją o zastępstwo na zajęciach z angielskiego. Zaczęła zastanawiać się nad tekstem do wykorzystania. Za pierwszym razem posłużyła się ulotką, którą rozdawano amerykańskim żołnierzom, zawierającą instrukcję postępowania z Niemcami. Tekst bardzo rozbawił uczniów i przy okazji dużo się nauczyli. Postanowiła, że

dzisiaj zapisze na tablicy słowa jakiejś znanej im piosenki, na przykład The Twist, i poprosi o przetłumaczenie na niemiecki. Piosenkę stale puszczano w radiu amerykańskich sił zbrojnych. Nie będzie to typowa lekcja języka obcego, ale Rebecca doszła do wniosku, że nic lepszego nie wymyśli.

Szkoła borykała się z dotkliwymi brakami kadrowymi: połowa nauczycieli wyemigrowała do Niemiec Zachodnich, gdzie miesięczne pensje były wyższe o trzysta marek, a obywatele mogli cieszyć się wolnością. Taka sama sytuacja panowała w większości szkół w Niemieckiej Republice Demokratycznej. I nie dotyczyła jedynie nauczycieli. Lekarze, wyjeżdżając na zachód, mogli podwoić swoje zarobki. Matka Rebekki, Carla, była naczelną pielęgniarką w dużym szpitalu w Berlinie Wschodnim i rwała sobie włosy z głowy z powodu niedoboru zarówno pielęgniarek, jak i lekarzy. Ręk do pracy brakowało także w przemyśle, ubywało ludzi nawet w wojsku. Problem osiągnął rozmiary kryzysu narodowego.

Rebecca notowała w zeszycie tekst piosenki The Twist i usiłowała przypomnieć sobie wers ze słowami my little sis, kiedy do pokoju nauczycielskiego wszedł zastępca dyrektora szkoły. Nazywał się Bernd Held i prawdopodobnie był najlepszym poza rodziną znajomym Rebekki. Szczupły, ciemnowłosy czterdziestolatek nosił na czole wyrazistą bliznę w miejscu, które przeciął odłamek; stało się to w ostatnich dniach wojny podczas obrony wzgórz Seelow. Uczył fizyki, lecz podzielał zainteresowanie Rebekki rosyjską literaturą, kilka razy w tygodniu jadali wspólnie kanapki w porze lunchu.

- Słuchajcie - odezwał się. - Niestety, mam złe wiadomości. Anselm odszedł.

Rozległ się szmer zdziwienia. Anselm Weber był naczelnym nauczycielem szkoły i lojalnym komunistą, bo tylko tacy mogli piastować to stanowisko. Najwyraźniej jednak zachodnioniemiecki dobrobyt i swoboda wzięły górę nad zasadami.

- Będę go zastępował, dopóki nie zostanie wyznaczony nowy naczelnny - ciągnął Bernd. Rebecca, podobnie jak reszta kadry dydaktycznej, wiedziała, że to on powinien zarządzać placówką, ponieważ ma odpowiednie kwalifikacje i umiejętności. Jednak był wykluczony z racji tego, że nie wstąpił do Socjalistycznej Partii Jedności Niemiec, która w istocie była partią komunistyczną.

Z tego samego powodu także Rebecca nie miała szans, by zostać naczelną nauczycielką. Anselm prosił ją, żeby zapisała się do partii, lecz nawet o tym nie myślała. Jej zdaniem to byłoby tak, jakby zamieszkała w szpitalu psychiatrycznym i udawała, że wszyscy pensjonariusze są zdrowi na umyśle.

Bernd wyłuszczał zaistniałą sytuację, ona zaś zastanawiała się, kiedy zostanie mianowany nowy naczelnny. Za rok? Jak długo potrwa kryzys? Nikt tego nie wiedział.

Przed pierwszą lekcją zajrzała do swojej przegródki pocztowej, ale nic w niej nie było. Korespondencja jeszcze nie dotarła. Może listonosz również wyemigrował do Niemiec Zachodnich.

List, który miał wywrócić jej życie do góry nogami, wciąż był w drodze.

Na pierwszych zajęciach omawiała rosyjski poemat *Jeździec miedziany* z liczną grupą siedemnasto- i osiemnastolatków. Lekcję taką prowadziła rok w rok, odkąd została nauczycielką. Jak zawsze podsuwała uczniom radziecką interpretację ideologiczną, tłumacząc, że w obliczu konfliktu między dobrem osobistym a powinnością społeczną autor wiersza, Aleksander Puszkina, opowiada się po stronie tej drugiej.

W czasie przerwy obiadowej wzięła kanapkę i poszła do gabinetu dyrektora. Usiadła przy dużym biurku naprzeciwko Bernda i popatrzyła na półkę z tanimi glinianymi popiersiami: znalazły tam miejsce podobizny Marksa, Lenina oraz przywódcy wschodnioniemieckiej partii komunistycznej Waltera Ulbrichta. Bernd podążył za spojrzeniem koleżanki.

- Szczwany lis z tego Anselma - rzucił z uśmiechem. - Przez całe lata udawał prawowiernego, a teraz fru!, i już go nie ma.

- A ciebie nie kusi? - zaciekała się Rebecca. - Rozwiodłeś się, nie masz dzieci ani innych zobowiązań.

Bernd rozejrzał się, jakby podejrzewał, że ktoś może słuchać rozmowy. Potem wzruszył ramionami.

- Myślałem o tym, bo kto nie myślał? A ty? Przecież twój ojciec pracuje w Berlinie Zachodnim, prawda?

- Tak, ma fabrykę telewizorów. Ale mama jest zdecydowana, by zostać na Wschodzie. Powiada, że problemy trzeba rozwiązywać, a nie przed nimi uciekać.

- Poznałem ją, prawdziwa z niej tygrysyca.

- To prawda. Poza tym dom, w którym mieszkamy, należy do rodziny od pokoleń.

- A co na to twój mąż?

- Poświęca się pracy.

- W takim razie nie muszę się obawiać, że cię stracę. To dobrze.

- Bernd... - zaczęła Rebecca i zawahała się.

- No, wyduś to.

- Mogę ci zadać osobiste pytanie?

- Naturalnie.

- Odszedłeś od żony, bo miała romans.

Bernd zeszywniał, ale odpowiedział:

- Owszem.

- Jak się dowiedziałeś?

Skrzywił się, jakby poczuł nagły ból.

- Wolisz, żebym nie pytała? - zaniepokoiła się Rebecca. - To zbyt osobiste?

- Tobie mogę powiedzieć - odparł. - Spytałem wprost i przyznała się.

- Dlaczego zacząłeś ją podejrzewać?

- Świadczyło o tym wiele drobnostek...

- Na przykład dzwoni telefon - wpadła mu w słowo Rebecca - ty odbierasz i przez kilka sekund nikt się nie odzywa, a potem rozłącza.

Bernd potwierdził skinieniem głowy.

- Mażonek drze kartkę na drobne kawałeczki i spuszcza w sedesie - ciągnęła. - W weekend ktoś wzywa go na niezapowiedziane zebranie. Wieczorami pisze coś przez dwie godziny i nie chce ci pokazać.

- Ojej - odezwał się ze smutkiem Bernd. - Ty mówisz o Hansie.

- Ma kochankę, prawda? - Rebecca odłożyła kanapkę, straciła apetyt. - Powiedz mi, co o tym sądzisz, ale szczerze.

- Przykro mi.

Bernd pocałował ją kiedyś; to było przed czterema miesiącami, w ostatni dzień semestru jesiennego. Żegnali się i życzył jej wesołych świąt Bożego Narodzenia, a potem ujął ją lekko za ramię, nachylił głowę i pocałował w usta. Poprosiła, by nigdy więcej tego nie robił, i oznajmiła, że nadal chce się z nim przyjaźnić. W styczniu oboje wrócili do pracy i udawali, że nic się nie wydarzyło. Parę tygodni później Bernd powiedział jej nawet, że umówił się na randkę z wdową rówieśniczką.

Rebecca nie zamierzała rozbudzać nadziei, wiedząc, że nie zdoła ich spełnić, lecz Bernd był jedyną osobą, z którą mogła porozmawiać poza rodziną, a tej na razie nie chciała martwić.

- Byłam pewna, bardzo pewna, że Hans mnie kocha - wyznała z oczami pełnymi łez. - Bo ja go kocham.

- Może on też cię kocha. Niektórzy mężczyźni po prostu nie potrafią oprzeć się pokusie.

Rebecca nie wiedziała, czy Hans jest zadowolony z ich pożycia intymnego. Nigdy się nie skarżył, ale kochali się mniej więcej raz w tygodniu; ona uważała, że to za rzadko jak na nowożeńców.

- Ja tylko pragnę własnej rodziny, takiej jak rodzina mamy, w której wszyscy znajdują miłość, wsparcie i poczucie bezpieczeństwa - tłumaczyła. - Myślałam, że mogę to mieć z

Hansem.

- Może nadal jest to możliwe - zauważył Bernd. - Romans nie musi oznaczać końca małżeństwa.

- W pierwszym roku związku?

- To źle wróży, zgadzam się.

- Co mam robić?

- Musisz go o to zapytać. Może się przyzna, może zaprzeczy, ale będzie wiedział, że jesteś świadoma tego, że coś się dzieje.

- I co potem?

- A czego byś chciała? Rozwieść się z nim?

Pokręciła głową.

- Nigdy bym nie odeszła. Małżeństwo to przyrzeczenie. Trzeba go dotrzymywać nawet wbrew własnym skłonnościom, a nie tylko wtedy, gdy ci to pasuje. Właśnie taki jest jego sens.

- Ja postąpiłem zupełnie inaczej. Na pewno tego nie pochwalasz.

- Nie osądzam ciebie ani nikogo innego, mówię jedynie o sobie. Kocham męża i chcę, żeby był mi wierny.

Bernd uśmiechnął się z podziwem i odrobiną żalu.

- Mam nadzieję, że twoje pragnienia się spełnią.

- Dobry z ciebie przyjaciel.

Odezwał się dzwonek wzywający na pierwszą popołudniową lekcję. Rebecca wstała i włożyła kanpkę z powrotem do papierowego opakowania. Nie zamierzała jej zjeść ani teraz, ani później, lecz myśl o wyrzuceniu chleba napawała ją trwogą; takie same odczucia miała większość tych, którzy przeżyli wojnę. Dotknęła chusteczką wilgotnych oczu.

- Dziękuję, że mnie wysłuchałeś.

- Niewiele cię pocieszyłem.

- Ależ tak - powiedziała i wyszła.

Zbliżając się do klasy, uświadomiła sobie, że nie zdążyła opracować tekstu piosenki. Była jednak nauczycielką nie od wczoraj i potrafiła improwizować.

- Kto słyszał piosenkę The Twist? - zapytała głośno, otwierając drzwi.

Okazało się, że wszyscy.

Podeszła do tablicy i wzięła kawałek kredy.

- Jak idą słowa?

Uczniowie zaczęli wykrzykiwać tekst.

- *Come on, baby, let's do the twist.* - Rebecca zapisała na tablicy pierwszą linijkę. - Jak to będzie po niemiecku?

Na jakiś czas zapomniała o swoich strapieniach.

W czasie przerwy popołudniowej znalazła w przegródce list. Zabrała go do pokoju nauczycielskiego i przed otwarciem zaparzyła sobie kawy instant. Kiedy zaczęła czytać, filiżanka wyleciała jej z ręki.

Kartka była jedna, w nagłówku widniała nazwa Ministerstwo Bezpieczeństwa Państwa. Tak oficjalnie nazywała się tajna policja Stasi. Nadawcą listu był sierżant Scholz, nakazywał Rebecce stawić się w siedzibie policji na przesłuchanie.

Wylała rozlaną kawę i przeprosiła kolegów, udając, że nie stało się nic złego. Potem poszła do damskiej toalety i zamknęła się w kabinie. Musiała pomyśleć, zanim komukolwiek się zwierzy.

Każdy obywatel Niemieckiej Republiki Demokratycznej wiedział o istnieniu takich listów i wszyscy się ich bali. Oznaczał on, że Rebecca popełniła jakieś przewinienie, być może drobne i nieznaczące, ale jednak takie, które zwróciło uwagę szpicli. Z tego, co mówili inni, zorientowała się, że nie ma sensu udawać niewinności. Policja wychodziła z założenia, że wezwany musi być winny, bo w przeciwnym razie z jakiej racji by go przesłuchiwali. Sugestie, że zaszła pomyłka, traktowali jako obrazę dla swojej fachowości, to zaś samo w sobie uważali za wykroczenie.

Rebecca spojrzała ponownie na list i zobaczyła, że ma się zgłosić o siedemnastej.

Czym zawiniła? Jej rodzina, rzecz jasna, wzbudzała głębokie podejrzenia. Ojciec Werner był kapitalistą i miał fabrykę, do której wschodniemieckie władze nie mogły się dostać, ponieważ znajdowała się w Berlinie Zachodnim. Matka Carla była dobrze znaną członkinią Socjaldemokratycznej Partii Niemiec. Z kolei babka, Maud, była siostrą angielskiego hrabiego.

Wszelako władze od kilku już lat nie naprzykrzały się rodzinie i Rebecca sądziła, że wychodząc za urzędnika Ministerstwa Sprawiedliwości, uzyskała dla siebie i bliskich pewną dozę szacunku. Najwyraźniej się łudziła.

Czy popełniła jakieś przestępstwo? Miała w księgozbiornie antykomunistyczną alegorię George'a Orwella *Folwark zwierzęcy*, co było wbrew prawu. Jej młodszy brat Walli, obecnie piętnastoletni, grał na gitarze i śpiewał amerykańskie protest songi w rodzaju *This Land is Your Land*. Rebecca jeździła czasem do Berlina Zachodniego na wernisaże malarstwa abstrakcyjnego. W podejściu do sztuki komuniści wykazywali taki sam konserwatyzm jak matrony z epoki wiktoriańskiej.

Myjąc ręce, zerknęła w lustro. Nie wyglądała jak osoba zalękniona. Miała prosty nos, wyrazisty podbródek i oczy o głębokiej orzechowej barwie. Jej niesforna ciemna czupryna była mocno zaczesana do tyłu. Wysoki wzrost i posągowa budowa wzbudzały u niektórych strach. Rebecca potrafiła stanąć przed klasą rozwydrzonych osiemnastolatków i uciszyć ich jednym słowem.

A mimo to czuła lęk. Jej obawy płynęły ze świadomości, że funkcjonariusze Stasi zdolni są do wszystkiego. Nie znali żadnych prawdziwych ograniczeń, samo poskarżenie się na nich zakrawało na przestępstwo. Przypominało to Rebecce postępowanie Armii Czerwonej pod koniec wojny. Sowieccy żołdacy mogli swobodnie rabować, gwałcić i mordować Niemców, korzystanie z tej wolności przybrało u nich postać niewymownego barbarzyństwa.

Ostatnia lekcja Rebekki tego dnia miała być poświęcona stronie biernej w języku rosyjskim. Zajęcia się rozlażyły i były z całą pewnością najgorszymi, jakie przeprowadziła od początku swojej pracy dydaktycznej. Uczniowie zorientowali się, że stało się coś złego, i ku jej wzruszeniu okazali pomoc; czasem trafnie podpowiadali, kiedy nauczycielce zabrakło słów. Dzięki ich wyrozumiałości jakoś dobrnęła do końca.

Bernd przyjmował w gabinecie urzędników z Ministerstwa Edukacji, zapewne wspólnie zastanawiali się, jak prowadzić dalej szkołę, gdy odeszła połowa kadry nauczycielskiej. Rebecca nie chciała udawać się do siedziby Stasi, nikogo nie powiadomiwszy, dlatego na wszelki wypadek zostawiła przełożonemu kartkę z informacją.

Potem wsiadła do autobusu, który mokrymi od deszczu ulicami zawiózł ją na Normannen Strasse w dzielnicy Lichtenberg na przedmieściu.

Kwatera tajnej policji mieściła się w szpetnym nowym biurowcu. Budynek nie był ukończony: na parkingu stały buldożery, a przy jednej ze ścian pięło się rusztowanie. W deszczu gmach sprawiał posępne wrażenie, w blasku słońca nie będzie wyglądał weselej.

Wchodząc, Rebecca nie wiedziała, czy kiedykolwiek wyjdzie z powrotem.

Przemierzyła ogromny przedsionek i zawieziono ją windą na piętro. Jej lęk narastał wraz z wysokością. Wysiadła i znalazła się w korytarzu pomalowanym na koszmarne kolor musztardowej żółci. Zaprowadzono ją do małego pustego pomieszczenia, w którym jedynymi meblami były stół z blatem z tworzywa oraz dwa niewygodne krzeselka z metalowych rurek. Powietrze przesyciła gryząca woń farby. Mężczyzna, który eskortował Rebecę, zostawił ją samą.

Siedziała pięć minut, trzęsąc się. Zaczęła żałować, że nie pali - papieros mógłby nieco ukoić jej nerwy. Z trudem powstrzymywała łzy.

Do pomieszczenia wszedł sierżant Scholz. Był nieco młodszy od Rebekki, oceniła jego

wiek na mniej więcej dwadzieścia pięć lat. Trzymał w rękach cienką teczkę. Usiadł, odchrząknął, otworzył teczkę i skrzywił się. Przyszło jej do głowy, że usiłuje przydać sobie ważności. Pomyślała, że to może być jego pierwsze przesłuchanie.

- Jesteście nauczycielką w technikum Fryderyka Engelsa - stwierdził.

- Tak.

- Gdzie mieszkacie?

Rebecca odpowiedziała, ale pytanie ją zdziwiło. Czyżby bezpieka nie znała jej adresu? To by tłumaczyło, dlaczego list przyszedł do szkoły, a nie do jej domu.

Musiała podać nazwiska oraz wiek rodziców i dziadków.

- Kłamiecie! - oznajmił triumfalnie Scholz. - Mówicie, że matka ma trzydzieści dziewięć lat, a wy dwadzieścia dziewięć. Czyżby urodziła was jako dziesięciolatka?

- Jestem adoptowana - odrzekła Rebecca. Poczowała ulgę, mogąc udzielić niewinnego wyjaśnienia. - Moi prawdziwi rodzice zginęli pod koniec wojny, kiedy nasz dom został trafiony pociskiem. - Miała wtedy trzynaście lat. Pociski Armii Czerwonej padały wszędzie, miasto leżało w gruzach, a ona była sama, oszołomiona i przerażona. Grupka żołnierzy wybrała sobie pulchną nastolatkę, przymierzając się do gwałtu. Ocaliła ją Carla, która poświęciła się w zamian. Jednak tamto przerażające wydarzenie sprawiło, że Rebecca podchodziła do seksu niepewnie i z lękiem. Czuła, że jeśli Hans nie jest usatysfakcjonowany, musi to być jej wina.

Zadrzała, starając się odsunąć złe wspomnienie.

- Carla Franck uratowała mnie przed... - Powstrzymała się w samą porę. Komuniści zaprzeczali, jakoby żołnierze Armii Czerwonej popełniali gwałty, mimo że potworną prawdę znała każda kobieta, która w 1945 roku przebywała na terenie Niemiec Wschodnich. - Carla mnie ocaliła - dodała, pomijając kontrowersyjne szczegóły. - Później ona i Werner zaadoptowali mnie zgodnie z prawem.

Scholz notował wszystko skrupulatnie.

Taka teczka nie może zawierać wielu informacji, pomyślała Rebecca, ale coś musi w niej być. Jeśli policjant ma tak skąpą wiedzę o rodzinie wezwanej osoby, co zwróciło jego uwagę?

- Jesteście nauczycielką angielskiego - stwierdził.

- Nie, uczę rosyjskiego.

- Znowu kłamiecie.

- Nie kłamie i przedtem też nie kłamałam - odparła zwięźle Rebecca, dziwiąc się samej sobie, że tak buńczucznie odzywa się do funkcjonariusza bezpieki. Nie czuła już takiej obawy



jak na początku. Może to głupota. Ten człowiek był młody i niedoświadczony, lecz wciąż mógł zrujnować jej życie. - Mam dyplom z języka i literatury rosyjskiej - ciągnęła, siląc się na przyjazny uśmiech. - W szkole kieruję wydziałem rusycystycznym, ale połowa nauczycieli wyjechała na Zachód, więc musimy sobie jakoś radzić. Dlatego w zeszłym tygodniu prowadziłam dwie lekcje angielskiego.

- Czyli jednak miałem rację! I w czasie lekcji zatruwacie umysły dzieci amerykańską propagandą.

- O cholera - jęknęła Rebecca. - Czyżby chodziło o ulotkę z poradami dla amerykańskich żołnierzy?

Policjant przeczytał z notatek:

- Tu jest napisane: „Miejcie w pamięci, że w Niemczech Wschodnich nie ma wolności słowa”. Czy to nie jest amerykańska propaganda?

- Wy tłumaczyłam uczniom, że Amerykanie kultywują prymitywne przedmarksistowskie wyobrażenie wolności - odparowała Rebecca. - Przypuszczam, że wasz informator zapomniał o tym wspomnieć. - Zastanawiała się, kto był tą szują. Na pewno uczeń bądź rodzic, któremu powiedziano o zajęciach. Stasi miało więcej szpicli niż naziści.

- A dalej: „W Berlinie Wschodnim nie pytajcie o drogę policjantów. W odróżnieniu od amerykańskich, nie mają oni za zadanie pomagać ludziom”. Co wy na to?

- Czy to nieprawda? - odpowiedziała pytaniem Rebecca. - Czy jako nastolatek zapytaliście kiedyś Vopo, jak dojść na stację metra? - Policja w Niemczech Wschodnich nazywała się Volkspolizei, w skrócie Vopo.

- Nie mogliście znaleźć odpowiedniejszego materiału do nauczania dzieci?

- Może sami przyjdziecie do szkoły i dacie lekcję angielskiego?

- Nie znam angielskiego!

- Ani ja! - zawołała Rebecca i od razu pożałowała, że podniosła głos. Ale Scholz się nie rozgniewał, sprawiał wrażenie trochę onieśmiałego. Z pewnością brakowało mu doświadczenia, lecz mimo to nie powinna sobie pozwalać na nierozwagę. - Ani ja - powtórzyła ciszej. - Improvizuję i korzystam ze wszelkich materiałów w języku angielskim, jakie wpadną mi w ręce. - Przyszło jej na myśl, że pora udać skruchę. - Z pewnością popełniłam błąd i bardzo tego żałuję, sierżancie.

- Sprawiacie wrażenie inteligentnej osoby - rzucił policjant.

Zmrużyła lekko powieki. Czyżby zastawiał na nią pułapkę?

- Dziękuję za komplement - odparła neutralnym tonem.

- Potrzeba nam inteligentnych osób, zwłaszcza kobiet.

Rebecca się zdziwiła.

- Do czego?

- Do tego, by miały oczy otwarte, orientowały się w sytuacji i dawały nam znać, kiedy dzieje się coś złego.

Teraz Rebecce ogarnęło wzburzenie.

- Proście mnie, bym została informatorką Stasi? - spytała po chwili z niedowierzaniem.

- To jest ważne działanie obywatelskie. Ma kluczowe znaczenie zwłaszcza w szkołach, bo tam kształtują się ludzkie postawy.

- Rozumiem.

Rebecca rozumiała i to, że młody bezpieczeniak popełnił poważny błąd. Zdobył informacje o jej poczynaniach w miejscu pracy, ale nie dowiedział się nic o rodzinie, która u komunistycznych władz miała bardzo złą opinię. Gdyby to sprawdził, z całą pewnością nie zwróciłby się do niej z taką propozycją.

Mogła sobie wyobrazić, jak do tego doszło. Nazwisko Hoffmann było jednym z najpospolitszych, a imię Rebecca także nie należało do nietypowych. Żółtodziób z tajnej policji mógł łatwo podążyć tym fałszywym tropem.

- Jednak ci, którzy wykonują tę pracę, muszą być całkowicie uczciwi i godni zaufania - oświadczył Scholz.

Omam nie parsknęła śmiechem, usłyszawszy ten paradoks.

- Uczciwi i godni zaufania? - powtórzyła. - I mają szpiegować znajomych?

- Jak najbardziej - potwierdził, nie dostrzegając ironii. - Są także pewne korzyści - dodał, ścisząc głos. - Stalibyście się jedną z nas.

- Nie wiem, co odpowiedzieć.

- Nie musicie podejmować decyzji w tej chwili. Idźcie do domu i zastanówcie się, ale nikomu o tym nie opowiadajcie. Sprawa musi pozostać w tajemnicy, oczywiście.

- Oczywiście.

Rebecca odczuła ulgę. Scholz szybko odkryje, że wybrał nader niewłaściwą kandydatkę, i wycofa propozycję. Jednak w tej chwili trudno mu było znów udawać, że ma do czynienia z siewczynią kapitalistycznej propagandy. Może uda jej się wyjść z opresji bez szwanku.

Wstał, ona zaś poszła za jego przykładem. Czy to możliwe, by wizyta w kwaterze Stasi zakończyła się tak pomyślnie? To było zbyt piękne, by mogło być prawdziwe.

Grzecznie otworzył jej drzwi i poprowadził ją nieprzyjemnie żółtym korytarzem. Przed drzwiami windy stało pięciu lub sześciu agentów bezpieki i żywo o czymś rozprawiało. Na

widok znajomej postaci aż się złąkla: mężczyzna był rośli i barczysty, o lekko pochylonej postawie. Miał na sobie jasnoszary flanelowy garnitur, który także doskonale znała. Zbliżała się do windy i patrzyła, nic nie rozumiejąc.

To był jej mąż, Hans.

Dlaczego się tu znalazł? W pierwszej chwili z obawą pomyślała, że on także stawiał się na przesłuchanie. Jednak po chwili, spoglądając na mężczyzn, uświadomiła sobie, że pozostali nie traktują go jak podejrzanego.

A zatem? Serce biło jej ze strachu, ale czego się bała?

Może wezwały go obowiązki urzędnika Ministerstwa Sprawiedliwości, zastanawiała się w duchu. Nagle usłyszała, jak jeden z mężczyzn mówi: „Z całym szacunkiem, poruczniku...”. Nie dosłyszała reszty zdania. Poruczniku? Pracownicy administracji państwowej nie nosili stopni wojskowych - chyba że byli w policji...

I wtedy Hans zauważył żonę.

Dostrzegła emocje na jego twarzy, mężczyźni są tak łatwi do rozszyfrowania. Najpierw zmarszczył czoło, jakby ujrzał coś dobrze znanego w nietypowym otoczeniu, na przykład buraka w bibliotece. Potem otworzył szerzej oczy i lekko rozchylił usta, uświadomiwszy sobie, kogo widzi. Jednakże najsilniejsze wrażenie zrobiło na niej to, co stało się potem: policzki męża zaczerwieniły się ze wstydu i odwrócił głowę, chcąc ukryć poczucie winy.

Milczała dłuższą chwilę, usiłując ogarnąć sytuację. A później, wciąż nie do końca zdając sobie sprawę z tego, co się dzieje, powiedziała:

- Dzień dobry, poruczniku Hoffmann.

- Znacie porucznika? - spytał zaskoczony i przestraszony Scholz.

- I to całkiem dobrze - odparła Rebecca. Z trudem panowała nad sobą, czując, jak narasta w niej zatrważające podejrzenie. - Zastanawiam się, czy już od jakiegoś czasu mnie nie inwigilował. - Ale to chyba niemożliwe, myślała. A może jednak?

- Naprawdę? - zdziwił się głupio Scholz.

Rebecca mierzyła Hansa ostrym wzrokiem, czekając na jego reakcję. Miała nadzieję, że wyśmiej jej supozycję i bez wahania poda prawdziwe, niewinne wytłumaczenie sytuacji. On zaś otworzył usta, jakby chciał coś odrzec, ale widziała, że nie zamierza powiedzieć prawdy: miał minę kogoś, kto rozpaczliwie, lecz bezskutecznie usiłuje wymyślić jakąś prawdopodobną bajeczkę.

- Nie wiedziałem! - tłumaczył się Scholz, który był bliski płaczu.

- Jestem żoną Hansa - oznajmiła Rebecca, nie odrywając wzroku od męża.

Wyraz jego twarzy znów się zmienił, poczucie winy ustąpiło miejsca gniewowi. W

końcu odpowiedział, ale nie zwracał się do Rebekki:

- Stul pysk, Scholz.

Naraz Rebecca zrozumiała i jej świat się zawalił.

Scholz był zbyt oszołomiony i puścił mimo uszu ostrzeżenie Hansa.

- Jesteście tą Frau Hoffmann? - zapytał Rebecę.

Wściekły Hans zareagował błyskawicznie: zamachnął się prawą ręką i duża twarda pięść wylądowała na twarzy Scholza. Ten zatoczył się do tyłu, jego usta krwawiły.

- Ty cholerny dumniu - warknął Hans. - Właśnie spałaś dwa lata mozolnej tajniackiej pracy.

- Dziwne telefony, nagłe zebrania, podarte kartki... - wyliczała cicho Rebecca. A więc jednak Hans nie miał kochanki.

Prawda była o wiele gorsza.

Kręciło jej się w głowie, ale wiedziała, że jeśli chce poznać prawdę, ma teraz jedyną szansę. Wszyscy byli zbici z tropu, lecz później zaczną kłamać i preparować sobie wymówki.

- Ożeniłeś się ze mną po to, by mnie szpiegować?

Patrzył na nią bez słowa.

Scholz odwrócił się i ruszył korytarzem.

- Idźcie za nim - polecił Hans kolegom.

Nadjechała winda, Rebecca wsiadła do kabiny.

- Aresztować tego idiotę i do celi z nim! - krzyknął Hans.

Chciał coś powiedzieć do żony, ale drzwi się zamknęły. Rebecca wcisnęła guzik.

Ledwie widziała przez łyzy, kiedy przemierzała hol. Nikt jej nie zaczepił, widok zapłakanych ludzi był tam zapewne codziennością. Pokonała w deszczu parking i dotarła do przystanku autobusowego.

Małżeństwo okazało się jednym wielkim fałszem. Rebecce trudno się było z tym pogodzić. Spała z Hansem, kochała go i wyszła za niego, a on przez cały czas ją oszukiwał. Niewierność można uznać za chwilowe potknięcie, lecz Hans był fałszywy od samego początku. Na pewno zaczął się z nią umawiać na randki po to, by ją szpiegować.

Nie zamierzał się z nią żenić. Prawdopodobnie za pomocą flirtu chciał wślizgnąć się do domu. Podstęp udał się aż nazbyt dobrze. To musiał być dla niego szok, kiedy Rebecca zaproponowała ślub. Może wymuszono na nim tę decyzję: albo odmówi i zaprzestanie inwigilacji, albo ożeni się i będzie mógł kontynuować robotę. Niewykluczone, że dostał rozkaz, by przyjąć oświadczyzny. Rebecca zastanawiała się teraz, jak mogła tak bardzo dać się wyprowadzić w pole.

Nadjechał autobus. Wsiadła szybko i ze spuszczoną głową przeszła na koniec. Usiadłszy, ukryła twarz w dłoniach.

Wspominała okres ich narzeczeństwa. Kiedy przywoływała na pamięć kwestie, które stanęły na drodze jej poprzednich romansów - poglądy feministyczne i antykomunistyczne, bliski związek z Carlą - Hans zawsze udzielał poprawnych odpowiedzi. Uwierzyła, że oboje mają podobne przekonania, co było nieomal cudem. Nigdy nie przyszło jej na myśl, że narzeczony przez cały czas udaje.

Autobus w ślimaczym tempie włókł się ulicami wśród ruin i nowych budynków z betonu, zmierzając ku centralnej dzielnicy Mitte. Rebecca usiłowała skupić się na przyszłości, ale nie była w stanie. W jej głowie nieustannie przewijały się obrazy przeszłości. Przypominała sobie dzień ślubu, miodowy miesiąc i pierwszy rok związku. Hans traktował wszystko jak przedstawienie, w którym grał. Ukraść jej dwa lata życia i tak ją to rozgniewało, że przestała płakać.

Wróciła myślą do tego wieczoru, kiedy oświadczyła się Hansowi. Spacerowali w Parku Ludowym we Friedrichshain i zatrzymali się przed starą baśnią fontanną, by popatrzeć na kamienne rzeźby żółwi. Miała na sobie sukienkę w swoim ulubionym granatowym kolorze. Hans był ubrany w nową tweedową marynarkę: udawało mu się znajdować dobre ubrania, mimo że pod względem mody Niemcy Wschodnie stanowiły pustynię. Gdy otaczał ją ramieniem, Rebecca czuła się bezpieczna, chroniona i hołubiona. Pragnęła jednego mężczyzny na zawsze i właśnie go znalazła. „Pobierzmy się, Hans”, rzekła z uśmiechem. Pocałował ją i odparł: „Wspaniały pomysł”.

Ależ ja byłam głupia, pomyślała ze złością.

Jedna sprawa się wyjaśniła: Hans na razie nie chciał mieć dzieci. Oznajmił, że najpierw wolałby zaczekać na następny awans i uzbierać na własny dom. Nie wspominał o tym przed ślubem, i Rebecca się zdziwiła: ona miała już dwadzieścia dziewięć lat, on zaś trzydzieści cztery. Teraz poznała prawdziwy powód.

Wysiadając z autobusu, czuła już wściekłość. Szybkim krokiem szła w deszczu i wietrze do wysokiej starej kamienicy, w której mieszkała. Z przedpokoju przez otwarte drzwi zobaczyła matkę pogrążoną w rozmowie z Heinrichem von Kesselem, który po wojnie był wraz z Carlą w radzie miejskiej z ramienia Socjaldemokratycznej Partii Niemiec. Rebecca minęła ich szybko i bez słowa. Jej dwunastoletnia siostra Lili odrabiała lekcje przy stole w kuchni. Z dużego pokoju płynęły dźwięki fortepianu, to jej brat Walli grał bluesa. Rebecca weszła na górę do dwupokojowego mieszkania, które zajmowała z Hansem.

Pierwszą rzeczą, jaką zobaczyła, była makieta, nad którą pracował od początku ich

związku. Z zapalek i kleju budował miniaturę Bramy Brandenburskiej i wszyscy znajomi musieli mu oddawać zużyte zapalki. Makietą, prawie skończona, tkwiła na stoliku pośrodku pokoju. Hans zrobił już centralny łuk i skrzydła, a teraz pracował nad kwadrygą, czterokonnym rydwanem stojącym na szczycie, który był o wiele trudniejszy do wykonania.

Z pewnością się nudził, pomyślała z goryczą Rebecca. Projekt pomagał mu przetrwać wieczory, które musiał spędzać z niekochaną kobietą. Ich małżeństwo było taką właśnie makietą, lichą kopią czegoś prawdziwego.

Podeszła do okna i wyjrzała na dwór, deszcz wciąż padał. Po minucie przy krawężniku zatrzymał się brązowy trabant i wysiadł z niego Hans.

Jak śmiał się tutaj pokazać?

Otworzyła okno, nie zważając na wiatr i ulewę.

- Wynoś się!

Hans zatrzymał się na mokrym chodniku i uniósł głowę.

Wzrok Rebekki padł na parę butów, które stały na podłodze tuż obok. Uszył je sędziwy szewc, którego Hans znalazł. Wzięła jeden do ręki i cisnęła. Rzut był dobry: mimo że Hans próbował się uchylić, but trafił go w czubek głowy.

- Ty oszalała krowo! - ryknął.

Walli i Lili weszli do pokoju i stanęli w drzwiach. Spoglądali na dorosłą siostrę, jakby stała się inną osobą. Niewykluczone, że mieli rację.

- Ożeniłeś się ze mną na rozkaz Stasi! - zawołała. - Które z nas oszalało?

Rzuciła drugim butem, lecz tym razem chybiła.

- Co ty wyprawiasz? - zdziwiła się Lili.

- Rany, ale odjazd - powiedział z uśmiechem Walli.

Dwoje przechodniów zatrzymało się na chodniku, sąsiad stanął na progu i gapił się na dziwne widowisko. Hans zgromił ich wzrokiem. Żona robiła z niego durnia na oczach innych, raniło to do żywego jego dumę.

Rebecca rozejrzała się za następnym pociskiem i jej wzrok spoczął na zapalczanym modelu Bramy Brandenburskiej.

Stał na płycie ze sklejki i był ciężki, lecz Rebecca zdołała go dźwignąć.

- O kurczę - odezwał się Walli.

Rebecca podeszła z makietą do okna.

- Nie waż się! - krzyknął Hans. - To jest moje!

Oparła drewnianą podstawę o parapet.

- Zrujnowałeś mi życie, ty bandyto ze Stasi!

Jedna z kobiet stojących na chodniku parsknęła szyderczym śmiechem. Wściekły Hans rozejrzał się, usiłując zlokalizować jego źródło, ale na próżno. To, że ktoś się z niego naigrawał, było najgorszą z tortur.

- Odłóż makietę, zdziro! - pieklił się. - Pracowałem nad nią cały rok!

- A ja przez rok walczyłam o nasze małżeństwo - odcięła się i uniosła makietę.

- Rozkazuję ci! - wrzasnął.

Rebecca z wysiłkiem wysunęła model za parapet i puściła.

Odwrócił się w locie tak, że sklejka znalazła się u góry, a kwadryga na dole. Spadał długo, Rebecca miała wrażenie, że czas na chwilę stanął. A potem makietę rąbnęła w chodnik z odgłosem przypominającym zgniatanie papieru. Zapałki rozprysły się na wszystkie strony, fragmenty konstrukcji spoczęły beładnie na mokrym betonie. Sklejka leżała nieruchomo, wszystko, co wcześniej na niej było, zniknęło jak zdmuchnięte.

Hans przez dłuższą chwilę gapił się na resztki makiety z rozdziawionymi ustami.

Potem się opanował i wyciągnął palec w stronę Rebekki.

- Zapamiętaj moje słowa - rzekł zimnym głosem, który nagle ją przeraził. - Pożałujesz tego, ty i twoja rodzina. Będziecie tego żalowali do końca swoich dni. Przyrzekam.

Wsiadł do samochodu i odjechał.

## ROZDZIAŁ 2

Na śniadanie matka podała George'owi Jakesowi naleśniki z borówkami i bekon z płatkami.

- Jeśli pochłonę to wszystko, będę musiał przejść do wagi ciężkiej - oznajmił George, który ważył prawie osiemdziesiąt kilogramów i był gwiazdą zapaśniczej reprezentacji Harvardu w wadze półśredniej.

- Jedz do syta i daj sobie spokój z zapasami - odparła. - Nie wychowałam cię, żebyś został tępym wygibusem. - Usiadła naprzeciwko niego przy stole w kuchni i nasypała płatków na talerz.

Wiedziała, że George nie jest tępakiem. Niebawem miał ukończyć harwardzki wydział prawa. Zaliczył egzaminy końcowe i był niemal pewny, że je zdał. Teraz przyjechał do skromnego podmiejskiego domku matki w hrabstwie Prince George w Marylandzie nieopodal Waszyngtonu.

- Chcę zachować dobrą kondycję - wyjaśnił. - Może zostanę trenerem szkolnej reprezentacji w zapasach.

- Pozazdrościć pomysłu.

Spojrzał na nią czule. Jacky Jakes miała kiedyś urodę, widział jej zdjęcia z czasów, gdy była nastolatką i marzyła o karierze filmowej. Nadal wyglądała młodo, jej skóra o barwie ciemnej czekolady się nie marszczyła. „Dobra czerń nie pęka”, mawiały murzyńskie kobiety. Jednakże usta uśmiechające się szeroko na starych zdjęciach teraz przybrały wyraz posępnej determinacji. Nie została aktorką, może nigdy nie miała szans. Nieliczne role czarnych kobiet na ogół przypadły ślicznotkom o jasnej cerze. Tak czy inaczej, jej kariera dobiegła końca, zanim się zaczęła, gdy w wieku szesnastu lat zaszła w ciążę. Urodziła George'a i jej twarz zmąciła troska, ponieważ przez dziesięć lat musiała go samotnie wychowywać. Pracowała jako kelnerka, mieszkała w malutkim domku na tyłach Union Station i wpajała synowi, że musi pracować, uczyć się i zabiegać o szacunek.

- Kocham cię, mamo, ale i tak pojedę na Rajd Wolności.

Zacisnęła usta z dezaprobatą.

- Masz dwadzieścia pięć lat - odparła po chwili. - Zrobisz, jak zechcesz.

- Wcale nie. Każdą ważną decyzję, którą podjąłem, najpierw omówiłem z tobą. I pewnie zawsze tak będzie.

- Ale mnie nie słuchasz.



- Nie zawsze. Mimo to jesteś najmądrzejszą osobą, jaką znam, nie wyłączając tych, które poznałem na Harvardzie.

- A teraz mi słodzis - odparła Jacky, lecz syn widział, że sprawił jej przyjemność.

- Mamo, Sąd Najwyższy orzekł, że segregacja w autobusach międzystanowych i na dworcach jest sprzeczna z konstytucją, ale południowcy mają to za nic. Musimy jakoś zareagować!

- I myślisz, że przejazdy autobusami coś zmienią?

- Wsiądziemy tu, w Waszyngtonie, i pojedziemy na południe. Zajmiemy miejsca na przodzie, będziemy korzystali z poczekalni tylko dla białych i prosili, by nas obsłużono w barach dla białych, a kiedy ktoś odmówi, powiemy mu, że prawo jest po naszej stronie, a on je haniebnie łamie.

- Synku, wiem, że masz rację, nie musisz mi tego tłumaczyć. Rozumiem konstytucję, ale jak sądzisz, co się stanie?

- Prędzej czy później nas aresztują, dojdzie do procesu i będziemy publicznie bronić swoich praw.

Jacky pokręciła głową.

- Chciałabym wierzyć, że pójdzie wam tak łatwo.

- Co masz na myśli?

- Dorastałeś jako dziecko uprzywilejowane - zauważyła. - W każdym razie tak było od czasu, gdy twój biały ojciec pojawił się w naszym życiu. Miałeś wtedy sześć lat. Nie wiesz, jaki jest świat większości kolorowych.

- Przykro mi, że tak mówisz - odparł George. Czarni aktywiści wielokrotnie mu to wypominali, aż krew się w nim gotowała. - Biały bogaty dziadek płaci za moje wykształcenie, ale to nie czyni mnie ślepym. Wiem, co się dzieje obok.

- W takim razie wiedz i to, że aresztowanie wcale nie jest najgorszą rzeczą, jaka może cię spotkać. A jeśli sprawy potoczą się naprawdę źle?

George zdawał sobie sprawę, że matka ma rację. Uczestnicy Rajdów Wolności narażali się na coś gorszego niż więzienie. Chciał ją jednak uspokoić.

- Odbylem zajęcia z biernego oporu. - Wszyscy, którzy mieli uczestniczyć w Rajdach Wolności, byli doświadczeni bojownikami. Poza tym przechodzili specjalne szkolenie, jego program obejmował rodzaj psychodramy, w której wcielano się w różne role. - Biały facet udający brutala przeżywał mnie czarnuchem, popychał i szturchał, a potem wywlókł z sali za nogi. Pozwoliłem mu na to, chociaż mogłem jedną ręką wyrzucić go przez okno.

- Kto to był?

- Aktywista, bojownik o prawa obywatelskie.

- A więc to nie było naprawdę.

- Jasne, że nie. Grał swoją rolę.

- No dobrze - westchnęła Jacky. George wiedział, że myśli coś przeciwnego.

- Nic mi nie będzie, mam.

- Nie powiem już ani słowa. Zjesz te naleśniki?

- Spójrz na mnie - odparł George. - Mam moherowy garnitur, krótko ostrzyżone włosy i buty wyglansowane tak, że można się w nich przegłądać. - George sam z siebie ubierał się elegancko na co dzień, lecz uczestników Rajdów Wolności instruowano, że mają budzić szacunek swoją prezencją i ubiorem.

- Wyglądasz bardzo dobrze, tylko to kalafiorowate ucho. - George zniekształcił sobie prawe ucho za sprawą zapasów.

- Kto chciałby zrobić krzywdę takiemu miłemu kolorowemu chłopcu?

- Nawet sobie nie wyobrażasz... - zaczęła z nagłym gniewem Jacky. - Ci biali na Południu, oni... - George z przerażeniem zobaczył łzy w oczach matki. - Boże, tak bardzo się boję, że cię zabiją.

Wyciągnął rękę i ujął jej dłoń.

- Będę ostrożny, mam, przyrzekam.

Otarła twarz fartuchem. Chcąc zrobić jej przyjemność, George zjadł trochę bekonu, mimo że nie miał apetytu. Nie dawał tego po sobie znać, ale był zaniepokojony. Matka wcale nie przesadzała. Niektórzy aktywiści oponowali przeciwko Rajdom Wolności, argumentując, że prowokują do aktów przemocy.

- Spędzisz dużo czasu w tym autobusie - zauważyła.

- Przejazd stąd do Nowego Orleanu zajmie trzynaście dni. Codziennie wieczorem będziemy się zatrzymywać na zebrania i wiece.

- Co masz do czytania?

- Autobiografię Mahatmy Gandhiego.

George uważał, że powinien wiedzieć dużo o Gandhim, którego filozofia stała się inspiracją dla pokojowej, wolnej od przemocy działalności na rzecz praw obywatelskich.

Jacky wzięła książkę, która leżała na lodówce.

- Mam tutaj coś bardziej rozrywkowego. To bestseller.

Od zawsze dzielili się lekturami. Ojciec Jacky wykładał literaturę w college'u dla czarnoskórych studentów, toteż od dzieciństwa czytała książki. Kiedy George był mały, razem czytali książeczki z cyklu Bobbsey Twins i Hardy Boys, mimo że wszyscy

bohaterowie mieli białą skórę. Teraz regularnie wymieniali się przeczytanymi książkami. George spojrzął na tom w przezroczystej foliowej okładce świadczącej o tym, że został wypożyczony z biblioteki publicznej.

- Zabić drozda - przeczytał na głos. - Ta książka niedawno zdobyła Pulitzera, prawda?
- Miejsce akcji to Alabama, gdzie właśnie się wybierasz.
- Dzięki.

Kilka minut później George ucałował matkę na pożegnanie i z niewielką walizką w dłoni wyszedł z domu, by złapać autobus do Waszyngtonu. Wysiadł na dworcu linii Greyhound w śródmieściu. W kawiarni spotkała się grupka aktywistów ruchu praw obywatelskich. George znał niektórych ze szkolenia. Byli wśród nich czarni i biali, mężczyźni i kobiety, starzy i młodzi. Oprócz kilkunastu uczestników rajdu znaleźli się tam organizatorzy z Kongresu Równości Rasowej CORE, paru dziennikarzy z murzyńskiej prasy i ludzi popierających akcję. Postanowiono podzielić rajd na dwie grupy: połowa miała wyruszyć z dworca Trailways po przeciwnej stronie ulicy. Nigdzie nie było transparentów ani kamer telewizyjnych, wyjazd miał się odbyć bez rozgłosu, co należało uznać za dobry znak.

George przywitał się z Josephem Hugo, białym kolegą ze studiów, który miał lekko wyłupiaste niebieskie oczy. Wspólnie zorganizowali bojkot sieci jadalni Woolworth's w Cambridge w stanie Massachusetts, której placówki były w większości stanów zintegrowane, lecz na Południu, podobnie jak w autobusach, obowiązywała segregacja. Jednakże Joe zazwyczaj ulatniał się tuż przed konfrontacją i George wyrobił sobie o nim opinię jako o tchórze z dobrymi intencjami.

- Jedziesz z nami? - zapytał, starając się ukryć sceptycyzm.

Joe pokręcił głową.

- Przyszedłem tylko, żeby się pożegnać.

Palił długiego mentolowego papierosa z białym filtrem i nerwowym ruchem strzepywał popiół o krawędź blaszanej popielniczki.

- Szkoda. Ty jesteś z Południa, prawda?
- Z Birmingham w Alabamie.
- Będą nas wyzywali od nasłanych podżegaczy. Dobrze byłoby mieć w autobusie kogoś z Południa, wytrąciłibyśmy im argument z ręki.
- Nie mogę, mam parę spraw do załatwienia.

George nie naciskał, bo i on czuł obawę. Gdyby zaczęli rozmawiać o zagrożeniach, mógłby sam siebie zniechęcić. Rozejrzał się i ucieszył na widok Johna Lewisa, cichego, lecz zasługującego na podziw studenta teologii. John był jednym z założycieli Studenckiego

Komitetu Aktywizmu bez Przemocy, jednej z najbardziej radykalnych organizacji walczących o prawa obywatelskie.

Przewodniczący poprosił o uwagę i zaczął wygłaszać krótkie oświadczenie dla prasy. George zauważył, że do kawiarni wszedł wysoki biały mężczyzna w wieku czterdziestu lat, ubrany w pomięty lniany garnitur. Był przystojny, ale tęgi, miał lekko zaczerwienioną twarz pijaka. Wyglądał jak pasażer autobusu i nikt nie zwrócił na niego uwagi. Usiadł obok George'a, objął go ramieniem i lekko uściśnął.

Był to senator Greg Peshkov, jego ojciec.

Ich pokrewieństwo stanowiło tajemnicę poliszyneła, wiedziano o nim w Waszyngtonie, lecz nigdy jej publicznie nie potwierdzono. Greg nie był jedynym politykiem ukrywającym tego rodzaju tajemnicę. Senator Strom Thurmond opłacał edukację córki służącej, która pracowała w jego domu rodzinnym. Dziewczyna była podobno jego dzieckiem, co nie przeszkadzało Thurmondowi w pozostawaniu wściekłym segregacjonistą. Kiedy Greg pierwszy raz spotkał się z sześciolatkiem synem, który zupełnie go nie znał, kazał mu nazywać się wujkiem Gregiem, nie znaleźli później lepszego eufemizmu na określenie tego związku krwi.

Greg był egoistą i nie można było na niego liczyć, ale do pewnego stopnia troszczył się o syna. Jako nastolatek George długo żywił gniew wobec ojca, lecz w końcu pogodził się z sytuacją i zaakceptował go takim, jaki był. Uznał, że lepiej jest mieć ojca połowicznie niż nie mieć go wcale.

- George - odezwał się cicho Greg. - Martwię się.

- Nie tylko ty, mama także.

- Co powiedziała?

- Uważa, że rasiści z Południa wszystkich nas zabiją.

- Nie sądzę, by do tego doszło, ale możesz stracić posadę.

- Czy pan Renshaw coś o tym wspomniał?

- Cholera, nie, jeszcze nic nie wie. Ale szybko się dowie, jeśli cię aresztują.

Renshaw pochodził z Buffalo i był przyjacielem Grega z dzieciństwa, a obecnie starszym wspólnikiem w prestiżowej kancelarii prawniczej Fawcett Renshaw. Latem zeszłego roku Greg wystarał się dla syna o wakacyjną pracę biurową w firmie i zgodnie z ich nadziejami, staż zaowocował propozycją pełnego etatu po ukończeniu studiów. To było jak wygrana na loterii, gdyż George miał zostać pierwszym Murzynem, który otrzyma w kancelarii pracę inną niż sprzątanie.

- Rajd Wolności to nie jest łamanie prawa, nie jesteśmy wicherzycielami - tłumaczył

poirytowany George. - Działamy na rzecz egzekwowania tego, co zapisano w konstytucji, przestępcami są oni, zwolennicy segregacji. Adwokat taki jak Renshaw powinien to rozumieć.

- I rozumie, ale mimo to nie może zatrudnić kogoś, kto miał utarczki z policją. Wierz mi, gdybyś był biały, sytuacja wyglądałaby tak samo.

- Ale prawo jest po naszej stronie!

- Życie bywa niesprawiedliwe, twoje studenckie czasy dobiegły końca: witaj w prawdziwym świecie.

- Przygotujcie bilety i sprawdźcie bagaże! - zawołał szef grupy.

George wstał.

- Chyba ci tego nie wyperswaduję, prawda? - spytał Greg.

Miał tak smutną minę, że George zaprzagnął ulec jego namowom, nie mógł jednak tego zrobić.

- Nie, już postanowiłem.

- A więc proszę cię, żebyś zachował ostrożność.

George'a ogarnęło wzruszenie.

- Szczęściarz ze mnie, bo mam ludzi, którzy się o mnie martwią - rzekł. - Wiem o tym.

Greg uściśnął go za ramię i wyszedł niepostrzeżenie.

Jego syn ustawił się w kolejce i kupił bilet do Nowego Orleanu. Podszedł do granatowo-szarego autobusu i podał bagaż, który został umieszczony w luku. Na boku pojazdu namalowany był duży chart oraz hasło reklamowe: „Jak dobrze jest rozsiaść się w autobusie... A my nim pokierujemy”. George wsiadł.

Szef rajdu skierował go do miejsca w przedniej części. Pozostali mieli dobrać się tak, by biali siedzieli obok czarnych. Kierowca nie zwrócił uwagi na grupę, zwykli pasażerowie okazali niewielkie zainteresowanie. George otworzył książkę, którą dostał od matki, i przeczytał pierwszą linijkę.

Po chwili lider skierował do George'a jedną z kobiet. Zadowolony George powitał ją skinieniem głowy. Spotkali się kilkakrotnie i polubił ją. Nazywała się Maria Summers i była ubrana w skromną jasnoszarą sukienkę z bawełny z dekoltem pod szyję. Miała skórę w głębokim ciemnym odcieniu podobną do skóry matki George'a, ładny płaski nosek i usta, które nasuwały myśl o pocałunku. Wiedział, że studiuje na wydziale prawa w Chicago i tak samo jak on jest na ostatnim roku, prawdopodobnie byli więc rówieśnikami. Domyślał się, że jest nie tylko inteligentna, ale także zdeterminowana, inaczej nie dostałaby się na uczelnię, ponieważ przeciwko niej przemawiały zarówno kolor skóry, jak i płeć.

George zamknął lekturę, gdy kierowca uruchomił silnik i autobus ruszył z miejsca. Maria spojrzała na okładkę książki.

- Zabić drozda. Latem ubiegłego roku byłam w Montgomery w Alabamie.

Montgomery było stolicą stanu.

- Co tam porabiałaś? - zainteresował się George.

- Ojciec jest adwokatem, jego klient pozwał władze stanowe. W wakacje pomagałam tacie w pracy.

- Wygraliście sprawę?

- Nie. Ale zdaje się, że przeszkadzam ci w lekturze.

- Chyba żartujesz. Poczytać mogę zawsze, a nieczęsto zdarza się, żeby taka ładna dziewczyna usiadła obok faceta.

- Ojej. Ostrzegano mnie, że umiesz słodko gadać.

- Zdradzę ci mój sekret, jeśli chcesz.

- No, słucham.

- Jestem szczery.

Roześmiała się.

- Tylko tego nie rozpowiadaj - poprosił George. - Zrzuńnowałabyś mi opinię.

Autobus przejechał nad Potomakiem i znalazł się w Wirginii na drodze numer jeden.

- Jesteś teraz na Południu - oznajmiła Maria. - Masz już stracha?

- No jasne.

- Ja też.

Trasa wiodła prosto jak strzelił przez ciągnący się na wiele kilometrów las o barwie wiosennej zieleni. Mijali miasteczka, w których mężczyźni nie mieli nic lepszego do roboty, toteż zatrzymywali się, by popatrzeć na sunący autobus. George rzadko wyglądał przez okno. Dowiedział się, że Maria wychowała się w bardzo religijnej rodzinie, jej dziadek był kaznodzieją. On zaś zdradził, że do kościoła chodzi głównie po to, by sprawić przyjemność matce, wtedy Maria wyznała, że z nią jest tak samo. Przegadali całą drogę do Fredericksburga, czyli osiemdziesiąt kilometrów.

Uczestnicy rajdu zamilkli, gdy autobus wjechał do małego historycznego miasteczka, w którym wciąż utrzymywała się supremacja białych. Dworzec linii Greyhound znajdował się między dwoma kościołami z czerwonej cegły i z białymi drzwiami. Wiara chrześcijańska na Południu niekoniecznie stanowiła dobry sygnał. Autobus zatrzymał się i George ze zdziwieniem zobaczył, że na drzwiach poczekalni nie wiszą tabliczki z napisami „Tylko dla białych” i „Tylko dla kolorowych”.

Pasażerowie wysiedli z autobusu i stali, mrużąc oczy w słońcu. George przyjrzał się drzwiom dokładniej i zauważył jaśniejsze plamy: zapewne tabliczki segregacyjne zostały zdjęte całkiem niedawno.

Aktywiści i tak postanowili zrealizować plan. Biały uczestnik rajdu wszedł do brudnej toalety na tyłach, najwyraźniej przeznaczonej dla Murzynów. Nic mu się nie stało, lecz to była łatwiejsza część zadania. George zgłosił się na ochotnika, by rzucić wyzwanie regulaminowi jako czarny.

- No to jazda - rzekł do Marii i wszedł do czystej, świeżo wymalowanej toalety, z której bez wątpienia dopiero co usunięto tabliczkę „Tylko dla białych”.

Młody biały mężczyzna cesał swoją bujną fryzurę. Zerknął w lusterku na George'a, ale się nie odezwał. George był zbyt przestraszony, by się wysikać, nie mógł jednak tak po prostu wyjść, więc umył ręce. Tamten także wszedł, lecz pojawił się inny, starszy, i wszedł do boks. George wytarł ręce w papierowy ręcznik. Nie było nic więcej do zrobienia, więc opuścił toaletę.

Czekała na niego reszta aktywistów. Wzruszył ramionami.

- Nic się nie stało. Nikt mnie nie zatrzymywał, nikt nic nie mówił.

- Poprosiłam o colę przy ladzie i kelnerka mnie obsłużyła - oznajmiła Maria. - Wydaje mi się, że ktoś podjął tutaj decyzję, by unikać kłopotów.

- Czy tak pozostanie aż do samego Nowego Orleanu? - zastanawiał się głośno George. - Będą się zachowywali tak, jakby nic się nie stało? A później, kiedy odjedziemy, znowu narzucą segregację? W ten sposób stracimy grunt pod nogami!

- Nie martw się - odparła Maria. - Poznałam tych, którzy rządzą w Alabamie. Uwierz mi, nie są tacy bystrzy.

### ROZDZIAŁ 3

Walli Franck grał na fortepianie w pokoju na górze. Ojciec Wallego dbał o to, żeby pełnowymiarowy instrument Steinwaya był nastrojony, tak by babcia Maud mogła go używać. Walli usiłował sobie przypomnieć akordy piosenki Elvisa Presleya *A Mess of Blues*. Były w tonacji C, co ułatwiało sprawę.

Babcia czytała nekrologi w „Berliner Zeitung”. Siedemdziesięcioletnia dama była szczupła i trzymała się prosto, miała na sobie granatową sukienkę z kaszmiru.

- Dobrze sobie radzisz z tą muzyką - stwierdziła, nie odrywając wzroku od gazety. - Masz mój słuch i moje zielone oczy. Dziadek Walter, po którym odziedziczyłeś imię, nigdy nie umiał grać ragtime'u, pokój jego duszy. Chciałam go nauczyć, ale to było beznadziejne.

- Ty grałaś ragtime? - zapytał zdziwiony Walli. - Zawsze słyszałem, jak grasz klasykę i nic poza tym.

- Ragtime ocalił nas od głodu, kiedy twoja mama była malutka. Po pierwszej wojnie światowej grywałam w klubie Nachtleben, tu, w Berlinie. Zarabiałam miliardy marek za wieczór i ledwo starczało na chleb. Ale czasem trafił się napiwek w obcej walucie i przez tydzień można było przeżyć za dwa dolary.

- O rany. - Nie wyobrażał sobie, by jego babcia o srebrnych włosach grała na fortepianie za napiwki w nocnym klubie.

Do pokoju weszła siostra Wallego. Była prawie o trzy lata młodsza i od pewnego czasu nie wiedział, jak się do niej odnosić. Odkąd pamiętał, stanowiła utrapienie niczym młodszy brat, tyle że głupszy. Jednak ostatnio nabrała rozumu, a sprawy skomplikowały się jeszcze bardziej, bo niektórym z jej koleżanek urosły piersi.

Odwrócił się od fortepianu i wziął gitarę, którą przed rokiem kupił w lombardzie w Berlinie Zachodnim. Pewnie jakiś amerykański żołnierz zastawił ją za pożyczkę, której nie spłacił. Producent nazywał się Martin i choć instrument nie kosztował dużo, zdaniem Wallego był bardzo dobry. Podejrzywał, że ani właściciel lombardu, ani żołnierz nie zdawali sobie sprawy z jego wartości.

- Posłuchaj tego - rzekł do Lili i zaczął śpiewać pochodzącą z Bahamów melodię *All My Trials* z angielskim tekstem. Usłyszał ją w zachodniej stacji radiowej, cieszyła się popularnością wśród amerykańskich grup folkowych. Molowe akordy nadawały jej melancholijny charakter, Walli był zadowolony z tęsknie brzmiących szarpnięć strun, które sam opracował.



Kiedy skończył, babcia Maud uniosła głowę znad gazety i oznajmiła po angielsku:

- Twój akcent jest absolutnie koszmarny, dziecko drogie.

- Sorry.

- Ale zaśpiewałeś ładnie - pochwaliła Maud, wróciwszy do niemieckiego.

- Dziękuję. - Walli spojrział na Lili. - A ty co sądzisz o tym kawałku?

- Ciut ponury. Może bardziej mi się spodoba, kiedy usłyszę go więcej razy.

- To kiepsko. Chcę go dzisiaj zagrać w Minnesänger. - Był to klub miłośników muzyki folkowej niedaleko Kurfürstendamm w Berlinie Zachodnim. Nazwa oznaczała trubadura.

Lili to zaimponowało.

- Wystąpisz w Minnesänger?

- To wyjątkowy wieczór. Organizują konkurs, każdy może zagrać. Zwycięzca dostanie szansę regularnego koncertowania.

- Nie wiedziałam, że w klubach są takie imprezy.

- Zwykle ich nie ma. To wyjątek.

- A nie trzeba być starszym, żeby chodzić do takich lokali? - zaintrygowała się babcia.

- Owszem, ale ja już tam bywałem.

- Walli wygląda na starszego, niż jest - dodała jego siostra.

- Hm.

- Nigdy nie śpiewałeś przed publicznością - zauważyła Lili. - Masz tremę?

- No jasne.

- Powinieneś zagrać coś weselszego.

- Pewnie tak.

- Może *This Land is Your Land*? Bardzo to lubię.

Walli zagrał, a Lili śpiewała razem z nim.

Weszła ich starsza siostra Rebecca. Walli ją ubóstwiał. Po wojnie, kiedy rodzice harowali ze wszystkich sił, by wyżywić rodzinę, Rebecca często opiekowała się młodszym rodzeństwem. Była jak druga matka, ale nie tak surowa.

I miała ikrę! Podziwiał ją, kiedy wyrzuciła przez okno zapalczaną makietę budowaną przez męża, uważał, że to było niesamowite. Walli nigdy nie darzył sympatią Hansa, w skrytości ducha cieszył się, że już go nie ma.

Wszyscy sąsiedzi paplali o tym, że Rebecca nieświadomie wyszła za oficera Stasi. Walli zyskał dzięki temu sławę w szkole, do tej pory nikt nie sądził, by rodzina Francków zasługiwała na uwagę. Zwłaszcza dziewczęta uznały to za fascynujące, że przez niemal rok tajna policja wiedziała o wszystkim, co działo się w jego domu.

Rebecca była siostrą Wallego, lecz mimo to podziwiał jej urodę. Miała cudowną figurę oraz śliczną twarz, w której były i łagodność, i siła. Teraz jednak zauważył, że siostra wygląda jak osoba pogrążona w żałobie. Przeszedł grać.

- Co się stało?

- Wyrzucono mnie z pracy - odparła Rebecca.

Babcia Maud odłożyła gazetę.

- To jakiś obłąd! - oburzył się Walli. - Chłopaki z twojej szkoły mówią, że jesteś najlepszą nauczycielką!

- Wiem.

- Dlaczego cię wylali?

- Wydaje mi się, że to zemsta Hansa.

Walli przypomniał sobie jego słowa po tym, jak tysiące zapalek rozprysło się wśród kropel deszczu na chodniku. „Pożałujesz tego”, ryknął, spoglądając w górę. Walli uznał to za błąd, lecz gdyby się chwilę zastanowił, doszedłby do wniosku, że agent tajnej policji ma możliwość wprowadzenia groźby w czyn. „Ty i twoja rodzina”, wrzeszczał tajniak. Walli zdrzął, uświadomiwszy sobie, że przekleństwo objęło także jego.

- Czy szkole nie doskwiera brak nauczycieli? - dociekała babcia Maud.

- Bernd Held miota się z rozpaczy - odparła Rebecca - ale dostał polecenie z góry.

- I co teraz poczniesz? - chciała wiedzieć Lili.

- Znajdę sobie inną pracę, to nie powinno być trudne. Bernd wystawił mi wzorową opinię. Nauczycieli brakuje w każdej szkole w Niemczech Wschodnich, bo wielu przeniosło się na Zachód.

- Ty też powinnaś - stwierdziła Lili.

- Wszyscy powinniśmy - poparł ją Walli.

- Mama się nie zgodzi, przecież wiecie - przypomniała Rebecca. - Mówi, że problemy powinno się rozwiązywać, a nie przed nimi uciekać.

W drzwiach stanął ojciec Wallego ubrany w granatowy garnitur i kamizelkę. Prezentował się po staroświecku, lecz elegancko.

- Dobry wieczór, mój drogi - rzekła Maud. - Rebecca powinna się czegoś napić, zwolniono ją z pracy. - Babcia często sugerowała, że ktoś potrzebuje drinka. Wtedy sama także korzystała z okazji.

- Wiem o tym - odparł krótko. - Rozmawiałem z nią.

Musiał być w złym humorze, skoro odezwał się tak niegrzecznie do teściowej, którą kochał i podziwiał. Walli nie odgadł, co wyprowadziło starego z równowagi.

Niebawem się dowiedział.

- Chodźmy do gabinetu, Walli, chcę zamienić z tobą słowo. - Przeszedł podwójnymi drzwiami do mniejszego pokoju, z którego uczynił swój gabinet. Walli podążył za nim. Ojciec usiadł przy biurku, syn wiedział, że ma stać. - Miesiąc temu rozmawialiśmy o paleniu papierosów.

Wallego opadło poczucie winy. Zaczął palić, żeby pozować na starszego. Polubił to i teraz palił z przyzwyczajenia.

- Przysiękłeś, że rzucisz - wypomniał mu ojciec.

Zdaniem Wallego ojca nie powinno obchodzić, czy syn pali, czy nie.

- Rzuciłeś?

- Tak - zełgał Walli.

- Nie wiesz, że papierosy cuchną?

- Chyba wiem.

- Wyczułem je, gdy tylko wszedłem do mieszkania.

Teraz Wallemu zrobiło się głupio. Został przyłapany na dzieciennym kłamstwie. To nie nastroiło go życzliwiej do ojca.

- Dlatego wiem, że nie rzuciłeś.

- W takim razie po co pytałeś? - Walli wychwycił nieprzyjemną nutę irytacji w swoim głosie.

- Miałem nadzieję, że odpowiesz zgodnie z prawdą.

- Miałeś nadzieję mnie przyłapać.

- Możesz tak myśleć, jeśli chcesz. Pewnie masz teraz paczkę w kieszeni.

- Owszem.

- Połóż ją na biurku.

Walli wyjął z kieszeni paczkę papierosów i gniewnie cisnął na blat. Ojciec wziął ją i mimochodem wrzucił do szuflady. Były to papierosy Lucky Strike, a nie nędzne wschodnioniemieckie f6, niemal pełna paczka.

- Przez cały miesiąc nie wyjdiesz z domu wieczorem - zawyrokował ojciec. - Przynajmniej nie będziesz przesiadywał w barach, w których gra się na banjo i bez przerwy ćmi papierosy.

Wallego ścisnęło w żołądku ze strachu. Ledwie zdołał zachować spokój i rozsądek.

- Nie na banjo, tylko na gitarze. I nie mogę nie wychodzić przez cały miesiąc.

- Dość tych głupstw. Będzie tak, jak mówię.

- Zgoda - rzekł zdesperowany Walli. - Ale nie od dzisiaj.

- Od teraz.

- Dziś wieczorem muszę iść do klubu Minnesänger.

- Właśnie od takich lokali masz się trzymać z daleka.

Stary jest niemożliwy! - pomyślał Walli.

- Nie wyjdę przez miesiąc od jutra, zgoda?

- Kwarantanna nie może być dostosowana do twoich planów, ponieważ mijałaby się z celem. Ma być dla ciebie niewygodna.

Ojciec był w takim nastroju, że trudno było mu cokolwiek wyperswadować, lecz przyparty do muru Walli mimo to podjął próbę.

- Nie rozumiesz! Dzisiaj w klubie mam wziąć udział w konkursie, to wyjątkowa szansa.

- A ja nie zamierzam odkładać twojej kary, żebyś mógł sobie pograć na banjo!

- To jest gitara, ty stary idioto! Gitara! - wrzasnął Walli i wybiegł z pokoju.

Trzy kobiety w sąsiednim pomieszczeniu wszystko słyszały i teraz patrzyły na niego.

- Och, Walli... - odezwała się Rebecca.

Jej brat wziął gitarę i wyszedł.

Zszedł na dół bez żadnego planu, powodowany jedynie gniewem. Kiedy jednak ujrzał frontowe drzwi, wiedział już, co dalej robić. Z instrumentem w dłoni wybiegł z domu i trzasnął drzwiami tak mocno, że zatrzęsł się cały dom.

Okno na piętrze się otworzyło.

- Wracaj, słyszysz? Wracaj w tej chwili, bo pożałujesz.

Walli nie zwolnił kroku.

Z początku był zły, lecz później poczuł uniesienie. Postawił się ojcu, a nawet nazwał go starym idiotą! Maszerował dziarskim krokiem w kierunku zachodnim. Wkrótce jednak euforia opadła i jał zastanawiać się nad konsekwencjami. Ojciec nie lekceważył nieposłuszeństwa. Miał władzę nad dziećmi i pracownikami i oczekiwał, że będą spełniali jego polecenia. Ale co może zrobić? Walli od dwóch lub trzech lat był za duży na klapsy. Dzisiaj ojciec usiłował zatrzymać go w domu niczym w więzieniu, lecz zamiar się nie powiódł. Czasami straszył, że wypisze go ze szkoły i każe u siebie pracować, Walli jednak uważał, że to pusta groźba: ojciec nie czułby się komfortowo ze świadomością, że niesubordynowany nastolatek snuje się po jego drogocennej fabryce. Mimo to chłopak miał przecucie, że stary zdoła coś wykombinować.

Ulica, którą szedł, prowadziła do Berlina Zachodniego, który zaczynał się za skrzyżowaniem. Na rogu sterczało leniwie trzech Vopo, czyli wschodniemieckich gliniarzy. Mieli prawo zaczepić każdego, kto przekraczał niewidzialną granicę. Nie mogli

nagabywać wszystkich, gdyż codziennie przekraczały ją tysiące ludzi, wśród nich wielu Grenzgänger, jak nazywali się berlińczycy ze Wschodu pracujący w zachodniej części miasta za wysokie pensje wypłacane w wartościowych markach zachodnich. Ojciec Wallego był jednym z nich, jakkolwiek pracował dla dochodu, a nie za pensję. Walli przekraczał granicę co najmniej raz w tygodniu, zwykle po to, by chodzić z kolegami do kin w Berlinie Zachodnim. Można w nich było oglądać wciągające amerykańskie filmy pełne przemocy, o wiele ciekawsze niż propagandowe bajeczki wyświetlane w komunistycznych kinach.

W praktyce Vopo zatrzymywali każdego, kto zwrócił ich uwagę. Jeśli granicę przekraczała cała rodzina z dziećmi, było prawie pewne, że zostanie zatrzymana, zwłaszcza jeśli niosła bagaże, podejrzewano bowiem, że tacy ludzie zamierzają na stałe pożegnać Berlin Wschodni. Policjanci lubowali się także w nękanii nastolatków, szczególnie tych ubranych według zachodniej mody. Wielu chłopaków z Berlina Wschodniego należało do szajek występujących przeciwko establishmentowi, nosiły one nazwy takie jak Texas Gang, Jeans Gang, Elvis Presley Appreciation Society i tym podobne. Nienawidzili policji, a policja odwzajemniała im się tym samym.

Walli miał na sobie czarne spodnie, białą koszulkę i brązową kurtkę. Wyglądał fajnie, tak w każdym razie sądził, trochę jak James Dean, ale nie jak członek gangu. Jednakże gitara mogła ściągnąć na niego uwagę gliniarzy. Stanowiła ona skrajny symbol tego, co określano mianem „amerykańskiej antykultury” i uważano za coś jeszcze gorszego niż komiksy o Supermanie.

Przebiegł ulicę, starając się nie spoglądać w stronę Vopo. Mimo to kątem oka zauważył, że jeden z policjantów mu się przygląda. Ale nie padło ani jedno słowo i Walli wkroczył na terytorium wolnego świata.

Wsiadł do tramwaju obok południowego końca parku. Jego zdaniem najlepsze w Berlinie Zachodnim było to, że wszystkie dziewczęta nosiły pończochy.

Dotarł do klubu Minnesänger mieszczącego się w suterenie przy uliczce odchodzącej od Ku'damm, serwowano w nim cienkie piwo i bułki z parówką. Przyszedł wcześniej, lecz lokal już się zapełniał. Zagadnął młodego właściciela klubu Danniego Hausmanna i wpisał się na listę uczestników konkursu. Kupił sobie piwo i nikt nie zapytał go o wiek. W klubie było wielu podobnych do niego chłopaków z gitarami, niewiele mniej dziewczyn oraz parę starszych osób.

Godzinę później zaczął się konkurs. Każdy uczestnik wykonywał dwie piosenki. Niektórzy byli beznadziejni, potrafili wybrzdąkać jedynie najprostsze akordy, lecz było też kilku bardziej zaawansowanych od Wallego. Wykonawcy w większości przypominali

wyglądem amerykańskich artystów, których utwory starali się naśladować. Trzech ubranych jak Kingston Trio odśpiewało piosenkę *Tom Dooley*, a dziewczyna z długimi czarnymi włosami, akompaniująca sobie na gitarze, wykonała *Dom Wschodzącego Słońca* całkiem jak Joan Baez. Nagrodzono ją głośnymi brawami i aplauzem.

Dwaj starsi mężczyźni ubrani w sztruksy wstali i zaśpiewali piosenkę o uprawie roli zatytułowaną *Im Märzen der Bauer* do akompaniamentu akordeonu. Była to muzyka folkowa, lecz nie takiej pragnęła widownia. Dostali podszyte ironią oklaski, byli niedzisiejsi.

Walli z niecierpliwością czekał na swoją kolej, gdy nagle podeszła do niego ładna dziewczyna. Często mu się to zdarzało. Sądził, że ma nietypową twarz z wydatnymi kośćmi policzkowymi i oczami w kształcie migdałów, trochę jak u Japończyka, lecz wiele dziewcząt uważało, że jest atrakcyjny. Ta, która podeszła teraz do niego, wyglądała na starszą o rok lub dwa i przedstawiła się jako Karolin. Jej owalną twarz okalały długie proste włosy z przedziałkiem pośrodku. W pierwszej chwili pomyślał, że jest taka sama jak wszystkie inne wielbicielki muzyki folkowej, miała jednak szeroki uśmiech, który przyprawił go o drżenie serca.

- Chciałam wziąć udział w konkursie razem z bratem, który gra na gitarze, ale puścił mnie kantem - oznajmiła. - Nie miałbyś ochoty ze mną wystąpić?

Walli w pierwszym odruchu zamierzał odmówić. W jego repertuarze nie było piosenek do śpiewania w duecie. Jednak Karolin była czarująca i pragnął dalej z nią rozmawiać.

- Musielibyśmy zrobić próbę - odrzekł z wahaniem.
- Możemy wyjść na zewnątrz. Jakie piosenki miałeś w planie?
- *All My Trials*, a później *This Land is Your Land*.
- A co byś powiedział na *Noch Einen Tanz*?

Walli nie miał tego utworu w repertuarze, ale go znał, poza tym melodia była łatwa do zagrania.

- Nie myślałem, że wykonam taki żartobliwy numer.
- Publiczności się spodoba. Zaśpiewałbyś partię męską, w której on każe jej iść do domu do chorego męża, wtedy ja włączę się z jeszcze jeden taniec, a ostatni wers odśpiewamy wspólnie.
- No to spróbujmy.

Wyszli na dwór, był początek lata i jeszcze się nie ściemniło. Usiedli na progu i zaśpiewali. Ich głosy dobrze współbrzmiały. Ostatnie słowa Walli zaśpiewał drugim głosem, improwizując.

Karolin miała czysty kontralt, który zdaniem Wallego mógł brzmieć przejmująco,

zapropował, by dla kontrastu druga piosenka była smutna. Dziewczyna odrzuciła *All My Trials*, twierdząc, że jest zbyt dołujący, ale spodobał jej się wolny utwór w stylu spirituals zatytułowany *Nobody's Fault but Mine*. Kiedy go śpiewali, Wallemu zjeżyły się włoski na karku.

Jakiś amerykański żołnierz wchodził akurat do klubu.

- Boże drogi, toż to Bobbsey Twins - odezwał się po angielsku.

Karolin parsknęła śmiechem.

- Zdaje się, że jesteśmy podobni, te jasne włosy i zielone oczy - powiedziała do Wallego. - Kim są Bobbsey Twins?

Walli nie dostrzegł koloru jej tęczywek, ale pochlebiło mu, że ona zwróciła uwagę na jego oczy.

- Nigdy o nich nie słyszałem - odparł.

- Tak czy owak, to dobra nazwa dla duetu. Coś jak Everly Brothers.

- Potrzebna jest nam nazwa?

- Będzie potrzebna, jeśli wygramy.

- No dobra, wracajmy. Pewnie zbliża się nasza kolej.

- Jeszcze jedno - rzuciła Karolin. - Podczas śpiewania *Noch Einen Tanz* powinniśmy co jakiś czas spoglądać na siebie i się uśmiechać.

- Okay.

- Prawie tak, jakbyśmy byli parą, wiesz? To dobrze wypadnie na scenie.

- Jasne. - Walli pomyślał, że nietrudno mu będzie uśmiechać się do Karolin, jak gdyby była jego dziewczyną.

Na scenie wykonawczynie o jasnych włosach przygrywała sobie na gitarze i śpiewała *Freight Train*. Nie była tak ładna jak Karolin, lecz jej uroda bardziej rzucała się w oczy. Później jakiś świetny gitarzysta zagrał trudnego bluesa wymagającego wielkiej zręczności palców. A potem Danni Hausmann wywołał nazwisko Wallego.

Ten zdenerwował się, stanąwszy twarzą do publiczności. Większość gitarzystów miała instrumenty z ozdobnymi skórzanymi paskami, jednak Walli nigdy nie zaprzętał sobie tym głowy i gitara wisiała na jego szyi na sznurku. Nagle pożałował, że nie ma paska.

- Dobry wieczór, jesteście Bobbsey Twins - rzekła Karolin.

Walli trącił struny i zaczął śpiewać, brak paska przestał mieć znaczenie. Piosenka była na melodię walca, Walli grał ją zadziornie. Karolin udawała rozwiązłą, Walli zaś wystąpił w roli surowego pruskiego podoficera.

Słuchacze zanosili się śmiechem.

Wtedy w Wallim zaszła przemiana. W kawiarni było około setki ludzi, którzy nagradzali wykonawców wybuchami wesołości, lecz on poczuł coś, czego do tej pory nie znał. To było jak pierwsze sztachnięcie się papierosem.

Publiczność zaśmiała się jeszcze kilka razy, a na koniec nastąpiły rzęsiste brawa.

Wallemu spodobało się to jeszcze bardziej.

- Polubili nas - szepnęła z radością Karolin.

Walli zaczął grać *Nobody's Fault but Mine*, szarpiąc struny paznokciami dla spotęgowania efektu melancholijnie brzmiących akordów septymowych. Widownia ucichła. Karolin zamieniła się teraz w upadłą kobietę pogrążoną w rozpacz. Walli obserwował słuchaczy, wszyscy milczeli. Jakaś kobieta miała łzy w oczach, przemknęło mu przez myśl, że być może doświadczyła tego, o czym śpiewa Karolin.

Pełna skupienia cisza brzmiała jeszcze przyjemniej niż śmiech.

Na koniec publiczność nagrodziła wykonawców głośnymi oklaskami i domagała się kolejnych piosenek.

Zgodnie z zasadami konkursu każdy uczestnik miał wykonać dwa numery, toteż Walli i Karolin zeszli ze sceny, ignorując okrzyki słuchaczy, lecz Hausmann kazał im na nią wrócić. Nie przeciwiczyli trzeciej piosenki i teraz patrzyli na siebie z przestraczem.

- Znasz *This Land is Your Land*? - spytał Walli. Dziewczyna pokiwała głową.

Widownia przyłączyła się do wykonawców i Karolin zaśpiewała głośnie. Walli był zaskoczony siłą jej głosu. Zaśpiewał wyżej i ich głosy wzniosły się ponad chór słuchaczy.

Schodząc ze sceny, czuł uniesienie, oczy Karolin błyszczały.

- Naprawdę dobrze nam poszło! - oznajmiła. - Jesteś lepszy od mojego brata.

- Masz fajki? - zapytał Walli.

Konkurs trwał jeszcze godzinę, a oni siedzieli i palili papierosy.

- Moim zdaniem byliśmy najlepsi - stwierdził Walli.

Karolin była ostrożniejsza w sądach.

- Spodobała im się ta jasnowłosa dziewczyna, która zaśpiewała *Freight Train*.

Ogłoszono werdykt.

Duet Bobbsey Twins zajął drugie miejsce.

Wygrała naśladowczyni Joan Baez.

Rozzłościło to Wallego.

- Nie umiała grać! - orzekł.

Karolin podeszła do sprawy ze stoickim spokojem:

- Ludzie kochają Joan Baez.



Lokal zaczął pustoszeć, Walli i Karolin skierowali się do wyjścia. Wallego ogarnęło przygnębienie. Kiedy wychodzili, zagadnął ich Danni Hausmann. Dwudziestokilkuletni właściciel klubu ubierał się nowocześnie i swobodnie, miał na sobie czarny golf i dżinsy.

- Zagrałibyście półgodzinny koncert w przyszły poniedziałek? - zaproponował.

Walli był tak zaskoczony, że nie odpowiedział, lecz Karolin zareagowała błyskawicznie.

- No pewnie!

- Ale konkurs wygrała ta dziewczyna udająca Joan Baez - odezwał się Walli, zanim zdążył się ugryźć w język.

- Mam wrażenie, że potraficie bawić publikę dłużej, niż trwa jedna czy dwie piosenki - stwierdził Danni. - Macie tyle utworów, żeby wystarczyło na mały koncert?

Walli ponownie się zawahał, lecz Karolin odpowiedziała za niego:

- Do poniedziałku będziemy mieli.

Walli przypomniał sobie, że zgodnie z zapowiedzią ojca przez miesiąc nie będzie mógł wieczorem wyjść z domu, ale postanowił o tym nie mówić.

- Dzięki - rzucił Danni. - Zagrać wcześniej, o wpół do dziewiątej. Bądźcie o dziewiętnastej trzydzieści.

Niesieni radością wyszli na oświetloną latarniami ulicę. Walli nie wiedział, jak poradzi sobie z ojcem, lecz optymistycznie zakładał, że wszystko się jakoś ułoży.

Okazało się, że Karolin także mieszka w Berlinie Wschodnim. Wsiedli do autobusu i zaczęli rozmawiać o repertuarze na przyszły tydzień. Znali całe mnóstwo piosenek w stylu folk.

Wysiedli i ruszyli w głąb parku. Karolin ściągnęła brwi.

- Ten facet za nami.

Walli obejrzał się. W odległości jakichś trzydziestu lub czterdziestu metrów zobaczył mężczyznę w czapce, który szedł za nimi, paląc papierosa.

- Co chcesz powiedzieć?

- Czy on aby nie był w klubie?

Walli popatrzył nieznajomemu prosto w oczy, lecz ten odwrócił wzrok.

- Nie wydaje mi się. Lubisz Everly Brothers?

- Tak!

Szli dalej, a Walli zaczął śpiewać *All I Have to Do is Dream*, przygrywając sobie na gitarze wiszącej na sznurku na jego szyi. Karolin ochoczo się przyłączyła. Śpiewali, przemierzając park. Później Walli zagrał *Back in the USA* Chucka Berry'ego.

Wyśpiewywali głośno refren ciesząc się, że mieszkam w USA, kiedy Karolin nagle się zatrzymała.

- Ciii!

Walli uświadomił sobie, że doszli do granicy. Pod latarnią stało trzech Vopo i mierzyło ich wrogim spojrzeniem.

Zamilkł momentalnie i miał nadzieję, że zdążyli w porę.

Jeden z gliniarzy, sierżant, spojrzął za plecy Wallego. Chłopak obejrzał się i zobaczył, że nieznajomy w czapce krótko skinał głową. Sierżant podszedł do Wallego i Karolin.

- Dokumenty. - Mężczyzna w czapce powiedział coś do krótkofalówki.

Walli zmarszczył czoło. A więc Karolin miała rację: ktoś ich śledził.

Przyszło mu na myśl, że to sprawka Hansa.

Czy to możliwe, by był aż taki małostkowy i mściwy?

Jak najbardziej.

Sierżant spojrzął na legitymację Wallego.

- Masz dopiero piętnaście lat, nie powinieneś być o tej godzinie poza domem.

Walli zacisnął zęby, spieranie się z policjantami nie miało sensu.

Sierżant popatrzył na legitymację Karolin.

- A ty masz siedemnaście! Co robisz z tym dzieciakiem?

Walli przypomniał sobie kłótnię z ojcem.

- Nie jestem dzieckiem - rzucił ze złością.

Policjant puścił to mimo uszu.

- Mogłabyś chodzić ze mną, jestem prawdziwy chłop - oznajmił. Dwaj koledzy zarechotali z aprobatą.

Karolin milczała, lecz Vopo nie dawał za wygraną:

- No co ty na to?

- Chyba ci odbiło - odparła cicho Karolin.

Policjant poczuł się dotknięty.

- To było niegrzeczne.

Walli zauważył, że niektórzy mężczyźni, słysząc odmowę od dziewczyny, reagowali oburzeniem, lecz każdą inną reakcją traktowali niczym zachętę. Jak kobieta miała się zachować?

- Proszę mi oddać legitymację - powiedziała Karolin.

- Jesteś dziewczyną? - zapytał sierżant.

Zarumieniła się.

Policjanci znów zarechotali.

- Kobiety powinny mieć informacje w dowodach tożsamości - kontynuował sierżant. -  
Dziewica czy nie.

- Przestań - rzekł Walli.

- Łagodnie obchodzę się z dziewczycami.

Walli gotował się w środku.

- Mundur nie daje ci prawa dręczenia dziewcząt!

- Naprawdę? - mruknął sierżant, wciąż ściskając w dłoni ich legitymacje.

Nadjechał brązowy trabant 500 i wysiadł z niego Hans Hoffmann. Wallego ogarnął lęk.  
Dlaczego go tak dręczą? Przecież tylko śpiewał piosenki w parku.

Hans zbliżył się do grupki.

- Pokaż mi to, co masz na szyi.

- Dlaczego? - odparł Walli, zbierając się na odwagę.

- Bo podejrzewam, że wykorzystujesz to do szmuglowania kapitalistyczno-  
imperialistycznej propagandy na terytorium Niemieckiej Republiki Demokratycznej. Dawaj.

Gitara była dla Wallego rzeczą tak cenną, że mimo lęku nie posłuchał.

- A jeśli jej nie dam? Aresztujecie mnie?

Sierżant potarł prawą dłonią knykcie lewej.

- Tak, później cię aresztujemy - potwierdził Hans.

Odwaga Wallego się wyczerpała. Zdjął sznurek z szyi i podał Hansowi instrument.

Tajniak ujął gitarę tak, jakby chciał na niej zagrać, a potem zaśpiewał po angielsku:

- Jesteś tylko psem gończym, niczym więcej. - Vopo parsknęli histerycznym śmiechem.

Wyglądało na to, że nawet oni słuchali stacji z muzyką pop.

Hans wsunął dłoń pod struny i zaczął macać w otworze akustycznym.

- Uważaj! - powiedział chłopak.

Najwyższa struna E pękła z piskliwym brzękiem.

- To delikatny instrument! - ostrzegł z rozpaczą w głosie Walli.

Struny ograniczały zasięg palców Hansa.

- Ktoś ma nóż?

Sierżant sięgnął do kieszeni marynarki i wyjął nóż z szerokim ostrzem, Walli był  
pewien, że nie należy on do standardowego wyposażenia.

Hans usiłował przeciąć struny, lecz okazały się twardsze, niż przypuszczał. Zdołał  
zerwać struny H i G, lecz grubszych nie udawało mu się przepiłować.

- Tam nic nie ma - błagał Walli. - Przecież czujesz po ciężarze.

Tajniak spojrział na niego, uśmiechnął się i mocno wbił ostrze w pudło rezonansowe obok podstawka.

Klinga przeszła przez drewno, Walli aż krzyknął z bólu.

Uradowany jego reakcją Hans powtórzył ruch, wybijając dziury w gitarze. Powierzchnia osłabła, napięte struny pociągnęły podstawek i otaczające go drewno, odrywając od korpusu instrumentu. Hans podważył resztę, odsłaniając wnętrze niczym pustą trumnę.

- Nie ma kontrabandy - stwierdził. - Gratuluję, jesteś niewinny. - Podał Wallemu szczątki gitary, chłopak wziął ją.

Sierżant z uśmiechem oddał dwojgu młodym ludziom legitymacje.

Karolin ujęła Wallego pod rękę i odciągnęła go.

- Chodź - rzekła cicho. - Wynośmy się stąd.

Walli pozwolił się prowadzić. Nie widział, dokąd zmierza, bo nie mógł powstrzymać łez.

## ROZDZIAŁ 4

George Jakes wsiadł do autobusu Greyhound w Atlancie w stanie Georgia w niedzielę, czternastego maja 1961 roku. Był Dzień Matki.

Przepełniał go strach.

Obok niego siedziała Maria Summers, zawsze siadali razem. Dla wszystkich stało się oczywiste, że puste miejsce obok niego zarezerwowane jest dla Marii.

By ukryć zdenerwowanie, zaczął z nią rozmawiać.

- Jakie wrażenie zrobił na tobie Martin Luther King?

King stał na czele Konferencji Chrześcijan Południowych, jednej z najważniejszych organizacji walczących o prawa obywatelskie. Poznali go wczoraj podczas obiadu w restauracji w Atlancie należącej do czarnoskórego właściciela.

- Niezwykły człowiek - powiedziała Maria.

George nie był przekonany.

- Wspaniale wyrażał się o uczestnikach Rajdu Wolności, ale nie ma go tu z nami.

- Spróbuj postawić się na jego miejscu - odrzekła rozsądnie. - Jest przywódcą innej organizacji, która także walczy o prawa obywatelskie. Generał nie może zostać szeregowcem w oddziale, którym dowodzi ktoś inny.

George nie pomyślał o tym w ten sposób. Maria była bardzo inteligentna.

Prawie się w niej zakochał. Bardzo chciał znaleźć się z nią sam na sam, lecz ci, którzy gościli uczestników rajdu w swoich domach, szacowni czarni obywatele - wielu z nich było gorliwymi chrześcijanami - ani myśleli pozwalać młodym ludziom wykorzystywać swoich kwater do obściskiwania się. Maria zaś, tak powabna, nie robiła nic poza tym, że siedziała obok George'a, rozmawiała z nim i śmiała się z jego żartów. Nie wykonała żadnego drobnego gestu, którymi kobiety dają znać, że chcą czegoś więcej niż przyjaźń: nie dotknęła jego ręki, nie podała mu dłoni podczas wsiadania z autobusu, nie przycisnęła się do niego w tłoku. Nie flirtowała. Niewykluczone, że w wieku dwudziestu pięciu lat była dziewicą.

- Długo z nim rozmawiałaś - zauważył George.

- Gdyby nie był pastorem, pomyślałabym, że na mnie leci.

George nie wiedział, jak na to zareagować. Wcale by się nie zdziwił, gdyby kaznodzieja przystawiał się do tak czarującej dziewczyny. Ależ ona ma naiwne wyobrażenie o mężczyznach, pomyślał.

- Ja też zamieniłem z nim parę zdań.

- I co ci powiedział?

George zawahał się, ponieważ przyczyną jego lęku były właśnie słowa pastora Kinga. Mimo to doszedł do wniosku, że Maria ma prawo je znać.

- Jego zdaniem nie zdołamy przejechać przez Alabamę.

Dziewczyna pobladła.

- Naprawdę tak powiedział?

- Tak.

Od tej chwili bali się oboje.

Greyhound ruszył z dworca.

Przez pierwszych kilka dni George obawiał się, że Rajd Wolności przebiega zbyt spokojnie. Zwykli pasażerowie nie zwracali uwagi na to, że czarnoskórzy siedzą na niewłaściwych miejscach, i czasem przyłączali się do ich śpiewów. Nic się nie działo, kiedy aktywiści lekceważyli napisy „Tylko dla białych” oraz „Dla kolorowych” umieszczone na dworcach autobusowych. W niektórych miastach nawet je zamalowano. George zląkł się, że zwolennicy segregacji rasowej opracowali perfekcyjną strategię działania. Nie dochodziło do żadnych utarczek i nie było rozgłosu, kolorowych uczestników rajdu grzecznie obsługiwano w restauracjach dla białych. Co wieczór wysiadali z autobusu i nienapastowani udawali się na spotkania, zwykle odbywające się w kościołach, a następnie szli na noc do domów sympatyków. Jednak George przeczuwał, że kiedy wyjadą z miasta, znaki zostaną przywrócone, a wraz z nimi powróci segregacja. To zaś oznaczałoby, że Rajd Wolności jest marnowaniem czasu.

Uderzająca ironia losu. Jak daleko George sięgał pamięcią, zawsze czuł się dotknięty i rozgniewany niezmiennie obecną, czasem jedynie w podtekście, lecz czasem wypowiedaną głośno opinią, że jest kimś gorszym. Nieważne, że był inteligentniejszy od dziewięćdziesięciu dziewięciu procent białych Amerykanów. Nie liczyło się, że jest pracowity, grzeczny i dobrze ubrany. Patrzyli na niego z pogardą szpetni biali, zbyt głupi lub zbyt leniwi, by nauczyć się czegoś więcej niż nalewania drinków albo pompowania paliwa na stacji. Nie mógł wejść do sklepu, usiąść w restauracji albo ubiegać się o pracę, nie zastanowiwszy się wpierw, czy z powodu koloru skóry nie zignorują go lub nie wskażą drzwi. To było palące upokorzenie. A teraz, o paradoksie, odczuwał rozczarowanie, że nic złego się nie dzieje.

Tymczasem Biały Dom był w rozterce. Trzeciego dnia rajdu prokurator generalny Robert Kennedy wygłosił mowę na Uniwersytecie Stanu Georgia, w której zapowiedział, że wymusi stosowanie praw obywatelskich na Południu. Jednak trzy dni później jego brat prezydent zrobił krok wstecz, wycofując poparcie dla dwóch ustaw o tychże prawach.

Czy właśnie w taki sposób zatriumfują zwolennicy segregacji rasowej? - zastanawiał się George. Unikając konfrontacji i postępując tak samo jak do tej pory?

Okazało się, że nie. Pokój potrwał zaledwie cztery dni.

Piątego dnia rajdu jednego z uczestników aresztowano za to, że domagał się usługi od pucybuta.

Przemoc rozpętała się szóstego dnia.

Ofiarą padł student teologii John Lewis. Rzuciły się na niego zbiry w toalecie dla białych w miejscowości Rock Hill w Karolinie Południowej. Pozwolił się okładać i kopać, nie stawiając oporu. George nie widział incydentu i tak chyba było lepiej, bo nie miał pewności, czy zdołałby tak jak Lewis zachować zasadę samoograniczenia sformułowaną przez Mahatmę Gandhiego.

Nazajutrz przeczytał w gazetach relacje o tym wydarzeniu, lecz niestety przyćmiły je doniesienia o pierwszym locie kosmicznym Amerykanina Alana Sheparda. Kogo to obchodzi? - myślał z goryczą George. Pierwszym człowiekiem w przestrzeni okołoziemskiej został radziecki kosmonauta Jurij Gagarin, rakieta wyniosła go na orbitę niespełna miesiąc wcześniej. Rosjanie nas wyprzedzili. Biały Amerykanin może latać wokół Ziemi, lecz czarnemu nie wolno wejść do łazienki.

W Atlancie wysiadających z autobusu uczestników rajdu powitał wiwatujący tłum i George znów poczuł się pokrzepiony na duchu.

To jednak było w Georgii, a teraz wjeżdżali do Alabamy.

- Dlaczego King powiedział, że nie przedostaniemy się przez Alabamę? - zapytała Maria.

- Krążą pogłoski, że Ku-Klux-Klan szykuje coś w Birmingham - odparł ponuro George.  
- FBI podobno wie o wszystkim, ale nic nie zrobiło, żeby ich powstrzymać.

- A lokalna policja?

- Też należy do cholernego Ku-Klux-Klanu.

- A co z tamtymi? - Dziewczyna ruchem głowy wskazała dwóch białych barczystych mężczyzn siedzących jeden rząd za nimi po drugiej stronie przejścia.

George zerknął na nich przez ramię.

- Co mianowicie?

- Nie wyczuwasz glin?

Domyślił się, o co jej chodzi.

- Sądzisz, że są z FBI?

- Mają zbyt tanie łachy jak na federalnych. Podejrzewam, że to tajniacy ze stanowego

patrolu drogowego.

Zaimponowała tym George'owi.

- Jak to możliwe, że jesteś taka bystra?

- Mama kazała mi jeść warzywa. A ojciec jest adwokatem w Chicago, gangsterskiej stolicy USA.

- Co twoim zdaniem zamierzają ci dwaj?

- Pewności nie mam, ale wydaje mi się, że są tutaj po to, by bronić naszych praw obywatelskich. Nieprawdaż?

George wyjrzał przez okno i zobaczył tablicę z napisem „Witamy w Alabamie”. Spojrzał na zegarek, była trzynasta. Na błękitnym niebie świeciło słońce. Piękny dzień na umieranie, pomyślał.

Maria chciała działać w polityce lub służbie publicznej.

- Aktywiści mają duży wpływ na bieg wydarzeń, ale ostatecznie świat zmieniają rządy - zauważyła. George zastanowił się nad tym stwierdzeniem. Maria złożyła podanie o pracę w biurze prasowym Białego Domu i wezwano ją na rozmowę kwalifikacyjną, lecz posady nie zdobyła. - W Waszyngtonie nie zatrudnia się zbyt wielu czarnoskórych prawników - oznajmiła z żalem. - Pewnie zostanę w Chicago i będę pracowała w kancelarii ojca.

Naprzeciwko George'a, po drugiej stronie przejścia, siedziała biała kobieta w średnim wieku ubrana w płaszcz. Miała kapelusz na głowie, a na kolanach trzymała białą torebkę z tworzywa sztucznego. Uśmiechnął się do niej.

- Piękna pogoda na wycieczkę autobusową.

- Jadę w odwiedziny do córki w Birmingham - odrzekła, mimo że o to nie zapytał.

- O, to miło. Jestem George Jakes.

- Cora Jones. Pani Jones. Córka w tym tygodniu będzie rodzić.

- Pierwsze dziecko?

- Trzecie.

- Wygląda pani młodo jak na babcię, jeśli wolno mi tak powiedzieć.

Było widać, że czuje się mile połączona tym komplementem.

- Mam czterdzieści dziewięć lat - odparła.

- Nigdy bym nie zgadł!

Greyhound nadjeżdżający z przeciwka mignął światłami i ten, którym jechali uczestnicy rajdu, zatrzymał się. Do okna kierowcy podszedł biały mężczyzna. „Na przystanku w Anniston zebrał się tłum ludzi”, poinformował. Kierowca coś odrzekł, ale tego już George nie usłyszał. „Bądź ostrożny”, dodał tamten.



Autobus ruszył.

- Co to znaczy „tłum”? - zapytała Maria z niepokojem w głosie. - To może być dwudziestu ludzi albo tysiąc. Mogą nas powitać z otwartymi ramionami lub wrogo. Dlaczego nie powiedział czegoś więcej?

George domyślał się, że pod jej irytacją kryje się obawa.

Przypomniał sobie słowa matki: „Tak bardzo się boję, że cię zabiją”. Niektórzy aktywiści deklarowali, że gotowi są zginąć za wolność. George nie był pewien, czy chce zostać męczennikiem. Istniało tyle innych rzeczy, których pragnął. Na przykład przespać się z Marią.

Minutę później wjechali do Anniston, miasteczka, jakich wiele na Południu, z niskimi zabudowaniami i prostopadłą siatką ulic, zakurzonych i rozpalonych słońcem. Wzdłuż trasy ustawili się ludzie jak w czasie parady. Wielu miało na sobie odświętne ubrania, kobiety nosiły na głowach kapelusze, dzieci były wypucowane, bez wątpienia wszyscy wracali z kościoła.

- Kogo się spodziewają, rogatego luda? - rzucił George. - Patrzcie, ludziska, oto my, prawdziwi Murzyni z Północy, mamy przyodziewek i trzewiki na nogach.

Mówił tak, jakby zwracał się do nich, choć słyszała go tylko Maria.

- Przybywamy, by odebrać wam spluwy i zaprowadzić komunizm. Gdzie wasze białe dziewczęta chodzą się kąpać?

Maria parsknęła śmiechem.

- Gdyby cię usłyszeli, nie wzięliby tego za żart.

George w gruncie rzeczy nie żartował, to było jak pogwizdywanie na cmentarzu. Próbował zignorować lęk ściskający mu żołądek.

Autobus skręcił na dworzec, który sprawiał wrażenie opuszczonego. Domy były pozamykane naглуcho. Ich widok napawał trwogą.

Kierowca otworzył drzwi.

George nie zauważył, skąd nadciągnął tłum. Nagle autobus otoczyli biali. Jedni mieli na sobie ubrania robocze, inni niedzielne garnitury. Trzymali w dłoniach kije bejsbolowe, metalowe rurki i żelazne łańcuchy. Wszyscy pokrzykiwali. W większości były to nieartykułowane wrzaski, ale padały także słowa wyrażające nienawiść, dało się słyszeć nawet *Sieg heil!*

George wstał i chciał zamknąć drzwi, jednak uprzedzili go dwaj mężczyźni, w których Maria rozpoznała policjantów stanowych. Może są tu po to, by walczyć w naszej obronie, pomyślał George, a może po prostu ratują swoją skórę.

Spojrzał za okno. Nigdzie nie było widać policji. Jak policja może nie wiedzieć o tym, że uzbrojony tłum gromadzi się na dworcu autobusowym? Gliny musiały działać ręką w rękę z Ku-Klux-Klanem. Żadna niespodzianka.

Po chwili poszły w ruch narzędzia. Łańcuchy i łomy z przerażającym grzechotem spadły na karoserię autobusu. Pękły szyby, pani Jones krzyknęła ze strachu. Kierowca uruchomił silnik, lecz jeden z napastników położył się przed kołami. George pomyślał, że szofer go przejedzie, ten jednak zatrzymał autobus.

Kamień uderzył w okno, rozbijając je, i George poczuł ostre ukłucie w policzek, jak ukąszenie pszczoły. Trafił go odłamek szkła. Maria, która siedziała przy oknie, znalazła się w niebezpieczeństwie. Chwycił ją za rękę i przyciągnął do siebie.

- Uklęknij w przejściu! - krzyknął.

Jakiś szczerzący zęby w uśmiechu mężczyzna wsunął pięść z nałożonym kastetem przez okno tuż obok pani Jones.

- Proszę uklęknąć obok mnie! - zawołała Maria. Pociągnęła panią Jones i otoczyła ją ramionami.

Wrzaski były coraz głośniejsze.

- Komuchy! Tchórze!

- Schyl się, George! - krzyknęła Maria.

On jednak nie mógł się zmusić do tego, by kulić się przed bandziorami.

Nagle jazgot przycichł. Łomotanie w ściany autobusu ustało, szkło przestało pękać. George zauważył funkcjonariusza policji.

No, wreszcie, pomyślał.

Policjant machał pałką, lecz jednocześnie rozmawiał przyjaźnie z uśmiechniętym mężczyzną z kastetem.

George zobaczył jeszcze trzech gliniarzy. Uspokoił motłoch, ale nie zrobili nic więcej. Zachowywali się tak, jakby nie popełniono żadnego wykroczenia. Gawędzili z napastnikami, którzy najwyraźniej byli ich przyjaciółmi.

Dwaj funkcjonariusze z patrolu drogowego usiedli na swoich miejscach i przyglądali się temu zdezorientowani. George podejrzewał, że mieli szpiegować uczestników rajdu. Nie przewidzieli, że padną ofiarą napaści rozwydrzonego tłumu. Sytuacja zmusiła ich do tego, by stanęli w obronie aktywistów. Może przy okazji nauczyli się widzieć sprawę z nowej perspektywy.

Autobus ruszył. George zobaczył, że jeden z policjantów usuwa napastników sprzed czoła pojazdu, drugi zaś macha ręką na kierowcę, by ten jechał. Tuż za dworcem czekał

radiowóz, który eskortował ich aż do granic miasteczka.

George poczuł się odrobinę lepiej.

- Chyba się wymknęliśmy - stwierdził.

Maria wstała. Na szczęście nic jej się nie stało. Wyjęła chusteczkę z kieszonki na piersi marynarki George'a i delikatnie otarła mu twarz. Biała bawełna zaczerwieniła się od krwi.

- Drobnie rozcięcie, ale nieprzyjemne - oceniła.

- Przeżyję.

- Tyle że nie będziesz już taki śliczny.

- A jestem?

- Byłeś, ale teraz...

Chwila normalności nie potrwała długo. George obejrzał się i zobaczył długi rząd pick-upów i osobówek ciągnących za autobusem. Siedzący w nich mężczyźni wznosili okrzyki.

- Jednak się nie wymknęliśmy - jęknął George.

- W Waszyngtonie, zanim wsiedliśmy, rozmawiałeś z młodym białym mężczyzną - powiedziała Maria.

- To był Joseph Hugo. Studiuje prawo na Harvardzie. Czemu o nim wspominasz?

- Zdawało mi się, że widziałam go w mieście wśród tłumu.

- Josepha? Nie. Jest po naszej stronie. Musiałaś się pomylić. - Jednak George przypomniał sobie, że Hugo pochodzi z Alabamy.

- Miał wyłupiaste niebieskie oczy - dodała Maria.

- Jeśli trzyma z nimi, to znaczy, że udawał, że wspiera ruch praw obywatelskich, a tymczasem nas szpiclował. Nie, to niemożliwe.

- Naprawdę?

George się obejrzał.

Policjny radiowóz zawrócił na rogatek miasta, lecz pozostałe samochody jechały dalej.

Ci, którzy w nich siedzieli, ryczeli tak głośno, że słyhać ich było mimo warkotu silników.

Za przedmieściami, na długim pustym odcinku drogi numer 202 dwa wozy osobowe wyprzedziły autobus i zmusiły kierowcę, by zwolnił. Usiłował je wyminąć, lecz auta zajeżdżały mu drogę i blokowały przejazd.

Cora Jones pobladła i trzęsła się, ściskając w dłoniach białą torebkę niczym koło ratunkowe.

- Przykro mi, że z naszego powodu znalazła się pani w tej sytuacji - rzekł George.

- Mnie także - odparła.

Samochody osobowe zjechały na bok i autobus mógł je wyminąć, lecz koszmar się nie skończył, gdyż konwój wciąż za nim podążał. George usłyszał znajomy dźwięk, jakby stuknięcie. Autobus zaczął jechać wężykiem po całej jezdni i było jasne, że złapał gumę. Kierowca zwolnił, po czym zatrzymał się obok przydrożnego sklepu spożywczego. George odczytał nazwę: Forsyth & Son.

Kierowca wysiadł pośpiesznie. George usłyszał, jak mówi: „Dwa kapcie?”. Wszedł do sklepu przypuszczalnie po to, by wezwać pomoc.

George był zdenerwowany do granic możliwości. Jedną przebitą oponę można uznać za przypadek, ale dwie oznaczają zasadzkę.

Samochody zatrzymywały się i wyskakiwali z nich biali mężczyźni w niedzielnych garniturach. Wykrzykiwali przekleństwa i wymachiwali narzędziami walki niczym dzikusy na wojennej ścieżce. George znów poczuł ściskanie w żołądku, widząc paskudne gęby wykrzywione nienawiścią. Teraz już wiedział, dlaczego oczy matki napełniły się łzami, kiedy wspomniała o białych z Południa.

Biegający na czele bandy nastolatek z uśmiechem strzaskał okno łomem.

Drugi mężczyzna usiłował wdrzeć się do autobusu. Jeden z dwóch rostrych białych stanął nad schodkami i sięgnął po broń, potwierdzając w ten sposób hipotezę Marii, która uznała tajemniczych pasażerów za gliniarzy w cywilnych ubraniach. Intruz cofnął się i policjant zamknął drzwi.

George uznał to za błąd, bo co, jeśli aktywiści będą chcieli szybko się ewakuować?

Napastnicy zaczęli kołysać autobusem, jakby zamierzali go wywrócić.

- Śmierć czarnuchom! Śmierć czarnuchom! - skandowali coraz bardziej wściekle.

Kobiety krzyczały. Maria trzymała George'a i sprawiłoby mu to przyjemność, gdyby nie lęk o życie.

Zobaczył, że nadjeżdżają dwaj policjanci, i w jego serce wstąpiła nadzieja, lecz po chwili ustąpiła miejsca złości, gdyż nie zrobili nic, by powstrzymać motłoch. Spojrzał na dwóch tajniaków we wnętrzu autobusu: wyglądali głupio i paraliżował ich strach. Koledzy w mundurach najwyraźniej nie wiedzieli o ich obecności. Policja drogowa stanu Alabama zdradzała, że jest źle zorganizowana i przesiąknięta rasizmem.

George rozglądał się rozpaczliwie, usiłując wymyślić ratunek dla Marii i siebie. Wysiąść z autobusu i uciec? Położyć się na podłodze? Wyrwać policjantowi pistolet i rozwalić paru białych? Każda z tych możliwości wydawała się gorsza niż bierność.

Napawał go wściekłością widok dwóch policjantów, którzy stali sobie jakby nigdy nic.

Na miłość boską, wszak są gliniarzami! Co oni sobie wyobrażają? Jeśli nie pilnują przestrzegania prawa, to z jakiej racji noszą mundury?

Nagle zobaczył Josepha Hugo. Nie było wątpliwości: George doskonale znał te wyłupiaste niebieskie oczy. Hugo podszedł do policjanta i coś do niego powiedział, a potem obaj parsknęli śmiechem.

A więc jednak szpicel.

Jeśli wyjdę z tego żywy, pomyślał George, ta szuja pożałuje.

Napastnicy krzykiem wzywali aktywistów do wyjścia.

- Wyłazić, sługusy czarnuchów! Dostaniecie za swoje!

George uznał, że w autobusie jest bezpieczny.

Ale nie trwało to długo.

Jeden z bandytów poszedł do swojego samochodu i otworzył bagażnik, a po chwili wrócił z płonącym tobołkiem w rękach. Wrzucił go przez wybite okno i sekundę później z zawiniątka buchnął szary dym. Nie była to jednak wyłącznie bomba dymna. Od ognia zajęła się tapicerka, pasażerowie zaczęli się dusić czarnymi oparami.

- Czy tam na przodzie jest więcej powietrza?! - krzyknęła jakaś kobieta.

- Spalić czarnuchów! - usłyszał George. - Usmażyć!

Wszyscy próbowali się wydostać. Przejście między siedzeniami wypełniło się ludźmi, którzy rozpaczliwie łapali ustami powietrze. Niektórzy przepychali się, lecz coś blokowało drogę.

- Wysiadać z autobusu! - ryknął George. - Wszyscy wysiadać!

- Drzwi nie chcą się otworzyć! - zawołał ktoś na przodzie.

George przypomniał sobie, że uzbrojony policjant zamknął drzwi przed atakującymi.

- Trzeba wyskakiwać oknami! - krzyknął. - Szybciej!

Stanął na siedzeniu i kopniakiem wybił resztkę szyby z okna. Potem ściągnął marynarkę i położył na krawędzi, by choć trochę przykryć odłamki sterczące z ramy.

Maria krztusiła się i kaszłała.

- Wyjdę pierwszy i złapię cię - powiedział do niej. Oparł się ręką o tył fotela, stanął na krawędzi okna, schylił się i wyskoczył. Usłyszał, że koszula zawadziła o coś i rozdarła się, lecz nie poczuł bólu i stwierdził, że nie odniósł rany. Wylądował na trawie przy szosie. Tłum przestraszył się ognia i wycofał. George odwrócił się i wyciągnął rękę do Marii. - Wychodź tak jak ja!

Miała na nogach tenisówki, o wiele słabsze od jego butów z podkutymi czubkami. Na widok jej drobnych stóp na ramie okna ucieszył się, że poświęcił marynarkę. Maria była

niższa od niego, lecz kobiece kształty czyniły ją szerszą. Skrzywił się, kiedy zahaczyła biodrem o odłamek szkła. Przecisnęła się jednak i nie rozdarła sukienki. Po chwili zeskoczyła prosto w jego ramiona.

Bez trudu ją utrzymał. Nie ważyła zbyt dużo, a on był wytrenowany. Postawił ją, ale opadła na kolana, łapiąc oddech.

Popatrzył dokoła. Bandyci nadal trzymali się w pewnej odległości od autobusu. George zajrzał do środka. Cora Jones stała w przejściu i krztusiła się dymem. Była zbyt oszołomiona i skołowana, by się ratować.

- Cora, tutaj! - zawołał. Usłyszała swoje imię i odwróciła głowę. - Wyjdź przez okno tak jak my! Pomogę ci!

Zrozumiała podpowiedź i z trudem wspięła się na fotel, wciąż ściskając w dłoniach torebkę. Zawahała się na widok ostrych odłamków szkła sterczących z ramy okna, miała jednak na sobie gruby płaszcz i doszła do wniosku, że lepsze skaleczenie niż uduszenie oparami. Postawiła stopę na krawędzi okna. George podszedł, złapał kobietę za rękę i pociągnął. Rozdarła sobie płaszcz, ale poza tym nic się jej nie stało. Postawił ją na ziemi, a wtedy zatoczyła się i jęknęła, że chce wody.

- Musimy odejść od autobusu! - krzyknął George do Marii. - Zbiornik paliwa może wybuchnąć. - Dziewczyna kasłała tak mocno, że była jak sparaliżowana. Położył jedną rękę na jej plecach, a drugą ujął ją pod kolanami i dźwignął. Ruszył w stronę sklepu i posadził Marię dopiero wtedy, kiedy uznał, że oddalili się na bezpieczną odległość.

Obejrzał się i zobaczył, że autobus błyskawicznie pustoszeje. W końcu otwarto drzwi i pojawili się w nich osłabieni pasażerowie, inni zaś wyskakiwali oknami.

Ogień ogarnął już cały pojazd. Wszyscy ludzie wyszli, a tymczasem wewnątrz autobusu zamieniło się w ogromny piec. Ktoś krzyknął o baku z paliwem.

- Zaraz wybuchnie! - wrzeszczeli napastnicy. - Zaraz wybuchnie!

Rozpierzchli się przerażeni, byle znaleźć się jak najdalej. Rozległ się głuchy huk, buchnęły płomienie i autobus zakołysał się od eksplozji.

George był niemal pewny, że wszyscy zdążyli uciec. Na szczęście nikt nie zginął, pomyślał. Na razie.

Wydawało się, że wybuch paliwa zaspokoił żądzę przemocy tłumu. Napastnicy stali i patrzyli na płonący pojazd.

Ze sklepu wyległa grupa miejscowych, niektórzy zagrzewali bandytów do działania. Pojawiła się młoda dziewczyna z wiaderkiem wody i plastikowymi kubkami. Podążyła do pani Jones, a potem podeszła do Marii, ta wychyliła jeden kubek i poprosiła o więcej.

Zbliżył się młody biały mężczyzna z zatroskanym wyrazem twarzy, która przypominała szurczy pysk za sprawą cofniętego czoła i podbródka. Młokos miał ostry nos i duże zęby, brązowo-rude włosy lśniły od brylantyny.

- Jak się czujesz, kochana? - odezwał się do Marii. Kiedy otworzyła usta, by odpowiedzieć, uniósł rękę z łomem, który ukrywał za plecami. Zamachnął się, mierząc w czubek jej głowy. George wysunął rękę i żelazne narzędzie spadło na jego lewe przedramię. Ryknął od strasznego bólu. Napastnik ponownie uniósł łom. Nie zważając na ból, George rzucił się z wysuniętą prawą ręką. Wpadł z impetem na tamtego i powalił go na ziemię.

Odwrócił się do Marii i zobaczył, że w jego kierunku pędzi trzech innych zbirów, najwyraźniej chcących pomścić kumpla ze szurczą gębą. Za wcześnie stwierdził, że zaspokoili żądzę przemocy.

Był przyzwyczajony do walki. W czasie studiów na Harvardzie ćwiczył zapasy, a później, przed zdobyciem dyplomu trenował drużynę. To jednak nie będzie czysta walka z przestrzeganiem zasad, a w dodatku miał tylko jedną sprawną rękę.

Z drugiej jednak strony, zanim poszedł na Harvard, uczył się w szkole na przedmieściu Waszyngtonu i wiedział, na czym polega brudna walka.

Zbliżali się ławą, więc odsunął się w bok. Dzięki temu napastnicy oddalili się od Marii, a jednocześnie musieli ustawić się gęsiego.

Pierwszy zamachnął się wściekle żelaznym łańcuchem.

George odskoczył, łańcuch śmignął w powietrzu. Napastnik stracił równowagę i zatoczył się, wtedy George go podciął, aż tamten runął na ziemię. Łańcuch wypadł mu z ręki.

Drugi potknął się na koledze. George zbliżył się bokiem i uderzył go prawym łokciem w szczękę. Bandzior wydał stłumiony wrzask, po czym upadł, wypuszczając łyżkę do opon.

Trzeci napastnik stanął przestraszony. George zrobił krok i z całej siły zdzielił go pięścią w twarz. Trafił prosto w nos: kość pękła, trysnęła krew i mężczyzna ryknął z bólu. To był najprzyjemniejszy cios, jaki George zadał w swoim życiu. Pal licha Gandhiego, pomyślał.

Rozległy się dwa strzały. Wszyscy znieruchomieli i spojrzeli w tamtą stronę. Jeden z umundurowanych policjantów trzymał pistolet w górze.

- No dobra, chłopcy, zabawiliście się - rzekł. - A teraz w drogę.

Zabawiliście się? - pomyślał z gniewem George. Gliniarz był świadkiem usiłowania zabójstwa i mówi o zabawie? Mundur policyjny niewiele znaczył w Alabamie.

Napastnicy wrócili do samochodów. George ze złością zauważył, że żaden z czterech funkcjonariuszy nie pofatygował się, by spisać numery rejestracyjne. Nie zanotowali także nazwisk, bo zapewne znali wszystkich uczestników napaści.

Joseph Hugo zniknął.

We wraku autobusu nastąpiła druga eksplozja. George domyślił się, że pojazd miał dwa baki z paliwem. Teraz jednak wszyscy stali daleko i nikomu nie groziło niebezpieczeństwo. Ogień powoli dogasał.

Kilka osób, które nawdychało się dymu, wciąż leżało na ziemi, łapiąc ustami powietrze. Inni krwawili z ran. Niektórzy byli aktywistami, uczestnikami rajdu, a inni zwykłymi pasażerami obu ras. George trzymał się prawą ręką za lewe przedramię. Przyciskał je do boku, żeby się nie poruszało, gdyż każdy ruch powodował przeszywający ból. Czterej napastnicy, którzy go zaatakowali, wlekli się do swoich aut, pomagając sobie nawzajem.

Podszedł do policjantów.

- Potrzebujemy karetki - odezwał się. - Może dwóch.

Młodszy z funkcjonariuszy zmierzył go wzrokiem.

- Co mówiłeś?

- Ci ludzie potrzebują pomocy medycznej. Proszę wezwać karetkę!

Twarz mężczyzny zdradzała wściekłość, George uświadomił sobie swój błąd: powiedział białemu, co ma zrobić.

- Daj spokój, daj spokój - mitygował go starszy kolega. - Karetka już jedzie, chłopcze.

Po kilku minutach nadjechał ambulans wielkości małego autobusu i uczestnicy rajdu zaczęli pomagać sobie przy wsiadaniu. Kiedy jednak podeszli George i Maria, kierowca powiedział:

- Wy nie.

George popatrzył na niego z niedowierzaniem.

- Słucham?

- To karetka dla białych, a nie dla czarnuchów.

- Co ty powiesz.

- Nie wkurzaj mnie, chłopcze.

Biały aktywista, który już siedział w karetku, wysiadł.

- Musi pan zawieźć do szpitala wszystkich, czarnych i białych - oznajmił kierowcy.

- To nie jest karetka dla czarnuchów - powtórzył tamten z uporem.

- Bez naszych przyjaciół nie pojedziemy. - Biali aktywiści zaczęli jeden po drugim wysiadać z samochodu.

Zaskoczyło to kierowcę. Byłoby mu głupio, gdyby wrócił z miejsca wypadku bez pacjentów, pomyślał George.

Podszedł starszy z umundurowanych policjantów.



- Lepiej ich zabierz, Roy.

- Skoro tak mówisz - odrzekł kierowca.

George i Maria wsiedli do karetki.

Kiedy ruszyła, George spojrzął na autobus. Z poczerńiałego korpusu wznosiły się smugi dymu, nadpalone belki rusztowania dachu sterczały niczym żebra męczennika spalonego na stosie.

## ROZDZIAŁ 5

Tania Dworkina wcześniej zjadła śniadanie i opuściła syberyjski Jakuck, najzimniejsze miasto świata. Na pokładzie wojskowego tupolewa Tu-16 poleciała do Moskwy, która leżała w odległości niespełna pięciu tysięcy kilometrów. Kabina była przystosowana do przewozu sześciu żołnierzy, ale projektant nie zwracał sobie głowy ich wygodą: siedzenia zrobiono z dziurkowanego aluminium, ścianki nie były dźwiękoszczelne. Lot trwał osiem godzin z międzylądowaniem na uzupełnienie paliwa. Różnica czasu między Moskwą a Jakuckiem wynosi sześć godzin, toteż Tania zdążyła na drugie śniadanie.

W Moskwie było lato, a ona miała na sobie gruby kożuch i czapkę futrzankę. Wsiadła do taksówki i pojechała do rządowego apartamentowca przeznaczanego dla elity władzy. Mieszkała razem z matką Anią i bratem bliźniakiem Dmitrijem zwanym zdrobniale Dimką. Apartament był duży, miał trzy sypialnie, lecz matka Tani mawiała, że jest uważany za przestronny jedynie według radzieckich standardów. W dzieciństwie, kiedy dziadek Grigorij był dyplomata, zajmowali w Berlinie o wiele większe lokum.

Tego ranka w moskiewskim mieszkaniu panowała cisza, ponieważ matka i Dimka wyszli już do pracy. Ich wierzchnie okrycia wisiały w przedpokoju na gwoździach, które ojciec Tani wbił ćwierć wieku temu. Było ciepło, więc Dimka zostawił w domu swój ciemny płaszcz nieprzemakalny, a matka brązowe tweedowe palto. Tania powiesiła kożuch na gwoździu i postawiła walizkę w sypialni. Nie spodziewała się zastać matki i brata, a mimo to czuła lekkie rozczarowanie, że mama nie zaparzy jej herbaty, a Dimka nie posłucha relacji o przygodach siostry na dalekiej Syberii. Pomyślała, że mogłaby złożyć wizytę dziadkom Grigorijowi i Katerinie Peszkowom, którzy mieszkali na innym piętrze w tym samym gmachu, ale doszła do wniosku, że właściwie nie ma na to czasu.

Wzięła prysznic i przebrała się, a potem pojechała autobusem do siedziby radzieckiej agencji prasowej TASS. Była jednym z ponad tysiąca reporterów pracujących w agencji, lecz niewielu wożono wojskowymi odrzutowcami. Ona, wschodząca gwiazda, potrafiła pisać żywe i ciekawe artykuły przemawiające do wyobraźni młodych ludzi, a zarazem zgodne z linią partii. Miało to wszakże złą stronę: często przydzielano jej trudne zadania o dużym ciężarze gatunkowym.

Zjadła w bufecie miskę kaszy ze zsiadłym mlekiem, a następnie udała się do działu reportażu, gdzie pracowała. Chociaż uważano ją za gwiazdę, nie zasłużyła jeszcze na własny gabinet. Przywitała się z kolegami, usiadła przy biurku, umieściła w maszynie papier z kalką i

zaczęła pisać.

W samolocie tak trzęsło, że nie mogła nawet robić notatek, ale plan tekstu Tania miała w głowie. Mogła więc pisać płynnie, z rzadka tylko zaglądając do zapisków. Jej artykuł miał zachęcić młode radzieckie rodziny do przeprowadzki na Syberię i zatrudnienia się w przeżywających okres boomu gałęziach przemysłu wydobywczego; nie było to łatwe zadanie. Łagry zapewniały dużo niewykwalifikowanej siły roboczej, lecz w regionie potrzeba było geologów, inżynierów, mierniczych, architektów, chemików i kadry instruktorskiej. Tania pominęła jednak w swoim tekście mężczyzn i napisała o ich żonach. Rozpoczęła od Klary, młodej i atrakcyjnej matki, która z zapałem i humorem opowiadała o tym, jak radzić sobie w ujemnych temperaturach.

Przed południem zwierzchnik Tani, redaktor Danił Antonow, wziął jeden arkusz i zaczął czytać. Drobny mężczyzna był łagodny w obejściu, co stanowiło ewenement w środowisku dziennikarskim.

- Świetne - rzekł po chwili. - Kiedy dostanę resztę?

- Przebieram palcami najszybciej, jak mogę.

- Czy dotarły do ciebie wieści o Ustinie Bodianie, gdy byłeś na Syberii? - spytał Antonow. Bodian był śpiewakiem operowym, przyłapano go z dwoma egzemplarzami powieści Doktor Żywago, które zdobył podczas występów we Włoszech. Trafił za to do obozu pracy.

Serce Tani zaczęło bić szybciej. Czyżby Danił ją podejrzewał? Miał nadzwyczajną intuicję jak na mężczyznę.

- Nie - skłamała. - Dlaczego pytasz? A ty coś słyszałeś?

- Nic nie słyszałem - odparł redaktor i wrócił do swojego biurka.

Tania prawie skończyła pisać trzeci artykuł, gdy zatrzymał się obok niej Piotr Opotkin i z papierosem w ustach ją czytać tekst. Opotkin, krępy mężczyzna o brzydkiej cerze, kierował działem reportażu. W odróżnieniu od Daniła nie był dziennikarzem, lecz komisarzem politycznym. Jego zadanie polegało na pilnowaniu, by artykuły nie łamały wytycznych Kremla, a jedyne kryterium stanowiło ścisłe przestrzeganie partyjnej ortodoksji.

Przeczytał kilka stron reportażu.

- Mówiłem ci, że masz nie pisać o pogodzie.

Opotkin pochodził z wioski na północ od Moskwy i wciąż zachował północnorosyjski akcent.

Tania westchnęła.

- Piotrze, ten cykl jest poświęcony Syberii. Ludzie i tak wiedzą, że tam jest zimno. Nikt

się nie nabierze.

- Ale tutaj wszystko dotyczy pogody.

- Piszę o młodej zaradnej kobiecie z Moskwy, która w trudnych warunkach dba o swoją rodzinę i traktuje to jak przygodę.

- Tania ma rację, Piotrze - wtrącił się do rozmowy Danił. - Jeśli pominiemy kwestię niskich temperatur, czytelnicy będą wiedzieli, że autorka wciska im kit, i nie uwierzą w ani jedno słowo.

- Mnie się to nie podoba - upierał się Opotkin.

- Ale musisz przyznać, że tekst jest wciągający - nie dawał za wygraną Danił.

Opotkin się zastanowił.

- Może masz rację - rzekł, odkładając kartkę. - W sobotę wieczór wydaję przyjęcie - powiedział do Tani. - Córka kończy studia. Może przyszlabyś z bratem?

Opotkin był karierowiczem nieudacznikiem, który urządzał koszmarne nudne imprezy. Tania wiedziała, że może wypowiedzieć się za brata.

- Bardzo bym chciała i Dimka na pewno też, ale obchodzimy urodziny mamy. Strasznie mi przykro.

- To szkoda - stwierdził urażony Opotkin i odszedł.

- Twoja matka nie obchodzi w sobotę urodzin, prawda? - spytał Danił.

- Nie.

- Opotkin to sprawdzi.

- I zrozumie, że grzecznie się wymówiłam, bo nie chciałam iść na jego przyjęcie.

- Powinnaś na nich bywać.

Tania nie miała ochoty się spierać, co innego zaprzętało jej teraz głowę. Chciała dokończyć pisanie artykułów, wyjść z pracy i ocalić życie Ustina Bodiana. Jednak Danił był dobrym szefem i miał otwarty umysł, więc stłumiła zniecierpliwienie.

- Piotra nie obchodzi, czy bywam na jego przyjęciach. Zależy mu na moim bracie, który pracuje u Chruszczowa.

Tania zdążyła już przywyknąć, że niektórzy chcą się z nią zaprzyjaźnić ze względu na wpływową rodzinę. Jej nieżyjący ojciec był pułkownikiem KGB, a wujek Wołodia służył w wywiadzie wojskowym GRU w stopniu generała.

Daniła cechował dziennikarski upór.

- Piotr poszedł nam na rękę w kwestii artykułów o Syberii, powinnaś okazać mu wdzięczność.

- Nie znoszę tych prywatek. Jego kumple upijają się i obmacują nawzajem swoje żony.

- A ja nie chcę, żeby żywił do ciebie urazę.

- Niby dlaczego?

- Jesteś wyjątkowo atrakcyjna. - Danił nie przystawiał się do Tani. Mieszkał z przyjacielem mężczyzną i była pewna, że jest jednym z tych, którzy nie czują pociągu do kobiet. Zwracał się do niej rzeczowym tonem. - Piękna, zdolna, a co najgorsze, młoda. Piotrowi łatwo będzie cię znieawidzić. Postaraj się trochę bardziej.

Uświadomiła sobie, że zapewne ma rację, ale postanowiła pomyśleć o tym później i znowu skupiła uwagę na pracy.

W południe przyniosła sobie z bufetu sałatkę z ziemniaków z marynowanymi śledziami i zjadła przy biurku.

Wkrótce potem skończyła trzeci artykuł i zaniósła teksty Daniłowi.

- Idę do domu, chcę się wyspać. Nie dzwoń, proszę.

- Dobra robota - pochwalił. - Śpij dobrze.

Schowała notes do torebki i wyszła z budynku.

Musiała sprawdzić, czy ktoś jej nie śledzi. Była zmęczona, to zaś oznaczało, że może popełnić głupi błąd. Niepokoiła się tym.

Minęła przystanek autobusowy, przeszła pieszo do następnego przy tej samej trasie i dopiero tam wsiadła. Były to działania sprzeczne z logiką: gdyby ktoś za nią szedł, musiałby zrobić dokładnie to samo i w ten sposób się ujawnić.

Nikt jej nie śledził.

Wysiadła przed wielkim pałacem z epoki przedrewolucyjnej, którego komnaty zamieniono w kwatery mieszkalne. Obeszła kwatera, by sprawdzić, czy ktoś nie obserwuje budynku. Na wszelki wypadek powtórzyła manewr. Potem weszła do posępnego holu i po splekanych marmurowych schodach wspięła się do mieszkania Wasilija Jenkowa.

Już miała włożyć klucz do zamka, gdy drzwi otworzyły się i stanęła w nich szczupła blondynka w wieku około osiemnastu lat. Za nią pojawił się Wasilij. Tania zaklęła w duchu. Było za późno, by uciec lub udawać, że przyszła do innej kwatery.

Blondynka zmierzyła Tanię ostrym wzrokiem, taksując jej fryzurę, figurę i ubranie. Następnie pocałowała Wasilija w usta, posłała Tani triumfalne spojrzenie i zeszła po schodach.

Wasilij miał trzydzieści lat, ale lubił młódki. Ulegały mu, bo był wysoki i przystojny: miał twarz jak wyrzeźbioną, gęste ciemne włosy, zawsze odrobinę za długie, oraz łagodne, brązowe, zmysłowe oczy. Tania podziwiała go z zupełnie innych powodów, a mianowicie za inteligencję i odwagę; poza tym był światowej klasy pisarzem.

Weszła do gabinetu i rzuciła torebkę na krzesło. Wasilij pracował jako redaktor audycji radiowych i miał naturę bałaganiarza. Biurko zasłane było papierami, na podłodze piętrzyły się stosy książek. Pracował nad radiową adaptacją pierwszej sztuki Maksyma Gorkiego *Mieszczanie*. Na tapczanie spała bura kotka Mademoiselle. Tania zepchnęła ją i usiadła.

- Co to była za smarkula?

- Moja mamusia.

Tania parsknęła śmiechem pomimo irytacji.

- Przykro mi, że na nią trafiłaś - rzekł Wasilij, mimo że wcale nie wyglądał na zasmuconego.

- Wiedziałeś, że mam przyjść.

- Myślałem, że zjawisz się później.

- Widziała moją twarz. Nikt nie powinien wiedzieć, że utrzymujemy jakiegokolwiek kontakty.

- To zwykła ekspedientka. Pracuje w GUM-ie, ma na imię Warwara. Niczego nie będzie podejrzewała.

- Wasilij, proszę cię, nie dopuszczaj więcej do takich sytuacji. To, co robimy, i tak jest niebezpieczne, nie powinniśmy się dodatkowo narażać. Nastolatkę możesz zaliczyć w dowolny dzień.

- Masz rację, to się więcej nie powtórzy. Zaparzę ci herbaty. Chyba jesteś zmęczona. - Wasilij zakrzętnął się koło samowara.

- Owszem, jestem zmęczona. Ale Ustin Bodian umiera.

- Szlag by to trafił. Na co?

- Zapalenie płuc.

Tania nie знаła osobiście Bodiana, lecz przeprowadziła z nim wywiad, zanim napisał sobie biedy. Miał nadzwyczajny talent, a poza tym był pełnym ciepła i dobroci mężczyzną. Radziecki artysta podziwiany na całym świecie, prowadzący życie człowieka uprzywilejowanego, wciąż potrafił publicznie wyrazić oburzenie z powodu niesprawiedliwości dotykającej tych, którym powiodło się gorzej niż jemu. Właśnie dlatego zesłano go na Sybir.

- Nadal zmuszają go do pracy? - spytał Wasilij.

- Nie mogą - odparła Tania, kręcąc głową. - Ale nie chcą go puścić do szpitala. Leży przez cały dzień na pryczy i jest coraz bardziej chory.

- Widziałeś się z nim?

- Cholera, nie. To, że o niego zapytałam, było samo w sobie niebezpieczne. Gdybym

wybrała się do obozu pracy, już bym stamtąd nie wyszła.

Wasilij podał jej herbatę i cukier.

- Czy on w ogóle ma jakąś opiekę lekarską?

- Nie.

- Dowiedziałaś się, ile życia mu zostało?

Tania pokręciła głową.

- Wiesz teraz tyle co ja.

- Musimy rozesłać wici.

Przyznała mu rację.

- Można go uratować tylko w jeden sposób: trzeba upublicznić wiadomość o chorobie i mieć nadzieję, że władze się zawstydzą.

- Wydajemy numer specjalny?

- Tak - potwierdziła Tania. - Jeszcze dzisiaj.

Wasilij i Tania wspólnie tworzyli nielegalny biuletyn informacyjny, któremu nadali nazwę „Niezgoda”. Donosili w nim o ingerencjach cenzury, procesach pokazowych i więzieniach politycznych. W swoim gabinecie w Radiu Moskwa Wasilij miał powielacz białkowy, zwykle wykorzystywany do kopiowania scenariuszy. Potajemnie przygotowywał na nim pięćdziesiąt odbitek każdego numeru „Niezgody”. Większość spośród tych, którzy otrzymywali egzemplarz, kopiowała go na maszynie do pisania, a nawet ręcznie, i w ten sposób nakład się rozrastał. Ta metoda publikacji nazywała się samizdatem i była szeroko rozpowszechniona, rozprawdzano w ten sposób nawet powieści.

- Ja napiszę.

Tania podeszła do szafki i wyjęła duże tekturowe pudło suchej karmy dla kota. Wsunęła ręce między grudki i sięgnęła opakowanej maszyny do pisania. Właśnie na niej tworzyli teksty do swojej gazetki.

Pisanie na maszynie przypomina ręczne. Każda ma swoje cechy charakterystyczne. Litery nigdy nie układają się idealnie równo: jedne wypadają trochę wyżej, inne są niecentryczne. Poszczególne czcionki ścierają się lub uszkodzają w specyficzny sposób. Dzięki temu policja może dopasować urządzenie do tekstu, który z niego wyszedł. Gdyby „Niezgoda” powstawała na tej samej maszynie, na której Wasilij pisał scenariusze, ktoś mógłby to zauważyć. Dlatego ukradł starego grata z działu planowania, przyniósł do domu i ukrył w karmie dla Mademoiselle, żeby nie zauważył go ktoś przypadkowy. Gdyby w mieszkaniu przeprowadzono rewizję, urządzenie na pewno zostałoby znalezione, lecz wtedy Wasilij i tak byłby skończony.

W pudle znajdowały się również arkusze specjalnego woskowanego papieru przeznaczonego do powielacza. Maszyna nie miała taśmy, czcionki przebijały papier, powielacz zaś wpuszczał atrament do otworów o kształcie liter.

Tania napisała tekst o Bodianie: stwierdzała w nim, że pierwszy sekretarz partii Nikita Chruszczow będzie ponosił osobistą odpowiedzialność, jeśli jeden z najwybitniejszych radzieckich tenorów umrze w obozie pracy. Przypomniała przebieg procesu sądowego Bodiana, którego oskarżono o działalność antyradziecką. Wspomniała o jego namiętnej obronie wolności artystycznej. By odsunąć od siebie podejrzenie, informację o chorobie śpiewaka przypisała wyimaginowanemu oficerowi KGB, który miał być miłośnikiem opery.

Skończywszy, podała Wasilijowi dwa arkusze perforowanego papieru.

- Streszczałam się - oznajmiła.

- Zwięzłość to siostra talentu, tak powiedział Czechow. - Powoli przeczytał tekst i skinął głową. - Pojadę do radia i zrobię odbitki. Później musimy je dostarczyć na plac Majakowskiego.

Tani to nie zdziwiło, ale była zaniepokojona.

- Czy to bezpieczne?

- Jasne, że nie. To wydarzenie kulturalne, którego nie organizują władze. I dlatego przysłuży się naszemu celowi.

Tego roku młodzi moskwianie zaczęli zbierać się nieoficjalnie wokół pomnika bolszewickiego poety Włodzimierza Majakowskiego. Czytali na głos wiersze, przyciągając więcej ludzi. Powstało coś w rodzaju nieustającego festiwalu poezji, niektóre utwory zawierały zawoalowaną krytykę władz.

Zjawisko takie za Stalina nie przetrwałoby dziesięciu minut, lecz Chruszczow był reformatorem. Jego program zakładał pewną dozę tolerancji w zakresie kultury i jak dotąd nie podjęto żadnych działań przeciwko odczytom poetyckim. Jednakże liberalizacja postępowała na zasadzie jeden krok w przód, dwa kroki wstecz. Brat Tani twierdził, że wszystko zależy od tego, czy Chruszczow czuje się silny politycznie, czy też napotyka na opór i obawia się przewrotu ze strony twardogłowych na Kremlu. Tak czy owak, nie dało się przewidzieć, jak postąpi władza.

Tania była za bardzo zmęczona, żeby o tym myśleć. Przyszło jej do głowy, że właściwie wszędzie jest tak samo niebezpiecznie.

- Idź do radia, a ja tymczasem się zdrzemnę.

Skierowała kroki do sypialni. Pościel była w nieładzie, zapewne Wasilij i Warwara spędzili poranek w łóżku. Naciągnęła na wierzch narzutę, zdjęła buty i położyła się.



Odczuwała wyczerpanie fizyczne i psychiczne. Bała się, a mimo to chętnie poszłaby na plac Majakowskiego. „Niezgoda” była ważnym biuletynem, choć powstawała w warunkach amatorskich i miała ograniczony nakład. Stanowiła materialny dowód na to, że władze komunistyczne nie są wszechmocne. Pokazywała dysydemtom, że nie są osamotnieni. Przywódcy religijni zmagający się z prześladowaniami czytali teksty o piosenkarzach folkowych aresztowanych za wykonywanie protest songów i vice versa. Dzięki temu każdy z nich mógł poczuć, że nie jest odosobnionym głosem w monolitycznym społeczeństwie. Opozycjoniści uświadamiali sobie, że stanowią fragment wielkiej sieci i że istnieją tysiące ludzi pragnących innej, lepszej władzy.

I właśnie oni mogli ocalić Ustina Bodiana.

Wreszcie Tanię zmorzył sen.

Zbudziła się, czując, że ktoś głaszcze ją po policzku. Otworzywszy oczy, zobaczyła, że Wasilij ułożył się obok niej.

- Odwal się - powiedziała.

- To moje łóżko.

Usiadła.

- Mam dwadzieścia dwa lata, jak na twój gust to o wiele za dużo.

- Dla ciebie zrobię wyjątek.

- Dam ci znać, kiedy będę chciała przyłączyć się do twojego haremu.

- Oddałbym wszystkie za ciebie.

- Akurat ci wierzę.

- Naprawdę.

- Może na pięć minut.

- Na zawsze.

- Wytrzymaj pół roku, to się zastanowię.

- Pół roku?

- No i widzisz? Nie potrafisz zachować czystości przez pół roku, więc jak możesz obiecywać, że będziesz ze mną na zawsze? Do licha, która godzina?

- Przespałaś całe popołudnie. Nie wstawaj. Tylko zdejmę ubranie i położę się obok.

Tania wstała.

- Musimy już iść.

Wasilij dał za wygraną. Zapewne nie mówił poważnie, czuł przymus, by składać propozycje młodym kobietom. Teraz spełnił obowiązek, więc przestanie jej się narzucać, przynajmniej przez jakiś czas. Podał Tani plik, w którym było około dwudziestu pięciu

arkuszy papieru zadrukowanych po obu stronach rzędami rozmazanych liter: były to egzemplarze najnowszego numeru „Niezgody”. Pogoda była ładna, lecz Wasilij zawiązał sobie na szyi czerwoną bawełnianą chustę, która przydawała mu artystycznego fasonu.

- No więc chodźmy - rzekł.

Tania kazała mu poczekać i poszła do łazienki. Z lustra spoglądały na nią intensywnie błękitne oczy okolone jasnymi włosami, była ostrzyżona na chłopczycę. Założyła okulary przeciwsłoneczne, by ukryć oczy, a na głowie zawiązała niepozorną brązową chustkę. Teraz nie różniła się od innych młodych kobiet.

W kuchni nałapała sobie do szklanki wody z kranu i napiła się, nie zważając na Wasilija, który niecierpliwie przytupywał czubkiem buta.

- Jestem gotowa.

Poszli na stację metra. Pociąg był wypełniony robotnikami wracającymi z zakładów. Do stacji Majakowskiego dojechali linią Zamoskworiecką. Nie zamierzali długo zabawić na placu - po rozdaniu biuletynu natychmiast się stamtąd oddalą.

- W razie czego pamiętaj, że się nie znamy - zaznaczył Wasilij.

Rozdzielili się i wyszli na górę w odstępnie pięciu minut. Słońce wisiało już nisko, letni dzień zaczynał się ochładzać.

Włodzimierz Majakowski był poetą cieszącym się międzynarodowym uznaniem, a także bolszewikiem i chlubą Związku Radzieckiego. Wysoki na sześć metrów pomnik poety wznosił się pośrodku placu nazwanego jego imieniem. Na trawie zgromadziło się kilkaset osób, przeważnie młodych. Niektórzy byli ubrani na zachodnią modłę w dżinsy i golfy. Jakiś chłopak w czapce sprzedawał wydrukowaną na powielaczu własną powieść z dziurkowanym grzbietem związanym za pomocą sznurka. Nosiła tytuł Dorastanie wspak. Długowłosa dziewczyna trzymała gitarę, ale na niej nie grała, może traktowała ją niczym dodatek do stroju taki sam jak torebka. Był tylko jeden policjant w mundurze, lecz tajniacy komicznie odróżniali się od tłumu: pomimo ciepłej pogody byli ubrani w skórzane kurtki, pod którymi ukrywali pistolety. Tania unikała ich wzroku, ponieważ w gruncie rzeczy nie budzili wesołości.

Autorzy wierszy wstawali i recytowali jeden lub dwa utwory. Przeważali mężczyźni, lecz było także parę kobiet. Chłopak z szelmowskim uśmiechem przeczytał wiersz o rolniku niezgule, który usiłował zagonić stadko gęsi; wszyscy szybko pojęli, że jest to metafora partii komunistycznej, starającej się panować nad narodem. Słuchacze zanosili się od śmiechu, nie śmiali się tylko agenci KGB, których miny zdradzały niezrozumienie.

Tania przesuwiała się mimochodem, słuchając wiersza poety, który w stylu

przypominającym futurystyczne utwory Majakowskiego wyrażał młodzieńczy gniew. Jednocześnie wyciągała z kieszeni po jednym egzemplarzu gazetki i dyskretnie wsuwała w rękę każdemu, kto miał życzliwy wyraz twarzy. Zerknęła na Wasilija, który robił to samo. Po chwili usłyszała okrzyki zatroskania i niepokoju: uczestnicy zgromadzenia zaczęli wymieniać się informacją o Bodianie. Niemal wszyscy obecni na placu wiedzieli, kim jest i dlaczego został uwięziony. Czym prędzej rozdała pozostałe egzemplarze, by zdążyć, nim milicjanci się połapią.

Jakiś krótko ostrzyżony mężczyzna wyglądający na byłego żołnierza wstał i zamiast deklamować wiersz, jął czytać na głos artykuł Tani o Bodianie. Ucieszyła się: wieść roznosiła się nadspodziewanie szybko. Rozległy się gniewne okrzyki, gdy czytający dotarł do informacji o tym, że śpiewak nie ma opieki medycznej. Tajniacy w skórzanych kurtkach wychwycili zmianę nastroju zgromadzonych ludzi i wzmoгли czujność. Jeden z nich zaczął mówić nagłym tonem do krótkofalówki.

Tania miała jeszcze pięć kopii „Niezgody”, które prawie paliły się jej w kieszeni.

Tajniacy stojący dotąd na obrzeżach tłumu ruszyli w kierunku mówcy. Zbliżali się, a on wyzywającym gestem machał egzemplarzem nielegalnego biuletynu. Część słuchaczy podeszła bliżej postumentu, chcąc utrudnić poczynania agentom KGB. Ci zaczęli się rozpychać. W taki sposób wybuchały zamieszki. Zaniepokojona Tania wycofała się ku zewnętrznemu kręgowi zgromadzenia. Miała jeszcze jeden egzemplarz gazetki. Upuściła go na ziemię.

Raptem pojawiło się pół tuzina mundurowych milicjantów. Tania nie wiedziała, skąd się wzięli. Rozejrzała się nerwowo i jej wzrok zatrzymał się na budynku po przeciwnej stronie ulicy. Funkcjonariusze wysypywali się z drzwi, zapewne ukryli się wcześniej w środku i czekali na sygnał. Dobyli pałek i wymachiwali nimi, uderzając kogo popadnie. Tania zauważyła, że Wasilij odwraca się i szybko odchodzi. Zrobiła to samo. Jakiś przerażony nastolatek wpadł na nią i przewrócił ją na ziemię.

Upadek oszołomił Tanię. Kiedy znów się rozejrzała, zobaczyła biegnących ludzi. Wstała, lecz kręciło jej się w głowie. Ktoś popchnął ją i znów się przewróciła. Nagle obok pojawił się Wasilij. Chwycił ją obiema rękami i dźwignął z ziemi. Spojrzała na niego zaskoczona: nie spodziewała się, że zaryzykuje własne bezpieczeństwo, by ją ratować.

Naraz milicjant trzasnął Wasilija pałką w głowę i ten upadł. Funkcjonariusz przyklęknął, odciągnął mu ręce do tyłu i wprawnie, szybkimi ruchami założył kajdanki. Wasilij uniósł głowę, zobaczył Tanię i ruchem ust nakazał jej: „Uciekaj!”.

Odwróciła się i rzuciła biegiem, lecz po chwili wpadła na mundurowego. Złapał ją za

ramię. Usiłowała się wyrwać.

- Puszczaj! - krzyknęła.

Milicjant mocniej zacisnął rękę.

- Jesteś aresztowana, zdziro.

## ROZDZIAŁ 6

Kremłowska sala Niny Oniłowej została nazwana na cześć kobiety obsługującej karabin maszynowy w bitwie pod Sewastopolem. Na ścianie wisiało oprawione w ramkę czarno-białe zdjęcie generała Armii Czerwonej, który kładł na jej mogile Order Czerwonego Sztandaru. Fotografia wisiała nad kominkiem z białego marmuru poplamionego niczym palce nałogowego palacza. Wszędzie widać było ozdobne reliefy okalające prostokąty jaśniejszej farby w miejscach, gdzie wisiały inne obrazy, co świadczyło o tym, że ścian nie malowano od czasów rewolucji. Może pomieszczenie było niegdyś eleganckim salonem? Teraz stały w nim proste stoliki zepchnięte razem w długi prostokąt, przy którym ustawiono około dwudziestu tanich krzesełek. Na stołach znajdowały się kamionkowe popielnice, które wyglądały tak, jakby codziennie je opróżniano, ale nigdy nie wycierano.

Do pomieszczenia wszedł Dimka Dworkin, miał zamęt w głowie i ścisnęło go w brzuchu.

Było to miejsce stałych spotkań asystentów ministrów i sekretarzy wchodzących w skład Prezydium Rady Najwyższej, ciała zarządzającego ZSRR.

Dimka był asystentem Nikity Chruszczowa, pierwszego sekretarza partii i przewodniczącego Prezydium, a mimo to czuł, że nie powinno go tam być.

Do szczytu wiedeńskiego zostało kilka tygodni. Miało to być pierwsze spotkanie Chruszczowa z nowym prezydentem USA Johnem Kennedym, wydarzenie niezwyklej wagi. Jutro, w czasie najważniejszego posiedzenia Prezydium w całym roku, przywódcy Związku Radzieckiego podejmą decyzję o strategii postępowania w czasie szczytu. Asystenci zebrali się, żeby przygotować się do obrad. Była to narada, w czasie której miano zdecydować o przebiegu innego, donioślejszego spotkania.

Przedstawiciel Chruszczowa powinien zaprezentować linię przywódcy, dzięki czemu pozostali asystenci będą mogli przygotować swoich pryncypałów na jutrzejsze obrady. Drugie, niewyrażone wprost zadanie Dimki polegało na wykryciu potencjalnych punktów oporu wobec koncepcji Chruszczowa i, jeśli to możliwe, zdławieniu ich. W istocie miał postarać się, by jutrzejsze posiedzenie przebiegło bez zakłóceń i po myśli pierwszego sekretarza.

Dimka znał zamysły Nikity Chruszczowa w odniesieniu do szczytu, a mimo to czuł, że nie sprostą zadaniu. Był najmłodszym i najmniej doświadczonym z asystentów Chruszczowa. Dopiero rok temu skończył uczelnię. Nigdy wcześniej nie uczestniczył w naradzie przed

posiedzeniem Prezydium Rady Najwyższej, gdyż był zbyt młody. Jednak przed dziesięcioma minutami jego sekretarka Wiera Pletner poinformowała go, że starszy asystent zachorował, a dwaj inni mieli wypadek samochodowy. Dimka musiał ich zastąpić.

Posadę asystenta pierwszego sekretarza otrzymał z dwóch powodów. Pierwszy był taki, że plasował się na czele wszystkich klas i grup, do których uczęszczał od przedszkola do uniwersytetu. Po drugie, jego wuj był generałem. Dimka nie potrafił ocenić, który powód ma większą wagę.

Światu zewnętrznemu Kreml prezentował się jako monolit, lecz w istocie stanowił pole bitwy. Władza Chruszczowa nie była mocna. Ten komunista z krwi i kości dostrzegł niedomogi radzieckiego systemu i chciał wdrożyć nowe pomysły. Jednakże starzy staliniści na Kremlu jeszcze się nie poddali. Tylko czekali na okazję, by osłabić pozycję pierwszego sekretarza i cofnąć jego reformy.

Narada była nieoficjalna - asystenci zdjęli marynarki i rozluźnili krawaty. Rozmawiali, popijając herbatę albo paląc papierosy. Większość była płci męskiej, lecz nie wszyscy. Dimka wypatrzył twarz życzliwej osoby: Natalii Smotrowej, asystentki ministra spraw zagranicznych Andrieja Gromyki. Dwudziestokilkuletnia kobieta wyglądała atrakcyjnie, mimo że miała na sobie nieefektowną czarną sukienkę. Dimka nie znał dobrze Natalii, ale kilkakrotnie z nią rozmawiał. Usiadł obok. Spojrzała na niego ze zdziwieniem.

- Konstantinow i Pajarij mieli wypadek - wyjaśnił.
- Ranni?
- Niezbyt poważne.
- Co z Alkajewem?
- Zachorował na półpasiec.
- Paskudna sprawa. A więc reprezentujesz pierwszego sekretarza.
- I mam pietra.
- Będzie dobrze.

Rozejrzał się. Wydawało się, że wszyscy obecni na coś czekają.

- Kto przewodniczy tej naradzie? - spytał cicho Natalię.

Usłyszał go Jewgienij Filipow, asystent konserwatywnie nastawionego ministra obrony Rodiona Malinowskiego. Trzydziestokilkuletni mężczyzna ubierał się, jakby był dużo starszy: miał na sobie workowaty garnitur z okresu powojennego i szarą flanelową koszulę. Głośno, karcącym tonem powtórzył pytanie Dimki:

- Kto przewodniczy tej naradzie? Ty, oczywiście. Jesteś asystentem szefa Prezydium, tak czy nie? No to do roboty, studenciku.

Dimka poczuł, że się czerwieni. Przez chwilę brakowało mu słów. Potem doznał olśnienia.

- Dzięki wspaniałemu lotowi kosmicznemu majora Jurija Gagarina towarzyszy Chruszczow pojedzie do Wiednia, mając w uszach słowa gratulacji narodów całego świata.

Miesiąc wcześniej Gagarin jako pierwszy człowiek wyleciał rakieta w przestrzeń kosmiczną, zaledwie o kilka tygodni wyprzedzając Amerykanów. Był to oszałamiający triumf naukowy i propagandowy Związku Radzieckiego i Nikity Chruszczowa.

Zebrani przy stole asystenci zaczęli klaskać, samopoczucie Dimki się poprawiło.

Głos ponownie zabrał Filipow:

- Dla pierwszego sekretarza byłoby lepiej, gdyby w uszach dźwięczało mu przemówienie inauguracyjne prezydenta Kennedy'ego. - Wydawało się, że Filipow nie potrafi wypowiadać się bez drwiącego tonu. - W razie gdyby zebrani tutaj towarzysze zapomnieli, Kennedy oskarżył nas, że dążymy do dominacji nad światem, i poprzysiągł powstrzymać nas za wszelką cenę. Wykonaliśmy tak wiele przyjaznych gestów, zdaniem niektórych doświadczonych towarzyszy nieroztropnie, a Kennedy bardzo jasno wyraża swoje agresywne zamiary. - Filipow uniósł palec niczym nauczyciel w szkole. - Możemy na to odpowiedzieć tylko w jeden sposób: zwiększeniem potęgi wojskowej.

Dimka dopiero obmyślał ripostę, kiedy uprzedziła go Natalia:

- Tego wyścigu nie zdołamy wygrać - oznajmiła lekkim rzeczowym tonem. - Stany Zjednoczone są bogatsze od Związku Radzieckiego i jeśli powiększymy siłę armii, z łatwością mogą nam pod tym względem dorównać.

Dimka doszedł do wniosku, że Natalia ma więcej rozsądku niż jej twardogłowy szef. Spojrzał na nią z wdzięcznością.

- Właśnie dlatego towarzyszy Chruszczow stawia na pokojowe współistnienie, które pozwoli nam wydawać mniej na zbrojenia, a inwestować w rozwój rolnictwa i przemysłu.

Zwolennicy twardej linii na Kremlu z nienawiścią myśleli o pokojowym współistnieniu. W ich pojęciu konflikt z kapitalizmem i imperializmem oznaczał walkę na śmierć i życie.

Kątem oka Dimka zobaczył, że do sali wchodzi jego sekretarka Wiera. Była to inteligentna, energiczna kobieta w wieku czterdziestu lat. Odprawił ją machnięciem ręki.

Filipow nie dawał za wygraną.

- Nie powinniśmy patrzeć naiwnie na globalną politykę i pozwalać sobie na redukcję naszej armii - rzekł z przyganą. - Trudno uznać, że wygrywamy na scenie międzynarodowej. Chińczycy rzucają nam wyzwanie. To osłabia naszą pozycję w Wiedniu.

Dlaczego Filipow tak usilnie dąży do tego, by Dimka wyszedł na głupca? Naraz Dimka

przypomniał sobie, że asystent Malinowskiego ubiegał się o stanowisko w biurze Chruszczowa, właśnie to, które przypadło jemu.

- Klęska w Zatoce Świń osłabiła Kennedy'ego - zauważył Dimka. Amerykański prezydent zatwierdził opracowany przez CIA plan inwazji na Kubę. Operacja zakończyła się fiaskiem i Kennedy został upokorzony. - Uważam, że pozycja naszego przywódcy jest teraz mocniejsza.

- Mimo to Chruszczow poniósł porażkę... - Filipow zamilkł, zorientowawszy się, że posunął się za daleko. W czasie wstępnych narad pozwalano sobie na szczerość, lecz tylko w określonych granicach.

Dimka postanowił wykorzystać chwilę słabości przeciwnika.

- W czym Chruszczow poniósł porażkę, towarzyszu? - spytał. - Oświeć nas, proszę.

Filipow szybko się poprawił.

- Nie zdołaliśmy osiągnąć głównego celu naszej polityki zagranicznej, którym jest trwałe unormowanie sytuacji Berlina. Niemcy Wschodnie to nasza wysunięta placówka w Europie. Zabezpieczają granice Polski i Czechosłowacji. Ta sprawa musi zostać uregulowana.

- No dobrze - zgodził się Dimka, ze zdziwieniem słysząc nutę pewności w swoim głosie. - Sądzę, że wystarczy na dziś dyskusji o ogólnych zasadach. Zanim zamknę posiedzenie, przedstawię aktualny pogląd pierwszego sekretarza na tę kwestię.

Filipow otworzył usta, by wyrazić sprzeciw wobec nagłego zakończenia narady, lecz Dimka nie pozwolił mu dojść do słowa:

- Towarzysze będą zabierali głos po zaproszeniu przewodniczącego narady - oznajmił szorstkim tonem i wszyscy zamilkli. - W Wiedniu Chruszczow oświadczył Kennedy'emu, że nie możemy dłużej zwlekać. Przedłożyliśmy Amerykanom rozsądne propozycje uregulowania sytuacji w Berlinie i wciąż słyszymy, że nie chcą żadnych zmian. - Kilku uczestników narady pokiwało głowami. - Jeśli nie przystaną na plan przedstawiony przez Chruszczowa, podejmiemy jednostronne działania. A jeżeli Amerykanie spróbują nas powstrzymać, na siłę odpowiemy siłą.

Nastąpiła dłuższa chwila ciszy. Dimka wykorzystał to i wstał.

- Dziękuję towarzyszom za udział w naradzie.

Natalia wypowiedziała na głos wątpliwość nurtującą wszystkich:

- Czy to oznacza, że z powodu Berlina jesteśmy gotowi pójść na wojnę z Amerykanami?

- Pierwszy sekretarz nie uważa, by doszło do wojny - odparł Dimka, powtarzając wymijającą odpowiedź, której udzielił mu Chruszczow. - Kennedy nie jest szaleńcem.



Odchodząc od stołu, zauważył spojrzenie Natalii, w którym zdumienie mieszało się z podziwem. Nie mógł uwierzyć, że zachował się tak bezkompromisowo. Nigdy nie był potulny, lecz tutaj miał do czynienia z grupą wpływowych i inteligentnych ludzi i zdołał ich poskromić. Pomogło mu w tym stanowisko: mimo że był nowicjuszem, biurko w kwatrze pierwszego sekretarza dawało władzę. I paradoksalnie wrogość Filipowa przysłużyła się Dimce. Wszyscy mogli sympatyzować z tym, który daje zdecydowany odpór urzędnikowi kwestionującemu pozycję przywódcy.

Wiera czekała w przedsionku. Była doświadczoną asystentką polityczną i bez powodu nie ulegała panice. Nagle Dimkę tknęło złe przeczucie.

- Chodzi o moją siostrę, prawda?

Wiera aż się przeraziła. Otworzyła szeroko oczy.

- Jak ty to robisz? - spytała z podziwem.

Nie było w tym nic nadprzyrodzonego. Dimka od pewnego czasu spodziewał się, że Tania wpadnie w jakąś kabałę.

- Co zmalowała?

- Aresztowali ją.

- Niech to diabli.

Wiera wskazała telefon na małym stoliku. Dimka podniósł słuchawkę zdjętą z widełek. Dzwoniła jego matka Ania.

- Tania jest na Łubiance! - powiedziała. Siedziba KGB mieściła się przy placu Łubiańskim. Matka była bliska hysterii.

On zaś nie czuł się zaskoczony. Tak samo jak siostra bliźniaczka uważał, że wiele spraw w Związku Radzieckim toczy się w złym kierunku. Jednak Dimka był zdania, że potrzebne są reformy, ona natomiast sądziła, że należy odrzucić komunizm. Wiedli spór intelektualny, który jednak nie zmieniał faktu, że darzyli się uczuciem. Byli dla siebie najlepszymi przyjaciółmi od zawsze.

Dimka wiedział, że do aresztu można trafić nawet za to, że myśli się tak jak Tania - była to jedna z ciemnych stron Związku Radzieckiego.

- Uspokój się, mamó, wydobędę ją stamtąd - obiecał. Miał nadzieję, że zdoła sprostać temu zapewnieniu. - Wiesz, co się stało?

- Było jakieś spotkanie poetyckie, doszło do zamieszek!

- Na pewno poszła na plac Majakowskiego. Jeśli tylko tyle... - Nie wiedział o wszystkich poczynaniach siostry, ale podejrzewał ją o coś więcej niż uczestnictwo w spotkaniu poetów.

- Dimka, musisz coś zrobić! Zanim tamci...

- Wiem. - Matka chciała powiedzieć: Zanim zaczną ją przesłuchiwać. Dimka poczuł dreszcz strachu, jakby przesunął się nad nim groźny cień. Perspektywa przesłuchań w okrytych najgorszą sławą kazamatach siedziby KGB napawała trwogą każdego radzieckiego obywatela.

W pierwszej chwili pomyślał, że powinien zatelefonować, doszedł jednak do wniosku, że to nie wystarczy. Musi udać się tam osobiście. Zawahał się: gdyby ktoś dowiedział się, że poszedł na Łubiankę po to, by wydostać siostrę, mogłoby to zagrozić jego karierze. Ale rozterka trwała tylko chwilę. Tania miała pierwszeństwo przed nim, Chruszczowem i całym Związkiem Radzieckim.

- Idę tam, mam - oznajmił. - Zadzwoń do wujka Wołodii i opowiedz mu o wszystkim.

- O tak, to dobry pomysł! Mój brat będzie wiedział, co zrobić.

Dimka odłożył słuchawkę.

- Dzwoń na Łubiankę - polecił Wierze. - Powiedz im, że telefonujesz z biura pierwszego sekretarza, który dowiedział się o aresztowaniu czołowej dziennikarki Tani Dworkinej i jest zaniepokojony. Dodaj, że w drodze do nich jest asystent towarzysza Chruszczowa, chce zadać im parę pytań i do chwili jego przybycia mają się wstrzymać od wszelkich działań.

Sekretarka notowała.

- Czy wezwać samochód?

Łubianka znajdowała się niespełna dwa kilometry od kompleksu kremłowskiego.

- Na dole mam motocykl, tak będzie szybciej. - Dimka był szczęśliwym posiadaczem woschoda 175 z pięciobiegową skrzynią biegów i dwiema rurami wydechowymi.

Przewidział, co paradoksalne, że siostra wpadnie w kłopoty, ponieważ przestała mu o wszystkim mówić. Zwykle nie mieli przed sobą żadnych sekretów. Dzielili się sprawami, o których nie mówili nikomu więcej. Kiedy nie było matki, Tania chodziła po mieszkaniu nago, na przykład gdy potrzebowała wyjąć z szafy czystą bieliznę, a Dimka sikał w łazience, nie zamykając drzwi. Koledzy Dimki pokpiwali czasem, że łączący ich związek ma charakter erotyczny, lecz w gruncie rzeczy było odwrotnie: mogli być ze sobą tak blisko właśnie dlatego, że traktowali się aseksualnie.

Jednak w ciągu minionego roku zorientował się, że siostra coś przed nim ukrywa. Nie wiedział, co to jest, ale mógł się domyślić. Nie chodziło o chłopaka, tego był pewny: zwierzali się sobie ze swojego życia emocjonalnego, dzielili się spostrzeżeniami i odczuciami. Prawie na pewno w grę wchodziła polityka. Jedynym powodem, dla którego Tania coś przed

nim zatajała, była troska o brata.

Podjechał pod tchnący grozą budynek, pałac z żółtej cegły wzniesiony przed rewolucją, który stanowił wówczas siedzibę towarzystwa ubezpieczeniowego. Na samą myśl o tym, że siostra jest w nim więziona, zrobiło mu się słabo. Przez chwilę bał się, że zwymiotuje.

Postawił motocykl na wprost głównego wejścia, zebrał się w sobie i wszedł do środka.

Był tam już szef Tani, redaktor Danił Antonow, spierał się o coś z kagiebiwą w holu. Antonow był niewysoki i drobnej budowy, Dimka uważał go za niegroźnego, teraz jednak emanowały z niego pewność siebie i zdecydowanie.

- Chcę się zobaczyć z Tanią Dworkiną, teraz, w tej chwili - oświadczył.

Wyraz twarzy funkcjonariusza KGB przywodził na myśl upartego muła.

- To niemożliwe.

Do rozmowy wtrącił się Dimka:

- Jestem z biura pierwszego sekretarza.

Na kagiebiście nie zrobiło to wrażenia.

- I co tam porabiasz, synku? Pewnie parzysz herbatkę. Jak się nazywasz?

Pytanie miało zastraszyć rozmówcę, ludzie bali się podawać nazwisko funkcjonariuszom bezpieczeństwa.

- Dmitrij Dworkin. Mam wam przekazać, że towarzysz Chruszczow osobiście interesuje się tą sprawą.

- Spieprzaj, Dworkin - odrzekł kagiebista. - Towarzysz Chruszczow nic o tej sprawie nie wie. Przychodisz, żeby wyciągnąć siostrę z kłopotów.

Pewność siebie i opryskliwość mężczyzny zaskoczyły Dimkę. Podejrzewał, że wielu takich, którzy usiłovali wydobyć z Łubianki krewnych bądź przyjaciół, powoływało się na osobiste powiązania z wpływowymi ludźmi. On jednak ponowił atak.

- Jak wasze nazwisko?

- Jestem kapitan Mec.

- Jakie zarzuty stawiacie Tani Dworkinie?

- Napaść na oficera.

- Czyżby dziewczyna poturbowała draba w skórzanej kurtce? - rzucił drwiąco Dimka. - Najpierw musiałyby odebrać mu broń. Dajcie spokój, Mec, nie bądźcie durniem.

- Brała udział w wywrotowym zgromadzeniu, rozprowadzano antysowieckie pisma. - Mec podał Dimce pognieciony arkusz papieru. - Uczestnicy okazali niesubordynację.

Dimka spojrział na kartkę. W nagłówku widniała nazwa „Niezgoda”. Słyszał o tym nielegalnym biuletynie. To było jasne, że Tania mogła mieć z nim coś wspólnego. Numer

poświęcony był śpiewakowi operowemu Ustinowi Bodianowi. Szokujące doniesienie o tym, że Bodian umiera na zapalenie płuc w syberyjskim obozie pracy, na chwilę odwróciło uwagę Dimki od aktualnych spraw. Raptem przypomniał sobie, że Tania właśnie wróciła z Syberii, i już wiedział, że to ona jest autorką artykułu. Ta sprawa mogła się dla niej skończyć naprawdę źle.

- Sugerujecie, że Tania miała w posiadaniu ten papier? - dociekał. Mec się zawahał, więc Dimka dodał szybko: - Sądzę, że nie.

- Nie powinna tam przebywać - upierał się mężczyzna.

- Jest reporterką, durniu - wtrącił się Danił. - Obserwowała zdarzenie tak samo jak wasi funkcjonariusze.

- Ona nie jest funkcjonariuszką.

- Wszyscy reporterzy TASS współpracują z KGB, wiecie o tym.

- Nie możecie udowodnić, że była tam oficjalnie.

- Tak, mogę. Jestem redaktorem, to ja ją tam skierowałem.

Dimka wątpił, czy to prawda. Był wdzięczny Daniłowi, że nadstawia karku w obronie Tani.

Mec tracił pewność siebie.

- Była w towarzystwie niejakiego Wasilija Jenkowa, który miał w kieszeni pięć egzemplarzy gazetki.

- Tania nie zna człowieka o takim nazwisku - zapewnił Dimka. To mogła być prawda, skoro on, jej brat bliźniak, z pewnością nigdy o nim nie słyszał. - Jeśli powstało zamieszanie, skąd możecie wiedzieć, z kim była?

- Muszę porozmawiać z przełożonymi - oznajmił Mec i odwrócił się.

- Tylko niech to nie trwa zbyt długo - warknął Dimka. - Bo z Kremla może się tutaj pofatygować ktoś inny niż chłopiec od parzenia herbatki.

Mec zszedł schodami w dół i na ten widok Dimka zadrżał. Wszyscy wiedzieli, że w podziemiu znajdują się pokoje przesłuchań.

Po chwili do Dimki i Daniła podszedł starszy mężczyzna z papierosem zwisającym z kącika ust. Miał brzydką mięsistą głowę ze sterczącym podbródkiem sugerującym agresywność. Danił nie ucieszył się na jego widok. Przedstawił go Dimce jako Piotra Opotkina, redaktora naczelnego.

Opotkin spojrzał na Dimkę, mrużąc oczy z powodu dymu.

- A więc twoją siostrę aresztowali za uczestnictwo w antyradzieckim zgromadzeniu - odezwał się gniewnym tonem. Dimka wyczuł, że z jakiegoś powodu Opotkin odczuwa

satysfakcję.

- Deklamowano tam wiersze - sprostował.

- Niewielka różnica.

- Ja ją tam wysłałem - wtrącił się Danił.

- W dniu, w którym wróciła z Syberii? - spytał z niedowierzaniem Opotkin.

- To nie było oficjalne polecenie. Zasugerowałem, że może by tam poszła i zorientowała się w sytuacji.

- Nie kłam - burknął Opotkin. - Gadasz tak, bo chcesz ją chronić.

Danił uniósł głowę i rzucił mu wyzywające spojrzenie.

- A ty nie po to przyszedłeś?

Zanim zapytany zdążył odpowiedzieć, wrócił kapitan Mec.

- Sprawa jest nadal rozpatrywana.

Opotkin przedstawił się i wylegitymował.

- Kwestia nie polega na rozstrzygnięciu, czy Tania Dworkina powinna ponieść karę, tylko na określeniu jej wymiaru.

- Otóż to - przytaknął z szacunkiem Mec. - Zechcecie pójść ze mną?

Naczelný skinął głową i oficer poprowadził go schodami w dół.

- Chyba nie pozwoli im jej torturować? - spytał cicho Dimka.

- Opotkin już wcześniej wściekł się na Tanię - odparł zmartwiony Danił.

- Dlaczego? Zdawało mi się, że dobra z niej dziennikarka.

- Świetna, ale odrzuciła zaproszenie na jego sobotnie przyjęcie. Ciebie też chciał zaprosić. Piotr bardzo lubi ważnych ludzi. Lekceważenie traktuje jak wielką obrazę.

- Niech to szlag.

- Mówiłem jej, że powinna się zgodzić.

- Naprawdę wysłałeś ją na plac Majakowskiego?

- Ależ skąd, nie ma szans, by puścić materiał o nielegalnym zgromadzeniu.

- Dziękuję, że starasz się jej bronić.

- To nic takiego, zresztą obawiam się, że niewiele wskórałem.

- Jak sądzisz, co będzie?

- Mogą ją wyrzucić z posady. Bardziej prawdopodobne, że oddelegują w jakieś nieprzyjemne miejsce, na przykład do Kazachstanu. - Danił ściągnął brwi. - A ja muszę wymyślić kompromisowe rozwiązanie, które zadowoli Opotkina, ale nie będzie zbyt dotkliwe dla Tani.

Dimka zerknął na drzwi wejściowe. Pojawił się w nich czterdziestokilkuletni

mężczyzna z włosami ostrzyżonymi na wojskową modłę prawie do skóry. Miał na sobie mundur generalski.

- Nareszcie, wujku.

Wołodia Peszkow miał niebieskie oczy podobne do oczu Tani i takie samo intensywne spojrzenie.

- Co tu się narobiło? - rzucił gniewnie.

Dimka zrelacjonował przebieg wydarzeń. Właśnie kończył, gdy pojawił się Opotkin.

- Towarzyszu generale - rzekł konfidencyjnym tonem do Wołodii. - Omówiłem kwestię waszej siostrzenicy z naszymi przyjaciółmi z KGB. Zgodzili się, żebym potraktował sprawę jako problem wewnętrzny TASS i sam ją rozwiązał.

Dimka poczuł wielką ulgę. Nagle zdał sobie sprawę, że być może Opotkin specjalnie poprowadził sprawę tak, by wyjść na tego, który wyświadczył przysługę generałowi.

- Pozwólcie sobie coś zasugerować - odparł Peszkow. - Można uznać przewinienie za poważne i nikogo nie obarczać winą, a potem przenieść Tanię na inne stanowisko.

O takiej właśnie karze wspomniał przed chwilą Danił.

Opotkin skinął z namysłem głową, jakby to rozważał. Dimka był pewien, że skwapliwie przystanie na każdą sugestię generała Peszkowa.

- Można ją wysłać na placówkę zagraniczną - zasugerował Danił. - Tania zna niemiecki i angielski.

Dimka miał świadomość, że dziennikarz przesadza. Tania uczyła się w szkole obu języków, to jednak nie znaczyło, że się nimi posługuje. Danił usiłował uchronić podopieczną przed zsyłką na zapadłą prowincję Związku Radzieckiego.

- Nadal mogłaby pisać materiały do mojego działu - dodał Danił. - Wolałbym jej nie tracić, jest zbyt dobrą dziennikarką.

Opotkin spojrzał na niego z powątpiewaniem.

- Nie możemy wysłać jej do Londynu czy Bonn. To byłaby nagroda.

Miał słuszość. Przydziały do krajów kapitalistycznych były wysoko cenione. Wiązały się z nimi ogromne diety na utrzymanie i choć nie można było za nie kupić tyle, ile w ZSRR, obywatele radzieccy żyli na Zachodzie o wiele lepiej niż w ojczyźnie.

- Może do Berlina albo Warszawy - odpowiedział generał.

Opotkin skinął głową. Przeniesienie do innego kraju komunistycznego już bardziej przypominało karę.

- Rad jestem, że udało się nam rozwiązać ten problem - podsumował Peszkow.

- W sobotę wieczorem wydaję przyjęcie - rzucił Opotkin do Dimki. - Może byś

przyszedeł?

Dimka domyślił się, że to oznacza dobiecie targu. Skinął głową.

- Tania mi o tym wspomniała - oświadczył z udawaną radością. - Przyjdziemy oboje.

Opotkin się rozpromienił.

- Tak się składa, że wiem o jednym wakacie w kraju komunistycznym - dodał Danił. -

Musimy tam kogoś pilnie wysłać. Tania mogłaby wyjechać nawet jutro.

- Gdzie to jest? - zaciekał się Dimka.

- Na Kubie.

- To jest do przyjęcia - odrzekł Opotkin, wyraźnie teraz uradowany.

Lepsze to niż Kazachstan, pomyślał Dimka.

W holu pojawił się Mec, obok niego szła Tania. Dimce aż skoczyło serce z radości: jego siostra była blada i wylękniona, ale nie miała żadnych obrażeń. Mec odezwał się tonem, w którym dał się słyszeć szacunek, a jednocześnie wyzwanie; tak szczeka przestraszony pies.

- Pozwolę sobie zasugerować, by młoda towarzyszka Tania na przyszłość trzymała się z daleka od odczytów poetyckich.

Wujek Wołodia wyglądał, jakby miał ochotę udusić durnia, ale powiedział z uśmiechem:

- To bez wątpienia roztropna rada.

Wyszli z budynku, na dworze było już ciemno.

- Mam motor, odwiozę cię do domu - zaproponował Dimka.

- Tak, proszę - odparła Tania. Było widać, że zależy jej na rozmowie z bratem.

Wujek Wołodia nie umiał czytać w jej myślach tak dobrze jak Dimka.

- Pozwól odwieźć się samochodem. Jesteś zbyt roztrzęsiona na przejażdżkę motorem.

- Dziękuję, wujku, ale pojedę z Dimką.

Nieco zaskoczony generał wzruszył ramionami i wsiadł do czekającej limuzyny ZIŁ.

Danił i Piotr pożegnali się i odeszli.

Kiedy tylko zniknęli, Tania odwróciła się do brata. Z jej oczu wycierał strach.

- Wspomnieli coś o Wasiliju Jenkowie?

- Tak, że z nim byłaś. To prawda?

- Tak.

- Cholera. Ale on chyba nie jest twoim chłopakiem?

- Nie. Wiesz, co się z nim stało?

- Miał w kieszeni pięć egzemplarzy „Niezgody”, więc nieprędko wyjdzie z Łubianki, nawet jeśli ma wysoko postawionych przyjaciół.

- Szlag! Myślisz, że będą go przesłuchiwali?  
- Jestem tego pewny. Będą chcieli wiedzieć, czy tylko rozprowadza biuletyn, czy go wydaje. To drugie przestępstwo byłoby o wiele poważniejsze.

- Przeszukają mieszkanie?  
- Oczywiście, w przeciwnym wypadku popełniliby zaniedbanie. Czemu pytasz? Co tam znajdują?

Tania rozejrzała się, w pobliżu nikogo jednak nie było. Mimo to ściszyła głos.

- Maszynę, na której pisana jest „Nieżgoda”.  
- Wobec tego cieszę się, że Wasilij nie jest twoim chłopakiem, bo następnych dwadzieścia pięć lat spędzi na Syberii.

- Nie mów tak!

Dimka zmarszczył czoło.

- Hm, widzę, że nie jesteś w nim zakochana, ale... nie jest ci całkowicie obojętny.  
- To dzielny człowiek i wspaniały poeta, nie romansujemy jednak ze sobą. Nigdy go nawet nie pocałowałam. Jest jednym z tych, którzy muszą mieć wiele kobiet.

- Wypisz wymaluj mój przyjaciel Walentin. - Walentin Lebiediew, z którym w czasie studiów Dimka mieszkał w jednym pokoju, był prawdziwym donżuanem.

- Właśnie tak.

- A więc... To dla ciebie bardzo ważne, że agenci KGB znajdą maszynę w mieszkaniu Wasilija?

- Bardzo. Razem wydawaliśmy „Nieżgodę”, to ja napisałam dzisiejszy numer.

- Niech to szlag, tego się bałam. - Teraz Dimka już znał sekret, który siostra ukrywała przed nim od roku.

- Musimy natychmiast pójść do jego mieszkania, zabrać stamtąd maszynę i pozbyć się jej - oznajmiła.

Dimka cofnął się o krok.

- Nie ma mowy, zapomnij o tym.

- Musimy!

- Nie. Dla ciebie zrobię wszystko i mógłbym wiele zaryzykować dla faceta, którego kochasz, ale dla tego Jenkowa nie będę nadstawiał głowy. Kurwa mać, możemy wylądować na Syberii.

- W takim razie sama to zrobię.

Dimka ściągnął brwi, jakby oceniał zagrożenie związane z taką akcją.

- Kto jeszcze wie o tobie i Wasiliju?



- Nikt, zachowywaliśmy ostrożność. Kiedy do niego szłam, sprawdzałam, czy ktoś mnie nie śledzi. Nigdy się nie spotykaliśmy w miejscach publicznych.

- A więc śledztwo nie doprowadzi KGB do ciebie.

Zawahała się i Dimka zrozumiał, w jak głębokie bagno oboje się wpakowali.

- No co?

- To zależy od tego, jak bardzo będą dociekliwi.

- Dlaczego?

- Dzisiaj rano, kiedy poszłam do Wasilija, była u niego pewna dziewczyna, Warwara.

- O kurwa.

- Akurat wychodziła, nie zna mojego nazwiska.

- Jeśli kagiebiści pokażą jej zdjęcia osób aresztowanych na placu Majakowskiego, rozpozna cię?

Tania była wyraźnie zafrasowana.

- Dokładnie mnie zlustrowała, od stóp do głów, myślała, że mogę być jej rywalką. Tak, rozpoznałaby moją twarz.

- Boże drogi, w takim razie musimy zabrać stamtąd tę maszynę. Jeżeli jej nie będzie, pomyślą, że Wasilij tylko rozdawał gazetkę, i nie będą tropili każdej jego siksy, zwłaszcza jeśli jest ich tak wiele. Może ci się upiecze. Ale gdy znajdą maszynę, jesteś skończona.

- Zrobię to sama. Masz rację, nie mogę cię narażać.

- A ja nie mogę zostawić cię samej w niebezpieczeństwie - odparł Dimka. - Gdzie to jest?

Podawała mu adres.

- Niedaleko. Wsiadaj. - Zapalił motocykl.

Tania zawahała się, a potem usiadła za bratem.

Dimka włączył reflektor i ruszył.

Zastanawiał się, czy agenci KGB już są w mieszkaniu Wasilija. Doszedł do wniosku, że to możliwe, ale mało prawdopodobne. Jeśli zgarnęli czterdzieści czy pięćdziesiąt osób, przez większość nocy będą przeprowadzali wstępne przesłuchania, spisywali nazwiska i adresy, a potem decydowali, na kim się skupić. Mimo to należało zachować ostrożność.

Dotarliszy do adresu podanego przez Tanię, przejechał bez zwalniania. Blask ulicznych latarni wydobywał z cienia wielkie dziewiętnastowieczne gmaszysko. Wszystkie budynki tego rodzaju zostały zamienione w siedziby urzędów lub podzielone na kwatery mieszkalne. Przed wejściem nie stały samochody, nie czaili się kagiebiści w skórzanych kurtkach. Dimka objechał cały kwartał i nie wypatrzył niczego podejrzanego. Zatrzymał motor kilkaset metrów

od drzwi pałacu.

Zsiedli z motocykla i ruszyli w stronę budynku. Jakaś kobieta, która wyprowadzała psa na spacer, powiedziała „Dobry wieczór” i poszła dalej. Weszli do środka.

Przedsiónek musiał być kiedyś imponujący. Teraz spękaną i podrapaną marmurową posadzkę oświetlała jedna żarówka. W balustradzie wspinających schodów brakowało kilkunastu tralek.

Wspięli się po stopniach. Tania wyjęła z torebki klucz i otworzyła mieszkanie, a kiedy znaleźli się w środku, zamknęła drzwi.

Skierowała się do dużego pokoju. Bura kotka obserwowała ich z obawą. Tania wyjęła z szafki okazałe pudło, wypełnione do połowy kostkami kocięj karmy. Pogrzebała w nich i wydobyla opakowaną maszynę do pisania. Potem wyjęła jeszcze plik arkuszy.

Podarła je, wrzuciła do kominka i podpaliła zapałką. Dimka patrzył na płomień.

- Dlaczego, u diabła, ryzykujesz wszystko dla daremnego protestu? - zapytał gniewnie.

- W naszym kraju panuje bezwzględna tyrania. Musimy coś zrobić, by podtrzymać nadzieję.

- W naszym kraju rozwija się komunizm - odparował Dimka. - To trudne zadanie, zmagamy się z przeciwnościami. A ty powinnaś pomagać je przewycięzać, zamiast siać niepokój.

- Jak można rozwiązywać trudności, skoro nikomu nie wolno o nich mówić?

- Na Kremlu stale je omawiamy.

- Ta sama garstka mężczyzn o ciasnych poglądach zawsze dochodzi do wniosku, by nie dokonywać żadnych poważnych zmian.

- Nie wszyscy mają ciasne poglądy. Niektórzy wiele robią, by coś zmienić. Daj nam czas.

- Od rewolucji minęło czterdzieści lat. Ile czasu potrzebujecie, by przyznać, że komunizm poniósł klęskę?

Arkusze papieru szybko obróciły się w czarny popiół. Dimka spojrział na siostrę z frustracją.

- Spieraliśmy się o to chyba tysiąc razy. A teraz lepiej zbierajmy się stąd. - Dźwignął maszynę.

Tania wzięła kotkę i wyszli.

W holu zobaczyli mężczyznę z aktówką. Mijając rodzeństwo na schodach, skinął głową. Dimka miał nadzieję, że w mdłym świetle nie zobaczył dokładnie twarzy jego i siostry.

Tania postawiła zwierzaka na chodniku.

- Teraz zostajesz sama, Mademoiselle.

Kotka oddaliła się z demonstracyjną pogardą.

Rodzeństwo skierowało się ku skrzyżowaniu. Dimka bezskutecznie usiłował ukryć maszynę pod kurtką. Wszedł księżyc i było ich wyraźnie widać na ulicy. Dotarli do motoru.

Dimka podał siostrze maszynę.

- Jak chcesz się jej pozbyć? - spytał szeptem.

- Rzeka?

Pomyślał chwilę i przypomniał sobie ustronne miejsce, w którym w czasach studenckich bywał z kolegami, spędzali tam całe noce przy wódce.

- Wiem gdzie.

Wsiedli na motor i Dimka skierował się na południe. Miejsce, do którego zmierzał, leżało na peryferiach. Dzięki temu zmniejszała się szansa, że ktoś ich zauważy.

Jechał szybko dwadzieścia minut i zatrzymał się przed monastylem Pieriewińskim.

Zabytkowy kompleks ze wspaniałą cerkwią Mikołaja Cudotwórcy był teraz ruiną, niezamieszkaną od dziesięcioleci i ogołoconą ze skarbów. Leżał na pasie ziemi, który ciągnął się między linią kolejową prowadzącą na południe i rzeką Moskwą. Pobliskie pola zamieniono w plac budowy, na którym miały stanąć mieszkalne wysokościowce, lecz wieczorem teren był opustoszały.

Dimka wprowadził motocykl między drzewa i postawił go, a potem przez zarośla powiódł siostrę ku ruinom monastyru. Księżyc zalewał opuszczone budowle niesamowitą bladą poświatą. Cebulkowate kopuły cerkwi zapadały się, lecz pokryte zieloną dachówką zabudowania klasztoru w większości się zachowały. Dimka nie mógł się pozbyć uczucia, że przez strzaskane szyby w oknach obserwują go pokolenia zakonników.

Kroczył po podmokłym terenie w stronę rzeki.

- Skąd znasz to miejsce? - spytała Tania.

- Przychodziliśmy tu w czasach studenckich. Piliśmy i oglądaliśmy wschód słońca.

Dotarli do brzegu. Było tam szerokie zakole rzeki, leniwie płynąca woda wydawała się w blasku księżyca wyjątkowo spokojna. Jednak Dimka wiedział, że jest wystarczająco głęboka.

Tania się zawahała.

- Co za strata.

Dimka wzruszył ramionami i odparł:

- Maszyny do pisania są drogie.

- Nie chodzi wyłącznie o pieniądze, ale o głos sprzeciwu, o inne spojrzenie na świat, inne myślenie. Maszyna to wolność słowa.

- Więc lepiej się jej pozbać.

Tania podała bratu urządzenie.

Przesunął wałek do końca w prawo, by mieć za co chwycić.

- No to raz - powiedział i zamachnął się, a potem z całej siły rzucił maszynę w nurt rzeki. Nie poleciała daleko, lecz z miłym dla ucha pluśnięciem momentalnie zniknęła z widoku.

Rodzeństwo patrzyło na kręgi na wodzie rozchodzące się w świetle księżyca.

- Dziękuję - odezwała się po chwili Tania. - Dziękuję tym bardziej, że nie wierzysz w to, co robię.

Otoczył ją ramieniem i odeszli.

## ROZDZIAŁ 7

George miał podły nastrój. Ręka wciąż bolała go jak diabli, mimo że była w gipsie i wisiała na temblaku. Upragnioną pracę stracił, zanim ją rozpoczął. Zgodnie z przewidywaniami Grega kancelaria Fawcett Renshaw wycofała ofertę, gdy tylko nazwisko Jakes pojawiło się w gazetach na liście poszkodowanych uczestników Rajdu Wolności. Teraz nie wiedział, co ze sobą pocnie przez resztę życia.

Ceremonia ukończenia studiów odbywała się na starym dziedzińcu Uniwersytetu Harvarda, trawiastym placu otoczonym murami gmachów uniwersyteckich z pięknej czerwonej cegły. Członkowie Rady Nadzorczej byli ubrani w cylindry i fraki. Doktoraty honorowe otrzymali brytyjski minister spraw zagranicznych, pozbawiony podbródka arystokrata nazywany lordem Home, oraz McGeorge Bundy, jeden z doradców prezydenta Kennedy'ego. Pomimo nie najlepszego nastroju George odczuwał także odrobinę smutku z powodu ukończenia uczelni, na której spędził siedem lat. Poznał niezwykłych ludzi i zawarł cenne przyjaźnie. Zaliczył wszystkie egzaminy, do których poszedł. Spotykał się z wieloma dziewczynami i z trzema poszedł do łóżka. Raz się upił i czuł się okropnie, utraciwszy nad sobą kontrolę.

Dzisiaj jednak gniew nie pozwalał mu folgować nostalgii. Po wybuchu przemocy w Anniston spodziewał się zdecydowanej reakcji ze strony rządu. W czasie wyborów Jack Kennedy zaprezentował się ludziom jako zwolennik liberalizmu i zdobył głosy czarnoskórych. Bobby Kennedy był prokuratorem generalnym, najwyższym przedstawicielem wymiaru sprawiedliwości w kraju. George oczekiwał po nim, że oznajmi głośno i wyraźnie, że Konstytucja Stanów Zjednoczonych obowiązuje w Alabamie tak samo jak wszędzie indziej.

Nie doczekał się.

Za napaść na uczestników rajdu nikogo nie aresztowano. Ani miejscowa policja, ani FBI nie wszczęły śledztwa w sprawie żadnego groźnego przestępstwa, które tam popełniono. W Ameryce w 1961 roku na oczach policji białym rasistom wolno było atakować ludzi protestujących w obronie praw obywatelskich, łamać im kości, usiłować spalić ich żywcem - i nie wyciągano wobec nich żadnych konsekwencji.

George po raz ostatni widział Marię Summers w gabinecie lekarskim. Aktywistów nie przyjęto w najbliższym szpitalu, lecz ostatecznie znaleźli ludzi, którzy chętnie udzielili im pomocy. Pielęgniarka właśnie opatrywała mu złamaną rękę, kiedy weszła Maria i oznajmiła,

że wraca samolotem do Chicago. Chciał wstać i ją objąć, ale to ona podeszła, ucałowała go w policzek i zniknęła.

Nie wiedział, czy ją jeszcze kiedyś zobaczy. Mogłem się w niej zakochać na zabój, myślał. Może już się tak stało. Rozmawiali ze sobą na okrągło przez dziesięć dni i ani razu się nie znudził: była równie inteligentna jak on, może inteligentniejsza. Zachowywała się niewinnie, a mimo to jej ciepłe brązowe oczy sprawiały, że wyobrażał ją sobie w blasku świateł.

Ceremonia dobiegła końca o wpół do dwunastej. Studenci, rodzice i absolwenci ze starszych roczników zaczęli się rozchodzić w różne strony w cieniu wysokich wież; ci ostatni odbiorą dyplomy podczas oficjalnych uroczystości. George rozejrzał się za rodziną, ale w pierwszej chwili nikogo nie wypatrzył.

Zauważył jednak Josepha Hugo.

Stał sam obok brązowego pomnika Johna Harvarda i palił długiego papierosa. W tradycyjnej todze jego biała skóra jeszcze bardziej niż zwykle przypominała ciasto. George zacisnął pięści, miał ochotę dokopać szczerowi. Ale jego lewa ręka była bezużyteczna, a poza tym gdyby pobił się z kimś akurat tego dnia na starym dziedzińcu uniwersytetu, drogo by za to zapłacił. Być może nawet straciłby dyplom. I tak miał dość kłopotów. Najrozsądniej byłoby zignorować Hugo i minąć go bez słowa. Jednak postąpił inaczej.

- Hugo, to parszywy gnoju.

Tamten wyglądał na przestraszonego, mimo że George miał niesprawną rękę. Był tego samego wzrostu co George i prawdopodobnie dorównywał mu siłą, ale zdawał sobie sprawę, że George ma po swojej stronie gniew. Odwrócił głowę i usiłował obejść przeciwnika.

- Nie mam ochoty z tobą rozmawiać - wymamrotał.

- Wcale się nie dziwię. - George zastąpił mu drogę. - Patrzyłeś, jak atakuje mnie wściekły tłum. Bandyci złamali mi łapsko.

Hugo zrobił krok do tyłu.

- Po coś się pchał do Alabamy?

- A ty udawałeś bojownika praw obywatelskich i przez cały czas nas szpiclowałeś. Kto ci płacił, Ku-Klux-Klan?

Hugo uniósł broń, George miał ochotę w nią rąbnąć.

- Zgłosiłem się na ochotnika, żeby przekazywać informacje FBI.

- A więc robiłeś to za darmo! Nie wiem, czy to lepiej, czy gorzej.

- Ale już niedługo przestanę być ochotnikiem. W przyszłym tygodniu zaczynam pracę w Biurze. - Hugo mówił wyzywająco, a jednocześnie z zawstydzeniem kogoś, kto przyznaje

się, że należy do sekty religijnej.

- Dobrze spisałeś się jako szpicel i dlatego cię przyjęli.
- Zawsze chciałem pracować w wymiarze sprawiedliwości.
- Ale nie tym zajmowałeś się w Anniston. Tam byłeś po stronie bandytów.
- Jesteście komunistami, słyszałem, jak mówisz o Karolu Marksie.
- A także o Heglu, Wolterze, Gandhim i Jezusie Chrystusie. Daj spokój, Hugo, nawet ty nie jesteś tak głupi.
- Nie znoszę naruszania porządku.

I w tym problem, skonstatował z goryczą George. Ludzie nie znoszą, kiedy narusza się porządek. Dziennikarze zarzucili uczestnikom rajdu, że wywołują zamieszki, nie mieli jednak nic do zwolenników segregacji rasowej uzbrojonych w kije bejsbolowe i bomby. Doprowadzało go to do obłędu - czyżby nikogo w Ameryce nie obchodziło, co jest słuszne?

Po przeciwnej stronie trawiastego dziedzińca wypatrzył Verenę Marquand, która do niego machała. Momentalnie stracił zainteresowanie Josephem Hugo.

Verena skończyła wydział filologii angielskiej. Jednak na Harvardzie studiowało tak niewielu kolorowych, że wszyscy się znali. Poza tym była piękna, więc zauważyłby ją, nawet gdyby na uczelni było tysiąc ciemnoskórych dziewcząt. Miała zielone oczy i karnację o barwie lodów kakaowych. Pod togą dostrzegł krótką zieloną sukienkę odsłaniającą długie smukłe nogi. Biret tkwił na bakier na jej głowie. Verena była prawdziwą seksbombą.

Mówiono, że ona i George dobrze do siebie pasują, ale nigdy się nie umówili. Ilekroć on był wolny, Verena z kimś się spotykała i vice versa. Teraz było już za późno.

Verena, zapalona aktywistka kampanii praw obywatelskich, po skończeniu studiów zamierzała pracować u Martina Luthera Kinga.

- Wasz rajd wywołał prawdziwą lawinę! - stwierdziła z entuzjazmem.

Była to prawda. Po gwałtownym starciu w Anniston George z ręką w gipsie opuścił Alabamę na pokładzie samolotu, lecz inni bojownicy podjęli wyzwanie. Dziesięciu studentów z Nashville pojechało autobusem do Birmingham i zostało aresztowanych. Pierwszą grupę zastąpiła druga. Biali rasiści odpowiedzieli aktami przemocy. Rajdy Wolności przeistoczyły się w masowy ruch.

- Ale ja straciłem posadę - zauważył George.
- Jedź ze mną do Atlanty i pracuj dla Kinga - zaproponowała bez namysłu Verena.
- Doktor King kazał ci mnie zaprosić? - zdziwił się świeżo upieczony absolwent.
- Nie, ale potrzebny mu prawnik, a ci, którzy się zgłosili, nie umywają się do ciebie.

George był zaintrygowany. Prawie zakochał się w Marii Summers, lecz chyba powinien

o niej zapomnieć, bo prawdopodobnie nigdy więcej jej nie zobaczy. Ciekawe, czy Verena zechce z nim chodzić, jeśli oboje podejmą pracę u Kinga.

- To jest myśl - powiedział. Musiał się jednak zastanowić. - Są tutaj twoi rodzice? - spytał, zmieniając temat.

- Jasne, chodź, poznam cię z nimi.

Rodzice Vereny byli sławnymi ludźmi i zwolennikami Kennedy'ego. George miał nadzieję, że wystąpią z otwartą krytyką prezydenta za jego słabą reakcję na przestępcze działania segregacjonistów. Może wspólnie z Vereną zdoła ich namówić do tego, by wygłosili publiczne oświadczenie. Ból jego ręki znacznie by dzięki temu zelżał.

Ruszył za Vereną przez trawnik.

- Mamo, tato, to mój kolega George Jakes - oznajmiła dziewczyna, kiedy dotarli do jej rodziców.

Oboje państwo Marquand byli wysokiego wzrostu i dobrze ubrani: on miał ciemną skórę, a ona - białą. Poza tym matka Vereny nosiła wymyślną blond fryzurę. George wiele razy widział jej zdjęcia, gdyż stanowili słynną mieszaną parę. Percy'ego Marquanda nazywano „czarnym Bingiem Crosbym”, grał w filmach i śpiewał romantyczne piosenki. Babe Lee była aktorką teatralną specjalizującą się w rolach kobiet z ikra.

Percy odezwał się ciepłym barytonem, który wszyscy znali z licznych przebojów.

- Panie Jakes, w Alabamie złamano panu rękę, kiedy występował pan w sprawie, która dotyczy nas wszystkich. Jestem zaszczycony, że mogę uścisnąć panu dłoń.

- Dziękuję panu, ale proszę mi mówić po imieniu.

Babe Lee także podała George'owi rękę i spojrzała mu w oczy tak, jakby chciała za niego wyjść.

- Jesteśmy ci bardzo wdzięczni, a także dumni.

Zachowywała się tak uwodzicielsko, że George poczuł się nieswojo. Zerknął na męża Babe, spodziewając się, że ten się rozgniewa. Jednak ani Percy, ani Verena nie zareagowali. George'owi przyszło na myśl, że Babe zachowuje się w taki sposób wobec każdego poznanego mężczyzny.

Uwolnwszy dłoń z jej uścisku, zwrócił się do Percy'ego:

- Wiem, że podczas zeszłorocznej kampanii agitował pan za Kennedym. Nie jest pan teraz zły, że prezydent tak, a nie inaczej odnosi się do walki o prawa obywatelskie?

- Wszyscy mamy poczucie rozczarowania - odrzekł Percy.

- Jakżeby inaczej! - wtrąciła Verena. - Bobby Kennedy zaapelował do aktywistów, by na jakiś czas odpuścili. Wyobrażacie sobie? CORE, rzecz jasna, odmówiło. W Ameryce



rządzi prawo, a nie motłoch!

- Takie słowa powinny paść z ust prokuratora generalnego - podchwycił George.

Percy skinął głową, nie przejawsz się tym zdwojonym atakiem.

- Słyszałem, że administracja prezydenta dobiła targu z południowymi stanami - oświadczył. George nadstawił uszu, gdyż ta wiadomość nie przebiła się na łamy prasy. - Gubernatorzy zobowiązali się do wzięcia band w karby, a tego pragną obaj bracia Kennedy.

George wiedział, że w polityce nie daje się niczego za darmo.

- Co obiecano im w zamian?

- Prokurator generalny przymknie oko na nielegalne aresztowania uczestników Rajdów Wolności.

Verena zirytowała się na ojca.

- Szkoda, że wcześniej o tym nie napomknąłeś, tato - wypomniała mu ostrym tonem.

- Wiedziałem, że się wściekniesz, skarbie.

Protekcjonalne potraktowanie przez ojca rozeźliło dziewczynę jeszcze bardziej. Odwróciła głowę, jej twarz pociemniała.

George powrócił do swojego pytania:

- Wygłosi pan publicznie swój protest, panie Marquand?

- Zastanawiałem się nad tym, ale wątpię, czy to coś da.

- Może sprawić, że w tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym czwartym czarni wyborcy zagłosują przeciwko Kennedy'emu.

- Czy aby na pewno tego chcesz? Wszyscy wyszlibyśmy na tym gorzej, gdyby w Białym Domu zamieszkał ktoś pokroju Dicka Nixona.

- W takim razie co możemy zrobić? - spytała gniewnie Verena.

- Wydarzenia na Południu, do których doszło w ubiegłym miesiącu, pokazują ponad wszelką wątpliwość, że prawo jest za słabe. Potrzebna jest nowa ustawa o prawach obywatelskich.

- Święte słowa - rzekł George.

- Być może uda mi się coś zrobić w tym kierunku - ciągnął Percy. - W tej chwili mam odrobinę wpływów w Białym Domu. Jeśli skrytykuję Kennedych, nie będę ich miał w ogóle.

George uważał, że Percy powinien publicznie zabrać głos. Verena wyraziła to samo przekonanie:

- Masz obowiązek głośno powiedzieć, co jest słuszne, a co nie. W Ameryce pełno jest ludzi ważących słowa. Właśnie dlatego wpadliśmy w takie bagno.

Jej matka poczuła się urażona.

- Twój tata słynie z tego, że mówi, co jest słuszne - odezwała się z oburzeniem. - Wiele razy nadstawiał karku.

George zrozumiał, że nie da się przekonać Percy'ego. Ale może aktor miał rację. Potrzebują nowej ustawy, która uniemożliwi południowcom prześladowanie Murzynów. Niewykluczone, że to jedyne prawdziwe rozwiązanie problemu.

- Pójdę poszukać rodziców - oznajmił. - To był dla mnie zaszczyt, że państwa poznałem.

- Pamiętaj o mojej propozycji! - zawołała Verena, kiedy nieco się oddalił.

W miejscu, w którym miano rozdawać dyplomy prawa, zbudowano tymczasową scenę, ustawiono także namioty i stoły na kozłach. George od razu znalazł rodziców.

Matka miała na sobie nową żółtą sukienkę. Musiała oszczędzać, by ją kupić: była dumna i nie zgodziłaby się przyjąć czegokolwiek od bogatego Peshkova. Brała od niego pieniądze tylko dla George'a. Zlustrowała od góry do dołu syna ubranego w ceremonialny strój.

- Nigdy w życiu nie byłam taka dumna - oznajmiła, a potem ku jego zdumieniu wybuchła płaczem.

To było niezwykle. Przez dwadzieścia pięć lat nie okazała słabości. Otoczył ją ramieniem i przytulił.

- Szczęściarzem ze mnie, mam, że mam cię przy sobie.

Odsunął się od niej delikatnie i czystą chusteczką otarł jej łzy. Potem odwrócił się do ojca. Tak jak większość absolwentów dawniejszych roczników Greg miał na głowie słomkowy kapelusz z opaską, na której wydrukowany był rok ukończenia studiów. Na jego kapeluszu widniała liczba 1942.

- Gratuluję ci, mój chłopcze - rzekł, podając mu dłoń. Przyszedł, a to już coś, pomyślał George.

Po chwili nadeszli dziadkowie George'a. Oboje byli rosyjskimi imigrantami. Dziadek, Lev Peshkov, zaczynał od prowadzenia barów i klubów nocnych w Buffalo, a teraz był właścicielem studia w Hollywood. Zawsze nosił się jak dandys, dziś miał na sobie biały garnitur. George nigdy nie wiedział, co o nim sądzić. Powiadano, że jest bezwzględny biznesmenem mającym prawo w niskim poważaniu. Z drugiej zaś strony dobrze traktował wnuka, płacił za jego naukę i dawał mu sute kieszonkowe.

Lev ujął go za ramię.

- Dam ci jedną radę - rzekł konfidencjonalnie. - Kiedy już zostaniesz adwokatem, nie broń kryminalistów.

- A to czemu?

- Bo to oferty - odparł dziadek i parsknął śmiechem.

Powszechnie uważano, że Lev Peshkov także jest kryminalistą, który w czasach prohibicji trudnił się przemytem.

- Czy wszyscy kryminaliści to oferty? - dociekał George.

- Ci, którzy dadzą się złapać - wyjaśnił. - Pozostali nie potrzebują adwokatów - dodał i zaśmiał się gromko.

Marga ucałowała czule wnuka.

- Nie słuchaj dziadka - powiedziała.

- Muszę go słuchać, płacił za moje wykształcenie.

Lev skierował na niego palec.

- Cieszę się, że o tym nie zapominasz.

Marga puściła to mimo uszu.

- Miło na ciebie spojrzeć - mówiła głosem pełnym uczucia. - Taki przystojny, i do tego prawnik!

George był jedynym wnukiem Margi i rozpieszczała go. Później zapewne wsunie mu niepostrzeżenie do ręki pięćdziesiątka.

Marga śpiewała kiedyś w nocnym klubie i teraz, w wieku sześćdziesięciu pięciu lat, nadal poruszała się tak, jakby była na scenie i miała na sobie powłóczystą suknię. Jej czarne włosy przypuszczalnie zawdzięczały obecnie kolor farbowaniu. Miała na sobie więcej biżuterii, niż wypadało przy takiej okazji. George podejrzewał, że jako kochanka, a nie żona, czuje potrzebę silniejszego podkreślenia swojej pozycji.

Była kochanką Lva od niemal pięćdziesięciu lat. Greg był ich jedynym dzieckiem.

Żona Lva, Olga, mieszkała w Buffalo z ich córką Daisy, która potem wyszła za Anglika i przeniosła się do Londynu. George miał zatem angielskich kuzynów, których nigdy nie poznał. Zakładał, że są biali.

Marga pocałowała Jacky. George zauważył, że stojący nieopodal ludzie przyglądają im się ze zdziwieniem i dezaprobatą. Nawet na Harvardzie, na którym panowały liberalne poglądy, nieczęsto widywało się białego, który obejmuje Murzyna. Jednak rodzina George'a, rzadko pokazująca się w miejscach publicznych, zawsze przyciągała uwagę. Nawet w miejscach, w których akceptowane były osoby wszystkich ras, mieszana rodzina i tak wydobywała z białych ukryte uprzedzenia. Wiedział, że usłyszy tego dnia szeptane pod nosem słowo „kundel”. Zignoruje obelgę. Jego czarni dziadkowie dawno zmarli i tych czworo stanowiło jedyną rodzinę, jaką miał. Dzisiaj, w dniu wręczenia dyplomów, nie posiadali się z

dumy, a to było warte każdej ceny.

- Zjadłem wczoraj lunch ze starym Renshawem - oznajmił Greg. - Namówiłem go, żeby ponowił propozycję posady dla George'a w kancelarii.

- Och, wspaniale! - zawołała uradowana Marga. - A więc jednak będziesz pracował jako adwokat w Waszyngtonie!

Jacky obdarzyła Grega uśmiechem, co czyniła niezwykle rzadko.

- Dziękuję ci.

Greg uniósł palec w ostrzegawczym geście.

- Ale są pewne warunki.

- Oj, George zgodzi się na rozsądne warunki - zapewniła Marga. - To dla niego fantastyczna okazja.

Zapewne chciała powiedzieć: fantastyczna okazja dla czarnego chłopaka. George odgadł jej intencje, lecz nie zaoponował. Tak czy owak, miała rację.

- Jakie to warunki? - spytał ostrożnie.

- Nieróżniące się od tych, które obowiązują każdego prawnika na świecie - odparł Greg.

- Nie wolno ci pakować się w tarapaty, to wszystko. Prawnik nie może mieć zatargów z władzą.

- Jak to: nie pakować się w tarapaty? - indagował podejrzliwie George.

- Nie będziesz angażował się w ruchy protestu, marsze, demonstracje i tym podobne.

Zresztą jako początkujący pracownik i tak nie będziesz miał na to czasu.

Propozycja wzbudziła gniew George'a.

- A więc swoje życie zawodowe rozpocznę od przysięgi, że wstrzymam się od wszelkich działań na rzecz wolności?

- Nie powinieneś patrzeć na to w taki sposób - przestrzegł ojciec.

George ugryzł się w język, by nie odpowiedzieć z irytacją. Najbliżsi chcieli dla niego jak najlepiej, wiedział o tym.

- A jak powinienem na to patrzeć? - zapytał neutralnym tonem.

- Twoja rola w ruchu na rzecz praw obywatelskich nie będzie polegała na walce na pierwszej linii, to wszystko. Zostań jednym z tych, którzy ją wspierają. Raz w roku wysyłaj czek na konto NAACP. - National Association for the Advancement of Colored People<sup>1</sup>, bo tak brzmiała jej pełna nazwa, była najstarszą i najbardziej zachowawczą organizacją

---

<sup>1</sup> National Association for the Advancement of Colored People (NAACP) - Krajowe Stowarzyszenie na rzecz Awansu Ludności Kolorowej, założona w 1909 roku organizacja walcząca o zniesienie segregacji rasowej w Stanach Zjednoczonych.

działającą na rzecz praw obywatelskich. Wypowiadała się przeciwko Rajdom Wolności, uważając je za zbyt prowokacyjne. - Spuść nieco z tonu, niech ktoś inny wsiądzie do tego autobusu.

- Może istnieje inny sposób - odrzekł George.

- Jaki mianowicie?

- Mógłbym pracować u Martina Luthera Kinga.

- Zaproponował ci posadę?

- Zgłosił się ktoś od niego.

- Ile będzie ci płacił?

- Nie za wiele, jak się domyślam.

- Tylko nie sądz, że możesz odrzucić ofertę świetnie płatnej pracy, a potem przychodzić do mnie po kieszonkowe - ostrzegł Lev.

- Dobrze, dziadku - przytaknął George, miał na to dokładnie taki sam pogląd. - Ale myślę, że i tak wezmę tę posadę.

Do dyskusji włączyła się jego matka.

- Och, nie rób tego. - Chciała powiedzieć coś jeszcze, lecz absolwentów wezwano, by ustawili się w kolejce po dyplomy. - No, idź, później porozmawiamy.

George ustawił się w ogonku. Ceremonia rozpoczęła się i powoli przesuwał się ku przodowi. Wspominał pracę w kancelarii Fawcett Renshaw latem ubiegłego roku. Pan Renshaw uważał się za bohatera liberalizmu, skoro zatrudnia czarnego stażystę. Jednak George dostał zadania, które byłyby uwłaczająco łatwe nawet dla studenta pierwszego roku. Okazał cierpliwość, czekał na sposobność i w końcu się doczekał. Wykonał kwerendę prawną, dzięki której kancelaria wygrała sprawę. Wtedy zaoferowano mu pracę po ukończeniu studiów.

Z takimi sytuacjami stykał się nader często. Wszyscy zakładali, że harwardczyk musi być zdolny i inteligentny, chyba że ma czarną skórę, bo wtedy wszelkie założenia szły w odstawkę. George przez całe życie musiał udowodniać, że nie jest idiotą. Budziło to w nim odruch niechęci. Żywił nadzieję, że jego dzieci, jeśli się ich doczeka, będą dorastały w innym świecie.

Nadeszła jego kolej. Wchodząc po niskich schodkach na podest, ze zdumieniem usłyszał syki.

Zachowanie takie stanowiło tradycję na Harvardzie: zwykle stosowano je wobec wykładowców, którzy źle uczyli lub byli niemili dla studentów. George był tak poruszony, że przystanął na stopniach i obejrzał się. Uchwycił wzrok Josepha Hugo. Na pewno nie on jeden

syczał - odgłos wydawał się zbyt donośny - lecz z pewnością dyrygował tym chórem.

George wyczuł falę nienawiści. Był zbyt upokorzony, by wstąpić na scenę. Zastygł w bezruchu, krew nabiegła mu do twarzy.

Nagle ktoś zaczął klaskać. George rozejrzał się i zobaczył, że któryś z profesorów wstaje. Był to Merv West, jeden z młodszych wykładowców. Inni przyłączyli się do braw i szybko zagłuszyli syki. Kolejne osoby wstawały. George odgadł, że nawet ci, którzy go nie znają, domyślili się, kim jest, widząc jego zagipsowaną rękę.

Powróciła odwaga i wszedł na podest. Kiedy odbierał dyplom, odezwały się wiwaty na jego cześć. Odwrócił się powoli do widowni i skromnym skinieniem głowy podziękował za brawa. Następnie zszedł po schodkach.

Jego serce biło mocno, gdy znalazł się wśród kolegów studentów. Kilku w milczeniu uściśnęło mu dłoń. Syczenie, które usłyszał, wstępując na stopnie, przeraziło go, lecz aplauz wprowadził w uniesienie. Zauważył, że się poci, i otarł twarz chusteczką. Przeżył chwilę prawdziwej udręki.

Dalszą część ceremonii oglądał jak oniemiały, ciesząc się, że ma czas na to, by ochłonać. Gdy minął szok, uprzytomnił sobie, że syczenie było sprawką Hugo i garstki prawicowych fanatyków, natomiast reszta liberalnie nastawionej społeczności uczelni oddała mu hołd. Powiedział sobie, że ma powód do dumy.

Absolwenci wrócili do swoich rodzin, by zjeść posiłek. Matka uściśkała George'a.

- Bili ci brawo.

- Tak - potwierdził Greg. - Choć przez chwilę zdawało się, że będzie inaczej.

George rozłożył ręce i spojrzał na swoich bliskich.

- Jak mogę zrezygnować z walki? Naprawdę chcę pracować w kancelarii i chcę sprawić radość rodzinie, która wspierała mnie przez lata nauki, ale to nie wyczerpuje sprawy. Co się stanie, jeśli będę miał dzieci?

- Byłoby miło! - rzuciła Marga.

- Tak, babciu, ale moje dzieci będą kolorowe. W jakim świecie przyjdzie mi je wychowywać? Czy zostaną Amerykanami drugiej kategorii?

Rozmowę przerwał Merv West, który podszedł, by uściśnąć rękę George'a i pogratulować mu dyplomu. Profesor był ubrany nieco zbyt swobodnie jak na tę podniosłą okazję: miał na sobie tweedowy garnitur i koszulę z kołnierzykiem zapinanym na guziki.

- Dziękuję, że zainicjował pan brawa dla mnie, panie profesorze - rzekł George.

- Proszę mi nie dziękować, zasłużył pan na to.

George przedstawił rodzinę.

- Przed chwilą rozmawialiśmy o mojej przyszłości.

- Mam nadzieję, że nie podjęli państwo jeszcze ostatecznej decyzji.

To było intrygujące. Co miały znaczyć słowa wykładowcy?

- Jeszcze nie - odparł George. - Dlaczego pan pyta?

- Rozmawiałem z prokuratorem generalnym Bobbym Kennedym, który, jak państwo wiedzą, jest absolwentem Harvardu.

- Jego postępowanie w obliczu zajść w Alabamie to hańba dla narodu. Mam nadzieję, że pan mu to powiedział.

West uśmiechnął się z goryczą.

- Nie użyłem takich słów. Ale obaj zgodziliśmy się, że reakcja władz była nieadekwatna.

- I to bardzo. Nie sądzę, by... - George nie dokończył zdania, tknięty nagłą myślą. - Co to ma wspólnego z decyzjami o mojej przyszłości?

- Bobby postanowił zatrudnić młodego czarnego prawnika, by zespół pracowników prokuratora generalnego wzbogacił się o punkt widzenia Murzynów na kwestię praw obywatelskich. Zapytał, czy znam kogoś godnego polecenia.

- Chce pan powiedzieć... - zaczął oszołomiony George.

West uniósł rękę.

- Nie proponuję panu posady, to może zrobić jedynie Bobby. Ale mogę załatwić rozmowę kwalifikacyjną, jeśli pan zechce.

- George! - odezwała się Jacky. - Posada u Roberta Kennedy'ego! To byłoby wspaniałe.

- Mamo, bracia Kennedy strasznie nas zawiedli.

- W takim razie zacznij pracować u Bobby'ego i postaraj się to zmienić!

George zawahał się. Spojrzał na pełne zapału oblicza matki, ojca, babki i dziadka. Na koniec jego wzrok znów spoczął na matce.

- Może się zgodzę - rzekł.

## ROZDZIAŁ 8

Dimka wstydził się, że w wieku dwudziestu dwóch lat nadal jest prawiczkim.

W czasie studiów umawiał się z paroma dziewczynami, ale żadna nie poszła z nim na całość. Zastanawiał się, czy tak nie było lepiej. Nikt nie powiedział mu wprost, że seks powinien być elementem długotrwałego związku uczuciowego, lecz on sam to czuł. Nigdy nie trawił go gorączkowy pośpiech, by to zrobić, czym różnił się od niektórych chłopców. Jednakże teraz brak doświadczeń stawał się dla niego źródłem zakłopotania.

Jego przyjaciel Walentin Lebediew stanowił przeciwieństwo Dimki. Wysoki, z czarnymi włosami i niebieskimi oczami, emanował pewnością siebie i roztaczał mnóstwo czaru. Nim minął pierwszy rok studiów na Uniwersytecie Moskiewskim, zaliczył większość adeptek wydziału politycznego oraz jedną wykładowczynię.

Niemal na samym początku znajomości Dimka zwrócił się do niego z pytaniem:

- Słuchaj, co wiesz o zapobieganiu ciąży?

- To problem dziewczyny, no nie? - odrzekł beztrąsko Walentin. - W ostateczności, jeśli dojdzie do najgorszego, bez problemu można załatwić skrobankę.

Z rozmów z innymi kolegami Dimka wywnioskował, że tak samo myśli wielu chłopców w kraju. Mężczyźni nie zachodzą w ciążę, więc nie jest to ich problem. Aborcja była dostępna na żądanie w czasie pierwszych dwunastu tygodni. Jednak podejście Walentina nie odpowiadało Dimce, być może dlatego, że siostra tak bardzo je potępiała.

Seks był u Walentina na pierwszym miejscu, nauka zajmowała drugie. U Dimki było na odwrót i być może dlatego został asystentem na Kremlu, Walentin zaś pracował w moskiewskim wydziale parków.

Dzięki znajomościom w tym wydziale Walentin zdołał załatwić, by w lipcu 1961 roku obaj mogli spędzić tydzień w lenińskim obozie wakacyjnym dla młodych komunistów.

Obóz miał nieco wojskowy charakter, namioty zostały ustawione jak pod sznurek i o wpół do jedenastej zaczynała się cisza nocna, lecz były tam basen i jezioro, po którym pływało się łodzią, a także całe zastępy dziewcząt. Tygodniowy pobyt na obozie uważano za wielki i niesłychanie pożądaną przywilej.

Dimka był przekonany, że zasłużył na takie wakacje. Szczyt w Wiedniu okazał się wielkim sukcesem Związku Radzieckiego, a on miał w tym pewien udział.

Rozmowy zaczęły się niepomyślnie dla Chruszczowa. Kennedy ze swoją ośniewającą urodą żoną wjechali do miasta w długim korowodzie limuzyn, na których łąpotały dziesiątki



gwiazdzistych chorągiewek. Kiedy przywódcy obu krajów stanęli naprzeciwko siebie, telewizzowie na całym świecie zobaczyli, że amerykański prezydent jest o kilkanaście centymetrów wyższy i patrzy na pierwszego sekretarza z góry. Jego patrycjuszowski nos górował nad łysiną rozmówcy. Amerykański prezydent nosił starannie skrojone marynarki i wąskie krawaty, Chruszczow prezentował się przy nim jak wieśniak w niedzielnej garniturze. Stany Zjednoczone zwyciężyły bezapelacyjnie w konkursie mody i urody, gdyż Związek Radziecki nawet nie przeczuwał, że do takiego konkursu dojdzie.

Kiedy jednak rozpoczęły się rozmowy, Chruszczow zaczął dominować. Kennedy usiłował prowadzić przyjazną dysputę, jaka przystoi roztropnym mężczyznom, lecz Chruszczow odzywał się głośno i napastliwie. Prezydent USA zauważył, że jest nielogiczne, by Związek Radziecki propagował i wspierał komunizm w krajach Trzeciego Świata, a potem z oburzeniem protestował, gdy zarzucono mu, że Amerykanie starają się ograniczyć go do radzieckiej półkuli. Chruszczow wyjaśnił gniewnie, że rozprzestrzenianie się komunizmu jest nieuniknione z historycznego punktu widzenia i żaden przywódca nie zdoła postawić mu tamy. Kennedy słabo orientował się w ideologii marksistowskiej i nie wiedział, co na to odpowiedzieć.

Zatriumfowała strategia obmyślona przez Dimkę i pozostałych asystentów. Po powrocie do Moskwy Chruszczow polecił rozproszyciel dziesiątki kopii zapisów rozmów: miały trafić nie tylko do krajów bloku wschodniego, lecz także do przywódców tak odległych państw jak Kambodża i Meksyk. Po zakończeniu szczytu Kennedy zamilkł, nie zareagował nawet na groźbę Chruszczowa, który oznajmił, że zajmie Berlin Zachodni. Dimka tymczasem wybrał się na urlop.

Pierwszego dnia włożył nowe ubranie: kraciatą koszulkę z krótkimi rękawami i szorty, które matka uszyła mu ze znoszonych spodni z niebieskiej serży.

- Czy takie szorty są modne na Zachodzie? - zaciekał się Walentin.

Dimka parsknął śmiechem.

- O ile mi wiadomo, raczej nie.

Walentin zaczął się golić, a Dimka poszedł po prowiant.

Z przyjemnością zauważył młodą kobietę, która tuż obok rozpaliała mały przenośny piecyk będący na wyposażeniu każdego namiotu. Była nieco starsza, ocenił jej wiek na dwadzieścia siedem lat. Miała gęste rudobrązowe włosy obcięte na pazia i miłą twarz usianą piegami. Wyglądała aż za bardzo modnie w pomarańczowej bluzce i obcisłych czarnych spodniach tuż za kolana.

- Cześć! - zagadnął z uśmiechem Dimka. Dziewczyna uniosła głowę. - Pomóc ci?

Zapaliła gaz zapalką i bez słowa zniknęła w namiocie.

No cóż, z nią utrata dziewictwa nie jest mi pisana, pomyślał Dimka i ruszył dalej.

W sklepie obok budynku z sanitariatami kupił jajka i chleb. Kiedy wrócił, przed namiotem stały dwie dziewczyny: ta, do której się odezwał, oraz ładna blondynka o zgrabnej figurze. Blondynka była ubrana w takie same czarne spodnie jak koleżanka, lecz jej bluzka miała kolor różowy. Oczywiście rozmawiał z nimi Walentin, obie się śmiały.

Walentin przedstawił dziewczyny Dimce. Ruda miała na imię Nina i nie wspomniała ani słowem o wcześniejszym spotkaniu, mimo to zachowywała się z rezerwą. Jasnawłosa Anna była bardziej otwarta, częściej się uśmiechała i pełnym wdzięku gestem odgarniała włosy.

Dimka i Walentin przywieźli na obóz jeden metalowy rondel, w którym zamierzali przyrządzać wszystkie posiłki. Dimka napełnił go wodą, by ugotować jajka. Dziewczyny były lepiej wyekwipowane. Nina wzięła od niego jajka i zaproponowała, że usmaży bliny.

Widoki się poprawiają, ucieszył się w duchu Dimka.

Podczas posiłku zerkał na Ninę. Wąski nos, małe usta i zgrabny wydatny podbródek sprawiały, że wyglądała, jakby nigdy nie zapomniała o przezorności i stale coś rozważała. Była jednak ponętna i kiedy Dimka wyobraził sobie, jak wygląda w kostiumie kąpielowym, zaschło mu w gardle.

- Chcemy wypożyczyć łódkę i przepłynąć na drugą stronę jeziora - oznajmił Walentin. Dimka nie wiedział, że mają taki plan, ale milczał. - Może wybralibyśmy się całą czwórką? Moglibyśmy urządzić sobie piknik.

To nie może być takie łatwe, pomyślał Dimka. Przecież dopiero co się poznali!

Dziewczyny spojrzały na siebie, jakby usiłowały porozumieć się telepatycznie.

- Zobaczymy - odparła z werwą Nina. - Najpierw posprzątajmy.

Zabrała się do zbierania talerzy i sztućców.

Odpowiedź mogła rozczarować, ale być może nie kończyła sprawy.

Dimka zaproponował, że zanieśie brudne naczynia do budynku sanitarnego.

- Skąd masz takie szorty? - zapytała po drodze Nina.

- Mama mi uszyła.

Dziewczyna się roześmiała.

- To urocze.

Dimka zastanowił się, co miałyby na myśli jego siostra, używając tego określenia w odniesieniu do mężczyzny. Doszedł do wniosku, że oznacza to, iż jest miły, ale nieatrakcyjny.

W murowanym budynku mieściły się ubikacje, prysznic i duże wspólne

zlewozmywaki. Dimka patrzył na Ninę myjącą naczynia. Usiłował wymyślić, co powiedzieć, ale nic mu się nie nasuwało. Gdyby zapytała go o kryzys berliński, mógłby przegadać cały dzień. Nie miał jednak daru radosnego gładzenia o niczym, co Walentinowi przychodziło bez wysiłku.

- Od dawna przyjaźnisz się z Anną? - spytał w końcu.

- Razem pracujemy w administracji moskiewskiej centrali związku zawodowego pracowników stalowni - odparła. - Rok temu się rozwiodłam, a Anna szukała kogoś do wspólnego mieszkania, więc teraz mieszkamy razem.

Rozwiedziona, czyli doświadczona seksualnie, pomyślał Dimka. Onieśmieliło go to.

- Jaki był twój mąż?

- To gnój - odparła Nina. - Nie lubię o nim mówić.

- W porządku. - Desperacko usiłował wymyślić coś neutralnego. - Anna sprawia bardzo miłe wrażenie.

- Jest ustosunkowana.

Była to dziwna uwaga w odniesieniu do kogoś zaprzyjaźnionego.

- To znaczy?

- Jej ojciec załatwił nam ten urlop. Jest sekretarzem moskiewskiego okręgu związku - wyjaśniła z dumą Nina.

Dimka odniósł czyste naczynia do namiotów.

- Naszykowaliśmy kanapki z szynką i serem - oznajmił wesoło Walentin.

Anna spojrzała na Ninę i zrobiła gest wyrażający bezradność, jakby chciała pokazać, że nie zdołała zatrzymać rozpedzonego niczym pociąg Walentina. Jednak Dimka nie miał wątpliwości, że w gruncie rzeczy nawet tego nie próbowała. Nina wzruszyła ramionami i stało się jasne, iż wybiorą się razem na piknik.

Godzinę spędzili w oczekiwaniu na łódź, lecz moskwianie byli przyzwyczajeni do kolejek. W końcu przed południem wypłynęli na taflę czystej zimnej wody. Walentin i Dimka wiosłowali na zmianę, dziewczyny zaś chłoneły słońce. Nikt nie zdradzał ochoty do pogawędki.

Po przeciwnej stronie jeziora zacumowali łódkę na niewielkiej plaży. Walentin ściągnął koszulę, Dimka poszedł w jego ślady. Anna zdjęła bluzkę i spodnie: pod spodem miała błękitny dwuczęściowy kostium. Dimka wiedział, że tego rodzaju kostium nosi nazwę bikini i jest modny na Zachodzie, lecz nigdy podobnego nie widział i zawstydził się, że czuje takie podniecenie. Ledwie mógł oderwać wzrok od płaskiego brzucha dziewczyny i jej pępka.

Jednak ku jego rozczarowaniu Nina się nie rozebrała.

Zjedli kanapki i Walentin wyjął butelkę wódki. Dimka wiedział, że w obozowym sklepiu nie sprzedawano alkoholu.

- Dostałem u kierownika wypożyczalni łodzi - wyjaśnił przyjaciel. - Gość prowadzi małe kapitalistyczne przedsiębiorstwo. - Dimka się nie zdziwił: większość chodliwych towarów sprzedawano na czarnym rynku, od telewizorów po granatowe dzinsy.

Butelkę podawano sobie z rąk do rąk, każda z dziewcząt wzięła długi łyk.

Nina otarła usta wierzchem dłoni.

- Obaj pracujecie w wydziale parków miejskich?

- Nie - odparł ze śmiechem Walentin. - Mój przyjaciel jest na to za mądry.

- Pracuję na Kremlu - wyjaśnił Dimka.

Zaimponowało to Ninie.

- Czym się zajmujesz? - spytała.

Dimka nie chciał mówić całej prawdy, bo zabrzmiałoby to jak przechwałki.

- Jestem asystentem pierwszego sekretarza.

- To znaczy towarzysza Chruszczowa! - dopowiedziała dziewczyna ze zdumieniem.

- Tak.

- Jak, u diabła, zdobyłeś tę pracę?

- Mówiłem wam, że jest mądry - wtrącił Walentin. - Był najlepszym uczniem w każdej klasie, do której chodził.

- Takiej posady nie dostaje się za same dobre stopnie - zauważyła trzeźwo Nina. - Kogo znasz?

- Mój dziadek Grigorij Peszkow szturmował Pałac Zimowy w czasie rewolucji październikowej.

- To też nie gwarantuje nikomu dobrej posady.

- Hm, ojciec był w KGB, zmarł w zeszłym roku. Wujek jest generałem. A poza tym jestem mądry.

- I do tego skromny - rzuciła Nina drwiąco, lecz nie bez odrobiny życzliwości. - Jak nazywa się twój wujek?

- Władimir Peszkow. Mówimy na niego Wołodia.

- Słyszałam o generale Peszkowie. A więc to twój wujek. Skoro masz taką rodzinę, dlaczego nosisz szorty domowej roboty?

Dimka był zmieszany. Nina po raz pierwszy okazywała mu zainteresowanie, nie wiedział jednak, czy go podziwia, czy mówi to z przekąsem. Może taki miała sposób bycia.

Walentin wstał.

- Chodź, rozejrzemy się po terenie - rzekł do Anny. - A ci dwoje niech omówią razem kwestię szortów. - Wyciągnął rękę. Anna podała mu dłoń i dźwignął dziewczynę na nogi. Odeszli między drzewa, trzymając się za ręce.

- Twój kolega mnie nie lubi - stwierdziła Nina.

- Ale za to polubił Annę.

- Jest ładna.

- A ty jesteś piękna - rzucił cicho Dimka. Nie obmyślił tego, po prostu tak wyszło. Powiedział jednak prawdę.

Nina popatrzyła na niego z namysłem, jakby oceniała go na nowo.

- Chcesz popływać? - zapytała.

Dimka nie był wielbicielem wody, ale bardzo chciał zobaczyć Ninę w kostiumie. Zdjął ubranie, pod szortami nosił kąpielówki.

Nina miała na sobie brązowy kostium jednoczęściowy, lecz jej kształty wypełniały go tak ładnie, że Dimka nie poczuł rozczarowania. Wyglądała jak przeciwieństwo smukłej Anny: miała wydatne piersi i szerokie biodra oraz piegi na szyi. Zauważyła, że się jej przygląda, odwróciła się i pobiegła w stronę jeziora.

Poszedł w jej ślady.

Woda była lodowato zimna, mimo że świeciło słońce, lecz jej zmysłowy dotyk na całym ciele sprawił mu przyjemność. Pływali energicznie, by zachować ciepło. Odpłynęli nieco od brzegu, a potem w wolniejszym tempie wrócili ku plaży. Zatrzymali się w pewnej odległości od piasku, Dimka opuścił nogi i wyczuł dno. Woda sięgała mu do pasa. Spojrzał na biust Niny. Chłód wody sprawił, że jej sutki się naprężyły i stały się widoczne przez materiał.

- Przestań się gapić - upomniała go żartobliwie i chlapnęła mu wodą w twarz.

Odpowiedział jej tym samym.

- A masz! - zawołała, po czym chwyciła go za głowę i usiłowała wepchnąć pod wodę.

Okręcił się i złapał ją w pasie. Zaczęli się siłować. Ciało Niny było ciężkie, lecz jędrne i miało w sobie przyjemną solidność. Objął dziewczynę obiema rękami i dźwignął, odrywając jej nogi od dna. Zachichotała, próbując się uwolnić, lecz przyciągnął ją mocniej, aż poczuł na twarzy dotyk jej miękkich piersi.

- Poddaję się! - zawołała.

Niechętnie postawił ją z powrotem i przez chwilę patrzyli na siebie. Dostrzegł w jej oczach błysk pożądania. Z jakiegoś powodu zmieniła stosunek do niego: może sprawiła to wódka, może świadomość, że jest wysoko postawionym aparaczykiem, a może figle w wodzie. A może wszystko naraz. To było bez znaczenia. Zobaczył jej zapraszający uśmiech i

pocałował ją w usta.

Skwapliwie odwzajemniła pocałunek.

Zapomniał o chłodzie wody, zagubił się w dotyku jej ust i języka. Po kilku minutach Nina zadygotała.

- Wyjdźmy na brzeg.

Ujął ją za rękę i brodząc, wyszli na plażę. Położyli się nieco dalej na trawie i znów zaczęli się całować. Dimka dotykał piersi Niny i pomyślał, że być może jeszcze tego dnia straci dziewictwo.

Nagle odezwał się szorstki głos mówiący przez megafon:

- Czas wypożyczenia dobiegł końca! Proszę oddać łódź do wypożyczalni!

- Sekspolicja - mruknęła Nina.

Dimka zaśmiał się na przekór rozczarowaniu.

Uniósł głowę i zobaczył mały gumowy ponton z silnikiem przepływający w odległości stu metrów od brzegu.

Zamachał ręką. Wypożyczyli łódkę na dwie godziny. Odgadł, że gdyby dali łapówkę kierownikowi, mogliby przedłużyć sobie czas, teraz jednak było za późno. Wtedy nie przyszło mu do głowy, że tak szybko zdoła zbliżyć się do Niny.

- Nie możemy wrócić bez nich - rzekła Nina, lecz po chwili Walentin i Anna wynurzyli się z lasu. Zapewne byli bardzo blisko i słyszeli wezwanie do zwrotu łódki.

Obaj oddalili się nieco od dziewcząt i wszyscy włożyli ubrania na kostiumy. Dimka usłyszał, że Nina i Anna rozmawiają ścisłymi głosami. Anna powiedziała coś z zapałem, a Nina zachichotała i skinęła głową.

Potem Anna posłała Walentinowi znaczące spojrzenie. Wyglądało to na umówiony wcześniej sygnał. Walentin skinął głową i odwrócił się do Dimki.

- Wieczorem całą czwórką wybierzemy się na tańce - powiedział cicho. - Po powrocie Anna przyjdzie do naszego namiotu, a ty pójdziesz z Niną do ich namiotu. Zgoda?

Perspektywa była ekscytująca.

- Ustaliłeś to z Anną? - chciał wiedzieć Dimka.

- Tak, a Nina przed chwilą wyraziła zgodę.

Dimce aż trudno było w to uwierzyć. Przez całą noc będzie mógł obejmować jędrne ciało Niny.

- Podobam się jej!

- To pewnie te szorty.

Wsiedli do łódki i zaczęli wiosłować. Dziewczęta oznajmiły, że zaraz po powrocie do

obozu chcą wziąć kąpiel. Dimka zastanawiał się, co zrobić, by czas pozostały do wieczora upłynął jak najszybciej.

Dopłynąwszy do kładki, zobaczyli czekającego na brzegu mężczyznę w czarnym garniturze.

Dimka instynktownie odgadł, że jest to goniec z informacją dla niego. Mogłem to przewidzieć, westchnął w duchu, sprawy układały się za dobrze.

Wysiedli z łodzi i Nina spojrzała na nieznajomego, który pocił się w garniturze.

- Aresztuje nas za to, że przetrzymaliśmy łódkę? - żartowała, lecz tylko połowicznie.

- Przybyliście po mnie? - zapytał Dimka. - Jestem Dmitrij Dworkin.

- Tak, Dmitriju Iljiczu - odrzekł mężczyzna, z szacunkiem używając patronimiku. - Jestem waszym kierowcą. Zawiozę was na lotnisko.

- Jakież nagłe wypadki?

Szofer wzruszył ramionami.

- Pierwszy sekretarz was potrzebuje.

- Tylko pójdę po walizkę - powiedział z żalem Dimka.

Na pocieszenie miał to, że Nina popatrzyła na niego z respektem.

Zawieziono go na lotnisko Wnukowo położone na południowy zachód od Moskwy. Czekala tam Wiera Pletner z dużą kopertą oraz biletem do Tbilisi, stolicy Gruzjińskiej Socjalistycznej Republiki Radzieckiej.

Chruszczow nie przebywał w Moskwie, lecz w swojej daczce w Picundzie. Był to kurort nad Morzem Czarnym dla najwyższych dygnitarzy państwowych. Właśnie tam miał się udać Dimka.

Nigdy przedtem nie leciał samolotem.

Nie był jedynym asystentem, któremu skrócono urlop. W hali odlotów, akurat w chwili, gdy Dimka miał otworzyć kopertę, podszedł do niego Jewgienij Filipow. Mimo że panowała letnia pogoda, jak zwykle miał na sobie szarą flanelową koszulę. Wyglądał na zadowolonego, to zaś źle wróżyło.

- Twoja strategia poniosła fiasko - oznajmił z nieukrywaną satysfakcją.

- Co się stało?

- Prezydent Kennedy wygłosił przemówienie telewizyjne.

Przez siedem tygodni, bo tyle upłynęło od szczytu wiedeńskiego, Kennedy milczał. Stany Zjednoczone nie zareagowały na groźbę Chruszczowa, który oświadczył, że podpisze układ z Niemcami Wschodnimi i zajmie Berlin Zachodni. Dimka doszedł do wniosku, że

amerykański prezydent się zląkł i nie zdołał przeciwstawić się Chruszczowowi.

- Czego dotyczyło?

- Kazał rodakom sposobić się do wojny.

A więc to był powód wszczęcia alarmu.

- Co powiedział Kennedy? - spytał Dimka Filipowa. - Jakich słów użył?

- „Atak na to miasto uznamy za atak na nas wszystkich”, to o Berlinie. W kopercie masz pełny zapis wystąpienia.

Wsiadli na pokład, Dimka wciąż był w szortach. Kiedy startowali, wyjrzał przez okno odrzutowca Tupolew Tu-104. Znał zasadę lotu samolotów - wygięcie górnej powierzchni płatu skrzydła wytwarza różnicę ciśnień - lecz kiedy maszyna wzbijała się w powietrze, wyglądało to jak czary.

W końcu zdołał oderwać wzrok i otworzył kopertę.

Filipow ani trochę nie przesadził.

Przemówienie Kennedy'ego nie należało do kategorii czczych pogroźek. Proponował trzykrotnie zwiększyć liczbę poborowych, zmobilizować rezerwistów i rozbudować armię do miliona żołnierzy. Zamierzał uruchomić nowy most powietrzny do Berlina, przerzucić do Europy sześć dywizji i nałożyć sankcje gospodarcze na kraje Układu Warszawskiego.

Na dodatek zwiększył budżet wojskowy o ponad trzy miliardy dolarów.

Dimka uświadomił sobie, że strategia nakreślona przez Chruszczowa i jego doradców zrobiła katastrofalną klępkę. Nikt nie docenił młodego przystojnego prezydenta USA. Okazało się, że jednak nie da się go zastraszyć.

Jak może się zachować Chruszczow?

Niewykluczone, że przyjdzie mu ustąpić ze stanowiska. Do tej pory żaden radziecki przywódca tego nie uczynił - Lenin i Stalin zmarli w czasie sprawowania urzędu - lecz w polityce rewolucyjnej coś zawsze musi wydarzyć się po raz pierwszy.

Przeczytał wystąpienie dwa razy i przez dalszą część dwugodzinnego lotu miał je w głowie. Chruszczow nie musiał rezygnować. Dimka dostrzegał alternatywę. Pierwszy sekretarz mógł wyrzucić wszystkich doradców, przyjąć nowych, przemeblować Prezydium, dać więcej władzy wrogom, przyznając się tym samym do błędu, i zobowiązać się, że w przyszłości będzie szukał roztropniejszych rad.

Tak czy owak, krótka kariera Dimki na Kremlu dobiegła końca. Może byłem zbyt ambitny, pomyślał ze zgrozą. Jego przyszłość bez wątpienia będzie skromniejsza.

Ciekawe, czy ponętna Nina nadal będzie chciała spędzić z nim noc.

Odrzutowiec wylądował w Tbilisi. Dimka i Filipow wsiadli do małego samolotu



wojskowego, który przetransportował ich na niewielkie lotnisko na wybrzeżu.

Czekała tam na nich Natalia Smotrowa z Ministerstwa Spraw Zagranicznych. Od wilgotnego morskiego powietrza jej włosy zrobiły się lekko kędzierzawe, przydając dziewczynie figlarności.

- Złe wieści od Pierwuchina - oznajmiła, wioząc przybyszów samochodem. Michaił Pierwuchin był radzieckim ambasadorem w Niemczech Wschodnich. - Emigracja na Zachód przybrała rozmiar rzeki.

Filipow był zły, zapewne dlatego, że Natalia dowiedziała się o tym wcześniej niż on.

- Jakie są dane liczbowe?

- Tysiąc osób dziennie.

- Tysiąc osób dziennie? - powtórzył zdumiony Dimka.

Natalia potwierdziła skinieniem głowy.

- Pierwuchin mówi, że wschodniemiecki rząd utracił stabilność, kraj zbliża się do upadku. Może dojść do powstania.

- Widzisz? - rzekł Filipow do Dimki. - Oto, do czego doprowadziła twoja polityka.

Dimka nie znalazł na ten zarzut odpowiedzi.

Natalia dojechała drogą wzdłuż wybrzeża do lesistego półwyspu i skręciła w stronę potężnej żelaznej bramy osadzonej w długim murze. Pośród nieskazitelnie utrzymanych trawników bielila się willa z długim tarasem na piętrze. Obok znajdował się pełnowymiarowy basen. Dimka nigdy nie widział domu z basenem.

- Jest nad morzem - rzekł wartownik do Dimki, wskazując głową kierunek.

Dimka przeszedł między drzewami do kamienistej plaży. Żołnierz z pistoletem maszynowym zmierzył go srogim spojrzeniem, a potem machnął przyzwalająco ręką.

Chruszczow relaksował się pod palmą. Drugi z najpotężniejszych ludzi na świecie był niski, tęgi, łysy i brzydki. Miał na sobie spodnie od garnituru na szelkach oraz białą koszulę z podwiniętymi rękawami. Plażowy fotel z wikliny tkwił obok małego stolika, na którym stały dzbanek wody i szklany kufel. Pierwszy sekretarz siedział, jak się zdawało, beczynnienie.

- Skąd masz te spodenki? - zagadnął, spojrzawszy na Dimkę.

- Matka mi je zrobiła.

- Mnie też by się takie przydały.

Dimka wypowiedział słowa, które wcześniej przećwiczył.

- Towarzyszu pierwszy sekretarzu, składam na wasze ręce natychmiastową rezygnację.

Chruszczow pominął to milczeniem.

- W ciągu następnych dwudziestu lat prześcigniemy Stany Zjednoczone pod względem

potęgi wojskowej i dobrobytu gospodarczego - oznajmił, jakby kontynuował przemowę. - Ale do tego czasu musimy odpowiedzieć sobie na pytanie, w jaki sposób powstrzymać większe mocarstwo, by nie zdominowało globalnej polityki i nie zahamowało postępu światowego komunizmu.

- Nie wiem - odparł Dimka.

- Patrz - rzekł Chruszczow. - Ja jestem Związkiem Radzieckim. - Wziął dzbanek i powoli nalał wody do kufła, aż się wypełnił. Podał dzbanek Dimce. - Ty jesteś Stanami Zjednoczonymi. Teraz przelej wodę do szklanki.

Dimka spełnił polecenie. Woda przepelniła kufel i rozlała się na biały obrus.

- Widzisz? - powiedział pierwszy sekretarz, jakby czegoś dowiódł. - Kiedy szklanka jest pełna, nie można dodać więcej, bo robi się bałagan.

Zdezorientowany Dimka zadał pytanie, którego najwyraźniej oczekiwano:

- Co to oznacza, Nikito Siergiejewiczu?

- Polityka międzynarodowa jest jak ta szklanka. Agresywne ruchy którejs ze stron są dolaniem wody. Jej nadmiar to wojna.

Dimka zrozumiał.

- Kiedy napięcie osiąga maksimum, nikt nie może wykonać ruchu, nie wywołując wojny.

- Słusznie. Amerykanie nie chcą wojny, tak samo jak my. A więc jeśli utrzymamy napięcie międzynarodowe na najwyższym poziomie, na krawędzi, amerykański prezydent będzie bezradny. Nie będzie mógł nic zrobić, żeby nie spowodować wojny, i pozostanie mu zachowanie bezczynności!

Dimka uzmysłowił sobie, jak błyskotliwa jest ta koncepcja. Pozwalała ona dominować słabszemu.

- A więc Kennedy jest w tej chwili bezradny? - upewnił się.

- Ponieważ następny jego ruch będzie oznaczał wojnę!

Czyżby na tym polegał długofalowy plan Chruszczowa? - głowił się Dimka. A może wymyślił go na poczekaniu, żeby się usprawiedliwić? Potrafił improwizować jak mało kto. Teraz jednak miało to niewielkie znaczenie.

- Jak w takim razie zaradzicie kryzysowi w Berlinie?

- Wybudujemy mur - odrzekł pierwszy sekretarz KPZR.

## ROZDZIAŁ 9

George zabrał Verenę Marquand na lunch do klubu jeździeckiego. W istocie nie był to klub, lecz elegancka nowa restauracja w hotelu Fairfax, która przypadła do gustu członkom ekipy Kennedy'ego. Stanowili najlepiej ubraną parę w sali: Verena miała na sobie oszałamiającą kraciastą suknię z szerokim czerwonym pasem, a on szytą na miarę granatową lnianą marynarkę i prążkowany krawat. Mimo to zaproponowano im stolik przy drzwiach kuchni. Waszyngton wyzbył się segregacji, lecz nie uprzedzeń. George postanowił się tym nie przejmować.

Verena przyjechała do stolicy z rodzicami. Zostali zaproszeni do Białego Domu na koktajl party. George wiedział, że przyjęcie wydano, aby uhonorować sławnych zwolenników prezydenta, takich jak Marquandowie, lecz także po to, by zapewnić sobie ich przychyłność w czasie następnej kampanii.

Verena rozejrzała się z uznaniem.

- Dawno nie byłam w porządnej restauracji - powiedziała. - Atlanta to pustynia. - Jej rodzice byli gwiazdami Hollywood i wychowała się w przekonaniu, że wystawny tryb życia to normalność.

- Powinnaś się tutaj sprowadzić - odrzekł George, spoglądając w cudownie zielone oczy. Suknia bez rękawów odsłaniała jej nieskazitelną kakaową skórę, dziewczyna bez wątplenia zdawała sobie z tego sprawę. Gdyby przeniosła się do Waszyngtonu, George zaprosiłby ją na randkę.

Starał się zapomnieć o Marii Summers. Chodził obecnie z Norine Latimer, absolwentką historii pracującą jako sekretarka w Muzeum Historii Amerykańskiej. Była atrakcyjna i inteligentna, lecz mimo to nie bardzo im się układało: George i tak stale myślał o Marii. Może Verena okazałaby się lepszym lekarstwem.

Rzecz jasna zachowywał takie spostrzeżenia dla siebie.

- Tam w Georgii jesteś oddalona od głównego nurtu.

- Nie bądź taki pewny - odparła. - Pracuję u Martina Luthera Kinga, a on zmieni Amerykę bardziej niż John F. Kennedy.

- Dlatego, że doktor King zajmuje się tylko jednym zagadnieniem, a mianowicie prawami obywatelskimi. Prezydent ma ich na głowie setki. Jest obrońcą wolnego świata, w tej chwili najwięcej zmartwień przysparza mu Berlin.

- Ciekawe, prawda? Opowiada się za wolnością i demokracją dla Niemców w Berlinie

Wschodnim, ale o Murzynach na amerykańskim Południu nie myśli.

George się uśmiechnął. Verena nigdy nie przestawała być wojowniczką.

- Nie chodzi o to, czego prezydent pragnie, lecz o to, co może osiągnąć.

Verena wzruszyła ramionami.

- A ty możesz dużo zmienić?

- Departament Sprawiedliwości zatrudnia dziewięciuset pięćdziesięciu prawników. Zanim się pojawiłem, czarnych było tylko dziesięciu. A zatem poprawa już wynosi dziesięć procent.

- Co do tej pory osiągnąłeś?

- Resort przyjął twardą linię wobec Komisji Handlu Międzystanowego. Bobby wystąpił do niej z wnioskiem o wydanie zakazu segregacji w autobusach.

- Dlaczego uważasz, że ten przepis będzie egzekwowany lepiej niż poprzednie?

- Jak dotąd niewiele na to wskazuje - przyznał George. Był sfrustrowany, ale wolał nie okazywać tego przed Vereną. - W najbliższym kręgu współpracowników Bobby'ego jest pewien młody biały prawnik, Dennis Wilson. Uważa mnie za osobiste zagrożenie i stara się nie dopuszczać do naprawdę ważnych narad.

- Jak to możliwe? Przecież to Robert Kennedy cię zatrudnił, czy nie chce zasięgać twoich rad?

- Muszę zdobyć jego zaufanie.

- Jesteś dodatkiem kosmetycznym - orzekła z przyganą Verena. - Bobby wziął cię po to, by móc pokazać wszystkim, że w kwestii praw obywatelskich doradza mu Murzyn. Nie musi znać twojego zdania.

George obawiał się, że rozmówczyni ma rację, lecz tego nie przyznał.

- To zależy ode mnie. Muszę go przekonać, że warto wysłuchać mojej opinii.

- Przyjedź do Atlanty. Stanowisko u doktora Kinga wciąż jest wolne.

Pokręcił głową.

- Karierę będę robił tutaj. - Pamiętał słowa Marii i przytoczył je: - Aktywiści mają duży wpływ na bieg wydarzeń, ale ostatecznie świat zmieniają rządy.

- Jedne tak, drugie nie - zauważyła Verena.

Po wyjściu z restauracji zastali w hotelowym lobby matkę George'a. Umówił się z nią, ale nie myślał, że będzie czekała na zewnątrz.

- Dlaczego do nas nie przyszłaś?

Zignorowała jego pytanie i zwróciła się do Vereny.

- Poznałyśmy się w czasie ceremonii na Harvardzie. Jak się miewasz, Vereno? - Była aż

do przesady grzeczna. George wiedział, że jest to znak, iż w gruncie rzeczy nie darzy dziewczyny sympatią.

Odprowadził Verenę do taksówki i pocałował ją w policzek.

- Miło mi było znów cię zobaczyć - powiedział.

Ruszyli z matką pieszo do siedziby Departamentu Sprawiedliwości. Jacky chciała zobaczyć, gdzie pracuje jej syn. George wybrał na wizytę spokojny dzień: Bobby Kennedy przebywał w gmachu CIA w Langley w Wirginii, jakieś dwanaście kilometrów za miastem.

Matka wzięła wolny dzień w pracy i włożyła kapelusz i rękawiczki, jakby szła do kościoła.

- Co sądzisz o Verenie? - spytał George.

- Piękna z niej dziewczyna - odparła szybko matka.

- Spodobałyby ci się jej przekonania polityczne. Również Chruszczowowi. - George przesadzał, lecz córka Marquandów i Jacky miały ultraliberalne poglądy. - Verena uważa, że Kubańczykom wolno być komunistami, jeśli tego pragną.

- I owszem - potwierdziła Jacky.

- A więc co ci się nie podoba?

- Nic.

- Mamo, my, mężczyźni, nie jesteśmy obdarzeni zbyt wielką intuicją, lecz ciebie rozpracowuję przez całe życie i wiem, kiedy masz zastrzeżenia.

Uśmiechnęła się i dotknęła czule jego ręki.

- Verena cię pociąga i doskonale to rozumiem. Trudno jej się oprzeć. Nie chcę obmawiać dziewczyny, która przypadła ci do gustu, ale...

- Ale co?

- Małżeństwo z Vereną może być trudne. Coś mi mówi, że ona na pierwszym, drugim i właściwie każdym innym miejscu stawia własne potrzeby.

- Uważasz, że jest samolubna.

- Wszyscy są trochę samolubni. A ta dziewczyna jest rozpieszczona.

George skinął głową i postanowił się nie obrażać. Matka prawdopodobnie miała rację.

- Nie musisz się martwić - rzekł. - Verena postanowiła zostać w Atlancie.

- Może tak będzie najlepiej. Chcę tylko, żebyś był szczęśliwy.

Departament Sprawiedliwości miał swoją siedzibę w imponującym klasycystycznym gmachu naprzeciwko Białego Domu. Kiedy do niego wchodzili, Jacky odrobinę napszyła się z dumy. Było jej przyjemnie, że syn pracuje w tak prestiżowym miejscu. George'owi spodobała się reakcja matki. Miała do niej prawo: poświęciła mu życie i to była jej nagroda.

Weszli do wielkiego holu. Jacky przypadły do gustu freski przedstawiające sceny z życia w Ameryce, lecz krzywym okiem spojrzała na aluminiową rzeźbę Ducha Sprawiedliwości, która miała postać kobiety z obnażoną piersią.

- Nie jestem pruderyjna, ale nie rozumiem, dlaczego sprawiedliwość musi mieć odkryty biust. Umiesz to wytłumaczyć?

George się zastanowił.

- Może po to, by pokazać, że nie ma nic do ukrycia.

Jacky parsknęła śmiechem.

- Bardzo przekonujące.

Wjechali windą na górę.

- Jak twoja ręka?

Gips był już zdjęty i George nie potrzebował temblaka.

- Nadal boli - odparł. - Jest lepiej, kiedy trzymam ją w kieszeni. Dzięki temu ma się na czym oprzeć.

Wysiedli na czwartym piętrze. George zaprowadził matkę do sali, w której pracował także Dennis Wilson i paru innych. Gabinet prokuratora generalnego znajdował się obok.

Dennis siedział przy biurku nieopodal drzwi. Był blondynem o bladej cerze, przedwcześnie łysiejącym.

- Kiedy wraca? - zapytał George.

Zagadnięty wiedział, że chodzi o szefa resortu.

- Myślę, że nie wcześniej niż za godzinę.

- Chodź, obejrzymy gabinet Bobby'ego - zaproponował George matce.

- Jesteś pewien, że można?

- Sądzę, że Bobby nie miałby nic przeciwko temu.

George przeprowadził matkę przez przedpokój, po drodze kiwając głową dwóm sekretarkom. Gabinet prokuratora generalnego przypominał salon w wiejskiej rezydencji: był wyłożony orzechową boazerią i miał wielki kamienny kominek, na podłodze leżał wzorzysty dywan, zasłony także były we wzory. Stało w nim również kilka stolików z lampami. Pomieszczenie było ogromne, lecz Bobby jakoś zdołał sprawić, że wyglądało na zagracone. Wśród sprzętów znalazły się akwarium oraz wypchany tygrys. Na olbrzymim biurku wałyły się papiery, między którymi dostrzegli popielniczki oraz zdjęcia rodzinne. Na ściennej półce za fotelem stały cztery aparaty telefoniczne.

- Pamiętasz mieszkanie za Union Station, które zajmowaliśmy, kiedy byłeś mały? - spytała Jacky.

- Jasne, że tak.

- W tym gabinecie zmieściłby się cały nasz dom.

George się rozejrzył.

- Chyba tak.

- A to biurko jest większe niż łóżko, w którym spałeś ze mną do czwartego roku życia.

- My oboje i jeszcze pies.

Na biurku spoczywał zielony beret, nakrycie głowy amerykańskich sił specjalnych, które Bobby bardzo podziwiał. Jednak większe zainteresowanie Jacky wzbudziły fotografie. George wziął do ręki oprawione zdjęcie Bobby'ego i Ethel, którzy siedzieli na trawniku przed dużym domem w otoczeniu siedmiorga swoich dzieci.

- Zrobione przed Hickory Hill. Tak właśnie nazywa się ich dom w McLean w Wirginii - wyjaśnił George, podając matce zdjęcie.

- Ładne - pochwaliła. - Widać, że troszczy się o rodzinę.

- Kto mianowicie? - padło pytanie. Głos miał bostoński akcent i znamionował pewność siebie.

George błyskawicznie się odwrócił i ujrzał Kennedy'ego, który wchodził do gabinetu. Miał na sobie pomięty popielaty letni garnitur. Krawat zwisał luźno, kołnierzyk koszuli był rozpięty. Robert nie był tak przystojny jak starszy brat, a to z powodu dużych przednich zębów przypominających królicze.

- Proszę wybaczyć - odezwał się zbity z tropu George. - Myślałem, że wróci pan później.

- Nic się nie stało - odparł Bobby, lecz George nie miał pewności, czy naprawdę tak myśli. - To pomieszczenie stanowi własność narodu amerykańskiego, więc jego przedstawicielom wolno je oglądać, jeśli mają ochotę.

- Oto moja matka Jacky Jakes - dokonał prezentacji George.

Bobby energicznie uścisnął jej dłoń.

- Pani Jakes, ma pani wspaniałego syna - powiedział, starając się ją oczarować jak każdego potencjalnego wyborcę.

Twarz Jacky pociemniała z zawstydzenia, lecz odpowiedź padła natychmiast:

- Dziękuję. Pan ma ich kilkoro, co widać na zdjęciu.

- Czterech synów i trzy córki. Wszyscy są cudowni, mówię to z pełnym obiektywizmem.

Cała trójka się roześmiała.

- Miło było panią poznać, pani Jakes - rzekł Bobby. - Proszę nas odwiedzać.

Było to taktowne pożegnanie, George i jego matka wyszli z gabinetu.

- Czułam się zażenowana, ale Bobby był miły - powiedziała Jacky, idąc korytarzem.

- To zostało zaplanowane - stwierdził ze złością George. - Robert nigdy nie zjawia się przed czasem. Dennis specjalnie nas podpuścił, chciał, żebym wyszedł na pyszałka.

Matka poklepała go po ramieniu.

- Jeśli nie spotka nas dzisiaj nic gorszego, to nie powinniśmy się skarżyć.

- No nie wiem. - George przypomniał sobie zarzut Vereny, która oceniła, że odgrywa rolę ozdoby. - Sądysz, że Bobby zatrudnił mnie po to, by udawać, że słucha głosu Murzynów, podczas gdy w rzeczywistości nic sobie z nich nie robi?

Jacky myślała przez chwilę.

- Owszem, to możliwe.

- Może działałbym więcej, pracując dla Martina Luthera Kinga w Atlancie.

- Rozumiem, co czujesz, ale myślę, że powinieneś tu zostać.

- Wiedziałem, że tak powiesz.

George wyprowadził matkę z gmachu.

- Jak tam twoje mieszkanie? - zapytała. - Muszę je zobaczyć w następnej kolejności.

- Jest świetne. - George wynajął lokum na najwyższym piętrze w wąskim wiktoriańskim szeregowcu nieopodal Kapitolu. - Zajrzyj w niedzielę.

- Ugotować obiad na twojej kuchence?

- Jakże miło z twojej strony.

- Poznam twoją dziewczynę?

- Zaproszę Norine.

Pocałowali się na pożegnanie. Jacky wsiadła do pociągu i pojedzie do domu w hrabstwie Prince George w Marylandzie. Przed odejściem miała mu coś jeszcze do powiedzenia:

- Pamiętaj. Tysiąc inteligentnych młodych ludzi pali się do pracy u Martina Luthera Kinga. Ale tylko jeden Murzyn siedzi w biurze sąsiadującym z gabinetem Roberta Kennedy'ego.

Ma rację, pomyślał George. Zwykle ją miała.

Wróciwszy do biura, nie odezwał się do Dennisa, tylko usiadł przy biurku i napisał dla prokuratora generalnego streszczenie raportu o integracji w szkołach.

O siedemnastej Robert Kennedy i jego doradcy wsiedli do limuzyn, by odbyć krótką przejażdżkę do Białego Domu, gdzie Bobby umówił się na spotkanie z prezydentem. George po raz pierwszy miał wziąć udział w naradzie w Białym Domu i nie wiedział, czy cieszyć się,



że zdobywa zaufanie pryncypała, czy uznać, że narada jest jedną z mniej ważnych.

Weszli do Zachodniego Skrzydła, a następnie do Sali Gabinetowej. Było to podłużne pomieszczenie z czterema wysokimi oknami. Wokół stołu o kształcie trumny stało około dwudziestu krzeseł obitych ciemnoniebieską skórą. W tej sali podejmowane są decyzje, od których świat drży w posiadach, pomyślał uroczyście George.

Minął kwadrans, a prezydenta wciąż nie było.

- Wyjdź i sprawdź, czy Dave Powers wie, gdzie jesteśmy - rzekł Dennis do George'a. Powers był osobistym asystentem prezydenta.

- Jasne - zgodził się George. Siedem lat studiów na Harvardzie i robię za chłopca na posyłki, myślał.

Przed spotkaniem z bratem prezydent miał wstąpić na koktajl party dla sław, które go popierały. George przeszedł do głównej części budynku i ruszył w kierunku, z którego dobiegał gwar. Pod ogromnymi kandelabrami w Sali Wschodniej sto osób od ponad godziny raczyło się trunkami. George pomachał do rodziców Vereny, Percy'ego Marquanda i Babe Lee, którzy rozmawiali z kimś z komitetu wyborczego Partii Demokratycznej.

Prezydenta nie było.

George rozejrzał się i zauważył wejście kuchenne. Wiedział o tym, że prezydent często korzysta z drzwi dla personelu i tylnych wejść, by unikać ciągłego nagabywania.

Wyszedł drzwiami dla personelu i zauważył orszak głowy państwa. Przystojny, opalony i młody, bo zaledwie czterdziestoczteroletni prezydent miał na sobie granatowy garnitur, białą koszulę i wąski krawat. Wyglądał na zmęczonego i podenerwowanego.

- Nie mogą mi zrobić zdjęcia w towarzystwie mieszanej pary! - odezwał się tonem pełnym frustracji, jakby mówił o tym nie pierwszy raz. - Straciłbym dziesięć milionów wyborców!

George zauważył w sali tylko jedną mieszaną parę, stanowili ją Percy Marquand i Babe Lee. Zbulwersowało go to. A więc prezydent o liberalnych przekonaniach boi się tego, że pstrykną mu z nimi zdjęcie!

Dave Powers był sympatycznym mężczyzną w średnim wieku z dużym nosem i łysiną, w niczym nie przypominał swojego szefa.

- Więc co mam zrobić? - spytał, zwracając się do Kennedy'ego.

- Zabierz ich stąd!

Dave był przyjacielem prezydenta i nie bał się okazać mu irytacji.

- Na litość boską, co im powiem?

Raptem George powściągnął gniew i zaczął kombinować. Czyżby nadarzała się dla

niego okazja? Odezwał się, zanim obmyślił cały plan:

- Panie prezydencie, jestem George Jakes, pracuję u prokuratora generalnego. Czy mogę rozwiązać za pana ten problem?

Spojrzał na twarze prezydenta i jego doradcy. Jeśli Percy'ego Marquanda ma spotkać obraza w Białym Domu, będzie o wiele lepiej, jeśli dozna jej ze strony czarnoskórego.

- Tak, do cholery - zgodził się Kennedy. - Będę ci wdzięczny.

- Tak jest, panie prezydencie - rzekł George i skierował się do sali balowej.

I co teraz? - głowił się, zмирzając po wypolerowanej podłodze w stronę Percy'ego i Babe. Trzeba na kwadrans lub dwadzieścia minut wyprowadzić ich stamtąd, to wszystko. Ale co im powiedzieć?

Byle nie prawdę, to pewne.

Dotarłszy do pogrążonej w rozmowie gromadki, delikatnie dotknął ramienia Percy'ego Marquanda. Mimo to wciąż nie wiedział, jak załatwić sprawę.

Percy odwrócił się, rozpoznał go i uśmiechnął się.

- Słuchajcie! - rzekł, ściskając rękę George'a. - Oto jeden z uczestników Rajdu Wolności!

Babe Lee chwyciła go obiema dłońmi za ramię, jakby bała się, że ktoś go uprowadzi.

- Jesteś bohaterem.

Nagle George wiedział, co musi zrobić.

- Panie Marquand, panno Lee, pracuję obecnie dla Roberta Kennedy'ego. Prokurator generalny chciałby pomówić z państwem chwilę o prawach obywatelskich. Mogę was do niego zaprowadzić?

- Naturalnie - odparł Percy i wyszli z sali.

George momentalnie pożałował swoich słów, serce mu dudniło, kiedy prowadził gości do Zachodniego Skrzydła. Jak zareaguje Bobby? Może powiedzieć: „Do diabła, nie mam czasu”. Jeśli dojdzie do żenującej sytuacji, będzie to wina jego, George'a. Powinien był trzymać buzię na kłódkę.

- Zjedliśmy lunch z Veroną - zagaił.

- Och, nasza mała uwielbia pracę w Atlancie - odparła Babe Lee. - Konferencja Chrześcijan Południowych to mała organizacja, lecz dokonuje wspaniałych rzeczy.

- Doktor King to niezwykły człowiek - podchwycił Percy. - Spośród wszystkich przywódców walki o prawa obywatelskie właśnie on zrobił na mnie największe wrażenie.

Dotarli do drzwi Sali Gabinetowej i weszli. Przy końcu długiego stołu siedziała grupa mężczyzn, rozmawiali, niektórzy palili papierosy. Spojrzeli z zaskoczeniem na przybyszów.

George wyszukał wzrokiem szefa. Twarz Kennedy'ego wyrażała zdziwienie i irytację.

- Bobby, znasz Percy'ego Marquanda i Babe Lee. Państwo chętnie porozmawiają z nami przez kilka minut o kwestii praw obywatelskich.

Twarz Roberta pociemniała ze złości i George uświadomił sobie, że już po raz drugi w tym dniu zaskakuje prokuratora generalnego, sprowadzając niespodziewanych gości. Nagle Kennedy się uśmiechnął.

- Jakże mi miło! - rzekł. - Proszę usiąść. Dziękuję, że zechcieli państwo poprzeć brata w wyborach.

George się ucieszył. Nie dojdzie do kompromitacji, przynajmniej na razie. Bobby odruchowo zaczął czarować przybyłych. Pytał o ich poglądy i szczerze opowiadał o kłopotach, jakich jemu i bratu przysparzają w Kongresie demokracji z Południa. Goście poczuli się zaszczytzeni.

Kilka minut później nadszedł prezydent. Podał dłoń Percy'emu i Babe, a potem poprosił Powersa, by odprowadził ich na przyjęcie.

Gdy tylko zamknęły się drzwi, Bobby naskoczył na George'a.

- Nigdy więcej mi tego nie rób! - Jego twarz wyrażała gniew, który dotąd powściągał.

George zauważył, że Dennis Wilson prawie się uśmiecha.

- Za kogo ty się uważasz? - wściekał się Robert.

George'owi zdawało się, że brat prezydenta go uderzy. Zakołysał się lekko na stopach, gotów zrobić unik.

- Prezydent chciał się ich pozbyć! - oznajmił z desperacją. - Nie chciał, by sfotografowano go z Percym i Babe.

Bobby spojrział na brata, a ten skinął głową.

- Miałem pół minuty na wymyślenie pretekstu, który by ich nie uraził - tłumaczył George. - Powiedziałem, że chcesz się z nimi spotkać. Udało się, prawda? Nie są obrażeni, a nawet pomyśleli, że potraktowano ich jak bardzo ważnych gości!

- To prawda - potwierdził prezydent. - George wybawił nas z kłopotliwej sytuacji.

- Chodziło mi o to, byśmy nie stracili ich poparcia w następnej kampanii - dodał George.

Bobby przez chwilę usiłował ogarnąć przebieg wydarzeń.

- Powiedziałeś im, że chcę z nimi pogadać. To był sposób na to, by nie pojawili się na zdjęciach z prezydentem.

- Tak - odparł George.

- Wykazałeś dobry refleks - pochwalił prezydent.

Wyraz twarzy Roberta uległ zmianie. Po chwili parsknął śmiechem, a pozostali także się przyłączyli. Potem położył rękę na ramieniu George'a.

Ten nadal czuł się niepewnie. Jeszcze przed chwilą myślał, że wyleci z pracy.

- No to jesteś swój chłop! - orzekł Bobby.

George uprzytomnił sobie, że został dopuszczony do ścisłego grona. Przeniknęło go poczucie wielkiej ulgi.

Jednakże nie było w nim dumy. Za pomocą drobnego fortelu dopomógł prezydentowi, który postanowił podlizywać się krzewicielom uprzedzeń rasowych. Najchętniej umyłby teraz ręce.

Nagle spostrzegł zachmurzone oblicze Dennisa Wilsona i od razu zrobiło mu się lepiej.

## ROZDZIAŁ 10

W sierpniu Rebecę powtórnie zawezwano do siedziby tajnej policji.

Z lękiem dociekała, czego tym razem chce od niej Stasi. Bezpieka już zrujnowała jej życie. Wciągnęli ją w lipne małżeństwo, a teraz nie mogła znaleźć pracy. Było jasne, że szkoły dostały zakaz jej zatrudniania. Co jeszcze mogą uczynić? Bo chyba tajniacy nie zamkną Rebekki w więzieniu, skoro już jest ich ofiarą?

Owszem, Stasi mogło zrobić wszystko, czego zapragnęło.

To był upalny dzień w Berlinie. Rebecca wsiadła do autobusu. Nowa kwatery główna była tak odrażająca jak formacja, która ją zajmowała: wyglądała niczym prostokątne betonowe pudło. Jej wnętrze zapełniali ludzie o kanciastych umysłach. Rebecę skierowano do windy i zawieziono pod eskortą na górę, gdzie poprowadzono ją korytarzami pomalowanymi na jadowicie żółty kolor, lecz tym razem zamiast do pokoju przesłuchań trafiła do gabinetu. Czekał tam na nią jej mąż Hans. Kiedy go ujrzała, przeraźliwy lęk ustąpił miejsca jeszcze większej złości. Miał władzę i mógł wyrządzić jej krzywdę, lecz czuła się zbyt rozgniewana, żeby się przed nim korzyć.

Był ubrany w nowy niebieskoszary garnitur, którego wcześniej nie widziała. Gabinet wyglądał na przestronny, z dwoma oknami i nowoczesnym wyposażeniem. Hans zajmował więc wyższe stanowisko, niż sądziła.

Rebecca potrzebowała czasu na zebranie myśli.

- Spodziewałam się sierżanta Scholza.

Hans odwrócił głowę.

- Nie nadawał się do służby bezpieczeństwa.

Zorientowała się, że coś przed nią ukrywa. Prawdopodobnie Scholz został zwolniony albo zdegradowany i przeniesiony do drogówki.

- Pewnie popełnił błąd, przesłuchując mnie w siedzibie Stasi, a nie na posterunku policji.

- W ogóle nie powinien był cię przesłuchiwać. Siadaj. - Hans wskazał krzesło przed swoim dużym brzydkim biurkiem.

Mebel wykonano z metalowych rurek i twardego pomarańczowego tworzywa. Rebecca domyślała się, że chodziło o to, by zwiększyć poczucie dyskomfortu ofiar. Nie usiadła, lecz podeszła do okna i wyjrzała na parking.

- Zmarnowałeś swój czas, co? Tyle zachodu tylko po to, by śledzić moją rodzinę, i nie

wykryłeś ani jednego szpiega czy sabotażysty. - Odwróciła się do męża. - Szefowie muszą być na ciebie wściekli.

- Wprost przeciwnie. Operacja uważana jest za jedną z najskuteczniejszych, jakie Stasi kiedykolwiek przeprowadziło.

Rebecca nie rozumiała, jak to możliwe.

- Przecież nie dowiedziałeś się niczego ciekawego.

- Moja ekipa sporządziła wykaz wszystkich socjaldemokratów w Niemieckiej Republice Demokratycznej - oznajmił z dumą. - Kluczowe informacje pochodzą z twojego domu. Twój rodzice znają wszystkich najważniejszych reakcjonistów, wielu tam bywało.

Rebecca zmarszczyła czoło. Owszem, większość osób odwiedzających rodziców należała kiedyś do partii socjaldemokratycznej, to było naturalne.

- Ale to tylko znajomi - podkreśliła.

Hans parsknął szyderczym śmiechem.

- Tylko znajomi! Daj spokój, wiem, że nie uważasz nas za tytanów intelektu, wiele razy to mówiłaś, kiedy razem mieszkaliśmy, ale nie jesteśmy do cna bezmyślni.

Rebecce przyszło do głowy, że Hans i wszyscy agenci bezpieczeństwa mieli obowiązek wierzyć - albo udawać, że wierzą - w istnienie perfidnych spisków wymierzonych we władzę kraju. W przeciwnym razie ich robota nie miałaby sensu. Tak więc Hans stworzył wymyśloną siatkę socjaldemokratów powiązaną z domem rodzinnym Francków, dążącą do obalenia komunistycznego rządu.

Gdybyż to była prawda.

- Oczywiście nie planowałem, że się z tobą ożenię - ciągnął Hans. - To miał być tylko flirt. Chodziło o to, bym dostał się do waszego domu.

- Moje oświadczenia musiały was postawić w trudnej sytuacji.

- Wszystko szło dobrze, informacje, które zdobywałem, miały kluczową wagę. Każda osoba, którą u was zauważyłem, prowadziła nas do kolejnych socjaldemokratów. Gdybym się uchylił, odciąłbym się od źródła.

- Wykazałeś się wielką dzielnością - zadrwiła Rebecca. - Pewnie pękasz z dumy.

Przyglądał się jej i przez chwilę nie mogła odczytać jego zamiarów. Coś chodziło mu po głowie, a ona nie wiedziała co. Przemknęło jej przez myśl, że chce ją objąć lub pocałować. Dostała gęsiej skórki. Hans potrząsnął głową, jakby próbował rozjaśnić myśli.

- Nie spotkaliśmy się po to, by rozmawiać o małżeństwie - oznajmił z irytacją.

- A więc po co?

- Spowodowałaś incydent w biurze pośrednictwa pracy.

- Incydent? Zapytałam faceta stojącego przede mną w kolejce, od jak dawna jest bezrobotny. Baba w okienku wstała i wrzasnęła: „W krajach komunistycznych nie ma bezrobocia!”. Spojrzałam na tych, którzy stali przede mną, i parsknęłam śmiechem. To ma być incydent?

- Śmiałaś się histerycznie i nie chciałaś przestać, potem wyrzucono cię z budynku.

- Faktycznie nie mogłam przestać. To, co powiedziała ta kobieta, było absurdalne.

- To żaden absurd! - Hans grzebał palcami w paczce papierosów f6. Tak jak każdy drań denerwował się, kiedy ktoś mu się postawił. - Urzędniczka miała rację. W Niemieckiej Republice Demokratycznej nikomu nie brakuje pracy. Komunizm rozwiązał problem bezrobocia.

- Przestań, proszę - odparła Rebecca. - Bo znów zacznę się śmiać i stąd także trzeba będzie mnie wyrzucić.

- Drwiny nie wyjdą ci na dobre.

Na ścianie wisiało oprawione w ramkę zdjęcie, na którym Walter Ulbricht, przywódca Niemiec Wschodnich, ścisnął rękę Hansa. Ulbricht był łysy, miał niewielką bródkę i wąsy i zdradzał nieco komiczne podobieństwo do Lenina.

- Co ci powiedział?

- Pogratulował mi awansu na kapitana.

- Między innymi za to, że w okrutny sposób zwiodłeś żonę. Powiedz, jeśli nie jestem bezrobotna, to jak byś mnie określił?

- Jesteś przedmiotem śledztwa jako pasożyt społeczny.

- To niedorzeczne! Pracowałam bez przerwy od ukończenia studiów. Przez osiem lat nie wzięłam ani dnia zwolnienia lekarskiego. Dostałam awans i przydzielono mi dodatkowe obowiązki, między innymi nadzór nad nowymi nauczycielami. Nagle dowiaduję się, że mój mąż to szpieg Stasi, i wkrótce potem wylatuję z pracy. Od tego czasu byłam na sześciu rozmowach kwalifikacyjnych. Każda szkoła chciała, bym czym prędzej rozpoczęła zajęcia. A później za każdym razem, nie podając powodu, przysyłali mi list z informacją, że nie mogą zaoferować mi stanowiska. Wiesz może dlaczego?

- Nikt nie chce cię przyjąć.

- Każdy chce mnie przyjąć. Jestem dobrą nauczycielką.

- Nie jesteś wiarygodna ideologicznie. Mogłabyś mieć zły wpływ na podatną młodzież.

- Od poprzedniego pracodawcy dostałam wyśmienitą opinię.

- To znaczy od Bernda Helda. On także jest przedmiotem śledztwa, z tych samych przyczyn.

Rebecca poczuła zimny dreszcz w piersi, ale starała się niczego po sobie nie pokazać. To byłoby straszne, gdyby tak dobry i uzdolniony człowiek jak Bernd wpadł w tarapaty z jej powodu. Muszę go ostrzec, pomyślała.

Nie zdołała zmylić Hansa.

- Ta informacja wstrząsnęła tobą, co? Zawsze miałem wobec niego podejrzenia. Lubiłaś go.

- Marzył mu się romans ze mną - przyznała Rebecca. - Ale ja nie chciałam cię oszukiwać, wyobraź sobie.

- Dowiedziałbym się.

- Jednak to ja się dowiedziałam.

- Spełniałem swój obowiązek.

- Więc teraz pilnujesz, żebym nie dostała pracy, i oskarżasz o to, że jestem pasożytem. Co mam zrobić, wynieść się na Zachód?

- Emigracja bez zezwolenia to zbrodnia.

- Bardzo wielu tak robi! Słyszałam, że liczba emigrantów wzrosła do prawie tysiąca dziennie. Nauczyciele, lekarze, inżynierowie, nawet policjanci. Och! - Nagle Rebecce olśniło.

- Czy tak postąpił sierżant Scholz?

Było widać, że Hans czuje się nieswojo.

- Nie twoja sprawa.

- Widzę to po twojej twarzy. A więc Scholz przeszedł na Zachód. Dlaczego ci wszyscy ludzie łamią prawo, jak sądzisz? Czy dlatego, że chcą żyć w kraju, w którym są wolne wybory i tym podobne?

- Wolne wybory dały nam Hitlera! - odparował gniewnie. - Czy tego chcą ci ludzie?

- Może nie chcą mieszkać w kraju, w którym tajnej policji wolno robić wszystko, na co przyjdzie jej ochota. Wyobrażasz sobie, jak niepewnie można się czuć w takiej sytuacji.

- Dotyczy to tylko tych, którzy mają coś złego do ukrycia!

- A jaki jest mój sekret, Hans? No, przecież ty musisz wiedzieć.

- Jesteś pasożytem społecznym.

- Więc uniemożliwiasz mi zdobycie pracy, a później grozisz więzieniem za to, że jej nie mam. Przypuszczam, że trafiłabym do obozu pracy, prawda? Wtedy miałabym robotę, tyle że by mi za nią nie płacono. Uwielbiam komunizm, jest taki logiczny! Ciekawe tylko, dlaczego ludzie tak desperacko przed nim wieją?

- Twoja matka wiele razy mi mówiła, że nigdy nie wyemigruje na Zachód. Uważałaby to za rejteradę.



Rebecca nie wiedziała, do czego zmierza jej mąż.

- I co z tego...?

- Jeśli popełnisz zbrodnię nielegalnej emigracji, nigdy nie będziesz mogła wrócić.

Teraz już Rebecca przeczuwała, co za chwilę usłyszy. Ogarnęła ją rozpacz.

- Nigdy więcej nie ujrzysz rodziny - zawyrokował triumfalnie Hans.

Zdruzgotana, wyszła z budynku i stanęła na przystanku. Jakkolwiek by na to patrzeć, była skazana na utratę albo rodziny, albo wolności.

W poczuciu przygnębienia wsiadła do autobusu i pojechała do szkoły, w której kiedyś pracowała. Tęsknota runęła na nią z przemożną siłą, gdy tylko Rebecca znalazła się w środku: usłyszała rozmowy młodych ludzi, zapach kredy i środków czystości, zobaczyła tablice ogłoszeń, buty piłkarskie i napis „Nie biegać”. Nagle uprzytomniła sobie, jaka była szczęśliwa jako nauczycielka. Wykonywała niesłychanie ważną pracę i była w niej dobra. Nie mogła znieść myśli, że przyjdzie jej z tego zrezygnować.

Bernd był w gabinecie dyrektora, miał na sobie czarny garnitur ze sztruksu. Materiał był wytarty, lecz Bernd bardzo dobrze wyglądał w tym kolorze. Na widok Rebekki cały się rozpromienił.

- Mianowali cię dyrektorem? - spytała, mimo że mogła się domyślić odpowiedzi.

- To nigdy nie nastąpi. Ale robię swoje, i to z przyjemnością. Nasz dawny dyrektor Anselm kieruje dużą szkołą w Hamburgu i zarabia dwa razy tyle, ile miał u nas. A co u ciebie? Siadaj.

Opowiedziała mu o rozmowach kwalifikacyjnych.

- Zemsta Hansa. Niepotrzebnie wyrzuciłam przez okno ten zakichany model z zapalek.

- Może nie o to chodzi. Widywałem takie sytuacje. Człowiek nienawidzi osoby, którą skrzywdził, to swoisty paradoks. Myślę, że powodem jest to, że ofiara nieustannie przypomina mu o jego niegodziwości.

Bernd był bardzo mądry, tęskniła za nim.

- Obawiam się, że ciebie także może nienawidzić. Powiedział, że jesteś przedmiotem śledztwa z powodu nieprawomyślności ideologicznej, ponieważ napisałeś mi doskonałą opinię.

- O cholera. - Bernd potarł ręką bliznę na czole. To zawsze był znak, że coś go trapi. Utarczki ze Stasi nigdy nie kończyły się pomyślnie.

- Przykro mi.

- Niepotrzebnie. Cieszę się, że napisałem ci tę opinię, zrobiłbym to ponownie. Ktoś w

tym parszywym kraju musi mówić prawdę.

- Poza tym Hans jakoś wykombinował, że... pociągałam cię.

- Jest zazdrosny?

- Trudno to pojąć, prawda?

- Bynajmniej. Nawet szpieg musiał coś do ciebie poczuć.

- Nie pleć bzdur.

- Po to przysłaś? - chciał wiedzieć Bernd. - Żeby mnie ostrzec?

- I jeszcze po to, by powiedzieć... - musiała zachować dyskrecję, nawet wobec niego - że prawdopodobnie przez jakiś czas mnie nie zobaczysz.

- Ach. - Skinął głową ze zrozumieniem.

Ci, którzy przechodzili na Zachód, rzadko to zapowiadali. Można było trafić do aresztu za samo planowanie ucieczki. Ten zaś, kto dowiedział się o takich planach i nie doniósł policji, popełniał przestępstwo. Tak więc nikt poza rodziną nie chciał mieć tak obciążającej wiedzy.

Rebecca wstała.

- Dziękuję za przyjaźń, którą mnie obdarzyłeś.

Bernd obszedł biurko i ujął jej dłonie.

- Nie, to ja ci dziękuję. I życzę powodzenia.

- Ja tobie także.

Uprzytomniła sobie, że podświadomie już podjęła decyzję o przejściu na Zachód. Właśnie myślała o tym z zaskoczeniem i niepokojem, gdy Bernd nieoczekiwanie schylił głowę i ją pocałował.

Tego się nie spodziewała. To był delikatny pocałunek. Dotknął ustami jej warg, ale nie otworzył ust. Zamknęła oczy. Po roku udawanego małżeństwa dobrze było poczuć, że ktoś naprawdę uważa ją za godną pożądania, a nawet miłości. Zapragnęła objąć Bernda ramionami, lecz stłumiła ten odruch. Inicjowanie w takiej chwili romansu skazanego na niepowodzenie byłoby szaleństwem. Po dłuższej chwili wysunęła się z jego objęć.

Była bliska łez i nie chciała, by Bernd zobaczył, że płacze.

- Do widzenia - wydusiła, a potem odwróciła się i szybko wyszła.

Postanowiła wyruszyć za dwa dni, w niedzielę rano.

Wszyscy wstali z łóżek, by się z nią pożegnać.

Nie mogła zjeść śniadania, była zanadto rozkojarzona.

- Chyba pojedę do Hamburga - oznajmiła, udając dobry nastrój. - Anselm Weber jest

tam teraz dyrektorem szkoły, na pewno mnie przyjmie.

Babcia Maud miała na sobie jedwabny purpurowy szlafrok.

- Znajdziesz pracę wszędzie w Niemczech Zachodnich.

- Ale byłoby miło znać przynajmniej jedną osobę w mieście - rzekła smutno Rebecca.

- W Hamburgu jest podobno świetna scena muzyczna - włączył się do rozmowy Walli. -

Przyjadę do ciebie zaraz po skończeniu szkoły.

- Jeśli odejdziesz ze szkoły, będziesz musiał rozpocząć pracę - ostrzegł cierpkim tonem ojciec. - To byłaby dla ciebie nowość.

- Tylko się dzisiaj nie kłóćcie - poprosiła Rebecca.

Ojciec wręczył jej kopertę z pieniędzmi.

- Kiedy znajdziesz się po drugiej stronie, złap taksówkę i jedź prosto do Marienfelde. - W południowej części miasta, nieopodal lotniska Tempelhof znajdował się ośrodek dla uchodźców. - Zgłoś się tam od razu. Na pewno będziesz musiała czekać w kolejce, to potrwa godziny albo nawet dni. Kiedy wszystko naładujesz, przyjdź do fabryki. Załatwię ci rachunek w zachodnioniemieckim banku i tym podobne sprawy.

Matka była we łzach.

- Będziemy się widywać, możesz przylecieć do Berlina Zachodniego, kiedy tylko zechcesz, przekroczymy granicę i spotkamy się. Urządzimy sobie piknik nad jeziorem Wannsee.

Rebecca powstrzymywała się, by nie płakać. Pieniądze schowała do małej torebki, oprócz niej niczego ze sobą nie brała, bo gdyby miała więcej bagażu, Vopo mogliby ją aresztować na przejściu. Pragnęła spędzić w domu jeszcze trochę czasu, ale obawiała się, że całkiem się załamie. Ucałowała wszystkich i uściskała babcię Maud, przybranego ojca Wenera, przybrane rodzeństwo Lili i Wallego, a na koniec Carlę, która uratowała jej życie, matkę, która jej nie urodziła i dlatego była Rebecce jeszcze droższa.

Później z załzawionymi oczami wyszła z domu.

W ten jasny letni ranek niebo było błękitne i bezchmurne. Rebecca przywoływała optymizm: oto rozpoczyna nowe życie z dala od ponurych represji komunistycznego reżimu. Poza tym w taki czy inny sposób spotka się jeszcze z rodziną.

Maszerowała rażnym krokiem uliczkami starego centrum miasta. Minęła rozległy teren szpitala Charité i skręciła w Invaliden Strasse. Po lewej stronie miała most Sandkrug, po którym samochody przejeżdżały nad kanałem Berlin-Spandau do Berlina Zachodniego.

Jednakże tego dnia ich nie było.

W pierwszej chwili Rebecca nie ogarniała myślą tego, co miała przed oczami. Sznur aut

zatrzymał się tuż przed mostem. Stali tam ludzie i na coś patrzyli. Może na moście zdarzył się wypadek. Jednak po prawej stronie, na Platz vor dem Neuen Tor, stało beczynnie dwudziestu lub trzydziestu enerdowskich żołnierzy. Za nimi ustawily się dwa radzieckie czołgi.

Widok był zagadkowy i przerażający.

Rebecca przecisnęła się przez gapiów i zobaczyła, na czym polega trudność. Na wskroś wejścia na most ustawiono surowe zasieki z drutu kolczastego. Niewielkiej luki pilnowali policjanci, którzy nikogo nie przepuszczali.

Miała ochotę zapytać ich, co się dzieje, ale nie chciała zwracać na siebie uwagi. Była niedaleko stacji Friedrich Strasse, mogła tam wsiąść do metra i dojechać bezpośrednio do Marienfelde.

Skrećila na południe i przyspieszyła kroku; zygzakując, mijała budynki uniwersytetu i zbliżała się do dworca.

Tam też coś było nie tak.

Przy wejściu tłoczyło się kilkadziesiąt osób. Rebecca przepchnęła się naprzód i przeczytała informację na płachcie papieru przyklejonej do muru, stwierdzającą to, co oczywiste: stacja została zamknięta. Na szczycie schodów stał rząd uzbrojonych policjantów. Nikogo nie wpuszczano na perony.

Rebecce ogarnął lęk. Może to zbieg okoliczności, że pierwsze dwa przejścia okazały się zamknięte. A może nie.

Miejsce, w których można było przejść z Berlina Wschodniego do Zachodniego, było osiemdziesiąt jeden. Najbliższe znajdowało się przy Bramie Brandenburskiej: szeroka aleja Unter den Linden przebiegała tam pod monumentalnym łukiem w stronę Tiergarten. Rebecca ruszyła Friedrich Strasse w kierunku południowym.

Gdy tylko skrećila Unter den Linden na zachód, wiedziała, że ma problem. Już z daleka widziała żołnierzy i czołgi. Przed słynną bramą zgromadziły się setki ludzi. Dotarłszy do czoła tłumu, zobaczyła zasieki z drutu kolczastego rozpięte na drewnianych kozłach i pilnowane przez enerdowskich policjantów.

Młodzi chłopcy podobni do Wallego, ubrani w skórzane kurtki i wąskie spodnie, z fryzurami w stylu Elvisa Presleya, rzucali obelgi z bezpiecznej odległości. Po zachodniej stronie ustawily się podobne wyrostki i pokrzykiwały gniewnie, co jakiś czas ciskając kamieniami w policję.

Rebecca przyjrzała się uważniej i zauważyła, że funkcjonariusze z różnych formacji - Vopo, pogranicznicy i strażnicy z fabryk - wykuwają otwory w jezdni i ustawiają w nich

wysokie betonowe słupy, a następnie rozciągają między nimi drut kolczasty, przygotowując trwalszą zaporę.

Uświadomiła to sobie i poczuła się tak, jakby ziemia się pod nią rozstała.

- Tak jest wszędzie? - spytała mężczyzny stojącego obok. - Ten płot?

- Wszędzie - odparł. - Dranie.

Wschodnioniemiecki reżim uczynił to, co zdaniem wszystkich było niemożliwe: wznosił mur przez środek Berlina.

A Rebecca znalazła się po jego niewłaściwej stronie.

# **CZEŚĆ DRUGA**

**Pluskwa**

**1961-1962**

## ROZDZIAŁ 11

George nie bez obaw poszedł na lunch do baru Electric Diner z Larrym Mawhinneyem. Nie wiedział, dlaczego Larry zaproponował ten lokal, ale zgodził się z ciekawości. On i Larry byli rówieśnikami i pracowali na podobnych stanowiskach: Larry był asystentem szefa sztabu sił powietrznych generała Curtisa LeMaya. Jednakże ich pryncypałowicie byli skłóceni, ponieważ bracia Kennedy nie darzyli zaufaniem wojska.

Larry nosił mundur porucznika lotnictwa. Wyglądał po wojskowemu: był starannie ogolony, miał krótko ostrzyżone jasne włosy, ciasno związane krawat i wyglansowane buty.

- W Pentagonie nienawidzą segregacji rasowej.

George uniósł brwi.

- Doprawdy? Zdawało mi się, że w wojsku panuje zadawniona nieufność wobec Murzynów z bronią.

Mawhinney uniósł pojednawczo rękę.

- Wiem, co masz na myśli, ale po pierwsze, to nastawienie zawsze ustępowało w obliczu konieczności i Murzyni walczyli we wszystkich konfliktach zbrojnych od czasu wojny o niepodległość. Po drugie, to już historia. Dzisiaj Pentagon potrzebuje kolorowych mężczyzn w wojsku. Poza tym nie chcemy zbędnych wydatków i utrudnień, które wiążą się z utrzymywaniem segregacji: dublowanych łazienek i koszar, a także uprzedzeń i nienawiści między tymi, którzy mają walczyć ramię w ramię.

- No dobra, niech ci będzie - odparł George.

Larry odkroił kęs grzanki z serem, a George nadział na widelec porcję chili con carne.

- A więc Chruszczow dopiął swego w Berlinie - zagał Mawhinney.

George wyczuł, że kolega zaprosił go na lunch, by poruszyć ten właśnie temat.

- Bogu dzięki, że nie musimy iść na wojnę z Sowiecami.

- Kennedy się spietrał - orzekł Larry. - Wschodniemiecki reżim był o krok od upadku. Gdyby prezydent przyjął twardszą linię, mogłoby dojść do kontrrewolucji. Jednak mur zatrzymał falę uchodźców na Zachód i teraz Sowieci mogą w Berlinie Wschodnim robić, co im się żywnie podoba. Nasi sojusznicy z Niemiec Zachodnich są wściekli jak diabli.

- Prezydent uniknął trzeciej wojny światowej! - zaperzył się George.

- Za cenę tego, że Sowieci mocniej zacisnęli łapę na swoich zdobyczach. Trudno to nazwać zwycięstwem.

- Takie jest przekonanie Pentagonu?

- Z grubsza.

Jakżeby inaczej, pomyślał ze złością George. Teraz zrozumiał: Mawhinney ma go przekonać do linii Pentagonu, pozyskać jego wsparcie. Powiniennem się poczuć doceniony, stwierdził w duchu, uznali mnie za członka najbliższego kręgu doradców Roberta Kennedy'ego.

Nie zamierzał jednak wysłuchiwać ataku na prezydenta i nie odciąć się.

- Zapewne nie powiniennem się spodziewać niczego innego po generale LeMayu. W końcu nazywają go „Bombowym”.

Mawhinney zmarszczył czoło. Jeśli przydomek szefa go bawił, to tego nie okazywał.

George był zdania, że natarczywy, znany ze zwyczaju żucia cygar generał zasługuje na drwiny.

- Podobno palnął kiedyś, że jeśli wybuchnie wojna jądrowa i zostanie przy życiu dwóch Amerykanów i jeden Rusek, to znaczy, że wygraliśmy.

- Nigdy nie słyszałem, by coś takiego mówił.

- Prezydent odrzekł ponoć: „Oby tylko ci Amerykanie byli różnej płci”.

- Musimy być silni! - argumentował zirytowany Mawhinney. - Straciliśmy Kubę, Laos i Berlin Wschodni, grozi nam utrata Wietnamu.

- Co twoim zdaniem możemy zrobić w sprawie Wietnamu?

- Wysłać armię - odparł bez wahania Larry.

- Czy nie mamy tam już tysięcy doradców wojskowych?

- To za mało. Pentagon wielokrotnie zwracał się do prezydenta z prośbą o wysłanie lądowych jednostek bojowych. Ale on chyba nie ma odwagi.

Niesprawiedliwa ocena dotknęła George'a.

- Prezydentowi nie brakuje odwagi.

- W takim razie dlaczego nie uderzy na komunistów w Wietnamie?

- Nie sądzi, byśmy mogli wygrać.

- Powinien posłuchać doświadczonych i znających się na rzeczy generałów.

- Czyżby? To oni podpowiedzieli mu, by wsparł idiotyczną inwazję w Zatoce Świń. Jeśli generacja jest taka doświadczona i oblatana, to czemu nie ostrzegła prezydenta, że desant kubańskich uchodźców nie ma żadnych szans powodzenia?

- Kazaliśmy mu wysłać osłonę lotniczą...

- Wybacz, Larry, ale sens tej operacji polegał na tym, by uniknąć wniknięcia w nią Amerykanów. Ale gdy tylko okazało się, że spaliła na panewce, Pentagon zapragnął wysłać w bój marines. Bracia Kennedy podejrzewali was o to, że zadaliście im podstępny cios. Wciągnęliście prezydenta w inwazję skazaną na klęskę tylko po to, by nakłonić go do



wysłania amerykańskich wojsk.

- To nieprawda.

- Może, teraz jednak prezydent uważa, że w ten sam sposób chcecie go wplątać w Wietnam. I jest zdeterminowany, by nie dać się wykołować po raz drugi.

- No dobrze, więc ma do nas pretensje o Zatokę Świń. Ale poważnie, George, czy to jest powód, by oddać komuchom Wietnam?

- Będziemy musieli podpisać protokół rozbieżności.

Mawhinney odłożył sztućce.

- Masz ochotę na deser? - Przed chwilą uświadomił sobie, że marnuje czas: George nigdy nie zostanie sojusznikiem Pentagonu.

- Nie, dzięki - odparł George. Przyszedł do urzędu prokuratora generalnego po to, by walczyć o prawa swoich dzieci, o to, by mogły dorastać jako pełnoprawni Amerykanie. Z komunizmem w Azji niech walczy kto inny.

Mawhinney zamachał do kogoś ręką, wyraz jego twarzy się zmienił. George obejrzał się i doznał szoku.

Jego rozmówca machał do Marii Summers.

Nie dostrzegła go. Odwróciła głowę do towarzyszkę, białej dziewczyny w zbliżonym wieku.

- Czy to Maria Summers? - spytał George.

- Taak.

- Znasz ją.

- Jasne. Studiowaliśmy razem prawo w Chicago.

- Co ona porabia w Waszyngtonie?

- To zabawna historia. Ubiegała się o posadę w biurze prasowym Białego Domu i ją odrzucono. Potem wybrana osoba się nie sprawdziła, a Maria była kandydatką numer dwa.

George'a przeszył dreszcz radości. Maria w Waszyngtonie - na stałe! Postanowił, że zanim wyjdzie z restauracji, musi z nią porozmawiać.

Przyszło mu na myśl, że może zdoła wyciągnąć więcej od Mawhinneya.

- Chodziliście ze sobą w czasie studiów?

- Nie, umawiała się tylko z kolorowymi chłopakami, i to z niewieloma. Nazywano ją górą lodową.

George nie potraktował tych słów jako niepodważalnej prawdy. Zdaniem niektórych mężczyzn każda dziewczyna, która mówi „nie”, to góra lodowa.

- Miała kogoś wyjątkowego?

- Był jeden gość, z którym chodziła mniej więcej rok, ale ją rzucił, bo nie chciała mu dać.

- Nie dziwię się - rzekł George. - Maria pochodzi z rodziny o surowych zasadach.

- Skąd o tym wiesz?

- Byliśmy razem na pierwszym Rajdzie Wolności. Trochę z nią pogadałem.

- Ładna jest.

- Bez wątpienia.

Podzielili się rachunkiem pół na pół. W drodze do wyjścia George przystanął obok stolika Marii.

- Witaj w Waszyngtonie.

Uśmiechnęła się do niego ciepło.

- O, cześć, George. Zastanawiałam się, kiedy na siebie wpadniemy.

- Cześć, Mario - odezwał się Larry. - Właśnie opowiadałem George'owi, jak to w Chicago nazywali cię górą lodową. - Parsknął śmiechem.

To była typowa męska odzywka, nic szczególnego, lecz Maria się zarumieniła.

Larry wyszedł, ale George został.

- Przykro mi z powodu jego słów. I wstydzę się, że je usłyszałem. To było chamskie.

- Dziękuję - odparła Maria, po czym wskazała ręką koleżankę. - Poznaj Antonię Capel, ona także jest prawniczką.

Antonia sprawiała wrażenie osoby poważnej i nieco wyniosłej. Była szczupła, a włosy zaczesane do tyłu w surowym stylu.

- Miło mi cię poznać - rzekł George.

Maria zwróciła się do Antonii:

- George'owi złamano rękę, kiedy bronił mnie w Alabamie przed segregacjonistą uzbrojonym w łom.

Dziewczynie to zaimponowało.

- Prawdziwy dżentelmen z ciebie.

George zorientował się, że dziewczęta zbierają się do wyjścia: rachunek leżał na stole przykryty paroma banknotami.

- Mogę cię odprowadzić do Białego Domu? - zapytał Marii.

- No pewnie.

- A ja muszę iść do apteki - oznajmiła Antonia.

Wyszli z lokalu. Jesienne powietrze w Waszyngtonie było przyjemnie łagodne. Antonia pomachała im na pożegnanie. George i Maria ruszyli w kierunku siedziby prezydenta.

George kątem oka obserwował dziewczynę, kiedy przemierzali Pennsylvania Avenue. Była ubrana w elegancki czarny płaszcz i biały golf, jednakże strój poważnej urzędniczki nie mógł przesłonić jej ciepłego uśmiechu. Była urodziwą dziewczyną z małym noskiem i drobnym podbródkiem, miała duże brązowe oczy i delikatne zmysłowe usta.

- Spierałem się z Mawhinneyem o Wietnam - rzekł George. - Chyba miał nadzieję, że zrobi ze mnie pośrednika i przekona w ten sposób Bobby'ego.

- Na pewno tak było - zgodziła się Maria. - Ale prezydent nie ulegnie w tej kwestii Pentagonowi.

- Skąd wiesz?

- Dziś wieczorem wygłosi przemówienie i powie, że istnieją granice tego, co możemy osiągnąć w polityce zagranicznej. Nie zdołamy naprawić każdego zła i odwrócić każdej niesprzyjającej okoliczności. Napisałam komunikat dla prasy w związku z tym wystąpieniem.

- Cieszę się, że prezydent okaże zdecydowanie.

- George, nie usłyszałeś, co powiedziałam. To ja napisałam ten komunikat! Nie rozumiesz, jakie to niezwykle? Przeważnie takie teksty układają mężczyźni, kobiety tylko wystukują je na maszynie.

Wyszczерzył zęby w uśmiechu.

- Gratuluję ci. - Cieszył się, że znów z nią jest. Szybko i bez wysiłku wrócili do przyjacielskich relacji.

- Zaraz będę w biurze i poznam opinie innych. A co się dzieje w twoim resorcie?

- Wygląda na to, że nasz Rajd Wolności coś zmienił - odparł z zapalem George. - Niebawem we wszystkich autobusach międzystanowych pojawią się napisy „Miejsca w tym pojeździe zajmowane są bez względu na rasę, kolor skóry, wyznanie i narodowość”. Ta sama informacja będzie wydrukowana na biletach. - Był dumny z tego osiągnięcia. - I co ty na to?

- Brawo - pochwaliła Maria, lecz od razu zadała kluczowe pytanie: - Czy ten przepis będzie egzekwowany?

- To zależy od naszego resortu, staramy się jak nigdy dotąd. Wielokrotnie występowaliśmy przeciwko władzom Missisipi i Alabamy. I aż dziw, że tak wiele miast w innych stanach stosuje się do tych zaleceń bez szemrania.

- Trudno uwierzyć, że naprawdę zwyciężamy. Zawsze się okazuje, że segregacjoniści mają w zanadrzu jakąś brudną sztuczkę.

- Nasz następny ruch będzie dotyczył rejestracji wyborców. Martin Luther King chce, by przed końcem roku podwoiła się na Południu liczba czarnych, którzy biorą udział w wyborach.

- Bardziej niż wszystko inne potrzebna jest nowa ustawa o prawach obywatelskich, która utrudni południowym stanom postępowanie wbrew przepisom - zauważyła z namysłem Maria.

- Pracujemy nad tym.

- Chcesz powiedzieć, że Bobby Kennedy popiera prawa obywatelskie?

- Do licha, nie. Rok temu tej kwestii nawet nie było na liście jego priorytetów. Jednak jego i prezydenta oburzyły fotografie ilustrujące akty zbiorowej przemocy białych na Południu. Trafiły na pierwsze strony gazet całego świata i zaszkodziły wizerunkowi braci Kennedych.

- A globalna polityka to jest to, na czym naprawdę im zależy.

- No właśnie.

George chciał się umówić z Marią, ale nie zrobił tego. Musi najpierw zerwać z Norine Latimer. Teraz, kiedy Maria jest w Waszyngtonie, nie da się tego uniknąć. Czuł jednak, że powinien powiedzieć Norine o zakończeniu ich romansu, zanim zaprosi na randkę Marię. Inne postępowanie byłoby nieuczciwe. Zwłoka nie będzie długa, bo za kilka dni spotka się z Norine.

Weszli do Zachodniego Skrzydła. Widok czarnych twarzy był w Białym Domu tak niezwykły, że przyciągał spojrzenia mijanych osób. Dotarli do biura prasowego. George zdziwił się na widok małej salki zastawionej biurkami. Pracowało tam intensywnie pół tuzina ludzi korzystających z szarych maszyn do pisania marki Remington oraz telefonów z migającymi światełkami. Z sąsiedniego pomieszczenia dobiegał terkot dalekopisów, a od czasu do czasu dzwonek obwieszczający nadejście szczególnie ważnej wiadomości. Był tam także gabinet, który, jak przypuszczał George, musiał należeć do sekretarza prasowego Pierre'a Salingera.

Wszyscy byli bardzo skupieni, nikt nie rozmawiał ani nie wyglądał przez okno.

Maria pokazała gościowi swoje biurko i przedstawiła sąsiadkę, atrakcyjną kobietę w wieku trzydziestu paru lat.

- George, to moja koleżanka panna Fordham. Nelly, czemu wszyscy tak ucichli?

Zanim zagadnięta zdążyła odpowiedzieć, z gabinetu wychynął Salinger, niski zaokrąglony człowieczek ubrany w europejski garnitur. Był z nim prezydent Kennedy.

Uśmiechnął się do obecnych, skinął głową George'owi i odezwał się do Marii:

- Zapewne Maria Summers. Napisała pani dobry komunikat, wyrazisty i dobitny. Brawo.

Zaczerwieniła się, słysząc pochwałę.

- Dziękuję, panie prezydencie.

Kennedy'emu się nie spieszyło.

- Czym pani się zajmowała przed podjęciem pracy tutaj? - spytał, jakby nie było na świecie ciekawszej dla niego kwestii.

- Studiowałam prawo w Chicago.

- Podoba się pani praca w biurze prasowym?

- O tak, jest bardzo ciekawa.

- Doceniam dobrą robotę. Oby tak dalej.

- Będę się starała.

Prezydent wyszedł, a za nim Salinger.

George spojrział z rozbawieniem na Marię. Wyglądała na oszołomioną.

Po chwili odezwała się Nelly Fordham:

- No i tak to działa. Przez chwilę byłaś najpiękniejszą kobietą na świecie.

Maria spojrzała na nią.

- Owszem, właśnie tak się poczułam.

Maria była trochę samotna, ale poza tym szczęśliwa.

Uwielbiała swoją pracę w Białym Domu w otoczeniu inteligentnych, szczerych osób, które pragnęły jedynie uczynić świat lepszym. Czuła, że może wiele osiągnąć w administracji. Zdawała sobie sprawę, że czeka ją walka z uprzedzeniami wobec kobiet i Murzynów, lecz wierzyła, że inteligencją i determinacją zdoła pokonać wszelkie przeciwności.

Jej rodzinie udawało się to od dawien dawna. Dziadek Marii, Saul Summers, dotarł pieszo do Chicago z rodzinnego miasteczka Golgotha w Alabamie. W drodze został aresztowany za „włóczęgostwo” i skazany na trzydzieści dni pracy w kopalni węgla. Zobaczył tam, jak strażnicy zakatowali człowieka pałkami za próbę ucieczki. Po trzydziestu dniach nie zwolniono go, a gdy złożył skargę, wymierzono mu karę chłosty. Postawił życie na szali, uciekł i doszedł do Chicago. Później został pastorem w Kościele Pełnej Ewangelii Betlejemskiej. Teraz, w wieku osiemdziesięciu lat, był częściowo na emeryturze, ale od czasu do czasu wygłaszał kazania.

Ojciec Marii, Daniel, ukończył college i uczelnię prawną dla Murzynów. W 1930 roku, w czasie wielkiego kryzysu, otworzył kancelarię w dzielnicy South Side, gdzie nikogo nie było stać na znaczek, a co dopiero na adwokata. Maria często słyszała jego wspominki o tym, jak klienci płacili mu w naturze: domowymi wypiekami, jajkami od swoich kur, darmowym strzyżeniem włosów, robotami stolarskimi w kancelarii. Zanim Nowy Ład Roosevelta zaczął

przynosić efekty i gospodarka podźwignęła się z zapaści, był już najpopularniejszym czarnoskórym adwokatem w Chicago.

Tak więc Maria nie lękała się przeszkód. Jednakże była sama. Zewsząd otaczali ją biali. Jej dziadek mawiał często: „Nie trzeba mieć pretensji do białych. Oni tylko nie są czarnymi”. Wiedziała, co miał na myśli. Biali nie rozumieli, co to takiego „włóczęgostwo”. Jakoś im umknęło, że w Alabamie aż do 1927 roku zsyłano Murzynów na przymusowe roboty. Jeśli zaczynała o tym mówić, przez chwilę robili smutne miny, a potem odwracali głowy i wiedziała, że w ich pojęciu przesadza. Czarni opowiadający o uprzedzeniach zanudzali białych tak jak chorzy, którzy wyliczają objawy swoich schorzeń.

Ucieszyła się niezmiernie, kiedy znów spotkała George'a. Chętnie odszukałaby go od razu po przybyciu do Waszyngtonu, ale skromna dziewczyna nie ugania się za mężczyzną bez względu na to, jak bardzo jest czarujący. Poza tym nie wiedziała, co mu powiedzieć. George podobał jej się bardziej niż jakikolwiek inny facet od czasu, gdy przed dwoma laty zerwała z Frankiem Bakerem. Wyszłaby za Franka, gdyby ją poprosił, ale on zaproponował seks bez małżeństwa, ona zaś tę ofertę odrzuciła. Kiedy George odprowadził ją do pracy, była pewna, że zaprosi ją na randkę, i poczuła rozczarowanie, gdy tego nie zrobił.

Zajmowała mieszkanie z dwiema czarnymi dziewczętami, lecz niewiele ją z nimi łączyło. Obie były sekretarkami i interesowały się głównie modą i kinem.

Maria przywykła do swojej wyjątkowości. W college'u nie studiowało wiele czarnoskórych kobiet, a na studiach prawniczych była tylko ona. Teraz jako jedyna czarna kobieta pracowała w Białym Domu, jeśli nie liczyć sprzątaczek i kucharek. Nie narzekała, bo wszyscy traktowali ją życzliwie. Jednak czuła się osamotniona.

Na drugi dzień po tym, jak spotkała George'a, uważnie czytała przemówienie wygłoszone przez Fidela Castro, wyszukując cenne okruchy, które biuro prasowe mogłoby wykorzystać, kiedy nagle zadzwonił telefon i ktoś powiedział:

- Może poszlibyśmy popływać?

Mężczyzna mówił ze znajomym bostońskim akcentem, lecz w pierwszej chwili nie zdołała go rozpoznać.

- Z kim rozmawiam?

- Z Dave'em.

To był Dave Powers, osobisty doradca prezydenta, określany czasem mianem jego najlepszego przyjaciela. Maria rozmawiała z nim dwa lub trzy razy. Był miły i życzliwy tak jak większość personelu Białego Domu.

Jego telefon zaskoczył Marię.

- Ale gdzie? - spytała.

Dave się roześmiał.

- Tu, w Białym Domu, naturalnie.

Przypomniała sobie, że w zachodniej galerii między Białym Domem a Zachodnim Skrzydłem jest basen. Nigdy go nie widziała, pamiętała jednak, że został zbudowany dla prezydenta Roosevelta. Słyszała, że prezydent Kennedy lubi sobie popływać przynajmniej raz dziennie, ponieważ woda łagodzi jego ból pleców.

- Będą też inne dziewczęta - dodał Dave.

Maria momentalnie pomyślała o włosach. Niemal wszystkie czarnoskóre kobiety wykonujące prace biurowe używały peruk. Zarówno czarni, jak i biali uważali, że mocno kręcone włosy nie przystają do powagi urzędów. Tego dnia Maria miała na głowie nakładkę starannie przypiętą do własnych włosów, które zostały wygładzone specjalnym preparatem tak, by całość przypominała proste fryzury białych kobiet. Nie stanowiło to żadnej tajemnicy: każda czarna kobieta zauważała peruczkę na pierwszy rzut oka. Jednak biały mężczyzna, na przykład Dave, niczego nie dostrzegał.

Jak zatem Maria mogła pójść na pływalnię? Jeśli zmoczy włosy, fryzura się zmierzwi i nijak nie da się jej uratować.

Była zbyt zakłopotana, by wyjaśnić, w czym problem, ale szybko znalazła wymówkę:

- Nie mam kostiumu kąpielowego.

- Ale my mamy - odpowiedział Dave. - Przyjdę po ciebie w południe. - Następnie odłożył słuchawkę.

Maria spojrzała na zegarek. Była za dziesięć dwunasta.

Jak postąpić? Czy będzie mogła ostrożnie zanurzyć się w płytszej części basenu, tak by włosy pozostały suche?

Naraz uświadomiła sobie, że stawia niewłaściwe pytania. Powinna wy badać, z jakiego powodu została zaproszona i czego się od niej oczekuje - a także czy będzie tam prezydent.

Spojrzała na koleżankę. Nelly Fordham jako jedyna kobieta pracowała w Białym Domu od dziesięciu lat. Kiedyś aluzyjnie napomknęła, że przed laty doznała zawodu miłosnego. Od samego początku służyła Marii pomocą. Teraz spojrzała na nią z zaciekawieniem.

- Nie mam kostiumu kąpielowego? - powtórzyła pytającym tonem.

- Zaproszono mnie na prezydencki basen. Powinnam iść?

- Oczywiście! Pod warunkiem że po powrocie wszystko mi opowiesz.

- Zapowiedział, że będą tam inne dziewczęta - szepnęła Maria. - Myślisz, że prezydent także przyjdzie?

Nelly rozejrzała się, ale nikt nie nadstawiał uszu.

- Czy Jack Kennedy lubi sobie popływać w otoczeniu ładnych dziewcząt? To pytanie za zero punktów.

Maria nadal nie miała pewności, czy powinna iść. Raptem przypomniała sobie, że Larry Mawhinney nazwał ją górą lodową. To ją dotknęło. Nie była zimna. W wieku dwudziestu pięciu lat pozostawała dziewicą, bo nie spotkała mężczyzny, któremu pragnęła się oddać ciałem i duszą. Ale nie była lodowata.

W drzwiach stanął Dave Powers.

- Idziesz?

- A co tam, idę - odparła.

Poprowadził ją pod arkadami biegnącymi wzdłuż krawędzi Ogrodu Różanego. Przy wejściu na basen pojawiły się jeszcze dwie dziewczyny. Maria już je widziała, zawsze trzymały się razem, były sekretarkami.

- Poznaj Jennifer i Geraldine - rzekł Dave. - Nazywamy je Jenny i Jerry.

Dziewczęta zaprowadziły Marię do przebieralni, w której na haczykach wisiał tuzin kostiumów kąpielowych. Szybko zrzuciły ubrania i Maria zauważyła, że mają doskonałe figury. Nieczęsto widywała nagie białe dziewczęta. Były blondynkami, lecz miały ciemne włosy łonowe przystrzyżone w równy trójkąt. Przyszło jej na myśl, że być może przycinają je nożyczkami. Nigdy na to nie wpadła.

Wszystkie kostiumy były jednoczęściowe i uszyte z bawełny. Maria zrezygnowała z tych najefektowniejszych i wybrała skromny granatowy. Potem ruszyła za Jenny i Jerry w kierunku basenu.

Ściany z trzech stron pomalowane były w karaibskie sceny z palmami i żeglującymi statkami. Na czwartej umieszczono lustro i Maria mogła się przejrzeć. Nie jestem gruba, pomyślała, tylko tyłek mam za duży. Granatowy kolor dobrze się prezentował na tle jej ciemnobrązowej skóry.

Zauważyła stolik z kanapkami i napojami, ale była zbyt rozdygotana, by się poczęstować.

Dave usadowił się na krawędzi basenu z podwiniętymi nogawkami spodni i machał stopami w wodzie. Jenny i Jerry kręciły się w pobliżu, rozmawiając i śmiejąc się. Maria usiadła naprzeciwko Dave'a i opuściła nogi do wody. Woda była ciepła jak w wannie.

Minutę później pojawił się prezydent i serce Marii zaczęło bić szybciej.

Jak zwykle był ubrany w ciemny garnitur, białą koszulę i wąski krawat. Stanął obok basenu, uśmiechając się do dziewcząt. Maria wyczuła zapach wody kolońskiej 4711.



- Mogę się przyłączyć? - zapytał, jakby basen należał do nich, a nie do niego.

- Ależ prosimy! - odpowiedziała Jenny. Ona i jej koleżanka Jerry nie zdziwiły się na widok Kennedy'ego i Maria domyśliła się, że nie po raz pierwszy będą pływały z nim w basenie.

Po chwili prezydent wrócił z przebieralni ubrany w granatowe spodnie. Był szczupły i opalony i prezentował się świetnie jak na czterdziestoczterolatka, opaleniznę zawdzięczał prawdopodobnie żeglowaniu w Hyannis Port na Cape Cod, gdzie miał letni domek. Usiadł na krawędzi basenu i z westchnieniem zsunął się do wody.

Pływał przez kilka minut, a Maria zastanawiała się, co powiedziała by na jej widok matka. Na pewno nie spodobałoby jej się, że córka wchodzi do basenu z żonatym mężczyzną, gdyby był nim kto inny, a nie prezydent. Ale przecież w Białym Domu nie mogło się zdarzyć nic złego, zwłaszcza że w pobliżu byli Dave Powers oraz Jenny i Jerry.

Prezydent podpłynął do niej.

- Jak pani sobie radzi w biurze prasowym, Mario? - zapytał, jakby to była najważniejsza kwestia na świecie.

- Bardzo dobrze. Dziękuję, panie prezydencie.

- Pierre jest dobrym szefem?

- Świetnym, wszyscy go lubią.

- Ja też go lubię.

Z tej odległości Maria dostrzegła nikłe zmarszczki przy kąciach oczu i ust Kennedy'ego, a także szczyptę siwizny na gęstych rudobrązowych włosach. Jego oczy nie były całkiem niebieskie, miały orzechowy odcień.

Wie, że mu się przyglądam, pomyślała Maria, jednak wcale mu to nie przeszkadza. Może przywykł, a może to lubi.

- Jakie prace pani wykonuje? - zapytał z uśmiechem.

- Różne - odparła. Czowała się wyróżniona. Być może prezydent chciał być wobec niej miły, ale zdawało się, że zadaje pytania z nieudawaną ciekawością. - Przeważnie zbieram i przeglądam materiały dla Pierre'a. Dzisiaj rano przesiewałam wystąpienie Castro.

- Dobrze, że spadło to na panią, a nie na mnie. Jego mowy są długachne!

Maria roześmiała się. Jestem na basenie z prezydentem i żartujemy sobie z Fidela Castro.

- Czasem Pierre prosi mnie o napisanie komunikatu prasowego i to lubię najbardziej.

- Proszę mu powiedzieć, żeby robił to częściej. Jest pani w tym dobra.

- Dziękuję, panie prezydencie. Nie potrafię wyrazić, jak wiele to dla mnie znaczy.

- Jest pani z Chicago, prawda?

- Tak, panie prezydencie.

- Gdzie pani teraz mieszka?

- W Georgetown. Wynajmuję wspólne mieszkanie z dwiema koleżankami, które pracują w Departamencie Stanu.

- To świetnie. Rad jestem, że się pani zadomowiła. Wysoko cenię pani pracę i wiem, że Pierre też ją docenia.

Odwrocił się i zaczął rozmawiać z Jenny, lecz Maria nie słyszała słów. Była zbyt uszczęśliwiona. Prezydent pamiętał jej imię, wiedział, że pochodzi z Chicago, i uważał, że dobrze wypełnia swoje obowiązki. Poza tym nie sposób nie zauważyć, że jest niesłychanie atrakcyjnym mężczyzną. Maria była w siódmym niebie.

Dave spojrzał na zegarek.

- Jest dwunasta trzydzieści, panie prezydencie.

Maria zdziwiła się, że spędziła na basenie aż pół godziny. Miała wrażenie, że upłynęły zaledwie dwie minuty. Jednak prezydent wyszedł z basenu i skierował się do przebieralni.

Dziewczęta także wyszły.

- Poczęstujcie się kanapką - zachęcił Dave.

Podeszły do stolika; Maria chciała coś przekąsić - to była przerwa na lunch - lecz miała wrażenie, że żołądek skurczył jej się do rozmiarów szpilki. Wypiła butelkę przestodzonego napoju gazowanego.

Dave odszedł i dziewczęta przebrały się w szatni. Maria spojrzała w lustro. Jej włosy były lekko wilgotne, ale fryzura nie ucierpiała.

Pożegnała się z Jenny i Jerry i wróciła do biura. Na jej biurku leżał gruby raport o stanie służby zdrowia i kartka od Salinger'a, który chciał, by w ciągu godziny napisała dwustronicowe streszczenie.

Zauważyła spojrzenie Nelly.

- No i o co chodziło?

Maria zastanowiła się przez chwilę.

- Nie mam pojęcia.

George otrzymał informację z zaproszeniem do Josepha Hugo w siedzibie FBI. Hugo pracował obecnie jako osobisty asystent dyrektora J. Edgara Hoover'a. Z kartki dowiedział się, że Biuro posiada ważne informacje o Martinie Lutherze Kingu, którymi Hugo chce się podzielić z pracownikami prokuratury generalnej.

Hoover nienawidził doktora Kinga. W FBI nie było ani jednego czarnego agenta. Dyrektor nienawidził również Roberta Kennedy'ego. Wielu było ludzi, których nienawidził.

George pomyślał, że może odmówić. Nie miał najmniejszej ochoty rozmawiać z Hugo. Uważał go za gnoja, który zdradził aktywistów ruchu praw obywatelskich i jego, George'a, osobiście. Wciąż jeszcze czasami odczuwał ból przedramienia zranionego podczas starcia w Anniston. Hugo gapił się na to, gawędził z policjantami i ćmił papierosa.

Z drugiej jednak strony, jeśli FBI zdobyło niekorzystne informacje o Martinie Lutherze Kingu, wolał je poznać pierwszy. Może przyłapali go na romansie pozamałżeńskim lub czymś podobnym. George chętnie skorzystałby z szansy, by ukrócić rozpowszechnianie złych wiadomości o ruchu praw obywatelskich. Wolał, żeby nie roznosił ich ktoś taki jak Dennis Wilson. Dlatego postanowił wybrać się do Hugo i narazić na jego ewentualne przechwałki.

Siedziba FBI mieściła się na innym piętrze gmachu, w którym znajdował się Departament Sprawiedliwości. Pokój asystenta był mały i sąsiadował z gabinetem dyrektora. Hugo miał krótko obcięte włosy - była to popularna fryzura wśród pracowników FBI - i nosił gładki popielaty garnitur, białą nylonową koszulę i granatowy krawat. Na biurku leżała paczka papierosów mentolowych oraz teczka.

- Czego chcesz? - zapytał George.

Hugo wyszczerzył zęby w uśmiechu.

- Jeden z doradców Martina Luthera Kinga to komunista - obwieścił z uśmiechem.

To była szokująca informacja i mogła pogrozić cały ruch praw obywatelskich. George poczuł, że robi mu się zimno. Trudno dowieść, że ktoś nie jest komunistą, a poza tym prawda mało się liczyła: ważna była zabójcza sugestia. Tak jak z oskarżeniami o czary w średniowieczu, łatwo było wzniecić nienawiść głupców i ignorantów.

- Kto jest tym doradcą? - chciał wiedzieć George.

Hugo zerknął w teczkę, jakby potrzebował odświeżyć sobie pamięć.

- Stanley Levison.

- Nazwisko nie wskazuje, by to był Murzyn.

- Bo to Żyd - odparł Hugo, wyjmując z teczki zdjęcie i kładąc na biurku.

George spojrzał na niczym niewyróżniającą się białą twarz, przerzedzone włosy i duże okulary. Mężczyzna nosił muszkę zamiast krawata. George poznał w Atlancie doktora Kinga i jego ekipę i nie zobaczył nikogo podobnego.

- Jesteś pewien, że ten mężczyzna należy do Konferencji Chrześcijan Południowych?

- Nie powiedziałem, że pracuje u Kinga. To adwokat z Nowego Jorku i zarazem dobrze prosperujący biznesmen.

- A więc w jakim sensie jest jego doradcą?

- Pomógł Kingowi wydać książkę i bronił go przed sądem w Alabamie w sprawie o uchylanie się od podatków. Nie spotykają się często, ale rozmawiają przez telefon.

George wyprostował się.

- Skąd możesz o tym wiedzieć?

- Mam swoje źródła - odparł z zadowoloną miną Hugo.

- Twierdzisz, że doktor King co pewien czas dzwoni do adwokata w Nowym Jorku i zasięga u niego porad w kwestiach płacenia podatków i publikacji książek.

- Ten człowiek jest komunistą.

- Skąd możesz to wiedzieć?

- Mam źródła.

- Jakie źródła?

- Nie wolno nam ujawniać tożsamości informatorów.

- Możesz je ujawnić prokuratorowi generalnemu.

- Ale ty nim nie jesteś.

- Znasz numer legitymacji Levisona?

- Co takiego? - stropił się Hugo.

- Członkowie partii komunistycznej otrzymują legitymacje partyjne. Każdy ją ma. Jaki jest numer legitymacji Levisona?

Hugo udał, że szuka tej informacji.

- Zdaje się, że w teczce nie ma tego numeru.

- A zatem nie możesz dowieść, że Levison jest komunistą.

- Nie potrzebujemy niczego dowodzić - odparł zirytowany Hugo. - Nie ścigamy go. My tylko informujemy prokuratora generalnego o naszych podejrzaniach, to nasz obowiązek.

- Szkalujecie doktora Kinga, twierdząc, że adwokat, z którym się konsultował, jest komunistą, i nie przedstawiacie żadnych dowodów? - rzekł podniesionym głosem George.

- Masz rację - przyznał Hugo ku zaskoczeniu rozmówcy. - Potrzeba nam więcej dowodów i właśnie dlatego wystąpimy o zgodę na założenie podsłuchu w telefonie Levisona.

- Podsłuchiwanie rozmów telefonicznych nie mogło się odbywać bez zezwolenia prokuratora generalnego. - Ta teczka jest dla was.

George nie przyjął akt.

- Jeśli założycie podsłuch Levisonowi, będziecie słuchali niektórych rozmów doktora Kinga.

Hugo wzruszył ramionami.

- Ci, którzy gadają z komuchami, sami narażają się na podsłuchiwanie. Co w tym złego?

Zdaniem George'a w wolnym kraju nie powinno tak być, lecz nie skomentował słów Hugo. Zamiast tego powiedział:

- Nie wiemy, czy Levison jest komunistą.
- W takim razie musimy się dowiedzieć.

George wziął teczkę, wstał i otworzył drzwi.

- Przy następnym spotkaniu z Bobbym Hoover na pewno wspomni o tej sprawie, więc nie próbuj zatrzymywać akt dla siebie - ostrzegł Hugo.

Taka możliwość przyszła George'owi do głowy, ale po chwili doszedł do wniosku, że to nie jest dobry pomysł.

- To oczywiste.
- A więc co zamierzasz?
- Przekażę informację Bobby'emu, a on zadecyduje - odparł George i wyszedł.

Wjechał windą na czwarte piętro. Kilku urzędników Departamentu Sprawiedliwości wychodziło z gabinetu Kennedy'ego. George zajrzał do środka. Prokurator generalny jak zwykle był bez marynarki i miał okulary na nosie, rękawy jego koszuli były podwinięte. Wszystko wskazywało na to, że przed chwilą zakończył jakąś naradę. George spojrzął na zegarek: za parę minut rozpocznie się następne spotkanie. Wszedł.

Robert Kennedy przywitał go ciepło.

- Cześć, George, jak się masz?

Zachowywał się w taki sposób od dnia, w którym George odniósł wrażenie, że brat prezydenta ma zamiar mu przyłożyć. Później traktował go jak serdecznego kompana. George doszedł do wniosku, że już tak z nim jest: Bobby musi się najpierw z kimś pokłócić, by się z nim zaprzyjaźnić.

- Mam złe wieści.
- Siadaj i opowiadaj.

George zamknął drzwi.

- Hoover twierdzi, że namierzył komunistę w kręgu Martina Luthera Kinga.
- Hoover to podżegacz i lachociąg - zawyrokował prokurator generalny.

Jego asystent aż się wzdrygnął. Czyżby szef chciał powiedzieć, że Hoover jest pedziem? Wydawało się to niemożliwe. Może chodziło tylko o to, by mu ubliżyć?

- Niejaki Stanley Levison.
- Co to za jeden?

- Adwokat, doktor King radził się go w sprawie podatków i nie tylko.  
- W Atlancie?  
- Nie, Levison urzęduje w Nowym Jorku.  
- To znaczy, że nie jest bliskim znajomym Kinga.  
- Ja też tak uważam.  
- Ale to bez znaczenia - zauważył z rezygnacją Bobby. - Hoover zawsze może rozdmuchać sprawę.

- FBI twierdzi, że Levison to komuch, ale dowodów nie chcieli mi przedstawić. Może tobie je pokażą.

- Nie chcę nic wiedzieć o ich źródłach informacji - oznajmił Kennedy, unosząc ręce w obronnym geście. - Później obwinialiby mnie o każdy przeciek.

- Nie znają nawet numeru legitymacji partyjnej Levisona.

- Bo, kurwa, nic nie wiedzą - warknął prokurator. - Snują domysły, ale to nie ma znaczenia. Ludzie i tak uwierzą.

- Co robimy?

- King musi zerwać z tym Levisonem - powiedział zdecydowanie Bobby. - W przeciwnym razie Hoover zleci kontrolowany przeciek, który zaszkodzi Kingowi, i ucierpi na tym ten zakichany ruch praw obywatelskich.

George nie określiłby ruchu praw obywatelskich przymiotnikiem „zakichany”, lecz bracia Kennedy tak właśnie myśleli. Chodziło jednak o to, że potencjalny zarzut Hoovera stanowił zagrożenie, z którym należało się uporać, i Robert miał rację: najprościej dla Kinga byłoby, gdyby zerwał kontakty z Levisonem.

- Ale jak go do tego nakłonimy? - chciał wiedzieć George.

- Polecisz do Atlanty i mu to przekażesz - odparł Kennedy.

Taka perspektywa zatrwożyła George'a. Martin Luther King słynął z niepokorności wobec władzy. George wiedział od Vereny, że trudno go do czegokolwiek przekonać zarówno w prywatnych rozmowach, jak i publicznie. Nie zdradził jednak swoich obaw.

- Zadzwoń i umówię się na spotkanie - oznajmił i podszedł do drzwi.

- Dziękuję, George - rzekł z wyraźną ulgą prokurator. - Bardzo się cieszę, że mogę na tobie polegać.

Nazajutrz po dniu, w którym Maria pływała z prezydentem w basenie, znów usłyszała w słuchawce głos Dave'a Powersa.

- O siedemnastej trzydzieści jest zebranie personelu. Masz ochotę przyjść?

Maria zamierzała wybrać się ze współlokatorkami do kina, by zobaczyć Audrey Hepburn i seksownego George'a Pepparda w filmie *Śniadanie u Tiffany'ego*, lecz młodsze pracownice Białego Domu nie odmawiały Dave'owi Powersowi. Dziewczęta będą musiały zachwycać się bez niej.

- Gdzie to będzie?

- Na górze.

- Na górze? - Tak zwykło się określać prywatne pokoje prezydenta.

- Przyjdę po ciebie - oznajmił Dave i się rozłączył.

Maria natychmiast pożałowała, że nie włożyła czegoś efektowniejszego. Była ubrana w plisowaną spódnicę i prostą białą bluzkę z drobnymi złotymi guziczkami. Jej dzisiejsza peruka to były prosto obcięte włosy sięgające szyi z dwoma dłuższymi kosmykami, które opadały po obu stronach brody. Obawiała się, że nie różni się niczym od pierwszej lepszej biuralistki w Waszyngtonie.

Odwróciła się do Nelly.

- Czy ciebie też zaproszono na wieczorne spotkanie personelu?

- Nie. A gdzie ma się odbyć? - zapytała koleżanka

- Na górze.

- Szczęściara z ciebie.

O siedemnastej piętnaście Maria poszła do łazienki, by poprawić fryzurę i makijaż. Zauważyła, że jako jedyna podejmuje takie starania, i domyśliła się, że inne kobiety nie dostały zaproszenia. Może spotkanie było przeznaczone dla pracownic z najkrótszym stażem.

Kiedy zegar wskazał wpół do szóstej, Nelly wzięła torebkę i skierowała się do drzwi.

- Uważaj na siebie - rzekła do Marii.

- Ty też.

- Mówię poważnie - odparła Nelly i wyszła, zanim koleżanka zdążyła zapytać, co oznaczają jej słowa.

Minutę później zjawił się Dave Powers. Podążyli zachodnią kolumnadą obok wejścia na pływalnię, wsiedli do windy i wjechali na piętro.

Drzwi otworzyły się na wielki hol z dwoma żyrandolami. Ściany pomalowano na kolor pośredni między błękitem a zielenią. Maria nazwała go w myślach szmaragdowym, ale nie miała czasu, by dobrze się przyjrzeć.

- Jesteśmy w Zachodnim Salonie - oznajmił Dave i otwartymi drzwiami wprowadził ją do pomieszczenia, w którym rozstawiono wygodne kanapy. Przez duże łukowate okno widać było zachód słońca.

Maria zobaczyła dwie sekretarki Jenny i Jerry, lecz nikogo poza tym. Usiadła, zastanawiając się, czy przyjdzie ktoś jeszcze. Na stoliku stała taca ze szklankami do koktajlu oraz dzbanek.

- Spróbuj daiquiri - zachęcił Dave i nalał jej, nie czekając na odpowiedź. Maria nieczęsto piła alkohol, ale wzięła łyk i drink jej zasmakował. Potem poczęstowała się chrupką serową. Nadal nie wiedziała, czego powinna się spodziewać.

- Przyjdzie Pierwsza Dama? - spytała. - Bardzo chciałabym ją poznać.

Na chwilę zapadła cisza, jakby popełniono nietakt.

- Jackie wyjechała do Glen Ora - odrzekł Dave.

Tak nazywała się farma w Middleburgu w Wirginii. Jackie Kennedy hodowała tam konie i jeździła w klubie myśliwskim Orange County Hunt. Miejscowość była oddalona od Waszyngtonu mniej więcej o godzinę jazdy.

- Zabrała Caroline i John Johna - dodała Jenny.

Caroline Kennedy miała cztery lata, a John John rok.

Gdybym to ja była żoną takiego mężczyzny, nie zostawiałabym go, by pojeździć konno, pomyślała Maria.

Nagle wszedł prezydent i wszyscy wstali.

Widać było, że jest zmęczony fizycznie i psychicznie, ale jak zwykle uśmiechał się ciepło. Zdjął marynarkę, rzucił ją na oparcie krzesła, usiadł na kanapie, odchylił się w tył i położył nogi na stoliku.

Maria poczuła, że została dopuszczona do najbardziej ekskluzywnego grona towarzyskiego, jakie istnieje na świecie. Znajdowała się w domu prezydenta Stanów Zjednoczonych, który siedział z nogami opartymi na stoliku, a ona piła drinka i kosztowała przekąsek. Cokolwiek się stanie, na zawsze zachowa to w pamięci.

Dopiła drinka i Dave jej dolał.

Dlaczego pomyślała: „Cokolwiek się stanie”? Coś było nie tak. Zajmowała się wyszukiwaniem informacji w biurze prasowym i marzyła o awansie na stanowisko asystentki. Panowała swobodna atmosfera, ale Maria nie znajdowała się wśród bliskich znajomych. Nikt z obecnych nic o niej nie wie, więc co ona tu robi?

Prezydent wstał.

- Mario, oprowadzić panią po apartamentach?

Przechadzka z samym prezydentem? Któż by odmówił?

- Oczywiście. - Wstała. Od daiquiri zakręciło jej się w głowie, lecz tylko przez chwilę.

Prezydent wyszedł bocznymi drzwiami, a ona za nim.



- To była sypialnia dla gości, ale pani Kennedy przerobiła ją na jadalnię - oznajmił.

Ściany zdobiły tapety ze scenami bitewnymi z wojny o niepodległość. Kwadratowy stół na środku wydawał się Marii za mały jak na to pomieszczenie, świecznik natomiast za duży w stosunku do stołu. Jednak jej głową zawładnęła przede wszystkim jedna myśl: Jestem sama z prezydentem w prywatnych apartamentach Białego Domu! Ja, Maria Summers!

Uśmiechnął się i spojrzał jej w oczy.

- Co pani sądzi? - zapytał, jakby bez pomocy Marii nie umiał wyrobić sobie zdania.

- Bardzo mi się podoba - odparła, żałując, że nie zdobyła się na inteligentniejszy komplement.

- Tędy. - Przeszli przez Zachodni Salon i dotarli do następnego pokoju. - To sypialnia pani Kennedy - oznajmił prezydent, a gdy oboje znaleźli się w środku, zamknął drzwi.

- Piękna - szepnęła Maria.

Naprzeciwko były dwa długie okna z jasnoniebieskimi zasłonami. Po lewej stronie znajdowały się kominek i kanapa stojąca na dywaniku z wzorem w tym samym błękitnym odcieniu. Na gzymsie umieszczono zbiór oprawionych w ramki rysunków, znamionowały dobry gust i intelektualny sznyt pani domu. Przykrycie łóżka i baldachim także pasowały do reszty, podobnie jak obrus, którym przykryty był okrągły stół w kącie. Maria nigdy nie widziała takiego pomieszczenia, nawet w kolorowych magazynach.

Jej myśli zaprzętało jednakże co innego. Dlaczego prezydent nazwał to pomieszczenie sypialnią pani Kennedy? Czyżby nie spędzał tu nocy? Wielkie podwójne łóżko było podzielone na dwie odrębne części. Maria pamiętała, że ze względu na chory kręgosłup prezydent musi spać na twardym materacu.

Zaprowadził ją do okna i wyjrzeni. Miękkie wieczorne światło padało na południowy trawnik i fontannę, w której czasami pluskały się dzieci państwa Kennedych.

- Jakże to piękne - zachwyciła się Maria.

Prezydent położył prawą rękę na jej ramieniu. Pod wpływem jego dotyku dziewczyna lekko drgnęła. Wyczuła zapach wody kolońskiej prezydenta: nuta cytrusów i rozmarynu zaprawiona piżmem. Spojrzał na nią z nikłym, lecz jakże kuszącym uśmiechem.

- To bardzo prywatne pomieszczenie - rzekł cicho.

Spojrzała mu w oczy.

- Tak - szepnęła. Odczuwała głęboką bliskość z tym mężczyzną, jakby znała go przez całe życie i wiedziała bez cienia wątpliwości, że może mu ufać i bezgranicznie go kochać. Przez krótką chwilę miała poczucie winy z powodu George'a Jakesa, ale on nawet nie

zaprosił jej na randkę. Odsunęła tę myśl.

Prezydent położył lewą rękę na drugim ramieniu Marii i delikatnie pchnął dziewczynę. Jej nogi dotknęły łoża i usiadła.

Pchnął ją dalej, aż musiała się oprzeć na łokciach. Wciąż spoglądając Marii w oczy, zaczął rozpinąć jej bluzkę. Zawstydziała się z powodu tanich złotych guzików, które znalazły się w tak niewypowiedzianie eleganckim pokoju. Potem położył jej dłonie na piersiach.

Nagle ogarnęła ją złość na nylonowy stanik, który oddzielał jego skórę od jej skóry. Szybko rozpięła pozostałe guziki i zdjęła bluzkę, a potem sięgnęła za plecy, rozpięła stanik i odrzuciła go na bok. Spojrzał z czułością na jej piersi, a potem ujął je w miękkie dłonie. Delikatnie pogłaskał, a następnie ścisnął nieco mocniej.

Sięgnął pod plisowaną spódnicę i ściągnął z niej figi. Maria pożałowała, że nie przystrzygła sobie włosów łonowych tak jak Jenny i Jerry.

Prezydent dyszał, ona także. Rozpiął spodnie i zsunął je, a potem położył się na Marii.

Czy to zawsze dzieje się tak szybko? - zastanawiała się.

Wszedł w nią gładko i znieruchomiał, napotkawszy opór.

- Nigdy tego nie robiłaś? - spytał ze zdziwieniem.

- Nie.

- Wszystko dobrze?

- Tak. - Czuję się lepiej niż dobrze. Była szczęśliwa, chętna i spragniona.

Poruszył się łagodnie i coś ustąpiło pod naporem. Maria odczuła ostry ból i nie zdołała zdławić cichego krzyku.

- Wszystko dobrze? - powtórzył prezydent.

- Tak. - Maria nie chciała, by przestał.

Zamknął oczy, a ona patrzyła na jego twarz: dostrzegła skupienie i uśmiech zadowolenia. Potem westchnął z satysfakcją i było po wszystkim.

Wstał i wciągnął spodnie.

- Tam jest łazienka - oznajmił z uśmiechem. Wskazał drzwi w kącie i zapiał rozporek.

Naraz Maria poczuła zakłopotanie, leżąc obnażona na łóżku. Szybko wstała, podniosła bluzkę i stanik, schyliła się po majtki i wbiegła do łazienki.

Spojrzała w lustro.

- Co się stało? - zapytała swoje odbicie.

Straciłam dziewictwo, odpowiedziała sobie w myślach. Odbiłam stosunek z cudownym mężczyzną, który jest prezydentem Stanów Zjednoczonych. Było mi przyjemnie.

Włożyła ubranie i poprawiła makijaż. Na szczęście Jack nie potargał jej fryzury.

To jest jej łazienka, pomyślała z poczuciem winy i nagle zapragnęła stamtąd wyjść.

Prezydenta nie było w sypialni. Podeszła do drzwi, a potem odwróciła się i spojrzała na łożo.

Uprzytomniła sobie, że ani razu jej nie pocałował.

Przeszła do Zachodniego Salonu. Prezydent siedział sam, jego nogi spoczywały na stoliku. Dave i dziewczęta wyszli, pozostawiając tackę ze szklankami i resztę przekąsek. Gospodarz robił wrażenie odprężonego, jak gdyby nic nie zaszło. Czyżby to była dla niego codzienność?

- Chcesz coś zjeść? Tam jest kuchnia.

- Nie, dziękuję, panie prezydencie.

Przed chwilą mnie zerznął, a ja nadal mówię do niego „panie prezydencie”.

Kennedy wstał.

- Przed południowym portykiem czeka samochód, który odwiezie cię do domu. - Odprowadził Marię do głównego holu. - Wszystko w porządku? - zapytał po raz trzeci.

- Tak.

Nadjechała winda. Maria zadała sobie w myślach pytanie, czy prezydent pocałuje ją na dobranoc.

Nie pocałował. Wsiadła do windy.

- Dobranoc, Mario.

- Dobranoc - odpowiedziała i drzwi się zamknęły.

Upłynął jeszcze tydzień, nim George'owi nadarzyła się okazja, by powiedzieć Norine Latimer, że ich znajomość dobiegła końca.

Drżał na myśl o tym.

Rzecz jasna zdarzało mu się już wcześniej zrywać z dziewczętami. Po jednej czy dwóch randkach było łatwo: po prostu się nie dzwoniło. Z jego doświadczenia wynikało, że w przypadku dłuższego związku obie strony odczuwały jedynie ulgę, dawno pogodzone z myślą, że nic z tego nie będzie. Jednak Norine mieściła się pomiędzy tymi dwiema skrajnościami. Spotykali się zaledwie od paru miesięcy i układało im się dobrze. Od pewnego czasu miał nadzieję, że spędzą razem noc. Norine nie była przygotowana na rozstanie.

Umówili się na lunch. Chciała, by zaprosił ją do restauracji w podziemiach Białego Domu zwanej mesą, lecz nie wpuszczano tam kobiet. Wolał nie zabierać jej do wytwornego lokalu takiego jak Jockey Club, gdyż mogłaby pomyśleć, że chce się jej oświadczyć. Ostatecznie poszli do Old Ebbitt's, restauracji od dawna odwiedzanej przez polityków, która

najlepsze czasy miała już za sobą.

Norine bardziej przypominała Arabkę niż Afrykankę. Miała wyrazistą urodę, falujące czarne włosy, oliwkową skórę i zakrzywiony nos. Włożyła puchaty sweter, który jej nie pasował. George domyślił się, że stara się nie onieśmielać swojego szefa. Mężczyźni czuli się w biurach nieswojo w obecności kobiet, których aparycja sugerowała silny charakter.

- Bardzo mi przykro, że musiałem odwołać wczorajsze spotkanie - oznajmił, kiedy złożyli zamówienie. - Wezwano mnie na naradę u prezydenta.

- No cóż, z nim nie mogę się równać.

George uznał to za głupią odzywkę. To oczywiste, że nie mogła się równać z prezydentem, bo z nim nikt nie mógł się równać. Nie chciał jednak wdawać się w dyskusję. Przeszedł od razu do sedna.

- Słuchaj, coś się wydarzyło. Zanim cię poznałem, była inna dziewczyna.

- Wiem - odrzekła Norine.

- Jak to?

- Lubię cię - oznajmiła. - Jesteś inteligentny, zabawny i miły. No i przystojny, może poza tym uchem.

- Ale...

- Ale umiem się domyślić, kiedy facet pali się do innej.

- Naprawdę?

- Domyślam się, że chodzi o Marię.

George nie mógł wyjść ze zdziwienia.

- Skąd, u licha, o tym wiesz?

- Wymieniłeś jej imię cztery lub pięć razy, a nie wspomniałeś o żadnej innej dziewczynie z przeszłości. Nie trzeba być geniuszem, by odgadnąć, że wciąż jest dla ciebie ważna. Ale przebywa w Chicago, więc pomyślałam, że może uda się cię zdobyć. - Norine nagle posmutniała.

- Sprowadziła się do Waszyngtonu - powiedział George.

- Mądra dziewczyna.

- Nie z mojego powodu. Dostała tutaj pracę.

- Tak czy siak, chcesz mnie rzucić dla niej.

Trudno mu było potwierdzić te słowa. Jednak Norine odgadła prawdę, więc milczał.

Podano posiłek, lecz dziewczyna nie wzięła widelca do ręki.

- Życzę ci jak najlepiej. Uważaj na siebie, George.

- Ty też...

Wstała.

- Do widzenia.

Mógł powiedzieć tylko jedno:

- Do widzenia, Norine.

- Możesz zjeść moją sałatkę - rzekła i wyszła.

Przez kilka minut grzebał widelcem w talerzu, czując się podle. Norine na swój sposób zachowała się z godnością. Ułatwiła mu sprawę. Miał nadzieję, że da sobie radę. Nie zasługiwała na to, by ją ranić.

Wyszedł z restauracji i skierował swe kroki do Białego Domu. Musiał wziąć udział w zebraniu prezydenckiej komisji do spraw równości zatrudnienia, której przewodniczył wiceprezydent Lyndon Johnson. George zawiązał sojusz z doradcą Johnsona, Skipem Dickersonem. Jednak do narady zostało pół godziny, postanowił więc odszukać Marię.

Miała na sobie sukienkę w groszki i dopasowaną do niej opaskę na włosy, która prawdopodobnie przytrzymywała perukę. Większość czarnoskórych dziewcząt nosiła wymyślne tupeciki. Śliczna fryzura Marii z pewnością nie była naturalna.

Zapytała go, jak się miewa, a on nie wiedział, co odpowiedzieć. Dręczyło go poczucie winy z powodu Norine, lecz teraz mógł z czystym sumieniem zaprosić Marię na randkę.

- W sumie całkiem nieźle. A ty?

- Bywają takie dni, że nienawidzę białych - odparła ścisłym głosem.

- A to czemu?

- Nie poznałeś mojego dziadka.

- Nie poznałem nikogo z twojej rodziny.

- Dziadek nadal od czasu do czasu wygłasza kazania w Chicago, ale większość czasu spędza w rodzinnym miasteczku Golgotha w Alabamie. Mówi, że w gruncie rzeczy nigdy nie przywykł do zimnego wiatru na Środkowym Zachodzie. Jednak wciąż ma w sobie zadrzotność. Włożył najlepszy garnitur i pojechał do sądu w Golgotha, żeby zarejestrować się na liście głosujących.

- I co się stało?

- Upokorzyli go. - Maria pokręciła głową. - Znasz te ich sztuczki. Robią ludziom sprawdzian z umiejętności pisania, trzeba przeczytać fragment konstytucji stanowej, wyjaśnić go i zapisać. Urzędnik wybiera zdanie do przeczytania. Białym daje proste, na przykład: „Nikt nie może trafić do więzienia za długi”. Ale Murzyni dostają długie skomplikowane ustępy, które tylko prawnik zdoła pojąć. Potem to urzędnik orzeka, czy ktoś jest piśmienny, czy nie, i oczywiście zawsze wychodzi na to, że biali umieją pisać, a Murzyni są

analfabetami.

- Sukinsyny.

- To nie wszystko. Murzyni usiłujący zapisywać się na listy wyborców są za karę wyrzucani z pracy, jednak z dziadkiem nie mogli tak postąpić, bo jest na emeryturze. Dlatego kiedy wychodził z sądu, zgarnęli go za włóczęgostwo. Przesiedział noc w więzieniu, a to żadna igraszka, kiedy ma się osiemdziesiątkę na karku - zakończyła ze łzami w oczach.

Jej opowieść wzmocniła determinację George'a. Czy on ma powody do narzekania? Owszem, zrobił parę rzeczy, po których miał ochotę umyć ręce. Praca w resorcie Roberta Kennedy'ego dawała najlepszą możliwość, by dopomóc ludziom takim jak dziadek Marii. Pewnego dnia rasiści z Południa zostaną zmiżdzeni.

Spojrzał na zegarek.

- Mam spotkanie u Lyndona.

- Opowiedz mu o moim dziadku.

- Być może to zrobię. - Kiedy George był z Marią, czas zawsze upływał za szybko. - Przepraszam, że muszę już uciekać, ale może spotkalibyśmy się po pracy? Moglibyśmy pójść na drinka albo na kolację.

Uśmiechnęła się.

- Dziękuję, ale jestem umówiona na wieczór.

- Och - westchnął zaskoczony. Jakoś nie przyszło mu na myśl, że Maria może z kimś chodzić. - Jutro wyjeżdżam do Atlanty, wrócę za dwa lub trzy dni. Może spotkalibyśmy się w weekend?

- Nie, dziękuję. - Zawahała się, a potem dodała tonem wyjaśnienia: - To stały układ, coś w tym rodzaju.

Poczuł się zdruzgotany, lecz było to z jego strony głupie, bo niby dlaczego tak atrakcyjna dziewczyna jak Maria nie miałaby związać się z kimś na stałe? Ależ okazał się głupcem. W tej chwili był zdezorientowany, jakby utracił grunt pod nogami.

- Szczęściarz z niego.

Uśmiechnęła się.

- Miło, że tak mówisz.

George chciał wiedzieć, kto jest jego rywalem.

- Kto to taki?

- Nie znasz go.

Może i nie, ale poznam, jeśli usłyszę nazwisko, pomyślał.

- Daj mi szansę.

Pokręciła głową.

- Wolę nie mówić.

To było niezmiernie frustrujące. Miał rywala, lecz nie znał nawet jego nazwiska. Chciał przycisnąć Marię, bał się jednak, że wyjdzie na brutala, a dziewczyny tego nie znoszą.

- Okay - rzekł niechętnie i dodał z rażącą nieszczerością: - Baw się dobrze.

- Oczywiście.

Rozdzielili się. Maria ruszyła w kierunku biura prasowego, a George do pokoju wiceprezydenta.

Było mu ciężko na sercu. Maria podobała mu się bardziej niż jakakolwiek inna dziewczyna i stracił ją na rzecz kogoś innego.

Ciekawe, co to za jeden? - zachodził w głowę.

Rozebrała się i weszła z prezydentem do wanny.

Jack Kennedy przez cały dzień zażywał leki, lecz nic nie uśmierzało jego bólu pleców tak jak woda. Rano nawet golił się w wannie. Gdyby mógł, spałby w basenie.

Byli w jego łazience, na półce nad wanną stała turkusowo-złota butelka z wodą kolońską 4711. Od tamtego razu Maria nigdy nie weszła do pokoju Jackie. Prezydent miał osobną sypialnię i łazienkę połączoną z pokojami żony krótkim korytarzem, w którym z jakiegoś powodu umieszczono gramofon.

Jackie ponownie wyjechała. Maria nauczyła się nie zadręczać myślami o małżonce kochanka. Miała świadomość, że w niecny sposób dopuszcza się zdrady wobec przyzwoitej kobiety, i zasmucało ją to, więc starała się o tym nie myśleć.

Wprawiała ją w zachwyty łazienka jak ze snów, w której były miękkie ręczniki, białe szlafroki i drogie mydła, a także rodzinka żółtych gumowych kaczuszek.

To weszło im już w nawyk. Dave Powers mniej więcej raz w tygodniu zapraszał po pracy Marię, ona zaś wjeżdżała windą na górę. W Zachodnim Salonie nieodmiennie stał wtedy dzbanek daiquiri oraz przekąski. Czasem był obecny Dave, czasem Jenny i Jerry, a czasem nikogo nie było. Maria wypijała drinka i częstowała się przekąskami, a potem czekała pełna gotowości, lecz cierpliwie na przybycie prezydenta.

Niebawem przenosili się do sypialni. To było jej ulubione miejsce na świecie: łóżko ze słupkami i niebieskim baldachimem, dwa fotele przed prawdziwym kominkiem, stosy książek, kolorowych magazynów i gazet. Z radością spędziłaby w tym pomieszczeniu resztę życia.

Delikatnie nauczył ją seksu oralnego. Okazała się gorliwą uczennicą. Zwykle tego

właśnie od niej oczekiwał na początku. Często się spieszył, jakby popadł w desperację, i ta jego niecierpliwość miała w sobie coś podniecającego. Ale najbardziej lubiła go później, kiedy odprężał się i okazywał jej więcej ciepła i czułości.

Czasami włączał płytę. Lubił Sinatrę, Tony'ego Bennetta i Percy'ego Marquanda. Nie znał Miracles ani Shirelles.

W kuchni zawsze było coś zimnego na kolację: kurczak, krewetki, kanapki, sałatka. Po posiłku rozbierali się i szli do łazienki.

Maria usadowiła się w wannie. Prezydent włożył do wody dwie kaczki.

- Założę się o ćwierć dolara, że moja popłynie szybciej niż twoja. - oznajmiał z bostońskim akcentem niczym Anglik, nie wymawiając głoski „r”.

Ujęła kaczkę w dłoń. Najbardziej lubiła go, gdy był właśnie taki: skory do żartów i psot, dziecinny.

- Zgoda, panie prezydencie, ale załóżmy się o dolara, jeśli ma pan odwagę.

Wciąż nazywała go przeważnie panem prezydentem. Żona mówiła na niego Jack, bracia zaś - Johnny. Maria w chwilach wielkiej namiętności również używała tego zdrobnienia.

- Nie stać mnie na utratę dolara - odparł ze śmiechem. Był jednak wrażliwy i wyczuł, że Maria nie jest w odpowiednim nastroju. - Co cię gnębi?

- No nie wiem. - Wzruszyła ramionami. - Zwykle nie rozmawiam z tobą o polityce.

- Czemu nie? Polityka to moje życie i twoje także.

- Przez cały dzień ci się naprzykrzają. A my, kiedy jesteśmy razem, powinniśmy się zrelaksować i dobrze bawić.

- Zróbmy wyjątek. - Ujął w dłoń jej stopę, która spoczywała w wodzie obok jego uda, i pogładził ją po palcach. Maria wiedziała, że ma piękne stopy, zawsze malowała sobie paznokcie. - Coś cię zafrasowało - rzekł cicho. - Powiedz, słucham.

Kiedy z taką intensywnością patrzył na nią swoimi orzechowymi oczami, uśmiechając się krzywo, stawała się bezradna.

- Przedwczoraj mojego dziadka zamknięto w więzieniu za to, że chciał wpisać się na listę uprawnionych do głosowania.

- W więzieniu? Nie wolno tego robić. Pod jakim zarzutem?

- Włóczęgostwa.

- Och, to musiało się stać gdzieś na Południu.

- W Golgotha w Alabamie, jego rodzinnym mieście. - Zawahała się, lecz postanowiła wyjawić prezydentowi całą prawdę, choć miała świadomość, że mu się ona nie spodoba. - Wiesz, co powiedział po wyjściu?



- No co?

- „Myślałem, że skoro w Białym Domu mieszka prezydent Kennedy, będę mógł głosować, ale chyba się myliłem”. Tak mi powiedział.

- Jasna cholera - przeklął z westchnieniem prezydent. - Uwierzył we mnie, a ja go zawiodłem.

- Wydaje mi się, że tak właśnie uważa.

- Co o tym sądzisz, Mario? - spytał, wciąż głaszcząc ją po palcach.

Ponownie się zawahała, spoglądając na swoją ciemną stopę spoczywającą w białych dłoniach. Lękała się, że wprawi prezydenta w rozgoryczenie. Był bardzo wyczulony na najdrobniejsze wzmianki sugerujące, że jest nieszczerzy bądź niegodny zaufania lub że jako polityk nie dotrzymał złożonych obietnic. Czuła, że jeśli przycisnie go za mocno, ich romans dobiegnie końca. A wtedy ona umrze.

Jednakże musiała być szczerą. Wzięła głęboki oddech i usiłowała zachować spokój.

- Moim zdaniem kwestia nie jest zbyt złożona - zaczęła. - Południowcy poczynają sobie w ten sposób, ponieważ im wolno. Prawo jest takie, jakie jest, i pozwala, by na przekór konstytucji uchodziło im to na sucho.

- Niezupełnie - zauważył Kennedy. - Mój brat przyspieszył bieg kilku pozwów Departamentu Sprawiedliwości dotyczących łamania praw wyborczych. Współpracuje z nim pewien młody bystry Murzyn prawnik.

Maria skinęła głową.

- George Jakes, znam go. Ale te działania są niewystarczające.

Prezydent wzruszył ramionami.

- No cóż, nie przeczę.

Maria brnęła dalej:

- Wszyscy są zgodni co do tego, że należy zmienić ustawę o prawach obywatelskich. Wielu sądzi, że obiecałeś to w czasie kampanii. I teraz nikt nie rozumie, dlaczego jeszcze tego nie zrobiłeś... - Zagryzła wargę i dodała: - Ja również.

Twarz prezydenta przybrała surowy wyraz.

Maria momentalnie pożałowała swojej szczerości.

- Nie gniewaj się - rzekła błagalnie. - Za nic nie chciałam cię denerwować, ale zapytałeś, a ja musiałam być uczciwa. - Łzy nabiegły jej do oczu. - Mój biedny dziadzio przesiedział noc w więzieniu, a miał na sobie najlepszy garnitur.

Prezydent zmusił się do uśmiechu.

- Nie gniewam się, Mario, w każdym razie nie na ciebie.

- Możesz mi powiedzieć wszystko. Ubóstwiam cię i nigdy nie będę cię osądzać, chcę, żebyś to wiedział. Po prostu wyznaj, co czujesz.

- Złoszczę się chyba dlatego, że jestem słaby - odparł. - Mamy większość w Kongresie tylko wtedy, gdy możemy liczyć na demokratów z Południa. Jeśli przedłożę projekt ustawy o prawach obywatelskich, storpedują ją, ale to nie wszystko. W odwecie zagłosują przeciwko całemu pakietowi ustaw dotyczących programu polityki wewnętrznej, między innymi Medicare. A ten program mógłby poprawić warunki życia kolorowych Amerykanów nawet bardziej niż ustawa o prawach obywatelskich.

- Czy to znaczy, że zrezygnowałeś z kwestii praw obywatelskich?

- Nie. W listopadzie przyszłego roku są wybory uzupełniające. Zwrócę się do rodaków z prośbą, by pozwolili zasiąść w Kongresie większej liczbie demokratów, i wtedy będę mógł spełnić swoje obietnice z kampanii.

- Pójdą na to?

- Zapewne nie. Republikanie atakują mnie za politykę zagraniczną. Utraciliśmy Kubę, utraciliśmy Laos, tracimy Wietnam. Musiałem pozwolić Chruszczowowi wznieść zasieki z drutu kolczastego w samym środku Berlina. Stoję teraz jak przyparty do muru.

- Jakie to dziwne - zauważyła Maria. - Nie możesz zezwolić Murzynom na Południu głosować, bo masz słabą pozycję w polityce zagranicznej.

- Każdy przywódca musi być silny na scenie globalnej, bo inaczej nic nie zdziała.

- Nie możesz chociaż spróbować? Mógłbyś zaproponować ustawę o prawach obywatelskich, nawet jeśli prawdopodobnie zakończy się to porażką w głosowaniu. Ludzie będą przynajmniej wiedzieli, że jesteś szczery.

Prezydent pokręcił głową.

- Jeśli wysunę projekt i przegram, osłabię się i narażę wszystko inne na szwank. I nigdy nie dostanę drugiej szansy z ustawą o prawach obywatelskich.

- Więc co mam powiedzieć dziadkowi?

- Że nie jest łatwo iść za głosem sumienia, nawet prezydentowi.

Wstał i Maria także się podniosła. Wytarli się nawzajem ręcznikiem i poszli do sypialni. Maria włożyła jego miękką koszulę nocną z niebieskiej bawełny.

Znów się kochali. Kiedy prezydent był zmęczony, trwało to krótko, tak jak za pierwszym razem, dzisiaj jednak czuł się swobodnie i znów wpadł we frywolny nastrój. Leżeli na łóżku i pieścili się, jakby nie liczyło się nic innego na świecie.

Później szybko zasnął, a Maria leżała obok niego rozkosznie szczęśliwa. Nie chciała, by nadszedł ranek, gdyż wtedy będzie musiała ubrać się, pójść do biura prasowego i pracować

cały dzień. Żyła w prawdziwym świecie niczym we śnie: wyczekiwała telefonu od Dave'a Powersa, który oznaczał, że niebawem się przebudzi i wróci do jedynej rzeczywistości, która się liczyła.

Wiedziała, że niektórzy koledzy odgadli prawdę. Wiedziała, że Kennedy nigdy nie zostawi dla niej żony. Wiedziała, że powinna martwić się możliwością zajścia w ciążę. Wiedziała również, że to, co robi, jest głupie i niewłaściwe i że nie może się szczęśliwie skończyć.

Jednak była za bardzo zakochana, by się tym przejmować.

George rozumiał, dlaczego szef cieszy się, że może go pchnąć do Kinga. Kiedy Bobby potrzebował wyrzucić presję na aktywistów ruchu praw obywatelskich, czarny emisariusz dawał mu znacznie większe szanse powodzenia. George uważał, że prokurator generalny nie mylił się co do Levisona, lecz mimo to nie czuł się komfortowo w swojej roli; poczucie to coraz częściej stawało się jego udziałem.

W Atlancie panował ziąb i padało. Na lotnisku czekała Verena, była ubrana w brązowy płaszcz z czarnym futrzanym kołnierzem. Wyglądała pięknie, lecz George za bardzo cierpiał po odrzuceniu przez Marię, by zwrócić na to uwagę.

- Znam Stanleya Levisona - oznajmiła, wioząc go przez rozległe miasto. - To bardzo porządny facet.

- Jest adwokatem, prawda?

- I nie tylko. Pomógł Martinowi w pisaniu *Stride Toward Freedom*<sup>2</sup>. Przyjaźnią się.

- FBI twierdzi, że Levison to komunista.

- W mniemaniu FBI każdy, kto nie zgadza się z J. Edgarem Hooverem, jest komunistą.

- Bobby nazwał Hoovera lachociągiem.

Verena parsknęła śmiechem.

- Myślisz, że naprawdę tak uważa?

- Nie mam pojęcia.

- Hoover milaskiem? - Pokręciła głową z niedowierzaniem. - To zbyt piękne, by było prawdziwe. Życie nie jest aż tak zabawne.

Jechali w deszczu przez dzielnicę Old Fourth Ward, w której znajdowały się setki firm czarnoskórych właścicieli. Można też było odnieść wrażenie, że na każdym rogu stoi kościół.

---

<sup>2</sup> *Stride Toward Freedom* (Marsz ku wolności) - pierwsza książka Martina Luthera Kinga, opublikowana w 1958 roku, opisująca warunki życia Murzynów w Alabamie, a także wydarzenia i następstwa bojkotu transportu publicznego jako protestu przeciwko segregacji rasowej w Montgomery w Alabamie.

Auburn Avenue nazwano kiedyś najzamożniejszą murzyńską ulicą w Ameryce. Siedziba Konferencji Chrześcijan Południowych znajdowała się pod numerem 320. Verena zatrzymała samochód przed podłużnym piętrowym budynkiem z czerwonej cegły.

- Bobby uważa doktora Kinga za aroganta - poinformował ją George.

Dziewczyna wzruszyła ramionami.

- Martin sądzi to samo o Bobbym.

- A ty jak myślisz?

- Obaj mają rację.

George parsknął śmiechem. Lubił cięty dowcip Vereny.

Szybko przemierzyli chodnik i weszli do budynku. Czekali kwadrans przed gabinetem Kinga, potem ich wezwano.

Martin Luther King był przystojnym trzydziestotrzylatką z wąsem i przedwcześnie przerzedzonymi czarnymi włosami. Był niski - George ocenił jego wzrost na niespełna metr siedemdziesiąt - i nieco zaokrąglony. Miał na sobie starannie odprasowany ciemnoszary garnitur, białą koszulę i wąski krawat z czarnej satyny. W kieszonce na piersi tkwiła biała jedwabna chusteczka, a w mankietach koszuli błyszcząły duże spinki. George wyczuł zapach wody kolońskiej. Odniósł wrażenie, że ma do czynienia z mężczyzną, dla którego ważne jest poczucie godności. Doskonale to rozumiał, ponieważ był pod tym względem podobny.

King uściskał mu dłoń.

- Kiedyśmy się ostatnio widzieli, uczestniczyłeś w Rajdzie Wolności i jechałeś do Anniston. Jak tam ręka?

- Całkowicie się zagoiła, dziękuję - odparł George. - Rzuciłem zapasy, ale i tak miałem to zrobić. Teraz trenuję drużynę szkolną w Ivy City. - Była to dzielnica Waszyngtonu zamieszkiwana przez Murzynów.

- Dobrze - pochwalił go doktor King. - Trzeba uczyć naszych chłopców wykorzystywać siłę w sporcie, zgodnie z zasadami. Usiądź, proszę. - Skinieniem ręki wskazał gościowi krzesło, a sam usiadł przy biurku. - Powiedz, dlaczego prokurator generalny przysłała cię do mnie.

W głosie Kinga dała się słyszeć nutka urażonej dumy. Może uważał, że Kennedy powinien osobiście się do niego pofatygować. Aktywiści ruchu praw obywatelskich nadali mu przydomek Jaśnie Pan.

George pokrótce opisał kwestię związaną ze Stanleyem Levisonem, pomijając jedynie wniosek o założenie podsłuchu.

- Bobby polecił, bym z całą mocą zachęcił pana do zerwania wszelkich kontaktów z

panem Levisonem - zakończył. - Tylko to uchroni pana przed zarzutem o działanie ręką w rękę z komunistami. Oskarżenie takie może wyrządzić niepowetowane szkody ruchowi, w który obaj wierzymy.

- Stanley Levison nie jest komunistą - odrzekł King.

George otworzył usta, by coś powiedzieć.

Doktor King uniósł rękę. Nie znosił, gdy mu przerywano.

- Nigdy nie należał do partii komunistycznej. Komunizm jest ateistyczny, a ja jako wyznawca Pana naszego Jezusa Chrystusa nie mógłbym pozostawać w zażyłych stosunkach z ateistą. Ale... - gospodarz oparł się o blat biurka - to nie jest cała prawda.

Zamilkł na dłuższą chwilę, lecz George wiedział, że ma się nie odzywać.

- Wyjawię ci całą prawdę o Stanleyu Levisonie - podjął King i George'owi przyszło na myśl, że usłyszy kazanie. - Stanley jest dobry w zarabianiu pieniędzy. To wprawia go w zakłopotanie. Ma poczucie, że powinien spędzić życie, niosąc pomoc innym. Więc kiedy był młody, uległ... uwiedzeniu. Tak, to właściwe słowo. Uwiodły go ideały komunizmu. Nigdy nie wstąpił do partii, lecz wykorzystywał swoje nadzwyczajne zdolności do tego, by na różne sposoby wspomagać Amerykańską Partię Komunistyczną. Gdy tylko zorientował się, że to błąd, zerwał kontakty i zaczął popierać sprawę wolności i równości dla Murzynów. I tak został moim przyjacielem.

George poczekał, aż stało się jasne, że gospodarz skończył.

- Bardzo mi przykro, pastorze. Jeśli Levison udzielał porad finansowych partii komunistycznej, jest na zawsze splamiony.

- Ale on się zmienił.

- Ja panu wierzę, lecz inni nie uwierzą. Podtrzymując związki z Levisonem, będzie pan dostarczał amunicji naszym wrogom.

- Niech więc tak będzie - odparł doktor King.

George aż zaniemówił ze zdumienia.

- Jak to...?

- Zasad moralnych należy przestrzegać, kiedy nie jest to dla nas wygodne. Bo w przeciwnym razie do czego byłyby nam potrzebne?

- Ale jeśli zważy pan...

- Nie należy ważyć - wpadł mu w słowo King. - Stanley popełnił błąd, wspierając komunistów. Żałował tego i odkupuje swoją winę. Jestem kaznodzieją w służbie Pana. Muszę przebaczyć tak jak Jezus i przyjąć Stanleya z otwartymi ramionami. Radość w niebiesiech czeka na nas za jednego grzesznika, który odkupił swoje grzechy, a nie za dziewięćdziesięciu

dziewięciu sprawiedliwych. Zbyt często sam potrzebuję łaski boskiej, by móc odmówić litości drugiemu.

- Jednak cena...

- Jestem chrześcijańskim pastorem, George. Doktryna przebaczenia sięga w głąb mojej duszy, głębiej niż pragnienie wolności i sprawiedliwości. Nie mogę się od niej odwrócić za żadną cenę.

George uświadomił sobie, że jego misja jest skazana na porażkę. Nie było szans, by przekonać doktora Kinga.

- Dziękuję, że zechciał pan poświęcić mi czas i przedstawić swój punkt widzenia - rzekł, wstając. - Dziękuję w imieniu swoim i prokuratora generalnego.

- Niech Bóg cię błogosławi - zakończył King.

George i Verena wyszli z gabinetu i z budynku, po czym bez słowa wsiedli do samochodu.

- Podrzucę cię do hotelu - oznajmiła.

Skinął głową. Myślał o słowach wypowiedzianych przez Kinga. Nie miał ochoty na spacer.

W milczeniu dojechali na miejsce.

- No i co? - zapytała dziewczyna.

- Doktor King mnie zawstydził - wyznał George.

- Tak właśnie postępują kaznodzieje - stwierdziła matka. - Na tym polega ich rola. To ci dobrze zrobi. - Nalała mu mleka do szklanki i podała kawałek ciasta. Nie chciał ani pić, ani jeść.

Opowiedział jej wszystko, siedząc z nią w kuchni.

- Ależ on ma siłę. Kiedy zrozumiał, co jest słuszne, zamierzał zgodnie z tym postąpić bez względu na okoliczności.

- Nie wynoś go pod niebiosa - przestrzegła Jacky. - Nikt nie jest aniołem, a już zwłaszcza chłop. - Było późne popołudnie, a ona wciąż miała na sobie roboczy strój składający się z prostej czarnej sukienki i butów na płaskiej podeszwie.

- Wiem, ale byłem tam, usiłowałem go namówić, by z cynicznych, politycznych pobudek zerwał z lojalnym przyjacielem. Tymczasem on po prostu powiedział mi, co jest słuszne, a co nie.

- A jak się miewa Verena?

- Szkoda, że jej nie widziałeś w płaszczu z czarnym futrzanym kołnierzem.

- Zabrałeś ją gdzieś?
- Zjedliśmy kolację. - George nie pocałował jej na dobranoc.
- Lubię tę Marię Summers - oznajmiła ni stąd, ni zowąd Jacky.

George się zdziwił.

- Skąd ją znasz?

- Należy do klubu. - Jacky była opiekunką kolorowych pracowników w Uniwersyteckim Klubie Kobięcym. - Mamy niewielu czarnych członków, więc oczywiście ze sobą rozmawiamy. Wspomniała, że pracuje w Białym Domu, a ja powiedziałam jej o tobie i zorientowałyśmy się, że się znacie. Ma miłą rodzinę.

- Skąd możesz to wiedzieć? - zapytał rozbawiony George.

- Zaprosiła rodziców na lunch. Jej ojciec to znany chicagowski prawnik, przyjaźni się z Daleyem. - Burmistrz Daley był wielkim zwolennikiem Kennedy'ego.

- Wiesz o niej więcej niż ja!

- Faceci gadają, a kobiety słuchają.

- Ja też lubię Marię.

- To dobrze. - Jacky ściągnęła brwi, przypominając sobie, o czym rozmawiali. - Co powiedział Bobby Kennedy, kiedy wróciłeś z Atlanty?

- Zamierza wydać zgodę na podsłuch u Levisona. To znaczy, że agenci FBI będą słuchali niektórych rozmów telefonicznych doktora Kinga.

- Jakie to ma znaczenie? Wszystko, co robi King, przeznaczone jest do upublicznienia.

- Mogą dowiedzieć się zawczasu o jego planach. Jeśli to zrobią, dadzą cynk segregacjonistom, a ci będą mogli zaplanować następne kroki i zniweczyć poczynania Kinga.

- To źle, ale to jeszcze nie koniec świata.

- Mógłbym dać Kingowi cynk o podsłuchu. Powiedzieć Verenie, a ona ostrzegłaby Kinga, żeby uważał, co mówi Levisonowi przez telefon.

- Zdradziłyś w ten sposób kolegów z pracy, którzy ci zaufali.

- To mnie martwi.

- Prawdopodobnie musiałbyś złożyć rezygnację.

- Otóż to. Ponieważ czułbym się jak zdrajca.

- Poza tym mogliby dowiedzieć się o przecieku, zaczęliby szukać winnego i zobaczyliby tylko jedną czarną twarz, czyli twoją.

- Może i tak powinienem to zrobić, jeżeli to jest słuszne.

- Jeśli odejdziesz, w najbliższym otoczeniu Bobby'ego Kennedy'ego nie pozostanie ani jedna czarna twarz.

- Wiedziałem, że każesz mi się zamknąć i zostać.
- To trudne, ale tak, myślę, że tak właśnie powinieneś postąpić.
- Ja również - przyznał George.



## ROZDZIAŁ 12

- Mieszkasz w niesamowitym domu - powiedziała Beep Dewar do Dave'a Williamsa.

Trzynastoletni Dave mieszkał w tym domu, odkąd pamiętał, i właściwie nigdy nie zwrócił na niego uwagi. Spojrzał na murowaną fasadę z regularnymi rzędami georgiańskich okien.

- Niesamowitym? - zdziwił się.

- Jest taki stary.

- Z osiemnastego wieku. Chyba. Ma tylko ze dwieście lat.

- Tylko! - Beep się roześmiała. - W San Francisco nic nie ma dwustu lat!

Dom stał przy Great Peter Street w Londynie, kilka minut marszu od gmachu parlamentu. Większość okolicznych budynków pochodziła z osiemnastego stulecia. Dave miał niejasną świadomość, że zbudowano je dla posłów i parów, którzy musieli bywać na posiedzeniach Izby Gmin i Izby Lordów. Ojciec Dave'a, Lloyd Williams, był parlamentarzystą.

- Palisz? - zapytała Beep, wyjmując paczkę papierosów.

- Tylko kiedy nadarzy się sposobność.

Poczęstowała go i oboje zapalili.

Ursula Dewar zwana Beep także miała trzynaście lat, ale wyglądała na starszą od Dave'a. Nosiła szykowne amerykańskie ubrania, ciasne swetry oraz wąskie dżinsy i wysokie buty. Chwaliła się, że umie prowadzić samochód. Brytyjskie radio uważała za nudziarstwo: były zaledwie trzy stacje, żadna nie grała rock and rolla, a poza tym kończyły nadawanie o północy! Kiedy przyłapała Dave'a na tym, że gapi się na drobne wybrzuszenia jej piersi pod czarnym golfem, nie zawstydziała się, tylko uśmiechnęła. Jednakże nie dała mu okazji do pocałunku.

Nie byłaby pierwszą dziewczyną, którą całował. Chętnie by jej to powiedział, żeby sobie nie myślała, iż brakuje mu doświadczenia. Byłaby trzecią, jeśli liczyć Lindę Robertson, która po prawdzie nie odwzajemniła jego całusa. Najważniejsze, że Dave wiedział, o co chodzi.

Ale z Beep jak dotąd mu się nie udało.

Mimo że był blisko. Dyskretnie objął ją ramieniem, kiedy siedzieli na tylnym siedzeniu humber hawka jego ojca, lecz dziewczyna odwróciła głowę i patrzyła na oświetlone latarniami ulice. Nie chichotała, kiedy się ją łaskotało. Tańczyli jive'a przy muzyce

odtworzanej w pokoju jego piętnastoletniej siostry Evie z gramofonu Dansette, nie chciała jednak zatańczyć z nim wolnego tańca, gdy położył na talerzu gramofonu płytę z utworem Elvise Presleya *Are You Lonesome Tonight?*

Pomimo to żył nadzieją. Niestety, to nie była odpowiednia chwila, kiedy tak stali w zimowe popołudnie w małym ogrodzie. Beep obejmowała się ramionami, oboje byli opatuleni w najlepsze ubrania. Czekali ich oficjalne spotkanie rodzinne, ale później zaplanowano prywatkę. Beep miała w torebce ćwierćlitrową butelkę wódki, którą będzie można zaprawić bezalkoholowe drinki, podczas gdy ich rodzice hipokryci będą się raczyli whisky i ginem. A potem wszystko mogło się zdarzyć. Wpatrywał się w różowe usta dziewczyny przywierające do filtra chesterfielda i tęsknie wyobrażał sobie, jak to będzie.

- Chodźcie, zbieramy się! - zawołała z amerykańskim akcentem matka Dave'a. Rzucili niedopałki na klomb i weszli do środka.

Obie rodziny gromadziły się w holu. Babcia Dave'a Eth Leckwith miała zostać „przedstawiona” w Izbie Lordów. Oznaczało to, że stanie się baronessą i uzyska oficjalny tytuł Lady Leckwith, a poza tym zasiądzie jako par z ramienia Partii Pracy w izbie wyższej parlamentu. Lloyd i Daisy, rodzice Dave'a, czekali z jego siostrą Evie oraz młodym przyjacielem rodziny Jasperem Murrayem. Byli tam również Dewarowie, przyjaciele z czasów wojny. Woody Dewar pracował jako fotograf i otrzymał roczny kontrakt w Londynie. Przybył ze swoją żoną Bellą oraz dziećmi Cameronem i Beep. Teatr brytyjskiego życia publicznego fascynował wszystkich Amerykanów, toteż Dewarowie przyłączyli się do świętowania. Liczną grupą opuścili domostwo i skierowali się ku Parliament Square.

Kiedy podążali zamglonymi ulicami Londynu, uwaga Beep przeniosła się z Dave'a na Jaspera Murraya. Osiemnastolatek przypominał wikinga: był wysoki, szeroki w barach i jasnowłosy. Miał na sobie grubą tweedową marynarkę. Dave marzył o tym, by być dorosły i męski i żeby Beep spoglądała na niego z wyrazem podziwu i pragnienia.

Traktował Jaspera jak starszego brata i prosił go o radę. Wyznał mu, że ubóstwia Beep i nie wie, jak zdobyć jej serce.

- Staraj się dalej - odparł chłopak. - Czasem wystarczy sama wytrwałość.

Teraz słyszał ich rozmowę.

- A więc jesteś kuzynem Dave'a? - zapytała Beep, gdy przemierzali plac przed gmachem parlamentu.

- Niezupełnie - zaprotestował Jasper. - Nie jesteśmy spokrewnieni.

- To dlaczego mieszkasz tu za darmo?

- Moja matka chodziła do szkoły w Buffalo razem z jego matką. Tam poznały twojego

ojca i od tej pory wszyscy się przyjaźnią.

Dave wiedział, że nie była to pełna opowieść. Matka Jaspera Eva była uciekinierką z nazistowskich Niemiec, a Daisy, matka Dave'a, z charakterystyczną dla siebie szlachetnością przyjęła ją do siebie. Jednak Jasper wołał nie podkreślać ogromu długu swojej rodziny wobec Williamsów.

- Co studiujesz? - chciała wiedzieć Beep.

- Francuski i niemiecki. Jestem w St. Julian's, jednym z większych college'ów Uniwersytetu Londyńskiego. Ale przede wszystkim piszę w studenckiej gazetce, będę dziennikarzem.

Dave poczuł zazdrość. Nigdy nie nauczy się francuskiego ani nie pójdzie na wyższą uczelnię. Był w ogonie klasy ze wszystkich przedmiotów, a ojciec rozpacział.

- Gdzie są twoi rodzice? - indagowała Beep.

- W Niemczech. Wędrują po świecie razem z armią. Ojciec jest pułkownikiem.

- Pułkownikiem! - powtórzyła dziewczyna z podziwem.

- Co ona sobie myśli, ta mała smarkula? - szepnęła Dave'owi na ucho jego siostra Evie.

- Najpierw robi do ciebie słodkie oczy, a potem flirtuje z pięć lat starszym facetem!

Nie skomentował tego, wiedział, że siostra ma słabość do Jaspera. Mógł z niej zadrwić, ale się powstrzymał. Lubił siostrę, a poza tym lepiej jest zachować coś takiego dla siebie i wykorzystać, kiedy Evie zajdzie mu za skórę.

- Czy arystokratą trzeba się urodzić? - dociekała Beep.

- Nawet w najstarszych rodzinach musi być ten pierwszy - odparł Jasper. - Ale teraz mamy dożywotnich parów, którzy nie przenoszą tytułów na potomstwo. Pani Leckwith zostanie takim właśnie parem.

- Będziemy musieli się jej kłaniać?

Jasper się zaśmiał.

- Nie, idiotko.

- Czy królowa będzie obecna na ceremonii?

- Nie.

- Jestem rozczarowana!

- Głupia zdzira - syknęła Evie.

Weszli do pałacu Westminster wejściem dla lordów. Przywitał ich mężczyzna w dworskim ubraniu składającym się między innymi z bryczesów do kolan i jedwabnych pończoch. Dave usłyszał słowa babki, która oznajmiła ze śpiewnym walijskim akcentem:

- Przystarzałe stroje to niezawodny znak, że instytucja wymaga reformy.

Dave i Evie przychodzili do gmachu parlamentu przez całe życie, lecz dla Dewarów była to nowość i wprawiła ich w podziw. Beep, do tej pory w uroczy sposób wyrażająca swój zachwyt, zawołała:

- Wszystkie powierzchnie pokryte ozdobami! Terakota, wzorzyste dywany, tapety, boazeria, witraże i rzeźbiony kamień!

Jasper spojrział na nią z większym niż dotąd zainteresowaniem.

- Typowy wiktoriański gotyk.

- Naprawdę?

Dave'a zaczęło denerwować, że starszy kolega tak imponuje Beep.

Grupa rozdzieliła się i większa część podążyła schodami na galerię umieszczoną nad salą plenarną. Byli tam już znajomi Ethel. Beep usiadła obok Jaspera, lecz Dave zdołał zająć miejsce z jej drugiego boku. Evie usadowiła się obok niego. Dave często bywał w Izbie Gmin, która znajdowała się na drugim krańcu pałacu; wewnątrz Izby Lordów było bardziej ozdobne, ławki deputowanych pokryto czerwoną, a nie zieloną skórą.

Po długiej chwili oczekiwania ukazała się babka Dave'a w towarzystwie czterech osób; wszyscy mieli na głowach śmieszne kapelusze oraz dziwaczne togi z futrzanymi obszyciami.

- To niesamowite! - zachwyciła się Beep, a Dave i Evie parsknęli śmiechem.

Grupa zatrzymała się przed tronem i ich babcia przyklęknęła, choć nie bez trudu, w końcu miała sześćdziesiąt osiem lat. Uczestnicy ceremonii podawali sobie z ręki do ręki zwoje, które należało głośno odczytać. Daisy, matka Dave'a i Evie, po cichu objaśniała wszystko rodzicom Beep, wysokiemu Woody'emu i pulchnej Belli. Dave tymczasem się wyłączył. Jego zdaniem wszystko to było do chrzantu.

Ethel i dwie osoby z jej eskorty usiedli na ławce i wtedy rozpoczęła się najzabawniejsza część ceremonii.

Usiedli, a potem od razu wstali, po czym zdjęli kapelusze i ukłonili się. Ponownie usiedli i włożyli na głowy kapelusze. Następnie powtórzyli cały układ jeszcze raz niczym kukiełki na sznurkach: wstać, zdjąć kapelusze, ukłonić się, usiąść, włożyć kapelusze. Dave i Evie z trudem tłumili śmiech. Sekwencja została powtórzona po raz trzeci i Dave usłyszał słowa siostry, która niemal się krztusiła:

- Nie, przestańcie już!

To rozśmieszyło go jeszcze bardziej. Daisy posłała im surowe spojrzenie, lecz sama także była rozbawiona i uśmiechnęła się.

Ceremonia dobiegła końca, Ethel wyszła z izby. Członkowie rodziny i znajomi wstali. Matka Dave'a poprowadziła ich labiryntem korytarzy i schodów do podziemia, w którym

przygotowano poczęstunek. Dave zerknął na swoją gitarę stojącą bezpiecznie w kącie. On i Evie mieli dać występ, lecz gwiazdą była Evie, on będzie jej tylko akompaniować.

W ciągu paru minut w pomieszczeniu zgromadziło się około setki osób.

Evie osaczyła Jaspера i zaczęła go wypytywać o studencką gazetkę. Temat był bliski jego sercu, toteż odpowiadał z zapałem, lecz Dave był pewien, że Evie stoi na straconej pozycji. Jasper potrafił zadbać o swoje interesy. Miał teraz do dyspozycji luksusową stancję, i to za darmo, od uczelni dzieliła go krótka przejażdżka autobusem. W zaprawionej cynizmem opinii Dave'a nie narazi tak komfortowego układu, wdając się w romans z córką gospodarzy.

Jednakże Evie zwróciła na siebie uwagę Jaspера, odciągając go od Beep i zostawiając pole dla brata. On zaś przyniósł jej piwo imbirowe i zapytał, co sądzi o ceremonii. Dziewczyna ukradkiem dołała sobie wódki do drinka. Minutę później wszyscy zaczęli bić brawo, gdy pojawiła się Ethel: miała już na sobie normalne ubranie składające się z czerwonej sukni i dopasowanego do niej płaszcza oraz małego kapelusika, który spoczywał na jej srebrnych lokach.

- W młodości musiała wyglądać zabójczo - szepnęła Beep.

Dave'owi przeszły ciarki po plecach na samą myśl o tym, że jego babcia mogła być atrakcyjną kobietą.

- To dla mnie wielka przyjemność, że jesteście tu ze mną przy okazji tego wydarzenia - odezwała się Ethel. - Żałuję jedynie, że mój ukochany Bernie nie dożył tego dnia. Był najmądrzejszym człowiekiem, jakiego znałam.

Dziadek Bernie zmarł przed rokiem.

- To takie dziwne, kiedy ktoś zwraca się do mnie „lady”, tym bardziej że przez całe życie byłam socjalistką - ciągnęła przy wtórze śmiechów. - Bernie zwykł pytać, czy pokonałam wrogów, czy tylko do nich przystałam. Pragnę więc państwa zapewnić, że dołączyłam do grona parów z myślą o tym, by znieść tę instytucję.

Rozległy się oklaski.

- Mówiąc poważnie, towarzysze, zrzekłam się miejsca deputowanej do parlamentu z okręgu Aldgate, bo uznałam, że czas zwolnić miejsce dla kogoś innego, ale nie odchodzę na emeryturę. Zbyt wiele jest niesprawiedliwości w naszym społeczeństwie, zbyt wiele biedy i ruder, zbyt dużo głodu na świecie, a mnie pozostało na działalność zaledwie dwadzieścia lub trzydzieści lat!

Tą deklaracją Ethel wzbudziła następną salwę śmiechu.

- Doradzono mi, że tu, w Izbie Lordów, roztropnie jest wybrać sobie jakąś specjalizację i trzymać się jej, dokonałam więc wyboru.

Zapanowało milczenie. Wszyscy zawsze chcieli wiedzieć, jaki będzie następny krok Ethel Leckwith.

- W ubiegłym tygodniu zmarł mój drogi stary przyjaciel Robert von Ulrich. Walczył w pierwszej wojnie światowej, w latach trzydziestych naraził się nazistom, a potem przybył do Cambridge i prowadził tam najlepszą restaurację. Dawno temu, gdy byłam młodą szwaczką harującą ponad siły w warsztacie w East Endzie, kupił mi nową sukienkę i zabrał na kolację do Ritza. Muszę dodać... - Ethel uniosła wyzywająco brodę - że był homoseksualistą.

W pomieszczeniu rozległ się głośny szmer zaskoczenia.

- Jasny gwint! - mruknął Dave.

- Podoba mi się ta twoja babcia - oznajmiła Beep.

Ludzie nie byli przyzwyczajeni, by kwestię tę poruszano tak otwarcie, zwłaszcza jeśli robiła to kobieta. Dave się uśmiechnął. Zaczyna babunia, teraz już starsza pani, nadal lubi zamącić.

- Proszę zaniechać pomruków, w gruncie rzeczy nikt nie jest zbulwersowany - rzekła cierpko. - Wszyscy wiecie, że niektórzy mężczyźni kochają innych mężczyzn. Nie wyrządzają nikomu krzywdy, z mojego doświadczenia wynika, że są delikatniejsi niż pozostali, a mimo to ich postępowanie jest według obowiązującego w naszym kraju prawa przestępstwem. Nie koniec na tym: policyjni detektywi w cywilnych ubraniach, udający im podobnych zastawiają na nich pułapki, aresztują i wsadzają do więzienia. W moim przekonaniu jest to równie naganne jak ściganie kogoś za to, że jest żydem, pacyfistą albo katolikiem. Tak więc głównym celem moich działań tu, w Izbie Lordów, będzie reforma przepisów dotyczących homoseksualistów. Mam nadzieję, że wszyscy państwo życzą mi powodzenia. Dziękuję.

Odpowiedziały jej entuzjastyczne brawa. Dave pomyślał, że niemal wszyscy zebrani szczerze życzą jego babci szczęścia. Był pod wrażeniem. Zamykanie ciot uważał za kretyństwo. Opinia, którą miał o Izbie Lordów, poprawiła się: jeśli w tym przybytku da się prowadzić tego rodzaju kampanię, to może instytucja ta nie jest do cna śmieszna.

- A teraz piosenka na cześć naszych amerykańskich krewnych i przyjaciół - zakończyła swoje wystąpienie Ethel.

Evie wyszła na środek, Dave podążył za nią.

- Już babcia się postara, żeby mieli nad czym myśleć, to pewne - szepnęła Evie do brata.  
- I założę się, że dopnie swego.

- Zwykle jej się to udaje - przytaknął Dave, po czym wziął do ręki gitarę i trącił strunę G.

Evie zaczęła śpiewać:

*Och, czy widzisz w świetle poranka*

Większość zgromadzonych stanowili Brytyjczycy, nie Amerykanie, lecz wszyscy nadstawili uszu.

*To, co tak dumnie żegnaliśmy w ostatnim świetle zmierzchu*

Dave uważał, że patriotyczna duma to dyrdymały, lecz mimo to lekko ścisnęło go w gardle. Stało się tak za sprawą głosu Evie.

*Szerokie pasy i świetliste gwiazdy wśród niebezpieczeństw boju*

*Nad szanćcami widzieliśmy, dumnie powiewały*

Zrobiło się cicho jak makiem zasiał, Dave słyszał własny oddech. Evie miała taki dar. Kiedy wchodziła na scenę, przykuwała wszystkie spojrzenia.

*Flary czerwony blask i grzmiący huk bomb*

*Dawały świadectwo nocy, że nasza flaga tam jest*

Dave zauważył, że matka ociera łzy.

*Ach, rzeknij, czy gwiazdzisty sztandar załopotał już*

*Nad ziemią ludzi wolnych i domem dzielnych?*

Rozległy się brawa i okrzyki. Dave musiał przyznać, że siostra czasem daje się we znaki, lecz potrafi zaczarować widownię.

Poszedł po piwo imbirowe i rozejrzał się, ale Beep nie było w pomieszczeniu. Zauważył jej starszego brata Camerona, którego uważał za dziwaka.

- Hej, Cam, gdzie się podziała Beep?

- Chyba poszła zapalić.

Dave nie wiedział, czy zdoła ją znaleźć, mimo to postanowił spróbować. Odłożył drinka.

Zbliżył się do wyjścia jednocześnie z babcią, więc przytrzymał jej drzwi. Zapewne zmierzała do łazienki, miał niejasne pojęcie, że stare kobiety muszą się tam często udawać. Uśmiechnęła się do niego i ruszyła po schodach przykrytych czerwonym dywanem. Dave nie miał pojęcia, gdzie się znajduje, podążył więc za nią.

Na półpiętrze zatrzymał ją starszy pan opierający się na lasce. Dave zauważył, że ubrany jest w elegancki jasnopopielaty garnitur w wąskie białe prążki. Z kieszonki na piersi wystawała jedwabna chusteczka we wzory. Miał twarz upstrzoną plamami i białe włosy, lecz nie ulegało wątpliwości, że był kiedyś przystojny.

- Gratuluję, Ethel - rzekł, podając jej rękę.

- Dziękuję, Fitz. - Wyglądało na to, że dobrze się znają.

Mężczyzna przytrzymał dłoń Ethel.

- A zatem jesteś teraz baronessą.

Uśmiechnęła się.

- Czy życie nie jest dziwne?

- Jedna wielka zagadka.

Blokowali przejście, a Dave stał i czekał. Wypowiadali zwyczajne słowa, lecz rozmowa podszyta była silnymi emocjami. Nie potrafił ich określić.

- Nie przeszkadza ci, że twoja pokojówka została wyniesiona do godności para?

Pokojówka? Dave wiedział, że babcia zaczynała jako służąca w wielkim domu w Walii. Nieznajomy musiał być jej pracodawcą.

- Już dawno przestały mi przeszkadzać tego rodzaju rzeczy - odparł. Poklepał Ethel po ręce i puścił ją. - Za czasów rządu Attlee, jeśli chodzi o ścisłość.

Roześmiała się. Najwyraźniej lubiła z nim rozmawiać. W ich słowach kryło się coś bardzo silnego, lecz nie była to ani miłość, ani nienawiść. Gdyby nie byli tacy starzy, Dave pomyślałby, że to seks.

Zniecierpliwiony odkaszlnął.

- Oto mój wnuk David Williams - przedstawiła go Ethel. - Jeśli naprawdę zmieniłeś podejście, uściśnij mu dłoń. Dave, poznaj hrabiego Fitzherberta.

Hrabia zawahał się i przez chwilę Dave miał wrażenie, że odmówi uścisku, potem jednak podjął decyzję i wyciągnął rękę.

Dave również wyciągnął swoją.

- Dziękuję, Fitz - rzekła Ethel. Właściwie tego nie powiedziała, bo uniemożliwiło jej to ściśnięte gardło. Odeszła, nie dokończywszy zdania. Dave skinął grzecznie sędziwemu hrabiemu i za nią podążył.

Po chwili zniknęła za drzwiami damskiej toalety.

Dave domyślił się, że między Ethel i Fitzem coś kiedyś zaszło. Postanowił zapytać matkę. Nagle dostrzegł drzwi, które mogły prowadzić na zewnątrz, i zapomniał o dwojgu starszych ludziach.

Wyszedł i znalazł się na wewnętrznym dziedzińcu, który miał nieregularny kształt. Z boku stały kosze na śmieci. Idealne miejsce na pokątne obściskiwanie się, pomyślał. Nie było przejścia, nie wychodziły na nie żadne okna, a tu i ówdzie miało niewielkie zakamarki. Jego nadzieje wzrosły.

Nigdzie nie dostrzegł Beep, ale wyczuł woń dymu papierosowego.

Obszedł kosze i zerknął za róg.



Znalazł ją tam, tak jak się tego spodziewał. Trzymała papierosa w lewej dłoni. Ale był z nią Jasper i tonęli w swoich objęciach. Dave wybałuszył na nich oczy. Stali jak przyklejeni do siebie i całowali się namiętnie. Jej prawa ręka mierzwiła włosy Jaspera, a jego ścisnęła drobne piersi dziewczyny.

- Podstępny z ciebie drań, Jasperze Murray - szepnął Dave, po czym odwrócił się i wszedł do gmachu.

Podczas przygotowań do szkolnej inscenizacji Hamleta Evie Williams zaproponowała, że w scenie szaleństwa Ofelii wystąpi nago.

Na samą myśl o tym Cameronowi Dewarowi zrobiło się niepokojąco ciepło.

Ubóstwiał Evie, ale nie znosił jej poglądów. Popierała każdą ckliwą kruczającą ogłoszoną w gazetach, od przeciwdziałania okrutnemu traktowaniu zwierząt po protesty wobec zbrojeń nuklearnych, tych zaś, którzy nie postępowali tak samo, oskarżała o brutalność i głupotę. Jednakże Cameron do tego przywykł, gdyż nie zgadzał się z poglądami większości rówieśników i rodziny. Rodzice mieli beznadziejnie liberalne przekonania, a babcia była kiedyś redaktorką gazety o nieprawdopodobnym tytule „Buffalo Anarchist”.

Williamsowie, lewicowcy jeden w drugiego, byli nie lepsi. Jedynym jako tako rozsądnym myślącym mieszkańcem domu przy Great Peter Street był cyniczny darmozjad Jasper Murray. Londyn stanowił gniazdo wywrotowców i był pod tym względem gorszy niż rodzinne miasto Camerona San Francisco. Ucieszyłyby się, gdyby kontrakt ojca dobiegł końca i gdyby mogli wrócić do Ameryki.

Tylko że wtedy tęskniłby za Evie. Cameron miał piętnaście lat i po raz pierwszy w życiu się zakochał. Nie pragnął romansu, miał zbyt wiele zajęć. Jednak kiedy siedział w szkolnej ławce i wkuwał na pamięć francuskie i łacińskie słownictwo, nagle przypomniał sobie, jak Evie śpiewała *Gwiazdzisty sztandar*.

Lubiła go, był tego pewien. Wiedziała, że jest mądry, i zadawała mu szczerze pytania: Jak działa elektrownia atomowa? Czy Hollywood to rzeczywiste miejsce? Jak traktuje się Murzynów w Kalifornii? A co ważniejsze, z uwagą słuchała odpowiedzi. Nie uprawiała pogaduszek: plecenie bzdur jej nie interesowało, tak samo jak jego. W fantazjach Camerona byli parą uznanych intelektualistów.

Przez ten rok oboje chodzili do postępowej szkoły w Londynie, w której, jak zauważył Cameron, większość nauczycieli wyznawała poglądy komunistyczne. Kontrowersyjny pomysł Evie o odegraniu sceny szaleństwa piorunem obiegł szkołę. Nauczyciel prowadzący zajęcia teatralne, Jeremy Faulkner, brodac z pasiastą apaszką na szyi, wyraził zgodę. Jednakże

dyrektor nie okazał się równie głupi i kategorycznie odrzucił koncepcję.

W tym jednym jedynym przypadku Cameron ucieszyłby się, gdyby górę wzięła liberalna dekadencja.

Obie rodziny wybrały się wspólnie na przedstawienie. Cameron nie znosił Szekspira, ale bardzo chciał zobaczyć, jak Evie poradzi sobie na scenie. Dostrzegął w niej rys intensywności, który najpełniej ujawniał się wobec widowni. Była podobna do pradziadka Daia Williamsa, pioniera ruchu związkowego i ewangelickiego kaznodziei - tak w każdym razie utrzymywała Ethel, jego córka.

„Mój ojciec miał w oczach ten sam blask wielkości”, powiedziała kiedyś.

Cameron uważnie przestudiował Hamleta - tak jak wszystko, by zebrać dobre oceny - i wiedział, że rola Ofelii należy do trudnych. Postać ta miała wzbudzać litość, lecz za sprawą nieprzyzwoitych piosenek mogła łatwo popaść w komizm. Jak zagra ją piętnastolatka, czy porwie widownię? Cameron nie chciał, by się potknęła (aczkolwiek kołatało w jego głowie niejasne marzenie, że po upokarzającej klęsce aktorki otacza ręką jej delikatne ramiona i niesie pociechę).

Wszedł z rodzicami i młodszą siostrą do auli odgrywającej jednocześnie rolę sali gimnastycznej, dzięki czemu wypełniała ją w równej mierze woń zakurzonych śpiewników kościelnych i przepoconych tenisówek. Zajęli miejsca obok Lloyda Williamsa, deputowanego do parlamentu z ramienia Partii Pracy, jego amerykańskiej żony Daisy, Ethel Leckwith, babci, oraz Jaspera Murraya, lokatora. Dave, młodszy brat Evie, przebywał gdzie indziej i zajmował się organizowaniem poczęstunku, który miał się odbyć w antrakcie.

W ostatnich miesiącach Cameron kilkakrotnie usłyszał opowieść o tym, jak jego matka i ojciec poznali się w Londynie w czasie wojny: stało się to podczas przyjęcia wydanego przez Daisy. Tata odprowadził mamę do domu. Kiedy o tym opowiadał, w jego oczach zapalał się osobliwy blask, a mama posyłała mu spojrzenie, które mówiło, by zamknął buzię. Cameron i Beep snuli sprośne domysły na temat tego, co porabiali ich rodzice podczas tej przechadzki.

Parę dni później tata wylądował na spadochronie w Normandii, mama zaś myślała, że nigdy więcej go nie zobaczy. Mimo to zerwała zaręczyny z innym mężczyzną.

„Moja matka się wściekła - opowiadała. - Nigdy mi tego nie wybaczyła”.

Cameron już dawno doszedł do wniosku, że szkolne krzesła są tak niewygodne, iż nie nadają się nawet na półgodzinne posiedzenie w czasie porannego apelu. Wieczór zapowiadał się na istny czyściec. Doskonale wiedział, że pełna inscenizacja sztuki trwa pięć godzin. Evie zapewniła go, że szkolna wersja będzie skrócona. Cameron chętnie by się dowiedział o ile.

- Jak będzie ubrana Evie podczas sceny obłędu? - zapytał Jaspera.

- Nie wiem, nikomu nie chciała powiedzieć.

Światła zgasty i kurtyna odsłoniła blanki murów Elsynoru.

Widoczne w tle malowidła tworzące scenografię były dziełem Camerona. Miał dobre wycucie malarskie, które prawdopodobnie odziedziczył po ojcu fotografie. Najbardziej cieszył go księżyc, który udanie maskował reflektor oświetlający wartowników.

Poza tym niewiele było do podziwiania. Każde przedstawienie szkolne, które Cameron dotąd obejrzał, okazało się koszarne, a to nie będzie stanowiło wyjątku. Siedemnastoletni chłopak grający Hamleta usiłował stworzyć wrażenie zagadkowości, lecz wypadł drętwy. Jednak Evie się wyróżniała.

W pierwszej scenie Ofelia jedynie wysłuchiwała napuszonego ojca i brata odnoszącego się do niej protekcyjnie. Dopiero pod koniec ostrzegła tego drugiego przed hipokryzją w krótkiej kwestii wygłoszonej ze zjadliwą rozkoszą. Jednak w kolejnej scenie, w której opowiadała ojcu o szaleńczym wtargnięciu Hamleta do jej prywatnej komnaty, rozkwitła. Z początku była roztrzęsiona, a potem uspokoiła się i skupiła. Publiczność niemal wstrzymała oddech, kiedy Ofelia mówiła: „Wydał z siebie ciężkie, żałosne westchnienie”<sup>3</sup>. A potem, gdy w następnej scenie rozwścieczony Hamlet wydziera się na nią, by wstąpiła do klasztoru, Evie była tak oszołomiona i zraniona, że Cameron zapragnął wbiec na podest i przywalić draniowi. Jeremy Faulkner roztropnie postanowił zakończyć na tym pierwszą część. Publiczność nagrodziła występ ogromnym aplauzem.

DaHave kierował bufetem, w którym kilkoro znajomych sprzedawało napoje bezalkoholowe i słodczyce. Mieli pełne ręce roboty. Cameron był pod wrażeniem, gdyż nigdy nie widział tak pracowitych uczniów.

- Podałeś im jakieś środki dopingujące? - zapytał, biorąc sobie napój wiśniowy.

- Nie, tylko dwudziestoprocentową marżę od sprzedaży - odparł Dave.

Cameron miał nadzieję, że Evie wyjdzie w przerwie, by porozmawiać z rodziną, lecz rozległ się dzwonek sygnalizujący początek drugiej części, a jej wciąż nie było. Wrócił rozczarowany na miejsce i z niecierpliwością czekał na pojawienie się dziewczyny na scenie.

Hamlet wypadł lepiej, kiedy na oczach wszystkich jął nękać Ofelię sprośnymi żartami. Może wykonawca roli czuje się w tym naturalnie, pomyślał zgryźliwie Cameron. Zawstydzenie i zdenerwowanie Ofelii graniczyło z histerią.

Jednak dopiero scena jej szaleństwa rzuciła widownię na kolana.

---

<sup>3</sup> Ten i kolejne cytaty: William Shakespeare, *Hamlet, książę Danii*; przeł. Stanisław Barańczak, W Drodze, Poznań 1994.

Weszła na scenę niczym pensjonariuszka psychiatryka w podartej i poplamionej nocnej koszuli z cienkiej bawełny, która sięgała do połowy uda. Wcale nie budziła litości, była napastliwa i drwiąca niczym pijana prostytutka na ulicy. Kiedy wypowiedziała zdanie „Sowa była córką piekarza” - w opinii Camerona nic nieznaczące - zabrzmiało ono niczym zjadliwe szyderstwo.

- Nie mogę uwierzyć, że ma dopiero piętnaście lat - szepnęła matka Camerona do męża.

Przy zdaniu „Mężczyzna młody narobi szkody, gdy mu się tylko pozwoli” Ofelia zrobiła ruch, jakby chciała chwycić króla za jądra. Publiczność przyjęła to nerwowym śmiechem<sup>4</sup>.

Raptem nastąpiła zmiana. Po jej policzkach spłynęły łzy i głos zniżył się prawie do szeptu. Widzowie zamilkli, gdy Ofelia znów była dzieckiem i mówiła o zmarłym ojcu: „Ale nie mogę powstrzymać się od płaczu, kiedy pomyślę, że go złożyli w tej zimnej ziemi”.

Cameronowi także zachciało się płakać.

Potem przewróciła oczami, zatoczyła się i zagdakała niczym obłąkana stara wiedźma: „Hej, kareta! Zajeżdżać!”. Chwyciła dłońmi za dekolt koszuli i rozdarła ją. Publiczność westchnęła do wtóru słów: „Dobranoc miłym paniom”. Odzienie spadło na podłogę. Nagusieńka aktorka raz jeszcze zawołała „Dobranoc, dobranoc!”, po czym zbiegła ze sceny.

Później sztuka oklapła. Grabarz nie był śmieszny, a pojedynek na szpady wypadł sztucznie i nudno. Cameron myślał wyłącznie o obnażonej Ofelii stojącej na scenie tuż przed audytorium. Włosy na jej wzgórku łonowym miały płomiennobrazowy kolor - oto piękna dziewczyna doprowadzona do szaleństwa. Podejrzewał, że to samo czuł każdy mężczyzna obecny na widowni. Hamlet nie obchodził nikogo.

Kiedy aktorzy wyszli na koniec na scenę, Evie zebrała największe brawa. Jednak dyrektor nie pojawił się, by podziękować i wylewnie pochwalić uczestników, choć działo się tak zawsze po amatorskich inscenizacjach, nawet tych najbardziej beznadziejnych.

Później wszyscy patrzyli na rodzinę Evie. Daisy gawędziła wesoło z pozostałymi rodzicami, robiąc dziarską minę. Lloyd, ubrany w ascetyczny ciemnoszary garnitur i kamizelkę, nic nie powiedział, lecz wyglądał posepnie. Babcia Evie, Ethel Leckwith, uśmiechała się blado: być może miała zastrzeżenia, lecz nie narzekała.

Reakcje członków rodziny Camerona także były mieszane. Matka wyduła usta z

---

<sup>4</sup> Przekład S. Barańczaka powstał na podstawie współczesnej wersji Hamleta. Zdanie wypowiedane przez Ofelię brzmi w niej: *Young men will do it if they get a chance: By God, they're very bad.* W starej wersji ma ono nieco inną postać: *Young men will do 't, if they come to't. By Cock, they are to blame.* Jak widać, zakłęcie *By God* (Na Boga) zastąpiło pierwotne, bardziej dosadne *By Cock* (Na kutasa). Ken Follett przytacza starszą wersję i to tłumaczy gest wykonany przez odtwórczynię roli Ofelii w szkolnym przedstawieniu.

dezaprobatą. Ojciec uśmiechał się tolerancyjnie, a Beep tryskała podziwem.

- Twoja siostra jest rewelacyjna - rzekł Cameron do Dave'a.

- Mnie też podoba się twoja - odparł z uśmiechem.

- Ofelia skradła Hamletowi spektakl!

- Evie jest genialna - przyznał Dave. - Nasi rodzice aż chodzą po ścianach.

- Czemu?

- Nie uważają show-biznesu za poważne zajęcie. Chcą, żebyśmy oboje poszli w politykę - wyjaśnił, przewracając oczami.

Usłyszał to ojciec Camerona, Woody Dewar.

- Ja też miałem taki sam problemem. Ojciec był senatorem, dziadek również. Nijak nie mogli pojąć, dlaczego chcę zostać fotografem. Nie traktowali tego jak prawdziwego zawodu.

- Woody pracował w „Life”, prawdopodobnie najlepszym po „Paris Match” magazynie ilustrowanym świata.

Obie rodziny udały się na zaplecze sceny. Evie wyszła z garderoby w niewinnie wyglądającym bliźniaku i spódniczce za kolana, jej strój miał zapewne mówić: Nie jestem ekshibicjonistką, to była Ofelia. Wszelako mina dziewczyny zdradzała poczucie cichego triumfu. Bez względu na to, co mówiono o jej obnażeniu, nikt nie mógł zaprzeczyć, że gra młodocianej aktorki porwała widownię.

- Mam tylko nadzieję, że nie aresztują cię za obrazę przyzwoitości - odezwał się Lloyd.

- Wcale tego nie planowałam - odparła Evie, jakby usłyszała komplement. - To była decyzja podjęta w ostatniej chwili. Nawet nie miałam pewności, czy koszula się rozedrze.

Ale chrzani, pomyślał Cameron.

Zjawił się Jeremy Faulkner w swojej charakterystycznej apaszcze. Jako jedyny z grona nauczycielskiego pozwolił uczniom zwracać się do siebie po imieniu.

- To było bajeczne! - zapał. - Szczytowa chwila!

Jego oczy błyszczały zachwytem. Cameronowi przyszło na myśl, że on także jest zakochany w Evie.

- Jerry, to są moi rodzice, Lloyd i Daisy Williamsowie - powiedziała dziewczyna.

Nauczyciel jakby się przestraszył, lecz szybko doszedł do siebie.

- Na pewno są państwo jeszcze bardziej zaskoczeni niż ja - zagaił, zręcznie zrzucając z siebie odpowiedzialność. - Winienem państwu wyjaśnienie, że Evie jest najbardziej błyskotliwą uczennicą, jaką kiedykolwiek miałem. - Ucisnął rękę Daisy, a potem Lloyd, który wyraźnie nie miał na to ochoty.

- Jesteś zaproszony na przyjęcie dla obsady - oznajmiła Evie Jasperowi. - Będziesz

moim specjalnym gościem.

Lloyd zmarszczył czoło.

- Przyjęcie po czymś takim? - Najwidoczniej uważał, że świętowanie było nie na miejscu.

Daisy dotknęła jego ręki.

- W porządku - powiedziała.

Jej mąż wzruszył ramionami.

- Tylko na godzinę! - zaznaczył Jeremy. - Bo rano do szkoły!

- Jestem za stary, nie pasowałbym do towarzystwa - odparł Jasper.

- Jesteś tylko o rok starszy od szóstoklasistów - zaprotestowała Evie.

Cameron zachodził w głowę, po kiego diabła ona go tam wlecze. Naprawdę był za stary. Zabawa licealistów to nie miejsce dla studenta.

Na szczęście Jasper się nie zgodził.

- Zobaczymy się w domu - oznajmił zdecydowanie.

- Nie później niż o jedenastej, proszę - wtrąciła się Daisy.

Rodzice odeszli.

- Na Boga, upiekło ci się! - rzekł Cameron.

Evie się uśmiechnęła.

- Wiem.

Fetowali przedstawienie kawą i ciastkami. Cameron żałował, że nie ma Beep, ponieważ ochrzciłaby kawę wódką, jednak nie brała udziału w przygotowaniu sztuki, więc podobnie jak Dave poszła do domu.

W centrum uwagi była Evie. Nawet chłopak grający Hamleta przyznał, że to ona jest gwiazdą wieczoru. Jeremy Faulkner bez przerwy plótł o tym, że nagość wyrażała bezbronność Ofelii. Rozpływał się nad Evie tak, że w końcu stało się to kłopotliwe i jakby dziwnie śliskie.

Cameron czekał cierpliwie, pozwalając innym zagadywać Evie. Wiedział, że ostatecznie ma nad wszystkimi przewagę, ponieważ to on odprowadzi ją do domu.

Wyszli o wpół do jedenastej.

- Cieszę się, że tata dostał ten kontrakt w Londynie - oznajmił Cameron, kiedy zygzakowali bocznymi uliczkami. - Bardzo nie chciałem wyjeżdżać z San Francisco, ale tu jest całkiem fajnie.

- To dobrze - rzuciła Evie bez entuzjazmu.

- A najlepsze jest to, że poznałem ciebie.

- Uroczu z twojej strony. Dziękuję.
- To naprawdę zmieniło moje życie.
- Ależ nie.

Rozmowa nie przebiegała zgodnie z wyobrażeniami Camerona. Szli tuż obok siebie pustymi ulicami wśród plam światła i mroku, lecz brakowało w tym poczucia bliskości. W taki sposób ludzie prowadzą niezobowiązujące pogaduszki. Mimo to nie dawał za wygraną.

- Chcę, abyśmy się zaprzyjaźnili.
- Już się przyjaźnimy - odparła Evie ze szczyptą zniecierpliwienia.

Dotarli do Great Peter Street, a on wciąż nie powiedział tego, co chciał powiedzieć. Kiedy zbliżyli się do domu, przystanął. Evie zrobiła jeszcze jeden krok, więc złapał ją za rękę i przytrzymał.

- Evie, zakochałem się w tobie.
- Och, Cam, nie bądź śmieszny.

Poczuł się tak, jakby dostał cios pięścią.

Chciała iść dalej. Zacisnął dłoń, nie zważając na to, że sprawia jej ból.

- Śmieszny? - powtórzył i usłyszał w swoim głosie zawstydzające drżenie. Wziął się w garść. - Co w tym jest śmiesznego?

- Nie masz o niczym pojęcia - stwierdziła zniecierpliwionym tonem.

To zabolowało szczególnie mocno. Szczycił się tym, że dużo wie, i wyobrażał sobie, że Evie go za to lubi.

- Niby o czym nie mam pojęcia?

Energicznym szarpnięciem wyrwała rękę z jego dłoni.

- Kocham Jaspera, ty idioto - powiedziała i weszła do domu.

## ROZDZIAŁ 13

Rano, kiedy wciąż było ciemno, Rebecca i Bernd ponownie się kochali.

Od trzech miesięcy mieszkali razem w kamienicy w Berlin-Mitte. Dom na szczęście był duży, gdyż musieli go zajmować wspólnie z jej rodzicami, Wernerem i Carlą, a także z bratem Wallim i siostrą Lili oraz babcią Maud.

Miłość na jakiś czas przyniosła im pociechę i pozwoliła zapomnieć o wszystkim, co utracili. Oboje nie mieli pracy i mimo że Niemcy Wschodnie cierpiały na dotkliwy niedobór nauczycieli, tajna policja uniemożliwiła im jej znalezienie.

Przeciwko obojgu prowadzono śledztwo w związku z pasożytnictwem społecznym polegającym na tym, że żyli w kraju komunistycznym i pozostawali bez zatrudnienia. Prędzej czy później zostaną skazani i uwięzieni. Bernd zapewne trafi do obozu pracy i tam prawdopodobnie umrze.

Dlatego zamierzali uciec.

Ten dzień był ostatnim całym dniem, który spędzą w Berlinie Wschodnim.

Bernd delikatnie wsunął rękę pod koszulę nocną Rebekki.

- Jestem za bardzo roztrzęsiona.

- Być może nigdy więcej nie będzie szansy.

Objęła go i przytuliła się. Wiedziała, że ma rację. Oboje mogli zginąć podczas próby ucieczki.

Albo mogło się skończyć jeszcze gorzej: jedno mogło zginąć, a drugie przeżyć.

Bernd sięgnął po prezerwatywę. Umówili się, że wezmą ślub, kiedy przedostaną się do wolnego świata, i do tej pory będą unikali ciąży. Gdyby plany spełzły na niczym, Rebecca nie chciała wychowywać dziecka w Niemczech Wschodnich.

Namiętność Rebekki okazała się silniejsza niż jej lęki: zareagowała chętnie na dotyk Bernda. Dopiero niedawno odkryła pożądanie. Seks z Hansem zazwyczaj sprawiał jej umiarkowaną przyjemność, podobnie jak współzycie z dwoma poprzednimi kochankami, jednak nigdy dotąd pragnienie nie zawładnęło nią tak całkowicie, że na jakiś czas zapomniała o wszystkim. Teraz uświadomiła sobie, że to naprawdę może być ostatni raz, i żądza stała się jeszcze bardziej intensywna.

- Tygrysica z ciebie - rzekł Bernd, kiedy skończyli.

Roześmiała się.

- Przedtem taka nie byłam. To twoja sprawka.



- Nasza. Jesteśmy dopasowani.

- Ludzie uciekają codziennie - powiedziała, odzyskawszy oddech.

- Nikt nie wie ilu.

Uciekinierzy przepływali kanały i rzeki, wspinali się przez zasieki z drutu kolczastego, ukrywali się w samochodach i ciężarówkach. Niemcy z Zachodu, których wpuszczano do Berlina Wschodniego, przywozili podrobione zachodnioniemieckie paszporty dla krewnych. Żołnierzom alianckim wolno było chodzić wszędzie, więc pewien Niemiec ze Wschodu kupił sobie w sklepie z kostiumami teatralnymi mundur amerykańskiego żołnierza i nienagabywany przekroczył posterunek kontrolny.

- I wielu ginie - dodała Rebecca.

Strażnicy na granicy nie mieli litości ani wstydu. Strzelali, by zabić. Czasem pozostawiali rannych na ziemi niczyjej, by ci się wykrwawiali - miało to stanowić nauczkę dla innych. Karą za próbę opuszczenia komunistycznego raju była śmierć.

Rebecca i Bernd zamierzali zbiec przez Bernauer Strasse.

Jednym z ironiczno-ponurych aspektów istnienia muru było to, że na niektórych ulicach budynki stały w Berlinie Wschodnim, lecz chodniki należały do zachodniej części miasta. W niedzielę trzynastego sierpnia 1961 roku mieszkańcy wschodniej strony Bernauer Strasse otworzyli drzwi i zobaczyli, że zasieki z drutu kolczastego uniemożliwiają im wydostanie się na zewnątrz. Wielu wyskoczyło z okien na piętrze prosto ku wolności: niektórzy odnieśli obrażenia, inni spadli na koc trzymany przez zachodnioniemieckich strażaków. Teraz wszystkie budynki opustoszały: mieszkańców wysiedlono, drzwi i okna były zabite deskami.

Rebecca i Bernd mieli inny plan.

Ubrali się i zeszli na dół, by zjeść śniadanie z rodziną. Wiedzieli, że prawdopodobnie przez długi czas nie spożyją wspólnie posiłku. Podobnie napięta sytuacja zdarzyła się trzynastego sierpnia ubiegłego roku. Wtedy rodzina była pełna smutku i niepokoju. Rebecca zamierzała odejść, ale nie za cenę ryzykowania życia. Tym razem wśród domowników panował strach.

Usiłowała podnieść ich na duchu.

- Może pewnego dnia wszyscy dołączycie do nas po drugiej stronie granicy.

- Wiesz, że tego nie zrobimy - odparła Carla. - Ty musisz iść, bo nie ma tu dla ciebie życia. Ale my zostajemy.

- A co z pracą taty?

- Na razie robię swoje - odparł Werner. Nie mógł już chodzić do fabryki, gdyż znajdowała się w Berlinie Zachodnim. Usiłował kierować nią na odległość, lecz było to

prawie niewykonalne. Nie istniały połączenia telefoniczne między rozdzielonymi częściami miasta, musiał więc załatwiać wszystko pocztą, a korespondencja zawsze mogła się opóźnić za sprawą cenzury.

Rebecca odczuwała niewymowny ból. Rodzina była dla niej najważniejsza na świecie, lecz została zmuszona do jej opuszczenia.

- No cóż, żaden mur nie stoi wiecznie - stwierdziła. - Pewnego dnia Berlin się zjednoczy i znów będziemy mogli być razem.

Rozległ się dzwonek u drzwi i Lili zerwała się z krzesła.

- Mam nadzieję, że to listonosz z rachunkami z fabryki - rzekł Werner.

- Przejdę na drugą stronę muru, kiedy tylko będę mógł - oznajmił Walli. - Nie zamierzam spędzić życia na Wschodzie, słuchając starych komuchów, którzy będą mi rozkazywali, jaką muzykę mam grać.

- Będiesz mógł o sobie decydować, gdy tylko dorośniesz - odparła Carla.

Lili weszła do kuchni z zaleknioną miną.

- To nie listonosz - powiedziała. - To Hans.

Rebecca krzyknęła cicho. Ależ to niemożliwe, żeby jej były mąż dowiedział się o planie ucieczki.

- Jest sam? - spytał Werner.

- Tak mi się wydaje.

Babcia Maud zwróciła się do Carli:

- Pamiętasz, jak uporałyśmy się z Joachimem Kochem?

Carla spojrzała na dzieci. Nie powinny wiedzieć, w jaki sposób uporano się z Joachimem Kochem.

Werner podszedł do szafki kuchennej i otworzył dolną szufladę, w której znajdowały się ciężkie rondle. Wysunął ją do końca i postawił na podłodze. Następnie sięgnął ręką w głąb otworu i wy dobył czarny pistolet z brązową rączką oraz małe pudełko amunicji.

- O Jezu - westchnął Bernd.

Rebecca nie znała się za dobrze na broni, ale pomyślała, że to walther P38, a Werner zapewne zatrzymał go po wojnie.

Co się stało z Joachimem Kochem? - zastanawiała się w duchu. Czyżby został zabity?

Przez mamę? Oraz babcię?

- Jeśli Hans Hoffmann zabierze cię z tego domu, nigdy więcej cię nie zobaczymy - rzekł Werner do Rebekki, ładując pistolet.

- Może nie przyszedł jej aresztować - zauważyła Carla.

- Słusznie - przyznał Werner i zwrócił się do córki: - Porozmawiaj z nim i wybadaj, czego chce. W razie czego krzycz.

Rebecca wstała, Bernd także.

- Ty nie - powstrzymał go Werner. - Twój widok może go rozgniewać.

- Ale...

- Tata ma rację - odezwała się Rebecca. - Czekaj i bądź gotowy, jeśli zawołam.

- No dobrze.

Wzięła głęboki oddech, uspokoiła nerwy i wyszła do przedpokoju.

Hans miał na sobie nowy szaro-granatowy garnitur i krawat w prążki, który Rebecca dała mu na urodziny.

- Otrzymałem dokumenty rozwodowe - oznajmił.

Rebecca skinęła głową.

- Spodziewałeś się ich, naturalnie.

- Możemy o tym pomówić?

- A jest coś do powiedzenia?

- Być może.

Otworzyła drzwi jadalni, z której korzystano sporadycznie podczas oficjalnych obiadów; poza tym dzieci odrabiały w niej lekcje. Usiedli, ale Rebecca nie zamknęła drzwi.

- Na pewno tego chcesz? - zapytał Hans.

Rebecca się przestraszyła. Czyżby miał na myśli ucieczkę? Czy wie?

- To znaczy czego?

- Rozvodu.

Poczuła się skołowana.

- Dlaczego nie? Przecież tobie też o to chodzi.

- Naprawdę?

- Hans, co chcesz powiedzieć?

- Że nie musimy brać rozwodu. Możemy zacząć od nowa. Tym razem nie będzie oszukiwania. Wiesz już, że jestem funkcjonariuszem Stasi, więc kłamstwa staną się zbędne.

Rebecca miała wrażenie, że znalazła się w idiotycznym śnie, w którym dzieją się rzeczy niemożliwe.

- Ale dlaczego? - spytała.

Hans schylił się nad stołem.

- Nie wiesz? Nie domyślasz się chociaż?

- Nie! - odparła, mimo że zaświtało jej przerażające podejrzenie.

- Kocham cię - oznajmił Hans.

- Na litość boską! - zawołała Rebecca. - Jak mogłeś powiedzieć coś takiego po wszystkim, co zrobiłeś!

- Mówię poważnie. Z początku udawałem, ale po jakimś czasie dotarło do mnie, że jesteś wspaniałą kobietą. Chciałem się z tobą ożenić, nie chodziło tylko o służbę. Jesteś piękna, mądra i uczysz z poświęceniem... a ja podziwiam poświęcenie. Nigdy nie spotkałem takiej kobiety jak ty. Wróć do mnie, proszę...

- Nie! - krzyknęła.

- Przemyśl to. Daj sobie dzień, tydzień.

- Nie!

Rebecca krzyczała na cały głos, lecz on zachowywał się tak, jakby nieśmiało markowała opór.

- Jeszcze porozmawiamy - rzekł z uśmiechem.

- Nie! Nigdy! Nigdy! Przenigdy! - zawołała i wybiegła z pokoju.

Wszyscy stali przy otwartych drzwiach kuchni; ich twarze wyrażały strach.

- Co? - spytał Bernd. - Co się stało?

- Nie chce rozwodu - odparła zawodzącym głosem Rebecca. - Mówi, że mnie kocha i że chce zacząć od nowa. Żebyśmy dali sobie jeszcze jedną szansę!

- Uduszę gnoja - warknął Bernd.

Nie było potrzeby go powstrzymywać, gdyż w tej samej chwili trzasnęły zamknięte drzwi.

- Poszedł sobie - stwierdziła Rebecca. - Dzięki Bogu.

Bernd przygarnął ją i wtulił twarz w jego ramię.

- Ojej, czegoś takiego się nie spodziewałam - rzekła Carla z drżeniem w głosie.

Werner wyjął naboje z pistoletu.

- To jeszcze nie koniec - odezwała się babcia Maud. - Hans wróci. Funkcjonariusze Stasi uważają, że zwyczajni ludzie nie mogą im odmawiać.

- I mają rację - powiedział Werner. - Rebecco, musisz wyruszyć jeszcze dzisiaj.

Wysunęła się z objęć Bernda.

- O nie... Dzisiaj?

- Natychmiast - mówił ojciec. - Grozi ci straszliwe niebezpieczeństwo.

- Twój tata ma rację - potwierdził Bernd. - Hans może wrócić ze wsparciem. Musimy zrobić już teraz to, co zaplanowaliśmy na jutro rano.

- A więc dobrze - zgodziła się Rebecca.

Wbiegli po schodach do swojego pokoju. Bernd włożył czarny sztruksowy garnitur, białą koszulę i czarny krawat. Wyglądał, jakby wybierał się na pogrzeb. Rebecca także ubrała się na czarno. Oboje wsunęli stopy w czarne tenisówki. Bernd wyjął spod łóżka zwinięty sznur do prania kupiony w ubiegłym tygodniu. Zrzucił go na siebie niczym bandolet, a potem włożył jeszcze brązową skórzaną kurtkę, która przykryła sznur. Rebecca zamaskowała krótkim ciemnym płaszczem czarny golf i czarne spodnie.

Przygotowania zajęły im zaledwie kilka minut.

Rodzina czekała w przedpokoju. Rebecca uściskała i ucałowała wszystkich. Lili płakała.

- Nie daj się zabić - wyszlochała.

Bernd i Rebecca włożyli skórzane rękawiczki i ruszyli w stronę drzwi.

Pomachali jeszcze raz bliskim, a potem wyszli.

Walli podążał w pewnej odległości za nimi.

Chciał zobaczyć, w jaki sposób tego dokonają. Nikomu nie ujawnili swojego planu, nawet rodzinie. Mama powiedziała, że jeśli chce się coś zachować w sekrecie, nie należy nikomu o tym mówić, to jedyny sposób. Ona i ojciec twardo przy tym obstawali; Walli nabrał podejrzeń, że kierują się zagadkowymi doświadczeniami z okresu wojny, o których nigdy nie opowiadali.

Przed wyjściem z domu zapowiedział, że będzie grał na gitarze w swoim pokoju. Miał teraz gitarę elektryczną. Rodzice, nie słysząc hałasu, pomyślały, że gra bez podłączenia instrumentu do gniazdka.

Wymknął się tylnymi drzwiami.

Rebecca i Bernd szli, trzymając się pod rękę. Maszerowali żwawym krokiem, lecz bez pośpiechu, by nie zwracać na siebie uwagi. Było wpół do dziewiątej i poranna mgła zaczęła się unosić. Walli bez problemu widział dwie postacie: zwój sznura wypychał kurtkę na ramieniu Bernda. Nie oglądali się, a tenisówki Wallego sprawiały, że poruszał się cicho. Zauważył, że oni także mają tenisówki, lecz nie wiedział po co.

Odczuwał podniecenie, a zarazem lęk. Cóż za niezwykły poranek. Widok ojca wyciągającego pistolet zza szuflady omal nie zwałił Wallego z nóg. Stary był gotów ukatrupić Hansa Hoffmanna! Może jednak nie jest totalnie zdiadziałym frajerem.

Walli lękał się o swoją ukochaną siostrę, która za kilka minut mogła zginąć, a jednocześnie czuł dreszcz uniesienia. Jeśli ona zdoła zbiec, jemu także może się udać.

Nadal był zdecydowany na ucieczkę. Kiedy wbrew zakazowi ojca poszedł do klubu

Minnesänger, nie został ukarany. Ojciec uznał, że strata gitary była wystarczającą karą. Mimo to cierpiał z powodu dwóch tyranów, Wenera Francka oraz pierwszego sekretarza Waltera Ulbrichta, i postanowił, że przy pierwszej okazji wyzwoli się od nich obu za jednym zamachem.

Rebecca i Bernd dotarli do ulicy prowadzącej bezpośrednio do muru. Na jej końcu widać było dwóch wartowników, którzy radzili sobie z porannym chłodem, tupiąc nogami. Z ich ramion zwisały radzieckie pistolety maszynowe PPSch-41, bardziej znane jako pepesze, z magazynkami bębnowymi. Walli ocenił, że w obecności strażników nikt nie przedostanie się przez zasieki z drutu kolczastego.

Jednakże Rebecca i Bernd skręcili i weszli na cmentarz.

Walli nie mógł iść za nimi alejkami, gdyż na otwartej przestrzeni za bardzo rzucałby się w oczy. Ruszył szybko pod kątem prostym do kierunku ich marszu i znalazł się za kapliczką pośrodku cmentarza. Wyrzwał zza węgła. Najwyraźniej go nie zauważyli.

Doszli do północno-zachodniego narożnika cmentarza.

Był tam płot z drutu, a za nim tylne podwórze domu.

Rebecca i Bernd pokonali ogrodzenie.

To dlatego włożyli tenisówki, domyślił się Walli.

Ale po co im sznur do suszenia bielizny?

Budynki przy Bernauer Strasse były opuszczone, lecz w bocznych uliczkach normalnie mieszkali ludzie. Rebecca i Bernd zalęknieni i spięci przekradli się przez podwórze jednego z domów pięć numerów od końca ulicy zamkniętej murem. Przesadzili drugie ogrodzenie, a potem trzecie, coraz bardziej przybliżając się do muru. Rebecca miała trzydzieści lat i była zwinna, czterdziestoletni Bernd też nie narzekał na formę - opiekował się szkolną drużyną piłkarską. Przedostali się na tyły trzeciego domu od końca ulicy.

Byli już wcześniej na cmentarzu, także ubrani na czarno, by wyglądać jak żałobnicy, choć w rzeczywistości badali teren. Nie przyjrzeni się dokładnie budynkom, ponieważ nie mogli skorzystać z lornetki - wydawało się to zbyt niebezpieczne - lecz byli prawie pewni, że na dach trzeciego domu można się wdrapać.

Jeden dach prowadził do drugiego i umożliwiał dotarcie do opuszczonych kamienic przy Bernauer Strasse.

Im bardziej zbliżali się do celu, tym silniejsze obawy nurtowały Rebecce.

Zaplanowali, że wdrapią się na niziutką komórkę na węgiel, z niej na płaski dach, a dalej na wystający parapet okna umieszczonego obok szczytu dwuspadowego dachu. Jednak z

cmentarza wysokości wydawały się mniejsze. Teraz, gdy uciekinierzy znaleźli się blisko, wspinaczka zapowiadała się przerażająco.

Wejścia do środka nie brali nawet pod uwagę. Mieszkańcy mogliby wszcząć alarm. Gdyby tego nie zrobili, czekałaby ich później sroga kara.

Dachy były wilgotne od mgły i zapewne śliskie, ale na szczęście nie padało.

- Gotowa? - spytał Bernd.

Rebecca wcale nie była gotowa. Czuła przerażenie.

- Cholera, pewnie, że tak - odparła.

- Tygrysica z ciebie.

Wspięli się na dach komórki sięgający do piersi. Ich miękkie buty nie robiły wiele hałasu.

Bernd oparł się łokciami o krawędź płaskiej przybudówki i dźwignął się. Ułożywszy się na brzuchu, wyciągnął ręce w dół i wywindował Rebeccę. Stanęli na dachu. Poczuli, że są widoczni jak na dłoni, lecz rozejrzawszy się, dostrzegła tylko jedną daleką postać w głębi cmentarza.

Następny etap wspinaczki był przeraźliwie trudny. Bernd oparł kolano na parapecie, lecz ten okazał się wąski. Na szczęście zasłony zaciągnięto, więc jeśli w środku ktoś był, to niczego nie mógł widzieć, chyba że usłyszałby szmer i podszedł do okna, by zbadać jego źródło. Z pewnym trudem Bernd umieścił na parapecie drugie kolano. Oparłszy się ręką o ramię Rebekki, zdołał stanąć prosto. Teraz, stojąc mocno na wąskim parapecie, pomógł jej się wspiąć.

Uklękła na występie i starała się nie patrzeć w dół.

Bernd wyciągnął rękę i dotknął spadzistego dachu stanowiącego następny etap wspinaczki. Nie mógł się na niego dostać z miejsca, w którym stał, gdyż nie było się czego uchwycić poza krawędzią dachówki. Już wcześniej omówili tę kwestię. Rebecca, wciąż w pozycji klęczącej, przygotowała się na przyjęcie obciążenia. Bernd postawił stopę na jej prawym ramieniu. Dla zachowania równowagi, trzymając się krawędzi dachu, oparł na niej ciężar całego ciała. Zabolało ją, ale wytrzymała. Po chwili lewa stopa Bernda znalazła się na jej lewym ramieniu. Ciężar był równo rozłożony i mogła go przez kilka chwil utrzymać.

Sekundę później Bernd przełożył nogę nad krawędzią dachu i przetoczył się.

Rozłożył się, by opierać się o dach jak największą powierzchnią ciała, a potem wyciągnął ręce w dół. Odzianą w rękawicę dłonią chwycił kołnierz płaszcza Rebekki, ona zaś złapała go za ramię.

Nagle zasłony się rozsunęły i Rebecca ujrzała twarz kobiety spoglądającej na nią z

odległości kilkunastu centymetrów.

Nieznajoma krzyknęła.

Bernd z wysiłkiem dźwignął towarzyszkę, aż zdołała przełożyć nogę nad krawędzią spadzistego dachu, a następnie podciągnął ją w bezpieczniejsze miejsce.

Jednakże oboje utracili przyczepność i zaczęli się zsuwać.

Rebecca rozłożyła ręce i przycisnęła dłonie w rękawicach do dachówek, Bernd uczynił to samo. Mimo to dalej się zsuwali, powoli, lecz nieubłaganie. Naraz podeszwa tenisówki Rebekki oparła się o żelazną rynnę. Nie było to pewne oparcie, ale wytrzymało i oboje znieruchomieli.

- Co to był za krzyk? - spytał z niepokojem Bernd.

- Z wewnątrz zobaczyła mnie jakaś kobieta. Nie sędzę, by usłyszał ją ktoś na ulicy.

- Ale może podnieść alarm.

- Nic na to nie poradzimy. Idźmy dalej.

Gramolili się bokiem po spadzistym dachu niczym kraby. Domy były stare i niektóre dachówki popękały. Rebecca starała się nie opierać całym ciężarem na rynnie, której dotykała stopami. Posuwali się nieznośnie powoli.

Wyobraziła sobie rozmowę nieznajomej kobiety z mężem. „Jeśli nic nie zrobimy, oskarżą nas o współudział. Możemy powiedzieć, że spaliśmy twardo i niczego nie słyszeliśmy, ale pewnie i tak nas aresztują. A nawet jeśli wezwiemy policję, mogą nas zgarnąć, bo będziemy podejrzani. Kiedy się coś dzieje, aresztują wszystkich w okolicy. Najlepiej będzie, jeśli udamy, że o niczym nie wiemy. Zaciągnę zasłony”.

Zwykli ludzie unikali wszelkiego kontaktu z policją, lecz nieznajoma kobieta mogła nie być kimś zwykłym. Jeśli ona lub jej mąż należeli do partii, mieli dobrą posadę i przywileje, nie musieli się aż tak obawiać nękania przez policję, to zaś oznaczało, że bez wątpienia wszczęliby alarm.

Jednak mijały sekundy, a Rebecca nie słyszała żadnego poruszenia. Może jej i Berndowi się upiekło.

Dotarli do załomu dachu. Oparłszy stopy na przeciwległych stronach, Bernd zdołał wspiąć się wyżej i oprzeć ręce na krawędzi. Uzyskał bezpieczniejsze oparcie, lecz narażał się na to, że policjanci na ulicy zauważą palce jego ciemnych rękawic.

Zmienił kąt poruszania się i czołgał się dalej, z każdą sekundą przybliżając się do Bernauer Strasse i wolności.

Rebecca podążała za nim. Zerknęła przez ramię: chciała wiedzieć, czy ktoś ich dostrzegł. Ubiory w ciemnych kolorach nie rzucały się w oczy na tle szarych dachówek, lecz



nie zapewniały niewidzialności. Czy ktoś obserwuje? Widziała podwórza kamienic oraz cmentarz. Ciemna sylwetka, którą dostrzegła przed minutą, mknęła teraz od kaplicy ku bramie cmentarza. Jej żołądek wypełnił strach ciężki niczym ołów. Czyżby ktoś ich wysłedził i postanowił zawiadomić policję?

Przez chwilę Rebecca spanikowała, lecz naraz uprzytomniła sobie, że zna tę sylwetkę.  
- Walli? - szepnęła.

Co on, u diabła, wyprawia? Najwyraźniej szedł za nią i Berndem. Ale w jakim celu? I dokąd mu tak spieszo?

To było bardzo niepokojące.

Dotarli do tylnej ściany budynku mieszkalnego przy Bernauer Strasse.

Okna były zabite deskami. Bernd i Rebecca rozważali, czy włamać się do środka, a następnie przedostać się przez następną blokadę od frontu, lecz doszli do wniosku, że byłoby to zbyt hałaśliwe, czasochłonne i trudne. Stwierdzili, że łatwiej będzie przejść górą.

Krawędź dachu, na którym się znajdowali, była na poziomie rynien przyległego budynku, mogli więc łatwo przejść z jednego dachu na drugi.

Od tej chwili będą wyraźnie widoczni z poziomu bocznej uliczki, gdzie ustawili się wartownicy z pistoletami maszynowymi.

Zbliżała się najniebezpieczniejsza chwila przeprawy.

Bernd wczołgał się po dachu na szczyt, usiadł na nim okrakiem, a potem wszedł na wyższy dach budynku mieszkalnego i skierował się ku górze.

Rebecca podążała za nim, dysząc ciężko. Miała poobcierane kolana, ramiona bolały ją w miejscach, na których stanął stopami Bernd.

Usiadłszy okrakiem na niższym dachu, zerknęła w dół. Znajdowała się niebezpiecznie blisko policjantów. Ci zaś właśnie zapalali papierosy. Gdyby któryś uniósł głowę, wszystko byłoby stracone. Ona i Bernd stanowili łatwe cele dla automatów.

Jednakże od wolności dzieliło oboje zaledwie parę kroków.

Przygotowała się, by przeczołgać się na następny dach. Coś poruszyło się pod jej lewą stopą. Tenisówka obsunęła się, a wraz z nią Rebecca. Wciąż siedziała okrakiem i uderzyła się boleśnie w krocze. Wydała zduszony krzyk i przez chwilę pełna strasznego lęku znieruchomiała w odchyłonej pozycji. Potem odzyskała równowagę.

Niestety, luźna dachówka, sprawca kłopotu, zsunęła się z dachu, przetoczyła przez rynnę i z rozgłośnym trzaskiem rozprysła się na ulicy.

Gliniarze usłyszeli hałas i spojrzeli na chodnik.

Rebecca zamarła.

Policjanci rozglądali się. Za chwilę połapią się, że dachówka musiała spaść z dachu, i spojrzą w górę. Jednak zanim to zrobili, jeden został trafiony kamieniem.

- Wszyscy policjanci to piździelcy! - ryknął ktoś. Rebecca rozpoznała głos brata.

Walli podniósł następny kamień i cisnął w wartowników. Tym razem chybił.

Drażnienie się ze wschodnioniemiecką policją było zajęciem samobójczo głupim, wiedział o tym. Istniało duże prawdopodobieństwo, że zostanie aresztowany, skatowany i zamknięty w więzieniu. Ale musiał to zrobić.

Widział, że Bernd i Rebecca znaleźli się w beznadziejnej sytuacji, byli widoczni jak na dłoni. Gliniarze zauważą ich lada chwila, a strzelali do uciekinierów bez wahania. Odległość była niewielka, wynosiła jakieś piętnaście metrów. W ciągu kilku sekund oboje podziurawią kule.

Chyba że ktoś odwróci uwagę policjantów.

Nie byli wiele starsi od Wallego. On miał szesnaście lat, oni wyglądali na dwadzieścia. Rozglądali się zdeorientowani, trzymając w ustach dopiero co zapalone papierosy. Wciąż nie rozumieli, dlaczego dachówka roztrzaskała się o beton i dlaczego w ich stronę poleciały dwa kamienie.

- Świńskie ryje! - wrzasnął Walli. - Gówniane łby! Wasze matki to dziwki!

Wtedy go zobaczyli. Znajdował się o sto metrów od nich, był widoczny pomimo mgły. Gdy tylko wypatrzyli napastnika, ruszyli w jego stronę.

Zaczął się wycofywać.

Tamci zerwali się do biegu.

Walli odwrócił się i popędził.

Przy bramie cmentarza obejrzał się przez ramię. Jeden z mężczyzn zatrzymał się - z pewnością dotarło do niego, że nie powinni obaj opuszczać posterunku obok muru po to, by ścigać kogoś, kto jedynie obrzucił ich kamieniami. Jeszcze nie zaświtało im w głowie pytanie, w jakim celu ktoś poważył się na taki czyn.

Drugi gliniarz przyklęknął i uniósł broń.

Walli śmignął na cmentarz.

Bernd zawiązał sznur na murowanym kominie, sporządził bezpieczny węzeł i go zacisnął.

Rebecca leżała płasko na dachu, oddychając głęboko i spoglądając w dół. Widziała policjanta biegnącego za Wallim, który rwał przez cmentarz. Drugi gliniarz wracał na

posterunek, lecz na szczęście oglądał się na kolegę. Rebecca doznawała rozdwojenia: czuła ulgę, a jednocześnie lękała się o brata, który ryzykował życie, by przez kilka kluczowych sekund ściągnąć na siebie uwagę gliniarzy.

Popatrzyła w drugą stronę, tam, gdzie zaczynał się wolny świat. Na Bernauer Strasse, po przeciwnej stronie, stało dwoje ludzi, mężczyzna i kobieta. Obserwowali ją i rozmawiali z ożywieniem.

Trzymając sznur, Bernd usiadł i zsunął się na siedzeniu ku krawędzi zachodniej strony dachu. Następnie owinał się dwa razy liną na wysokości piersi pod ramionami, zostawiając około piętnastu metrów. Teraz mógł się wychylić za krawędź, ponieważ wisiał na sznurze przymocowanym do komina.

Wrócił do Rebekki i usiadł okrakiem na szczycie dachu.

- Usiądź prosto - powiedział. Przewiązał ją wolnym końcem liny i zacisnął węzeł. Trzymał linę mocno w dłoniach obleczonych w rękawice.

Rebecca spojrzała po raz ostatni na Berlin Wschodni. Zobaczyła Wallego, który zręcznie wspiał się na ogrodzenie cmentarza po przeciwnej stronie. Chwilę później przemierzył jezdnię i zniknął w bocznej uliczce. Policjant dał za wygraną i zawrócił.

Wtem przypadkowo spojrzał w górę i jego wzrok padł na dach budynku mieszkalnego. Ze zdumienia otworzył usta.

Z całą pewnością zobaczył Rebecę. Ona i Bernd tkwili na wierzchołku dachu, wyraźnie widoczni na tle nieba.

Gliniarz krzyknął i wskazał dłonią, a potem ruszył biegiem.

Rebecca stoczyła się z krawędzi i pomału zsunęła się po spadzistym dachu, aż podeszwy jej tenisówek dotknęły rynny.

Usłyszała salwę z pistoletu maszynowego.

Bernd stał wyprostowany obok niej, poprawiając linę.

Rebecca poczuła, że dźwiga ciężar jej ciała.

A więc do dzieła, pomyślała.

Przetoczyła się nad rynną i zawisła w powietrzu.

Lina zacisnęła się boleśnie na jej klatce piersiowej nad biustem. Przez chwilę wisiała, a potem Bernd popuścił linę i Rebecca jęła opadać krótkimi odcinkami.

Ćwiczyli to w domu jej rodziców. Bernd opuścił ją z najwyższego okna aż na wewnętrzne podwórze. Mówił, że bolą go ręce, ale dokona tego, jeśli będzie miał dobre rękawiczki. Mimo to podpowiedział jej, by wykorzystała każdą okazję do zatrzymania się i oparcia na parapecie okna, a on w tym czasie odsapnie.

Do jej uszu doleciały okrzyki zachęty i domyśliła się, że grupa ludzi zebrała się na Bernauer Strasse po zachodniej stronie muru.

Pod sobą widziała chodnik oraz kolczasty drut biegnący wzdłuż fasady budynku. Czy jestem już w Berlinie Zachodnim? Policja na granicy strzelała do wszystkich po wschodniej stronie, lecz miała ściśle polecenie, by nie otwierać ognia do nikogo po zachodniej stronie, gdyż Sowieci nie chcieli prowokować incydentów dyplomatycznych. Jednak Rebecca zawisała dokładnie nad zasiekami ani w jednym kraju, ani w drugim.

Usłyszała drugą serię z broni maszynowej. Gdzie są policjanci i kogo ostrzeliwiają? Domyśliła się, że spróbują wspiąć się na dach i zastrzelić ją i Bernda, zanim będzie za późno. Jeśli wybiorą tę samą uciążliwą marszrutę, którą wymknęła się ich zwierzyna, nie dogonią jej w porę. Jednak zapewne oszczędzą czas, wchodząc do budynku i po prostu wbiegając schodami na górę.

Rebecca była prawie u celu. Dotknęła stopami drutu kolczastego i odepchnęła się od ściany budynku, lecz nogi nie do końca oderwały się od drutu. Poczowała, że kolce przebijają spodnie i boleśnie rozdzierają skórę. Ludzie zebrani na dole pomogli jej: wyplątali Rebecę z drutu, odwinęli sznur z klatki piersiowej i postawili ją na ziemi.

Kiedy stanęła na gruncie, spojrzała w górę. Bernd znajdował się na krawędzi dachu, luzując linę na piersi. Rebecca odeszła nieco dalej od budynku, aby lepiej widzieć. Policjanci jeszcze nie dotarli na dach.

Bernd uchwycił linę mocno w dłonie, a następnie zszedł tyłem z dachu. Zsuwał się powoli po ścianie, wypuszczając sznur z dłoni. Było to szalenie trudne, gdyż cały ciężar jego ciała zawisł w dłoniach trzymających linę. Ćwiczył to w domu, złącząc po tylnej ścianie. Robił to nocą, kiedy nikt nie mógł go zobaczyć. Jednakże ten budynek był wyższy.

Dopingowali go gapie zebrani na ulicy.

Raptem na dachu pojawił się gliniarz.

Bernd przyspieszył schodzenie, ryzykując, że lina wymsknie mu się z dłoni.

- Przynieście koc! - zawołał ktoś.

Rebecca zdawała sobie sprawę, że nie ma na to czasu.

Policjant wymierzył z pistoletu maszynowego do Bernda, ale zawahał się. Nie wolno mu było strzelać w kierunku terytorium Niemiec Zachodnich, gdyż mógł trafić nie w tę osobę, do której celował. Taki incydent mógł doprowadzić do wybuchu wojny.

Odwrócił głowę i spojrzał na linę zawiązaną wokół komina. Na pewno zdołałby ją odwiązać, lecz zanimby tego dokonał, Bernd zdążyłby zejść na ziemię.

Czy miał nóż?

Wyglądało na to, że nie.

Naraz doznał olśnienia. Przyłożył lufę pistoletu do napiętej liny i oddał pojedynczy strzał.

Rebecca krzyknęła.

Sznur pękł, jego koniec śmignął w powietrzu nad Bernauer Strasse.

Bernd runął w dół niczym kamień.

Ludzie rozbiegli się.

Bernd uderzył w chodnik z przerażającym głuchym odgłosem.

I nie poruszył się.

Trzy dni później otworzył oczy i spojrzał na Rebecę.

- Cześć.

- Och, Bogu dzięki - westchnęła.

Zamartwiała się do kresu wytrzymałości. Lekarze mówili jej, że Bernd odzyska przytomność, lecz nie chciała uwierzyć, dopóki tego nie zobaczy. Przeszedł szereg zabiegów, podawano mu duże dawki medykamentów. Dopiero teraz Rebecca ujrzała w jego oczach błysk świadomości.

Powstrzymując się od płaczu, nachyliła się nad szpitalnym łóżkiem i pocałowała go w usta.

- Wróciłeś - rzekła. - Tak się cieszę.

- Co się stało?

- Spadłeś.

Bernd skinął głową.

- Tak, z dachu. Pamiętam, ale...

- Policjant przerwał linę.

Spojrzał w dół.

- Jestem w gipsie?

Rebecca pragnęła, by odzyskał przytomność, ale zarazem bała się tej chwili.

- Od pasa w dół.

- Nie mogę poruszyć nogami, nie czuję ich. - Spojrzał na nią z przerażeniem. - Amputowano mi nogi?

Rebecca wzięła głęboki oddech.

- Nie. Połamane większość kości nóg, ale nie czujesz ich, bo masz częściowo przerwany rdzeń kręgowy.

Przez długą chwilę Bernd milczał w zamyśleniu.

- Czy to się zagoi?

- Lekarze mówią, że nerwy mogą się zagoić, ale powoli.

- A więc...

- Być może kiedyś odzyskasz sprawność dolnej części ciała. Jednak szpital opuścisz na wózku inwalidzkim.

- Powiedzieli, jak długo to potrwa?

- Mówią... - Rebecca z trudem powstrzymywała się od płaczu. - Musisz przygotować się na ewentualność, że to może być na stałe.

Odwrócił głowę.

- Zostałem kaleką.

- Ale jesteśmy wolni, jesteśmy w Berlinie Zachodnim. Wydostaliśmy się.

- I trafiłem prosto na wózek.

- Nie myśl o tym w ten sposób.

- Co ja teraz, u diabła, mam robić?

- Myślałam o tym. - Rebecca nadała głosowi zdecydowany i pewny ton, choć wcale nie czuła pewności. - Ożenisz się ze mną i wrócisz do pracy dydaktycznej.

- To mało prawdopodobne.

- Dzwoniłam już do Anselma Webera. Pamiętasz, jest teraz dyrektorem szkoły w Hamburgu. Ma pracę dla nas obojga, zaczniemy we wrześniu.

- Nauczyciel na wózku?

- A co za różnica? Nadal potrafisz wytłumaczyć fizykę tak, że zrozumie najbardziej tępe dziecko w klasie. Do tego nie trzeba nóg.

- Po co ci wychodzić za kalekę?

- Za kalekę nie, ale za ciebie tak - odparła. - I zrobię to.

- Nie możesz wyjść za mężczyznę pozbawionego funkcji poniżej pasa - stwierdził gorzko Bernd.

- Posłuchaj - odrzekła groźnie. - Jeszcze trzy miesiące temu nie wiedziałam, czym jest miłość. Dopiero cię znalazłam, więc nie zamierzam teraz utracić. Uciekliśmy, przeżyliśmy i będziemy żyć. Pobierzemy się, będziemy uczyli w szkole, będziemy się kochali.

- Nie wiem.

- Chcę od ciebie tylko jednego - mówiła Rebecca. - Nie wolno ci tracić nadziei. Wszystkim trudnościom będziemy stawiali czoło razem, spróbujemy razem rozwiązywać problemy. Poradzę sobie ze wszystkim, jeśli będę miała ciebie. Przyrzeknij mi, Berndzie

Held, że nigdy się nie poddasz. Przenigdy.

Nastąpiła długa pauza.

- Przyrzeknij - powtórzyła.

Uśmiechnął się.

- Jesteś tygrysią.

**CZĘŚĆ TRZECIA**

**Wyspa**

**1962**



## ROZDZIAŁ 14

Dimka i Walentin kręcili się na diabelskim kole w parku Gorkiego z Niną i Anną.

Kiedy Dimkę wezwano z obozu wypoczynkowego, Nina poznała jakiegoś inżyniera i spotykała się z nim przez kilka miesięcy, później jednak zerwali i znów była wolna. Tymczasem Walentin i Anna zostali parą. Walentin spędzał w mieszkaniu dziewcząt większość weekendów. Poza tym kilkakrotnie ujawnił Dimce coś istotnego: że uprawianie seksu z jedną kobietą, a potem z drugą, to pewien etap w życiu, przez który przechodzą młodzi mężczyźni.

Ale mi się poszczęściło, pomyślał Dimka.

W pierwszy ciepły weekend krótkiego moskiewskiego lata Walentin zaproponował podwójną randkę. Dimka zgodził się z zapałem. Nina, inteligentna i obdarzona silną wolą, stanowiła wyzwanie, co bardzo mu się podobało. Lecz przede wszystkim była seksowna. Często wspominał, z jaką namiętnością go pocałowała. Bardzo pragnął repety. Pamiętał także jej sutki naprężone w zimnej wodzie. Zastanawiał się, czy ona również wraca myślą do tamtego dnia nad jeziorem.

Jego kłopot polegał na tym, że nie potrafił lekkomyślnie wykorzystywać dziewcząt, tak jak robił to Walentin, który gotów był powiedzieć dziewczynie wszystko, byle tylko zaciągnąć ją do łóżka. Dimka uważał, że nie wypada manipulować i pomiatać ludźmi. Był także zdania, że jeśli ktoś odmawia, należy się z tym pogodzić. Walentin zaś sądził, że „nie” zawsze oznacza „może jeszcze nie teraz”.

Park Gorkiego był swoistą oazą na surowej pustyni komunizmu, miejscem, do którego moskwianie ciągnęli po prostu po to, by się zabawić. Wkładali najlepsze ubrania, kupowali lody i słodczyce, flirtowali z nieznajomymi i całowali się w krzakach.

Anna udawała, że boi się diabelskiego młyna, Walentin zaś podejmował tę grę: otaczał ją ramieniem i zapewniał, że nic jej nie grozi. Nina zachowywała się spokojnie i Dimka wołał to niż udawany lęk, ale dziewczyna tym samym nie dawała mu okazji do zbliżenia.

Wyglądała ładnie w bawełnianej szmizjerce w pomarańczowo-zielone paski. Szczególnie kusząco prezentowała się z tyłu; Dimka dostrzegł to, kiedy wsiadali na karuzelę. Przed randką zdobył parę amerykańskich dżinsów i niebieską koszulę w kratę. W zamian za ciuchy dał komuś dwa bilety na widowisko baletowe, których nie chciał Chruszczow; w Teatrze Bolszoi wystawiano Romea i Julię.

- Co porabiałaś od czasu, kiedy się ostatnio widzieliśmy? - zapytała Nina, gdy spacerowali po parku, popijając letni napój pomarańczowy kupiony w budce.

- Pracowałem - odparł Dimka.

- I nic poza tym?

- Zazwyczaj przychodzę do biura godzinę przed Chruszczowem, pilnuję, żeby wszystko było gotowe: dokumenty, zagraniczne gazety, teczki, które być może będą mu potrzebne. Często pracuje do późnego wieczora, a ja rzadko wychodzę przed nim. - Dimka nie mógł ujawnić, jak ekscytujące jest w rzeczywistości to, czym się zajmuje. - Nie mam wiele czasu na inne sprawy.

- W czasie studiów był taki sam - rzucił Walentin. - Nic, tylko praca, praca, praca.

Na szczęście Nina nie uważała, że życie Dimki jest monotonne.

- Naprawdę jesteś dzień w dzień z towarzyszem Chruszczowem?

- Przeważnie.

- Gdzie mieszkasz?

- W domu rządowym. - Tak nazywano budynek mieszkalny dla elity władzy stojący nieopodal Kremla.

- To miłe.

- Razem z matką - dodał Dimka.

- Gdybym mogła mieszkać w takim budynku, matka by mi nie wadziła.

- Przeważnie mieszka też z nami moja siostra bliźniaczka, ale wyjechała na Kubę. Jest reporterką agencji TASS.

- Chciałabym pojechać na Kubę - rzekła tęsknie Nina.

- To ubogi kraj.

- Zniosłabym to, w tamtym klimacie nie ma zimy. Wyobraź sobie taniec na plaży w styczniu.

Dimka skinął głową. Kuba przysporzyła mu radości pod innym względem. Rewolucja Fidela Castro pokazała, że sztywne rygory ustroju radzieckiego nie są jedyną możliwą formą komunizmu. Castro miał nowe, odmienne koncepcje.

- Mam nadzieję, że Castro przetrwa - dodał Dimka.

- Dlaczego miałby nie przetrwać? - zdziwiła się Nina.

- Amerykanie już dokonali jednej napaści. W Zatoce Świń ponieśli klęskę, ale podejmą następną próbę z większym korpusem, prawdopodobnie w tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym czwartym, kiedy prezydent Kennedy będzie się ubiegał o reelekcję.

- To straszne! Czy nic nie można zrobić?

- Castro stara się zawrzeć pokój z Kennedym.

- Uda mu się?

- Pentagon jest przeciwny, a konserwatywni kongresmeni robią wokół tego szum, więc sprawa zmierza donikąd.

- Musimy udzielić poparcia rewolucji kubańskiej!

- Zgadzam się, ale naszym twardogłowym Castro także się nie podoba. Nie mają pewności, czy jest prawdziwym komunistą.

- Co będzie dalej?

- To zależy od Amerykanów. Mogą zostawić Kubę w spokoju, ale myślę, że nie są tacy mądrzy. Wydaje mi się, że będą nękali Fidela Castro tak długo, aż dojdzie do wniosku, że jedynym krajem, który może mu pomóc, jest Związek Radziecki. Dlatego prędzej czy później zwróci się do nas o ochronę.

- I co możemy zrobić?

- Dobre pytanie.

- Zgłodniałem - wtrącił się Walentin. - Dziewczyny, macie w domu coś do jedzenia?

- Oczywiście - odparła Nina. - Kupiłam golonkę na gulasz.

- A więc na co czekamy? Po drodze kupimy z Dimką piwo.

Pojechali metrem. Dziewczęta miały lokum w budynku zarządzanym przez związek zawodowy pracowników przemysłu stalowego, który dawał im zatrudnienie. Było niewielkie, składało się z sypialni z dwoma łózkami, pokoiku z kanapą i telewizorem, kuchni z malutkim stolikiem oraz łazienki. Dimka domyślił się, że to Anna kupiła koronkowe poduszki leżące na kanapie i wazon z plastikowymi kwiatami na telewizorze, natomiast pasiaste zasłony i plakaty na ścianie z widokami gór były pomysłem Niny.

Z niepokojem myślał o wspólnej sypialni. Jeśli Nina zechce się z nim przespać, to czy obie pary będą się kochały w tym samym pokoju? Takie układy nie były czymś niespotykanym, kiedy w czasach studenckich gnieździł się w zatłoczonych akademikach. Jednak Dimce to nie odpowiadało. Niezależnie od wszystkiego wołał, by Walentin nie wiedział, jak bardzo jest niedoświadczony.

Zastanawiał się, gdzie sypiała Nina, kiedy Walentin zostawał u dziewcząt na noc. Spostrzegł niewielki stos koców na podłodze w pokoju stołowym i odgadł, że kładła się na kanapie.

Nina włożyła mięso do okazałego rondla, Anna zaś pokroiła dużą brukiew. Walentin rozłożył sztućce i talerze, a Dimka rozlał piwo do naczyń. Wydawało się, że wszyscy oprócz niego wiedzą, co dalej nastąpi. Był trochę roztrzęsiony, ale się przystosowywał.

Potem Nina naszykowała przekąski: marynowane grzyby, bliny, kiełbasę i ser. Gulasz się gotował, a oni przeszli do pokoju. Nina usiadła na kanapie i klepieniem wskazała miejsce

obok siebie, na którym miał usiąść Dimka. Walentin rozsiadł się w fotelu, a Anna przycupnęła na podłodze u jego stóp. Słuchali muzyki z radia i pili piwo. Nina wrzuciła ziół do garnka i aromat wionący z kuchni sprawił, że Dimka poczuł głód.

Rozmawiali o rodzicach. Rodzice Niny się rozwiedli, Walentina żyli w separacji, Anny zaś pałali do siebie nienawiścią.

- Matka nie lubiła ojca - wyznał Dimka. - Ja również. Kto by lubił kagiebię.

- Byłam kiedyś mężatką, nigdy więcej - zakomunikowała Nina. - Znasz szczęśliwą mężatkę albo żonatego faceta?

- Owszem - odparł Dimka. - Wujka Wołodię. Ale ciocia Zoja to piękna kobieta. Fizyk z wykształcenia, a wygląda jak gwiazda filmowa. Kiedy byłem mały, mówiłem na nią ciocia z obrazka, bo przypominała piękności ze zdjęć w kolorowych gazetach.

Walentin pogładził Annę po włosach, a ona oparła głowę na jego udzie. Dimka pomyślał, że to bardzo seksowne. Pragnął dotknąć Niny i był pewien, że nie miałyby nic przeciwko temu - bo inaczej po co zaprosiła go do siebie? - ale czuł się nieswojo i jakoś niezręcznie. Chciał, żeby wykazała inicjatywę, ostatecznie to ona miała doświadczenie. Jednak dziewczyna zadowolala się słuchaniem muzyki i piciem piwa, na jej twarzy błąkał się nikły uśmiech.

Gulasz okazał się przepyszny. Nina była świetną kucharką. Zjedli danie z ciemnym chlebem.

Kiedy skończyli jeść i pozmywali, Walentin i Anna poszli do sypialni i zamknęli drzwi.

Dimka wszedł do łazienki. Twarz, którą widział w lustrze nad umywalką, nie była przystojna. Najkorzystniejszym jej elementem były duże niebieskie oczy. Ciemnobrązowe włosy zostały przystrzyżone krótko w wojskowym stylu przyjętym wśród młodych aparatczyków. Wyglądał jak młody, poważny mężczyzna, który nie zajmuje się sprawami tak przyziemnymi jak seks.

Dotknął prezerwatywy, którą miał w kieszeni. Stanowiła towar deficytowy i zdobycie jej kosztowało go немало trudu. Jednak Dimka nie zgadzał się z podejściem Walentina, który uważał ciężę za problem kobiety. Miał przeczucie, że seks nie sprawiłby mu przyjemności, gdyby wiedział, iż w konsekwencji być może zmusi dziewczynę do urodzenia dziecka lub aborcji.

Wrócił do głównego pokoju i ze zdziwieniem zobaczył, że Nina ma na sobie płaszcz.

- Pomyślałam, że odprowadzę cię na dworzec metra.

Dimka się zdziwił.

- Dlaczego?

- Chyba nie znasz tej okolicy, nie chciałabym, żebyś się zgubił.

- To znaczy, że mam sobie iść?

- A co chciałbyś robić?

- Zostać i cię pocałować.

Nina parsknęła śmiechem.

- Brakuje ci wyrafinowania, ale nadrabiasz entuzjazmem. - Zdjęła płaszcz i usiadła.

Dimka usadowił się obok i pocałował ją niepewnie.

Odpowiedziała chętnie, co dodało mu pewności siebie. Z radością uświadomił sobie, że nie zważała na jego brak wprawy. Wkrótce potem zapalczywie zmagął się z guzikami jej sukienki. Miała cudownie duży biust. Był opakowany w nieco odstręczający toporny stanik, lecz zdjęła go i podsunęła mu piersi do całowania.

Później sprawy potoczyły się szybko.

Kiedy nadeszła wielka chwila, ułożyła się na kanapie z głową na oparciu i jedną nogą na podłodze. Przyjęła tę pozycję, jakby była do tego przygotowana, i Dimka pomyślał, że robi to nie pierwszy raz.

Pospiesznie wyjął kondom z kieszeni, ale Nina powiedziała:

- Nie ma potrzeby.

Dimka się przestraszył.

- Co to znaczy?

- Nie mogę rodzić dzieci, wiem to od lekarzy. Dlatego mąż się ze mną rozwiódł.

Upuścił kondom na podłogę i ułożył się na niej.

- Delikatnie - podpowiedziała, wprowadzając go w siebie.

A więc udało się, pomyślał. Wreszcie straciłem dziewictwo.

Motorówka była długa, wąska i bardzo szybka, a do tego okropnie niewygodna - takimi przewożono kiedyś rum. Pokonywała Cieśninę Florydzką z prędkością osiemdziesięciu węzłów, wpadając na każdą falę z impetem samochodu obalającego płot. Sześciu siedzących w niej mężczyzn przypiętych było pasami, tylko to zapewniało jakieś takie bezpieczeństwo w pędzącej łodzi. W niewielkim luku bagażowym mieli karabinki automatyczne M3, pistolety oraz bomby zapalające. Zmierzali na Kubę.

George nie powinien z nimi być.

Spoglądał na zalaną księżycowym blaskiem wodę i targały nim mdłości. Czterej pasażerowie łodzi byli kubańskimi uchodźcami mieszkającymi w Miami. George znał jedynie ich imiona. Nienawidzili komunizmu, Castro i każdego, kto się z nimi nie zgadzał. Szóstym

był Tim Tedder.

Zaczął się, kiedy Tedder wszedł do biura w Departamencie Sprawiedliwości. George skojarzył go z CIA, jednak mężczyzna był oficjalnie na emeryturze i pracował jako konsultant do spraw bezpieczeństwa.

George był sam w biurze.

- Mogę w czymś pomóc? - spytał grzecznie.

- Przyszedłem na naradę w sprawie Mangusta.

George słyszał o operacji Mangusta, w którą zaangażowany był niebudzący jego zaufania Dennis Wilson, lecz nie znał szczegółów.

- Proszę wejść - rzekł i wskazał krzesło. Tedder trzymał pod pachą tekturowe pudło. Był o mniej więcej dziesięć lat starszy od George'a, ale wyglądał jak żywcem wzięty z lat czterdziestych: miał na sobie dwurzędowy garnitur, a jego falista czupryna z przedziałkiem błyszczała brylantyną.

- Dennis niedługo wróci - dodał George.

- Dziękuję.

- Jak idzie? To znaczy operacja Mangusta.

Tedder spojrzał na niego z rezerwą.

- Powiem na spotkaniu.

- Nie będzie mnie na nim - odparł George, zerkając na zegarek. Fałszywie sugerował, że jest zaproszony, choć nie był, jednak trawiła go ciekawość. - Mam spotkanie w Białym Domu.

- A szkoda.

George przypomniał sobie strzęp informacji.

- Zgodnie z planem powinniście realizować już fazę drugą, przygotowawczą.

Twarz Teddera rozpogodziła się. Uznał, że George należy do kręgu wtajemniczonych.

- Tu jest raport - rzekł, otwierając teczkę.

George udawał, że wie więcej, niż naprawdę wiedział. Projekt Mangusta zakładał pomoc kubańskim antykomunistom we wznieceniu kontrrewolucji. Zgodnie z harmonogramem obalenie Fidela Castro planowano na październik, tuż przed wyborami uzupełniającymi do Kongresu. Przeszkolone przez CIA grupy infiltracyjne miały zająć się organizacją akcji politycznych i propagandowych skierowanych przeciwko reżimowi na Kubie.

Tedder podał rozmówcy dwa arkusze papieru. Ten udał, że go zbytnio nie interesują, chociaż w istocie było inaczej.

- Czy wszystko się odbywa według harmonogramu?

Przybysz uniknął odpowiedzi na pytanie.

- Trzeba zwiększyć presję. Pokątne rozprowadzanie ulotek ośmieszających Castro nie przynosi skutków, o które nam chodzi.

- Jak możemy zwiększyć presję?

- Wszystko jest tam zapisane - odparł Tedder, wskazując raport.

George spojrział na papiery. To, co czytał, przedstawiało się gorzej, niż oczekiwał. CIA postulowała organizowanie sabotażu mostów, rafinerii ropy, elektrowni, cukrowni oraz sieci transportu.

W tej samej chwili wszedł Dennis Wilson. George zauważył, że nosi się podobnie jak Robert Kennedy: miał rozpięty kołnierzyk koszuli, rozluźniony krawat i podwinięte rękawy, jednak jego przerzedzone włosy nie mogły się równać z bujną strzechą Bobby'ego. Zauważywszy, że Tedder rozmawia z George'em, zdziwił się, a następnie zaniepokoił.

- Jeżeli wysadzicie rafinerię i ktoś zginie, wtedy w Waszyngtonie każdy spośród tych, którzy wydali na to zgodę, będzie winny zabójstwa - rzekł George do Teddera.

- Co mu ujawniłeś? - spytał gniewnie Wilson.

- Myślałem, że ma uprawnienia!

- Bo mam - odparł George. - Takie same jak Dennis. - Odwrócił się do Wilsona. - Więc dlaczego tak skrzętnie to przede mną ukrywałeś?

- Bo wiedziałem, że narobisz szumu.

- I miałeś rację. Nie prowadzimy wojny z Kubą, zabijanie Kubańczyków to mord.

- Właśnie że prowadzimy wojnę.

- Czyżby? - zdziwił się George. - W takim razie jeśli Castro przyśle agentów do Waszyngtonu, a oni podłożą bombę i zabiją twoją żonę, to nie będzie przestępstwo?

- Nie bądź śmieszny.

- Po pierwsze, byłby to mord, a po drugie, pomyśl, jaki będzie smród, jeśli sprawa wyjdzie na jaw. Skandal na skalę międzynarodową! Wyobraź sobie Chruszczowa w siedzibie ONZ wzywającego naszego prezydenta, by ten zaprzestał finansowania terroryzmu. I jeszcze wyobraź sobie artykuły w „New York Timesie”. Niewykluczone, że Bobby musiałby zrezygnować. A kampania reelekcyjna prezydenta? Czy nikt nie zastanowił się nad konsekwencjami politycznymi tej operacji?

- Oczywiście, że się zastanawialiśmy. Dlatego sprawa ma klauzulę najwyższej tajności.

- I jak ona się sprawdza? - George przewrócił kartkę. - Czy mnie oczy nie mylą? Zamierzamy zlikwidować Fidela Castro za pomocą zatrutych cygar?

- Nie należysz do grupy operacyjnej - oświadczył Wilson. - Więc po prostu o tym zapomnij, dobra?

- Cholera, ani mi się śni. Idę z tym prosto do Bobby'ego.

Wilson parsknął śmiechem.

- Ty palancie, nie rozumiesz? To on tym wszystkim kieruje!

Informacja zwała George'a z nóg.

Mimo to udał się do Kennedy'ego, a ten rzekł spokojnie:

- Pojedź do Miami i przyjrzyj się tej operacji. Niech Tedder ci wszystko pokaże. Potem wrócisz i powiesz mi, jakie jest twoje zdanie.

I tak George trafił do dużego nowego obozu CIA na Florydzie, w którym szkolono kubańskich uchodźców, przygotowując ich do akcji infiltracyjnych. Później Tedder zaproponował: „Może wybierzesz się z nami? Zobaczysz wszystko na własne oczy”.

To było wyzwanie i Tedder nie spodziewał się, że George je przyjmie. Ten jednak pojął, że odmawiając, osłabi swoją pozycję. W tej chwili miał przewagę, gdyż sprzeciwiał się operacji Mangusta z pobudek moralnych i politycznych. Gdyby odrzucił zaproszenie do udziału w przetruciu, wyszedłby na lęklivego. Poza tym być może nie umiał oprzeć się pokusie dowiedzenia swojej odwagi. „Zgoda - odparł nieroztropnie. - Ty też tam będziesz?”

Zaskoczył tym Teddera i wnet się zorientował, że ten wolałby wycofać propozycję. Teraz jednak jemu także rzucono wyzwanie. Greg Peshkov nazywał to konkursem sikania wżyz. Tedder również nie umiał odmówić, lecz po namyśle zastrzegł: „Rzecz jasna nie będziemy mogli powiedzieć Bobby'emu, że z nami byłeś”.

W taki oto sposób obaj znaleźli się w motorówce. Szkoda, myślał George, że Jack Kennedy tak bardzo gustuje w powieściach szpiegowskich brytyjskiego pisarza Iana Fleminga. Prezydent, jak się zdawało, uważał, że James Bond może ocalić świat nie tylko w thrillerach, ale i w rzeczywistości. Bond otrzymał tak zwaną licencję na zabijanie. Bzdura. Nikt nie ma licencji na to, by zabijać.

Zmierzali do małego miasteczka La Isabela leżącego na wąskim półwyspie sterczącym niczym palec z północnego wybrzeża wyspy. Znajdował się tam port i nie działała żadna gałąź przemysłu oprócz handlu. Celem akcji było zniszczenie instalacji portowych.

Mieli dotrzeć na miejsce o brzasku. Niebo na wschodzie zaczynało szarzeć, gdy sternik Sanchez przydusił potężny silnik łodzi i ryk przeszedł w niski gulgot. Sanchez dobrze znał ten odcinek wybrzeża, bo przed rewolucją jego ojciec miał w pobliżu plantację trzciny cukrowej. Na niewyraźnym horyzoncie zamajaczyła sylwetka miasta, sternik zgasił silnik i wyciągnął parę wiosel.



Przybój sam niósł ich w kierunku portu, wiosła służyły głównie do sterowania. Sanchez perfekcyjnie obliczył podejście. W polu widzenia ukazało się betonowe molo. Za nim George niewyraźnie dostrzegł okazałe magazyny ze spadzistymi dachami. W porcie nie było dużych jednostek - nieco dalej stało zacumowanych kilka niewielkich kutrów rybackich. Po plaży niósł się szmer niskich fal, poza tym wszystko okrywała cisza. Sunąca bezgłośnie motorówka stuknęła o betonowy pirs.

Pasażerowie wyjęli broń z luku. Tedder podsunął George'owi pistolet, lecz ten pokręcił głową.

- Weź - zachęcił agent. - Tu jest niebezpiecznie.

George zdawał sobie sprawę, do czego tamten dąży: chciał, by splamił sobie ręce krwią. W ten sposób utraciłby możliwość krytykowania operacji Mangusta. Jednak George nie dał się wmanewrować.

- Nie, dzięki. Jestem tu wyłącznie jako obserwator.

- Kieruję tą akcją, wydaję ci rozkaz.

- A ja na to: wal się.

Tedder dał za wygraną.

Sanchez umocował łódź i wszyscy wysiedli. Nikt się nie odzywał. Sanchez wskazał dłonią najbliższy magazyn, który wydawał się największy. Pobiegli w jego stronę, George zamykał tyły.

W zasięgu wzroku nikogo nie było. George dostrzegł szereg domów wyglądających niczym drewniane szałas. Spętany osioł skubał rzadką trawę przy gruntowej drodze. Jedyнным widocznym pojazdem był zardzewiały pick-up z lat czterdziestych. George uświadomił sobie, że w miasteczku panuje wielkie ubóstwo, mimo iż kiedyś musiało być ruchliwym portem. Domyślił się, że do ruiny doprowadził je prezydent Eisenhower, nakładając w 1960 roku embargo na handel między USA i Kubą.

Gdzieś zaszczekał pies.

Budynek magazynu miał drewniane ściany i dach z falistej blachy, lecz nie było w nim okien. Sanchez znalazł małe drzwi i otworzył je kopniakiem. Wtargnęli do środka. Wały się tam jedynie popękane skrzynie i pudła do pakowania, kawałki lin i sznurków, worki i podarte sieci.

- Doskonale - orzekł Sanchez.

Czterej Kubańczycy cisnęli na podłogę bomby zapalające. Po chwili ładunki zapłonęły i śmieci momentalnie zajęły się ogniem. Drewniane ściany także za chwilę stanęły w płomieniach. Wszyscy wybiegli.

- Hej? - krzyknął jakiś głos po hiszpańsku. - Co jest?

George odwrócił się i zobaczył Kubańczyka z białymi włosami ubranego w jakiś mundur. Za stary na policjanta lub żołnierza, musiał być nocnym stróżem. Nosił sandały na nogach. Jednak przy pasku miał również pistolet i zaczął przy nim gmerać.

Zanim zdążył dobyć broni, Sanchez oddał do niego strzał. Na białej koszuli munduru na piersi pojawiła się plama krwi i mężczyzna runął na plecy.

- Idziemy! - rozkazał Sanchez i cała piątka ruszyła biegiem w kierunku motorówki.

George przyklęknął obok starca. Oczy leżącego skierowane były na jaśniejsze niebo i nic nie widziały.

- Dawaj, George! - ponaglił Tedder.

Przez chwilę z piersi mężczyzny krew biła mocnym strumieniem, a potem zamieniła się w strużkę. George sprawdził puls i go nie wyczuł. Jedyna pociecha, że śmierć nastąpiła szybko.

Pożar w magazynie błyskawicznie się rozprzestrzenił, George wyczuwał bijący żar.

- Bo cię zostawimy! - zagroził Tedder.

Ryknął silnik motorówki.

George zamknął oczy zmarłego i wyprostował się. Stał kilka sekund bez ruchu z pochyloną głową. Następnie odwrócił się i pobiegł ku łodzi.

Gdy tylko się w niej znalazł, odbiła od nabrzeża i pomknęła przez zatokę. George przypiął się pasem.

- Co ty tam, kurwa, wyprawiałeś?! - ryknął mu do ucha Tedder.

- Zabiliśmy niewinnego. Pomyślałem, że zasługuje na chwilę szacunku.

- Pracował dla komuchów!

- Był nocnym stróżem, pewnie nie miał zielonego pojęcia, co to takiego komunizm.

- Cholerna cipa z ciebie.

George odwrócił głowę. Magazyn zamienił się w olbrzymie ognisko. Wokół budynku zaroilo się od ludzi, zapewne chcieli ugasić pożar. George skierował wzrok na morze i więcej się za siebie nie oglądał.

Kiedy dopłynęli do Miami i stanęli znów na twardym gruncie, zwrócił się do Teddera:

- W czasie przepawy nazwałeś mnie cipą. - Wiedział, że to niemal tak samo głupie jak zgoda na udział w wypadzie, lecz był zbyt dumny i nie umiał się powstrzymać. - Teraz jesteśmy na łodzi, nie musimy się martwić o bezpieczeństwo. Może powtórzysz te słowa?

Tedder wlepił w niego wzrok. Był wyższy od George'a, lecz nie tak szeroki w barach. Na pewno ćwiczył walkę wręcz, George widział, że waży szanse. Kubańczycy przyglądali się

temu z bezstronnym zaciekawieniem.

Przeciwnik zerknął na zmasakrowane ucho George'a.

- Chyba powinniśmy to puścić w niepamięć.
- Tak mi się zdawało - odrzekł George.

W samolocie sporządził szkic raportu dla Roberta Kennedy'ego, w którym napisał, że jego zdaniem operacja Mangusta jest nieskuteczna i że nic nie wskazuje, by mieszkańcy Kuby (w odróżnieniu od uchodźców) pragnęli obalenia Fidela Castro. Dodał, że akcja stanowi zagrożenie dla międzynarodowego prestiżu Stanów Zjednoczonych, a w razie ujawnienia wzbudzi wrogość do Ameryki. Przekazując szefowi raport, oznajmił zwięźle:

- Operacja Mangusta nic nie daje i jest niebezpieczna.
- Wiem - odparł Bobby. - Ale musimy coś zrobić.

Dimka postrzegał wszystkie kobiety w inny sposób.

On i Walentin większość weekendów spędzali z Niną i Anną w mieszkaniu dziewcząt: pary na przemian sypiały w łóżku albo na podłodze w dużym pokoju. Kochali się z Niną dwa lub nawet trzy razy w ciągu nocy. Dowiedział się, dokładniej niż marzył, jak wygląda, pachnie i smakuje kobiece ciało.

Odtąd patrzył na przedstawicielki drugiej płci w inny, bardziej świadomy sposób. Wyobrażał je sobie nagie, oczami wyobraźni widział łuki ich piersi i owłosienie, ich twarze podczas aktu miłosnego. W pewnym sensie, poznawszy jedną kobietę, poznał wszystkie.

Czuł się odrobinę niewierny wobec Niny, kiedy na plaży w Picundzie podziwiał Natalię Smotrową ubraną w kanarkowy kostium, z mokrymi włosami i zapiaszczonymi stopami. Jej szczupła figura nie miała zaokrągleń takich jak u Niny, a mimo to budziła nie mniejszy zachwyt. Być może zasługiwał na pobłażanie, gdyż od dwóch tygodni przebywał na wybrzeżu Morza Czarnego w towarzystwie Chruszczowa i prowadził życie mnicha. Tak czy owak, nie traktował tej pokusy poważnie, bo Natalia nosiła na palcu obrączkę.

Czytała przepisany na maszynie raport, a on poszedł popływać; było południe. Potem włożyła sukienkę na kostium, on zaś w tym samym czasie przebierał się w szorty domowej roboty. Później razem wrócili z plaży do budynku, który nazywali koszarami.

Był to brzydki nowy obiekt z pokojami dla gości niższej rangi takich jak oni. W jadalni cuchnącej gotowaną wieprzowiną i kapustą spotkali się z pozostałymi asystentami.

W przyszłym tygodniu miało się odbyć posiedzenie Politbiura, obecne zaś spotkanie służyło do tego, by każdy mógł sobie przygotować pozycję wyjściową. Cel jak zwykle polegał na określeniu kwestii spornych i ocenie potencjalnego wsparcia dla tej bądź innej

opcji. Tym sposobem asystent mógł uchronić pryncypała przed kłopotliwą sytuacją, gdy ten opowiada się za propozycją, która zostanie później utracona.

Dimka niezwłocznie przystąpił do ataku.

- Dlaczego Ministerstwo Obrony tak się ociąga z wysłaniem broni naszym towarzyszom na Kubie? To jedyne państwo rewolucyjne na kontynencie amerykańskim. Dowód, że marksizm przemawia do narodów całego świata, a nie tylko tych na wschodzie.

Entuzjazm Dimki wobec kubańskiej rewolucji brał się nie tylko z pobudek ideologicznych. Brodaci bohaterowie prezentowali się wspaniale w mundurach polowych, jakże byli różni od posępnych radzieckich przywódców w szarych garniturach. Komunizm powinien być radosną krucjatą, która uczyni świat lepszym. Czasami Związek Radziecki przypominał średniowieczny klasztor, w którym wszyscy złożyli śluby ubóstwa i posłuszeństwa.

Jewgienij Filipow, asystent ministra obrony, najeżył się.

- Castro nie jest prawdziwym marksistą, lekceważy słuszną linię wytyczoną przez Socjalistyczną Partię Ludową Kuby. - Była to partia promoskiewska. - Jego działania są rewizjonistyczne.

Zdaniem Dimki rewizjonizm bardzo dobrze by zrobił komunizmowi, ale rzecz jasna nie powiedział tego na głos.

- Rewolucja kubańska to potężny cios w kapitalistyczny imperializm. Powinniśmy go wspierać choćby dlatego, że bracia Kennedy tak bardzo nienawidzą Fidela Castro!

- Doprawdy? Ja tego nie wiem. Od inwazji w Zatoce Świń minął rok. Co od tego czasu zrobili Amerykanie?

- Castro wysyłał sygnały, że chce pokoju, a oni je odrzucili.

- Owszem, konserwatyści w Kongresie nie pozwolili Kennedy'emu zawrzeć pokoju z Castro, choć do tego dążył. Ale to nie znaczy, że pójdzie na wojnę.

Dimka rozejrzał się po twarzach asystentów ubranych w koszule z krótkimi rękawami i sandały. Obserwowali w milczeniu starcie dwóch gladiatorów, by zorientować się, kto wyjdzie z niego zwycięsko.

- Musimy uczynić wszystko, by rewolucja kubańska nie została obalona. Towarzysz Chruszczow uważa, że Amerykanie przeprowadzą drugą inwazję, tym razem lepiej zorganizowaną i szczerzej finansowaną.

- Gdzie są na to dowody?

Dimka poczuł się pokonany. Podjął ofensywę i starał się, ale jego pozycja była zbyt słaba.

- Nie mamy dowodów świadczących za jednym albo za drugim - przyznał. - Musimy działać na podstawie rachunku prawdopodobieństwa.

- Możemy także poczekać z uzbrojeniem Castro, aż sytuacja się wyjaśni.

Kilku uczestników narady pokiwało głowami. Filipow zdobył dużo punktów w potyczce z Dimką.

Wtedy głos zabrała Natalia.

- Ściśle rzecz biorąc, istnieją pewne dowody - oznajmiła, podając Dimce kartki przeczytane na plaży.

Ten zerknął na dokument. Był to raport dyrektora placówki KGB w Stanach Zjednoczonych zatytułowany Operacja Mangusta.

Czytał błyskawicznie kolejne strony, Natalia tymczasem mówiła dalej:

- Wbrew temu, co twierdzi towarzysz Filipow z Ministerstwa Obrony, KGB ma pewność, że Amerykanie nie zrezygnowali z Kuby.

- Dlaczego nie rozdano wszystkim tego dokumentu? - spytał wściekły Filipow.

- Ponieważ dopiero dotarł z Waszyngtonu - odparła beznamiętnie Natalia. - Dostaniecie egzemplarze po południu, jestem pewna.

Zawsze jakoś tak się składa, że kluczowe informacje wpadają w jej ręce wcześniej niż innym, uświadomił sobie Dimka. To była wielka umiejętność asystenta. Na pewno szef Natalii, minister spraw zagranicznych Gromyko, wysoko ceni jej zdanie. Bez wątplenia właśnie to było powodem, dla którego młodej kobiecie powierzono tak ważne stanowisko.

Dimka czytał tekst ze zdumieniem. Wynikało z niego, że w sporze z Filipowem rację miał on, Dimka, lecz kubańskiej rewolucji wróżył fatalnie.

- Sytuacja jest gorsza, niż obawiał się towarzysz Chruszczow! - oznajmił. - Grupy sabotażowe CIA przedostają się na Kubę, by niszczyć cukrownie i elektrownie. To wojna podjazdowa! Co więcej, Amerykanie knują spisek na życie Fidela Castro!

- Czy te informacje są wiarygodne? - powątpiewał adwersarz, rozpaczliwie usiłując ratować sytuację.

Dimka spojrzał na niego.

- Jaka jest twoja opinia o KGB, towarzyszu?

Uciszył tym Filipowa.

Następnie wstał.

- Wybaczcie, że przedwcześnie zamykam posiedzenie, ale moim zdaniem pierwszy sekretarz musi natychmiast zobaczyć ten dokument - oświadczył, po czym wyszedł z budynku.

Do białej willi Chruszczowa prowadziła ścieżka wśród sosnowego zagajnika. W środku wisiały białe zasłony, a meble zrobione były z drewna pobejcowanego tak, że przypominało deski wyrzucone falami na morski brzeg. Dimka zastanawiał się, kto wybrał tak nowoczesny styl, bo na pewno nie prosty wieśniak Chruszczow, który - jeśli w ogóle dostrzegał sprzęty - wolałby zamśzowe obicia i dywany w kwieciste wzory.

Dimka zastał przywódcę na górnym tarasie z widokiem na zatokę. Chruszczow dzierzył w dłoniach mocną lornetkę wyprodukowaną przez KOMZ.

Asystent nie czuł zdenerwowania; wiedział, że zaskarbił sobie sympatię Chruszczowa. Przywódca cenił to, że Dimka stawia się innym asystentom.

- Pomyślałem, że zechcecie od razu przeczytać ten raport - odezwał się Dimka. - Operacja Mangusta...

- Przed chwilą czytałem - wpadł mu w słowo Chruszczow i podał lornetkę. - Spójrz tam - polecił, wskazując dłonią w kierunku wybrzeży Turcji.

Dimka uniósł instrument.

- Amerykańskie pociski atomowe - dodał pierwszy sekretarz partii. - Wycelowane prosto w moją daczę!

Jego asystent nie dostrzegł pocisków ani Turcji odległej o dwieście pięćdziesiąt kilometrów. Rozumiał jednak, że charakterystyczny teatralny gest Chruszczowa był w istocie uzasadniony. Amerykanie rozmieścili na terytorium Turcji pociski Jupiter, które choć przestarzałe, wcale nie były nieszkodliwe. Dimka uzyskał tę informację od wujka Wołodii, który służył w wywiadzie Armii Czerwonej.

Teraz nie bardzo wiedział, jak ma się zachować. Udać, że widzi pociski przez lornetkę? Przecież Chruszczow wie, że to niemożliwe.

Pryncypał rozwiązał za niego problem, niemal wrywając mu szkła.

- I wiesz, co zrobię?

- Proszę powiedzieć.

- Dam Kennedy'emu posmakować, jak to jest. Postawię pociski atomowe na Kubie, wycelowane w jego daczę!

Dimce odjęło mowę. Tego się nie spodziewał i wątpił, by to był dobry pomysł. Podzielał zdanie szefa, że trzeba zwiększyć pomoc wojskową dla Kuby, i walczył o to z Ministerstwem Obrony, lecz Chruszczow chciał posunąć się za daleko.

- Pociski atomowe? - powtórzył, by dać sobie czas do namysłu.

- Właśnie tak! - Chruszczow wskazał palcem raport KGB o operacji Mangusta, który Dimka wciąż trzymał w dłoniach. - A to przekona Prezydium KPZR, by dać mi poparcie.

Zatrute cygara. Ha!

- Nasza oficjalna linia była taka, że nie rozmieścimy broni nuklearnej na Kubie - zauważył Dimka w sposób, w jaki podaje się przyczynkową informację niestanowiącą argumentu w sporze. - Kilka razy zapewnialiśmy o tym Amerykanów, i to publicznie.

Chruszczow wyszczerzył zęby w szelmowskim uśmiechu.

- A więc Kennedy zdziwi się jeszcze bardziej!

Kiedy Chruszczowa ogarniał podobny nastrój, Dimka wpadał w popłoch. Pierwszy sekretarz nie był głupcem, lecz miał zacięcie hazardzisty. Jeśli wymyślony przez niego plan spali na panewce, może doprowadzić do upokorzenia dyplomatycznego, które spowodowałoby upadek jego przywództwa w ZSRR. Tym samym dalsza kariera Dimki stanęłaby pod znakiem zapytania. Co gorsza, Amerykanie mogliby zostać sprowokowani do przeprowadzenia inwazji na Kubę, choć w zamiśle miało być odwrotnie. Na wyspie przebywała ukochana siostra Dimki. Istniała nawet możliwość, że w toku wydarzeń zapłonie iskra wojny jądrowej, ta zaś położy kres kapitalizmowi, komunizmowi, a być może także istnieniu całej rasy ludzkiej.

Z drugiej strony Dimka nie mógł pohamować dreszczu emocji. Cóż to byłby za przeolbrzymi cios w zadufanych, pewnych siebie braci Kennedych, w Stany Zjednoczone, tego globalnego łotra, oraz w cały blok mocarstw kapitalistyczno-imperialistycznych. Gdyby zagrywka się powiodła, przyniosłaby wielki triumf Związkowi Socjalistycznych Republik Radzieckich i Chruszczowowi.

Jak postąpić? Dimka jął myśleć praktycznie, w jaki sposób ograniczyć apokaliptyczne zagrożenia związane z planem pierwszego sekretarza.

- Moglibyśmy zacząć od podpisania traktatu pokojowego z Kubą. Amerykanom trudno byłoby zaprzeczyć, że planowali napaść na ubogi kraj Trzeciego Świata. - Chruszczow spojrzał na Dimkę bez entuzjazmu, lecz milczał, Dimka więc mówił dalej: - Potem przyspieszylibyśmy dostawę broni konwencjonalnej na Kubę. Kennedy'emu niezręcznie byłoby protestować, bo dlaczego jakiś kraj nie miałby kupować uzbrojenia dla swojej armii? Na koniec moglibyśmy wysłać pociski...

- Nie - przerwał Chruszczow. Dimka przypomniał sobie, że jego pryncypał nigdy nie był zwolennikiem stopniowania działań. - Zrobimy inaczej. Wyślemy pociski po cichu, zapakujemy je do skrzyń z napisami „rury melioracyjne” albo coś w tym rodzaju. Nawet kapitanowie statków nie będą wiedzieli, co jest w środku. Przerzucimy na Kubę specjalistów, którzy zmontują wyrzutnie. Amerykańcy się nie połapią, co kombinujemy.

Dimce zakręciło się w głowie od lęku i ekscytacji. Tak wielkie przedsięwzięcie będzie

nieślychanie trudno zachować w sekrecie, nawet w Związku Radzieckim. Tysiące ludzi weźmie udział w pakowaniu sprzętu, wysyłaniu go koleją do portów, rozpakowywaniu na Kubie i rozmieszczaniu. Czy to w ogóle możliwe, by zapewnić sobie milczenie ich wszystkich?

Mimo to nie protestował.

- A potem, kiedy rakiety będą gotowe do odpalenia - ciągnął Chruszczow - wydamy oświadczenie. Sprawa zostanie zamknięta, Amerykanie nic nie będą mogli na to poradzić.

Chruszczow uwielbiał takie monumentalne gesty. Dimka uświadomił sobie, że za nic nie zdoła mu tego wyperswadować.

- Zastanawiam się tylko, jak prezydent Kennedy zareaguje na taki komunikat - rzekł ostrożnie.

Chruszczow prychnął pogardliwie.

- To chłoptaş, bojaźliwy i słaby żółtodziób.

- Oczywiście - przytaknął Dimka, lecz obawiał się, że pierwszy sekretarz może nie doceniać młodego prezydenta Stanów Zjednoczonych. - Ale szóstego listopada odbędą się wybory uzupełniające. Jeśli informację o pociskach ujawnimy w czasie kampanii, Kennedy znajdzie się pod ogromną presją polityczną, by poczynić drastyczne kroki. Tylko w taki sposób mógłby uniknąć haniebnej klęski wyborczej.

- Wobec tego trzeba dopilnować, by do szóstego listopada sprawa pozostała w tajemnicy.

- Kto ma to zrobić? - zapytał Dimka.

- Wy. Będziecie kierować tą operacją i odpowiadać za moje kontakty z Ministerstwem Obrony, które będzie musiało wszystko przeprowadzić. Waszą rolą będzie dopilnować, żeby nie doszło do przecieku, zanim będziemy gotowi.

- Dlaczego wybraliście właśnie mnie? - wykrztusił wstrząśnięty Dimka.

- Nienawidzicie tego kutasa Filipowa, więc postaracie się go przeczołgać.

Dimka był zbyt oszołomiony, by dowieść, skąd Chruszczow wie o jego niechęci do Filipowa. Armia otrzymała prawie niewykonalne zadanie i to na niego, Dimkę, spadnie wina, jeśli coś się nie powiedzie. Sytuacja była wręcz katastrofalna.

Wiedział doskonale, że nie wolno mu wyrażać swoich obaw.

- Dziękuję wam, Nikito Siergiejewiczu - rzekł oficjalnie. - Możecie na mnie polegać.



## ROZDZIAŁ 15

Limuzyna GAZ-13 zwana była mewą ze względu na opływowe tylne skrzydła w amerykańskim stylu. Mogła wyciągnąć sto sześćdziesiąt kilometrów na godzinę, choć przy jeździe z taką prędkością po radzieckich drogach o komforcie nie mogło być mowy. Występowała w kolorze wiśniowo-kremowym z białymi oponami, lecz Dimka miał czarną.

Samochód podjeżdżał do nabrzeża przystani w Sewastopolu na Ukrainie, on zaś siedział na jego tylnej kanapie. Miasto usadowiło się na koniuszku Półwyspu Krymskiego, który wrzynał się w Morze Czarne. Przed dwudziestu laty Niemcy zrównali je z ziemią bombardowaniami lotniczymi i artyleryjskimi. Po wojnie Sewastopol odbudowano: balkony w stylu śródziemnomorskim i weneckie łuki miały nadawać mu klimat radosnego nadmorskiego kurortu.

Dimka wysiadł i spojrzał na zacumowany przy pirsie frachtowiec do przewozu drewna z ponadwymiarowymi lukami ładunkowymi na pnie drzew. W blasku palącego letniego słońca dokerzy ładowali na pokład narty i kartony zimowej odzieży wyraźnie oznaczone tak, by sprawiały wrażenie, że statek kieruje się na lodowatą północ. Dimka wykoncypował zwodniczą nazwę operacja Anadyr - tak nazywało się miasto na Czukotce.

Obok auta Dimki zaparkowała druga mewa. Wysiadło z niej czterech mężczyzn w mundurach wywiadu Armii Czerwonej i stanęło, czekając na jego polecenia.

Wzdłuż doku biegły tory kolejowe, nad nimi zaś stanął okrakiem wielki dźwig suwnicowy umieszczony tak, by można było przenosić ładunek z wagonów prosto na statek. Dimka zerknął na zegarek.

- Pierdolony pociąg powinien już tu być.

Nerwy miał napięte do granic. Nigdy czegoś takiego nie odczuwał i dopóki nie rozpoczęła się ta operacja, właściwie nie wiedział, czym jest stres.

Najwyższą szarżą Armii Czerwonej obecną w porcie był pułkownik Pankow. Zwracał się do Dimki oficjalnie i z szacunkiem.

- Mam zadzwonić, Dmitriju Iljiczu?

- Zdaje się, że nadjeżdża - odezwał się drugi oficer, porucznik Mejer.

Dimka spojrzał na tory. Z oddali sunął powoli długi wąż niskich, odkrytych wagonów załadowanych podługowatymi drewnianymi skrzyniami.

- Czemu, do kurwy nędzy, wszyscy uważają, że kwadrans spóźnienia jest dozwolony? - warknął Dimka.

Obawiał się działalności szpiegów. Złożył wizytę w miejscowej placówce KGB i przejrzał listę podejrzanych osób zamieszkałych na tym terenie. Byli to sami dysydenci: poeci, księża, malarze abstrakcyjni i Żydzi pragnący wyjechać do Izraela - czyli typowi radzieccy malkontenci, równie groźni jak członkowie klubu cyklistów. Mimo to Dimka kazał ich wszystkich aresztować, jednak żaden nie wydał mu się niebezpieczny. CIA niemal na pewno miała w Sewastopolu prawdziwych agentów, lecz KGB nie wiedziało, kim są.

Ze statku zszedł po trapie mężczyzna w mundurze kapitana i zwrócił się do Pankowa:

- To wy tutaj dowodzicie, pułkowniku?

Pankow skinieniem głowy wskazał Dimkę.

- Mój statek nie może płynąć na Półwysep Czukocki - oznajmił kapitan, lecz z mniejszym niż poprzednio szacunkiem.

- Wasz port docelowy jest utajniony - poinformował go Dimka. - Macie o nim nie mówić.

Trzymał w kieszeni zalakowaną kopertę, którą kapitan otworzy po przejściu z Morza Czarnego na Śródziemne. Wtedy dowie się, że zmierza na Kubę.

- Potrzebny jest mi olej do niskich temperatur, płyny rozmrażające, sprzęt do odladzania...

- Stulcie, kurwa, pysk - warknął Dimka.

- Muszę zaprotestować. Warunki syberyjskie...

Dimka zwrócił się do porucznika Mejera:

- Rąbnijcie go w zęby.

Mejer, rosłe chłopisko, uderzył mocno. Kapitan runął na ziemię z krwawiącymi ustami.

- Wracać na pokład, czekać na rozkazy i gęba na kłódkę - polecił Dimka.

Kapitan oddalił się, a mężczyźni zebrani na nabrzeżu skierowali uwagę na nadjeżdżający pociąg.

Anadyr to była operacja zakrojona na dużą skalę. Zbliżający się skład będzie pierwszym z dziewiętnastu podobnych, a wszystko to po to, by przerzucić do Sewastopola zaledwie pierwszą z wielu jednostek raketowych. W sumie Dimka ekspediował na Kubę pięćdziesiąt tysięcy ludzi i dwieście trzydzieści tysięcy ton sprzętu. Oddano mu do dyspozycji flotyllę osiemdziesięciu pięciu statków.

Nadal nie miał pomysłu, w jaki sposób utrzymać przedsięwzięcie w tajemnicy.

Wielu ludzi władzy w Związku Radzieckim cechowały lekkomyślność, lenistwo, skłonność do kieliszka oraz najzwyczajniejsza głupota. Nie rozumieli poleceń, zapominali, nie przykładali się do postawionych zadań i z nich rezygnowali, a czasem po prostu uznawali, że

wiedzą lepiej. Przekonywanie ich za pomocą argumentów nie zdawało egzaminu, zjednywanie sobie przynosiło skutki jeszcze gorsze. Jeśli ktoś okazywał im uprzejmość, uznawali go za durnia, którego można zignorować.

Pociąg włókł się mozolnie torami wzdłuż statku, stalowe hamulce piszczały. Każdy specjalnie zbudowany wagon wioził jedną skrzynię o długości dwudziestu pięciu i szerokości niespełna trzech metrów. Suwnicowy wspiał się do kabiny. Dokerzy wskoczyli na wagony i jęli przygotowywać skrzynie do przeładunku. Kompania żołnierzy, która jechała pociągiem, zaczęła pomagać robotnikom. Dimka z ulgą zauważył, że zgodnie z jego poleceniem usunęli z mundurów oznaczenia jednostki raketowej.

Z jednego z wagonów zeskoczył mężczyzna w cywilnym ubraniu i Dimka ze złością rozpoznał Jewgienija Filipowa, swojego oponenta z Ministerstwa Obrony. Filipow podszedł do Pankowa, podobnie jak wcześniej kapitan statku, lecz ten oznajmił:

- Tutaj dowodzi towarzysz Dworkin.

Filipow wzruszył ramionami.

- Parę minut spóźnienia - rzucił z zadowoloną miną. - To przez to, że...

Nagle Dimka coś zauważył.

- O jasna cholera, nie - zaklął.

- Co się stało? - chciał wiedzieć Filipow.

Dimka tupnął nogą o betonowe nabrzeże.

- Kurwa mać! Kurwa mać!

- O co chodzi?

Dimka zmierzył go wściekłym spojrzeniem.

- Kto dowodzi pociągiem?

- Jest z nami pułkownik Kac.

- Dawaj mi tu zaraz tego tępego gnojka.

Filipowowi było nie w smak, że ma spełniać rozkazy wroga, jednakże nie mógł odmówić.

Pankow spojrzał pytająco na asystenta Chruszczowa.

- Widzicie, co jest napisane na boku każdej skrzyni? - spytał ten ze złością i rezygnacją.

Pankow skinął głową.

- Wojskowe oznaczenie kodowe.

- Otóż to - potwierdził gorzkim tonem Dimka. - Oznacza ono „Pocisk balistyczny R-Dwanaście”.

- O szlag.

Dimka w poczuciu bezradności pokręcił głową.

- Dla niektórych tortury to za mało.

Już od dawna nurtowała go obawa, że prędzej czy później przyjdzie mu stoczyć bój z wojskowymi. Lepiej, że doszło do tego teraz, przy okazji pierwszego transportu. I był przygotowany na tę potyczkę.

Filipow wrócił w towarzystwie pułkownika i majora.

- Dzień dobry, towarzysze - odezwał się starszy stopniem oficer. - Jestem pułkownik Kac. Drobne opóźnienie, ale poza tym wszystko przebiega gładko...

- Nic podobnego, ty tępy kutasie - wpadł mu w słowo Dimka.

- Coście powiedzieli? - Kac nie dowierzał swoim uszom.

- Słuchaj, Dworkin, nie wolno ci się tak odzywać do oficera - zwrócił mu uwagę Filipow.

Dimka go zignorował.

- Swoją niesubordynacją naraziliście bezpieczeństwo całej operacji. Otrzymaliście rozkaz, by zamalować wojskowe numery na skrzyniach. Dostaliście nowe szablony napisów „Plastikowe rury konstrukcyjne”. Mieliście je umieścić na skrzyniach.

- Zabrakło czasu - oburzył się Kac.

- Bądź rozsądny, Dworkin - powiedział Filipow.

Dimka podejrzewał, że asystent ministra obrony być może cieszy się z tego, że tajemnica wycieknie, bo wówczas Chruszczow zostanie zdyskredytowany i może nawet utracić władzę.

Wskazał na południe, w kierunku morza.

- Kac, ty cholerny idioto, dwieście pięćdziesiąt kilometrów stąd zaczyna się państwo członkowskie NATO. Nie wiesz, że Amerykanie mają szpiegów? I że wysyłają ich do miejsc takich jak Sewastopol, który jest ważną radziecką bazą morską i portem?

- Oznaczenia są zakodowane...

- Zakodowane? Co wy macie w mózgu, psie gówno? Wyobrażacie sobie, że jak są szkoleni kapitalistyczno-imperialistyczni szpiegowie? Uczy się ich rozpoznawać oznaczenia mundurów, na przykład insygnia jednostki raketowej, które macie na kołnierzu, co także jest wbrew rozkazom. Oraz inne oznaczenia wojsk i sprzętu. Ty dumny knucie, każdy zdrajca i informator CIA w Europie potrafi odczytać te wojskowe znaczki na skrzyniach.

Kac odwołał się do swojej godności.

- Za kogo wy się uważacie? Nie ważcie się tak do mnie odzywać. Mam dzieci starsze od was.

- Jesteście odsunięci od dowodzenia - oznajmił Dimka.

- Nie bądźcie śmieszni.

- Proszę mu pokazać.

Pułkownik Pankow wyjął z kieszeni kartkę papieru i podał Kacowi.

- Jak widzicie, mam odpowiednie uprawnienia - rzekł Dimka.

Zauważył, że Filipow stoi z otwartymi ustami.

- Aresztuję was jako zdrajcę. Pójdziecie z tymi żołnierzami.

Porucznik Mejer i drugi z podwładnych Pankowa podeszli do Kaca z obu stron, wzięli go pod rękę i zaprowadzili do limuzyny.

Filipow pozbierał myśli.

- Dworkin, na litość boską...

- Jeśli nie masz nic sensownego do powiedzenia, zamknij gębę, do kurwy nędzy - przerwał mu Dimka i zwrócił się do majora pułku raketowego, który jak dotąd stał bez słowa: - Jesteście pierwszym zastępcą Kaca?

- Tak jest, towarzyszu - odparł przerażony oficer. - Major Spektor do waszych usług.

- Teraz wy dowodzicie.

- Dziękuję.

- Zabierzcie ten pociąg. Na północ stąd jest spory kompleks zabudowań kolejowych. Załatwcie z kierownictwem kolei, że postawicie tam skład na dwanaście godzin. Przemalujecie skrzynie i przyprowadzicie go tutaj jutro.

- Tak jest, towarzyszu.

- Pułkownik Kac pojedzie do obozu pracy na Syberii i spędzi tam resztę życia, a długo nie pożyje. Zatem, majorze Spektor, nie popełnijcie błędu.

- Nie popełnię.

Dimka wsiadł do limuzyny i odjechał. Filipow znieruchomiał na nabrzeżu i wyglądał tak, jakby wciąż nie mógł ogarnąć rozumem tego, co się przed chwilą stało.

Tania Dworkina stała na nabrzeżu w Mariel na Kubie. Miejscowość leżała na północnym wybrzeżu wyspy, czterdzieści kilometrów od Hawany. Był tam wąski przesmyk stanowiący wejście do ogromnej naturalnej przystani ukrytej wśród wzgórz. Spoglądała z niepokojem na radziecki statek zacumowany przy betonowym pirsie. Tuż obok zaparkowała rosyjska ciężarówka ZIL-130 z przyczepą długości dwudziestu pięciu metrów. Dźwиг zdejmował z pokładu statku długą drewnianą skrzynię i nieznośnie powoli przenosił ją w powietrzu ku przyczepie. Na skrzyni widniał napis po rosyjsku „Plastikowa rura

konstrukcyjna”.

Widziała to wszystko w blasku reflektorów. Z rozkazu jej brata statki rozładowywano nocą. Wszystkie inne jednostki musiano usunąć z portu. Wejście do zatoki odcięły łodzie patrolowe. Nurkowie przeszukali otoczenie frachtowca, by wyeliminować zagrożenia podwodne. Nazwisko Dimki wymawiano ze strachem: jego słowo jest prawem, jego gniewu lepiej nie oglądać, powiadano.

Tania pisała dla agencji TASS artykuły opowiadające o tym, jak Związek Radziecki niesie pomoc Kubie, oraz o wdzięczności narodu kubańskiego wobec sojusznika w dalekiej części ziemskiego globu. Jednak prawdziwe informacje przekazywała bratu pracującemu na Kremlu za pomocą telegrafu, który należał do KGB. Dimka zlecił jej nieoficjalne zadanie polegające na kontrolowaniu, czy jego polecenia wykonywane są sumiennie. I to właśnie budziło niepokój dziewczyny.

Towarzyszył jej generał Paz Oliva, najurodziwszy mężczyzna, jakiego w życiu poznała.

Paz był oszałamiająco atrakcyjny: wysoki i silny, budził odrobinę lęku, dopóki nie odezwał się miękkim basowym głosem, który przywodził na myśl dźwięk strun wiolonczeli pieszczonej smyczkiem. Miał trzydzieści parę lat; większość wojskowych Fidela Castro była w młodym wieku. Ciemna karnacja skóry i kędzierzawe włosy sprawiały, że przypominał bardziej Murzyna niż Latynosa. Wyglądał jak model z plakatu sławiącego prowadzoną przez Castro politykę równości rasowej, tak odmienną od poczynań Kennedy'ego.

Tania pokochała Kubę, ale nie od razu. Tęskniła za Wasilijem bardziej, niż przewidywała. Uświadomiła sobie, jak bardzo go lubi, mimo że nigdy nie zostali kochankami. Martwiła się, że cierpi głód i chłód w syberyjskim obozie pracy. Kampania, za którą został ukarany - rozpowszechnianie informacji o chorobie śpiewaka Ustina Bodiana - przyniosła częściowe powodzenie: Bodiana zwolniono z więzienia, lecz zaraz potem zmarł w moskiewskim szpitalu. Wasilij z pewnością dostrzegłby znaczącą ironię takiego obrotu zdarzeń.

Do niektórych rzeczy nie potrafiła przywyknąć. Wychodząc, nadal wkładała płaszcz, mimo że nigdy nie było zimno. Znudziły ją fasola i ryż i ze zdumieniem odkryła, że tęskni za miską kaszy z kwaśnym mlekiem. Po niekończących się dniach gorącego letniego słońca z nadzieją wyglądała ulewy, która odświeżyłaby ulice miasta.

Kubańscy rolnicy byli równie biedni jak radzieccy chłopcy, lecz wydawali się szczęśliwsi, być może za sprawą klimatu. W końcu nieodparta radość życia Kubańczyków oczarowała Tanię. Paliła cygara i piła rum z tuKola, miejscowym odpowiednikiem coca-coli. Uwielbiała tańczyć z Pazem w zniewalającym rytmie tradycyjnej muzyki o nazwie trova.

Castro nakazał zamknąć wszystkie nocne kluby, lecz nikt nie mógł zabronić Kubańczykom gry na gitarach, toteż muzycy przenieśli się do małych barów zwanych casas de la trova.

Mimo to martwiła się o ten naród, który rzucił wyzwanie Stanom Zjednoczonym Ameryki Północnej, olbrzymiemu sąsiadowi oddalonemu o zaledwie sto pięćdziesiąt kilometrów szerokości Cieśniny Florydzkiej. Miała świadomość, że któregoś dnia mieszkańcy Kuby mogą za to zapłacić. Na myśl o tym czuła się niczym zuchwały ptaszek, który siada między otwartymi szczękami krokodyla i wydziobuje pokarm pomiędzy ostrych jak noże zębów wielkiej bestii.

Czy cena, jaką zapłacą Kubańczycy, nie będzie zbyt wysoka? Tylko czas mógł przynieść odpowiedź na to pytanie. Tania wątpiła w szanse zreformowania komunizmu, lecz niektóre poczynania Fidela Castro budziły podziw. Rok 1961 ogłoszono rokiem edukacji i dziesięć tysięcy studentów rozeszło się po wsiach, by uczyć rolników czytać. Ta heroiczna krucjata miała na celu wyeliminować analfabetyzm za jednym zamachem. Pierwsze zdanie elementarza brzmiało „Rolnicy pracują w spółdzielni” - ale czy to było ważne? Ci, którzy potrafią czytać, łatwiej przejrzą oficjalną propagandę rządową.

Fidel Castro żadną miarą nie był bolszewikiem. Odrzucał sztywną ideologię i bez wytchnienia poszukiwał nowych koncepcji. To właśnie budziło irytację Kremla. Jednak nie był także demokratą. Tania ze smutkiem usłyszała, jak ogłasza, że rewolucja sprawiła, iż wybory są niepotrzebne. Pod jednym wszak względem niewolniczo naśladował wzorce zaczerpnięte ze Związku Radzieckiego: z pomocą doradców z KGB stworzył bezwzględną i skuteczną tajną policję, która miała zdławić wszelki opór wobec systemu.

Z drugiej strony Tania dobrze życzyła rewolucji. Kuba musiała wyzwolić się z jarzma zacofania i kolonializmu. Nikt nie chciał powrotu Amerykanów z ich kasynami i prostytutką. Ale Tania nie miała pewności, czy Kubańczycy kiedykolwiek uzyskają szansę decydowania we własnym imieniu. Wrogość Ameryki pchnęła ich w ramiona Sowietów, lecz im bardziej Castro zbliżał się do ZSRR, tym większe stawało się prawdopodobieństwo amerykańskiej inwazji. W istocie Kuba potrzebowała, by zostawiono ją w spokoju.

Być może teraz nadarzała się szansa. Tania i generał Paz należeli do garstki osób wiedzących, co kryje się w podłużnych drewnianych skrzyniach. Składała raporty bezpośrednio bratu, oceniała w nich skuteczność zastosowanych środków kamuflażu. Jeśli plan się powiedzie, Kuba na dobre uwolni się od zagrożenia amerykańską inwazją i zyska wolną przestrzeń do kształtowania swojej drogi ku przyszłości.

Tania w każdym razie żywiła taką nadzieję.

Znała Paza od roku.

- Nigdy nie opowiadałeś mi o swojej rodzinie - zagadnęła, kiedy obserwowali układanie skrzyni na przyczepie ciężarówki. Zwracała się do niego po hiszpańsku, który to język zdołała w miarę płynnie opanować. Przyswoiła sobie również szczyptę amerykańskiej angielszczyzny, którą Kubańscy czasami się posługiwali.

- Rewolucja jest moją rodziną - odrzekł generał.

Chrzaniś, pomyślała.

Mimo to czuła, że prawdopodobnie pójdzie z nim do łóżka.

Być może okaże się ciemnoskórym odpowiednikiem Wasilija - przystojnym, czarującym i niewiernym. Przez jego łóżko zapewne przewijały się cztery kubańskich dziewcząt z roziskrzonymi oczami.

Skarciła samą siebie za cynizm. To, że mężczyzna jest powalająco przystojny, nie musi czynić z niego bezmyślnego casanovy. Może Paz czeka na właściwą kobietę, która zostanie jego życiową partnerką, i wspólnie będą w pocie czoła budowali nową Kubę.

Pocisk raketowy opakowany w skrzynię spoczął na przyczepie. Do Paza podszedł niski, służący porucznik Lorenzo.

- Ładunek gotowy do transportu, towarzyszu generale.

- Kontynuować akcję - rozkazał Paz.

Ciężarówka ruszyła z wolna. Gromada motocykli z rykiem silników wyjechała przed nią na drogę. Tania i Paz wsiedli do zielonego wojskowego kombi Buick LeSabre i podążyli za konwojem.

Kubańskie drogi nie były przystosowane do ciężarówek o długości dwudziestu pięciu metrów. W ostatnich trzech miesiącach inżynierowie Armii Czerwonej postawili nowe mosty i przebudowali wąskie jak agrafka zakręty, lecz kawalkada przez większość czasu i tak wlokła się w tempie spacerowym. Tania odnotowała z ulgą, że z dróg usunięto wszystkie inne pojazdy. Niskie drewniane dwupokojowe domki w mijanych wioskach stały ciemne, ich okiennice były zamknięte. Dimka przeczyta o tym z satysfakcją.

Jego siostra wiedziała, że na przystani drugi pocisk jest już przeładowywany na ciężarówkę. Operacja potrwa do świtu. Przeniesienie całego ładunku zajmie dwie noce.

Do tej pory plan Dimki zdawał egzamin. Wydawało się, że nikt nie podejrzewa, co Związek Radziecki szykuje na Kubie. Nie szeptało się o tym w kołach dyplomatycznych, żadne informacje nie ukazały się na nieobjętych kontrolą łamach zachodnich gazet. Eksplozja gniewu Białego Domu, której tak się obawiano, jak dotąd nie nastąpiła.

Wszelako do amerykańskich wyborów uzupełniających pozostały jeszcze dwa miesiące. Przez ten czas olbrzymie rakiety muszą zostać w całkowitej tajemnicy przygotowane do



odpalenia. Tania nie potrafiła odpowiedzieć na pytanie, czy jest to wykonalne.

Po dwóch godzinach konwój wjechał do szerokiej doliny, która przeszła we władanie Armii Czerwonej. Inżynierowie wznosili tam wyrzutnię rakiet, jedną z kilkunastu ukrytych przed ludzkim wzrokiem wśród załomów gór. Instalacje miały być rozsiane na całej długości Kuby, która wynosiła tysiąc dwieście pięćdziesiąt kilometrów.

Tania i Paz wysiedli z samochodu, by obserwować zdejmowanie pocisku z przyczepy. Ta część operacji również odbywała się przy świetle reflektorów.

- Udało się nam - stwierdził z satysfakcją Paz. - Mamy broń nuklearną. - Po tych słowach wyjął cygaro i zapalił.

- Jak długo potrwa rozmieszczanie rakiet? - zapytała ostrożnie Tania.

- Niezbyt długo - odparł lekceważąco generał. - Dwa tygodnie.

Nie był w nastroju, by zaprzętać sobie głowę trudnościami, lecz Rosjanka miała wrażenie, że operacja może zająć więcej niż dwa tygodnie. Dolina wyglądała jak zakurzony plac budowy, na którym niewiele dotąd działośo. Mimo to Paz miał rację: najtrudniejszy etap, czyli przetransportowanie broni jądrowej na Kubę bez wiedzy Amerykanów, został ukończony.

- Spójrz na to maleństwo - powiedział Paz. - Pewnego dnia może wylądować w samym środku Miami. Buch.

Tania aż zadrżała na tę myśl.

- Mam nadzieję, że nie.

- Dlaczego?

Czyżby naprawdę nie był tego świadom?

- Ta broń ma służyć do odstraszenia. Chodzi o to, by Amerykanie bali się napaść na Kubę. Jeśli choć raz zostanie użyta, będzie to znaczyło, że nie spełniła pokładanych w niej nadziei.

- Może i tak. Ale jeśli nas zaatakują, będziemy mogli zmieść z powierzchni całe amerykańskie miasta.

Tanię zaniepokoił ton nieklamanej satysfakcji, jakim generał roztoczył tę zatrważającą wizję.

- I co dobrego by z tego wynikło?

Jej pytanie go zaskoczyło.

- Przysporzyłoby to dumy narodowi kubańskiemu. - Hiszpańskie słowo dignidad Paz wypowiedział tak, jakby było święte.

Tania nie mogła uwierzyć w to, co słyszy.

- A więc byłeś gotów rozpętać wojnę atomową dla poczucia dumy?
- Oczywiście. A co może być ważniejszego?
- Na przykład przetrwanie gatunku ludzkiego! - odparła z oburzeniem.  
Machnął lekceważąco ręką.
- Przejmujesz się gatunkiem ludzkim. Ja troszczę się o swój honor.
- Niech to szlag - zachnęła się Tania. - Czyś ty oszalał?
- Paz przeniósł na nią wzrok.

- Prezydent Kennedy gotów jest użyć broni atomowej, jeśli ktoś zaatakuje Stany Zjednoczone. Sekretarz Chruszczow użyje swojej, jeśli zaatakowany zostanie Związek Radziecki. To samo dotyczy de Gaulle'a we Francji i przywódcy Wielkiej Brytanii, ktokolwiek nim jest. Gdyby któryś powiedział inaczej, pozbawiliby go urzędu w ciągu kilku godzin. - Pykał przez chwilę cygaro, a potem wydmuchnął dym. - Jeśli ja oszalałem, to oni wszyscy także.

George nie rozumiał powodu alarmu. We wtorek rano, szesnastego października Robert Kennedy wezwał jego i Dennisa Wilsona na kryzysową naradę w Białym Domu. George podejrzewał, że tematem będzie tytuł na pierwszej stronie „New York Timesa”:

Zdaniem Eisenhowera polityka zagraniczna jest słabością prezydenta

Niepisana zasada nakazywała byłym prezydentom wstrzymywać się od ataków na następców. Jednak George nie zdziwił się, że Eisenhower złamał przyjętą konwencję. Jack Kennedy wygrał wybory dzięki temu, że określił Eisenhowera mianem „słabego” i wymyślił nieistniejącą „lukę raketową”, która rzekomo dawała Sowiетom przewagę. Tamten cios poniżej pasa najwyraźniej wciąż bolał Ike'a. Teraz, gdy Kennedy stał się podatny na podobne zarzuty, eksprezydent brał rewanż - a działało się to trzy tygodnie przed wyborami uzupełniającymi.

Istniała druga, gorsza, możliwość. George najbardziej obawiał się przecieku informacji o operacji Mangusta. Ujawnienie, że prezydent i jego brat biorą udział w organizowaniu międzynarodowego terroryzmu, dostarczyłoby amunicji każdemu kandydatowi republikanów. Twierdziliby, że bracia Kennedy to przestępcy, bo dopuszczają się takich czynów, a zarazem głupcy, ponieważ nie umieli utrzymać sprawy w tajemnicy. I można byłoby zastanawiać się, jakie środki odwetowe wymyśli Chruszczow.

George widział, że pryncypał jest wściekły. Bobby nie radził sobie z maskowaniem uczuć. Jego gniew zdradzały zaciśnięte szczęki, przygarbione ramiona i zimny blask niebieskich oczu.

Lubił Bobby'ego za to, że ten okazuje emocje. Ci, którzy z nim współpracowali, często mieli okazję zaglądać w głąb jego serca. Czyniło go to łatwiejszym celem ataków, lecz zarazem zjednywało sympatię.

Weszli do sali gabinetowej; prezydent już tam był. Siedział po przeciwnej stronie długiego stołu, na którym stało kilka dużych popielniczek. Zajmował centralne miejsce, na ścianie za jego plecami widniała prezydencka pieczęć. Po obu jej stronach znajdowały się wysokie, zwieńczone łukami okna wychodzące na Ogród Różany.

Była z nim mała dziewczynka w białej sukience, najwyraźniej jego niespełna pięcioletnia córka Caroline. Podobnie jak ojciec miała krótkie jasnobrązowe włosy z przedziałkiem z boku - były zaczesane w tył i spięte prostym klipsem. Mówiła do niego poważnie, coś tłumacząc, on zaś słuchał z uwagą, jakby jej słowa były równie istotne jak wszystkie inne, które padały w tym pomieszczeniu. Siła więzi między ojcem i córką była uderzająca. Jeśli kiedykolwiek będę miał córkę, pomyślał George, postaram się jej słuchać właśnie w taki sposób, by wiedziała, że jest najważniejszą osobą na świecie.

Asystenci zajęli miejsca przy ścianie. George usiadł obok Skipa Dickersona, który pracował w biurze wiceprezydenta Lyndona Johnsona. Skip miał bardzo jasne proste włosy i bladą skórę, wyglądał prawie jak albinos. Odgarnął z oczu jasny kosmyk i odezwał się z południowym akcentem:

- Wiesz, gdzie wybuchł pożar?

- Bobby nic nie mówi - odparł George.

Do sali weszła jakaś kobieta i wyprowadziła Caroline.

- CIA ma dla nas pewne informacje - oznajmił prezydent. - Zaczynamy.

W końcu pomieszczenia przed kominkiem stał statyw z dużą monochromatyczną fotografią. Stojący obok mężczyzna przedstawił się jako biegły fotointerpretator. George nie wiedział, że istnieje taka profesja.

- Zdjęcia, które państwo zobaczą, zrobiono w niedzielę z lecącego nad Kubą na dużej wysokości samolotu U-Dwa, który należy do CIA.

Wszyscy wiedzieli o samolotach szpiegowskich CIA. Przed dwoma laty Sowieci zestrzelili taki nad Syberią i postawili pilota przed sądem za szpiegostwo.

Uczestnicy narady spojrzeli na fotografię. Była niewyraźna i ziarnista, George dostrzegł na niej jedynie drzewa, nic poza tym. Tylko ekspert był w stanie wyjaśnić, co przedstawia.

- To jest dolina na Kubie leżąca około trzydziestu kilometrów w głąb lądu od portu Mariel - podjął spec z CIA, pokazując miejsce małą wskazówką. - Dobrej jakości nowa droga

proceedzi do dużego otwartego pola. Te małe kształty rozrzucone wokół to pojazdy budowlane: koparki, spychacze i wywrotki. A tutaj... - Mężczyzna stuknął w zdjęcie dla podkreślenia swoich słów. - O tu, pośrodku, widzą państwo szereg obiektów przypominających deski leżące w szeregu. Są to skrzynie o długości dwudziestu pięciu metrów i szerokości dwustu siedemdziesięciu centymetrów. Każda ma dokładnie taki kształt i wymiary, by pomieścić radziecki pocisk balistyczny średniego zasięgu R-Dwanaście przeznaczony do przenoszenia głowic jądrowych.

George powstrzymał brzydkie słowo cisnące mu się na usta, lecz inni nie zdołali i przez chwilę sala rozbrzmiewała przekleństwami i wyrazami zdumienia.

- Czy jest pan tego pewien? - padło pytanie.

- Proszę pana, od lat zajmuję się zdjęciami ze zwiadu - odparł fotointerpretator. - Mogę dać gwarancje co do dwóch rzeczy: po pierwsze, właśnie tak wygląda pocisk atomowy, a po drugie, nic innego tak nie wygląda.

Boże, miej nas w opiece, pomyślał z przestachem George, cholerni Kubańscy mają atomówki.

- Jak, u diabła, się tam znalazły? - zapytał ktoś.

- Najwyraźniej Sowieci dostarczyli je na wyspę przy zachowaniu najwyższej tajności - odparł analityk.

- I ustawili je nam tuż pod nosem, kurwa mać - dodał autor pytania.

- Jaki jest zasięg tych pocisków? - spytał inny uczestnik narady.

- Około dwóch tysięcy kilometrów.

- A więc mogą trafić...

- W ten budynek, proszę pana.

George musiał zwalczyć w sobie impuls, który nakazywał mu wstać i natychmiast wyjść.

- Ile czasu by to zajęło?

- Przelot z Kuby do tego miejsca? Według naszych obliczeń trzynaście minut.

George mimowolnie spojrział na okna, jakby mógł zobaczyć pocisk nadlatujący nad Ogrodem Różanym.

- Ten skurczybyk Chruszczow mnie okłamał - oznajmił prezydent. - Zarzekał się, że nie rozmieszczą pocisków nuklearnych na Kubie.

- A CIA radziła nam, by mu wierzyć - dodał Robert.

- Ten wątek zdominuje pozostałą część kampanii wyborczej - zauważył ktoś. - A to jeszcze trzy tygodnie.

George z ulgą skierował myśli na konsekwencje polityczne tego wydarzenia w kraju. Możliwość wybuchu wojny atomowej była zbyt zatrważająca, żeby się nad nią zastanawiać. Przyszedł mu na myśl tytuł artykułu w „New York Timesie”. Teraz Eisenhower mógłby powiedzieć o wiele więcej! Kiedy on był prezydentem, przynajmniej nie pozwolił ZSRR zamienić Kuby w komunistyczną bazę atomową.

To była katastrofa, i to nie tylko na polu polityki zagranicznej. Republikański desant na Kongres w listopadzie oznaczałoby, że przez ostatnie dwa lata kadencji Kennedy będzie politycznie kulawy, to zaś położyłoby kres kampanii praw obywatelskich. Gdyby do Demokratów z Południa, oponujących przeciwko równości rasowej, dołączyło więcej republikanów, nie byłoby szans na uchwalenie ustawy o prawach obywatelskich. Jak długo dziadek Marii musiałby czekać na to, aż będzie mu wolno zarejestrować się na liście wyborców, nie narażając się na aresztowanie?

W polityce wszystko jest ze sobą powiązane.

Trzeba coś przedsięwziąć w kwestii tych pocisków, myślał George.

Ale nie miał pomysłu, co można zrobić.

Na szczęście miał go Jack Kennedy.

- Po pierwsze, powinniśmy nasilić obserwację Kuby z samolotów U-Dwa - oznajmił prezydent. - Musimy się dowiedzieć, ile mają pocisków i gdzie zostały umieszczone. A później, na Boga, zniszczymy je.

George momentalnie poczuł się lepiej. Nagle skala problemu się zmniejszyła. Stany Zjednoczone miały setki samolotów i tysiące bomb. Prezydent podejmie zdecydowane, agresywne działania dla ochrony Ameryki, to zaś nie zaszkodzi Partii Demokratycznej w wyborach uzupełniających.

Wszyscy spojrzeli na generała Maxwella Taylora, szefa połączonych sztabów, najwyższego po prezydencie dowódcę wojsk amerykańskich. Generał miał falujące włosy z wysokim przedziałkiem błyszczące brylantyną; widok tej czupryny nasuwał podejrzenie, że wojskowy jest próżny. Ufał mu zarówno Jack, jak i Bobby, choć George nie bardzo wiedział dlaczego.

- Po ataku lotniczym musiałaby nastąpić totalna inwazja na Kubę - stwierdził Taylor.

- Mamy na to odpowiedni plan awaryjny.

- W ciągu tygodnia po bombardowaniu możemy wysadzić na wyspie sto pięćdziesiąt tysięcy żołnierzy.

Kennedy nadal zastanawiał się nad likwidacją sowieckich rakiet.

- Czy będziemy mieli gwarancję, że zniszczymy wszystkie wyrzutnie na Kubie? -

spytał.

- Nigdy nie będzie stuprocentowej pewności, panie prezydencie - odrzekł Taylor.

George nie brał pod uwagę tej zagwozдки. Kuba miała tysiąc dwieście pięćdziesiąt kilometrów długości: lotnicy mogą nie wykryć wszystkich wyrzutni, a co dopiero mówić o ich zniszczeniu.

- Można domniemywać, że jeśli po ataku lotniczym pozostaną jakieś wyrzutnie, wróg natychmiast odpali z nich rakiety na USA - stwierdził Kennedy.

- Musimy przyjąć takie założenie, panie prezydencie - potwierdził Taylor.

Prezydent nagle pobrał i George uprzytomnił sobie, jak potworny ciężar odpowiedzialności spoczywa na jego barkach.

- Proszę powiedzieć, jakie byłyby straty, gdyby jeden z pocisków uderzył w średniej wielkości amerykańskie miasto?

George zapomniał o meandrach polityki wewnętrznej i znowu krew ścięła mu się w sercu na myśl o wojnie nuklearnej.

Generał Taylor naradzał się chwilę ze swoimi asystentami, po czym wrócił do stołu.

- Panie prezydencie, według naszych rachunków zginęłoby sześćset tysięcy ludzi.

## ROZDZIAŁ 16

Ania, matka Dimki, zapragnęła spotkać się z Niną. To go zaskoczyło. Związek z Niną sprawiał mu mnóstwo radości. Sypiał z nią przy każdej okazji, ale co miała z tym wspólnego jego matka?

Zadał jej to pytanie, a ona odpowiedziała w tonie desperacji:

- Byłeś najlepszym uczniem w szkole, ale czasem straszny z ciebie głuptas. Każdy weekend, jeśli nie wyjeżdżasz z Chruszczowem, spędzasz z tą kobietą. To jasne, że się dla ciebie liczy. Spotykasz się z nią od trzech miesięcy. Nic w tym dziwnego, że matka chce wiedzieć, jaka ona jest! Co to za pytanie?

Pomyślał, że matka ma rację. Nina nie była zwykłą dziewczyną, z którą się umawiał. Była kochanką, stała się częścią jego życia.

Kochał matkę, lecz nie we wszystkim jej słuchał: nie pochwalą, że jeździ motocyklem, że nosi dżinsy, że koleguje się z Walentinem. Jednak gotów był zrobić wszystko w granicach zdrowego rozsądku, by ją zadowolić, zaprosił więc Ninę do domu.

Z początku odmówiła.

- Nie pozwolę, żeby twoja rodzina robiła mi przegląd, jakbym była używanym autem, które zamierzasz kupić - odparła z niechęcią. - Powiedz matce, że nie chcę ślubu. Od razu przestanie się mną interesować.

- Ale tu nie chodzi o całą moją rodzinę, tylko o nią. Ojciec nie żyje, siostra jest na Kubie. A w ogóle, co masz przeciwko małżeństwu?

- Co to, oświadczasz mi się?

Dimka się stropił. Nina była atrakcyjna i seksowna, a on nigdy nie związał się tak blisko z kobietą, lecz jak dotąd w jego głowie nie powstała myśl o ożenku. Czy chce z nią przeżyć resztę życia?

Uchylił się od odpowiedzi na pytanie.

- Ja tylko usiłuję cię zrozumieć.

- Spróbowałam małżeństwa i mi nie posmakowało. Zadowolony?

Nina stale rzucała mu wyzwania, taka była jej psychika. Nie miał nic przeciwko temu, między innymi dlatego uznawał dziewczynę za tak atrakcyjną.

- Wolisz być sama - powiedział z namysłem.

- No jasne.

- Co w tym fajnego?

- Nie muszę się starać, żeby mężczyźni było dobrze, mogę robić to, co mnie sprawia przyjemność. A kiedy mam ochotę na odmianę, mogę się spotkać z tobą.

- A ja dobrze ci się wpasowuję.

Uśmiechnęła się, dostrzegając dwuznaczność tych słów.

- No właśnie.

Zamyśliła się przez chwilę, a potem dodała:

- Do licha, nie chcę sobie robić wroga z twojej matki. A więc dobrze, zgoda.

W dniu wizyty Dimka czuł się roztrzęsiony. Nina była nieprzewidywalna. Kiedy coś wyprowadziło ją z równowagi - stłuczony przez nieuwagę talerz, prawdziwa lub wyimaginowana obraza, ton nagany w głosie Dimki - jej gniew był niczym poryw północnego wichru zimą w Moskwie. Miał nadzieję, że polubi jego matkę.

Nina nigdy przedtem nie była w domu rządowym. Zaimponował jej hol wielkości małej sali balowej. Mieszkanie nie było rozległe, lecz luksusowo wyposażone w porównaniu z większością domów w Moskwie: na podłodze leżały grube dywany, a ściany pokrywała droga tapeta. Była w nim także radiola, czyli szafka z drewna orzechowego, w której kryły się gramofon i radio. Takimi przywilejami cieszyli się starsi oficerowie KGB, a wśród nich ojciec Dimki.

Ania naszykowała bogatą tacę z przekąskami, którą moskwianie przedkładali nad oficjalne obiady. Znalazły się na niej wędzona makrela, jajka gotowane na twardo z papryką na białym chlebie, małe kanapki z żytniego chleba z ogórkiem i pomidorami oraz jej największa specjalność: owalne tosty z pokrojonymi w trójkąciki kawałkami sera nadzianymi na wykałaczki sterczące niczym maleńkie maszty.

Włożyła nową sukienkę i użyła pudru. Po śmierci ojca Dimki przybrała nieco na wadze i pasowało jej to. Dimka czuł, że matka jest szczęśliwsza po śmierci męża. Może Nina ma rację co do związków małżeńskich.

- Dwadzieścia trzy lata i Dimka po raz pierwszy przyprowadził do domu dziewczynę - tak brzmiały pierwsze słowa, którymi matka zwróciła się do gościa.

Nie ucieszyło go to, gdyż wypadł na nowicjusza. Był nim i Nina już dawno się zorientowała, lecz mimo to wołał, by mu o tym nie przypominano. Jednak szybko się uczył. Nina powiedziała, że jest dobrym kochankiem, lepszym niż jej mąż, choć nie chciała zagłębiać się w szczegóły.

Ku jego zdziwieniu Nina zachowywała się w miły sposób wobec matki: nazywała ją grzecznie Anią Grigorjewną, pomagała w kuchni, pytała, gdzie dostała sukienkę.

Po kilku kieliszkach wódki Ania poczuła się swobodniej.



- Nino, mój Dimka mówi, że nie chcesz wychodzić za mąż.

- Mamo, to zbyt osobiste pytanie! - jęknął Dimka.

Jednak Nina nie miała nic przeciwko temu.

- Jestem taka jak pani, już byłam mężatką.

- Ale ja jestem stara.

Miała czterdzieści pięć lat. Powszechnie uważano, że kobiety w tym wieku są za stare na powtórne wyjście za mąż i że nie mają już pragnień, a jeśli je miały, traktowano to z pogardą. Szacowna wdowa w średnim wieku, która po raz drugi brała ślub, mówiła wszystkim, że to tylko dla towarzystwa.

- Nie wygląda pani staro, Aniu Grigorjewno - stwierdziła Nina. - Mogłaby pani być starszą siostrą Dimki.

Była to bzdura, lecz Ani się spodobała. Może kobiety zawsze lubią tego rodzaju pochlebstwa, nawet te niewiarygodne. Tak czy owak, Ania nie zaprzeczyła.

- Ale jestem za stara, by mieć dzieci.

- Ja także nie mogę ich mieć.

- Och! - Ta rewelacja wstrząsnęła Anią i zburzyła fantazje, które snuła. Na chwilę zapomniała o taktowności. - Dlaczego?

- Ze względów medycznych.

- Och.

Najwyraźniej Ania chciała się dowiedzieć więcej. Dimka już dawno zauważył, że zawiłości medyczne interesują wiele kobiet. Jednakże Nina zamilkła. Zawsze się tak zachowywała, kiedy mowa była o tej kwestii.

Rozległo się pukanie do drzwi i Dimka westchnął. Domyślał się, kto przyszedł. Otworzył drzwi wejściowe.

Jego dziadkowie mieszkali w tym samym gmachu.

- O, Dimka! - rzekł z udanym zdziwieniem Grigorij Peszkow. Był w mundurze. Zbliżał się do siedemdziesięciu czterech lat, ale nie chciał odejść na emeryturę. Zdaniem Dimki starcy niewiedzący, kiedy odejść, stanowili poważny problem w Związku Radzieckim.

Babcia Katerina zrobiła sobie fryzurę.

- Przynieśliśmy kawior - oznajmiła. Udawali, że zajrzeli do mieszkania córki i wnuka mimochodem, lecz najwyraźniej tak nie było. Dowiedzieli się o wizycie Niny i przyszli, by wy badać sytuację. Nina obawiała się, że rodzina Dimki podda ją inspekcji, i miała rację.

Dimka przedstawił dziadków. Babcia ucałowała Ninę, a dziadek trzymał jej dłoń dłużej, niż było to konieczne. Dimka z ulgą zauważył, że Nina nadal zachowuje się czarująco; do

dziadka zwracała się „towarzyszu generale”. Momentalnie wyczuła, że jest podatny na dziewczęcą urodę, i ku jego radości flirtowała z nim. Jednocześnie posyłała babci Dimki kobiece spojrzenia, mówiące „Obie wiemy, jakie te chłopcy są”.

Dziadek zapytał ją o pracę. Odparła, że niedawno dostała awans i jest teraz redaktorką kierującą wydawaniem gazetki związku pracowników przemysłu stalowego. Babcia zapytała o rodzinę, a Nina odpowiedziała, że nieczęsto widuje swoich bliskich, którzy mieszkają w jej rodzinnym mieście Perm, dwadzieścia cztery godziny podróży koleją na wschód.

Po chwili zaczęła rozmawiać z dziadkiem na jego ulubiony temat, czyli historyczne nieścisłości w filmie Siergieja Eisensteina Październik. Generał szczególną uwagę zwracał na sceny przedstawiające szturm na Pałac Zimowy, w którym brał udział.

Dimka cieszył się, że tak dobrze się rozumieją, lecz trapiło go nieprzyjemne poczucie, że nie kontroluje przebiegu wypadków. Miał wrażenie, jakby znalazł się na statku żeglującym po spokojnych wodach ku nieznanemu miejscu przeznaczenia - tymczasem wszystko przebiega pomyślnie, ale co kryje się za horyzontem?

Zadzwonił telefon i Dimka podniósł słuchawkę. Wieczorem to on zawsze odbierał połączenia, gdyż zwykle dzwoniło do niego z Kremla.

- Przed chwilą otrzymałam wiadomość z placówki KGB w Waszyngtonie - oznajmiła Natalia Smotrowa.

Poczuł się nieswojo, rozmawiając z nią w obecności Niny. To głupie, powiedział sobie, nigdy nawet nie tknął Natalii. Ale jednak o tym myślał. Czy mężczyzna powinien mieć poczucie winy z powodu swoich myśli?

- Co się stało?

- Prezydent Kennedy zamówił sobie czas telewizyjny na dziś wieczór, by przemówić do narodu amerykańskiego.

Jak zwykle miała najgorętsze informacje.

- W jakim celu?

- Nie wiadomo.

Dimka momentalnie pomyślał o Kubie. Na wyspie znajdowała się już większość pocisków oraz głowice atomowe. Przewieziono wiele ton sprzętu towarzyszącego oraz tysiące żołnierzy. Za kilka dni rakiety będą gotowe do odpalenia. Zadanie było prawie ukończone.

Jednakże do wyborów uzupełniających w Ameryce pozostały dwa tygodnie. Dimka rozważał wcześniej, czy polecieć na Kubę - istniało liniowe połączenie lotnicze z Pragi do Hawany - i dopilnować, by przez kilka kolejnych dni nadal niczego nie ujawniano. Tajemnica musiała pozostać tajemnicą jeszcze przez jakiś czas, to było bardzo ważne.

Modlił się w myślach, by niespodziewane wystąpienie Kennedy'ego w telewizji poświęcone było czemuś innemu, na przykład Berlinowi albo Wietnamowi.

- O której godzinie jest transmisja? - zapytał.

- O dziewiętnastej czasu wschodniego.

W Moskwie będzie wtedy druga w nocy.

- Od razu do niego zadzwonię. Dziękuję - powiedział, po czym przerwał połączenie i wybrał numer telefonu w rezydencji Chruszczowa.

Odebrał Iwan Tepper, szef personelu domu, który był odpowiednikiem lokaja.

- Cześć, Iwan - rzekł Dimka. - Pierwszy sekretarz jest?

- Kładzie się spać.

- Powiedz mu, żeby wciągnął spodnie. Kennedy będzie przemawiał w telewizji o drugiej w nocy naszego czasu.

- Chwileczkę, już idzie.

Dimka usłyszał stłumione słowa, a potem głos pierwszego sekretarza:

- Wykryli nasze pociski!

Dimkę ścisnęło w sercu. Pierwsze przecucia Chruszczowa zwykle bywały trafne. Tajemnica wyszła na jaw i wina spadnie na Dimkę.

- Dobry wieczór, towarzyszu pierwszy sekretarzu - powiedział i cztery osoby zgromadzone w pokoju zamilkły. - Nie wiemy jeszcze, o czym będzie mówił Kennedy.

- O raketach, o niczym innym. Zwołaj nadzwyczajne zebranie Prezydium.

- Kiedy?

- Za godzinę.

- Dobrze.

Chruszczow odłożył słuchawkę.

Dimka zadzwonił do domu swojej sekretarki.

- Cześć, Wiera. Zebranie nadzwyczajne Prezydium, dzisiaj o dziesiątej. Chruszczow jest już w drodze na Kreml.

- Zaraz zacznę dzwonić.

- Masz numery w domu?

- Tak.

- Oczywiście. Dziękuję. Za kilka minut będę w biurze - oznajmił Dimka i zakończył połączenie.

Wszystkie oczy były skierowane na niego. Słyszeli, jak mówił „Dobry wieczór, towarzyszu pierwszy sekretarzu”. Twarz dziadka promieniała dumą, babcia i mama były

zatroskane. Oczy Niny błyszczały.

- Będę musiał pojechać do pracy - rzekł niepotrzebnie.
- Stało się coś nadzwyczajnego? - chciał wiedzieć dziadek.
- Jeszcze nie wiemy.

Poklepał Dimkę po ramieniu i spojrział z rozrzewnieniem.

- Skoro mężczyźni tacy jak ty i mój syn Wołodia kierują sprawami, wiem, że sprawa rewolucji jest bezpieczna.

Dimka miał ochotę powiedzieć, że zazdrości mu tej pewności.

- Dziadku, postarasz się, by odwieziono Ninę do domu wojskowym samochodem?
- Pewnie, że tak.
- Przepraszam, że psuję spotkanie...
- Nie martw się. Twoja praca jest ważniejsza. No, idź już.

Dimka włożył płaszcz, pocałował Ninę i wyszedł.

Jadąc windą na dół, rozpaczliwie zastanawiał się, czy w jakiś sposób, pomimo wszystkich wysiłków, pozwolił, by sekret kubańskich pocisków wyszedł na jaw. Przeprowadził operację z niesłychaną ostrożnością. Postępował skutecznie, nawet brutalnie. Niczym tyran karał surowo za błędy, poniżał durniów, łamał kariery tych, którzy nie wypełnili drobiazgowo jego rozkazów. Co jeszcze można było zrobić?

Na ulicy trwały ćwiczenia przed defiladą wojskową z okazji Dnia Rewolucji przypadającego za dwa tygodnie. Po nabrzeżu Moskwy sunęły niekończące się szeregi czołgów, armat i żołnierzy. Wszystko to na nic nam się zda, jeśli wybuchnie wojna atomowa, myślał Dimka. Amerykanie o tym nie wiedzieli, lecz Związek Radziecki miał niewielkie zasoby broni nuklearnej, znacznie mniejsze niż te, którymi dysponował przeciwnik. Owszem, Sowieci mogli wyrządzić szkody Ameryce, jednak Ameryka mogła zetrzeć Związek Radziecki z powierzchni ziemi.

Droga była zablokowana przez wojsko, Kreml zaś znajdował się niespełna o dwa kilometry, toteż Dimka zostawił motocykl w domu i poszedł pieszo.

Kreml był trójkątną fortecą usadowioną na północnym brzegu rzeki. W jej obrębie mieściło się kilka pałaców, obecnie zamienionych w budynki rządowe. Dimka udał się do osiemnastowiecznego Pałacu Senatu, żółtego z białymi kolumnami, i wjechał windą na trzecie piętro. Do gabinetu Chruszczowa szło się wysokim korytarzem wyłożonym czerwonym dywanem. Pierwszy sekretarz jeszcze nie przybył. Dimka podążył dalej, do sali Prezydium. Na szczęście była czysta i utrzymana w porządku.

Prezydium Komitetu Centralnego Komunistycznej Partii Związku Radzieckiego

stanowiło w praktyce ciało zarządzające ZSRR. Jego przewodniczącym był Chruszczow, tam znajdowało się źródło władzy. Jak postąpi Chruszczow?

Dimka dotarł na miejsce pierwszy, lecz niebawem zaczęli się pojawiać członkowie Prezydium oraz ich asystenci. Nikt nie wiedział, co powie Kennedy. Jewgienij Filipow przybył ze swoim pryncypałem, ministrem obrony Rodionem Malinowskim.

- Totalna kłapa - rzekł Filipow, z trudem maskując radość. Dimka puścił to mimo uszu.

Pojawiła się Natalia z czarnowłosym, eleganckim ministrem spraw zagranicznych Andriejem Gromyką. Najwyraźniej doszła do wniosku, że późna pora narady usprawiedliwia swobodny strój; prezentowała się atrakcyjnie w ciasnych granatowych dżinsach w amerykańskim stylu oraz luźnym wełnianym swetrze z dużym wywiniętym kołnierzem.

- Dziękuję za wczesne ostrzeżenie - powiedział cicho Dimka. - Jestem naprawdę wdzięczny.

Dotknęła jego ramienia.

- Jestem po twojej stronie, wiesz o tym.

Przybył Chruszczow i otworzył naradę.

- Jestem przekonany, że telewizyjne orędzie Kennedy'ego będzie dotyczyło Kuby.

Dimka usiadł przy ścianie za Chruszczowem, przygotowany, by spełniać jego polecenia. Przywódca mógł potrzebować jakichś dokumentów, gazety albo raportu, mógł poprosić o herbatę, piwo albo kanapkę. Obok Dimki zajęło miejsca dwóch innych asystentów pierwszego sekretarza. Żaden nie znał odpowiedzi na ważne pytania. Czy Amerykanie wykryli pociski? A jeśli tak, to kto dopuścił do ujawnienia tajemnicy? Na szali leżała przyszłość świata, lecz Dimka, choć nie przynosiło mu to chwały, z równą intensywnością martwił się o własną przyszłość.

Niecierpliwość doprowadzała go do szału. Kennedy przemówi za cztery godziny. Jednak członkowie Prezydium powinni poznać treść jego wystąpienia wcześniej, w końcu od czego jest KGB?

Minister obrony Malinowski wyglądał jak podstarzały gwiazdor ekranu: miał regularne rysy twarzy i gęste siwe włosy. Utrzymywał, że USA nie dokonają inwazji na Kubę, wywiad Armii Czerwonej miał swoich ludzi na Florydzie. Odnotowano tam zgromadzenie sił, lecz jego zdaniem było ich o wiele za mało do przeprowadzenia inwazji.

- To jakaś zagrywka przed wyborami - mówił. Dimka ocenił, że jest przesadnie pewny swego.

Chruszczow również potraktował sceptycznie opinię ministra. Może to i prawda, że Kennedy nie chce wojny z Kubą, ale czy może postępować zgodnie ze swoją wolą? Pierwszy

sekretarz wierzył, że amerykański prezydent jest przynajmniej częściowo kontrolowany przez Pentagon i kapitalistów-imperialistów takich jak rodzina Rockefellerów.

- Musimy mieć gotowy plan, na wypadek gdyby Amerykanie jednak uderzyli. Nasze wojska muszą być przygotowane na każdą ewentualność. - Zarządził dziesięciominutową przerwę, by zebrani mogli rozważyć różne opcje.

Dimkę przeraziło, że Prezydium tak błyskawicznie przeszło do omawiania wojny. Nie takie były intencje! Chruszczow, postanawiając o wysłaniu pocisków na Kubę, nie przewidywał, że doprowadzi to do starcia. Dimka zastanawiał się rozpaczliwie, w jaki sposób mogło do tego dojść.

Zauważył, że Filipow oraz paru innych uczestników narady skupiło się wokół Malinowskiego; wyglądało to złowroźnie. Filipow coś notował. Po wznowieniu debaty minister obrony przedstawił projekt rozkazu dla radzieckiego dowódcy na Kubie, generała Issy Plijewa. Była w nim mowa o użyciu wszelkich dostępnych środków w celu obrony kraju.

Dimce cisnęło się na usta pytanie: „Czy wyście oszaleli?”.

Chruszczow podzielał te odczucia.

- Dalibyśmy Plijewowi uprawnienia do rozpoczęcia wojny atomowej! - zauważył gniewnie.

Na szczęście Anastas Mikojan poparł pierwszego sekretarza. Zawsze pokojowo nastawiony Mikojan przypominał aparycją małomiasteczkowego adwokata ze schludnymi wąsami i przeredzoną czupryną. Potrafił jednak wyperswadować Chruszczowowi najbardziej niewyważone plany. Teraz wystąpił przeciwko Malinowskiemu. Miał wyjątkowy autorytet, jako że odwiedził Kubę tuż po rewolucji.

- A gdybyśmy przekazali kontrolę nad pociskami w ręce Fidela Castro? - spytał Chruszczow.

Dimka niejedną raz słyszał niedorzeczności wygadywane przez szefa, zwłaszcza kiedy dochodziło do snucia hipotez, lecz ta propozycja była wyjątkowo nieodpowiedzialna, nawet jak na niego. Co on sobie myślał?

- Odradzam takie rozwiązanie, jeśli wolno - rzekł łagodnym tonem Mikojan. - Amerykanie wiedzą, że nie chcemy wojny atomowej, i jeśli będziemy trzymali arsenał w swoim ręku, będą dążyli do rozwiązania dyplomatycznego. Ale Castro nie ufają. Jeśli dowiedzą się, że to on trzyma palec na cynglu, mogą podjąć próbę zniszczenia wszystkich rakiet na Kubie za pomocą jednego potężnego uderzenia.

Chruszczow przyjął ten argument, lecz nie był gotów, żeby całkowicie wyłączyć broń atomową z gry.

- To by znaczyło, że Amerykanom wolno z powrotem przejąć Kubę! - stwierdził z oburzeniem.

Głos zabrał Aleksiej Kosygin, najbliższy sojusznik Chruszczowa, choć o dziesięć lat od niego młodszy. Wyłysiał i tylko na wierzchołku jego głowy pozostała kępka włosów, przypominająca dziób okrętu. Miał czerwoną facjatę pijaka, lecz Dimka uważał go za najinteligentniejszego człowieka na Kremlu.

- Nie powinniśmy zastanawiać się, kiedy sięgnąć po broń atomową. Jeśli do tego dojdzie, będzie to dla nas oznaczało katastrofalną klęskę. Pytanie, które powinniśmy sobie postawić, brzmi: Jakie posunięcia możemy dzisiaj wykonać, żeby sytuacja nie wymknęła się spod kontroli i żeby nie doszło do wojny atomowej?

Bogu dzięki, pomyślał Dimka, nareszcie rozległ się głos rozsądku.

- Proponuję - ciągnął Kosygin - by generałowi Plijewowi dać uprawnienia pozwalające bronić Kubę wszelkimi środkami z wyjątkiem broni atomowej.

Malinowski miał zastrzeżenia. Obawiał się, że amerykański wywiad może w jakiś sposób poznać ten rozkaz, lecz mimo to, ku wielkiej uldze Dimki, propozycja została przyjęta i wysłano wiadomość. Groźba nuklearnej zagłady wciąż wisiała nad światem, lecz przynajmniej Prezydium skupiło się na dążeniu do uniknięcia wojny, a nie jej prowadzeniu.

Do sali zajrzała Wiera Pletner i zawołała Dimkę, a potem w szerokim korytarzu wręczyła mu sześć arkuszy papieru.

- Przemówienie Kennedy'ego - rzekła cicho.

- Bogu dzięki! - Dimka spojrzał na zegarek. Była pierwsza piętnaście, amerykański prezydent miał rozpocząć wystąpienie telewizyjne za czterdzieści pięć minut. - Jak to zdobyliśmy?

- Amerykański rząd był tak uprzejmy, że dostarczył egzemplarze naszej ambasadzie w Waszyngtonie, a w Ministerstwie Spraw Zagranicznych ekspresowo je przetłumaczono.

Dimka czytał szybko, stojąc w korytarzu z Wierą.

Ten rząd zgodnie z obietnicą bardzo dokładnie śledził gromadzenie sowieckich sił zbrojnych na wyspie Kubie.

Prezydent Kennedy określił Kubę mianem wyspy, jakby to nie było prawdziwe państwo, zauważył Dimka.

W ubiegłym tygodniu jednoznaczne dowody potwierdziły fakt, że na tej zniewolonej wyspie przygotowywanych jest szereg wyrzutni ofensywnych pocisków raketowych.

Dowody, myślał Dimka, jakie dowody?

Cel istnienia tych baz może być tylko jeden: stworzenie możliwości przeprowadzenia

ataku nuklearnego przeciwko zachodniej półkuli.

Dimka czytał dalej, lecz ze złością zauważył, że Kennedy nie ujawnia, w jaki sposób uzyskał wspomniane informacje - od zdrajców czy od szpiegów, w Związku Radzieckim czy na Kubie, lub innymi metodami. Asystent Chruszczowa nadal nie wiedział, czy do kryzysu doszło z jego winy.

Kennedy dużo uwagi poświęcał temu, że Sowieci utrzymywali swoje działania w tajemnicy, i nazywał to zwodzeniem. Zdaniem Dimki miał prawo tak mówić; w podobnej sytuacji Chruszczow wysunąłby taki sam zarzut. Ale co zamierza uczynić amerykański prezydent? Dimka przerzucił kartki i dotarł do najważniejszej części.

Po pierwsze, w celu powstrzymania tych agresywnych kroków wprowadza się ścisłą kwarantannę dostaw na Kubę wszelkiego ofensywnego sprzętu wojskowego.

Ach tak, blokada, pomyślał Dimka. Takie posunięcie było niezgodne z prawem międzynarodowym, dlatego Kennedy określił je mianem kwarantanny. Zabrzmiało to tak, jakby chodziło o zwalczanie zarazy.

Wszystkie statki dowolnego rodzaju zmierzające na Kubę z jakiegokolwiek kraju lub portu będą zawracane, jeśli zostanie na nich znaleziony ładunek broni zaczepnej.

Dimka od razu zorientował się, że to zaledwie wstęp. Kwarantanna niczego nie zmieni, gdyż większość pocisków była już na miejscu i prawie gotowa do odpalenia. Kennedy musiał o tym wiedzieć, jeśli jego informacje wywiadowcze były tak dobre, na jakie wyglądały. Blokada miała wymiar symboliczny.

Jednocześnie stanowiła groźbę.

Nasz kraj przyjmuje zasadę, że każdy atak nuklearny przeprowadzony z Kuby na dowolne państwo na zachodniej półkuli będzie uważany za napaść Związku Radzieckiego na Stany Zjednoczone i spotka się z pełną reakcją odwetową na Związek Radziecki.

Dimka poczuł się tak, jakby coś zimnego i ciężkiego wpadło mu do żołądka. To była straszliwa groźba. Kennedy nie będzie dociekał i rozstrzygał, czy pocisk został wystrzelony przez Kubańczyków, czy Armię Czerwoną. Nie będzie także robił różnicy między celami. Uderzenie w Chile zostanie potraktowane tak samo jak atak na Nowy Jork.

Jeśli wystrzelony zostanie choćby jeden pocisk dostarczony pod nadzorem Dimki na Kubę, USA zamienią Związek Radziecki w radioaktywną pustynię.

Dimka ujrzał w myślach znany wszystkim obraz: atomową chmurę w kształcie grzyba. Widział, jak rośnie nad centrum Moskwy, nad ruinami Kremla, jego domu i wszystkich znajomych budynków. Spalone trupy unosiły się niczym odrażająca zawiesina na zatrutej wodzie rzeki Moskwy.



Jego wzrok przykuło następane zdanie wystąpienia:

Trudno jest rozwiązywać lub nawet omawiać tego rodzaju kwestie w klimacie zastraszenia. Hipokryzja Amerykanów dosłownie zapierała dech w piersi. Bo czym, jeśli nie zastraszeniem, była operacja Mangusta?

To właśnie ona przekonała niechętne Prezydium do tego, by wysłać pociski na Kubę. Dimka zaczynał nabierać podejrzeń, że agresja w polityce międzynarodowej obraca się przeciwko sprawcy.

Stwierdził, że przeczytał wystarczająco dużo. Wrócił do sali, podszedł do Chruszczowa i podał mu plik arkuszy.

- Telewizyjne wystąpienie Kennedy'ego - oznajmił na tyle głośno, by wszyscy usłyszeli. - Egzemplarz dostarczony z wyprzedzeniem przez Amerykanów.

Chruszczow chwycił papiery i jął czytać. W pomieszczeniu zaległa cisza. Nie było sensu się odzywać, dopóki uczestnicy narady nie znali treści dokumentu.

Przyswojenie oficjalnego, abstrakcyjnego języka zajęło pierwszemu sekretarzowi trochę czasu. Co jakiś czas parskał z pogardy lub zaskoczenia. Dimka wyczuł, że w miarę jak przewraca strony, jego niepokój ustępuje miejsca uldze.

Po kilkunastu minutach odłożył ostatnią kartkę. Nadal nic nie mówił, tylko myślał. W końcu uniósł głowę i rozejrzał się. Na jego chłopskim obliczu malował się uśmiech.

- Towarzysze - powiedział. - Uratowaliśmy Kubę!

Jacky jak zwykle wypytywała George'a o jego sprawy sercowe.

- Spotykasz się z kimś?

- Dopiero co zerwałem z Norine.

- Dopiero co? Pół roku temu.

- Och, rzeczywiście.

Przygotowała pieczonego kurczaka z okrą i pulpeciki obtaczane w mące kukurydzianej, które nazywała pieskami. To było ulubione danie George'a w czasach dzieciństwa. Teraz miał dwadzieścia siedem lat i wolał krwisty befszytk z sałatką lub makaron z sosem z małży. Poza tym zwykle jadał obiad o dwudziestej, a nie o osiemnastej. Mimo to pochłonał wszystko i nie wspomniał ani słowem o swoich zmienionych upodobaniach. Nie chciał psuć matce przyjemności z ugotowanego dla niego posiłku.

Siedziała w kuchni naprzeciwko niego, jak to miała w zwyczaju.

- Co u tej miłej dziewczyny, Marii Summers?

George powstrzymał grymas. Stracił Marię na rzecz innego mężczyzny.

- Maria ma kogoś na stałe.

- Ach tak. Któż to taki?

- Nie wiem.

Jacky prychnęła z niezadowolenia.

- Nie zapytałeś?

- Oczywiście, że tak, ale nie chciała powiedzieć.

- A to czemu?

Wzruszył ramionami.

- To żonaty facet - stwierdziła pewnym tonem Jacky.

- Mamo, nie możesz tego wiedzieć - zaproponował George, lecz straszne podejrzenie kazało mu sądzić, że matka ma rację.

- Zwykle dziewczyna chwali się chłopakiem, z którym się spotyka. Jeśli trzyma buzię na kłódkę, to ze wstydu.

- Może istnieje inny powód.

- Jaki na przykład?

George zastanawiał się przez chwilę, lecz nic nie przychodziło mu do głowy.

- To pewnie ktoś, z kim pracuje - ciągnęła Jacky. - Mam tylko nadzieję, że jej dziadek kaznodzieja się nie dowie.

George'owi nasunęła się inna możliwość.

- Może jest biały.

- Żonaty i biały, założę się. Jaki jest ten szef biura prasowego Pierre Salinger?

- Przyjemny gość po trzydziestce, nosi dobre francuskie ubrania, ciut za gruby. Jest żonaty i słyszałem, że kręci z sekretarką, więc na pewno nie ma czasu dla drugiej dziewczyny.

- Może go znaleźć, jeśli to Francuzik.

George się uśmiechnął.

- Poznałaś kiedyś jakiegoś Francuza?

- Nie, ale źle się o nich mówi.

- O Murzynach mówi się, że to leniuchy.

- Masz rację, nie powinnam tak gadać. Każdy ma własną osobowość.

- Tego mnie zawsze uczyłaś.

George nie potrafił całkowicie skupić się na rozmowie. Wiadomość o pociskach rakietowych na Kubie przez tydzień utrzymywano w tajemnicy przed Amerykanami, lecz wkrótce miała zostać ujawniona. Był to tydzień intensywnych narad w wąskim gronie

dopuszczonych do tajemnicy, ale niewiele udało się ustalić. Patrząc wstecz, George doszedł do wniosku, że początkowo nie docenił powagi sytuacji. Myślał głównie o zbliżających się wyborach uzupełniających i ich konsekwencjach dla kampanii praw obywatelskich. W pierwszej chwili nawet ucieszył się na myśl o amerykańskim odwecie. Dopiero później dotarła do niego prawda: jeśli wybuchnie wojna atomowa, prawa obywatelskie przestaną mieć znaczenie i nie będzie więcej wyborów.

Jacky zmieniła temat.

- Szef kuchni lokalu, w którym pracuję, ma śliczną córkę.

- Doprawdy?

- Cindy Bell.

- Cindy to skrócona forma od Cinderella?

- Od Lucinda. W tym roku skończyła Uniwersytet Georgetown.

Było to miasto nieopodal Waszyngtonu, lecz niewielu członków czarnej większości mieszkańców stolicy studiowało na tej prestiżowej uczelni.

- Jest biała?

- Nie.

- A więc musi być mądra.

- Bardzo.

- Katoliczka? - Uniwersytet Georgetown został założony przez jezuitów.

- Nic złego w tym, że ktoś jest katolikiem - odparła tonem sprzeciwu Jacky. Należała do Kościoła Ewangelickiego Bethel, lecz miała otwarty umysł. - Katolicy także wierzą w Pana.

- Ale nie są zwolennikami kontroli urodzin.

- Ja też nie wiem, czy jestem zwolenniczką.

- Co takiego? Nie mówisz poważnie.

- Gdybym zastosowała kontrolę urodzeń, nie miałabym ciebie.

- Ale nie chciałabyś odebrać innym kobietom prawa wyboru.

- Och, nie spieraj się. Nie chcę zakazu kontroli urodzin. - Jacky uśmiechnęła się czule. - Po prostu cieszę się, że w wieku szesnastu lat byłam nieświadomiona i lekkomyślna. - Wstała. - Zrobię kawę. - Zadzwoił dzwonek. - Zobaczysz, kto przyszedł?

George otworzył drzwi i zobaczył atrakcyjną czarną dziewczynę w wieku dwudziestu paru lat, ubraną w ciasne spodnie i luźny sweter. Zdziwiła się na jego widok.

- Och! Przepraszam - powiedziała. - Myślałam, że tu mieszka pani Jakes.

- Owszem - odparł George. - Jestem z wizytą.

- Ojciec poprosił, żebym to przekazała, kiedy będę przechodzić. - Podała mu książkę

zatytułowaną *Statek szaleńców*. George słyszał o niej, była bestsellerem. - Zdaje się, że tato pożyczył ją od pani Jakes.

- Dziękuję - rzekł George, biorąc książkę. - Może wejdiesz? - zapytał grzecznie.

Dziewczyna się zawahała.

Jacky podeszła do drzwi kuchni. Widziała stamtąd, kto stoi u drzwi, dom nie był duży.

- Cześć, Cindy. Właśnie o tobie opowiadałam. Wejdz, zaparzyłam świeżej kawy.

- Ładnie pachnie - powiedziała Cindy i przekroczyła próg.

- Możemy wypić kawę w salonie, mamó? - spytał George. - Już prawie czas na wystąpienie prezydenta.

- Przecież nie oglądasz telewizji, prawda? Usiądź i porozmawiaj z Cindy.

George otworzył drzwi saloniku.

- Nie będzie ci przeszkadzało, jeśli obejrzymy prezydenta? Ogłosi coś ważnego.

- Skąd wiesz?

- Pomagałem przy pisaniu przemówienia.

- W takim razie muszę to zobaczyć.

Weszli do pokoju. Dziadek George'a Lev Peshkov kupił i wyposażył dom dla Jacky i wnuka w 1949 roku. Później Jacky dumnie odmówiła przyjmowania czegokolwiek od Lva. Wyjątek stanowiło chesne za szkołę oraz inne koszty wykształcenia George'a. Jej skromna pensja nie mogła wystarczyć na remont, toteż salonik nie zmienił się wiele w ciągu minionych trzynastu lat. George'owi podobały się obicia z frędzelkami, orientalny dywan i chińska szafka. Wszystko wyglądało staroświecko, lecz domowo.

Najważniejszą nowinkę stanowił telewizor RCA Victor. George włączył go i czekali, aż zielony ekran się rozgrzeje.

- Twoja mama pracuje w uniwersyteckim Klubie Kobięcym z moim tatą, prawda? - zapytała Cindy.

- Owszem.

- A więc nie musiał posyłać mnie z książką, mógł zwrócić ją jutro rano w pracy.

- To prawda.

- Zostaliśmy wrobieni.

Dziewczyna zachichotała.

- Ech, a co tam.

George'owi spodobało się takie podejście.

Jacky wniosła tackę. Kiedy podawała kawę, na czarno-białym ekranie widać już było prezydenta Kennedy'ego.

„Dobry wieczór, rodacy”.

Siedział przy biurku, a przed nim na niewielkiej podstawce stały dwa mikrofony. Miał na sobie ciemny garnitur, białą koszulę i wąski krawat. Cienie na jego twarzy spowodowane przeraźliwym napięciem zostały zamaskowane telewizyjnym makijażem.

Kiedy oznajmił, że Kuba ma „możliwość przeprowadzenia ataku nuklearnego przeciwko zachodniej półkuli”, Jacky aż westchnęła, a Cindy powiedziała: „O mój Boże”.

Z bezbarwnym bostońskim akcentem prezydent czytał z arkuszy leżących na podstawce, nie wymawiając „r” w środku wyrazów. Mówił monotonicznie, prawie nudno, lecz treść słów była elektryzująca.

„Każdy z tych pocisków, mówiąc w skrócie, jest w stanie uderzyć w Waszyngton...”

Jacky krzyknęła cicho.

„...Kanał Panamski, przylądek Canaveral, miasto Meksyk...”

- I co zrobimy? - chciała wiedzieć Cindy.

- Poczekaj - odparł George. - Zaraz się dowiesz.

- Jak do tego doszło? - spytała Jacky.

- Sowieci są podstępni.

„Nie pragniemy zdominować ani podbić żadnego kraju, ani narzucić jego narodowi naszego ustroju”. Kiedy wypowiadał takie słowa, Jacky zwykle rzucała drwiące uwagi o inwazji w Zatoce Świń, lecz w tej chwili nie miała ochoty na przycinki polityczne.

Kamera zrobiła zbliżenie na twarz Kennedy’ego.

„W celu powstrzymania tych agresywnych kroków wprowadza się ścisłą kwarantannę dostaw na Kubę wszelkiego ofensywnego sprzętu wojskowego”.

- Ale po co? - zdziwiła się Jacky. - Pociski już tam są, sam tak powiedział!

„Nasz kraj przyjmuje zasadę, że każdy atak nuklearny przeprowadzony z Kuby na dowolne państwo na zachodniej półkuli będzie uważany za napaść Związku Radzieckiego na Stany Zjednoczone i spotka się z pełną reakcją odwetową na Związek Radziecki”.

- O Boże - powtórzyła Cindy. - A więc jeśli z Kuby wystrzelą chociaż jeden pocisk, dojdzie do totalnej wojny atomowej.

- Właśnie tak - potwierdził George, uczestnik narady, podczas której ukuto tę zasadę.

Gdy tylko prezydent powiedział: „Dziękuję państwu i życzę dobrej nocy”, Jacky zgasła telewizor i osaczyła George’a.

- I co z nami będzie?

Chciał ją uspokoić, dać poczucie bezpieczeństwa, ale nie mógł.

- Nie wiem, mamo.

- Ta kwarantanna niczego nie zmienia, nawet ja to rozumiem - stwierdziła Cindy.

- To tylko wstępny krok.

- Jaki będzie następny?

- Tego nie wiemy.

- George, powiedz prawdę - rzekła matka. - Czy będzie wojna?

Zawahał się. Głowice atomowe ładowane były na pokłady odrzutowców i wożone po terenie całego kraju: chciano mieć pewność, że przynajmniej część przetrwa pierwsze uderzenie Sowieców. Dopracowywano plan inwazji na Kubę, a Departament Stanu wybierał kandydatów, którzy stanęliby na czele proamerykańskiego rządu na Kubie. Dowództwo Strategicznych Sił Powietrznych podniosło poziom gotowości do trzeciego stopnia, co oznaczało gotowość do rozpoczęcia ataku atomowego w ciągu kwadransa.

Jaki był najbardziej prawdopodobny rozwój wydarzeń?

- Tak, mamó - przyznał z ciężkim sercem George. - Myślę, że będzie wojna.

Ostatecznie Prezydium wydało polecenie, by wszystkie radzieckie statki z pociskami raketowymi zmierzające na Kubę zawróciły do kraju.

Chruszczow uznał, że niewiele na tym traci, i Dimka zgodził się z jego oceną. Kuba miała już rakiety, liczba się nie liczyła. Związek Radziecki unikał ryzykownej konfrontacji i mógł się przedstawiać jako pokojowy negocjator w czasie kryzysu - a tymczasem wciąż zachowywał bazę pocisków atomowych w odległości stu pięćdziesięciu kilometrów od USA.

Wszyscy zdawali sobie sprawę, że na tym rzecz się nie zakończy. Dwa supermocarstwa wciąż nie odpowiedziały na prawdziwe pytanie: co zrobić z pociskami nuklearnymi już znajdującymi się na Kubie. Kennedy pozostawiał otwarte wszystkie opcje i zdaniem Dimki większość z nich prowadziła do wojny.

Chruszczow postanowił, że tej nocy nie uda się do domu. Wolał nie oddalać się od centrum decyzyjnego nawet na odległość paru minut jazdy samochodem; w razie wybuchu wojny musiał być na miejscu i decydować natychmiast.

Jego wspaniały gabinet sąsiadował z pokoikiem, w którym stał wygodny tapczan. Pierwszy sekretarz partii położył się na nim w ubraniu. Większość członków Prezydium postąpiła tak samo i przywódcy drugiego mocarstwa świata z niepokojem położyli się spać w swoich gabinetach.

Dimka miał do dyspozycji niewielką klitkę na tym samym piętrze. Nie było w niej kanapy, tylko twardy fotel, proste biurko i szafka na dokumenty. Właśnie zastanawiał się, które miejsce będzie najmniej niewygodne na to, by się położyć, gdy usłyszał pukanie do

drzwi i weszła Natalia. Wniosła ze sobą subtelną woń niepodobną do żadnych radzieckich perfum.

Uświadomił sobie, że postąpiła przezornie, ubierając się w luźne rzeczy; tej nocy wszyscy będą spać w ubraniach.

- Podoba mi się twój sweter.

- Nazywa się sloppy joe - odparła, używając angielskich słów.

- Co to znaczy?

- Nie wiem, ale podoba mi się brzmienie tej nazwy.

Roześmiał się.

- Właśnie kombinowałem, gdzie by tu się przespać.

- Ja też.

- Ale z drugiej strony nie jestem pewien, czy usnę.

- Bo nie wiesz, czy jeszcze się w ogóle obudzisz?

- No właśnie.

- Czuję to samo.

Dimka pomyślał przez chwilę. Nawet jeśli ma zarwać całą noc, zamartwiając się, może to zrobić w jakimś wygodnym miejscu.

- Jesteśmy w pałacu, i to pustym - rzekł i po chwili zawahania dodał: - Rozejrzemy się?

- Nie był pewny, dlaczego to powiedział. Coś takiego mogłoby paść z ust jego przyjaciela Walentina, pożeracza niewieścich serc.

- Dobrze - zgodziła się Natalia.

Dimka wziął płaszcz, by użyć go jako koca.

Przestronne sypialnie i buduary pałacu zostały w mało elegancki sposób podzielone na gabinety biurokratów i maszynistek; wszędzie rozstawiono tanie sprzęty z drewna sosnowego i plastiku. W kilku większych pomieszczeniach przeznaczonych dla znaczniejszych osób znajdowały się wyściełane fotele, lecz ani jednego mebla nadającego się do spania. Dimka zaczął się zastanawiać, w jaki sposób przygotować posłanie na podłodze. Kiedy jednak dotarli do końca skrzydła budynku i minęli korytarz zastawiony kubłami i ścierkami, natrafili na rozległą salę pełną mebli.

Była nieogrzewana, oddechy Natalii i Dimki zamieniały się w białą parę. Duże okna zaszyły szronem, połączone kinkiety na ścianach i kandelabry miały miejsca na świeczki, lecz wszystkie puste. Błede światło padało z dwóch nagich żarówek zwisających z pomalowanego sufitu.

Zebrane sprzęty wyglądały tak, jakby stały w tej sali od czasów rewolucji. Były tam

pokancerowane stoliki z cienkimi wygiętymi nogami, fotele ze zbutwiałą brokatową tapicerką, rzeźbione regały na książki z pustymi półkami. W taki sposób skarby carów zamieniono w rupiecie.

Meble gniły, ponieważ pochodziły z czasów ancien régime i wyglądałyby niestosownie w gabinetach komisarzy, jednak Dimka przypuszczał, że ich sprzedaż na aukcjach antyków na Zachodzie przyniosłaby fortunę.

Wypatrzył łóżko z czterema słupkami.

Draperyę pokrywała gruba warstwa kurzu, lecz wyblakła niebieska kapa pozostała nietknięta; był nawet materac i poduszki.

- No proszę, jest i łóżko - powiedział Dimka.

- Chyba będziemy musieli się nim podzielić - zauważyła Natalia.

Taka myśl przeszła mu przez głowę, ale ją zlekceważył. Czasami w marzeniach ładne dziewczęta mimochodem proponowały, że pójdą z nim do łóżka, lecz w prawdziwym życiu nigdy się to nie zdarzało.

Aż do dzisiaj.

Jednak czy tego chciał? Nie był mężem Niny, ale ona bez wątpienia wołałaby, żeby pozostał jej wierny, on zaś tego samego oczekiwał od niej. Z drugiej strony Niny tam nie było, a Natalia owszem.

- Sugerujesz, żebyśmy spali razem? - zapytał głupio.

- Tylko po to, by się ogrzać - odparła. - Mogę ci zaufać, prawda?

- Oczywiście. - Uznał, że wszystko jest w porządku.

Natalia uniosła starą kapę; wzbil się kurz i kichnęła. Pościel pożółkła ze starości, ale była nienaruszona.

- Mole nie lubią bawełny - zauważyła.

- Nie wiedziałem.

Zdjęła buty, a potem w dzinsach i swetrze wsunęła się w pościel. Zadrżała.

- No, nie wstydz się - zachęciła Dimkę.

Okrył ją płaszczem, a następnie rozsznurował buty i je zdjął. Było dziwnie, ale podniecająco. Natalia chciała z nim spać, lecz nie chciała się kochać.

Nina nigdy w to nie uwierzy.

Ale przecież musiał się gdzieś położyć.

Zdjął krawat i wszedł do łóżka. Pościel była zimna jak lód. Objął Natalię. Oparła głowę na jego ramieniu i przycisnęła się do niego całym ciałem. Obszerny sweter, który miała na sobie, oraz jego garnitur nie pozwalały mu wyczuć kształtów dziewczyny, lecz mimo to



dostał wzrodu. Jeśli go wyczuła, nie dała po sobie poznać.

Po kilku minutach przestali się trząść i zrobiło im się cieplej. Twarz Dimki spoczywała we włosach Natalii: były falujące, gęste i pachniały mydłem cytrynowym. Trzymał ręce na jej plecach, lecz przez grubą warstwę swetra nie wyczuwał skóry. Czuł natomiast na szyi oddech dziewczyny. Jego rytm się zmienił, stał się równy i płytki. Pocałował ją w czubek głowy, ale nie zareagowała.

Nie mógł jej rozgryźć. Była tylko asystentką, tak jak on, i wyglądała na starszą o trzy lub cztery lata, lecz jeździła dwunastoletnim, pięknie utrzymanym mercedesem. Zazwyczaj ubierała się w typowe siermiężne ciuchy, jakie widywało się na Kremlu, a mimo to pachniała drogimi importowanymi perfumami. Zachowywała się czarująco, na granicy flirtu, a potem jechała do domu i gotowała obiad mężowi.

Zwabiła Dimkę do łóżka, a później zasnęła.

Był pewien, że nie zmruży oka, leżąc z ciepłą dziewczyną w ramionach.

A jednak zmorzył go sen.

Na zewnątrz wciąż było ciemno, kiedy się obudził.

- Która godzina? - wymamrotała Natalia.

Dalej spoczywała w jego objęciach. Dimka wygiął szyję, by spojrzeć na zegarek na nadgarstku, który znajdował się za lewym ramieniem Natalii.

- Wpół do siódmej.

- A my wciąż żyjemy.

- Amerykanie nas nie zbombardowali.

- Jeszcze nie.

- Lepiej wstańmy - zaproponował Dimka i momentalnie tego pożałował. Chruszczow jeszcze się pewnie nie obudził. A nawet jeśli, to Dimka nie musiał przedwcześnie kończyć tej rozkosznej chwili. Był skołowany, ale szczęśliwy. Po kiego diabła mówił o wstawaniu?

Jednakże Natalia jeszcze nie była na to gotowa.

- Za minutkę - powiedziała.

Ucieszył się na myśl, że podoba jej się to, że leży w jego ramionach.

Potem pocałowała go w szyję.

Dotknięcie jej ust było najlżejszym z możliwych: jakby ze stareńkiej pościeli wyleciał mól i musnął skrzydłami jego skórę. Ale nie wyobraził sobie tego.

Pocałowała go.

Pogłaskała ją po włosach.

Odchyliła głowę i spjrzała na niego. Miała leciutko rozchylone usta i nieznacznie się

uśmiechała, jakby przyjemnie zaskoczona. Dimka słabo znał się na kobietach, lecz nawet on musiał dostrzec zachętę. Mimo to wciąż się wahał, czy ją pocałować.

- Dzisiaj prawdopodobnie nas zbombardują i nic nie zostanie - rzekła Natalia.

Wtedy ją pocałował.

Pocałunek eksplodował jak ogień. Ugryzła go w wargę i wsunęła mu język do ust. Dimka przetoczył się na nią i wsunął dłonie pod rozciągnięty sweter. Szybkim ruchem rozpięła stanik. Miała rozkoszne, małe jędrne piersi z dużymi sutkami, które od razu stwardniały pod dotykiem jego palców. Kiedy wziął je do ust, westchnęła z zadowolenia.

Usiłował zdjąć jej dzinsy, ale ona miała inny pomysł. Pchnęła go na plecy i gorączkowo rozpięła mu spodnie. Lękał się, że od razu dojdzie - zdarzało się to wielu mężczyznom, jak twierdziła Nina - ale tak się nie stało. Natalia wyjęła jego członka. Poglaskała go obiema dłońmi, dotknęła policzkiem i pocałowała, a potem wzięła do ust.

Czując, że za chwilę eksploduje, chciał go wyjąć, odpychając jej głowę; Nina tak wolała. Jednak Natalia wydała odgłos sprzeciwu, pocierała jego penisa i ssała mocniej, więc Dimka utracił panowanie nad sobą i wytrysnął w jej ustach.

Po dłuższej chwili go pocałowała i wyczuł swoje nasienie na wargach dziewczyny. Czy zachowała się dziwnie? Miał wrażenie, że to była zwykła czułość.

Zdjęła dzinsy i figi i zrozumiał, że teraz jego kolej, by sprawić jej rozkosz. Na szczęście Nina go tego nauczyła.

Jej owłosienie było kędzierzawe i bujne tak samo jak czupryna. Zatopił w nim twarz, pragnąc odwzajemnić rozkosz, którą mu sprawiła. Kierowała go naciskiem dłoni, delikatnie wskazując, kiedy pocałunki mają być mocniejsze lub słabsze, przesuwając jego usta w górę bądź w dół, sygnalizując, w których miejscach ma ją pieścić. Była dopiero drugą kobietą, której to robił. Zagubił się w jej cudownym smaku i zapachu.

Z Niną to była jedynie gra wstępna, jednak zaskakująco szybko Natalia krzyknęła i najpierw przycisnęła do siebie jego głowę, a potem, jakby rozkosz była zbyt wielka, odepchnęła ją.

Leżeli obok siebie i łapali oddech. To było dla Dimki całkowicie nowe doświadczenie.

- Całe to zagadnienie seksu jest bardziej złożone, niż mi się wydawało - zauważył refleksyjnie.

Ku jego zaskoczeniu Natalia roześmiała się gromko.

- Co ja takiego powiedziałem?

Zaśmiała się jeszcze mocniej i odparła:

- Och, Dimka, uwielbiam cię.

La Isabela było miastem duchów. Ten niegdyś kwitnący kubański port ogromnie ucierpiał z powodu embarga nałożonego przez Eisenhowera. Miasteczko leżało na uboczu, zewsząd otoczone słonymi bagnami i mangrowymi grzędami. Ulicami włóczyły się wychudłe kozy. Na przystani cumowała garstka nędznych łodzi rybackich oraz Aleksandrowsk, radziecki frachtowiec o wyporności pięciu tysięcy czterystu ton załadowany po brzegi głowicami atomowymi.

Jednostka miała popłynąć do Mariel. Po tym, jak prezydent Kennedy ogłosił blokadę wyspy, większość radzieckich statków zawróciła, lecz kilka znajdowało się o parę godzin od portów i otrzymały rozkaz, by jak najprędzej do nich dotrzeć.

Tania i Paz patrzyli, jak frachtowiec w strumieniach ulewy przybliżył się do betonowego nabrzeża. Działka przeciwlotnicze na pokładzie przykryto zwojami lin.

Była przerażona, nie miała pojęcia, co będzie dalej. Na przekór wszystkim usiłowaniom jej brata tajemnica wydała się przed wyborami uzupełniającymi w Ameryce i Dimkę czekały zapewne ciężkie chwile - to jednak martwiło Tanię najmniej. Było jasne, że blokada jest tylko przygrywką. Teraz Kennedy musiał pokazać siłę. A skoro on miał być silny, Kubańczycy zaś gotowi byli bronić swojego cennego dignidad, mogło się zdarzyć wszystko, od amerykańskiej inwazji po globalną zagładę atomową.

Tania i Paz zbliżyli się do siebie. Opowiadali sobie o dzieciństwie, o rodzinach i byłych miłościach. Często się dotykali i śmiali. Jednak powstrzymywali się przed romanssem. Tania czuła pokusę, ale się jej opierała. Miała wrażenie, że jest coś niestosownego w kochaniu się z mężczyzną tylko dlatego, że jest wyjątkowo przystojny. Lubiła Paza - pomimo jego dziwnego wyobrażenia o dignidad - lecz się w nim nie zakochała. Dawniej całowała się z mężczyznami, których nie kochała, zwłaszcza w czasach studenckich, ale nie uprawiała z nimi seksu. Poszła do łóżka tylko z jednym mężczyzną. Kochała go albo tak się jej wówczas wydawało. Mogła jednak przespać się z Pazem chociażby po to, by czuć na sobie czyjeś ramiona, gdy spadną bomby.

Największy portowy magazyn był spalony.

- Ciekawe, jak to się stało - powiedziała Tania, wskazując ręką.

- Podpaliła go CIA - odparł Paz. - Takich ataków terrorystycznych jest wiele.

Rozejrzała się. Zabudowania przy nabrzeżu stały puste i zaniedbane. Większość domów stanowiły parterowe drewniane budy. Na drogach gruntowych utworzyły się kałuże deszczówki. Amerykanie mogliby wysadzić całe miasto w powietrze, nie wyrządzając zauważalnej szkody reżimowi Fidela Castro.

- Dlaczego?

Paz wzruszył ramionami.

- To jest koniec półwyspu, łatwy cel. Przyplływają motorówką z Florydy, wyskakują na brzeg, coś wysadzają, zabijają jednego lub dwóch niewinnych ludzi i wracają do Ameryki. Pieprzone tchórze - zakończył po angielsku.

Tani przyszło na myśl pytanie, czy wszystkie rządy są takie same. Bracia Kennedy opowiadali o wolności i demokracji, a jednocześnie wysyłali przez morze uzbrojone bandy, by terroryzować Kubańczyków. Radzieccy komuniści głosili, że pragną wyzwolenia proletariatu, a jeśli ktoś się z nimi nie zgadzał, zamykali go w więzieniu lub mordowali, albo zsyłali na Syberię tak jak Wasilija. Czy istnieje na świecie choć jeden uczciwy reżim?

- Ruszajmy - powiedziała. - Do Hawany daleka droga, a ja muszę przekazać Dimce, że statek dotarł bezpiecznie do portu.

W Moskwie postanowiono, że Aleksandrowsk jest blisko celu i może do niego dopłynąć, lecz Dimka się niepokoił i oczekiwał potwierdzenia.

Wsiadli do buicka i wyjechali z miasteczka. Po obu stronach drogi wyrastały wysokie gęszcze trzciny cukrowej. Unosiły się nad nimi ptaki urubu, polując na tłuste polne szczury. W oddali wznosił się wysoki komin cukrowni niczym pocisk wymierzony w niebo. Płaskie tereny centralnej Kuby pocięte były jednotorowymi liniami kolejowymi przeznaczonymi do transportu trzciny z pól do przetwórni. Tam, gdzie nie było terenów uprawnych, przeważnie rosła dżungla z ognistymi drzewami, jakarandami i strzelistymi palmami królewskimi; gdzieniegdzie pleniły się twarde krzewy, które ogryzało bydło. Smukłe czaple podążające za krowami wyglądały jak wdzięczne ozdobniki burego krajobrazu.

Transport na wiejskich terenach wyspy wciąż odbywał się głównie za pomocą konnych wozów, lecz w miarę jak buick zbliżał się do Hawany, na drogach było coraz więcej wojskowych ciężarówek i autokarów, które rozwoziły rezerwistów do baz. Castro zarządził pełny alarm bojowy, naród wkroczył na wojenną ścieżkę. Widząc samochód Paza, żołnierze machali rękoma i wołali: *Patria o muerte!*, „Ojczyzna lub śmierć!”, *Cuba si, yanqui no!*

Na przedmieściu stolicy Tania zobaczyła nowy plakat, który pojawił się nocą i teraz zasłaniał każdą ścianę. Był czarno-biały, przedstawiał dłoń trzymającą karabin maszynowy i napis *A las armas*, czyli „Do broni”. Castro rozumie zasady propagandy, zauważyła Tania; różnił się tym od starców z Kremla, tworzących hasła w rodzaju „Realizujemy postanowienia dwudziestego zjazdu partii!”.

Wiadomość Tania napisała i zakodowała już wcześniej, teraz musiała tylko wpisać dokładny czas wejścia Aleksandrowska do portu. Zabrała ją do radzieckiej ambasady i

przekazała oficerowi komunikacyjnemu, którego dobrze znała.

Dimka przyjmie informację z ulgą, lecz jego siostra wciąż czuła lęk. Czy to dobrze, że na Kubę dotarł jeszcze jeden ładunek broni nuklearnej? Czy naród kubański - oraz Tania - nie byłby bezpieczniejszy, nie mając jej w ogóle?

- Masz dzisiaj inne obowiązki? - zapytała Paza, kiedy wyszli.

- Moje zadanie polega na utrzymywaniu kontaktu z tobą.

- Ale w czasie tego kryzysu...

- W czasie tego kryzysu nie ma nic ważniejszego niż dobra komunikacja z naszymi radzieckimi sojusznikami.

- Wobec tego przespacerujmy się razem po Malecón.

Pojechali nad brzeg morza i Paz zaparkował auto przed słynnym hotelem Nacional. Żołnierze ustawiali przed nim działko przeciwlotnicze.

Tania i jej towarzysz zostawili samochód i ruszyli promenadą. Północny wiatr pędził gniewne bałwany i rozbijał je o kamienny falochron. Woda eksplodowała niezliczonymi kroplami, które spadały deszczem na deptak. Było to popularne miejsce przechadzek, wydawało się jednak, że dzisiaj ludzi jest więcej niż zwykle. Ich nastrój nie był sielankowy. Stali w niewielkich grupach, od czasu do czasu coś mówili, lecz często zapadało wśród nich milczenie. Nie flirtowali, nie opowiadali sobie żartów ani nie popisywali się najlepszymi ubraniami. Wszyscy spoglądali w tę samą stronę: na północ, ku wybrzeżu Stanów Zjednoczonych. Wpatrywali *yanquis*.

Tania wraz z Pazem przez jakiś czas robili to samo. Czuła w głębi serca, że inwazja musi nastąpić. Niszczyciele będą pruły fale, okręty podwodne wynurzą się o kilka metrów od nabrzeża, z chmur wysypią się samoloty z niebiesko-białymi gwiazdkami obładowane bombami, które zrzucą na Kubańczyków i ich radzieckich przyjaciół.

Nagle Tania ujęła w dłoń rękę Paza i lekko ją ścisnęła. Spojrzała w jego głębokie brązowe oczy.

- Myślę, że czeka nas śmierć - oznajmiła spokojnie.

- Tak.

- Chcesz przedtem pójść ze mną do łóżka?

- Tak - powtórzył.

- Pojedziemy do mnie?

- Tak.

Wrócili do samochodu i dojechali do wąskiej uliczki na starym mieście w pobliżu katedry. Tania miała kwaterę na piętrze w kolonialnej kamienicy.

Jej pierwszym i jedynym kochankiem był Petr Ilojan, wykładowca uniwersytecki. Ubóstwiał jej młode ciało, wpatrywał się w piersi, gładził skórę i całował włosy, jakby nigdy nie widział czegoś tak cudownego. Paz był w tym samym wieku co Petr, lecz Tania szybko uprzytomniła sobie, że miłość z nim będzie inna. To jego ciało znajdzie się w centrum uwagi. Powoli zdjął ubranie, jakby się z nią drażnił, a potem stanął nagi, dając jej czas na podziwianie swojej nieskazitelnej skóry i łuków mięśni. Z przyjemnością przysiadła na skraju łóżka i podziwiała Paza. Ten popis musiał go podniecić, gdyż jego członek już nabrzmiał i prawie się wyprostował; nie mogła się doczekać, kiedy ujmie go w dłoń.

Petr był powolnym, delikatnym kochankiem. Potrafił doprowadzić ją do gorączki oczekiwania, a później wstrzymywać się nieznośnie długo. Kilkakrotnie zmieniał pozycje, ustawiał ją na górze, klęczał za nią, a potem kazał się dosiadać okrakiem. Paz nie był szorstki, lecz pełen wigoru. Tania poddała się radości i rozkoszy.

Później usmażyła jajecznicę i zaparzyła kawy. Paz włączył telewizor i spożywając posiłek, oglądali przemówienie Fidela Castro.

Siedział na tle kubańskiej flagi państwowej, jej szerokie niebieskie i białe pasy wyglądały w monochromatycznym telewizorze jak czarno-białe. Jak zawsze miał na sobie mundur polowy, jedyną odznaką stopnia była gwiazdka na epolecie. Tania nigdy nie widziała go w cywilnym ubraniu ani w bombastycznym galowym mundurze oblepionym medalami, który tak pokochali komunistyczni przywódcy innych krajów.

Poczuła przypływ optymizmu. Castro nie był głupcem. Wiedział, że nie zdoła pokonać Stanów Zjednoczonych w wojnie, nawet ze Związkiem Radzieckim u boku. Z pewnością wykona jakiś mocny gest pojednania, przedstawi inicjatywę, która odmieni sytuację i rozbroi tykającą bombę zegarową.

Jego głos był wysoki i piskliwy, lecz do cna przepojony emocją. Bujna broda przydawała mu aury proroka wołającego na pustyni, mimo że bez wątplenia znajdował się w studiu telewizyjnym. Czarne brwi poruszały się ekspresyjnie na wysokim czole. Gestykulował dużymi dłońmi, od czasu do czasu unosząc wskazujący palec niczym dyrektor szkoły, często zaciskał też pięść. Chwilami przytrzymywał się podłokietników fotela, jakby się bał, że wystrzeli w górę niczym rakieta. Nie było widać tekstu przemówienia ani nawet notatek. Twarz przywódcy wyrażała oburzenie, dumę, przyganę i gniew, lecz nigdy sceptycyzm. Fidel Castro żył w świecie niezachwianej pewności.

Punkt po punkcie atakował wystąpienie telewizyjne Kennedy'ego, które na żywo transmitowało kubańskie radio. Kpił z apelu amerykańskiego prezydenta do - jak to ujął - „zniewolonego narodu kubańskiego”. „Naszej suwerenności nie zawdzięczamy łasce

jankesów”, oznajmił z pogardą.

Jednakże nie wspomniał ani słowem o Związku Radzieckim ani o broni nuklearnej.

Mowa trwała półtorej godziny i nacechowana była churchillowską intensywnością: oto dzielna mała Kuba rzuca wyzwanie wielkiej bandyckiej Ameryce i nigdy się nie podda. Zapewne podziałała jak zastrzyk wzmacniający morale narodu kubańskiego, lecz poza tym niczego nie zmieniła. Tania poczuła gorzkie rozczarowanie i jeszcze większy lęk. Castro nawet nie podjął próby zapobieżenia wojnie.

Na koniec zakrzyknął: „Ojczyzna albo śmierć, zwyciężymy!”. Potem zerwał się z fotela i wybiegł, jakby nie miał chwili do stracenia w dziele ocalenia Kuby.

Tania spojrzała na Paza. W jego oczach szklily się łzy.

Pocałowała go i znów się kochali na tapczanie przed migającym telewizorem. Tym razem przebiegło to wolniej i sprawiło jej więcej przyjemności. Potraktowała go tak, jak Petr traktował kiedyś ją. Nie było trudno wielbić ciało Paza, a on z całą pewnością lubił uwielbienie. Ścisnęła jego ramiona, całowała sutki i wsuwała palce w kędzioły.

- Jesteś taki piękny - szeptała, ssąc ucho Kubańczyka.

Później, leżąc i paląc wspólnie cygaro, usłyszeli jakiś rwetes na zewnątrz. Otworzyła drzwi balkonowe. Podczas przemówienia Castro w mieście panowała cisza, teraz jednak ludzie wylegli na wąskie uliczki. Zapadła noc, niektórzy nieśli świece i pochodnie. W Tani obudził się instynkt dziennikarski.

- Muszę tam iść - rzekła do kochanka. - Dzieje się coś ważnego.

- Pójdę z tobą.

Ubrali się i wyszli z kamienicy. Na ulicach było mokro, lecz deszcz przestał padać. Ludzi było coraz więcej, panowała atmosfera karnawału. Wszyscy skandowali i wykrzykiwali jakieś hasła. Wielu śpiewało hymn państwowy La Bayamesa. W melodii nie było nic latynoskiego - przypominała raczej niemiecką piosenkę biesiadną - lecz śpiewający wierzyli w każde słowo.

*Życ w kajdanach to żyć*

*W hańbie i poniżeniu.*

*Słuchajcie, oto zabrzmiał dźwięk rogu:*

*Pospieszcie, o dzielni, do broni!*

Krocząc z Pazem wśród tłumu uliczkami starego miasta, Tania zauważyła, że wielu mężczyzn rzeczywiście miało ze sobą broń. A ponieważ nie mieli karabinów, zabrali narzędzia ogrodnicze i maczety, a także noże i tasaki kuchenne, które trzymali za paskami, jakby zamierzali stoczyć z Amerykanami walkę na promenadzie Malecón.

Tania przypomniała sobie, że jedna amerykańska latająca forteca Boeing B-52 przenosi ponad trzydzieści jeden ton bomb.

Biedni głupcy, na co zdadzą się wasze noże? - pomyślała z goryczą.



## ROZDZIAŁ 17

George nigdy nie czuł bliższej obecności śmierci niż w środę, dwudziestego czwartego października podczas narady w Sali Gabinetowej Białego Domu.

Spotkanie rozpoczęło się o dziesiątej, George był przekonany, że wojna wybuchnie przed jedenastą.

Formalnie rzecz biorąc, grono zebranych osób nazywało się komisją wykonawczą Rady Bezpieczeństwa Narodowego, w skrócie ExComm. W praktyce prezydent wezwał wszystkich, którzy jego zdaniem mogli dopomóc w rozwiązaniu kryzysu. Był wśród nich jego brat Robert.

Doradcy zajęli miejsca na skórzanych krzesłach rozstawionych wokół długiego stołu. Ich asystenci siedzieli na podobnych, lecz przy ścianach. Napięcie panujące w pomieszczeniu dławiło oddech.

Dowództwo Powietrznych Sił Strategicznych zmieniło poziom zagrożenia na DEFCON-2, czyli tuż poniżej bezpośredniego zagrożenia wojną. Wszystkie bombowce czekały w gotowości. Wiele z nich bez ustanku krążyło w powietrzu z głowicami atomowymi na pokładach; patrolowały przestrzeń powietrzną nad Kanadą, Grenlandią i Turcją, najbliżej granic ZSRR, jak to było możliwe. Wszystkie miały przydzielone cele uderzenia na terenie tego kraju.

W razie wybuchu wojny Amerykanie rozpętałiby atomową burzę, która zrównałaby z ziemią wszystkie większe miasta Związku Radzieckiego. Miliony ludzi poniosłyby śmierć, Rosja nie podźwignęłaby się przez setki lat.

Sowieci zapewne planowali coś podobnego wobec Stanów Zjednoczonych.

O dziesiątej zaczęto egzekwować blokadę. Każda radziecka jednostka w promieniu pięciuset mil od wybrzeży Kuby stała się dozwolonym łupem. Spodziewano się, że pierwszym okrętem, który przechwyci sowiecki statek z pociskami atomowymi, będzie USS Essex. Miało to nastąpić między dziesiątą trzydzieści a jedenastą. O jedenastej wszyscy uczestnicy narady w Białym Domu mogli być martwi.

Dyrektor CIA John McCone zaczął od dokonania przeglądu wszystkich sowieckich jednostek zmierzających na Kubę. Jego monotony głos jeszcze bardziej spotęgował napięcie, dokładając do niego zniecierpliwienie. Które sowieckie statki marynarka powinna przechwycić w pierwszej kolejności? Co nastąpi później? Czy Sowieci pozwolą na inspekcję swoich jednostek? Czy otworzą ogień? Jak powinna wtedy zareagować marynarka?

Uczestnicy narady usiłovali odgadnąć, co myślą o tym wszystkim w Moskwie, kiedy asystent McCone'a przyniósł mu notatkę. Dyrektor CIA był wytwornym szpakowatym mężczyzną w wieku sześćdziesięciu lat. Był także biznesmenem. George podejrzewał, że zawodowi funkcjonariusze CIA nie mówili swojemu szefowi o wszystkim, czym się zajmowali.

McCone zerknął na kartkę przez okulary bezoprawkowe i zrobił zdziwioną minę.

- Panie prezydencie - rzekł po chwili. - Właśnie otrzymaliśmy z Biura Wywiadu Morskiego informację, że wszystkie sześć radzieckich statków znajdujących się obecnie na kubańskich wodach terytorialnych zatrzymało się albo zawróciło.

Co to znaczy, u diabła? - zastanawiał się George.

Sekretarz stanu Dean Rusk, łysy mężczyzna o nosie mopsa, zapytał:

- Na kubańskich wodach, to znaczy gdzie?

Tego McCone nie wiedział.

Robert McNamara, prezes Forda, którego Kennedy mianował sekretarzem obrony, odparł:

- Większość z tych jednostek odpływa z Kuby i kieruje się do Związku Radzieckiego...

- Może byśmy to sprawdzili? - przerwał mu z irytacją prezydent. - Mówimy o statkach przybywających na Kubę czy o tych, które odpływają?

- Dowiem się - odparł McCone i wyszedł.

Napięcie wzrosło o jeszcze jedną kreskę.

George zawsze sobie wyobrażał, że kryzysowe narady w Białym Domu cechuje atmosfera mocy nadprzyrodzonej. Myślał, że wszyscy uczestnicy dostarczają prezydentowi dokładnych informacji, on zaś je roztropnie ocenia. To jednak był największy kryzys ze wszystkich, a w czasie narady panowały totalny zamęt i dezorientacja. Budziło to w George'u jeszcze większą obawę.

Wrócił McCone.

- Wszystkie statki płyną na zachód, w kierunku Kuby - oznajmił, po czym wymienił ich nazwy.

Głos zabrał McNamara. Miał czterdzieści sześć lat i nadano mu przydomek genialnego dziecka, po tym jak pod jego kierownictwem firma Ford Motor Company, dotąd przynosząca straty, odnotowała zysk. Prezydent Kennedy ufał mu najbardziej spośród zgromadzonych poza swoim bratem Bobbym. McNamara z pamięci wymienił położenie wszystkich sześciu jednostek. Większość znajdowała się setki mil morskich od Kuby.

- John, co nasi z tym robią? - zwrócił się zniecierpliwiony prezydent do szefa CIA.

- Jednostki albo się zatrzymały, albo zawróciły i popłynęły w przeciwnym kierunku - odparł McCone.

- Czy to są wszystkie sowieckie statki?

- Tylko te wybrane. W sumie naliczyliśmy ich dwadzieścia cztery.

McNamara ponownie się wtrącił i podał kluczową informację:

- Wygląda na to, że te znalazły się najbliżej obszaru kwarantanny.

- Sowieci wycofują się przed linię graniczną - szepnął George do Skipa Dickersona.

- Obyś miał rację - mruknął Skip.

- Nie zamierzamy przejmować żadnego z tych statków, prawda? - indagował prezydent.

- Nie zamierzamy przejmować żadnych statków, które nie będą dalej płynąć w kierunku Kuby - powiedział McNamara.

Generał Maxwell Taylor, szef połączonych sztabów, podniósł słuchawkę telefonu.

- Połączcie mnie z George'em Andersonem. - Admirał Anderson był szefem operacji morskich i dowodził blokadą. Po kilku sekundach Taylor zaczął mówić cichym głosem.

Nastąpiła pauza. Wszyscy usiłowali przyswoić nowe informacje i odgadnąć, co znaczą. Czyżby Sowieci się ugięli?

- Musimy to najpierw sprawdzić - oznajmił prezydent. - Jak się dowiedzieć, czy sześć statków zmienia kierunek jednocześnie? Panie generale, co flota mówi o tym doniesieniu?

Taylor uniósł głowę.

- Statki z całą pewnością zawracają.

- Bądźcie w kontakcie z Essexem i każcie im poczekać godzinę. Musimy działać szybko, bo mają przechwycić wrogą jednostkę między dziesiątą trzydzieści a jedenastą.

Wszyscy jednocześnie spojrzeli na zegarki.

Była dziesiąta trzydzieści dwie.

George zerknął na twarz Bobby'ego. Prokurator generalny wyglądał jak skazaniec, któremu odroczone egzekucję.

Bezpośrednie zagrożenie zostało zażegnane, lecz George w ciągu kilku minut uświadomił sobie, że kryzysu nie rozwiązano. Wprawdzie Sowieci wycofywali się, chcąc uniknąć konfrontacji morskiej, ale ich pociski z głowicami atomowymi wciąż znajdowały się na Kubie. Zegar cofnięto o godzinę, lecz on wciąż tykał.

Uczestnicy narady zaczęli omawiać kwestię Niemiec. Obawiali się, że w odwecie za blokadę Kuby Chruszczow może ogłosić blokadę Berlina Zachodniego. Na to również nic nie można było poradzić.

Zamknięto posiedzenie. George nie był potrzebny prokuratorowi generalnemu na

następnym spotkaniu, wyszedł więc ze Skipem Dickersonem.

- Jak się miewa twoja koleżanka Maria? - zapytał Skip.

- Chyba dobrze.

- Odwiedziłem wczoraj biuro prasowe. Była na zwolnieniu lekarskim.

Serce George'a uderzyło szybciej. Porzucił już wszelką nadzieję na romans z Marią, lecz na wieść o jej chorobie przeraził się.

- Nie wiedziałem - odparł, marszcząc czoło.

- To nie moja sprawa, ale fajna z niej dziewczyna i pomyślałem, że może powinienesz wy badać, co się dzieje.

George ścisnął go lekko za ramię.

- Dzięki, że dałeś mi znać. Dobry z ciebie kumpel.

Członkowie personelu Białego Domu nie brali zwolnień chorobowych w samym środku największego kryzysu zimnej wojny, chyba że byli poważnie chorzy. Niepokój George'a się pogłębił.

Czym prędzej poszedł do biura prasowego. Krzesło Marii stało puste.

- Maria nie czuje się dobrze - powiedziała Nelly Fordham, miła kobieta pracująca przy sąsiednim biurku.

- Słyszałem. Mówiła, co jej dolega?

- Nie.

George ściągnął brwi.

- Może udałoby mi się urwać na godzinę i zobaczyć ją.

- Byłoby dobrze - odparła Nelly. - Ja też się martwię.

Zerknął na zegarek. Był raczej pewny, że Bobby nie będzie go potrzebował przed lunchem.

- Chyba dam radę. Maria mieszka w Georgetown, prawda?

- Tak, ale wyprowadziła się z tamtego mieszkania.

- Dlaczego?

- Powiedziała, że współlokatorzy za bardzo wściubiają nosy w nie swoje sprawy.

Brzmiało to sensownie. Koleżanki zapewne gotowe były wiele zrobić, by poznać tożsamość tajemniczego ukochanego. Marii zależało, by pozostała nieznaną, więc się wyprowadziła. Świadczyło to o tym, że bardzo jej na nim zależy.

Nelly przerzucała wizytówki na kółku.

- Zapiszę ci adres.

- Dzięki.

Podawała mu kartkę papieru.

- Ty jesteś Georgy Jakes, prawda?

- Tak - potwierdził z uśmiechem. - Ale od dawna nikt nie powiedział do mnie „Georgy”.

- Znałam kiedyś senatora Peshkova.

Wymieniła nazwisko Grega, to zaś niemal na pewno oznaczało, że wiedziała, iż jest ojcem George'a.

- Naprawdę? Gdzie go poznałaś?

- Spotykaliśmy się, jeśli chcesz znać prawdę. Ale nic z tego nie wyszło. Jak on się miewa?

- Całkiem dobrze. Raz w miesiącu spotykamy się na lunchu.

- Pewnie się nie ożenił.

- Jeszcze nie.

- A chyba jest po czterdziestce.

- Zdaje się, że w jego życiu jest jakaś kobieta.

- Och, nie bój się, nie poluję na niego. Podjęłam tę decyzję dawno temu. Mimo to życzę mu jak najlepiej.

- Przekażę Gregowi twoje słowa. A teraz złapię taksówkę i pojadę zobaczyć, co z Marią.

- Dziękuję, Georgy... Powinnam powiedzieć: George.

Wybiegł z budynku. Nelly była atrakcyjną kobietą o dobrym sercu. Czemu Greg się z nią nie ożenił? Może pasował mu stan kawalerski.

- Pracuje pan w Białym Domu? - zapytał taksówkarz.

- Jestem prawnikiem, pracuję z Bobbym Kennedym.

- Coś takiego! - Kierowca nie ukrywał zdziwienia faktem, że Murzyn jest prawnikiem i pracuje w tak ważnym urzędzie. - Powiedz mu pan, że powinniśmy zasypać Kubę bombami. Właśnie tak. Rozpirzyć w drobny mak.

- Wie pan, ile wynosi długość wyspy od końca do końca?

- A co to, zgadywanka telewizyjna? - odrzekł z urazą taksówkarz.

George wzruszył ramionami i nic więcej nie powiedział. Od pewnego czasu unikał rozmów o polityce z osobami z zewnątrz. Zwykle mieli gotowe i łatwe odpowiedzi na wszystko: odesłać Meksykanów do domu, Aniołów Piekieł wziąć w kamasze, wykastrować cioty. A im większa była ich ignorancja, tym radykalniejsze wygłaszali opinie.

Georgetown leżało o kilka minut jazdy od centrum Waszyngtonu, lecz droga się

George'owi dłużyła. Wyobrażał sobie, że Maria leży na łóżku bliska śmierci albo w śpiączce.

Okazało się, że mieszka obecnie w urokliwym starym domu podzielonym na kwatery typu studio. Nie podeszła do drzwi, lecz otworzyła je czarna dziewczyna wyglądająca na studentkę; wskazała pokój Marii.

Sama Maria pokazała się na progu ubrana w szlafrok. Wyglądała na chorą, jej twarz była blada, jakby odpłynęła z niej krew, i wyrażała przygnębienie. Nie zaprosiła George'a do środka, ale odeszła, zostawiając drzwi otwarte, więc wszedł. Odetchnął z ulgą, widząc, że stan jej zdrowia pozwala się poruszać. Obawiał się, że jest gorzej.

Mieszkanko było maleńkie, składało się z pokoiku i aneksu kuchennego. Domyślił się, że łazienka była wspólna.

Spojrzał na dziewczynę. Była nie tylko chora, lecz także przybita. Ten widok sprawił mu ból. Zaprzagnął wziąć ją w ramiona, wiedział jednak, że nie będzie to dobrze przyjęte.

- Mario, co się stało? Okropnie wyglądasz!

- Kobięce sprawy, i tyle.

Wyrażeniem tym zwykło się określać miesiączkę, ale George był prawie pewny, że kryje się w tym coś więcej.

- Zaparzę ci kawy, a może herbaty? - zaproponował, zdejmując płaszcz.

- Nie, dziękuję.

Postanowił nie posłuchać odmowy; chciał pokazać, że mu na niej zależy. Nagle zerknął na krzesło, na którym zamierzała usiąść. Było poplamione krwią.

Maria zauważyła to w tej samej chwili i zarumieniła się.

- O cholera.

Niewiele wiedział o ciele kobiety. Przyszło mu na myśl kilka możliwości.

- Miałaś poronienie?

- Nie - zaprzeczyła beznamiętnym tonem. Wahala się.

George czekał cierpliwie.

- To była skrobanka - rzekła w końcu.

- Biedactwo. - George chwycił ściereczkę kuchenną, złożył ją i umieścił na płamie. - Usiądź na tym i odpocznij. - Na półce nad lodówką wypatrzył paczkę herbaty jaśminowej. Domyślił się, że Maria ją lubi. Zagrzał wody i milczał, dopóki napój nie był gotowy.

Przepisy aborcyjne różniły się w poszczególnych stanach. W dystrykcie stołecznym dopuszczały aborcję, gdy miała na celu ochronę zdrowia matki. Wielu lekarzy interpretowało je swobodnie tak, by chronić zdrowie kobiety w sensie ogólnym. W praktyce oznaczało to, że każdy, kto miał pieniądze, mógł znaleźć lekarza gotowego dokonać zabiegu.

Maria wzięła kubek, chociaż wcześniej mówiła, że nie chce herbaty.

Usiadł naprzeciwko niej.

- Twój tajemniczy kochanek. Domyślam się, że to on...

Skinęła głową.

- Dzięki za herbatę. Przypuszczam, że trzecia wojna światowa jeszcze nie wybuchła, bo w przeciwnym razie by cię tu nie było.

- Sowieci zawrócili swoje statki, więc groźba starcia na morzu się oddaliła. Jednak Kubańczycy nadal mają rakiety z głowicami nuklearnymi wymierzone w nasz kraj.

Maria była zbyt załamana, żeby się tym przejmować.

- Nie chciał się z tobą ożenić - stwierdził George.

- Ano nie.

- Dlatego, że już jest żonaty?

Pominięła to milczeniem.

- Znalazł ci lekarza i zapłacił rachunek.

Skinęła głową.

Zdaniem George'a był to postępek godny pogardy, lecz nie powiedział tego. Maria zapewne by go wyprosiła za obrazę ukochanego. Powściągając gniew, zapytał:

- Gdzie on teraz jest?

- Zadzwoń. - Spojrzała na zegar. - Już niebawem.

George postanowił nie zadawać więcej pytań. Niegrzecznie byłoby ją indagować, a strofowanie za to, że postąpiła głupio, było zbyt bezcelne. Czego potrzebowała? Postanowił się tego dowiedzieć.

- Potrzeba ci czegoś? Mogę coś dla ciebie zrobić?

Rozplakała się.

- Ledwie cię znam - wykrztusiła między jednym a drugim szlochem. - Jak to możliwe, że jesteś moim jedynym przyjacielem w mieście?

George znał odpowiedź na to pytanie. Miała sekret, którym nie chciała się dzielić. To utrudniało innym zbliżenie się do niej.

- Szczęściara ze mnie, że jesteś taki dobry.

Jej wdzięczność wprawiła George'a w zakłopotanie.

- Boli cię? - spytał.

- Jak diabli.

- Zadzwoń po lekarza?

- Nie jest aż tak źle. Uprzedzali mnie, że tak będzie.

- Masz aspirynę?
- Nie.
- Może ci kupić?
- Zrobiłbyś to? Nie lubię wysyłać kogoś po zakupy.
- W porządku, to sytuacja nadzwyczajna.
- Apteka jest na rogu.

George odstawił kubek i szybko włożył płaszcz.

- Mogę cię poprosić o jeszcze większą przysługę?
  - Jasne.
  - Potrzebuję wkładek higienicznych. Kupiłbyś mi paczkę?
- Zawahał się. Mężczyzna miałby kupować podpaski?
- Nie, za dużo wymagam - powiedziała. - To nieważne.
  - Do licha, przecież mnie nie aresztują.
  - Marki Kotex.

George skinął głową.

- Niedługo wrócę.

Odwaga nie wystarczyła na długo. Dotarwszy do apteki, poczuł paraliżujące zawstydzenie. Powiedział sobie, że musi wziąć się w garść. Niewygodna sytuacja, lecz jego rówieśnicy narażali życie w dżungli Wietnamu. Czy to, co ma zrobić, naprawdę jest aż takie straszne?

W sklepie były trzy regały samoobsługowe oraz lada. Aspiryny nie wystawiono na półkach, trzeba było kupić ją przy ladzie.

George z przerażeniem zorientował się, że z kobiecymi artykułami higienicznymi jest tak samo.

Wziął tekturowy pojemnik z sześcioma butelkami coli. Maria krwawiła, więc potrzebne jej były płyny. Nie mógł jednak długo odkładać chwili, która napawała go lękiem.

Zbliżył się do lady.

Farmaceutką była pani w średnim wieku. Ale ze mnie farciarz, pomyślał George.

Postawił napoje na ladzie.

- Poproszę aspirynę.
- Jakiej wielkości opakowanie? Mamy małe, średnie i duże butelki.

George się stropił. A jeśli ekspedientka zapyta, w jakim rozmiarze mają być wkładki?

- Mm, chyba duże.

Farmaceutka postawiła na ladzie dużą buteleczkę aspiryny.



- Coś jeszcze?

Młoda kobieta z zakupami podeszła i stanęła za George'em z wiklinowym koszyczkiem z kosmetykami. Z pewnością usłyszy wymianę zdań.

- Coś jeszcze? - powtórzyła farmaceutka.

No, okaż się mężczyzną, George.

- Paczkę wkładek higienicznych. Kotex.

Stojąca za nim młoda kobieta stłumiła śmiech.

Farmaceutka spojrzała na niego nad okularami.

- Młody człowieku, założyłeś się z kimś?

- Nie, proszę pani! - odparł zirytowany. - To dla dziewczyny, która jest chora i nie może przyjść do sklepu.

Zlustrowała go od góry do dołu. Zobaczyła ciemnoszary garnitur, białą koszulę, gładki krawat i złożoną chusteczkę w kieszonce. George był rad, że nie wygląda jak student żartowniś.

- Dobrze, wierzę panu - powiedziała kobieta, po czym sięgnęła pod ladę i wyjęła opakowanie.

George spojrział z przestachem. Nazwa Kotex wydrukowana była na boku dużymi literami. Miałby nieść coś takiego ulicą?

Farmaceutka jakby czytała w jego myślach.

- Pewnie chce pan, żebym to zapakowała.

- Tak, poproszę.

Szybkimi wprawnymi ruchami owinęła paczkę w brązowy papier i włożyła do torby wraz z aspiryną.

George uregulował należność.

Farmaceutka zmierzyła go ostrym spojrzeniem, a później wyraz jej twarzy złagodniał.

- Przepraszam, że panu nie wierzyłam. Zdaje się, że jest pan dobry dla jakiejś dziewczyny.

- Dziękuję - odrzekł George i szybko wyszedł z apteki.

Pocił się mimo październikowego chłodu.

Wrócił do Marii. Zażyła trzy tabletki aspiryny, a później skierowała się do łazienki z owiniętą paczką.

George wstawił colę do lodówki i rozejrzał się. Na półce stały podręczniki prawnicze, pod nią zaś znajdowało się biurko z oprawionymi w ramki zdjęciami. Jedno z nich przedstawiało, jak sądził, rodziców oraz duchownego w starszym wieku, zapewne jej zacnego

dziadka. Na drugim widać było Marię w tozde podczas ceremonii wręczenia dyplomów. Stała tam także fotografia prezydenta Kennedy'ego. Maria miała telewizor, radio i gramofon. Przejrzał płyty. Podobała jej się najnowsza muzyka rozrywkowa: Crystals, Little Eva, Booker T. and the M.G.'s. Na nocnym stoliku obok łóżka spoczywała bestsellerowa powieść *Statek szaleńców*.

Nagle zadzwonił telefon.

George podniósł słuchawkę.

- To telefon Marii.

- Mogę z nią mówić? - powiedział mężczyzna.

George miał wrażenie, że zna jego głos, ale nie umiał połączyć go z osobą.

- Wyszła - odparł. - Kto... Chwileczkę, właśnie wróciła.

Maria prawie wyrwała mu słuchawkę.

- Halo? O, cześć... To znajomy, kupił mi aspirynę... Nie tak źle, poradzę sobie...

- Wyjdę, nie będę przeszkadzał - powiedział George.

Bardzo źle oceniał kochanka Marii, uważał go za gnojka. Nawet jeśli był żonaty, powinien jej towarzyszyć. Przez niego zaszła w ciążę, więc powinien się nią zaopiekować po skrobance.

Ten głos... George już go słyszał. Czy naprawdę natknął się na kochanka Marii? Nie byłoby w tym nic dziwnego, gdyby okazał się nim kolega z jej pracy. George tak właśnie podejrzewał. Ale to nie był głos Pierre'a Salingera.

W holu pojawiła się dziewczyna, która wpuściła George'a. Uśmiechnęła się do niego, widząc, że stoi niczym niegrzeczny uczeń.

- Przeskrobałeś coś w szkole? - zapytała.

- Chciałbym - odparł.

Roześmiała się i poszła dalej.

Maria otworzyła drzwi.

- Muszę już wracać do pracy - oznajmił George.

- Wiem. Przyszedłeś mnie odwiedzić w samym środku kryzysu kubańskiego, nigdy tego nie zapomnę.

Po rozmowie z ukochanym była wyraźnie szczęśliwsza.

Nagle George doznał olśnienia.

- Ten głos w telefonie!

- Rozpoznałeś go?

George nie mógł wyjść ze zdumienia.

- Masz romans z Dave'em Powersem?

Roześmiała się głośno, a on się zawstydził.

- Och, proszę!

Od razu sobie uświadomił, jakie to było nieprawdopodobne. Dave, osobisty asystent prezydenta, był przeciętnie wyglądającym mężczyzną około pięćdziesiątki i wciąż nosił kapelusz. Było raczej wykluczone, by zdobył serce pięknej i pełnej życia młodej kobiety.

Po chwili George uprzytomnił sobie, z kim Maria ma romans.

- O Boże - wykrztusił ze zdumieniem.

Maria milczała.

- Sypiasz z prezydentem Kennedym.

- Nie mów o tym nikomu! - rzekła błagalnie. - Jeśli to zrobisz, on mnie zostawi.

Przyrzeknij, proszę cię!

- Przyrzekam - powiedział George.

Po raz pierwszy w dorosłym życiu Dimka zachował się w sposób niegodziwy i godny potępienia.

Nina nie była jego żoną, lecz spodziewała się po nim wierności, on zaś zakładał, że jest wierna jemu; nie miał zatem najmniejszych wątpliwości, że ją zdradził, spędzając noc z Natalią.

Kiedy owa noc się zaczynała, uważał, że może być ostatnią w jego życiu. Tak się jednak nie stało i wymówka była marna.

Nie odbył stosunku z Natalią, lecz to również go nie usprawiedliwiało. To, co robili, było jeszcze bardziej intymne i czułe niż zwykły seks. Miał okropne poczucie winy. Do tej pory nigdy nie uważał się za niegodnego szacunku i nieuczciwego.

Jego przyjaciel Walentin, gdyby znalazł się w takiej sytuacji, zapewne romansowałby dalej z obiema kobietami, dopóki rzecz nie wyszłaby na jaw. Dimka nawet nie brał tego pod uwagę. Czuł się bardzo źle po jednej nocy, nie mógłby postępować tak stale. Skończyłoby się tym, że rzuciłby się do rzeki Moskwy i utopił.

Musi albo przyznać się Ninie, albo z nią zerwać, a może zrobić jedno i drugie. Nie może żyć w tak piramidalnym fałszu. Uzmysłowił sobie, że się boi. To było idiotyczne. Nazywał się Dmitrij Iljicz Dworkin i był siepaczem samego Chruszczowa, niektórzy go nienawidzili, u wielu budził strach. Jak może bać się dziewczyny? A jednak się bał.

A co z Natalią?

Miał do niej setki pytań. Chciał się dowiedzieć, co czuje do męża. Dimka nic o nim nie

wiedział poza tym, że ma na imię Nik. Czy zamierzają się rozwieść? A jeśli tak, to czy rozpad ich małżeństwa ma coś wspólnego z nim, Dimką? A co ważniejsze, czy Natalia widziała dla niego jakąś rolę w swojej przyszłości?

Nadal wpadali na siebie na Kremlu, lecz nie było szans, że zostaną sam na sam. We wtorek odbyły się trzy posiedzenia Prezydium - rano, po południu i wieczorem - a w czasie przerw na posiłki asystenci mieli jeszcze więcej do roboty. Ilekroć Dimka spojrzał na Natalię, wydawała mu się jeszcze cudowniejsza. On, tak samo jak inni mężczyźni, dalej miał na sobie garnitur, w którym spał, ale ona przebrała się w ciemnoniebieską sukienkę i żakiet, który sprawiał, że budziła respekt i jednocześnie pożądanie. Dimka nie potrafił się skupić w czasie narad, mimo że ich celem było zapobieżenie trzeciej wojnie światowej. Spoglądał na Natalię, przypominał sobie, co razem robili, a potem z zakłopotaniem odwracał głowę, lecz po chwili znów się na nią gapił.

Jednak tempo pracy było tak intensywne, że nie zdołał z nią zamienić nawet kilku słów.

We wtorek późnym wieczorem Chruszczow pojechał na noc do domu i wszyscy inni postąpili tak samo. W środę z samego rana Dimka przekazał mu radosną wiadomość, uzyskaną od siostry prosto z Kuby, że statek Aleksandrowsk dobił bezpiecznie do przystani La Isabela. Reszta dnia upłynęła w takim samym natłoku zajęć. Stale wpadał na Natalię, lecz nie mieli ani chwili dla siebie.

Jednakże Dimka zaczął stawiać sobie pytania. Co dla niego oznaczała noc z poniedziałku na wtorek? Czego pragnie w przyszłości? Jeśli któreś z nich będzie za tydzień wśród żywych, to czy chce spędzić resztę życia z Natalią, czy z Niną, a może z żadną z nich?

W czwartek rozpaczliwie łaknął odpowiedzi. Ogarnęło go irracjonalne poczucie, że nie może zginąć w wojnie atomowej, dopóki nie rozwiąże swojego dylematu.

Na wieczór był umówiony z Niną, mieli iść do kina z Walentinem i Anną. Jeśli zdoła wyrwać się z Kremla i pójść na randkę, co powie Ninie?

Prezydium rozpoczynało obrady normalnie o dziesiątej rano, toteż asystenci spotkali się na nieoficjalnej naradzie o ósmej w Sali Oniłowej. Dimka miał przedstawić kolegom nową propozycję Chruszczowa. Liczył także na rozmowę z Natalią. Chciał do niej podejść, gdy zjawił się Jewgienij Filipow z porannymi wydaniem europejskich gazet.

- Pierwsze strony wyglądają strasznie - oznajmił, udając niepokój i żal, lecz Dimka wiedział, że się cieszy. - Zawrócenie naszych statków jest przedstawiane jako upokarzający odwrót Związku Radzieckiego!

Dimka spojrzał na gazety, które Filipow rozłożył na tanich nowoczesnych stołach, i zorientował się, że jego wróg nie przesadza.

Natalia wystąpiła w obronie Chruszczowa.

- Jasne, że tak mówią. Wszystkie te gazety są w rękach kapitalistów. Spodziewałeś się, że zaczną wychwalać mądrość i powściągliwość naszego przywódcy? Jesteś aż tak naiwny?

- A ty nie jesteś naiwna? Londyński „Times”, włoski „Corriere della Sera”, paryski „Le Monde”... Te gazety czytają i wierzą im przywódcy krajów Trzeciego Świata, których pragniemy przeciągnąć na naszą stronę.

Mówił prawdę. Mimo że było to niesprawiedliwe, ludzie na całym świecie ufali prasie kapitalistycznej bardziej niż publikacjom komunistów.

- Nie możemy kierować naszą polityką zagraniczną pod dyktando zachodnich gazet - odparowała Natalia.

- Ta operacja miała być w najwyższym stopniu utajniona - stwierdził Filipow. - A mimo to Amerykanie się o niej dowiedzieli. Wszyscy wiemy, kto odpowiadał za bezpieczeństwo. - Miał na myśli Dimkę. - Dlaczego ten człowiek nadal siedzi przy stole? Czy nie powinien być przesłuchiwany?

- Winna być może ochrona wojskowa - odrzekł Dimka. Filipow podlegał ministrowi obrony. - Kiedy dowiemy się, jak tajemnica wyszła na jaw, wtedy postanowimy, kogo powinno się przesłuchać. - Była to słaba obrona, lecz Dimka nadal nie miał pojęcia, co zawiódło.

Filipow zmienił taktykę.

- Na porannym posiedzeniu Prezydium przedstawiony zostanie raport KGB, z którego wynika, że Amerykanie w wielkim stopniu przyspieszyli mobilizację na Florydzie. Pociągi przewożą mnóstwo czołgów i armat, tor wyścigowy Hallandale został przejęty przez Pierwszą Dywizję Pancerną, w hali śpią tysiące żołnierzy. Fabryki amunicji pracują na okrągło, produkując pociski lotnicze, które spadną na radzieckich i kubańskich żołnierzy. Bomby napalmowe...

- Tego również można się było spodziewać - wpadła mu w słowo Natalia.

- Ale jak postąpimy, jeśli dokonają inwazji na Kubę? - kontynuował Filipow. - Jeśli odpowiemy bronią konwencjonalną, nie wygramy, bo Amerykanie są za silni. Czy zdecydujemy się na uderzenie atomowe? Prezydent Kennedy powiedział, że jeśli z Kuby wystrzelony zostanie choć jeden pocisk z ładunkiem nuklearnym, zbombarduje Związek Radziecki.

- Na pewno nie zamierza zrealizować tej groźby - zaproponowała Natalia.

- Przeczytaj raporty wywiadu Armii Czerwonej. Amerykańskie bombowce okrążają nas! - Filipow wskazał sufit, jakby można tam było zobaczyć samoloty. - Możliwe są tylko

dwa scenariusze: upokorzenie na arenie międzynarodowej, jeśli dopisze nam szczęście, i atomowa śmierć, jeśli go zabraknie.

Natalia milczała. Nikt z uczestników narady nie znalazł odpowiedzi na te słowa.

Nikt oprócz Dimki.

- Towarzysz Chruszczow rozwiązał ten problem.

Wszyscy spojrzeli na niego z zaskoczeniem.

- Na porannym posiedzeniu pierwszy sekretarz zaproponuje, byśmy złożyli ofertę Stanom Zjednoczonym - ciągnął Dimka wśród całkowitej ciszy. - Zdemontujemy nasze pociski na Kubie...

Ze wszystkich stron dobiegły westchnienia i okrzyki sprzeciwu. Uniósł dłoń.

- Usuniemy nasze pociski w zamian za gwarancję, o którą przez cały czas nam chodziło. Amerykanie będą musieli się zobowiązać, że nie uderzą na Kubę.

Przez dłuższą chwilę uczestnicy narady w milczeniu przyswajali sobie propozycję Chruszczowa.

Pierwsza zareagowała Natalia:

- To doskonały pomysł. Jak Kennedy mógłby odmówić? Musiałby przyznać, że zamierzał przeprowadzić inwazję na biedne państwo Trzeciego Świata, a wtedy wszyscy potępiliby go za politykę kolonialną. Jednocześnie dostarczyłby powodu, by Kuba miała broń nuklearną i mogła się bronić.

Natalia była nie tylko najurodziwszą, lecz także najinteligentniejszą z siedzących przy stole osób.

- Ale jeśli Kennedy się zgodzi, przyjdzie nam ściągnąć rakiety do kraju - zauważył Filipow.

- Nie będą już potrzebne! - skontrowała Natalia. - Rewolucja kubańska zostanie ocalona.

Filipow chciał się spierać, lecz nie miał argumentów. Chruszczow wpędził Związek Radziecki w tarapaty, ale obmyślił honorowy sposób wykaraskania się z nich.

Po zakończeniu narady Dimka wreszcie zdołał podejść do Natalii.

- Musimy omówić tekst propozycji Chruszczowa dla Kennedy'ego.

Usiedli w rogu pomieszczenia. Dimka spoglądał na przód sukienki dziewczyny, przypominając sobie jej małe piersi z naprężonymi sutkami.

- Nie możesz się na mnie gapić - powiedziała.

Dimka poczuł się głupio.

- Nie gapię się - odparł, choć była to oczywista nieprawda.

Natalia pominęła jego słowa.

- Jeśli nie przestaniesz, nawet mężczyźni zauważą.

- Wybacz, nie mogę się powstrzymać - rzekł przygnębiony Dimka. Spodziewał się rozmowy przepojonej radosną intymnością, lecz było inaczej.

- Nikt nie może się dowiedzieć o tym, co robiliśmy - powiedziała z lękiem Natalia.

Poczuł się tak, jakby rozmawiał z zupełnie inną osobą niż beztrąsko seksowna dziewczyna, która zaledwie dwa dni temu go uwiodła.

- Nie zamierzałem tego rozpowiadać, ale nie wiedziałem, że chodzi o tajemnicę wagi państwowej.

- Jestem mężatką!

- Chcesz zostać z Nikiem?

- Co to za pytanie?

- Macie dzieci?

- Nie.

- Ludzie się rozwodzą.

- Mój mąż nigdy nie zgodzi się na rozwód.

Dimka patrzył na nią. To nie był racjonalny argument: kobieta mogła wziąć rozwód wbrew woli męża. Jednak rozmowa nie dotyczyła w istocie kwestii prawnych. Natalia wyraźnie była przerażona.

- Właściwie dlaczego to zrobiłaś?

- Myślałam, że wszyscy zginiemy!

- A teraz żałujesz?

- Jestem mężatką! - powtórzyła.

Nie była to odpowiedź na pytanie, lecz Dimka domyślił się, że nic więcej od niej nie usłyszy.

- Dimka, pospiesz się! - krzyknął z przeciwnego końca bufetu Boris Kozłow, inny asystent Chruszczowa.

- Możemy pomówić później? - spytał cicho Dimka, wstając.

Natalia spuściła wzrok i nic nie odpowiedziała.

- No, chodź już! - ponaglał Boris.

Dimka wyszedł.

Przez większość dnia Prezydium omawiało propozycję Chruszczowa. Istniały komplikacje. Czy Amerykanie będą się upierali, by przeprowadzić inspekcje wyrzutni i na miejscu stwierdzić, czy pociski zostały zdemonstrowane? Czy Castro wyrazi na nie zgodę? Czy

zobowiąże się, że nie przyjmie broni nuklearnej z innego źródła, na przykład od Chin? Pomimo tych wszystkich wątpliwości Dimka był zdania, że rozwiązanie zaproponowane przez Chruszczowa daje najlepszą nadzieję na pokój.

Nieco uspokojony rozmyślał o Ninie i Natalii. Zanim rano porozmawiał z Natalią, wydawało mu się, że wybór między dwiema kobietami należy do niego. Teraz uświadomił sobie, że to były złudzenia.

Natalia nie zamierzała odejść od męża.

Jednocześnie stało się dla niego jasne, że szalał za Natalią tak, jak nigdy nie szalał za Niną. Ilekroć usłyszał pukanie do drzwi, miał nadzieję, że to ona. Bez końca odtwarzał w pamięci ich wspólne chwile i raz po raz słyszał jej niezapomniane słowa: „Och, Dimka, uwielbiam cię”.

To nie było: „Kocham cię”, ale prawie.

Jednak nie chciała brać rozwodu.

Mimo to Dimka właśnie jej pragnął.

Dlatego musi powiedzieć Ninie, że ich romans się skończył. Nie mógł dalej romansować z dziewczyną, jeśli inną lubił bardziej, to byłoby nieuczciwe. Wyobrażał sobie, jak Walentin wykpiwa jego skrupuły, lecz nie potrafił się ich pozbyć.

Sęk w tym, że Natalia chciała zostać z mężem i Dimka nie miałby nikogo.

Dziś wieczorem powie Ninie. Mieli się spotkać całą czwórką w mieszkaniu dziewcząt. Weźmie Ninę na stronę i oznajmi jej... co? Kiedy usiłował wymyślić, co dokładnie jej powie, rzecz stawała się trudniejsza. No, dalej, strofował się w duchu, pisał przemówienia dla Chruszczowa, napiszesz jedno i dla siebie.

Wszystko, co przychodziło mu na myśl, brzmiało okrutnie. Czyżby inaczej się nie dało? Może i tak. A naga prawda? Poznałem inną, naprawdę ją kocham...

To zabrzmiało najgorzej.

Po południu Chruszczow postanowił, że Prezydium powinno zademonstrować dobrą wolę i en masse pójść do Teatru Bolszoi - Amerykanin Jerome Hines śpiewał partię Borysa Godunowa w najpopularniejszej rosyjskiej operze. Zaproszono także asystentów. Dimka uważał, że to głupie. Kto się nabierze? Z drugiej strony ucieszył się, że może odwołać randkę z Niną, której się lękał.

Zadzwoił do jej pracy i zdążył ją złapać, zanim wyszła.

- Nie dam rady dzisiaj przyjść. Muszę iść z kierownictwem do Teatru Bolszoi.

- A nie możesz się wymigać?

- Chyba żartujesz. - Ten, kto pracował w biurze pierwszego sekretarza, wolałby nie



pójść na pogrzeb matki niż okazać nieposłuszeństwo.

- Chcę się z tobą zobaczyć.
- To wykluczone.
- Przyjdź po operze.
- Będzie późno.
- Nieważne, że będzie późno, przyjdź do mnie. Będę czekała nawet całą noc.

Zdziwił się. Zazwyczaj Nina tak mocno nie nalegała. Jej głos zabrzmiał tak, jakby była w wielkiej potrzebie, a to do niej nie pasowało.

- Czy coś się stało?
- Musimy o czymś pomówić.
- O czym?
- Powiem ci wieczorem.
- Powiedz teraz.

Rozłączyła się.

Włożył płaszcz i poszedł pieszo do teatru, który znajdował się kilka kroków od Kremla.

Jerome Hines miał sto osiemdziesiąt centymetrów wzrostu i nosił na głowie koronę z krzyżem. Prezentował się monumentalnie. Oszłamiająco mocny bas wypełnił salę teatru tak, że jej rozległe przestrzenie wydały się znikome. Mimo to Dimka niewiele usłyszał z opery Musorgskiego. Nie interesowało go, co dzieje się na scenie. Przez cały wieczór z niepokojem myślał o odpowiedzi Amerykanów na propozycję pokojową pierwszego sekretarza i reakcji Niny, kiedy ta dowie się o końcu romansu.

Kiedy Chruszczow wreszcie się pożegnał, Dimka ruszył pieszo do mieszkania dziewcząt znajdującego się mniej więcej o półtora kilometra od teatru. Po drodze usiłował odgadnąć, co Nina chce mu zakomunikować. Czyżby sama postanowiła zakończyć ich romans? Przyjąłby to z ulgą. Niewykluczone, że zaproponowano jej awans, który wymagałby przeprowadzki do Leningradu. Może kogoś poznała i doszła do wniosku, że to właśnie on jest tym jedynym. Albo zapadła na śmiertelną chorobę związaną z tajemniczym powodem, dla którego nie może zająć w ciąży. Wszystkie te możliwości podsuwały Dimce łatwą drogę wyjścia z sytuacji i uświadomił sobie, że ucieszyłby się z każdej, nawet - o zgrozo - z wieści o śmiertelnej chorobie.

Nie, pomyślał, wcale nie życzę jej śmierci.

Czekała na niego zgodnie z obietnicą.

Była ubrana w jedwabny zielony szlafrok, jakby szykowała się do snu, lecz miała nienagannie uczesane włosy i makijaż na twarzy. Pocałowała go w usta, a on odpowiedział na

pocałunek, czując wstyd w głębi serca. Zdradzał Natalię, smakując całusa, i Ninę, myśląc o Natalii. Podwójne poczucie winy przyprawiło go o ból w brzuchu.

Nalała piwa do szklanki i wypił szybko połowę, jakby to mogło mu dodać odwagi.

Usiadła obok niego na kanapie. Był prawie pewny, że nie ma nic pod szlafrokiem. Poczł lekkie podniecenie i obraz Natalii w jego pamięci odrobinę zbladł.

- Wojna na razie nie wybuchła - oznajmił. - To jest moja nowina. A twoja?

Nina wzięła od niego szklankę i odstawiła ją na stolik do kawy. Ujęła jego dłoń.

- Jestem w ciąży.

Dimka poczuł się jak rażony piorunem. Patrzył nierozumiejącym wzrokiem na Ninę.

- W ciąży - powtórzył głupawo.

- Dwa miesiące z kawałkiem.

- Jesteś pewna?

- Wypadły mi dwa kolejne okresy.

- Ale nawet jeśli...

- Spójrz. - Rozchyliła poły szlafroka, by pokazać piersi. - Są większe.

Istotnie są większe, stwierdził Dimka, czując jednocześnie pożądanie i oszołomienie.

- I bolą. - Nina ponownie otuliła się szlafrokiem, ale niezbyt dokładnie. - A od palenia papierosów boli mnie w brzuchu. Cholera, czuję się ciężarna.

To nie może być prawda.

- Ale mówiłaś...

- Że nie mogę mieć dzieci. - Nina odwróciła głowę. - Tak mi powiedział lekarz.

- Widziałaś się z nim?

- Tak, potwierdził ciążę.

- I co teraz mówi? - spytał z niedowierzaniem Dimka.

- Że to cud.

- Lekarze nie wierzą w cuda.

- Ja też tak myślałam.

Dimce kręciło się w głowie i usiłował to opanować. Przełknął głośno ślinę, zmagając się z szokiem. Musiał podejść do tego praktycznie.

- Nie chcesz brać ślubu i ja też, za cholerę. Co masz zamiar z tym zrobić?

- Musisz mi dać pieniądze na skrobankę.

Dimka ponownie przełknął ślinę.

- Dobrze, zgoda. - W Moskwie łatwo dało się załatwić skrobankę, ale nie były darmowe. Zastanowił się, skąd wziąć pieniądze. Zamierzał sprzedać motocykl i kupić

używany samochód. Gdyby to odłożył na później, prawdopodobnie zdołałby uzbierać odpowiednią sumę. Mógł także pożyczyć od dziadków. - Jakoś dam radę.

Nina od razu złagodniała.

- Powinniśmy zapłacić po połowie. Razem zrobiliśmy to dziecko.

Raptem Dimka poczuł się inaczej. Nina użyła słowa „dziecko” i to wywołało w nim poczucie wewnętrznego konfliktu. Wyobraził sobie siebie z dzieckiem w ramionach. Widział, jak maluch stawia pierwsze kroki, jak z jego pomocą uczy się czytać, jak razem wędrują do szkoły.

- Jesteś pewna, że chcesz usunąć ciążę?

- A ty jak czujesz?

- Czuję się nieswojo. - Zastanowił się, skąd bierze się to poczucie. - Nie uważam tego za grzech czy coś w tym rodzaju. Po prostu, wiesz, wyobraziłem sobie małe dziecko. - Dimka nie był pewien, skąd wzięły się te wyobrażenia. - A moglibyśmy dać dziecko do adopcji?

- Urodzić, a później oddać małeństwo obcym?

- Wiem, mnie też się to nie podoba. Ale trudno jest wychować samej dziecko. Choć ja bym ci pomagał.

- Dlaczego?

- To będzie też moje dziecko.

Ujęła go za rękę.

- Dziękuję, że to powiedziałeś - szepnęła i nagle wydała się Dimce bardzo krucha. Poczuł drżenie serca. - Kochamy się, prawda?

- Tak. - W tej chwili rzeczywiście ją kochał. Pomyślał o Natalii, lecz jej obraz stał się niewyraźny i odległy, a Nina siedziała przy nim i była kobietą z krwi i kości. Nagle odczuł wyraźniej znaczenie tego określenia.

- Oboje będziemy kochać dziecko, prawda?

- Tak.

- W takim razie...

- Ale ty nie chcesz ślubu.

- Nie chciałam.

- Użyłaś czasu przeszłego.

- Tak czułam, kiedy nie byłam w ciąży.

- Zmieniłaś zdanie?

- Teraz wszystko odczuwam inaczej.

Dimka był skołowany. Czyżby rozmawiali o ślubie? Nie wiedząc, co powiedzieć, uciekł

się do żartu:

- Jeśli mi się oświadczasz, to przydałyby się chleb i sól.

Tradycyjna ceremonia zaręczynowa wymagała wymiany darów w postaci chleba i soli.

Ku jego zdumieniu Nina wybuchła płaczem.

Dimce zmiękło serce i otoczył ją ramionami. W pierwszej chwili się opierała, lecz w końcu pozwoliła się objąć. Jej łzy wsiąkały w jego koszulę. Dimka gładził dziewczynę po włosach.

Uniosła twarz do pocałunku, ale zaraz się odsunęła.

- Będiesz się ze mną kochał, zanim przytyję i zbrzydnę?

Spomiędzy rozchylonego szlafroka wyzierała miękka pierś z uroczymi piegami.

- Tak - odrzekł beztrąsko. Obraz Natalii oddalił się jeszcze bardziej.

Nina znów go pocałowała, a on ujął jej pierś. Była cięższa niż kiedyś.

- Nie myślałeś tego, co powiedziałeś na początku, prawda? - zapytała, ponownie się od niego odsuwając.

- A co powiedziałem?

- Że za cholerę nie chcesz się żenić.

Uśmiechnął się, nie wypuszczając z dłoni jej piersi.

- Nie, wcale tak nie myślałem.

Czwartkowe południe przyniosło George'owi Jakesowi szczyptę optymizmu.

W garncu wrzało, lecz pokrywka nadal tkwiła na swoim miejscu. Kwarantanna była realizowana, sowieckie statki zawróciły, na oceanie nie doszło do konfrontacji. Stany Zjednoczone nie napadły na Kubę, nikt nie odpalił pocisków atomowych. Może mimo wszystko uda się zażegnać groźbę wybuchu trzeciej wojny światowej.

Poczucie to trwało jeszcze przez jakiś czas.

Doradcy Roberta Kennedy'ego mieli w swoim pomieszczeniu w Departamencie Sprawiedliwości odbiornik telewizyjny, o siedemnastej oglądali transmisję z siedziby Organizacji Narodów Zjednoczonych w Nowym Jorku. Obradowała Rada Bezpieczeństwa: wokół stołu w kształcie podkowy znajdowało się dwadzieścia krzeseł. We wnętrzu podkowy siedzieli tłumacze ze słuchawkami na uszach. Resztę sali zapełniali doradcy i obserwatorzy, którzy śledzili bezpośrednie starcie dwóch supermocarstw.

Amerykańskim ambasadorem przy ONZ był Adlai Stevenson, łysy intelektualista, który ubiegał się o nominację Partii Demokratycznej w 1960 roku i przegrał z bardziej medialnym Jackiem Kennedym.

Przedstawiciel Sowietów, bezbarwny Walerian Zorin, jak zwykle przemawiał jednostajnym głosem, zaprzeczając, by na Kubie była jakakolwiek broń atomowa.

- Cholerny kłamca! - skomentował ze złością George. - Stevenson powinien wyjąć zdjęcia.

- To właśnie kazał mu zrobić prezydent - powiedział Wilson.

- Więc dlaczego ich nie pokazuje?

Wilson wzruszył ramionami.

- Ludzie pokroju Stevensona zawsze uważają się za mądrzejszych.

Ambasador Stevenson wstał.

- Pozwoli pan, panie ambasadorze Zorin, że zadam panu proste pytanie. Czy zaprzecza pan, ambasadorze Zorin, że ZSRR rozmieścił i nadal rozmieszcza dwa rodzaje pocisków średniego zasięgu na terytorium Kuby? Tak czy nie?

- W to mi graj, Adlai - pochwalił George. Zawtórowały mu pomruki zadowolenia kolegów.

Stevenson patrzył prosto na Zorina, który siedział kilka miejsc od niego i nie przestawał pisać w notatniku.

- Proszę nie czekać na tłumaczenie - rzekł zniecierpliwiony Stevenson. - Tak czy nie?

Zebrani przed telewizorem asystenci Roberta Kennedy'ego parsknęli śmiechem.

Ostatecznie Zorin odpowiedział po rosyjsku, a tłumacz przełożył jego słowa:

- Proszę kontynuować swoje oświadczenie, panie Stevenson, otrzyma pan odpowiedź we właściwym czasie, bez obaw.

- Jestem gotów czekać na odpowiedź tak długo, aż piekło zamarźnie - oznajmił amerykański ambasador.

Doradcy prokuratora generalnego głośno wyrażali radość. Ameryka nareszcie odpłacała tamtym pięknym za nadobne!

- Jestem również gotów przedstawić na tej sali dowody - dodał Stevenson.

- Tak! - zawołał George, triumfalnie wznosząc zaciśniętą pięść.

- Jeśli państwo pozwolą - ciągnął Stevenson - ustawimy tutaj statyw i wszyscy, mam nadzieję, będą mogli zobaczyć.

Kamera skupiła się na kilku mężczyznach w garniturach, którzy szybko i sprawnie montowali statyw umożliwiającą prezentację powiększonych fotografii.

- Mamy drani! - cieszył się George.

Ambasador dalej mówił tonem opanowanym i suchym, lecz w jakiś sposób zdołał przesyć go oburzeniem.

- Pierwsze zdjęcie pokazuje teren na północ od wioski Candelaria w pobliżu San Cristobal na południowy zachód od Hawany. Zostało zrobione pod koniec sierpnia tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego drugiego roku, widać na nim spokojne tereny rolnicze.

Delegaci państw i obserwatorzy stłoczyli się wokół statywu, by zobaczyć, o czym mówi amerykański ambasador.

- Na drugim zdjęciu widać ten sam teren w zeszłym tygodniu. Pojawiło się kilka namiotów i pojazdów oraz nowe odgałęzienie drogi. Główna droga została ulepszona.

Stevenson zrobił pauzę, w sali panowała cisza.

- Trzecie zdjęcie, zrobione dwadzieścia cztery godziny po drugim, pokazuje instalacje dla pocisków średniego zasięgu.

Rozległy się okrzyki delegatów i pomruki zdziwienia.

Stevenson mówił dalej, pokazano kolejne zdjęcia. Do tej chwili niektórzy przywódcy państw wierzyli zaprzeczeniom radzieckiego ambasadora. Teraz wszyscy poznali prawdę.

Zorin siedział z kamienną twarzą i milczał.

Do pomieszczenia, w którym asystenci prokuratora generalnego oglądali transmisję z Nowego Jorku, wszedł Larry Mawhinney. George zerknął na niego z ukosa, rozmawiali ze sobą tylko raz i Larry się na niego zezłościł. Teraz jednak był przyjaźnie nastawiony.

- Cześć, George - odezwał się, jakby się nigdy nie pokłócili.

- Jakie wieści z Pentagonu? - spytał neutralnym tonem George.

- Przychodzę was uprzedzić, że zamierzamy wkroczyć na pokład sowieckiej jednostki. Prezydent podjął decyzję kilka minut temu.

Serce George'a zaczęło bić w przyspieszonym rytmie.

- Niech to szlag, a już myślałem, że sytuacja się uspokaja.

- Uważa, że kwarantanna nic nie będzie znaczyła, jeśli nie przechwycimy i nie dokonamy inspekcji przynajmniej jednego podejrzanego statku - ciągnął Mawhinney. - Już ciska gromy, bo przepuściliśmy jeden tankowiec.

- Jaki statek aresztujemy?

- Marucla, libański frachtowiec z grecką załogą wycarterowany przez sowiecki rząd. Wyszedł z Rygi rzekomo z ładunkiem papieru, siarki i części zamiennych do radzieckich ciężarówek.

- Trudno mi sobie wyobrazić, by Sowieci powierzyli swoje pociski greckiej załodze.

- Jeśli masz rację, nie będzie kłopotu.

George zerknął na zegarek.

- Kiedy to się stanie?

- Na Atlantyku jest teraz ciemno, będą musieli poczekać do rana.

Larry wyszedł, a George zastanawiał się, jak wielkie jest niebezpieczeństwo. Trudno było to określić. Jeśli statek Marucla rzeczywiście jest niewinny, inspekcja przebiegnie bez użycia siły. Ale jeżeli ma na pokładzie broń atomową, to co? Prezydent Kennedy podjął kolejną decyzję, która stawiała sprawę na ostrzu noża.

Oraz uwiódł Marię Summers.

George nie zdziwił się zbytnio, że Kennedy romansuje z czarną dziewczyną. Jeśli prawdą była choćby połowa plotek, nie cechowała go wybredność w wyborze kobiet. Wprost przeciwnie: lubił dojrzałe i nastolatki, blondynki i brunetki, damy ze śmietanki towarzyskiej i bezmyślne maszynistki.

Ciekawe, czy Maria orientuje się, że jest jedną z wielu, pomyślał George.

Prezydent nie przywiązywał dużej wagi do rasy, zawsze traktował ją jako kwestię czysto polityczną. Nie chciał, by zrobiono mu zdjęcie z Percym Marquandem i Babe Lee, obawiając się utraty głosów, lecz radośnie podawał dłoń czarnym mężczyznom i kobietom, rozmawiał z nimi i śmiał się. George słyszał, że Kennedy bywał na prywatkach z udziałem prostytutek o wszystkich kolorach skóry, nie potrafił jednak stwierdzić, czy te pogłoski są prawdziwe.

Wstrząsnęła nim jednak gruboskórność prezydenta wobec Marii. Nie chodziło jedynie o zabieg, choć i ten z pewnością był bardzo nieprzyjemny, lecz o to, że pozostała sama. Mężczyzna, który ją zapłodnił, powinien po operacji odwiedzić do domu i dopilnować, by nic jej nie groziło. Rozmowa telefoniczna to za mało. To, że Kennedy był prezydentem, nie stanowiło wystarczającej wymówki. Jack Kennedy bardzo wiele stracił w oczach George'a.

Myślał o nieodpowiedzialnych mężczyznach, przez których dziewczęta zachodziły w ciążę, gdy pojawił się jego ojciec.

George zdziwił się, ponieważ Greg nigdy dotąd nie był w jego urzędzie.

- Cześć - powiedział i uściślił sobie dłonie, jakby nie byli ojcem i synem. Greg miał na sobie pomięty garnitur z miękkiego niebieskiego materiału w prążki, który wyglądał, jakby była w nim domieszka kaszmiru. Gdyby stać mnie było na taki garnitur, pomyślał jego syn, postarałbym się, aby był wyprasowany. Często przychodziły mu takie myśli do głowy, kiedy patrzył na Grega.

- Cóż za nieoczekiwana wizyta. Jak się miewasz?

- Przechodziłem obok. Masz ochotę na kawę?

Skierowali się do bufetu. Greg zamówił herbatę, a George butelkę coli ze słomką.

- Ktoś o ciebie pytał przedwczoraj - rzekł George, gdy siadali. - Jedna pani z biura

prasowego.

- Jak się nazywa?

- Nell coś-tam. Zaraz sobie przypomnę. Nelly Ford?

- Nelly Fordham. - Greg zapatrzył się w dal, jego twarz wyrażała tęsknotę za na wpół zapomnianymi rozkoszami.

- Wygląda na to, że była twoją dziewczyną - zauważył z rozbawieniem jego syn.

- Więcej. Byliśmy zaręczeni.

- Ale się nie pobraliście.

- Ona zerwała.

George się zawahał.

- Może to nie moja sprawa... Dlaczego?

- No cóż... Jeśli chcesz znać prawdę, dowiedziała się o tobie i stwierdziła, że nie chce wychodzić za mężczyznę, który ma już rodzinę.

George z fascynacją słuchał ojca, który rzadko mówił otwarcie o tamtych czasach.

Teraz na jego twarzy pojawiła się zaduma.

- Nelly pewnie miała rację. Ty i Jacky byliście moją rodziną. Ale nie mogłem ożenić się z twoją mamą. Nie było szansy, by zrobić karierę w polityce, jeśli miało się czarną żonę. Wybrałem więc karierę. I nie mogę powiedzieć, żeby dało mi to szczęście.

- Nigdy mi o tym nie mówiłeś.

- Wiem. Trzeba było zagrożenia trzecią wojną światową, bym powiedział ci prawdę. Jak twoim zdaniem rozwija się sytuacja?

- Zaraz, poczekaj. Czy to kiedykolwiek wchodziło w grę, żebyś ożenił się z mamą?

- Kiedy miałem piętnaście lat, pragnąłem tego bardziej niż cokolwiek innego na świecie. Ale ojciec diabelnie mocno się postarał, żeby tak się nie stało. Szansa powtórzyła się dziesięć lat później, ale wtedy byłem już starszy i rozumiałem, jaki to szalony pomysł. Mieszane pary jeszcze dzisiaj, w latach sześćdziesiątych, mają ciężkie życie. A wyobraź sobie, jak by to wyglądało w latach czterdziestych. Pewnie gorzko byśmy tego żalowali, cała trójka - mówił ze smutkiem Greg. - Poza tym brakowało mi odwagi, i taka jest prawda. Teraz opowiedz mi o kryzysie.

George nie bez trudu skierował myśli na kwestię pocisków na Kubie.

- Jeszcze godzinę temu zaczynałem wierzyć, że może nam się uda, ale prezydent polecił, by jutro rano nasza marynarka zatrzymała sowiecką jednostkę. - George opowiedział ojcu o Marucli.

- Jeśli statek nie ma nic do ukrycia, nie będzie problemu - orzekł Greg.



- Słusznie. Nasi wkroczą na pokład, sprawdzą ładunek, a później rozdadzą trochę batoników i odpłyną.

- Batoników?

- Każda jednostka biorąca udział w akcji otrzymała przydział tak zwanych produktów humanitarnych o wartości dwustu dolarów, czyli słodczy, kolorowych gazet i tanich zapalniczek do papierosów.

- Boże, błogosław Amerykę. Ale...

- Ale jeśli załoga składa się z sowieckich żołnierzy, a ładunek to głowice atomowe, statek prawdopodobnie nie zatrzyma się na żądanie. I dojdzie do wymiany ognia.

- To może lepiej wracaj na stanowisko pracy i ratuj świat.

Wstali i wyszli z bufetu. W korytarzu uścisnęli sobie ręce.

- Przyszedłem, ponieważ...

George czekał.

- Być może w ten weekend wszyscy zginiemy, a zanim do tego dojdzie, chcę, żebyś o czymś wiedział.

- W porządku. - George stał i zachodził w głowę, co usłyszy.

- Jesteś tym, co w moim życiu najlepsze.

- O rany - powiedział cicho George.

- Kiepski był ze mnie ojciec i niewiele zrobiłem dla twojej matki, ale... wiesz o tym. Jestem jednak z ciebie dumny. Nie zasługuję na honory, mam tego świadomość, ale na Boga, jestem dumny.

W oczach Grega błyszczały łzy.

George nie przypuszczał, że ojciec żywi do niego tak silne uczucia. Czuł się oszołomiony. Nie wiedział, jak zareagować w obliczu tak niespodziewanych emocji.

- Dziękuję ci - rzekł po dłuższej chwili.

- Do widzenia, George.

- Do widzenia.

- Niech Bóg ma cię w swojej opiece - powiedział Greg i odszedł.

W piątek wcześnie rano George znalazł się w Pokoju Dowodzenia Białego Domu.

Prezydent Kennedy kazał urządzić to pomieszczenie w podziemiu Zachodniego Skrzydła; wcześniej znajdowała się tam kręgielnia. Oficjalnym powodem była chęć przyspieszenia komunikacji w sytuacjach kryzysowych. W istocie Kennedy uważał, że wojsko ukrywało przed nim informacje podczas kryzysu w Zatoce Świń, i postanowił zrobić

wszystko, by generalicja nigdy więcej nie miała takiej możliwości.

Tego ranka ściany pokrywały mapy Kuby oraz szlaków morskich, które do niej prowadziły. Telegrafy terkotały niczym cykady w ciepłą noc. W sali narad kopiowano telegramy z Pentagonu i prezydent mógł się przysłuchiwać wymienianym komunikatom wojskowym. Kwarantanną dowodono z pomieszczenia w Pentagonie zwanego Centrum Planowania Floty, lecz w Białym Domu można było słuchać rozmów radiowych prowadzonych z poszczególnymi jednostkami.

Wojskowi nienawidzili Pokoju Dowodzenia.

George siedział na niewygodnym nowoczesnym krzeselku i nadstawiał uszu. Nadal miał w głowie wczorajszą rozmowę z Gregiem. Czyżby ojciec spodziewał się, że zarzuci mu ręce na szyję i zawoła z płaczem „Tatusiu!”? Zapewne nie. Greg sprawiał wrażenie, jakby rola dobrego wujaszka była dla niego wygodna, i George nie chciał tego zmieniać. Miał dwadzieścia sześć lat i nie mógł nagle zacząć go traktować jak normalnego ojca. Mimo to słowa Grega sprawiły mu pewną radość. Ojciec mnie kocha, myślał, w tym nie może być nic złego.

O świcie okręt USS Joseph P. Kennedy wywołał Marucłę.

Kennedy był niszczycielem o wyporności dwóch tysięcy czterystu ton uzbrojonym w osiem pocisków rakietowych, wyrzutnię rakiet do zwalczania okrętów podwodnych, sześć wyrzutni torped oraz dwie pięciocalowe armaty morskie. Mógł także przenosić broń jądrową.

Marucla natychmiast zatrzymała silniki. George odetchnął spokojniej.

Z Kennedy'ego spuszczone łódź i sześciu marynarzy podpłynęło do frachtowca. Morze było wzburzone, lecz załoga Marucli usłużnie zrzuciła drabinę linową. Mimo to uderzenia fal utrudniały wejście na pokład. Dowodzący oficer nie chciał się ośmieszyć wpadnięciem do wody, lecz w końcu zaryzykował, chwycił drabinkę i wspiął się. Podwładni zrobili to samo.

Grecy chcieli poczęstować ich kawą.

Skwapliwie otworzyli też luki ładowni i okazało się, że jest w nich to, co zostało zadeklarowane. W pewnej chwili powstało napięcie, gdyż Amerykanie nalegali, by pozwolono im zajrzeć do skrzyni z napisem „Przyrządy naukowe”, lecz znaleziono w niej sprzęt laboratoryjny, w jaki wyposażone bywają szkolne pracownie.

Amerykanie opuścili pokład i jednostka podjęła rejs w kierunku Hawany.

George telefonicznie przekazał pomyślne wieści Robertowi Kennedy'emu, a potem wsiadł do taksówki.

Kazał się zawieźć na róg Piątej Ulicy i K Street, czyli do jednej z najgorszych dzielnic miasta. Nad salonem samochodowym znajdowało się Narodowe Centrum Interpretacji Zdjęć

CIA. Chciał się dowiedzieć, na czym polega ta sztuka, i zwrócił się z prośbą o instruktaż; pracował w urzędzie prokuratora generalnego, więc zgodzono się. Przedostał się przez chodnik usłany butelkami od piwa i przeszedł przez bramkę bezpieczeństwa. Następnie zaprowadzono George'a na trzecie piętro.

Wtajemniczał go siwowłosy fotointerpretator Claud Henry, który nauczył się warsztatu w czasie drugiej wojny światowej, analizując zdjęcia lotnicze zniszczeń po bombardowaniach Niemiec.

- Wczoraj marynarka wysłała nad Kubę odrzutowce Crusader - oznajmił George'owi. - Dzięki temu mamy fotografie zrobione na mniejszej wysokości, które o wiele łatwiej odczytać.

Zdaniem George'a nie było to wcale łatwe. Zdjęcia poprzyklejane do ścian pomieszczenia wyglądały jak dzieła sztuki abstrakcyjnej, dostrzegał jedynie bezładnie rozrzucone, nic nieznaczące kształty.

- To jest sowiecka baza wojskowa - oznajmił Claud.

- Skąd pan wie?

- Tu widać boisko piłkarskie, a Kubańczycy nie grają w piłkę. W kubańskim obozie byłoby boisko do baseballu w kształcie wycinka koła.

George skinął głową. Mądrała z niego, pomyślał.

- A tu mamy rząd czołgów T-Pięćdziesiąt Cztery.

George dojrzał tylko ciemne prostokąty.

- Te namioty to hangary na pociski. Tak twierdzą nasi namiotolodzy.

- Namiotolodzy?

- Tak. Ja jestem skrzynologiem. Napisałem podręcznik CIA o skrzyniach.

George spojrział na niego z uśmiechem.

- Pan, zdaje się, nie żartuje.

- Kiedy Sowieci przewożą bardzo duże ładunki, na przykład myśliwce, muszą umieszczać je na pokładach statków. Maskują je za pomocą skrzyń. Ale zwykle udaje się nam określić gabaryty skrzyni. MiG-Pięćnaście wchodzi do innej skrzyni niż MiG-Dwadzieścia Jeden.

- Proszę mi powiedzieć - odezwał się George. - Czy Sowieci mają takich ekspertów?

- Uważamy, że nie, bo proszę się zastanowić. Zestrzelili nasz U-Dwa, więc wiedzą, że mamy samoloty z kamerami latające na dużym pułapie. A mimo to myśleli, że mogą wysłać pociski na Kubę, a my się o tym nie dowiemy. Jeszcze do wczoraj, dopóki nie pokazaliśmy zdjęć, twierdzili, że rakiet nie ma. Zatem wiedzieli o istnieniu samolotów szpiegowskich i

kamer, ale nie domyślali się, że potrafimy wypatrzyć ich rakiety ze stratosfery. Dlatego uważam, że na polu fotointerpretacji zostawiliśmy ich w tyle.

- Brzmi przekonująco.

- A oto nasze najnowsze odkrycie. - Claud wskazał obiekt z lotkami widoczny na jednym ze zdjęć. - Mój szef za godzinę będzie o tym opowiadał prezydentowi. Jest to pocisk krótkiego zasięgu przeznaczony do użycia na polu bitwy. Ma dziesięć metrów długości. Mówimy na nie Frog<sup>5</sup>.

- Użyją go, jeśli amerykańskie oddziały wylądują na Kubie.

- Tak. Pocisk jest zaprojektowany do przenoszenia głowic jądrowych.

- Niech to szlag - zaklął George.

- Zapewne to samo powie prezydent - odrzekł Claud.

---

<sup>5</sup> *Frog* (ang.) - żaba; akronim od *Free Rocket Over Ground* - swobodna rakietą nad ziemią.

## ROZDZIAŁ 18

W piątkowy wieczór w kuchni mieszkania przy Great Peter Street grało radio. Ludzie na całym świecie siedzieli przy radioodbiornikach, z lękiem nasłuchując doniesień agencyjnych.

Była to duża kuchnia, pośrodku której stał stół z polerowanej sosny. Jasper Murray przygotowywał tost i czytał gazety. Lloyd i Daisy Williamsowie przejrzeni wszystkie londyńskie oraz kilka kontynentalnych. Głównym polem zainteresowań Lloyda jako parlamentarzysty były sprawy zagraniczne; nie zmieniło się to od czasu, gdy walczył w wojnie domowej w Hiszpanii. Jasper przeglądał artykuły, szukając czegoś, co dawałoby powód do nadziei.

Nazajutrz, w sobotę, w Londynie miał się odbyć marsz protestacyjny. Jeśli rano Londyn będzie jeszcze istniał. Jasper wybierze się tam jako reporter „St. Julian’s News”, gazety studenckiej. W gruncie rzeczy nie przepadał za reportażami, wolał pisać dłuższe, bardziej refleksyjne artykuły, w których autor mógł sobie pozwolić na więcej. Miał nadzieję, że pewnego dnia znajdzie pracę w prasie, a może nawet w telewizji.

Najpierw jednak chciał zostać redaktorem naczelnym „St. Julian’s News”. Stanowisko zapewniało niewielką pensję oraz roczny urlop dziekański. Było bardzo pożądane, gdyż w praktyce dawało gwarancję zdobycia dobrej dziennikarskiej posady po ukończeniu studiów. Jasper ubiegał się o nie, lecz pokonał go Sam Cakebread. Nazwisko Cakebread było sławne w środowisku dziennikarskim: ojciec Sama był zastępcą redaktora naczelnego „Timesa”, wujek zaś bardzo lubianym komentatorem radiowym. Miał też młodszą siostrę w St. Julian’s College, która zaliczyła staż w magazynie „Vogue”. Jasper podejrzewał, że to nazwisko Sama, a nie umiejętności, pozwoliło mu zdobyć tę robotę.

W Wielkiej Brytanii umiejętności nigdy nie wystarczały. Dziadek Jaspera dochrapał się stopnia generała, a ojciec był na dobrej drodze, by zrobić podobną karierę, lecz popełnił błąd: ożenił się z żydowską dziewczyną i zatrzymał się na randze pułkownika. Brytyjski establishment nigdy nie wybaczał tym, którzy złamali jego reguły. Jasper słyszał, że w Stanach Zjednoczonych jest inaczej.

W kuchni razem z Jasperem siedziała przy stole Evie Williams; przygotowywała transparent z napisem: „Ręce precz od Kuby”.

Jej dziewczęce zauroczenie Jasperem minęło, a on przyjął to z ulgą. Miała teraz szesnaście lat i emanowała eteryczną urodą, lecz jak na jego gust podchodziła do życia zbyt

poważnie i ze zbyt wielką intensywnością. Jeśli ktoś z nią chodził, musiał podzielać jej namiętne poświęcenie dla wielu kampanii społecznych przeciw okrucieństwu i niesprawiedliwości: od walki z apartheidem w Południowej Republice Afryki po domaganie się zaprzestania eksperymentów na zwierzętach. Jasper w nic się nie angażował, a poza tym wolał takie dziewczęta jak prostytutka Beep Dewar, która w wieku trzynastu lat wkładała mu język do ust i ocierała się o jego wzwód.

Jasper patrzył, jak do litery „o” Evie wpisuje czteroramienny symbol kampanii na rzecz rozbrojenia atomowego.

- A więc twoje hasło będzie nawoływało do dwóch idealistycznych spraw za jednym zamachem! - zauważył Jasper.

- Nie ma w tym nic z idealizmu - odparła cierpko. - Wiesz, jaki będzie pierwszy cel sowieckich bomb jądrowych, jeśli dzisiaj wybuchnie wojna? Wielka Brytania. A to dlatego, że mamy broń nuklearną, którą będą chcieli zniszczyć, zanim uderzą na Stany Zjednoczone. Nie zbombardują Norwegii, Portugalii ani żadnego kraju, który ma dość rozumu, by nie włączać się do wyścigu nuklearnego. Każdy, kto myśli logicznie o obronie naszego kraju, wie, że broń atomowa nas nie chroni, tylko naraża na niebezpieczeństwo.

Jasper nie sądził, że jego uwaga spotka się z tak poważnym potraktowaniem, lecz Evie do wszystkiego podchodziła serio.

Przy stole siedział również czternastoletni brat Evie, Dave, który robił miniatutki kubańskich flag. Rysował pisakiem paski na arkuszach grubego papieru, a następnie przyczepiał je do patyków za pomocą pożyczonego zszywacza biurowego. Jasperowi nie podobało się, że Dave może korzystać z przywilejów życia u boku zamożnych wyrozumiałych rodziców, ale starał się być życzliwy.

- Ile ich będzie? - spytał.

- Trzysta sześćdziesiąt.

- To zapewne nieprzypadkowa liczba.

- Jeśli dziś wieczorem nie zginiemy od bomb, jutro sprzedam je na demonstracji po sześć pensów za jedną. Trzysta sześćdziesiąt sześciopensówek daje sto osiemdziesiąt szylingów, czyli dziewięć funtów. Tyle wynosi cena wzmacniacza gitarowego, który chcę sobie kupić.

Dave miał nosa do interesów. Podczas szkolnego przedstawienia nastoletni uczniowie uwijali się jak w ukropie, sprzedając napoje gazowane, ponieważ Dave płacił im prowizję. Jednak słabo radził sobie w szkole, miał najgorsze lub prawie najgorsze stopnie ze wszystkich przedmiotów. Doprowadzało to do szału ojca Dave'a, gdyż poza tym chłopak wydawał się

bystry. Lloyd zarzucał mu lenistwo, lecz Jasper uważał, że sprawa jest bardziej złożona. Dave miał kłopot z czytaniem tekstów. Jego własne pismo było okropne, roiło się od błędów ortograficznych, a nawet odwróconych liter. Przywodził mu na myśl najlepszego kolegę ze szkoły, który nie umiał zaśpiewać szkolnej piosenki, bo nie potrafił odróżnić swojego zawodzenia na jednej nucie od melodii, którą śpiewali pozostali chłopcy. Dave musiał się skupić, by dostrzec różnice między literami „d” i „b”. Bardzo chciał zaspokoić wymagania rodziców, którzy tak wiele osiągnęli, ale nigdy nie zdołał im sprostać.

Łącząc zszywkami swoje flagi za sześć pensów, najwyraźniej myślał o czymś zupełnie innym, bo nagle powiedział bez związku:

- Nasze matki nie miały ze sobą nic wspólnego, kiedy się poznały.

- Owszem - potwierdził Jasper. - Daisy Peshkov była córką rosyjsko-amerykańskiego gangstera, a Eva Rothmann pochodziła z berlińskiej rodziny inteligenckiej. Wysłano ją do Ameryki, by ocalić dziewczynę przed nazistami. Twoja matka przyjęła moją do domu.

- Moja mama po prostu ma wielkie serce - odezwała się Evie, która otrzymała imię po matce Jaspera.

- Chciałbym, żeby ktoś wysłał mnie do Ameryki - oznajmił Jasper.

- To dlaczego tam nie pojedziesz? - spytała Evie. - Mógłbyś powiedzieć im, żeby dali spokój Kubańczykom.

Jasper miał w nosie Kubańczyków.

- Nie stać mnie. - Mimo że nie płacił czynszu, i tak miał za mało pieniędzy na bilet do Stanów Zjednoczonych.

W tej samej chwili do pokoju weszła kobieta, o której przed chwilą powiedziano, że ma wielkie serce. Daisy Williams, niebieskooka dama z jasnymi włosami, w wieku czterdziestu sześciu lat wciąż wyglądała atrakcyjnie. Kiedy była młoda, pewnie nie mogła się opędzić od adoratorów, pomyślał Jasper. Miała na sobie skromną niebieską spódnicę i odpowiedni zakiet; nie włożyła żadnej biżuterii. Kiedy gra się żonę polityka, lepiej jest ukrywać bogactwo, przyszło mu do głowy. Zachowała dobrą figurę, choć nie była już tak szczupła jak kiedyś. Wyobraziwszy ją sobie nagą, doszedł do wniosku, że w łóżku byłaby lepsza niż jej córka Evie. Daisy przypominałaby gotową na wszystko Beep. Jasper zdziwił się, że fantazjuje o kobiecie w wieku jego matki. Jak to dobrze, że kobiety nie potrafią czytać w myślach mężczyzn.

- Cóż za miły obrazek - rzekła czule. - Troje młodych po cichutku wykonuje swoje zadania. - Daisy nadal miała wyraźny amerykański akcent, choć minimalnie wygładzony po spędzeniu ćwierci wieku w Londynie. Zaskoczona spojrzała na flagi Dave'a. - Nieczęsto

okazujesz zainteresowanie polityką światową.

- Będę je sprzedawał po sześć pensów.

- Mogłam się domyślić, że twoje poczynania nie mają nic wspólnego z pokojem na świecie.

- Pokój na świecie zostawiam Evie.

- Ktoś musi się o to martwić - stwierdziła z zapalem Evie. - Być może wszyscy zginiemy, zanim rozpocznie się manifestacja. A wszystko przez hipokryzję Amerykanów.

Jasper spojrział na Daisy, lecz ta nie wyglądała na urażoną. Przywykła do szorstkich ocen etycznych wyrażanych przez córkę.

- Podejrzewam, że Amerykanie bardzo się przestraszyli rakiet na Kubie - odparła łagodnym tonem.

- Więc powinni wyobrazić sobie, jak czują się inni, i zabrać swoje rakiety z Turcji.

- Myślę, że masz rację, prezydent Kennedy popełnił błąd, umieszczając je tam. Mimo to jest różnica. Tu, w Europie, jesteśmy przyzwyczajeni do wymierzonych w nas rakiet, po obu stronach żelaznej kurtyny. Kiedy jednak Chruszczow potajemnie wysłał pociski na Kubę, w szokujący sposób zakłócił status quo.

- Sprawiedliwość to sprawiedliwość.

- A realna polityka to co innego. Ale spójrz, jak historia się powtarza. Mój syn przypomina mojego ojca: zawsze wyczuje możliwość zarobienia paru dolców, nawet w obliczu trzeciej wojny światowej. Córka natomiast jest podobna do bolszewika wujka Grigorija, koniecznie chce zmienić świat.

Evie uniosła głowę.

- Jeśli był bolszewikiem, to naprawdę zmienił świat.

- Ale czy na lepsze?

Wszedł Lloyd. Tak jak jego przodkowie górnicy był niskiej postury i szeroki w barach. Jakaś cecha jego chodu przypominała Jasperowi, że był kiedyś mistrzem bokserskim. Ubrał się ze staroświecką fantazją w czarny garnitur w nikle jasne prążki, w kieszonce na piersi miał wyprasowaną chusteczkę z białego lnu. Wyglądało na to, że wybierają się na imprezę o charakterze politycznym.

- Jestem gotowy, czekam na ciebie, kochanie - powiedział do Daisy.

- Czemu będzie poświęcony ten wiec? - chciała wiedzieć Evie.

- Kubie, a czemuż by innemu? - odrzekł ojciec i zauważył transparent, który przygotowywała. - Widzę, że już zajęłaś stanowisko w tej kwestii.

- To nic trudnego, prawda? Kubańczycy powinni mieć prawo decydowania o swoim



losie, czy nie na tym polega demokracja?

Jasper widział zapowiadającą się kłótnię. W tej rodzinie połowa sporów dotyczyła polityki. Jego jednak nudził idealizm Evie.

- Remington zaśpiewa jutro *Poison Rain* na Trafalgar Square - wtrącił się do rozmowy. Hank Remington, młody Irlandczyk, którego prawdziwe nazwisko brzmiało Harry Riley, stał na czele zespołu Kords. Tematem piosenki był opad po wybuchu bomby jądrowej.

- Hank jest wspaniały, tak jasno wyraża myśli - stwierdziła Evie. Chłopak był jednym z jej idoli.

- Przyszedł mnie odwiedzić - oznajmił Lloyd.

- Nic mi nie powiedziałaś! - zawołała Evie.

- To się stało dopiero dzisiaj.

- I jakie wywarł na tobie wrażenie?

- Prawdziwy geniusz z klasy robotniczej.

- W jakiej sprawie się do ciebie zwrócił?

- Chciał, żebym wystąpił w Izbie Gmin i potępił prezydenta Kennedy'ego jako podżegacza wojennego.

- Powinieneś to zrobić!

- A co będzie, jeśli laburzyści wygrają w następnych wyborach powszechnych? Przypuśćmy, że zostanę ministrem spraw zagranicznych. Być może musiałbym udać się do Białego Domu i poprosić prezydenta o poparcie jakiegoś projektu, na którym zależałoby naszemu rządowi, na przykład w sprawie rezolucji ONZ przeciwko dyskryminacji rasowej w Południowej Republice Afryki. Kennedy mógłby pamiętać moje wystąpienie i posłać mnie do diabła.

- I tak powinieneś to zrobić - upierała się Evie.

- Nazwanie kogoś podżegaczem wojennym zazwyczaj nic nie zmienia. Gdybym uważał, że dopomógłbym w ten sposób w rozwiązaniu obecnego kryzysu, zrobiłbym to. Ale taką kartą można zagrać tylko raz, a ja wolę ją zachować na lepszą okazję.

Jasper pomyślał z aprobatą, że Lloyd jest pragmatycznym politykiem.

Evie była innego zdania.

- Uważam, że ludzie powinni otwarcie mówić prawdę.

Ojciec uśmiechnął się.

- Jestem dumny, że mam taką córkę. I ufam, że przez całe życie będziesz wierna temu przekonaniu. Ale teraz muszę już iść i wytłumaczyć moim zwolennikom w East Endzie, na czym ten kryzys polega.

- Do widzenia, dzieci - rzekła Daisy.
  - Kto wygrał w tym sporze? - zapytała Evie, kiedy rodzice wyszli.
- Twój ojciec, i to bezapelacyjnie, pomyślał Jasper, lecz tego nie powiedział.

George wracał do centrum Waszyngtonu w stanie podekscytowania. Wszyscy działali na podstawie założenia, że inwazja na Kubę musi zakończyć się powodzeniem, lecz pociski Frog całkowicie zmieniły sytuację. Wojska amerykańskie miałyby do czynienia z taktyczną bronią jądrową. Być może mimo to by zwyciężyły, lecz wojna byłaby trudniejsza i kosztowała więcej ofiar. Wynik już nie był przesądzony.

Wysiadł z taksówki przed Białym Domem i zaszedł do biura prasowego. Maria siedziała przy biurku. Ucieszył się, widząc, że wygląda o wiele lepiej niż przed trzema dniami. „Czuję się dobrze, dziękuję”, odparła w odpowiedzi na pytanie George’a. Odrobina niepokoju spadła mu z serca, lecz większość nadal ciążyła jak kamień. Maria wracała fizycznie do zdrowia, ale nie wiedział, jakie szkody duchowe spowodował jej potajemny romans.

Nie mógł zadawać dalszych pytań osobistych, gdyż ktoś jej towarzyszył. Był to młody czarnoskóry mężczyzna w tweedowej marynarce.

- Poznaj Leopolda Montgomery’ego - powiedziała Maria. - Pracuje w Agencji Reutera. Przyszedł po komunikat dla prasy.

- Mów mi Lee.

- Podejrzewam, że niewielu kolorowych dziennikarzy odpowiada za wiadomości z Waszyngtonu - rzekł George.

- Jestem jedynym.

- George Jakes pracuje w Departamencie Sprawiedliwości u Roberta Kennedy’ego - oznajmiła Maria.

Lee nagle okazał większe zainteresowanie.

- I jaki jest twój szef?

- To wspaniała praca - zapewnił George, unikając odpowiedzi na pytanie dziennikarza. - Doradzam głównie w kwestiach dotyczących praw obywatelskich. Podejmujemy działania prawne przeciwko południowym stanom, w których Murzynom zabrania się głosować.

- Potrzebna jest nowa ustawa.

- Słusznie, bracie. - George zwrócił się do Marii: - Nie mogę zostać, cieszę się, że czujesz się lepiej.

- Pójdę z tobą, jeśli idziesz w kierunku Departamentu Sprawiedliwości - zaproponował

Lee.

George unikał towarzystwa dziennikarzy, lecz poczuł odrobinę sympatii do Lee, który podobnie jak on usiłował się przebić w białym Waszyngtonie.

- W porządku.

- Dzięki, że wpadłeś, Lee - powiedziała Maria. - Zadzwoń, jeśli będziesz miał jakieś wątpliwości w związku z komunikatem.

- Jasna sprawa.

George i Lee wyszli z budynku i ruszyli Pennsylvania Avenue.

- Co jest w tym komunikacie? - spytał George.

- Statki wprawdzie zawróciły, lecz Sowieci nadal budują wyrzutnie na Kubie, i to w wielkim pośpiechu.

George pomyślał o zdjęciach lotniczych, które niedawno widział. Korciło go, by powiedzieć o nich Lee. Chętnie podsunąłby gorący temat młodemu czarnoskóremu dziennikarzowi. Byłoby to jednak złamanie zasad bezpieczeństwa, więc się powstrzymał.

- Na to wygląda - odparł niezobowiązująco.

- A rząd nic nie robi - stwierdził Lee.

- Co chcesz powiedzieć?

- Kwarantanna najwyraźniej nie zdaje egzaminu, a prezydent nie podejmuje innych działań.

George poczuł się dotknięty. Należał do rządu, jakkolwiek stanowił tylko maleńką jego część, i poczuł się niesłusznie oskarżony.

- W przemówieniu telewizyjnym w poniedziałek prezydent ogłosił, że kwarantanna dopiero się rozpoczęła.

- A więc będą dalsze działania?

- To właśnie miał na myśli.

- Ale co konkretnie zrobi?

George uśmiechnął się, zdając sobie sprawę, że jest sondowany.

- Rozglądaj się uważnie - odparł.

Kiedy wrócił do biura, okazało się, że Bobby jest wściekły. Nie wyrażał tego za pomocą wrzasków i przekleństw i nie rzucał przedmiotami. Jego gniew był zimny, przenikliwy. Ci, którzy go znali, opowiadali o przerażającym spojrzeniu jego niebieskich oczu.

- Kto go tak wkurzył? - spytał George Dennisa Wilsona.

- Tim Tedder. Facet wysłał na Kubę trzy grupy infiltracyjne po sześciu ludzi. A następne czekają w kolejce.

- Co? Jak to? Kto wydał polecenie CIA?  
- To część operacji Mangusta i wygląda na to, że nikt jej nie zakończył.  
- Ależ w ten sposób mogą na własną rękę doprowadzić do wybuchu trzeciej wojny światowej!

- Właśnie dlatego Bobby tak się wścieka. Poza tym dwuosobowa grupa dostała zadanie wysadzenia kopalni miedzi i niestety utracono z nią łączność.

- Pewnie ci dwaj siedzą teraz w więzieniu i na prośbę sowieckich agentów rysują plany placówki CIA w Miami.

- Taak.

- Najgłupsza chwila, żeby robić coś takiego. I to z wielu powodów - stwierdził George.  
- Kuba szykuje się do wojny. Castro zawsze dba o bezpieczeństwo, ale teraz kraj jest w stanie podwyższonej gotowości.

- Otóż to. Bobby za parę minut wybiera się do Pentagonu na posiedzenie w sprawie operacji Mangusta i myślę, że ukrzyżuje Teddera.

George nie towarzyszył Robertowi w Pentagonie. Nadal nie zapraszano go na narady dotyczące Mangusty i przyjmował to z ulgą. Wycieczka do La Isabela utwierdziła go w przekonaniu, że operacja ma charakter przestępczy, i nie chciał mieć z nią więcej do czynienia.

Usiadł przy biurku, lecz trudno mu było się skupić. Kwestia praw obywatelskich zeszła na dalszy plan; w tym tygodniu nikomu nie chciało się myśleć o równości dla Murzynów.

Miał wrażenie, że kryzys wymyka się prezydentowi spod kontroli. Wbrew temu, co podsuwał mu rozsądek, Kennedy wydał rozkaz wkroczenia na pokład Marucli. Obyło się bez kłopotów, ale co się stanie następnym razem? Na Kubie znajdowała się już taktyczna broń jądrowa. Ameryka wciąż może dokonać inwazji, lecz cena będzie wysoka. A jakby zagrożenie nie było wystarczająco duże, CIA dalej toczyła własną grę.

Wszystkim zależało na obniżeniu temperatury, działo się jednak coś przeciwnego: mimo że nikt tego nie chciał, kryzys narastał, osiągając koszmarny rozmiar.

Po południu Bobby wrócił z Pentagonu z wydrukowanym doniesieniem prasowym w dłoni.

- Co to ma być, u diabła? - spytał, zwracając się do asystentów. Zaczął czytać: - „W reakcji na przyspieszenie budowy instalacji raketowych na Kubie spodziewane są szybkie działania prezydenta Kennedy’ego”. - Uniósł palec i dokończył: - „Według źródeł zbliżonych do prokuratora generalnego”. - Bobby rozejrzał się. - Kto się wygadał?

- O kurwa - powiedział George.

Wszyscy spojrzeli na niego.

- Masz mi coś do powiedzenia, George?

Zapytany najchętniej zapadłby się pod ziemię.

- Przepraszam, ja tylko zacytowałem fragment przemówienia prezydenta, w którym zapowiada, że kwarantanna to jedynie początek.

- Nie wolno mówić takich rzeczy dziennikarzom! Podsunąłeś facetowi nowy temat.

- O rany, nie wiedziałem.

- I przyczyniłeś się do eskalacji kryzysu, który staramy się załagodzić. Następny artykuł będzie pełen spekulacji o tym, co prezydent miał na myśli. A kiedy nic nie zrobi, napiszą, że się waha.

- Rozumiem.

- Dlaczego w ogóle z nim rozmawiałeś?

- Przedstawiono mi go w Białym Domu, a później szedł ze mną Pennsylvania Avenue.

- Czy ten kawałek pochodzi z Agencji Reutera? - spytał Dennis Wilson.

- Tak, a co?

- Pewnie napisał go Lee Montgomery.

George aż jęknął w środku. Wiedział, co będzie dalej. Wilson specjalnie przedstawiał incydent w najgorszym świetle.

- Dlaczego tak sądzisz? - zapytał Kennedy.

Wilson zawahał się, więc George odpowiedział za niego:

- Montgomery jest Murzynem.

- To jest powód, dla którego z nim rozmawiałeś?

- Zdaje się, że nie chciałem posyłać go do diabła.

- Następnym razem właśnie tak masz powiedzieć każdemu dziennikarzowi, który spróbuje coś od ciebie wyciągnąć, bez względu na kolor skóry.

George z ulgą przyjął słowa „następnym razem”, ponieważ oznaczały, że nie wylatuje z pracy.

- Dziękuję, zapamiętam to sobie.

- Oby tak było - rzekł Bobby i wszedł do swojego gabinetu.

- Upiekło ci się - powiedział Wilson do George'a. - Szczęśliwy z ciebie drań.

- Taak - odparł George i dodał z przekąsem: - Dzięki za pomoc.

Wszyscy wrócili do swoich zajęć. George nie mógł uwierzyć, że popełnił taki błąd. Mimowolnie dolał oliwy do ognia.

Nadal siedział przygnębiony, gdy odebrał połączenie z Atlanty.

- Cześć, George, tu Verena Marquand.

Ucieszył się, słysząc jej głos.

- Jak się masz?

- Martwię się.

- Wraz z całym światem.

- Doktor King kazał mi zadzwonić i dowiedzieć się, jaka jest sytuacja.

- Zapewne wiesz tyle samo co ja - odparł George. Nadal doskwierała mu reprimenda Bobby'ego i nie zamierzał ryzykować po raz wtóry. - Wszystko albo prawie wszystko jest w gazetach.

- Naprawdę zaatakujemy Kubę?

- To wie tylko prezydent.

- Wybuchnie wojna jądrowa?

- A tego nawet on nie wie.

- Stęskniłam się za tobą, George. Chciałabym usiąść z tobą i po prostu pogadać.

To go zaskoczyło. Nie poznał dobrze Vereny na Harvardzie i nie widział się z nią od pół roku. Nawet się nie spodziewał, że lubi go na tyle, by za nim tęsknić. Nie wiedział, co odpowiedzieć.

Na szczęście w słuchawce znowu usłyszał głos Vereny:

- Co mam przekazać doktorowi Kingowi?

- Powiedz mu... - George zrobił pauzę i pomyślał o ludziach otaczających prezydenta Kennedy'ego: o generałach z rozpalonymi głowami pragnących natychmiastowej wojny, o agentach CIA udających Jamesa Bonda, o dziennikarzach, którzy roztropność prezydenta nazywali niezdecydowaniem. - Powiedz mu, że ster trzyma najmądrzejszy człowiek w Stanach Zjednoczonych, lepszego nie moglibyśmy sobie wymarzyć.

- Tak zrobię - odrzekła Verena i rozłączyła się.

George zastanawiał się, czy wierzy w to, co powiedział. Pragnął zniechęcić Jacka Kennedy'ego za sposób, w jaki ten potraktował Marię. Ale czy ktoś poradziłby sobie z bieżącym kryzysem lepiej niż on? Nie. George nie wyobrażał sobie innego człowieka, który łączyłby w odpowiednich proporcjach odwagę, mądrość, powściągliwość i spokój.

Późnym popołudniem Wilson odebrał telefon, a potem oznajmił wszystkim obecnym:

- Otrzymał list od Chruszczowa. Przechodzi przez Departament Stanu.

- Co w nim jest? - zapytał ktoś.

- Jak dotąd wiemy niewiele - odparł Wilson i zajrzał do notesu. - Jeszcze nie mamy całości. „Grozicie nam wojną, ale dobrze wiecie, że odpowiedzielibyśmy co najmniej w taki

sam sposób i doświadczylibyście takich samych skutków...” Dostarczono go do naszej ambasady w Moskwie tuż przed dziesiątą naszego czasu.

- O dziesiątej! - zauważył George. - Jest osiemnasta. Dlaczego to tak długo trwa?

Wilson odpowiedział znudzonym protekcyjnym tonem, jakby tłumaczył nowicjuszowi elementarne zasady:

- Nasi ludzie w Moskwie muszą przetłumaczyć go na angielski, a następnie zaszyfrować i wystukać na maszynie. Później tu, w Waszyngtonie, urzędnicy Departamentu Stanu muszą go odszyfrować i znów napisać na maszynie. Każde słowo trzeba sprawdzić potrójnie, zanim prezydent rozpocznie działania. To długi proces.

- Dziękuję - rzekł George. Wilson był zadufanym bubkiem, ale dużo wiedział.

Był piątkowy wieczór, lecz nikt nie wybierał się do domu.

Wiadomość od Chruszczowa docierała do nich po kawałeczku. Jak należało się spodziewać, to, co najważniejsze, znalazło się na końcu. Chruszczow napisał, że jeśli Stany Zjednoczone przyrzekną, że nie przeprowadzą inwazji na Kubę, „zniknie konieczność, by przebywali tam nasi specjaliści wojskowi”.

Była to kompromisowa propozycja i należało się z niej cieszyć. Ale co dokładnie oznaczała?

Zapewne to, że Sowieci wycofają z Kuby swoją broń jądrową. Inne rozwiązania by się nie liczyły.

Jednak czy Stany Zjednoczone mogły złożyć zobowiązanie, że nie przeprowadzą inwazji na Kubę? Czy prezydent Kennedy w ogóle zechce rozważyć sytuację, w której będzie miał związane ręce? Zdaniem George'a porzucenie wszelkiej nadziei na pozbycie się Fidela Castro będzie dla niego bardzo przykre.

Jak na taki układ zareaguje świat? Czy zostanie on uznany za triumf polityki zagranicznej Chruszczowa? A może światowa opinia publiczna stwierdzi, że Kennedy zmusił Sowietów do wycofania się?

George nie potrafił ocenić, czy jest to pomyślne rozwiązanie kryzysu.

Larry Mawhinney wsunął przez drzwi swoją głowę z krótko ostrzyżoną czupryną.

- Kuba ma broń atomową krótkiego zasięgu.

- Wiemy o tym - odparł George. - CIA wczoraj ją wykryła.

- To znaczy, że my także musimy ją mieć - stwierdził Larry.

- Jak to?

- Siły inwazyjne, które uderzą na Kubę, muszą być wyposażone w taktyczne pociski jądrowe.

- Naprawdę?

- Oczywiście! Szefowie połączonych sztabów będą się tego domagali. Wysłałbyś naszych żołnierzy na pole bitwy z gorszym uzbrojeniem niż to, które ma wróg?

Miał rację, George był tego świadom, lecz konsekwencje wydały mu się straszliwe.

- Więc teraz każda wojna z Kubą musi być wojną atomową, od samego początku.

- No właśnie, cholera - potwierdził Larry i wyszedł.

George wysiadł przed domem matki. Jacky zaparzyła kawy i postawiła przed nim talerz z ciastkami. Nie wziął ani jednego.

- Widziałem się wczoraj z Gregiem.

- Jak się miewa?

- Tak jak zawsze, tylko że... Powiedział mi, że nic lepszego ode mnie nie przydarzyło mu się w życiu.

- Hm! - prychnęła lekceważąco matka. - A co go do tego skłoniło?

- Chciał, żebym wiedział, że jest ze mnie dumny.

- Proszę, proszę. Nadal jest w tym człowieku coś dobrego.

- Kiedy ostatnio widziałaś Lva i Margę?

Jacky spojrzała podejrzliwie na syna.

- Co to za pytanie?

- Lubicie się z babcią Margą.

- To dlatego, że cię kocha. Kiedy ktoś kocha twoje dziecko, to jest bardzo miłe. Sam zobaczysz, gdy będziesz miał dzieci.

- Nie spotkałaś się z nią od ceremonii wręczenia dyplomów, czyli ponad rok.

- Owszem, to prawda.

- W weekend nie pracujesz.

- Klub jest zamknięty w soboty i niedziele. Kiedy byłeś mały, musiałam brać wolne w weekendy, żeby zająć się tobą, bo nie szedłeś do szkoły.

- Pierwsza Dama zabrała Caroline i Johna juniora do Glen Ora.

- I pewnie uważasz, że powinnam pojechać do domku na wsi w Wirginii i pojeździć kilka dni na koniach?

- Mogłabyś odwiedzić Margę i Lva w Buffalo.

- Jechać na weekend do Buffalo? - spytała z niedowierzaniem Jacky. - Zlituj się, dziecko! Całą sobotę spędziłabym w pociągu, jadąc tam, i niedzielę także, bo musiałabym wrócić.



- Mogłabyś polecieć samolotem.
- Nie stać mnie.
- Kupię ci bilet.
- Dobry Boże. Ty myślisz, że Rosjanie zbombardują nas w ten weekend, prawda?
- Nigdy nie było to bardziej możliwe. Jedź do Buffalo.

Jacky dopiła kawę, wstała i podeszła do zlewu, by umyć kubek.

- A co będzie z tobą? - spytała po chwili.
- Muszę zostać i zrobić wszystko, co się da, by temu zapobiec.

Matka z determinacją pokręciła głową.

- Nie pojedę do Buffalo.
- Byłoby mi o wiele lżej na sercu, mamó.
- Jeśli chcesz ulżyć sercu, pomódl się do Pana.
- Wiesz, co powiadają Arabowie? „Miej ufność w Allacha, lecz spętaj wielbłąda”.

Pomodlę się, jeśli pojedziesz do Buffalo.

- Skąd wiesz, że Rosjanie nie zbombardują Buffalo?

- Nie wiem tego na pewno, sądzę jednak, że to drugorzędny cel. I być może jest poza zasięgiem rakiet na Kubie.

- Słaba argumentacja jak na prawnika.

- Mówię poważnie, mamó.

- Ja też - odparła Jacky. - Dobry z ciebie syn, martwisz się o matkę. Ale posłuchaj mnie.

Odkąd skończyłam szesnaście lat, poświęcam życie tylko temu, by cię wychować. Jeśli wszystko to ma zdmuchnąć atomowy błysk, nie chcę przeżyć i o tym wiedzieć. Zostanę tam, gdzie ty jesteś.

- Albo oboje przetrwamy, albo oboje zginiemy.

- Pan daje, Pan odbiera - zacytowała. - Błogosławione niech będzie imię Pańskie.

Stany Zjednoczone dysponowały ponad dwustoma pociskami z głowicami jądrowymi, które mogły osiągnąć Związek Radziecki - tak twierdził wuj Dimki Wołodia z wywiadu Armii Czerwonej. Jego zdaniem Amerykanie uważali, że Związek Radziecki ma około połowy tej liczby rakiet międzykontynentalnych. W rzeczywistości ZSRR miał ich dokładnie czterdzieści dwie.

Niektóre z nich były przestarzałe.

Kiedy Stany Zjednoczone nie odpowiedziały od razu na kompromisową radziecką propozycję, Chruszczow rozkazał, by przygotowano do startu nawet najstarsze i najbardziej

niepewne pociski balistyczne.

Wczesnym rankiem w sobotę Dimka zadzwonił do bazy Bajkonur w Kazachstanie, w której prowadzono testy rakiet. Znajdowały się tam dwie pięciosilnikowe semiorki, przestarzałe rakiety R-7 - takie same jak ta, która przed pięcioma laty wyniosła na orbitę Sputnika. Przygotowywano je do wystrzelenia z sondą marsjańską.

Dimka odwołał lot na Marsa. Semiorki zaliczały się do rakiet interkontynentalnych. Były potrzebne do użycia w trzeciej wojnie światowej.

Polecił naukowcom, by umieścili w obu głowice atomowe i napełnili zbiorniki paliwem.

Przygotowania do wystrzelenia trwały dwadzieścia godzin. R-7 korzystały z niestabilnego paliwa płynnego i nie można było utrzymywać ich w gotowości dłużej niż jeden dzień. Należało ich użyć w najbliższy weekend lub wcale.

Semiorki często wybuchały podczas startu. Gdyby jednak nie eksplodowały, mogły dolecieć do Chicago.

Każda miała przenosić bombę o mocy dwóch i ośmiu dziesiątych megatony.

Gdyby jedna z nich trafiła w cel, zmiotłaby wszystko w promieniu jedenastu kilometrów od centrum Chicago: od brzegu jeziora po Oak Park. Tak wynikało z atlasu, z którego Dimka korzystał.

Upewniwszy się, że oficer dowodzący należycie zrozumiał jego rozkazy, Dimka położył się spać.

## ROZDZIAŁ 19

Dzwonek telefonu obudził Dimkę. Jego serce uderzyło mocniej - czy to wojna? Ile minut życia mu pozostało? Chwycił słuchawkę. To była Natalia, jak zwykle pierwsza miała najnowsze wiadomości:

- Jest depesza od Plijewa.
- Co? - powiedział Dimka. - I co pisze?
- Uważają, że Amerykanie uderzą dzisiaj o świcie ich czasu.

W Moskwie nadal było ciemno. Dimka zapalił lampkę nocną i spojrzał na zegarek. Była ósma rano, już powinien być na Kremlu. Ale do świtu na Kubie zostały jeszcze cztery godziny. Jego serce odrobinę zwolniło.

- Skąd wiedzą?
- Nie to jest najważniejsze - rzuciła niecierpliwie Natalia.
- A co?
- Posłuchaj ostatniego zdania: „Postanowiliśmy, że w razie ataku USA na nasze instalacje użyjemy wszystkich dostępnych środków obrony powietrznej”. Użyją głowic jądrowych.

- Nie wolno im tego zrobić bez naszej zgody!
- Ale to właśnie proponują.
- Malinowski im nie pozwoli.
- Nie założyłabym się o to.

Dimka zaklął pod nosem. Czasem naprawdę można było odnieść wrażenie, że wojskowi pragną atomowej zagłady.

- Spotkajmy się w bufecie.
- Daj mi pół godziny.

Najpierw szybko wykapał się pod prysznicem. Matka chciała mu podać śniadanie, ale odmówił; wcisnęła mu kromkę czarnego żytniego chleba na drogę.

- Nie zapomnij, że dzisiaj są urodziny dziadka - przypomniała.

Grigorij obchodził siedemdziesiąte czwarte urodziny i w jego mieszkaniu miało się odbyć duże przyjęcie. Dimka obiecał, że przyprowdzi Ninę. Zamierzali zrobić wszystkim niespodziankę, ogłaszając zaręczyny.

- Jeśli jednak Amerykanie uderzą na Kubę, przyjęcia nie będzie.

Ania zatrzymała syna, kiedy wychodził.

- Powiedz mi prawdę. Co się stanie?

Objął ją.

- Przykro mi, mamó. Nie mam pojęcia.

- Twoja siostra jest na Kubie.

- Wiem.

- Bezpośrednio na linii ognia.

- Amerykanie mają rakiety międzykontynentalne. Wszyscy jesteśmy na linii ognia.

Przytuliła go, a potem się odwróciła.

Dimka pojechał motocyklem. Wszedł do gmachu Prezydium. Natalia czekała w bufecie. Tak samo jak on ubierała się w pośpiechu i wyglądała odrobinę nieporządnie. Włosy opadały jej na twarz w sposób, który Dimka uznał za uroczy. Muszę przestać tak myśleć, zganiał się, postąpię jak należy, ożenię się z Niną i będziemy wychowywali nasze dziecko.

Ciekawe, co powie Natalia, kiedy ją o tym poinformuję.

Ale to nie była właściwa chwila. Wyjął z kieszeni chleb.

- Szkoda, że nie ma herbaty. - Drzwi bufetu były otwarte, lecz nikt jeszcze nie obsługiwał.

- Słyszałam, że w Stanach Zjednoczonych restauracje otwierane są, kiedy ktoś chce coś zjeść albo się napić, a nie wtedy, gdy obsłudze chce się pracować - powiedziała Natalia. - Myślisz, że to prawda?

- Pewnie propaganda - mruknął Dimka i usiadł.

- Napiszmy szkic odpowiedzi dla Plijewa - zaproponowała i otworzyła notes.

Dimka jadł chleb, koncentrując się na zadaniu.

- Prezydium powinno zakazać Plijewowi użycia broni atomowej bez specjalnych rozkazów z Moskwy.

- Wolalabym zakazać mu montowania głowic w raketach. Wtedy nie będzie można odpalić ich przez przypadek.

- Słusznie.

Do bufetu wszedł Jewgienij Filipow. Miał na sobie brązowy pulower i szarą marynarkę.

- Dzień dobry, Filipow, przyszedłeś, żeby mnie przeprosić?

- Za co?

- Powiedziałeś, że to przeze mnie wyciekła tajna informacja o pociskach na Kubie. Sugerowałeś nawet, że powinno się mnie aresztować. Teraz wiemy, że pociski sfotografował samolot szpiegowski CIA. Jesteś mi winien potężne przeprosiny, to jasne.

- Nie bądź śmieszny - zaperzył się Filipow. - Nie przypuszczaliśmy, że na zdjęciach

zrobionych z dużej wysokości można zobaczyć coś tak małego jak pocisk raketowy. Co wy tu we dwójkę knujecie?

Natalia odpowiedziała zgodnie z prawdą.

- Rozmawiamy o porannej depeszy od Plijewa.

- Już rozmawiałem o niej z Malinowskim. - Filipow pracował w Ministerstwie Obrony, którym kierował Malinowski. - Podziela zdanie Plijewa.

Dimka się przeraził.

- Nie wolno pozwolić, by Plijew z własnej inicjatywy rozpoczął trzecią wojnę światową!

- Nie rozpocznie jej, będzie jedynie bronił naszych wojsk przed amerykańską napaścią.

- Poziom intensywności obrony nie powinien zależeć od decyzji podjętej na miejscu.

- Może nie być czasu na inne rozwiązanie.

- Plijew musi go znaleźć, a nie inicjować wymianę ciosów atomowych.

- Malinowski uważa, że trzeba bronić środków wojskowych, które mamy na Kubie.

Gdyby Amerykanie je zniszczyli, osłabiliby naszą zdolność obrony ZSRR.

Dimka nie brał tego pod uwagę. Na Kubie znalazła się pokaźna część radzieckich zasobów broni jądrowej. Amerykanie mogli zniszczyć całe to kosztowne uzbrojenie, dotkliwie osłabiając Związek Radziecki.

- Nie - zaproponowała Natalia. - Cała nasza strategia musi się opierać na zasadzie nieużywania broni jądrowej. Dlaczego? Bo mamy jej bardzo mało w porównaniu z amerykańskim arsenałem. - Oparła się na blacie stołu. - Posłuchaj mnie, Jewgienij. Jeżeli doszłoby do totalnej wojny atomowej, oni wygrają. - Wyprostowała się. - Dlatego możemy się przechwalać, możemy pohukiwać, ale nie wolno nam odpalić naszych pocisków. Dla nas wojna jądrowa to samobójstwo.

- Ministerstwo Obrony Narodowej patrzy na to inaczej.

Natalia się zawahała.

- Mówisz tak, jakby decyzja już zapadła.

- Owszem, Malinowski poparł propozycję Plijewa.

- Chruszczowowi się to nie spodoba - oznajmił Dimka.

- Wprost przeciwnie - odrzekł Filipow. - Wyraził zgodę.

Dimka uświadomił sobie, że ominęły go poranne debaty, bo bardzo późno położył się spać. Znalazł się przez to w niekorzystnej sytuacji.

- Chodźmy - powiedział do Natalii, wstając.

Wyszli z bufetu i stanęli przed windą.

- Cholera, musimy doprowadzić do cofnięcia tej decyzji - stwierdził Dimka.

- Jestem pewna, że Kosygin zechce podnieść tę kwestię na dzisiejszym posiedzeniu Prezydium.

- Może przepisałaś na maszynie rozkaz, który naszkicowaliśmy, i zaproponowała Kosyginowi, żeby przyniósł go na naradę? Ja postaram się zmiękczyć Chruszczowa.

- Dobrze.

Rozdzielili się i Dimka poszedł do gabinetu Chruszczowa. Pierwszy sekretarz czytał tłumaczenia artykułów z zachodnich gazet; każde było przypięte do wyciętego oryginału.

- Czytałeś tekst Waltera Lippmanna?

Lippmann był zrzeszonym w związku dziennikarskim felietonistą o liberalnych poglądach. Mówiło się, że jest blisko prezydenta Kennedy'ego.

- Nie - odparł Dimka, który jeszcze nie zdążył przejrzeć prasy.

- Proponuje wymianę: my wycofamy nasze pociski z Kuby, a oni swoje z Turcji. To wiadomość dla mnie od Kennedy'ego!

- Lippmann to tylko dziennikarz...

- Nie, nie. Jest tubą prezydenta.

Dimka wątpił, czy demokracja amerykańska funkcjonuje w ten sposób, ale nic nie odpowiedział.

- To znaczy, że jeśli proponujemy taką wymianę, Kennedy się zgodzi - ciągnął Chruszczow.

- Ale już wysunęliśmy inną ofertę. Amerykanie mieliby się zobowiązać, że nie napadną na Kubę.

- A więc pozwólmy Kennedy'emu dalej zgadywać!

Z pewnością będzie zdezorientowany, pomyślał Dimka. Taki był sposób postępowania Chruszczowa. Spójność i konsekwencja? Ale po co, one tylko ułatwiają życie wrogowi.

Dimka zmienił temat.

- Na posiedzeniu Prezydium padną pytania o depeszę od Plijewa. Dostał pełnomocnictwa sięgnięcia po broń jądrową...

- Nie ma obawy - wpadł mu w słowo Chruszczow, machając lekceważąco ręką. - Amerykanie teraz nie uderzą. Rozmawiają nawet z sekretarzem generalnym ONZ. Chcą pokoju.

- Oczywiście - rzekł z szacunkiem Dimka. - Chciałem tylko, żebyście wiedzieli, czego się spodziewać na posiedzeniu.

- Tak, tak.

Kilka minut później przywódcy Związku Radzieckiego zebrali się w wyłożonej boazerią sali prezydialnej. Chruszczow otworzył naradę długim wystąpieniem, w którym przekonywał, że czas na amerykański atak minął. Następnie przytoczył, jak to nazwał, ofertę Lippmanna. Propozycja nie wywołała entuzjazmu osób zgromadzonych przy długim stole, lecz nikt nie wysunął sprzeciwu. Większość miała świadomość, że przywódca musi prowadzić dyplomację we własnym stylu.

Chruszczow był tak uradowany nową koncepcją, że od razu w obecności wszystkich podyktował odpowiedź dla Kennedy'ego. Potem polecił, by została odczytana głośno w Radiu Moskwa. W ten sposób ambasada amerykańska mogła przekazać ją do Waszyngtonu z ominięciem czasochłonnego procesu szyfrowania.

Na koniec Kosygin poruszył kwestię depechy Plijewa. Argumentował, że władza nad bronią jądrową musi pozostać w Moskwie, i przeczytał projekt rozkazu, który napisali Dimka i Natalia.

- Tak, tak, wysłać to - rzucił niecierpliwie Chruszczow. Dimka odetchnął z ulgą.

Godzinę później Dimka jechał z Niną windą w domu rządowym.

- Spróbujmy na chwilę zapomnieć o troskach - rzekł. - Nie rozmawiajmy o Kubie. Idziemy na przyjęcie, więc się bawmy.

- Jestem za - odparła Nina.

Znaleźli się przed drzwiami mieszkania dziadków Dimki. Drzwi otworzyła im Katerina. Była ubrana w czerwoną sukienkę. Dimka ze zdumieniem zobaczył, że sukienka zgodnie z najnowszą zachodnią modą sięga do kolan i że jego babka nadal ma szczupłe nogi. Mieszkała na Zachodzie, kiedy mąż był w dyplomacji, wtedy nauczyła się ubierać bardziej stylowo niż większość radzieckich kobiet.

Zlustrowała Ninę od góry do dołu z bezceremonialną ciekawością starszych ludzi.

- Dobrze wyglądasz - stwierdziła, a Dimka nie wiedział, dlaczego powiedziała to nieco osobliwym tonem.

Nina potraktowała jej słowa jak komplement.

- Dziękuję, wy również. Skąd wzięliście taką suknię?

Katerina zaprowadziła gości do dużego pokoju. Dimka pamiętał, że przesiadywał w nim jako dziecko. Babcia zawsze częstowała go tradycyjnymi rosyjskimi cukierkami o smaku jabłkowym. Ślinka napłynęła mu do ust, chętnie zjadłby jednego także teraz.

Gospodyni poruszała się trochę niepewnie w szpilkach. Grigorij jak zwykle siedział w fotelu naprzeciwko telewizora, mimo że odbiornik był wyłączony. Już zdążył otworzyć butelkę wódki. Może właśnie dlatego babcia ciut się chwiała.

- Wszystkiego najlepszego z okazji urodzin, dziadku - rzekł Dimka.

- Napij się - odparł Grigorij.

Dimka musiał uważać, bo Chruszczow miałby niewielki pożytek z pijanego asystenta. Wychylił kieliszek, który podał mu Grigorij, a potem odstawił go poza jego zasięgiem, tak by dziadek nie mógł mu dolać.

Jego matka już była u rodziców i pomagała babce. Wyszła z kuchni, niosąc talerz krakersów z czerwonym kawiolem. Nie odziedziczyła elegancji Kateriny. Cokolwiek włożyła, zawsze sprawiała wrażenie przyjemnie przysadzistej.

Ucałowała Ninę na powitanie.

Zadzwoił dzwonek u drzwi i wszedł wujek Wołodia z rodziną. Miał czterdzieści osiem lat, jego krótko ostrzyżone włosy były siwe. Zjawił się w mundurze, w każdej chwili mógł zostać wezwany na służbę. Za Wołodią podążała Zoja. Zbliżała się do pięćdziesiątki, lecz nadal wyglądała jak bladolica rosyjska bogini. Dwoje nastoletnich kuzynów Dimki, Kotia i Galina, weszło za matką.

Dimka przedstawił Ninę. Wołodia i Zoja przywitali ją ciepło.

- Teraz jesteśmy w komplecie! - oznajmiła Katerina.

Dimka rozejrzał się wokół, popatrzył na dwoje dziadków, od których wszystko się zaczęło, na pospolitą matkę i jej przystojnego niebieskookiego brata, na piękną ciotkę i swoich młodocianych kuzynów oraz na ponętą rudowłosą dziewczynę, z którą zamierzał się ożenić. To była jego rodzina, najcenniejsza część wszystkiego, co poszłoby dzisiaj na zatrete, gdyby spełniły się jego obawy. Wszyscy mieszkali w promieniu dwóch kilometrów od Kremla. Jeśli dziś wieczorem Amerykanie zasypią Moskwę pociskami jądrowymi, osoby zgromadzone w pokoju będą leżały rano martwe: ich mózgi się zagotują, ciała ulegną zdruzgotaniu, skóra spali się na czarno. Jedyne pocieszenie dawała Dimce myśl, że nie będzie musiał ich opłakiwać, ponieważ sam także zginie.

Wypili zdrowie Grigorija.

- Szkoda, że nie ma z nami mojego małego brata Lwa - powiedział solenizant.

- I Tani - dodała Ania.

- Lev Peshkov nie jest już mały, tato - zauważył Wołodia. - Ma sześćdziesiąt siedem lat i jest milionerem w Ameryce.

- Ciekawe, czy ma wnuki w tej Ameryce.

- Nie w Ameryce - odparł Wołodia. Wywiad Armii Czerwonej mógł łatwo zdobyć takie informacje, Dimka wiedział o tym. - Nieślubny syn Lwa, Greg, senator, jest kawalerem. Ale jego prawowita córka Daisy mieszka w Londynie i ma dwoje dzieci, chłopca i dziewczynę. Są



mniej więcej w wieku Kotii i Galiny.

- A więc mam brytyjskich prabratanków - stwierdził z rozbawieniem Grigorij. - Jakie imiona noszą? Pewnie John i Bill. - Pozostali roześmieli się, słysząc dziwnie brzmiące angielskie imiona.

- David i Evie - poinformował Wołodia.

- Wiecie, to ja miałem być tym, który wyjedzie do Ameryki - mówił Grigorij. - Ale w ostatniej chwili musiałem oddać bilet Lwowi. - Zaczął snuć wspomnienia. Jego bliscy znali już tę historię, chętnie jednak słuchali, pozwalając mu folgować sobie w dniu urodzin.

Po chwili Wołodia wziął Dimkę na stronę.

- Jak przebiegło poranne posiedzenie Prezydium?

- Wydali Plijewowi rozkaz, by nie odpalał broni jądrowej bez specjalnych rozkazów z Kremla.

- Marnowanie czasu - burknął lekceważąco Wołodia.

- A to czemu? - zdziwił się Dimka.

- Taki rozkaz niczego nie zmienia.

- Chcesz powiedzieć, że Plijew go nie wykona?

- Myślę, że żaden dowódca by nie wykonał. Nie brałeś nigdy udziału w bitwie, co? - Wołodia zmierzył Dimkę przenikliwym spojrzeniem. - Kiedy cię atakują, kiedy bijesz się o życie, bronisz się wszystkim, co ci wpadnie w ręce. To jest w trzewiach, nie panujesz nad tym. Jeśli Amerykanie uderzą na Kubę, nasze siły rzucą przeciw nim wszystko bez względu na rozkazy Moskwy.

- Szlag - zaklął Dimka. Jeśli Wołodia miał rację, wszystkie wysiłki podjęte rano poszły na marne.

Opowieść dziadka dobiegła końca. Nina dotknęła ręki Dimki.

- Teraz jest dobry moment.

Dimka zwrócił się do rodziny.

- Oddaliśmy cześć dziadkowi z okazji urodzin, chcę teraz coś ogłosić. Proszę o ciszę. - Zaczekał, aż nastoletni kuzyni zamilkną. - Poprosiłem Ninę, by za mnie wyszła, a ona przyjęła oświadczyzny.

Wszyscy zaczęli bić brawo.

Nalano wódki do kieliszków, lecz Dimka zdołał się wymówić.

Ania go pocałowała.

- Brawo, synku. Nina nie chciała wychodzić za mąż, dopóki ciebie nie poznała!

- Może niebawem będę miał prawnuki! - powiedział Grigorij i puścił oko do Niny.

- Tato, nie zawstydzaj biednej dziewczyny - odrzekł Wołodia.
- Ja miałbym ją zawstydząć? Bzdura. Jesteśmy przyjaciółmi.
- Nie ma obawy - odezwała się Katerina, która była już pijana. - Nina już jest w ciąży.
- Mamo! - zaprotestował Wołodia.

Wzruszyła ramionami.

- Kobieta widzi takie rzeczy.

A więc to dlatego tak dokładnie przyglądała się Ninie, kiedy wchodziliśmy, pomyślał Dimka. Zobaczył, że Wołodia i Zoja wymieniają spojrzenia. Wołodia uniósł brwi, a jego żona lekko skinęła głową. Wujek powiedział „Och!” ruchem ust.

Ania była wstrząśnięta.

- Przecież mówiłaś...
- Wiem - wpadł jej w słowo Dimka. - Myśleliśmy, że Nina nie może mieć dzieci, ale lekarze się pomylili!

Grigorij znów wznosił kieliszek.

- Zdrowie lekarzy, którzy popełniają błędy! Chcę chłopca, Nino. Mój prawnuczek przedłuży ród Peszkowów-Dworkinów!

Nina się uśmiechnęła.

- Zrobię, co w mojej mocy, Grigoriju Siergiejewiczu.

Twarz Ani nadal wyrażała zatroskanie.

- Lekarze popełnili błąd?
- Znacie ich, oni nigdy się do tego nie przyznają - odparła Nina. - Mówią, że to cud.
- Mam tylko nadzieję, że dożyję tego dnia i zobaczę prawnuka - rzekł Grigorij. - Do diabła z Amerykanami. - Wychylił kieliszek.
- Dlaczego Amerykanie mają więcej pocisków niż my? - chciał wiedzieć szesnastoletni Kotia.

Odpowiedziała mu Zoja:

- Kiedy my, naukowcy, zaczęliśmy w tysiąc dziewięćset czterdziestym pracować nad energią jądrową, poinformowaliśmy władze, że można ją będzie wykorzystać do stworzenia supersilnej bomby. Stalin nam nie uwierzył. Dlatego Zachód nas wyprzedził i wciąż wyprzedza. Tak się dzieje, kiedy rządy nie słuchają uczonych.

- Ale nie powtarzaj w szkole tego, co powiedziała matka, dobrze? - dodał Wołodia.
- Kogo to obchodzi? - odezwała się Ania. - Stalin wybił połowę z nas, Chruszczow wykończy drugą.
- Aniu! - sprzeciwił się Wołodia. - Nie przy dzieciach!

- Współczuję Tani - mówiła Ania, puszczając mimo uszu napomnienia brata. - Znalazła się na Kubie i czeka, aż Amerykanie zaatakują. - Rozpłakła się. - Obym jeszcze kiedyś zobaczyła moją małą ślicznotkę. - Po jej policzkach płynęły obfite łzy. - Tylko raz, zanim zginiemy.

W sobotę rano Stany Zjednoczone były gotowe do uderzenia na Kubę.

Larry Mawhinney przekazał George'owi szczegóły w podziemnym Pokoju Dowodzenia Białego Domu. Prezydent nazywał to pomieszczenie gołębnikiem, bo uważał je za zbyt ciasne. Lecz on wychowywał się w wielkich przestronnych domach, a tymczasem sala była większa niż mieszkanie George'a.

Ze słów Mawhinneya wynikało, że siły powietrzne miały pięćset siedemdziesiąt sześć maszyn rozmieszczonych w pięciu bazach i gotowych do uderzenia, które zamieniłoby Kubę w dymiące pogorzelsko. Zgromadzono sto pięćdziesiąt tysięcy żołnierzy mających później dokonać inwazji. Wyspę okrążało dwadzieścia sześć niszczycieli i trzy lotniskowce. Asystent generała LeMaya przedstawiał te dane z dumą, jakby stanowiły miarę jego własnych osiągnięć.

George uważał, że Mawhinney zbyt lekko podchodzi do tematu.

- Wszystko to na nic się nie zda przeciwko pociskom jądrowym.

- Na szczęście my też je mamy - odparł tamten.

To także nie rozwiązywało sprawy.

- W jaki sposób się je odpala? - dociekał George. - Co dokładnie robi prezydent?

- Musi zadzwonić do sztabu w Pentagonie. Telefon w Gabinetcie Ovalnym ma czerwony przycisk, który łączy momentalnie.

- I co dalej?

- Prezydent ma walizkę z czarnej skóry z zestawem kodów, z których musi skorzystać. Walizka wędruje z nim wszędzie...

- A potem...?

- Wszystko dzieje się automatycznie. Jest program o nazwie Zintegrowany Plan Operacyjny. Nasze bombowce startują z trzema tysiącami głowic jądrowych na pokładach i kierują się do celów na terenie państw bloku wschodniego. - Mawhinney zrobił ruch ręką, jakby coś wyrównywał. - Zrównują je z ziemią - zakończył z lubością.

George'owi nie spodobało się to podejście.

- A oni robią to samo z nami.

- Jeśli uda się nam zadać pierwsze uderzenie - odrzekł poirytowany Mawhinney -

możemy zniszczyć większość ich uzbrojenia, zanim oderwie się od ziemi.

- Ale go nie zadamy, bo nie jesteśmy barbarzyńcami i nie chcemy wszczynać wojny atomowej, w której zginęłyby miliony.

- I w tym wy, politycy, się mylicie. Pierwsze uderzenie to droga do zwycięstwa.

- Nawet jeżeli zrobimy tak, jak chcecie, zniszczymy tylko większość ich broni, zgodnie z tym, co powiedziałaś.

- To jasne, że nie sto procent.

- A zatem, cokolwiek się stanie, bomby i tak spadną na USA.

- Wojna to nie piknik - zauważył gniewnie Mawhinney.

- Jeśli jej unikniemy, będziemy mogli dalej piknikować.

Larry spojrzął na zegarek.

- O dziesiątej jest posiedzenie ExCommu.

Wyszli z Pokoju Dowodzenia i udali się na górę do Sali Gabinetowej. Zbierali się w niej starsi doradcy prezydenta oraz ich asystenci. Prezydent przyszedł kilka minut po dziesiątej. George widział go po raz pierwszy od skrobanki Marii i patrzył na niego inaczej. Ten mężczyzna w średnim wieku ubrany w ciemny garnitur w blade prążki przeleciał młodą kobietę, a później kazał jej iść samej do lekarza. George poczuł przyływ czystej, zajadłej nienawiści. W tej chwili gotów był uśmiercić Jacka Kennedy'ego.

Prezydent tymczasem nie wyglądał jak niegodziwiec. Niemal w sensie dosłownym dźwigał na barkach troski świata i George mimo woli mu współczuł.

Posiedzenie jak zwykle otworzył szef CIA John McCone, przedstawiając raport wywiadowczy. Swoim charakterystycznym sennym tonem przekazał wiadomości tak przerażające, że nikomu nie chciało się spać. Bazy rakiet średniego zasięgu na Kubie uzyskały pełną gotowość operacyjną. W każdej znajdowały się cztery pociski, tak więc w Stany Zjednoczone wymierzonych było dwadzieścia pocisków jądrowych gotowych do odpalenia.

Przynajmniej jeden z nich mierzy w ten budynek, pomyślał ponuro George i ze strachu ścisnęło go w żołądku.

McCone proponował całodobową obserwację baz. Osiem odrzutowców marynarki mogło w każdej chwili wystartować z Key West i na niskiej wysokości przelecieć nad platformami startowymi. Kolejnych osiem wykonałoby taki sam przelot po południu. Po zmierzchu powtórzyłyby ten sam manewr, oświetlając bazy racami. Dodatkowo na dużej wysokości odbywałyby się loty zwiadowcze samolotów szpiegowskich U-2.

George zastanawiał się, co by to dało. Z powietrza można wykryć przygotowania do

wystrzelenia rakiet, ale co poza tym zdołaliby zrobić Amerykanie? Nawet gdyby bombowce wystartowały momentalnie, nie dotarłyby do Kuby przed odpaleniem pocisków.

Istniał jeszcze jeden problem. Oprócz rakiet z głowicami jądrowymi wycelowanymi w terytorium USA Armia Czerwona miała na Kubie pociski ziemia-powietrze do zwalczania samolotów. McCone oznajmił, że wszystkie dwadzieścia cztery baterie SAM są gotowe do użycia, ich radary zostały włączone. Tak więc amerykańskie samoloty przelatujące nad Kubą zostałyby namierzone i wzięte na cel.

Do sali narad wszedł jeden z asystentów z długą wstęgą papieru oderwaną z teleksu i podał ją prezydentowi.

- Wiadomość z placówki Associated Press w Moskwie - oznajmił Kennedy i odczytał ją na głos: - „Premier Chruszczow przekazał wczoraj prezydentowi Kennedy’emu, że wycofa ofensywną broń atomową z Kuby, jeśli Stany Zjednoczone wycofają rakiety z Turcji”.

- Nic podobnego - odezwał się Mac Bundy, doradca do spraw bezpieczeństwa narodowego.

George był zdziwiony nie mniej od innych. We wczorajszym liście Chruszczow zażądał, by USA zobowiązały się, że nie uderzą na Kubę. Nie było w nim nic o Turcji. Czyżby pracownicy Associated Press się pomylili? A może Chruszczow sięgnął po jedną ze swoich sztuczek?

- To może być zapowiedź drugiego listu - domyślił się prezydent.

Okazało się, że tak właśnie jest. Kilka minut później nadeszły następne doniesienia, dzięki którym sytuacja stała się jaśniejsza. Chruszczow szykował zupełnie nową propozycję i nadał ją przez Radio Moskwa.

- Postawił nas w niezręcznej sytuacji - zauważył prezydent Kennedy. - Większość ludzi uzna to za całkiem rozsądną propozycję.

Macowi Bundy’emu to się nie spodobało.

- Co to znaczy „większość ludzi”, panie prezydencie?

- Myślę, że trudno będzie wytłumaczyć, dlaczego chcemy podjąć wrogie działania wojskowe na Kubie, kiedy druga strona mówi: „Zabierzcie swoją broń z Turcji, a my zabierzemy swoją z Kuby”. Wydaje mi się, że to jest czuły punkt.

Bundy przekonywał, że trzeba wrócić do pierwszej propozycji Chruszczowa.

- Po co mielibyśmy ruszać nowym tropem, skoro wczoraj podsunął nam inny?

- To jest ich najnowsza oferta - odparł ze zniecierpliwieniem prezydent. - Na dodatek przedstawili ją publicznie. - Dziennikarze prasowi jeszcze nie wiedzieli o liście Chruszczowa, lecz nowa propozycja została wysunięta za pośrednictwem mediów.

Bundy nie dawał za wygraną. Uważał, że amerykańscy sojusznicy z NATO poczują się zdradzeni, jeśli Stany Zjednoczone będą handlowały pociskami.

Sekretarz obrony Robert McNamara wyraził zdumienie i lęk, które wszyscy odczuwali:

- Odebraliśmy list z propozycją układu, a teraz dostajemy drugi. Jak mamy negocjować z kimś, kto zmienia warunki, zanim zdążymy zareagować?

Nikt nie umiał na to odpowiedzieć.

W tamtą sobotę królewskie poinsecje na ulicach Hawany kwitły jaskrawoczerwonymi kwiatami, które wyglądały jak krwawe plamy na niebie.

Błądym świtem Tania poszła do sklepu i w posepnym nastroju kupiła artykuły na koniec świata: wędlinę, mleko w puszcze, ser topiony, karton papierosów, butelkę rumu oraz baterie do latarki. Mimo wczesnej pory w sklepie ustawiła się kolejka, ale Tania stała w niej zaledwie kwadrans, czyli tyle co nic dla kogoś, kto przywykł do ogonków w Moskwie.

W wąskich uliczkach starego miasta zalegał nastrój sądnego dnia. Hawańczycy nie wymachiwali już maczetami i nie śpiewali hymnu. Zbierali piasek do wiader, by gasić nim pożary, zaklejali papierem okna, by zminimalizować ilość odłamków, przynosili do domów torby z mąką. Popelnili głupstwo, rzucając wyzwanie sąsiadowi, który był supermocarstwem, a teraz miała ich za to spotkać kara. Powinni byli być mądrzejsi.

Czy mieli rację? Czy wojna jest nieunikniona? Tania była pewna, że żaden ze światowych przywódców jej nie chce, nawet Castro, którego przemówienia zaczynały trącić obłędem. Mimo to mogła wybuchnąć. Tania pomyślała posepnie o wydarzeniach 1914 roku. Wtedy także nikt nie chciał wojny. Jednakże cesarz austriacki uważał niepodległość Serbii za zagrożenie. Tak samo jak Kennedy, który jako zagrożenie traktował niepodległość Kuby. A gdy Austria wypowiedziała wojnę Serbii, klocki domina jęły przewracać się w sposób nieunikniony i ze śmiercionośną konsekwencją. Połowa państw świata została wciągnięta w konflikt, który okazał się bardziej okrutny i krwawy niż jakikolwiek wcześniej. Ale chyba tym razem można tego uniknąć?

Jej myśli powędrowały do Wasilija Jenkowa uwięzionego w obozie na Syberii. Jak na ironię Wasilij miał szansę przeżycia wojny atomowej. Kara mogła go ocalić. Tania miała taką nadzieję.

Wróciwszy do mieszkania, włączyła radio nastawione na amerykańską stację nadającą z Florydy. Podawano, że Chruszczow zaproponował Kennedy'emu układ. Zapowiedział, że zabierze pociski z Kuby, jeśli Kennedy postąpi tak samo w Turcji.

Tania spojrzała na puszkę mleka z poczuciem wszechogarniającej ulgi. Może jednak

wojenne racje żywnościowe okażą się zbędne.

Po chwili upomniała samą siebie, że jeszcze za wcześnie na poczucie bezpieczeństwa. Czy Kennedy zgodzi się na propozycję? Czy okaże się mądrzejszy niż ultrakonserwatywnie nastawiony cesarz Franciszek Józef?

Z ulicy dobiegł odgłos klaksonu. Tania od dawna była umówiona z Pazem na wycieczkę do wschodniej części Kuby: miała napisać reportaż o radzieckiej baterii przeciwlotniczej. W gruncie rzeczy nie spodziewała się, że przyjedzie, lecz wyjrzawszy, zobaczyła buicka zaparkowanego przy krawężniku. Wycieraczki zmagaly się z tropikalną ulewą. Wzięła płaszcz i torbę i wyszła.

- Widziałeś, co zrobił twój przywódca? - spytał gniewnie Paz, kiedy wsiadła.

Jego złość ją zaskoczyła.

- Masz na myśli propozycję pokojową?

- Nawet nie zapytał nas o zdanie! - Paz jechał zbyt szybko wąskimi uliczkami.

Tani w ogóle nie przyszło do głowy, że kubańscy przywódcy powinni wziąć udział w negocjacjach. Najwyraźniej Chruszczow także nie widział potrzeby dla takiej kurtuazji. Świat postrzegał kryzys jako starcie supermocarstw, lecz naturalnie Kubańczycy nadal wyobrażali sobie, że chodzi o nich. Propozycję pokojową, która zamajaczyła niewyraźnie na horyzoncie, uznali za zdradę.

Tania musiała uspokoić Paza choćby po to, by zapobiec wypadkowi drogowemu.

- A co byś odpowiedział, gdyby Chruszczow zwrócił się do ciebie?

- Że nie prehandlujemy swojego bezpieczeństwa za bezpieczeństwo Turcji! - odparł generał, waląc dłonią w kierownicę.

Broń jądrowa nie zapewniła Kubie bezpieczeństwa, pomyślała Tania. Wprost przeciwnie. Suwerenność Kuby była teraz bardziej zagrożona niż kiedykolwiek. Rosjanka nie wspominała o tym, by nie rozwścieczać jeszcze bardziej Paza.

Dojechał do lotniska wojskowego pod Hawanę, na którym czekał ich samolot: był to radziecki lekki transportowiec z napędem śmigłowym Jak-16. Tania spojrzała na niego z zainteresowaniem. Nigdy nie zamierzała być korespondentką wojenną, lecz by nie wypaść na ignorantkę, zadała sobie wiele trudu i przyswoiła sobie informacje o sprzęcie, na którym zwykle znali się tylko mężczyźni. Umiała rozpoznawać samoloty, czołgi i okręty. Zauważyła, że samolot został zmodyfikowany dla celów wojskowych: miał zamontowaną na kadłubie wieżyczkę z karabinem maszynowym.

Wraz z Tanią i Pazem w dziesięciomiejscowej kabinie usiadło dwóch majorów z 32 Gwardyjskiego Pułku Przeciwlotniczego. Byli ubrani w jaskrawe kraciaste koszule i spodnie

z mankietami - dzięki temu topornemu kamuflażowi radzieccy żołnierze mieli przypominać Kubańczyków.

Start przyniósł zbyt wiele wrażeń jak na jej gust: na Karaibach była pora deszczowa i wiały porywiste wiatry. Spojrzawszy w dół, Tania widziała między chmurami kratownicę brązowych i zielonych pól pociętych nieregularnymi liniami żółtych gruntowych dróg. Małym samolotem rzucało w powietrzu przez dwie godziny. Później niebo się przejaśniło z typową dla tropików raptownością zmian pogody i lądowanie w pobliżu miejscowości Banés przebiegło gładko.

Powitał ich pułkownik Armii Czerwonej Iwanow, który wiedział już o Tani i artykule, który pisała. Zawiózł gości do bazy przeciwlotniczej. Dotarli na miejsce o dziesiątej czasu kubańskiego.

Baza miała układ sześcioramiennej gwiazdy z punktem dowodzenia w środku i wyrzutniami na wierzchołkach. Obok każdej z nich stała przyczepa transportera z jednym pociskiem ziemia-powietrze. Żołnierze wyglądali żałośnie w zalanych wodą okopach. W punkcie dowodzenia oficerowie uporczywie wpatrywali się w monotennie piszczące zielone ekrany radarów.

Iwanow przedstawił Paza i Tanię majorowi dowodzącemu baterią. Mężczyzna był wyraźnie spięty. Z pewnością wolałby w takim dniu nie przyjmować odwiedzin VIP-ów.

Kilka minut po ich przybyciu zauważono obcy samolot, który wchodził w przestrzeń powietrzną Kuby w odległości trzystu dwudziestu kilometrów na zachód. Przypisano mu nazwę Cel numer 33.

Wszyscy mówili po rosyjsku, toteż Tania musiała tłumaczyć Pazowi.

- To musi być samolot szpiegowski U-Dwa - orzekł. - Nic innego tak wysoko nie lata.

Tania podeszła do tej informacji podejrzliwie.

- Czy to są ćwiczenia? - spytała, zwracając się do Iwanowa.

- Zamierzaliśmy coś zamarkować z myślą o was, ale to dzieje się naprawdę.

Miał tak zatroskaną minę, że mu uwierzyła.

- Ale nie zestrzelimy go, prawda?

- Nie wiem.

- Arogancja Amerykanów! - zżymał się Paz. - Latają prosto nad naszymi głowami! Co by powiedzieli, gdyby kubański samolot przeleciał nad Fort Bragg? Wyobraźcie sobie ich oburzenie!

Major ogłosił alarm bojowy. Radzieccy żołnierze zaczęli przenosić pociski z transporterów na wyrzutnie i podłączać kable. Robili to spokojnie i sprawnie, Tania domyśliła



się, że wielokrotnie ćwiczyli ten manewr.

Kapitan wykreślał kurs samolotu na mapie. Kuba miała podłużny, wąski kształt. Ze wschodu na zachód liczyła tysiąc dwieście pięćdziesiąt kilometrów, lecz z północy na południe zaledwie od osiemdziesięciu do stu sześćdziesięciu. Tania widziała, że U-2 wleciał już osiemdziesiąt kilometrów w głąb wyspy.

- Jaką prędkość osiągają?

- Osiemset kilometrów na godzinę - odparł Iwanow.

- A pułap?

- Dwadzieścia jeden tysięcy metrów, mniej więcej dwa razy tyle co zwykły odrzutowiec pasażerski.

- Naprawdę możemy trafić w cel, który leci tak wysoko i szybko?

- Nie musimy trafić go bezpośrednio. Pocisk ma zapalnik zbliżeniowy, wybucha, kiedy znajdzie się blisko celu.

- Rozumiem, że namierzamy ten samolot - powiedziała Tania. - Ale nie mówcie mi, proszę, że do niego wystrzelimy.

- Major dzwoni, żeby zapytać o rozkazy.

- Ale Amerykanie mogą wykonać atak odwetowy.

- To nie moja decyzja.

Radar śledził wrogi samolot, porucznik odczytujący dane z ekranu ogłosił jego pułap, prędkość i odległość. Radzieccy operatorzy ustawili wyrzutnie, by podążały za Celem numer 33. U-2 przeleciał nad Kubą z północy na południe, a następnie skręcił na wschód i lecąc wzdłuż wybrzeża, zbliżał się do Banes. Wyrzutnie pocisków przeciwlotniczych obracały się powoli na ruchomych podstawach, śledząc go niczym wilki wężące w powietrzu.

- A jeśli wystrzelą przez przypadek? - spytała Tania Paza.

Jednak myśli generała zaprzętało coś innego.

- Robi zdjęcia naszych pozycji! Zostaną wykorzystane przez ich wojska podczas inwazji, która może nastąpić w ciągu paru godzin.

- Jeśli zabijecie amerykańskiego pilota, inwazja stanie się o wiele bardziej prawdopodobna!

Major obserwował radar kontrolny, trzymając słuchawkę przy uchu. Spojrzał na Iwanowa.

- Zwracają się do Plijewa.

Tania wiedziała, że generał Plijew jest głównodowodzącym radzieckich wojsk na Kubie. Ale chyba nie każe zestrzelić amerykańskiego samolotu bez zezwolenia Moskwy.

Maszyna szpiegowska dotarła do najdalej wysuniętego na południe koniuszka Kuby, skręciła i poleciała wzdłuż północnego wybrzeża. Banes leżało nieopodal morza. U-2 leciał takim kursem, że znajdzie się dokładnie nad miejscowością. Jednak w każdej chwili mógł odbić na północ, a później, lecąc z prędkością około półtora kilometra na sekundę, szybko znajdzie się poza zasięgiem rakiet.

- Zestrzelić go! - zawołał Paz. - Natychmiast!

Wszyscy go zignorowali.

Samolot skręcił na północ i znalazł się prawie dokładnie nad baterią przeciwlotniczą na wysokości dwudziestu tysięcy metrów.

Jeszcze tylko kilka sekund, proszę, myślała Tania, modląc się do dowolnego boga.

Ona, Paz i Iwanow wpatrywali się w majora, on zaś nie odrywał wzroku od ekranu. W pomieszczeniu słychać było jedynie piszczenie radaru.

- Tak jest, towarzyszu - powiedział major.

Odroczenie czy wyrok?

Nie odkładając słuchawki, oficer zwrócił się do żołnierzy:

- Zniszczyć Cel numer trzydzieści trzy. Odpalić dwie rakiety.

- Nie! - zaprotestowała Tania.

Coś zaryczało, wyjrzała przez okno. Z wyrzutni oderwał się pocisk i zniknął w mgnieniu oka. Po kilku sekundach wystrzelił drugi. Tania zakryła usta dłonią, czując, że zwymiotuje ze strachu.

Wejście na pułap dwudziestu tysięcy metrów zajmie im około minuty.

Coś może się nie udać, myślała Tania. Pociski mogą być wadliwe, mogą zejść z kursu i spaść do morza, nie wyrządzając nikomu krzywdy.

Na ekranie radaru widać było dwie małe kropki zbliżające się do większej.

Tania modliła się, by chybiły.

Przesuwały się szybko, a później zlały się w jedną.

Paz ryknął triumfalnie.

Ekran wypełniły rozpryskujące się punkciki.

- Cel numer trzydzieści trzy zniszczony - oznajmił major do słuchawki telefonu.

Tania wyjrzała przez okno, jakby mogła zobaczyć samolot U-2 roztrzaskujący się o ziemię.

- Mamy strącenie - oznajmił podniesionym głosem major. - Brawo, żołnierze.

- Co zrobi teraz z nami prezydent Kennedy? - zapytała Tania.

W sobotę po południu George'a przepełniała nadzieja. Wiadomości od Chruszczowa były niespójne i wprowadzały zamieszanie, lecz wyglądało na to, że sowiecki przywódca szuka wyjścia z kryzysu. A prezydent Kennedy z pewnością nie chciał wojny. Jeśli po obu stronach istniała dobra wola, ich dążenia nie mogły spełznąć na niczym.

Po drodze do Sali Gabinetowej George wstąpił do biura prasowego i zastał Marię przy biurku. Była ubrana w elegancką szarą sukienkę, ale miała na głowie jasnoróżową opaskę, jakby chciała pokazać całemu światu, że nic jej nie dolega i jest szczęśliwa. George postanowił nie pytać jej o zdrowie, gdyż najwyraźniej nie życzyła sobie, by traktowano ją jak inwalidkę.

- Jesteś zajęta? - zagadnął.

- Czekamy na odpowiedź prezydenta dla Chruszczowa. Radziecka propozycja padła publicznie, więc spodziewamy się, że amerykańska odpowiedź zostanie przekazana prasie.

- Idę ze swoim szefem na naradę, która będzie poświęcona opracowaniu odpowiedzi.

- Wymiana pocisków na Kubie na pociski w Turcji, to brzmi rozsądnie - stwierdziła Maria. - Zwłaszcza że może ocalić nam życie.

- Oby tak się stało.

- Powiedzonko twojej mamy.

Roześmiał się i ruszył w dalszą drogę. W Sali Gabinetowej doradcy i ich asystenci gromadzili się przed naradą ExCommu, która miała się zacząć o szesnastej. Larry Mawhinney stał wśród gromady asystentów wojskowych.

- Nie możemy dopuścić, żeby oddali Turcję komuchom! - mówił.

George prawie jęknął. Wojskowi wszystko traktowali jak walkę na śmierć i życie. W rzeczywistości nikt nie zamierzał oddawać Turcji. Propozycja dotyczyła paru pocisków, które i tak były przestarzałe. Czy Pentagon naprawdę wystąpi przeciwko układowi pokojowemu? Trudno było w to uwierzyć.

Wszedł prezydent i zajął swoje zwyczajowe miejsce pośrodku długiego stołu, przed oknami. Wszyscy mieli kopie projektu odpowiedzi, który został przygotowany wcześniej. Napisano w nim, że USA nie mogą omawiać kwestii pocisków w Turcji, dopóki nie zostanie rozwiązany kryzys kubański. Prezydentowi nie spodobały się użyte sformułowania.

- Odrzucamy jego przesłanie - mówił. Zaimek „jego” odnosił się do Chruszczowa, bo Kennedy od początku postrzegał kryzys jako konflikt osobisty. - To nie przyniesie powodzenia. Ogłosi, że odrzucamy jego propozycję. Nasze stanowisko powinno zawierać sugestię, że ucieszymy się, mogąc omawiać tę kwestię, kiedy uzyskamy pewne sygnały świadczące o tym, że Sowieci zaprzestali działań na Kubie.

- W ten sposób naprawdę włączymy Turcję do wymiany - zauważył ktoś.

- O to się martwię - odezwał się doradca do spraw bezpieczeństwa narodowego Mac Bundy. Miał dopiero czterdzieści trzy lata i już łysiał. Pochodził z republikańskiej rodziny i skłaniał się do radykalnych posunięć. - Jeśli sojusznicy z NATO i inni odniosą wrażenie, że chcemy dobić tego targu, będziemy mieli poważne kłopoty.

Jego słowa przygnębiły George'a: Bundy opowiadał się po stronie Pentagonu, przeciwko układowi.

- Jeżeli inni dojdą do wniosku, że ochronę Turcji wymieniamy na zagrożenie z Kuby, będziemy mieli do czynienia ze znacznym spadkiem skuteczności sojuszu.

George uświadomił sobie wagę problemu. Rakiety Jupiter były przestarzałe, lecz stanowiły symbol amerykańskiej determinacji w powstrzymaniu szerzenia się komunizmu.

Teza Bundy'ego nie przekonała prezydenta.

- Sytuacja zmierza właśnie w tę stronę, Mac.

- Uzasadnieniem tej wiadomości jest to, że spodziewamy się, że zostanie odrzucona - nie dawał za wygraną Bundy.

Naprawdę? - zdziwił się w duchu George. Był prawie pewny, że prezydent i jego brat tak nie uważają.

- Oczekuje się, że jutro albo pojutrze wykonamy jakiś ruch przeciwko Kubie - ciągnął doradca do spraw bezpieczeństwa narodowego. - Jakie są nasze plany wojskowe?

George przewidywał, że spotkanie będzie miało zupełnie inny przebieg. Mieli rozmawiać o pokoju, a nie o wojnie.

Na pytanie odpowiedział sekretarz obrony Robert McNamara, bystrzak, który przyszedł z koncernu Forda.

- Silne uderzenie z powietrza, po którym nastąpi inwazja. - Wrócił do argumentu dotyczącego Turcji. - W celu zminimalizowania odpowiedzi Sowieców przeciwko NATO po naszym ataku na Kubę możemy wcześniej zabrać jupitery z Turcji i uprzedzić o tym Rosjan. Wtedy, jak sądzę, nie zaatakują Turcji.

O ironio, pomyślał George: aby ochronić Turcję, konieczne jest wycofanie z niej broni jądrowej.

Głos zabrał sekretarz stanu Dean Rusk, którego George uważał za jednego z najmądrzejszych w tym gronie:

- Mogą podjąć jakieś inne działania, na przykład w Berlinie.

Prezydent USA nie może zaatakować karaibskiej wyspy, nie biorąc pod uwagę reperkusji swojej decyzji w Europie Wschodniej, oddalonej o osiem tysięcy kilometrów,

myślał George. Cała kula ziemską stała się szachownicą, na której toczą grę dwa supermocarstwa.

- W tej chwili nie rekomendowałbym uderzenia z powietrza na Kubę - oznajmił McNamara. - Mówię tylko, że musimy spojrzeć na sprawę bardziej realistycznie.

Przemówił generał Maxwell Taylor, który utrzymywał kontakt z Kolegium Szefów Połączonych Sztabów:

- Dowódcy uważają, że duże uderzenie lotnicze, plan operacyjny trzysta dwanaście, powinno być przeprowadzone do poniedziałku rano, chyba że pojawią się niezbite dowody świadczące o tym, że rozpoczęło się demontowanie broni ofensywnej.

Mawhinney i jego gromadka, siedzący za Taylorem, wyglądali na zadowolonych. Typowi wojacy, pomyślał George: nie mogą się doczekać bitwy, nawet jeśli miałyby oznaczać koniec świata. Modlił się, by politycy zgromadzeni w sali gabinetowej nie pozwolili kierować sobą wojskowym.

- Po ataku z powietrza, siedem dni później, powinno nastąpić wykonanie planu trzysta szesnaście, czyli inwazja.

- Jestem wielce zaskoczony - rzucił z sarkazmem Robert Kennedy.

Odpowiedziała mu salwa śmiechu. Wszyscy, jak się zdawało, uważali, że rekomendacje wojskowych są przewidywalne aż do granic absurdu. George poczuł ulgę.

Ale nastrój sponęniał w jednej chwili, gdy McNamara odczytał treść notatki podanej mu przez asystenta:

- Zestrzelono U-Dwa.

George westchnął. Wiedział o tym, że samolot szpiegowski CIA zamilkł podczas wykonywania akcji nad Kubą, lecz wszyscy mieli nadzieję, że zepsuło mu się radio i jest w drodze powrotnej.

Prezydent Kennedy najwyraźniej nie został poinformowany o zaginięciu maszyny.

- Zestrzelono U-Dwa? - spytał z lękiem w głosie.

George rozumiał, skąd bierze się ów lęk. Aż do tej pory supermocarstwa strasyły się nawzajem, dotykając nosami, ale nic poza tym. Teraz oddano pierwszy strzał. Od tej chwili trudniej będzie uniknąć wojny.

- Wright przed chwilą to przekazał - rzekł McNamara. Pułkownik John Wright służył w Agencji Wywiadu Obrony, DIA.

- Czy pilot zginął? - chciał wiedzieć Robert Kennedy.

Jak to często bywało, zadał kluczowe pytanie.

- Ciało pilota jest w samolocie - odparł generał Taylor.

- Czy ktoś widział pilota? - spytał prezydent.

- Tak jest, panie prezydencie. Wrak leży na ziemi, a pilot nie żyje.

W pomieszczeniu zapadła cisza. To zdarzenie wszystko zmieniało. Zginął Amerykanin zestrzelony nad Kubą z sowieckiej broni.

- Powstaje kwestia odwetu - stwierdził Taylor.

Bez wątpienia tak właśnie było: naród amerykański będzie domagał się zemsty. George czuł to samo. Nagle zapragnął, by prezydent wydał zgodę na potężne uderzenie z powietrza, którego domagał się Pentagon. Ujrzał w wyobraźni setki bombowców sunących w ciasnych formacjach na Cieśniną Florydzką i zrzucających ładunki na Kubę niczym śmiercionośny grad. Pragnął, by każda wyrzutnia odpaliła raketę, by zginęli sowieccy żołnierze, śmierć dosięgła Fidela Castro. Jeśli ucierpi cały naród kubański, to trudno. Będą mieli nauczkę, że nie wolno zabijać Amerykanów.

Narada trwała od dwóch godzin i sala zasnęła się dymem papierosowym. Prezydent ogłosił przerwę. George uznał to za dobry pomysł, on sam z pewnością potrzebował uspokojenia. Jeśli pozostali wpadli w podobnie krwiożerczy nastrój, nie byli w stanie podejmować racjonalnych decyzji.

Ważniejszym powodem zarządzenia przerwy, o czym George wiedział, było to, że prezydent musiał zażyć lekarstwo. Większość ludzi wiedziała, że ma kłopoty z kręgosłupem, lecz niewielu rozumiało, że toczy nieustanną walkę z całym szeregiem dolegliwości, między innymi chorobą Addisona i zapaleniem okrężnicy. Lekarze dwa razy dziennie dawali mu zastrzyki z mieszanki sterydów i antybiotyków, by mógł funkcjonować.

Robert Kennedy podjął się przeredagować list do Chruszczowa, pomóc miał mu w tym Ted Sorensen - młody, pełen pogody ducha autor przemówień prezydenta. Wraz ze swoimi asystentami udali się do ciasnego pomieszczenia sąsiadującego z Gabinetem Ovalnym. George zapisywał słowa Bobby'ego w żółtym notatniku. W pracy brało udział tylko dwóch ludzi, toteż szkic powstał szybko.

Najistotniejsze akapity brzmiały następująco:

1. Zgodzicie się usunąć te systemy broni z Kuby pod należyty nadzorem i obserwacją ze strony Organizacji Narodów Zjednoczonych, a także zobowiązecie się, przy zapewnieniu odpowiednich środków zabezpieczających, że powstrzymane zostaną wszelkie próby wprowadzenia tego rodzaju broni na Kubę.

2. My zaś zgodzimy się - po dokonaniu odpowiednich ustaleń za pośrednictwem Organizacji Narodów Zjednoczonych, że zobowiązania te zostaną trwale spełnione - (a) szybko zaniechać wykonywania kwarantanny i (b) udzielić zapewnienia, że nie dojdzie do

inwazji na Kubę. Jestem przekonany, że inne kraje zachodniej półkuli uczynią podobnie.

Tak więc Stany Zjednoczone godziły się na pierwszą propozycję Chruszczowa. Ale co z drugą? Robert Kennedy i Sorensen napisali:

Skutki tych ustaleń, to znaczy zmniejszenie napięcia na świecie, pozwolą nam wspólnie opracować ogólniejsze ustalenia dotyczące „innych zbrojeń”, o których mowa w waszym drugim liście.

Nie było to wiele - zaledwie sugestia, że istnieje możliwość, by coś omówić - lecz ExComm zapewne nie wyraziłby zgody na nic więcej.

George zastanawiał się, czy taka odpowiedź może wystarczyć.

Dał ręcznie zanotowany tekst jednej z sekretarek prezydenta i poprosił, by przepisała go na maszynie. Kilka minut później zaproszono Roberta do Gabinetu Owalnego, w którym miało się zebrać mniejsze grono: prezydent, Dean Rusk, Mac Bundy oraz jeszcze dwie lub trzy osoby z najbliższymi asystentami. Wykluczono wiceprezydenta Lyndona Johnsona, który zdaniem George'a zręcznie poruszał się na scenie politycznej, lecz jego toporne teksańskie maniery działały na nerwy pełnym ogłady bostończykom, jakimi byli bracia Kennedy.

Prezydent chciał, by jego brat osobiście dostarczył list Anatolijowi Dobryninowi, radzieckiemu ambasadorowi w Waszyngtonie. Bobby i Dobrynin odbyli w ciągu ostatnich paru dni kilka nieoficjalnych rozmów. Nie zapalali do siebie sympatią, ale potrafili szczerze rozmawiać i dzięki temu powstał użyteczny kanał wymiany informacji, omijający waszyngtońską biurokrację. Podczas spotkania twarzą w twarz Bobby mógłby rozwinąć nikłą sugestię podjęcia negocjacji w sprawie amerykańskich pocisków w Turcji, i nie była do tego potrzebna aprobata ExCommu.

Dean Rusk zasugerował, że Bobby może posunąć się nieco dalej w rozmowie z Dobryninem. W toku narad tego dnia stało się jasne, że w gruncie rzeczy nikt nie chce, by jupitery pozostały na terytorium Turcji. Z czysto wojskowego punktu widzenia były bezużyteczne. Problem dotyczył czegoś innego: rząd turecki oraz innych sojuszników z NATO rozgniewałoby, gdyby Stany Zjednoczone zgodziły się na wymianę tych rakiet po to, by uzyskać porozumienie w sprawie Kuby. Rusk podsunął rozwiązanie, które George uznał za bardzo zręczne. „Zaproponuj, że usuniemy jupitery później, powiedzmy za pięć, sześć miesięcy. Wtedy będziemy mogli to zrobić po cichu, za zgodą sojuszników. Jednocześnie tytułem rekompensaty zwiększymy aktywność naszych okrętów podwodnych z głowicami atomowymi, które operują na Morzu Śródziemnym. Ale Sowieci muszą się zobowiązać do utrzymania tego targu w najgłębszej tajemnicy”.

To zaskakująca, ale błyskotliwa propozycja, pomyślał George.

Wszyscy przystali na nią nader szybko. Narady ExCommu przez większość dnia krążyły wokół zagadnień globalnych, lecz mniejszy zespół, który zebrał się w Gabinetcie Ovalnym, nagle stał się grupą decyzyjną.

- Dzwon do Dobrynina - polecił Bobby George'owi i spojrzął na zegarek. George zrobił to samo: była dziewiętnasta piętnaście. - Zaproś go do Departamentu Sprawiedliwości na spotkanie ze mną za pół godziny.

- A kwadrans później przekażcie list prasie - dodał prezydent.

George wszedł do sekretariatu sąsiadującego z Gabinetem Ovalnym i podniósł słuchawkę.

- Proszę mnie połączyć z ambasadą radziecką - powiedział do operatorki.

Ambasador od razu zgodził się na spotkanie.

George zaniósł Marii napisany na maszynie list i oznajmił, że prezydent chce, by o dwudziestej przekazano go dziennikarzom.

Spojrzała z niepokojem na zegarek.

- No to bierzmy się do roboty, dziewczyno - rzuciła.

Bobby i George wyszli z Białego Domu i pokonali samochodem kilka przecznicy dzielących siedzibę prezydenta od Departamentu Sprawiedliwości. Był weekend i w budynku paliło się niewiele świateł. Wydawało się, że pogrążone w półmroku posągi stojące w wielkim holu spozierają podejrzliwie na przybyszów. George wyjaśnił ochroniarzom, że niebawem przybędzie pewien ważny gość, by spotkać się z Robertem Kennedym.

Wjechali windą na górę. George spojrzął na Bobby'ego i uznał, że ten jest zmęczony; niewątpliwie była to prawda. Korytarze olbrzymiego gmachu dudniły echem. Oświetlenie w wielkim gabinecie prokuratora generalnego było słabe, lecz nie chciało mu się zapalać więcej lamp. Osunął się na fotel przy szerokim biurku i potarł oczy.

George wyjrzał przez okno na uliczne światła. Centrum Waszyngtonu było ładnym parkiem z dużą liczbą pomników i pałaców, lecz resztę stanowiła gęsto zaludniona metropolia z pięcioma milionami mieszkańców, z których połowę stanowili czarni. Czy jutro o tej porze będzie jeszcze stała? George widział zdjęcia Hiroszimy: kilometry zabudowań w centrum zamienionych w gruzy, poparzone i okaleczone ofiary na przedmieściach, patrzące nierozumiejącym wzrokiem na świat, którego nie potrafią rozpoznać. Czy jutro rano tak samo będzie wyglądał Waszyngton?

Ambasadora Dobrynina wprowadzono punktualnie za kwadrans ósma. Był to łysy mężczyzna tuż po czterdziestce, nie ulegało wątpliwości, że podobają mu się te nieformalne spotkania z bratem prezydenta.



- Chcę przedstawić obecną groźną sytuację w sposób, w jaki widzi ją prezydent - zagaił Robert. - Nasz samolot został zestrzelony nad Kubą, pilot zginął.

- Wasze samoloty nie mają prawa latać nad Kubą - odparował szybko Dobrynin.

Dyskusje Bobby'ego z Dobryninem czasem przybierały formę kłótni, lecz tego dnia prokurator generalny był w innym nastroju.

- Chcę, by zrozumiał pan rzeczywistość polityczną. Istnieje obecnie silna presja na prezydenta, żeby odpowiedział ogniem. Nie możemy powstrzymać przelotów, to jedyny sposób pozwalający obserwować stan budowy waszych baz raketowych. Ale jeśli Kubańcy będą strzelać do naszych samolotów, my też zaczniemy strzelać.

Bobby przekazał Dobryninowi treść listu prezydenta do sekretarza Chruszczowa.

- A co z Turcją? - spytał ostro Rosjanin.

- Jeśli to jedyna przeszkoda, która nie pozwala osiągnąć wcześniej wymienionych ustaleń - odparł ostrożnie Bobby - to prezydent nie uważa jej za przeszkodę nie do pokonania. Największą trudność widzi w tym, że kwestia będzie omawiana publicznie. Gdyby taką decyzję ogłoszono w tej chwili, doprowadziłoby to do rozsadzenia NATO. Potrzebujemy czterech, pięciu miesięcy na usunięcie pocisków z Turcji. Ale to musi pozostać w najściślejszej tajemnicy, tylko garstka osób wie, że o tym panu mówię.

George uważnie obserwował twarz Dobrynina. Albo mu się zdawało, albo dyplomata ukrył nagły przyływ radości.

- George, podaj panu ambasadorowi numery telefonów, dzięki którym łączymy się bezpośrednio z prezydentem - polecił Robert.

George zapisał w notesie trzy numery, wyrwał kartkę i przekazał Dobryninowi.

Prokurator generalny wstał i ambasador zrobił to samo.

- Chcę poznać odpowiedź jutro - oznajmił. - To nie jest ultimatum, to rzeczywistość. Nasi generałowie palą się do walki. I nie przysyłajcie nam jednego z tych długich listów Chruszczowa, których przetłumaczenie zajmuje cały dzień. Potrzebujemy jasnej i rzeczowej odpowiedzi od pana, panie ambasadorze. I potrzebujemy jej szybko.

- A więc dobrze - odparł Rosjanin, po czym wyszedł.

W niedzielę rano szef placówki KGB w Hawanie przekazał Kremlowi, że zdaniem Kubańczyków atak Amerykanów jest obecnie nieunikniony.

Dimka przebywał w rządowej daczynie w Nowo-Ogariowie, malowniczej wiosce na przedmieściu Moskwy. Był to mały domek z białymi kolumnami, przez co przypominał nieco Biały Dom w Waszyngtonie. Dimka szykował się do posiedzenia Prezydium, które miało się

odbyć za parę minut, o dwunastej w południe. Obszedł długi dębowy stół, trzymając naręczeczek, i na każdym miejscu położył jedną. Zawierały najnowszą, przetłumaczoną na rosyjski wiadomość prezydenta Kennedy'ego do Chruszczowa.

List dawał nadzieję. Amerykański prezydent zgodził się na wszystkie pierwotne żądania Chruszczowa. Gdyby jakimś cudownym zrządzeniem list doszedł tuż po tym, jak Chruszczow wysłał swoją pierwszą wiadomość, kryzys w jednej chwili by się zakończył. Jednak opóźnienie pozwoliło Chruszczowowi wysunąć nowe żądania. I niestety, w liście prezydenta nie było wzmianki o Turcji. Dimka nie wiedział, czy jego szef uzna to za cierń.

Prezydium właśnie się zbierało, gdy do pomieszczenia weszła Natalia Smotrowa. Dimka po pierwsze zauważył, że jej kręcone włosy są dłuższe i że dziewczyna wygląda teraz atrakcyjniej, a po drugie, że jest przestraszona. Usiłował znaleźć kilka minut, by powiedzieć Natalii o swoich zaręczynach. Czuł, że nie może poinformować o tym nikogo na Kremlu, dopóki jej nie powie. Ale chwila znów była nieodpowiednia. Chciał znaleźć się z Natalią sam na sam.

Podeszła prosto do niego.

- Ci kretyni zestrzelili amerykański samolot - oznajmiła.

- O nie!

Skinęła głową.

- Maszynę szpiegowską U-Dwa. Pilot nie żyje.

- Szlag! Kto to zrobił: my czy Kubańczycy?

- Nikt nie chce się przyznać, więc zapewne my.

- Ale przecież nie wydano takiego rozkazu!

- Otóż to.

Właśnie tego oboje się obawiali: że ktoś otworzy ogień bez zezwolenia.

Członkowie Prezydium zajmowali swoje miejsca, asystenci jak zwykle siadali za nimi.

- Przekażę im tę informację - rzekł Dimka, lecz w tej samej chwili wszedł Chruszczow.

Dimka czym prędzej podszedł do niego i szeptem poinformował przywódcę o wydarzeniu na Kubie. Chruszczow nie odpowiedział, lecz jego mina była posępna.

Otworzył naradę przemówieniem, które najwyraźniej zostało wcześniej przygotowane.

- Był czas, gdy parliśmy naprzód, tak jak w październiku tysiąc dziewięćset siedemnastego, jednak w marcu tysiąc dziewięćset osiemnastego musieliśmy się wycofać po podpisaniu w Brześciu układu pokojowego z Niemcami. Teraz stanęliśmy w obliczu wojny i katastrofy nuklearnej, która może doprowadzić do zagłady gatunku ludzkiego. W celu ocalenia świata musimy zrobić krok do tyłu.

To brzmi jak wstęp do argumentacji za kompromisem, pomyślał Dimka.

Jednakże Chruszczow szybko przeszedł do omawiania kwestii wojskowych. Jak powinien postąpić Związek Radziecki, gdyby Amerykanie dzisiaj zaatakowali Kubę, zgodnie z przewidywaniami Kubańczyków? Generał Plijew musi otrzymać polecenie obrony sił radzieckich na Kubie. Jednak przed skorzystaniem z głowic jądrowych powinien zwrócić się o pozwolenie.

Członkowie Prezydium debatowali nad taką możliwością, kiedy sekretarka Dimki Wiera Pletner wywołała go z pokoju. Ktoś do niego telefonował.

Natalia wyszła za nim.

Ministerstwo Spraw Zagranicznych miało wiadomości, które należało przekazać Chruszczowowi teraz, w środku narady. Przed chwilą dotarła depecha z radzieckiej ambasady w Waszyngtonie. Robert Kennedy powiedział ambasadorowi, że rakiety zostaną wycofane z Turcji za cztery, pięć miesięcy, lecz musi to pozostać w najgłębszej tajemnicy.

- To dobra wiadomość! - ucieszył się Dimka. - Powiem mu od razu.

- Jeszcze jedno - dodał urzędnik ministerstwa. - Kennedy podkreślał, że czas ma wielkie znaczenie. Wygląda na to, że Pentagon wywiera nacisk na amerykańskiego prezydenta, by uderzyć na Kubę.

- Tak jak myśleliśmy.

- Bobby powtarzał, że czasu jest bardzo mało. Odpowiedź muszą dostać dzisiaj.

- Przekażę wszystko pierwszemu sekretarzowi.

Dimka odłożył słuchawkę. Natalia stała obok niego, jakby na coś czekając. Miała nosa do nowin.

- Robert Kennedy zaproponował, że wycofają pociski z Turcji - rzekł do niej Dimka.

Uśmiechnęła się szeroko.

- A więc skończone! Wygraliśmy! - stwierdziła, po czym pocałowała go w usta.

Uradowany Dimka wrócił do pokoju, w którym odbywała się narada. Przemawiał minister obrony Malinowski. Dimka podszedł do Chruszczowa i cichym głosem oznajmił:

- Depesza od Dobrynina, dostał nową propozycję od Roberta Kennedy'ego.

- Powiedz wszystkim - polecił Chruszczow, przerywając mówcy.

Dimka powtórzył to, co usłyszał.

Członkowie Prezydium partii rzadko się uśmiechali, lecz teraz Dimka widział wokół stołu szeroko roześmiane twarze. Kennedy dał im wszystko, czego się domagali! To był triumf Związku Radzieckiego i Chruszczowa osobiście.

- Musimy jak najprędzej wyrazić zgodę - oświadczył Chruszczow. - Zawołajcie

stenografa. Od razu podyktuję list, musi zostać nadany przez Radio Moskwa.

- Kiedy mam rozkazać Plijewowi, by zaczął demontować rakiety? - chciał wiedzieć Malinowski.

Chruszczow spojrzał na niego jak na głupka.

- Teraz - odparł.

Po zakończeniu posiedzenia Prezydium Dimka wreszcie mógł porozmawiać z Natalią w cztery oczy. Siedziała w przedsiönku i przeglądała notatki z narady.

- Mam ci coś do powiedzenia - zaczął. Z jakiejś przyczyny czuł dyskomfort w brzuchu, mimo że nie miał żadnego powodu do zdenerwowania.

- Mów - odrzekła, przewracając kartkę w notesie.

Zawahał się, czując, że Natalia nie poświęca mu uwagi.

Odłożyła notes i uśmiechnęła się.

Teraz albo nigdy.

- Nina i ja zaręczyliśmy się.

Natalia pobladła i lekko otworzyła usta.

Dimka czuł, że musi coś jeszcze dodać.

- Wczoraj powiedzieliśmy rodzinie. Na urodzinach dziadka. - Przestań pleść, zamknij gębę, ganił się w myślach. - Skończył siedemdziesiąt cztery lata.

- A co ze mną? - zapytała Natalia. Jej słowa go zaszokowały.

Ledwo rozumiał, co ma na myśli.

- Z tobą?

- Spędziliśmy razem noc - wyszeptała.

- Nigdy tego nie zapomnę - odparł skołowany Dimka. - Ale później powiedziałaś, że jesteś mężatką.

- Bałam się.

- Czego?

Jej twarz wyrażała niekłamana rozterkę. Szerokie usta skrzywiły się, jakby dręczył ją ból.

- Nie żęń się, proszę!

- Dlaczego nie?

- Dlatego, że tego nie chcę.

Dimka nic nie pojmował.

- Czemu mi nie powiedziałaś?

- Nie wiedziałam, jak się zachować.
- Ale teraz jest już za późno.
- Tak? - Patrzyła na niego błagalnie. - Możesz zerwać zaręczyny... jeśli zechcesz.
- Nina będzie miała dziecko.

Natalia jęknęła.

- Powinnaś była coś powiedzieć... wcześniej...
- A gdybym powiedziała?

Pokręcił głową.

- Teraz nie ma sensu o tym dyskutować.
- Masz rację, rozumiem.
- Ale przynajmniej uniknęliśmy wojny atomowej.
- Tak - odparła Natalia. - Żyjemy, a to już coś.

## ROZDZIAŁ 20

Marię obudził zapach kawy. Otworzyła oczy. Prezydent Kennedy siedział obok niej, podparty kilkoma poduszkami. Pił kawę i czytał niedzielne wydanie „New York Timesa”. Miał na sobie jasnoniebieską koszulę nocną, podobnie jak Maria.

- Och! - powiedziała.

Uśmiechnął się.

- Jesteś zaskoczona.

- Owszem, tym, że żyję. Myślałam, że w nocy będzie po nas.

- Nie tym razem.

Usnęła z nikłą nadzieją, że tak się stanie. Lękała się końca ich romansu, wiedziała, że nie ma przyszłości. Odejście od żony zrujnowałoby go politycznie, a zostawienie jej dla czarnej kobiety było nie do pomyślenia. Poza tym prezydent nie chciał opuszczać Jackie, ponieważ kochał ją i dzieci. To było szczęśliwe małżeństwo. Maria została jego kochanką, a kiedy się nią znudzi, zostawi ją. Czasem czuła, że wolałaby umrzeć, zanim to nastąpi, zwłaszcza gdyby śmierć miała ją zastać u jego boku, w łóżku, w błysku atomowego kataklizmu. Byłoby po wszystkim, zanimby się zorientowali.

Nie wspomniała o tym ani słowem, jej rola polegała na tym, by prezydenta uszczęśliwiać, a nie zasmucać. Usiadła, pocałowała go w ucho, zerknęła mu ponad ramieniem na gazetę, a potem wzięła filiżankę z jego ręki i upiła trochę kawy. Pomimo wszystko cieszyła się, że nadal żyje.

Nie wspomniał o jej skrobance, prawie jakby o niej zapomniał. Ona zaś nigdy nie poruszała z nim tej kwestii. Zadzwoiła do Dave'a Powersa i oznajmiła, że jest w ciąży. Dave podał jej numer telefonu i powiedział, że zadba o honorarium lekarza. Prezydent rozmawiał z nią o tym tylko raz, kiedy zadzwonił po zabiegu. Miał poważniejsze troski na głowie.

Maria zastanawiała się, czy dotknąć tej kwestii, ale szybko zrezygnowała. Podobnie jak Dave chciała chronić prezydenta przed zmartwieniami, a nie dokładać mu ciężarów. Czuła, że podjęła słuszną decyzję, lecz mimo woli jej żałowała. Nawet odczuwała z tego powodu ból, że nie zdołała pomówić z nim o czymś tak ważnym.

Obawiała się, że po zabiegu stosunek może być bolesny. Kiedy jednak Dave wczoraj wieczorem zaprosił ją do rezydencji, tak bardzo nie chciała odrzucać zaproszenia, że postanowiła zaryzykować. Było dobrze, a właściwie wspaniale.

- Powinienem się ruszyć - rzekł prezydent. - Rano idę do kościoła.

Już miał wstawać, kiedy zadzwonił telefon. Kennedy podniósł słuchawkę.

- Dzień dobry, Mac.

Maria domyśliła się, że rozmawia z McGeorge'em Bundym, doradcą do spraw bezpieczeństwa narodowego. Zeskoczyła z łóżka i poszła do łazienki.

Kennedy często odbierał rano telefony w łóżku. Maria podejrzewała, że dzwoniący albo nie wiedzieli, albo ich nie obchodziło, czy prezydent ma towarzystwo. Oszczędzała mu zakłopotania, na wszelki wypadek znikając w czasie tych rozmów, które mogły być ściśle tajne.

Kiedy wyjrzała zza drzwi, zobaczyła, że odkłada słuchawkę.

- Wspaniałe wiadomości! Radio Moskwa ogłosiło, że Chruszczow kazał zdemontować pociski na Kubie i zabrać je z powrotem do ZSRR.

Maria miała ochotę krzyczeć z radości. Koszmar się skończył!

- Czuję się jak nowo narodzony - oznajmił prezydent.

Zarzuciła mu ręce na szyję i pocałowała go.

- Ocaliłeś świat, Johnny.

Prezydent się zamyślił.

- Taak, zdaje się, że ocaliłem - rzekł po chwili.

Tania stała na balkonie, opierała się o barierkę z kutego żelaza i wdychała wilgotne poranne powietrze Hawany. Paz zatrzymał swojego buicka, całkowicie tarasując wąską uliczkę. Wysiadł gwałtownie z samochodu, uniósł głowę i ryknął:

- Zdradziłaś mnie!

- Co? - zdziwiła się. - W jaki sposób?

- Już ty dobrze wiesz.

Był mężczyzną pełnym temperamentu i zmiennym, lecz nigdy nie widziała go tak zagniewanego. Ucieszyła się, że nie wszedł do jej mieszkania. Mimo to nie potrafiła odgadnąć przyczyny jego złości.

- Nie zdradziłam żadnych tajemnic i nie spałam z innym facetem. Jestem pewna, że cię nie zdradziłam.

- W takim razie dlaczego demontują wyrzutnie rakiet?

- Naprawdę? - Jeśli kubański generał mówił prawdę, oznaczało to, że kryzys dobiegł końca. - Jesteś pewny?

- Nie udawaj, że nie wiesz.

- Niczego nie udaję. Ale jeśli to prawda, to jesteśmy uratowani. - Kątem oka Tania

zauważyła, że sąsiedzi otwierają okna i drzwi, by z bezwstydną ciekawością obserwować kłótnię. Zignorowała ich. - Czemu się gniewasz?

- Dlatego że Chruszczow dobił targu z jankesami, nie uzgadniając niczego z Castro!

Rozległy się pomruki dezaprobaty.

- Oczywiście, że o tym nie wiedziałam - odparła z irytacją. - Wyobrażasz sobie, że Chruszczow omawia ze mną takie sprawy?

- To on cię tu przysłał.

- Ale nie osobiście.

- Rozmawia z twoim bratem.

- Naprawdę myślisz, że jestem specjalną wysłanniczką Chruszczowa?

- Jak sądzisz, dlaczego całymi miesiącami wszędzie z tobą jeździłem?

- Wydawało mi się, że to dlatego, że mnie lubisz - odparła ciszej Tania.

Cmoknięcia słuchających kobiet wyrażały współczucie.

- Nie jesteś tu już mile widziana! - wrzasnął Paz. - Pakuj walizkę. Masz niezwłocznie opuścić Kubę. Dzisiaj!

Po tych słowach wsiadł do auta i odjechał z rykiem silnika.

- Miło było cię poznać - powiedziała Tania.

Dimka i Nina z radości poszli tego wieczoru do pobliskiego baru.

Powziął mocne postanowienie, że nie będzie myślał o niepokojącej rozmowie z Natalią. Niczego nie zmieniła, zepchnął więc Natalię na peryferie świadomości. To było przelotne zauroczenie i skończyło się. Kocha Ninę i właśnie ona zostanie jego żoną.

Kupił parę butelek cienkiego rosyjskiego piwa, po czym usiadł obok niej na ławce.

- Weźmiemy ślub - powiedział czule. - Chcę, żebyś miała cudowną suknię.

- Nie chcę robić z tego wielkiego halo - odparła.

- Ja też nie, ale to może być problem. - Dimka ściągnął brwi. - Jestem pierwszym z mojego pokolenia, który się żeni. Matka i dziadkowie chcą wielkiego weseliska. A twoja rodzina? - Wiedział, że ojciec Niny zginął na wojnie, ale matka wciąż żyła. Jego narzeczona miała także o kilka lat młodszego brata.

- Mam nadzieję, że mama będzie się dobrze czuła i przyjedzie. - Matka Niny mieszkała w Permie, tysiąc dwieście kilometrów na wschód od Moskwy. Coś jednak mówiło Dimce, że w rzeczywistości dziewczyna nie chce jej przyjazdu.

- A brat?

- Poprosi o urlop, nie wiem jednak, czy go dostanie. - Brat Niny służył w Armii



Czerwonej. - Nie mam pojęcia, gdzie stacjonuje. Może być nawet na Kubie.

- Dowiem się - rzekł Dimka. - Wujek Wołodia pociągnie za odpowiednie sznurki.

- Nie warto zadawać sobie wiele trudu.

- Ale ja chcę. To pewnie będzie mój jedyny ślub!

- Co chcesz przez to powiedzieć? - warknęła Nina.

- Nic. - Dimka nie miał nic złego na myśli, lecz zrobiło mu się przykro, że ją zirytował.

- Zapomnij o tym.

- Myślisz, że rozwiędę się z tobą tak jak z pierwszym mężem?

- Przecież powiedziałem coś odwrotnego, prawda? - Zmusił się do uśmiechu. - Dzisiaj powinniśmy się cieszyć. Bierzemy ślub, będziemy mieli dziecko, a Chruszczow uratował świat.

- Nic nie rozumiesz. Nie jestem dziewicą.

- Domyśliłem się.

- Będziesz poważny?

- No dobra.

- Ślub zwykle oznacza, że dwoje młodych ludzi przysięga sobie, że będzie się zawsze kochało. Nie można powiedzieć tego dwa razy. Jestem zażenowana, bo robię po raz drugi coś, w czym zawiodłam. Rozumiesz?

- Ach, teraz rozumiem, bo mi to wytłumaczyłaś. - Nina miała ciut staroświeckie podejście, gdyż w tych czasach wielu ludzi brało rozwody. Być może powodem było to, że pochodziła z prowincjonalnego miasteczka. - A więc wolisz wesele odpowiednie dla drugiego ślubu: bez rozbuchanych obietnic, żartów o nowożeńcach, za to z dorosłą świadomością, że życie nie zawsze układa się zgodnie z planem.

- Właśnie.

- Ukochana, jeśli tego pragniesz, postaram się, żeby tak było.

- Naprawdę to zrobisz?

- Dlaczego miałoby być inaczej?

- Nie wiem - odparła Nina. - Czasem zapominam, jaki porządny z ciebie mężczyzna.

Tego ranka, podczas ostatniej kryzysowej narady ExCommu, George usłyszał słowa Maca Bundy'ego, który wymyślił nowe określenie doradców prezydenta.

- Każdy wie, którzy byli jastrzębiami, a którzy gołębiami. - On sam należał do tych pierwszych. - Dzisiaj mieliśmy dzień gołębi.

Jednakże tego ranka jastrzębie były w mniejszości: większość zebranych nie szczędziła

pochwał prezydentowi Kennedy'emu, który tak zręcznie poradził sobie z kryzysem; nawet ci, którzy jeszcze nie tak dawno zarzucali mu niebezpieczną słabość i naciskali, by uwikłał Stany Zjednoczone w wojnę.

George zebrał się na odwagę i zagadnął żartobliwie Kennedy'ego:

- Może powinien pan wymyślić sposób zakończenia indyjsko-chińskiej wojny granicznej, panie prezydencie.

- Wydaje mi się, że nie chcą tego ani sami zainteresowani, ani nikt inny.

- Ale dzisiaj ma pan trzy metry wzrostu.

Prezydent parsknął śmiechem.

- To potrwa mniej więcej tydzień.

Bobby Kennedy cieszył się, że będzie mógł spędzać więcej czasu z rodziną.

- Prawie zapomniałem drogi do domu.

Jedynymi nieszczęśliwymi byli generałowie. Szefowie połączonych sztabów, którzy zebraли się w gmachu Pentagonu, by dopracować plan uderzenia powietrznego na Kubę, wściekli się. Wysłali prezydentowi pilną wiadomość: twierdzili, że zgoda Chruszczowa na porozumienie to sztuczka, dzięki której chciał zyskać na czasie. Curtis LeMay uznał decyzję Kennedy'ego za największą klęskę w historii kraju. Nikt nie zwrócił na to uwagi.

George czegoś się nauczył i miał wrażenie, że minie trochę czasu, zanim to przyswoi. Kwestie polityczne były ze sobą związane ściślej, niż sobie wyobrażał. Zawsze wydawało mu się, że zagadnienia takie jak Berlin i Kuba są odrębne i mają znikomą wpływ na problemy praw obywatelskich czy opieki zdrowotnej. Jednak prezydent nie zdołałby uporać się z kubańskim kryzysem raketowym, gdyby nie brał pod uwagę reperkusji w Niemczech. A gdyby nie zdołał poradzić sobie z Kubą, zbliżające się wybory uzupełniające osłabiłyby szanse jego programu polityki wewnętrznej i uniemożliwiły uchwalenie ustawy o prawach obywatelskich. Wszystko to się ze sobą łączyło. Ta konstatacja miała implikacje dla kariery George'a, musiał sobie wszystko dokładnie przemyśleć.

Po zakończeniu narady ExCommu George, nie przebijając się, poszedł do domu matki. Było słoneczne jesienne popołudnie, liście pokryły się czerwienią i złotem. Z radością przygotowała mu kolację, stek z ziemniakami purée. Stek był za bardzo wysmażony: nie potrafił nakłonić jej, by podawała go w stylu francuskim, czyli nieco krwisty. Posiłek i tak mu smakował, ponieważ włożyła w przygotowanie go wiele serca.

Później pozmywała, a on wytarł naczynia. Na koniec przygotowali się do wyjścia na wieczorną mszę w Kościele Ewangelickim Bethel.

- Musimy podziękować Panu za to, że nas wszystkich ocalił - oznajmiła Jacky, stojąc

przed lustrem obok drzwi i wkładając kapelusz.

- Ty podziękuj Panu, mamó, a ja podziękuję prezydentowi Kennedy'emu - odparł pogodnie George.

- A może zgodzilibyśmy się, że będziemy wdzięczni im obu?

- Kupuję - powiedział George i wyszli.

**CZĘŚĆ CZWARTA**

**Pistolet**

**1963**

## ROZDZIAŁ 21

Grupa Joe Henry's Dance Band regularnie dawała w sobotę wieczór występy w restauracji hotelu Europa w Berlinie Wschodnim, grywając standardy jazzowe i fragmenty muzyki filmowej dla tamtejszej śmietanki towarzyskiej. Joe naprawdę nazywał się Josef Heinried i z daniem Wallego nie był nadzwyczajnym perkusistą, potrafił jednak utrzymać rytm, nawet po pijanemu, a poza tym miał stanowisko w związku muzyków, więc nie można go było wyrzucić.

Joe podjechał do wejścia dla personelu o osiemnastej starą czarną furgonetką Framo V901. W tyle upakował i osłonił poduszkami swoje cenne bębny. Rozsiadł się przy barze i pił piwo, a tymczasem Walli przenosił instrumenty z samochodu na scenę, wyjmował je ze skórzanych pokrowców i ustawiał tak, jak lubił Joe. Był tam bęben basowy z pedałem, dwa tom-tomy, werbel, talerze, czynel i krowi dzwonek. Walli obchodził się z nimi delikatnie jak z jajkiem. Były to instrumenty amerykańskiej firmy Slingerland, które Joe wygrał od amerykańskiego żołnierza w karty w latach czterdziestych. Nigdzie nie zdobyłby podobnych.

Zarobki były nędzne, lecz w ramach umowy Walli i Karolin mogli występować na scenie przez dwadzieścia minut w przerwie jako Bobbsey Twins, a co najważniejsze, oboje dostali karty związku muzycznego, mimo że siedemnastoletni Walli był za młody.

Angielska babcia Wallego, Maud, zakrzuszyła się, usłyszawszy nazwę duetu. „Jesteście Flossie i Freddie czy Bert i Nan?” - zapytała. „Och, Walli, mam z tobą ubaw”. Okazało się, że Bobbsey Twins to coś zupełnie innego niż Everly Brothers. Byli to bowiem bohaterowie staroświeckich książeczek dla dzieci o doskonałej aż do niemożliwości rodzinie Bobbsey, do której należały dwie pary ślicznych bliźniąt z różowymi policzkami. Mimo to Walli i Karolin postanowili zostać przy tej nazwie.

Joe był idiotą, lecz Walli i tak się od niego uczył. Joe postarał się, by zespół grał należycie głośno, lecz nie za głośno, bo w innym razie goście restauracji skarżyliby się, że nie mogą rozmawiać. Dał każdemu członkowi solówkę w jednym numerze, żeby każdy był zadowolony. Zawsze otwierał koncert dobrze znanym utworem i lubił kończyć, gdy parkiet był wypełniony parami, dzięki temu ludzie domagali się więcej muzyki.

Walli nie miał pojęcia, co przyniesie przyszłość, ale wiedział, czego pragnie. Zamierzał zostać muzykiem, liderem zespołu, znanym i lubianym, i chciał grać muzykę rockową. Liczył na to, że komuniści złagodzą stosunek do amerykańskiej kultury i zgodzą się na istnienie grup grających muzykę pop. Może komunizm upadnie. A najlepiej, gdyby Walli zdołał jakoś przedostać się do Ameryki.

Wszystko to wydawało się bardzo odległe. Teraz jego ambicją było to, żeby Bobbsey Twins zdobyli popularność, dzięki czemu on i Karolin mogliby zostać zawodowymi muzykami.

Kiedy rozstawiał instrumenty, zeszli się członkowie grupy Joego i punktualnie o dziewiętnastej zaczęli grać.

Komuniści mieli ambiwalentny stosunek do jazzu. Traktowali podejrzliwie wszystko, co pochodziło z Ameryki, jednak naziści zakazali muzyki jazzowej, czyniąc ją antyfaszystowską. Ostatecznie zgodzili się na nią, bo tak wielu ludzi ją lubiło. W grupie Joego nie było wokalisty, toteż nie musiała się borykać z problemem tekstów sławiących burżuazyjne wartości, takich jak *Top Hat*, *White Tie and Tails* czy *Puttin' on the Ritz*.

Karolin zjawiła się minutę później i jej obecność rozjaśniła byle jak wyglądające zaplecze sceny niczym blask świec: szare ściany zaróżowiły się, brudne kąty znikły w cieniu.

Po raz pierwszy w życiu Wallego pojawiło się coś równie ważnego jak muzyka. Miewał wcześniej dziewczyny, właściwie garnęły się do niego, choć wcale się o to nie starał. I zwykle chętnie uprawiały z nim seks, toteż stosunek nie był dla niego nieziszczalnym snem tak jak dla szkolnych kolegów. Nie doświadczył jednak wcześniej takiej przemożnej miłości i namiętności, jaką czuł dla Karolin. „Myślimy tak samo, czasem nawet mówimy to samo”, rzekł do Maud, a ona odparła: „Och, jesteście bratnimi duszami”. Walli i Karolin potrafili mówić o seksie z taką samą łatwością, z jaką mówili o muzyce. Zwierzali się sobie, co lubią, a czego nie, jednak istniało niewiele rzeczy, których dziewczyna nie lubiła.

Zespół miał grać jeszcze przez godzinę. Walli i Karolin poszli do furgonetki Joego i położyli się w tylnej części. Wnętrze stało się buduaem blado oświetlonym blaskiem świateł parkingu: poduszki utworzyły pluszową kanapę, Karolin zamieniła się w rozmarzoną odaliskę, rozchylającą szatę, by Walli mógł okrywać jej ciało pocałunkami.

Próbowali stosunku z użyciem prezerwatywy, lecz żadnemu nie przypadło to do gustu. Czasem robili to bez kondomu i Walli w ostatniej chwili się wycofywał, lecz Karolin powiedziała, że nie jest to naprawdę bezpieczne. Dzisiaj korzystali z rąk. Walli wytrysnął w chusteczkę Karolin, a ona pokazała mu, jak sprawić jej przyjemność. Doszła z cichym okrzykiem „Och!”, który zabrzmiał jak wyraz zaskoczenia.

- Seks z ukochaną osobą to druga najlepsza rzecz na świecie - oznajmiła Maud Wallemu. O dziwo, babcia powiedziała mu to, czego nie umiała powiedzieć matka.

- A jaka jest pierwsza? - zapytał.

- Widzieć szczęście swoich dzieci.

- Myślałem, że powiesz: Grać ragtime'y - odrzekł Walli i babcia parsknęła śmiechem.

Walli i Karolin jak zwykle przeszli od miłości do muzyki bez żadnej przerwy, jakby to było jedno. Walli nauczył swoją dziewczynę nowej piosenki. Miał radio w pokoju i słuchał amerykańskich stacji nadających z Berlina Zachodniego, toteż znał wszystkie popularne kawałki. Ten nosił tytuł *If I Had a Hammer* i był przebojem amerykańskiego tria Peter, Paul and Mary. Miał zniewalający rytm. Walli nie wątpił, że publiczność go pokocha.

Karolin miała obiekcje, ponieważ utwór mówił o sprawiedliwości i wolności.

- Tekst napisał Peter Seeger i w Ameryce wyzywają go od komuchów! - odparł Walli. - Myślę, że te słowa złoszczą wszystkich tyranów.

- I w czym nam to pomoże? - zauważyła Karolin, która potrafiła być nieubłaganie praktyczna.

- Tutaj nikt nie rozumie angielskiego tekstu.

- No dobrze - przyznała z niechęcią, a potem dodała: - I tak muszę przestać.

- Co masz na myśli? - zapytał poruszony Walli.

Miała poważną minę i Walli uświadomił sobie, że nie zdradziła wcześniej, co ją dręczy, by nie zepsuć seksu. Jej samokontrola była imponująca.

- Stasi przesłuchało mojego ojca.

Ojciec Karolin był kierownikiem zajezdni autobusowej. Wydawało się, że polityka go nie interesuje, i było dziwne, że wzbudził podejrzenia tajnej policji.

- Dlaczego? O co go wypytywali?

- O ciebie - odparła.

- Szlag.

- Powiedzieli mu, że jesteś niepewny ideologicznie.

- Jak się nazywał ten, który go przesłuchiwał? Czy to był Hans Hoffmann?

- Nie wiem.

- Na pewno on. - Jeśli sam nie zadawał pytań, to zdaniem Wallego i tak stał za całą sprawą.

- Zagrozili, że tata straci pracę, jeśli będę publicznie z tobą śpiewała.

- Musisz robić to, co każą rodzice? Masz dziewiętnaście lat.

- Nadal z nimi mieszkam. - Karolin skończyła dziesięć lat, a teraz uczyła się w technikum, przygotowując się do zawodu księgowej. - W każdym razie ojciec nie może stracić przeze mnie pracy.

Walli był załamany, jego marzenia legły w gruzach.

- Ale... jesteśmy świetni! Ludzie nas kochają!

- Wiem, przykro mi.

- Skąd Stasi wie o tym, że śpiewasz?

- Pamiętasz tego faceta w czapce, który śledził nas w dniu, kiedy się poznaliśmy? Niekiedy go widuję.

- Myślisz, że śledzi mnie przez cały czas?

- Nie przez cały czas - odparła ściszym głosem. Rozmawiając o Stasi, ludzie zawsze mówili ciszej, nawet gdy w pobliżu nie było nikogo, kto mógł ich podsłuchać. - Może tylko od przypadku do przypadku. Ale prędzej czy później musiał mnie z tobą zauważyć i zaczął za mną chodzić. Dowiedział się mojego nazwiska i adresu i w ten sposób dotarli do ojca.

Walli nie chciał pogodzić się z tym, co słyszy.

- Przedostaniemy się do Berlina Zachodniego.

- O Boże, tak bardzo bym chciała - odrzekła z bólem Karolin.

- Ludzie stale uciekają.

Walli i Karolin często o tym rozmawiali. Uciekinierzy przepływali kanałami, zdobywali fałszywe papiery, chowali się w ciężarówkach przewożących towary albo po prostu pokonywali granicę sprintem. Niekiedy ich historie relacjonowały zachodniemieckie rozgłośnie radiowe, częściej słyszało się najrozmaitsze plotki.

- I stale też giną - zauważyła Karolin.

Walli palił się do opuszczenia wschodniej części miasta, lecz dręczyła go obawa, że podczas ucieczki Karolin może zostać zraniona albo jeszcze gorzej. Pogranicznicy strzelali tak, by zabić. Poza tym mur ustawicznie się zmieniał, rósł i budził coraz większy lęk. W pierwotnym kształcie był ogrodzeniem z drutu kolczastego. Teraz w wielu miejscach składał się z podwójnego szeregu betonowych płyt, przestrzeń między nimi była intensywnie oświetlona i obserwowana z wieżyczek, patrolowano ją z użyciem psów. Były w niej nawet zapadnie przeciwczołgowe. Nikt nie podjął próby ucieczki czołgiem, aczkolwiek pogranicznicy uciekali bardzo często.

- Moja siostra uciekła - przypomniał Walli.

- Ale jej mąż został kaleką.

Rebecca i Bernd byli teraz małżeństwem i mieszkali w Hamburgu. Oboje uczyli w szkole, mimo że Bernd poruszał się na wózku, ponieważ nie wyleczył się całkowicie po wypadku. Ich listy do Carli i Wenera zawsze przychodziły z opóźnieniem z powodu cenzury, w końcu jednak docierały do adresatów.

- I tak nie chcę tutaj mieszkać - rzekł z pogardą Walli. - Przez całe życie będę śpiewał piosenki akceptowane przez partię komunistyczną, a ty zostaniesz księgową po to, by ojciec zachował pracę przy autobusach. Wolałbym zdechnąć.



- Komunizm nie może trwać wiecznie.

- Dlaczego? Trwa od tysiąc dziewięćset siedemnastego roku. A jeśli będziemy mieli dzieci?

- Czemu tak mówisz? - spytała ostro.

- Jeżeli tu zostaniemy, nie tylko siebie skazemy na życie w więzieniu. Nasze dzieci także będą cierpiały.

- A ty chcesz mieć dzieci?

Walli nie zamierzał podnosić tej kwestii, nie wiedział, czy chce mieć dzieci. Najpierw musiał ocalić własne życie.

- Nie chcę mieć dzieci w Niemczech Wschodnich - odparł. Dotąd tak nie myślał, ale powiedziawszy to, poczuł pewność.

Karolin popatrzyła na niego z powagą.

- Może więc powinniśmy uciec. Tylko jak?

Walli na wpeł serio rozważał wiele pomysłów, ale miał jeden ulubiony.

- Widziałas punkt kontrolny obok mojej szkoły?

- Nigdy nie przyglądałam mu się zbyt dokładnie.

- Korzystają z niego samochody przewożące do Berlina Zachodniego mięso, warzywa, sery i tym podobne. - Wschodnioniemieckiemu rządowi nie odpowiadało, że karmi Berlin Zachodni, lecz potrzebował pieniędzy. Tak twierdził ojciec Wallego.

- I co...?

Walli dopracowywał w wyobraźni niektóre szczegóły.

- Przegroda zrobiona jest z drewna i ma grubość około piętnastu centymetrów. Pokazuje się papiery, a potem wartownik unosi szlaban i wpuszcza ciężarówkę. Tam kontrolują towar, przy wyjeździe jest drugi taki sam szlaban.

- Tak, pamiętam, jak to wygląda.

Walli starał się mówić z przekonaniem, choć wcale go nie czuł.

- Przyszło mi na myśl, że gdyby kierowca miał jakiś kłopot z wartownikami, prawdopodobnie mógłby się przebić przez oba szlabany.

- Och, Walli, to niebezpieczne!

- Nie ma bezpiecznej metody, by się wydostać.

- Nie masz ciężarówki.

- Ukradniemy tę furgonetkę. - Po występie Joe zawsze siadał przy barze, a Walli pakował zestaw perkusyjny do samochodu. Kiedy kończył, Joe był bardziej lub mniej podпиты i Walli odwoził go do domu. Nie miał prawa jazdy, ale Joe o tym nie wiedział i nigdy nie był

trzeźwy, więc nie zauważał, że Walli prowadzi niepewnie. Później pomagał Joemu dostać się do mieszkania, instrumenty chował w przedpokoju i wprowadzał furgonetkę do garażu. - Mógłbym zrobić to dzisiaj po koncercie. Przejechalibyśmy z samego rana, gdy tylko punkt kontrolny zostanie otwarty.

- Jeśli się spóźnię, ojciec zacznie mnie szukać.

- Pójdiesz do domu, położysz się spać i wczesnie wstaniesz. Będę czekał na ciebie przed szkołą, a Joe nie wynurzy się z łóżka przed południem. Zanim połapie się, że zginął mu samochód, będziemy spacerowali po Tiergarten.

Pocałowała go.

- Boję się, ale cię kocham.

Walli usłyszał, że zespół gra Avalon, utwór zamykający pierwszą część koncertu, i uświadomił sobie, jak długo rozmawiali.

- Za pięć minut zaczynamy - rzekł. - Chodźmy.

Muzycy zeszli ze sceny i parkiet opustoszał. Walli przez minutę ustawiał mikrofony i mały wzmacniacz gitarowy. Goście wrócili do stolików, drinków i rozmów. Na scenę weszli Bobbsey Twins. Niektórzy ich nie zauważyli, inni spojrzeli z zaciekawieniem: Walli i Karolin stanowili atrakcyjną parę, a to zawsze ułatwiało nawiązanie kontaktu z publicznością.

Jak zwykle rozpoczęli od *Noch Einen Tanz*; utwór zwracał uwagę słuchaczy i ich rozbawiał. Zaśpiewali kilka piosenek folkowych, dwa kawałki Everly Brothers oraz *Hey Paula*, przebój amerykańskiego duetu o nazwie Paul and Paula. Walli śpiewał drugim głosem do wtóru Karolin. Nauczył się grać palcami na gitarze, co pozwalało uzyskiwać efekt rytmiczności i melodyjności.

Na koniec wykonali *If I Had a Hammer*. Piosenka spodobała się większości gości, klaskali i bili brawo, ale kiedy w refrenie padły słowa „sprawiedliwość” i „wolność”, niektórzy zrobili surowe miny.

Wykonawców nagrodzono gromkimi brawami. Wallemu zakręciło się w głowie od świadomości, że oczarował publiczność. To było lepsze od upicia się. Dosłownie unosił się w powietrzu.

Mijając ich w przejściu na zaplecze, Joe powiedział:

- Jeśli jeszcze raz zaśpiewacie tę piosenkę, wylatujecie.

Euforia Wallego pękła niczym przekłuty balon. Poczł się tak, jakby został spoliczkowany.

- Mam tego dość - rzekł wściekły do Karolin. - Dzisiaj stąd znikam.

Poszli do furgonetki. Często kochali się drugi raz po koncercie, ale dzisiaj byli zbyt

spieci. Walli gotował się ze złości.

- O której godzinie najwcześniej możemy się spotkać? - spytał.

Karolin myślała chwilę.

- Pójdę teraz do domu i powiem, że chcę się od razu położyć, bo muszę wstać wcześniej rano... żeby pójść na próbę przed pochodem pierwszomajowym.

- Dobrze.

- Mogę do ciebie przyjść o siódmej, nie wzbudzając podejrzeń.

- To świetnie. O tej godzinie w niedzielę rano na punkcie kontrolnym nie powinno być dużego ruchu.

- Pocałuj mnie jeszcze raz.

Całowali się długo i mocno. Walli dotknął jej piersi, a potem się odsunął.

- Następnym razem będziemy się kochać jako wolni ludzie.

Wysiedli z samochodu.

- O siódmej - rzekł Walli.

Pomachała ręką i zniknęła w ciemności.

Przez resztę wieczoru Walli unosił się na fali gniewu pomieszanego z nadzieją. Kusiło go, by okazać złość Joemu, lecz bał się, że z jakiegoś powodu nie uda mu się ukraść furgonetki. Jeśli jednak mimo wszystko zdradził swoje uczucia, Joe tego nie zauważył i o pierwszej w nocy Walli zaparkował samochód na ulicy przed szkołą. Od punktu kontrolnego dzieliły go dwa zakręty, dzięki czemu pogranicznicy nie mogli zauważyć furgonetki i nabrać podejrzeń.

Leżał na poduszkach z zamkniętymi oczyma, ale było za zimno na sen. Większość nocy zesłała mu na myśleniu o rodzinie. Ojciec od ponad roku miał kiepski humor. Nie był już właścicielem fabryki telewizorów w Berlinie Zachodnim. Przekazał ją Rebecce, żeby wschodnioniemiecki rząd nie zdołał znaleźć sposobu na odebranie firmy rodzinie. Nadal usiłował wszystkim kierować, mimo że nie mógł tam dotrzeć. Wynajął duńskiego prawnika, by ten został jego łącznikiem. Jako cudzoziemiec Enok Andersen miał prawo raz w tygodniu przechodzić z zachodniej części Berlina do wschodniej i wtedy spotykał się z ojcem Wallego. Tak jednak Werner nie mógł prowadzić biznesu i doprowadzało go to do szału.

Matka także nie robiła wrażenia szczęśliwej. W największej mierze pochtaniała ją praca naczelniej pielęgniarki w dużym szpitalu. Komunistów nienawidziła tak jak nazistów, lecz nic nie mogła zmienić.

Babcia Maud jak zawsze podchodziła do wszystkiego ze stoickim spokojem. Mawiała, że Niemcy wojują z Rosją, jak długo sięga pamięcią, i miała nadzieję żyć tak długo, by

zobaczyć, kto wygra. Grę Wallego na gitarze uważała za osiągnięcie, w odróżnieniu od rodziców Wallego, którzy sądzili, że jest to strata czasu.

Najbardziej będzie tęsknił za młodszą siostrą Lili. Miała teraz czternaście lat i lubił ją o wiele bardziej niż w dzieciństwie, gdy dawała mu się we znaki.

Starał się nie myśleć zbyt wiele o czekających go niebezpieczeństwach. Nie chciał tracić zimnej krwi. Przed świtem, kiedy jego determinacja słabła, przypomniał sobie słowa Joego: „Jeśli jeszcze raz zaśpiewacie tę piosenkę, wylatujecie”. To wspomnienie podsycalo jego gniew. Jeżeli pozostanie w NRD, tępaki pokroju Joego przez całe życie będą mu mówić, co ma grać. To nie byłoby życie, lecz piekło, coś niemożliwego. Musiał uciec bez względu na wszystko. Alternatywa była nie do pomyślenia.

Ta myśl dodała mu odwagi.

O szóstej wysiadł z furgonetki i poszedł poszukać ciepłego napitku i czegoś do zjedzenia. Niestety, nic nie było otwarte, nawet na dworcu kolejowym, wrócił więc do samochodu głodniejszy, niż wyszedł. Jednak spacer go rozgrzał.

Brzask rozproszył nocny chłód. Walli usiadł na fotelu kierowcy, by rozglądać się za Karolin. Znajdzie go bez trudu: znała samochód, a poza tym na ulicy w pobliżu szkoły nie było innych furgonetek.

Raz po raz wyobrażał sobie to, co zamierza zrobić. Weźmie wartowników przez zaskoczenie. Upłynie kilka sekund, zanim dotrze do nich, co się dzieje. Później przypuszczalnie zaczną strzelać.

Jeśli uciekinierom dopisze szczęście, pogranicznicy znajdą się za nimi i będą strzelali do furgonetki z tyłu. Czy to może być niebezpieczne? Walli nie miał pojęcia, nigdy do niego nie strzelano. Nigdy nie widział, jak ktoś strzela. Nie wiedział, czy pociski przebijają samochody, czy też nie. Przypomniał sobie słowa ojca, który mówił, że trafienie człowieka z broni palnej nie jest tak łatwe jak w filmach. To była cała wiedza Wallego na ten temat.

Przeżył chwilę niepokoju, kiedy obok przejechał policyjny radiowóz. Gliniarz siedzący na fotelu pasażera posłał Wallemu ostre spojrzenie. Gdyby zapytali o prawo jazdy, byłoby po nim. Przeklinał swoją głupotę, bo nie został na tyle furgonetki. Jednak radiowóz się nie zatrzymał.

Walli wyobrażał sobie, że jeśli coś się nie uda, zginie wraz z Karolin z rąk pograniczników. Teraz po raz pierwszy przyszło mu na myśl, że jedno może zostać trafione, a drugie zdoła przeżyć. To była przerażająca perspektywa. Często mówili sobie, że się kochają, lecz Walli odczuwał to inaczej. Teraz uświadomił sobie, że kochać kogoś oznaczało, iż jest tak cenny, że utrata go byłaby nie do zniesienia.

Istniała jeszcze gorsza możliwość: jedno z nich mogło zostać kaleką tak jak Bernd. Jak czułby się on, Walli, gdyby Karolin została z jego winy sparaliżowana? Zapewne chciałby popełnić samobójstwo.

Jego zegarek pokazał siódmą. Zastanawiał się, czy Karolin też ma podobne myśli. To było prawie pewne. Bo o czym innym mogła myśleć w nocy? Czy podejździe, usiądzie obok niego w samochodzie i cicho oznajmi mu, że nie chce ryzykować? Co powinien wtedy zrobić? Nie mógł się poddać i pędzić dalej życia za żelazną kurtyną. Ale czy zdołałby ją zostawić i odejść sam?

Ogarnęło go rozczarowanie, gdy kwadrans po siódmej Karolin się nie zjawiała.

O wpół do ósmej zaczął się martwić, a o ósmej wpadł w rozpacz.

Co jej przeszkodziło?

Czyżby ojciec dowiedział się, że dzisiaj nie ma próby przed pochodem pierwszomajowym? Dlaczego miałby sprawdzać coś takiego?

A może Karolin zachorowała? Wczoraj wieczorem absolutnie nic jej nie dolegało.

Czyżby zmieniła zdanie?

Mogło się tak zdarzyć.

Nigdy nie była zdecydowana tak mocno jak on, że chce uciec. Wyrażała wątpliwości i przewidywała trudności. Kiedy rozmawiali wczoraj wieczorem, podejrzewał, że jest przeciwna pomysłowi, aż do chwili, gdy wspomniał o wychowywaniu dzieci w Niemczech Wschodnich. Dopiero to do niej przemówiło. Teraz jednak wyglądało na to, że po zastanowieniu zmieniła zdanie.

Postanowił, że da jej czas do dziewiątej.

I co potem? Ucieknie sam?

Nie odczuwał już głodu. Jego brzuch był tak napięty, że Walli nie zdołałby niczego zjeść. Ale chciało mu się pić. Byłby gotów oddać nawet gitarę za gorącą kawę ze śmietanką.

Za kwadrans dziewiąta na ulicy pojawiła się szczupła dziewczyna z długimi jasnymi włosami. Szła w stronę furgonetki i serce Wallego uderzyło mocniej, lecz kiedy podeszła bliżej, zobaczył, że ma ciemne brwi, małe usta i tyłozgryz. To nie była Karolin.

Do dziewiątej nic się nie zmieniło.

Uciekać czy zostać?

„Jeśli jeszcze raz zaśpiewacie tę piosenkę, wylatujecie”.

Walli włączył silnik.

Ruszył z wolna i skręcił w pierwszą przecznicę.

By przebić się przez barierę, musiał jechać szybko. Z drugiej strony, jeśli zbliży się z

maksymalną prędkością, pogranicznicy zawczasu zorientują się w jego zamiarach. Musi jechać normalnie, zwolnić, żeby uspić ich czujność, a potem wcisnąć gaz.

Niestety, po wciśnięciu pedału w tej maszynie niewiele się działo. Furgonetka marki Framo miała dwusuwowy trzycylindrowy silnik o pojemności dziewięciuset centymetrów sześciennych. Walli pomyślał, że może powinien był zostawić bębny w aucie, żeby zwiększyć siłę uderzenia furgonetki w przeszkodę.

Wziął drugi zakręt i ukazał się przed nim punkt kontrolny. Około trzystu metrów dalej drogę zamykał szlaban, który unosił się, otwierając wjazd do przestrzeni ze strażnicą. Miała jakies pięćdziesiąt metrów długości, na jej końcu znajdował się drugi szlaban. Dalej była pusta jezdnia, a później zaczynała się zwyczajna zachodniobrzezińska ulica.

Berlin Zachodni, Niemcy Zachodnie, potem Ameryka, myślał Walli.

Przed pierwszym szlabanem czekała ciężarówka. Walli czym prędzej zatrzymał furgonetkę. Jeśli ustawi się w kolejce, nie zdąży nabrać odpowiedniej prędkości.

Ciężarówka przejechała i podjechał następny pojazd. Walli czekał, lecz zauważył, że wartownik spogląda w jego stronę, i uświadomił sobie, że dostrzeżono jego obecność. Dla ukrycia swoich zamiarów wysiadł, obszedł auto i otworzył tylną klapę. Mógł stamtąd widzieć przez przednią szybę. Gdy tylko drugi samochód wjechał na teren między szlabanami, usiadł za kierownicą.

Wrzucił bieg i zawahał się. Jeszcze nie było za późno na to, by zawrócić. Mógł zabrać furgonetkę do garażu Joego, zostawić ją tam i pójść piechotą do domu. Jedyne kłopot polegałby na wyjaśnieniu rodzicom, gdzie był całą noc.

Życie albo śmierć.

Jeżeli będzie czekał, za chwilę nadjedzie następna ciężarówka i zablokuje mu drogę, a wartownik może podejść i zapytać go, dlaczego, u diabła, stoi w pobliżu punktu kontrolnego. Straciłby niepowtarzalną okazję.

„Jeśli jeszcze raz zaśpiewacie tę piosenkę...”

Puścił sprzęgło i ruszył.

Przyspieszył do pięćdziesięciu kilometrów na godzinę, a potem nieco zwolnił. Wartownik stojący przy szlabanie obserwował go. Dotknął hamulca. Wartownik spojrzął w drugą stronę.

Walli wcisnął pedał do samego końca.

Wartownik usłyszał zmianę tonu pracy silnika i odwrócił się z wyrazem lekkiego zdziwienia na twarzy. Furgonetka przyspieszyła, a on machnął ręką na znak, by kierowca zwolnił. Walli bezskutecznie wciskał mocniej pedał. Furgonetka nabierała prędkości ociężale

niczym słoń. Zauważył, że wyraz twarzy wartownika zmienia się: zaciekawienie przeszło w dezaprobatę, a następnie w niepokój i trwogę. Mężczyzna nie stał na drodze furgonetki, ale zrobił trzy kroki do tyłu i przywarł plecami do ściany.

Walli wydał ryk, który był po trosze okrzykiem wojennym, a po trosze wrzaskiem strachu.

Furgonetka rąbnęła w szlaban z trzaskiem odkształcającego się metalu. Siła uderzenia rzuciła Wallego na kierownicę, poczuł ból w żebrach. Nie spodziewał się tego. Nagle oddychanie stało się trudniejsze. Jednak drewno pękło z odgłosem wystrzału i samochód sunął dalej, minimalnie tylko zwolniwszy.

Walli wrzucił pierwszy bieg. Dwa pojazdy przed nim skierowano na bok, do inspekcji, dzięki czemu droga była czysta. Ludzie przy punkcie kontrolnym - trzech wartownicy i dwaj kierowcy - odwrócili się, by sprawdzić, co to za hałas. Furgonetka przyspieszyła.

Dodało to Wallemu pewności. Uda mu się! Raptem wartownik z ponadprzeciętną przytomnością umysłu uklęknął i wycelował z pistoletu maszynowego.

Znajdował się z boku toru jazdy Wallego. Ten momentalnie uświadomił sobie, że minie go tuż-tuż. Było pewne, że zostanie trafiony i zabity.

Bez zastanowienia szarpnął kierownicą i ruszył prosto na wartownika.

Mężczyzna puścił w jego kierunku serię z automatu. Przednia szyba pękła, lecz Walli o dziwo nie dostał. Nagle znalazł się tuż przy wartowniku i przeraziła go perspektywa, że przejedzie samochodem po żywym ludzkim ciele. Ponownie szarpnął kierownicą, chcąc tego uniknąć, było jednak za późno. Przednia część furgonetki z nieprzyjemnym odgłosem rąbnęła strażnika, rzucając go na ziemię. „Nie!”, krzyknął Walli, ale przednie koło przetoczyło się po wartowniku. „O Jezu!”, jęknął głośno uciekinier. Nie zamierzał nikomu robić krzywdy.

Furgonetka zwolniła, Walli poddał się rozpacz. Chciał wysiąść z samochodu i sprawdzić, czy wartownik żyje, a jeśli tak, to udzielić mu pomocy. Nagle znów huknęły strzały i uświadomił sobie, że zabijają go, jeśli tylko zdołają. Usłyszał uderzenia pocisków w metal.

Ponownie wcisnął pedał gazu i zarzucił kierownicą, by wrócić na właściwy tor jazdy. Stracił rozpęd, ale zdołał skrócić w kierunku szlabanu. Nie był jednak pewien, czy jedzie wystarczająco szybko i zdoła go złamać. Powstrzymał odruch, żeby zmienić bieg, i silnik był na jedyńce.

Naraz poczuł ból w nodze, jakby ktoś wbił w nią nóż. Krzyknął głośno. Stopa zsunęła się z pedału i furgonetka w jednej chwili zwolniła. Zmusił się, by ponownie nacisnąć gaz pomimo bólu. Czuł gorącą krew, która spływała po łydce do buta.

Samochód wpadł na drugi szlaban. Wallego znów rzuciło na kierownicę i znów zabolowały go żebra. Drewniana bariera pękła tak samo jak pierwsza, furgonetka pojechała dalej.

Pokonała odcinek jezdni pokrytej betonem. Strzały z pistoletów ustały. Walli zobaczył ulicę z reklamami Lucky Strike i Coca-Coli, lśniące nowe samochody oraz to, co najlepsze, czyli niewielką grupkę zaskoczonych żołnierzy w amerykańskich mundurach. Zdjął nogę z gazu i spróbował zahamować. Nagle ból stał się nie do wytrzymania. Noga była jak sparaliżowana i nie zdołał docisnąć pedału hamulca. Zdesperowany skierował wóz na słup latarni.

Żołnierze podbiegli do furgonetki i jeden z nich szarpnięciem otworzył drzwi.

- Brawo, młody, udało ci się!

Udało mi się, pomyślał Walli. Żyję i jestem wolny. Ale bez Karolin.

- Jechałeś jak szatan - rzekł z podziwem żołnierz. Był niewiele starszy od Wallego.

Teraz, kiedy Walli się odprężył, ból stał się przemożny.

- Noga mnie boli - zdołał powiedzieć.

Żołnierz spojrzał w dół.

- O Jezusie, ale krwawi. - Odwrócił się. - Hej, zadzwońcie po karetkę.

Walli stracił przytomność.

Opatrzono mu ranę po kuli i nazajutrz wypuszczono ze szpitala z posiniaczonymi żebrami i bandażem na łydce lewej nogi.

Gazety napisały, że strażnik, którego przejechał, zmarł.

Walli pokuśtykał do fabryki telewizorów ojca i powiedział wszystko duńskiemu księgowemu. Enok Andersen obiecał przekazać Wernerowi i Carli, że ich syn ma się dobrze. Dał mu także trochę marek zachodnioniemieckich i Walli znalazł sobie pokój w YMCA.

Żebra bolały go, ilekroć odwrócił się na łóżku, i przez to źle spał w nocy.

Następnego dnia wziął z furgonetki gitarę. Instrument w odróżnieniu od właściciela przetrwał eskapadę bez uszczerbku. Jednak pojazd nadawał się do kasacji.

Walli złożył wniosek o zachodnioniemiecki paszport, który uciekinierom przysługiwał z urzędu.

Był wolny. Wyrwał się z dławiących kleszczy purytańskiego komunizmu w wydaniu Waltera Ulbrichta. Teraz mógł grać i śpiewać wszystko, co zechciał.

I cierpiał.

Tęsknił za Karolin. Czuł się tak, jakby stracił rękę. Ciągle myślał, co jej powie albo o co



zapyta ją wieczorem, i raptem przypominał sobie, że nie będzie mógł z nią porozmawiać. Uprzymnienie sobie tego faktu działało jak kopniak w brzuch. Na widok ładnej dziewczyny na ulicy myślał o tym, co mogliby robić z Karolin w sobotę w furgonetce Joego. Potem docierało do niego, że nie ma już samochodu i nie będzie takich wieczorów, i porażał go żal. Mijał kluby, w których mógłby występować, lecz zaraz dopadało go zwątpienie, czy byłby w stanie grać bez Karolin u boku.

Zadzwoił do siostry Rebekki, która ponaglała go, by przyjechał do Hamburga i zamieszkał z nią i jej mężem. Podziękował jej i odmówił. Nie potrafił opuścić Berlina, dopóki Karolin była na Wschodzie.

Tydzień później zbolący z żalu wziął gitarę i poszedł do klubu folkowego Minnesänger, w którym poznali się przed dwoma laty. Na tablicy znajdowała się informacja, że w poniedziałki klub jest zamknięty, lecz drzwi były otwarte, więc wszedł.

Przy barze siedział młody właściciel lokalu i konferansjer w jednej osobie, Danni Hausmann. Robił jakieś obliczenia w księdze rachunkowej.

- Pamiętam cię. Bobbsey Twins, byliście świetni. Czemu nigdy więcej nie przyszlście?

- Vopo rozwalili mi gitarę - odparł Walli.

- Ale widzę, że masz już nową.

Walli potwierdził skinieniem głowy.

- Za to straciłem Karolin.

- Bardzo lekkomyślnie z twojej strony, bo ładna z niej była dziewczyna.

- Oboje mieszkaliśmy na Wschodzie. Ja uciekłem, ona została.

- W jaki sposób uciekłeś?

- Przejechałem furgonetką przez szlabany.

- To byłeś ty? Czytałem w gazetach. O rany, facet, super! Ale dlaczego nie zabrałeś swojego kociaka?

- Nie przyszła na randkę.

- Wielka szkoda. Napijesz się? - spytał Danni, wchodząc za bar.

- Dzięki. Chciałbym po nią wrócić, ale jestem tam teraz ścigany za morderstwo.

Danni nalał do dwóch szklanek piwa z beczki.

- Komuniści zrobili wielki raban, nazywają cię groźnym przestępcą.

Domagali się również ekstradycji Wallego. Rząd Niemiec Zachodnich odmówił, twierdząc, że wartownik strzelał do niemieckiego obywatela, który chciał jedynie przejechać z jednej berlińskiej ulicy na drugą, tak więc wina za śmierć strażnika spada na niewybrany w demokratycznych wyborach reżim wschodnioniemiecki, który bezprawnie więzi swoje

społeczeństwo.

Walli nie uważał, że zrobił coś złego, lecz emocjonalnie nie mógł się pogodzić z myślą, iż zabił człowieka.

- Gdybym przekroczył granicę, aresztowaliby mnie - rzekł.

- Facet, masz przejebane.

- I nadal nie wiem, dlaczego Karolin nie przyszła.

- A nie możesz wrócić, żeby ją zapytać. Chyba że...

Walli spojrzał na niego uważnie.

- Chyba że co?

Danni się zawahał.

- Nie, nic.

Walli odstawił szklanekę. Nie mógł puścić czegoś takiego mimo uszu.

- No, stary, co?

- Jeśli mogę zaufać któremuś z mieszkańców Berlina, to chyba temu, który zabił wschodnioniemieckiego pogranicznika - powiedział Danni z namysłem.

Ta rozmowa doprowadzała Wallego do szaleństwa.

- O czym mówisz?

Właściciel klubu podjął decyzję.

- O tym, co obito mi się o uszy.

Gdyby tylko obito mu się o uszy, nie robiłby z tego takiego sekretu, pomyślał Walli.

- Co usłyszałeś?

- Może jest sposób, by wrócić bez przechodzenia przez punkt kontrolny.

- Jaki?

- Nie mogę ci powiedzieć.

Walli był już zły, bo czuł, że rozmówca bawi się z nim w kotka i myszkę.

- Więc dlaczego, kurwa, o tym wspomniałeś?

- Wyluzuj, dobra? Nie mogę ci tego ujawnić, ale mogę cię do kogoś zaprowadzić.

- Kiedy?

Właściciel klubu milczał chwilę, a potem odpowiedział pytaniem na pytanie:

- Jesteś chętny wrócić dzisiaj? Na przykład teraz?

Walli nie zawahał się pomimo lęku.

- Tak, tylko skąd ten pośpiech?

- Żebyś nie mógł powiedzieć nikomu więcej. Ci ludzie nie podchodzą profesjonalnie do spraw bezpieczeństwa, ale nie są też całkiem głupi.

Mówił o jakiejś zorganizowanej grupie; brzmiało to zachęcająco. Walli zszedł ze stołka.

- Mogę zostawić tutaj gitarę?

- Włożę ją do schowka. - Mężczyzna wziął instrument w futerał i zamknął w szafie, w której znajdował się szereg innych, a także sprzęt nagłaśniający. - Chodźmy.

Klub znajdował się nieopodal Ku'damm. Danni zamknął lokal i poszli do najbliższej stacji metra. Zauważył, że towarzysz kuleje.

- W gazetach podali, że dostałeś w nogę.

- Taak. Boli jak cholera.

- Chyba mogę ci zaufać. Tajny agent Stasi nie posunąłby się tak daleko, by zranić samego siebie.

Walli nie wiedział, czy się cieszyć, czy bać. Czyżby naprawdę miał szansę wrócić do Berlina Wschodniego, i to dzisiaj? Wydawało się to zbyt piękne, by mogło być prawdziwe. Jednocześnie bał się. W Niemczech Wschodnich wciąż istniała kara śmierci. Jeśli go złapią, prawdopodobnie trafi pod gilotynę.

Przejechali metrem przez całe miasto. Wallemu przyszło na myśl, że to może być pułapka. Stasi prawdopodobnie miało agentów w Berlinie Zachodnim i właściciel klubu mógł być jednym z nich. Czy zadaliby sobie tyle trudu, żeby złapać Wallego? Wydawało się to mało prawdopodobne, lecz znając mściwość Hansa Hoffmanna, Walli nie mógł wykluczyć tej możliwości.

Ukradkiem obserwował Danniego, kiedy jechali metrem. Czy może być agentem? Niełatwo było to sobie wyobrazić. Danni miał ze dwadzieścia pięć lat i nosił dość długie włosy z grzywką, zgodnie z najnowszą modą. Jego buty miały elastyczne boki i szpice. Prowadził dobrze prosperujący klub. Był zbyt fajny jak na gliniarza.

Z drugiej jednak strony jego pozycja idealnie nadawała się do szpiegowania młodych zachodniobерlińskich antykomunistów. Większość zapewne przychodziła do jego klubu. Musiał znać niemal wszystkich przywódców studenckich w Berlinie Zachodnim. Czy Stasi zależało na tym, by wiedzieć o poczynaniach takich młodych ludzi?

Naturalnie, że tak. Mieli obsesję niczym średniowieczni księża polujący na czarownice.

Jednakże Walli nie mógł przepuścić takiej okazji. Zależało mu na tym, żeby choć raz porozmawiać z Karolin.

Postanowił sobie, że zachowa czujność.

Słońce już zachodziło, kiedy wyszli ze stacji metra w dzielnicy Wedding. Zmierzali na południe i Walli uświadomił sobie, że kierują się do Bernauer Strasse. Tamtędy właśnie uciekła Rebecca.

W coraz bledszym świetle dnia zobaczył, że ulica się zmieniała. Od południowej strony, gdzie kiedyś stało ogrodzenie z drutu kolczastego, teraz wznosił się betonowy mur, a budynki po stronie należącej do komunistów były w trakcie burzenia. Po stronie wolnego Berlina, którą szli Walli i Danni, ulica wyglądała jak wymarła. Sklepy na parterze w budynkach mieszkalnych były zaniedbane. Walli domyślił się, że nikt nie chce mieszkać tak blisko muru, odrażającego zarówno dla oczu, jak i dla serca.

Danni okrążył budynek i tylnym wejściem dostali się do nieczynnego już sklepu. Musiał to być sklep spożywczy, ponieważ na ścianach widniały namalowane emalią reklamy łososia w puszcze i kakao. Jednakże sklep i sąsiednie pomieszczenia wypełniały wysokie kopce ziemi, między którymi pozostało jedynie wąskie przejście; Walli zaczął się domyślać, co jest grane.

Przewodnik otworzył drzwi i wszedł do betonowej klatki schodowej oświetlonej żarówką elektryczną. Walli podążył za nim. „Nadpływają łodzie podwodne!”, zawołał Danni. To mogło być hasło. Na dole schodów znajdowała się duża piwnica, w której właściciel sklepu bez wątplenia magazynował towar. Teraz w posadzce ział otwór wielkości metra kwadratowego, nad nim zaś zamontowano podnośnik o zaskakująco profesjonalnym wyglądzie.

Wykopali tunel.

- Od jak dawna istnieje? - zapytał Walli. Gdyby jego siostra wiedziała w zeszłym roku o tunelu, mogłaby nim przejść, a Bernd uniknąłby kalectwa.

- Od niezbyt dawna - odparł Danni. - Skończyliśmy tydzień temu.

- Aha. - Oznaczało to, że Rebecca nie miała szans, by z niego skorzystać.

- Używamy go tylko o zmroku - dodał Danni. - Za dnia byłby zbyt widoczny, a nocą musielibyśmy świecić sobie latarkami. Mogłoby to zwrócić na nas uwagę. Tak czy inaczej, ryzyko wykrycia rośnie za każdym razem, kiedy kogoś przeprowadzamy.

Z otworu wyszedł po drabinie młody mężczyzna w dżinsach, zapewne jeden ze studentów budowniczych tunelu. Zmierzył ostrym spojrzeniem Wallego.

- A kto to jest?

- Ręczę za niego, Becker - odparł Danni. - Znałem go, jeszcze zanim zbudowali mur.

- Po co przyszedł? - indagował Becker wrogim i podejrzliwym tonem.

- Żeby przejść na drugą stronę.

- Chce iść na Wschód?

- Uciekłem w zeszłym tygodniu, ale muszę wrócić po dziewczynę - wyjaśnił Walli. - Nie mogę przejść zwyczajnie przez punkt kontrolny, bo zabiłem wartownika i ścigają mnie za

morderstwo.

- Ty byłeś ty? - Becker spojrział na niego ponownie. - Taak, poznaję cię, widziałem twoje zdjęcie w gazecie. - Jego nastawienie się zmieniło. - Możesz iść, ale nie masz dużo czasu. - Zerknął na zegarek. - Dokładnie za dziesięć minut zaczną przechodzić ze Wschodu. W tunelu prawie nie ma miejsca na mijanki, a ja nie chcę, żebyś spowodował korek i spowolnił uciekinierów.

Walli czuł lęk, nie chciał jednak stracić szansy.

- Ruszam od razu - oznajmił, maskując obawy.

- No dobra, idź.

Uściskał Danniemu dłoń.

- Dzięki, przyjdę odebrać gitarę.

- Powodzenia, obyś znalazł swoją dziewczynę.

Walli zszedł po drabinie.

Szyb miał metr głębokości. Na dnie znajdowało się wejście do tunelu. Walli od razu zauważył, że jest porządnie zbudowany. Miał podłogę z desek i równo rozmieszczone stemple. Ukłękął i zaczął iść na czworakach.

Po kilku sekundach uświadomił sobie, że nie ma światła. Czołgał się dalej, aż otoczyła go całkowita ciemność. Strach sięgał mu do samych trzewi. Walli wiedział, że prawdziwe niebezpieczeństwo zagrozi mu dopiero wtedy, gdy wyjdzie na terenie Niemiec Wschodnich, po drugiej stronie tunelu, lecz zwierzęcy instynkt wymuszał lęk już teraz, gdy Walli sunął po omacku na czworakach.

Aby zająć czymś myśli, wyobrażał sobie krajobraz miasta na powierzchni. Przechodził pod ulicą, potem pod murem, a następnie pod na wół wyburzonymi domami po wschodniej stronie. Nie wiedział jednak, jak daleko biegnie tunel ani gdzie się kończy.

Oddychał ciężko z wysiłku, ręce i kolana bolały go od dotyku twardych desek, rana w łydce po kuli paliła. Mógł jednak tylko zacisnąć zęby i przeć dalej.

Tunel nie może ciągnąć się bez końca, gdzieś musi się skończyć. Trzeba iść. Wrażenie, że zagubił się w bezkresnej ciemności, było tylko dziecięcym lękiem. Musi zachować spokój i zdoła to zrobić. Na końcu tunelu jest Karolin - nie w dosłownym sensie, lecz myśl o jej seksownym szerokim uśmiechu dodawała mu sił w walce ze strachem.

Nie był pewien, czy naprawdę widzi plamkę światła, czy tylko ją sobie wyobraża. Bardzo długo majaczyła niewyraźnie, trzymając Wallego w niepewności, lecz po kilku sekundach znalazł się w blasku światła elektrycznego.

Nad jego głową był szyb. Walli wszedł po drabinie i znalazł się w piwnicy. Wpatrywały

się w niego trzy osoby. Dwoje miało bagaże, domyślił się, że to uciekinierzy. Trzeci prawdopodobnie był jednym z organizatorów przerzutu.

- Nie znam cię! - rzekł, spoglądając na przybysza.

- Jestem od Danniego. Nazywam się Walli Franck.

- Zbyt wielu ludzi wie o tunelu! - stwierdził tamten wysokim głosem pełnym niepokoju.

To jasne, pomyślał Walli: tajemnicę zna każdy, kto przez niego uciekł. Rozumiał, dlaczego Danni powiedział, że niebezpieczeństwo rośnie za każdym razem, gdy ktoś korzysta z przejścia. Nie miał pewności, czy nadal będzie otwarte, kiedy zechce nim powrócić. Na myśl o tym, że znów utknie w pułapce Niemiec Wschodnich, zapragnął natychmiast się odwrócić i poczołgać z powrotem.

- Ruszajcie - odezwał się nieznajomy do uciekinierów z bagażami. Zeszli do szybu. Przewodnik spojrzął na Wallego i wskazał kamienne schody. - Wejdź na górę i czekaj. Kiedy teren będzie czysty, Cristina otworzy z zewnątrz klapę. Wyjdiesz i działasz na własną rękę.

- Dzięki.

Walli wspinał się po stopniach, aż jego głowa natrafiła na żelazną klapę w suficie. Domyślił się, że schody wykorzystywano do tego, by dostarczać jakieś towary. Ukucnął i nakazał sobie cierpliwość. Na szczęście ktoś trzymał wartę na zewnątrz, bo w innym razie mógłby zostać zauważony podczas wychodzenia.

Po paru minutach kłapa się otworzyła. W wieczornym świetle Walli zobaczył młodą kobietę w szarej chustce. Wyszedł, a dwoje ludzi z bagażami ruszyło schodami w dół. Cristina zamknęła klapę. Walli z zaskoczeniem zobaczył, że dziewczyna ma pistolet za paskiem.

Rozejrzał się. Znajdował się na małym otoczonym murem podwórzu na tyłach opuszczonego bloku mieszkalnego. Cristina wskazała drewniane drzwi w murze.

- Idź tędy.

- Dziękuję.

- Znikaj, szybko - dodała.

Wszyscy byli zbyt spięci, by pamiętać o dobrych manierach.

Walli otworzył drzwi i wyszedł na ulicę. Po lewej stronie, w odległości paru metrów, stał mur. Walli odwrócił się w prawo i ruszył.

Początkowo bez przerwy się rozglądał, oczekując, że nadjedzie policyjny radiowóz i zatrzyma się z piskiem opon. Później usiłował zachowywać się normalnie i kroczyć pewnie chodnikiem tak jak dawniej. Jednak choć bardzo się starał, nie mógł się pozbyć powłóczenia nogą: ból był zbyt dotkliwy.

Pierwszy odruch kazał mu iść prosto do domu Karolin. Nie mógł jednak zapukać do drzwi, bo jej ojciec wezwałby policję.

Tego nie wziął pod uwagę.

Może będzie lepiej, jeśli spotka się z nią jutro po południu, kiedy Karolin wyjdzie ze szkoły. Nie było nic podejrzanego w tym, że chłopak czeka przed technikum na dziewczynę, Walli często tak robił. Musi tylko postarać się, by nikt z jej klasy nie zobaczył jego twarzy. Paliła go niecierpliwość, chciał zobaczyć ją jak najprędzej, ale byłoby szaleństwem, gdyby zaniedbał zastosowania środków ostrożności.

Co będzie robił do tego czasu?

Tunel kończył się przy Strelitzer Strasse, ulicy biegnącej na południe ku staremu centrum miasta, Berlin-Mitte; tam mieszkała jego rodzina. Znajdował się zaledwie kilka przecznic od domu rodziców. Mógłby do nich pójść.

Może nawet ucieszyłoby się na jego widok.

Zbliżając się do ulicy, zastanowił się, czy dom może być pod obserwacją. Jeśli tak, to nie powinien tam iść. Ponownie pomyślał o kamuflażu, nie miał jednak niczego, co dałoby się wykorzystać: wychodząc rano z pokoju w YMCA, nie mógł nawet marzyć o tym, że wieczorem znajdzie się znów w Berlinie Wschodnim. W domu są kapelusze, chustki i inne użyteczne części garderoby, ale wpierw musiałby się do niego dostać.

Na szczęście było ciemno. Przeszedł ulicą po przeciwnej stronie do tej, na której stał dom rodziców, wypatrując osób mogących być czujkami Stasi. Nie zauważył, by ktoś się kręcił, siedział w zaparkowanym samochodzie czy tkwił w oknie. Mimo to doszedł do końca ulicy i okrążył kwartał. Wracając, skręcił raptownie w alejkę prowadzącą do podwórka. Otworzył furtkę, przemierzył podwórze domu i znalazł się przy drzwiach kuchni. Było wpół do dziesiątej, ojciec jeszcze nie zamknął domu. Walli otworzył drzwi i wszedł do środka.

Światło się paliło, lecz w kuchni nie było nikogo. Domownicy już dawno zjedli kolację i siedzieli w dużym pokoju na górze. Walli przeszedł hol, a potem ruszył po schodach. Drzwi pokoju stały otwarte, Walli wszedł do środka. Matka, ojciec, siostra i babcia oglądali telewizję.

- Cześć wszystkim - powiedział Walli.

Lili krzyknęła głośno.

- Wielkie nieba - rzekła babcia po angielsku.

Carla pobladła i uniosła ręce do ust.

Werner wstał.

- Mój syn. - Przemierzył dwoma krokami pokój i zamknął Wallego w ramionach. - Mój

synek, Bogu dzięki.

Uczucie skumulowane w piersi Wallego przełamało tamę. Rozplakał się.

Po ojcu matka wzięła go w ramiona, nie hamując łez. Później to samo zrobiła Lili i babcia Maud. Walli ocierał oczy rękawem koszuli, lecz wciąż napływały nowe. Przemoczona fala uczuć zaskoczyła go. Uważał, że oddzielenie od rodziny tylko go zahartowało; w końcu miał już siedemnaście lat. Teraz zrozumiał, że odsuwał łzy w czasie.

W końcu wszyscy się uspokoili i osuszyli oczy. Matka zabandażowała od nowa ranę Wallego, która zaczęła krwawić, kiedy czołgał się podziemnym tunelem. Potem zaparzyła kawy i przyniosła ciasto, Walli zaś uświadomił sobie, jak bardzo zgłodniał. Najadłszy się i napiwszy do syta, opowiedział, co go spotkało. Odpowiedział na wszystkie pytania, które mu zadali, a następnie położył się spać.

Nazajutrz o wpół do czwartej po południu stał oparty o ścianę nieopodal technikum Karolin. Miał ciemne okulary i czapkę na głowie. Przybył za wcześnie, bo dziewczęta kończyły zajęcia o szesnastej.

Nad Berlinem świeciło słońce, tworząc przyjemnie optymistyczny nastrój. Miasto stanowiło mieszaninę imponujących starych gmachów, kanciastych nowoczesnych budynków z betonu oraz powoli znikających pustych placów po bombardowaniach jeszcze z czasów wojny.

Serce Wallego przepęniała tęsknota. Za kilka minut zobaczy twarz Karolin okoloną zasłonami długich włosów i jej uśmiechnięte usta. Pocałuje ją na powitanie i poczuje na swoich biodrach krągłość jej bioder. Może jeszcze dziś, zanim upłynie noc, będą się kochali.

Zżerała go także ciekawość. Dlaczego dziewięć dni temu Karolin nie przyszła na umówione spotkanie, by z nim uciec? Był prawie pewien, że jakieś niefortunne zdarzenie zepsuło ich plan - ojciec mógł jakoś zwęszyć, co się święci, i zamknąć ją w pokoju. Jednocześnie dręczył go narastający lęk, że Karolin zmieniła zdanie i nie chciała z nim uciec. Jeśli tak, trudno było mu odgadnąć powód. Czyżby przestała go kochać? Ludzie się zmieniają. A teraz we wschodnioniemieckich gazetach przedstawiono go jako zabójcę bez serca. Czy miało to na nią wpływ?

Niebawem się tego dowie.

Rodzice byli zdruzgotani przebiegiem wydarzeń, lecz nie próbowali nakłonić go do zmiany planów. Nie chcieli, by odchodził z domu - uważali, że jest na to za młody - ale wiedzieli, że nie może zostać na Wschodzie, gdyż trafi za kratki. Pytali, co zamierza robić na Zachodzie, studiować czy pracować, a on odparł, że nie podejmie żadnej decyzji, dopóki nie



porozmawia z Karolin. Przystali na to i po raz pierwszy ojciec nie próbował mu niczego dyktować. Traktowali go jak dorosłego. Domagał się tego od lat, lecz teraz, gdy się ziściło, czuł się zagubiony i przestraszony.

Ze szkoły wysypał się tłum uczennic.

Technikum mieściło się w starym banku. Uczennicami były same dziewczęta dobiegające dwudziestki: miały zostać maszynistkami, sekretarkami, księgowymi i agentkami biur podróży. Niosły w rękach torby, książki i teczki. Były ubrane w wiosenne zestawy złożone ze swetrów i spódnic, ciut staromodnie; od przyszłych sekretarek wymagano skromnych strojów.

Wreszcie ukazała się Karolin. Miała na sobie zielony bliźniak i niosła książki w starej skórzanej teczce.

Walli stwierdził, że jego ukochana trochę inaczej wygląda, jej twarz nieco się zaokrągliła. Ale przecież w ciągu tygodnia nie mogła przybrać wiele na wadze, prawda? Była z dwiema innymi dziewczynami i rozmawiały, lecz nie zawtórowała im, kiedy tamte parsknęły śmiechem. Walli obawiał się, że jeśli się teraz odezwie, koleżanki Karolin zdołają go zauważyć. To było niebezpieczne, ponieważ mogły wiedzieć, że niesławny morderca i uciekinier Walli Franck był chłopakiem Karolin, i skierować podejrzenie na nieznanego w ciemnych okularach.

Czuł narastający strach - czy to możliwe, że jego plan w ostatniej chwili spali na panewce? Naraz koleżanki Karolin skrzyły w lewo i pomachały jej na pożegnanie, a ona przeszła na drugą stronę ulicy.

Kiedy się zbliżyła, zdjął okulary.

- Cześć, kochanie.

Spojrzała na niego i rozpoznała, a potem pisnęła z przestachu i zatrzymała się. Zobaczył na jej twarzy zdumienie i lęk, i coś jeszcze. Czyżby poczucie winy? Potem podbiegła, upuściła teczkę i zarzuciła mu ręce na szyję. Obejmowali się i całowali, a Walli poczuł przyływ ulgi i szczęścia. Znał już odpowiedź na pierwsze dręczące pytanie: Karolin nadal go kochała.

Po chwili zauważył, że patrzą na nich przechodnie, jedni się uśmiechali, inni krzywili. Włożył okulary.

- Chodźmy - powiedział. - Nie chcę, żeby mnie rozpoznali. - Wziął teczkę Karolin.

Oddalili się od budynku szkoły, trzymając się za ręce.

- W jaki sposób wróciłeś? Czy to bezpieczne? Co zrobisz? Ktoś wie, że tutaj jesteś?

- Musimy omówić wiele spraw. Trzeba znaleźć jakieś miejsce, w którym będziemy

mogli spokojnie usiąść.

Po drugiej stronie ulicy zobaczył kościół. Może będzie otwarty dla tych, którzy szukają duchowego wyciszenia.

Zaprowadził tam Karolin.

- Kulejesz.
- Pogranicznik postrzelił mnie w nogę.
- Boli cię?
- Jak cholera.

Drzwi protestanckiego kościoła zastali otwarte.

Wnętrze było skromne i słabo oświetlone, stały tam rzędy twardych ławek. W drugim końcu kobieta w chustce na głowie odkurzała kazalnicę. Walli i Karolin usiedli w ostatniej ławce.

- Kocham cię - powiedział Walli.
- Ja ciebie też.
- Co się stało w niedzielę rano? Mieliśmy się spotkać.
- Przestraszyłam się.

Nie takiej odpowiedzi oczekiwał i trudno było mu ją zrozumieć.

- Ja też się bałem, ale złożyliśmy sobie obietnicę.
- Wiem.

Widział, że dręczą ją bolesne wyrzuty sumienia, lecz dostrzegł coś jeszcze. Nie chciał męczyć dziewczyny, ale musiał znać prawdę.

- Podjąłem straszne ryzyko. Nie powinnaś była wycofywać się bez słowa.
- Przykro mi.
- Ja bym ci tego nie zrobił - rzekł Walli, po czym dodał tonem zarzutu: - Za bardzo cię kocham.

Wzdrygnęła się, jakby ją uderzył, lecz odpowiedziała z przekonaniem:

- Nie jestem tchórzem.
- Jeśli twoje uczucia się nie zmieniły, to dlaczego mnie zawiodłaś?
- Oddałabym za ciebie życie.
- Gdyby to była prawda, poszłabyś ze mną. Jak możesz teraz tak mówić?
- Bo nie chodzi wyłącznie o moje życie.
- O moje także.
- I jeszcze kogoś.

Walli nie rozumiał.

- O czyje, na litość boską?
- Mówię o życiu naszego dziecka.
- Co takiego?
- Będziemy mieli dziecko, Walli. Jestem w ciąży.

Walli aż otworzył usta ze zdziwienia. Nie mógł wydusić z siebie słowa. W jednej chwili jego świat przewrócił się do góry nogami. Karolin jest w ciąży, w ich życiu pojawi się dziecko.

Jego dziecko.

- O Boże - wykrztusił w końcu.

- Byłam w rozterce - ciągnęła z bólem Karolin. - Spróbuj to zrozumieć. Chciałam z tobą uciec, ale nie mogłam narazić dziecka. Nie mogłam wsiąść do samochodu, wiedząc, że będziesz się przebijał przez szlabany. To nieważne, że ja mogłam zostać ranna, ważne było dziecko. Powiedz, że rozumiesz - zakończyła błagalnym tonem.

- Rozumiem - rzekł Walli. - Chyba.
- Dziękuję.

Wziął ją za rękę.

- Dobrze, pomówmy o tym, co robić.
- Wiem, co chcę zrobić - odparła zdecydowanie. - Już kocham to dziecko, nie pozbędę się go.

Domyślił się, że Karolin żyje z tą wiedzą od kilku tygodni i że musiała się długo i mocno zastanawiać. Mimo to był zaskoczony siłą jej postanowienia.

- Mówisz tak, jakby to nie miało nic wspólnego ze mną.

- To moje ciało! - oznajmiła zaciekle. Sprzątaczką odwróciła głowę, Karolin ściszyła głos, lecz nadal mówiła z mocą: - Żaden mężczyzna nie będzie mi mówił, co mam zrobić ze swoim ciałem, ani ty, ani mój ojciec!

Walli odgadł, że ojciec usiłował nakłonić Karolin do skrobanki.

- Nie jestem twoim ojcem - powiedział. - Nie będę ci mówił, co masz robić, i nie będę cię namawiał do aborcji.

- Przepraszam.

- Ale czy to jest nasze dziecko, czy tylko twoje?

Karolin rozplakała się.

- Nasze.

- A więc porozmawiamy o tym, co zrobimy razem?

Uścisnęła jego dłoń.

- Jesteś taki dorosły - powiedziała. - To dobrze, bo zostaniesz ojcem, zanim skończysz osiemnaście lat.

Była to szokująca myśl. Wyobraził sobie swojego ojca, z krótko ostrzyżonymi włosami i w kamizelce. Teraz on, Walli, będzie musiał odegrać taką rolę: władczego, zdecydowanego, rzetelnego mężczyzny, który zawsze potrafi zapewnić byt rodzinie. Nie był na to gotów, wbrew temu, co powiedziała Karolin.

Ale musiał być, tak czy inaczej.

- Kiedy? - zapytał.

- W listopadzie.

- Chcesz wziąć ślub?

Uśmiechnęła się przez łzy.

- A chcesz się ze mną ożenić?

- Bardziej niż czegokolwiek na świecie.

- Dziękuję. - Objęła go.

Sprzątaczką zakaszła z dezaprobatą. Rozmowy były dozwolone, lecz kontakt fizyczny już nie.

- Wiesz, że nie mogę zostać na Wschodzie - rzekł Walli.

- Twój ojciec nie może znaleźć ci adwokata? Zadziałać politycznie? Władze mogłyby cię ułaskawić, gdyby wyjaśniono wszystkie okoliczności.

Rodzina Karolin nie była uwikłana w politykę. Ale jego rodzina - owszem, i dlatego Walli wiedział, że nigdy nie dostanie ułaskawienia za zabicie pogranicznika.

- To niemożliwe - odparł. - Jeśli tu zostanę, czeka mnie egzekucja za morderstwo.

- A więc co zrobisz?

- Muszę wrócić na Zachód i zostać tam, chyba że upadnie komunizm. A nie sądzę, by stało się to za mojego życia.

- Nie.

- Musisz przejść ze mną do Berlina Zachodniego.

- Jak?

- Pójdziemy tą drogą, którą przyszedłem. Grupa studentów wykopała tunel pod Bernauer Strasse. - Spojrzał na zegarek. Czas szybko upływał. - Musimy tam być przed zachodem słońca.

Twarz Karolin wyrażała lęk.

- Dzisiaj?

- Tak, od razu.

- O Boże.

- Nie wolałabyś, aby nasze dziecko wyrastało w wolnym kraju?

Skrzywiła się, jakby wewnętrzny konflikt sprawiał jej ból.

- Wolałabym nie ryzykować aż tak bardzo.

- Ja też, ale nie mamy wyboru.

Karolin spojrzała na rzędy ławek i wytrwale pracującą sprzątaczkę. Na ścianie wisiała tabliczka z napisem: „Jam jest drogą, prawdą i życiem”. Żadna wskazówka, pomyślał Walli, lecz Karolin już postanowiła.

- No więc chodźmy.

Wstała i wyszli z kościoła. Walli skierował się na północ. Karolin była przygaszona.

- Bobbsey Twins wyruszają na spotkanie przygody - powiedział, by podnieść ją na duchu. Uśmiechnęła się przelotnie.

Walli zastanowił się, czy aby nie są obserwowani. Był raczej pewny, że kiedy rano wychodził z domu rodziców, nikt go nie widział. Wyszedł tylnymi drzwiami i nikt za nim nie podążył. A czy Karolin ktoś śledził? Może ktoś jeszcze czekał przed szkołą na jej wyjście, ktoś, kto potrafił się dobrze zakamuflować.

Walli zaczął się oglądać co minutę, by sprawdzić, czy jest jakaś osoba, która stale za nimi idzie. Nikogo nie zauważył, lecz wystraszył Karolin.

- Co robisz? - spytała zalekniona.

- Sprawdzam, czy mamy ogon.

- Masz na myśli tego w czapce?

- Może. Wsiądźmy do autobusu.

Mijali właśnie przystanek i ustawili się na końcu kolejki.

- Po co?

- Żeby zobaczyć, czy ktoś wsiada i wysiada z nami.

Niestety, trwały godziny szczytu i miliony berlińczyków wracało autobusami do domów. Zanim nadjechał, ustawiło się za nimi sporo ludzi. Kiedy wsiadali, Walli zmierzył każdego ostrym spojrzeniem. Była tam kobieta w prochowcu, jakaś ładna dziewczyna, mężczyzna w niebieskim kombinezonie, mężczyzna w garniturze i filcowym kapeluszu oraz dwoje nastolatków.

Przejechali trzy przystanki i wysiedli. Kobieta w prochowcu i mężczyzna w kombinezonie wysiedli za nimi. Walli skierował się na zachód, w stronę, z której przyjechali. Zakładał, że gdyby ktoś podążył za nimi w tak nielogiczny sposób, musiałby być podejrzany.

Nikt za nimi nie poszedł.

- Jestem raczej pewny, że nikt nas nie śledzi - rzekł do Karolin.

- Bardzo się boję - odparła.

Słońce chyliło się ku zachodowi. Skręcili na północ w kierunku Wedding. Walli ponownie się obejrzał. Zauważył mężczyznę w średnim wieku w brązowym płaszczu, lecz nikogo wcześniej widzianego.

- Myślę, że nic nam nie grozi - oznajmił.

- Nie zobaczę już rodziny, prawda? - zapytała Karolin.

- Przez jakiś czas. Chyba że oni także uciekną.

- Mój ojciec nigdy nie ucieknie, on kocha swoje autobusy.

- Na Zachodzie też je mają.

- Nie znasz go.

Walli poznał ojca Karolin, lecz miała rację. Jej ojciec stanowił skrajne przeciwieństwo inteligentnego, zdecydowanego Wenera. Nie miał przekonań politycznych ani religijnych i ani trochę nie obchodziła go wolność słowa. Gdyby żył w demokratycznym kraju, zapewne nie chciałoby mu się chodzić na wybory. Lubił pracę, rodzinę i piwiarnię. Jego ulubioną potrawę stanowił chleb. Komunizm zapewniał mu wszystko, czego potrzebował. Nigdy nie uciekłyby na Zachód.

Zmierzchało, kiedy Walli i Karolin dotarli do Strelitzer Strasse.

Karolin robiła się coraz bardziej spięta, gdy szli ulicą zamkniętą murem.

Walli zauważył dwoje młodych ludzi z dzieckiem i pomyślał, że oni także być może uciekają. Okazało się, że miał rację, bo po chwili weszli drzwiami na podwórze i zniknęli.

Walli i Karolin doszli na miejsce.

- Tu jest wejście - oznajmił.

- Chcę, żeby mama była ze mną przy porodzie - powiedziała Karolin.

- Już prawie doszliśmy! Za tymi drzwiami jest podwórze. Otworzymy klapę, zejdziemy szybem na dół, a później przejdziemy tunelem. I będziemy wolni!

- Boję się ucieczki - odparła. - Boję się porodu.

- Będzie dobrze. - Walli był zdesperowany. - Na Zachodzie mają wspaniałe szpitale, lekarze i pielęgniarki otoczą cię ze wszystkich stron.

- Chcę, żeby była mama.

Walli obejrzał się. W odległości czterystu metrów na rogu ulicy stał mężczyzna w brązowym płaszczu i rozmawiał z policjantem.

- Szlag! A jednak nas śledzili. - Spojrzał na drzwi, a potem na Karolin. - Teraz albo nigdy. Nie mam wyboru, muszę iść. Idziesz ze mną czy nie?

Dziewczyna płakała.

- Chcę, ale nie mogę.

Zza rogu ulicy z dużą prędkością wyjechał samochód i zatrzymał się obok policjanta i szpicla. Z samochodu ktoś wysiadł, Walli znał tę przygarbioną sylwetkę: to był Hans Hoffmann. Odezwał się do mężczyzny w brązowym płaszczu.

- Albo idziesz za mną, albo szybko się stąd oddal - powiedział Walli do Karolin. - Będą kłopoty. - Popatrzył na nią. - Kocham cię. - Potem skoczył przez drzwi.

Obok klapy stała Cristina, wciąż miała na głowie chustkę, a za paskiem pistolet. Na widok Wallego szybko otworzyła metalową klapę.

- Ta broń może ci się przydać - rzekł. - Nadchodzi policja.

Obejrzał się jeszcze raz. Drewniane drzwi w ścianie były zamknięte. Karolin za nim nie podążyła. Ból ścisnął go w brzuchu. To był koniec.

Zszedł po schodach.

W piwnicy dwoje młodych ludzi stało ze studentem.

- Pospieszcie się! - zawołał Walli. - Idzie policja!

Zeszli szybem, najpierw matka, po niej dziecko, a na końcu ojciec. Dziecko schodziło pomału.

Pojawiła się Cristina i z metalicznym odgłosem zatrzasnęła za sobą żelazną klapę.

- W jaki sposób policja nas dopadła?

- Agenci Stasi śledzili moją dziewczynę.

- Ty durniu, wydałeś nas wszystkich.

- Pójdę na końcu - odparł Walli.

Student ruszył w dół, Cristina odwróciła się do drabiny.

- Daj mi broń - powiedział Walli.

Zawahała się.

- Jeśli będę szedł za tobą, nie będziesz mogła jej użyć.

Podążyła mu pistolet.

Wziął go niepewnym ruchem. Wyglądał dokładnie tak samo jak ten, który ojciec wyjął ze schowka w kuchni w dniu, w którym uciekli Rebecca i Bernd.

Cristina zauważyła jego niepewność.

- Strzelałeś kiedyś? - zapytała.

- Nigdy.

Wzięła od Wallego pistolet i przesunęła dźwigienkę obok iglicy.

- Teraz jest odbezpieczony. Wystarczy, że wycelujesz i naciśniesz spust.

Ponownie zabezpieczyła broń i oddała ją Wallemu, a potem zaczęła schodzić po drabinie.

Walli słyszał krzyki i warkot silników. Nie wiedział, co robią policjanci, lecz było jasne, że czasu jest coraz mniej.

Teraz już rozumiał, co się stało. Hans Hoffmann kazał obserwować Karolin, licząc na to, że Walli może po nią wrócić. Szpicel zobaczył, że dziewczyna rozmawia z jakimś chłopakiem i z nim odchodzi. Ktoś podjął decyzję, by nie aresztować ich od razu, tylko poczekać i zobaczyć, czy nie doprowadzą policji do grupy współspiskowców. Kiedy Walli i Karolin wysiedli z autobusu, sprawnie dokonano zmiany obserwatora: nowym był mężczyzna w brązowym płaszczu. W pewnej chwili zorientował się, że zacierają w stronę muru, i uruchomił alarm.

Teraz policja i Stasi byli na powierzchni, przeszukiwali otoczenie opuszczonych budynków i zachodzili w głowę, dokąd poszli Walli i Karolin. Lada chwila zauważą kłapę.

Walli z pistoletem w dłoni zszedł po drabinie.

Dotarłszy do najniższego szczebla, usłyszał brzęk metalowej kłapy. Policja namierzyła wejście. Po chwili rozległy się szorstkie okrzyki zaskoczenia i triumfu, gdy gliniarze dostrzegli otwór w posadzce.

Walli musiał czekać przy wejściu do tunelu, aż Cristina zniknęła w środku. Trwało to nieznośnie długo. Wszedł za nią, a potem się zatrzymał. Był szczupły, a i tak z trudem odwracał się w wąskim przejściu. Spojrzał w górę i zobaczył postać policjanta na drabinie.

To było beznadziejne. Policja znalazła się zbyt blisko. Wystarczyło, że skierują pistolety w głąb tunelu i otworzą ogień. Trafia Wallego, a kiedy upadnie, pociski przejdą nad nim i dosięgną następnej osoby, a później następnej. Poleje się dużo krwi. Wiedział, że będą strzelać bez wahania, gdyż uciekinierom nigdy nie okazywano litości. To będzie krwawa jatka.

Musi powstrzymać ich przed wejściem do szybu.

Ale nie chciał zabijać drugiego człowieka.

Kłęcząc w otworze do tunelu, odbezpieczył walthera. Następnie wysunął dłoń z pistoletem na zewnątrz, skierował ją ku górze i nacisnął spust.

Poczuł siłę odrzutu. Huk w zamkniętej przestrzeni był bardzo głośny. Rozległy się okrzyki zaskoczenia i strachu, ale nie bólu; domyślił się, że wystraszył policjantów, nikogo nie trafiając. Wyrzwał i zobaczył, że gliniarz wdrapuje się po drabinie i wychodzi z szybu.

Walli czekał. Wiedział, że dziecko będzie spowalniało uciekinierów. Słyszał policjantów naradzających się gniewnie, co dalej robić. Żaden nie miał ochoty schodzić do



szybu, jeden z nich powiedział, że to samobójstwo. Ale nie mogli tak po prostu pozwolić komuś zbiec!

Aby przypomnieć im o zagrożeniu, Walli ponownie wystrzelił. Usłyszał paniczne szuranie stóp, jakby postanowili odstąpić od szybu. Pomyślał, że udało mu się ich odstraszyć, i odwrócił się, by wczołgać się do tunelu.

Nagle do jego uszu doszedł dobrze znany głos.

- Potrzebne są granaty - stwierdził Hans Hoffmann.

- O kurwa - powiedział do siebie Walli.

Wsunął pistolet za pasek i jął się czołgać. Teraz nie mógł zrobić nic innego, jak tylko oddalić się od wejścia do tunelu. Wkrótce poczuł przed sobą buty Cristiny.

- Prędej! - wrzasnął. - Gliny poszły po granaty!

- Nie mogę iść szybciej niż ten przede mną! - odkrzyknęła dziewczyna.

Walli mógł jedynie czołgać się za nią. Było ciemno. Z piwnicy, którą zostawił za sobą, nie dochodziły żadne odgłosy. Domyślał się, że zwykli gliniarze nie nosili ze sobą granatów, lecz Hans w ciągu kilku minut mógł wziąć je od znajdujących się nieopodal pograniczników.

Nic nie widział, ale słyszał dyszenie innych uciekinierów i szuranie ich kolan o deski. Dziecko zaczęło płakać. Wczoraj Walli przeklinałby, że się mazgai i naraża innych, lecz dziś wiedział już, że zostanie ojcem, i tylko współczuł przestraszonemu dzieciakowi.

Jak policjanci użyją granatów? Czy zagrają bezpiecznie i wrzucą jeden do szybu, gdzie wyrządzi niewielką szkodę? Czy może któryś z nich odważy się zejść po drabinie i cisnąć granat w głąb tunelu? W ten sposób mógłby zabić wszystkich uciekinierów.

Walli doszedł do wniosku, że musi coś zrobić w celu zniechęcenia gliniarzy. Położył się, przetoczył i wyjął broń, a następnie oparł się na łokciu. Nic nie widział, lecz mimo to wymierzył w głąb tunelu i nacisnął spust.

Rozległy się krzyki kilku osób.

- Co to było? - chciała wiedzieć Cristina.

Walli schował pistolet i podjął czołganie.

- Postraszyłem trochę gliny.

- Chryste, następnym razem uprzedź.

Zobaczył światło. Droga powrotna wydawała się krótsza. Uciekinierzy uświadomili sobie, że zbliżają się do końca, świadczyły o tym okrzyki ulgi. Walli przyspieszył i naparł na buty Cristiny.

Z tyłu dobiegł huk eksplozji.

Walli poczuł falę powietrza, ale była słaba i od razu wiedział, że pierwszy granat

wrzucili do szybu. Nie przykładał się do fizyki w szkole, lecz odgadł, że prawie cała siła wybuchu skierowała się ku górze.

Domyślał się jednak, co teraz robi Hans. Mając już pewność, że nikt nie leży w otworze, pośle na dół gliniarza i każe mu cisnąć granat do tunelu.

Uciekinierzy wchodzili do piwnicy nieczynnego sklepu.

- Dalej! - ryknął Walli. - Właźcie na górę!

Cristina wyszła z tunelu i odwróciła się z uśmiechem.

- Wyluzuj, tu jest Zachód. Wyszliśmy i jesteśmy bezpieczni!

- Granaty! - krzyknął Walli. - Wychodźcie, i to szybko!

Para z dzieckiem wspinała się ślamazarnie. Po nich ruszyli student i Cristina. Walli stał u podnóża drabiny, drżąc z niecierpliwości i obawy. Wspinał się tuż za Cristiną, jego twarz była u jej kolan. Dotarł na górę i zobaczył, że wszyscy śmieją się i obejmują.

- Padnij! - ryknął. - Granaty! - Rzucił się na posadzkę.

Rozległ się potężny huk, fala uderzeniowa wstrząsnęła piwnicą. Potem dał się słyszeć odgłos przypominający szum fontanny. Walli domyślił się, że ziemia trysnęła z otworu tunelu. Jakby na potwierdzenie spadł na niego deszcz błota i drobnych kamieni. Blok wiszący nad szybem pękł i wpadł do otworu.

Grzmot zamarł, w piwnicy zrobiło się cicho, słychać było tylko płacz dziecka. Walli się rozejrzał. Z nosa dziecka ciekła strużka krwi, lecz poza tym nic mu się nie stało. Reszta uciekinierów także wyszła bez szwanku. Spojrzał w dół i zobaczył, że tunel się zawalił.

Wyprostował się niepewnie. Udało mu się, żył i był wolny.

I został sam.

Dużą część pieniędzy ojca Rebecca wydała na mieszkanie w Hamburgu. Znajdowało się na parterze wielkiego starego domu kupca. Wszystkie pomieszczenia były wystarczająco duże, by Bernd mógł poruszać się w nich na wózku, nawet łazienka. Zainstalowała wszystkie znane udogodnienia dla mężczyzny sparaliżowanego od pasa w dół. Ze ścian i sufitów zwisały linki i rączki pozwalające mu się myć, ubierać, kłaść do łóżka i wstawać. Mógł nawet gotować w kuchni, gdyby chciał, choć podobnie jak większość mężczyzn nie umiał przygotować niczego, co byłoby bardziej skomplikowane niż ugotowanie jajka.

Była zdeterminowana, i to zapalczywie, by pomimo jego obrażeń mogli wieść jak najbardziej normalne życie. By mogli cieszyć się swoim związkiem, pracą i wolnością. Życie miało być aktywne, urozmaicone i pełne satysfakcji. Gdyby było inaczej, oznaczałoby to triumf tyranii panoszącej się po drugiej stronie muru.

Stan Bernda nie zmienił się od czasu, gdy wyszedł ze szpitala. Lekarze mówili, że może się poprawić i żeby nie tracił nadziei. Pewnego dnia, powtarzali, może nawet spłodzić dzieci. A Rebecca nie powinna nigdy dawać za wygraną.

Ona zaś czuła, że ma wiele powodów do szczęścia. Ponownie była nauczycielką, robiła to, co dobrze umiała: otwierała młode umysły na intelektualne bogactwo świata, w którym żyli. Była zakochana w Berndzie, którego dobroć i poczucie humoru rozjaśniały każdy dzień. Wolno im było czytać, myśleć i mówić to, co chcą, nie musieli obawiać się policyjnych szpicli.

Rebecca miała oprócz tego cel długofalowy. Pragnęła pewnego dnia połączyć się znów z rodziną. Nie z biologiczną rodziną, gdyż pamięć o rodzicach, jakkolwiek dotkliwa, była już odległa i zamazana. Jednak Carla ocaliła ją z piekła wojny, dała miłość i poczucie bezpieczeństwa, kiedy wszyscy głodowali, cierpieli chłód i strach. Z biegiem czasu dom w Mitte wypełnił się ludźmi, których Rebecca z wzajemnością darzyła uczuciem: pojawił się mały Walli, jej nowy ojciec Werner, a później mała Lili. Nawet babcia Maud, ta niemożliwie dystygowana starsza angielska dama, kochała Rebecę i o nią dbała.

Połączy się z nimi znowu, kiedy Niemcy Zachodnie zjednoczą się na powrót ze Wschodnimi. Wielu sądziło, że ten dzień może nigdy nie nadejść. Może mieli rację, lecz Carla i Werner uczyli Rebecę, że jeśli pragniesz zmiany, musisz podejmować działania polityczne na jej rzecz. „W mojej rodzinie apatia nie wchodzi w rachubę”, rzekła Rebecca do Bernda. Wstąpili do Wolnej Partii Demokratycznej, FDP, liberalnej, choć nie tak socjalistycznie nastawionej jak SPD Socjaldemokratyczna Partia Niemiec Willy’ego Brandta. Rebecca była sekretarką oddziału regionalnego, a Bernd skarbnikiem.

W Niemczech Zachodnich ludzie mogli wstępować do każdej partii poza komunistyczną, gdyż ta była zakazana. Rebecce się to nie podobało. Nienawidziła komunizmu, lecz zakazywanie należało do repertuaru komunistów, a nie demokratów.

Rebecca i Bernd codziennie jeździli razem do pracy. Po powrocie ze szkoły Bernd nakrywał do stołu, Rebecca zaś gotowała obiad. W niektóre dni po posiłku do Bernda przychodził masażysta. Bernd nie mógł poruszać nogami, należało je więc regularnie masować, by poprawić krążenie i zapobiec zanikowi nerwów i mięśni albo przynajmniej go spowolnić. Rebecca zmywała, a Bernd udawał się do sypialni. Masażysta miał na imię Heinz.

Wieczorem Rebecca usiadła ze stosem zeszytów i zaczęła sprawdzać prace. Kazała uczniom wymyślić ogłoszenie turystyczne zachwalające Moskwę jako cel wakacyjnej wycieczki. Lubili takie przekorne żartobliwe zadania.

Po godzinie Heinz wyszedł i Rebecca zajrzała do sypialni.

Bernd leżał nagi na łóżku. Miał mocno umięśniony tułów, gdyż stale musiał używać rąk do tego, by się poruszać. Nogi wyglądały jak kończyny starca: chude i blade.

Zwykle po masażu czuł się dobrze fizycznie i psychicznie. Rebecca położyła się na nim i pocałowała go w usta, długo i powoli.

- Kocham cię - powiedziała. - Jestem z tobą taka szczęśliwa.

Często to powtarzała, ponieważ była to prawda, a poza tym Bernd potrzebował takiego zapewnienia. Wiedziała, że mąż czasem wątpi, czy kobieta może kochać kalekę.

Stała przed nim i zdjęła ubranie. Mówił, że to lubi, mimo że nigdy nie dostawał wzwodu. Dowiedziała się, że sparaliżowani mężczyźni rzadko dostają erekcji psychogenicznych, takich, jakie wywołują doznania wizualne i myśli o seksie. Mimo to patrzył z wyraźną radością, jak rozpina stanik, zdejmując pończochy i figi.

- Wspaniale wyglądasz.

- Jestem cała twoja.

- Szczęściarz ze mnie.

Położyła się obok niego i zaczęli się czule pieścić. Seks z Berndem, zarówno przed wypadkiem, jak i po, zawsze polegał na delikatnych pocałunkach i czułych szeptach, a nie tylko na posuwaniu. Bernd różnił się pod tym względem od jej pierwszego męża. Hans był dokładnie zaprogramowany: buzi, striptiz, wzwód i wytrysk. Podejście Bernda zakładało, że można robić wszystko, co się lubi, w dowolnej kolejności.

Po dłuższej chwili usiadła na nim okrakiem i ułożyła się tak, by mógł całować jej piersi i ssać sutki. Od samego początku uwielbiał jej piersi, a teraz sprawiały mu taką samą rozkosz jak przed wypadkiem; to zaś podniecało Rebeccę bardziej niż cokolwiek innego.

- Chcesz spróbować? - zapytała, kiedy była gotowa.

- Pewnie. Zawsze powinniśmy podejmować próby.

Zeszła niżej, siedząc okrakiem nad jego zwiędłymi nogami, i nachyliła się nad członkiem. Wzięła go do ręki. Trochę urósł, nazywało się to erekcją odruchową. Przez kilka chwil był dość twardy, by w nią wejść, lecz szybko opadł.

- Nie szkodzi - powiedziała.

- Mnie też nie przeszkadza - odparł, lecz wiedziała, że to nieprawda. Chciałby doznać orgazmu, chciałby mieć dzieci.

Położyła się obok niego, ujęła jego dłoń i umieściła na pochwie. Ułożył palce tak, jak go nauczyła, a potem Rebecca naciskała jego dłoń swoją i rytmicznie nią poruszała. To było jak masturbacja przy użyciu jego ręki. Drugą ręką czule gładził ją po włosach. Udało się tak jak zawsze, Rebecca doznała cudownego orgazmu.

- Dziękuję - powiedziała, leżąc obok niego.

- Bardzo proszę.

- Nie tylko za to.

- A za co?

- Za to, że ze mną poszedłeś. Za uciezkę. Nigdy nie zdołam wyrazić, jak bardzo jestem ci wdzięczna.

- To dobrze.

Zabrzmiał dzwonek. Spojrzeli na siebie z zaskoczeniem, bo nikogo nie oczekiwali.

- Może Heinz czegoś zapomniał - powiedział Bernd.

Rebecca była lekko zirytowana. Jej chwila uniesienia przysła. W zrzędlwym nastroju włożyła szlafrok i podeszła do drzwi.

Stał w nich Walli. Był wychudzony i cuchnął. Miał na sobie dżinsy, amerykańskie buty bejsbolowe i brudną koszulę, ale był bez kurtki. W rękach trzymał gitarę i nic poza tym.

- Cześć, Rebecca - powiedział.

Jej gderliwe nastawienie momentalnie się ulotniło. Uśmiechnęła się szeroko.

- Walli! Co za wspaniała niespodzianka! Tak się cieszę, że cię widzę.

Cofnęła się i Walli wszedł do przedpokoju.

- Co tu porabiasz? - spytała.

- Przyjechałem, żeby u ciebie zamieszkać.

## ROZDZIAŁ 22

Najbardziej rasistowskim miastem w Ameryce było prawdopodobnie Birmingham w stanie Alabama. George Jakes poleciał tam samolotem w kwietniu 1963 roku.

Kiedy ostatnio przybył do Alabamy, pamiętał to wyraźnie, usiłowano go zabić.

Birmingham było zanieczyszczonym ośrodkiem przemysłowym, już z okna samolotu dawało się dostrzec unoszącą się nad nim delikatną różowawą łunę, która wyglądała jak szyfonowa apaszka na szyi starej prostytutki.

Idąc terminalem, George wyczuwał wrogość. Był jedynym kolorowym w garniturze. Pamiętał napaść na siebie, Marię i innych uczestników Rajdu Wolności w Anniston, zaledwie sto kilometrów dalej: bomby, kije bejsbolowe, świszczące w powietrzu żelazne łańcuchy, a przede wszystkim twarze: wykrzywione i zniekształcone niczym maski nienawiści i obłędu.

Wyszedł z hali lotniska, zauważył postój taksówek i podszedł do pierwszej.

- Wsiadaj, chłopcze - powiedział kierowca.

- Słucham?

- Nie wożę cholernych czarnuchów.

George westchnął. Nie chciało mu się wsiadać. Miał ochotę posiedzieć w środku na znak protestu, nie lubił ułatwiać sprawy rasistom. Powierzono mu jednak zadanie do wykonania w Birmingham, a nie wykonałby go, gdyby trafił do więzienia. Wsiadł.

Stanął i rozejrzał się. W następnym samochodzie siedział biały taksówkarz, George uznał więc, że zostałby potraktowany tak samo. Z okna czwartej taksówki wysunęła się ciemnobrązowa ręka i pomachała.

Ruszył w tamtą stronę.

- Zamknij drzwi! - wrzasnął pierwszy taksówkarz.

George zawahał się, po czym odparł:

- Nie zamykam drzwi cholernym segregacjonistom.

Kwestia nie była dobra, lecz sprawiła mu odrobinę satysfakcji. Odszedł, zostawiwszy drzwi samochodu szeroko otwarte.

Wsiadł do taksówki z czarnym kierowcą.

- Wiem, dokąd chce pan jechać - rzekł mężczyzna. - Szesnasta Ulica, kościół Baptystów.

Kościół ten stanowił siedzibę płomiennego kaznodziei Freda Shuttleswortha, założyciela Chrześcijańskiego Ruchu Alabamy na rzecz Praw Człowieka po tym, jak sąd

zakazał działalności umiarkowanej organizacji o nazwie Krajowe Stowarzyszenie na rzecz Awansu Ludności Kolorowej. Wygląda na to, pomyślał George, że każdy Murzyn wysiadający na lotnisku uważany jest za działacza ruchu praw obywatelskich.

Jednakże George nie wybierał się do kościoła.

- Proszę mnie zawieźć do motelu Gaston.

- Znam Gaston - odparł taksówkarz. - Widziałem tam małego Steviego Wondera. To jedno skrzyżowanie od kościoła.

Dzień był gorący, a taksówka nie miała klimatyzacji. George otworzył okno i strumień powietrza ochłodził jego spoconą skórę.

Bobby Kennedy przysłał go z wiadomością dla Martina Luthera Kinga. Brzmiała ona mniej więcej tak: trzeba zaprzestać nacisków, wyciszyć i zakończyć protesty, sytuacja się zmienia. George miał przeczucie, że doktorowi Kingowi nie przypadnie to do gustu.

Motel Gaston mieścił się w niskim nowoczesnym budynku. A.G. Gaston był górnikiem w kopalni węgla i stał się czołowym czarnym biznesmenem w Birmingham. George wiedział, że Gaston jest zaniepokojony tym, iż kampania Kinga wywołała napięcia w mieście, lecz mimo to udzielił mu poparcia. Taksówka wjechała na podwórze parkingowe.

Martin Luther King zajmował pokój numer 30, jedyny apartament w motelu. Przed spotkaniem z nim George zjadł lunch z Vereną Marquand w pobliskiej restauracji Jockey Boy. Kiedy poprosił o średnio wysmażonego hamburgera, kelnerka spojrzała na niego, jakby mówił w obcym języku.

Verena zamówiła sałatkę. W białych spodniach i czarnej bluzce wyglądała jeszcze bardziej ponętnie niż zwykle. George zastanawiał się, czy ma chłopaka.

- Łądujesz coraz gorzej - powiedział do niej, kiedy czekali na zamówione dania. - Najpierw Alabama, teraz Birmingham. Przyjedź do Waszyngtonu, bo inaczej utkniesz w mieście Bagienko w stanie Missisipi. - Drażnił się z nią, ale chodziło mu po głowie, że gdyby Verena przeprowadziła się do Waszyngtonu, mógłby zaprosić ją na randkę.

- Wędruję tam, gdzie potrzebuje mnie organizacja - odparła poważnie.

Podano lunch.

- Dlaczego King postanowił wziąć na cel to miasto? - zapytał George, kiedy zaczęli jeść.

- Komisarz bezpieczeństwa publicznego, czyli właściwie szef policji, jest zajadłym białym rasistą, nazywa się Eugene „Bull” Connor.

- Widziałem to nazwisko w gazetach.

- Przydomek mówi o nim właściwie wszystko. Jakby tego było mało, w Birmingham

Ku-Klux-Klan zapisał swoją najgorszą kartę.

- Wiadomo dlaczego?

- To miasto stali, a ta gałąź przemysłu upada. Dobrze płatne posady dla wykwalifikowanych pracowników zawsze były zarezerwowane dla białych, a czarni wykonywali te nisko płatne, takie jak sprzątanie. Teraz biali rozpaczliwie usiłują utrzymać dobrobyt i przywileje, czarni zaś domagają się sprawiedliwej puli.

Była to zwięzła i jasna analiza, szacunek George'a dla Vereny odrobinę wzrósł.

- Jak to się przejawia?

- Członkowie klanu rzucają bomby domowej roboty na domy zamożnych Murzynów w mieszanych dzielnicach. Niektórzy nazywają to miasto Bombingham. Nie muszę mówić, że policja nigdy nikogo nie aresztowała, a FBI jakoś nie może się domyślić, czyje to dzieło.

- Nic w tym dziwnego. J. Edgar Hoover nie potrafi również namierzyć mafii. Ale zna nazwisko każdego komunisty w Ameryce.

- A jednak władza białych tutaj słabnie. Część mieszkańców zaczyna sobie uświadamiać, że miastu to nie pomaga. Bull Connor niedawno przegrał wybory na burmistrza.

- Wiem. Pogląd Białego Domu jest taki, że Murzyni w Birmingham osiągną swoje cele w odpowiednim czasie, jeśli zachowają cierpliwość.

- Doktor King uważa, że właśnie teraz jest odpowiednia chwila, by zwiększyć nacisk.

- I jak to wychodzi?

- Szczerze powiedziawszy, jesteśmy rozczarowani. Kiedy siadamy w restauracji przy barze, kelnerki gaszą światła i mówią, że zamykają lokal.

- Sprytnie. W niektórych miastach tę samą metodę stosowano wobec uczestników Rajdu Wolności. Nie robiono szumu, tylko po prostu nas ignorowano. Jednak większość zwolenników segregacji nie potrafi się powstrzymać i na tym poprzestać. Dość szybko zabierali się do bicia.

- Bull Connor nie chce nam wydać pozwolenia na demonstracje, więc marsze są nielegalne, a protestujących zwykle zamyka się w więzieniu. Ale są zbyt nieliczni, by trafić do ogólnokrajowych serwisów informacyjnych.

- Więc może przyszedł czas na zmianę taktyki.

Do kawiarni weszła młoda czarna kobieta i zbliżyła się do stolika Vereny i George'a.

- Wielebny doktor King jest już wolny i może się z panem spotkać, panie Jakes.

George i Verena zostawili niezjedzone dania. Doktorowi Kingowi nie wypadało kazać czekać, tak samo jak prezydentowi.



Wrócili do hotelu i weszli do apartamentu Kinga. Jak zawsze był ubrany w czarny garnitur, jakby upał nie robił mu wielkiej różnicy. George'a znów uderzyło to, że pastor jest taki niski, a jednocześnie przystojny. Tym razem zachowywał się z mniejszą czujnością, był bardziej otwarty.

- Siadajcie, proszę - rzekł, wskazując kanapę. Przemawiał łagodnym tonem, nawet gdy wypowiadał ostre słowa. - Co takiego prokurator generalny ma mi do przekazania, skoro nie może tego powiedzieć przez telefon?

- Chce, żeby rozważył pan opóźnienie kampanii tu, w Alabamie.

- Jakoś mnie to nie zaskakuje.

- Prokurator generalny popiera pańskie cele, ale jego zdaniem być może to nie jest właściwy czas na protesty.

- A to dlaczego?

- Bull Connor niedawno przegrał wyścig o fotel burmistrza z Albertem Boutwellem. Miasto ma nowe władze, Boutwell to reformator.

- Niektórzy uważają, że jest tylko nieco bardziej dystygowany od Connora.

- Pastorze, może i ma pan rację, ale Bobby chce, by dał pan Boutwellowi szansę: niech pokaże, co sobą reprezentuje.

- Rozumiem. Przesłanie brzmi więc: czekać.

- Tak, proszę pana.

King spojrział na Verenę, jakby zapraszając ją do wygłoszenia komentarza, jednak dziewczyna milczała.

- We wrześniu ubiegłego roku biznesmeni w Birmingham obiecali zdjąć ze swoich sklepów tabliczki z poniżającym napisem „Tylko dla białych” - rzekł po chwili King. - W zamian za to Fred Shuttlesworth zgodził się na moratorium na demonstracje. My dotrzyaliśmy obietnicy, biznesmeni ją złamali. Tak jak wiele razy wcześniej, nasze nadzieje zostały zdruzgotane.

- Przykro mi to słyszeć - odezwał się George. - Ale...

King puścił to mimo uszu.

- Bezpośrednia pokojowa akcja ma stworzyć napięcie, poczucie kryzysu i zmusić społeczność do zmierzenia się z problemem i otwarcia drzwi dla szczerych negocjacji. Prosisz mnie, żebym dał Boutwellowi czas na pokazanie prawdziwej twarzy. Boutwell może i jest mniejszym brutalem niż Connor, ale stoi po stronie zwolenników segregacji i chce utrzymać status quo. Trzeba go szturchnąć, żeby podjął działanie.

Argumentacja była przekonująca i George nawet nie mógł udawać, że się nie zgadza.

Szansę na to, że nakłoni Kinga do zmiany zdania, raptownie topniały.

- Nigdy nie uzyskaliśmy niczego w kwestii praw obywatelskich bez wywierania presji - ciągnął gospodarz. - George, jeśli mam być szczery, zdaniem ludzi takich jak Robert Kennedy jeszcze się nie zdarzyło, byśmy rozpoczęli kampanię „we właściwym czasie”. Od lat słyszę: Czekać. To słowo brzęczy mi w uszach. Ale to „Czekać” zawsze znaczy „Nigdy”. Czekaliśmy na swoje prawa trzysta czterdzieści lat. Kraje afrykańskie mkną ku niepodległości z prędkością odrzutowców, a my czołgamy się jak gąsienice, żeby wywalczyć sobie prawo do tego, by podano nam kawę przy barze.

George uprzytomnił sobie, że słyszy próbę kazania, lecz mimo to był jak urzeczony. Nie miał już żadnej nadziei na to, że spełni misję wyznaczoną mu przez szefa.

- Wielką przeszkodą, która stoi na naszej drodze do wolności, nie jest biały burmistrz ani członek Ku-Klux-Klanu. Jest nim biały o umiarkowanych poglądach, bardziej przywiązany do porządku niż do sprawiedliwości, który tak jak Bobby Kennedy stale powtarza: „Popieram cel, do którego dążycie, ale nie mogę pochwalać waszych metod”. Jego paternalizm każe mu wierzyć, że to właśnie on może ustalać harmonogram wolności drugiego człowieka.

George poczuł wstyd, że jest wysłannikiem Bobby’ego.

- To pokolenie będzie musiało żałować nie tylko słów nienawiści i uczynków złych ludzi, lecz także przerażającego milczenia tych porządnym - mówił King, a George walczył ze łzami. - Na słuszne działania czas jest zawsze odpowiedni. „Niech sprawiedliwość toczy się jak woda, a prawda jak wieczny strumień”, rzekł prorok Amos. Przekaż to Robertowi Kennedy’emu, George.

- Tak jest, proszę pana.

Po powrocie do Waszyngtonu George zadzwonił do Cindy Bell, dziewczyny, którą podsunęła mu matka, i zaprosił ją na randkę.

- Czemu nie? - odpowiedziała Cindy.

Miała to być jego pierwsza randka od czasu, gdy rzucił Norine Latimer w próżnej nadziei na romans z Marią Summers.

Nazajutrz, w sobotę wieczorem, pojechał do niej taksówką. Nadal mieszkała z rodzicami w małym domku, jednym z tych, w których mieszkali członkowie klasy robotniczej. Drzwi otworzył ojciec. Miał krzaczastą brodę. George pomyślał, że kucharz nie musi dbać o schludny wygląd.

- Miło mi cię poznać, George - rzekł. - Twoja matka to jedna z najwspanialszych osób,

jakie znam. Mam nadzieję, że nie weźmiesz mi za złe, że odzywam się w tak osobistym tonie.

- Dziękuję, panie Bell. Podzielim pana zdanie.

- Wejdz, Cindy jest już prawie gotowa.

George zauważył mały krzyż na ścianie w przedpokoju i przypomniał sobie, że Bellowie są katolikami. Jako nastolatek słyszał opinie, że dziewczęta tego wyznania są najgorętsze.

Cindy ukazała się ubrana w ciasny sweter i krótką spódnicę. Jej ojciec skrzywił się nieco, ale nic nie powiedział. George powstrzymał uśmiech, który cisnął mu się na usta. Cindy miała ładne krągłości i nie zamierzała ich ukrywać. Między jej pysznymi piersiami wisiał mały srebrny krzyżyk - może dla ochrony?

George dał dziewczynie małą bombonierkę przewiazaną niebieską wstążką.

Na widok taksówki uniosła brwi.

- Zamierzam kupić samochód - oznajmił George. - Po prostu nie było czasu.

- Ojciec podziwia twoją matkę za to, że wychowała cię sama - powiedziała Cindy, kiedy jechali śródmieściem. - I że tak świetnie się w tym spisała.

- Pożyczają sobie nawzajem książki - zauważył George. - Twojej mamie to nie przeszkadza?

Cindy zaśmiała się. Sama myśl o zazdrości w pokoleniu rodziców wydawała się komiczna.

- Bystry jesteś. Mama wie, że nic więcej się nie dzieje, ale mimo to jest czujna.

George cieszył się, że ją zaprosił. Była inteligentna i miała w sobie ciepło. Przyszło mu na myśl, że przyjemnie byłoby ją pocałować. Wspomnienie Marii zblakło w jego pamięci.

Poszli do włoskiej restauracji. Cindy wyznała, że uwielbia wszelkiego rodzaju makarony. Zamówili tagliatelle z pieczarkami oraz eskalopki cielęce w sosie sherry.

Cindy skończyła Uniwersytet Georgetown, ale pracowała jako sekretarka u czarnoskórego agenta ubezpieczeniowego.

- Zatrudnia się dziewczęta jako sekretarki, nawet te po studiach. Chciałabym pracować w administracji rządowej. Wiem, że ludzie uważają to za nudziarstwo, ale Waszyngton rządzi całym krajem. Niestety, agendy rządowe zazwyczaj dają ważne stanowiska białym.

- To prawda.

- A jak ty się wkręciłeś?

- Bobby Kennedy chciał mieć czarną facjatę w zespole, żeby się uwiarygodnić w kwestii praw obywatelskich.

- Więc jesteś symbolem.

- Owszem, z początku byłem. Teraz jest już lepiej.

Po obiedzie poszli do kina, by obejrzeć Tippi Hedren i Roda Taylora w najnowszym filmie Alfreda Hitchcocka *Ptaki*. Podczas strasznych scen Cindy trzymała się George'a w sposób, który bardzo przypadł mu do gustu.

Wychodząc, toczyli przyjazną dysputę o zakończenie filmu. Cindy się nie spodobało.

- Jestem rozczarowana! Chciałam poznać wytłumaczenie.

George wzruszył ramionami.

- Nie wszystko w życiu ma wytłumaczenie.

- Tak, ale czasem po prostu go nie znamy.

Poszli do baru hotelu Fairfax na wieczornego drinka. George wziął szkocką, a Cindy daiquiri. Jego uwagę przykuł srebrny krzyżyk.

- Czy to tylko ozdoba, czy coś więcej?

- Coś więcej - odrzekła Cindy. - Dzięki niemu czuję się bezpieczna.

- Bezpieczna...? Chroni cię przed czymś konkretnym?

- Nie, to takie ogólne zabezpieczenie.

George podchodził do tego sceptycznie.

- Nie wierzysz w to.

- Dlaczego nie?

- Mm... Nie chcę cię urazić, jeśli mówisz szczerze, ale mnie to wygląda na przesąd.

- Myślałam, że jesteś religijny. Chodzisz do kościoła, prawda?

- Chodzę z mamą, bo to dla niej ważne, a ja ją kocham. Śpiewam psalmy, żeby zrobić jej przyjemność, słucham modlitw i kazań, i wszystko to brzmi dla mnie jak... czary-mary.

- Nie wierzysz w Boga?

- Myślę, że prawdopodobnie istnieje we wszechświecie jakaś nadrzędna inteligencja, istota ustalająca zasady, takie jak E równa się mc do kwadratu albo wartość liczby pi. Ale istocie tej nie zależy na tym, czy śpiewamy psalmy albo się modlimy, wątpię, czy jej postanowienia można zmienić za pomocą modlitwy do posągu Matki Boskiej, i nie wierzę, że załatwi ci szczególne traktowanie z powodu tego, co nosisz na szyi.

- Och.

George widział, że zaszokował dziewczynę. Uświadomił sobie, że przedstawiał argumenty tak, jakby uczestniczył w naradzie w Białym Domu, podczas której podejmuje się zbyt ważne kwestie, by przejmować się czyimiś uczuciami.

- Chyba nie powinienem mówić tak bezpośrednio. Uraziłem cię?

- Nie - odparła. - Cieszę się, że mi powiedziałeś. - Dopija drinka.

George położył pieniądze na barze i zszedł ze stołka.

- Miło mi było z tobą rozmawiać.

- Przyjemny film, choć zakończenie rozczarowuje.

To było podsumowanie wieczoru. Cindy była miła i atrakcyjna, lecz George nie wyobrażał sobie, by mógł się zakochać w kobiecie, której poglądy na temat wszechświata tak bardzo różniły się od jego przekonań.

Wyszli i wsiedli do taksówki.

W drodze powrotnej George uprzytomnił sobie, że w głębi serca nie żałuje, iż randka się nie udała. Jeszcze nie całkiem przestał myśleć o Marii i nie wiedział, ile czasu to potrwa.

Kiedy dojechali do domu Cindy, pocałowała go w policzek i powiedziała:

- Dziękuję za uroczy wieczór. - Potem wysiadła z samochodu.

Nazajutrz Robert Kennedy znów wysłał George'a do Alabamy.

George i Verena stali w parku Kelly Ingram w samym sercu czarnego Birmingham. Było południe, piątek, trzeciego maja 1963 roku. Po przeciwnej stronie jezdni stał kościół Baptistów przy Szesnastej Ulicy, wspaniała budowla w stylu bizantyjskim zaprojektowana przez czarnego architekta. W parku zgromadzili się aktywiści ruchu praw obywatelskich, przechodnie i zaniepokojeni rodzice.

Z wnętrza kościoła dobiegała pieśń *Ain't Gonna Let Nobody Turn Me Round*. Tysiąc czarnoskórych uczniów szkół średnich przygotowywało się do marszu.

Od wschodniej strony alejki prowadzące do śródmieścia były zablokowane przez policję. Bull Connor zarządził, by uczestników pochodu zabrano do aresztu szkolnymi autobusami, a tych, którzy odważyliby się odmówić, miano szczuć psami. Policjantów wspierali strażacy z węzami.

Wśród policjantów i strażaków nie było ani jednego kolorowego.

Aktywiści praw obywatelskich zawsze w należyty sposób wnioskowali o pozwolenie na marsz. I za każdym razem im odmawiano. Kiedy mimo to maszerowali, aresztowano ich i zamykano w więzieniach.

W wyniku tego większość Murzynów w Birmingham niechętnie przyłączała się do demonstracji, pozwalając tym samym białym władzom miasta twierdzić, że ruch Martina Luthera Kinga ma niewielkie poparcie.

On sam trafił do więzienia dokładnie przed trzema tygodniami, w Wielki Czwartek. George dziwił się grubiaństwu zwolenników segregacji - czyżby nie wiedzieli, kogo uwięziono w Wielki Czwartek? Kinga zamknięto w pojedynczej celi, powodem tego mogła

być wyłącznie złośliwość.

Jednak sprawa prawie w ogóle nie została nagłośniona w prasie. To, że Murzyn został źle potraktowany za domaganie się swoich praw, nie było w Ameryce żadną nowością. Biali duchowni skrytykowali go w liście, który zyskał rozgłos. King napisał z więzienia odpowiedź przesyconą miażdżącym dla przeciwników przywiązaniem do prawa i praworządności. Nie wydrukowała jej żadna gazeta, choć to mogło się jeszcze zmienić. Ogólnie rzecz biorąc, kampania wzbudzała niewielkie zainteresowanie.

Czarnoskóre nastolatki w Birmingham głośno domagały się prawa do uczestnictwa w demonstracji i w końcu King się zgodził, ale nic się nie zmieniło: Bull Connor zamknął w więzieniu dzieci w wieku szkolnym. Nikt się tym nie przejął.

Dochodzące z wnętrza kościoła pieśni religijne przyprawiły o dreszcz, lecz to niewiele znaczyło. Kampania Martina Luthera Kinga w Birmingham zmierzała donikąd, podobnie jak życie uczuciowe George'a.

Przyglądał się strażakom ustawionym na wschód od parku. Wyposażono ich w nowy oręż. Składał się z końcówki, do której biegły dwa węże. Dzięki temu sikawka prawdopodobnie miała ogromną siłę. Była zamocowana na trójnogu, co wskazywało na to, że mężczyzna nie zdoła jej utrzymać. George ucieszył się, że jest tylko obserwatorem i nie weźmie udziału w demonstracji. Podejrzewał, że za pomocą takiej sikawki można nie tylko zmoczyć człowieka wodą.

Drzwi kościoła otworzyły się i przez potrójny łuk wyszła, śpiewając, grupa młodzieży ubranej w najlepsze niedzielne rzeczy. Schodzili długimi szerokimi schodami ku ulicy. Było ich około sześćdziesięciu, lecz stanowili zaledwie forpocztę; w środku czekały na swoją kolej setki innych. W większości byli to uczniowie ostatnich klas szkół średnich, znalazła się także garść młodszych dzieci.

George i Verena podążali za nimi w pewnej odległości. Ludzie zebrani w parku wznosili okrzyki zachęty i klaskali, gdy pochód zmierzał Szesnąstą Ulicą, mijając sklepy i siedziby firm należące w większości do czarnych. Skręcili Piątą Aleją na wschód i dotarli do Siedemnastej, gdzie czekały policyjne barykady.

- Rozejść się, zejść z ulicy - odezwał się przez megafon kapitan policji i wskazał stojących za nim strażaków. - Bo inaczej zrobi się mokro.

Podczas wcześniejszych protestów policja jedynie zapędzała demonstrantów do policyjnych samochodów i autobusów i zawoziła do więzień. Te jednak były już zapełnione, Bull Connor dążył więc do ograniczenia liczby aresztowań, wołał zmusić uczestników pochodu, by poszli do domów.

Oni jednak nie mieli najmniejszego zamiaru tego uczynić. Sześćdziesięcioro młodych stanęło na jezdni naprzeciwko szeregu białych przedstawicieli władzy i śpiewało na cały głos.

Kapitan policji dał znak strażakom, a ci odkręcili wodę. George zauważył, że uruchamiają zwyczajne sikawki, a nie armatkę wodną na trójnogu. Mimo to woda zmusiła większość demonstrantów do cofnięcia się, gapie rozbiegli się po parku i pochowali w bramach.

- Opuścić teren! Opuścić teren! - powtarzał kapitan przez megafon.

Większość maszerujących się wycofała, ale nie wszyscy. Dziesięciu usiadło na ziemi. Byli już całkowicie przemoczeni wodą i wciąż śpiewali.

Właśnie wtedy strażacy uruchomili armatkę.

Efekt był natychmiastowy. Zamiast strumieni wody, nieprzyjemnych, lecz niegroźnych, siedzących uczniów trafiło potężne uderzenie. Zostali rzućeni na ziemię i zaczęli krzyczeć z bólu. Śpiewy zamieniły się w okrzyki przerażenia.

Była wśród nich dziewczynka o drobnej posturze. Strumień wody oderwał ją od ziemi i rzucił w tył. Potoczyła się po jezdni niczym liść. Jej ręce i nogi bezradnie machały w powietrzu. Gapie zaczęli krzyczeć i przeklinać.

George zaklął i wybiegł na ulicę.

Strażacy bezlitośnie kierowali armatkę na dziecko, żeby nie mogło uciec przed jej siłą. Usiłowali ją zmyć jak kawałek śmiecia. George wyprzedził innych mężczyzn spieszących na ratunek, stanął między nią i armatką wodną i odwrócił się plecami.

Poczuł się tak, jakby ktoś raz za razem wymierzał mu bolesne ciosy.

Strumień rzucił go na kolana. Jednak dziewczynka zyskała ochronę, zerwała się na nogi i pomknęła w stronę parku. Ale wtedy strażacy skierowali na nią wodę i znów się przewróciła.

George'a przepelniał gniew. Strażacy zachowywali się jak ogary powalające młodą sarnę. Gapie protestowali głośnymi okrzykami.

Dogonił dziewczynkę i znów ją zasłonił. Tym razem był przygotowany na uderzenie wody i zdołał utrzymać równowagę. Uklęknął i podniósł małą. Jej różowa sukienka do kościoła była cała mokra. Zataczając się, zmierzał w stronę chodnika. Strażacy dalej usiłowali go obalić, lecz ustał i dotarł na drugą stronę zaparkowanego samochodu.

Postawił dziewczynkę na nogach. Krzyczała ze strachu.

- Już dobrze, nic ci nie grozi - uspokajał ją, lecz nie dała się pocieszyć. Podbiegła jakaś zapłakana kobieta i mała się do niej przytuliła. George domyślił się, że to jej matka. Wzięła ją na ręce i odeszła.

George był posiniaczony i przemoczony. Odwrócił się, by zorientować się w sytuacji. Wszyscy uczestnicy marszu zostali przeszkoleni w prowadzeniu protestów bez przemocy, lecz gapie nie. Teraz rewanżowali się, rzucając w strażaków kamieniami. Demonstracja zamieniała się w zamieszki.

Nigdzie nie widział Vereny.

Policjanci i strażacy sunęli Piątą Aleją, starając się rozproszyć tłum, ale spowalniał ich grad kamieni. Niektórzy mężczyźni weszli do budynków po południowej stronie ulicy i bombardowali funkcjonariuszy z okien górnych kamieniami, butelkami i śmieciami. George pospiesznie usunął się od centrum zamieszek i zatrzymał się na rogu ulicy przed restauracją Jockey Boy. Stała tam nieliczna grupka dziennikarzy i gapiów, zarówno czarnych, jak i białych.

Spojrzawszy na północ, zobaczył młodych uczestników marszu, którzy wychodzili z kościoła i różnymi drogami kierowali się na południe, by uniknąć aktów przemocy. Utrudniali tym samym działanie Connorowi, który musiał rozdzielić swoje siły.

Komisarz bezpieczeństwa publicznego postanowił wykorzystać psy.

Wyskoczyły z policyjnych furgonetek z obnażonymi kłami, warcząc i napinając skórzane smycze. Ich przewodnicy prezentowali się równie zaciekle: byli to tędzy biali mężczyźni w policyjnych czapkach i ciemnych okularach. I ludzie, i zwierzęta wyglądali jak bestie rwące się do ataku.

Policjanci z psami popędzili ławą. Demonstranci i gapie usiłowali uciekać, lecz tworzyli zbity tłum i wielu trudno było się wydostać. Podniecone psy ujadały i gryzły, tocząc krew z nóg i rąk.

Niektórzy ścigani przez policjantów ratowali się ucieczką uliczkami czarnej dzielnicy. Inni szukali schronienia w kościele. George zauważył, że spod potrójnego łuku nie wychodzą kolejni uczestnicy marszu, demonstracja się zakończyła.

Jednak policji to nie zadowoliło.

Obok George'a jakby znikąd pojawiły się psy. Jeden capnął wysokiego młodego Murzyna, na którego George zwrócił uwagę, gdyż ten miał na sobie drogi kardigan. Chłopak był mniej więcej w wieku piętnastu lat i nie uczestniczył w demonstracji, tylko stał i patrzył. Mimo to gliniarz pchnął go, a pies skoczył i zatopił zęby w jego tułowiu. Nastolatek wrzasnął ze strachu i bólu. Jeden z dziennikarzy pstryknął zdjęcie.

George chciał interweniować, lecz policjant odciągnął psa, a potem aresztował chłopca za uczestnictwo w niedozwolonym marszu.

George zauważył białego mężczyznę z wielkim brzuchem, który obserwował



aresztowanie. Miał na sobie koszulę, lecz był bez marynarki. Rozpoznał Bulla Connora, ponieważ widywał go na zdjęciach w gazetach.

- Szkoda, że nie wzięłeś na akcję gorszego psa - odezwał się Connor do oficera.

George miał ochotę wdać się z nim w spór. Connor był komisarzem bezpieczeństwa publicznego, lecz zachowywał się jak uliczny bandzior.

Uświadomił sobie, że i jemu grozi aresztowanie, tym bardziej że jego elegancki garnitur był cały mokry. Bobby Kennedy nie byłby zadowolony, gdyby podwładny wylądował za kratkami.

Z wysiłkiem zdławił gniew, zagryzł wargi, odwrócił się i szybkim krokiem pomaszerował do hotelu.

Na szczęście miał w walizce zapasową parę spodni. Wziął prysznic, przebrał się w suche spodnie i dał garnitur do pralni. Zadzwoił do Departamentu Sprawiedliwości i podyktował sekretarce sprawozdanie z wydarzeń przeznaczone dla Roberta Kennedy'ego. Raport był suchy i pozbawiony emocji, George pominął fakt, że został potraktowany strumieniem wody z armatki.

Zastał Verenę w hotelowym holu. Uniknęła obrażeń, lecz była wstrząśnięta.

- Mogą nam zrobić wszystko, co im się podoba! - oznajmiła z nutką hysterii w głosie. George miał takie samo odczucie, lecz wydarzenia, których byli świadkami, bardziej ją dotknęły. Nie brała udziału w Rajdzie Wolności i domyślał się, że dziewczyna po raz pierwszy ujrzała na własne oczy tak gwałtowny wybuch nienawiści rasowej.

- Postawię ci drinka - zaproponował i poszli do baru.

Niemal całą następną godzinę przegadali. George przeważnie słuchał, od czasu do czasu rzucał słowo współczucia lub pokrzepienia. Pomógł Verenie wziąć się w garść, bo zachowywał spokój. W ten sposób zdołał zapanować także nad swoimi rozpalonymi emocjami.

Potem zjedli obiad w hotelowej restauracji. Ściemniało się, kiedy weszli na górę.

- Przyjdiesz do mojego pokoju? - spytała Verena w korytarzu.

George się zdziwił. To nie był romantyczny ani zmysłowy wieczór, on zaś nie uważał spotkania za randkę. Byli po prostu dwojgiem aktywistów społecznych, którzy dzielili się odczuciami.

Dostrzegła jego zawahanie.

- Chciałabym tylko, żeby ktoś mnie przytulił. Może tak być?

Niezupełnie to rozumiał, ale skinął głową.

Mignął mu w myślach obraz Marii, lecz szybko go odsunął. Był już najwyższy czas, by

o niej zapomnieć.

Kiedy znaleźli się w pokoju, Verena zamknęła drzwi i objęła go. Przygarnął ją do siebie i pocałował w czoło. Odwróciła głowę i oparła policzek na jego ramieniu. No dobrze, pomyślał, chcesz się przytulać, ale nie całować. Postanowił po prostu podążać za jej wskazówkami. Będzie robił to, co zechce Verena, nie miał nic przeciwko temu.

- Nie chcę spać sama - rzekła po dłuższej chwili.

- Dobrze - odparł neutralnym tonem.

- Możemy się tylko przytulać?

- Tak - zgodził się George, choć nie wierzył, że tak właśnie będzie.

Wysunęła się z jego objęć, a później szybko zdjęła buty i ściągnęła sukienkę przez głowę. Nosila biały stanik i figi. Patrzył na jej nieskazitelną kremową skórę. Kilka sekund później zdjęła bieliznę. Miała płaskie jędrne piersi z maleńkimi sutkami. Jej włosy łonowe miały rudawe zabarwienie. Była z całą pewnością najpiękniejszą kobietą, jaką widział naga.

Wszystko to ocenił jednym spojrzeniem, gdyż Verena momentalnie weszła do łóżka.

Odwrócił się i zdjął koszulę.

- Twoje plecy! - powiedziała. - O Boże, wyglądają strasznie!

George był obolały po uderzeniu strumienia wody z armatki, lecz nie przyszło mu na myśl, że będzie to widać. Stanął tyłem do lustra i spojrzał przez ramię. Verena miała rację: jego skórę pokrywało mnóstwo purpurowych sińców.

Powoli zdjął buty i skarpety. Miał wzwód i liczył na to, że opadnie, lecz na próżno. Nie mógł się powstrzymać. Wstał, zdjął spodnie i szorty, a później pospieszenie wszedł do łóżka.

Objęli się. Uniesiony członek George'a naciskał na brzuch Vereny, ona jednak nie reagowała. Jej włosy łaskotały go w szyję, piersi przyciskały się do jego tułowia. Był pobudzony do szaleństwa, ale instynkt kazał mu leżeć nieruchomo.

Verena zaczęła płakać. Z początku wydawała ciche jęśliwe odgłosy, a on nie wiedział, czy oznaczają odruchy seksualne. Potem poczuł łyzy dziewczyny na piersi, jej ciałem wstrząsnął szloch. Poklepał ją po plecach w pierwotnym geście pocieszenia.

W pewnym sensie podziwiał się za to, co robi. Leżał nago w łóżku z piękną kobietą i mógł jedynie klepać ją po plecach. Jednak po głębszym zastanowieniu doszedł do wniosku, że ma to sens. Miał niejasne, lecz pewne poczucie, że dają sobie pociechę, która jest silniejsza od seksu. Oboje opanowała silna emocja, jednak George nie potrafił nadać jej konkretnej nazwy.

Szlochanie Vereny stopniowo się uspokoiło. Po jakimś czasie jej ciało się rozluźniło, oddech stał się równy i płytki. Zapadła w sen.

Wzwód George'a opadł. Zamknawszy oczy, skupił się na ciepłe ciała Vereny i

delikatnym kobiecym zapachu, który unosił się z jej skóry i włosów. Był pewien, że nie zaśnie, trzymając taką dziewczynę w ramionach.

A jednak zasnął.

Kiedy obudził się rano, już jej nie było.

W sobotę Maria Summers poszła do pracy w pesymistycznym nastroju.

Kiedy Martin Luther King przebywał w więzieniu w Alabamie, Komisja Praw Obywatelskich wydała zatrważający raport o traktowaniu Murzynów w Missisipi. Jednak administracja Kennedy'ego sprytnie go podważyła. Prawnik z Departamentu Sprawiedliwości, niejaki Burke Marshall, wyraził zastrzeżenia wobec przedstawionych faktów, a szef Marii Pierre Salinger ocenił postulaty raportu jako ekstremistyczne. W ten sposób udało się wyprowadzić w pole amerykańskich dziennikarzy.

Ster władzy trzymał mężczyzna, którego Maria kochała. Prezydent Kennedy miał dobre serce, wierzyła w to, lecz jego wzrok był zawsze skierowany na następne wybory. Uzyskał dobry wynik w ostatnich wyborach uzupełniających: rozegrał na chłodno kubański kryzys atomowy, zdobywając tym popularność, i dzięki temu udało się uniknąć klęski w starciu z republikanami. Teraz jednak martwił się przyszłoroczną batalią o ponowny wybór na urząd prezydenta. Nie lubił zwolenników segregacji z Południa, lecz nie zamierzał się poświęcać w walce przeciwko nim.

Kampania praw obywatelskich zamierała.

Brat Marii miał czworo dzieci, które bardzo lubiła. One i przyszłe dzieci Marii po osiągnięciu dojrzałości będą Amerykanami drugiej kategorii. Jeśli wybiorą się na Południe, trudno im będzie znaleźć hotel, który je przyjmie. Jeśli pójdą do kościoła dla białych, zostaną odprawione, a jeśli trafią na pastora o liberalnych poglądach, powie im, by skierowały się do specjalnej oddzielonej sznurem części dla Murzynów. Na publicznych toaletach zobaczą napis „Tylko dla białych” oraz inny, „Dla kolorowych”, który wskaże im drogę do kubła gdzieś na tyłach. Będą pytały, dlaczego w telewizji nie ma czarnych, a ich rodzice nie będą umieli im na to odpowiedzieć.

Weszła do biura i zobaczyła tytuły gazet.

Na pierwszej stronie „New York Timesa” było zdjęcie z Birmingham, na jego widok Maria aż otworzyła usta z przerażenia. Przedstawiało białego policjanta z rozjuszonym owczarkiem niemieckim. Pies gryzł niegroźnie wyglądającego czarnoskórego nastolatka, którego policjant trzymał za sweter. Gliniarz obnażał zęby w uśmiechu, z którego biła czysta nienawiść; wyglądał, jakby sam chciał ugryźć ofiarę.

Nelly Fordham usłyszała westchnienie Marii i oderwała wzrok od „Washington Post”.

- Okropne, co?

To samo zdjęcie trafiło na okładki wielu amerykańskich, a także zagranicznych gazet.

Maria usiadła i zaczęła czytać. Z przebłyskiem nadziei zauważyła, że zmienił się ton komentarzy. Dziennikarze nie mogli dłużej obwiniać Martina Luthera Kinga, twierdzić, że jego kampania prowadzona jest w niewłaściwym czasie i że Murzyni powinni okazać cierpliwość. Narracja uległa zmianie w toku tajemniczego, niepowstrzymanego procesu relacji medialnych, który Maria poznała i który budził zarówno respekt, jak i lęk.

Doszła do wniosku, że południowcy posunęli się za daleko, i ucieszyła się jeszcze bardziej. Dziennikarze pisali o aktach przemocy wobec dzieci na ulicach Ameryki. Nadal cytowano ludzi oskarżających Kinga i jego agitatorów, lecz przyjęty przez zwolenników segregacji rasowej ton pewności siebie i lekceważenia ustąpił miejsca rozpaczliwym zaprzeczeniom. Czy to możliwe, by jedno zdjęcie zmieniło wszystko?

Do pokoju wszedł Salinger.

- Słuchajcie wszyscy. Prezydent przeglądał rano gazety, zobaczył zdjęcie z Birmingham i ogarnęły go mdłości. Chce, żeby prasa się o tym dowiedziała. To nie jest formalne oświadczenie, lecz wiadomość nieoficjalna. Kluczowe słowo to „mdłości”. Zajmijcie się tym od razu, proszę.

Maria spojrzała na Nelly i obie uniosły brwi. A więc zmiana.

Podniosła słuchawkę.

W poniedziałek rano George poruszał się jak starzec, ostrożnie, by zminimalizować szarpnięcia bólu. Armatka wodna wykorzystywana przez straż pożarną w Birmingham wyrzucała wodę pod ciśnieniem niemal siedmiu kilogramów na centymetr kwadratowy, tak podawała prasa, i George czuł każdy kilogram na każdym centymetrze kwadratowym pleców.

Nie jego jedyne dręczył ból owego poranka. Poturbowano setki demonstrantów. Niektórzy zostali tak mocno pogryzieni przez psy, że musiano im założyć szwy. Tysiące dzieci w wieku szkolnym nadal siedziało w więzieniach.

George modlił się, by ich cierpienie nie poszło na marne.

Pojawiła się nadzieja. Zamożni biali biznesmeni z Birmingham chcieli zakończenia konfliktu. Nikt nie robił zakupów: czarni ogłosili bojkot sklepów w śródmieściu, a jego skutki spotęgowała obawa białych przed tym, by nie znaleźć się w środku zamieszek. Nawet zatwardziali właściciele stalowni i fabryk czuli, że ich interesy cierpią z powodu opinii miasta jako światowej stolicy rasistowskiej przemocy.

Biały Dom zaś był wściekły z powodu powtarzających się tytułów na pierwszych stronach światowych gazet. Zagraniczni dziennikarze uważali za oczywiste, że Murzyni mają prawo do sprawiedliwości i demokracji, i nie mogli pojąć, dlaczego prezydent Stanów Zjednoczonych nie potrafi wyegzekwować prawa w swoim kraju.

Robert Kennedy przysłał Burke'a Marshalla do Birmingham, by ten zawarł układ z czołowymi obywatelami miasta. Asystował mu Dennis Wilson. George nie darzył zaufaniem żadnego z nich. Marshall osłabił wymowę raportu Komisji Praw Obywatelskich, wysuwając zastrzeżenia prawne, Dennis zaś zawsze był zazdrosny o George'a.

Biała elita Birmingham nie chciała negocjować bezpośrednio z Martinem Lutherem Kingiem, toteż Dennis i George musieli wystąpić w roli pośredników. Kinga reprezentowała Verena.

Burke Marshall starał się nakłonić pastora do odwołania poniedziałkowej demonstracji.

- Mamy zmniejszyć nacisk właśnie teraz, kiedy uzyskujemy przewagę? - spytała Verena, spoglądając z niedowierzaniem na Dennisa Wilsona. Znajdowali się w eleganckim holu motelu Gaston. George przytaknął jej skinieniem głowy.

- Magistrat w tej chwili nie może nic zrobić - odparł Dennis.

Władze miasta zmagaly się z innym, lecz związanym z poruszaną kwestią problemem: Bull Connor zakwestionował od strony prawnej wybory, które przegrał, tak więc dwóch ludzi rościło sobie prawo do stanowiska burmistrza.

- A więc są podzieleni i osłabieni, to świetnie! - oznajmiła Verena. - Jeśli poczekamy, aż rozstrzygną wątpliwości, wrócą wzmocnieni i bardziej zdeterminowani. Czy wy w Białym Domu nie znacie politycznego abecadła?

Dennis udawał, że aktywiści praw obywatelskich wysuwają mętne żądania. To także rozżłościło Verenę.

- Mamy cztery proste postulaty. Po pierwsze: niezwłoczne zakończenie segregacji w lokalach gastronomicznych, toaletach, przy wodotryskach i we wszystkich sklepach. Po drugie: zaprzestanie dyskryminacji przy zatrudnianiu i awansowaniu czarnych pracowników w sklepach. Po trzecie: wszyscy uczestnicy demonstracji mają być wypuszczeni z więzień, a zarzuty wycofane. Po czwarte: należy powołać międzyrasową komisję, która zajmie się kwestią zakończenia segregacji w policji, szkołach, parkach, kinach i hotelach. - Zmierzyła ostrym wzrokiem Dennisa. - Co w tym jest niejasne?

King prosił o zmiany, które powinny być oczywistością, a mimo to dla białych było to zbyt wiele. Wieczorem Dennis wrócił do motelu i przedstawił George'owi i Verenie kontrpropozycje. Sklepikarze byli gotowi od razu zakończyć segregację w przymierzalniach,

a w innych częściach sklepów z opóźnieniem. Pięciu lub sześciu czarnych pracowników miało dostać awansy na stanowiska „z krawatem”, gdy tylko zakończą się demonstracje. Biznesmeni nie mogli nic poradzić w kwestii uwięzionych, gdyż była to sprawa sądów. Co do segregacji w szkołach i innych instytucjach publicznych należało się zwrócić do burmistrza i rady miasta.

George się ucieszył. Biali po raz pierwszy zgodzili się negocjować!

Jednak Verena odrzuciła ofertę.

- To nic nie znaczy. W sklepach nie każe się kobietom korzystać z jednej przymierzalni, więc trudno tam mówić o segregacji. A w Birmingham jest więcej niż pięciu czarnych mężczyzn zdolnych do noszenia krawata. Co do innych...

- Twierdzą, że nie mają możliwości, by cofnąć decyzję sądu lub zmienić prawo.

- Jest pan aż tak naiwny? - odparowała Verena. - W tym mieście sąd i władze miasta robią to, co każą im biznesmeni.

Robert Kennedy polecił George'owi sporządzić listę najbardziej wpływowych białych biznesmenów w mieście wraz z numerami ich telefonów. Prezydent zamierzał osobiście do nich zadzwonić i oznajmić, że potrzebny jest kompromis.

George dostrzegał także inne krzepiące sygnały. Podczas masowych wieców w kościołach w Birmingham w poniedziałek wieczorem zgromadzono czterdzieści tysięcy dolarów na prowadzenie kampanii. Współpracownicy Kinga spędzili na ich przeliczaniu większą część nocy w pokoju motelowym wynajętym specjalnie do tego celu. Jeszcze większe sumy napływały pocztą. Ruch praw obywatelskich przeważnie miał tylko tyle funduszy, że ledwo wystarczało na przetrwanie, jednak postępowanie Connora i jego psów sprawiło, iż pękł worek z pieniędzmi.

Verena i inni współpracownicy Kinga zebrali się na naradę w pokoju jego apartamentu. Zastanawiali się, w jaki sposób podtrzymać presję. George nie został zaproszony. I dobrze. Wolał nie wiedzieć pewnych rzeczy, bo później czułby się zobowiązany przekazać je Bobby'emu.

Rano włożył garnitur i udał się na dół, by wysłuchać konferencji prasowej Kinga wyznaczonej na dziesiątą. Na motelowym dziedzińcu tłoczyło się ponad stu dziennikarzy z całego świata, spoconych od gorącego słońca Alabamy. Kampania doktora Kinga stanowiła gorącą wiadomość - to także była zasługa Connora.

- Wypadki ostatnich kilku dni w Birmingham świadczą o dojrzewaniu obywatelskiego ruchu protestu bez przemocy - oznajmił King. - Oto spełnienie moich marzeń.

George nigdzie nie dostrzegł Vereny i nabrał podejrzeń, że prawdziwe wydarzenia toczą

się gdzie indziej. Opuścił motel i poszedł do kościoła. Nie znalazł Vereny, lecz zauważył dzieci wychodzące z podziemia kościoła i wsiadające do samochodów zaparkowanych przy Piątej Alei. Pilnujący ich dorośli zachowywali się z wymuszoną beztroską.

Wpadł na Dennisa Wilsona, który znał najnowsze informacje.

- Komitet Starszych Obywateli organizuje spotkanie w izbie handlowej.

Do George'a doszły słuchy o tym nieformalnym zgromadzeniu, któremu nadano przydomek Wielkich Mułów. W jego skład wchodził ludzie dzierżący realną władzę w mieście. Jeśli oni wpadli w panikę, zmiana musi nastąpić.

- Co planuje organizacja Kinga? - zapytał Dennis.

George ucieszył się, że nie wie.

- Nie zaproszono mnie na naradę, ale coś wykombinowali.

Rozstał się z Dennisem i ruszył w stronę śródmieścia. Mógł zostać aresztowany nawet za spacerowanie bez zezwolenia, lecz musiał podjąć ryzyko. Robert Kennedy nie miałby pożytku z wysłannika, gdyby ten ukrył się w motelu.

W ciągu dziesięciu minut dotarł do centrum handlowego Birmingham, które wyglądało jak większość podobnych ośrodków w południowych stanach: były tam sklepy wielobranżowe, kina, budynki administracyjne oraz biegnąca przez środek linia kolejowa.

Plan pastora Kinga rozgryził dopiero wtedy, gdy zobaczył jego realizację.

Przechadzający się pojedynczo, dwójkami lub trójkami Murzyni nagle zaczęli łączyć się w grupy i podnosić ukryte dotąd transparenty. Jedni usiedli, blokując chodnik, a inni uklękli i zaczęli się modlić na schodach ogromnego budynku ratusza w stylu secesyjnym. Ze sklepów, w których obowiązywała segregacja, wychodziły korowody nastolatków śpiewających pieśni religijne i zaraz zwracały do środka. Samochody na ulicy zwalniały i zatrzymywały się.

Policja została zaskoczona, funkcjonariusze skoncentrowali się wokół parku Kelly Ingram kilometr dalej, bo demonstranci zdołali ich zmylić. Jednak George był pewny, że klimat spokojnego protestu utrzyma się tylko do czasu, gdy Bull Connor się nie pozbiera.

Wrócił do motelu, kiedy poranek zamienił się w popołudnie. Spotkał Verenę, miała zafrasowany wyraz twarzy.

- To wygląda wspaniale, jednak wymknęło się spod kontroli. Nasi aktywiści są wyszkoleni w protestach bez przemocy, ale przyłączają się tysiące ludzi, którzy nie mają pojęcia o dyscyplinie.

- Zwiększają nacisk na Wielkie Muły - zauważył George.

- Ale nie chcemy, by gubernator ogłosił stan wyjątkowy. - Gubernatorem Alabamy był George Wallace, nieprzejednany zwolennik segregacji.

- Stan wyjątkowy oznacza kontrolę władz federalnych. Prezydent mógłby zarządzić przynajmniej częściową integrację.

- Jeśli zostanie narzucona z zewnątrz, Wielkie Muły znajdą sposób, by ją podważyć. Lepiej, żeby to była ich własna decyzja.

Verena miała subtelne wyczucie polityczne, George to widział. Bez wątpienia wiele się nauczyła od doktora Kinga. Nie wykluczał jednak, że tym razem się myli.

Zjedli po kanapce z szynką i wyszli z motelu. Atmosfera wokół parku Kelly Ingram zrobiła się bardziej napięta. Były tam teraz setki policjantów wymachujących pałkami i trzymających skore do walki psy. Strażacy traktowali strumieniami wody każdego, kto kierował się ku śródmieściu. Murzyni odpowiadali na agresję, obrzucając funkcjonariuszy kamieniami i butelkami po coli. Verena i inni aktywiści Kinga weszli między ludzi, prosząc ich o zachowanie spokoju i wstrzymanie się od aktów przemocy, lecz niewiele wskórali. Dziwny biały pojazd ochrzczony mianem czołgu jeździł w jedną i w drugą stronę Szesnastą Ulicą, wożąc Connora, który nawoływał przez megafon:

- Rozejść się! Opuścić ulice!

George dowiedział się, że nie jest to czołg, lecz opancerzony samochód z demobilu nabyty przez komisarza bezpieczeństwa publicznego.

Zauważył Freda Shuttleswortha, który rywalizował z Kingiem o przywództwo w kampanii. Był to mężczyzna w wieku czterdziestu jeden lat, silny i umięśniony, w eleganckim ubraniu i z dobrze przystrzyżonym wąsikiem. Przeżył dwa zamachy bombowe, a jego żona została zaszytletowana przez członka Ku-Klux-Klanu, on jednak nie zdradzał ani odrobiny lęku i odmówił wyjazdu z miasta. „Nie po to ocalałem, by uciekać”, mawiał. Mimo że z natury był wojownikiem, starał się mitygować niektórych młodych uczestników demonstracji. „Nie drażnijcie policji”, przestrzegał. „Nie zachowujcie się tak, jakbyście chcieli ich zaatakować”. George uznał to za dobrą radę.

Młodzież gromadziła się wokół Shuttleswortha, on zaś niczym flecista z baśni wiódł ich w kierunku kościoła. Na znak pokojowych zamiarów machał w powietrzu białą chusteczką.

Prawie mu się udało.

Przeprowadził młodych obok wozów strażackich stojących nieopodal kościoła. Weszli wejściem do podziemnej części budowli, które znajdowało się na wysokości ulicy, i skierowali się schodami w dół. Kiedy wszyscy zniknęli w środku, Shuttlesworth odwrócił się, by za nimi podążyć. Wtedy George usłyszał czyjeś słowa: „Podlejmy trochę wielebnego”.

Lider odwrócił się, marszcząc czoło. Strumień wody z armatki wodnej trafił go prosto w klatkę piersiową. Mężczyzna zachwiał się i wśród głośniego rumoru spadł po schodach.



- O Boże, trafili Shuttleswortha! - zawołał ktoś.

George skoczył do środka. Shuttlesworth leżał u podnóża schodów, łapiąc powietrze.

- Nic się panu nie stało? - zawołał George, lecz tamten nie zdołał odpowiedzieć. - Niech ktoś wezwie karetkę!

George nie mógł się nadziwić, że władza wykazała się taką głupotą. Shuttlesworth cieszył się ogromną popularnością. Czyżby tamci naprawdę dążyli do sprowokowania zamieszek?

Karetki znajdowały się w pobliżu, toteż po jednej czy dwóch minutach weszło dwóch mężczyzn z noszami i wyniosło rannego.

George wyszedł za nimi na chodnik. Czarni gapię i biali policjanci kręcili się blisko siebie, tworząc niebezpieczną mieszankę. Dziennikarze i fotoreporterzy pstrykali zdjęcia noszy wsuwanych do wnętrza karetki. Później wszyscy odprowadzili ją wzrokiem.

Po chwili zjawił się Bull Connor.

- Cały tydzień czekałem na to, aż trafią go wodą z sikawki - rzekł wesoło. - Szkoda, że tego nie widziałem.

George poczuł gniew. Miał nadzieję, że ktoś z gapiów zdzieli komisarza bezpieczeństwa publicznego w tłustą gębę.

- Odwieziono go karetką - powiedział biały dziennikarz.

- Szkoda, że nie karawanem - zareplikował Connor.

George musiał się odwrócić, by zapanować nad złością. Uratował go Dennis Wilson, który pojawił się znikąd i chwycił go za rękę.

- Dobre wieści! Wielkie Muły uległy!

- Co to znaczy: uległy?

- Utworzyli komitet, który ma negocjować z aktywistami.

To rzeczywiście była dobra wiadomość. Coś ich odmieniło: demonstracje, telefony prezydenta lub groźba wprowadzenia stanu wyjątkowego. Bez względu na to, jaki był powód, ich desperacja osiągnęła takie rozmiary, że gotowi byli usiąść do stołu z czarnymi i omówić warunki rozejmu. Może dojdzie do porozumienia, zanim rozruchy przybiorą naprawdę niebezpieczną formę.

- Potrzebne jest miejsce, w którym mogą się spotkać - dodał Dennis.

- Verena będzie wiedziała.

George odwrócił się, a potem stanął, by spojrzeć na Connora. Stało się jasne, że człowiek ten już się nie liczy. Krążył ulicami i naigrawał się z aktywistów walczących o prawa obywatelskie, a tymczasem w izbie handlowej najbardziej wpływowi mieszkańcy

miasta postanowili zmienić kurs i uczynili to bez konsultacji z nim. Może nadchodzi kres panowania na Południu tłustych białych drani.

To jednak nie było przesądzone.

Kompromis ogłoszono w czasie piątkowej konferencji. Wziął w niej udział Fred Shuttlesworth, mimo że od uderzenia strumienia wody z armatki pękły mu żebra.

- Dzisiaj Birmingham pogodziło się z własnym sumieniem! - ogłosił.

Wkrótce potem zemdlął i musiano go wynieść. Martin Luther King obwieścił zwycięstwo i odleciał do Atlanty, gdzie mieszkał.

Elita białych w Birmingham w końcu przystała na częściowe zniesienie segregacji. Verena uważała, że to nie za wiele, i w pewnym sensie miała rację: zgodzono się na zaledwie parę drobnych ustępstw. George był jednak zdania, że nastąpiła zasadnicza zmiana, gdyż biali przyjęli do wiadomości, iż trzeba dyskutować z Murzynami o segregacji. Nie po prostu wyznaczać prawa tak jak do tej pory. Negocjacje będą trwały dalej i mogą zmierzać tylko w jedną stronę.

Czy był to jedynie mały postęp, czy zasadniczy punkt zwrotny, w sobotę wieczorem wszyscy kolorowi obywatele świętowali, a Verena zaprosiła George'a do swojego pokoju.

Rychło przekonał się, że nie była jedną z tych dziewcząt, które w łóżku oddają wodze mężczyźnie. Wiedziała, czego pragnie, i nie wahała się o to prosić. On zaś nie miał nic przeciwko temu.

Zgodziłby się prawie na wszystko. Oczarowało go jej cudowne ciało o jasnym odcieniu skóry i jej szmaragdowe oczy czarodziejki. Dużo mówili, kochając się. Verena opowiadała, co sama czuje, i pytała, czy to lub owo sprawia George'owi przyjemność, czy też wprawia go w zakłopotanie. Rozmowa pozwalała intensywniej przeżywać zbliżenie. Bardziej niż kiedykolwiek dotąd uświadomił sobie, że przez seks można poznać nie tylko czyjeś ciało, lecz także charakter.

Pod koniec to ona chciała być na górze. To również była dla niego nowość, bo nie robił tego jeszcze z żadną kobietą. Usiadła na nim okrakiem, a on trzymał jej biodra i poruszał się wraz z nią. Zamknęła oczy, ale on nie zamknął. Jak zaczarowany patrzył na jej twarz, a gdy doszła, on także doznał orgazmu.

Parę minut przed północą stanął w szlafroku przy oknie i spoglądał na oświetloną latarniami Piątą Aleję, a Verena była w łazience. Wrócił myślą do porozumienia, które King zawarł z białymi w Birmingham. Przypuszczał, że jeśli jest to triumf ruchu praw obywatelskich, zatwardziali segregacjoniści się z nim nie pogodzą - ale jak postąpią? Bull

Connor z pewnością już zaplanował, w jaki sposób storpedować porozumienie. Rasistowski gubernator George Wallace zapewne także miał plan.

Tego dnia Ku-Klux-Klan zorganizował wiec w Bessemer, miasteczku leżącym trzydzieści kilometrów od Birmingham. Ludzie Roberta Kennedy'ego dowiedzieli się, że przybyli zwolennicy rasizmu z Georgii, Tennessee, Karoliny Południowej i Missisipi. Mówcy bez wątpienia podgrzali atmosferę oburzenia w związku z tym, że w Birmingham władze uległy czarnym. Kobiety i dzieci zapewne już się rozeszły, lecz mężczyźni zaczęli pić i przechwalać się tym, co zrobią.

Jutro, w niedzielę, dwunastego maja będzie Dzień Matki. George pamiętał ten dzień przed dwoma laty, gdy biali usiłowali zabić jego i innych uczestników Rajdu Wolności, podpalając autobus w Anniston, dziewięćdziesiąt kilometrów dalej.

Verena wyszła z łazienki.

- Chodź do łóżka - powiedziała, wsuwając się pod pościel.

George był pełen chęci. Miał nadzieję, że przed świtem będą kochali się jeszcze przynajmniej raz. Jednak tuż przed tym, zanim odwrócił się od okna, coś przykuło jego wzrok. Piątą Aleją zbliżały się dwa samochody z zapalonymi reflektorami. Pierwszy jechał radiowóz policji z Birmingham z wyraźnie widocznym numerem 25. Podążał za nim zaokrąglony chevrolet z początku lat pięćdziesiątych. Oba pojazdy zwolniły, kiedy znalazły się na wysokości Gastona.

George nagle zauważył, że policjanci miejscy i stanowi, którzy patrolowali ulice wokół motelu, zniknęli. Na chodniku nie było nikogo.

Co u diabła...?

Sekundę później przez otwarte okno chevroleta ciśnięto jakiś przedmiot, który potoczył się chodnikiem aż do ściany motelu. Upadł pod oknem apartamentu numer 30, który przed swoim wyjazdem zajmował Martin Luther King.

Auta natychmiast przyspieszyły.

George odwrócił się od okna, dwoma krokami przemierzył pokój i rzucił się na Verenę.

Ledwo zdążyła krzyknąć, gdy zagłuszył ją potężny grzmot i budynek zadrżał jak w czasie trzęsienia ziemi. Powietrze wypełnił brzęk trzaskającego szkła i łoskot odpadających fragmentów ścian. Szyby w oknie pokoju pękły z dźwięcznym odgłosem przypominającym dzwoneczki. Nagle zapadła przedziwna cisza. Szum silników zamarł w oddali, a George usłyszał krzyki dochodzące z wnętrza budynku.

- Nic ci się nie stało? - zapytał.

- Co to, kurwa, było? - odpowiedziała pytaniem Verena.

- Ktoś rzucił bombę z samochodu. - George zmarszczył czoło. - Mieli policyjną eskortę, dałabyś wiarę?

- W tym parszywym mieście? No jasne.

George zsunął się z dziewczyny i rozejrzał po pokoju. Cała podłoga zasłana była kawałkami szyby. Na tylnej krawędzi łóżka zawisła zielona tkanina, po chwili uświadomił sobie, że to zasłona. Podmuch powietrza zerwał ze ściany portret Franklina Delano Roosevelta i rzucił na dywan; uśmiechnięta twarz prezydenta wyzierała spod pękniętego szkła.

- Musimy zejść na dół - powiedziała Verena. - Ktoś mógł zostać ranny.

- Zaczekaj chwilę, podam ci buty.

Postawił stopy na kawałku dywanu wolnym od szkła. Żeby przemierzyć pokój, musiał zbierać odłamki i odrzucać je na bok. Jego buty stały w szafie obok jej butów; podobało mu się to. Włożył czarne skórzane mokasyny, a potem wziął białe szpilki Vereny i jej zaniósł.

Zgasły światła.

Szybko ubrali się w ciemności. Okazało się, że w łazience nie ma wody. Zeszli na dół.

Przestraszony personel i goście motelu zebrali się w zaciemnionym holu. Kilkoro krwawiło, ale nikt nie zginął. George przepchnął się do wyjścia. W świetle latarni zobaczył ziejącą w murze budynku dziurę szerokości półtora metra i rozsypane ciężkie kawały gruzu. Siła eksplozji zamieniła we wraki stojące na parkingu przyczepy. Jakimś cudem nikt nie odniósł poważnych obrażeń.

Zjawił się policjant z psem, nadjechała karetka, a następnie więcej policjantów. Grupy Murzynów zaczęły gromadzić się przed motelem i w parku Kelly Ingram oddalonym o jedną przecznicę. George zauważył z niepokojem, że nie są to pokojowo nastawieni chrześcijanie, którzy radośnie, z psalmami na ustach wymaszerowali z kościoła Baptistów przy Szesnastej Ulicy. Byli to mężczyźni, którzy sobotni wieczór spędzili w barach, grając w bilard i słuchając muzyki z szaf grających. Nie wyglądali na zwolenników stworzonej przez Mahatmę Gandhiego filozofii biernego oporu, którą wyznawał Martin Luther King.

Ktoś powiedział, że kilka skrzyżowań dalej wybuchła druga bomba; stało się to w parafii brata Martina Luthera Kinga, Alfreda, znanego jako A.D. King. Świadek widział umundurowanego policjanta, który kilka sekund przed wybuchem podkładał paczkę na ganku. Najwyraźniej policja z Birmingham postawiła sobie za cel zamordowanie obu braci w tym samym czasie.

Gniew tłumu się wzmógł.

Poleciały butelki i kamienie. Najczęściej brano na cel armatkę wodną oraz psy. George

wszedł z powrotem do motelu. Verena pomagała ratować czarnoskórą starszą panią, pod którą zapadła się podłoga. Akcję prowadzono przy świetle latarki.

- Robi się niebezpiecznie - rzekł George do Vereny. - Rzucają kamieniami w policję.

- I dobrze robią, bo to cholerne gliny zorganizowały zamachy.

- Zastanów się. Dlaczego biali chcą wzniecić dzisiaj zamieszki? Po to, by storpedować zawarte porozumienie.

Verena starła pył z czoła. Złość na twarzy dziewczyny ustąpiła miejsca kalkulacji.

- Cholera, masz rację.

- Nie wolno nam do tego dopuścić.

- Ale jak można to powstrzymać?

- Namówimy wszystkich przywódców ruchu, by uspokoiли ludzi.

Skinęła głową.

- Dobrze. Zaczę ich zbierać.

George wyszedł przed motel. Zamieszki szybko się nasilały. Przewrócono i podpalamo taksówkę, płonęła na środku jezdni. Jedno skrzyżowanie dalej palił się sklep spożywczy. Nadjeżdżające z centrum radiowozy zatrzymał przy Siedemnastej Ulicy grad rzuconych pocisków.

Chwyciwszy megafon, George zwrócił się do zebranych.

- Proszę wszystkich, by się uspokoiли! Nie narażajcie umowy, którą zawarliśmy! Segregacjoniści dążą do wywołania rozruchów, nie pomagajcie im! Rozejdźcie się do domów i połóżcie się spać!

- Dlaczego my mamy iść do domów, skoro to oni sięgają po przemoc?! - zawołał stojący nieopodal czarny mężczyzna.

George wskoczył na dach zaparkowanego samochodu.

- To nam nie pomaga! Nasz ruch jest pokojowy! Niech wszyscy się rozejdą!

- My nie stosujemy przemocy, ale oni tak! - krzyknął ktoś.

Pusta butelka po whisky śmignęła w powietrzu i trafiła George'a w czoło. Zeskoczył z auta i dotknął głowy. Bolała, ale nie krwawiła.

Inni podjęli jego rolę. Pojawiła się Verena i z kilkoma przywódcami ruchu i kaznodziejami weszła między ludzi, by ich uspokoić. A.D. King wspiął się na samochód.

- Przed kilkoma minutami ktoś podłożył bombę przed naszym domem! - zawołał. - Mówimy, Ojczy, przebacz im, bo nie wiedzą, co czynią. Ale wy nie pomagacie naszej sprawie, szkodzicie jej! Proszę was o opuszczenie parku!

Perswazja powoli zaczynała skutkować. George zauważył, że Bull Connor nie pojawił

się w polu widzenia. Akcją kierował szef policji Jamie Moore, który był zawodowym funkcjonariuszem, a nie nominatem politycznym. To działało na korzyść. Nastawienie policjantów uległo pewnej zmianie. Opiekunowie psów i strażacy nie wykazywali już takiej ochoty do starcia. George usłyszał, jak jeden z gliniarzy mówi do Murzynów: „Jesteśmy waszymi przyjaciółmi!”. Była to bzdura, ale w nowym tonie.

Wśród zwolenników segregacji są jastrzębie i gołębie, uświadomił sobie George. Martin Luther King sprzymierzył się z gołębiami i w ten sposób zaszedł jastrzębie z flanki. Teraz tamci znów usiłovali wzniecić ogniska nienawiści. Nie wolno było dopuścić, by ten zamiar się powiódł.

Wobec braku bodźca, jakim była agresywność policji, tłum stracił bojowy zapał. Dały się słyszeć zupełnie inne odzywki. Kiedy zawalił się podpalony budynek sklepu, niektórzy się zawstydzili.

- Wstyd i hańba - powiedział jakiś głos, a ktoś inny dodał: - Posunęliśmy się za daleko.

Kaznodzieje zaintonowali pieśń i ludzie się przyłączyli. George poczuł ulgę. Już po wszystkim, pomyślał.

Komisarza policji Moore'a znalazł na rogu Piątej Alei i Siedemnastej Ulicy.

- Trzeba sprowadzić ekipy remontowe do motelu, panie komisarzu. Nie ma prądu i wody, warunki sanitarne szybko się pogorszą.

- Zobaczę, co da się zrobić - odparł Moore, przykładając do ucha walkie-talkie.

Jednak zanim się odezwał, pojawili się policjanci stanowi.

Mieli niebieskie hełmy na głowach, karabinki i dwulufowe strzelby. Przybyli w pośpiechu, większość samochodami, niektórzy konno. Po kilku sekundach było ich dwustu lub więcej. George patrzył na nich z przerażeniem. Zapowiadało się na katastrofę, policja mogła na nowo rozniecić zamieszki. Właśnie do tego zmierzał gubernator George Wallace. On, podobnie jak Bull Connor oraz ci, którzy podłożyli bomby, jedyną nadzieję segregacjonistów upatrywał w całkowitym załamaniu się rządów prawa.

Podjechał samochód i wysiadł z niego dyrektor bezpieczeństwa publicznego pułkownik Al Lingo, trzymał w dłoni strzelbę. Towarzyszący mu dwaj mężczyźni, zapewne jego ochroniarze, mieli pistolety maszynowe.

Komisarz Moore wsunął radio za pas. Cichym głosem zwrócił się do przybysza, z premedytacją nie wymieniając jego stopnia wojskowego:

- Byłbym wdzięczny, gdyby pan się stąd usunął, panie Lingo.

Ten nie silił się na uprzejmość.

- Zabieraj dupę w troki, tchórze. Teraz ja tu rządę i mam rozkaz położyć ten czarny

motłoch do łóżek.

George oczekiwał, że funkcjonariusze każą mu się wynosić, lecz byli zbyt zajęci kłótnią.

- Karabiny nie są potrzebne - powiedział Moore. - Byłby pan łaskaw je schować? Ktoś może zginąć.

- Jak jasna cholera! - odparował Lingo.

George odszedł szybko, kierując się do motelu.

Przed wejściem do środka odwrócił się i zobaczył, że policjanci stanowi nacierają na tłum.

Wszystko zaczęło się od nowa.

Znalazł Verenę na dziedzińcu.

- Muszę polecieć do Waszyngtonu.

Nie uśmiechało mu się wyjeżdżać. Chciał spędzić więcej czasu z Vereną, rozmawiać z nią, pogłębić bliskość, którą odkryli. Chciał, żeby się w nim zakochała. Ale to musiało poczekać.

- Jakie kroki poczynisz w Waszyngtonie? - spytała.

- Postaram się, by bracia Kennedy zrozumieli istotę wydarzeń. Trzeba im powiedzieć, że gubernator Wallace prowokuje rozruchy i dąży do zerwania umowy.

- Jest trzecia w nocy.

- Pojadę na lotnisko jak najwcześniej i złapię pierwszy samolot. Być może będę musiał polecieć przez Atlantę.

- Jak się dostaniesz na lotnisko?

- Poszukam taksówki.

- Żaden taksówkarz nie zabierze dzisiaj czarnego, zwłaszcza z guzem na czole.

George dotknął niepewnie twarzy.

- Jak to się stało?

- Chyba dostałeś butelkę.

- A, tak. Może to i głupie, ale muszę dotrzeć na lotnisko.

- Co z twoim bagażem?

- Nie spakuję się w ciemności. Poza tym nie jest tego wiele. Po prostu pójdę.

- Uważaj na siebie - rzekła.

Pocałował ją. Objęła go za szyję i przycisnęła do niego gibkie ciało.

- Było wspaniale - szepnęła, a potem go puściła.

Wyszedł z motelu. Ulice biegnące wprost do śródmieścia były zablokowane w kierunku

wschodnim, musiał więc wybrać drogę okrężną. Ruszył na zachód, a później na północ. Skierował się na wschód dopiero wtedy, gdy był pewien, że oddalił się od zamieszek. Nigdzie nie widział taksówek. Być może będzie musiał poczekać na pierwszy autobus odjeżdżający w niedzielny poranek.

Na wschodnim nieboskłonie majaczyło blade światło, kiedy obok niego z piskiem opon zatrzymał się samochód. Był gotów rzucić się do ucieczki, obawiając się białych ochotników straży obywatelskiej. Zmienił zdanie na widok trzech policjantów stanowych z karabinami gotowymi do strzału.

Wykorzystają byle pretekst, żeby mnie zabić, pomyślał z lękiem.

Dowódcą był niski mężczyzna chodzący kołyszącym się krokiem. George zauważył na jego rękawie insygnia sierżanta.

- Dokąd to, chłopcze?

- Chcę się dostać na lotnisko, sierzancie - odparł George. - Może powie mi pan, gdzie znaleźć taksówkę?

Mężczyzna odwrócił się z uśmiechem do podwładnych.

- Chce się dostać na lotnisko - powtórzył, jakby go to rozbawiło. - Myśli, że pomożemy mu znaleźć taryfę!

Tamci zaśmiali się z żartu.

- A co będziesz robił na lotnisku? - dociekał sierżant. - Mył kible?

- Polecę samolotem do Waszyngtonu. Pracuję w Departamencie Sprawiedliwości, jestem prawnikiem.

- Coś podobnego. A ja pracuję u George'a Wallace'a, gubernatora Alabamy, i mało nas obchodzi Waszyngton. Wsiadaj do auta, bo rozwałę ci ten wełnisty łeb.

- Za co pan mnie aresztuje?

- Nie pyskuj, chłopcze.

- Jeśli zgarnia mnie pan bez dobrego powodu, jest pan przestępcą, a nie policjantem.

Sierżant zamachnął się raptownie strzelbą. George uchylił się, odruchowo zasłaniając ręką twarz. Drewniana kolba uderzyła mocno w lewy nadgarstek. Pozostali dwaj policjanci złapali go za ręce. Nie bronił się, ale wlekli go tak, jakby stawiał opór. Sierżant otworzył tylne drzwi samochodu, a tamci wepchnęli go i zatrzasnęli drzwi, zanim znalazł się w środku. Krzyknął z bólu, gdy uderzyły go w nogę. Otworzyli drzwi, wepchnęli zranioną nogę i zamknęli je ponownie.

George legł bezwładnie na tylnym siedzeniu. Bolała go noga, ale nadgarstek jeszcze bardziej. Mogą z nami robić wszystko, bo jesteśmy czarni, myślał. Żałował, że nie ciskał w



policję kamieniami i butelkami, lecz usilnie namawiał zgromadzonych ludzi, by uspokoiili się i rozeszli do domów.

Policjanci dojechali do motelu Gaston. Tam otworzyli drzwi i wypchnęli George'a. Trzymając się prawą ręką za lewy nadgarstek, powlókł się na dziedziniec.

Późnym rankiem w niedzielę George znalazł wreszcie taksówkę z czarnym kierowcą, dojechał na lotnisko i wsiadł do samolotu. Lewy nadgarstek bolał go tak, że nie mógł używać ręki, więc trzymał ją w kieszeni. Pojawił się obrzęk, toteż dla zmniejszenia bólu zdjął zegarek i rozpiął rękaw koszuli.

Z płatnego telefonu na lotnisku zadzwonił do Departamentu Sprawiedliwości i dowiedział się, że o osiemnastej w Białym Domu odbędzie się narada kryzysowa. Prezydent miał przylecieć z Camp David, a Burke'a Marshalla miano przywieźć helikopterem z Wirginii Zachodniej. Bobby jechał do siedziby resortu i chciał czym prędzej poznać relację z wydarzeń. Nie było czasu na to, by George pojechał do domu i przebrał się.

Przyrzekłszy sobie, że od tej pory w szufladzie biurka będzie zawsze trzymał czystą koszulę, wsiadł do taksówki, pojechał do Departamentu Sprawiedliwości i poszedł prosto do gabinetu Bobby'ego.

Upierał się, że jego obrażenia to drobiazg i nie wymagają leczenia. Jednak krzywił się, ilekroć poruszył lewą ręką. W obecności prokuratora generalnego i paru doradców, między innymi Marshalla, zrelacjonował nocne wydarzenia. Z jakiegoś powodu był tam także ogromny nowofundland Bobby'ego wabiący się Brumus.

- Rozejm wynegocjowany w tym tygodniu z takim trudem jest zagrożony - powiedział na zakończenie George. - Wybuchy bomb i brutalność policji stanowej osłabiły przekonanie Murzynów do tego, by wstrzymywać się od przemocy. Z drugiej strony zamieszki grożą osłabieniem pozycji białych, którzy negocjowali z Martinem Lutherem Kingiem. Wrogowie integracji, George Wallace i Bull Connor, mają nadzieję, że jedna strona konfliktu lub obie wyrzekną się porozumienia. Musimy jakoś temu zapobiec.

- Tak, to raczej jasne - stwierdził Robert Kennedy.

Wszyscy wsiedli do jego forda galaxie 500. Było lato, przejechali niewielką odległość do Białego Domu z opuszczonym dachem samochodu. Brumus był uszczęśliwiony.

Przed siedzibą prezydenta zgromadziło się kilka tysięcy demonstrantów, czarnych i białych. Trzymali tablice z napisem „Ratujcie uczniów w Birmingham”.

Prezydent był w Gabinetcie Ovalnym, siedział w swoim ulubionym fotelu bujanym i czekał na przybyszów z Departamentu Sprawiedliwości. Towarzyszyło mu trzech

wpływowym ludzi z sektora wojskowego: Robert McNamara, sekretarz obrony, a także sekretarz armii i szef sztabu.

George uświadomił sobie, że zebrali się, ponieważ w nocy Murzyni z Birmingham dokonali podpałen i rzucali butelkami. Nigdy nie zorganizowano takiej narady, gdy przez całe lata trwały pokojowe protesty obrońców praw obywatelskich i kiedy Ku-Klux-Klan obrzucał bombami domy Murzynów. Akty przemocy poskutkowały.

Wojskowi zebrali się, by przedyskutować, czy do Birmingham należy wysłać żołnierzy. Bobby jak zawsze skupiał się na rzeczywistości politycznej.

- Odezwą się głosy, by prezydent wkroczył do akcji, ale jest pewien kłopot. Nie możemy przyznać, że wysyłamy wojsko, żeby zapanowało nad policją stanową, bo to oznaczałoby, że Biały Dom ogłasza wojnę ze stanem Alabama. Musielibyśmy więc ogłosić, że chodzi o opanowanie zamieszek. To zaś byłoby równoznaczne z wojną Białego Domu z Murzynami.

Prezydent Kennedy podchwycił w lot tę myśl:

- Gdy tylko biali uzyskają ochronę oddziałów federalnych, mogą podrzeć porozumienie, które dopiero co zawarli.

Innymi słowy, pomyślał George, groźba murzyńskich rozruchów utrzymuje porozumienie przy życiu. Nie podobał mu się ten wniosek, lecz trudno było od niego uciec.

Burke Marshall uważał porozumienie za swoje dziecko.

- Jeśli te uzgodnienia runą - rzekł z obawą - Murzyni będą...

- Nie do opanowania - dokończył jego zdanie prezydent.

- I to nie tylko w Birmingham - dodał Marshall.

- Co robi dzisiaj King? - chciał wiedzieć prezydent Kennedy.

- Miał wrócić samolotem do Birmingham - odparł George, który dowiedział się tego tuż przed odlotem. - W tej chwili bez wątpienia obchodzi duże kościoły, zachęca ludzi, żeby w spokoju rozeszli się po mszy do domów i nie wychodzili z nich wieczorem.

- Posłuchają go?

- Tak, pod warunkiem że nie będzie więcej wybuchów bomb i że ktoś okiełzna policję stanową.

- Czy może pan za to ręczyć?

- Moim zdaniem najlepiej ulokować siły federalne w pobliżu Birmingham, ale nie w samym mieście. Connor i Wallace rozumieją, że jeśli coś przeszkobią, postawią na szali swoją władzę. Jednocześnie biali nie dostaną szansy wycofania się z układu.

Diskusja trwała jeszcze jakiś czas i ostatecznie na tym stanęło.

George z kilkoma współpracownikami udali się do Sali Gabinetowej, by przygotować oświadczenie dla prasy. Sekretarka prezydenta przepisała je na maszynie. Konferencje prasowe zwykle odbywały się w biurze Pierre'a Salinger'a, lecz tego dnia dziennikarzy i kamer było zbyt wiele, a poza tym był ciepły letni wieczór, toteż postanowiono wygłosić oświadczenie w Ogrodzie Różanym. Prezydent Kennedy wyszedł na zewnątrz, stanął na wprost wysłanników światowej prasy i powiedział:

- Porozumienie z Birmingham jest sprawiedliwe. Rząd federalny nie pozwoli, by padło ofiarą sabotażu ekstremistów po którejkolwiek ze stron.

Dwa kroki w przód, jeden w tył i znów dwa w przód, myślał George. Ale robimy postępy.

## ROZDZIAŁ 23

Dave Williams miał plan na sobotni wieczór. Trzy dziewczęta z jego klasy wybierały się do klubu Jump w Soho, a on i jego dwóch kolegów mimochodem napomknęło, że może się tam spotkają. Jedną z nich była Linda Robertson. Dave sądził, że dziewczyna czuje do niego sympatię. Większość znajomych uważała go za tępaka, bo zawsze miał najslabsze stopnie z egzaminów, lecz Linda toczyła z nim inteligentne rozmowy o polityce, a na tym się znał za sprawą rodziny.

Zamierzał włożyć nową koszulę z wyjątkowo długimi końcówkami kołnierzyka. Był dobrym tancerzem, nawet jego koledzy przyznawali, że stylowo tańczy twista. Uważał, że ma spore szanse, by zacząć romans z Lindą.

Dave miał piętnaście lat i bardzo irytowało go to, że większość dziewcząt w jego wieku woli starszych chłopców. Nadal wzdrygał się na wspomnienie sprzed ponad roku, gdy wyszedł na dziedziniec za czarującą Beep Dewar, mając nadzieję na to, że skradnie jej całusa, i zastał ją w namiętnym uścisku z osiemnastoletnim Jasperem Murrayem.

W sobotnie poranki dzieci Williamsów zachodziły do gabinetu ojca, by odebrać swoje tygodniowe kieszonkowe. Siedemnastoletnia Evie dostawała funta, a Dave - dziesięć szylingów. Niczym biedacy w czasach wiktoriańskich często musieli wpięrw wysłuchać kazania. Tego dnia Evie odebrała pieniądze i mogła wyjść, Dave natomiast miał zostać.

- Dostałeś bardzo słabe stopnie z egzaminów - oznajmił ojciec, gdy drzwi się zamknęły.

Dla Dave'a nie było to zaskoczenie. W ciągu dziesięciu lat nauki oblał wszystkie egzaminy pisemne.

- Przykro mi - rzekł. Nie chciał wdawać się w kłótnię, chciał po prostu odebrać forszę i ulotnić się.

Ojciec był ubrany w kraciastą koszulę i kardigan, to był jego strój na sobotni poranek.

- A przecież nie jesteś głupi.

- Nauczyciele uważają, że jestem.

- Nie wierzę w to. Jesteś inteligentny, tylko leniwy.

- Nie jestem leniwy.

- Więc jaki jesteś?

Dave nie znał odpowiedzi na to pytanie. Wolno czytał, lecz co gorsza, gdy tylko odwrócił stronę, zawsze zapominał, co przeczytał. Pisanie także szło mu źle: chciał napisać „chleb”, spod długopisu wychodziło „chelb”, a on nie zauważał różnicy. Robił koszmarnie

błędy ortograficzne.

- Dostałem najlepsze stopnie z ustnego francuskiego i niemieckiego.

- To tylko dowodzi, że możesz, jeśli się postarasz.

Niczego takiego to nie dowodziło, lecz Dave nie potrafił tego wytłumaczyć.

- Długo i mocno zastanawiałem się, co zrobić, rozmawialiśmy o tym z matką bez końca.

Zabrzmiało to złowieszczo. Co ojciec zamierzał?

- Jesteś za duży na klapsy, a poza tym nigdy nie wierzyliśmy zbytnio w skuteczność kar fizycznych.

Była to prawda. Większość dzieci za złe zachowanie była karana klapsami, lecz matka od lat go nie uderzyła; ojciec nigdy tego nie zrobił. Dave usłyszał jednak słowo „kara” i najwyraźniej coś takiego go czekało.

- Przychodzi mi do głowy tylko jeden pomysł na to, by zmusić cię do skupienia się na nauce, a mianowicie odebranie ci kieszonkowego.

Dave nie mógł uwierzyć własnym uszom.

- Odebranie kieszonkowego? Co to znaczy?

- Nie będę dawał ci pieniędzy, dopóki nie zobaczę u ciebie postępów w nauce.

Tego Dave się nie spodziewał.

- To jak mam poruszać się po Londynie? - A także kupować fajki czy wyskoczyć do klubu Jump, myślał z przestrawieniem.

- Do szkoły i tak chodzisz pieszo. Jeśli będziesz chciał gdzieś wyjść, postaraj się o lepsze wyniki w szkole.

- Nie mogę w taki sposób żyć!

- Jedzenie dostajesz za darmo i masz szafę pełną ubrań, więc na niczym ci nie zbywa.

Po prostu pamiętaj, że jeśli nie będziesz się uczył, nie dostaniesz pieniędzy na rozrywki.

Dave był oburzony. Jego plan na wieczór leżał w gruzach. Czuł się bezradny jak małe dziecko.

- I to wszystko?

- Tak.

- A więc marnowałem tu czas.

- Słuchałeś ojca, który stara się pokierować tobą najlepiej, jak umie.

- Różnica jak cholera - odrzekł Dave i wyszedł, tupiąc.

Zdjął z haczyka w holu skórzaną kurtkę i wyszedł z domu. Był łagodny wiosenny ranek. Co robić? Plan Dave'a na dzisiaj polegał na tym, by spotkać się z kolegami na placu Piccadilly, powłóczyć się po Denmark Street, oglądając gitary, wypić pintę piwa w pubie, a

potem wrócić do domu i włożyć koszulę z długimi szpiczastymi końcówkami kołnierzyka.

Miał w kieszeni dość na pół pinty. Jak zdobyć forszę na wejście do klubu Jump? Może mógłby zarobić. Ale kto go przyjmie tak nagle? Niektórzy koledzy zarabiali w soboty i niedziele w sklepach i restauracjach, które potrzebowały dodatkowego personelu w weekendy. Pomyślał, że może wejść do jakiejś kawiarni i zaproponować, że pozmywa w kuchni. Warto było spróbować. Skierował kroki w stronę West Endu.

Nagle przyszedł mu do głowy inny pomysł.

Miał krewnych, którzy mogli go zatrudnić. Siostra ojca Millie zajmowała się modą, miała trzy sklepy w zamożnych przedmieściach północnego Londynu: Harrow, Golders Green i Hampstead. Może przyjąłaby go na sobotę. Jednak Dave nie był pewny, czy dobrze się spisze w sprzedawaniu sukni damom. Mężem Millie był hurtownik skórzany Abie Avery, może jego hurtownia we wschodnim Londynie dawała Dave'owi większe szanse. Jednak ciocia Millie i wujek Abie zapewne skontaktują się z Lloydem, on zaś powie im, że Dave powinien się uczyć, a nie pracować. Millie i Abie mieli dwudziestotrzyletniego syna Lenny'ego, który trudnił się drobnym biznesem i handlem. W soboty prowadził mały stragan w Aldgate w East Endzie. Sprzedawał po śmiesznie niskich cenach Chanel No. 5 oraz inne drogie perfumy. Klientom mówił szeptem, że są kradzione, lecz w rzeczywistości były to po prostu podróbki, tanie zapachy we flakonach wyglądających na drogie.

Tak, Lenny mógł przyjąć Dave'a na jeden dzień.

Dave'owi zostało zaledwie tyle pieniędzy, ile potrzeba było na przejazd metrem. Skręcił do najbliższej stacji i kupił bilet. Jeśli Lenny odmówi, Dave nie będzie miał jak wrócić. Ale w ostateczności mógł przemaszerować tych parę kilometrów.

Podziemny pociąg przeniósł go z dostatniego zachodniego Londynu do siedliska klasy robotniczej we wschodniej części miasta. Rynek był już zapełniony amatorami zakupów po cenach niższych niż w zwykłych sklepach. Dave podejrzewał, że niektóre towary rzeczywiście pochodziły z kradzieży: czajniki elektryczne, golarki, żelazka i radioodbiorniki zostały wyniesione tylnymi drzwiami z fabryk. Były również nadwyżki wyprzedawane taniej przez producentów: niechciane przez nikogo płyty, książki, które nie stały się bestsellerami, brzydkie ramki do zdjęć, popielniczki w kształcie morskich muszli. Jednak większość stanowiły towary wadliwe: pudełka starych czekoladek, szale z nierównym ścięciem, nierównomiernie ufarbowane buty z łysymi placami, porcelanowe talerze z połówkami kwiatów.

Lenny był podobny do ich wspólnego dziadka, nieżyjącego już Berniego Leckwitha: miał gęste ciemne włosy i brązowe oczy. Czupryna Lenny'ego została posmarowana

brylantyną i zaczesana na modłę Elvise Presleya. Ciepło przywitał kuzyna:

- Cześć, młody! Szukasz ładnego zapachu dla dziewczyny? Spróbuj Fleur Sauvage. - Nazwę wymówił po angielsku. - Masz gwarantowane, że opadną jej majtki. Sprzedam ci za dwa szylingi i sześć pensów.

- Potrzebuję pracy. Mógłbym popracować u ciebie?

- Ty potrzebujesz pracy? Przecież twoja matka to milionerka - odrzekł wymijająco Lenny.

- Tata cofnął mi kieszonkowe.

- A to dlaczego?

- Bo marnie się uczę. Jestem spłukany. Chciałbym tylko zarobić trochę forsy na wyjście wieczorem do klubu.

Lenny po raz trzeci odpowiedział pytaniem na pytanie:

- A ja to kto? Biuro pośrednictwa pracy?

- Daj mi szansę. Na pewno potrafię sprzedawać perfumy.

Lenny zwrócił się do klientki.

- Pani ma bardzo dobry gust, droga pani. Perfumy Yardley są najlepsze na rynku. Ta buteleczka, którą pani trzyma, kosztuje tylko trzy szylingi, a ja musiałem odpalić dwa szylingi i sześć pensów gościowi, który je zwędził, chciałem powiedzieć: który mi je dostarczył.

Kobieta zaśmiała się i kupiła perfumy.

- Słuchaj, nie zapłacę ci stawki - rzekł Lenny do Dave'a - ale mogę ci dać dziesięć procent od twojego utargu.

- Zgoda - odparł Dave i stanął obok kuzyna za blatem, na którym leżał towar.

- Trzymaj forsy w kieszeniach, później się rozliczymy. - Lenny dał nowemu wspólnikowi funta w drobnych, żeby mógł wydawać.

Dave wziął butelkę Yardleya i po chwili zawahania uśmiechnął się do przechodzącej kobiety.

- Najlepsze perfumy na rynku.

Uśmiechnęła się i poszła dalej.

Nie ustawał w wysiłkach, naśladowując odzywki Lenny'ego, i po paru minutach sprzedał buteleczkę Patou za dwa szylingi i sześć pensów. Niebawem znał wszystkie teksty kuzyna: Nie każda kobieta ma tyle klasy, by ich używać, ale pani... Proszę je kupić, jeśli naprawdę chce pani sprawić przyjemność mężczyźnie... Zaprzeszono produkcji tych perfum, rząd ich zakazał, ponieważ są zbyt seksowne...

Klienci chętnie się śmiali. Stroili się specjalnie, by przyjść na rynek; to było wydarzenie

towarzyskie. Dave poznał nowe potoczne określenia pieniędzy: sześciopensowa moneta nazywała się Tilbury, pięć szylingów to był dolar, a banknot dziesięcioszylingowy - półmajtek.

Czas płynął szybko. Z pobliskiej kafejki przysła kelnerka, przyniosła dwie grube pajdy białego chleba z pieczonym bekonem i keczupem. Lenny zapłacił jej i dał jedną kanapkę kuzynowi, a ten zdziwił się, że to już pora lunchu. Kieszenie jego wąskich dżinsów zrobiły się ciężkie od monet, z radością przypomniał sobie, że dziesięć procent pieniędzy należy do niego. Po południu zauważył, że z ulic prawie zniknęli mężczyźni i Lenny wytłumaczył mu, że wszyscy poszli na mecz piłkarski.

Pod koniec popołudnia handel prawie całkowicie zamarł. Dave ocenił, że ma w kieszeniach pięć funtów, co oznaczało, że zarobił dziesięć szylingów - tyle, ile zwykle wynosiło jego kieszonkowe. Mógł iść do klubu Jump.

O piątej Lenny jął demontować stragan. Dave pomógł mu zapakować niesprzedane towary do tekturowych pudeł, a później włożyli wszystko do żółtej półciężarówki Lenny'ego marki Bedford.

Dave przeliczył pieniądze i okazało się, że ma nieco ponad dziewięć funtów. Lenny odpalił mu funta, czyli trochę więcej niż uzgodnione dziesięć procent. „Pomogłeś mi się spakować”, wyjaśnił. Dave'a przepelniało szczęście: zarobił dwa razy tyle, ile ojciec powinien był mu dać rano. Mógłby zarabiać w ten sposób w każdą sobotę, zwłaszcza że dzięki temu nie musiałby wysłuchiwać ojcowskich kazań.

Poszli do najbliższego pubu i wzięli po pincie piwa.

- Grasz trochę na gitarze, no nie? - spytał Lenny, kiedy usiedli za upačkanym stolikiem z pełną popielniczką.

- Tak.

- Jaki masz instrument?

- Eko. To jest tania podróbka gibsona.

- Elektryczna?

- Elektryczno-akustyczna.

Lenny spojrzał ze zniecierpliwieniem na kuzyna. Być może nie znał się za bardzo na gitarach.

- Pytam, czy możesz ją podłączyć do prądu.

- Tak, dlaczego?

- Bo potrzebuję gitarzysty rytmicznego do mojej grupy.

Dave się ucieszył. Nie myślał o tym, by wstąpić do zespołu, lecz pomysł od razu



przypadł mu do gustu.

- Nie wiedziałem, że masz grupę.
- Nazywa się Guardsmen<sup>6</sup>. Gram na pianinie i śpiewam większość numerów.
- Jaką muzykę gracie?
- Rock and rolla, jedyną muzykę.
- To znaczy...
- Elvisa, Chucka Berry'ego, Johnny'ego Casha... Wszystkich największych. Dave bez trudu mógł grać utwory bazujące na triadzie harmoniczej.
- A Beatlesów? - Ten zespół stosował trudniejsze akordy.
- Kogo?
- Nowa grupa, są super.
- Nigdy o nich nie słyszałem.
- W każdym razie umiem odwalić na gitarze rytmicznej wszystkie stare piosenki rockowe.

Lenny uśmiechnął się, lekko dotknięty tym wyrażeniem.

- A więc chcesz zagrać na próbę dla członków grupy Guardsmen?
- Z przyjemnością!

Lenny spojrzał na zegarek.

- Ile ci zajmie dojazd do domu i powrót z gitarą?
- Pół godziny w jedną stronę i pół godziny w drugą.
- Bądź o siódmej w Klubie Robotniczym Aldgate. Będziemy rozstawiali sprzęt.

Posłuchamy cię przed występem. Masz wzmacniacz?

- Tak, ale mały.
- Musi wystarczyć.

Dave poszedł na stację metra. Sprawdził się jako handlowiec, a wypite piwo dodało mu energii. W pociągu wypalił papierosa, radując się zwycięstwem odniesionym nad ojcem. Wyobrażał sobie, jak mówi mimochodem do Lindy Robertson: „Gram na gitarze w grupie beatowej”. To musi jej zaimponować.

Dotarł do domu i wszedł tylnymi drzwiami. Zdołał prześlizgnąć się do swojego pokoju, nie natykając się na żadne z rodziców. Umieszczenie gitary w futerale i wzięcie wzmacniacza zajęło mu kilka minut.

Właśnie miał wychodzić, gdy do pokoju weszła Evie ubrana na sobotni wieczór. Miała

---

<sup>6</sup> *Guardsmen* (ang.) - strażnicy.

na sobie krótką spódnicę i botki do kolan, a jej włosy były efektownie zaczesane do tyłu. Była mocno umalowana w stylu panda spopularyzowanym przez Dusty Springfield. Wyglądała na więcej niż siedemnaście lat.

- Dokąd się wybierasz? - zapytał Dave.

- Na prywatkę. Ma być Hank Remington.

Remington, wokalista grupy Kords, popierał te same idee, z którymi sympatyzowała Evie. Mówił o nich w wywiadach.

- Namieszaleś dzisiaj - zauważyła Evie. Nie zarzucała mu tego, w sporach z rodzicami zawsze brała jego stronę, a on odwzajemniał się jej tym samym.

- Dlaczego to mówisz?

- Tata bardzo się przejął.

- Przejął się? - Dave nie wiedział, co o tym myśleć. Ojciec okazywał gniew, rozczarowanie, potrafił być surowy, zachowywać się jak despota bądź tyran, ale przejąć się? - Dlaczego?

- Domyślam się, że się pokłóciliście.

- Nie dał mi mojego kieszonkowego, bo oblałem wszystkie egzaminy.

- I co zrobiłeś?

- Nic, wyszedłem. Pewnie trzasnąłem drzwiami.

- Gdzie byłeś cały dzień?

- Pracowałem na straganie Lenny'ego Avery'ego na rynku i zarobiłem funta.

- Brawo! Gdzie teraz idziesz z gitarą?

- Lenny ma grupę beatową. Chce, żebym grał na gitarze rytmicznej. - Dave trochę przesadził, bo jeszcze nie miał miejsca w zespole.

- Powodzenia!

- Pewnie powiesz mamie i tacie, gdzie poszedłem.

- Tylko jeśli tego chcesz.

- Nieważne. - Dave doszedł do drzwi i zawahał się. - Przejął się?

- Tak.

Dave wzruszył ramionami i wyszedł.

Wymknął się z domu niezauważony.

Cieszył się na myśl o przesłuchaniu. Dużo grał i śpiewał z siostrą, ale nigdy nie miał do czynienia z prawdziwą grupą z perkusistą. Miał nadzieję, że da sobie radę. Gra na gitarze rytmicznej nie była trudna.

Jadąc pociągiem, raz po raz wracał myślą do ojca. Trochę zszokowało go to, że się

martwi. Ojcowie powinni być niewzruszeni. Teraz jednak Dave widział, że takie myślenie jest infantylne. Irytowało go to, ale czuł, że powinien zmienić swoje nastawienie. Nie może poprzestawać na złości i niechęci. Nie on jeden cierpiał. Ojciec go zranił, ale on odplacił mu tym samym i obaj byli odpowiedzialni. Łatwo było się oburzać, ale wziąć na siebie odpowiedzialność - o wiele trudniej.

Znalazł Klub Robotniczy Aldgate i wniósł do środka swój sprzęt grający. Lokal wyglądał ponuro: jasne neonowe lampy w kształcie pasków rzucały ostre światło na laminatowe stoliki i krzeselka w kształcie stożków ustawione w szeregi, które przywodziły na myśl fabryczną stołówkę. Wnętrze ani trochę nie kojarzyło się z rock and rollem.

Grupa była na scenie, stroiła instrumenty. Lenny grał na pianinie, Lew na perkusji, Buzz na basie, a Geoffrey na gitarze prowadzącej. Geoffrey stał przed mikrofonem, więc zapewne także śpiewał. Cała trójka była starsza od Dave'a, mieli po dwadzieścia kilka lat i obawiał się, że są lepszymi muzykami niż on. Nagle gra na gitarze rytmicznej przestała być łatwizną.

Dostroił gitarę do pianina i podłączył ją do wzmacniacza.

- Znasz *Mess of Blues*? - zapytał Lenny.

Dave odparł z ulgą, że zna. Był to rytmiczny numer w tonacji C z wiodącą partią pianina; akompaniament na gitarze nie nastęczał trudności. Dostosował się bez wysiłku i znalazł szczególną przyjemność z gry z innymi, której nie dawało granie solo.

Ocecił, że Lenny dobrze śpiewa. Buzz i Lew stanowili solidną sekcję rytmiczną, bardzo równomiernie grającą. Geoff miał parę fajnych zagrywek na gitarze prowadzącej. Grupa sprawiała przyzwoite wrażenie, aczkolwiek brakowało jej nieco fantazji.

- Akordy dobrze dopełniają brzmienie, ale mógłbyś grać trochę bardziej rytmicznie? - powiedział Lenny, kiedy utwór dobiegł końca.

Dave'a zdziwiła ta krytyka. Zdawało mu się, że było dobrze.

- Okay.

Następnie zegrali przebój Jerry'ego Lee Lewisa, *Shake, Rattle and Roll*, również z pianinem w roli głównej. Geoffrey śpiewał refren unisono z Lennym. Dave synkopowo szarpał struny i Lenny'emu się to spodobało.

Potem zapowiedział *Johnny B. Goode* Chucka Berry'ego i Dave ochoczo zagrał wstęp. Doszedłszy do piątego taktu, spodziewał się, że reszta się przyłączy, gdyż tak brzmiało to na płycie, lecz członkowie grupy czekali. Dave przestał grać.

- Zwykle gram wstęp na pianinie - oznajmił Lenny.

- Przepraszam - rzekł Dave i Lenny uderzył w klawisze.

Dave'owi opadły skrzydła. Nie szło mu najlepiej.

Następnym utworem było *Wake Up*, Little Susie. Dave zdziwił się, słysząc, że Geoffrey nie śpiewa drugim głosem tak jak Everly Brothers. Zbliżył się do mikrofonu Geoffreya i zaczął śpiewać z Lennym. Minutę później dwie młode kelnerki, które rozkładały popielniczki na stolikach, przerwały, by posłuchać. Na koniec klasnęły w dłonie. Dave uśmiechnął się z zadowoleniem. Po raz pierwszy nagroził go aplauzem ktoś spoza rodziny.

- Jak nazywa się wasza grupa? - spytała go jedna z kelnerek.

Dave wskazał Lenny'ego.

- To jego grupa, nazywają się Guardsmen.

- Aha. - Dziewczyna wyglądała na lekko rozczarowaną.

Na zakończenie Lenny wybrał *Take Good Care of My Baby* i Dave znów zaśpiewał drugim głosem. Kelnerki płały w przejściach między rzędami stolików.

- Cóż, żaden z ciebie gitarzysta - zawyrokował Lenny, nie wstając od pianina. - Ale ładnie śpiewasz, dziewczynom się spodobało.

- A więc przyjmujesz mnie czy nie?

- Możesz zagrać dziś wieczorem?

- Dziś wieczorem! - Dave był uradowany, ale nie oczekiwał, że zacznie od razu. Cieszył się na myśl, że spotka się z Lindą Robertson.

- Masz coś lepszego do roboty? - spytał Lenny. Trochę ubodło go to, że Dave nie przyjął propozycji od razu.

- Hm, miałem się spotkać z dziewczyną, ale będzie musiała chwilę poczekać. O której skończymy?

- To klub robotniczy, ludzie nie siedzą tu długo. Schodzimy ze sceny o wpół do jedenastej.

Dave obliczył, że przed jedenastą zdąży dotrzeć do klubu Jump.

- W porządku.

- No dobra, witaj w zespole.

Jaspera Murraya nadal nie było stać na podróż do Ameryki. W londyńskim St. Julian's College istniała organizacja o nazwie Klub Północnoamerykański, która czarterowała loty i sprzedawała tanie bilety. Pewnego dnia późnym popołudniem wybrał się do jej małego biura w siedzibie związku studenckiego i zapytał o ceny biletów. Usłyszał, że może polecieć do Nowego Jorku za dziewięćdziesiąt funtów. To było za dużo, wyszedł niepokieszony.

W kafejce zauważył Sama Cakebreada. Od wielu dni czekał na okazję, by porozmawiać

z nim poza redakcją studenckiej gazetki „St. Julian’s News”. Sam był redaktorem naczelnym, Jasper zaś redaktorem działu informacyjnego.

Sam był w towarzystwie młodszej siostry Valerie, która także studiowała w tym samym college’u. Miała tweedową czapkę na głowie i spódniczkę mini. Pisała w gazecie artykuły o modzie. Była atrakcyjna i w normalnych okolicznościach Jasper zacząłby z nią flirtować, lecz tego dnia zaprzętały go inne sprawy. Wolałby rozmówić się z Samem w cztery oczy, ale stwierdził, że obecność Valerie to niewielki problem.

Podszedł z kawą do stolika Sama.

- Potrzebuję twojej rady - zaczął. Chodziło mu o informację, a nie radę, jednak ludzie często niechętnie się nimi dzielili. Zawsze natomiast pochlebiało im, jeśli mogli komuś udzielić rady.

Sam był ubrany w marynarkę w drobną jodełkę i krawat. Palił fajkę: może chciał wyglądać na starszego.

- Siadaj - odrzekł, składając czytana gazetę.

Jasper skorzystał z zaproszenia. Jego układy z Samem były niezręczne. Rywalizowali o stanowisko redaktora naczelnego i Sam wygrał. Jasper zataił niechęć i Sam mianował go redaktorem działu informacji. Zostali kolegami, lecz nie przyjaciółmi.

- W przyszłym roku chcę zostać naczelnym - oznajmił. Miał nadzieję, że Sam mu pomoże albo dlatego, że Jasper się do tego nadawał, co było prawdą, albo z powodu wyrzutów sumienia.

- To zależy od lorda Jane’a - odparł wymijająco Sam. Jane był rektorem uczelni.

- Lord zasięgnie twojej opinii.

- Decyzję podejmuje cały komitet.

- Ale ty i rektor jesteście jego członkami, wasze głosy się liczą.

Sam nie zaoponował.

- A więc chcesz mojej rady.

- Kto jeszcze będzie kandydował?

- Tobie, oczywiście.

- Naprawdę? - Był to szef działu reportażu, wyrobnik, który zamówił szereg nudnych i słusznych artykułów o pracy urzędników uniwersyteckich takich jak kierownik dziekanatu i skarbnik.

- Zgłosi swoją kandydaturę.

Sam dostał posadę częściowo dzięki temu, że wśród jego krewnych byli uznani dziennikarze. Tego rodzaju koneksje imponowały lordowi Jane’owi. Irytowało to Jaspera,

lecz zmilczał.

- Materiały Toby'ego są nudne.
- Może i brak mu wyobraźni, ale jest dokładny.

Jasper odczytał tę uwagę jako przytyk pod swoim adresem. Stanowił przeciwieństwo Toby'ego, stawiał sensację nad dokładnością. W jego reportażach przepychanka nieodmiennie stawiała się bójką, plan spiskiem, a przejęzyczenie - rażącym łągarstwem. Wiedział, że czytelnicy szukają w gazetach dreszczyku, a nie informacji.

- No i napisał ten kawałek o szczurach w refektarzu - dodał Cakebread.

- Owszem. - Jasper zapomniał o tym. Artykuł wzbudził oburzenie. W gruncie rzeczy to był traf: ojciec Toby'ego pracował w radzie miejskiej i wiedział o tym, że usiłowano wypłenić szkodniki w podziemiach osiemnastowiecznego budynku St. Julian's College. Niemniej jednak materiał ten zapewnił Toby'emu posadę redaktora działu reportażu. Od tej pory nawet nie zbliżył się do tamtego poziomu. - A więc muszę napisać coś mocnego - rzekł z namysłem Jasper.

- Możliwe.

- Na przykład artykuł, w którym ujawniłbym, że rektor defrauduje fundusze uczelni na spłatę swoich długów z hazardu.

- Wątpię, czy lord Jane uprawia hazard. - Sam nie grzeszył poczuciem humoru.

Jasperowi przyszedł na myśl Lloyd Williams. Może on coś podpowie? Niestety, cechowała go zatrwajająca dyskrecja.

Potem pomyślał o Evie. Dziewczyna zgłosiła się do zespołu teatralnego działającego w St. Julian's College, była zatem w kręgu zainteresowań studenckiej gazetki. Niedawno otrzymała rolę w filmie zatytułowanym Wszystko wokół Mirandy, który miał być jej debiutem. Poza tym chodziła z Hankiem Remingtonem z grupy Kords. Może...

Jasper wstał.

- Dzięki za pomoc. Jestem naprawdę wdzięczny.
- Nie ma za co - odparł Sam.

Jasper pojechał do domu metrem. Im więcej myślał o wywiadzie z Evie, tym bardziej był podekscytowany.

Znał prawdę o niej i Hanku. Nie tylko się ze sobą spotykali, lecz także łączył ich namiętny romans. Rodzice wiedzieli, że dwa lub trzy razy w tygodniu Evie wychodzi z nim wieczorem, a w soboty wraca do domu o północy. Jednak Jasper i Dave wiedzieli również, że po szkole przeważnie szła do jego mieszkania w Chelsea i uprawiali seks. Hank napisał o niej piosenkę *Too Young to Smoke*.

Ale czy zgodzi się na wywiad?

Kiedy dotarł do domu przy Great Peter Street, Evie siedziała w wyłożonej czerwoną glazurą kuchni i uczyła się tekstu. Jej włosy były niedbale spięte i miała na sobie starą wyblakłą koszulę, a i tak wyglądała bajecznie. Z Jasperem łączyły ją ciepłe stosunki. Gdy pałała do niego szczenięcym uczuciem, zawsze odnosił się do niej dobrze, choć nigdy jej nie zachęcał. Wykazywał taką ostrożność, ponieważ nie chciał poróżnić się ze szczodrymi i gościnnymi rodzicami dziewczyny. Teraz miał jeszcze większe powody do zadowolenia, że zdołał zachować jej sympatię.

- Jak ci idzie? - spytał, ruchem głowy wskazując tekst.

Wzruszyła ramionami.

- Rola nie jest trudna, ale film to dla mnie nowe wyzwanie.

- Może zrobiłbym z tobą wywiad.

Propozycja ją zaniepokoiła.

- Studio ma wyłączność na wszystkie moje wystąpienia publiczne.

Jasper lekko się przeraził. Ale cóż byłby z niego za dziennikarz, gdyby nie zdołał przeprowadzić wywiadu z Evie, mieszkając w jej domu?

- To tylko dla studenckiej gazetki.

- Faktycznie, coś takiego się nie liczy.

Nadzieje Jaspera wzrosły.

- Jasne, że nie. Poza tym wywiad mógłby ci pomóc dostać się do szkoły dramatycznej.

Odłożyła tekst.

- No dobra. Co chcesz wiedzieć?

Jasper stłumił poczucie triumfu.

- Jak dostałaś rolę w filmie *Wszystko wokół Mirandy*? - spytał beznamiętnie.

- Poszłam na przesłuchanie.

- Opowiedz, jak to było. - Wyjął notes i zaczął zapisywać.

Z premedytacją nie wspominał o jej rozbieranej scenie w Hamlecie. Obawiał się, że Evie zabroni mu o tym pisać. Na szczęście nie musiał wypytywać, bo widział przedstawienie na własne oczy. Zamiast tego pytał o gwiazdy filmu, o sławnych ludzi, których poznała, i w ten okrężny sposób doszedł do Hanka Remingtona.

Kiedy tylko wymienił jego imię, w oczach Evie zapalił się intensywny blask uczucia.

- Hank jest najodważniejszym i najbardziej pełnym poświęcenia człowiekiem, jakiego znam. Ogromnie go podziwiam.

- Ale masz dla niego więcej niż podziw.

- Ubóstwiam go.
- Spotykacie się.
- Tak, ale o tym wolałabym za dużo nie mówić.
- Oczywiście, nie ma sprawy. - Potwierdziła, a to wystarczyło.

Dave wrócił ze szkoły i zaparzył kawy instant z mlekiem.

- Zdawało mi się, że miałaś nie udzielać wywiadów - rzekł do siostry.
- Zamknij dziób, ty rozpieszczony gnojku, skarcił go w duchu Jasper.
- To tylko dla „St. Julian’s News” - odparła.

Wieczorem Jasper napisał na maszynie cały artykuł.

Gdy tylko zobaczył gotowy tekst, uświadomił sobie, że może być czymś więcej niż reportażem dla studenckiej gazetki. Hank był gwiazdorem, Evie początkującą aktorką, a Lloyd parlamentarzystą. To może być bomba, myślał z rosnącym zapałem. Gdyby zdołał opublikować wywiad w ogólnokrajowej gazecie, jego kariera mogłaby nabrać raptownego przyspieszenia.

Ale niewykluczone, że Jasper zepsułby sobie układy z rodziną Williamsów.

Nazajutrz dał materiał Samowi Cakebreadowi.

Potem z drżeniem serca zadzwonił do tabloidu „Daily Echo”.

Poprosił o rozmowę z redaktorem działu informacyjnego. Nie zawołano go, lecz połączono z reporterem o nazwisku Barry Pugh.

- Jestem studentem dziennikarzem, mam dla pana materiał.
- No to dawaj.

Jasper zawahał się przez chwilę. Popęłniał zdradę wobec Evie i całej rodziny Williamsów, wiedział o tym. Mimo to brnął dalej:

- Dotyczy córki parlamentarzysty, która sypia z gwiazdą muzyki pop.
- Świetnie - rzekł Pugh. - Którzy to?
- Możemy się spotkać?
- Pewnie chciałbyś za to forszę?
- Tak, ale nie tylko.
- A co jeszcze?

- Chcę, żeby artykuł został podpisany moim nazwiskiem, jeśli uznacie, że nadaje się do druku.

- Proszę mi najpierw opowiedzieć całą historię, później zobaczymy.

Pugh usiłował mydlić Jasperowi oczy tak samo, jak on zrobił z Evie.

- Nie, dzięki - odparł ten zdecydowanie. - Jeśli ta historia was nie interesuje, to nie



musicie jej drukować, ale jeżeli chce pan wykorzystać mój tekst, to musi go pan podpisać moim nazwiskiem.

- No dobrze, zgoda. Kiedy możemy się spotkać?

Dwa dni później, jedząc śniadanie w domu przy Great Peter Street, Jasper przeczytał w „Guardianie”, że Martin Luther King planuje w Waszyngtonie ogromną manifestację nieposłuszeństwa obywatelskiego, która ma wyrazić poparcie dla ustawy o prawach obywatelskich. Pastor zapowiadał, że weźmie w niej udział sto tysięcy osób.

- Rany, chciałbym to zobaczyć - rzekł i westchnął.

- Ja także - powiedziała Evie.

Demonstracja miała się odbyć w sierpniu, w czasie wakacji uniwersyteckich. Jasper także będzie wtedy wolny, ale nie stać go było na bilet lotniczy do USA kosztujący dziewięćdziesiąt funtów.

Daisy Williams otworzyła kopertę.

- Ojej! Lloyd, tu jest list od twojej niemieckiej kuzynki Rebekki!

Najmłodszy w rodzinie Dave przełknął kęs chrupków miodowych i zapytał:

- A kto to, u licha, jest Rebecca?

Ojciec przerzucał gazety z wprawą zawodowego polityka. Podniósł głowę.

- To niezupełnie kuzynka. Moi dalecy krewni adoptowali ją po tym, jak jej rodzice zginęli podczas wojny.

- Zapomniałem, że mamy niemieckich krewniaków - rzekł Dave. - *Gott in Himmel!*

Jasper uchwycił podejrzaną nutę w głosie pana domu. Zmarły Bernie Leckwith był ojczymem Lloyd, lecz nikt nigdy nie zająknął się na temat jego prawdziwego ojca. Jasper nabrał pewności, że Lloyd był nieślubnym dzieckiem. To nie był temat dla tabloidów, gdyż pochodzenie z nieprawego łoża nie niosło już ze sobą takiej hańby jak dawniej. Mimo to Lloyd nigdy nie podawał szczegółów.

- Ostatni raz widziałem Rebecę w tysiąc dziewięćset czterdziestym ósmym roku - ciągnął Lloyd. - Miała jakieś siedemnaście lat. Była już wtedy adoptowana przez moją krewną Carlę Franck. Mieszkali w Berlinie w dzielnicy Mitte, więc teraz ich dom musi leżeć po niewłaściwej stronie muru. Co się z nią stało?

- Wygląda na to, że jakoś wydostała się z Niemiec Wschodnich i przeprowadziła do Hamburga - odparła Daisy. - Och, jej mąż doznał obrażeń w czasie ucieczki i porusza się na wózku.

- Co ją skłoniło, by do nas napisać?

- Chce poznać miejsce pobytu Hannelore Rothmann. - Daisy spojrzała na Jaspera. - To była twoja babka. Podobno okazała serce Rebecce w czasie wojny, w dniu, w którym zabito jej rodziców.

Jasper nigdy nie poznał rodziny matki.

- Nie wiem dokładnie, co stało się z moimi niemieckimi dziadkami, ale mama jest pewna, że nie żyją.

- Pokażę list twojej mamie - oznajmiła Daisy. - Powinna napisać do Rebekki.

Lloyd otworzył „Daily Echo”.

- Jasna cholera, co to jest?

Jasper czekał na tę chwilę. Splótł dłonie na kolanach, żeby powstrzymać ich drżenie.

Gospodarz domu rozpostarł gazetę na stole. Na trzeciej stronie widniało zdjęcie Evie wychodzącej z nocnego klubu z Hankiem Remingtonem. Tytuł brzmiał:

Gwiazda grupy Kords i lubiąca paradować nago siedemnastoletnia córka laburzystowskiego parlamentarzysty

Nieco niżej znajdowały się nazwiska autorów:

Barry Pugh i Jasper Murray

- To nie ja napisałem! - skłamał Jasper. Oburzenie zabrzmiało fałszywie nawet w jego własnych uszach. Tym, co czuł naprawdę, była euforia na widok swojego nazwiska nad artykułem w ogólnokrajowej gazecie. Inni jakby nie dostrzegli jego mieszanych emocji.

- „Najnowszą miłością gwiazdora muzyki pop Hanka Remingtona jest zaledwie siedemnastoletnia córka Lloyda Williamsa, deputowanego z okręgu Hoxton. Gwiazda filmowa Evie Williams zasłynęła z tego, że wystąpiła nago na scenie w Lambeth, ekskluzywnej szkole dla dzieci z wyższych kręgów”.

- Och, jakie to żenujące - powiedziała Daisy.

Lloyd czytał dalej:

- „»Hank jest najodważniejszym i najbardziej pełnym poświęcenia człowiekiem, jakiego znam«, mówi Evie. Ona i Hank popierają kampanię na rzecz rozbrojenia nuklearnego mimo dezaprobaty jej ojca, który jest rzecznikiem Partii Pracy w kwestiach wojskowości”. - Lloyd spojrział surowo na Evie. - Znasz wielu ludzi wielkiej odwagi i poświęcenia, między innymi mamę, która jeździła karetką w czasie niemieckich bombardowań, oraz brata dziadka Billy’ego Williamsa, który walczył pod Sommą. Hank musi być kimś nadzwyczajnym, skoro ich przyćmiewa.

- Mniejsza z tym - odezwała się Daisy. - Myślałam, że nie wolno ci udzielać wywiadów bez zgody studia.

- O Boże, to moja wina - rzekł Jasper i wszyscy na niego spojrzeli. Spodziewał się takiej sceny i był na nią przygotowany. Tym razem nie musiał silić się na udawanie, bo naprawdę miał okropne poczucie winy. - Zrobiłem wywiad z Evie dla gazetki studenckiej. Ktoś z „Echa” musiał podebrać mój artykuł i przepisać go tak, żeby wzbudzić sensację. - Jasper zawczasu przygotował tę historyjkę.

- Oto pierwsza lekcja życia publicznego - stwierdził Lloyd. - Dziennikarze są zdraclwi.

To o mnie, jestem zdraclwy, pomyślał Jasper. Jednak wydawało się, że rodzina Williamsów przyjęła podaną przez niego wersję, jakoby „Echo” puściło artykuł bez jego udziału.

Evie była bliska płaczu.

- Mogę stracić rolę.

- Nie sądzę, by to zaszkodziło filmowi - pocieszyła ją matka. - Wprost przeciwnie.

- Obyś miała rację - powiedziała Evie.

- Jest mi bardzo przykro - odezwał się Jasper z największą szczerością, na jaką umiał się zdobyć. - Mam poczucie, że cię zawiodłem.

- Ale przecież nie chciałeś.

Jasperowi się upiekło. Nikt z domowników nie patrzył na niego z wyrzutem. Uznali, że winę ponosi dziennikarz „Echa”. Nie miał pewności jedynie co do Daisy, która lekko się skrzywiła i unikała jego wzroku. Jednak lubiła Jaspiera przez wzgląd na jego matkę i nie chciała oskarżać go o dwulicowość.

Ten wstał.

- Idę do redakcji „Daily Echo” - oznajmił. - Muszę się spotkać z tym draniem i usłyszeć, co ma do powiedzenia.

Cieszył się, że wychodzi z domu. Zdołał jakoś wyłgać się z trudnego położenia i czuł olbrzymią ulgę.

Godzinę później znalazł się w newsroomie „Echa” i był bardzo podekscytowany. Tego właśnie łaknął: biurek, maszyn do pisania, dzwonienia telefonów, pneumatycznych rur przenoszących egzemplarze, atmosfery radosnego rozgorączkowania.

Barry Pugh miał około dwudziestu pięciu lat i był drobnym mężczyzną; patrzył spod lekko przymrużonych powiek. Nosił pomięty garnitur i wytarte zamszowe trzewiki.

- Dobra robota - pochwalił.

- Evie nadal nie wie, że dałem ci artykuł.

Pugh nic sobie nie robił ze skrupułów Jaspiera.

- Niewiele byśmy opublikowali, gdybyśmy za każdym razem prosili o pozwolenie.

- Miała odmawiać udzielania wywiadów oprócz tych, które są organizowane przez biuro prasowe studia.

- Rzecznicy prasowi to twoi wrogowie, ciesz się, że jednego przechytryłeś.

- Cieszę się.

Pugh podał mu kopertę. Jasper rozdarł ją. W środku znajdował się czek.

- Twoje wynagrodzenie. Tyle dostaje się za główny artykuł na trzeciej stronie.

Jasper spojrzał na wypisaną kwotę. Było to dziewięćdziesiąt funtów.

Przypomniał sobie o manifestacji w Waszyngtonie. Dziewięćdziesiąt funtów - wystarczy na bilet lotniczy do Stanów Zjednoczonych. Teraz mógł tam polecieć.

Jego serce zadrżało radośnie.

Schowwał czek do kieszeni.

- Bardzo dziękuję.

Barry skinął głową.

- Daj znać, jeśli będziesz miał więcej takich materiałów.

Dave Williams miał tremę na myśl o koncercie w klubie Jump. Był to bardzo modny lokal w centrum Londynu, tuż przy Oxford Street. Słyszał z tego, że debiutowały tam nowe gwiazdy, już kilka zespołów, które tam zaczynały, wdarło się na listy przebojów. Sławni muzycy przychodzili, by posłuchać młodych talentów.

Klub nie wyglądał imponująco. Z jednej strony znajdowała się niewielka scena, a z drugiej bar. Między nimi rozciągał się parkiet, na którym mogło tańczyć kilkaset osób, ocierając się pośladkami. Wykorzystywano go także jako popielnicę. Jediną dekorację stanowiły postrzępione plakaty gwiazd, które kiedyś wystąpiły w klubie. Nie dotyczyło to szatni, których ściany zdobiły najbardziej obsceniczne graffiti, jakie Dave widział.

Dzięki pomocnym uwagom kuzyna spisywał się teraz lepiej w roli muzyka. Lenny miał do niego słałość i przemawiał jak wujek, mimo że był zaledwie o osiem lat starszy.

- Wsłuchuj się w bębniarza - powiedział. - Wtedy zawsze utrzymasz się w rytmie. - I jeszcze: - Naucz się grać, nie patrząc na gitarę, dzięki temu będziesz mógł spoglądać w oczy słuchaczom.

Dave był wdzięczny za wszystkie wskazówki, wiedział jednak, że daleko mu jeszcze do profesjonalizmu. Mimo to na scenie czuł się wspaniale. Nie trzeba było czytać ani pisać, toteż nie uchodził za ciemniaka; radził sobie przyzwyczajenie i stale się doskonalił. Snuł nawet fantazje o tym, że zostanie muzykiem i nigdy więcej nie będzie musiał się uczyć. Miał jednak świadomość, że szanse są skromne.

Grupa także prezentowała się coraz lepiej. Kiedy Dave śpiewał na dwa głosy z Lennym, brzmiali nowocześnie, przypominali Beatlesów. Namówił Lenny'ego, by spróbować czegoś innego: rdzennego chicagowskiego bluesa i soulu rodem z Detroit, nadającego się do tańca. Taką muzykę grały młodsze zespoły. W ten sposób dostawali więcej zaproszeń i zamiast grać raz na dwa tygodnie, występowali w każdy piątek i sobotę wieczór.

Dave miał jednakże inny powód do niepokoju. Zdobył umowę dzięki temu, że poprosił o zarekomendowanie grupy chłopaka Evie, Hanka Remingtona. Jednak Hank skrzywił się, słysząc nazwę zespołu.

- Nazwa Guardsmen brzmi staroświecko, coś jak Four Aces albo Jordanaires.

- Możemy ją zmienić - odparł Dave, gotów zrobić wszystko, by dostać się do klubu Jump.

- Najnowszy trend to nazwy wzięte ze starego bluesa, w rodzaju Rolling Stones.

Dave przypomniał sobie numer grupy Booker T. and the M.G.'s, który usłyszał przed paroma dniami. Uderzył go dziwny tytuł.

- Może Plum Nellie? - rzucił.

Nazwa przypadła Hankowi do gustu i powiedział w klubie, że warto zaprosić nową grupę Plum Nellie. Sugestia od kogoś tak sławnego jak Hank miała moc rozkazu, toteż grupa zdobyła umowę na występ.

Jednak kiedy Dave zaproponował zmianę nazwy, Lenny z miejsca ją odrzucił.

- Jesteśmy Guardsmen i tak zostanie - odrzekł z uporem muła i zmienił temat. Dave nie ośmielił się powiedzieć mu, że w klubie Jump już wiedzą o tym, że zapraszają Plum Nellie.

Krytyczna chwila się zbliżała.

Aby sprawdzić brzmienie, zagrali *Lucille*. Po pierwszym wersie Dave przestał grać i odwrócił się do gitarzysty prowadzącego Geoffreya.

- Co to, kurwa, było?

- Ale co?

- W środku zagrałeś coś dziwnego.

Geoffrey uśmiechnął się znacząco.

- Nic, taki przejściowy akord.

- Nie ma go w nagraniu.

- Co jest, nie umiesz zagrać pomniejszonego wysokiego C?

Dave doskonale wiedział, o co chodzi. Geoffrey usiłował obnażyć go jako nowicjusza. Niestety, Dave nigdy nie słyszał o pomniejszonych akordach.

- Pianiści w pubach nazywają to podwójnym moll - dodał Lenny.

Dave przełknął dumę.

- Pokaż - rzekł do Geoffreya.

Ten przewrócił oczami i westchnął, ale zademonstrował układ akordu.

- Coś takiego, kapujesz? - powiedział z ostentacyjnym znużeniem, jakby miał dość obcowania z amatorszczyzną.

Dave powtórzył akord. Nie był trudny.

- Następnym razem mnie, kurwa, uprzedź, zanim zaczniemy grać.

Później poszło już dobrze. Phil Burleigh, właściciel klubu, wszedł w środku próby i słuchał. Przedwcześnie wyłysiał, więc naturalnie nadano mu przydomek Kędzior. Na koniec z aprobatą skinął głową.

- Dziękuję, Plum Nellie.

Lenny posłał Dave'owi krzywe spojrzenie.

- Grupa nazywa się Guardsmen - oznajmił zdecydowanie.

- Zastanawialiśmy się nad zmianą - odezwał się Dave.

- To ty się zastanawiałeś, ja powiedziałem: nie.

- Guardsmen to koszmar na nazwa, kolego - stwierdził Kędzior.

- Tak się nazywamy.

- Słuchaj, dziś wieczorem będzie tu Byron Chesterfield - mówił tonem desperacji właściciel. - To najważniejszy promotor w Londynie, może nawet w Europie. Możecie się załapać na robotę dla niego, ale nie z tą nazwą.

- Byron Chesterfield? - Lenny zaśmiał się. - Znam go całe życie, naprawdę nazywa się Brian Chesnowitz. Jego brat ma stragan na Aldgate Market.

- Martwi mnie wasza nazwa, a nie jego nazwisko.

- Nasza nazwa jest w porządku.

- Nie mogę wpuścić na scenę grupy o nazwie Guardsmen, muszę dbać o reputację. - Kędzior wstał. - Przykro mi, chłopcy, pakujcie się.

- Daj spokój, Kędzior, nie chcesz wkurzyć Hanka Remingtona - powiedział Dave.

- Hank to mój stary kumpel - odparł właściciel klubu. - Graliśmy razem skiffle w kafejce 21's, to było w latach pięćdziesiątych. Ale on polecił mi grupę o nazwie Plum Nellie, a nie Guardsmen.

Dave był zrozpaczony.

- Wszyscy moi znajomi mają przyjść! - Myślał zwłaszcza o Lindzie Robertson.

- Bardzo mi przykro - rzucił Kędzior.

Dave odwrócił się do Lenny'ego.

- Bądź rozsądny, czy nazwa jest aż tak ważna?

- To moja grupa, nie twoja - upierał się Lenny.

Zatem o to chodziło.

- Pewnie, że to twoja grupa, ale uczyłeś mnie, że klient ma zawsze rację - mówił Dave pod wpływem nagłego natchnienia. - A jutro rano możesz wrócić do starej nazwy, jeśli zechcesz.

- Nieee - odparł Lenny, ale widać było, że mięknie.

- Lepsze to niż utrata koncertu - argumentował Dave, wykorzystując przewagę. - Gdybyśmy mieli teraz wrócić do domu, to byłaby kompletna kłapa.

- No dobra, niech to szlag - zgodził się Lenny.

Kryzys został zażegnany i Dave poczuł olbrzymią ulgę i radość.

Stali przy barze, kiedy do klubu zaczęli wchodzić pierwsi klienci. Dave ograniczył się do jednej pinty: tyle wystarczyło, by się rozluźnić, ale nie mylić akordów. Lenny wypił dwie pinty, a Geoffrey trzy.

Dave z radością zobaczył Lindę Robertson, była ubrana w krótką purpurową sukienkę i białe botki do kolan. Ona i wszyscy koledzy Dave'a byli jeszcze za młodzi, by móc legalnie pić alkohol w lokalach, lecz robili wszystko, żeby wyglądać starzej; poza tym prawo nie było ściśle przestrzegane.

Linda odnosiła się teraz inaczej do Dave'a. Dawniej traktowała go jak inteligentnego młodszego brata, mimo że byli w tym samym wieku. To, że miał zagrać w klubie Jump, sprawiło, że stał się w jej oczach kimś innym. Był teraz wyrobionym dorosłym, a ona z podnieceniem wypytywała go o grupę. Jeśli tyle się zyskuje, grając w marnym zespole Lenny'ego, to jak musi się czuć prawdziwa gwiazda muzyki pop?

Poszli do garderoby, żeby się przebrać. Zawodowe grupy zwykle występowały w identycznych strojach, lecz było to za drogie. Lenny poszedł na kompromis i wszyscy włożyli czerwone koszule. Dave uważał, że jednolite uniformy wychodzą z mody, anarchistycznie nastawieni Rolling Stones ubierali się dowolnie, każdy inaczej.

Plum Nellie zajmowali najniższe miejsce na liście, zagrali więc jako pierwsi. Piosenki zapowiadał Lenny, lider grupy. Siedział z boku sceny, pianino było ustawione pod kątem tak, by mógł spoglądać na widownię. Dave zajął miejsce na środku, grał i śpiewał, toteż wszystkie oczy zwrócone były na niego. Teraz, gdy spadł mu z głowy kłopot z nazwą - przynajmniej na jakiś czas - mógł się rozluźnić. Grając, poruszał się i wywijał gitarą, jakby to była partnerka w tańcu, a kiedy śpiewał, wyobrażał sobie, że przemawia do widowni, podkreślał słowa tekstu mimiką twarzy i ruchami głowy. Dziewczeta jak zawsze na to reagowały, patrzyły na niego i

uśmiechały się, tańcząc w rytm.

Po pierwszej części do garderoby wszedł Byron Chesterfield.

Miał około czterdziestki i nosił piękny jasnoniebieski garnitur z kamizelką. Krawat był we wzór ułożony ze stokrotek. Włosy przeredzały mu się po obu stronach, nosił je uczesane w staroświecki czubek i posmarowane brylantyną. Wchodząc, wniósł ze sobą obłok zapachu wody kolońskiej.

- Niezła ta twoja grupa - rzekł, zwracając się do Dave'a.

Ten wskazał kuzyna.

- Dziękuję, panie Chesterfield, ale to jest grupa Lenny'ego.

- Cześć, Brian, nie pamiętasz mnie? - odezwał się Lenny.

Byron zawahał się przez chwilę.

- A niech mnie! Toż to Lenny Avery. - Jego londyński akcent zrobił się bardziej wyrazisty. - Za cholerę cię nie poznałem. Jak tam twój stragan?

- Świetnie jak nigdy.

- Masz dobrą grupę, Lenny: bas i perkusja solidne, fajne gitary i pianino. Podobają mi się chórki. - Skinął kciukiem na Dave'a. - A dzieciak podoba się dziewczynom. Dużo macie roboty?

Dave był uradowany. Grupa spodobała się Byronowi Chesterfieldowi!

- Jesteśmy zajęci w każdy weekend - odparł zapytany.

- Może załatwię wam latem występy na sześć tygodni, jeśli was to interesuje. Pięć wieczorów tygodniowo, od wtorku do soboty.

- No nie wiem - odrzekł obojętnym tonem Lenny. - Musiałbym namówić siostrę, żeby przez ten czas prowadziła stragan.

- Dziewięćdziesiąt funtów za tydzień. Nie ma się nad czym zastanawiać.

Dave obliczył, że to więcej, niż kiedykolwiek im zapłacono. Przy odrobinie szczęścia koncerty mogłyby wypaść w wakacje.

Z irytacją zauważył, że Lenny wciąż nie wygląda na przekonanego.

- A zakwaterowanie i wyżywienie? - indagował. Dave uświadomił sobie, że kuzyn nie odrzuca propozycji, lecz negocjuje.

- Zakwaterowanie tak, ale bez wyżywienia - odparł Byron.

Dave pomyślał, że może chodzić o jakiś nadmorski kurort, w którym zatrudnia się sezonowo różnych wykonawców.

- Nie mogę zostawić straganu za taką stawkę, Brian - oznajmił Lenny. - Szkoda, że to nie sto dwadzieścia tygodniowo. Wtedy bym się zastanowił.



- Organizator mógłby podnieść do dziewięćdziesięciu pięciu w ramach osobistej przysługi dla mnie.

- Powiedzmy sto dziesięć.

- Jeśli pominę moje honorarium, mogę dać setkę.

Lenny zerknął na kolegów.

- Co wy na to, chłopcy?

Wszyscy byli za przyjęciem propozycji.

- Co to za lokal? - chciał wiedzieć Lenny.

- Klub o nazwie Dive.

Lenny pokręcił głową.

- Nigdy nie słyszałem. Gdzie to jest?

- A nie wspomniałem? - odpowiedział pytaniem Byron Chesterfield. - W Hamburgu.

Dave z trudem panował nad rozpierającą go radością. Sześciotygodniowy ciąg występów, i to w Niemczech! Z punktu widzenia prawa był już w takim wieku, że mógł odejść ze szkoły. Czyżby pojawiła się szansa na to, by zostać zawodowym muzykiem?

Uradowany wziął gitarę i wzmacniacz i razem z Lindą Robertson pojechali na Great Peter Street. Dave zamierzał zostawić tam sprzęt, a później odprowadzić ją pieszo do domu jej rodziców w Chelsea. Niestety, rodzice jeszcze nie położyli się spać i matka zatrzymała go w przedpokoju.

- Jak poszło? - spytała wesoło.

- Świetnie. Rzucę tylko sprzęt, a potem odprowadzę Lindę do domu.

- Witaj, Lindo. Miło cię znowu widzieć.

- Dobry wieczór pani - odparła grzecznie Linda, przeobrażając się w skromną uczennicę, jednak Dave widział, że matka nie omieszkała zauważyć krótkiej sukienki i seksownych botków.

- Czy klub zaprosi was ponownie? - indagowała Daisy.

- Jeden promotor, Byron Chesterfield, zaproponował nam letnie występy w innym klubie. Super, bo to ma być w letnie wakacje.

Z saloniku wyszedł ojciec. Wciąż miał na sobie garnitur, w którym był na jakimś sobotnim zebraniu politycznym.

- Co ma być w letnie wakacje?

- Nasza grupa dostała sześciotygodniowy angaż.

Lloyd zmarszczył czoło.

- W wakacje musisz powtarzać materiał. W przyszłym roku są najważniejsze egzaminy. Na razie twoje stopnie żadną miarą nie pozwalają na to, byś mógł mieć wolne całe wakacje.

- Uczyć mogę się w ciągu dnia. Będziemy grali wieczorami.

- Hm. Najwyraźniej nie obchodzi cię, że opuścisz doroczny wyjazd z rodziną do Tenby.

- Obchodzi, uwielbiam Tenby - skłamał Dave. - Ale to jest wspaniała szansa.

- Nie wiem, jak możemy zostawić cię samego w domu, kiedy będziemy w Walii. Masz dopiero piętnaście lat.

- Mm, ten klub nie jest w Londynie - powiedział Dave.

- A gdzie?

- W Hamburgu.

- Że co? - odezwała się Daisy.

- Nie bądź śmieszny - rzekł Lloyd. - Wyobrażasz sobie, że puścimy cię tam w tym wieku? Poza tym niemieckie prawo pracy na pewno zabrania zatrudniania młodocianych.

- Nie wszystkie przepisy są ściśle przestrzegane - zauważył Dave. - Założę się, że kupowałeś drinki w pubach, zanim skończyłeś osiemnaście lat.

- Pojechałem do Niemiec z matką dopiero jako osiemnastolatek. Z pewnością nie spędziłem sześciu tygodni bez nadzoru w obcym kraju w wieku piętnastu lat.

- Nie będę bez nadzoru. Będzie tam ze mną kuzyn Lenny.

- Jakoś nie widzę w nim godnej zaufania przyzwoitki.

- Przyzwoitki? - oburzył się Dave. - A kim ja jestem, wiktoriańską panną?

- Wedle prawa dzieckiem, w rzeczywistości nastolatkiem. Na pewno nie dorosłym.

- Masz kuzynkę w Hamburgu - przypomniał zdesperowany Dave. - Rebecca, niedawno napisała do mamy. Mógłbyś ją poprosić, żeby się mną zajęła.

- To daleka kuzynka z adopcji, a ja nie widziałem jej od szesnastu lat. To nie jest dość bliski związek, nie pozwala mi zwalić jej na głowę na całe lato niesforne nastolatka. Wahałbym się, nawet gdyby była moją siostrą.

Daisy przemówiła pojednawczym tonem.

- Lloydzie, mój drogi, z listu odniosłam wrażenie, że to zacna osoba. I wydaje mi się, że nie ma własnych dzieci. Być może nie obrazi się, jeśli ją zapytamy.

- Naprawdę chcesz, żeby Dave tam pojechał? - spytał poirytowany mąż.

- Ależ nie, oczywiście, że nie. Gdyby to ode mnie zależało, zabrałabym go z nami do Tenby. Jednak on dorasta, może trzeba mu poluzować cugli. - Spojrzała na syna. - Przekona się, że praca jest cięższa, niż sobie wyobraża, i mniej w niej zabawy. Może wyciągnie z tego jakąś naukę na przyszłość.

- Nie - rzekł Lloyd tonem ostatecznej decyzji. - Gdyby miał osiemnaście lat, może bym się zgodził. Ale jest za młody, o wiele za młody.

Dave miał ochotę krzyknąć z wściekłości, a jednocześnie się rozplakać. Przecież nie odbiorą mu takiej szansy.

- Późno już - powiedziała Daisy. - Porozmawiajmy o tym rano. Dave musi odprowadzić Lindę do domu, zanim jej rodzice zaczną się martwić.

Dave zawahał się, nie chcąc odchodzić, zanim spór nie zostanie rozstrzygnięty.

Lloyd podszedł do schodów.

- Nie rób sobie wielkich nadziei - powiedział do syna. - Nic z tego nie będzie.

Dave otworzył drzwi. Jeśli teraz wyjdzie bez słowa, pozostawi rodziców z mylnym wrażeniem. Musi dać im do zrozumienia, że nie powstrzymają go łatwo przed wyjazdem do Hamburga.

- Posłuchajcie - odezwał się, zaskakując ojca. Podjął decyzję. - Pierwszy raz w życiu odniosłem w czymś sukces, tato. Postaraj się mnie zrozumieć. Jeśli będziesz próbował mi go odebrać, odejdę z domu. I przysięgam, że nigdy przenigdy nie wrócę.

Wyprowadził Lindę i trzasnął za sobą drzwiami.

## ROZDZIAŁ 24

Tania Dworkina była znów w Moskwie, lecz Wasilij Jenkow nie.

Zostali aresztowani na placu Majakowskiego podczas zebrania poetyckiego. Wasilija skazano za działalność antyradziecką i wrogą propagandę i zesłano do obozu na Syberii na dwa lata robót. Tania miała poczucie winy: współdziałała z nim w popełnianiu przestępstwa, jej jednak uszło to na sucho.

Zakładała, że Wasilija przesłuchiowano i bito. Mimo to nadal była wolna i pracowała jako dziennikarka, zatem jej nie wydał. Może nic nie mówił, ale bardziej prawdopodobne było to, że wymienił jakichś zmyślonych współsprawców, w których KGB uwierzyło, a którzy byli trudni do wytropienia.

Do wiosny 1963 roku Wasilij odbył karę. Jeśli żył - jeśli przetrwał mrozy, głód i choroby, które uśmiercały wielu więźniów obozów pracy - powinien być już na wolności. Jednak, co źle wróżyło, nie pokazał się.

Więźniom zwykle pozwalano raz w miesiącu wysyłać i odbierać jeden mocno ocenzurowany list, jednak Wasilij nie mógł pisać do Tani, gdyż w ten sposób wskazałby ją bezpiece. Dlatego nie miała żadnych informacji i to samo dotyczyło większości jego znajomych. Może pisał do matki w Leningradzie. Tania jej nie poznała, ponieważ kontakty z Tanią Wasilij utrzymywał w tajemnicy nawet przed matką.

Był najbliższym przyjacielem Tani. Leżała w łóżku przez całe noce i martwiła się o niego. Czy jest chory, czy żyje? Może udowodniono mu inne przestępstwo i przedłużono wyrok. Niepewność dręczyła ją jak tortura, przyprawiała o ból głowy.

Pewnego popołudnia postanowiła zaryzykować i wspomniała o Wasiliju swojemu szefowi Daniłowi Antonowowi. Dział reportażu agencji TASS mieścił się w dużej hałaśliwej sali; dziennikarze stukali na maszynach, rozmawiali przez telefony, czytali gazety, wchodzili do biblioteki, w której gromadzono informacje, i wychodzili z niej. Jeśli Tania odezwie się cicho, nikt jej nie usłyszy.

- Co w końcu stało się z Ustinem Bodianem? - Złe traktowanie Bodiana, śpiewaka operowego i dysydenta, było tematem numeru „Niezgody”, który rozdawał Wasilij, kiedy go aresztowano. Tekst wyszedł spod ręki Tani.

- Zmarł na zapalenie płuc.

Tania wiedziała o tym. Udawiała niewiedzę, by okrężną drogą dojść do Wasilija.

- Tego dnia aresztowano ze mną pewnego pisarza, Wasilija Jenkova - kontynuowała

melodyjnym tonem. - Wiesz może, co się z nim stało?

- Był redaktorem scenariuszy. Dostał dwa lata.

- Więc musi już być na wolności.

- Może, nie słyszałem o tym. Nie dostanie z powrotem tamtej posady, nie wiem, dokąd się uda.

Wróci do Moskwy, Tania była tego pewna. Wzruszyła ramionami, markując obojętność, i podjęła pisanie artykułu o kobiecie murarzu.

Dyskretnie zagadnęła szereg osób, które mogły wiedzieć, czy Wasilij powrócił. Odpowiedź była zawsze taka sama: nikt nic nie słyszał.

Jednak tego popołudnia czegoś się dowiedziała.

Kiedy wychodziła po pracy z siedziby TASS, zagadnął ją jakiś nieznajomy.

- Tania Dworkina? - zapytał. Odwróciwszy się, ujrzała bladego mężczyznę w brudnym ubraniu.

- Tak? - odrzekła z niepokojem. Nie miała pojęcia, czego taki człowiek może od niej chcieć.

- Wasilij Jenkow uratował mi życie - oznajmił mężczyzna.

To było tak nieoczekiwane, że przez chwilę nie wiedziała, jak zareagować. Zbyt wiele pytań kłębiło się w jej głowie: Skąd znacie Wasilija? Gdzie i w jaki sposób ocalił wam życie? Dlaczego do mnie przyszliście?

Mężczyzna wcisnął jej do ręki brudną kopertę wielkości zwykłej kartki i odwrócił się.

Tania dopiero po chwili zebrała myśli. W końcu uprzytomniła sobie, które pytanie jest najważniejsze.

- Czy Wasilij żyje? - spytała, kiedy mężczyzna był jeszcze w zasięgu głosu.

Nieznajomy odwrócił się i spojrzał na nią. Nie odpowiedział od razu i strach ścisnął jej serce.

- Tak - odrzekł. Przepęłniła ją nagła lekkość, która przyszła wraz z ulgą.

Mężczyzna odwrócił się.

- Zaczekaj! - krzyknęła Tania, lecz on przyspieszył kroku, skręcił za róg i zniknął.

Koperta nie była zaklejona. Tania zajrzała do środka i zobaczyła szereg kartek zapisanych pismem, które rozpoznała. Wyjęła je do połowy. Na pierwszej stronie umieszczono tytuł i nazwisko autora:

*Odmrożenie*

Iwan Kuzniecowa

Wsunęła arkusze z powrotem do koperty i poszła na przystanek. Czuła lęk, a

jednocześnie radosne podniecenie. Nazwisko „Iwan Kuzniecowa”, najpospolitsze, jakie można sobie wyobrazić, było rzecz jasna pseudonimem; w Niemczech byłby to Hans Schmidt, a we Francji Jean Lefevre. Wasilij coś napisał, artykuł albo opowiadanie. Tania nie mogła się doczekać, kiedy przeczyta tekst. Zarazem musiała walczyć z odruchem, który nakazywał jej odrzucić kopertę jak najdalej od siebie, jakby było w niej coś skażonego. Bez wątpienia zawierała treści wywrotowe.

Wsunęła ją do torebki. Nadjechał autobus i był zatłoczony, trwały godziny wieczornego szczytu. Tania wolała nie czytać teraz rękopisu, gdyż ktoś mógłby zajrzeć jej nad ramieniem. Musiała stłumić niecierpliwość.

Wróciła myślą do mężczyzny, który przekazał jej kopertę. Był źle ubrany, wygłodzony i schorowany, jego twarz zdradzała ciągłą obawę. Przypominał człowieka niedawno wypuszczonego z więzienia. Cieszył się, że zdołał się pozbyć koperty, i wolał nie mówić adresatce nic ponad to, co konieczne. Jednak wyjaśnił przynajmniej, dlaczego podjął się tego niebezpiecznego zlecenia. Spłacał dług. „Wasilij Jenkow uratował mi życie”, powiedział. Tania znów zadała sobie pytanie, w jaki sposób to się stało.

Wysiadła z autobusu i doszła do domu rządowego. Po powrocie z Kuby wprowadziła się znów do mieszkania matki. Nie miała powodu, by starać się o własną kwaterę, a gdyby ją zdobyła, byłaby o wiele mniej luksusowa.

Zamieniła kilka zdań z Anią, a potem poszła do swojego pokoju i usiadła na łóżku, by przeczytać tekst Wasilija.

Charakter jego pisma zmienił się. Litery były mniejsze, linie wznoszące krótsze, zaokrąglenia mniej zamaszyste. Czy to z powodu przemiany osobowości, czy braku papieru? - zastanawiała się Tania.

Zaczęła czytać.

*Józef Iwanowicz Masłow, zwany Soso, był uradowany, gdy żywność okazała się zepsuta.*

*Przeważnie strażnicy rozkradali większość dostawy i sprzedawali. Więźniom zostawała poranna kasza na wodzie i zupa z brukwi na wieczór. Żywność rzadko psuła się na Syberii, gdzie temperatura zwykle utrzymuje się poniżej zera, lecz komunizm czyni cuda. Kiedy więc zdarzało się, że mięso roilo się od larw, a smalec zjełczał, kucharz wrzucał wszystko do kotła i więźniowie się cieszyli. Soso pochłaniał kaszę ociekającą cuchnącą słoniną i łaknął więcej.*

Tania poczuła mdłości, lecz nie mogła przestać czytać.

Każda kolejna strona robiła na niej coraz większe wrażenie. Była to historia niezwyklej relacji między dwoma więźniami: jeden był dysydem intelektualistą, a drugi nieuczonym gangsterem. Wasilij posługiwał się prostym obrazowym stylem, który przemawiał do

wyobraźni. Życie w obozie opisane zostało brutalnie żywym językiem. Było tam jednak znacznie więcej, nie tylko opis. Może zaważyło doświadczenie w tworzeniu słuchowisk radiowych. Wasilij wiedział, jak nadać opowieści bieg, Tania czytała ją z niesłabnącym zainteresowaniem.

Fikcyjny obóz ulokowany był w lesie składającym się z syberyjskiego modrzewia, praca polegała na wyrębie drzew. Zasady bezpieczeństwa nie istniały, nie stosowano ubrań ochronnych ani sprzętu, toteż wypadki były na porządku dziennym. Uwagę Tani zwrócił epizod, w którym gangster przecina sobie piłą tętnicę w rękę, a intelektualista ratuje go za pomocą opaski uciskowej. Czy właśnie tak Wasilij ocalił życie posłańcowi, który dostarczył rękopis z Syberii do Moskwy?

Przeczytała opowiadanie dwa razy. Miała wrażenie, jakby rozmawiała z Wasilijem: znała jego frazę z setek dyskusji i sporów, wiedziała, co przyjaciel uważa za zabawne, dramatyczne lub ironiczne. Tęsknota rwała ją za serce.

Wiedziała już, że Wasilij żyje, musiała więc się dowiedzieć, dlaczego nie wrócił do Moskwy. Opowiadanie nie zawierało ani jednej wskazówki. Jednak Tania знаła kogoś, kto mógł się dowiedzieć niemal wszystkiego: swojego brata.

Schowała rękopis do szuflady szafki nocnej i wyszła z pokoju.

- Idę zobaczyć się z Dimką - powiedziała do matki. - To nie potrwa długo. - Zjechała windą na piętro, na którym mieszkał brat.

Drzwi otworzyła jego żona Nina, która była w dziewiątym miesiącu.

- Ładnie wyglądasz! - przywitała ją Tania.

Nie była to prawda. Nina już dawno miała za sobą ten etap, kiedy ludzie mówią o ciężarnej kobiecie, że wygląda kwitnąco. Spotęzniała, jej piersi zwisały ciężko, a brzuch był napięty. Jasna skóra pokryta piegami jeszcze zbladła, a rudobrązowe włosy sprawiały wrażenie dawno niemytych. Wyglądała na więcej niż dwadzieścia dziewięć lat.

- Wejdz - powiedziała zmęczonym głosem.

Dimka oglądał wiadomości. Zgasił telewizor, pocałował Tanię i zaproponował piwo.

Była tam matka Niny Masza, która przyjechała pociągiem z Permu, by pomóc córce przy dziecku. Drobna, przedwcześnie pomarszczona kobiecina ze wsi ubrana na czarno była wyraźnie dumna z tego, że miastowa córka mieszka tak elegancko. Tania zdziwiła się, kiedy pierwszy raz się spotkały. Zdawało jej się, że matka Niny jest nauczycielką, lecz okazało się, że tylko pracuje w wiejskiej szkole jako sprzątaczką. Nina udawała, że jej rodzice zajmują wyższą pozycję społeczną; było to zachowanie tak powszechne, że prawie uniwersalne.

Rozmawiali o ciąży Niny, a Tania głowiła się, jak zostać sam na sam z bratem. Nie

mogła rozmawiać o Wasiliju w obecności Niny i jej matki, to było wykluczone. Instynktownie nie ufała bratowej.

Dlaczego ta nieufność jest tak silna? - zastanawiała się z poczuciem winy. Stwierdziła, że to z powodu ciąży. Nina nie była intelektualistką, ale miała zbyt dużo sprytu, by przypadkowo zejść w ciążę. Tania żywiła podejrzenie - nigdy nieujawnione - że Nina wmanipulowała Dimkę w małżeństwo. Wiedziała, że brat jest mądry i orientuje się niemal we wszystkim - naiwnemu romantyzmowi ulegał jedynie wobec kobiet. Czemu go usidliła? Czy tylko dlatego, że Dworkinowie należeli do elity, a ona była ambitna?

Nie bądź wredna, zganiała samą siebie.

Rozmawiała niezobowiązująco przez pół godziny, a potem wstała, szykując się do wyjścia.

Jej i brata nie łączyła żadna nadprzyrodzona więź, lecz znali się na wylot i zwykle odgadywali nawzajem swoje myśli. Dimka wyczuł, że Tania nie przyszła po to, by gawędzić o ciąży jego żony. On także wstał.

- Muszę wynieść śmieci. Pomożesz mi, Taniu?

Zjechali windą na dół z kubłami w dłoniach. Kiedy znaleźli się na tyłach budynku, sami, Dimka zwrócił się do siostry:

- Co się stało?

- Wyrok Wasilija Jenkowa dobiegł końca, a on nie wrócił do Moskwy.

Twarz Dimki przybrała twardy wyraz. Kochał Tanię i ona o tym wiedziała, ale nie zgadzał się z nią w kwestiach politycznych.

- Jenkow robił, co w jego mocy, by doprowadzić do upadku władze, dla których pracuję. Dlaczego miałbym się nim przejmować?

- Wierzy w wolność i sprawiedliwość tak samo jak ja.

- Taka wywrotowa działalność dostarcza twardogłowym argumentów, by przeciwdziałać reformom.

Tania miała świadomość, że broni nie tylko Wasilija, ale i siebie.

- Gdyby nie ludzie tacy jak Wasilij, twardogłowi mogliby mówić, że wszystko idzie dobrze, i nie byłoby nacisku, żeby coś zmieniać. Czy ktokolwiek wiedziałby na przykład, że zamordowali Ustina Bodiana?

- Bodian zmarł na zapalenie płuc.

- Dimka, nie zniżaj się do ich poziomu. Zmarł z powodu zaniedbania i dobrze o tym wiesz.

- Owszem. - To go nieco otrzeźwiło i odezwał się łagodniejszym tonem: - Kochasz



Wasilija Jenkowa?

- Nie, lubię go. Jest zabawny, inteligentny i odważny. Ale należy do tych mężczyzn, którzy potrzebują korowodu młodych dziewcząt.

- Raczej należał. W obozie pracy nimfetek nie uświadczysz.

- Tak czy owak, to mój przyjaciel i odsiedział wyrok.

- Świat pełen jest niesprawiedliwości.

- Chcę wiedzieć, co się z nim stało, a ty możesz to dla mnie zrobić. Jeśli zechcesz.

- A moja kariera? - Dimka westchnął. - Na Kremlu nie podziwia się tych, którzy okazują współczucie niesprawiedliwie potraktowanym dysydemtom.

Nadzieje Tani wzrosły. Opór brata słabł.

- Proszę cię, to dla mnie bardzo ważne.

- Nie mogę niczego obiecać.

- Postaraj się.

- No dobrze.

Tania poczuła ogromny przypływ wdzięczności i pocałowała bliźniaka w policzek.

- Dobry z ciebie brat. Dziękuję.

Tak jak Eskimosi mają ponoć mnogość słów na określenie śniegu, tak moskwianie mieli wiele określeń czarnego rynku. Wszystkie artykuły poza najbardziej podstawowymi trzeba było kupować „na lewo”. Wiele tego rodzaju transakcji miało wszelkie cechy działalności przestępczej: nawiązywałeś kontakt z człowiekiem, który przemycił dzinsy z Zachodu, i płaciłeś mu ogromną sumę. Inne z kolei nie były ani legalne, ani nielegalne. Żeby kupić radio albo dywan, zapisywałeś się na listę, ale można było „przeskoczyć” na początek, jeśli byłeś osobą wpływową i mogłeś się odpłacić za przysługę, albo miałeś krewnego lub kolegę, który opiekował się listą i mógł przy niej manipulować. Przeskakiwanie było tak powszechne, że żaden mieszkaniec Moskwy nie wierzył, że w ogóle można znaleźć się na początku listy, biernie czekając na swoją kolej.

Pewnego dnia Natalia Smotrowa poprosiła Dimkę, by poszedł z nią kupić coś na czarnym rynku.

- W normalnych warunkach zwróciłabym się do Nika - powiedziała. Jej mąż miał na imię Nikołaj. - Ale chodzi o prezent na jego urodziny i chcę mu zrobić niespodziankę.

Dimka mało wiedział o życiu Natalii poza Kremlen. Była mężatką i nie miała dzieci, ale dalej jego wiedza nie sięgała. Kremlowscy aparatczycy należeli do radzieckiej elity, lecz jej mercedes oraz perfumy z importu wskazywały na jeszcze inne źródło pieniędzy. Jeśli

jednak w wysokich kręgach komunistycznej hierarchii był jakiś Nikołaj Smotrow, Dimka nigdy o nim nie słyszał.

- Co zamierzasz mu dać? - zapytał.

- Magnetofon. Chce grundiga, to niemiecka marka.

Radziecki obywatel mógł kupić niemiecki magnetofon wyłącznie na czarnym rynku. Dimka zastanawiał się, jak Natalia mogła sobie pozwolić na taki drogi podarunek.

- Gdzie chcesz go kupić? - spytał.

- Na rynku centralnym jest taki facet, ma na imię Maks.

Bazar przy ulicy Sadowaja Samotiocznaja był dozwoloną przez prawo alternatywą wobec państwowych sklepów. Produkty z prywatnych ogrodów sprzedawano po wyższej cenie. Zamiast długich kolejek i byle jakich wystaw można tam było zobaczyć góry barwnych warzyw - przeznaczonych dla tych, których było stać. Za obrotem legalnymi produktami krył się jeszcze bardziej zyskowny handel pokątny, który prowadzono na wielu stoiskach.

Dimka domyślił się, dlaczego Natalia potrzebuje eskorty. Niektórzy spośród handlarzy byli zbirami i kobieta miała powody do ostrożności.

On zaś żywił nadzieję, że jest to jej jedyny motyw. Nie chciał pokus. Teraz, gdy zbliżał się dla Niny czas rozwiązania, czuł się z nią jeszcze mocniej związany. Od paru miesięcy nie współżyli ze sobą, co czyniło go bardziej podatnym na wdzięki Natalii. One jednak bładły wobec czegoś tak dramatycznego jak ciąża. Flirtowanie z Natalią było ostatnią rzeczą, jakiej obecnie pragnął, ale nie mógł jej odmówić takiej prostej przysługi.

Wybrali się w czasie przerwy przeznaczonej na posiłek. Natalia zawiozła Dimkę na rynek swoim wiekowym mercedesem. Choć stary, samochód był szybki i wygodny. Jak ona zdobywa do niego części? - zastanawiał się.

Po drodze zapytała go o Ninę.

- Dziecko ma się urodzić lada dzień.

- Daj mi znać, jeśli będzie mu czegoś trzeba - powiedziała. - Siostra Nika ma trzyletnie dziecko, które nie potrzebuje już butelek i tym podobnych rzeczy.

Zdziwił się. Butelki do karmienia dzieci stanowiły luksus rzadszy niż magnetofony.

- Dziękuję, zapytam.

Natalia zaparkowała auto i poszli przez rynek do sklepu, w którym sprzedawano używane meble. Było to półlegalne. Wolno było sprzedawać posiadane rzeczy, lecz prawo zakazywało pośrednictwa, czyniąc handel kłopotliwym i mało opłacalnym. Zdaniem Dimki trudności związane z egzekwowaniem takich komunistycznych przepisów przemawiały za praktyczną koniecznością wprowadzenia wielu uregulowań rodem z kapitalizmem, czyli za

liberalizacją prawa.

Maks okazał się przysadzistym trzydziestokilkulatkiem ubranym po amerykańsku w dżinsy i białą koszulkę. Siedział przy sosnowym stole kuchennym, pił herbatę i palił papierosa. Otaczały go używane tapczany, szafki i łóżka, w większości stare i uszkodzone.

- Czego potrzeba? - spytał szorstko.

- W środę w zeszłym tygodniu rozmawialiśmy o magnetofonie Grundig - odparła Natalia. - Powiedziałeś, żebyś przyszła za tydzień.

- Magnetofon trudno zdobyć.

- Nie chrzań, Maks - odezwał się Dimka tonem równie chropawym i pogardliwym. - Masz towar czy nie?

Mężczyźni pokroju Maksu uważali jednoznaczną odpowiedź na proste pytanie za oznakę słabości.

- Będziecie musieli zapłacić amerykańskimi dolarami.

- Zgodziłam się na twoją cenę - odrzekła Natalia. - Przyniosłam dokładnie tyle, nie więcej.

- Pokaż forszę.

Natalia wyjęła z kieszeni sukienki zwitek amerykańskich banknotów.

Maks wyciągnął rękę.

Dimka położył rękę na jej dłoni, by nie dała pieniędzy za wcześnie.

- Gdzie magnetofon?

- Josif! - zawołał Maks przez ramię.

Na tyłach sklepu ktoś się poruszył.

- Tak?

- Magnetofon.

- Już.

Z zaplecza wynurzył się młody, mniej więcej dziewiętnastoletni mężczyzna z dyndającym w ustach papierosem. Był drobny, ale mocno umięśniony. Postawił na stole proste tekturowe pudło.

- Ciężkie - mruknął. - Macie auto?

- Stoi za rogiem,

Natalia przeliczyła gotówkę.

- Kosztował więcej, niż myślałem - oznajmił Maks.

- Nie mam więcej - odparła Natalia.

Maks wziął pieniądze i je policzył.

- No dobra, jest twój - powiedział niechętnie. Potem wstał i wepchnął zwitek do kieszeni dzinsów. - Josif zanieś wam towar do samochodu. - Zniknął na zapleczu.

Josif chwycił pudło, by je podnieść.

- Chwileczkę - odezwał się Dimka.

- Co jest? Nie będę tracił czasu - rzekł Josif.

- Otwórz pudło.

Josif dźwignął ciężkie pudło, nie zwracając uwagi na Dimkę, lecz ten położył na nim dłoń, udaremniając zamiar Josifa. Mężczyzna zmierzył go wściekłym spojrzeniem i przez chwilę Dimka myślał, że nie obejdzie się bez starcia. Josif cofnął się.

- Sam otwórz cholerstwo.

Pudło było oklejone od góry taśmą i spięte zszywkami. Dimka i Natalia otworzyli je nie bez wysiłku. W środku znajdował się magnetofon szpulowy marki Magic Tone.

- To nie jest Grundig - stwierdziła Natalia.

- Lepszy od Grundiga - oznajmił Josif. - Ładniejszy dźwięk.

- Zapłaciłam za Grundiga. To tania japońska podróbka.

- Ostatnio nie można dostać Grundiga.

- W takim razie odbieram pieniądze.

- Nie możesz, otworzyliście pudło.

- Dopóki go nie otworzyliśmy, nie wiedzieliśmy, że chcecie nas wykiwać.

- Nikt was nie wykiwał. Chciałaś magnetofon.

- Pieprzyć to - odezwał się Dimka i ruszył do drzwi zaplecza.

- Tam nie wolno! - powiedział Josif.

Dimka go zignorował i wszedł do pomieszczenia pełnego tekturowych pudeł. Część była otwarta, znajdowały się w nich telewizory, gramofony i radia wszelkich marek. Jednak nie było tam Maksa. Dimka zobaczył tylne wyjście.

Wrócił do przedniej części sklepu.

- Maks zwiózł z twoją forszą - poinformował Natalię.

- Zapracowany facet - powiedział Josif. - Ma wielu klientów.

- Pieprzysz jak głupek - rzekł do niego Dimka. - Maks to złodziej, tak samo jak ty.

Josif podsunął mu palec pod nos.

- Tylko nie głupek - warknął groźnie.

- Oddawaj forszę, bo przekonasz się, co to są kłopoty.

Josif się uśmiechnął.

- I co zrobisz, wezwiesz milicję?

Tego Dimka nie mógł zrobić. Brali udział w nielegalnej transakcji. Milicjanci aresztowaliby prawdopodobnie jego i Natalię, a nie Josifa i Maksa, którzy z pewnością dawali im łapówki za ochronę interesu.

- Nic się nie da zrobić - stwierdziła Natalia. - Chodźmy.

- Bierzcie swój magnetofon - powiedział Josif.

- Nie, dziękuję - odparła, kierując się do drzwi. - To nie jest to, czego chciałam.

- Wrócimy tu po pieniądze - zapowiedział Dimka.

- I co zrobicie? - Josif zaśmiał się.

- Zobaczysz - odparł bez przekonania Dimka i poszedł za Natalią.

Gotowało się w nim, kiedy Natalia jechała w kierunku Kremļa.

- Odbiorę twoje pieniądze.

- Nie rób tego, proszę. To niebezpieczni ludzie. Nie chcę, żeby ci się coś stało. Po prostu daj temu spokój.

Dimka nie zamierzał tak zostawiać sprawy, ale nie powiedział nic więcej.

Kiedy wrócił do siebie, na jego biurku leżałateczka KGB dotycząca Wasilija Jenkowa.

Nie była gruba. Jenkow, redaktor scenariuszy, nigdy nie naraził się władzy ani nawet go nie podejrzewano aż do tego dnia w maju 1961 roku, kiedy został aresztowany za posiadanie pięciu egzemplarzy wywrotowego biuletynu zatytułowanego „Niezgoda”. Podczas przesłuchania zeznał, że kilka minut przedtem ktoś podał mu ich kilkanaście, a on zaczął je rozdawać z nagłej litości dla śpiewaka operowego, który cierpiał na zapalenia płuc. Pieczołowita rewizja w jego mieszkaniu nie pozwoliła znaleźć nic, co stałoby w sprzeczności z zeznaniem. Maszyna nie pasowała do tej, którą wykorzystano do napisania biuletynu. Kiedy podłączono prąd do jego ust i palców, podał nazwiska innych wywrotowców, ale w czasie tortur robili to zarówno winni, jak i niewinni. I jak zwykle okazało się, że niektórzy są członkami partii o nieposzlakowanej opinii, innych zaś KGB nie zdołało namierzyć. Ostatecznie bezpieka była skłonna uwierzyć, że to nie Jenkow jest nielegalnym wydawcą biuletynu.

Dimka musiał podziwiać twardość charakteru mężczyzny, który zdołał kłamać podczas przesłuchania w KGB. Ochronił Tanię, mimo że potwornie cierpiał. Może istotnie zasługiwał na wolność.

Dimka znał prawdę, którą zataił Jenkow. Wieczorem w dniu jego aresztowania zawiózł siostrę na motocyklu do mieszkania Jenkowa i zabrali stamtąd maszynę, która bez wątplenia służyła do wydawania „Niezgody”. Pół godziny później Dimka wrzucił ją do rzeki. Maszyny do pisania nie unoszą się na wodzie. On i Tania uchronili Jenkowa przed dłuższym wyrokiem.

Z informacji zawartych w teczce wynikało, że Jenkow nie przebywa już w modrzewiowym lesie. Ktoś odkrył, że ma pewne umiejętności techniczne. Pracę w Radiu Moskwa rozpoczynał jako asystent producenta, znał się więc na mikrofonach i łączach elektrycznych. Na Syberii notorycznie brakowało techników, toteż zatrudniono go w elektrowni na stanowisku elektryka.

Pewnie z początku cieszył się, że przechodzi do pracy pod dachem, w której nie będzie mu groziła utrata kończyny od nieostrożnego uderzenia siekiery. Ale była także gorsza strona tej zmiany. Władze nie miały ochoty pozbywać się wykwalifikowanego pracownika technicznego i puszczać go z Syberii. Kiedy wyrok dobiegł końca, Jenkow zwyczajnym trybem złożył wniosek o wizę podróżną, by móc wrócić do Moskwy. Wniosek odrzucono. Nie pozostało mu nic innego, jak dalej pracować. Utknął i nie mógł się ruszyć.

To było niesprawiedliwe, lecz - jak zauważył Dimka w rozmowie z siostrą - niesprawiedliwość jest wszędzie.

Przyjrzał się zdjęciu umieszczonemu w teczce. Jenkow miał urodę gwiazdora filmowego: zmysłowa twarz, mięsiste usta, czarne brwi i gęste ciemne włosy. Ale było w nim coś jeszcze. Nikły wyraz rozbawienia wokół kącików oczu świadczył o tym, że nie traktuje siebie całkowicie poważnie. Nie byłoby w tym nic dziwnego, gdyby Tania mimo swoich zapewnień darzyła tego człowieka uczuciem.

Dimka zamierzał porozmawiać o jego przypadku z Chruszczowem. Musiał jednak poczekać, aż pryncypał będzie w dobrym humorze. Odłożył teczkę do szuflady biurka.

Tego popołudnia okazja się nie nadarzyła. Chruszczow wyszedł wcześniej i Dimka także szykował się do wyjścia, gdy do gabinetu wsunęła głowę Natalia.

- Chodź, napijemy się. Potrzeba nam tego po tym, co stało się na rynku.

Dimka zawahał się.

- Muszę iść do domu, do Niny. Jej czas się zbliża.

- Uwiniemy się szybko.

- No dobra. - Zakręcił skuwką wieczne pióro i zwrócił się do swojej sprawnej sekretarki. - Możemy iść, Wiera.

- Mam jeszcze parę rzeczy do zrobienia - odparła sumienna pani w średnim wieku.

Klientelę nadrzecznego baru stanowili młodzi członkowie kremlowskiej elity, nie straszyl więc tak jak przeciętna knajpa w Moskwie. Krzeselka były wygodne, a przekąski nadawały się do zjedzenia; na dobrze opłacanych aparaczyków o bardziej egzotycznym guście za barem czekały butelki szkockiej whisky i bourbona. W lokalu było wiele osób, które Dimka i Natalia znali, przeważnie asystentów takich jak oni. Ktoś wsunął Dimce w dłoń

szklanke piwa, a ten wypil z wdziecznošcia. Panował rozbuchany nastrój. Boris Kozłow, jeden z asystentów Chruszczowa, odważył się powiedzieć niebezpieczny żart.

- Hej, słuchajcie! Co się stanie, kiedy komunizm zawita do Arabii Saudyjskiej?

Zebrani zaczęli klaskać i prosić, by zdradził odpowiedź.

- Po pewnym czasie pojawiają się niedobory piasku.

Wszyscy parsknęli śmiechem. Byli to ludzie pracujący z poświęceniem dla radzieckiego komunizmu, tak jak Dimka, lecz nie byli ślepi na wady ustroju. Rozziew między ambicjami partii a radziecką rzeczywistością niepokoił wszystkich, żarty zaś pozwalały rozładować napięcie.

Dimka dopił piwo i zamówił drugie.

Natalia wzniosła szklanke, jakby chciała wygłosić toast.

- Największą nadzieję światowej rewolucji daje amerykański koncern United Fruit. - Wokół rozległy się śmiechy. - Mówię poważnie - ciągnęła z uśmiechem. - Jego szefowie nakłaniają amerykańskie władze do popierania brutalnych prawicowych dyktatur wszędzie w Ameryce Centralnej i Południowej. Gdyby ci z United Fruit mieli trochę oleju w głowach, wspieraliby powolny postęp w kierunku burżuazyjnych swobód, takich jak rządy prawa, wolność słowa i związki zawodowe. Ale oni na szczęście dla światowego komunizmu są na to zbyt głupi. Bezwzględnie dławią ruchy reformatorskie, więc ludziom nie pozostaje nic innego, jak zwrócić się ku komunizmowi, zgodnie z tym, co przepowiedział Karol Marks. - Stuknęła się szklanką z najbliższym sąsiadem. - Niech żyje United Fruit!

Dimka się roześmiał. Natalia była jedną z najmądrzejszych osób na Kremlu, a przy tym najurodziwszą. Zarumieniona od wesołości, śmiała się szeroko i wyglądała czarująco. Dimka porównywał ją z wycieńczoną, otyłą, pałającą awersją do seksu kobietą w domu. Nie mógł się od tego powstrzymać mimo świadomości, że to okrutne i niesprawiedliwe.

Natalia poszła do baru zamówić przekąski. Dimka zdał sobie sprawę, że spędził tam już godzinę; musiał się zbierać. Podszedł do Natalii, żeby się pożegnać. Jednak wypite piwo pozbawiło go ostrożności i kiedy uśmiechnęła się do niego ciepło, pocałował ją.

Z zapałem odwzajemniła pocałunek.

Dimka nie potrafił jej zrozumieć. Spędziła z nim noc, a potem wykrzyczała, że jest mężatką. Teraz zaprosiła go na piwo i pocałowała. Co będzie dalej? Kiedy jednak czuł ciepło warg Natalii i koniuszek języka drażniący jego usta, nie dbał o niezbornosć jej zachowań.

Wysunęła się z jego objęć i Dimka zobaczył obok swoją sekretarkę.

Twarz Wiery wyrażała głęboką dezaprobatę.

- Szukałam cię - rzekła z nutą oskarżenia w głosie. - Tuż po twoim wyjściu zadzwonił

telefon.

- Przepraszam - odparł Dimka, nie wiedząc, czy prosi o wybaczenie za nieobecność, czy za to, że całuje Natalię.

Ona zaś wzięła od barmana talerz z korniszonami i wróciła do reszty towarzystwa.

- Dzwoniła twoja teściowa - oznajmiła Wiera.

Uniesienie Dimki rozwiało się jak mgła.

- Żona zaczęła rodzić. Wszystko jest dobrze, ale powinieneś być w szpitalu.

- Dziękuję - odparł, czując się jak najgorszy z niewiernych mężów.

- Dobranoc - powiedziała Wiera i wyszła.

Dimka podążył za nią. Stał przez chwilę w chłodnym wieczornym powietrzu, a potem wsiadł na motor i skierował się do szpitala. W takim momencie dać się przyłapać na pocałunkach z koleżanką z pracy. Zasłużył na upokorzenie, ponieważ zrobił coś głupiego.

Postawił motor na szpitalnym parkingu i wszedł do budynku. Znalazł Ninę siedzącą na łóżku na oddziale porodowym. Masza przycupnęła na krześle obok i trzymała noworodka owiniętego w białą chustę.

- Gratuluję ci - rzekła do zięcia. - To chłopczyk.

- Chłopczyk - powtórzył Dimka i spojrzał na żonę. Uśmiechnęła się słabo, lecz z wyrazem triumfu.

Popatrzył na dziecko. Miało na główce obfity zlepek wilgotnych włosków i oczy w takim odcieniu niebieskiego, który przywiódł Dimce na myśl dziadka Grigorija. Przypomniał sobie jednak, że wszystkie dzieci mają niebieskie oczy. Nie był pewien, czy to nie złudzenie, lecz zdawało mu się, że noworodek spogląda na świat z taką samą intensywnością, jaka cechowała wzrok Grigorija.

Masza podała mu dziecko. Wziął zawiniątko w ręce tak, jakby miał do czynienia z dużą wydmuszką. W obliczu tego cudu dramaty codzienności bladły i znikały.

Mam syna, pomyślał i oczy zaszczyły mu łzami.

- Piękny - powiedział. - Dajmy mu na imię Grigor.

Tej nocy dwie rzeczy nie pozwoliły Dimce zasnąć. Pierwszą było poczucie winy: kiedy jego żona rodziła w bólu i krwi, on całował się z Natalią. Drugą była złość na Maksa i Josifa, którzy w upokarzający sposób wystrychnęli go na dudka. Ofiarą kradzieży padła Natalia, a nie on, lecz nie umniejszało to jego gniewu i oburzenia.

Nazajutrz rano w drodze do pracy podjechał motocyklem na centralny rynek. Pół nocy powtarzał kwestię, którą wygłosi do Maksa: „Nazywam się Dmitrij Iljicz Dworkin. Dowiedz



się, kim jestem. Dowiedz się, u kogo pracuję. Dowiedz się, kim jest mój wuj i kim był ojciec. Spotkaj się tu ze mną jutro i miej ze sobą pieniądze Natalii. I proś mnie, żebym oszczędził ci zemsty, na którą zasługujesz”. Nie miał pewności, czy znajdzie w sobie dość odwagi, by wypowiedzieć te wszystkie słowa. Nie wiedział też, czy zrobią na Maksie wrażenie i czy ta przemowa wystarczy, by odzyskać gotówkę Natalii i jego własne poczucie dumy.

Maks nie siedział przy sosnowym stole i nie było go w pomieszczeniu frontowym. Dimka wahał się między rozczarowaniem a ulgą.

Obok drzwi zaplecza stał Josif. Dimka nie był pewien, czy warto raczyć młodzika tekstem, który przeciwczył, gdyż ten prawdopodobnie nie miał możliwości odzyskania pieniędzy. Mogłoby to jednak przynieść Dimce ulgę. Kiedy tak się zastanawiał i wahał, zauważył, że chłopak nie tryska już arogancją tak jak wczoraj. Ku jego zdumieniu, zanim otworzył usta, Josif cofnął się z wyrazem przestrachu na twarzy.

- Przepraszam, przepraszam!

Dimka nie umiał wytłumaczyć sobie tej przemiany. Jeśli Josif z dnia na dzień dowiedział się, że oszukany klient pracuje na Kremlu i pochodzi z politycznie ustosunkowanej rodziny, należałoby się po nim spodziewać skruchy i ugodowości, zapewne gotów byłby nawet zwrócić gotówkę, ale nie wzywałby z jego oczu śmiertelny strach.

- Chcę tylko pieniądze Natalii - oznajmił Dimka.

- Oddaliśmy je! Już oddaliśmy!

To było zagadkowe. Czyżby Natalia zdążyła wcześniej odwiedzić handlarzy?

- Komu je oddaliście?

- Tym dwóm, którzy tu przyszli.

Dimka nic nie rozumiał.

- Gdzie Maks?

- W szpitalu - odparł Josif. - Połamali mu obie ręce, to ci nie wystarczy?

Dimka się zastanowił. Jeśli handlarz nie kłamał, oznaczało to, że dwóch nieznanymi mężczyznami dotkliwie pobiło Maksa i zmusiło go do zwrócenia pieniędzy, które wzięł od Natalii. Kim byli? I czym się kierowali?

Najwyraźniej Josif nic więcej nie wiedział. Rozbawiony Dimka odwrócił się i wyszedł.

To nie była akcja policji, myślał, zmierzając do motocykla. Ani wojska, ani KGB. Gdyby ktoś występował oficjalnie, aresztowałby Maksa, zawiózł do więzienia i połamał mu ręce w miejscu niedostępnym dla świadków. A zatem ktoś uczynił to nieurzędowo.

Nieurzędowo, czyli po gangstersku. Znaczyło to, że Natalia ma w rodzinie bądź wśród znajomych bardzo nieprzyjemnych kryminalistów.

Nic dziwnego, że tak skąpo wypowiadała się o swoim życiu prywatnym. Dimka dodał gazu, lecz po dotarciu na Kreml trochę się przestraszył, bo Chruszczow dotarł tam wcześniej. Szef był jednak w dobrym humorze, Dimka słyszał jego śmiech. Może to była odpowiednia chwila, by zapytać o Wasilija Jenkowa. Wysunął szufladę i wyjął kagiebowską teczkę dysydenta. Potem, ująwszy w dłoń plik dokumentów, na których Chruszczow miał złożyć podpis, zawahał się. Nie powinien popełniać takiego głupstwa, nawet dla ukochanej siostry. Stłumił jednak lęk i wszedł do głównego biura.

Pierwszy sekretarz siedział za wielkim biurkiem i rozmawiał przez telefon. Nie przepadał za rozmowami telefonicznymi, wolał kontakt twarzą w twarz. Powiadał, że dzięki temu wie, czy druga strona kłamie. Jednakże ta rozmowa toczyła się w serdecznej atmosferze. Dimka położył przed szefem listy, on zaś zaczął je podpisywać, nie przestając mówić do słuchawki i śmiać się.

Odłożywszy ją, zwrócił się do asystenta:

- Co tam macie w ręce? Wygląda jak teczka z KGB.

- Wasilij Jenkow. Skazany na dwa lata robót w obozie za posiadanie nielegalnej broszury o Ustynie Bodianie, śpiewaku dysydencie. Odsiedział wyrok, ale nadal go tam trzymają.

Chruszczow przestał podpisywać papiery i uniósł głowę.

- Interesuje was to osobiście?

Dimkę przeszył zimny dreszcz.

- Ani trochę - zełgał. Udało mu się zamaskować ton niepokoju w głosie. Gdyby ujawnił związku siostry ze skazanym wywrotowcem, mogłoby to zakończyć jego i jej karierę.

Oczy Chruszczowa zwięzły się.

- No to dlaczego powinniśmy go puścić do domu?

W tej chwili jego asystent gorzko żałował, że nie odmówił Tani. Powinien był wiedzieć, że Chruszczow go przejrzy: nie zostaje się przywódcą Związku Radzieckiego, jeśli nie ma się w sobie podejrzliwości graniczącej z paranoją. Dimka jął się desperacko wycofywać.

- Nie mówię, żebyśmy puścili go do domu - rzekł najspokojniejszym głosem, na jaki zdołał się zdobyć. - Pomyślałem, że chcielibyście o nim wiedzieć. Popełnił drobne wykroczenie i odcierpiał karę. Okazując łaskawie sprawiedliwość pomniejszemu dysydentowi, pokazalibyście przy okazji zgodność waszego postępowania z przyjętym ogólnym kursem ostrożnej liberalizacji.

Chruszczow nie dał się nabrać.

- Ktoś poprosił was o przysługę. - Dimka otworzył usta, by zaprotestować, lecz

pierwszy sekretarz uniósł rękę. - Nie zaprzeczajcie, bo mnie to nie przeszkadza. Możecie wiele załatwić, to jest nagroda za waszą ciężką pracę.

Dimka poczuł się tak, jakby cofnięto mu wyrok śmierci.

- Dziękuję - powiedział i w jego głosie zabrzmiało żałosne poczucie wdzięczności.

- Jaką pracę wykonuje Jenkow na Syberii? - spytał pierwszy sekretarz.

Dimka zauważył, że drży mu ręka, w której trzymał teczkę. Przycisnął ją do boku.

- Jest elektrykiem w siłowni. Nie ma kwalifikacji, ale pracował kiedyś w radiu.

- A co robił w Moskwie?

- Był redaktorem tekstów.

- Oż kurwa mać! - Chruszczow cisnął długopis na biurko. - Redaktorem? Ki diabeł? Na Syberii brakuje elektryków. Zostawić go tam, przynajmniej robi coś pożytecznego.

Dimka patrzył na pierwszego sekretarza z przerażeniem i nie wiedział, co powiedzieć.

Chruszczow wziął długopis i zaczął dalej podpisywać dokumenty.

- Redaktor - mruknął pod nosem. - Dupa tam.

Tania przepisała *Odmrożenie* na maszynie z dwiema kalkami.

Jednak opowiadanie Wasilija było za dobre na to, by wydać je wyłącznie w samizdacie. Autor przedstawiał świat obozów w brutalnie żywy sposób, ale osiągnął coś więcej. Kopiując tekst, Tania uświadomiła sobie z bólem serca, że obóz to metafora Związku Radzieckiego, fabuła zaś jest zajadłą krytyką radzieckiego społeczeństwa. Wasilij mówił prawdę w sposób, w jaki ona nie umiała tego zrobić. Poczwała pałace wyrzuty sumienia. Dzień w dzień pisała artykuły do gazet i magazynów wydawanych w całym ZSRR i codziennie odwracała głowę od rzeczywistości. Nie wypowiadała jawnych kłamstw, lecz niezmiennie omijała kwestie biedy, represji i marnotrawstwa, które w istocie cechowały kraj. Tekst Wasilija unaoczniał fałsz, jakim było jej życie.

Zaniósła maszynopis redaktorowi Daniłowi Antonowowi.

- Ktoś przysłał mi to pocztą, anonimowo - oznajmiła. Danił zapewne domyśli się, że podwładna kłamie, ale jej nie wyda. - To jest opowiadanie, akcja dzieje się w obozie pracy.

- Nie możemy go wydać - odparł szybko Danił.

- Wiem. Ale jest świetne, moim zdaniem autor ma wielki talent.

- Dlaczego mi to pokazujesz?

- Znasz wydawcę magazynu „Nowy Świat”.

Redaktor zastanowił się.

- On czasem wydaje nieprawomyślne rzeczy.

- Nie wiem, jak daleko Chruszczow zamierza posunąć się w liberalizacji - szepnęła Tania.

- Trudno powiedzieć, ale ogólna linia jest taka, że wolno omawiać i potępiać wypaczenia przeszłości.

- Przeczytasz i pokażesz redaktorowi, jeśli ci się spodoba?

- Jasne. - Danił przeczytał kilka linijek. - Dlaczego autor przysłał to tobie, jak myślisz?

- Pewnie jest to ktoś, kogo poznałam, kiedy byłam na Syberii dwa lata temu.

- Aha. - Danił skinął głową. - To dobre wyjaśnienie. - Miał na myśli to, że mogło posłużyć za przykrywkę.

- Autor przypuszczalnie ujawni się, jeśli tekst zostanie przyjęty do druku.

- Zgoda - rzekł Danił. - Zrobię, co w mojej mocy.

## ROZDZIAŁ 25

Uniwersytet Alabamy był ostatnią w USA uczelnią stanową wyłącznie dla białych. We wtorek jedenastego czerwca dwoje młodych Murzynów przybyło do kampusu w Tuscaloosa, by wpisać się na listę studentów. George Wallace, niskiego wzrostu gubernator Alabamy, stanął w drzwiach uczelni ze splecionymi na piersi rękami i szeroko rozstawionymi nogami i poprzysiągł, że ich nie wpuści.

Tymczasem w siedzibie Departamentu Sprawiedliwości George Jakes siedział wraz z Robertem Kennedym oraz innymi przy telefonach. Słuchali wiadomości nadchodzących z uczelni. Telewizor był włączony, lecz żadna sieć nie transmitowała wydarzeń na żywo.

Przed niespełna rokiem dwie osoby zostały zastrzelone podczas zamieszek na Uniwersytecie Missisipi po tym, jak na listę słuchaczy wpisał się pierwszy kolorowy. Bracia Kennedy byli zdeterminowani, by nie dopuścić do ponownego rozlewu krwi.

George odwiedził Tuscaloosa, poszedł na kampus. Kiedy szedł po zielonych trawnikach, jedyna ciemna twarz w polu widzenia, krzywiły się na niego ładne dziewczęta w wywiniętych skarpetach i młodzi mężczyźni w eleganckich bluzach. Narysował Bobby'emu szkic imponującego portyku nad aulą Fostera z trojgiem drzwi, przed którym, opierając dłoń o przenośny pulpit, stał w tej chwili gubernator Wallace w otoczeniu funkcjonariuszy lotnego patrolu. Temperatura zbliżała się do trzydziestu ośmiu stopni Celsjusza. George wyobrażał sobie dziennikarzy i fotoreporterów tłoczących się przed Wallace'em, pocących się w upalnym słońcu i czekających na wybuch przemocy.

Obie strony od dawna spodziewały się konfrontacji, a nawet ją zaplanowały.

George Wallace był demokratą z Południa. Abraham Lincoln, który wyzwolił niewolników, był republikaninem, gdy tymczasem południowcy, zwolennicy niewolnictwa, należeli do Partii Demokratycznej. Pomagali w wyborach kandydatom prezydenckim z ramienia demokratów, by później bruździć im podczas sprawowania urzędu.

Wallace był szpetnym niskim mężczyzną, prawie zupełnie łysym. Tylko na przodzie głowy miał kępkę włosów, które smarował brylantyną i zaczesywał w śmiesznie sterczący czub. Nie brakowało mu jednak sprytu i George nie potrafił przewidzieć, jak potoczą się wydarzenia. Na co liczy gubernator: na wielką awanturę czy coś bardziej subtelnego?

Ruch praw obywatelskich, który jakby zamarł przed dwoma miesiącami, nabrał wiatru w żagle po zamieszkach w Birmingham. Napływały pieniądze: podczas zbiórki w Hollywood gwiazdy ekranu takie jak Paul Newman i Tony Franciosa wypisali czeki na tysiąc dolarów.

Biały Dom truchlał ze strachu przed następnymi awanturami i rozpaczliwie dążył do uspokojenia protestujących.

Robert Kennedy w końcu doszedł do przekonania, że konieczne jest uchwalenie nowej ustawy o prawach obywatelskich. Przyznawał teraz, że nadszedł czas, by Kongres wydał zakaz segregacji we wszystkich miejscach publicznych - hotelach, restauracjach, autobusach i toaletach - oraz zapewnił Murzynom prawo wyborcze. Jak dotąd jednak nie zdołał przekonać swojego brata prezydenta.

Tego ranka stwarzał pozory, że jest spokojny i panuje nad biegiem wydarzeń. Filmowała go ekipa telewizyjna, troje spośród siedmiorga dzieci prokuratora generalnego biegało po biurze. George wiedział jednak, że jeśli sprawy przybiorą zły obrót, otwartość i beztrojska mina szefa błyskawicznie ustąpią miejsca zimnej furii.

Bobby postanowił, że nie dopuści do zamieszek, lecz zarazem był zdeterminowany, by umożliwić dwojgu studentom wpisanie się na listę. Sędzia wydał sądowy nakaz dopuszczenia kandydatów, a Robert Kennedy, prokurator generalny, nie mógł pozwolić na to, by gubernator stanowy wbrew jego woli postawił na swoim i zlekceważył prawo. Gotów był wysłać żołnierzy, którzy usunęliby Wallace'a siłą, to jednak również byłoby niefortunne rozwiązanie. Wyglądałoby bowiem jak demonstracja siły Waszyngtonu wobec Południa.

Podwinąwszy rękawy, pochylił się nad telefonem biurowym; pod jego pachami utworzyły się ciemne plamy potu. Wojsko uruchomiło przenośny system komunikacyjny i ktoś, kto znajdował się w tłumie w kampusie, zdawał Bobby'emu relację.

„Przyjechał Nick”. Mowa była o Nicholasie Katzenbachu, zastępcy prokuratora generalnego, przedstawicielu szefa resortu. „Podchodzi do Wallace'a... wręcza mu nakaz”. Katzenbach dysponował orężem w postaci prezydenckiej proklamacji nakazującej gubernatorowi zaprzestać nielegalnego sabotowania decyzji sądu. „Teraz Wallace wygłasza przemówienie”.

Lewa ręka George'a Jakesa spoczywała na nierzucającym się w oczy temblaku z czarnego jedwabiu. Policjanci stanowi z Birmingham w Alabamie złamali mu kość nadgarstka. Przed dwoma laty w czasie zamieszek w Anniston w tym samym stanie jakiś rasista przetrzącił mu tę samą rękę. George miał nadzieję, że nigdy więcej nie postawi nogi w Alabamie.

„Wallace nie mówi o segregacji”, relacjonował mówca, którego głos płynął z głośnika telefonu. „Tłumaczy, że Waszyngton nie ma prawa wtrącać się w sprawy szkół w stanie Alabama. Podejdę bliżej, żebyście mogli go słyszeć”.

George ściągnął brwi. W swojej mowie inauguracyjnej gubernator Wallace

zapowiedział: „Segregacja teraz, segregacja jutro, segregacja zawsze”. Wtedy jednak zwracał się do białych mieszkańców stanu. Komu dzisiaj usiłuje zaimponować? Działo się tam coś, czego bracia Kennedy oraz ich doradcy jeszcze nie rozumieli.

Wystąpienie Wallace’a było długie. Kiedy skończył, Katzenbach ponownie zażądał, by Wallace podporządkował się nakazowi sądu, on zaś odmówił. Sytuacja patowa.

Wtedy Katzenbach odszedł, lecz dramat nie dobiegł końca. Dwoje studentów, Vivian Malone i James Hood, czekało w samochodzie. Zgodnie z wcześniejszymi ustaleniami Katzenbach odprowadził Vivian do jej akademika, a inny prawnik z Departamentu Sprawiedliwości towarzyszył Jamesowi. Było to tymczasowe rozwiązanie. W celu uzyskania oficjalnego wpisu na listę studentów musieli wejść do auli Foster’a.

W telewizji rozpoczął się południowy serwis informacyjny i ktoś w biurze Roberta Kennedy’ego włączył dźwięk. Wallace stał przy pulpicie, wyglądał na wyższego niż w rzeczywistości. Ani słowa nie poświęcił kolorowym, segregacji i prawom obywatelskim. Mówił o potędze władz centralnych dławiących suwerenność stanu Alabama. Z oburzeniem odwoływał się do wolności i demokracji, jakby nie istnieli Murzyni, którym odmawiano prawa do głosowania. Cytował konstytucję, jak gdyby nie lekcewał jej każdego dnia swego życia. Posunął się do brawury, lecz jego występ zaniepokoił George’a.

W biurze Bobby’ego znajdował się między innymi Burke Marshall, biały prawnik stojący na czele wydziału praw obywatelskich. Nadal nie budził zaufania George’a, lecz od czasu wydarzeń w Birmingham stał się bardziej radykalny i teraz proponował, by użyć wojska.

- Po prostu to zrobimy, i już - rzekł do prokuratora generalnego.

Ten wyraził zgodę.

Realizacja decyzji wymagała czasu. Asystenci Bobby’ego zamówili kanapki i kawę. Uczestnicy wydarzeń w kampusie trwali na swoich pozycjach.

Napłynęły wieści z Wietnamu. Na skrzyżowaniu ulic w Sajgonie buddyjski mnich Thich Quang Duc oblał się dwudziestoma litrami benzyny z kanistra, a następnie spokojnie zapalił zapałkę i otoczyły go płomienie. Przyczyną jego protestu było prześladowanie buddyjskiej większości przez wspieranego przez Amerykanów prezydenta Ngo Dinh Diema, katolika.

Przeciwnościom, z którymi musiał się borykać prezydent Kennedy, nie było końca.

Po jakimś czasie odezwał się głos w telefonie biurowym prokuratora generalnego:

„Przybył generał Graham... z czterema żołnierzami”.

- Z czterema? - odezwał się George. - To ma być nasza demonstracja siły?

Obecni w gabinecie usłyszeli nowy głos, przypuszczalnie był to głos generała.

„Panie gubernatorze, spadł na mnie przykry obowiązek: muszę pana prosić o usunięcie się, taki jest rozkaz prezydenta Stanów Zjednoczonych”.

Graham, dowódca Gwardii Narodowej w Alabamie, najwyraźniej wypełniał obowiązek wbrew własnym przekonaniom.

W telefonie dał się słyszeć głos sprawozdawcy relacjonującego wydarzenia: „Wallace się usuwa... Wallace odchodzi! Wallace odchodzi! To koniec!”.

Ci, którzy znajdowali się w gabinecie prokuratora generalnego, zaczęli wznosić okrzyki radości i wymieniać uściski dłoni.

Po minucie zauważyli, że George nie podziela ich radości.

- Co z tobą? - chciał wiedzieć Dennis Wilson.

Zdaniem George'a koledzy nie wyciągnęli trafnych wniosków.

- Wallace to zaplanował. Od początku zamierzał ustąpić, gdy tylko wezwiemy żołnierzy.

- Ale dlaczego? - spytał Dennis.

- Właśnie to mnie nurtuje od samego rana. Cały czas mam podejrzenie, że zostaliśmy wykorzystani.

- Co Wallace mógł zyskać za pomocą tej gry?

- Zrobił show. Pokazano go w telewizji, udawał zwykłego człowieka, który stawia się opresyjnej władzy.

- Gubernator Wallace jako ofiara opresji? - zdziwił się Wilson. - Toż to żart!

Bobby, który śledził tę wymianę zdań, teraz się odezwał:

- Posłuchajcie George'a, on stawia właściwe pytania.

- Dla nas to żart - mówił George - ale wielu Amerykanów z klasy robotniczej ma wrażenie, że integrację wciska im siłą do gardła paru waszyngtońskich pięknoduchów takich jak my tutaj.

- Wiem - odparł Wilson. - Choć dziwnie jest usłyszeć to z ust... - chciał powiedzieć: Murzyna, ale zmienił zdanie - ...aktywisty praw obywatelskich. Do czego zmierzasz?

- Dzisiaj Wallace zwrócił się do tych właśnie białych wyborców z klasy robotniczej. W ich pamięci pozostanie taki obraz: gubernator stoi naprzeciwko Nicka Katzenbacha, typowego liberała ze Wschodniego Wybrzeża, i rzuca mu wyzwanie. I zapamiętają żołnierzy, którzy zmusili Wallace'a do odejścia.

- Jest gubernatorem Alabamy, dlaczego miałby chcieć zwracać się do narodu?

- Podejrzewam, że w następnych prawyborach Partii Demokratycznej zmierzy się z



Jackiem Kennedym. On chce ubiegać się o prezydenturę, moi drodzy. I dzisiaj w ogólnokrajowej telewizji rozpoczął kampanię. Z naszą pomocą.

W gabinecie na chwilę zapadła cisza. George widział, że jego argumenty trafiły do obecnych i wzbudziły ich zaniepokojenie.

- Teraz Wallace bryluje w serwisach informacyjnych i wygląda jak bohater - dokończył George. - Może warto byłoby, aby prezydent odebrał mu inicjatywę.

Bobby wcisnął klawisz interkomu.

- Połącz mnie z prezydentem - polecił i zapalił cygaro.

Dennis Wilson odebrał połączenie w drugim aparacie.

- Dwójka studentów weszła do auli i wpisała się na listę.

Po dłuższej chwili Robert Kennedy podniósł słuchawkę i zaczął rozmawiać z bratem. Poinformował o pokojowym zwycięstwie, a potem słuchał.

- Tak! - rzekł w pewnej chwili. - George Jakes stwierdził to samo... - Nastąpiła długa pauza. - Dziś wieczór? Ale nie ma gotowego tekstu... Oczywiście, że można napisać. Nie, myślę, że podjąłem słuszną decyzję. Tak zrobimy. - Odłożył słuchawkę i rozejrzał się. - Prezydent chce przedłożyć w Kongresie nową ustawę o prawach obywatelskich.

Serce George'a zadrżało radośnie. Właśnie tego domagał się Martin Luther King i wszyscy aktywiści ruchu praw obywatelskich.

- Zamierza ogłosić to w telewizji, dziś wieczorem - ciągnął Bobby.

- Dzisiaj? - zdziwił się George.

- Za parę godzin.

To rozsądne, myślał George, choć nastąpi w wielkim pośpiechu. Prezydent wróci na swoje należyte miejsce na czele serwisów informacyjnych, wysuwając się przed George'a Wallace i Thich Quang Duca.

- I chce, żebyś tam poszedł i pomógł Tedowi opracować tekst przemówienia - dodał prokurator generalny.

- Tak jest - odparł George.

Podeksytowany wyszedł z siedziby Departamentu Sprawiedliwości. Maszerował tak szybko, że do Białego Domu dotarł zdyszany. Stał minutę na parterze w Zachodnim Skrzydle, by złapać oddech. Potem wszedł na górę. Ted Sorensen był w swoim gabinecie z grupą współpracowników. George zdjął marynarkę i usiadł.

Wśród papierów rozrzuconych na stole znalazł się telegram Martina Luthera Kinga do prezydenta. W miejscowości Danville w stanie Wirginia sześćdziesięciu pięciu Murzynów zaprotestowało przeciw segregacji rasowej i czterdziestu ośmiu z nich zostało przez policję

pobitych tak mocno, że zabrano ich do szpitala.

„Wytrzymałość Murzynów być może jest na krawędzi załamania”, brzmiało zdanie w depeszy Kinga, które George podkreślił.

Zespół intensywnie pracował nad treścią przemówienia. Miało się zaczynać nawiązaniem do dzisiejszych wydarzeń w Alabamie; zamierzano podkreślić, że zadaniem żołnierzy było wymusić wykonanie nakazu sądowego. Jednakże prezydent nie chciał zatrzymywać się nad szczegółami utarczki, lecz zaapelować do poczucia wartości moralnych cechujących wszystkich przyzwoitych Amerykanów. W przerwach Sorensen zanosił ręcznie zapisane kartki maszynistkom.

George był trochę zły, że tak ważny tekst jest przygotowywany w gorączkowym pośpiechu, lecz rozumiał powód. Tworzenie przepisów legislacyjnych to proces racjonalny, polityka natomiast jest grą intuicyjną. Jack Kennedy miał instynkt i to on właśnie podpowiadał mu, że jeszcze dzisiaj powinien przejąć inicjatywę.

Czas płynął za szybko. Przemówienie jeszcze nie było gotowe, gdy do Gabinetu Ovalnego wkroczyły ekipy telewizyjne i zaczęły rozstawiać elementy oświetlenia. Do gabinetu Sorensena przyszedł prezydent i zapytał o postęp prac. Sorensen pokazał mu część kartek i Kennedy'emu się nie spodobały. Weszli do pomieszczenia sekretarek. Prezydent zaczął dyktować, co powinno zostać zmienione. Nadeszła godzina dwudziesta, tekst przemówienia nie był skończony, lecz prezydent znalazł się na wizji.

George oglądał wystąpienie w gabinecie Sorensena i obgryzał paznokcie.

Prezydent Kennedy dał życiowy występ.

Rozpoczął odrobinę zbyt oficjalnie, ale rozgrzał się nieco, gdy zaczął przedstawiać perspektywy murzyńskiego niemowlęcia: dwa razy mniejsze szanse ukończenia szkoły średniej, trzy razy mniejsze szanse ukończenia studiów, dwukrotnie większe szanse na bezrobocie i przewidywana długość życia o siedem lat mniejsza niż niemowlęcia o białym kolorze skóry.

„Stajemy przede wszystkim wobec kwestii o charakterze moralnym”, mówił. „Jest ona równie stara jak pismo i tak wyrazista jak amerykańska konstytucja”.

George patrzył z podziwem. Większości wypowiedzanego tekstu nie było na kartkach, Jack Kennedy ujawnił swoje nowe oblicze. Elegancki nowoczesny prezydent odkrył potęgę biblijnej przemowy. Być może nauczył się czegoś od kaznodziei Martina Luthera Kinga.

„Kto spośród nas ucieszyłby się, gdyby zmieniono mu kolor skóry?” - pytał, sięgając z kolei do krótkich, prostych słów. „Kto spośród nas czułby się usatysfakcjonowany, gdyby zalecano mu cierpliwość i zwłokę?”

To właśnie Jack Kennedy i jego brat Bobby doradzali cierpliwość i zwłokę, zauważył w myślach George. Teraz był bardzo rad, że uświadomili sobie wreszcie, jak boleśnie niewystarczająca jest taka rada.

„Głosimy pochwałę wolności na całym świecie”, tłumaczył prezydent. Za chwilę nawiąże do Europy, George wiedział o tym. „Ale czy powiemy światu, a co ważniejsze, sobie samym, że to jest kraj ludzi wolnych, lecz nie dotyczy to Murzynów? Że nie ma u nas obywateli drugiej kategorii, z wyjątkiem Murzynów? Że nie mamy systemu klasowego ani kastowego, gett i rasy panów, ale nie odnosi się to do Murzynów?”

George czuł radosne uniesienie. To były mocne słowa, zwłaszcza te o rasie panów, gdyż przywodziły na myśl nazistów. Taką mowę zawsze chciał usłyszeć z ust prezydenta.

„Ogniska gniewu płoną w każdym mieście, na północy i południu, gdzie nie stworzono prawnych środków zaradczych. W przyszłym tygodniu zwrócę się do Kongresu Stanów Zjednoczonych, by zaczął działać i wziął na siebie zobowiązanie, którego w tym stuleciu jeszcze w pełni nie podjął, żeby stwierdził jasno...” Po paru zdaniach wypowiedzianych oficjalnym językiem Kennedy wrócił do prostoty: „że dla pojęcia rasy nie ma miejsca w amerykańskim życiu i prawie”.

Cytat dla prasy, pomyślał momentalnie George: „Dla pojęcia rasy nie ma miejsca w amerykańskim życiu i prawie”. Nie posiadał się z radości. Ameryka zmieniała się właśnie w tej chwili, z minuty na minutę, a on w tym procesie uczestniczył.

„Ci, którzy nie podejmują działania, prowokują hańbę i przemoc”, mówił prezydent i George wiedział, że naprawdę tak myśli, mimo że niepodejmowanie działań jeszcze przed paroma godzinami stanowiło założenie jego polityki.

„Proszę o wsparcie wszystkich naszych obywateli”, zakończył Kennedy.

Transmisja dobiegła końca. Na korytarzu gaszono reflektory telewizyjne, ekipy zaczęły pakować sprzęt. Sorensen pogratulował prezydentowi.

George'a przepelniała euforia, lecz czuł się wyczerpany. Poszedł do domu, zjadł jajecznicę i obejrzał wiadomości. Tak jak na to liczył, wystąpienie prezydenta było głównym punktem serwisu. Położył się do łóżka i zasnął.

Obudził go dzwonek telefonu. To była Verena Marquand. Płakała i z trudem potrafiła sklecić sensowne zdanie.

- Co się stało? - zapytał.

- Medgar - odparła i dodała coś, czego nie zrozumiał.

- Mówisz o Medgarze Eversie? - George znał tego czarnego aktywistę z Jackson w stanie Missisipi. Był etatowym pracownikiem Krajowego Stowarzyszenia na rzecz Awansu

Ludności Kolorowej, najbardziej umiarkowanej organizacji walczącej o prawa obywatelskie. To on przeprowadził śledztwo w sprawie zamordowania Emmetta Tilla i zorganizował bojkot białych sklepów. Zyskał tym ogólnokrajową popularność.

- Zastrzelili go - wyszłochała Verena. - Przed jego własnym domem.

- Nie żyje?

- Tak. Miał troje dzieci, George, troje! Usłyszały strzał, wyszły i znalazły ojca wykrwawiającego się na śmierć na podjeździe.

- O Jezu.

- Co jest z tymi białymi? Dlaczego nam to robią? Dlaczego?

- Nie wiem, skarbie - odrzekł George. - Po prostu nie wiem.

Robert Kennedy po raz drugi wysłał George'a do Atlanty z wiadomością dla Martina Luthera Kinga.

Kiedy George zadzwonił do Vereny, by poprosić ją o umówienie spotkania, powiedział:

- Bardzo chciałbym zobaczyć twoje mieszkanie.

Nie mógł jej rozgryźć. Tamtej nocy w Birmingham, kiedy kochali się i przeżyli wybuch bomby rzuconej przez rasistów, czuł, że bardzo się do siebie zbliżyli. Jednak minęły dni, a potem tygodnie bez następnej okazji do uprawiania seksu i bliskość wyparowała. Lecz gdy wstrząsnęła nią wiadomość o zamordowaniu Medgara Eversa, nie zatelefonowała do Martina Luthera Kinga ani do ojca, lecz do George'a. W tej chwili nie rozumiał już, na czym polega ich związek.

- Jasne - odparła. - Czemu nie?

- Przyniosę butelkę wódki. - Zdażył się zorientować, że to jej ulubiony trunk.

- Mieszkam z pewną dziewczyną.

- Mam przynieść dwie?

Roześmiała się.

- Spokojnie, tygrysie. Laura chętnie wyjdzie wieczorem. Często robiłam jej tę przysługę.

- Czy to znaczy, że ugotujesz kolację?

- Kiepska ze mnie kucharka.

- To może usmażysz dwa steki, a ja zrobię sałatkę?

- Masz wyrafinowany gust.

- Dlatego mi się podobasz.

- I nieźle nawijasz.

Poleciał nazajutrz. Miał nadzieję spędzić z Vereną noc, ale nie chciał sprawić wrażenia, że uważa to za zaklepane, więc wprowadził się do hotelu, a potem pojechał do niej taksówką.

Jego zamysły nie ograniczały się do uwiedzenia Vereny. Kiedy ostatnio przyniósł Kingowi wiadomość od Bobby'ego, nurtowały go dwuznaczne odczucia. Tym razem to Bobby miał rację, a King się mylił i George był zdecydowany nakłonić go do zmiany zdania. Zamierzał zacząć od przekonania Vereny.

W czerwcu w Atlancie panował skwar i Verena przywitała go w tenisowej sukience bez rękawów, która odsłaniała jej długie lekko brązowe ręce. Miała bose stopy i przyszło mu na myśl, że nie włożyła nic pod sukienkę. Pocałowała go w usta, lecz przelotnie, nie potrafił więc zdecydować, co to znaczyło.

Mieszkanie było nowoczesne i z klasą, wyposażone w nowoczesne sprzęty. George domyślił się, że nie byłoby jej na nie stać za pensję, którą płacił Martin Luther King. Na czynsz musiały iść honoraria płytowe Percy'ego Marquanda.

Postawił wódkę na blacie w kuchni, a Verena podała mu butelkę wermutu i shaker do koktajli. Zanim zabrał się do robienia drinków, powiedział:

- Chcę, żebyś coś zrozumiała. Prezydent Kennedy stoi przed największą trudnością, jaką napotkał w swojej karierze politycznej. Jest gorzej niż po Zatoce Świń.

Wstrząsnęło nią to, zgodnie z jego zamierzeniem.

- Wytłumacz mi to.

- Z powodu ustawy o prawach obywatelskich. Nazajutrz rano po przemówieniu telewizyjnym, po tym, jak zadzwoniłaś do mnie i powiedziałaś o zamordowaniu Medgara, do prezydenta zatelefonował przywódca większości w Kongresie. Oznajmił, że nie uda się przegłosować ustaw o rolnictwie, o transporcie publicznym, pomocy zagranicznej i budżecie badań kosmicznych. Program legislacyjny Kennedy'ego całkowicie się załamał. Tak jak się obawialiśmy, demokraci z Południa biorą odwet. A poparcie sondażowe prezydenta z dnia na dzień spadło o dziesięć punktów procentowych.

- Ale na arenie międzynarodowej sporo zyskał - zauważyła Verena. - Może trzeba będzie po prostu zawalczyć w polityce wewnętrznej.

- Wierz mi, że walczymy - odparł George. - Lyndon Johnson pokazał, co potrafi.

- Johnson? Chyba żartujesz.

- Ani mi się śni. - George był na przyjacielskiej stopie z jednym z asystentów wiceprezydenta Skipem Dickersonem. - Wiesz, że miasto Houston odcięło dopływ prądu do portu w proteście przeciw nowej polityce marynarki wojennej dotyczącej integracyjnych przepustek lądowych?

- Tak, wiem. Dranie.

- Lyndon rozwiązał ten problem.

- W jaki sposób?

- NASA planuje zbudowanie w Houston ośrodka kontrolnego wartego miliony dolarów.

Lyndon zagroził, że skreśli program. Po kilku sekundach włączono prąd. Nie wolno nie doceniać Lyndona Johnsona.

- Przydałoby się w administracji więcej ludzi z takim podejściem.

- Owszem. - Bracia Kennedy lubili pedanterię, nie chcieli brudzić sobie rąk. Spory woleli wygrywać dzięki finezyjnym, racjonalnym argumentom. Z tego też powodu nie korzystali z umiejętności Johnsona, w gruncie rzeczy gardzili jego metodami, uważając je za prostą przemoc.

George napełnił shaker lodem, nalał wódki, a potem wstrząsnął naczyniem. Verena otworzyła lodówkę i wyjęła dwie szklanki do koktajli. Wlał do wychłodzonych szklanek po łyżeczce wermutu, zakręcił nimi, by zwilżyć ścianki, a następnie dodał zimnej wódki. Gospodyni wrzuciła do każdej szklanki oliwkę.

George lubił mieć poczucie, że robi coś z kimś wspólnie.

- Stanowimy zgrany zespół, prawda?

Verena uniosła szklankę i wypła.

- Ty robisz dobre martini.

George uśmiechnął się smutno. Miał nadzieję na inną odpowiedź, taką, która potwierdzałaby łączącą ich więź. Skosztował drinka.

- Tak, owszem.

Wyjęła sałatę, pomidory i dwa kawałki polędwicy wołowej. George zaczął płukać sałatę. Skierował rozmowę na prawdziwy cel swojego przyjazdu.

- Wiem, że już o tym rozmawialiśmy, ale Białemu Domowi to nie pomaga, że doktor King utrzymuje kontakty z komunistami.

- Kto mówi, że je utrzymuje?

- FBI.

Verena prychnęła pogardliwie.

- Słyszane z rzetelności źródło informacji o ruchu praw obywatelskich. Daj spokój, George. Wiesz o tym, że w mniemaniu J. Edgara Hoovera każdy, kto się z nim nie zgadza, to komunista, nie wyłączając Roberta Kennedy'ego. Gdzie dowody?

- Podobno Biuro jest w ich posiadaniu.

- Podobno? A więc ich nie widziałeś. A Bobby?

George był zakłopotany.

- Hoover twierdzi, że źródło jest poufne.

- Odmówił pokazania dowodów prokuratorowi generalnemu? Jemu się zdaje, że dla kogo pracuje? - Verena wzięła łyk drinka, jej twarz wyrażała namysł. - Czy prezydent widział te dowody?

George milczał.

Niedowierzenie Vereny było coraz większe.

- Hoover nie mógłby odmówić prezydentowi.

- Sądzę, że prezydent postanowił nie dążyć w tej sprawie do konfrontacji.

- Ależ z was naiwniacy. George, posłuchaj mnie. Żadne dowody nie istnieją.

Postanowił przyznać jej rację.

- Pewnie masz słuszość. Nie wierzę, że Jack O'Dell i Stanley Levison to komuniści, choć zapewne kiedyś nimi byli. Ale czy nie rozumiesz, że prawda się nie liczy? Istnieje grunt do podejrzeń, a to wystarczy, by zdyskredytować cały ruch praw obywatelskich. Teraz prezydent zgłosił propozycję ustawy o prawach obywatelskich i on także zostanie zdyskredytowany. - George owinął sałatę ściereczką i zakręcił ręką, by otrząsnąć liście z wody. Irytacja sprawiła, że zrobił to mocniej, niż było konieczne. - Jack Kennedy dla praw obywatelskich położył na szali swoją karierę polityczną, nie możemy pozwolić, by przegrał z powodu oskarżeń o związki z komunistami. - Wrzucił sałatę do miski. - Wystarczy pozbyć się tych dwóch gości i sprawa rozwiązana!

Verena odpowiedziała cierpliwie:

- O'Dell jest pracownikiem organizacji Martina Luthera Kinga, tak jak ja, ale Levisona nawet nie ma na liście płac. Jest tylko przyjacielem i doradcą Martina. Naprawdę chcesz pozwolić, by Edgar Hoover wybierał mu przyjaciół?

- Vereno, ci ludzie stoją na drodze ustawy o prawach obywatelskich. Powiedz doktorowi Kingowi, żeby się ich pozbył, proszę cię.

Dziewczyna westchnęła.

- Myślę, że to zrobi. Jego chrześcijańskie sumienie nie pozwala mu odrzucić tych, którzy od dawna lojalnie go wspierają, więc trochę mu to zajmie, ale w końcu się na to zdobędzie.

- Dzięki Ci, Panie. - George od razu poczuł się lepiej: choć raz będzie mógł zanieść Bobby'emu dobrą wiadomość.

Gospodyni posoliła steki i położyła je na patelni.

- Coś ci powiem. To i tak nie zrobi najmniejszej różnicy, bo Hoover nie przestanie

rozsiewać pogłosek, jakoby ruch praw obywatelskich był forpoczta komunizmu. Robiłby to nawet wtedy, gdybyśmy przez całe życie należeli do Partii Republikańskiej. J. Edgar Hoover to patologiczny kłamczuch nienawidzący Murzynów i cholerna szkoda, że twój szef nie ma jaj, żeby wywalić go na zbity pysk.

George chętnie by zaprotestował, lecz niestety, zarzut był słuszny. Pokroił pomidora na plasterki i wrzucił do sałatki.

- Lubisz dobrze wysmażony stek? - chciała wiedzieć Verena.

- Bez przesady.

- Po francusku? Ja też.

Przygotował jeszcze dwa drinki i usiedli przy małym stoliku, by spożyć posiłek. George przeszedł do drugiej połowy wiadomości, którą miał przekazać.

- Prezydentowi pomogłoby, gdyby doktor King odwołał ten przekłety siedzący protest w Waszyngtonie.

- Nie ma mowy.

King wezwał swoich zwolenników do wzięcia udziału w - jak to określił - „wielkiej, bojowej siedzącej demonstracji” w stolicy, która miała się zbiec z aktami obywatelskiego nieposłuszeństwa w całym kraju. Bracia Kennedy byli przerażeni.

- Pomyśl - rzekł George. - Są w Kongresie ludzie, którzy zawsze opowiedzą się za ustawą o prawach obywatelskich, oraz tacy, którzy nigdy tego nie zrobią. Liczą się ci, którzy mogą postąpić tak albo tak.

- Niezdecydowani - podchwyciła Verena.

- Otóż to. Wiedzą, że ustawa jest słuszna z moralnego punktu widzenia, lecz niepopularna politycznie, i będą szukali pretekstu, by zagłosować przeciw. Wasza demonstracja sprawi, że go znajdą. Powiedzą: Jestem za prawami obywatelskimi, ale nie pod groźbą pistoletu. To nie jest właściwy moment.

- Jak powiada Martin, dla białych moment jest zawsze niewłaściwy.

George uśmiechnął się szeroko.

- Jesteś bielsza, niż mi się zdawało.

- Oraz ładniejsza - odparowała.

- To prawda. Jesteś bodaj najładniejszą dziewczyną, jaką kiedykolwiek widziałem.

- Dziękuję. Jedz.

George ujął nóż i widelec. Przez większość czasu jedli w milczeniu. George pochwalił steki Vereny, a ona odparła, że zrobił dobrą sałatkę, jak na faceta.

Skończywszy, zabrali ze sobą drinki do salonu i usiedli na kanapie. George podjął



swoją argumentację.

- Teraz jest inaczej, nie widzisz tego? Administracja opowiada się po naszej stronie. Prezydent robi, co w jego mocy, żeby przeprowadzić ustawę, której domagaliśmy się od lat.

Dziewczyna pokręciła głową.

- Jeśli czegoś się nauczyliśmy, to tego, że zmiana następuje prędzej, kiedy podtrzymujemy nacisk. Wiesz o tym, że Murzyni są już obsługiwani przez białe kelnerki w restauracjach w Birmingham?

- Tak, wiem. Niewiarygodny zwrot.

- I nie osiągnięto tego dzięki cierpliwemu czekaniu, lecz dlatego, że ludzie rzucali kamieniami i wzniecali pożary.

- Sytuacja się zmieniła.

- Martin nie odwoła demonstracji.

- A zechce zmodyfikować jej zasady?

- Co masz na myśli?

George przeszedł do swojego planu B.

- Czy mógłby to być po prostu marsz zgodny z prawem, a nie protest siedzący? Kongresmeni uznaliby to za mniejsze zagrożenie.

- Nie wiem. Martin może to rozważyć.

- Urządźcie go w środę, to zniechęci ludzi do pozostania w mieście na cały weekend, i zakończcie wcześniej, żeby uczestnicy marszu mogli odejść przed wieczorem.

- Usiłujecie wyrwać nam zęby.

- Jeżeli mamy zgodzić się na demonstrację, musimy dołożyć wszelkich starań, by była wolna od przemocy i sprawiła dobre wrażenie, zwłaszcza w telewizji.

- W takim razie można by rozstawić wzdłuż trasy przenośne toalety, co ty na to? Bobby chyba może się o to postarać, nawet jeśli nie potrafi wyrzucić Hoovera.

- Dobry pomysł.

- A gdyby zebrać grupę białych wspierających naszą sprawę? Wrażenie będzie lepsze, jeśli na ekranach telewizorów widzowie zobaczą wśród maszerujących także białe twarze.

George zastanowił się nad tym.

- Bobby na pewno mógłby nakłonić związek do wysłania delegacji.

- Jeśli dla osłody możesz obiecać spełnienie tych dwóch warunków, myślę, że jest szansa na to, by Martin zmienił zdanie.

George zauważył, że Verena przyjęła jego punkt widzenia i rozmawiali o tym, w jaki sposób przekonać Kinga. To była już połowa zwycięstwa.

- Jeśli zdołasz namówić doktora Kinga, by zamiast protestu siedzącego zorganizował marsz, myślę, że uda się nam nakłonić prezydenta do poparcia demonstracji.

Składając tę ofertę, George nieco się narażał, ale nie obiecywał rzeczy niemożliwej.

- Postaram się - odparła Verena.

George otoczył ją ramieniem.

- Widzisz, jednak stanowimy zgrany zespół. - Uśmiechnęła się i nic nie odpowiedziała. Nalegał dalej: - Jesteś innego zdania?

Pocałowała go. To był taki sam całus jak poprzedni: więcej niż przyjacielski, jednak daleki od zmysłowości.

- Wtedy, po wybuchu bomby, w pokoju pękły szyby, a ty poszedłeś boso po moje buty.

- Pamiętam. Na całej podłodzie leżały odłamki szkła.

- No właśnie - powiedziała. - I to był twój błąd.

George zmarszczył czoło.

- Nie kapuję. Zdawało mi się, że ładnie się zachowałem.

- Otóż to. Jesteś dla mnie za dobry.

- Że co? To jakieś szaleństwo!

Verena mówiła poważnie.

- Ja się puszczam, upijam, jestem niewierna. Raz przespałam się z Martinem.

George uniósł brwi, ale nic nie powiedział.

- Zaslugujesz na coś lepszego - ciągnęła. - Zrobisz wspaniałą karierę, może zostaniesz pierwszym czarnoskórym prezydentem. Potrzebujesz żony, która będzie ci wierna, będzie z tobą współpracowała i cię wspierała, będzie twoim atutem. Ja taka nie jestem.

George był rozbawiony.

- Nie patrzyłem tak daleko w przyszłość, miałem tylko nadzieję, że jeszcze cię pocałuję.

Uśmiechnęła się.

- Na to akurat mogę się zgodzić.

Całował ją długo i powoli. Po chwili pogładził ją po wewnętrznej części uda i wsunął dłoń pod tenisową sukienkę. Dotarł ręką aż do biodra. Nie pomylił się: Verena nie miała na sobie bielizny.

Odgadła jego myśli.

- Widzisz? Niedobra ze mnie dziewczynka.

- Wiem o tym, a i tak za tobą szaleję.

## ROZDZIAŁ 26

Wallemu trudno było opuścić Berlin. Tam mieszkała Karolin, a on chciał być blisko niej. To jednak nie miało sensu, skoro odgradzał ich mur. Choć oddaleni od siebie zaledwie o kilometr, nie mogli się zobaczyć. Nie mógł ryzykować ponownego przekroczenia granicy, poprzednim razem tylko szczęśliwym trafem uniknął śmierci. Mimo to nie było mu łatwo przeprowadzić się do Hamburga.

Mówił sobie, że rozumie, dlaczego Karolin postanowiła zostać z bliskimi i tam urodzić dziecko. Kto miał lepsze kwalifikacje, by jej pomóc: matka czy siedemnastoletni gitarzysta? Jednakże to, że podjęła logiczną decyzję, było słabym pocieszeniem.

Myślał o niej, kładąc się nocą spać, i rano, gdy tylko się zbudził. Widok ładnej dziewczyny na ulicy przywodził mu na myśl Karolin. Zastanawiał się, jak ona się czuje. Czy ciąża oznaczała dla niej niewygodę i mdłości, czy też dodała blasku jej urodzie? Czy rodzice są na nią źli, czy też perspektywa posiadania wnuka sprawia im radość?

Wymieniali korespondencję i oboje zawsze deklarowali w listach „Kocham cię”. Wahali się jednak, czy pisać więcej o swoich emocjach, gdyż wiedzieli, że każde słowo będzie wzięte pod lupę w urzędzie cenzorskim, być może przez kogoś znajomego, takiego jak Hans Hoffmann. To było jak wyznawanie swoich uczuć przed obliczem wzgardliwej widowni.

Znajdowali się po dwóch stronach muru, a było tak, jakby dzieliło ich tysiące kilometrów.

Tak więc Walli pojechał do Hamburga i wprowadził się do przestronnego mieszkania siostry.

Rebecca nigdy nie zrzędziła. Rodzice w listach nękali go, by wrócił do nauki w szkole albo poszedł na wyższą uczelnię. Podpowiadali rozmaite głupstwa: by zdobył wykształcenie elektryka, prawnika albo nauczyciela, tak jak Rebecca i Bernd. Jego starsza siostra nie mówiła nic. Jeśli siedział cały dzień w pokoju i ćwiczył na gitarze, nie zgłaszała żadnych obiekcji, prosiła tylko, żeby umył filiżankę po kawie i nie zostawiał brudnej w zlewie. Jeśli w ogóle rozmawiali o jego przyszłości, mówiła: Po co się spieszyć? Masz siedemnaście lat. Rób, co chcesz, i czekaj na to, co przyniesie jutro. Bernd okazywał mu taką samą wyrozumiałość. Walli uwielbiał Rebeccę i z każdym dniem coraz bardziej lubił Bernda.

Jeszcze nie przywykł do Niemiec Zachodnich. Ludzie mieli większe auta, nowsze ubrania i ładniejsze domy. Rząd był otwarcie krytykowany w gazetach, a nawet w telewizji.

Czytając nieprzychylny artykuł o starzejącym się kanclerzu Adenauerze, Walli niczym winowajca oglądał się przez ramię, obawiając się, że ktoś może zauważyć, iż czyta wywrotowe materiały. Musiał się napominać, że jest na Zachodzie i może się cieszyć wolnością słowa.

Wyprowadzce z Berlina towarzyszył smutek, lecz Walli z radością przekonał się, że Hamburg to bijące serce niemieckiej sceny muzycznej. Było to miasto portowe, odwiedzali je marynarze z całego świata. Ulica Reeperbahn stanowiła centrum dzielnicy czerwonych latarni z barami, lokalami ze striptizem, półjawnymi miejscami schadzek dla homoseksualistów i wieloma klubami muzycznymi.

Walli pragnął w życiu tylko dwóch rzeczy: być z Karolin i zostać zawodowym muzykiem.

Pewnego dnia po przenosinach do Hamburga przemierzał Reeperbahn z gitarą na ramieniu. Zaglądał do każdego lokalu i pytał właścicieli, czy przyjęliby śpiewającego gitarzystę, który zapewniałby klientom rozrywkę. Uważał, że jest dobry. Umiał śpiewać, grać i zabawiać publiczność. Potrzebował jedynie, by ktoś dał mu szansę.

Odrzucono go w kilkunastu miejscach, aż wreszcie poszczęściło mu się w piwnicy piwnej o nazwie El Paso. Wystrój bez wątpienia miał być amerykański, ponieważ nad drzwiami sterczała czaszka długorogiego wołu, ściany zaś zdobiły plakaty filmów kowbojskich. Właściciel nosił kapelusz marki Stetson, lecz na imię miał Dieter i mówił z dolnoniemieckim akcentem.

- Umiesz grać amerykańską muzykę?

- Jasna sprawa - odparł po angielsku Walli.

- Przyjdź o pół do ósmej. Wypróbuję cię.

- Ile byś mi zapłacił? - chciał wiedzieć Walli. Nadal otrzymywał kieszonkowe od Enoka Andersena, księgowego z zakładów ojca, lecz rozpaczliwie pragnął udowodnić, że potrafi być niezależny finansowo. Przy okazji potwierdziłby, że słusznie odrzucił rady rodziców co do wyboru zawodu.

Dieter zrobił minę, jakby pytanie było nie na miejscu i nieco go dotknęło.

- Pograsz z pół godziny - odrzekł lekceważącym tonem. - Jeśli mi się spodobaś, wtedy porozmawiamy o forsie.

Wallemu brakowało doświadczenia, ale nie był głupi i rozumiał, że taka wymijająca odpowiedź to znak, że wiele nie zarobi. Jednak w ciągu dwóch godzin poszukiwań uzyskał tylko tę jedną propozycję, więc ją przyjął.

Wrócił do domu i poświęcił popołudnie na przygotowanie półgodzinnego zestawu

amerykańskich piosenek. Postanowił zacząć od *If I Had a Hammer* - utwór przypadł do gustu publiczności w hotelu Europa. Oprócz tego zamierzał zagrać *This Land is Your Land* i *Mess of Blues*. Przecwiczył kilkakrotnie każdą piosenkę, choć w zasadzie nie było to potrzebne.

Rebecca i Bernd wrócili z pracy i Walli zakomunikował im wiadomość. Rebecca oznajmiła, że się z nim wybierze.

- Nigdy nie widziałam, jak grasz dla publiczności. W domu słyszałam tylko, jak bawiłeś się w muzyka i nigdy nie kończyłeś piosenek.

To było miłe z jej strony, że chciała mu towarzyszyć, zwłaszcza że tego dnia ona i Bernd żyli innym wydarzeniem, a mianowicie wizytą w Niemczech prezydenta Kennedy'ego.

Rodzice Wallego i Rebekki byli przekonani, że tylko dzięki zdecydowaniu Amerykanów Sowieci nie zajęli Berlina Zachodniego i nie przyłączyli go do Niemiec Wschodnich. Kennedy'ego uważali za bohatera. Walli natomiast przychylnie patrzył na każdego, kto dawał się we znaki wschodnioniemieckiej dyktaturze.

Zajął się nakrywaniem do stołu, Rebecca tymczasem przygotowywała kolację.

- Mama zawsze nam wpajała, że jeśli się czegoś pragnie, trzeba wstąpić do partii politycznej i organizować kampanie poparcia. Bernd i ja chcemy zjednoczenia Niemiec Wschodnich i Zachodnich, aby tysiące Niemców mogły połączyć się z rodzinami. Dlatego wstąpiliśmy do Wolnej Partii Demokratycznej.

Walli całym sercem chciał tego samego, ale nie potrafił sobie wyobrazić, w jaki sposób mogłoby do tego dojść.

- Jak sądzicie, co robi Kennedy? - spytał.

- Być może powie, że musimy nauczyć się żyć obok Niemiec Wschodnich, przynajmniej na razie. To prawda, ale nie to chcemy usłyszeć. Jeśli mam być szczerą, mam nadzieję, że da komunistom prztyczka w nos.

Oglądali transmisję, jedząc posiłek. Obraz na ekranie nowoczesnego odbiornika z wytwórni Francka był wyraźny, pokazywał różne odcienie szarości, a nie zamazaną zieleń, jaką widziało się w starych telewizorach.

Kennedy zawitał do Berlina Zachodniego.

Wygłosił przemówienie na schodach ratusza dzielnicy Schöneberg. Przed gmachem rozpościerał się olbrzymi plac wypełniony ludźmi. Spiker podał, że zgromadziło się ich czterysta pięćdziesiąt tysięcy.

Młody przystojny prezydent wystąpił pod gołym niebem na tle wielkiego gwiazdzonego sztandaru, lekki wiatr targał mu gęste włosy. Pokazał się jako bojownik.

„Niektórzy powiadają, że komunizm to fala przyszłości. Niech przybędą do Berlina!”,

powiedział. Publiczność zareagowała głośnymi okrzykami poparcia. Aplauz przybrał na sile, gdy prezydent powtórzył zdanie po niemiecku: *Lass' sie nach Berlin kommen!*

Rebecca i Bernd przyjęli te słowa z wielką radością.

- Nie plecie o normalizacji stosunków ani o realizmie, czyli o pogodzeniu się ze status quo - cieszyła się Rebecca.

Kennedy mówił dalej zadziornym tonem:

„Wolność napotyka wiele przeciwności, a demokracja nie jest doskonała”.

- To odniesienie do Murzynów - zauważył Bernd.

„Ale my nigdy nie musieliśmy wznosić murów, by utrzymać w nich nasz naród”, kontynuował Kennedy.

- Brawo! - zawołał Walli.

Na głowę prezydenta padały promienie czerwcowego słońca.

„Wszyscy wolni ludzie, gdziekolwiek żyją, są obywatelami Berlina. I dlatego jako wolny człowiek z dumą mówię: *Ich bin ein Berliner!*”.

Tłum oszalał. Kennedy odszedł od mikrofonu i wsunął notatki do kieszeni marynarki.

Bernd uśmiechał się szeroko.

- Myślę, że Sowieci zrozumieją to przesłanie.

- Chruszczow się wścieknie jak jasna cholera - powiedziała Rebecca.

- Im bardziej, tym lepiej - dodał Walli.

W doskonałym humorze jechali ulicą Reeperbahn furgonetką, którą Rebecca kazała przystosować do wózka męża. Bar El Paso po południu świecił pustkami, a teraz siedziała w nim zaledwie garstka gości. Dieter, właściciel lokalu i kapelusza Stetson, nie był szczególnie miły podczas pierwszej rozmowy z Wallim, wieczorem zaś odniósł się do niego gburowato. Udał, że zapomniał o zaproszeniu młodego wykonawcy, i Walli przestraszył się, że wycofa ofertę przesłuchania. Potem jednak skinął kciukiem, wskazując maleńki podest w kącie sali.

Oprócz Dietera była tam piersiasta barmanka w średnim wieku ubrana w kraciastą bluzkę i chustkę na szyi. Walli domyślił się, że to żona Dietera. Wyraźnie zależało im na tym, by nadać barowi unikalny charakter, lecz żadne z nich nie emanowało wdziękiem i nie umiało przyciągnąć klientów - amerykańskich ani innych narodowości.

Walli miał nadzieję, że to on okaże się magicznym składnikiem, który zwabi tłumy.

Rebecca zamówiła dwa piwa. Walli wyjął wzmacniacz i włączył mikrofon. Był podekscytowany. To było to, co lubił i w czym był dobry. Spojrzał na Dietera i jego żonę, czekając na sygnał, lecz ci nie okazywali mu zainteresowania. Uderzył w struny i zaczął śpiewać *If I Had a Hammer*.

Paru klientów przez chwilę patrzyło z zaciekawieniem, lecz zaraz wrócili do prowadzonych rozmów. Rebecca z entuzjazmem klaskała w rytm muzyki, ale nikt się do niej nie przyłączył. Mimo to Walli dał z siebie wszystko, równomiernie sobie akompaniując i głośno śpiewając. Może potrzebne będą dwa lub trzy numery, ale zjednam sobie słuchaczy, myślał.

W połowie utworu zamilkł mikrofon, a także wzmacniacz. Najwyraźniej zawiodło zasilanie. Walli dokończył piosenkę bez wzmocnienia, wychodząc z założenia, że jest to mniej żenujące niż przerwanie w połowie.

Odłożył gitarę i podszedł do baru.

- Zasilanie sceny wysiadło - rzekł do Dietera.

- Wiem. Sam je wyłączyłem.

- Dlaczego? - zdumiał się Walli.

- Nie będę słuchał tych bzdur.

Chłopak poczuł się jak spoliczkowany. Ilekroć występował publicznie, ludziom podobały się jego piosenki. Nigdy nie nazywano jego muzyki bzdurami. Aż ścisnęło go w brzuchu i nie wiedział, jak się zachować ani co powiedzieć.

- Prosiłem o amerykańską muzykę - dodał Dieter.

To było bez sensu i Walli się oburzył.

- Ta piosenka była na pierwszym miejscu listy przebojów w Stanach!

- Mój lokal nazywa się El Paso od tytułu piosenki Marty'ego Robbinsa, najlepszego utworu wszech czasów. Myślałem, że grasz tego rodzaju muzykę. *Tennessee Waltz*, *On Top of Old Smoky*, piosenki Johnny'ego Casha, Hanka Williamsa, Jima Reevesa.

Jim Reeves był największym muzycznym nudziarzem, jakiego widział świat.

- Ty mówisz o muzyce w stylu country and western - domyślił się Walli.

Dieter uważał, że nie potrzebuje, by ktoś go oświecał.

- Mówię o amerykańskiej muzyce - odrzekł z zadufaniem ignoranta.

Dyskusja z takim idiotą była bezprzedmiotowa. Walli wiedział już, czego się po nim spodziewano, lecz nie zamierzał tego grać. Nie po to chciał zostać muzykiem, by wyśpiewywać *On Top of Old Smoky*.

Wszedł na scenę i schował gitarę do futerału.

Rebecca patrzyła na to, niewiele rozumiejąc.

- Co się stało?

- Właścicielowi nie spodobał się mój repertuar.

- Ależ on nawet nie wysłuchał piosenki do końca!

- Wydaje mu się, że świetnie się zna na muzyce.

- Mój ty biedaku!

Walli jakoś poradził sobie z tępą przyganą Dietera, lecz współczucie siostry sprawiło, że zachciało mu się płakać.

- Nieważne. I tak bym nie chciał pracować u takiego palanta.

- Powiem mu, co o tym wszystkim myślę - oznajmiła Rebecca.

- Proszę, nie. Jeszcze tylko tego brakowało, żeby moja starsza siostrzyczka na niego nakrzyczała.

- Chyba masz rację.

- Jedźmy do domu - rzekł Walli, biorąc gitarę i wzmacniacz.

Dave Williams i zespół Plum Nellie przybywali do Hamburga z wielkimi nadziejami. Byli na fali. Zdobywali popularność w Londynie, a teraz chcieli zadziwić Niemcy.

Menedżer klubu Dive nazywał się Herr Fluck i bardzo to rozbawiło członków zespołu. Mniej zabawne było to, że Plum Nellie go nie zachwycili. Co gorsza, po dwóch wieczorach Dave doszedł do wniosku, że ma rację. Grupa nie dawała słuchaczom tego, czego pragnęli.

- Grajcie tanecznie! - mówił po angielsku Herr Fluck. - Grajcie tanecznie!

Gościom klubu, w większości nastolatkom i dwudziestokilkulatkom, najbardziej zależało na tańcach. Największym powodzeniem cieszyły się te utwory, przy których dziewczęta wybiegały na parkiet i zaczynały pisać, a mężczyźni przyłączali się i tworzyły się pary.

Największym jednak minusem koncertów było to, że grupa nie zdołała rozruszać całej widowni. To była wielka szansa, a oni ją marnowali. Jeśli czegoś nie poprawią, zostaną odesłani do domu. „Pierwszy raz w życiu odniosłem w czymś sukces”, powiedział Dave do sceptycznie nastawionego ojca i ten ostatecznie pozwolił mu na wyjazd do Hamburga. Czy będzie musiał wrócić i przyznać, że w muzyce również mu się nie powiodło?

Nie mógł rozgryźć, na czym polega problem, ale Lenny sobie z tym poradził.

- To przez Geoffa. - Geoffrey grał na gitarze prowadzącej. - Tęskni za domem.

- I przez to źle gra?

- Nie, ale przez to pije, a jak pije, to gra źle.

Dave ustawił się bliżej perkusji i uderzał struny mocniej i bardziej rytmicznie, lecz na nic się to nie zdało. Uświadomił sobie, że jeśli jeden muzyk nie trzyma poziomu, załamuje się gra całego zespołu.

Czwartego dnia wybrał się w odwiedziny do Rebekki.



Ucieszył się, gdy odkrył, że ma w Hamburgu nie jedną krewną, lecz dwoje, a tym drugim jest siedemnastoletni chłopak grający na gitarze. Dave znał niemiecki na poziomie szkolnym, Walli zaś podłapał trochę angielszczyzny od babci Maud, najważniejsze jednak, że obaj posługiwali się tym samym językiem muzyki: przez całe popołudnie wymieniali się akordami i riffami gitarowymi. Wieczorem Dave zabrał Wallego do klubu i zaproponował właścicielowi, by Walli grał w przerwach między częściami koncertu Plum Nellie. Walli zagrał nowy amerykański przebój *Blowin' in the Wind*<sup>7</sup>, który spodobał się menedżerowi, i został zatrudniony.

Tydzień później Rebecca i Bernd zaprosili grupę na obiad. Walli uprzedził siostrę, że chłopcy pracują do późnej nocy i wstają około południa, zatem jeść lubią mniej więcej o osiemnastej, przed występem. Rebecce to odpowiadało.

Czterech członków grupy przyjęło zaproszenie, Geoff nie chciał przyjść.

Rebecca przygotowała stos kotletów schabowych z gęstym sosem oraz duże porcje smażonych ziemniaków, pieczarek i kapusty. Dave domyślił się, że po matczynemu zapragnęła dać chłopakom chociaż jeden porządny posiłek w tygodniu. I rzeczywiście martwiła się nie bez powodu, gdyż ci żywili się głównie piwem i papierosami.

Jej mąż Bernd pomagał w gotowaniu i podawaniu potraw, poruszając się z zaskakującą zwawością. Dave'a uderzyło to, jak szczęśliwa jest Rebecca i jak bardzo zakochana w Berndzie.

Młodzi muzycy ochoczo rzucili się na jedzenie. Rozmawiali, mieszając angielski i niemiecki, atmosfera była przyjemna, mimo że nie rozumieli wszystkiego, co było mówione.

Po obiedzie członkowie zespołu wylewnie podziękowali pani domu, a potem wsiedli do autobusu i pojechali na Reeperbahn.

Dzielnica czerwonych latarni w Hamburgu podobna była do londyńskiego Soho, lecz bardziej otwarta, mniej dyskretna. Dave dopiero tam dowiedział się, że oprócz żeńskich prostytutek istnieją także męskie.

Klub Dive mieścił się w zapuszczonej piwnicy, w porównaniu z nim Jump jawił się jako wytworny. Meble pozostawiały wiele do życzenia, nie było ogrzewania ani wentylacji, a ubikacje znajdowały się na podwórzu na tyłach.

Dotarli na miejsce z pełnymi brzuchami po posiłku u Rebekki. Zastali Geoffa przy barze, pijącego piwo.

Grupa wchodziła na scenę o dwudziestej i miała grać z przerwami do trzeciej w nocy.

---

<sup>7</sup> *Blowin' in the Wind* - słynna piosenka Boba Dylana, znana w Polsce pod tytułem Odpowie ci wiatr, wykonywała ją m.in. Maryla Rodowicz.

Każdego wieczoru przynajmniej raz grali każdą piosenkę, którą znali, a ulubione numery powtarzali trzy razy. Herr Fluck wymagał ciężkiej pracy.

Dzisiaj grali tak źle jak nigdy.

Podczas pierwszej części koncertu Geoff był kompletnie do niczego, mylił nuty i plątał się w solówkach, deprymując kolegów. Zamiast robić wszystko, by bawić słuchaczy, musieli skupiać się na maskowaniu pomyłek Geoffa. Lenny był zły.

W przerwie Walli usiadł na taborecie z przodu sceny, grał na gitarze i śpiewał piosenki Boba Dylana. Dave słuchał. Walli miał tanią harmonijkę ustną zamontowaną na uchwycie dopasowanym do szyi, mógł więc jednocześnie dmuchać w nią i trącać struny gitary, tak jak robił to Dylan. Dave ocenił, że daleki kuzyn jest dobrym muzykiem, a przy tym inteligentnym, ponieważ zorientował się, że wielu ludzi na świecie oszalało na punkcie Dylana. Klientela klubu w większości wołała rock and rolla, lecz niektórzy słuchali występu Wallego, a kiedy schodził ze sceny, dziewczęta siedzące przy stoliku w kącie nagrodziły go rzęśistymi oklaskami.

Dave poszedł z Wallim do garderoby, a tam okazało się, że sytuacja jest krytyczna.

Geoff leżał na podłodze pijany i nie mógł ustać prosto bez pomocy. Lenny klęczał nad nim i raz po raz wymierzał mu mocny policzek. Być może ulżył sobie w ten sposób, ale nie zdołał doprowadzić Geoffa do przytomności. Dave przyniósł z baru kubek czarnej kawy i wmusili w kolegę trochę napitku, lecz niewiele to zmieniło.

- Będziemy musieli wyjść bez pierdolonego gitarzysty - stwierdził Lenny. - Dave, chyba że ty byś zagrał solówki Geoffa.

- Umiem zagrać numery Chucka Berry'ego, ale to wszystko.

- Będziemy musieli darować sobie resztę. Pieprzona publika pewnie i tak się nie połapie.

Dave nie był pewien, czy Lenny ma rację. Solówki gitarowe nadawały dynamikę dobrej muzyce tanecznej, tworzyły światłocień, dzięki któremu powtarzające się melodie popowych piosenek nie były nudne.

- Ja mogę zagrać partie Geoffa - odezwał się Walli.

Lenny spojrzał na niego karcąco.

- Nigdy z nami nie grałeś.

- Słuchałem całego zestawu przez trzy wieczory. Mogę zagrać te wszystkie kawałki.

Dave spojrzał na Wallego i dostrzegł w jego oczach pragnienie, które było wzruszające. Chłopak najwyraźniej marzył o takiej okazji.

Jednak Lenny nie był przekonany.

- Naprawdę?
- Mogę zagrać. To nic trudnego.
- O, czyżby? - Odpowiedź trochę ubodła Lenny'ego.

Dave'owi zależało na tym, by Walli dostał swoją szansę.

- Jest lepszym gitarzystą ode mnie.
- To niewiele, kurwa, znaczy.
- Od Geoffa także.
- Grał kiedyś w zespole?

Walli zrozumiał pytanie.

- W duecie. Z dziewczyną, która śpiewała.
- A więc nie grał z bębniarzem.

Dave miał świadomość, że to kluczowa kwestia. Pamiętał, jaki czuł lęk, kiedy pierwszy raz grał z grupą Guardsmen. Dopiero wtedy poczuł, jak ścisłą dyscyplinę narzuca mu rytm wybijany przez perkusistę. Jednak poradził sobie i na pewno Walli także się z tym upora.

- Lenny, daj mu spróbować - prosił. - Jeśli ci się nie spodoba, możesz go odesłać po pierwszym numerze.

Herr Fluck wsunął głowę przez drzwi.

- *Raus! Raus!* - rzucił. - *Showtime!*
- Dobrze, dobrze, *wir kommen* - odparł Lenny i wstał. - Bierz wiosło i na scenę, Walli.

I Walli wyszedł.

Pierwsza w tej części była piosenka *Dizzy*, Miss Lizzy z wiodącą partią gitary.

- Chcesz się rozgrzać na czymś łatwiejszym? - zapytał Dave.
- Nie, dzięki - odrzekł Walli.

Dave miał nadzieję, że jego pewność siebie jest usprawiedliwiona.

Odliczanie zrobił Lew, perkusista:

- Trzy, cztery, raz.

Walli włączył się we właściwym momencie i zagrał riff.

Reszta wchodziła o takt później. Zagrali wstęp. Tuż przed tym, jak Lenny zaczął śpiewać, Dave uchwycił jego spojrzenie. Lider grupy z aprobatą skinął głową.

Walli zagrał partię gitary doskonale i bez wysiłku.

Pod koniec piosenki Dave puścił do niego oko.

Wykonali pełny zestaw. Walli zagrał dobrze każdy utwór, a nawet włączał się do chórków. Jego gra dodała występowi energii i sprawiła, że dziewczęta wyszły na parkiet.

To był najlepszy występ, jaki dali po przybyciu do Niemiec.

Kiedy schodzili ze sceny, Lenny położył rękę na ramieniu Wallego.

- Witaj w grupie.

Tej nocy Walli prawie nie zmrużył oka. Grając z Plum Nellie, czuł, że w sensie muzycznym znalazł swoje miejsce i że wzmocnił zespół. Tak go to uszczęśliwiło, aż zaczął się bać, że nie potrwa to długo. Lenny powiedział do niego: „Witaj w grupie”. Czy naprawdę tak myślał?

Nazajutrz Walli wybrał się do taniego pensjonatu w dzielnicy St. Pauli, w którym grupa była zakwaterowana. Przyszedł w południe, akurat kiedy muzycy wstawali.

Spędził parę godzin z Dave'em i basistą Buzzem, ćwicząc repertuar zespołu, dopracowując początki i zakończenia piosenek. Zachowywali się tak, jakby miał znowu z nimi zagrać. Chciał usłyszeć potwierdzenie.

Lenny i Lew, perkusista, wychynęli na świat około piętnastej. Lenny był bezpośredni.

- Na pewno chcesz przyłączyć się do naszej grupy?

- Tak - potwierdził Walli.

- A więc przyklepane. Jesteś w zespole.

Walli nie był przekonany.

- Co z Geoffem?

- Pogadam z nim, kiedy wstanie.

Wybrali się do kawiarni Harald's przy Grosse Freiheit i przez godzinę pili kawę i palili papierosy; później wrócili do kwater, żeby obudzić Geoffa. Wyglądał na chorego, co nie było dziwne, skoro poprzedniego wieczoru upił się do nieprzytomności. Usiadł na krawędzi łóżka. Lenny mówił do niego, a pozostali słuchali, stojąc w drzwiach.

- Wylatujesz. Przykro mi z tego powodu, ale wczoraj zostawiłeś nas na lodzie. Nie mogłeś się utrzymać na nogach, o grze nie było mowy. Walli zajął twoje miejsce, biorę go na stałe.

- Młody szczeniak - wymamrotał Geoff.

- Jest trzeźwy, a poza tym gra lepiej niż ty - odparł Lenny.

- Muszę się napić kawy.

- Idź do Haralda.

Zobaczyli ponownie Geoffa dopiero wtedy, gdy wychodzili do klubu.

Tuż przed dwudziestą ustawiali się na scenie, kiedy wszedł Geoff. Był trzeźwy i trzymał w ręku gitarę.

Walli spoglądał na niego ze zmieszaniem. W pensjonacie odniósł wrażenie, że Geoff

pogodził się z tym, że został wyrzucony z grupy. Może jednak był zbyt skacowany, by się kłócić.

Tak czy inaczej, nie spakował się i nie odszedł. Wallego ogarnął niepokój. Przeżył tyle niepowodzeń: policja roztrzaskała mu gitarę i nie mógł wystąpić w klubie Minnesänger, Karolin wycofała się z występu w hotelu Europa, właściciel El Paso odłączył mu prąd w połowie pierwszej piosenki. Czyżby teraz także miało go spotkać rozczarowanie?

Wszyscy przerwali swoje przygotowania i patrzyli, jak Geoff wchodzi na scenę i otwiera futerał gitary.

- Co robisz, Geoff? - zapytał Lenny.

- Udowodnię ci, że jestem najlepszym gitarzystą, jakiego słyszałeś.

- Na rany, daj spokój! Wyleciałeś, i koniec. Spieprzaj na dworzec i łap pociąg do Hook.

Teraz Geoff odezwał się błagalnym tonem:

- Gramy od sześciu lat, Lenny, przecież to coś znaczy. Musisz mi dać szansę.

Zabrzmiało to tak rozsądnie, że Walli z przerażeniem pomyślał, iż Lenny się zgodzi.

Ten jednak pokręcił głową.

- Jako gitarzysta jesteś w porządku, ale żaden z ciebie geniusz, za to niepewny drań.

Grałeś tutaj tak podle, że o mało nas stąd wczoraj nie wylali, zanim przyszedł Walli.

Geoff się rozejrzał.

- Co myślą pozostali?

- A kto ci powiedział, że w tej grupie rządzi demokracja? - odpowiedział pytaniem Lenny.

- A kto powiedział, że nie? - Geoff zwrócił się do perkusisty, który właśnie dopasowywał stopkę: - Jak myślisz?

Lew był kuzynem Geoffa.

- Dać mu jeszcze jedną szansę.

Geoff zapytał basisty Buzza:

- A ty, Buzz?

Basista był luzakiem, który szedł za tym, który najgłośniej krzyczał.

- Ja bym mu dał szansę.

Geoff miał triumfalny wyraz twarzy.

- Wypada trzy do jednego przeciwko tobie, Lenny.

- Wcale nie - odezwał się Dave. - W demokracji trzeba umieć liczyć. Wasza trójka przeciwko Lenny'emu, mnie i Wallemu, czyli po równo.

- Nie ma co liczyć głosów - oznajmił Lenny. - To moja grupa i ja podejmuję decyzje.

Geoff wyleciał. Odłóż instrument, Geoff, bo inaczej wywalę go przez te pieprzone drzwi.

Dopiero wtedy Geoff pogodził się z tym, że Lenny mówi poważnie. Schował gitarę i zatrzasnął futerał.

- Powiem wam coś, skurczybyki. Jeśli ja wylatuję, to wylatujecie wszyscy.

Walli nie wiedział, co to miało znaczyć. Może była to tylko pusta groźba. W każdym razie nie było czasu się nad tym głowić. Po paru minutach zaczęli grać.

Opuścili go wszystkie lęki. Czuł, że jest dobry i że pozostałym dobrze się z nim gra. Czas szybko mijał. W przerwie został sam na scenie i śpiewał piosenki Boba Dylana. Dodał utwór, który sam napisał, zatytułowany *Karolin*. Piosenka spodobała się publiczności. Później wyszedł na środek sceny i zaczął grać kawałek otwierający drugą część występu, *Dizzy*, Miss Lizzie.

Grając *You Can't Catch Me*, zauważył paru mundurowych, którzy na tyłach klubu rozmawiali z właścicielem, Herr Fluckiem. Nie przejął się tym jednak.

O północy zeszli ze sceny. Herr Fluck czekał na nich w garderobie. Bez wstępów zwrócił się do Dave'a:

- Ile masz lat?

- Dwadzieścia jeden.

- Nie pieprz mi.

- Kogo to obchodzi?

- W Niemczech mamy przepisy o zatrudnianiu młodocianych w barach.

- Mam osiemnaście lat.

- Policja mówi, że piętnaście.

- Co policja może o tym wiedzieć?

- Rozmawiali z gitarzystą, którego dopiero co wyrzuciliście, Geoffem.

- A to bydlak, sprzedał nas - odezwał się Lenny.

- Prowadzę nocny klub - rzekł Herr Fluck. - Przychodzą tu prostytutki, handlarze narkotyków, kryminaliści wszelkiej maści. Muszę bez przerwy udowadniać policji, że staram się przestrzegać prawa. Mówią, że mam was odesłać do domu, wszystkich. A więc żegnam.

- Kiedy mamy odejść? - chciał wiedzieć Lenny.

- Z klubu wychodzicie od razu. Jutro wyjeżdżacie z Niemiec.

- To jakiś obłąd! - zawołał Lenny.

- Kiedy jesteś właścicielem klubu, robisz to, co każe ci policja. - Wskazał Wallego. - On nie musi wyjeżdżać, jest Niemcem.

- Kurwa mać - zaklął Lenny. - Straciłem dwóch gitarzystów jednego dnia.

- Nie stracięś - odparł Walli. - Jadę z wami.

## ROZDZIAŁ 27

Jasper Murray zakochał się w USA. Mieli tam całonocne radio, trzy kanały telewizyjne i w każdym mieście inną gazetę poranną. Ludzie byli szczerzy, a ich domy przestronne; odnosili się do siebie swobodnie, na luzie. Anglicy nieustannie zachowywali się tak, jakby pili herbatę w wiktoriańskim salonie, nawet dobijając targu, udzielając wywiadów w telewizji albo uprawiając sport. Ojciec Jaspera, zawodowy oficer, tego nie dostrzegał, lecz matka, niemiecka Żydówka, owszem. Tu, w Stanach, ludzie byli bezpośredni. Kelnerzy w restauracjach służyli pomocą i efektywnie robili swoje, nie kłaniając się i nie szurając nogami. Służalczość była nieznana.

Młody reporter zamierzał napisać serię artykułów o swoich podróżach dla „St. Julian’s News”, ale jego ambicje sięgały wyżej. Przed wyjazdem z Londynu rozmawiał z Barrym Pughem i zapytał, czy „Daily Echo” byłoby zainteresowane jego relacjami. „Ta, jasne, jeśli wpadniesz na coś, no wiesz, wyjątkowego”, odrzekł bez entuzjazmu dziennikarz. W ubiegłym tygodniu w Detroit Jasper zrobił wywiad ze Smokey Robinsonem, wokalistą zespołu Miracles, i ekspresową pocztą wysłał tekst do „Echa”. Przesyłka już powinna dotrzeć do adresata. Podał numer telefonu Dewarów, lecz Pugh się nie odezwał. Mimo to Jasper nadal miał nadzieję i jeszcze dzisiaj zamierzał zadzwonić do Puga.

Zakwaterował się w mieszkaniu Dewarów w Waszyngtonie. Było wielkie, mieściło się w eleganckim budynku kilka przecznic od Białego Domu. „Mój dziadek Cameron Dewar kupił je przed pierwszą wojną światową”, wyjaśnił Jasperowi Woody, kiedy siedzieli przy śniadaniu. „On i mój ojciec byli senatorami”.

Ciemnoskóra pokojówka nazywana panną Betsy naląła Jasperowi soku pomarańczowego i zapytała, czy ma ochotę na jajka.

- Nie, dziękuję, wystarczy kawa - odparł. - Za godzinę jestem umówiony na śniadanie z przyjacielem rodziny.

Jasper poznał Dewarów w domu przy Great Peter Street tego roku, który ci spędzali w Londynie. Nie połączyła go z nimi bliska zażyłość - tylko na krótko z Beep - lecz mimo to ponad rok później przyjęli go w swoim domu z otwartymi ramionami. Podobnie jak Williamsowie cechowali się swobodną wielkodusznością, zwłaszcza wobec osób młodych. Lloyd i Daisy zawsze z radością gościli u siebie zabłąkanych nastolatków na noc lub tydzień, albo, tak jak w przypadku Jaspera, na parę lat. Dewarowie mieli, jak się zdawało, takie samo podejście.



- To bardzo miłe z waszej strony, że mnie przyjmujecie - powiedział Jasper do Belli.

- Och, bardzo proszę, nie ma o czym mówić - odparła szczerze gospodyni.

Jasper zwrócił się do Woody'ego:

- Pewnie będziesz robił dzisiaj dla „Life” fotoreportaż z marszu wolności?

- Owszem. Wmieszam się w tłum i będę dyskretnie pstrykał nieupozowane fotki trzydziestopięciomilimetrowym aparatem. Ktoś inny będzie robił zdjęcia sław, które znajdują się na scenie.

Był zwyczajnie ubrany w mokasyny i koszulkę z krótkimi rękawami, lecz mimo to tak wysokiemu mężczyźnie trudno będzie nie rzucać się w oczy. Jednak przenikliwe zdjęcia Woody'ego słyneły na całym świecie.

- Znam twoje prace tak jak każdy, kto interesuje się dziennikarstwem - powiedział Jasper.

- Czy jest jakiś temat, który szczególnie cię pociąga? - spytał Woody. - Zbrodnia, polityka, wojna?

- Nie, chętnie zajmowałbym się wszystkim, trochę tak jak ty.

- Mnie ciekawią twarze. Bez względu na temat, pogrzeb, mecz piłkarski, śledztwo w sprawie morderstwa, fotografuję ludzkie twarze.

- Czego się dzisiaj spodziewasz?

- Nikt tego nie wie. Martin Luther King zapowiada obecność stu tysięcy ludzi. Jeśli tylu zbierze, okaże się, że to największy marsz poparcia dla praw obywatelskich w dziejach. Wszyscy mamy nadzieję, że będzie radosny i pokojowy, ale na to nie liczymy. Trzeba pamiętać o wydarzeniach w Birmingham.

- W Waszyngtonie jest inaczej - włączyła się do rozmowy Bella. - Mamy tutaj kolorowych policjantów.

- Jest ich niewiele - zauważył Woody. - Ale to pewne, że dzisiaj będą na pierwszej linii.

Do jadalni weszła Beep Dewar, drobnutkiej budowy piętnastolatka.

- Kto będzie na pierwszej linii?

- Nie ty, mam nadzieję - odpowiedziała matka. - Ty masz się nie narażać, proszę cię.

- Oczywiście, mamo.

Jasper odnotował, że przez te dwa lata, kiedy się nie widzieli, Beep nauczyła się nieco dyskrecji. Dzisiaj wyglądała ładnie, ale niezbyt seksownie. Miała na sobie jasnobrązowe dzinsy i luźną kowbojską koszulkę. Był to rozsądnie dobrany strój na dzień, w którym wydarzenia mogły przybrać chaotyczny obrót.

Wobec Jaspera zachowywała się tak, jakby kompletnie zapomniała o flircie w

Londynie. Nie dawała sygnałów, że oczekuje kontynuacji. Z pewnością od tego czasu spotykała się z różnymi chłopcami. Jasper przyjął z ulgą, że dziewczyna nie uważa go za swoją własność.

Ostatnim członkiem rodziny Dewarów, który przyszedł na śniadanie, był Cameron, starszy o dwa lata brat Beep. Był ubrany jak mężczyzna w średnim wieku w lnianą marynarkę, białą koszulę i krawat.

- Ty też nie pakuj się w kłopoty - przestrzegła matka.

- Nie mam najmniejszego zamiaru zbliżyć się do marszu - oznajmił sztywno. - Wybieram się do Smithsonian Institution.

- Nie uważasz, że ludzie o innym kolorze skóry powinni mieć prawo do głosowania? - zapytała brata Beep.

- Uważam, że nie powinni sprawiać kłopotów.

- Gdyby pozwolono im głosować, nie musieliby przedstawiać swoich racji innymi sposobami.

- Dość już, przestańcie - zainterweniowała Bella.

Jasper dopił kawę.

- Muszę zadzwonić za ocean - oznajmił i dodał: - Zapłacę, oczywiście. - Nie był pewien, czy wystarczy mu na to pieniędzy.

- Ależ proszę - powiedziała Bella. - Skorzystaj z aparatu w gabinecie. I nie musisz płacić.

Przyjął to z ulgą.

- Jesteś taka dobra.

Bella zbyła to machnięciem ręki.

- Wydaje mi się, że nasz rachunek telefoniczny i tak płaci magazyn „Life” - dodała niezbyt jasno.

Jasper wszedł do gabinetu, wybrał numer „Daily Echo” i poprosił Barry’ego Pugha.

- Cześć, jak ci się podoba w USA?

- Jest świetnie. - Jasper nerwowo przełknął ślinę. - Dostałeś tekst o Smokey Robinsonie?

- Tak, dzięki. Dobrze napisany, ale do „Echa” się nie nada. Spróbuj w „New Musical Express”.

Jasper czuł się rozczarowany. Nie interesowało go pisanie dla prasy muzycznej.

- Okay. - Nie chciał się jednak poddawać. - Smokey to ulubiony piosenkarz Beatlesów, myślałam, że dzięki temu wywiad będzie ciekawszy.

- To za mało. Ale nieźle sobie poradziłeś.

Jasper starał się nie okazać rozczarowania.

- Dzięki.

- Czy dzisiaj w Waszyngtonie ma być jakaś demonstracja? - spytał Pugh.

- Tak, chodzi o prawa obywatelskie - odparł z nową nadzieją Jasper. - Będę tam, może napisać reportaż?

- Hm... Zadzwoń, jeśli dojdzie do zamieszek.

W innym razie nie dzwoń, dopowiedział sobie Jasper.

- Dobrze.

Jasper odłożył słuchawkę na widełki i patrzył na nią z zadumą. Sumiennie się napracował nad wywiadem ze Smokey Robinsonem i zdawało mu się, że odniesienie do Beatlesów nadawało mu szczególny charakter. Ale był w błędzie i pozostało mu jedynie próbować dalej.

Wrócił do jadalni.

- Muszę iść. Jestem umówiony na spotkanie z senatorem Peshkovem w hotelu Willard.

- Tam mieszka Martin Luther King - zauważył Woody.

Oblicze Jaspera się rozjaśniło.

- Może uda mi się zdobyć wywiad.

Pomyślał, że „Echo” na pewno będzie zainteresowane.

Woody się uśmiechnął.

- Setki dziennikarzy będzie dzisiaj marzyło o wywiadzie z Kingiem.

Jasper zwrócił się do Beep:

- Zobaczymy się później?

- O dziesiątej spotykamy się przed pomnikiem Waszyngtona. Krąży pogłoska, że będzie śpiewała Joan Baez.

- Poszukam cię tam.

- Powiedziałaś, że masz spotkanie z Gregiem Peshkovem? - spytał Woody.

- Tak. To przyrodni brat Daisy Williams.

- Wiem. Układy domowe ojca Grega Peshkova, Lva, stanowiły gorący temat plotek, kiedy twoja mama i ja byliśmy nastolatkami i mieszkaliśmy w Buffalo. Przekaż Gregowi moje pozdrowienia.

- Naturalnie - zapewnił Jasper i wyszedł.

George wszedł do kawiarni hotelu Willard i rozejrzał się za Veroną, ale jeszcze jej nie

było. Zauważył jednak swojego ojca Grega Peshkova. Jadł śniadanie z przystojnym mężczyzną w wieku około dwudziestu lat, który miał jasne włosy obcięte w stylu Beatlesów.

- Dzień dobry - powiedział, przysiadając się.

- To Jasper Murray, student z Londynu - przedstawił Greg. - Syn starego kolegi. Jasperze, poznaj George'a Jakesa.

Uścisnęli sobie dłonie. Jasper był lekko wystraszony. Ludzie często tak reagowali, widząc razem Grega i George'a. Zwykle jednak byli zbyt grzeczni, by zadawać nasuwające się pytania. Jasper postąpił podobnie.

- Matka Jaspera była uciekinierką z nazistowskich Niemiec - wyjaśnił Greg.

- Mama nigdy nie zapomniała, jak ciepło Amerykanie powitali ją tamtego lata - podchwycił Jasper.

- Rozumiem więc, że kwestia dyskryminacji rasowej nie jest ci obca - rzekł do niego George.

- Niezupełnie. Moja matka nie lubi za dużo opowiadać o tamtych czasach. - Uśmiechnął się czarująco. - W szkole w Anglii przez jakiś czas przezywano mnie Jasper Żyd, ale się nie przyjęło. Jesteś zaangażowany w dzisiejszy marsz, George?

- W pewnym sensie. Pracuję w resorcie Bobby'ego Kennedy'ego. Troszczymy się o to, by wydarzenia potoczyły się gładko.

Jaspera to zaciekało.

- Jak o to zadbać?

- Na terenie National Mall pełno jest tymczasowych wodotrysków z wodą pitną, punktów pomocy doraźnej, przenośnych toalet, zadbano nawet o możliwość spieniężenia czeków. Kościół w Nowym Jorku przygotował dla organizatorów osiemdziesiąt tysięcy kanapek, które będą rozdawane za darmo. Długość wszystkich wystąpień została ograniczona do siedmiu minut, więc demonstracja skończy się o czasie i goście zdążą opuścić miasto przed zmrokiem. A w Waszyngtonie zakazano dzisiaj sprzedaży napojów alkoholowych.

- Czy to poskutkuje?

George nie znał odpowiedzi na to pytanie.

- Szczerze powiedziawszy, wszystko zależy od białych. Wystarczy, żeby paru gliniarzy zaczęło się ciskać, sięgnęło po pałki, węże strażackie i psy, by spotkanie modlitewne zamieniło się w burdę.

- Waszyngton to nie głębokie Południe - zauważył Greg.

- Ale też nie Północ - odparował George. - Nie wiadomo, co się wydarzy.

Jasper nawiązał do swojego pytania:

- A jeśli dojdzie do zamieszek?

Odpowiedział mu Greg:

- Na przedmieściach zgromadzono cztery tysiące żołnierzy, w pobliskiej Karolinie Północnej stacjonuje piętnaście tysięcy spadochroniarzy. W waszyngtońskich szpitalach odwołano wszystkie zabiegi chirurgiczne, które nie są pilne, by zrobić miejsce dla rannych.

- A niech mnie. - Jasper westchnął. - Podeszliście do sprawy poważnie.

George ściągnął brwi. Przedsięwzięte środki bezpieczeństwa nie zostały ujawnione publicznie. Greg poznał je, gdyż był senatorem, lecz nie powinien był o nich mówić Jasperowi.

Pojawiła się Verena i podeszła do stolika. Cała trójka wstała.

- Dzień dobry, panie senatorze - powiedziała do Grega. - Miło znów pana widzieć.

Greg przedstawił dziewczynę Jasperowi, a ten wytrzeszczył oczy. Jej widok działał tak samo zarówno na białych, jak i na czarnych mężczyzn.

- Verena pracuje u Martina Luthera Kinga - dodał senator.

Jasper posłał jej uśmiech o jasności stuwatowej żarówki.

- Załatwiłabyś mi wywiad z nim?

- Dlaczego? - warknął George.

- Studiuję dziennikarstwo. Nie wspominałem o tym?

- Nie - odparł z irytacją George.

Verena nie była całkowicie uodporniona na urok Jaspera.

- Przykro mi - rzekła ze smutnym uśmiechem. - Wywiad z wielbnym doktorem Kingiem dzisiaj nie wchodzi w rachubę.

George był zły, ponieważ ojciec nie przestrzegł go, że Jasper jest dziennikarzem. Kiedy ostatnio rozmawiał z pewnym reporterem, napisał kłopotu Robertowi Kennedy'emu. Miał nadzieję, że dzisiaj nie popełnił żadnej niedyskrecji.

Verena odwróciła się do George'a.

- Przed chwilą rozmawiałam z Charltonem Hestonem - oznajmiła z irytacją. - Agenci FBI wydzwanają od rana do sławnych uczestników dzisiejszego marszu i każą im przez cały dzień nie wychodzić ze swoich hoteli, ponieważ dojdzie do aktów przemocy.

George prychnął pogardliwie.

- FBI nie obawia się zamieszek, ale tego, że marsz okaże się sukcesem.

Vereny to nie zadowoliło.

- Nie możecie im powiedzieć, żeby przestali sabotować demonstrację?

- Porozmawiam z Bobbym, ale wątpię, by chciał krzyżować szpady z Hooverem z

powodu takiego drobiazgu. - George dotknął ręki ojca. - Verena i ja musimy pomówić. Wybaczcie.

- Mój stół jest tam - powiedziała Verena.

Przemierzali salę i George zapomniał o podstępny Jasperze Murrayu.

- Jak wygląda sytuacja? - spytał, kiedy usiedli.

Schyliła się nad blatem i odpowiedziała po cichu, lecz w jej głosie brzmiało podniecenie.

- Uczestników będzie więcej niż sto tysięcy - stwierdziła z błyszczącymi oczyma. - To było niedoszacowanie.

- Skąd wiesz?

- Wszystkie autobusy, pociągi i samoloty zmierzające dzisiaj do Waszyngtonu są pełne. Rano przyjechało co najmniej dwadzieścia wyczarterowanych pociągów. Na Union Station nie usłyszałbyś swoich myśli, bo ludzie śpiewają *We Shall Not Be Moved*<sup>8</sup>. Tunelem Baltimore przejeżdżają specjalne autobusy, sto w ciągu godziny. Mój ojciec wyczarterował dla gwiazd samolot z Los Angeles. Zjawia się Marlon Brando i James Garner. Telewizja CBS nadaje przekaz na żywo.

- Jak sądzisz, ilu w sumie ludzi weźmie udział w marszu?

- W tej chwili oceniamy, że będzie ich dwa razy więcej, niż przewidywaliśmy.

- Dwieście tysięcy? - nie mógł się nadziwić George.

- Tak uważamy. Ale liczba może być większa.

- Nie wiem, czy to dobrze, czy źle.

Verena zmarszczyła brwi.

- Dlaczego miałyby to być coś złego?

- Nie braliśmy pod uwagę, że manifestantów będzie aż tylu. Nie chcę kłopotów.

- George, to jest ruch protestu, jego sens polega na tym, by były kłopoty.

- Chodziło mi o to, abyśmy pokazali, że sto tysięcy Murzynów może spotkać się w parku i nie wywołać starć.

- Starcie już trwa i rozpoczęli je biali. George, do cholery, złamali ci nadgarstek za to, że chciałeś dostać się na lotnisko.

Odruchowo dotknął lewej ręki. Lekarz powiedział, że wszystko jest już w porządku, lecz czasem George nadal odczuwał ból.

- Oglądałaś Meet the Press? - spytał. Był to program publicystyczny stacji NBC, grupa

---

<sup>8</sup> *We Shall Not Be Moved* (ang.) - nie damy się ruszyć.

dziennikarzy zadawała w nim pytania doktorowi Kingowi.

- Oczywiście, że tak.

- Wszystkie pytania dotyczyły albo przemocy ze strony Murzynów, albo komunistów w ruchu praw obywatelskich. Nie możemy pozwolić, by te kwestie wybiły się na pierwszy plan!

- Nie możemy pozwolić, by program telewizyjny dyktował nam strategię. Czego się spodziewałeś, że biali dziennikarze będą pytali Martina o przemoc ze strony białych glin, o nieuczciwość ław przysięgłych na Południu, o skorumpowanych białych sędziów i Ku-Klux-Klan?

- Przedstawię ci to w inny sposób - rzekł spokojnie George. - Przypuśćmy, że dzisiejsza demonstracja przebiegnie spokojnie, ale Kongres odrzuci ustawę o prawach obywatelskich i wtedy wybuchną zamieszki. Doktor King będzie mógł powiedzieć: Do Waszyngtonu przybyło sto tysięcy Murzynów, śpiewali pieśni religijne, dawali wam szansę, byście zrobili to, co słuszne, ale wy tę możliwość przekreśliście, a teraz macie do czynienia ze skutkami swojego uporu. Jeżeli doszło do zamieszek, możecie obwiniać tylko samych siebie. I co ty na to?

Verena uśmiechnęła się niechętnie i skinęła głową.

- Jesteś całkiem bystry - rzekła. - Wiedziałeś o tym?

National Mall to park o powierzchni stu dwudziestu hektarów ciągnący się na długości ponad trzech kilometrów od Kapitolu z jednej strony do pomnika Lincolna z drugiej. Uczestnicy marszu zgromadzili się pośrodku, przed pomnikiem Waszyngtona, który miał postać obelisku wysokości stu siedemdziesięciu metrów. Ustawiono tam scenę, a gdy George dotarł na miejsce, Joan Baez swoim czystym przenikliwym głosem intonowała pieśń *Oh, Freedom*.

Jasper chciał znaleźć Beep Dewar, lecz wokół stało już co najmniej pięćdziesiąt tysięcy ludzi, nic więc dziwnego, że jej nie wypatrzył.

To był najciekawszy dzień w jego życiu, a dochodziła dopiero jedenasta rano. Greg Peshkov i George Jakes znali Waszyngton od środka i mimochodem przekazali mu poufne informacje; jakże pragnął, by „Echo” się nimi zainteresowało. Zielonooka Verena Marquand była prawdopodobnie najpiękniejszą kobietą, jaką kiedykolwiek widział. Czy George z nią sypia? Jeśli tak, to szczęściarz z niego.

Po Joan Baez wystąpili Odetta i Josh White, lecz tłum oszalał, kiedy na scenę wyszło trio Peter, Paul and Mary. Jasper nie mógł uwierzyć, że ogląda wielkie gwiazdy na żywo i nawet nie musiał kupić biletu. Peter, Paul and Mary zaśpiewali swój najnowszy przebój,

piosenkę *Blowin' in the Wind* autorstwa Boba Dylana. Tekst jakby opowiadał o ruchu praw obywatelskich. Jeden z wersów brzmiał: „Przez ile lat mogą niektórzy istnieć, nim pozwoli się im na swobodę?”.

Publiczność zareagowała z jeszcze większym entuzjazmem, kiedy na scenie pojawił się sam Dylan. Zaśpiewał nową piosenkę o zabójstwie Medgara Eversa zatytułowaną *Only a Pawn in their Game*<sup>9</sup>. Dla Jaspera tekst brzmiał enigmatycznie, lecz słuchacze nie zważali na ambiwalencję i cieszyli się, że najważniejsza nowa gwiazda muzyki w Ameryce opowiada się po ich stronie.

Ludzi przybywało z każdą minutą. Jasper był rosy i mógł spojrzeć ponad większością głów, lecz nie było już widać krańca tłumów. Ku zachodowi biegła słynna lustrzana sadzawka, za którą znajdowała się grecka świątynia upamiętniająca Abrahama Lincolna. Demonstranci mieli dopiero później przemaszerować do pomnika Lincolna, lecz już teraz wielu przesuwało się ku zachodniej części parku, prawdopodobnie z myślą o tym, by zapewnić sobie najlepsze miejsca do wysłuchania przemówień.

Jak dotąd, na przekór pesymistycznym nastrojom panującym w mediach, nie pojawiły się najmniejsze akty przemocy. A może dziennikarze wyrażali tylko swoje nadzieje?

Wszędzie widać było fotoreporterów i kamery telewizyjne. Obiektywy często kierowały się na Jaspera, być może z powodu jego fryzury gwiazdora muzyki pop.

On zaś zaczął już w myślach pisać artykuł. Uznał, że wydarzenie przypomina piknik w lesie. Jego uczestnicy rozkoszują się posiłkiem na zalanej słonecznym blaskiem polanie, a tymczasem w spowitej cieniem otaczającej ją kniei czają się żądni krwi drapieżcy.

Przesuwał się wraz z ludźmi w kierunku zachodnim. Zauważył, że Murzyni mają na sobie najlepsze niedzielne ubrania: mężczyźni krawaty i słomkowe kapelusze, kobiety zaś wzorzyste jaskrawe sukienki i chusty na głowach; biali byli ubrani swobodnie. Hasła niesione przez uczestników manifestacji nie ograniczały się już do segregacji rasowej: domagano się prawa do głosowania, pracy i mieszkań. Były delegacje związków zawodowych, kościołów i synagog.

W pobliżu pomnika Lincolna Jasper natknął się na Beep. Szła z grupą dziewcząt zmierzających w tym samym kierunku. Znaleźli miejsce, z którego wyraźnie widać było scenę ustawioną na schodach.

Dziewczęta przekazywały sobie dużą butelkę ciepłej coca-coli. Niektóre, jak zauważył Jasper, były koleżankami Beep, inne zaś po prostu się do nich przyłączyły. Zaciekawiał je jako

---

<sup>9</sup> *Only a Pawn in their Game* (ang.) - zaledwie pionek w ich grze.



egzotyczny cudzoziemiec. Leżał sobie w sierpniowym słońcu, gawędząc z nimi niezobowiązująco, gdy rozpoczęły się wystąpienia. Ludzi zebrało się już tyłu, że Jasper nie mógł ogarnąć ich wzrokiem. Był pewien, że liczba uczestników zgromadzenia przekroczyła przewidywane sto tysięcy.

Mównica stała przed olbrzymią rzeźbą zamyślonego prezydenta Lincolna usadowionego na marmurowym tronie; ogromne dłonie spoczywały na podłokietnikach krzesła, brwi były ściągnięte, wyraz twarzy surowy.

Większość mówców była czarna, lecz znalazło się także paru białych, między innymi rabin. Na podeście stał Marlon Brando, trzymał w dłoniach elektryczny pręt do poganiania bydła, którego używała przeciwko Murzynom policja w Gadsden w stanie Alabama. Jasperowi spodobała się ostra wypowiedź przywódcy związkowego Waltera Reuthera:

- Nie zdołamy obronić wolności w Berlinie, jeśli nie zakazujemy jej w Birmingham.

Jednak uczestnicy marszu zaczęli się niecierpliwić i głośno domagać, by wystąpił Martin Luther King.

Był jednym z ostatnich mówców.

Jasper od razu się zorientował, że King to kaznodzieja, i w dodatku dobry. Mówił dźwięcznym barytonem z czystą dykcją i miał moc budzenia emocji słuchaczy, cenny dar, który Jasper podziwiał.

Nigdy jednak nie zwracał się do tak wielkiej rzeszy ludzi. Niewielu miało taką okazję.

Przestrzegł, że manifestacja, choć tak triumfalna, nie będzie znaczyła nic, jeśli nie doprowadzi do rzeczywistych zmian.

- Tych, którzy mają nadzieję, że Murzyni musieli upuścić sobie nieco pary i to wystarczy im do zadowolenia, czeka brutalne przebudzenie, jeżeli kraj wróci do zwyczajnej codzienności. - Słuchacze wtórowali okrzykami każdej wibrującej w uszach frazie. - Nie zapanują w Ameryce spokój i błogość, dopóki Murzynom nie przyzna się praw obywatelskich. Tornado buntu będzie dalej wstrząsało fundamentami naszego kraju, dopóki nie wstanie jasny dzień sprawiedliwości.

Zbliżając się do końca wyznaczonego siedmiominutowego czasu, King uderzył w biblijne tony:

- Nigdy nie pocujemy się usatysfakcjonowani, dopóki nasze dzieci będą odzierane z tożsamości i godności wymową napisów „Tylko dla białych”. Nie będziemy usatysfakcjonowani, dopóki sprawiedliwość nie popłynie jak wielka woda, a prawość nie ruszy potężnym strumieniem.

Stojąca za mównicą pieśniarka gospel Mahalia Jackson zawołała:

- O Panie mój! O Panie mój!

- Mimo że stoimy przed trudami dnia dzisiejszego i jutrzejszego, nie odstępuję mnie marzenie - ciągnął King.

Jasper wyczuł, że przywódca ruchu zrezygnował z przygotowanej mowy, gdyż nie starał się już sterować emocjami słuchaczy. Zdawało się, że czerpie słowa z głębokiej zimnej studni cierpienia i bólu, wydrążonej stuleciami okrucieństwa. Jasper uświadomił sobie, że Murzyni opisują swoją niedolę słowami proroków Starego Testamentu, ból zaś uśmierzają pocieszeniem ewangelii nadziei Jezusa.

- Mam sen, że pewnego dnia ten naród powstanie i naprawdę zacznie żyć zgodnie z wyznawanymi zasadami - mówił Martin Luther King. - Uważamy te prawdy za oczywiste, że wszyscy ludzie stworzeni są jako równi. Mam sen, że pewnego dnia na czerwonych wzgórzach Georgii synowie byłych niewolników i synowie ich byłych właścicieli będą mogli zasiąść razem przy stole braterstwa, mam taki sen. Że pewnego dnia nawet stan Missisipi, tętniący żarem niesprawiedliwości, żarem opresji, przemieni się w oazę wolności i sprawiedliwości. Mam sen.

Wpadł w rytm i dwieście tysięcy słuchających go ludzi czuło, że ten rytm kołysze ich dusze. To było coś więcej niż przemówienie: to był wiersz, kantyczka i modlitwa głęboka jak grobowiec. Poruszająca serce fraza „Mam sen” dźwięcznie zamykała każde zdanie niczym „amen”.

- Że czworo moich dzieci pewnego dnia będzie żyło w kraju, w którym nie będą oceniane po kolorze skóry, lecz po cechach charakteru, taki sen mam dzisiaj. Mam sen, że pewnego dnia w Alabamie, stanie zjadłych rasistów, z gubernatorem, z którego ust płyną słowa podziału i unicestwienia, że pewnego dnia w tejże Alabamie mali czarni chłopcy i małe czarne dziewczęta będą mogli połączyć ręce z małymi białymi chłopcami i dziewczętami jak siostry i bracia, taki sen mam dzisiaj. Ta wiara pozwoli nam wykuć kamień nadziei z góry rozpaczy. Ta wiara pozwoli nam przemienić dźwięczące dysonanse naszego narodu w piękną symfonię braterstwa. Ta wiara pozwoli nam razem pracować i modlić się, razem walczyć i iść do więzienia, razem domagać się wolności, wiedząc, że pewnego dnia będziemy wolni.

Jasper rozejrzał się i zobaczył łzy płynące zarówno po czarnych, jak i po białych twarzach. Nawet on czuł wzruszenie, a uważał się za odpornego na tego rodzaju bodźce.

- A gdy to nastąpi, gdy pozwolimy zabrzmieć wolności, kiedy pozwolimy jej zabrzmieć w każdej wiosce i przysiółku, w każdym stanie i mieście, będziemy mogli przyspieszyć dzień, w którym wszystkie Boże dzieci, czarne i białe, żydzi i goje, protestanci i katolicy, połączą swoje dłonie...

Mówca przerwał na chwilę, tłum prawie całkowicie ucichł.

Jego głos drżał niczym poruszany uczuciem silnym jak trzęsienie ziemi.

- ...i zaśpiewają słowami starej murzyńskiej pieśni: „Nareszcie wolni! Nareszcie wolni! Bogu Wszechmogącemu dzięki, oto wreszcie jesteśmy wolni!”.

Martin Luther King odszedł od mikrofonu.

Rzesza zgromadzonych ludzi wydała taki ryk, jakiego Jasper nigdy nie słyszał. Wstali na równe nogi poderwani wybuchem nadziei. Aplauz toczył się bez końca niczym fale bezkresnego oceanu.

Trwał do chwili, gdy wystąpił mentor Kinga, dystyngowany białowłosy Benjamin Mays. Podszedł do mikrofonu i wypowiedział słowa błogosławieństwa. Wtedy słuchacze zrozumieli, że to koniec, i niechętnie odwrócili się od sceny, by się rozejść.

Jasper czuł się tak, jakby przeżył nawałnicę, bitwę albo romans: był wyczerpany, lecz przepelniała go radość.

On i Beep ruszyli w kierunku mieszkania Dewarów, prawie się nie odzywając. „Echo” na pewno będzie tym zainteresowane, myślał Jasper. Setki tysięcy ludzi usłyszało łamiące serce błaganie o sprawiedliwość. Przecież to niemożliwe, by koszmarnie skandale seksualne w brytyjskich sferach politycznych mogły walczyć o miejsce na pierwszej stronie gazety z wydarzeniem tej miary.

Nie mylił się.

Matka Beep, Bella, siedziała przy stole w kuchni i łuskała fasolę, a panna Betsy obierała ziemniaki. Gdy tylko Jasper wszedł, odezwała się do niego Bella:

- Dzwonili do ciebie z Londynu, z „Daily Echo”, i to dwa razy. Niejaki pan Pugh.

- Dziękuję - odparł Jasper, czując, jak bije mu serce. - Mogę oddzwonić?

- Naturalnie, dzwoń.

Jasper poszedł do gabinetu.

- Uczestniczyłeś w marszu? - zapytał Pugh. - Słyszałeś przemowę?

- Tak, tak. To było coś niewiarygodnego...

- Wiem. Idziemy z tym na całość. Możesz nam dać tekst w stylu relacja naocznego świadka? Osobisty, z własnymi wrażeniami. Nie przejmuj się zbytnio faktami i liczbami, wszystko to będzie w głównym materiale.

- Z wielką chęcią - powiedział Jasper i było to niedopowiedzenie, bo radość wręcz go rozpierała.

- No to już. Jakieś tysiąc słów. W razie czego zawsze możemy przyciąć.

- Dobrze.

- Zadzwoń za godzinę, przełączę cię do maszynistki.

- Mógłbym dostać trochę więcej czasu? - spytał Jasper, lecz Pugh zdążył już odłożyć słuchawkę. - A niech to - mruknął do ściany.

Na biurku Woody'ego Dewara leżał typowy amerykański żółty notatnik prawniczy. Jasper przysunął go sobie i ujął ołówek. Zastanawiał się chwilę, po czym napisał:

Stałem dzisiaj wśród rzeszy dwustu tysięcy osób i słyszałem, jak Martin Luther King definiuje na nowo, co to znaczy być Amerykaninem.

Maria Summers była wniebowzięta.

Telewizor w biurze prasowym był włączony i przerwała pracę, by obejrzeć Martina Luthera Kinga. To samo zrobili niemal wszyscy w Białym Domu, nie wyłączając prezydenta.

Po zakończeniu wystąpienia Kinga poczuła uniesienie. Nie mogła się doczekać, by usłyszeć opinii Kennedy'ego. Kilka minut później wezwano ją do Gabinetu Ovalnego. Pokusa, by uściskać prezydenta, była trudniejsza do opanowania niż zazwyczaj.

- Jest cholernie dobry - rzekł z pewną rezerwą prezydent. Po chwili dodał: - Wybiera się tutaj, już jest w drodze.

Maria przyjęła to z radością.

Jack Kennedy się zmienił. Kiedy się w nim zakochała, popierał prawa obywatelskie rozumowo, ale nie emocjonalnie. Zmiany nie spowodował ich romans. To bezwzględna brutalność i bezprawie zwolenników segregacji wstrząsnęły nim i sprawiły, że zaangażował się sercem. Zaryzykował wszystko, przedkładając Kongresowi nową ustawę o prawach obywatelskich. Wiedziała lepiej niż ktokolwiek inny, jak bardzo się tym niepokoił.

Wszedł George Jakes, jak zwykle nienagannie ubrany: dzisiaj miał na sobie granatowy garnitur, jasnopopielatą koszulę i krawat w paski. Uśmiechnął się ciepło do Marii. Czuła do niego sympatię, okazał się przyjacielem w potrzebie. Uważała go za drugiego pod względem atrakcyjności mężczyznę, jakiego zna.

Zdawała sobie sprawę, że ona i George znaleźli się tam na pokaz, gdyż należeli do nielicznych kolorowych pracowników administracji państwowej. Oboje pogodzili się już z rolą symboli. Nie stanowiło to nieuczciwości, mimo że ich liczba była mała, ponieważ Kennedy mianował na wysokie stanowiska więcej Murzynów niż jakikolwiek inny prezydent.

Kiedy zjawił się Martin Luther King, prezydent przywitał go słowami:

- Mam sen!

Chciał dobrze, Maria to rozumiała, lecz uważała, że odzywka jest nie na miejscu. Sen Kinga miał swoje źródło w głębokim poczuciu straszliwych prześladowań, Jack Kennedy zaś

przyszedł na świat w środowisku uprzywilejowanej amerykańskiej elity, zamożnej i wpływowej - jak mógł więc twierdzić, że marzy o wolności i równości? Doktor King najwyraźniej podzielał to poczucie, gdyż wyglądał na zakłopotanego i zmienił temat. Później, gdy będą leżeli w łóżku, prezydent zapyta Marię, w którym momencie popełnił błąd, a ona będzie musiała mu to wyjaśnić z czułością i w krzepiący sposób.

King oraz pozostali liderzy ruchu praw obywatelskich nie jedli od śniadania. Uświadomiwszy to sobie, prezydent polecił, by z kuchni Białego Domu przyniesiono dla nich kawę i kanapki.

Maria zachęcała uczestników spotkania, by ustawili się do oficjalnego zdjęcia, a potem zaczęły się rozmowy.

Doktor King i jego współpracownicy starali się unikać poczucia euforii. Oznajmili prezydentowi, że po dzisiejszej demonstracji ustawa o prawach obywatelskich może zostać uzupełniona. Powinien się w niej znaleźć ustęp zakazujący dyskryminacji rasowej w sferze zatrudniania pracowników. Młodzi czarnoskórzy mężczyźni w zatrważającej liczbie rzucali szkołę, nie widząc w niej dla siebie przyszłości.

Prezydent zasugerował, że Murzyni powinni naśladować Żydów, którzy wysoko stawiali edukację i nakłaniali swoje dzieci do studiowania. Maria, która pochodziła z murzyńskiej rodziny postępującej właśnie w taki sposób, przyznała mu rację. Jeśli czarni chłopcy rzucają szkołę, to czy jest to problem rządu? Jednocześnie spostrzegła, że Kennedy zręcznie odszedł od sedna zagadnienia, którym było to, że miliony stanowisk pracy zarezerwowanych jest wyłącznie dla białych.

Poprosili Kennedy'ego, by stanął na czele kruczaty praw obywatelskich. Maria wiedziała, że prezydent nie może powiedzieć tego, co naprawdę myśli: jeśli zacznie być zbyt mocno identyfikowany z dążeniami Murzynów, wtedy wszyscy biali zagłosują na republikanów.

Sprytny Walter Reuther podsunął mu inną radę. Trzeba określić, którzy biznesmeni stoją za Partią Republikańską, i wyłuskiwać ich małymi grupkami, tłumaczył. Oznajmić im, że jeśli nie pójdą na współpracę, ucierpią na tym ich zyski. Maria wiedziała, że tak podchodzi do zagadnienia Lyndon Johnson, łącząc pochlebstwa z groźbami. Rada nie trafiła do prezydenta, gdyż nie była w jego stylu.

Kennedy zrobił przegląd kongresmenów i senatorów pod kątem ich stosunku do kwestii rasowych: odliczał na palcach tych, którzy prawdopodobnie opowiedzą się przeciwko ustawie o prawach obywatelskich. Wyszedł z tego przerażający rejestr uprzedzeń, apatii i bojaźliwości. Prezydent dał do zrozumienia, że trudno mu będzie przeprowadzić w Kongresie

nawet rozwodnioną wersję ustawy; twardsza wersja byłaby skazana na porażkę.

Maria poczuła się tak, jakby spadł na nią żałobny całun. Ogarnęły ją zmęczenie, przygnębienie i pesymizm. Rozbolała ją głowa i chciała iść do domu.

Spotkanie potrwało ponad godzinę. Zanim dobiegło końca, wśród uczestników nie pozostał nawet ślad niedawnego uniesienia. Liderzy ruchu praw obywatelskich wyszli, ich twarze znamionowały rozczarowanie i frustrację. Martin Luther King miał swój sen, ale wydawało się, że naród amerykański go nie podziela.

Marii trudno było w to uwierzyć, lecz odnosiła wrażenie, że po wszystkim, co dzisiaj się stało, wielka sprawa równości i wolności nie posunęła się do przodu.

## ROZDZIAŁ 28

Jasper był przekonany, że zdobędzie stanowisko redaktora naczelnego gazetki „St. Julian’s News”. Do podania dołączył wycinek ze swoim artykułem z „Daily Echo” poświęconym przemówieniu Martina Luthera Kinga ze słynnym lejtymotywem „Mam sen”. Wszyscy chwalili tekst. Zapłacono mu dwadzieścia pięć funtów, czyli mniej niż dostał za wywiad z Evie: okazało się, że polityka nie jest tak lukratywna jak skandal w świecie sławnych ludzi.

- Toby Jenkins nie opublikował nawet akapitu poza prasą studencką - mówił do Daisy Williams. Siedzieli w kuchni mieszkania przy Great Peter Street.

- Czy to twój jedyny rywal?

- O ile mi wiadomo, tak.

- Kiedy poznasz decyzję?

Jasper spojrział na zegarek, mimo że wiedział, która jest godzina.

- W tej chwili trwa posiedzenie komitetu. O dwunastej trzydzieści wyjdą na lunch i wywieszą kartkę przed biurem lorda Jane’a. Jest tam mój przyjaciel Pete Donegan. Wezmę go na zastępcę. Zadzwoń do mnie od razu.

- Dlaczego tak bardzo zależy ci na tym stanowisku?

Ponieważ wiem, jak cholernie jestem dobry, pomyślał Jasper: dwa razy lepszy od Cakebreada i dziesięć razy lepszy od Toby’ego Jenkinsa. Zasługuję na to stanowisko. Jednak nie otworzył serca przed Daisy Williams. Trochę się jej obawiał. Kochała jego matkę, a nie jego. Po ukazaniu się w „Echo” wywiadu z Evie Jasper udawał oburzenie i zdawało mu się, że Daisy niezupełnie dała się oszukać. Martwił się, że go przejrzała. Jednak zawsze odnosiła się do niego życzliwie przez wzgląd na jego matkę.

Przedstawił jej zmiękczoną wersję prawdy.

- Mogę zrobić z „St. Julian’s News” prawdziwą gazetę. Teraz przypomina gazetkę parafialną, opowiada o bieżących wydarzeniach, ale boi się konfliktów i kontrowersji. - Jasper chciał powiedzieć coś, co przemówi do ideałów Daisy. - Na przykład w St. Julian’s College jest rada zarządców, a niektórzy z nich mają inwestycje w Republice Południowej Afryki, gdzie panuje apartheid. Opublikowałbym tę informację i zapytał, dlaczego tacy ludzie kierują kolegium słynącym z przywiązania do liberalizmu.

- Dobry pomysł - pochwaliła Daisy. - To wywołałoby poruszenie.

Do kuchni wszedł Walli Franck. Było południe, lecz on widocznie dopiero wstał. Nadal

utrzymywał rockandrollowy rozkład dnia i nocy.

- No cóż, Dave wrócił do szkoły - rzekła Daisy. - Co będziesz robił?

Walli nasypał do filiżanki kawy instant.

- Ćwiczył na gitarze.

Uśmiechnęła się.

- Gdyby była tutaj twoja mama, pewnie zapytałaby, czy nie powinieneś zarobić trochę pieniędzy.

- Nie chcę zarabiać pieniędzy. Ale muszę. Dlatego mam pracę.

Walli mówił czasami tak poprawnie gramatycznie, że trudno go było zrozumieć.

- Nie chcesz pieniędzy, ale masz pracę? - zdziwiła się gospodyni.

- Zmywam szklanki do piwa w klubie Jump.

- Brawo!

Zadzwonił dzwonek u drzwi i po chwili pokojówka wprowadziła do kuchni Hanka Remingtona. Radosny rudzielec roztaczał klasyczny irlandzki czar i każdego obdarzał szerokim uśmiechem.

- Dzień dobry, pani Williams. Chciałbym zaprosić pani córkę na lunch, chyba że pani jest akurat wolna!

Kobiety lubiły jego komplementy.

- Witaj, Hank - odrzekła ciepło Daisy i zwróciła się do pokojówki: - Zapytaj Evie, czy wie, że przyszedł pan Remington.

- To teraz jestem pan Remington, tak? Proszę nie robić ze mnie szacownego mężczyzny, to zepsuje mi reputację. - Podał rękę Jasperowi. - Evie pokazała mi twój artykuł o Martinie Lutherze Kingu, świetny, brawo. - Odwrócił się do Wallego. - Cześć, jestem Hank Remington.

Walli oniemiał z podziwu, lecz zdołał się przedstawić.

- A ja jestem kuzynem Dave'a, gram na gitarze w Plum Nellie.

- Jak poszło w Hamburgu?

- Super, dopóki nas nie wyrzucili, bo Dave był za młody.

- Kords grywali kiedyś w Hamburgu - odparł Hank. - I było bosko. Urodziłem się w Dublinie, ale dorosłem na Reeperbahn, rozumiesz.

Jasper uważał, że Hank jest fascynujący. Bogaty i sławny, jeden z największych gwiazdorów muzyki pop na świecie, a mimo to bardzo się starał być miły dla wszystkich obecnych. Nienasycone pragnienie wzbudzania sympatii - czyżby na tym polegał sekret jego powodzenia?



Pojawiła się Evie, wyglądała wspaniale. Włosy miała obcięte krótko na modłę fryzur Beatlesów i była ubrana w prostą sukienkę według projektu Mary Quant, która podkreślała smukłość jej nóg. Hank udał, że jest oszołomiony.

- Jezu, wyglądasz tak, że będę cię musiał zabrać do jakiegoś wystrzałowego lokalu. A myślałem o barze Wimpy.

- Gdziekolwiek pójdziemy, musimy się uwijać - odrzekła Evie. - O piętnastej trzydzieści mam przesłuchanie.

- Jakie przesłuchanie?

- Do nowej sztuki zatytułowanej *Proces kobiety*. To dramat sądowy.

Hank się ucieszył.

- Zadebiutujesz na deskach teatralnych!

- Jeśli dostanę rolę.

- Och, dostaniesz. No, chodź już, moje mini stoi zaparkowane na żółtej linii.

Wyszli, a Walli wrócił do swojego pokoju. Jasper spojrzął na zegarek: było wpół do pierwszej. Lada chwila zostanie ogłoszone nazwisko nowego redaktora.

- Bardzo spodobało mi się w Stanach - powiedział dla podtrzymania rozmowy.

- Chciałbyś tam mieszkać? - zapytała Daisy.

- Jak nie wiem co. I chcę pracować w telewizji. „St. Julian’s News” to będzie świetny początek, ale zasadniczo gazety robią się przestarzałe. W tej chwili na szczycie są telewizyjne serwisy informacyjne.

- Ameryka to mój dom - odrzekła Daisy tonem zadumy - ale miłość znalazłam w Londynie.

Zadzwoił telefon. Wybrano redaktora naczelnego. Kto nim został: Jasper czy Toby Jenkins?

Daisy odebrała.

- Jest tutaj - powiedziała i przekazała słuchawkę Jasperowi. Serce waliło mu jak młot.

Telefonował Pete Donegan.

- Wybrali Valerie Cakebread.

W pierwszej chwili Jasper nie zrozumiał.

- Co takiego? Kogo?

- Nowym redaktorem naczelnym „St. Julian’s News” została Valerie Cakebread. Sam załatwił posadę siostrze.

- Valerie? - Jasper wreszcie przyswoił informację i był oburzony. - Nigdy nie napisała niczego oprócz bzdur o modzie!

- Oraz parzyła herbatę w magazynie „Vogue”.
- Jak mogli coś takiego zrobić?
- Mnie nie pytaj.
- Wiedziałem, że lord Jane to fiut, ale...
- Przyjść do ciebie?
- Po co?
- Możemy gdzieś wyjść i utopić smutki.
- Dobra. - Jasper odłożył słuchawkę.
- Złe wieści, jak rozumiem - powiedziała Daisy. - Przykro mi.

Jasper był wstrząśnięty.

- Dali pracę siostrze obecnego szefa redakcji! Nigdy bym się tego nie spodziewał.

Przypomniał sobie rozmowę z Samem i Valerie w kawiarence związku studentów. Zdradziecka parka, żadne nie wspomniało ani słowem o tym, że Valerie także liczy się w tej rywalizacji.

Uświadomił sobie z goryczą, że wymanewrował go ktoś, kto jest przebieglejszy od niego.

- Wielka szkoda - odezwała się Daisy.

Tak to jest w Wielkiej Brytanii, myślał z niechęcią Jasper: koneksje rodzinne są ważniejsze od zdolności. Jego ojciec padł ofiarą tego samego zjawiska i dlatego nadal był zaledwie pułkownikiem.

- I co zrobisz?

- Wyjadę za granicę - odparł Jasper. Postanowienie było silne jak nigdy przedtem.

- Najpierw skończ studia - poradziła Daisy. - Amerykanie cenią wykształcenie.

- Pewnie masz rację - odparł Jasper. Jednak studia były u niego zawsze na drugim miejscu po dziennikarstwie. - Nie mogę pracować w „St. Julian’s News” pod Valerie. W zeszłym roku przyjąłem porażkę ze spokojem, pokonał mnie Sam, ale po raz drugi nie mogę tego zrobić.

- Zgadzam się. Wyszłoby na to, że godzisz się na drugorzędną rolę.

Nagle uderzyła go pewna myśl i w jego głowie zaczął się tworzyć plan.

- Najgorsze jest to, że teraz już nie będzie żadnej gazety, która ujawni takie sprawy jak skandal z zarządcami inwestującymi w Republice Południowej Afryki.

Daisy chwyciła przynętę.

- Może ktoś otworzy konkurencyjną gazetę.

Jasper udał niedowierzanie.

- Wątpię w to.

- Tak zrobiły babcia Dave'a i Wallego w tysiąc dziewięćset szesnastym roku. Gazeta nazywała się „Żona Żołnierza”. Jeśli im się udało...

Jasper zrobił niewinną minę i zadał fundamentalne pytanie:

- Skąd wzięły fundusze?

- Rodzina Maud była bogata. Ale wydrukowanie paru tysięcy egzemplarzy nie może kosztować bardzo dużo. Później drugi numer możesz sfinansować z wpływów za pierwszy.

- Mam dwadzieścia pięć funtów, które „Echo” zapłaciło mi za artykuł o Martinie Lutherze Kingu. Wątpię, czy to wystarczy...

- Ja mogłabym pomóc.

Jasper udał, że się opiera.

- Być może nigdy nie odzyskasz pieniędzy.

- Zrób projekt budżetu.

- Pete tutaj jedzie, możemy zadzwonić do paru osób.

- Jeśli wyłożysz swoje pieniądze, ja dam tyle samo.

- Dziękuję! - Jasper nie miał zamiaru wydawać własnych pieniędzy, ale budżet przypomina kolumnę plotkarską w gazecie: większość to fikcja, bo i tak nikt nie zna prawdy.

- Może uda się złożyć pierwszy numer na początek semestru, jeśli się pospieszymy.

- Tekst o południowoafrykańskich inwestycjach powinien być na pierwszej stronie.

Jasper był podbudowany na duchu. Może sprawy przybiorą jeszcze lepszy obrót.

- Taak... W „St. Julian's News” na pierwszej stronie ukaże się nijaki tytuł w rodzaju Witajcie w Londynie. Nasza gazeta będzie tą prawdziwą. - Ogarnęło go podniecenie.

- Pokaż mi jak najszybciej ten budżet - powiedziała Daisy. - Jestem pewna, że razem coś wymyślimy.

- Dziękuję - odparł Jasper.

## ROZDZIAŁ 29

Jesienią 1963 roku George kupił samochód. Było go stać i podobał mu się ten pomysł, mimo że po Waszyngtonie bez problemu można się poruszać publicznymi środkami transportu. Wolał zagraniczne wozy: uważał, że są bardziej stylowe. Wyszukał efektownie wyglądający pięcioletni dwudrzwiowy kabriolet Mercedes 220S. W trzecią niedzielę września pojechał do hrabstwa Prince George w Marylandzie; jego matka mieszkała tam na przedmieściu. Jacky ugotuje dla niego obiad, a potem on zawiezie ją na wieczorną mszę do Kościoła Ewangelickiego Bethel. Ostatnio nieczęsto miał czas, by ją odwiedzać, nawet w niedziele.

Jadąc Suitland Parkway z opuszczonym dachem, myślał o pytaniach, które matka mu zada, i o swoich odpowiedziach. Wrześniowe słońce świeciło łagodnie. Najpierw zapyta o Verenę. „Verena mówi, że nie jest dla mnie dość dobra, mamó. Co ty na to?”

„Ma rację”, odpowie zapewne Jacky. Uważała, że niewiele jest dziewcząt wystarczająco dobrych dla jej syna.

Będzie chciała wiedzieć, jak układa mu się z Bobbym Kennedym. Prawda polegała na tym, że Bobby był człowiekiem pełnym skrajności. Istnieli ludzie, których głęboko nienawidził: jednym z nich był J. Edgar Hoover. George nie miał nic przeciwko temu, bo sam gardził szefem FBI. Jednak drugim był Lyndon Johnson. George żałował, że tak się sprawy mają, ponieważ Johnson mógł być potężnym sprzymierzeńcem. Niestety, byli jak oliwa i woda. George usiłował sobie wyobrazić rosnącego, hałaśliwego wiceprezydenta w otoczeniu superszykownego klanu Kennedych na jachcie w Hyannis Port. Uśmiechnął się: Lyndon wyglądałby jak nosorożec na lekcji baletu.

Sympatia Roberta Kennedy’ego była równie mocna jak jego nienawiść i na szczęście George był wśród lubianych. Należał do ścisłego grona osób, którym prokurator generalny całkowicie ufał, toteż kiedy popełniali błędy, zakładał, że mieli dobre zamiary, i przebaczał. Co George powie matce o Bobbym? „To mądry człowiek, który szczerze pragnie uczynić Amerykę lepszym krajem”.

Będzie chciała wiedzieć, dlaczego bracia Kennedy tak opieszale zabierają się do ustawy o prawach obywatelskich. „Gdyby naciskali mocniej, biali by się odwinęli i skutek byłby dwojaki. Po pierwsze, ustawa przepadałaby w Kongresie. Po drugie, Jack Kennedy przegrałby wybory prezydenckie w tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym czwartym roku. A jeśli on przegra, kto zostanie zwycięzcą? Dick Nixon? Barry Goldwater? Mógłby to być nawet

George Wallace, broń Panie Boże”.

Tak sobie myślał, parkując samochód na podjeździe małego ładnego domku Jacky Jakes. Otworzył frontowe drzwi i wszedł.

Wszystkie myśli uleciały w jednej chwili, gdy usłyszał płacz matki.

Opadł go dziecięcy lęk. Rzadko słyszał płacz matki: w pejzażu jego młodości zawsze była ostoją siły. Jednak kilka razy się poddała, a wtedy pękały wszelkie hamulce i wyplakiwała głośno swój żal i strach, a małego Georgy’ego dławili niezrozumienie i trwoga. W tej chwili przez sekundę musiał stłumić dziecięce przerażenie i przypomnieć sobie, że jest dorosły i że nie powinien się bać łez matki.

Trzasnął drzwiami, przemierzył mały przedsionek i wszedł do saloniku. Jacky siedziała na brązowej kanapie przed telewizorem i przyciskała dłonie do policzków, jakby bała się, że odpadnie jej głowa. Łzy płynęły strumieniami. Miała otwarte usta i zawodziła, patrząc szeroko otwartymi oczyma na ekran.

- Mamo, co się stało, na litość boską?

- Cztery małe dziewczynki! - wyszłochała.

George spojrział na czarno-biały obraz. Dwa samochody wyglądały, jakby się zderzyły. Potem kamera przesunęła się na budynek z popękkanymi murami i szybami. Kiedy powrócił poprzedni plan, George rozpoznał budynek i jego serce drgnęło gwałtownie.

- Mój Boże, przecież to kościół Baptistów przy Szesnastej Ulicy w Birmingham! Co oni zrobili?

- Podłożyli bombę w szkółce niedzielnej! - odparła matka.

- Nie! Nie! - Umysł George’a nie mógł się z tym pogodzić. Nawet w Alabamie mężczyźni nie wysadziliby w powietrze szkółki niedzielnej.

- Zabili cztery dziewczynki - dodała Jacky. - Dlaczego Bóg na to pozwolił?

Głos spikera mówił:

- Śmiertelne ofiary to Denise McNair, jedenaście lat...

- Jedenaście lat! - zawołał George. - To niemożliwe!

- ...Addie Mae Collins, czternaście, Carole Robertson, czternaście oraz Cynthia Wesley, również czternaście lat.

- Ależ to dzieci! - powiedział George.

- W wybuchu zranionych zostało ponad dwadzieścia osób - kontynuował spiker tonem wypranym z emocji. Kamera pokazała karetkę odjeżdżającą z miejsca zamachu.

George usiadł obok matki i otoczył ją ramieniem.

- Co teraz zrobimy? - spytał.

- Módlmy się.

Spiker kontynuował bezlitośnie:

- Był to dwudziesty pierwszy atak bombowy na Murzynów w Birmingham w ciągu ostatnich ośmiu lat. Policja ani razu nie pociągnęła sprawców zamachów do odpowiedzialności.

- Modlić się? - powtórzył George głosem drżącym od żalu.

W tamtej chwili pragnął kogoś zabić.

Wybuch bomby w szkółce niedzielnej zatrwożył ludzi na całym świecie. Nawet w odległej Walli grupy górników zorganizowały zbiórki pieniędzy, by wstawiono nowe witraże strzaskane w kościele Baptistów przy Szesnastej Ulicy.

Podczas pogrzebu Martin Luther King powiedział:

„Nawet w tej czarnej godzinie nie wolno nam tracić wiary w naszych białych braci”. George starał się iść za tą radą, lecz było mu trudno.

Przez jakiś czas sądził, że szala zwycięstwa przechyla się na korzyść praw obywatelskich. Komisja w Kongresie wzmocniła projekt ustawy Kennedy’ego, dodając zakaz dyskryminacji przy zatrudnianiu, którego tak usilnie domagali się liderzy kampanii.

Jednakże kilka tygodni później zwolennicy segregacji wydostali się z narożnika i wyprowadzili cios.

W połowie października do Departamentu Sprawiedliwości dostarczono kopertę, trafiła do George’a. Przesyłka zawierała cienki oprawiony raport FBI zatytułowany:

Komunizm a ruch Murzynów

Aktualna analiza

- Co jest, kurwa? - mruknął do siebie George.

Szybko przeczytał tekst, który liczył jedenaście stron i miał druzgocącą wymowę. Martin Luther King nazywany był „człowiekiem bez zasad”. Autorzy twierdzili, że „świadomie, chętnie i regularnie” przyjmuje rady od komunistów. W tonie pewności siebie, jakby widzieli to na własne oczy, napisali: „Oficjele Partii Komunistycznej snują wizje, że możliwa jest sytuacja, w której można będzie powiedzieć, że Martin Luther King postępuje tak samo jak Partia Komunistyczna”.

Stwierdzenia te nie zostały poparte ani jednym strzępem dowodów.

George podniósł słuchawkę i zadzwonił do biura Joego Hugo w siedzibie FBI, mieszczącej się na innym piętrze tego samego gmachu.

- Co to za szajs?

Joe od razu wiedział, o czym mowa, i nie próbował wykręcać się sianem.

- Nie moja wina, że twoi kumple to komuchy. Nie strzelaj do posłańca.

- To nie raport, to stek niczym niepopartych domysłów.

- Mamy dowody.

- Dowód, którego nie można pokazać, to nie dowód, tylko pogłoska. Czyżbyś przysypiał na zajęciach z prawa?

- Źródła informacji muszą być chronione.

- Komu wysłaliście to gównno?

- Niech sprawdzę. Biały Dom, sekretarz stanu, sekretarz obrony, CIA, siły lądowe, marynarka wojenna i siły powietrzne.

- A więc rozesłaliście to po całym Waszyngtonie, ty gnojku.

- Pewnie, że nie zatajamy informacji o wrogach naszego kraju.

- To jest świadoma próba storpedowania ustawy prezydenta o prawach obywatelskich.

- Nigdy byśmy czegoś takiego nie zrobili, George. Jesteśmy tylko jedną z agencji zajmujących się egzekwowaniem przestrzegania prawa. - Po tych słowach Joe odłożył słuchawkę.

Upłynęło kilka minut, zanim George opanował nerwy. Później przejrzał raport i podkreślił najbardziej niedorzeczne zarzuty. Napisał na maszynie notatkę z nazwami resortów rządowych, do których według Joego wysłano raport. Potem zaniósł go szefowi.

Bobby jak zwykle siedział przy biurku bez marynarki, z poluzowanym krawatem i w okularach. Palił cygaro.

- Nie spodoba ci się to - rzekł na wstępie George, podał szefowi raport i pokrótce go streścił.

- Ten lachociąg Hoover - warknął Kennedy.

Już po raz drugi w obecności George'a określił Hoovera tym mianem.

- Chyba nie traktujesz tego dosłownie - powiedział asystent.

- Czyżby?

George aż się zląkł.

- Hoover jest homo?

Trudno było to sobie wyobrazić. Dyrektor FBI był niskim łysiejącym grubaskiem o spłaszczonym nosie, obwisłych policzkach i grubym karku. Wyglądał jak przeciwieństwo cioty.

- Podobno mafia dysponuje jego zdjęciami w sukience - dodał Bobby.

- Czy dlatego Hoover chodzi i rozpowiada, że mafia nie istnieje?

- To jedna z hipotez.
- O Jezu.
- Umów mnie z nim na jutro.

- Dobra. Może tymczasem przejrzę skrypty podsłuchów Levisona? Jeśli Levison prowadzi Kinga w kierunku komunizmu, w tych zapisach musi być jakiś dowód. Levison musiałby opowiadać o burżuazji, masach ludowych, walce klas, rewolucji, dyktaturze proletariatu, Leninie, Marksie, Związku Radzieckim i tym podobnych. Wynotuję każdą tego rodzaju wzmiankę i zobaczymy, ile się tego ueziera.

- Niezły pomysł. Podrzucić mi notatkę, zanim pójdę do Hoovera.

George wrócił do swojego gabinetu i poprosił o skrypt z podsłuchów rozmów telefonicznych Stanleya Levisona, których wierną kopię FBI dostarczyło Departamentowi Sprawiedliwości. Pół godziny później urzędnik wtoczył do jego biurka wózek z dokumentami.

George zabrał się do pracy i uniół głowę dopiero wtedy, gdy sprzątaczką otworzyła drzwi i zapytała, czy może pozamiatać. Siedział przy biurku, kiedy kobieta krzątała się wokół niego. Przypomniał sobie całonocne nasiadówki w Harvardzie, zwłaszcza podczas pierwszego roku, który stawiał przed studentami absurdalnie wysokie wymagania.

Na długo przed zakończeniem kwerendy stało się jasne, że rozmowy Levisona z Kingiem nie miały nic wspólnego z komunizmem. Nie padło ani jedno spośród kluczowych słów wyszczególnionych przez George'a, poczynając od alienacji, a na Zapacie kończąc. Omawiali sprawę książki, którą pisał King, kwestię zbiórki funduszy, planów marszu na Waszyngton. King dzielił się z przyjacielem swoimi wątpliwościami: wprawdzie jest adwokatem pokojowych działań, ale czy ponosi winę za rozruchy i eksplozje bomb spowodowane pokojowymi demonstracjami? Rzadko nawiązywali do zagadnień politycznych, nigdy nie mówili o konfliktach zimnowojennych stanowiących obsesję każdego komunisty, czyli o Berlinie, Kubie i Wietnamie.

O czwartej nad ranem George oparł głowę o biurko i uciął sobie drzemkę. O ósmej wyjął z szuflady czystą koszulę, wciąż w opakowaniu z pralni, i poszedł do łazienki, żeby się umyć. Następnie wystukał na maszynie notatkę, o którą prosił Robert Kennedy. Napisał, że w toku trwających dwa lata rozmów telefonicznych Stanley Levison i Martin Luther King nigdy nie poruszali kwestii komunizmu ani żadnej innej, która jest z nim choćby pośrednio związana.

„Jeśli Levison jest moskiewskim agitatorom, to musi być najgorszym ze wszystkich”, zakończył.



Jeszcze tego samego dnia Bobby odwiedził Hoovera w siedzibie FBI. Po powrocie rzekł do George'a:

- Zgodził się wycofać raport. Jutro jego łącznicy z instytucjami zgłoszą się do odbiorców raportu i wezmą od nich wszystkie egzemplarze. Powiedzą, że tekst wymaga pewnych korekt.

- Dobrze - odparł George. - Ale jest już za późno, prawda?

- Tak - potwierdził Bobby. - Mleko się już rozlało.

Jak gdyby jesienią 1963 roku prezydent Kennedy miał małą zmartwień na głowie, w pierwszą sobotę listopada kryzys wietnamski rozgorzał z nową siłą.

Zachęceni przez niego wojskowi z Wietnamu Południowego usunęli nie lubianego prezydenta Ngo Dinh Diema. Doradca do spraw bezpieczeństwa narodowego McGeorge Bundy obudził prezydenta o trzeciej w nocy i poinformował, że zaaprobowany przez niego zamach stanu doszedł do skutku. Aresztowano Diema i jego brata Nhu. Kennedy nakazał, by Diemowi i jego rodzinie umożliwiono bezpieczną ucieczkę na wygnanie.

Robert Kennedy wezwał George'a, by pojechał z nim na naradę w Sali Gabinetowej, która miała się odbyć o dziesiątej.

W czasie jej trwania do sali wszedł asystent z depeszą informującą o tym, że obaj bracia Ngo Dinh popełnili samobójstwo.

Prezydent był wstrząśnięty, George nigdy nie widział go w takim stanie. Jego opalona skóra pobraźla, zerwał się na równe nogi i wyszedł szybkim krokiem.

- Nie popełnili samobójstwa - rzekł prokurator generalny do George'a po zakończeniu spotkania. - Byli gorliwymi katolikami.

George wiedział o pobycie w Sajgonie Tima Teddera, który służył jako łącznik między CIA a Armią Republiki Wietnamu, w skrócie ARVN. Nikt by się nie dziwił, gdyby się okazało, że to Tedder popełnił błąd.

Około południa CIA odebrała depezę z wiadomością, że na braciach Ngo Dinh wykonano egzekucję. Stało się to we wnętrzu transportera wojskowego.

- Nie mamy żadnej kontroli nad tym, co się tam dzieje - rzekł do szefa zdenerwowany George. - Usiłujemy pomóc temu narodowi znaleźć drogę do wolności i demokracji, ale nic nie skutkuje.

- Poczekaj jeszcze rok - odparł Bobby. - Nie wolno nam teraz oddać Wietnamu w ręce komunistów, bo mój brat przegrałby przyszłoroczne listopadowe wybory prezydenckie. Ale jak tylko wygra, wycofamy się w gniewie oka. Przekonasz się.

Pewnego wieczoru tego samego miesiąca w sali sąsiadującej z gabinetem Roberta Kennedy'ego siedziała z ponurymi minami grupa asystentów. Interwencja Hoovera odniosła zamierzony skutek i ruch praw obywatelskich znalazł się w tarapatkach. Kongresmeni, którzy nie chcieli, by przypięto im łątkę rasistów, tylko czekali na pretekst, żeby zagłosować przeciwko ustawie, i Hoover im go dostarczył.

Ustawa rutynowo trafiła do Komisji Praworządności, której przewodniczył Howard W. Smith z Wirginii, jeden z najbardziej konserwatywnie nastawionych demokratów z Południa. Ośmielony zarzutami FBI pod adresem ruchu praw obywatelskich ogłosił, że jego komisja będzie trzymała ustawę w szufladzie w nieskończoność.

Rozwścieczyło to George'a. Czy ci ludzie nie rozumieli, że ich postawa doprowadziła do tego, że zamordowano dziewczynki w szkółce niedzielnej? Dopóki szanowani ludzie będą mówili, że wolno jest traktować Murzynów, jakby byli nie w pełni ludźmi, dopóty bezmyślne zbiry będą uważały, że mają przyzwolenie na to, by mordować dzieci.

Sprawy przybierały coraz gorszy obrót. Na rok przed wyborami Jack Kennedy tracił popularność. On i Bobby martwili się zwłaszcza o Teksas. Kennedy wygrał w Teksasie w 1960 roku, gdyż miał lubianego w tym stanie współkandydata Lyndona Johnsona. Niestety, trzy lata współpracy z liberalną administracją Kennedy'ego zniszczyły wiarygodność Johnsona wśród konserwatywnej elity przemysłowej.

- Nie chodzi tylko o prawa obywatelskie - przekonywał George. - Proponujemy zniesienie odpisu z tytułu wyczerpywania się zapasów ropy. Tekszańscy nafciarze przez dziesiątki lat nie płacili podatków i nienawidzą nas za to, że chcemy gwizdnąć im przywileje.

- Tak czy siak - odparł Dennis Wilson - tysiące konserwatystów z Teksasu odeszło z Partii Demokratycznej i wstąpiło do Partii Republikańskiej. I uwielbiają senatora Goldwatera.

- Barry Goldwater, republikanin o silnie prawicowych poglądach, chciał ograniczyć nakłady na bezpieczeństwo socjalne i zrzucić bomby atomowe na Wietnam. - Jeśli Barry stanie do wyścigu o prezydenturę, Teksas będzie jego.

- Prezydent powinien się tam wybrać i poflirtować z tymi oszczyptami - zasugerował jeden z asystentów.

- Wybierze się - zapewnił Dennis. - Razem z Jackie.

- Kiedy?

- Będą w Houston dwudziestego pierwszego listopada, a nazajutrz pojedą do Dallas.

## ROZDZIAŁ 30

Maria Summers oglądała telewizję w biurze prasowym Białego Domu, kiedy samolot Air Force One w olśniewającym blasku słońca wylądował na pasie lotniska w Dallas nazywanego Love Field<sup>10</sup>.

Do tylnych drzwi podstawiono schody. Wiceprezydent Lyndon Johnson i jego żona Lady Bird Johnson stanęli u ich stóp i czekali na prezydenta. Za ogrodzeniem z siatki ustawiło się dwa tysiące osób.

Drzwi samolotu otworzyły się i po chwili oczekiwania ukazała się w nich Jackie Kennedy w kostiumie od Chanel i dobranym kolorystycznie toczku. Tuż za nią stał jej mąż, kochanek Marii, prezydent John Fitzgerald Kennedy. W skrytości ducha Maria nazywała go Johnnym, tego zdrobnienia używali czasami jego bracia.

Miejscowy komentator telewizyjny mówił:

„Dostrzegam opaleniznę aż z tego miejsca!” Maria domyśliła się, że jest nowicjuszem: obraz telewizyjny był monochromatyczny, a komentator nie relacjonował oglądanych barw, tymczasem każda kobieta oglądająca transmisję chętnie usłyszałaby, że kostium Jackie jest różowy.

Zadała sobie pytanie, czy zamieniłaby się z Jackie, gdyby miała taką możliwość. W sercu tęskniła do tego, by mieć go na własność, by móc powiedzieć wszystkim, że go kocha, wskazać i oznajmić: Oto mój mąż. Jednak w związku tym przyjemności towarzyszyłby także smutek. Prezydent ustawicznie zdradzał żonę, i to nie tylko z Marią. Nigdy się do tego nie przyznał, lecz stopniowo uświadomiła sobie, że jest jedną z wielu, może z kilkudziesięciu. Trudno było być jego kochanką i dzielić się nim, a o ile boleśniej musiała to odczuwać żona. Wiedziała, że obcuje z innymi kobietami, że je całuje i dotyka intymnych części ich ciał, i przy każdej okazji pakuje im fiuta do ust. Maria nie mogła narzekać, gdyż dostawała to, do czego miała prawo kochanka. Jednakże Jackie nie otrzymywała tego, do czego uprawniona jest żona. Trudno było zważyć, co jest gorsze.

Para prezydencka zstąpiła po schodach i zaczęła witać się z czekającymi na dole ważniakami z Teksasu. Maria zastanawiała się, ilu spośród tych, którzy tak chętnie pokazują się z Kennedym, poprze go w przyszłorocznych wyborach, ilu zaś ukrywa za uśmiechami zdradę.

Prasa w Teksasie była nastawiona wrogo. Należąca do zagorzałego konserwatysty

---

<sup>10</sup> *Love Field* (ang.) - pole miłości.

gazeta „Dallas Morning News” w ciągu minionych dwóch lat określała prezydenta mianem oszusta, sympatyka komunizmu, złodzieja oraz „po stokroć durnia”. Tego ranka z zapałem szukała czegoś negatywnego, co można powiedzieć o triumfalnej podróży Jacka i Jackie. Zadowolono się tytułem: Burza kontrowersji politycznych wokół wizyty Kennedy’ego. W środku jednak zamieszczono całostronicowe ogłoszenie opłacone przez organizację o nazwie Amerykański Komitet Ustalania Faktów, zawierające cały szereg zjadliwych pytań skierowanych do prezydenta, takich jak na przykład: „Dlaczego Gus Hall, szef Amerykańskiej Partii Komunistycznej, wyraża się pochlebnie o niemal każdym pańskim posunięciu politycznym?”. W sensie politycznym trudno było o głupsze koncepcje. Zdaniem Marii, jeśli ktoś uważał prezydenta Kennedy’ego za kryptokomunistę, nadawał się do szpitala psychiatrycznego. Jednak ton zarzutów był głęboko podły i aż zadrżała na ich widok.

Rozmyślenia przerwał jej oficer prasowy.

- Mario, jeśli nie jesteś zajęta...

Rzecz jasna była wolna, bo oglądała telewizję.

- Co mogę zrobić?

- Chcę, żebyś pobiegła do archiwum. - Gmach Archiwum Narodowego znajdował się kilometr od Białego Domu. - Tu masz listę. - Wręczył jej arkusz papieru.

Maria często pisywała komunikaty dla prasy, a przynajmniej ich szkice, lecz nie dostała awansu na stanowisko oficera prasowego; jak dotąd nie została nim żadna kobieta. Po ponad dwóch latach nadal była researcherką. Już dawno zmieniłaby pracę, gdyby nie romans. Spojrzała na listę.

- Zaraz tam pójde.

- Dzięki.

Ostatni raz rzuciła okiem na ekran telewizora. Prezydent odłączył się od oficjalnej delegacji i podszedł do zgromadzonych ludzi. Wyciągał rękę nad ogrodzeniem i ścisnął dłonie, Jackie podążała za nim w swoim charakterystycznym toczku. Sympatycy krzyczeli z radości, że mogą dotknąć złotej pary. Maria widziała znanych sobie agentów Secret Service, którzy starali się trzymać blisko prezydenta. Przeszukiwali wzrokiem ludzkie szeregi, wypatrując ewentualnych zagrożeń.

Pilnujcie dobrze mojego Johnny’ego, poprosiła ich w myślach.

Potem wyszła.

Tego ranka George pojechał swoim kabrioletem do miejscowości McLean w Wirginii, oddalonej o dwanaście kilometrów od Białego Domu. Robert Kennedy mieszkał tam ze swoją

liczną rodziną w pomalowanym na biało murowanym domu z trzynastoma sypialniami, noszącym nazwę Hickory Hill. Prokurator generalny wyznaczył u siebie naradę w porze lunchu, miano rozmawiać o zorganizowanej przestępczości. Kwestia wykraczała poza zakres specjalizacji George'a, ale w miarę jak zyskiwał sobie zaufanie Bobby'ego, ten zapraszał go na więcej spotkań.

Stał w salonie domu obok swojego rywala Dennisa Wilsona i oglądał przekaz telewizyjny z Dallas. Prezydent i Jackie robili dokładnie to, czego pragnęli od nich wszyscy pracownicy administracji rządowej, a mianowicie czarowali Teksaszczyków, rozmawiając z nimi i wymieniając uściski. Jackie obdarzała wszystkich swoim słynnym zniewalającym uśmiechem i wyciągała dłoń obleczoną w rękawiczkę.

George zauważył w tle swojego kolegę Skipa Dickersona, który był blisko wiceprezydenta Johnsona.

Para prezydencka skierowała się do limuzyny. Był to wydłużony czterodrzwiowy kabriolet Lincoln Continental z opuszczonym dachem. Obywatele zobaczą prezydenta bezpośrednio, nawet nie przez szybę. Gubernator Teksasu John Connally stał w otwartych drzwiach z wielkim jak beczka kapeluszem na głowie. Prezydent i jego żona usadowili się na tylnych siedzeniach. Kennedy oparł prawy łokieć na krawędzi okna, wyglądał na zadowolonego i odprężonego. Samochód ruszył z wolna, eskortowany przez policjantów na motocyklach. Kawalkadę zamykały trzy autobusy z reporterami.

Konwój wyjechał z lotniska i znalazł się na szosie, transmisja telewizyjna dobiegła końca. George zgasił odbiornik.

Pogoda w Waszyngtonie była tak ładna jak w Dallas, toteż Bobby postanowił, że narada odbędzie się na zewnątrz. Wszyscy wyszli tylnymi drzwiami i ruszyli trawnikiem w kierunku patio, gdzie stały już rozstawione stoły i krzesła. Obejrawszy się, George zauważył, że dom wzbogacił się o kolejne skrzydło. Nie było jeszcze skończone, robotnicy je malowali; grało radio tranzystorowe, jego dźwięk z tej odległości brzmiał niczym szmer.

George podziwiał dotychczasowe poczynania prokuratora generalnego przeciwko zorganizowanej przestępczości. Poleciał różnym resortom rządowym współpracować z myślą o tym, by uderzyć w szefów poszczególnych rodzin mafijnych. Zmobilizowano do działania Federalne Biuro Narkotykowe oraz Biuro do spraw Alkoholu, Tytoniu, Broni Palnej i Materiałów Wybuchowych. Z rozkazu Bobby'ego Wewnętrzna Służba Skarbowa miała przyrzeć się podatkom płaconym przez gangsterów, a Służbie Imigracji i Naturalizacji polecono deportować tych, którzy nie mieli amerykańskiego obywatelstwa. Wszystko to złożyło się na najskuteczniejszą w dziejach kampanię przeciwko przestępczości w Stanach

Zjednoczonych.

Zawiodło jedynie FBI. Ten, który powinien być w tej walce najbardziej niezłomnym sojusznikiem prokuratora generalnego, J. Edgar Hoover, patrzył na wszystko z wysoka i twierdził, że coś takiego jak mafia nie istnieje. Być może przyczyną było to, że mafiosi szantażowali go z powodu jego skłonności homoseksualnych.

Krucjata Bobby'ego, podobnie jak większość poczynań administracji jego brata, spotkała się z pogardą w Teksasie. Nielegalny hazard, prostytutka i narkomania cieszyły się przychylnością wielu czołowych obywateli. Dziennik „Dallas Morning News” zaatakował Roberta za to, że rząd federalny stał się za silny, i przekonywał, że walka z przestępczością powinna leżeć w gestii lokalnych władz, które - o czym wszyscy wiedzieli - były w większości niekompetentne lub skorumpowane.

Naradę przerwano, gdy żona Bobby'ego, Ethel, podała lunch: kanapki z tuńczykiem i zupę rybną. George spoglądał na nią z podziwem. Była szczupłą, atrakcyjną kobietą w wieku trzydziestu pięciu lat i trudno było uwierzyć, że przed czterema miesiącami wydała na świat ósme dziecko. Jej ubiór cechowała dyskretna elegancja, która stanowiła znak rozpoznawczy wszystkich pań z rodziny Kennedy'ch.

Zadzwonił telefon obok basenu i Ethel odebrała.

- Tak - powiedziała i podała słuchawkę z długim przewodem mężowi. - To Edgar Hoover.

George się przestraszył. Czyżby Hoover wywiedział się, że narada poświęcona walce z przestępczością odbywa się bez niego, i postanowił zganić uczestników? Czy to było możliwe, by założył podsłuch na wewnętrznym podwórzu domu Roberta Kennedy'ego?

Bobby wziął od żony słuchawkę.

Uwagę George'a zwróciło dziwne zachowanie jednego z malarzy. Mężczyzna chwycił przenośne radio, odwrócił się i zaczął biec w kierunku gospodarza oraz jego współpracowników zgromadzonych na patio.

George spojrział ponownie na szefa resortu. Z jego twarzy biła trwoga i nagle George'a także ogarnął lęk. Bobby odwrócił się od obecnych i zakrył usta dłonią. Co ten drań Hoover mu powiedział? - zastanawiał się George.

Raptem Bobby spojrział na spożywających lunch współpracowników i zawołał:

- Jack został postrzelony! Rany mogą się okazać śmiertelne!

Myśli George'a nabrały powolności człowieka poruszającego się pod wodą. Jack. To znaczy prezydent. Został postrzelony. To stało się w Dallas, na pewno. Rany mogą się okazać śmiertelne. Czyli mógł zginąć.

Prezydent mógł zginąć.

Ethel podbiegła do męża. Wszyscy zerwali się na równe nogi. Malarz dobiegł do patio z radioodbiornikiem w dłoniach, nie mógł wydobyć z siebie słowa.

Nagle wszyscy zaczęli mówić naraz.

George wciąż nie mógł się wydobyć na powierzchnię. Pomyślał o ważnych osobach w swoim życiu. Verena przebywała w Atlancie, usłyszy wiadomość przez radio. Matka była w pracy w Uniwersyteckim Klubie Kobięcym, dowie się za parę minut. Kongres obraduje, Greg jest więc na Kapitolu. Maria...

Maria Summers. Zastrzelono jej potajemnego kochanka. Żal porazi ją niczym grom i nie będzie nikogo, kto by ją pocieszył.

George musiał się do niej dostać.

Pomknął przez trawnik, przebiegł przez dom i dotarł na parking. Pędem wsiadł do otwartego mercedesa i ruszył z maksymalną prędkością.

Dochodziła czternasta w Waszyngtonie, trzynasta w Dallas, a w San Francisco jedenasta. Cam Dewar siedział na matematyce i uczył się trudnych do opanowania równań różniczkowych - było to nowe doświadczenie, gdyż do tej pory ze wszystkich przedmiotów świetnie sobie radził.

Rok spędzony w Londynie mu nie zaszkodził, w gruncie rzeczy młodzi Anglicy nieco wyprzedzali amerykańskich rówieśników, bo wcześniej rozpoczynali szkołę. Ucierpiało jedynie jego ego z powodu wzgardliwego odtrącenia przez Evie Williams.

Cameron nie darzył wielkim szacunkiem młodego nauczyciela matematyki o hippisowskich manierach, Marka „Fabiana” Fanshore’a, noszącego krótko ostrzyżone włosy i dziergane krawaty. Fanshore chciał się kolegować z uczniami, a zdaniem Camerona nauczyciel powinien być autorytatywny.

Do klasy wszedł dyrektor, pan Douglas. Cameron cenił go bardziej. Był to wyniosły, oschły wykładowca akademicki, który nie dbał o to, czy ktoś go lubi, czy też nie, jeśli tylko wypełniał jego polecenia.

Fabian spojrział na niego ze zdziwieniem: doktora Douglasa rzadko widywało się w klasach. Dyrektor powiedział coś cicho do nauczyciela. Informacja musiała być szokująca, gdyż opalony mężczyzna pobladł. Rozmawiali minutę, a później Fabian skinął głową i Douglas wyszedł.

Zabrzmiał dzwonek oznajmiający poranną przerwę, lecz nauczyciel odezwał się zdecydowanym tonem:

- Zostańcie na miejscach i posłuchajcie mnie w ciszy, dobrze? - Miał nieco osobliwy zwyczaj zbyt częstego i cichego kończenia zdań wyrażeniami „dobrze” i „jasne”? - Muszę wam przekazać złą wiadomość. Bardzo złą wiadomość, jasne? W Dallas wydarzyło się coś strasznego.

- Prezydent jest dzisiaj w Dallas - odezwał się Cameron.

- Owszem, ale proszę mi nie przerywać, jasne? Dotarła do nas wstrząsająca wiadomość o tym, że prezydent został postrzelony. Nie wiemy jeszcze, czy zginął, dobrze?

- Kurwa! - zaklął ktoś głośno, lecz o dziwo Fabian puścił to mimo uszu.

- Chcę, abyście zachowali spokój. Niektóre wasze szkolne koleżanki mogą być bardzo wstrząśnięte. - W klasie matematycznej nie było ani jednej dziewczyny. - Młodsze dzieci będą potrzebowały pocieszenia. Oczekuję od was, że zachowacie się, jak przystało na młodych mężczyzn, i pomożecie tym, którzy być może są słabsi, jasne? Teraz przerwa zgodnie z planem, informacje o zmianach poznacie później. No, zmykajcie.

Cameron zebrał książki i wyszedł na korytarz. Wszelka nadzieja na spokój i porządek rozviała się w ciągu paru sekund. Głosy dzieci i nastolatków wybiegających z klas tworzyły istny jazgot. Jedni biegali, inni stali jak porażeni, niektórzy płakali, większość pokrzykiwała.

Wszyscy pytali, czy prezydent zginął.

Cam nie przepadał za liberalizmem Jacka Kennedy’ego, lecz nagle przestało to mieć znaczenie. Gdyby był pełnoletni, głosowałby na Nixona, a mimo to czuł się osobiście i głęboko dotknięty. Kennedy był prezydentem Stanów Zjednoczonych wybranym przez Amerykanów, atak na niego był atakiem na nich.

Kto zastrzelił mojego prezydenta? - zastanawiał się. Czyżby Rosjanie? Fidel Castro? Mafia? Ku-Klux-Klan?

Zauważył młodszą siostrę, Beep.

- Czy prezydent zginął?! - krzyknęła.

- Nikt tego nie wie - odparł Cam. - Kto ma radio?

Zastanowiła się chwilę.

- Doktor Duggie.

Była to prawda, w gabinecie dyrektora stał staroświecki odbiornik radiowy z mahoniem.

- Pójdę tam - oznajmił Cam.

Przemierzył korytarz i zapukał do drzwi dyrektora.

- Wejść! - zawołał doktor Douglas i Cameron otworzył. Dyrektor siedział w towarzystwie trojga innych nauczycieli, słuchali radia. - Czego chcesz, Dewar? - rzucił pryncypał swoim zwyczajowym tonem pełnym irytacji.



- Panie dyrektorze, wszyscy w szkole chcą słuchać radia.
  - Wszystkich tu nie wpuścimy, chłopcze.
  - Pomyślałem, że można by postawić odbiornik w holu i pogłośnić.
  - Ach tak? - Douglas rozejrzał się, jakby zamierzał odesłać petenta z naganą.
  - Niezły pomysł - odezwała się jego zastępczyni, pani Elcot.
- Douglas wahał się przez chwilę, a potem skinął głową.
- Dobrze, Dewar. Brawo za myślenie. Idź do holu, ja przeniosę radio.
  - Dziękuję panu - odrzekł Cameron.

Jasper został zaproszony na premierę sztuki Proces kobiety w King's Theatre w londyńskim West Endzie. Studenci dziennikarze zwykle nie otrzymywali takich zaproszeń, lecz w obsadzie była Evie Williams i dopilnowała, by znalazł się na liście.

Gazeta Jaspera „Real Thing” radziła sobie dobrze, tak dobrze, że zrezygnował z zajęć, by przez rok nią kierować. Pierwszy numer sprzedał się po ataku lorda Jane'a. Lord w nietypowy dla siebie sposób napadł słownie na gazetę w czasie Tygodnia Nowicjusza za to, że na jej łamach obrzucono błotem członków ciała zarządzającego uczelnią. Jasper nie posiadał się z radości, że rozwścieczył Jane'a, podporę brytyjskiego establishmentu utracającego ludzi takich jak Jasper i jego ojciec. Drugi numer przyniósł dalszy ciąg rewelacji o szychach St. Julian's College oraz ich wątpliwych inwestycjach i sprawił, że zainwestowana suma się zwróciła. Trzeci numer przyniósł zysk. Jasper musiał zataić skalę sukcesu przed Daisy Williams, która mogła sobie zażyczyć spłaty pożyczki.

Czwarty numer miał jutro trafić do drukarni. Jasper nie był z niego zadowolony, bo nie zawierał ważnych kontrowersyjnych tematów.

Postanowił przestać o tym myśleć i zajął miejsce. Kariera Evie wyprzedziła jej edukację: jaki sens miałyby szkoła teatralna, skoro córka Williamsów już otrzymywała role w filmie i w teatrach West Endu. Podłotek, który zapalał kiedyś uczuciem do Jaspera, był teraz pewną siebie dorosłą kobietą. Evie nadal odkrywała pokłady swojego talentu, lecz nie miała wątpliwości, do czego zmierza.

Obok Jaspera siedział jego rówieśnik, sławny chłopak Evie, Hank Remington. Mimo że był milionerem i cieszył się światową sławą, nie patrzył z góry na zwykłego studenta. Odszedł ze szkoły w wieku piętnastu lat i darzył szacunkiem tych, których uważał za lepiej od siebie wykształconych. Sprawiało to przyjemność Jasperowi, ale nie wyjawiał tego, co myśli i co bez wątpienia było prawdą: że nieoszlifowany geniusz Hanka znaczy o wiele więcej niż egzaminy szkolne.

W tym samym rzędzie siedzieli rodzice Evie oraz jej babcia Ethel Leckwith. Najważniejszym nieobecnym był Dave, którego grupa grała tego wieczoru koncert.

Podniosła się kurtyna. Sztuka była dramatem sądowym. Jasper słyszał, jak Evie ćwiczy swoje kwestie, i wiedział, że trzeci akt toczył się na sali sądowej, jednak akcja rozpoczynała się w siedzibie prokuratora. Evie grała jego córkę, wchodziła na scenę w połowie pierwszego aktu i zaczynała od sprzeczki z ojcem.

Jaspera uderzyły pewność i przekonanie, z jakimi odgrywała swoją rolę. Musiał sobie przypominać, że to jest ta sama dziewczyna, z którą mieszka w jednym domu. Jego niechęć wzbudził zadufany protekcjonalizm ojca bohaterki, podzielał oburzenie i frustrację córki. Jej gniew coraz bardziej narastał i pod koniec aktu zaczęła żarliwie domagać się łaski. Widzowie słuchali w milczeniu jak zahipnotyzowani.

Nagle coś się stało.

Ludzie zaczęli rozmawiać ze sobą po cichu.

W pierwszej chwili aktorzy niczego nie zauważyli. Jasper rozejrzał się wokół, nie wiedząc, czy ktoś zemdlał lub zwymiotował, lecz nie wypatrzył niczego, co tłumaczyłoby nagłą zmianę na widowni. Po przeciwnej stronie dwie osoby wstały z foteli i wyszły z jakimś mężczyzną, który najwyraźniej po nich przyszedł.

- Dranie, mogliby się przymknąć - syknął Hank do Jaspera.

Po upływie minuty mistrzowska gra Evie załamała się i Jasper odgadł, że zorientowała się w sytuacji. Usiłowała odzyskać uwagę widzów, zwiększając intensywność ukazywanych emocji: przemawiała donośniej, jej głos drżał, kroczyła po scenie, gestykulując zamasyście. Poczynała sobie dzielnie i wzbudziła jeszcze większy podziw Jaspera, lecz nie osiągnęła celu. Szeptane rozmowy zamieniły się w pomruk, a następnie w dudnienie.

Hank wstał, odwrócił się i powiedział do tych, którzy siedzieli za nim:

- Moglibyście się zamknąć, do jasnej cholery?

Głos Evie na scenie załamywał się:

- Pomyśl o tej kobiecie... - Zawahała się. - Pomyśl, co przeżyła, co przecierpiała, przez co musiała przejść... - Nagle zamilkła.

Jej starszy, doświadczony partner grający ojca prokuratora wstał i wyszedł zza biurka.

- No już dobrze, no już dobrze, dziecko - rzekł. Tej kwestii być może nie było w tekście. Przemierzył scenę i otoczył Evie ramieniem. Potem odwrócił się, zmrużył oczy przed blaskiem reflektorów i zwrócił się bezpośrednio do widowni soczystym barytonem, który przysporzył mu sławy:

- Drogie panie i drodzy panowie, czy ktoś zechce nam powiedzieć, co, u licha, się stało?

Rebecca bardzo się spieszyła. Wróciła z Berndem do domu, przygotowała kolację, a potem przyszykowała się do wyjścia na zebranie; Bernd tymczasem pozmywał. Ostatnio została wybrana do rady miasta Hamburga; liczba kobiet w szeregach władzy stale rosła.

- Naprawdę nie przeszkadza ci, że tak wybiegam z domu? - zapytała Bernda.

Odwrócił się do niej na wózku.

- Nigdy z niczego dla mnie nie rezygnuj, niczego nie poświęcaj. Nigdy nie mów, że nie możesz gdzieś pójść albo czegoś zrobić z powodu swojego kalekiego męża. Chcę, abyś prowadziła pełne życie, żebyś miała wszystko, czego kiedykolwiek pragnęłaś. W ten sposób będziesz szczęśliwa, zostaniesz ze mną i dalej będziesz mnie kochać.

Rebecca zapytała prawie wyłącznie z grzeczności, lecz najwyraźniej Bernd rozmyślał nad tą sprawą. Jego przemowa ją wzruszyła.

- Jesteś taki dobry. Przypominasz mojego ojczyma Wenera. Jesteś silny. I na pewno masz rację, bo kocham cię bardziej niż kiedykolwiek.

- Skoro mowa o Wernerze - odparł - co sądzisz o liście Carli?

Wszystkie listy w Niemczech Wschodnich czytane były przez tajną policję. Nadawca mógł trafić do więzienia za to, że napisał coś niewłaściwego, zwłaszcza jeśli korespondencja miała trafić na Zachód. Najdrobniejsza wzmianka o trudnościach, brakach, bezrobociu czy tajnej policji kończyła się źle. Tak więc Carla posługiwała się aluzjami.

- Mówi, że Karolin mieszka teraz z nią i Wernerem - odrzekła Rebecca. - Myślę więc, że biedna dziewczyna została wyrzucona przez rodziców, pewnie pod naciskiem Stasi, może nawet Hansa.

- Czy mściwość tego drania nie będzie miała końca?

- W każdym razie Karolin zdobyła przyjaźń Lili, która ma już prawie piętnaście lat, a w tym wieku ciąża może budzić fascynację. Poza tym przyszła mama dostaje mnóstwo dobrych rad od babci Maud. Ten dom stanie się dla Karolin bezpieczną przystanią, tak jak stał się dla mnie, kiedy zginęli moi rodzice.

Bernd skinął głową.

- Nie kusi cię, żeby nawiązać kontakt z tymi, którzy są blisko twoich korzeni? Nigdy nie mówisz o swoim żydowskim pochodzeniu.

Pokręciła głową.

- Moi rodzice byli niewierzący. Wiem, że Walter i Maud chodzili kiedyś do kościoła, ale Carla zarzuciła ten zwyczaj, a dla mnie religia nigdy nic nie znaczyła. A o rasie najlepiej zapomnieć. Chcę czcić pamięć rodziców, działając na rzecz demokracji i wolności w całym

Niemczech, zarówno Wschodnich, jak i Zachodnich. - Rebecca uśmiechnęła się krzywo. - Wybacz, że przemawiam jak na wiecu. Powinnam zachować to na później, kiedy znajdę się w parlamencie. - Podniosła aktówkę z dokumentami.

Bernd spojrzał na zegarek.

- Zanim wyjdiesz, zerknij na wiadomości, może stało się coś, o czym powinnaś wiedzieć.

Włączyła telewizor, akurat zaczynał się serwis informacyjny.

Spiker powiedział:

„Dzisiaj w Dallas w Teksasie zastrzelono prezydenta Stanów Zjednoczonych Johna Fitzgeralda Kennedy’ego”.

- Nie! - krzyknęła Rebecca głosem bliskim hysterii.

„Młody prezydent i jego żona Jackie jechali przez miasto odkrytym samochodem, kiedy zamachowiec oddał kilka strzałów. Trafił prezydenta, kilka minut później w miejscowym szpitalu stwierdzono zgon ofiary”.

- Biedna żona! - jęknęła Rebecca. - I jego dzieci!

„Wiceprezydent Lyndon Johnson jechał w tej samej kolumnie samochodów. Przypuszcza się, że jest już w drodze do Waszyngtonu, by przygotować się do objęcia urzędu”.

- Kennedy był obrońcą Berlina Zachodniego - przypomniała ze smutkiem Rebecca. - To on powiedział: „Jestem berlińczykiem”. Orędownął za nami.

- Tak, to prawda - potwierdził Bernd.

- I co teraz z nami będzie?

- Popełniłam straszny błąd - mówiła Karolin do Lili. Siedziały w kuchni mieszkania w kamienicy w berlińskiej dzielnicy Mitte. - Powinnam była pójść z Wallim. Nalałabyś wody do termoformy? Znowu bolą mnie plecy.

Dziewczynka wyjęła z szafki gumową butelkę i napełniła ją gorącą wodą z kranu. Uważała, że Karolin za bardzo się obwinia.

- Zrobiłaś to, co uważałaś za najlepsze dla dziecka.

- Złękłam się.

Lili ułożyła butelkę za plecami Karolin.

- Chcesz ciepłego mleka?

- Tak, poproszę.

Lili nalała mleka do rondla i włączyła gaz.

- Kierował mną strach - tłumaczyła Karolin. - Myślałam, że Walli jest za młody, by można było mu zaufać. Zdawało mi się, że mogę polegać na rodzicach. Okazało się, że jest odwrotnie.

Ojciec wyrzucił Karolin z domu po tym, jak Stasi zagroziło mu, że straci posadę kierownika zajezdni autobusowej. Lili była wstrząśnięta. Nie wiedziała, że istnieją rodzice, którzy w taki sposób postępują.

- Nie wyobrażam sobie, by moi rodzice obrócili się przeciwko mnie.

- Nigdy tego nie zrobią - potwierdziła Karolin. - Kiedy stanęłam na progu waszego domu, bezdomna, bez grosza i w szóstym miesiącu ciąży, przyjęli mnie bez chwili wahania.

Skrzywiła się po kolejnym ukłuciu bólu.

Lili naląła ciepłego mleka do kubka i podała Karolin.

Ta wzięła łyk.

- Jestem tak bardzo wdzięczna tobie i twojej rodzinie. Ale prawda jest taka, że już nigdy nikomu nie zaufam. Człowiek może polegać tylko na sobie. Tego się nauczyłam. - Zmarszczyła czoło. - O Boże!

- Co się stało?

- Zmoczyłam się. - Na sukience ukazała się wilgotna plama.

- Odeszły ci wody - stwierdziła Lili. - To znaczy, że zaczyna się poród.

- Muszę się umyć. - Karolin wstała i jęknęła. - Chyba nie dam rady dojść do łazienki.

Lili usłyszała otwieranie i zamykanie drzwi.

- Mama wróciła. Bogu dzięki!

Po chwili do kuchni weszła Carla i jednym spojrzeniem objęła scenę.

- Jak często powtarzają się bóle?

- Co minutę albo dwie - odparła Karolin.

- Ojej, nie mamy wiele czasu - rzuciła Carla. - Nawet nie będę próbowała wtaszczyć cię na górę. - Żwawo zabrała się do układania ręczników na ziemi. - Połóż się tutaj. Urodziłam Wallego tu, na tej podłodze - dodała wesoło - więc i dla ciebie się nada.

Karolin ułożyła się, a Carla ściągnęła jej przemoczoną bieliznę.

Lili bała się, mimo że na miejscu była jej świetnie obznajomiona z takimi sprawami matka. Nie potrafiła sobie wyobrazić, jak całe dziecko może wydostać się przez tak maleńki otwór. Jej lęk jeszcze się nasilił, zamiast opaść, gdy po kilku minutach zobaczyła, że otwór zaczyna się powiększać.

- Idzie ładnie i szybko - oznajmiła spokojnie Carla. - Masz szczęście.

Wydawało się, że Karolin kontroluje wydawane jęki bólu. Lili miała wrażenie, że ona

na jej miejscu wrzeszczałyby jak szalona.

Carla powiedziała do córki:

- Podłóż tutaj rękę i przytrzymaj główkę, kiedy się ukaże. - Lili się zawahała. - No już, wszystko będzie dobrze.

Drzwi kuchni otworzyły się, stanął w nich ojciec Lili.

- Słyszaliście wiadomości?

- To nie jest miejsce dla mężczyzny - fuknęła Carla, nie patrząc na niego. - Idź do łazienki, otwórz dolną szufladę komody i przynieś mi jasnoniebieski szal z kaszmiru.

- No dobrze - odparł Werner. - Ktoś strzelał do prezydenta Kennedy'ego. Zabił go.

- Później mi powiesz. Przynieś ten szal.

Werner zniknął.

- Co on mówił o Kennedym? - zapytała minutę później Carla.

- Zdaje się, że dziecko wychodzi - powiedziała z lękiem Lili.

Karolin wydała ogromny krzyk bólu i wysiłku i główka dziecka przecisnęła się. Lili podtrzymywała ją jedną ręką. Była mokra, śliska i ciepła.

- Ono żyje! - zawołała. Poczowała wszechogarniający przyływ miłości i opiekuńczości wobec maleńkiego okruchu nowego życia.

I już się nie bała.

Gazeta Jaspera powstawała w maleńkim pomieszczeniu w siedzibie związku studentów wyposażonym w biurko, dwa telefony oraz trzy krzeselka. Jasper spotkał się tam z Pete'em Doneganem pół godziny po wyjściu z teatru.

- W naszym kolegium jest pięć tysięcy studentów, a we wszystkich londyńskich uczelniach jest ich dwadzieścia tysięcy lub więcej. Wielu spośród nich to Amerykanie - rzekł Jasper, gdy tylko Pete wszedł. - Musimy wezwać wszystkich naszych ludzi, którzy piszą, i natychmiast zagonić ich do roboty. Muszą przeprowadzić rozmowy z każdym amerykańskim studentem, którego znają, najlepiej jeszcze dziś wieczorem, najpóźniej jutro z rana. Jeśli zrobimy to dobrze, zgarniemy grubą forszę.

- Jaki tytuł rzucimy na czołówkę?

- Pewnie *Żałoba amerykańskich studentów*. Pstryknij zdjęcie każdemu, kto powie coś nadającego się na cytaty. Ja zajmę się amerykańskimi wykładowcami, Heslopem od angielskiego i Rawlingsem z inżynierii... Cooper, ten od filozofii, na pewno powie coś bulwersującego, zawsze tak robi.

- Powinniśmy zamieścić na bocznym pasku biogram Kennedy'ego - zaproponował

Donegan. - I może dać stronę ze zdjęciami, ze studiów na Harvardzie, ze służby w marynarce, ze ślubu z Jackie...

- Chwileczkę - wpadł mu w słowo Jasper. - Czy on przypadkiem nie studiował przez jakiś czas w Londynie? Jego ojciec był tutaj amerykańskim ambasadorem, prawicowy drań ponoć popierał Hitlera, ale wydaje mi się, że syn poszedł do London School of Economics.

- Zgadza się, teraz sobie przypomniałem. Ale studia nie potrwały długo, skończyły się po paru tygodniach.

- Mniejsza z tym - rzucił podekscytowany Jasper. - Ktoś musiał go tam znać. Nieważne, że rozmawiał z Kennedym mniej niż pięć minut. Wystarczy jeden cytat, nawet jeśli to będzie „Był dość wysoki”. *Czołówka: Znałem JFK na studiach, mówi profesor London School of Economics.*

- Zaraz się tym zajmę - powiedział Donegan.

George był o kilometr od Białego Domu, kiedy samochody zatrzymały się bez widocznej przyczyny. Ze złości walił ręką w kierownicę. Wyobrażał sobie, że Maria zalewa się łzami w samotności.

Inni kierowcy także trąbili klaksonami. Kilka samochodów przed George'em jeden z nich wysiadł z auta i rozmawiał z kimś stojącym na chodniku. Na rogu grupka osób zebrała się wokół zaparkowanego wozu z otwartymi oknami, prawdopodobnie słuchali radia. George zobaczył, że jakaś elegancko ubrana kobieta z przerażenia zakryła sobie usta dłonią.

Przed mercedesem George'a stał teraz nowy biały chevrolet impala. Drzwi otworzyły się i kierowca wysiadł. Miał na sobie garnitur i kapelusz, mógł być komiwojażerem w podróży. Rozejrzał się i dostrzegł George'a w kabriolecticie.

- Czy to prawda?

- Tak. Prezydent został postrzelony.

- Zginął?

- Nie wiem. - George nie miał radia w swoim aucie.

Komiwojażer podszedł do otwartego okna buicka.

- Czy prezydent zginął?

George nie usłyszał odpowiedzi.

Sznur samochodów stał w miejscu.

George zgasił silnik, wyskoczył z wozu i zaczął biec.

Z przerażeniem uświadomił sobie, że wyszedł z formy. Zawsze brakowało czasu na to, by poćwiczyć. Usiłował sobie przypomnieć, kiedy ostatnio wykonywał energiczne ćwiczenia,

ale na próżno. Zaczął się pocić i dostał zadyszki. Niecierpliwił się, lecz musiał przeplatać bieg szybkim marszem.

Miał przemoczoną koszulę, kiedy dotarł do Białego Domu. Marii nie było w biurze prasowym.

- Poszła do Archiwum Narodowego, żeby poszukać jakichś materiałów - oznajmiła Nelly Fordham z twarzą moką od łez. - Pewnie jeszcze nie usłyszała wiadomości.

- Wiadomo, czy prezydent zginął?

- Tak - odrzekła Nelly i znów się rozszlochała.

- Nie chcę, żeby Maria usłyszała to od kogoś obcego - powiedział George. Wyszedł z budynku i pobiegł Pennsylvania Avenue w kierunku Archiwum Narodowego.

Rok po ślubie z Niną, kiedy ich syn Grigor miał sześć miesięcy, Dimka wreszcie przyznał przed samym sobą, że jest zakochany w Natalii.

Często po pracy chodziła z kolegami na piwo do baru nad rzeką, a Dimka zwykle przyłączał się do grupy, kiedy Chruszczow nie przetrzymywał go do późna. Czasami nie ograniczali się do jednego piwa, a Dimka i Natalia wychodzili na ostatku.

Odkrył, że potrafi ją rozśmieszać. Na ogół nie uważano go za dowcipnisia, lecz lubił pozartować sobie z licznych absurdów życia w Związku Radzieckim, a ona podzielała to upodobanie.

- Pewien robotnik wpadł na pomysł, w jaki sposób w fabryce rowerów można szybciej wytwarzać błotniki. Trzeba odlać jeden długi pasek cynku, a potem go pociąć, a nie najpierw ciąć, a następnie wyginać jeden po drugim. Dostał naganę za to, że naraża plan pięcioletni.

Natalia roześmiała się, otwierając szeroko usta i odsłaniając zęby. Sposób, w jaki się śmiała, świadczył o tym, że zdolna jest do beztroskiej lekkomyślności. Dimce szybciej biło serce. Wyobrażał sobie, jak odchyła w ten sposób głowę, kiedy się kochają. Potem wyobraził sobie, że ogląda ją śmiejącą się takim śmiechem przez następnych pięćdziesiąt lat życia, i zrozumiał, że właśnie takiego życia pragnie.

Nie powiedział jej tego. Miała męża i wydawało się, że jest z nim szczęśliwa. W każdym razie nigdy nie mówiła o nim źle, aczkolwiek nigdy też nie spieszyła się do domu, by z nim być. Co ważniejsze, Dimka miał żonę i dziecko i winien był im wierność.

Chciał powiedzieć: „Kocham cię. Zostawię rodzinę. Czy odejdziesz od męża, będziesz żyła ze mną, będziesz moją przyjaciółką i kochanką po kres naszych dni?”.

Powiedział jednak co innego:

- Późno już, lepiej pójść.



- Odwiozę cię, jest za zimno na motor.

Zatrzymała się na rogu w pobliżu domu rządowego. Dimka nachylił się, żeby ją pocałować. Pozwoliła mu musnąć wargami swoje usta, a potem się odsunęła. Wsiadł z samochodu i wszedł do gmachu.

Wjeżdżając windą na górę, obmyślał wymówkę dla Niny, dlaczego tak późno wraca. Kreml zmagał się z rzeczywistym kryzysem: tegoroczne zbiory ziarna były katastrofalne i radziecki rząd rozpaczliwie usiłował kupić za granicą pszenicę, by naród miał co jeść.

Kiedy wszedł do mieszkania, Grigor spał, a Nina oglądała telewizję. Pocałował ją w głowę i powiedział:

- Musiałem zostać dłużej w pracy, przepraszam. Trzeba było dokończyć sprawozdanie o złych zbiorach.

- Ty gówniany kłamczuchu - warknęła Nina. - Dzwonili co dziesięć minut z twojego biura, chcieli cię znaleźć i powiedzieć, że prezydent Kennedy został zabity.

Marii burczało w brzuchu. Spojrzała na zegarek i uprzytomniła sobie, że zapomniała zjeść lunchu. Pochłonęło ją zadanie, które wykonywała, i od dwóch lub trzech godzin nikt nie wchodził i jej nie rozpraszał. Niewiele zostało już do zrobienia, postanowiła więc dokończyć pracę, a potem zjeść kanapkę.

Schyliła się nad staroświecką księgą rachunkową, którą właśnie czytała. Uniosła głowę i usłyszała jakiś odgłos. Zdziwiła się na widok George'a Jakesa, który zadyszany wpadł do czytelnicy. Jego marynarka była wilgotna od potu, oczy miały odrobinę dziki wyraz.

- George! Co, u licha...? - Wstała, nie kończąc zdania.

- Mario, przykro mi. - George obszedł stół i położył jej dłonie na ramionach gestem, który trochę nie licował z ich całkowicie platoniczną przyjaźnią.

- Dlaczego jest ci przykro? Co zrobiłeś?

- Nic. - Chciała się wyrwać, lecz nie pozwolił jej na to. - Zastrzelili go.

Maria zobaczyła, że jest bliski płaczu. Przestała się opierać i przybliżyła się do niego.

- Kto zginął?

- W Dallas.

Dopiero wtedy zaczęła pojmować i poczuła potworny lęk.

- Nie.

George skinął głową i cichym głosem oznajmił:

- Prezydent nie żyje, przykro mi.

- Nie żyje - powtórzyła Maria. - To niemożliwe. - Poczowała słabość w nogach i opadła na

kolana. George uklęknął z nią i zamknął ją w ramionach.

- Nie mój Johnny - mówiła i z głębi jej piersi wydobył się ogromny szloch. - Johnny, mój Johnny - zawodziła. - Nie zostawiaj mnie, Johnny, proszę. Nie odchodź.

Cały świat przed jej oczami poszarzał, osunęła się bezradnie. Potem jej powieki się zamknęły i straciła przytomność.

Na scenie klubu Jump w Londynie grupa Plum Nellie zagrała wybuchową wersję piosenki *Dizzy*, Miss Lizzy i schodziła przy okrzykach „Bis!”.

- To było super, koledzy, nigdy nie zagraliśmy lepiej! - powiedział Lenny na zapleczu.

Dave spojrzął na Wallego i obaj wyszczerzyli zęby w uśmiechach. Grupa szybko robiła postępy, każdy występ był najlepszym, jaki zagrali.

Zdziwił się na widok siostry w garderobie.

- Jak wypadła sztuka? - zapytał. - Szkoda, że nie mogłem tam być.

- Musieliśmy przerwać w pierwszym akcie. Prezydent Kennedy został zastrzelony.

- Prezydent! Kiedy to się stało?

- Przed paroma godzinami.

Dave pomyślał o ich matce Amerykance.

- Mama się smuci?

- Okropnie.

- Kto go zastrzelił?

- Nikt tego nie wie. Był w Teksasie, miejscowość nazywa się Dallas.

- Nigdy o niej nie słyszałem.

- Co zagramy na bis? - spytał basista Buzz.

- Nie możemy grać bisów, to byłby brak szacunku - oznajmił Lenny. - Prezydent Kennedy zginął w zamachu. Musimy ogłosić minutę ciszy albo coś w tym rodzaju.

- Albo zagrać smutną piosenkę - zasugerował Walli.

- Dave, wiesz, co powinniśmy zrobić - odezwała się Evie.

- Tak? - Po chwili namysłu rzekł: - A, rzeczywiście.

- A więc chodźmy.

Dave wyszedł wraz z siostrą na scenę i podłączył gitarę. Stanęli razem przed mikrofonem. Pozostali członkowie grupy obserwowali ich zza kulis.

- Moja siostra i ja jesteśmy w połowie Brytyjczykami, a w połowie Amerykanami - zaczął Dave. - Ale dzisiaj nasze serca są bardzo amerykańskie. - Zawiesił głos. - Zapewne większość z was już wie, że prezydent Kennedy został zastrzelony.

Z widowni dobiegło kilka westchnień świadczących o tym, że nie wszyscy wiedzieli o zamachu. W sali zapanowała cisza.

- Chcielibyśmy teraz wykonać pewną szczególną pieśń, pieśń dla nas wszystkich, ale zwłaszcza dla Amerykanów.

Zagrał akord G.

Evie zaśpiewała:

*Och, czy widzisz w świetle poranka*

*To, co tak dumnie żegnaliśmy w ostatnim świetle zmierzchu*

*Nic nie mąciło ciszy.*

*Szerokie pasy i świetliste gwiazdy wśród niebezpieczeństw boju*

*Nad szanćami widzieliśmy, dumnie powiewały*

*Głos Evie zabrzmiał mocniej, budził dreszcze słuchaczy.*

*Flary czerwony blask i grzmiący huk bomb*

*Dawały świadectwo nocy, że nasza flaga tam jest*

*Niektórzy z obecnych nie kryli już łez.*

*Ach, rzeknij, czy gwiazdzisty sztandar zatopotał już*

*Nad ziemią ludzi wolnych i domem dzielnych?*

- Dziękujemy - powiedział Dave. - Boże, błogosław Amerykę.

# **CZEŚĆ PIĄTA**

## **Pieśń**

**1963-1967**

## ROZDZIAŁ 31

Marii nie pozwolono pójść na pogrzeb.

Następnym dniem po zamachu była sobota, lecz tak jak większość personelu Białego Domu poszła do pracy i wykonywała obowiązki ze łzami spływającymi po twarzy. Nie zwróciło to niczyjej uwagi, gdyż płakała połowa pracowników.

Czuła się tam lepiej niż sama w domu. Praca odrywała ją nieco od żalu, a pracy nie było końca: dziennikarze z całego świata chcieli znać każdy szczegół uroczystości pogrzebowej.

Wszystko pokazywała telewizja. Miliony amerykańskich rodzin cały weekend spędziły przed telewizorami. Trzy sieci telewizyjne odwołały wszystkie stałe programy. Wiadomości składały się w całości z materiałów związanych z zamachem, a pomiędzy nimi wyświetlano filmy dokumentalne o Johnie Kennedym, jego życiu, rodzinie, karierze i prezydenturze. Z niemiłosiernym patosem odtwarzano radosne zdjęcia z powitania Jacka i Jackie przez tłum rodaków na Love Field w piątek rano, na godzinę przed jego śmiercią. Maria pamiętała, że snuła wtedy jałowe rozważania, czy zamieniłaby się miejscami z Jackie. Teraz obie go utraciły.

W niedzielę w południe w podziemnej części komendy policji w Dallas główny podejrzany, Lee Harvey Oswald, zginął z ręki drobnego gangstera nazwiskiem Jack Ruby; ponura tajemnica nałożyła się na niewypowiedzianą tragedię.

Po południu tego samego dnia Maria zapytała Nelly Fordham, czy potrzebne im są bilety na pogrzeb.

- Och, skarbie, przykro mi - odparła delikatnie Nelly. - Z naszego biura nie zaproszono nikogo oprócz Pierre'a Salingera.

Maria wpadła w popłoch. Jej serce zatrzepotało. Nie może jej nie być przy tym, gdy będą składali do grobu mężczyznę, którego kochała.

- Muszę iść! - oznajmiła. - Porozmawiam z Pierre'em.

- Mario, nie możesz tam iść. To absolutnie wykluczone.

W tonie głosu Nelly zabrzmiała nuta ostrzeżenia. Koleżanka dawała jej coś więcej aniżeli radę. Była nieomal wystraszona.

- Dlaczego? - chciała wiedzieć Maria.

Nelly zniżyła głos.

- Jackie o tobie wie.

Po raz pierwszy ktoś z biura potwierdził, że wie o romansie Marii z prezydentem. Jednak przygnębiona Maria prawie nie zwróciła uwagi na ten ważny sygnał.

- Nie może wiedzieć! Zawsze uważałam.
- Nie pytaj, jak to się stało, bo nie mam pojęcia.
- Nie wierzę ci.

Nelly mogła się poczuć obrażona, lecz tylko pokręciła ze smutkiem głową.

- Słabo znam się na takich sprawach, ale myślę, że żona zawsze wie.

Maria chciała zaprzeczyć z oburzeniem, lecz nagle przypomniała sobie o sekretarkach Jenny i Jerry, o bon vivantkach Mary Meyer i Judith Campbell oraz innych. Była pewna, że wszystkie utrzymywały intymne stosunki z prezydentem Kennedym. Nie miała dowodów, lecz widząc je w jego towarzystwie, po prostu to wyczuwała. A Jackie także miała kobiecą intuicję.

To zaś oznaczało, że Maria nie mogła pójść na pogrzeb. Teraz to do niej dotarło. Wdowy nie wolno zmuszać do tego, by w takiej chwili stawiać twarzą w twarz z kochanką męża. Maria uświadomiła to sobie z całkowitą i żalosną pewnością.

W poniedziałek została zatem w domu i obejrzała transmisję telewizyjną.

Ciało z pełnym ceremoniałem leżało w rotundzie na Kapitolu. O wpół do jedenastej spowitą we flagę trumnę wyniesiono z gmachu i umieszczono na armatniej lawecie ciągniętej przez sześć białych koni. Następnie procesja skierowała się ku Białemu Domowi.

W kondukcje pogrzebowym wyróżniało się dwóch mężczyzn wyższych o kilkanaście centymetrów od pozostałych. Byli to prezydent Francji Charles de Gaulle oraz nowy prezydent Stanów Zjednoczonych Lyndon Johnson.

Maria już nie roniła łez. W ciągu niemal trzech dni wyplakała je do cna. Teraz, patrząc na ekran telewizyjny, widziała jedynie paradę, widowisko zorganizowane dla świata. Dla niej werble, sztandary i mundury się nie liczyły. Straciła mężczyznę: ciepłego, uśmiechniętego, seksownego, mężczyznę z chorym kręgosłupem, nieznacznymi zmarszczkami w kącikach orzechowych oczu oraz stadkiem gumowych kaczuszek ustawionych na brzegu wanny. Nigdy więcej go nie zobaczy. Miała przed sobą życie bez niego, długie i puste.

Kiedy kamery skupiły się na Jackie, na jej pięknej twarzy widocznej mimo woalki, Maria pomyślała, że tamta także wygląda jak odrętwiała.

- Skrzywdziłam cię - powiedziała Maria do twarzy na ekranie. - Boże, przebacz mi.

Wystraszył ją dzwonek u drzwi. To był George.

- Nie powinnaś oglądać tego w samotności.

Poczuła coś w rodzaju bezradnej wdzięczności. Kiedy naprawdę potrzebowała przyjaciela, George był przy niej.

- Wejdz. I wybacz, że wyglądam trochę niechlujnie. - Miała na sobie koszulę nocną i

wysłużony szlafrok.

- Dla mnie może być. - George widywał ją w gorszym stanie.

Przyniósł torebkę duńskich ciastek. Maria wysypała je na talerz. Nie zjadła śniadania, lecz mimo to nie tknęła ani jednego ciastka. Nie czuła się głodna.

Spiker telewizyjny poinformował, że wzdłuż trasy przejścia konduktu ustawiło się milion ludzi. Trumnę zabrano z Białego Domu do katedry św. Mateusza, gdzie odbyła się msza.

O dwunastej w południe ogłoszono pięciominutową chwilę ciszy i w całej Ameryce wstrzymano wszelki ruch. Kamery pokazywały tłumy stojące w milczeniu na ulicach miasta. Dziwnie było przebywać w Waszyngtonie i nie słyszeć szumu samochodów. Maria i George stanęli przed telewizorem w jej małym mieszkanku i pochylili głowy. George ujął ją za rękę i trzymał. Marię ogarnęła fala czułości dla niego.

Po zakończeniu ciszy zaparzyła kawy. Wrócił jej apetyt i zjedli ciastka. Do kościoła nie wpuszczano kamer telewizyjnych, toteż przez pewien czas nie było czego oglądać. George rozmawiał z Marią, żeby zająć jej myśli. Była mu za to wdzięczna.

- Zostaniesz w biurze prasowym? - spytał.

Prawie wcale o tym nie myślała, ale знаła odpowiedź.

- Nie, odejdę z Białego Domu.

- Dobry pomysł.

- Poza wszystkim nie widzę dla siebie przyszłości w biurze prasowym. Nie dają awansu kobietom, a ja nie zamierzam przez całe życie być researcherką. Zatrudniłam się w administracji rządowej po to, by czegoś dokonać.

- W Departamencie Sprawiedliwości jest wakat, który mógłby ci odpowiadać - odezwał się George, jakby dopiero w tej chwili przyszło mu to do głowy, lecz Maria podejrzewała, że sobie to zaplanował. - Praca dotyczy koncernów niestosujących się do przepisów rządowych. Nazywa się to dostosowywaniem do procedur. Mogłoby być ciekawie.

- Sądzisz, że miałabym szanse?

- Z dyplomem prawa Uniwersytetu Chicagowskiego i dwuletnim doświadczeniem w Białym Domu? Jak najbardziej.

- Ale nie zatrudnia się tam wielu Murzynów.

- Wiesz co? Wydaje mi się, że Lyndon może to zmienić.

- Naprawdę? Przecież to południowiec!

- Nie osądzaj go z góry. Szczerze powiedziawszy, nasi traktowali go podle. Bobby go nie cierpi, nie pytaj mnie dlaczego. Może dlatego, że nazywa swojego fiuta Jumbo.

Maria roześmiała się pierwszy raz od trzech dni.

- Chyba żartujesz.

- Podobno jest okazały. Jeśli chce kogoś zastraszyć, wyciąga go i mówi: „Zapoznaj się z Jumbo”. Tak ludzie powiadają.

Mężczyźni opowiadali sobie takie historyjki, Maria o tym wiedziała. Mogły być prawdziwe albo nie. Ponownie spoważniała.

- Wszyscy w Białym Domu uważają, że Johnson zachowywał się gruboskórnie, zwłaszcza w odniesieniu do braci Kennedych.

- Nie trafia to do mnie. Tuż po śmierci prezydenta, kiedy nikt nie wiedział, jak dalej postępować, Ameryka znalazła się w wielkim zagrożeniu. A gdyby Sowieci postanowili w tamtej chwili zająć Berlin Zachodni? Stanowimy władzę najpotężniejszego kraju na świecie, musimy pełnić swoje obowiązki bez sekundy przerwy, bez względu na ogrom naszego smutku. Lyndon natychmiast przejął wodze i cholernie dobrze zrobił, bo nikomu innemu taka myśl nie postała w głowie.

- Nawet Bobby'emu?

- Jemu najmniej. Kocham go, wiesz o tym, ale on poddał się żalowi. Pociesza Jackie i organizuje pogrzeb brata, ale Ameryką nie rządzi. Prawdę mówiąc, wszyscy nasi ludzie zachowują się równie beznadziejnie. Niech sobie uważają Lyndona za gruboskórnego, moim zdaniem postępuje tak, jak przystało na prezydenta.

Na koniec mszy trumnę wyniesiono z kościoła i ponownie złożono na lawecie, na której odbędzie podróż do cmentarza narodowego Arlington. Tym razem żałobnicy jechali czarnymi limuzynami. Kondukt minął pomnik Lincolna i przekroczył rzekę Potomac.

- Jak Johnson odniesie się do kwestii praw obywatelskich? - zapytała Maria.

- To bardzo ważne pytanie. W tej chwili ustawa nie ma szans. Leży w Komisji Praworządności, a jej przewodniczący Howard Smith nawet nie chce powiedzieć, kiedy zaczną nad nią debatować.

Marii przyszedł na myśl zamach na szkółkę niedzielną. Jak ktoś może trzymać z rasistami z Południa?

- Czy komisja nie może go przegłosować?

- Teoretycznie tak, ale kiedy republikanie zawiązują sojusz z demokratami z Południa, mają większość i zawsze odrzucają wszystko, co ma związek z prawami obywatelskimi, niezależnie od zdania opinii publicznej. Nie mam pojęcia, jak ci ludzie mogą udawać zwolenników demokracji.

Na ekranie telewizora widać było, jak Jackie Kennedy zapala wieczny płomień, który



będzie się palił na grobie. George znów ujął dłoń Marii i zobaczyła łzy w jego oczach. W milczeniu patrzyli, jak trumna jest powoli opuszczana do mogiły.

Jack Kennedy odszedł.

- O Boże, co teraz z nami wszystkimi będzie - rzekła Maria.

- Nie wiem - odparł George.

Niechętnie opuszczał Marię. Wyglądała bardziej seksownie, niż jej się wydawało, w bawełnianej koszuli nocnej i starym sztruksowym szlafroku, z naturalnie kręcącymi się włosami, a nie z mozołem wyprostowanymi. Ale już nie był jej potrzebny; zamierzała spotkać się wieczorem z Nelly Fordham i paroma innymi dziewczętami z Białego Domu w chińskiej restauracji. Miała to być ich prywatna stypa, więc Maria nie będzie sama.

Zjadł kolację z Gregiem. Spotkali się w restauracji Occidental Grill, której wewnątrz wyłożone było ciemną boazerią; od Białego Domu dzielił ją rzut kamieniem. George uśmiechnął się na widok ojca, który jak zawsze nosił drogie ubrania tak, jakby to były łachy. Wąski czarny krawat z satyny wisiał krzywo na jego szyi, mankiety koszuli były rozpięte, a na klapie czarnego garnituru jaśniała biaława plama. Na szczęście George nie odziedziczył po nim niechlujstwa.

- Przyszło mi na myśl, że warto by się rozweselić - oznajmił Greg. Uwielbiał restauracje wysokiej klasy i wykwintną kuchnię, i tę cechę George jak najbardziej odziedziczył. Zamówili homara i chablis.

Po kryzysie kubańskim, kiedy to bezpośrednia groźba zagłady skłoniła Grega do tego, by otworzył serce, George zbliżył się do ojca. Jako nieślubne dziecko zawsze czuł, że jest powodem zakłopotania i że Greg odgrywa rolę ojca z obowiązku i bez wielkiej chęci. Jednak po tamtej zaskakującej rozmowie zrozumiał, że Greg naprawdę go kocha. Ich związek nadal był nietypowy i dość odległy, ale teraz George wierzył, że jego fundament stanowi coś autentycznego i trwałego.

Kiedy czekali na posiłek, do ich stolika podszedł przyjaciel George'a Skip Dickerson. Ubrał się na pogrzeb w ciemny garnitur i czarny krawat; wyraziście kontrastowały one z jego białymi włosami i jasną cerą.

- Cześć, George - odezwał się z południowym zaciąganiem. - Dobry wieczór, senatorze. Mogę na chwilę dołączyć?

- To jest Skip Dickerson, pracuje u Lyndona - przedstawił George. - Powinienem powiedzieć u prezydenta.

- Przystaw sobie krzesło - zachęcił Greg.

Skip przysunął krzeselko wyściełane czerwoną skórą, nachylił się i intensywnym tonem zwrócił się do Grega.

- Prezydent wie, że jest pan naukowcem.

A to co znowu, u licha ciężkiego? - zdziwił się w duchu George. Skip nigdy nie tracił czasu na czcze pogaduszki.

Greg się uśmiechnął.

- Moim głównym przedmiotem na studiach była fizyka, owszem.

- Ukończył pan Harvard z wyróżnieniem.

- Lyndonowi takie rzeczy imponują bardziej, niż powinny.

- Ale był pan jednym z naukowców, którzy opracowali bombę atomową.

- Pracowałem przy projekcie Manhattan, to prawda.

- Prezydent Johnson chce mieć pewność, że zaaprobuje pan plany badań jeziora Erie.

George wiedział, o czym mowa. Rząd federalny zamierzał sfinansować badanie nabrzeża w Buffalo, co prawdopodobnie doprowadzi do rozpoczęcia wielkiej inwestycji w budowę portu. Oznaczało to miliony dolarów dla wielu firm z północnej części stanu Nowy Jork.

- Skip, chcielibyśmy mieć pewność, że pieniądze na tę ekspertyzę nie zostaną obcięte w trakcie debaty budżetowej - powiedział Greg.

- Może pan na to liczyć. Prezydent chce nadać temu projektowi najwyższy priorytet.

- Miło mi to słyszeć, dziękuję.

Rozmowa nie miała nic wspólnego z nauką, George był tego pewny. Chodziło w niej o to, co kongresmeni określali mianem „rozdawania kielbasy”, czyli o asygnowanie funduszy federalnych na projekty w konkretnych stanach.

- Cała przyjemność po mojej stronie - odparł Skip. - Życzę smacznego. A przy okazji, czy możemy liczyć na to, że poprze pan prezydenta w sprawie tej zakichanej ustawy pszenicznej?

Sowietom przytrafiły się kiepskie żniwa i rozpaczliwie potrzebowali ziarna. Z myślą o tym, by choć odrobinę poprawić stosunki dwustronne ze Związkiem Radzieckim, prezydent Kennedy sprzedał im na kredyt nadwyżkę amerykańskiej pszenicy.

Greg wyprostował się na krześle i odrzekł z namysłem:

- Członkowie Kongresu są zdania, że jeśli komuniści nie potrafią nakarmić swojego społeczeństwa, nie naszą sprawą jest im dopomagać. Ustawa pszeniczna senatora Mundta unieważni umowę Kennedy'ego, a ja uważam, że Mundt ma rację.

- Prezydent Johnson podziela pańskie zdanie! - podchwycił Skip. - Jasna sprawa, że nie

chce pomagać komunistom. Ale to będzie pierwsze głosowanie po pogrzebie. Czy chcemy, żeby wyglądało jak policzek wymierzony zmarłemu prezydentowi?

- Czy prezydent Johnson naprawdę ma to na względzie? - włączył się George. - A może chce dać do zrozumienia, że to on decyduje teraz o polityce zagranicznej, i wolałby, aby Kongres nie przyglądał się drobiazgowo każdej decyzji, którą podejmuje?

Greg parsknął śmiechem.

- Czasami zapominam, jaki jesteś bystry. Właśnie o to chodzi Lyndonowi.

- Prezydent zamierza współpracować z Kongresem w kwestiach polityki zagranicznej - oznajmił Skip. - Ale będzie naprawdę wdzięczny, jeśli udzieli mu pan jutro poparcia. Uznałby to za wielki despekt dla pamięci prezydenta Kennedy'ego, gdyby ustawa pszeniczna przeszła.

George zauważył, że ani jeden, ani drugi nie ma ochoty powiedzieć, o co naprawdę chodzi. Prosta prawda była taka: Johnson groził, że jeśli Greg zagłosuje za ustawą pszeniczną, on utraci projekt portu w Buffalo.

I Greg uległ.

- Przekaż prezydentowi, że rozumiem jego troskę i może liczyć na mój głos.

Skip wstał.

- Dziękuję, senatorze. Prezydent bardzo się ucieszy.

- Zanim odejdziesz - odezwał się George. - Skip, wiem, że prezydent ma bardzo dużo spraw na głowie, ale w ciągu paru najbliższych dni zapewne poświęci chwilę na myślenie o ustawie o prawach obywatelskich. Zadzwoń do mnie, jeśli uznasz, że mogę się w jakikolwiek sposób przydać.

- Dzięki, George. Jestem wdzięczny - odrzekł Skip i wyszedł.

- Dobrze się spisałeś - pochwalił Greg.

- Niech wie, że drzwi są otwarte.

- To niesłuchanie ważne w polityce.

Podano posiłek. Kiedy kelnerzy się oddalili, George ujął nóż i widelec.

- Jestem człowiekiem Roberta Kennedy'ego do szpiku kości - rzekł, zabierając się do homara. - Ale Johnsona nie należy nie doceniać.

- Masz rację, ale też go nie przeceniaj.

- Co chcesz przez to powiedzieć?

- Lyndon ma dwie wady. Jest słaby intelektualnie. Och, tak, jest przebiegły jak teksański skunks, ale to nie to samo. Chodził do kolegium nauczycielskiego i nie nauczył się myślenia abstrakcyjnego. Ma kompleks wobec nas, koleś z Harvardu, i słusznie. Słabo orientuje się w polityce międzynarodowej. Chińczycy, buddyści, Kubańczycy i bolszewicy,

wszyscy oni mają różne sposoby myślenia, których on nigdy nie pojmie.

- A druga wada?

- Kiepsko u niego z moralnością. Brak mu zasad. Jego poparcie dla praw obywatelskich jest autentyczne, ale nie ma ugruntowania etycznego. Współczuje ludziom kolorowym jako tym słabszym i siebie też uważa za słabszego, bo pochodzi z biednej teksańskiej rodziny. To reakcja instynktowna.

- Przed chwilą nakłonił cię, żebyś postąpił dokładnie tak, jak chce - zauważył z uśmiechem George.

- Owszem, to prawda. Lyndon czasem potrafi manipulować pojedynczymi osobami. To najzręczniejszy polityk parlamentarny, jakiego kiedykolwiek znałem. Ale nie mąż stanu. Jack Kennedy był jego przeciwieństwem: beznadziejnie radził sobie z kierowaniem Kongresem, lecz na scenie międzynarodowej błyszczał. Lyndon upora się z Kongresem po mistrzowsku, ale czy stanie na wysokości zadania jako przywódca wolnego świata? Nie wiem.

- Myślisz, że ma jakąkolwiek szansę na to, by przepchnąć ustawę o prawach obywatelskich przez komisję Howarda Smitha?

Greg wyszczerzył zęby w uśmiechu.

- Nie mogę się doczekać na ruch Lyndona. Zjedz homara.

Nazajutrz ustawa pszeniczna senatora Mundta przepadła stosunkiem głosów pięćdziesiąt siedem do trzydziestu sześciu.

Tytuł w gazecie następnego dnia brzmiał:

*Ustawa pszeniczna, pierwszy triumf Johnsona*

Pogrzeb dobiegł końca. Kennedy odszedł, prezydentem był Johnson. Zmienił się świat, lecz George - podobnie jak wszyscy - nie wiedział, co to oznacza. Jakim prezydentem okaże się Johnson? Czym będzie się różnił od poprzednika? Mężczyzna, którego większość ludzi nie znała, raptem stał się przywódcą wolnego świata i władcą najpotężniejszego kraju. Jak będzie sobie poczynął?

Za chwilę wszyscy mieli poznać odpowiedzi na te pytania.

Sala Izby Reprezentantów była zapełniona. Na kongresmenów i senatorów padały snopy światła reflektorów telewizyjnych. Sędziowie Sądu Najwyższego mieli na sobie czarne togi, a szefowie połączonych sztabów pobłyskiwali medalami.

George siedział na galerii obok Skipa Dickersona; tam także wszystkie miejsca były zajęte, ludzie ustawili się nawet na stopniach w przejściach. George popatrzył na Roberta Kennedy'ego, który siedział na końcu rzędu krzeseł zajmowanych przez członków gabinetu.

Miał pochyloną głowę i gapił się na podłogę. Schudł przez te pięć dni, które minęły od zamachu. Poza tym zaczął wkładać ubrania brata nieboszczyka, które na niego nie pasowały: to jeszcze bardziej potęgowało wrażenie, że się skurczył.

W łoży prezydenckiej zasiadły Lady Bird Johnson z dwiema córkami, jedną brzydką, drugą ładną, wszystkie trzy panie nosiły staroświeckie fryzury. Towarzyszyło im paru luminarzy Partii Demokratycznej: Daley, burmistrz Chicago, gubernator Pensylwanii Lawrence oraz Arthur Schlesinger, intelektualista zaprzyjaźniony z braćmi Kennedy, który - George wiedział o tym - już knuł, jak wysadzić Johnsona z siodła w przyszłorocznych wyborach prezydenckich. O dziwo, w łoży znalazły się dwie osoby o ciemnych twarzach. George je znał, byli to Zephyr i Sammy Wrightowie, kucharka oraz szofer rodziny Johnsonów. Czyżby miał to być pomyślny znak?

Wielkie dwuskrzydłowe drzwi się otworzyły. Odźwierny o zabawnym imieniu Fishbait<sup>11</sup> Miller zawołał:

- Panie przewodniczący! Prezydent Stanów Zjednoczonych!

Do izby wszedł Lyndon Johnson, wszyscy wstali i zaczęli bić brawo.

George'a nurtowały dwa pytania o Lyndona Johnsona i na oba jeszcze dzisiaj usłyszy odpowiedź. Pierwsze brzmiało: czy nowy prezydent zarzuci kłopotliwy projekt ustawy o prawach obywatelskich? Pragmatycy w Partii Demokratycznej już go do tego zachęcali. Johnson będzie miał doskonałą wymówkę, jeśli zechce: prezydent Kennedy nie zdołał zapewnić ustawie większości w Kongresie i dlatego była skazana na porażkę. Nowy prezydent miał prawo z niej zrezygnować, bo została źle przygotowana. Mógł oświadczyć, że przepis legislacyjny dotyczący niebezpiecznej i dzielącej społeczeństwo kwestii segregacji rasowej będzie musiał poczekać do następnych wyborów.

Jeżeli tak powie, ruch praw obywatelskich cofnie się o całe lata. Rasiści będą fetować zwycięstwo, członkowie Ku-Klux-Klanu uznają, że wszystkie ich poczynania znalazły usprawiedliwienie, a skorumpowani biali policjanci, sędziowie, przywódcy religijni i politycy z Południa dowiedzą się, że mogą dalej prześladować, bić, dręczyć i mordować Murzynów, nie obawiając się wymierzenia im sprawiedliwości.

Ale jeśli Johnson tego nie powie, jeśli potwierdzi swoje poparcie dla praw obywatelskich, zrodzi się inne pytanie: Czy zdobędzie autorytet, by wzuć buty Kennedy'ego? Odpowiedź na to pytanie również padnie w ciągu godziny, lecz perspektywy rysowały się marnie. Lyndon dobrze sobie radził w sytuacjach jeden na jednego, ale nie imponował, gdy

---

<sup>11</sup> *Fishbait* (ang.) - przynęta na ryby.

przy oficjalnych okazjach zwracał się do dużych grup ludzi - a właśnie takie zadanie czekało go za parę minut. Dla Amerykanów było to jego pierwsze ważne wystąpienie w roli przywódcy i to ono go określi z lepszym lub gorszym skutkiem.

Skip Dickerson obgryzał paznokcie.

- Ty napisałeś przemówienie? - spytał George.

- Parę linijek. To była praca zbiorowa.

- Co powie?

Skip z niepokojem pokręcił głową.

- Poczekaj, to się dowiesz.

Waszyngtońscy wyjadacze spodziewali się porażki Johnsona. W publicznych przemówieniach wypadal źle, monotennie i sztywno. Czasem mówił za szybko, czasem zaś ociężale. Kiedy chciał coś podkreślić, po prostu krzyczał. Gestykulował tak niezręcznie, że wprawiał widzów w zakłopotanie: unosił jedną rękę i dźgał palcem powietrze albo podnosił obie i machał pięściami. Przemowy na ogół pokazywały Lyndona z najgorszej strony.

George nie mógł niczego wyczytać z zachowania nowego prezydenta, kiedy ten kroczył wśród klaszczącego tłumu. Johnson podszedł do mównicy, stanął i otworzył czarny notatnik z luźnymi kartkami. Wkładając okulary bez oprawek, nie okazywał ani pewności siebie, ani nerwowości. Następnie poczekał cierpliwie, aż ucichnie aplauz, a słuchacze zajmą miejsca.

Wreszcie się odezwał. Równym opanowanym tonem oznajmił:

- Wszystko, co mam, chętnie oddałbym za to, by tutaj dziś nie stać.

Izba ucichła. Johnson utrafił idealnie we właściwy ton żalu i skromności. Dobry początek, pomyślał George.

Prezydent kontynuował w tym samym duchu, mówił z powolną godnością. Jeśli czuł impuls, by przyspieszyć, trzymał go mocno pod kontrolą. Miał na sobie granatowy garnitur i krawat oraz koszulę z kołnierzykiem umocowanym pętelką: taki styl uważano na Południu za oficjalny. Co jakiś czas spoglądał w jedną lub drugą stronę, zwracał się do całej izby, a zarazem robił wrażenie, że ją kontroluje.

Naśladując Martina Luthera Kinga, opowiadał o marzeniach: marzeniach Kennedy'ego o podboju kosmosu, kształceniu wszystkich dzieci, Korpusie Pokoju.

- Oto nasze wyzwanie - mówił. - Nie wahać się, nie czekać, nie odwracać się i nie roztkliwiać nad tą straszliwą chwilą, lecz podążać dalej tym samym kursem po to, byśmy wypełnili przeznaczenie, które wyznaczyła nam historia.

Johnson musiał przerwać z powodu aplauzu.

Potem rzekł:

- Nasze najbliższe zadania są tutaj, na wzgórzu.

W ten sposób doszedł do sedna. Kapitol, siedziba Kongresu, niemal przez cały 1963 rok toczył wojnę z prezydentem. Kongresmeni mieli możliwość opóźniania prac legislacyjnych i często z niej korzystali, nawet jeśli prezydent zorganizował kampanię i zdobył poparcie publiczne dla swoich planów. Jednak od chwili, gdy John Kennedy ogłosił projekt ustawy o prawach obywatelskich, Kongres ogłosił strajk niczym fabryka pełna wojowniczych robotników, którzy uparcie zwlekają ze wszystkim, odmawiając przyjęcia nawet rutynowych ustaw, okazując pogardę opinii publicznej i procesowi demokratycznemu.

- Po pierwsze - zaczął Johnson i George wstrzymał oddech; czekał, by usłyszeć, co nowy prezydent wymieni na początku - żadna oracja ani mowa pochwalna nie mogłaby uhonorować pamięci prezydenta Kennedy'ego lepiej niż jak najrychlejsze uchwalenie ustawy o prawach obywatelskich, o którą tak długo zabiegał.

George zerwał się na nogi i radośnie zaczął bić brawo. Nie był jedyny: oklaski rozległy się ponownie i tym razem trwały dłużej niż poprzednio.

Johnson poczekał, aż zamilkną, a potem kontynuował:

- Długo już mówiliśmy w tym kraju o prawach obywatelskich. Mówiliśmy o nich przez sto lat albo i dłużej. Nadszedł czas, teraz, by napisać następny rozdział i by zapisać go na kartach ksiąg prawa.

Znów zawtórowały mu brawa.

Uszczęśliwiony George zerknął na nielicznych Murzynów, którzy znaleźli się w izbie: pięciu czarnoskórych kongresmenów, między innymi Gusa Hawkinsa, wyglądającego obecnie jak biały, oraz pana i panią Wrightów w łoży prezydenckiej, którzy klaskali. Znalazło się także parę ciemniejszych twarzy wśród widzów na galerii. Wyrażały ulgę, nadzieję i radość.

Potem jego wzrok spoczął na rzędach krzeseł za miejscami dla członków gabinetu, w których zasiadali najstarsi senatorzy, przeważnie z Południa. Ich miny z kolei świadczyły o poczuciu przygnębienia i niechęci.

Ani jeden nie przyłączył się do oklasków.

Skip Dickerson przedstawił George'owi plan sześć dni później w małym gabinecie sąsiadującym z Gabinetem Ovalnym:

- Naszą jedyną szansą jest petycja nakazowa.

- Co to takiego?

Dickerson odgarnął z czoła kosmyk jasnych włosów.

- Rezolucja Kongresu pozbawiająca Komisję Praworządności kontroli nad ustawą i zmuszająca ją do przekazania projektu pod obrady plenarne.

George był zły, że trzeba się uciekać aż do tak skomplikowanych procedur po to, by dziadka Marii znów nie wtrącono do więzienia za zarejestrowanie się na liście wyborczej.

- Nigdy o tym nie słyszałem - przyznał.

- Potrzebna jest nam większość. Demokraci z Południa opowiedzą się przeciwko, więc według moich wyliczeń zabraknie nam pięćdziesięciu ośmiu głosów.

- Szlag. Potrzebujemy poparcia pięćdziesięciu ośmiu republikanów, żeby zrobić to, co należy?

- Tak. I teraz kolej na twoje zadanie.

- Moje?

- Wielu republikanów twierdzi, że popiera prawa obywatelskie. W końcu należą do partii Abrahama Lincolna, oswobodziciela niewolników. Chcemy, aby Martin Luther King i inni murzyńscy liderzy wezwali republikanów, którzy ich popierają, wyjaśnili im sytuację i polecili zagłosować za petycją. Przesłanie ma być takie: nie można być zwolennikiem praw obywatelskich, jeśli nie popiera się petycji.

George skinął głową.

- Brzmi dobrze.

- Niektórzy powiedzą, że są za prawami obywatelskimi, ale nie podoba im się pośpiech proceduralny. Trzeba im uprzytomnić, że senator Howard Smith to twardogłowy zwolennik segregacji rasowej, który postara się, by w jego komisji debatowano o ustawie tak długo, aż będzie za późno na jej uchwalenie. Jego postępowanie nie jest opóźnieniem, lecz sabotowaniem.

- Dobra.

Sekretarka wsunęła głowę przez drzwi i powiedziała:

- Już na was czeka.

Dwaj młodzi mężczyźni wstali i weszli do Gabinetu Owального.

George jak zawsze był pod wrażeniem postaci Lyndona Johnsona. Miał on metr dziewięćdziesiąt jeden, lecz nie chodziło tylko o wzrost. Jego głowa była duża, nos długi, a uszy przypominały naleśniki. Uścisnął George'owi dłoń i trzymał ją, drugą ręką ujmując jego ramię. Stał tak blisko, że gość poczuł się nieswojo.

- George, poprosiłem wszystkich ludzi Kennedy'ego, by zostali w Białym Domu i mi pomogli. Ty studiowałeś na Harvardzie, a ja w Stanowym Kolegium Nauczycielskim w teksańskim San Marcos. Sam rozumiesz, że potrzebuję cię bardziej niż on.



Asystent Roberta Kennedy'ego nie wiedział, jak zareagować. Takie samoponizowanie było wręcz żenujące. Po chwili wahania zapewnił:

- Jestem tu po to, by służyć panu wszelką pomocą, panie prezydencie.

Takie lub podobne słowa musiało już powiedzieć ze dwa tysiące ludzi, lecz Johnson zareagował tak, jakby nigdy jeszcze ich nie słyszał:

- Jestem ci bardzo wdzięczny - rzekł z zapalem. - Dziękuję. - Następnie przeszedł do sedna: - Wielu prosiło mnie o złagodzenie ustawy o prawach obywatelskich, żeby południowcom łatwiej było ją przełknąć. Sugerowali usunięcie zakazu segregacji w publicznych miejscach zakwaterowania. Nie zamierzam tego zrobić, George, z dwóch powodów. Po pierwsze dlatego, że będą wściekli na ustawę bez względu na to, czy będzie łagodna, czy bardziej rygorystyczna, i nie wierzę, by ją poparli, nawet gdybym wyrwał jej zęby.

George uważał takie podejście za słuszne.

- Jeśli ma dojść do walki, to lepiej walczyć o to, czego naprawdę się pragnie.

- No właśnie. Powiem ci, jaki jest drugi powód. Mam przyjaciółkę, która dla mnie pracuje, panią Zephyr Wright.

George przypomniał sobie pana i panią Wrightów siedzących w łoży prezydenckiej w Izbie Reprezentantów.

- Pewnego razu, kiedy miała pojechać do Teksasu - ciągnął Johnson - poprosiłem ją, żeby zabrała ze sobą mojego psa. Ona na to: „Proszę cię, nie każ mi tego robić”. Musiałem ją zapytać dlaczego. „Jazda samochodem na Południu i bez tego jest wystarczająco trudna. Nie da się znaleźć miejsca, w którym można zjeść, przespacerować się ani nawet pójść do łazienki. Z psem to będzie po prostu niewykonalne”. To mnie poruszyło, George, o mało się nie popłakałem. Pani Wright jest absolwentką college'u, rozumiesz. Właśnie wtedy uświadomiłem sobie, jak ważne są publiczne miejsca zakwaterowania, skoro mówimy o segregacji. Wiem, co to znaczy być pogardzanym, George, i nikomu tego nie życzę.

- Miło mi to słyszeć.

Rozumiał, że jest uwodzony. Johnson nadal trzymał jego rękę i ramię, nadal stał zbyt blisko, a jego oczy patrzyły na George'a z niezwykłą intensywnością. Miał więc świadomość, co Johnson chce osiągnąć, a i tak było to skuteczne. Historyjka o Zephyr trafiła w jego czułą strunę, wierzył też prezydentowi, gdy ten mówił, że wie, jak to jest być pogardzanym. Poczł przyływ podziwu i czułości dla tego niezręcznego, skłonnego do wzruszeń drągała, który stawał po stronie Murzynów.

- Będzie trudno, ale myślę, że wygramy - powiedział prezydent. - Postaraj się, George.

- Tak jest, panie prezydencie. Będę się starał.

George objaśnił strategię prezydenta Verenie Marquand wkrótce przed wejściem Martina Luthera Kinga do Gabinetu Owalnego. Wyglądała olśniewająco w jaskrawoczerwonym płaszczu z winylu, lecz tym razem wyjątkowo jej uroda go nie rozpraszała.

- Musimy zaangażować się w to z całą mocą - tłumaczył z przejęciem. - Jeśli petycja padnie, jeśli padnie ustawa, Murzyni na Południu wrócą do punktu wyjścia.

Przekazał dziewczynie listę kongresmenów z Partii Republikańskiej, którzy jeszcze nie podpisali petycji.

Zaimponowało jej to.

- Prezydent Kennedy opowiadał nam o głosowaniach, ale nigdy nie miał takiej listy.

- Cały Lyndon - odrzekł George. - Rzecznicy dyscypliny partyjnej mówią mu, że myślą, że zbiorą tyle a tyle głosów, a on na to: „Myślenie to za mało, ja muszę wiedzieć!”. Musi znać nazwiska. I ma rację. Ta sprawa jest zbyt ważna, by opierać się na zgadywankach.

Oznajmił Verenie, że liderzy ruchu muszą wyrzucić nacisk na liberalnie nastawionych republikanów.

- Każdy z tych ludzi musi odebrać telefon od osoby, na której aprobacie mu zależy.

- Czy to właśnie prezydent powie dzisiaj doktorowi Kingowi?

- Właśnie to.

Johnson spotykał się ze wszystkimi ważniejszymi przywódcami ruchu praw obywatelskich po kolei. Jack Kennedy zapraszał ich wszystkich naraz, ale Lyndon nie mógł rozstrzygnąć swojej magii w obliczu liczniejszych grup.

- Czy prezydent uważa, że liderzy ruchu zdołają przekonać tych wszystkich republikanów? - spytała z niedowierzaniem Verena.

- Nie bez pomocy, ale on już układa listy z kolejnymi nazwiskami. Spotyka się z szefami największych central związkowych. Dzisiaj rano zjadł śniadanie z George'em Meanym.

Verena z podziwu pokręciła piękną głową.

- Trzeba mu oddać, że jest energiczny. - Zamyśliła się. - Czemu prezydent Kennedy nie mógł tak podejść do sprawy?

- Z tego samego powodu, dla którego Lyndon nie żeglujecie jachtem: nie potrafił.

Spotkanie prezydenta z Kingiem zakończyło się pomyślnie. Jednak nazajutrz rano optymizm George'a osłabł z powodu kontrataku segregacjonistów.

Czołowi republikanie zdecydowanie potępiłi petycję. McCullough z Ohio stwierdził, że rozżłościła tych, którzy w innych okolicznościach poparliby ustawę o prawach obywatelskich. Gerald Ford oznajmił reporterom, że Komisja Praworządności powinna mieć czas na wysłuchanie opinii, co było bzdurą, ponieważ wszyscy wiedzieli, że Smith dąży do zniszczenia projektu, a nie do debaty nad nim. Mimo to dziennikarze usłyszeli, że petycja upadła.

Jednak Johnson nie ustawał w wysiłkach. W środę rano przemawiał do Doradczej Rady Biznesu, zgromadzenia osiemdziesięciu dziewięciu najważniejszych amerykańskich przemysłowców.

- Jestem jedynym prezydentem, jakiego macie - mówił. - Jeśli skażecie mnie na porażkę, wtedy i was czeka przegrana, bo przegra kraj.

Następnie zwrócił się do rady wykonawczej AFL-CIO, największej federacji związków zawodowych:

- Potrzebuję waszego poparcia i wierzę, że powinniście stać po mojej stronie.

Nagrodzono go owacją na stojąco i trzydziestu trzech lobbystów związku przemysłu stalowego przypuściło szturm na Kapitol.

George usiadł właśnie do kolacji z Vereną w jednej z tamtejszych restauracji, kiedy Skip Dickerson, mijając ich stolik, syknął:

- Clarence Brown poszedł na spotkanie z Howardem Smithem.

- Brown to najważniejszy republikanin w komisji Smitha - wyjaśnił Verenie George. - Albo mówi Smithowi, żeby wytrzymał i zignorował lobbystów, albo że republikanie nie zniosą dłużej nacisków. Jeśli dwóch członków komisji zwróci się przeciwko Smithowi, jego decyzje mogą zostać odrzucone większością głosów.

- Czy uda się go pokonać tak szybko? - zdziwiła się Verena.

- Niewykluczone, że Smith będzie wolał sam skoczyć, zanim go zepchną. To pozwala zachować więcej godności. - George odsunął talerz. Napięcie nerwowe pozbawiło go apetytu.

Pół godziny później znów pojawił się Dickerson.

- Smith się poddał - zapał radośnie. - Jutro wydadzą oficjalny komunikat. - Poszedł dalej, roznosząc wiadomość.

George i Verena uśmiechnęli się.

- No cóż, Boże, błogosław Lyndona Johnsona.

- Amen - rzekł George. - Musimy to uczcić.

- Jak to zrobimy?

- Chodźmy do mnie. Już ja coś wymyślę.

## ROZDZIAŁ 32

W szkole Dave'a nie obowiązywały mundurki, lecz chłopców wyśmiewano, kiedy przychodzili zbyt strojnie ubrani. Dave'owi nieźle się oberwało w dniu, w którym pojawił się, mając na sobie marynarkę z czterema guzikami, białą koszulę z kołnierzykiem zakończonym długimi szpicami, krawat w pepitkę i niebieskie hippisowskie spodnie z białym plastikowym paskiem. Nie przejmował się drwinami, miał misję do spełnienia.

Grupa Lenny'ego od lat utrzymywała się na obrzeżach show-biznesu. W ten sposób mogli jeszcze przez dekadę grywać rock and rolla w klubach i pubach. W roku 1964 Dave zapragnął czegoś więcej. Żeby ruszyć z miejsca, trzeba było nagrać płytę.

Po szkole dojechał metrem do stacji Tottenham Court Road, stamtąd zaś dotarł pieszo do budynku przy Denmark Street. Na parterze mieścił się sklep gitarowy, lecz obok były drzwi prowadzące do biura na piętrze oraz tabliczka z nazwą Classic Records.

Dave rozmawiał z Lennym o podpisaniu umowy na płytę, ten jednak nie odpowiedział w tonie zachęcającym:

- Już próbowałem. Nie można się przebić, to zamknięty krąg.

Takie gadanie było bez sensu. Musiał istnieć sposób, by dostać się do środka, bo w przeciwnym razie nikt nie nagrywałby płyt. Ale Dave wiedział, że nie warto przerzucać się argumentami logicznymi z Lennym. Postanowił działać na własną rękę.

Zaczął od przeglądu nazw wytwórni płytowych, które wydały hity. Było to skomplikowane, gdyż istniało wiele marek należących do garstki firm. Dzięki książce telefonicznej zdołał je uporządkować i jego wybór padł na Classic.

Zatelefonował pod numer wytwórni i powiedział:

- Tu Biuro Rzeczy Znalezionych British Railways. Posiadamy taśmę w pudełku oznaczonym napisem „Dyrektor Działu Wykonawców i Nagrań, Classic Records”. Komu mam je wysłać? - Dziewczyna, która odebrała telefon, podała mu nazwisko i adres przy Denmark Street.

Dotarł do szczytu schodów i zobaczył recepcjonistkę. Było wielce prawdopodobne, że właśnie z nią rozmawiał przez telefon. Z pewną siebie miną posłużył się nazwiskiem, które mu podała:

- Przyszedłem się zobaczyć z Erikiem Chapmanem.

- Kogo mam zapowiedzieć?

- Dave Williams. Przysyła mnie Byron Chesterfield.

Była to bujda, lecz Dave nie miał nic do stracenia.

Recepcjonistka zniknęła za drzwiami. Dave się rozejrzył. Hol zdobiły złote i srebrne płyty oprawione w ramki. Zdjęcie Percy'ego Marquanda, czarnego Binga Crosby'ego, opatrzone było dedykacją: „Ericowi z podziękowaniami za wszystko”. Dave zwrócił uwagę na to, że wszystkie płyty miały co najmniej pięć lat. Eric potrzebował młodych talentów.

Dave denerwował się. Nie był przyzwyczajony do oszukańczych metod. Mówił sobie, że nie powinien być bojaźliwy. Nie łamał prawa. W najgorszym razie wyproszą go i powiedzą, żeby przestał marnować ich czas. Warto było zaryzykować.

Sekretarka wyszła i w drzwiach stanął mężczyzna w średnim wieku. Był ubrany w zielony kardigan, białą koszulę i krawat nieokreślonej barwy. Miał przerzedzone siwe włosy. Oparł się o framugę i zlustrował Dave'a od góry do dołu.

- Byron cię do mnie przysłał, tak?

Ton jego głosu świadczył o tym, że nie kupił bajeczki. Dave nie powtórzył kłamstwa, lecz sięgnął po następne:

- Byron powiedział tak: „EMI ma Beatlesów, Decca Rolling Stonesów, a Classic potrzebuje Plum Nellie”. - Byron niczego takiego nie mówił. Dave sam to wykombinował, czytając prasę muzyczną.

- Plum co?

Dave podał Chapmanowi zdjęcie grupy.

- Pograliśmy trochę w klubie Dive w Hamburgu tak jak Beatlesi i w Jump w Londynie tak jak Stonesi. - Dziwił się, że jeszcze stamtąd nie wyleciał, i zastanawiał się, jak długo jeszcze będzie mu dopisywało szczęście.

- Skąd znasz Byrona?

- Jest naszym menedżerem - skłamał po raz kolejny.

- Jaka muzyka?

- Rock and roll, ale z dużą domieszką śpiewu na głosy.

- Czyli taka, jaką grają teraz wszystkie zespoły popowe.

- Ale my jesteśmy lepsi.

Nastąpiła długa pauza. Dave cieszył się, że Chapman w ogóle chce z nim rozmawiać. Lenny powiedział: „Nie można się przebić, to zamknięty krąg”. Dave udowodnił, że się mylił.

- Łziesz jak jasna cholera - oświadczył Chapman.

Dave otworzył usta, by zaprotestować, lecz tamten uniósł dłoń.

- Przestań mi tu chrzanić. Byron nie jest twoim menedżerem i nie skierował cię do mnie. Może go poznałeś, ale nie powiedział, że Classic Records potrzebuje Plum Nellie.

Dave milczał. Przyłapano go, to było poniżające. Usiłował dostać się za pomocą blefu

do firmy płytowej i nie wyszło.

- Jeszcze raz, jak się nazywasz? - zapytał Chapman.

- Dave Williams.

- Czego ode mnie chcesz, Dave?

- Umowy na płytę.

- Co za niespodzianka.

- Zrób nam przesłuchanie, przyrzekam, że nie pożałujesz.

- Zdradzę ci sekret, Dave. Kiedy miałem osiemnaście lat, złapałem pierwszą robotę w studiu nagrań. Powiedziałem, że mam kwalifikacje elektryka. Kłamałem. Jedyne, co umiałem, to trochę grać na pianinie.

Serce Dave'a drgnęło nadzieją.

- Podoba mi się twoja bezczelność - rzekł Chapman i dodał ze szczyptą smutku: - Gdybym mógł zawrócić zegar, chętnie byłbym znowu młodym ryzykantem.

Dave wstrzymał oddech.

- Przesłucham was.

- Dzięki!

- Przyjdźcie do studia dzień po Bożym Narodzeniu. - Skinieniem kciuka wskazał recepcjonistkę. - Cherry cię umówi. - Wszedł do swojego gabinetu i zamknął drzwi.

Dave nie mógł uwierzyć w swoje szczęście. Przyłapano go na głupawych łgarstwach, a mimo to załatwił grupie przesłuchanie!

Wstępnie ustalił z Cherry godzinę i zapowiedział, że potwierdzi telefonicznie po konsultacji z resztą zespołu. Potem wyszedł i czuł się jak wniebowzięty.

Gdy tylko znalazł się w domu przy Great Peter Street, podniósł słuchawkę w holu i zadzwonił do Lenny'ego.

- Załatwiłem przesłuchanie w Classic Records! - oznajmił triumfalnie.

Lenny nie przyjął wiadomości z takim entuzjazmem, jakiego oczekiwał Dave.

- Kto ci kazał? - Był wkurzony, ponieważ Dave przejął inicjatywę.

Jednak Dave nie pozwolił ściągnąć się na ziemię.

- Co mamy do stracenia?

- Jak ci się udało?

- Blefowałem. Dotarłem do Erica Chapmana i zgodził się.

- Trafiło ci się jak ślepej kurze ziarno - orzekł Lenny. - Czasem tak bywa.

- Taak - zgodził się Dave, ale pomyślał: Nie trafiłoby się, gdybym siedział w domu na tyłku.

- Classic to nie jest czołowa wytwórnia.

- I dlatego nas potrzebuje. - Dave zaczynał tracić cierpliwość. - Lenny, co w tym wszystkim złego?

- Nie, w porządku, zobaczymy, czy to wypali.

- Teraz musimy się zastanowić, co zagrać na przesłuchaniu. Sekretarka powiedziała, że nagramy dwie piosenki.

- No co, powinniśmy zagrać *Shake, Rattle and Roll*, to jasne.

Dave aż struchlał.

- Dlaczego?

- Bo to nasz najlepszy numer. Zawsze jest dobrze przyjmowany.

- Nie uważasz, że trochę staroświecki?

- To klasyka.

Dave wiedział, że w tej chwili nie może się o to spierać. Lenny już raz przełknął swoją dumę. Nie należy go przesadnie naciskać. Grupa mogła jednak wykonać dwa utwory, może drugi się czymś wyróżni.

- A blues? - zasugerował rozpaczliwie Dave. - Dla kontrastu. Pokażemy naszą skalę.

- No, może być. Hoochie Coochie Man.

To już było coś lepszego, bardziej przypominało to, co grali Rolling Stonesi.

- Okay - zgodził się Dave.

Wszedł do salonu. Walli siedział z gitarą na kolanie. Mieszkał u Williamsów od dnia, w którym przyjechał z grupą z Hamburga. On i Dave często siadali w tym pokoju, grali i śpiewali między szkołą i kolacją.

Dave przekazał Wallemu nowinę. Ten się ucieszył, ale po chwili usłyszał, jakie utwory wybrał Lenny, i to go zmartwiło.

- Dwie piosenki, które były przebojami w latach pięćdziesiątych - zauważył. Jego angielski szybko się poprawiał.

- To jest grupa Lenny'ego - rzekł bezradnie Dave. - Jeśli myślisz, że możesz mu to wyperswadować, spróbuj.

Walli wzruszył ramionami. Dave przekonał się, że jest świetnym muzykiem, ale trochę biernym. Evie twierdziła, że w porównaniu z rodziną Williamsów wszyscy są bierni.

Roztrząsali gust Lenny'ego, kiedy Evie weszła z Hankiem Remingtonem. Sztuka *Proces kobiety* zrobiła furorę, mimo że premiera przypadła w dniu, w którym zginął prezydent Kennedy. Hank nagrywał nową płytę z zespołem Kords. Spędzali razem popołudnia, a później odchodzili do swoich miejsc pracy.

Hank miał na sobie pomięte hippisowskie spodnie ze sztruksu i koszulkę w kropki. Usiadł z Dave'em i Wallim, a Evie poszła na górę się przebrać. Jak zawsze był czarujący i zabawny, opowiadał o perypetiach grupy podczas tournée.

Wziął gitarę od Wallego i z roztargnieniem zagrał parę akordów.

- Chcecie usłyszeć nową piosenkę? - zapytał.

Oczywiście chcieli.

Była to sentymentalna ballada pod tytułem *Love Is It*. Od razu wpadała w ucho. Miała uroczą melodię z drobnym przesunięciem rytmu. Poprosili, żeby zagrał jeszcze raz.

- Co to był za akord na początku? - spytał Walli.

- Cis-moll. - Hank pokazał mu, a potem przekazał instrument.

Walli zagrał akordy, a Hank zaśpiewał po raz trzeci. Dave zaimprovizował drugi głos.

- Fajnie to zabrzmiało - powiedział lider Kords. - Wielka szkoda, że jej nie nagramy.

- Co takiego? - Dave nie mógł uwierzyć. - To piękna piosenka!

- Koledzy uważają, że ckliwa. „Jesteśmy kapelą rockową”, mówią, „nie chcemy brzmieć jak Peter, Paul and Mary”.

- Moim zdaniem ta piosenka ma szansę znaleźć się na szczycie listy przebojów - stwierdził Dave.

Do pokoju zajrzała jego matka.

- Walli, telefon do ciebie. Z Niemiec.

Domyślił się, że może dzwonić jego siostra Rebecca mieszkająca w Hamburgu. Rodzina z Berlina Wschodniego nie mogła telefonować, bo komunistyczny reżim nie pozwalał dzwonić na Zachód.

Kiedy Wallego nie było, weszła Evie. Zaczesała włosy do góry, włożyła dzinsy i T-shirt; ułatwiała w ten sposób pracę charakteryzatorkom. Hank podrzuci ją do teatru, a później pojedzie do studia nagrań.

Dave był roztargniony, myślał o piosence *Love Is It*, świetnym utworze, którego nie chcieli Kords.

Walli wrócił, za nim szła Daisy.

- To była Rebecca - powiedział.

- Lubię Rebecę - odparł Dave, przypominając sobie kotlety schabowe z pieczonymi ziemniakami.

- Niedawno dostała list od Karolin, który z wielkim opóźnieniem przyszedł z Berlina Wschodniego. - Walli zrobił pauzę. Wyglądał jak ktoś targany silnymi emocjami. W końcu oznajmił: - Karolin urodziła dziecko. To dziewczynka.



Wszyscy zerwali się na równe nogi i zaczęli mu gratulować. Daisy i Evie pocałowały go.

- Kiedy to się stało? - chciała wiedzieć Daisy.

- Dwudziestego drugiego listopada. Łatwo zapamiętać, bo to data zamachu na Kennedy'ego.

- Ile ważyła? - spytała Daisy.

- Ważyła? - zdziwił się Walli, jakby pytanie było niezrozumiałe.

Daisy parsknęła śmiechem.

- Zawsze się o tym mówi przy okazji rozmowy o noworodkach.

- Nie zapytałem, ile ważyła.

- Mniejsza z tym. A imię?

- Karolin zasugerowała Alice.

- Urocze imię - pochwaliła Daisy.

- Karolin przyśle mi zdjęcie - rzekł Walli. - Zdjęcie mojej córki - dodał jakby nieco oszołomiony. - Ale wyśle je przez Rebeccę, bo listy do Anglii są jeszcze dłużej przetrzymywane w urzędzie cenzorskim.

- Nie będę się mogła doczekać na to zdjęcie! - powiedziała Daisy.

Hank ze zniecierpliwieniem pobrzękiwał kluczykami. Może rozmowa o dzieciach go nudzi. Albo nie podoba mu się, że nie jest już w centrum zainteresowania, bo dziecko skupiło na sobie uwagę wszystkich, pomyślał Dave.

- O mój Boże, spójrzcie na zegarek - powiedziała Evie. - Do widzenia wszystkim. Gratuluję jeszcze raz, Walli.

Kiedy wychodzili, Dave zwrócił się do Hanka:

- Słuchaj, czy Kords naprawdę nie nagrają *Love Is It*?

- Naprawdę. Kiedy się przeciwko czemuś opowiedzą, są uparci jak nie wiem co.

- W takim razie... Czy moglibyśmy, to znaczy Walli i ja, wziąć ten utwór dla Plum Nellie? W grudniu mamy przesłuchanie w Classic Records.

- Jasne - odparł Hank, wzruszając ramionami. - Czemu nie?

Lloyd poprosił Dave'a, żeby w sobotę rano wstąpił do jego gabinetu.

Ten szykował się do wyjścia. Miał na sobie sweter w poziome niebiesko-białe pasy, dzinsy i skórzaną kurtkę.

- Dlaczego? - zapytał zadziornie. - Nie dajesz mi już kieszonkowego.

Za grę w Plum Nellie nie zarabiał wiele, ale wystarczało na przejazd metrem, drinki, a

czasem nową koszulkę lub parę butów.

- Czy pieniądze to jedyny powód do tego, by rozmawiać z ojcem?

Dave wzruszył ramionami i wszedł do gabinetu. Stało w nim staroświeckie biurko i skórzane krzesła. W kominku tlił się ogień. Na ścianie wisiało zdjęcie Lloyda z lat trzydziestych w Cambridge. Pomieszczenie było istną kaplicą wszystkiego, co wyszło z mody.

- Wczoraj w klubie Reform wpadłem na Willa Furbelowa - zaczął Lloyd.

Był to dyrektor szkoły, do której chodził Dave. Był łysy, toteż, jak należało się spodziewać, nazywano go Góra Nic.

- Mówi, że grozi ci oblanie wszystkich egzaminów.

- Nigdy nie zaliczał się do moich fanów.

- Jeśli nie zdasz, nie będziesz mógł się dalej kształcić. To będzie koniec twojej formalnej edukacji.

- Bogu dzięki.

Lloyd nie zamierzał pozwalać synowi na kpiny.

- Każdy zawód będzie dla ciebie niedostępny, od księgowego do zoologa. Wszystkie wymagają zaliczenia egzaminów. Druga możliwość dla ciebie to rzemiosło. Mógłbyś nauczyć się czegoś pożytecznego, powinieneś się zastanowić, co będzie ci odpowiadało: murarstwo, gotowanie, mechanika...

Dave pomyślał, że ojcu chyba odbiło.

- Murarstwo? Czy ty mnie w ogóle znasz? Jestem Dave.

- Niepotrzebnie okazujesz niedowierzanie. To są zawody dla tych, którzy nie mogą zdać egzaminów. Niżej są prace w rodzaju sprzedawcy w sklepie albo pomocnika w fabryce.

- Nie wierzę własnym uszom.

- Obawiałem się, że tak zareagujesz i że zamkniesz oczy na rzeczywistość.

To ty zamykasz oczy, myślał Dave.

- Mam świadomość, że wyrastasz już z wieku, w którym powinieneś mi być posłuszny.

Dave się przestraszył. To było nowe podejście. Milczał.

- Ale chcę, żebyś miał jasność, na czym stoimy. Spodziewam się, że po odejściu ze szkoły zaczniesz pracować.

- Pracuję, i to całkiem ciężko. Gram trzy albo cztery razy w tygodniu, zaczęliśmy z Wallim pisać piosenki.

- Mam na myśli to, że oczekuję, że będziesz się sam utrzymywał. Twoja matka odziedziczyła fortunę, ale już dawno ustaliliśmy, że nigdy nie będziemy utrzymywali dzieci

oddających się bezczynności.

- Nie oddaję się bezczynności.

- Uważasz, że to, co robisz, to praca, ale inni mogą nie podzielać twojego zdania. W każdym razie, jeśli chcesz tu dalej mieszkać, będziesz musiał wносить część opłaty.

- To znaczy czynsz?

- Możesz to tak nazwać, tak.

- Jasper nigdy nie płacił czynszu, a mieszkał u nas przez lata!

- Nadal jest studentem. I zalicza wszystkie egzaminy.

- A Walli?

- To szczególny przypadek z powodu pochodzenia, ale prędzej czy później on także będzie musiał płacić składkę.

Dave rozpracowywał implikacje nowego stanu rzeczy.

- A więc jeśli nie zostanę murarzem albo sprzedawcą w sklepie i nie zarobię dość pieniędzy za grę w grupie, by zapłacić czynsz...

- Wtedy będziesz musiał się rozejrzeć za innym miejscem zakwaterowania.

- Wyrzucisz mnie.

Twarz Lloyda wyrażała ból.

- Przez całe życie miałeś podane na talerzu wszystko, co najlepsze: piękny dom, wspaniałą szkołę, najlepsze jedzenie, zabawki i książki, lekcje gry na pianinie, wyjazdy na narty. Ale wtedy byłeś dzieckiem. Teraz jesteś prawie dorosły i musisz zmierzyć się z rzeczywistością.

- Z moją, nie twoją.

- Gardzisz pracą zwykłych ludzi. Jesteś inny, jesteś buntownikiem. Świetnie. Buntownicy płacą cenę. Prędzej czy później się o tym przekonasz. To wszystko.

Dave siedział minutę w zamyśleniu. Potem wstał.

- Dobra, kapuję. - Zbliżył się do drzwi.

Wychodząc, obejrzał się i zobaczył, że ojciec patrzy na niego z dziwnym wyrazem twarzy.

Zastanawiał się nad tym, kiedy wychodził z domu i trzaskał drzwiami. Co to była za mina? I co miała znaczyć?

Nadal o tym myślał, kupując bilet na pociąg metra. Zjeżdżając windą, zauważył plakat sztuki zatytułowanej Dom złamanych serc. Tak, to jest to. Właśnie to wyrażała twarz ojca.

Wyglądał jak człowiek ze złamanym sercem.

Małe kolorowe zdjęcie Alice przyszło pocztą, Walli oglądał je z przejęciem. Dziecko wyglądało jak każde inne: malutka buzia z żywymi niebieskimi oczkami, grzywka rzadkich ciemnobrązowych włosów, plamiste gardło. Reszta była szczelnie opatulona w błękitny jak niebo koczek. Mimo to Wallim targnęła fala uczucia i nagłego pragnienia, by chronić bezradne stworzenie, które było jego dziełem, i opiekować się nim.

Nie wiedział, czy je kiedykolwiek zobaczy.

Zdjęciu towarzyszył krótki list od Karolin. Napisała, że kocha Wallego i za nim tęskni. Zamierzała ubiegać się u wschodniemieckich władz o pozwolenie na wyjazd na Zachód.

Fotografia pokazywała Karolin trzymającą na rękach Alice i patrzącą w obiektyw aparatu. Przytyła i jej twarz się zaokrągliła. Włosy zaczesane do tyłu nie okalały już jej twarzy jak zasłony. Nie przypominała tych wszystkich ładnych dziewcząt z klubu folkowego Minnesänger. Teraz była matką. Czyniło ją to w oczach Wallego jeszcze bardziej godną pożądania.

Pokazał zdjęcie matce Dave'a, Daisy.

- Ależ śliczne maleństwo! - zachwyciła się.

Walli się uśmiechnął, choć jego zdaniem żadne dziecko nie było śliczne, nawet jego własne.

- Wydaje mi się, że ma twoje oczy - mówiła gospodyni.

Oczy Wallego miały nieco orientalny wygląd. Zgadywał, że jakiś bardzo dawny przodek musiał być Chińczykiem. Nie potrafił ocenić, czy oczy małej Alice są podobne.

Daisy nadal roztkliwiała się nad fotografią.

- A to Karolin. - Widziała ją pierwszy raz, bo Walli nie miał innych zdjęć. - Bardzo ładna młoda kobieta.

- Trzeba ją widzieć, kiedy się wystroi - odparł z dumą Walli. - Ludzie zatrzymują się, żeby na nią popatrzeć.

- Mam nadzieję, że i my ją kiedyś zobaczymy.

Na poczucie szczęścia Wallego padł cień, jakby chmura przesłoniła słońce.

- Ja też mam taką nadzieję.

Śledził wiadomości nadchodzące z Berlina Wschodniego, czytał w bibliotece publicznej niemieckie gazety i często wypytywał Lloyda Williamsa, który jako polityk specjalizował się w sprawach międzynarodowych. Walli wiedział, że wydostanie się z Niemiec Wschodnich staje się coraz trudniejsze: mur był rozbudowywany i budził jeszcze większy strach, przybywało wieżyczek i strażników. Karolin na pewno nie podejmie próby ucieczki, zwłaszcza teraz, gdy ma dziecko. Może jednak istniał inny sposób. Oficjalnie władze

Niemieckiej Republiki Demokratycznej nie chciały ujawnić, czy możliwa jest legalna emigracja. Nie informowano nawet, który wydział zajmuje się wnioskami. Jednak od Ambasady Brytyjskiej w Bonn Lloyd dowiedział się, że około dziesięciu tysięcy osób rocznie uzyskuje pozwolenie. Może znajdzie się wśród nich Karolin.

- Kiedyś to się stanie, jestem pewna - oznajmiła Daisy, ale mówiła to z uprzejmości.

Walli pokazał zdjęcie Evie i Hankowi Remingtonowi, którzy siedzieli w salonie i czytali scenariusz. Grupa Kords zamierzała nakręcić film i Hank chciał, by Evie w nim zagrała. Odłożyli arkusze i zaczęli rozczulać się nad niemowlęciem.

- Dzisiaj mamy przesłuchanie w Classic Records - rzekł Walli do Hanka. - Jestem umówiony z Dave'em, kiedy wyjdzie ze szkoły.

- Hej, no to powodzenia. Zagrać *Love Is It?*

- Mam nadzieję. Lenny chce grać Shake, Rattle and Roll.

Hank pokręcił głową i jego długie rude włosy zatańczyły w sposób, który sprawiał, że miliony nastolatków piszczało ze szczęścia.

- Zbyt staroświeckie.

- Wiem.

W domu przy Great Peter Street ciągle spotykało się nowych ludzi; pojawił się Jasper z kobietą, której Walli nigdy dotąd nie widział.

- To moja siostra Anna - rzekł.

Anna miała ciemne oczy i była dwudziestokilkuletnią piękną. Jasper też był przystojny. Walli pomyślał, że to musi być ładna rodzina. Anna miała bujną zaokrągloną figurę, obecnie niemodną, gdyż wszystkie modelki były płaskie z przodu tak jak Jean Shrimpton zwana Krewetką.

Jasper przedstawił wszystkim. Hank wstał i podał Annie rękę.

- Miałem nadzieję, że cię poznam. Jasper mówi, że jesteś redaktorką książek.

- Tak, to prawda.

- Myślę o napisaniu historii mojego życia.

Walli pomyślał, że dwudziestoletni Hank jest nieco zbyt młody na pisanie autobiografii, lecz Anna była innego zdania.

- Fantastyczny pomysł. Miliony ludzi chciałoby ją przeczytać.

- Naprawdę tak myślisz?

- Wiem, aczkolwiek biografie to nie jest moja działka, ja specjalizuję się w przekładach z literatury niemieckiej i wschodnioeuropejskiej.

- Miałem wujka Polaka, czy to pomoże?

Anna roześmiała się dźwięcznie i Walli spojrział na nią cieplejszym wzrokiem, Hank również. Usiedli i zaczęli rozmawiać o książce. Walli czekał, by pokazać im zdjęcie, ale doszedł do wniosku, że to nie jest odpowiednia chwila. Poza tym musiał już iść.

Ujął w ręce dwie gitary i wyszedł z domu.

Uważał Hamburg za zaskakujące przeciwieństwo Niemiec Wschodnich, ale Londyn był wprost niepokojąco inny, niczym stolica anarchii. Ludzie nosili najrozmaitsze stroje, od meloników po minispódniczki. Chłopców z długimi włosami kręciło się tyłu, że nikt się już na nich nie gapił. Wypowiedzi polityczne były więcej niż swobodne, wręcz oburzające: Walli przeżył wstrząs, gdy zobaczył w telewizji człowieka udającego premiera Harolda Macmillana, mówiącego jego głosem, mającego siwe wąsiki i wygłaszającego idiotyczne stwierdzenia, ale rodzina Williamsów świetnie się bawiła.

Wallego uderzyła także liczba kolorowych. W Niemczech było wielu tureckich imigrantów o kakaowej skórze, lecz w Londynie spotykało się ludzi z Karaibów i Półwyspu Indyjskiego. Przybywali pracować w szpitalach i fabrykach, w autobusach i pociągach. Walli zauważył, że ich dziewczyny są bardzo ładnie ubrane i seksowne.

Spotkał się z Dave'em pod bramą szkoły i pojechali metrem do północnego Londynu.

Walli widział, że Dave jest zdenerwowany. On sam się nie denerwował. Miał świadomość, że jest dobrym muzykiem. Pracując w klubie Jump, co wieczór słyszał dziesiątki gitarzystów i rzadko trafiał się ktoś, kto był od niego lepszy. Większość znała kilka akordów i miała mnóstwo entuzjazmu. Kiedy na scenie pojawiał się ktoś dobry, Walli przestawał myć szklanki i obserwował zespół, studiując technikę gitarzysty, dopóki szef nie zagonił go z powrotem do pracy, a potem, po powrocie do domu, siedział w swoim pokoju i tak długo odtwarzał zasłyszane dźwięki, aż zdołał je zagrać doskonale.

Niestety, wirtuozeria nie czyni cię gwiazdą muzyki rozrywkowej. Do tego trzeba czegoś więcej: charyzmy, urody, odpowiednich strojów, rozgłosu, zręcznego menedżera, a przede wszystkim dobrych piosenek.

Ale Plum Nellie mieli dobrą piosenkę. Walli i Dave zagrali *Love Is It* reszcie grupy i wykonali ją kilkakrotnie podczas występów w gorącym okresie przedświątecznym. Została dobrze przyjęta, chociaż - jak wytknął Lenny - nie można było przy niej tańczyć.

Jednak Lenny nie chciał jej włączyć do repertuaru wybranego na przesłuchanie.

- To nie nasz rodzaj materiału - powiedział.

Tak samo jak Kords uważał, że piosenka jest zbyt ładna i zbyt sentymentalna dla grupy rockowej.

Ze stacji metra Walli i Dave poszli do dużego starego domu, który został wyłożony

płytami dźwiękochłonnymi i zamieniony w studio nagraniowe. Czekali w holu. Pozostali zjawili się kilka minut później. Sekretarka poprosiła ich wszystkich o podpisanie dokumentu, który nazwała „ubezpieczeniem”. Walli uważał, że bardziej przypomina umowę. Dave zmarszczył brwi, czytając go, ale wszyscy podpisali.

Po kilku minutach otworzyły się wewnętrzne drzwi i wyłonił się z nich niezbyt atrakcyjny młodzieniec. Był w sweterku z dekoltem w serek, koszuli i krawacie i palił skręta.

- Dobra - rzucił, zamiast się przedstawić, i odgarnął włosy z oczu. - Jesteśmy prawie gotowi. Czy to wasz pierwszy raz w studiu nagraniowym?

Przyznali, że tak.

- Cóż, postaramy się, żebyście zabrzmiali jak najlepiej, więc po prostu słuchajcie naszych rad, dobrze? - Najwyraźniej uważał, że robi im wielką łaskę. - Wejdziecie do studia i podłączycie instrumenty, a my się zajmujemy resztą.

- Jak się pan nazywa? - zapytał Dave.

- Laurence Grant.

Nie wyjaśnił, na czym polega jego rola, i Walli odgadł, że to zwykły asystent udający ważniaka.

Dave przedstawił siebie i zespół, przy czym Laurence kręcił się niecierpliwie, a potem weszli.

Studio okazało się dużym i kiepsko oświetlonym pomieszczeniem. Z jednej strony stał fortepian Steinwaya, niemal identyczny z tym w domu Wallego w Berlinie Wschodnim. Był nakryty grubym pokrowcem i częściowo schowany za parawanem z koców. Lenny usiadł przy nim i zagrał kilka akordów, sprawdzając klawiaturę. Instrument miał ciepły ton, typowy dla Steinwaya. Lenny wyglądał na zadowolonego.

Obok stał przygotowany zestaw perkusyjny. Lew przyniósł swój werbel i zaczął go zakładać.

- Coś nie tak z naszą perkusją? - spytał Laurence.

- Nie, tylko że jestem przyzwyczajony do swojego werbla.

- Nasz jest lepszy do nagrań.

- Och, w porządku.

Lew zabrał swój bębenek i założył ich instrument z powrotem na statyw.

Na podłodze stały trzy wzmacniacze, z lampkami wskazującymi, że są podłączone i gotowe. Walli i Dave podłączyli się do dwóch modeli Vox AC30, a Buzz do większego wzmacniacza basowego Ampeg. Dostroili głośność do fortepianu.

- Nie widzę reszty zespołu - poskarżył się Lenny. - Czy ten parawan musi tu stać?

- Tak, musi - odparł Laurence.

- Po co?

- To deflektor.

Po minie Lenny'ego Walli zgadł, że nic mu to nie mówi, ale nie drążył tematu.

Innymi drzwiami wszedł mężczyzna w średnim wieku i ubrany w blezer. Uścisnął rękę Dave'a, jakby się już znali, a potem przedstawił się pozostałym członkom zespołu.

- Jestem Eric Chapman i będę producentem waszego nagrania - powiedział.

Oto człowiek, który trzyma w rękach naszą przyszłość, pomyślał Walli. Jeśli uzna, że jesteśmy dobrzy, nagramy płytę. Jeśli nie, nie będzie sądu apelacyjnego. Ciekawe, co on lubi? Nie wygląda na miłośnika rocka. Raczej Franka Sinatry.

- Rozumiem, że jeszcze tego nie robiliście - zagał Eric. - Ale to nie takie trudne. Z początku najlepiej ignorujcie sprzęt, próbujcie się wyluzować i grać, jakby to był zwyczajny występ. Jeśli ktoś się pomyli, grajcie dalej. - Wskazał na Laurence'a. - Larry jest naszym chłopcem na posyłki, więc proście go, jeżeli coś chcecie: herbatę, kawę, dodatkowe kable, cokolwiek.

Walli nie słyszał wcześniej angielskiego określenia „chłopiec na posyłki”, domyślił się jednak, co oznacza.

- Jest jedna sprawa, Eric - powiedział Dave. - Nasz perkusista, Lew, przyniósł swój werbel, ponieważ lepiej go wyczuwa.

- Jaki?

- Ludwig Oyster Black Pearl - odpowiedział Lew.

- Powinien być dobry - rzekł Eric. - Zamień nasz na swój.

- Czy ten deflektor musi tu stać? - zapytał Lenny.

- Obawiam się, że tak - odparł producent. - Dzięki niemu mikrofon fortepianu nie wychwytyje za dużo dźwięków perkusji.

A zatem, pomyślał Walli, Eric wie, co mówi, a Larry pieprzy głupoty.

- Jeżeli mi się spodobacie - powiedział Eric - pogadamy, co dalej. Jeśli nie, nie będę owijał w bawełnę: powiem bez ogródek, że nie tego szukam. Czy to wszystkim pasuje?

Wszyscy odparli, że tak.

- W porządku, no to jedziemy.

Eric i Larry wyszli przez dźwiękoszczelne drzwi i po kilku sekundach pojawili się za szybą studia. Eric nałożył słuchawki i przemówił do mikrofonu. Zespół usłyszał jego głos dochodzący z niewielkiego głośnika na ścianie.

- Jesteście gotowi?



Byli.

- Taśma idzie. Przesłuchanie Plum Nellie, próba pierwsza. Zaczynajcie, jak będziecie gotowi, chłopcy.

Lenny zaczął grać podkład boogie-woogie. Na Steinwayu brzmiało to wspaniale. Po czterech taktach zespół wszedł z idealną precyzją. Grali ten kawałek na każdym występie; mogli robić to we śnie. Lenny się rozkręcił, dając barokowy wokół w stylu Jerry'ego Lee Lewisa. Kiedy skończyli, Eric bez słowa odtworzył nagranie.

Walli uważał, że brzmi nieźle. Tylko co myślał Eric?

- Zagraliście to dobrze - powiedział przez interkom. - A teraz, czy macie coś nowocześniejszego?

Zagrali *Hoochie Coochie Man*. I znów Walli uważał, że fortepian brzmi cudownie, wyrazisty nawet w cichych dźwiękach.

Eric poprosił ich, żeby zagrali oba utwory jeszcze raz, i zrobili to. Potem wyszedł z konsoli i wrócił do nich. Usiadł na wzmacniaczu, zapalił papierosa.

- Obiecałem, że powiem wam bez ogródek, i zrobię to - rzekł, a Walli zrozumiał, że zamierza ich odrzucić. - Gracie dobrze, ale jesteście staromodni. Świat nie potrzebuje drugiego Jerry'ego Lee Lewisa czy Muddy'ego Watersa. Szukam następnych wielkich wykonawców, a wy nimi nie jesteście. Przykro mi. - Głęboko zaciągnął się papierosem i wydmuchnął dym. - Możecie wziąć taśmę i zrobić z nią, co chcecie. Dziękuję za przyjęcie.

Wszyscy popatrzyli po sobie. Na każdej twarzy było wypisane rozczarowanie.

Eric wrócił za konsolę. Walli zobaczył go przez szybę zdejmującego szpulę z magnetofonu.

Wstał i już miał schować gitarę do futerału.

Dave dmuchnął w mikrofon, rozległ się wzmocniony szum: wszystko wciąż było podłączone. Szarpnął akord. Walli zawahał się. Co Dave zamierza zrobić?

Dave zaczął śpiewać *Love Is It*.

Walli natychmiast do niego dołączył i zaśpiewali razem. Lew wszedł z cichym podkładem perkusyjnym, a Buzz grał prosty kroczący bas. W końcu Lenny też dołączył z fortepianem.

Grali przez dwie minuty, a potem Larry wszystko wyłączył i przestali.

To był koniec i nie udało im się. Walli czuł głębokie przygnębienie. Nie tego się spodziewał. Był pewny, że zespół jest dobry. Dlaczego Eric tak nie uważał? Odpiął pas od swojej gitary.

Nagle Eric wrócił.

- Co to, kurwa, było? - zapytał.  
- Nowy utwór - odparł Dave - który dopiero co włączyliśmy do repertuaru. Podobał ci się?  
- Jest zupełnie inny - rzekł Eric. - Dlaczego przerwaliście?  
- Larry nas odłączył.  
- Włącz ich z powrotem, Larry, ty kutasie - warknął producent. Odwrócił się z powrotem do Dave'a. - Skąd wzięliście tę piosenkę?  
- Hank Remington napisał ją dla nas - odparł Dave.  
- Ten z Kords? - Eric wyraźnie nie dowierzał. - Dlaczego miałby napisać dla was piosenkę?

Dave był równie szczery.

- Ponieważ chodzi z moją siostrą.  
- Och. To wszystko wyjaśnia.

Zanim wrócił za konsolę, Eric cicho porozmawiał z Larrym.

- Idź i zadzwoń do Paula Contiego - powiedział. - Mieszka za rogiem. Jeśli jest w domu, poproś go, żeby zaraz tu wpadł.

Larry opuścił studio.

Eric wrócił do reżyserki za szybą.

- Taśma idzie - odezwał się przez interkom. - Zaczynajcie, jak będziecie gotowi.

Znów wykonali ten utwór.

A Eric powiedział tylko:

- Jeszcze raz, proszę.

Po powtórce znów do nich przyszedł. Walli obawiał się, że powie im, iż jednak nie są dobrzy.

- Zróbmy to jeszcze raz - powiedział. - Tym razem najpierw nagramy podkład, a potem wokal.

- Dlaczego? - zapytał Dave.

- Ponieważ lepiej gracie, kiedy nie musicie śpiewać, i lepiej śpiewacie, kiedy nie musicie grać.

Nagrali część instrumentalną, a później zaśpiewali piosenkę, słuchając podkładu przez słuchawki. Na koniec Eric wyszedł z reżyserki, żeby posłuchać z nimi. Dołączył do nich elegancki młodzieniec ostrzyżony na Beatlesa: zapewne Paulo Conti, pomyślał Walli. Po co został wezwany?

Wysłuchali obu połączonych ścieżek, Eric, siedząc na wzmacniaczu i paląc.

- Podoba mi się. Ładna piosenka - powiedział z londyńskim akcentem Paulo, kiedy utwór się skończył.

Obwieścił to z niezachwianą pewnością siebie, dziwną u dwudziestokilkuletniego chłopaka. Walli zadawał sobie pytanie, jakie Conti ma prawo do wydawania takich opinii.

Eric zaciągnął się papierosem.

- Być może coś tu mamy - mruknął. - Jednak jest pewien problem. Fortepian źle brzmi. Nie obraż się, Lenny, ale styl Jerry'ego Lee Lewisa jest trochę toporny. Paulo przyszedł tutaj pokazać ci, co mam na myśli. Nagrajmy to jeszcze raz z Paulem grającym na fortepianie.

Walli spojrział na Lenny'ego. Kuzyn Dave'a był zły, ale trzymał nerwy na wodzy.

- Powiedzmy coś sobie jasno, Eric - rzucił, nie podnosząc się ze stołka przy Steinwayu. - To mój zespół. Nie możesz mnie wyrzucić i zastąpić Paulem.

- Na twoim miejscu nie martwiłbym się tym, Lenny - skwitował jego słowa producent. - Paulo gra w Królewskiej Narodowej Orkiestrze Symfonicznej i wydał trzy albumy z sonatami Beethovena. Nie zamierza dołączyć do żadnej z grup grających rocka. Bardzo tego żałuję, bo znam z pół tuzina zespołów, które przyjęłyby go prędzej, niż zdołasz powiedzieć „lista przebojów”.

Lenny miał głupią minę.

- W porządku, żebyśmy się tylko dobrze rozumieli - powiedział napastliwie.

Zagrali jeszcze raz i Walli natychmiast zrozumiał, o co chodziło Ericowi. Paulo prawą ręką grał lekkie tryle, a lewą proste akordy, co o wiele lepiej pasowało do tego utworu.

Nagrali to znowu z Lennym. Starał się grać tak jak Paulo i nieźle mu wychodziło, ale nie miał jego zdolności.

Jeszcze dwukrotnie nagrali akompaniament, raz z Paulem, raz z Lennym, a potem trzykrotnie wokół. W końcu Eric był zadowolony.

- Teraz - powiedział - potrzebujemy czegoś na stronę B. Macie coś w podobnym stylu?

- Chwileczkę - odezwał się Dave. - Czy to oznacza, że się zakwalifikowaliśmy?

- Oczywiście, że tak - odparł Eric. - Myślisz, że zadaję sobie tyle trudu z zespołami, które zamierzam odrzucić?

- Zatem... Piosenka *Love Is It* w wykonaniu Plum Nellie zostanie wydana na płycie?

- Taką mam cholerną nadzieję. Jeśli mój szef ją odrzuci, to odejdę.

Walli był zdziwiony, słysząc, że Eric ma jakiegoś szefa. Dotychczas sprawiał wrażenie, że to on jest szefem. To był drobiazg, ale Walli zanotował go w pamięci.

- Myślisz, że to będzie przebój? - zapytał Dave.

- Niczego nie przesądzam, za długo siedzę w tym interesie. Gdybym jednak uważał, że

nie, to nie rozmawiałbym z wami, tylko siedział w pubie.

Dave popatrzył na zespół, uśmiechając się.

- Wydamy singiel - powiedział.

- Owszem - niecierpliwie przerwał mu Eric. - A teraz, co macie na stronie B?

- Jesteś przygotowany na dobre wieści? - zapytał miesiąc później Eric Chapman, rozmawiając przez telefon z Dave'em Williamsem. - Jedźcie do Birmingham.

W pierwszej chwili Dave nie zrozumiał, co to oznacza.

- Dlaczego? - Birmingham było przemysłowym miastem dwieście kilometrów na północ od Londynu. - Co jest w Birmingham?

- Studio telewizyjne, w którym powstaje *To jest fajne!*, idioto.

- Och! - Nagle Dave'owi zaparło dech z wrażenia. Eric mówił o popularnym programie, w którym pokazywano zespoły pop i puszczano graną przez nie muzykę. - Wystąpimy w nim?

- Oczywiście, że tak! *Love Is It* będzie ich typem na hit tygodnia.

Utwór od pięciu dni był w eterze. Raz puszczono go w BBC Light i kilkakrotnie w Radiu Luksemburg. Ku zaskoczeniu Dave'a Eric nie wiedział, ile egzemplarzy płyty sprzedano; wytwórnie płytowe nie były w stanie śledzić tego na bieżąco.

Classic Records wydało tę wersję, w której na fortepianie grał Paulo. Lenny udawał, że tego nie zauważył.

Eric traktował Dave'a jak lidera zespołu, pomimo tego, co powiedział mu Lenny.

- Macie jakieś porządne ubrania? - spytał teraz.

- Zwykle nosimy czerwone koszule i czarne dzinsy.

- To czarno-biała telewizja, więc pewnie będą dobrze wyglądać. Pamiętajcie wszyscy, żeby umyć głowy.

- Kiedy jedziemy?

- Pojutrze.

- Będę musiał zwolnić się z lekcji - zaniepokoił się Dave. Z tym mógł mieć kłopot.

- Może będziesz musiał rzucić szkołę, Dave.

Dave'a zatkało. Zastanawiał się, czy dobrze usłyszał.

- Spotkamy się na Euston Station o dziesiątej rano. Będę miał wasze bilety - zakończył rozmowę Eric.

Dave odłożył słuchawkę i zapatrzył się w nią. Wystąpi w *To jest fajne!*

Zaczynało wyglądać na to, że naprawdę może zarabiać na życie śpiewem i graniem na

gitarze. W miarę jak ta perspektywa wydawała się coraz bardziej realna, rósł jego lęk przed alternatywą. Cóż to byłoby za klęska, gdyby jednak musiał podjąć regularną pracę.

Natychmiast zadzwonił do pozostałych członków zespołu, ale swoją rodzinę postanowił zawiadomić dopiero po fakcie. Istniało zbyt duże ryzyko, że ojciec próbowałby go powstrzymać.

Przez cały wieczór ukrywał ten ekscytujący sekret. Następnego dnia w porze lunchu poprosił o rozmowę z dyrektorem, starym Górą Nic.

W gabinecie Dave czuł się onieśmielony. W pierwszych latach uczęszczania do tej szkoły kilkakrotnie oberwał tutaj za takie przewinienia jak bieganie po korytarzu.

Wyjaśnił sytuację, przedstawiając ją tak, że nie miał czasu na uzyskanie usprawiedliwienia od ojca.

- Wygląda na to, że musisz wybrać pomiędzy zdobyciem solidnego wykształcenia a karierą piosenkarza - rzekł pan Furbelow, wymawiając to ostatnie słowo z grymasem odrazy. Zrobił taką minę, jakby kazano mu zjeść puszkę zimnej psiej karmy.

Dave miał ochotę powiedzieć, że tak naprawdę chce zostać alfonsem, ale poczucie humoru Furbelowa było równie mizerne jak włosy na jego głowie.

- Oświadczył pan mojemu ojcu, że nie zdam egzaminów i zostanę wyrzucony ze szkoły.

- Jeśli natychmiast nie weźmiesz się do pracy i nadal będziesz otrzymywał oceny niedostateczne, nie zostaniesz przepuszczony do szóstej klasy - pedantycznie sprostował dyrektor. - Tym bardziej nie powinienes opuszczać szkolnych zajęć, żeby występować w szmirowatych programach telewizyjnych.

Dave zastanawiał się, czy nie spierać się z określeniem „szmirowaty”, ale zdecydował, że to stracona sprawa.

- Pomyślałem, że może pan uznać wycieczkę do studia telewizyjnego za pouczające doświadczenie - rzekł rozsądnie.

- Nie. Zbyt wiele ostatnio się mówi o „puczających doświadczeniach”. Nauczanie odbywa się w klasie szkolnej.

Pomimo oślego uporu Góry Nic Dave nadal próbował argumentować.

- Chciałbym zostać muzykiem.

- Przecież nawet nie należysz do szkolnej orkiestry.

- Ponieważ nie używają żadnego z instrumentów wynalezionych w ciągu ostatnich stu lat.

- Tym lepiej.

Dave z coraz większym trudem zachowywał spokój.

- Całkiem nieźle gram na gitarze elektrycznej.

- Nie nazywam jej instrumentem muzycznym.

Wbrew temu, co podpowiadał mu rozsądek, Dave odrobinę podniósł głos.

- A czym? - zapytał.

Furbelow zadarł nos i zrobił wyniosłą minę.

- Raczej brzękadłem dla czarnuchów.

Dave'a na moment zatkało. Potem wyszedł z siebie.

- To po prostu zapiekła ignorancja! - powiedział.

- Nie waż się mówić do mnie w taki sposób.

- Jest pan nie tylko ignorantem, ale także rasistą!

Furbelow wstał.

- Wynoś się stąd natychmiast.

- Myśli pan, że może głosić takie rasistowskie poglądy, ponieważ jest pan dyrektorem szkoły dla bogatych dzieciaków!

- Milcz!

- Nigdy - zaperzył się Dave i opuścił gabinet.

Na korytarzu uświadomił sobie, że nie może teraz wrócić do klasy.

Nie planował tego, ale w przypiływie gniewu naprawdę rzucił szkołę.

Zatem niech tak będzie, pomyślał, po czym opuścił budynek.

Poszedł do pobliskiej knajpki i zamówił jajko z frytkami. Spalił za sobą mosty. Po tym jak nazwał dyrektora ignorantem i rasistą, nie przyjmą go z powrotem. Był przestraszony, lecz czuł się także wolny.

Nie żałował tego, co zrobił. Miał szansę zostać gwiazdą muzyki pop, a szkoła chciała, by pozwolił tej szansie przejść koło nosa!

Zabawne, ale nie wiedział, co robić z tą nowo zdobytą wolnością. Przez parę godzin włóczył się po ulicach, a potem wrócił pod szkołę, żeby poczekać na Lindę Robertson.

Odprowadził ją po szkole do domu. Oczywiście, cała klasa zauważyła jego nieobecność, lecz nauczyciele nic nie mówili. Kiedy Dave powiedział Lindzie, co się stało, była pod wrażeniem.

- A więc i tak pojedziesz do Birmingham?

- Możesz się o to założyć.

- Będziesz musiał rzucić szkołę.

- Już rzuciłem.

- I co zrobisz?

- Jeśli płyta okaże się przebojem, będzie mnie stać na wynajęcie mieszkania z Wallim.

- Och. A jeśli nie?

- Wtedy będę w tarapatach

Zaprosiła go do środka. Rodziców nie było, więc poszli do jej pokoju, tak jak przedtem.

Całowali się i pozwoliła mu dotykać piersi, ale widział, że jest zaniepokojona.

- O co chodzi? - zapytał.

- Staniesz się gwiazdą - odparła. - Wiem, że tak.

- I nie cieszysz się?

- Będziesz oblegany przez lalunie, które pozwolą ci na wszystko.

- Taką mam nadzieję!

Wybuchła płaczem.

- Żartowałem - powiedział. - Przepraszam.

- Kiedyś byłeś takim słodkim chłopcem, z którym lubiłam rozmawiać - wyszlochała. - Żadna z dziewcząt nie chciała cię nawet pocałować. Potem zacząłeś grać w zespole i stałeś się najfajniejszym gościem w szkole, i one wszystkie mi zazdrościły. Teraz będziesz sławny i stracę cię.

Pomyślał, że Linda chce, by zapewnił ją, że zawsze będzie jej wierny, bez względu na okoliczności, i miał ochotę to zrobić, jednak powstrzymał się. Naprawdę ją lubił, ale nie miał jeszcze szesnastu lat i wiedział, że jest za młody, żeby się wiązać. Mimo wszystko nie chciał ranić jej uczuć.

- Zobaczmy, co się wydarzy, okay? - rzucił.

Dostrzegł na jej twarzy rozczarowanie, chociaż szybko je ukryła.

- Dobra myśl - powiedziała.

Otarła łzy, a potem zeszli do kuchni, gdzie pili herbatę i jedli czekoladowe herbatniki, dopóki jej matka nie wróciła do domu.

Kiedy znalazł się na Great Peter Street, nie zauważył niczego niezwykłego, więc domyślił się, że ze szkoły nie zatelefonowano do jego rodziców. Niewątpliwie dyrektor wolał napisać list. To dawało Dave'owi dzień spokoju.

Nic nie powiedział rodzicom aż do następnego ranka. Ojciec wyszedł o ósmej. Wtedy Dave postanowił porozmawiać z matką.

- Nie idę do szkoły - oświadczył.

Nie straciła panowania nad sobą.

- Spróbuj zrozumieć, jaką drogę przebył twój ojciec - odparła. - Jak wiesz, był nieślubnym dzieckiem. Jego matka pracowała w fabryce w East Endzie, zanim zainteresowała

się polityką. Jego dziadek był górnikiem. A jednak twój ojciec studiował w jednej z najlepszych uczelni na świecie i w wieku trzydziestu jeden lat był ministrem brytyjskiego rządu.

- Ja jestem inny!

- Oczywiście, ale dla niego to wygląda tak, że odrzucasz wszystko, co osiągnęli jego dziadkowie, rodzice i on sam.

- Muszę żyć własnym życiem.

- Wiem.

- Rzuciłem szkołę. Pokłóciłem się ze starym Górą Nic. Zapewne dostaniecie dzisiaj od niego list.

- Twojemu ojcu trudno będzie ci to wybaczyć.

- Wiem. I opuszczam dom.

Zaczęła płakać.

- Dokąd pójdziesz?

Dave też był bliski łez, lecz powstrzymał je.

- Przez kilka dni będę mieszkał w YMCA, a potem wynajmę mieszkanie z Wallim.

Położyła mu dłoń na ramieniu.

- Tylko nie bądź zły na ojca. Tak bardzo cię kocha.

- Nie jestem zły - rzekł Dave, chociaż był. - Po prostu nie pozwolę, żeby mnie powstrzymał.

- O Boże - westchnęła. - Jesteś równie niesforny jak ja kiedyś i tak samo głupio uparty.

Dave zdziwił się. Wiedział, że pierwsze małżeństwo matki było nieszczęśliwe, ale nie wyobrażał sobie, że mogła być niesforna.

- Mam nadzieję, że nie popełnisz takich okropnych błędów jak ja - zakończyła rozmowę.

Kiedy wychodził, wręczyła mu wszystkie pieniądze, jakie miała w portmonetce.

Walli czekał w holu. Ruszyli do drzwi, niosąc swoje gitary. Gdy znaleźli się na ulicy, Dave natychmiast zapomniał o żalu. Był podekscytowany i niespokojny. Wystąpi w telewizji! Jednak postawił na szali wszystko. Czuł się lekko oszołomiony, ilekroć przypominał sobie, że opuścił dom i porzucił szkołę.

Pojechali metrem na dworzec Euston. Dave musiał się postarać, żeby występ w telewizji zakończył się sukcesem. To było nieodzowne. Jeśli płyta się nie sprzeda, myślał z obawą, a Plum Nellie okaże się porażką, co wtedy? Może musiałby myć szklanki w Jump, tak jak Walli.



Co mógłby zrobić, żeby skłonić ludzi do kupowania płyty?

Nie miał pojęcia.

Eric Chapman w garniturze w prążki czekał na dworcu. Buzz, Lew i Lenny też już tam byli. Zabrali gitary do pociągu. Perkusja i wzmacniacze jechały osobno, przewożone busem do Birmingham przez Larry'ego Granta, ale nikt nie zamierzał powierzyć mu cennych gitar.

- Dzięki za kupienie nam biletów - powiedział w pociągu Dave do Erica.

- Nie dziękujcie mi. Koszt zostanie odliczony od waszego honorarium.

- A więc... telewizja wypłaci nasze honorarium tobie?

- Tak, a ja odliczę od niego dwadzieścia pięć procent plus koszty i wypłacę wam resztę.

- Dlaczego? - spytał Dave.

- Ponieważ jestem waszym menedżerem, dlatego.

- A jesteś? Nie wiedziałem.

- Cóż, podpisałeś kontrakt.

- Naprawdę?

- Tak. Inaczej nie nagrałbym was. Czy wyglądam na filantropa?

- Och... ten świstek, który podpisaliśmy przed przesłuchaniem?

- Tak.

- Sekretarka mówiła, że to ubezpieczenie.

- Między innymi.

Dave poczuł, że został nabrany.

- Program jest emitowany w soboty, Eric - odezwał się Lenny. - Czemu jedziemy w czwartek?

- Większość materiału nagrywa się wcześniej. Tylko paru wykonawców występuje na żywo.

Dave był zdziwiony. Program sprawiał wrażenie reportażu z prywatki, której uczestnicy tańczą i świetnie się bawią.

- Będzie tam jakaś widownia? - zapytał.

- Nie dziś. Ale musicie udawać, że śpiewacie dla tysiąca wrzeszczących dziewczyn, które na wasz widok mają mokro w majtkach.

- To łatwe - powiedział Buzz, basista. - Gram dla wymyślonych dziewczyn, od kiedy skończyłem trzynaście lat.

Żartował, ale Eric potraktował to poważnie.

- Ma rację. Patrz w kamerę i wyobrażaj sobie, że najładniejsza dziewczyna, jaką znasz, stoi tam i zdejmuje biustonosz. To wywoła należycie szeroki uśmiech na twoich ustach.

Dave uświadomił sobie, że już się uśmiecha. Może zadziałał trik Erica.

Dotarli do studia o pierwszej. Nie sprawiało zbyt dobrego wrażenia. Znaczna jego część była obskurna, jak fabryka. Te fragmenty wnętrza, które pojawiały się na ekranie, miały tandetny urok, ale wszystko poza kadrem wyglądało na podniszczone i brudne. Zaaferowani ludzie kręcili się wokół, ignorując Plum Nellie. Pewnie wszyscy wiedzą, że właściwie są jeszcze amatorami, pomyślał Dave.

Kiedy tam przybyli, na scenie występował zespół Billy and the Kids. Głośno puszczono muzykę z płyty, a oni śpiewali i grali, ale nie mieli mikrofonów, a ich gitary nie były podłączone. Dave wiedział od swoich przyjaciół, że większość widzów nie zdaje sobie sprawy z tego, że zespoły grają z playbacku, i zastanawiał się, jak ludzie mogą być tak tępi.

Lenny krzywił się na wesoły utwór Billy'ego and the Kids, ale Dave był pod wrażeniem. Uśmiechali się i kiwali do nieistniejącej widowni, a po zakończeniu utworu kłaniali się i machali, jakby słyszeli burzę oklasków. Potem powtórzyli wszystko z nie mniejszą energią i czarem. Dave uświadomił sobie, że tak robią profesjonaliści.

Garderoba Plum Nellie była duża i czysta, z wielkimi lustrami, które otaczały reflektory, i z lodówką pełną napojów bezalkoholowych.

- Lepsza od tych, do jakich przywykliśmy - skomentował Lenny. - Jest nawet papier w kiblu!

Dave włożył czerwoną koszulę, a potem wrócił obserwować nagrywanie programu. Teraz występowała Mickie McFee. Miała kilka przebojów w latach pięćdziesiątych i chciała wrócić na scenę. Dave domyślał się, że piosenkarka jest już po trzydziestce, ale wyglądała seksownie w różowym sweterku mocno opiętym na piersiach. Miała wspaniały głos. Wykonała balladę w stylu soul zatytułowaną *It Hurts too Much* i zrobiła to jak czarnoskóra wokalistka. Dave zastanawiał się, jak to jest mieć tyle pewności siebie? Sam cały był w nerwach i miał wrażenie, że w brzuchu zaległy mu się robaki.

Mickie spodobała się kamerzystom i technikom, którzy przeważnie należeli do starszego pokolenia - klaskali, kiedy skończyła.

Zeszła ze sceny i zauważyła Dave'a.

- Cześć, dzieciaku - powiedziała.

- Była pani wspaniała - rzekł Dave i przedstawił się.

Zapytała go o jego zespół. Opowiadał jej o Hamburgu, gdy przerwał im mężczyzna w sweterku w romby.

- Plum Nellie na scenę proszę - powiedział łagodnym głosem. - Przepraszam, że ci przerywam, moja droga Mickie. - Odwrócił się do Dave'a. - Jestem Kelly Jones, producent. -

Zmierzył Dave'a wzrokiem. - Wyglądasz super. Weź swoją gitarę. - Znow zwrócił się do Mickie: - Możesz schrupać go później.

- Pozwól dziewczynie udawać trudną do zdobycia.

- To byłoby coś nowego, kochaneczko.

Mickie pomachała mu ręką i zniknęła.

Dave zastanawiał się, czy choć jedno słowo z tej wymiany zdań było powiedziane serio.

Jednak nie miał czasu na rozważania. Zespół wszedł na scenę i wszyscy zajęli swoje miejsca. Lenny jak zwykle postawił kołnierzyk koszuli, tak jak robił to Elvis. Dave powtarzał sobie, że nie powinien się denerwować: będą grali z playbacku, więc nikt nie zauważy, jeśli się pomyli. A potem zaczęli i Walli już przebierał palcami po strunach, gdy puszczone muzykę.

Dave spojrział na rzędy pustych krzeseł i wyobraził sobie Mickie McFee zdejmującą przez głowę ten różowy sweterek, spod którego wylania się czarny biustonosz. Uśmiechnął się wesoło do kamery i zaśpiewał.

Utwór trwał dwie minuty, ale wydawało się, że skończył się po pięciu sekundach.

Dave spodziewał się, że poproszą ich, by wykonali go jeszcze raz. Wszyscy czekali na scenie. Kelly Jones rozmawiał z Erikiem. Po chwili obaj podeszli do zespołu.

- Mamy problem techniczny, chłopcy - rzucił Eric.

Dave przestraszył się, że coś jest nie tak i jednak nie pokażą ich w telewizji.

- Chodzi o ciebie, Lenny - dodał Eric. - Przykro mi.

- O czym ty mówisz?

Eric spojrział na Kelly'ego, który wyjaśnił:

- To program pokazujący dzieciaki w wystrzałowych ciuchach i z fryzurami Beatlesów, szalejące przy najnowszych przebojach. Przykro mi, Lenny, ale nie jesteś dzieciakiem, a twoja fryzura wyszła z mody pięć lat temu.

- Cóż, bardzo mi przykro z tego powodu - rzekł gniewnie Lenny.

- Chcą, żeby zespół pokazał się bez ciebie, Lenny - powiedział Eric.

- Zapomnijcie o tym - burknął Lenny. - To mój zespół.

Dave był przerażony. Poświęcił wszystko dla tego występu!

- Posłuchajcie - rzucił gorączkowo. - A gdyby Lenny szesał włosy na czoło i opuścił kołnierzyk koszuli?

- Nie zrobię tego - oświadczył Lenny.

- I tak wyglądałby za staro - powiedział Kelly.

- Trudno - rzekł Lenny. - Gramy wszyscy albo nikt. - Popatrzył na członków zespołu. -

Prawda, chłopaki?

Nikt się nie odezwał.

- Prawda? - powtórzył Lenny.

Dave był przestraszony, zmusił się jednak do odpowiedzi:

- Przykro mi, Lenny, ale nie możemy zmarnować tej szansy.

- Wy dranie - rzucił wściekle Lenny. - Nie powinienem był pozwolić wam zmieniać nazwy zespołu. Ludzie uważali Guardsmen za świetną kapelę rockową. Teraz to szkolny zespół zwany Plum pieprzona Nellie.

- Cóż - powiedział ze zniecierpliwieniem Kelly. - Ustawcie się na scenie bez Lenny'ego i zagrajcie to jeszcze raz.

- Czy zostaję wywalony z mojego własnego zespołu? - zapytał Lenny.

Dave czuł się jak zdrajca.

- To tylko dziś - odparł.

- Nie, nie tylko - zaproponował Lenny. - Jak wyjaśnię znajomym, że mój zespół jest w telewizji, ale ja nie? Pieprzyć to. Wszystko albo nic. Jeśli odejdę teraz, to na zawsze.

Nikt się nie odezwał.

- Niech więc tak będzie - rzekł Lenny i opuścił studio.

Wszyscy czuli się zawstydzeni.

- To było brutalne - zauważył Buzz.

- Taki jest show-biznes - rzekł Eric.

- Nakręmy to jeszcze raz, proszę - powiedział Kelly.

Dave bał się, że po takiej traumatycznej kłótni nie będzie mógł radośnie tańczyć, lecz ku swemu zdziwieniu zdołał to zrobić.

Dwukrotnie powtórzyli nagranie i Kelly powiedział, że bardzo mu się podobał ich występ. Podziękował im za zrozumienie i wyraził nadzieję, że wkrótce znów pojawią się w tym studiu.

Kiedy zespół wrócił do garderoby, Dave został jeszcze w studiu i przez kilka minut siedział w pustej sali. Był emocjonalnie wyczerpany. Zadebiutował w telewizji i zdradził swojego kuzyna. Nie mógł nie wspominać tych wszystkich pomocnych rad, które dał mu Lenny. Jestem niewdzięcznym draniem, pomyślał.

Wracając, aby dołączyć do pozostałych, spojrzął w otwarte drzwi i zobaczył Mickie McFee w jej garderobie, z kieliszkiem w ręku.

- Lubisz wódkę? - zapytała.

- Nie wiem, jaki ma smak - odparł Dave.

- Dam ci spróbować.

Kopniakiem zamknęła drzwi, zarzuciła mu ręce na szyję i pocałowała go w usta. Jej język miał smak alkoholu, jakby ginu. Dave entuzjastycznie odwzajemnił pocałunek.

Puściła go i dołała wódki do swojego kieliszka, po czym podała mu go.

- Ty ją wypij - poprosił. - Tak będzie lepiej.

Opróżniła kieliszek, a potem znów go pocałowała.

- Och, chłopcze, ale z ciebie ciacho - powiedziała po chwili.

Potem cofnęła się i ku zaskoczeniu i radości Dave'a ściągnęła przez głowę ten ciasny różowy sweterek, po czym odrzuciła go w kąt.

Miała na sobie czarny biustonosz.

## ROZDZIAŁ 33

Babka Dimki, Katerina, umarła na atak serca w wieku siedemdziesięciu lat. Została pochowana na cmentarzu Nowodziewicznym, w małym parku pełnym pomników i kapliczek. Nagrobki pokrywał śnieg, przez co wyglądały jak kawałki tortu z kremem. To prestiżowe miejsce pochówku było zarezerwowane dla wybitnych obywateli: Katerina spoczęła tutaj, ponieważ pewnego dnia dziadek Grigorij, bohater rewolucji październikowej, będzie pochowany w tym samym grobie. Byli małżeństwem przez prawie pięćdziesiąt lat. Dziadek Dimki wyglądał na oszołomionego i zagubionego, gdy jego towarzyszkę życia składano do zmrożonej ziemi.

Dimka myślał o tym, jak to jest kochać kobietę przez pół wieku, a potem ją utracić, tak nagle, pomiędzy jednym uderzeniem serca a drugim.

- Szczęściarz ze mnie, że ją miałem - powtarzał Grigorij. - Wielki szczęściarz.

Takie małżeństwo to zapewne najlepsza rzecz na świecie, myślał Dimka. Kochali się i byli ze sobą szczęśliwi. Ich miłość przetrwała dwie wojny światowe i rewolucję. Mieli dzieci i wnuki.

Dimka zastanawiał się, co ludzie powiedzą o jego małżeństwie, kiedy złożą go do moskiewskiej ziemi za jakieś pięćdziesiąt lat. „Nikogo nie można nazwać szczęśliwym przed śmiercią”, jak głosił w swojej sztuce Ajschylos: Dimka słyszał ten cytat na uniwersytecie i na zawsze go zapamiętał. Młodzieńcze nadzieje może zniweczyć tragedia, lecz cierpienie często bywa nagrodzone mądrością. Według rodzinnej legendy młoda Katerina wolała brata Grigorija, gangstera Lwa, który uciekł do Ameryki, zostawiając ją w ciąży. Grigorij ożenił się z nią i wychował Wołodę jak swojego syna. Ich szczęście miało niefortunny początek, co dowodziło racji Ajschylosa.

Inna nieoczekiwana ciąża zapoczątkowała małżeństwo Dimki. Może on i Nina mogliby w końcu być tak szczęśliwi jak Grigorij i Katerina. Marzył o tym, pomimo swoich uczuć do Natalii. Żałował, że nie potrafi o niej zapomnieć.

Spoglądał nad grobem na wuja Wołodę i ciotkę Zoję oraz ich nastoletnie potomstwo. Pięćdziesięcioletnia Zoja była anielsko piękna. Kolejne małżeństwo, które wydawało się zawsze szczęśliwe.

Nie był pewny, jak sprawy się miały z jego rodzicami. Ojciec był zimnym człowiekiem. Może dlatego, że pracował w tajnej policji: jak ktoś wykonujący taką okropną pracę może być czuły i współczujący? Dimka patrzył na swoją matkę, Anię, płaczącą po utracie matki.

Wydawała się szczęśliwsza, odkąd umarł jej mąż.

Kątem oka spojrział na Ninę. Była poważna, ale nie uroniła łzy. Czy czuła się szczęśliwa jako jego żona? Kiedy Dimka ją poznał, była rozwiedziona i mówiła, że już nigdy nie chce wyjść za mąż i nie może mieć dzieci. Teraz stała przy nim jako jego żona i trzymała Grigora, ich dziewięciomiesięcznego synka, owiniętego w becik z niedźwiedziej skóry. Dimka czasem czuł, że nie ma pojęcia, co jej chodzi po głowie.

Ponieważ dziadek Grigorij brał udział w szturmie na Pałac Zimowy w 1917 roku, wiele osób przyszło złożyć mu kondolencje z powodu śmierci jego żony. Niektórzy byli ważnymi radzieckimi dygnitarzami. Przybył sekretarz Komitetu Centralnego Leonid Breżniew, mężczyzna o krzaczastych brwiach, onieśmielając żałobników. Był marszałek Michaił Pusznoj, młody protegowany Grigorija podczas drugiej wojny światowej. Pusznoj, otyły lowelas, gładził obfity wąs i czarował ciotkę Zoję.

Przewidując przybycie takiego tłumu, wuj Wołodia zorganizował stypę w restauracji niedaleko placu Czerwonego. Moskiewskie restauracje były okropne, z ponurymi kelnerami i kiepskim jedzeniem. Dimka słyszał, zarówno od Grigorija, jak i Wołodii, że na Zachodzie jest inaczej. Ta jednak okazała się typowo radziecka. Kiedy do niej przyszedli, popielniczki były pełne, a zakąski nieświeże: zeschnięte bliny i kanapki z wędzoną rybą i obowiązkowymi plasterkami jaja na twardo. Na szczęście nawet Rosjanie nie potrafili zepsuć wódki, a tej stało mnóstwo.

Radziecki kryzys żywnościowy minął. Chruszczowowi udało się kupić ziarno od Stanów Zjednoczonych i innych krajów, więc tej zimy nie miało być głodu. Jednak ta nagła sytuacja unaoczniała długofalowy kryzys. Chruszczow liczył na unowocześnienie i zwiększenie produktywności radzieckiego rolnictwa - co mu się nie udało. Ganił nieefektywność, niewiedzę i niezręczność, ale nie czynił żadnych postępów w rozwiązywaniu tych problemów. A rolnictwo było symbolem totalnej klęski jego reform. Pomimo wszystkich cudownych pomysłów pierwszego sekretarza i nagłych radykalnych zmian ZSRR wciąż pozostawał o dziesięciolecia za Zachodem we wszystkim oprócz siły militarnej.

A najgorsze było to, że opozycję wobec Chruszczowa na Kremlu tworzyli ludzie, którzy chcieli mniej, a nie więcej reform, zatwardziali konserwatyści tacy jak pyszałkowaty marszałek Pusznoj i jowialny Breżniew, obaj zaśmiewający się teraz z jednej z wojennych opowieści Grigorija. Dimka jeszcze nigdy się tak nie martwił o przyszłość swojego kraju, przywódcy i swoją karierę.

Nina oddała Dimce dziecko i wzięła kieliszek. Po chwili siedziała już z Breżniewem i marszałkiem Pusznojem, śmiejąc się razem z nimi. Dimka zauważył, że ludzie zawsze się

dużo śmieją na stypach; to reakcja po poważnym nastroju pogrzebu.

Uważał, że Ninie należy się trochę rozrywki: nosiła Grigora, urodziła go i karmiła piersią, więc przez rok nie miała okazji do zabawy.

Przestała się gniewać na Dimkę za to, że okłamał ją tamtej nocy, kiedy zginął Kennedy. Uspokoił ją kolejnym kłamstwem: „Istotnie pracowałem do późna, ale potem poszedłem się napić z kilkoma kolegami”. Złościła się jeszcze przez jakiś czas, ale coraz mniej, a teraz chyba zapomniała o tym incydencie. Był przekonany, że nie podejrzewa go o zakazane uczucia, jakie żywił do Natalii.

Dimka obnosił się z Grigorem, dumnie pokazując rodzinie jego pierwszy ząbek. Restauracja mieściła się w starym budynku, a stoły były rozstawione w kilku pomieszczeniach o różnej wielkości. W końcu Dimka znalazł się w najodleglejszym z nich, z wujem Wołodią i ciotką Zoją.

Tam dopadła go siostra.

- Widziałeś, jak zachowuje się Nina? - zapytała Tania.

Dimka zaśmiał się.

- Pije za dużo?

- I flirtuje.

Dimka nie przejął się tym. W końcu nie mógł potępiać Niny, bo sam robił to samo, kiedy poszedł do nabrzeżnego baru z Natalią.

- To przyjęcie - rzekł.

Tania nie hamowała się, rozmawiając z bratem bliźniakiem.

- Zauważyłam, że poszła prosto do największych osobistości na sali. Breżniew już wyszedł, ale ona wciąż uwodzi marszałka Pusznioja, który musi być od niej o dwadzieścia lat starszy.

- Niektóre kobiety pociąga władza.

- Czy wiedziałeś, że jej pierwszy mąż przywiózł ją do Moskwy z Permu i załatwił pracę w związku metalowców?

- Nie, nie wiedziałem.

- Potem go zostawiła.

- Skąd wiesz?

- Jej matka mi powiedziała.

- Ode mnie Nina dostała tylko dziecko.

- I mieszkanie w budynku rządowym.

- Myślisz, że chodzi jej o pieniądze?



- Martwię się o ciebie. Jesteś taki mądry, ale tracisz głowę, gdy chodzi o kobiety.
- Nina jest materialistką. To nie najgorszy z grzechów.
- Zatem to ci nie przeszkadza.
- Nie.
- W porządku. Jeśli jednak skrzywdzi mojego brata, wydrapię jej oczy.

Danił przyszedł i usiadł naprzeciwko Tani w bufecie budynku TASS. Postawił tacę, po czym wepchnął chusteczkę za kołnierzyk koszuli, żeby nie ubrudzić krawata.

- Ludziom z „Nowego Świata” spodobało się *Odmrożenie* - powiedział.

Tania była uradowana.

- To dobrze! - niemal wykrzyknęła. - Długo się zastanawiali, chyba z sześć miesięcy.

To jednak wspaniała wiadomość!

Danił nalał wodę do plastikowego kubka.

- To będzie jedna z najodważniejszych rzeczy, jakie kiedykolwiek wydrukowali.
- A więc opublikują to?
- Tak.

Chciałaby powiedzieć o tym Wasilijowi. Jednak sam będzie musiał to odkryć. Zastanawiała się, czy zdoła znaleźć to czasopismo. Musi być dostępne w bibliotekach na Syberii.

- Kiedy?
- Jeszcze nie zdecydowali. Niczego nie robią w pośpiechu.
- Będę cierpliwie czekać.

Dimkę zbudził telefon.

- Ty mnie nie znasz - powiedział kobiecy głos - ale mam dla ciebie informację.

Dimka był stropiony. Głos należał do Natalii. Z poczuciem winy zerknął na swoją żonę, Ninę, leżącą obok. Miała zamknięte oczy. Spojrzał na zegarek: była piąta trzydzieści rano.

- Nie zadawaj żadnych pytań - kontynuowała Natalia.

Mózg Dimki podjął pracę. Dlaczego Natalia udawała obcą osobę? I najwidoczniej oczekiwała od niego tego samego? Czy robiła to z obawy, że ton głosu Dimki zdradzi leżącą obok żonę, że dzwoni do niego osoba, która nie jest mu obojętna?

Podjął grę.

- Kim jesteś?
- Spiskują przeciwko twojemu szefowi - powiedziała.

Dimka pojął, że pierwsze wrażenie było mylne. Natalia bała się, że jego telefon może być na podsłuchu. Chciała mieć pewność, że Dimka nie ujawni jej tożsamości podsłuchującemu KGB.

Przeszedł go zimny dreszcz. Prawdziwa czy nie, ta wiadomość oznaczała kłopoty.

- Kto spiskuje? - spytał.

Leżąca obok Nina otworzyła oczy.

Dimka bezradnie wzruszył ramionami, gestem mówiącym: „Nie mam pojęcia, o co chodzi”.

- Leonid Breżniew rozmawia z innymi członkami Prezydium o przewrocie.

- Kurwa.

Breżniew należał do wąskiego grona najbardziej wpływowych ludzi na Kremlu. Był także konserwatywny i pozbawiony wyobraźni.

- Już ma po swojej stronie Podgornego i Szelepina.

- Kiedy? - zapytał Dimka, łamiąc polecenie niezadawania pytań. - Kiedy uderzą?

- Aresztują towarzysza Chruszczowa, gdy wróci ze Szwecji.

Chruszczow planował wyjazd do Skandynawii w czerwcu.

- Ale dlaczego?

- Uważają, że traci rozum - powiedziała Natalia i połączenie zostało przerwane.

Dimka odłożył słuchawkę i znów zaklął.

- Co jest? - sennie zapytała Nina.

- To tylko problemy w pracy - odparł Dimka. - Śpij.

Chruszczow nie tracił zmysłów, chociaż miał depresję i przechodził od szaleńczej wesołości do ponurej zadumy. Podłożem jego niepokoju był kryzys w rolnictwie. Niestety, łatwo dawał się skusić szybkim rozwiązaniom: cudownym nawozom, sztuczному zapyłaniu, nowym odmianom. Jedyną propozycją, której nie rozważał, było ograniczenie centralnego sterowania. Pomimo to pozostawał największą nadzieją dla Związku Radzieckiego. Breżniew nie był reformatorem. Jeśli obejmie przywództwo, kraj będzie się cofał.

Teraz Dimkę niepokoiła nie tylko przyszłość Chruszczowa, ale i własna. Musiał ujawnić tę rozmowę pierwszemu sekretarzowi: w ostatecznym rozrachunku było to mniej ryzykowane niż ukrywanie jej. Jednak Chruszczow nadal był wieśniakiem, który karze przynoszących złe wieści.

Dimka zadał sobie pytanie, czy nadszedł odpowiedni moment, żeby opuścić tonący statek i Chruszczowa. To nie byłoby łatwe, gdyż aparatczycy zazwyczaj szli tam, gdzie im kazano. Były jednak pewne sposoby. Jakiegoś innego dygnitarza można by namówić, żeby

zażądał przydzielenia młodego doradcy do swojego biura, na przykład ze względu na jego szczególne umiejętności. To było do załatwienia. Dimka mógłby postarać się o pracę u któregoś ze spiskowców, może Breżniewa. Tylko jaki miałyby to sens? Może uratowałyby jego karierę, ale nie przekonania. Dimka nie zamierzał spędzić reszty życia, pomagając Breżniewowi wstrzymać postęp.

Jeśli jednak Dimka miał przetrwać, on i Chruszczow powinni uprzedzić spiskowców. Najgorsze, co mogliby zrobić, to czekać na dalszy rozwój wypadków.

Był siedemnasty kwietnia 1964 roku, siedemdziesiąte urodziny Chruszczowa. Dimka powinien jako pierwszy złożyć mu życzenia.

W sąsiednim pokoju zaczął płakać Grigor.

- Zbudził go telefon - rzekł Dimka.

Nina westchnęła i wstała.

Dimka szybko umył się i ubrał, a potem wyprowadził motocykl z garażu i pojechał do należącej do Chruszczowa rezydencji w okolicy zwanej Wzgórzami Leninowskimi.

Przybył w tym samym czasie co furgonetka z prezentem urodzinowym. Patrzył, jak ochroniarze wnoszą do salonu olbrzymią konsolę radiowo-telewizyjną opatrzoną metalową plakietką z napisem:

Od towarzyszy pracy  
w Komitecie Centralnym  
i w Radzie Ministrów

Chruszczow często zrzędliwie mówił ludziom, żeby nie marnowali społecznych pieniędzy na prezenty dla niego, ale wszyscy wiedzieli, że cieszył się, gdy je otrzymywał.

Iwan Tepper, kamerdyner, zaprowadził Dimkę do garderoby Chruszczowa. Wisiał tam nowy czarny garnitur, który Chruszczow miał włożyć na uroczystości. Trzy Gwiazdy Bohatera Pracy Socjalistycznej już przypięto do kieszeni na piersi. Chruszczow siedział w szlafroku, pijąc herbatę i przeglądając gazety.

Dimka powiedział mu o telefonie, gdy Iwan pomógł pierwszemu sekretarzowi włożyć koszulę i krawat. Podśłuch KGB na telefonie Dimki, jeżeli był założony, potwierdzi jego wersję o anonimowej rozmowie, gdyby Chruszczow chciał to sprawdzić.

Natalia była sprytna, jak zawsze.

- Nie wiem, czy to coś poważnego, czy nie, i nie sędzę, że bym mógł o tym zdecydować - ostrożnie powiedział Dimka.

Chruszczow zlekceważył ostrzeżenie.

- Aleksander Szelepin nie jest gotowy zostać przywódcą - oświadczył. Szelepin był

wicepremierem, a wcześniej szefował KGB. - Nikołaj Podgorny ma wąskie horyzonty. A Breżniew też się nie nadaje. Czy wiesz, że kiedyś nazywali go Baleriną?

- Nie - odparł Dimka. Trudno było sobie wyobrazić kogoś mniej nadającego się na tancerza niż krępy, niezgrabny Breżniew.

- Przed wojną, kiedy był sekretarzem Dniepropietrowskiego Komitetu Obwodowego. Dimka zrozumiał, że ma zadać oczywiste pytanie.

- Dlaczego?

- Ponieważ każdy mógł nim kręcić! - odparł Chruszczow. Zaśmiał się radośnie i włożył marynarkę.

Tak więc groźba przewrotu została zbyta żartem. Dimka z ulgą zrozumiał, że nie został potępiony za przekazywanie głupich wiadomości. Ale jeden niepokój zaraz zastąpił inny. Czy intuicja nie zawodziła Chruszczowa? W przeszłości wykazywał dobry instynkt polityczny. Jednak Natalia zawsze pierwsza dowiadywała się o takich sprawach i Dimka wiedział, że nigdy się nie myliła.

Nagle Chruszczow podjął inny wątek.

- Czy ci nędzni spiskowcy mają jakiś powód do niezadowolenia? - zapytał, mrużąc chytre chłopskie oczka. - Ten anonimowy rozmówca musiał ci to powiedzieć.

To było krępujące pytanie. Dimka nie śmiał powiedzieć Chruszczowowi, że ludzie uważają go za szaleńca.

- Zbiory - wyjaśnił, improwizując. - Obwiniają was o zeszłoroczną suszę.

Miał nadzieję, że jest to tak nedorzeczne, że nie będzie obraźliwe.

Chruszczow nie był obrażony, ale zirytowany.

- Potrzebujemy nowych metod! - rzekł gniewnie. - Muszą słuchać Łysenki!

Pogmerał przy guzikach marynarki, a potem pozwolił Tepperowi je pozapinać.

Dimka wysłuchał go z twarzą pozbawioną wyrazu. Trofim Łysenko był naukowym szarlatanem i sprytnym karierowiczem. Zdobył zaufanie Chruszczowa pomimo swoich bezwartościowych badań. Obiecywał zwiększone plony, których nigdy nie uzyskiwano, ale zdołał przekonać przywódców politycznych, że jego przeciwnicy są „antypostępowi” - oskarżenie równie fatalne w skutkach w ZSRR jak o komunizm w USA.

- Łysenko dokonuje eksperymentów na krowach - ciągnął Chruszczow. - Jego rywale robią to na muszkach owocowych! Kogo, kurwa, obchodzą muszki owocowe?

Dimka przypomniał sobie, jak ciotka Zoja mówiła o badaniach naukowych.

- Zdaje się, że geny ewoluują szybciej u muszek owocowych...

- Geny? - przerwał mu Chruszczow. - Bzdura! Nikt nigdy nie widział genu.

- Nikt nie widział atomu, ale bomba atomowa zniszczyła Hiroszimę.

Dimka pożałował tych słów, ledwie je wypowiedział.

- A co ty o tym wiesz?! - ryknął Chruszczow. - Powtarzasz tylko to, co słyszałeś, jak papuga! Ludzie bez skrupułów wykorzystują takich jak ty do rozpowszechniania swoich kłamstw - Potrząsnął pięścią. - Podniesimy wydajność. Zobaczysz! Zejdź mi z drogi.

Chruszczow przecisnął się obok Dimki i opuścił pokój.

Iwan Tepper przeprasząco wzruszył ramionami.

- Nie martw się - rzekł Dimka. - Nieraz już się na mnie złościł. Jutro nie będzie o tym pamiętał.

Miał nadzieję, że okaże się to prawdą.

Gniew Chruszczowa nie był tak niepokojący jak jego ignorancja. Mylił się w kwestii rolnictwa. Aleksiej Kosygin, który był najlepszym ekonomistą wśród członków Prezydium, miał plany reform obejmujące rozluźnienie kontroli ministerstw nad rolnictwem i wieloma dziedzinami przemysłu. Zdaniem Dimki należało iść tą właśnie drogą, a nie liczyć na magiczne recepty.

Czy Chruszczow tak samo mylił się co do spiskowców? Dimka nie wiedział. Zrobił, co mógł, żeby ostrzec szefa. Nie mógł na własną rękę wykonać kontraktaku.

Schodząc po schodach, usłyszał oklaski dobiegające przez otwarte drzwi salonu. Członkowie Prezydium składali życzenia Chruszczowowi. Dimka przystanął na korytarzu. Kiedy ucichły oklaski, usłyszał powolny basowy głos Breżniewa:

- Drogi Nikito Siergiejewiczu! My, twoi bliscy towarzysze broni, członkowie i kandydaci Prezydium oraz sekretarze Komitetu Centralnego, składamy najlepsze życzenia i gorące gratulacje tobie, naszemu najlepszemu przyjacielowi i towarzyszowi, z okazji siedemdziesiątych urodzin.

Życzenia wydawały się zbyt wylewne nawet według radzieckich standardów.

A to był zły znak.

Kilka dni później Dimka dostał daczę.

Musiał za nią płacić, ale czynsz był symboliczny. Jak z większością luksusów w Związku Radzieckim problemem nie była cena, lecz znalezienie się na początku kolejki.

Posiadanie daczy - domku weekendowego lub letniskowego - było największym marzeniem pnących się w górę radzieckich małżeństw. (Drugim był samochód). Naturalnie, zazwyczaj dacje dostawali tylko członkowie Partii Komunistycznej.

- Ciekawe, jak nam się to udało? - głośno myślał Dimka po otwarciu listu.

Nina uważała, że nie ma w tym żadnej tajemnicy.

- Pracujesz dla Chruszczowa - powiedziała. - Już dawno powinieneś ją dostać.

- Niekoniecznie. Zwykle trzeba mieć kilka lat pracy. Nie wydaje mi się, żebym ostatnio zrobił coś, co go szczególnie ucieszyło. - Przypomniawszy sobie kłótnię o geny. - W rzeczy samej wprost przeciwnie.

- Pierwszy sekretarz cię lubi. Ktoś wręczył mu listę wolnych daczy, a on umieścił przy jednej twoje nazwisko. Nie zastanawiał się nad tym dłużej niż pięć sekund.

- Zapewne masz rację.

Dacza mogła być wszystkim: od pałacu nad morzem po chatę w szczerym polu. W następną niedzielę Dimka i Nina pojechali zobaczyć, jak wygląda ta, która przypadła im w udziale. Zabrali ze sobą obiad oraz małego Grigora i pojechali pociągiem do wioski pięćdziesiąt kilometrów od Moskwy. Rozsadzała ich ciekawość. Zawiodowca stacji wskazał im drogę do daczy, którą nazywano domkiem letniskowym. Dojście do niej zajęło im piętnaście minut.

Była to parterowa chata z bali. Miała dużą kuchnię połączoną z salonem i dwie sypialnie. Stała w ogródku nad strumykiem. Dimka uważał, że to raj. Znow zaczął się zastanawiać, czym zasłużył na takie szczęście.

Ninie dacza też się spodobała. Podekscytowana krążyła po pokojach i zaglądała do szafek. Dimka od miesięcy nie widział jej tak radosnej.

Grigor, który raczej zataczał się, niż chodził, wyglądał na zadowolonego z nowego miejsca, w którym może się potykać i upadać.

Dimkę przepełniał entuzjazm. Wyobrażał sobie przyszłość, w której on i Nina co rok przyjeżdżają tu w lecie na weekendy. I co sezon będą się dziwić, jak Grigor zmienił się przez ten czas. Rozwój syna będą mierzyć kolejnymi latami: w przyszłym zacznie mówić, w następnym liczyć, potem grać w piłkę, czytać, a później pływać. W tej dacy będzie maluchem, potem chłopcem wchodzącym na drzewo w ogrodzie, później przyszczałym nastolatkiem, a następnie młodzieńcem czarującym dziewczyny w wiosce.

Dom stał nieużywany przez rok lub dłużej, więc pootwierali wszystkie okna, a potem zaczęli wycierać kurze i zamiatać podłogi. Był częściowo umeblowany i sporządzili listę rzeczy, które przywiezą następnym razem: radio, samowar, wiadro.

- Latem mogłabym przyjeżdżać tu z Grigorem w każdy piątek rano - powiedziała Nina. Myła fajansowe miski w zlewie. - Ty mógłbyś dojeżdżać w piątek wieczór lub w sobotę rano, gdybyś pracował do późna.

- Nie przeszkadzałoby ci, że byłabyś tu sama przez noc? - spytał Dimka, zeskrobując

pokład tłuszczu z kuchenki.

- Nie jestem strachliwa, jak wiesz.

Grigor zapłakał, domagając się obiadu, i Nina usiadła, żeby go nakarmić. Dimka rozejrzał się wokół domku. Zobaczył, że będzie musiał postawić płot na końcu ogrodu, żeby synek nie wpadł do strumienia. Ten nie był głęboki, ale Dimka wyczytał gdzieś, że dziecko może się utopić w dziesięciu centymetrach wody.

Furtka w murze prowadziła do większego ogrodu. Dimka zastanawiał się, kim są jego sąsiedzi. Nacisnął klamkę i po chwili znalazł się w niewielkim gaju. Przechadzając się po nim, zobaczył w oddali większy dom. Domyślił się, że jego dacza mogła kiedyś być domkiem ogrodnika pracującego w tamtym dużym domu.

Nie chcąc naruszać czyjejs prywatności, zawrócił - i stanął oko w oko z umundurowanym żołnierzem.

- Kim jesteś? - zapytał mężczyzna.

- Dmitrij Dworkin. Wprowadzam się do domku obok.

- Szczęściarz z ciebie, to perła.

- Tylko się rozglądałem. Mam nadzieję, że nie zakłóciłem komuś spokoju.

- Lepiej trzymaj się po swojej stronie muru. Ten dom należy do marszałka Pusznoja.

- Och! - rzekł Dimka. - Pusznoj? To przyjaciel mojego dziadka.

- Zatem to dlatego dostałeś tę daczę - powiedział żołnierz.

- Tak - potwierdził Dimka i poczuł się lekko zakłopotany. - Pewnie tak.

## ROZDZIAŁ 34

Apartament George'a znajdował się na ostatnim piętrze starej, wysokiej i wąskiej szeregowki w sąsiedztwie Kapitolu. Wolał ją od nowoczesnych budynków: lubił proporcje dziewiętnastowiecznych pomieszczeń. Miał tam skórzane fotele, gramofon hi-fi, mnóstwo półek z książkami, a w oknach zwyczajne płócienne rolety zamiast fikuśnych zasłon.

Mieszkanie wyglądało jeszcze lepiej, kiedy była w nim Verena.

Uwielbiał patrzeć, jak wykonuje codzienne czynności w jego domu: siada na kanapie i zrzuca z nóg buty, parzy kawę w biustonoszu i majteczkach, stoi nago w łazience, myjąc idealne zęby. Najbardziej lubił widzieć ją śpiącą w jego łóżku, tak jak teraz, z lekko rozchylonymi miękkimi wargami, spokojem na ślicznej twarzyczce i wyciągniętą w górę długą i smukłą ręką, ukazującą dziwnie seksowną pachę. Pochylił się nad nią i ucałował ją tam. Zamruczała coś, ale się nie obudziła.

Verena zatrzymywała się u niego, ilekroć była w Waszyngtonie, czyli mniej więcej raz w miesiącu. To doprowadzało George'a do szaleństwa. Pragnął jej cały czas. Jednak ona nie zamierzała rezygnować z pracy u Martina Luthera Kinga w Atlancie, a George nie mógł opuścić Roberta Kennedy'ego. Tak więc znaleźli się w impasie.

George wstał i nago poszedł do kuchni. Zaparzył dzbanek kawy, myśląc o Bobbym, który nosił ubrania brata, spędzał za dużo czasu przy jego grobie, trzymając za rękę Jackie, i pozwalał, żeby jego karierę polityczną diabli brali.

Bobby był faworytem opinii publicznej jako kandydat na stanowisko wiceprezydenta. Prezydent Johnson nie poprosił Bobby'ego, żeby został jego partnerem w listopadowych wyborach ani tego nie wykluczył. Nie lubili się, lecz to niekoniecznie musiało przekreślać możliwość połączenia sił dla zwycięstwa demokratów.

Tak czy owak, Bobby nie musiałby bardzo się trudzić, żeby zostać przyjacielem Johnsona. Odrobiną wazeliniarstwa można było daleko zajść z Lyndonem. George zaplanował wszystko ze swoim przyjacielem Skipem Dickersonem, który należał do bliskiego otoczenia Johnsona. Obiad wydany dla Johnsona w Hickory Hill, wirginijskiej posiadłości Bobby'ego i Ethel; kilka ciepłych uścisków dłoni na oczach wszystkich w korytarzach Kapitolu; przemówienie, w którym Bobby mówi, że Lyndon jest godnym następcą jego brata - wszystko to łatwo można było zaaranżować.

George miał nadzieje, że do tego dojdzie. Kampania mogłaby wyrwać Bobby'ego z odrętwienia wywołanego poczuciem winy. A George'a cieszyła perspektywa pracy w



prezydenckiej kampanii wyborczej.

Bobby mógł zrobić coś wyjątkowego ze zwykle mało znaczącej posady wiceprezydenta, tak jak zrewolucjonizował rolę prokuratora generalnego. Stałby się wpływowym orędownikiem spraw, w które wierzył, takich jak prawa obywatelskie.

Najpierw jednak trzeba go było reanimować.

George napełnił dwa kubki kawą i wrócił do sypialni. Zanim znów schował się w pościeli, włączył telewizor. Miał odbiornik w każdym pokoju, tak jak Elvis: czuł się nieswojo, jeśli zbyt długo nie słyszał wiadomości.

- Zobaczmy, kto wygrał prawyborcy republikanów w Kalifornii - powiedział.

- Jesteś taki romantyczny, dziecino - rzekła sennie Verena - że mogłabym umrzeć.

George roześmiał się. Verena często go rozśmieszała. To była jedna z jej najlepszych cech.

- Kogo próbujesz oszukać? - spytał. - Ty też chcesz posłuchać wiadomości.

- W porządku, masz rację. - Usiadła i zaczęła pić kawę. Prześcieradło zsunęło się z jej ramion; George z trudem oderwał od niej wzrok i skierował go na ekran.

Głównymi kandydatami nominowanymi przez republikanów byli Barry Goldwater, prawicowy senator z Arizony, oraz Nelson Rockefeller, liberalny gubernator z Nowego Jorku. Goldwater był ekstremistą nienawidzącym związków zawodowych, opieki społecznej, Związku Sowieckiego i większości praw obywatelskich. Rockefeller opowiadał się za integracją i należał do wielbicieli Martina Luthera Kinga.

Dotychczas toczyli wyrównany pojedynek, ale wynik wyborów wstępnych, które odbyły się poprzedniego dnia w Kalifornii, miał być decydujący. Zwycięzca przejmie głosy z tego stanu, czyli około piętnastu procent głosów wszystkich delegatów, którzy zjawią się na krajowej konwencji Partii Republikańskiej. Ktokolwiek wygrał ostatniej nocy, niemal na pewno będzie kandydatem republikanów na prezydenta.

Skończyła się przerwa na reklamy i najważniejszą wiadomością były prawyborcy. Goldwater zwyciężył. Niewielką przewagą głosów - pięćdziesiąt dwa procent do czterdziestu ośmiu - ale miał teraz głosy wszystkich delegatów z Kalifornii.

- Do diabła - zaklął George.

- Amen - rzekła Verena.

- To naprawdę zła wiadomość. Zaciekły rasista zostanie jednym z dwóch kandydatów na prezydenta.

- Może to dobra wiadomość - zaoponowała Verena. - Wszyscy rozsądni republikanie mogą zagłosować na demokratę, żeby wyeliminować Goldwatera.

- Trzeba mieć taką nadzieję.

Zadzwoił telefon i Dave podniósł słuchawkę aparatu stojącego przy łóżku. Natychmiast rozpoznał południowy akcent Dickersona.

- Czy widziałeś wyniki?

- Pieprzony Goldwater wygrał - odparł George.

- Uważamy, że to dobra wiadomość - oznajmił Skip. - Rockefeller mógłby pokonać naszego kandydata, ale Goldwater jest zbyt konserwatywny. Johnson wytrze nim podłogę w listopadzie.

- Tak uważają ludzie Martina Luthera Kinga.

- Skąd wiesz?

George usłyszał o tym od Vereny.

- Rozmawiałem z... kilkoma z nich.

- Już? Wynik dopiero co ogłoszono. Chyba nie leżysz w łóżku z doktorem Kingiem, co, George?

George się zaśmiał.

- Nieważne, z kim leżę w łóżku. Jak zareagował Johnson, kiedy podałeś mu wynik?

Skip się zawahał.

- Nie chcesz tego usłyszeć.

- Teraz już muszę.

- Cóż, powiedział: „Wygląda na to, że mogę wygrać bez pomocy tego kurdupła”.

Przepraszam, ale sam pytałeś.

- Niech to szlag.

Kurduplem był Bobby. George natychmiast zrozumiał polityczne rachuby Johnsona. Gdyby jego przeciwnikiem został Rockefeller, Johnson musiałby ciężko pracować, żeby zdobyć głosy liberalnych wyborców, a wsparcie Bobby'ego bardzo by mu w tym pomogło. Jednak jako kontrkandydat Goldwatera mógł automatycznie liczyć na głosy wszystkich liberalnych demokratów, a także wielu republikanów. Teraz jego problemem było zdobycie głosów białej klasy robotniczej, a wielu z tych ludzi miało rasistowskie poglądy. Tak więc nie potrzebował już Bobby'ego, który wobec zaistniałej sytuacji stałby się dla niego ciężarem.

- Przykro mi, George - powiedział Skip. - Wiesz, jak to jest w polityce.

- Taak. Przekażę Bobby'emu. Chociaż już pewnie się domyślił. Dzięki, że dałeś mi znać.

- Jasne.

George się rozłączył.

- Johnson nie chce już Bobby'ego jako partnera - poinformował Verenę.
- To zrozumiałe. Nie lubi Bobby'ego, a teraz go nie potrzebuje. Kogo wybierze zamiast niego?
- Gene'a McCarthy'ego, Huberta Humphreya lub Thomasa Dodda.
- Z czym zostanie Bobby?
- W tym właśnie problem. - George wstał i ściszył dźwięk telewizora do pomruku, po czym wrócił do łóżka. - Od zamachu Bobby był bezużyteczny jako prokurator generalny. Wciąż wysyłamy akty oskarżenia przeciwko południowym stanom, które nie pozwalają głosować Murzynom, ale tak naprawdę to go nie interesuje. Zapomniał również o zwalczaniu zorganizowanej przestępczości, co robił tak dobrze! Doprowadziliśmy do skazania Jimmy'ego Hoffy, a Bobby ledwie to zauważył.
- A z czym ty zostaniesz? - roztropnie zapytała Verena.
- Była jedną z nielicznych osób umiejących wybiegać myślami w przyszłość równie szybko jak George.
- Może złożę rezygnację - powiedział George.
- Och.
- Chodziłem po wodzie przez sześć miesięcy i nie zamierzam robić tego dłużej. Jeśli Bobby naprawdę jest przegrany, pogodzę się z tym. Podziwiam go bardziej niż kogokolwiek, ale nie poświęcę dla niego życia.
- Co zrobisz?
- Zapewne mógłbym dostać wspaniałą pracę w jakiejś waszyngtońskiej kancelarii. Mam trzy lata praktyki w Departamencie Sprawiedliwości, co jest sporo warte.
- Nie zatrudniają wielu Murzynów.
- To prawda i mnóstwo firm nawet nie zaszczyciłoby mnie rozmową wstępną. Jednak inne mogą mnie zatrudnić tylko po to, by dowieść, że są liberalne.
- Naprawdę?
- Sytuacja się zmienia. Lyndon naprawdę chce równych szans dla wszystkich. Przesłał Bobby'emu notatkę ze skargą na niewielką liczbę kobiet zatrudnianych przez Departament Sprawiedliwości.
- Ładnie ze strony Johnsona!
- Bobby był wściekły jak diabli.
- A więc będziesz pracował w firmie prawniczej.
- Zakładając, że zostanę w Waszyngtonie.
- A gdzie indziej mógłbyś się udać?

- Do Atlanty. Jeśli doktor King nadal mnie chce.

- Przeprowadziłbyś się do Atlanty - rzuciła nieco roztargnionym tonem Verena.

- Może.

Zapadła cisza. Oboje patrzyli na ekran. Spiker powiedział im, że Ringo Starr ma anginę.

- Gdybym się przeprowadził do Atlanty, moglibyśmy być cały czas razem.

Zamyśliła się.

- Chciałabyś tego? - zapytał.

Nadal nic nie mówiła.

Wiedział dlaczego. Nie powiedział, w jaki sposób byłiby razem. Nie planował tego, ale dotarli do punktu, w którym musieli podjąć decyzję, czy się pobrać.

Verena czekała na jego oświadczenia.

W myślach zobaczył obraz Marii Summers, nieproszony, niechciany. Zawahał się.

Zadzwoił telefon.

George podniósł słuchawkę. Dzwonił Bobby.

- Hej, George, zbudź się - powiedział wesoło.

George skupił się, próbując na moment odsunąć myśl o małżeństwie. Głos Bobby'ego od dawna nie brzmiał tak radośnie. Czy powinien zepsuć mu nastrój?

- Widziałeś wynik prawyborów w Kalifornii? - zapytał ostrożnie szefa.

- Tak. To oznacza, że Lyndon mnie nie potrzebuje. Tak więc zamierzam ubiegać się o fotel senatora. Co o tym myślisz?

George był zaskoczony.

- Senator! Z jakiego stanu?

- Nowy Jork.

Zatem Bobby będzie w Senacie. Może zdoła wstrząsnąć tymi starymi konserwatystami z ich obstrukcją parlamentarną i taktyką zwlekania.

- To wspaniale! - powiedział George.

- Chcę, żebyś przyłączył się do mojego sztabu wyborczego. Co powiesz?

George spojrzał na Verenę. Był bliski oświadczenia się jej. Jednak teraz nie przeprowadzi się do Atlanty. Weźmie udział w kampanii wyborczej i jeśli Bobby zwycięży, dalej będzie w Waszyngtonie, pracując dla senatora Kennedy'ego. Wszystko znów się zmieniło.

- Powiem „tak” - odparł George. - Kiedy zaczynamy?

## ROZDZIAŁ 35

Dimka był z Chruszczowem w Picundzie, miejscowości wypoczynkowej nad Morzem Czarnym, gdy w poniedziałek, dwunastego października 1964 roku zadzwonił Breżniew.

Chruszczow nie był w swojej najlepszej formie. Brakowało mu sił i mówił o tym, że starzy powinni odchodzić na emeryturę i ustępować miejsca nowemu pokoleniu. Dimka tęsknił za dawnym Chruszczowem, brzydkim gnomem z mnóstwem dziwacznych pomysłów, i zastanawiał się, kiedy on wróci.

Gabinet wyłożono boazerią, na podłodze leżał orientalny dywan, a na mahoniowym biurku stał rząd telefonów. Aparat, który zadzwonił, był specjalnym urządzeniem wysokiej częstotliwości, łączącym biura partii i rządu. Dimka podniósł słuchawkę, a kiedy usłyszał basowy głos Breżniewa, oddał ją Chruszczowowi.

Słyszał tylko to, co mówił Chruszczow.

- Po co?... W jakiej sprawie?... Jestem na urlopie, czy to naprawdę takie ważne? Co to ma znaczyć, że wszyscy zebraliście się razem?... Jutro?... Dobrze!

Rozłączył się i wyjaśnił. Prezydium chce, żeby wrócił do Moskwy omówić ważne problemy rolnictwa. Breżniew bardzo nalegał.

Pierwszy sekretarz przez długi czas siedział i rozmyślał. Nie odprawił Dimki.

- Nie ma żadnych pilnych spraw w rolnictwie - rzekł w końcu. - Chodzi o to, przed czym ostrzegałeś mnie sześć miesięcy temu, w dniu moich urodzin. Chcą mnie usunąć.

Dimka był zaszokowany. A więc Natalia miała rację.

W czerwcu, kiedy Chruszczow wrócił ze Skandynawii i groźba aresztowania się nie urzeczywistniła, Dimka wierzył, że pewność siebie i wiara pierwszego sekretarza były uzasadnione. Natalia przyznała, że już nie wie, co się dzieje. Dimka założył, że spisek spełził na niczym.

Teraz wyglądało na to, że tylko się odwłókł.

Chruszczow zawsze był wojownikiem.

- I co zrobicie? - spytał go Dimka.

- Nic - odparł pierwszy sekretarz.

To było jeszcze bardziej szokujące.

- Jeśli Breżniew uważa, że lepiej sobie poradzi - ciągnął Chruszczow - to dajmy mu spróbować, gnojkwowi.

- Tylko co będzie, kiedy znajdzie się u władzy? Nie ma wyobraźni ani energii, żeby

przeforsować reformy przez biurokratyczne bariery.

- Breżniew nawet nie widzi potrzeby większych zmian - rzekł pierwszy sekretarz. -  
Może ma rację.

Dimka był przerażony.

Pod koniec kwietnia zastanawiał się nad opuszczeniem Chruszczowa i poszukianiem pracy u innego kremlowskiego dygnitarza, ale postanowił tego nie robić. Teraz wyglądało na to, że popełnił błąd.

Chruszczow wrócił na ziemię.

- Wyjedziemy jutro. Odwołaj mój obiad z francuskim ministrem.

W ponurym nastroju Dimka zajął się przygotowaniem: przesunięciem wizyty francuskiej delegacji na wcześniejszą porę, dopilnowaniem, aby samolot Chruszczowa był gotowy do lotu, oraz zmianą terminarza na jutrzejszy dzień. Jednak robił to wszystko jak w transie. Czy koniec mógł przyjść tak szybko?

Żaden z poprzednich radzieckich przywódców nie przeszedł na emeryturę. Lenin i Stalin umarli, sprawując urząd. Czy Chruszczow zostanie zabity? A jego personel?

Dimka zadawał sobie pytanie, jak długo pożyje.

Zastanawiał się, czy chociaż pozwolą mu jeszcze raz zobaczyć małego Grigora.

Odepchnął od siebie tę myśl. Nie byłby w stanie nic robić, gdyby sparaliżował go strach.

Wystartowali o pierwszej po południu następnego dnia.

Przelet do Moskwy zajął im dwie i pół godziny, bez zmiany strefy czasowej. Dimka nie miał pojęcia, co czeka ich u kresu tej podróży.

Wylądowali na rządowym lotnisku Wnukowo-2, na południe od Moskwy. Gdy Dimka wysiadł z samolotu za Chruszczowem, powitała ich niewielka grupka pomniejszych dygnitarzy zamiast zwykłego tłumu ministrów. W tym momencie był już pewny, że to koniec.

Na betonowym pasie stały dwa samochody: limuzyna ZIL 111 i pięcioosobowy moskwicz 403. Chruszczow podszedł do limuzyny, a Dimkę zaprowadzono do skromniejszego pojazdu.

Chruszczow uświadomił sobie, że ich rozdzielają. Zanim wsiadł do samochodu, odwrócił się.

- Dimka - powiedział.

Dimka był bliski łez.

- Tak, towarzyszu pierwszy sekretarzu?

- Może już cię nie zobaczę.

- Tak się z pewnością nie stanie!

- Powiniennem ci coś powiedzieć.

- Tak, towarzyszu?

- Twoja żona pieprzy się z Pusznajem.

Dimka wytrzeszczył oczy i oniemiał.

- Lepiej, żebyś o tym wiedział - rzekł Chruszczow. - Do widzenia.

Wsiadł do swojego samochodu, który zaraz odjechał.

Dimka usiadł na tylnym siedzeniu moskwicza, oszołomiony. Mógł już nigdy nie zobaczyć chochlikowatego Nikity Chruszczowa. A Nina sypiała z krępyim generałem w średnim wieku, z siwymi wąsami. Za dużo tego wszystkiego, żeby to ogarnąć.

- Do domu czy do biura? - zapytał po chwili kierowca.

Dimka zdziwił się, że ma jakiś wybór. To oznaczało, że nie wiozą go do więzienia w podziemiach Łubianki - przynajmniej nie dzisiaj. Wyrok odroczone.

Rozważył swoje możliwości. Nie miał po co jechać do pracy. Przecież nie będzie umawiał spotkań ani przygotowywał raportów dla przywódcy, który lada chwila zostanie odsunięty od władzy.

- Do domu - powiedział.

Kiedy tam dotarł, odkrył, że ma dziwne opory przed oskarżaniem Niny. Był zakłopotany, jakby to on zawinił.

Bo zawinił. Wprawdzie jedna noc seksu oralnego z Natalią to nie to samo co długotrwały romans sugerowany przez Chruszczowa, ale zawsze.

Dimka nic nie mówił, gdy żona karmiła Grigora. Potem wykapał go i położył do łóżeczka, a Nina zajęła się kolacją. Przy jedzeniu powiedział jej, że Chruszczow złoży rezygnację wieczorem lub jutro. Domyślał się, że gazety podadzą tę wiadomość dopiero za parę dni.

Nina się zaniepokoiła.

- A co z twoją pracą?

- Nie wiem, co będzie - odparł. - Na razie nikt nie przejmuje się jego współpracownikami. Zapewne zastanawiają się, czy zabić Chruszczowa, czy nie. Z plotkami rozprawią się później.

- Nic ci się nie stanie - oświadczyła po chwili namysłu. - Twoja rodzina jest wpływowa.

Dimka nie był tego taki pewny.

Posprząтали ze stołu. Zauważyła, że niewiele zjadł.

- Nie smakuje ci gulasz?

- Jestem zdenerwowany - powiedział. A potem wypalił: - Czy jesteś kochanką marszałka Pusznoja?

- Nie bądź śmieszny - prychnęła.

- Nie, mówię poważnie - odparł Dimka. - Jesteś?

Z trzaskiem wstawiła naczynia do zlewu.

- Kto podsunął ci ten głupi pomysł?

- Powiedział mi o tym towarzysz Chruszczow. Zakładam, że poinformowało go KGB.

- Skąd miałoby wiedzieć?

Dimka zauważył, że odpowiadała pytaniami na pytania, co zwykle robią osoby chcące ukryć prawdę.

- Obserwują wszystkie ważne osobistości, szukając podejrzanych zachowań.

- Nie bądź śmieszny - powtórzyła.

Usiadła i wyjęła papierosy.

- Flirtowałaś z Pusznajem na pogrzebie mojej babki.

- Flirtowanie to jedno...

- A potem dostaliśmy daczę tuż obok jego daczy.

Wetknęła papieros w usta i zapaliła zapałkę, lecz ta zgasła.

- To chyba zbieg okoliczności...

- Jesteś opanowana, Nino, ale trzęsą ci się ręce.

Rzuciła zapałkę na podłogę.

- Zastanawiałeś się kiedyś, jak się czuję? - spytała gniewnie. - Po całych dniach siedzę w tym mieszkaniu i nie mam z kim porozmawiać oprócz dziecka i twojej matki. Chciałam mieć daczę, a ty nie mogłeś jej załatwić!

Dimka był zaskoczony.

- Zatem przyznajesz, że się prostytutkowałeś?

- Och, bądź realistą, a jak się zdobywa cokolwiek w Moskwie? - W końcu zapaliła papierosa i zaciągnęła się głęboko. - Ty pracujesz dla zwariowanego pierwszego sekretarza. Ja rozkładam nogi dla napalonego marszałka. Niewielka różnica.

- Zatem dlaczego rozłożyłaś nogi dla mnie?

Nie odpowiedziała, ale mimowolnie rozejrzała się po pokoju.

Natychmiast zrozumiał.

- Dla mieszkania w rządowym apartamentowcu?

Nie zaprzeczyła.

- Myślałem, że mnie kochasz - powiedział.



- Och, lubiłam cię, ale od kiedy to wystarcza? Nie bądź dzieckiem. Taki jest świat. Jeśli czegoś chcesz, musisz za to zapłacić.

Czuł się hipokrytą, oskarżając ją, więc się przyznał.

- Cóż, równie dobrze mogę ci powiedzieć, że ja też cię zdradziłem.

- Ha! - sapnęła. - Nie sądziłam, że się na to zdobędziesz. Z kim?

- Wolę nie mówić.

- Z jakąś małą maszynistką z Kremla, oczywiście.

- To była tylko jedna noc i nie odbyliśmy stosunku, ale nie sądzę, żeby to mnie usprawiedliwiało.

- Rany boskie, myślisz, że coś mnie to obchodzi? Proszę bardzo, zabawiaj się!

Czy Nina plotła bzdury w gniewie, czy ujawniała swoje prawdziwe uczucia? Dimka był zdumiony.

- Nigdy nie przypuszczałem, że tak będzie wyglądało nasze małżeństwo - powiedział.

- To przyjmij do wiadomości, że nie ma innych.

- Właśnie że są.

- Ty śnij swoje sny, ja będę śniła swoje.

Włączyła telewizor.

Dimka przez jakiś czas siedział przed telewizorem, nie widząc i nie słysząc programu. Potem położył się na łóżku, ale nie zasnął. Później Nina położyła się obok niego, ale nie dotykali się.

Nazajutrz Nikita Chruszczow na zawsze opuścił Kreml.

Dimka nadal codziennie rano chodził do pracy. Jewgienij Filipow, paradyjony w nowym granatowym garniturze, został awansowany. Najwidoczniej brał udział w spisku przeciwko Chruszczowowi i zapracował na swoją nagrodę.

Dwa dni później, w piątek, gazeta „Prawda” podała wiadomość o rezygnacji Chruszczowa.

Siedząc w swoim gabinecie i mając niewiele do roboty, Dimka zauważył, że zachodnie gazety tego samego dnia oznajmiły, że brytyjski premier również został odsunięty od władzy. W wyniku ogólnokrajowych wyborów pochodzącego z wyższych sfer konserwatystę sir Aleca Douglasa-Home'a zastąpił Harold Wilson, przywódca Partii Pracy.

Będący w cynicznym nastroju Dimka pomyślał, że coś tu jest na opak, gdy zdecydowanie kapitalistyczny kraj zgodnie z wolą narodu wyrzuca swojego arystokratycznego premiera i zastępuje go socjaldemokratą, podczas gdy w czołowym komunistycznym państwie świata takie zmiany przeprowadza w tajemnicy wąska elita

rzządzających i po kilku dniach informuje o tym bezsilne i bierne społeczeństwo.

Brytyjczycy nawet nie zdelegalizowali komunizmu. Trzydziestu sześciu komunistów kandydowało do parlamentu. Żaden nie został wybrany.

Tydzień wcześniej Dimka równoważyłby te niewesołe myśli przygniatającą wyższością systemu komunistycznego, szczególnie po reformach. Teraz jednak nadzieja na te reformy prysła, w najbliższej przyszłości Związek Radziecki pozostanie państwem obciążonym wieloma bolączkami. Dimka wiedział, co powie jego siostra: przeszkody stojące na drodze zmian są integralną częścią systemu i jedną z jego wad. Jednak nie mógł tego zaakceptować.

Następnego dnia „Prawda” potępiła subiektywizm i bierność, niedowarzone pomysły, chępliwość i pyszałkowatość oraz kilka innych grzechów Chruszczowa. Same bzdury, zdaniem Dimki. Po prostu wykonano gwałtowny krok w tył. Radziecka elita władzy odrzuciła postęp i wybrała to, co znała najlepiej: centralne sterowanie ekonomią, represjonowanie przeciwników, unikanie eksperymentów. To pozwoli im czuć się bezpiecznie - i sprawi, że ZSRR pozostanie w tyle za Zachodem pod względem bogactwa, potęgi i światowych wpływów.

Dimka miał wykonywać niezbyt ważne zadania dla Breżniewa. Po kilku dniach dzielił swój mały pokój z jednym z jego asystentów. Było tylko kwestią czasu, kiedy zostanie zwolniony. Jednak Chruszczow nadal przebywał w swojej dacy na Wzgórzach Leninowskich, więc Dimka zaczął mieć nadzieję, że jego szef i on przeżyją.

Po tygodniu został przeniesiony.

Wiera Pletner przyniosła mu polecenie w zaklejonej kopercie, ale miała taką smutną minę, że Dimka wiedział, iż koperta zawiera złe wiadomości, zanim ją otworzył. Przeczytał od razu. Gratulowano mu nominacji na zastępcę sekretarza KPZR w Charkowie.

- Charków - powiedział. - Pieprzyć to.

Praca dla przywódcy, który popadł w niełaskę, najwyraźniej przeważała wpływy jego zasłużonej rodziny. To była poważna degradacja. Wprawdzie dostanie wyższe uposażenie, jednak w Związku Radzieckim pieniądze nie miały wartości. Dadzą mu mieszkanie i samochód, ale będzie na Ukrainie, daleko od ośrodka władzy i przywilejów.

A najgorsze, że zamieszka ponad siedemset kilometrów od Natalii.

Siedząc za biurkiem, popadł w depresję. Chruszczow był skończony, jego własna kariera się załamała, ZSRR chylił się do upadku, małżeństwo z Niną legło w gruzach i miał zostać wysłany daleko od Natalii, będącej jasnym punktem w jego życiu. Gdzie popełnił błąd?

Teraz do baru nad rzeką nie przychodziło wielu gości, lecz tego wieczoru spotkał się

tam z Natalią po raz pierwszy od powrotu z Picundy. Jej szef, Andriej Gromyko, nie ucierpiał w wyniku przewrotu i pozostał ministrem spraw zagranicznych, tak więc zachowała swoją pracę.

- Chruszczow zrobił mi pożegnalny prezent - wyznał jej Dimka.

- Jaki?

- Powiedział mi, że Nina ma romans z marszałkiem Pusznójem.

- Wierzysz w to?

- Zakładam, że Chruszczow wie to od KGB.

- To i tak może być pomyłka.

Dimka pokręcił głową.

- Przyznała się. Ta cudowna dacha, którą dostaliśmy, znajduje się obok dachy Pusznója.

- Och, Dimka, tak mi przykro.

- Zastanawiam się, kto pilnuje Grigora, kiedy oni są w łóżku.

- Co zamierzasz zrobić?

- Nie mogę czuć się urażony. Miałbym romans z tobą, gdyby wystarczyło mi odwagi.

Natalia się zmieszła.

- Nie mów tak.

Na jej twarzy pojawiły się kolejno współczucie, smutek, tęsknota, lęk i niepewność, choć trwało to zaledwie chwilę. Nerwowo poprawiła niesforne włosy.

- I tak już za późno - dodał Dimka. - Zostałem przeniesiony do Charkowa.

- Co?

- Dowiedziałem się dzisiaj. Zastępca sekretarza partii w Charkowie.

- To kiedy cię zobaczę?

- Chyba nigdy.

Łzy stanęły jej w oczach.

- Nie mogę bez ciebie żyć - jęknęła.

Dimka spojrział na nią zdziwiony. Wiedział, że Natalia go lubi, ale nigdy nie mówiła czegoś takiego, nawet podczas tamtej jedynej nocy, którą spędzili razem.

- Co chcesz przez to powiedzieć? - zapytał głupio.

- Kocham cię, nie wiedziałeś?

- Nie, nie wiedziałem - odrzekł oszołomiony.

- Kocham cię od dawna.

- Dlaczego nigdy mi nie powiedziałaś?

- Boję się.

- Boisz się?

- Mojego męża.

Dimka podejrzewał coś takiego. Zakładał, chociaż nie miał żadnego dowodu, że to Nik był odpowiedzialny za brutalne pobicie czarnorynkowego handlarza, który próbował oszukać Natalię. Nic dziwnego, że żona Nika obawiała się wyznać miłość innemu mężczyźnie. To był powód zmienności Natalii: od zmysłowego ciepła jednego dnia do chłodnego dystansu następnego.

- Chyba też się boję Nika - powiedział.

- Kiedy wyjeżdżasz?

- Ciężarówka przyjedzie po meble w piątek.

- Tak szybko?!

- W biurze stanowią zagrożenie. Nie wiedzą, czego się po mnie spodziewać.

Wyjęła białą chusteczkę i otarła nią oczy. Potem nachyliła się do niego nad stołem.

- Czy pamiętasz to pomieszczenie ze starymi carskimi meblami?

Uśmiechnął się.

- Nigdy go nie zapomnę.

- I łóże z czterema słupkami?

- Oczywiście.

- Było tam tyle kurzu.

- I zimno.

Jej nastrój znów się zmienił i teraz wydawała się filuterna i przekorna.

- Co najlepiej pamiętasz?

Pamięć natychmiast podsunęła mu odpowiedź: jej małe piersi z dużymi sterczącymi sutkami. Jednak nie powiedział tego na głos.

- No już - zachęcała. - Możesz mi to zdradzić.

Co miał do stracenia?

- Twoje sutki - odparł zakłopotany i podniecony.

Zachichotała.

- Chcesz znów je zobaczyć?

Dimka przełknął ślinę.

- Zgadnij - rzucił, usiłując dopasować się do jej żartobliwego nastroju.

Wstała i nagle zrobiła zdecydowaną minę.

- Spotkajmy się tam o siódmej - powiedziała.

I wyszła.

Nina była wściekła.

- Charków? - wrzasnęła. - Co ja mam robić w pierdolonym Charkowie?

Zwykle nie używała rynsztokowych wyrażen: uważała to za ordynarne. Chwilowe odstępstwo od normy świadczyło o sile jej uczuć.

Dimka wcale nie współczuł żonie.

- Jestem pewny, że tamtejszy związek zawodowy pracowników stalowni znajdzie ci jakieś zajęcie.

I tak był już czas, żeby oddała Grigora do żłobka i wróciła do pracy, czego oczekiwano od radzieckich matek.

- Nie chcę jechać na wygnanie do prowincjonalnej miejsciny.

- Ja też nie. Myślisz, że zgłosiłem się na ochotnika?

- Nie wiedziałeś, że do tego dojdzie?

- Wiedziałem i nawet rozważałem zmianę pracy, ale myślałem, że pucz został odwołany, a oni tylko przesunęli go na później. Oczywiście spiskowcy robili, co mogli, żebym się nie dowiedział.

Obrzuciła go podejrzliwym spojrzeniem.

- Pewnie spędziłeś tę noc, żegnając się ze swoją maszynistką.

- Powiedziałaś, że nic cię to nie obchodzi.

- W porządku, cwaniaku. Kiedy mamy wyjechać?

- W piątek.

Nina zaczęła się pakować z wściekłą miną.

W środę Dimka rozmawiał o przeprowadzce z wujkiem Wołodią.

- Nie chodzi tylko o moją karierę - powiedział. - Nie po to pracuję na rządowej posiadzie. Chcę udowodnić, że komunizm się sprawdza. Jednak to oznacza, że musi się zmieniać i ulepszać. Teraz obawiam się, że możemy się cofnąć.

- Ściągniemy cię z powrotem do Moskwy, najszybciej jak będziemy mogli - rzekł Wołodzia.

- Dziękuję - odparł szczerze wdzięczny Dimka.

Wuj zawsze był pomocny.

- Zaslugujesz na to - dodał ciepło Wołodzia. - Jesteś bystry i efektywny, a nie mamy za dużo takich ludzi. Chciałbym mieć cię w swoim biurze.

- Nie nadaję się na wojskowego.

- Posłuchaj, po czymś takim musisz dowieść swojej lojalności, ciężko pracując i nie

narzekając, a przede wszystkim nie prosząc bezustannie o przeniesienie do Moskwy. Jeśli wytrwasz pięć lat, będę mógł zacząć starania o twój powrót.

- Pięć lat?

- Wtedy zacznę działać. Nie licz na mniej niż dziesięć. W rzeczy samej, nie licz na nic. Nie wiemy, jak będzie rządził Breżniew.

Przez dziesięć lat Związek Radziecki może się stoczyć w otchłań nędzy i bezrobocia, pomyślał Dimka. Miał jednak świadomość, że nie powinien tego mówić. Wołodia nie był jego największą szansą - był jedyną.

Dimka ponownie zobaczył Natalię w czwartek. Miała rozciętą wargę.

- Nik to zrobił? - gniewnie spytał Dimka.

- Poślizgnęłam się na oblodzonych schodach i upadłam na twarz.

- Nie wierzę ci.

- Mówię prawdę - odparła, ale nie chciała się już z nim spotkać w magazynie mebli.

W piątek rano ciężarówka ZIL-130 przyjechała i zaparkowała przed rządowym budynkiem, i dwaj mężczyźni w roboczych kombinezonach zaczęli nosić rzeczy Dimki i Niny do windy.

Kiedy ciężarówka była prawie pełna, zrobili sobie przerwę. Nina przygotowała im kanapki i herbatę. Zadzwoił telefon.

- Jest tu posłaniec z Kremla z wiadomością do rąk własnych - poinformował portier.

- Przyślij go na górę - rzekł Dimka.

Dwie minuty później w drzwiach pojawiła się Natalia w futrze z nerek. Pomimo rozciętej wargi wyglądała jak bogini.

Dimka patrzył na nią, niczego nie pojmując. Potem zerknął na Ninę. Ta dostrzegła jego spojrzenie winowajcy i przeszła Natalię ostrym wzrokiem. Dimka zastanawiał się, czy kobiety rzucają się na siebie. Był gotowy interweniować.

Nina skrzyżowała ręce na piersiach.

- A więc, Dimka - wysyczała - to pewnie jest ta twoja mała maszynistka.

I co miał jej odpowiedzieć? Tak? Nie? To moja kochanka?

Natalia spojrzała na nią wyzywająco.

- Nie jestem maszynistką - powiedziała.

- Nie martw się - warknęła Nina. - Dokładnie wiem, kim jesteś.

Też mi przytyk, pomyślał Dimka, ze strony kobiety, która sypia z grubym, starym generałem, żeby mieć daczę. Jednak nie powiedział tego.

Natalia zrobiła wyniosłą minę i wręczyła mu kopertę wyglądającą na jakieś urzędowe

pismo.

Rozerwał kopertę. Pismo było od Aleksieja Kosygina, reformatorskiego ekonomisty. Miał silne poparcie, więc pomimo swoich radykalnych poglądów został przewodniczącym Rady Ministrów w rządzie Breżniewa.

Dimka nie posiadał się z radości. Proponowano mu stanowisko doradcy Kosygina. Tutaj, w Moskwie.

- Jak ci się to udało? - zapytał Natalię.

- Długo by opowiadać.

- Cóż, dziękuję ci. - Chciał wziąć ją w ramiona i ucałować, ale powstrzymał się. Odwrócił się do Niny. - Jestem uratowany - oznajmił. - Mogę zostać w Moskwie. Natalia załatwiła mi pracę u Kosygina.

Obie kobiety spoglądały na siebie z nienawiścią. Nikt nie wiedział, co powiedzieć.

Po długiej chwili ciszę przerwał jeden z robotników.

- Czy to oznacza, że mamy rozładować ciężarówkę? - zapytał.

Tania poleciała Aeroflotem na Syberię z międzylądowaniem w Omsku po drodze do Irkucka. Samolotem był wygodny odrzutowiec Tupolew Tu-104. Nocny lot trwał osiem godzin i większość tego czasu przespała.

Oficjalnie wysłała ją tam TASS. W tajemnicy zamierzała odszukać Wasilija.

Dwa tygodnie wcześniej Danił Antonow podszedł do biurka Tani i dyskretnie wręczył jej maszynopis *Odmrożenia*.

- „Nowy Świat” jednak nie może tego wydać - powiedział. - Breżniew przykręca śrubę. „Ortodoksja” jest teraz kluczowym słowem.

Tania wepchnęła plik kartek do szuflady. Była rozczarowana, ale niemal przygotowana na taki rezultat.

- Czy pamiętasz artykuły, które napisałam trzy lata temu o życiu na Syberii? - zapytała.

- Oczywiście - odparł. - Był to jeden z najpopularniejszych cykli, jakie kiedykolwiek opublikowaliśmy, i rząd otrzymał mnóstwo podań od rodzin chcących się tam przenieść.

- Może powinnam zrobić kontynuację. Porozmawiać z niektórymi ludźmi i zapytać, jak im się wiedzie. Przeprowadzić wywiady z kilkoma nowo przybyłymi.

- Doskonały pomysł. - Danił zniżył głos. - Czy wiesz, gdzie on jest?

A więc odgadł. Nic dziwnego.

- Nie - odparła. - Jednak mogę się dowiedzieć.

Tania nadal mieszkała w rządowym budynku. Po śmierci Kateriny przeprowadziły się z

matką do dużego apartamentu dziadków, żeby opiekować się dziadkiem Grigorijem. Twierdził, że tego nie potrzebuje: z dumą opowiadał, jak sprzątał i gotował dla siebie i swojego młodszego brata Lwa, kiedy obaj pracowali w fabryce przed pierwszą wojną światową i mieszkali w jednym pokoiku w ubogiej dzielnicy Sankt Petersburga. Jednak prawda wyglądała tak, że miał siedemdziesiąt sześć lat i od rewolucji nie ugotował żadnego posiłku ani nawet nie zamiótł podłogi.

Tego wieczoru Tania zjechała windą i zapukała do drzwi mieszkania brata.

Otworzyła jej Nina.

- Och - powiedziała nieuprzejmie i wycofała się w głąb mieszkania, zostawiając otwarte drzwi.

Ona i Tania nigdy się nie lubiły.

Tania weszła do małego przedpokoju. Dimka wyłonił się z łazienki. Uśmiechnął się, zadowolony, że ją widzi.

- Możemy zamienić słowo na osobności? - zapytała.

Wziął klucze ze stolika i wyprowadził ją z mieszkania, zamykając za sobą drzwi. Pojechali windą na dół i usiedli na ławce w przestronnym holu.

- Chcę, żebyś się dowiedział, gdzie jest Wasilij.

Pokręcił głową.

- Nie.

Tania o mało się nie rozplakała.

- Dlaczego nie?

- Ledwie uniknąłem zesłania do Charkowa. Mam nową pracę. Jakie to zrobi wrażenie, jeśli rozpocznę ją od wypytywania o skazanego dysydenta?

- Muszę porozmawiać z Wasilijem!

- Nie rozumiem po co.

- Wyobraź sobie, jak musi się czuć. Skończył odsiadkę ponad rok temu, a jednak wciąż tam jest. Pewnie obawia się, że będzie zmuszony pozostać tam do końca życia! Muszę mu powiedzieć, że nie zapomnieliśmy o nim.

Dimka wziął ją za rękę.

- Przykro mi, Taniu. Wiem, że ci na nim zależy. Jednak co to da, że się narazisz?

- Sądząc po *Odmrożeniu*, może być wielkim pisarzem. I pisze o naszym kraju w sposób ukazujący wszystko, co jest złe. Muszę mu powiedzieć, żeby napisał więcej.

- I co?

- Pracujesz na Kremlu, ale nie możesz niczego zmienić. Breżniew nigdy nie zreformuje



komunizmu.

- Wiem. Jestem zrozpaczony.

- Metodami politycznymi już niczego się w tym kraju nie zmieni. Teraz naszą jedyną nadzieją jest literatura.

- Czy jakieś krótkie opowiadanie może cokolwiek zmienić?

- Kto wie? Co innego możemy zrobić? Daj spokój, Dimka. Zawsze spieraliśmy się o to, czy komunizm należy zreformować, czy obalić, ale żadne z nas nigdy się nie poddało.

- Nie wiem, jak miałbym odnaleźć twojego przyjaciela.

- Sprawdź, gdzie mieszka i pracuje. Powiedz, że to poufny wywiad środowiskowy do raportu, który opracowujesz.

Dimka westchnął.

- Masz rację, nie możemy się poddać.

- Dziękuję.

Zdobył tę informację dwa dni później. Wasilij został zwolniony z łagru, ale z jakiegoś powodu w aktach nie było jego nowego adresu. Pracował w elektrowni kilka kilometrów od Irkucka. Władze zalecały, żeby w przewidywalnej przyszłości nie wydawać mu zezwolenia na powrót do Moskwy.

Na lotnisku Tanię powitała przedstawicielka syberyjskiego biura werbunkowego, trzydziestoletnia Irina. Tania wołałaby, żeby towarzyszył jej mężczyzna. Kobiety mają intuicję, Irina mogła się domyślić prawdziwego celu wizyty.

- Pomyślałam, że mogłybyśmy zacząć w centralnym domu towarowym - oznajmiła wesoło Irina. - Wiecie, mamy tu wiele rzeczy, które niełatwo dostać w Moskwie!

- Wspaniale! - powiedziała Tania z wymuszonym entuzjazmem.

Kobieta zawiozła ją do miasta moskwiczem 410 z napędem na cztery koła. Tania zostawiła bagaż w hotelu, a potem pozwoliła się oprowadzić po domu towarowym. Skrywając zniecierpliwienie, przeprowadziła wywiady z dyrektorem i kierownikiem działu sprzedaży.

- Chcę zobaczyć elektrownię w Czenkowie - poprosiła potem.

- Och! - zdziwiła się Irina. - Dlaczego?

- Odwiedziłam ją podczas poprzedniej swojej bytności na Syberii. - To było kłamstwo, ale Irina nie mogła tego wiedzieć. - Jednym z tematów, które chcę poruszyć, są zmiany, jakie tu zaszły. Ponadto mam nadzieję porozmawiać z ludźmi, których wtedy spotkałam.

- Tylko że elektrownia nie została uprzedzona o waszej wizycie.

- Nie szkodzi. Nie chcę zakłócać im pracy. Rozejrzę się, a potem porozmawiam z ludźmi w przerwie obiadowej.

- Jak sobie życzycie. - Irinie się to nie spodobało, ale musiała robić wszystko, żeby zadowolić ważną dziennikarkę. - Zaraz do nich zadzwonię.

Elektrownia węglowa w Czenkowie została zbudowana w latach trzydziestych, kiedy nie zwracano uwagi na zanieczyszczenia. W powietrzu unosił się zapach węgla, a pył węglowy pokrywał wszystkie powierzchnie, zmieniając białe w szare, a szare w czarne. Powitał je dyrektor w garniturze i brudnej koszuli, najwyraźniej zaskoczony wizytą.

Oprowadzana po zakładzie Tania rozglądała się za Wasilijem. Powinien rzucać się w oczy: wysoki mężczyzna o gęstych czarnych włosach i urodzie filmowego amanta. Jednak nie mogła zdradzić się przed Iriną ani nikim znajdującym się w pobliżu, że dobrze go zna i przyjechała na Syberię, żeby się z nim zobaczyć. „Wyglądacie znajomo”, powiedziałyby mu. „Chyba przeprowadziłam z wami wywiad, kiedy byłam tutaj poprzednio”. Wasilij jest bystry i natychmiast zrozumie, o co chodzi, ale ona starałaby się mówić jak najdłużej, żeby dać mu czas na otrząśnięcie się z szoku wywołanego jej widokiem.

Domyślała się, że jako elektryk zapewne będzie pracował w sterowni lub przy piecach, ale potem uświadomiła sobie, że może naprawiać linię energetyczną lub oświetlenie w dowolnej części zakładu.

Zastanawiała się, jak bardzo się zmienił w ciągu minionych lat. Zapewne nadal uważał ją za przyjaciółkę, skoro przekazał jej swoje opowiadanie. Niewątpliwie ma tu jakąś dziewczynę, a znając go, może nawet kilka. Czy będzie do swojego uwięzienia nastawiony filozoficznie, czy rozgniewany niesprawiedliwością, jaka go spotkała? Czy zacznie się użalać nad sobą, czy też wścieknie się na nią, że go stąd nie wyciągnęła?

Starannie wykonywała swoją pracę, wypyując robotników, co oni i ich rodziny myślą o życiu na Syberii. Wszyscy wspominali o wysokich zarobkach i szybkich awansach z powodu braku wykwalifikowanych pracowników. Wielu wesoło mówiło o trudnościach; można było wyczuć braterskiego ducha pionierów.

Do południa nie udało się jej znaleźć Wasilija. Uznała, że to frustrujące, bo nie mógł być daleko.

Irina zaprowadziła ją do jadalni dla kadry kierowniczej, ale Tania uparła się, by zjeść obiad w stołówce dla robotników. Przy jedzeniu ludzie się odprężali i mówili szczerzej oraz barwniej. Tania robiła notatki i wciąż rozglądała się po sali, wybierając następnych rozmówców, a jednocześnie szukając Wasilija.

Jednak przerwa obiadowa się skończyła, a on się nie pojawił. W stołówce zrobiło się pustawo. Irina zaproponowała przejazd do następnego miejsca na liście, szkoły, w której zaplanowała spotkanie z młodymi matkami. Tania nie mogła znaleźć żadnego powodu, by

odmówić.

Będzie musiała zapytać o niego po nazwisku. Wyobraziła sobie, jak mówi, że chyba przypomina sobie pewnego interesującego człowieka, którego spotkała tu ostatnio, zdaje się, że elektryka, niejakiego Wasilija... hm... Jenkowa? Czy moglibyście sprawdzić, czy nadal tu pracuje? Byłby to mało wiarygodny pretekst. Irina zapytałaby o niego, ale nie była głupia i z pewnością zastanawiałaby się, dlaczego Tania tak bardzo interesuje się tym człowiekiem. Szybko dowiedziałaby się, że Wasilij przybył na Syberię jako więzień polityczny. A wtedy nie wiadomo, czy postanowiłaby siedzieć cicho i pilnować swoich spraw, czy też w powszechnie przyjęty w Związku Radzieckim sposób spróbowałaby zaskarbić sobie łaskę władz, mówiąc o zainteresowaniu Tani komuś stojącemu wyżej w partyjnej hierarchii.

Przez lata nikt nie wiedział o przyjaźni Tani i Wasilija. To było ich zabezpieczenie. Dzięki temu nie zostali skazani na dożywotnie więzienie za publikowanie wywrotowej gazety. Po aresztowaniu Wasilija Tania dopuściła do sekretu tylko jedną osobę, swojego brata bliźniaka. A Danił się domyślił. Teraz jednak mogła wzbudzić podejrzenia obcej osoby.

Zbierała odwagę, żeby to zrobić, ale wtedy pojawił się Wasilij.

Tania przycisnęła dłoń do ust, by nie krzyknąć.

Wasilij wyglądał jak starzec. Był chudy i zgarbiony. Włosy miał długie, zmierzwione i poprządkane pasmami siwizny. Jego dawniej szeroka i urodziwa twarz była ściągnięta i pomarszczona. Miał na sobie brudny kombinezon z wkretakami w kieszeniach. Idąc, powłóczył nogami.

- Czy coś się stało, towarzyszeko Taniu? - spytała Irina.

- Ból zęba - wykrztusiła Tania, improwizując.

- Przykro mi.

Tania nie wiedziała, czy opiekunka jej uwierzyła.

Serce waliło jej jak młotem. Była uradowana tym, że znalazła Wasilija, ale przerażona jego okropnym wyglądem. I musiała ukryć tę burzę uczuć przed Iriną.

Wstała, pozwalając, by Wasilij ją zobaczył. W stołówce zostało niewielu robotników, więc nie mógł jej przeoczyć. Obróciła się bokiem, nie patrząc na niego, żeby nie budzić podejrzeń Iriny. Podniosła torebkę, jakby chciała iść.

- Zaraz po powrocie muszę pójść do dentysty - powiedziała.

Kątem oka zobaczyła, że Wasilij nagle przystanął, gapiąc się na nią.

- Powiedzcie mi o tej szkole, do której jedziemy - rzuciła Tania, żeby odwrócić od niego uwagę Iriny. - W jakim wieku są uczniowie?

Ruszyły w stronę drzwi i Irina zaczęła odpowiadać na jej pytanie. Tania usiłowała

obserwować Wasilija, nie patrząc mu w oczy. Nadal stał nieruchomo jak posąg. Gdy obie kobiety zbliżały się do niego, Irina obrzuciła go lekko zdziwionym wzrokiem.

Wtedy Tania ponownie spojrzała na Wasilija.

Na jego wychudłej twarzy malowało się zdumienie. Szeroko otworzył usta i gapił się na nią. Jednak w jego oczach było coś jeszcze poza zaskoczeniem. Tania uświadomiła sobie, że to nadzieja - zdziwienie, niedowierzanie i nadzieja. Jeszcze nie był zupełnie pokonany: coś dawało temu wrakowi człowieka siłę do napisania tego cudownego opowiadania.

Przypomniała sobie słowa, które przygotowała.

- Wyglądacie znajomo. Czy rozmawiałam z wami, kiedy byłam tutaj ostatnio, trzy lata temu? Nazywam się Tania Dworkina i pracuję dla TASS.

Wasilij zamknął usta i próbował wziąć się w garść, lecz wciąż był oszołomiony.

Tania mówiła dalej:

- Piszę kontynuację mojego cyklu artykułów o ludziach, którzy wyjechali na Syberię. Jednak obawiam się, że nie pamiętam waszego nazwiska. Przez ostatnie trzy lata rozmawiałam z setkami ludzi!

- Jenkow - rzekł w końcu. - Wasilij Jenkow.

- Tak, to była bardzo interesująca rozmowa - powiedziała Tania. - Zaczynam ją sobie przypominać. Muszę znów przeprowadzić z wami wywiad.

Irina spojrzała na zegarek.

- Mamy mało czasu. Szkoły zamyka się tu wcześniej.

Tania spojrzała na swój.

- Moglibyśmy spotkać się wieczorem? - zapytała Wasilija. - Zechcielibyście przyjść do hotelu Central? Może moglibyśmy się czegoś napić.

- W hotelu Central - powtórzył Wasilij.

- O szóstej?

- O szóstej w hotelu Central.

- Zatem tam się zobaczymy - powiedziała Tania i odeszła.

Tania chciała upewnić Wasilija, że o nim nie zapomniano. Już to zrobiła, ale czy to wystarczy? Czy mogła dać mu jakąś nadzieję? Ponadto zamierzała mu powiedzieć, że jego opowiadanie jest cudowne i powinien pisać dalej, lecz i w tej sprawie nie miała go czym zachęcić: *Odmrożenie* nie zostanie wydane i zapewne to samo stanie się ze wszystkim innym, co Wasilij napisze. Bała się, że ostatecznie jeszcze bardziej go przygnębi, a nie pocieszy.

Czekała na niego w barze. Hotel nie był zły. Wszyscy goście na Syberii byli VIP-ami,

nikt nie przyjeżdżał tu na urlop, więc zapewniał tę odrobinę luksusu, której oczekiwała elita komunistycznej władzy.

Wasilij sprawiał nieco lepsze wrażenie niż w pracy. Uczesał się i włożył czystą koszulę. Wciąż wyglądał jak rekonwalescent po ciężkiej chorobie, lecz w jego oczach palił się błysk inteligencji.

Ujął obie jej dłonie w swoje.

- Dziękuję ci, że tu przyjechałaś - powiedział drżącym ze wzruszenia głosem. - Nie potrafię wyrazić, ile to dla mnie znaczy. Jesteś przyjaciółką, prawdziwą przyjaciółką.

Pocałowała go w policzek.

Zamówili piwo. Wasilij zjadał darmowe orzeszki jak głodujący człowiek.

- Twoje opowiadanie jest wspaniałe - odezwała się Tania. - Nie tylko dobre, ale wręcz nadzwyczajne.

Uśmiechnął się.

- Dziękuję. Może jednak coś dobrego wyjdzie z tego straszego miejsca.

- Nie jestem jedyną osobą, która podziwia twoje dzieło. Wydawcy „Nowego Świata” przyjęli je do publikacji. - Rozpromienił się z zadowolenia i musiała sprowadzić go na ziemię.  
- Jednak zmienili zdanie po odsunięciu od władzy Chruszczowa.

Wasilij spojrzał na nią zdruzgotany, ale po chwili wziął następną garść orzeszków.

- Nie dziwię się - rzekł, odzyskując panowanie nad sobą. - Ważne, że przynajmniej im się podobało. Warto było je napisać.

- Zrobiłam kilka kopii i wysłałam tekst, oczywiście anonimowo, do paru osób, które otrzymywały „Niezgodę” - dodała. Zawahała się. To, co zamierzała teraz powiedzieć, było bardzo śmiałe. A wypowiedzianych słów nie da się cofnąć. Skoczyła na głęboką wodę. - Jedyne, co mogę jeszcze zrobić, to spróbować przekazać egzemplarz na Zachód.

Dostrzegła w jego oczach błysk optymizmu, ale udawał sceptyka.

- To byłoby dla ciebie niebezpieczne.

- I dla ciebie.

Wasilij wzruszył ramionami.

- I co mi zrobią? Ześlą na Syberię? Jednak ty możesz stracić wszystko.

- Mógłbyś napisać więcej opowiadań?

Wyjął spod marynarki dużą używaną kopertę.

- Już napisałem - rzekł i wręczył ją Tani.

Napił się piwa, opróżniając kufel.

Zajrzała do koperty. Zobaczyła kartki zapisane drobnym i równym pismem Wasilija.

- No - powiedziała z zachwytem - tego wystarczy na książkę!

Nagle uświadomiła sobie, że gdyby została złapana z tym materiałem, to również utknęłaby na Syberii. Pospiesznie schowała kopertę do torebki.

- Co zamierzasz zrobić? - zapytał.

Tania już o tym pomyślała.

- W Lipsku, w Niemczech Wschodnich, co roku organizowane są targi książki. Mogłabym pojechać na nie jako korespondentka TASS, bo trochę znam niemiecki. Na tych targach bywają zachodni wydawcy: z Paryża, Londynu i Nowego Jorku. Może uda mi się załatwić, żeby opublikowali przekład twoich opowiadań.

Rozpromienił się.

- Tak myślisz?

- Myślę, że *Odmrożenie* jest wystarczająco dobre.

- To byłoby wspaniale. Jednak podjęłabyś ogromne ryzyko.

Kiwnęła głową.

- Ty też. Jeśli radzieckie władze odkryją, kim jest autor, będzie miał kłopoty.

Roześmiał się.

- Spójrz na mnie: zagłodzony, w łachmanach, mieszkający samotnie w hotelu robotniczym, w którym jest zawsze zimno. Nie boję się.

Nie przyszło jej do głowy, że może nie mieć co jeść.

- Jest tu restauracja - rzuciła. - Zjemy obiad?

- Tak, chętnie.

Wasilij zamówił befsztyk z gotowanymi ziemniakami. Kelnerka postawiła na stole miseczkę z bułeczkami, jak to się robi na bankietach. Wasilij zjadł wszystkie. Po befsztyku zamówił pierogi ze śliwkami. Zjadł też wszystko, co zostawiła na talerzu Tania.

- Myślałam, że fachowcy są tu dobrze opłacani - powiedziała.

- Ochotnicy, owszem. Ale nie byli więźniowie. Władze stosują się do praw rynku, tylko jeśli muszą.

- Czy mogę przysłać ci żywność?

Pokręcił głową.

- KGB wszystko kradnie. Paczki przychodzą otwarte z adnotacją „Podejrzana przesyłka, oficjalnie sprawdzona” i to, co dobre, znika. Gość w sąsiednim pokoju mojego hotelu dostał sześć słoików dżemu, wszystkie puste.

Tania podpisała rachunek za obiad.

- Czy w twoim pokoju hotelowym jest łazienka? - spytał Wasilij.

- Tak.

- Jest w niej ciepła woda?

- Oczywiście.

- Mógłbym wziąć prysznic? W hotelu robotniczym ciepła woda jest tylko raz na tydzień, a i wtedy musimy się spieszyć z kąpielą, zanim się skończy.

Poszli na górę.

Wasilij długo nie wychodził z łazienki. Tania siedziała na łóżku, patrząc na brudny śnieg za oknem. Była oszołomiona. Niejasno zdawała sobie sprawę z tego, jak wyglądają obozy pracy, ale widok Wasilija uzmysłowił jej to w drastyczny sposób. Wcześniej nie wyobrażała sobie, jak bardzo cierpią więźniowie. A jednak, pomimo wszystko, Wasilij nie poddał się rozpacz. A nawet znalazł siłę i odwagę, żeby z pasją i humorem opisać swoje doświadczenia. Podziwiała go bardziej niż kiedykolwiek.

Gdy w końcu wyszedł z łazienki, pożegnali się. Kiedyś spróbowałby się do niej przystawiać, ale teraz taka myśl najwyraźniej nawet nie przyszła mu do głowy.

Dała Wasilijowi wszystkie pieniądze, jakie miała w portmonetce, tabliczkę czekolady i dwie pary kalesonów, które były dla niego za krótkie, ale poza tym dobre.

- Może będą lepsze od tych, które masz - powiedziała.

- Z pewnością - odparł. - Bo nie mam żadnych.

Kiedy wyszedł, rozplakała się.

## ROZDZIAŁ 36

Za każdym razem, gdy w Radiu Luksemburg puszczała *Love Is It*, Karolin płakała.

Lili, teraz szesnastoletnia, uważała, że wie, jak ona się czuje. To było tak, jakby Walli wrócił do domu i grał w sąsiednim pokoju, a one nie mogły do niego pójść i powiedzieć mu, jaki to dobry utwór.

Jeśli Alice nie spała, sadzały ją przy radiu i mówiły: „To twój tatuś!”. Dziewczynka niewiele rozumiała, ale potrafiła wyczuć radosne podniecenie opiekunek i poddawała się ich nastrojowi. Czasem Karolin śpiewała małej tę piosenkę, a Lili akompaniowała jej na gitarze i śpiewała razem z nią.

Życiową misją Lili było pomóc Karolin oraz Alice wyemigrować na Zachód, żeby połączyły się z Wallim.

Karolin mieszkała w domu Francków w dzielnicy Berlin-Mitte, bo jej rodzice nie chcieli mieć z nią nic wspólnego. Powiedzieli, że zhańbiła ich, rodząc nieślubne dziecko. Jednak w rzeczywistości Stasi zagroziło jej ojcu, że straci swoje stanowisko kierownika zajezdni autobusowej z powodu związku Karolin z Wallim. Dlatego wyrzucili ją z domu i przeprowadziła się do rodziców Wallego.

Lili cieszyła się, że tak się stało. Karolin była jak starsza siostra zastępująca Rebecę. A Lili uwielbiała jej dziecko. Codziennie po powrocie ze szkoły przez parę godzin pilnowała Alice, żeby dać odpocząć Karolin.

Dziś były pierwsze urodziny Alice i Lili postanowiła upiec ciasto. Alice siedziała na wysokim krzeselku i radośnie waliła w miskę drewnianą łyżką, gdy Lili przygotowywała lekkie biszkoptowe ciasto, które mała będzie mogła zjeść.

Karolin była na piętrze w swoim pokoju, słuchając Radia Luksemburg.

Urodziny Alice były zarazem rocznicą zamachu na Kennedy'ego. Zachodnioniemieckie radio i telewizja nadawały programy o amerykańskim prezydencie i o tym, jaką wymowę miała jego śmierć. Wschodnioniemieckie stacje umniejszały znaczenie tego faktu.

Lyndon Johnson przez prawie rok był prezydentem w wyniku sukcesji, ale trzy tygodnie temu wygrał wybory przytłaczającą większością głosów, pokonując ultrakonserwatywnego Goldwatera. Lili była zadowolona. Chociaż Hitler umarł, zanim się urodziła, znała historię swojego kraju i bała się polityków, którzy usprawiedliwiali nienawiść rasową.

Johnson nie był tak natchniony jak Kennedy, ale wydawał się równie zdecydowany



bronić Berlina Zachodniego, co było najważniejsze dla Niemców po obu stronach muru.

Gdy Lili wyjmowała ciasto z pieca, jej matka wróciła z pracy. Carla zdołała utrzymać swoją posadę przełożonej pielęgniarek w dużym szpitalu, chociaż była znaną socjaldemokratką. Kiedy pewnego razu rozeszła się pogłoska, że ma zostać zwolniona, pielęgniarki zagroziły strajkiem i dyrektor szpitala musiał zapobiec temu, zapewniając je, że Carla pozostanie ich szefową.

Ojciec Lili musiał podjąć pracę, chociaż wciąż próbował z daleka prowadzić swoją firmę w Berlinie Zachodnim. Został inżynierem w państwowej fabryce, produkującej telewizory o wiele gorsze od zachodnioniemieckich. Na początku zgłosił kilka propozycji ulepszenia produktu, ale uznano to za krytykę zwierzchników, więc przestał. Tego wieczoru zaraz po powrocie z pracy do domu przyszedł do kuchni i wszyscy razem zaśpiewali Alice tradycyjne *Hoch soll sie leben*.

Potem usiedli przy kuchennym stole i rozmawiali o tym, czy dziewczynka zobaczy kiedyś swojego ojca.

Karolin złożyła podanie o wizę emigracyjną. Ucieczka stawała się z każdym rokiem trudniejsza. Pomimo to Karolin mogłaby spróbować nielegalnie przekroczyć granicę, gdyby była samotna, ale nie zamierzała ryzykować życia córki. Co roku kilku osobom pozwalano opuścić Niemcy Wschodnie. Nikt nie wiedział, według jakich kryteriów rozpatrywano podania, wyglądało jednak na to, że przeważnie zgodę otrzymywały osoby pozostające na czymś utrzymaniu, a także dzieci i starcy.

Karolin i Alice zaliczały się do tej grupy, lecz ich wnioski odrzucono.

Jak zwykle nie podano powodu.

Naturalnie, władze nie informowały, czy możliwa jest jakaś apelacja. I znów lukę informacyjną wypełniały plotki. Ludzie mówili, że można napisać podanie do przywódcy kraju, Waltera Ulbrichta.

Nie wyglądał na zbawcę, ten niski mężczyzna z leninowską bródką, niewolniczo ortodoksyjny we wszystkim. Plotkowano, że ucieszył się z przewrotu w Moskwie, ponieważ uważał Chruszczowa za niedostatecznie doktrynerskiego. Karolin napisała do niego list, wyjaśniając, że chce wyemigrować, by poślubić ojca swojego dziecka.

- Mówią, że Ulbricht wierzy w tradycyjny model rodziny - powiedziała. - Jeśli to prawda, powinien pomóc kobiecie, która chce, żeby jej dziecko miało ojca.

Ludzie w Niemczech Wschodnich zachodzili w głowę, próbując odgadnąć, co rząd zamierza, chce lub myśli. Reżim był nieprzewidywalny. Pozwalał, aby w klubach młodzieżowych puszczano niektóre płyty zespołów rockowych, by nagle tego zakazać. Przez

jakiś czas tolerancyjnie podchodził do ubioru, a potem zaczynały się aresztowania chłopców w niebieskich dzinsach. Konstytucja gwarantowała obywatelom prawo do podróży, ale bardzo niewiele osób dostawało pozwolenie na odwiedziny krewnych w Niemczech Zachodnich.

Babcia Maud przyłączyła się do rozmowy.

- Nie można przewidzieć, co zrobi tyran - oznajmiła. - Niepewność to ich broń. Żyłam pod rządami nazistów i komunistów. Są przygnębiająco podobne.

Ktoś zapukał do frontowych drzwi. Lili otworzyła je i z przerażeniem zobaczyła stojącego na progu byłego szwagra, Hansa Hoffmanna.

- Czego chcesz, Hans? - zapytała, trzymając uchylone drzwi.

Był roslym mężczyzną i z łatwością mógł ją odepchnąć, lecz tego nie zrobił.

- Otwórz, Lili - powiedział ze znużonym zniecierpliwieniem. - Jestem policjantem, więc musisz mnie wpuścić.

Chociaż serce biło jej jak młotem, nie ruszyła się z miejsca i zawołała przez ramię:

- Mamo! Przyszedł Hans Hoffmann!

Carla zjawiała się w jednej chwili.

- Powiedziałaś: Hans?

- Tak.

Carla zajęła miejsce Lili w drzwiach.

- Nie jesteś tu mile widziany, Hans - odezwała się do byłego zięcia.

Mówiła z chłodnym spokojem, ale Lili słyszała jej przyspieszony i niespokojny oddech.

- Ach tak? - odparł zimno Hans. - Mimo to muszę mówić z Karolin Koontz.

Lili wydała cichy okrzyk przestachu. Dlaczego z Karolin?

Carla zadała to samo pytanie.

- Dlaczego?

- Napisała list do towarzysza pierwszego sekretarza Waltera Ulbrichta.

- Czy to jakieś przestępstwo?

- Wprost przeciwnie. Jest przywódcą narodu. Każdy może do niego napisać. Cieszy się z listów od ludzi.

- Czemu więc przychodzisz tutaj grozić i straszyć Karolin?

- Wyjaśnię powód Fräulein Koontz. Nie sądzisz, że powinnaś mnie wpuścić?

- Może ma coś do powiedzenia o jej podaniu o wizę emigracyjną - mruknęła Carla do Lili. - Lepiej się dowiedzmy.

Szeroko otworzyła drzwi.

Hans wszedł do przedpokoju. Był prawie czterdziestoletnim mężczyzną, wysokim i lekko zgarbionym. Miał na sobie gruby dwurzędowy granatowy płaszcz dobrej jakości, jakie rzadko bywały osiągalne we wschodnioniemieckich sklepach. Wydawał się w nim większy i groźniejszy. Lili instynktownie odsunęła się od niego.

Znał ten dom i zachowywał się, jakby nadal tu mieszkał. Zdjął płaszcz, powiesił go na wieszaku w korytarzu, a potem bez zaproszenia wszedł do kuchni.

Lili i Carla podążyły za nim.

Werner wstał. Lili z przestachem zastanawiała się, czy wyjął swój pistolet ze skrytki za szufladą na rondle. Carla pewnie zatrzymała Hansa w drzwiach, żeby dać mu na to czas. Lili usiłowała opanować drżenie rąk.

Werner nie ukrywał wrogości.

- Jestem zdziwiony, widząc cię w tym domu - powiedział do Hansa. - Po tym, co zrobiłeś, powinieneś wstydzić się tu pokazywać.

Karolin wyglądała na bardziej zdziwioną niż zaniepokojoną. Lili uświadomiła sobie, że przyjaciółka nie wie, kim jest Hans. Wyjaśniła jej to po cichu:

- Hans jest ze Stasi. Ożenił się z moją siostrą i mieszkał tu przez rok, szpiegując nas.

Karolin podniosła dłoń do ust.

- To on? - szepnęła. - Walli opowiedział mi tę historię. Jak ktoś mógł zrobić coś takiego?

Hans usłyszał, że szepczą.

- Ty musisz być Karolin - rzekł. - Napisałaś do towarzysza pierwszego sekretarza.

Karolin była przestraszona, ale dzielna.

- Chcę poślubić ojca mojego dziecka. Zamierzacie mi pozwolić?

Hans spojrzał na Alice siedzącą na wysokim krzeselku.

- Jakie śliczne dziecko - powiedział. - Chłopczyk czy dziewczynka?

Lili zadrżała ze strachu na sam widok Hansa patrzącego na Alice.

- Dziewczynka - odpowiedziała niechętnie Karolin.

- Jak ma na imię?

- Alice.

- Alice. Tak, chyba tak napisałaś w liście.

Nie wiedzieć czemu te uprzejme słowa o dziecku były bardziej przerażające od gróźb.

Hans przysunął sobie krzesło i usiadł przy stole.

- A więc, Karolin, wygląda na to, że chcesz opuścić swoją ojczyznę.

- Myślałam, że to was ucieszy, bo władzom nie podoba się moja muzyka.

- A dlaczego upierasz się, by grać dekadencyjne amerykańskie utwory rozrywkowe?  
- Rock and roll został stworzony przez amerykańskich Murzynów. To muzyka uciskanych ludzi. Jest rewolucyjna. Dlatego dziwi mnie, że towarzysz Ulbricht tak nienawidzi rock and rolla.

Kiedy Hans przegrywał jakiś spór, zawsze to ignorował.

- Przecież Niemcy mają tyle pięknych tradycyjnych utworów - powiedział.  
- Uwielbiam tradycyjne niemieckie piosenki. Z pewnością znam ich więcej niż ty.  
Jednak muzyka jest międzynarodowa.

Babcia Maud nachyliła się nad stołem.

- Jak socjalizm, towarzyszu - wtrąciła kąśliwie.

Hans nie zaszczyił jej odpowiedzią.

- A moi rodzice wyrzucili mnie z domu - dodała Karolin.  
- Z powodu amoralnego stylu życia.

Lili się wściekła.

- Wyrzucili ją, ponieważ ty, Hans, groziłeś jej ojcu!  
- Wcale nie - skłamał bezczelnie. - Co szacowni rodzice mają robić, kiedy ich córka staje się aspołeczna i rozwiązała?

Łzy gniewu stanęły w oczach Karolin.

- Nigdy nie byłam rozwiązała.  
- Jednak masz nieślubne dziecko.

Maud znów się wtrąciła:

- Chyba nie uczyłeś się biologii, Hans. Do zrobienia dziecka, ślubnego czy nie, wystarczy jeden mężczyzna. Rozwiązałość nie ma z tym nic wspólnego.

Hans wyglądał na urażonego, ale ponownie nie dał się sprowokować. Nadal zwracał się do Karolin.

- Mężczyzna, którego chcesz poślubić, jest poszukiwany za morderstwo. Zabił strażnika granicznego i uciekł na Zachód.

- Ale ja go kocham.

- Zatem, Karolin, prosiłaś pierwszego sekretarza, żeby udzielił ci tego przywileju, jakim jest pozwolenie na wyjazd.

- To nie jest przywilej, tylko prawo - odezwała się Carla. - Wolni ludzie mogą podróżować, dokąd chcą.

Tego Hans już nie wytrzymał.

- Myślicie, że wszystko wam wolno! - wrzasnął. - Nie rozumiecie, że należycie do

społeczeństwa, które musi działać zgodnie? Nawet ryby w morzu wiedzą, że trzeba pływać ławicą!

- Nie jesteśmy rybami.

Hans nie odpowiedział na to, tylko znów zwrócił się do Karolin:

- Jesteś niemoralną kobietą odrzuconą przez rodzinę z powodu oburzającego zachowania. Schroniłaś się u rodziny o znanych aspołecznych skłonnościach. I pragniesz poślubić mordercę.

- Nie jest mordercą - szepnęła Karolin.

- Kiedy ludzie piszą do Ulbrichta, ich listy są przekazywane Stasi do oceny - rzekł Hans. - Twój, Karolin, dostał się w ręce młodego oficera. Jako młody i niedoświadczony, uzalił się nad niezamężną matką i rekomendował udzielenie zezwolenia. - To brzmi jak dobra wiadomość, pomyślała Lili, ale była pewna, że zaraz okaże się inaczej. Miała rację. Hans mówił dalej. - Na szczęście jego zwierzchnik przekazał mi ten raport, przypomniawszy sobie, że miałem już wcześniej do czynienia z... - Rozejrzał się wokół z obrzydzeniem. - Z tą niezdyscyplinowaną grupą nonkonformistycznych wichrzycieli.

Lili już wiedziała, co zaraz usłyszą. To było przygnębiające. Hans przyszedł powiedzieć im, że jest odpowiedzialny za odrzucenie podania Karolin - i chciał się tym napawać.

- Otrzymasz oficjalną odpowiedź jak każdy - oznajmił. - Jednak już teraz mogę ci powiedzieć, że nie dostaniesz pozwolenia na wyjazd.

- Czy nie mogę odwiedzić Wallego? - błagała Karolin. - Tylko na kilka dni? Alice nawet nie widziała swojego ojca!

- Nie - odparł Hans, uśmiechając się krzywo. - Ludzie, którzy ubiegali się o wyjazd na stałe, nigdy później nie otrzymują pozwolenia na turystyczną wycieczkę za granicę. - Przez moment nie zdołał ukryć nienawiści, gdy dodał: - Myślisz, że jesteśmy głupi?

- Za rok ponownie złożę podanie - powiedziała Karolin.

Hans wstał, uśmiechając się triumfalnie i z wyższością.

- W przyszłym roku odpowiedź będzie taka sama. I za rok, i zawsze. - Popatrzył na nich wszystkich. - Nikt z was nie dostanie zgody na wyjazd. Nigdy. Obiecuję wam to.

Po tych słowach wyszedł.

Dave Williams zadzwonił do Classic Records.

- Cześć, Cherry, tu Dave - powiedział. - Mogę rozmawiać z Erikiem?

- W tej chwili go nie ma.

Dave był rozczarowany i urażony.

- Dzwonię już trzeci raz!

- Masz pecha.

- Mógłby oddzwonić.

- Powiem mu.

Dave się rozłączył.

Nie miał pecha. Coś było nie tak.

Plum Nellie mieli wspaniały rok 1964. *Love Is It* weszło na pierwsze miejsce listy przebojów, a zespół - bez Lenny'ego - objechał Wielką Brytanię z kilkoma gwiazdami muzyki rozrywkowej, w tym z legendarnym Chuckiem Berrym. Dave i Walli przeprowadzili się do dwupokojowego mieszkania w dzielnicy teatrów i kin.

Jednak teraz zaczął się martwy sezon. To było frustrujące.

Plum Nellie wydali drugi singiel. Wytwórnia Classic wypuściła przed świętami Bożego Narodzenia *Shake, Rattle and Roll* z *Hoochie Coochie Man* na drugiej stronie. Eric nie skonsultował tego z zespołem, Dave wolałby nagrać jakąś nową piosenkę. I miał rację. Płyta okazała się porażką. Teraz był styczeń 1965 roku i Dave z przestrochem myślał o nadchodzących miesiącach. Po nocach śnił, że spada z dachu, z samolotu lub drabiny - i budził się, mając wrażenie, że jego życie zaraz się skończy. Takie samo wrażenie nachodziło go, kiedy rozmyślał o swojej przyszłości.

Pozwolił sobie uwierzyć, że będzie muzykiem. Opuścił rodziców i rzucił szkołę. Miał szesnaście lat, dostatecznie dużo, żeby móc się ożenić i płacić podatki. Myślał, że zrobi karierę. A ta nagle się załamała. Nie wiedział, co dalej. Poza graniem niczego nie umiał. Nie zniósłby upokorzenia, jakim byłby powrót do domu rodziców. W starych powieściach chłopcy „uciekają na morze”. Podobało mu się to, że mógłby zniknąć i wrócić po pięciu latach jako opalony brodaczek opowiadający o różnych odległych miejscach. Jednak w głębi serca wiedział, że nie poradziłby sobie z dyscypliną panującą w marynarce. Tam byłoby gorzej niż w szkole.

Nawet nie miał dziewczyny. Gdy rzucił szkołę, zakończył swój romans z Lindą Robertson. Wyznała mu, że spodziewała się tego, ale i tak się popłakała. Kiedy otrzymał pieniądze za występ Plum Nellie w programie *To jest fajne!*, wydębił od Erica numer telefonu Mickie McFee i zapytał, czy chciałaby gdzieś z nim pójść, może na obiad i do kina. Zastanawiała się długą chwilę, zanim odpowiedziała:

- Nie. Jesteś naprawdę słodki, ale nie mogę być widywana z szesnastolatkiem. Już i tak mam kiepską reputację, nie chcę jednak wyjść na zupełną idiotkę.

Dave poczuł się zraniony.

Teraz obok Dave'a siedział Walli, jak zwykle trzymając gitarę. Grał z metalową rurką na środkowym palcu lewej ręki i śpiewał: „Zbudziłem się dziś rano z myślą, że wezmę się do zamiętania”.

Dave zmarszczył brwi.

- To brzmienie Elmore'a Jamesa! - powiedział po chwili.

- Nazywają to techniką bottleneck - wyjaśnił Walli. - Kiedyś używali do tego szyjki od rozbitej butelki, ale teraz robią takie metalowe nasadki.

- Brzmi doskonale.

- Po co wydzwaniasz do Erica?

- Chcę się dowiedzieć, ile sprzedaliśmy egzemplarzy *Shake, Rattle and Roll*, co się dzieje z amerykańską dystrybucją *Love Is It* i czy będziemy mieli jakieś trasy koncertowe. A nasz menedżer nie chce ze mną rozmawiać!

- Zwolnij go - doradził Walli.

- Jak mam go zwolnić, skoro nie mogę go nawet złapać przez telefon? - odparł ponuro Dave.

- Idź do jego biura.

Dave spojrział na Wallego.

- Wiesz co, nie jesteś taki głupi, na jakiego wyglądasz. - Dave poczuł się lepiej. - Właśnie to zamierzam zrobić.

Kiedy wyszedł na ulicę, opuścił go posepny nastrój. Widok londyńskich ulic zawsze poprawiał mu humor. To było jedno z największych miast na świecie: tu wszystko mogło się zdarzyć.

Denmark Street znajdowała się ponad kilometr dalej. Dave dotarł tam w piętnaście minut. Wszedł po schodach do biura Classic Records.

- Eric wyszedł - przywitała go Cherry.

- Jesteś pewna? - odparł Dave.

Śmiało otworzył drzwi gabinetu Erica.

Menedżer siedział za biurkiem. Miał głupią minę, przyłapany na oszustwie. Zaraz jednak skrzywił się gniewnie.

- Czego chcesz? - zapytał.

Dave nie odpowiedział od razu. Jego ojciec czasem mówił: „Nie uważaj, że musisz odpowiadać tylko dlatego, że ktoś zadał ci pytanie. To lekcja, której nauczyłem się w polityce”. Dave wszedł do pokoju i zamknął za sobą drzwi. Pomyślał, że gdyby zaczął rozmawiać na stojąco, wyglądałoby to tak, jakby się spodziewał, że zaraz każą mu wyjść. Tak

więc usiadł na krześle przed biurkiem Erica i założył nogę na nogę.

Dopiero potem zapytał:

- Dlaczego mnie unikasz?

- Byłem zajęty, ty arogancki szczeniaku. O co chodzi?

- Och, o różne rzeczy - odparł dobrodusznie Dave. - Co się dzieje z *Shake, Rattle and Roll*? Co robimy w tym roku? Co słysząc z naszą płytą w Ameryce?

- Nic, nic i nic - powiedział Eric. - Zadowolony?

- Dlaczego miałbym być z tego zadowolony?

- Patrz. - Eric włożył rękę do kieszeni i wyjął rulon banknotów. - Tu masz dwadzieścia funciaków. Tyle dostaniecie za *Shake, Rattle and Roll*. - Rzucił na biurko cztery pięćofuntowe banknoty. - Teraz jesteś zadowolony?

- Chciałbym zobaczyć wyliczenia.

Eric się zaśmiał.

- Wyliczenia? Za kogo ty się masz?

- Jestem twoim klientem, a ty moim menedżerem.

- Menedżerem? Nie ma tu czym zarządzać, ty kurduplu. Byliście jednorazowym cudem. Przez cały czas się takie zdarzają w show-biznesie. Mieliście trochę szczęścia, Hank Remington dał wam piosenkę, ale żaden z was nie ma prawdziwego talentu. To koniec, zapomnijcie i wracajcie do szkoły.

- Nie mogę wrócić do szkoły.

- Dlaczego? Ile masz lat, szesnaście, siedemnaście?

- Obląłem każdy egzamin, który próbowałem zdać.

- To znajdź sobie jakąś pracę.

- Plum Nellie będzie jednym z najlepszych zespołów na świecie, a ja zamierzam być muzykiem przez resztę mojego życia.

- Możesz sobie marzyć, synu.

- Będę. - Dave wstał. Już miał wyjść, kiedy przypomniał sobie o haczyku. Podpisał kontrakt z Erikiem. Gdyby zespół naprawdę zaczął sobie radzić, Eric mógłby zażądać tantiem. Rzucił więc: - No cóż, Ericu, zatem nie jesteś już menedżerem Plum Nellie, to próbujesz mi powiedzieć?

- Alleluja! W końcu do niego dotarło.

- W takim razie chcę odebrać naszą umowę.

Eric nagle stał się podejrzliwy.

- Co? Dlaczego?



- Umowę, którą podpisaliśmy w dniu, kiedy nagraliśmy *Love Is It*. Chyba nie jest ci potrzebna, co?

Eric się zawahał.

- Dlaczego chcesz ją odebrać?

- Właśnie powiedziałeś mi, że nie mam talentu. Oczywiście, jeżeli widzisz świetlaną przyszłość dla naszego zespołu...

- Nie rozśmieszaj mnie. - Eric podniósł słuchawkę. - Cherry, kochanie, wyjmij z akt umowę z Plum Nellie i oddaj ją młodemu Dave'owi, kiedy będzie wychodził.

Dave zabrał leżące na biurku pieniądze.

- Jeden z nas jest głupcem, Ericu - powiedział. - Zastanawiam się który.

Walli uwielbiał Londyn. Tu muzyka była wszędzie: w klubach, piwnicach, kinach, salach koncertowych i operach. Jeśli Plum Nellie nie grali wieczorem, Walli szedł posłuchać muzyki, czasem z Dave'em, czasem sam. Od czasu do czasu chodził na recitale muzyki klasycznej, żeby usłyszeć kilka nowych akordów.

Anglicy byli dziwni. Kiedy dowiadawali się, że jest Niemcem, zawsze zaczęli mówić o drugiej wojnie światowej. Uważali, że wygrali tę wojnę, i obrażali się, jeśli przypominał, że tak naprawdę to Sowieci pokonali Niemców. Czasem mówił, że jest Polakiem, by uniknąć kolejnej nudnej rozmowy.

Jednak i tak co drugi londyńczyk nie był Anglikiem: spotykało się tu Irlandczyków, Szkotów, Walijszczyków, mieszkańców wysp Morza Karaibskiego, Hindusów i Chińczyków. Wszyscy dealerzy narkotyków pochodzili z wysp: Maltańczycy sprzedawali amfetaminę, handlarze heroiną wywodzili się z Hongkongu, a od Jamajczyków można było kupić marihuanę. Walli lubił chodzić do egzotycznych klubów, gdzie grano nieco inną muzykę. Zaczepiało go tam wiele dziewczyn, ale wszystkim mówił, że jest zaręczony.

Pewnego dnia, kiedy Dave'a nie było, zadzwonił telefon.

- Czy mogę mówić z Walterem Franckiem? - zapytał głos w słuchawce.

Walli o mało nie odparł, że jego dziadek nie żyje od dwudziestu lat.

- Jestem Walli - powiedział po chwili wahania.

Dzwoniący przeszedł na niemiecki.

- Mówi Enok Andersen z Berlina Zachodniego.

Andersen był duńskim księgowym, który zarządzał fabryką ojca Wallego. Walli przypomniał sobie łysego mężczyznę z długopisem w kieszonce marynarki.

- Czy coś się stało?

- Wszyscy pana krewni są zdrowi, ale mam do przekazania przykrą wiadomość. Karolin i Alice nie otrzymały pozwolenia na wyjazd.

Walli poczuł się tak, jakby otrzymał silny cios. Opadł na krzesło.

- Dlaczego? - zapytał. - Z jakiego powodu?

- Wschodniemiecki rząd nie podaje powodów swoich decyzji. Jednak pański dom odwiedził człowiek ze Stasi, Hans Hoffmann, którego pan zna.

- Ta świnia.

- Powiedział pańskiej rodzinie, że nikt z nich nigdy nie otrzyma zgody na wyjazd na Zachód.

Walli zasłonił oczy dłonią.

- Nigdy?

- Tak powiedział. Pana ojciec prosił, żebym to panu przekazał. Bardzo mi przykro.

- Dziękuję.

- Czy mam coś przekazać pańskiej rodzinie? Nadal raz w tygodniu bywam w Berlinie Wschodnim.

- Proszę powiedzieć, że kocham ich wszystkich - wykrztusił Walli.

- Powiem.

Walli przełknął ślinę.

- A także, że kiedyś znów się zobaczymy. Jestem tego pewny.

- Powiem im to. Do widzenia.

- Do widzenia.

Walli odłożył słuchawkę zdruzgotany.

Po chwili wziął gitarę i zagrał molowy akord. Muzyka była pociechą, czystym abstraktem. Żadnych szpiegów, zdrajców, policjantów, murów, tylko nuty i ich powiązania.

- Tęsknię za tobą, Alice... - zaśpiewał.

Dave ucieszył się, kiedy znów zobaczył siostrę. Spotkali się przed jej agencją, International Stars. Evie miała na głowie fioletowy melonik.

- W domu jest bardzo nudno bez ciebie - powiedziała.

- Nie ma komu kłócić się z tatą? - rzucił z uśmiechem Dave.

- Stał się bardzo zajęty, odkąd laburzyści wygrali wybory. Teraz jest członkiem gabinetu.

- A ty?

- Kręcę nowy film.

- Gratulacje!

- Słyszałam, że zwolniliście waszego menedżera.

- Eric uważał, że Plum Nellie to zespół jednego przeboju. Jednak my się nie poddajemy. Tylko że musimy mieć więcej występów. Tymczasem w terminarzu mamy tylko kilka wieczorów w klubie Jump, a to nie wystarczy nawet na czynsz.

- Nie mogę obiecać, że International Stars was przyjmą - zastrzegła Evie. - Zgodzili się porozmawiać z tobą, to wszystko.

- Wiem.

Jednak Dave uważał, że agenci nie spotykają się z ludźmi tylko po to, żeby ich odrzucić. I najwyraźniej ta agencja chciała być miła dla Evie Williams, najpopularniejszej młodej aktorki w Londynie. Dlatego wiązał z tym spotkaniem duże nadzieje.

Weszli do środka. Biuro różniło się od tego, które prowadził Eric Chapman. Recepcjonistka nie żuła gumy. Na ścianach poczekalni nie wisały trofea, tylko gustowne akwarele. Wszystko było sztywne, chociaż niezbyt rockandrollowe.

Nie musieli długo czekać. Recepcjonistka zaprowadziła ich do biura Marka Batchelora, wysokiego mężczyzny po dwudziestce w koszuli z modnym stójkowym kołnierzykiem i we włóczkowym krawacie. Jego sekretarka przyniosła filiżanki z kawą na tacy.

- Uwielbiamy Evie i chcielibyśmy pomóc jej bratu - zagaił Batchelor po wymianie wstępnych uprzejmości. - Jednak nie jestem pewny, czy możemy. *Shake, Rattle and Roll* zniszczyło Plum Nellie.

- Nie zaprzeczam, ale proszę mi powiedzieć, co to dokładnie oznacza - rzekł Dave.

- Jeśli mogę być szczery...

- Oczywiście - zachęcił Dave, myśląc, jak różni się ta rozmowa od tej, którą odbył z Erikiem Chapmanem.

- Wyglądacie na przeciętny zespół rockowy, który miał szczęście zdobyć piosenkę Hanka Remingtona. Ludzie uważają, że to ona jest świetna, nie wy. Żyjemy w małym światku, kilka firm nagraniowych, garstka organizatorów tras koncertowych, dwa programy telewizyjne, i wszyscy myślą tak samo. Nie mogę im was sprzedać.

Dave przełknął ślinę. Nie spodziewał się, że Batchelor będzie tak szczery. Starał się nie okazywać rozczarowania.

- Mieliśmy szczęście, że dostaliśmy tę piosenkę Hanka Remingtona - przyznał. - Jednak nie jesteśmy przeciętnym zespołem rockowym. Mamy sekcję rytmiczną pierwszej klasy i gitarzystę wirtuoza, a ponadto nieźle wyglądamy.

- Zatem musicie udowodnić ludziom, że nie jesteście zespołem jednego przeboju.

- Wiem. Tylko nie mam pojęcia, jak to zrobić bez umowy ze studiem nagraniowym i bez koncertów.

- Potrzebna wam następna dobra piosenka. Możecie zdobyć jakąś od Hanka Remingtona?

Dave pokręcił głową.

- Hank nie pisze piosenek dla innych. *Love Is It* była wyjątkiem, balladą, której Kords nie chcieli nagrać.

- Może mógłby napisać następną balladę. - Batchelor rozłożył ręce w pytającym geście.  
- Nie jestem artystą, tylko agentem, ale wiem, że Hank jest płodnym twórcą.

- Cóż... - Dave spojrzał na Evie. - Chyba mógłbym go poprosić.

- Co ci szkodzi spróbować? - zachęcił go Batchelor.

Evie wzruszyła ramionami.

- Nie mam nic przeciwko temu - powiedziała.

- Zatem dobrze - rzekł Dave.

Batchelor wstał i wyciągnął do niego rękę.

- Powodzenia.

Kiedy wyszli z budynku, Dave zwrócił się do Evie:

- Możemy teraz pójść zobaczyć się z Hankiem?

- Muszę zrobić zakupy - odparła. - Powiedziałam mu, że zobaczymy się wieczorem.

- To naprawdę ważne, Evie. Moje życie legło w gruzach.

- W porządku. Zaparkowałam za rogiem.

Pojechali do Chelsea należącym do Evie sunbeamem alpine. Dave przygryzał wargę. Batchelor wyświadczył mu przysługę, będąc brutalnie szczery. Jednak agent nie wierzył w talent Plum Nellie, tylko w Hanka Remingtona. Mimo to, gdyby Dave zdołał zdobyć choćby tylko jeszcze jedną piosenkę Hanka, zespół znów wyszedłby na prostą.

Co powinien mu powiedzieć?

„Cześć, Hank, masz jeszcze jakieś ballady?” Zbyt obcesowo.

„Hank, jestem w dołku”. Zbyt żałośnie.

„Nasza firma nagraniowa popełniła błąd, wypuszczając Shake, Rattle and Roll. Moglibyśmy jednak to naprawić z twoją niewielką pomocą”. Dave’owi nie podobało się żadne z tych trzech podejść do sprawy, głównie dlatego, że nienawidził prosić.

Jednak zrobi to.

Hank miał mieszkanie nad rzeką. Evie wprowadziła Dave’a do dużego starego domu i skrzypiącej windy. Teraz spędzała tutaj większość nocy. Otworzyła drzwi mieszkania

własnym kluczem.

- Hank! - zawołała. - To tylko ja.

Dave wszedł za nią do środka. Zobaczył korytarz pomalowany w modernistyczne plamy. Minęli lśniąca nowoczesnością kuchnię i zajrzeli do salonu z fortepianem. Nie znaleźli nikogo.

- Wszedł - rzekł Dave z przygnębieniem.

- Może uciął sobie popołudniową drzemkę - zgadywała Evie.

Otworzyły się kolejne drzwi i Hank wyszedł z pomieszczenia, które najwyraźniej było sypialnią, zapinając spodnie. Zamknął za sobą drzwi.

- Cześć, kochanie - powiedział. - Byłem w łóżku. Cześć, Dave, co ty tu robisz?

- Evie przyprowadziła mnie ze sobą, bo chcę cię poprosić o naprawę dużą przysługę - wyznał Dave.

- Taa - rzekł Hank, patrząc na Evie. - Spodziewałem się ciebie później.

- Dave nie mógł czekać.

- Potrzebna nam nowa piosenka - wyrzucił z siebie Dave.

- To nie jest dobry moment, stary - odparł Hank.

Dave spodziewał się, że wyjaśni dlaczego, ale rockman tego nie zrobił.

- Hank, czy stało się coś złego? - zapytała Evie.

- Taak, właściwie tak - rzekł Hank.

Dave był zaskoczony. Nikt nigdy nie odpowiada twierdząco na takie pytanie.

Kobieca intuicja Evie pozwoliła jej znacznie wyprzedzić Dave'a.

- Czy ktoś jest w twojej sypialni?

- Przykro mi, kochanie - powiedział Hank. - Nie spodziewałem się, że wrócisz.

W tym momencie drzwi sypialni się otworzyły i wyszła z niej Anna Murray.

Dave rozdziawił usta, wstrząśnięty. Siostra Jaspera poszła do łóżka z chłopakiem Evie!

Anna była ubrana w garsonkę, pończochy i szpilki, ale włosy miała rozczochrane, a żakiet krzywo zapięty. Nic nie mówiła i nie patrzyła nikomu z nich w oczy. Poszła do salonu i po chwili wróciła, niosąc walizeczkę. Podeszła do drzwi mieszkania, zdjęła płaszcz z wieszaka i wyszła bez słowa.

- Przyszła porozmawiać o mojej autobiografii i tak jakoś... - wymamrotał Hank.

Evie płakała.

- Hank, jak mogłeś?

- Nie planowałem tego - bąknął. - Po prostu stało się.

- Myślałam, że mnie kochasz.

- Kochałem. Kocham. To po prostu było...

- Po prostu co?

Hank spojrział na Dave'a, szukając u niego wsparcia.

- Są pokusy, którym mężczyzna nie może się oprzeć.

Dave pomyślał o Mickie McFee i skinął głową.

- Dave jest chłopcem - gniewnie powiedziała Evie. - Myślałam, że ty jesteś mężczyzną, Hank.

- No - syknął, nagle robiąc się agresywny. - Uważaj, co mówisz.

- Mam uważać, co mówię? - zapytała z niedowierzaniem Evie. - Właśnie przyłapałam cię w łóżku z inną dziewczyną, a ty mi każesz uważać na to, co mówię?

- Właśnie tak - odparł groźnie. - Nie posuwaj się za daleko.

Dave nagle się przestraszył. Hank wyglądał, jakby miał ochotę uderzyć Evie. Czy tak robili Irlandczycy z klasy robotniczej? I jak Dave powinien na to zareagować - bronić siostrę przed jej kochankiem? Czy miał się bić z największym muzycznym geniuszem od czasu Elvisa Presleya?

- Za daleko? - rzuciła Evie z wściekłością. - Zaraz posunę się za daleko: prosto przez te pieprzone drzwi. I co ty na to?

Odwróciła się i wymaszerowała.

Dave spojrział na Hanka.

- Hm... co do tej piosenki...

Hank w milczeniu pokręcił głową.

- W porządku - rzekł Dave. - Dobra.

Nie był w stanie wymyślić żadnego sposobu na kontynuowanie tej rozmowy.

Hank otworzył mu drzwi i Dave wyszedł.

Evie przez pięć minut płakała w samochodzie, a potem otarła oczy.

- Odwiozę cię do domu - powiedziała.

- Wejdz ze mną na górę - zaproponował, kiedy wrócili do East Endu. - Zrobię ci filiżankę kawy.

- Dzięki.

Walli siedział na kanapie, grając na gitarze.

- Evie jest trochę zdenerwowana - powiedział mu Dave. - Zerwała z Hankiem.

Poszedł do kuchni, żeby nastawić czajnik.

- Po angielsku określenie „trochę zdenerwowana” oznacza bardzo nieszczęśliwą. A gdybyś była tylko trochę nieszczęśliwa, na przykład gdybym zapomniał o twoich urodzinach,

powiedziałaabyś, że jesteś „okropnie zdenerwowana”, nieprawdaż?

Evie się uśmiechnęła.

- Niech cię Bóg błogosławi, Walli, myślisz tak logicznie.

- I twórczo - podchwycił Walli. - Poprawię ci humor. Posłuchaj tego. - Zaczął grać, a potem i śpiewać: - Tęsknię za tobą, Alicia.

Dave wyszedł z kuchni, żeby posłuchać. Walli śpiewał smutną balladę w tonacji d-moll, używając paru akordów, których Dave nie rozpoznał.

- To piękna piosenka - powiedział, gdy Walli skończył. - Słyszałeś ją w radiu? Czyj to utwór?

- Mój - odparł Walli. - Sam go skomponowałem.

- Wow - rzucił Dave. - Zagraj to jeszcze raz.

Tym razem Dave akompaniował mu, improwizując.

- Obaj jesteście wspaniali - powiedziała Evie. - Nie potrzebujecie tego drania Hanka.

- Chcę zaśpiewać tę piosenkę Markowi Batchelorowi - rzekł Dave.

Spojrzał na zegarek. Była piąta trzydzieści. Podniósł słuchawkę i zadzwonił do International Stars. Batchelor nie wyszedł jeszcze z firmy.

- Mamy piosenkę - powiedział mu Dave. - Może przyjdziemy do twojego biura, żeby ci ją zagrać?

- Bardzo chciałbym usłyszeć waszą piosenkę, ale właśnie kończę pracę.

- Czy jadąc do domu, mógłbyś wpaść na Henrietta Street?

- Tak, mógłbym, bo to po drodze - po chwili wahania odrzekł Batchelor.

- Co pijesz?

- Gin z tonikiem, proszę.

Dwadzieścia minut później Batchelor siedział na sofie ze szklaneczką w dłoni, Dave i Walli grali na gitarach i śpiewali piosenkę, a Evie przyłączała się do nich w refrenie.

- Zagrajcie to jeszcze raz - powiedział, kiedy skończyli.

Po powtórce spojrzeli na niego wyczekująco. Przez chwilę w pokoju panowała cisza.

- Nie siedziałbym w tym biznesie, gdybym nie potrafił rozpoznać przeboju. To jest przebój - zawyrokował.

Dave i Walli uśmiechnęli się.

- Tak myślałem - oświadczył Dave.

- Jest świetny - rzekł Batchelor. - Teraz mogę wam załatwić kontrakt nagraniowy.

Dave odstawił gitarę, wstał i uściśnął dłoń Batchelora, przypieczętowując umowę.

- Zatem wracamy do gry - rzucił.

Mark pociągnął łyk ginu.

- Czy Hank napisał tę piosenkę od ręki, czy miał ją gdzieś w szufladzie?

Dave uśmiechnął się szeroko. Skoro uścisnęli sobie dłonie, mógł być szczery z Batchelorem.

- To nie jest piosenka Hanka Remingtona.

Batchelor uniósł brwi.

- Zakładałeś, że jest jego, i przepraszam, że tego nie sprostowałem, ale chciałem, żebyś miał otwarty umysł - wyjaśnił Dave.

- To dobra piosenka i tylko to się liczy. Ale skąd ją macie?

- Walli ją napisał - powiedział Dave. - Dziś po południu, kiedy byłem w twoim biurze.

- Wspaniale - rzekł Batchelor. Odwrócił się do Wallego. - Co masz na drugą stronę płyty?

- Powinnaś gdzieś wyjść - powiedziała Lili Franck do Karolin.

To nie był jej pomysł. Tak uważała matka. Carla niepokoiła się o zdrowie Karolin. Od czasu wizyty Hansa Hoffmanna Karolin traciła na wadze. Była blada i zgaszona.

- Karolin ma dopiero dwadzieścia lat - przypomniała Carla. - Nie powinna spędzić reszty życia zamknięta w czterech ścianach jak zakonnica. Czy nie możesz zabrać jej gdzieś?

Teraz były w pokoju Karolin, grając na gitarach i śpiewając małej Alice, która siedziała na podłodze wśród zabawek. Czasem entuzjastycznie klaskała, ale przeważnie nie zwracała na nie uwagi. Najbardziej lubiła piosenkę *Love Is It*.

- Nie mogę wyjść - zaproponowała Karolin. - Muszę zajmować się Alice.

Lili była przygotowana na obiekcje przyjaciółki.

- Moja matka może jej popilnować - powiedziała. - Albo babcia Maud. Wieczorami Alice nie sprawia kłopotów.

Alice miała już czternaście miesięcy i przesypiała całe noce.

- No, nie wiem. Chyba nie powinnam.

- Nie miałaś wolnego wieczoru od lat. Dosłownie.

- A co pomyślałby o tym Walli?

- Chyba nie oczekuje, że będziesz się ukrywała w domu i nie miała żadnych rozrywek, prawda?

- Nie wiem.

- Dziś wieczór idę do klubu młodzieżowego przy kościele Świętej Gertrudy. Może pójdziesz ze mną? Jest tam muzyka, są tańce, zwykle toczy się jakaś dyskusja. Nie sądzę,



żeby Walli miał coś przeciwko temu.

Wschodnioniemiecki przywódca Walter Ulbricht wiedział, że ludzie potrzebują rozrywek, miał z tym jednak pewien problem. Wszystko, co lubili - muzyka rozrywkowa, modne stroje, komiksy, filmy z Hollywood - było nieosiągalne lub zakazane. Aprobowano zajęcia sportowe, ale zwykle osobno dla chłopców i dziewcząt.

Lili wiedziała, że większość ludzi w jej wieku nienawidzi tego rządu. Nastolatków nie obchodził komunizm czy kapitalizm, lecz żywo interesowali się fryzurami, modą i muzyką rozrywkową. Purytańska niechęć Ulbrichta do wszystkiego, co było im drogie, stawała się powodem alienacji pokolenia Lili. Gorzej, bo wywoływała u tych młodych ludzi zapewne zupełnie nierealistyczne wizje życia ich rówieśników na Zachodzie. Wyobrażali sobie, że tamci codziennie jedzą lody, mają szafy pełne najmodniejszych ubrań i gramofony.

Kościelne kluby młodzieżowe były nieudolną próbą wypełnienia luki w życiu nastolatków. Takie kluby wydawały się bezpiecznie konserwatywne, ale nie tak dusząco skostniałe jak komunistyczna organizacja młodzieżowa Młodych Pionierów.

Karolin się zastanowiła.

- Może masz rację - powiedziała. - Nie mogę przez całe życie być ofiarą. Miałam pecha, nie powinnam jednak pozwolić, żeby to mnie definiowało. Dla Stasi jestem dziewczyną, której chłopak zabił strażnika na granicy, ale nie muszę akceptować tego, co mówią.

- Właśnie! - ucieszyła się Lili.

- Napiszę do Wallego o tym wszystkim. Jednak pójdę z tobą.

- Świetnie, przebierzmy się.

Lili poszła do swojego pokoju i włożyła krótką spódniczkę - nie taką minispódniczkę, jakie nosiły dziewczyny w programach zachodniej telewizji oglądanych przez wszystkich w NRD, ale nad kolana. Teraz, kiedy Karolin się zgodziła, Lili zadawała sobie pytanie, czy dobrze robią. Karolin z pewnością powinna mieć swoje życie: miała całkowitą rację, mówiąc, że nie pozwoli, by definiowało je Stasi. Tylko co pomyśli Walli, kiedy się o tym dowie? Czy będzie się obawiał, że Karolin o nim zapomina? Lili nie widziała brata od prawie dwóch lat. Teraz był dziewiętnastoletnim młodzieńcem i gwiazdą rocka. Nie wiedziała, co Walli może pomyśleć.

Karolin pożyczyła od Lili niebieskie dzinsy, a potem razem się umalowały. Starsza siostra Lili, Rebecca, przysłała im z Hamburga czarny eye-liner i niebieski cień do powiek, a jakimś cudem Stasi tego nie ukradło.

Zajrzały do kuchni powiedzieć, że wychodzą. Carla karmiła Alice, która tak wesoło

pomachała matce na pożegnanie, że Karolin była nieco zasmucona.

Poszły do protestanckiego kościoła kilka przecznic dalej. Tylko babcia Maud regularnie chodziła do kościoła, ale Lili już dwukrotnie była w klubie młodzieżowym w jego krypcie. Prowadził go nowy, młody pastor, Odo Vossler, z fryzurą na Beatlesa. Był atrakcyjny, ale dla Lili za stary, co najmniej dwudziestopięcioletni.

Odo miał pianino, dwie gitary i adapter. Zaczęli grać muzykę ludową, czyli to, czego rząd nie mógł ganić. Lili tańczyła z szesnastoletnim Bertholdem, czyli chłopcem w jej wieku. Wydawał się miły, ale niezbyt seksowny. Lili podobał się Thorsten, który był trochę starszy i wyglądał jak Paul McCartney.

Taniec był żywy, połączony z klaskaniem w dłonie i wirowaniem. Lili z zadowoleniem zobaczyła, że Karolin udzielił się nastrój zabawy, bo zaczęła się uśmiechać i śmiać. Już wyglądała lepiej.

Jednak ten taniec ludowy był tylko przykrywką, czymś, o czym można byłoby powiedzieć podczas przesłuchania. Ktoś puścił *I Feel Fine* Beatlesów i wszyscy zaczęli tańczyć twista.

Po godzinie była przerwa na odpoczynek i szklaneczkę vita coli, czyli wschodnioniemieckiego odpowiednika coca-coli. Lili z wielką satysfakcją zobaczyła, że Karolin jest zarumieniona i wesoła. Odo krążył w tłumie, rozmawiając z każdym. Mówił, że gdyby ktoś miał jakieś problemy, włącznie z dotyczącymi stosunków osobistych i seksu, jest gotowy wysłuchać i udzielić rady.

- Moim problemem jest to, że ojciec mojego dziecka przebywa na Zachodzie - powiedziała Karolin, po czym prowadzili długą rozmowę, dopóki znów nie zaczęły się tańce.

O dziesiątej, kiedy wyłączono adapter, Karolin zaskoczyła Lili, biorąc jedną z gitar. Skinęła na Lili, żeby wzięła drugą. W domu grały i śpiewały razem, ale Lili nigdy nie wyobrażała sobie, że będzie to robiła publicznie. Teraz Karolin zaczęła grać utwór *Everly Brothers Wake Up*, Little Susie. Dwie gitary dobrze brzmiały razem, a Karolin i Lili śpiewały harmonijnie. Zanim doszły do końca, wszyscy w krypcie tańczyli jive'a. Gdy piosenka się skończyła, tańczący poprosili o więcej.

Zagrały *I Want to Hold Your Hand* oraz *If I Had a Hammer*, a potem jako wolny kawałek *Love Is It*. Dzieciaki błagały, żeby nie przestawały grać, ale Odo poprosił je, żeby wykonały jeszcze tylko jeden utwór i wróciły do domu, zanim przyjdzie policja i go aresztuje. Powiedział to z krzywym uśmiechem, ale mówił poważnie.

Na zakończenie zagrały *Back in the USA*.

## ROZDZIAŁ 37

Na początku 1965 roku, gdy Jasper Murray przygotowywał się do końcowych egzaminów, napisał do każdej stacji telewizyjnej w USA, której adres zdołał znaleźć.

Wszystkie otrzymały taki sam list. Wysłał im swój artykuł o Evie chodzącej z Hankiem, ten o Martinie Lutherze Kingu oraz wydanie specjalne „Real Thing” poświęcone zamachowi. A także podanie o pracę. Jakakolwiek, byle w amerykańskiej telewizji.

Nigdy niczego tak bardzo nie pragnął. Wiadomości telewizyjne były lepsze od drukowanych - szybsze, ciekawsze, żywsze - a amerykańska telewizja lepsza od brytyjskiej. I wiedział, że byłby dobry w tej pracy. Potrzebował tylko, żeby ktoś dał mu szansę. Pragnął tego tak bardzo, że to aż bolało.

Kiedy powysyłał te listy - co sporo kosztowało - pozwolił, by jego siostra Anna postawiła mu lunch. Poszli do węgierskiej restauracji Gay Hussar, ulubionego lokalu lewicowych pisarzy i polityków.

- Co zrobisz, jeśli nie dostaniesz pracy w Stanach? - zapytała go Anna, kiedy złożyli zamówienie.

Ta perspektywa go przygnębiała.

- Naprawdę nie wiem. W tym kraju oczekują, że najpierw popracujesz w jakiejś prowincjonalnej gazecie, pisząc o wystawach kotów i zasłużonych radnych, nie sądzę jednak, żebym mógł to robić.

Anna wzięła specjalność lokalu, chłodnik wiśniowy. Jasper zamówił smażone pieczarki z sosem tatarskim.

- Posłuchaj, jestem ci winna przeprosiny - powiedziała Anna.

- Tak - zgodził się Jasper. - Masz cholerną rację.

- Ale Hank i Evie nie są małżeństwem. Nie byli nawet zaręczeni.

- Jednak doskonale wiedziałas, że stanowili parę.

- Owszem, i źle zrobiłam, idąc z nim do łóżka.

- Właśnie.

- Nie musisz być taki cholernie świętoszkowaty. To, co się stało, nie było w moim stylu, ale akurat ty robisz takie rzeczy.

Nie spierał się z nią, ponieważ miała rację. Zdarzało mu się iść do łóżka z zamężnymi lub zaręczonymi kobietami. Zamiast się kłócić, zadał jej pytanie.

- Czy mama wie?

- Tak, i jest wściekła. Daisy Williams to jej najlepsza przyjaciółka od trzydziestu lat. W dodatku była nadzwyczaj miła dla ciebie, pozwalając ci mieszkać tam za darmo, a teraz ja zrobiłam coś takiego jej córce. A ty co usłyszałeś od Daisy?

- Jest rozgniewana, ponieważ sprawiłaś Evie tyle bólu. Jednak powiedziała także, że kiedy zakochała się w Lloydzie, był już żonaty z inną, więc nie czuje się upoważniona do zbyt wielkiego oburzenia.

- No cóż, w każdym razie przykro mi.

- Dziękuję.

- Tylko że tak naprawdę nie jest mi przykro.

- Co chcesz przez to powiedzieć?

- Poszłam do łóżka z Hankiem, ponieważ się w nim zakochałam. Od tamtego pierwszego razu spędzam z nim prawie każdą noc. To najcudowniejszy mężczyzna, jakiego spotkałam w życiu, i wyjdę za niego, jeśli tylko uda mi się go złapać.

- Jako twój brat mam prawo zapytać, co on, u licha, w tobie widzi.

- Poza dużymi cyckami? - Zaśmiała się.

- Nie żebyś nie była ładna, ale jesteś o kilka lat starsza od Hanka, a jakieś milion ponętnych angielskich panien wskoczyłoby mu do łóżka, gdyby tylko pstryknął palcami.

Skinęła głową.

- Dwie rzeczy. Po pierwsze, jest bystry, ale niedouczony. Zostałam jego przewodniczką po świecie myśli: sztuki, teatru, polityki, literatury. Jest oczarowany osobą, która rozmawia o tym bez protekcjonalizmu.

Jasper nie był zdziwiony.

- Kiedyś uwielbiał rozmawiać na te tematy z Daisy i Lloydem. A jaka jest ta druga?

- Wiesz, że jest moim drugim kochankiem.

Jasper skinął głową. Dziewczyny zwykle nie przyznają się do takich rzeczy, ale on i Anna zawsze wiedzieli o swoich podbojach.

- Cóż, byłam z Sebastianem prawie cztery lata - ciągnęła. - Przez tak długi czas dziewczyna może się sporo nauczyć. Hank bardzo mało wie o seksie, ponieważ nigdy nie miał żadnej dziewczyny dostatecznie długo, żeby wytworzyć z nią naprawdę bliską więź. Związek z Evie był jego najdłuższym, a ona jest za młoda, żeby wiele nauczyć mężczyznę.

- Rozumiem.

Jasper nigdy nie myślał w ten sposób o związkach, lecz to miało sens. Był trochę podobny do Hanka. Zaczął się zastanawiać, czy kobiety uważają go za mało wyrafinowanego w łóżku.

- Hank dużo się nauczył od piosenkarki Mickie McFee, ale przespał się z nią tylko dwa razy.

- Naprawdę? Dave Williams przeleciał ją w garderobie.

- I powiedział ci o tym?

- Myślę, że powiedział wszystkim. To chyba był jego pierwszy raz.

- Najwyraźniej Mickie McFee jest obrotna.

- A teraz ty jesteś nauczycielką Hanka.

- Szybko się uczy. I szybko dorasta. Już nigdy więcej nie zrobi tego, co zrobił Evie.

Jasper nie był pewny, czy w to wierzyć, lecz nie wyraził głośno swoich obaw.

Dimka Dworkin poleciał do Wietnamu w lutym 1965 roku z dużą grupą oficjeli Ministerstwa Spraw Zagranicznych i ich personelu, do którego należała Natalia Smotrowa.

Był to pierwszy wyjazd Dimki poza granice Związku Radzieckiego. Jednak jeszcze bardziej ekscytowała go obecność Natalii. Nie wiedział, jak sprawy się potoczą, ale miał upajające poczucie wolności i wiedział, że ona również. Byli daleko od Moskwy, poza zasięgiem jego żony i męża Natalii. Wszystko mogło się zdarzyć.

Dimka w ogóle czuł przyływ optymizmu. Kosygin, jego szef od czasu upadku Chruszczowa, rozumiał, że ZSRR przegrywa zimną wojnę z powodów ekonomicznych. Radziecki przemysł był niewydajny, a obywatele ubodzy. Celem Kosygina stało się zwiększenie produkcji. Rosjanie musieli się nauczyć, jak produkować rzeczy, które zechcieliby kupić obywatele innych krajów. Powinni rywalizować z Amerykanami poziomem życia, a nie tylko liczbą czołgów i rakiet. Jedynie w ten sposób mogli przekonać świat do przyjęcia swojego ustroju. Takie nastawienie dodało Dimce otuchy. Breżniew, przywódca narodu, był żałośnie konserwatywny, ale może Kosygin zdoła zreformować komunizm.

Sporo problemów ekonomicznych wynikało z tego, że tak znaczną część dochodu narodowego przeznaczano na zbrojenia. W nadziei na zmniejszenie tych uciążliwych wydatków Chruszczow wprowadził politykę pokojowego współistnienia, czyli tolerowania istnienia państw kapitalistycznych bez toczenia wojen, lecz niewiele zrobił, by wprowadzić tę ideę w życie: jego awantury w Berlinie i na Kubie spowodowały zwiększenie, a nie zmniejszenie nakładów na zbrojenia. Jednak postępowi myśliciele na Kremlu wciąż wierzyli w tę strategię.

Wietnam miał być ciężką próbą.

Po wyjściu z samolotu Dimkę uderzyła fala gorącego i wilgotnego powietrza, jakim jeszcze nigdy nie oddychał. Hanoi było starą stolicą bardzo starego kraju, od dawna

uciskanego przez cudzoziemców, najpierw Chińczyków, później Francuzów, a potem Amerykanów. Wietnam był najludniejszym i najbarwniejszym miejscem, jakie Dimka dotychczas widział.

A ponadto krajem podzielonym na dwie części.

Wietnamski przywódca Ho Szi Min pokonał Francję w antykolonialnej wojnie w latach pięćdziesiątych. Ale Ho był antydemokratycznym komunistą i Amerykanie nie chcieli uznać jego władzy. Prezydent Eisenhower sfinansował utworzenie marionetkowego rządu na południu kraju, w stolicy prowincji, Sajgonie. Narzucony despotyczny reżim nie cieszył się poparciem, a ponadto był atakowany przez partyzantkę nazywaną Wietkongiem. Południowowietnamska armia była tak słaba, że teraz, w 1965 roku, trzeba ją było wesprzeć dwudziestoma trzema tysiącami amerykańskich żołnierzy.

Amerykanie udawali, że Wietnam Południowy jest oddzielnym państwem, tak jak Związek Radziecki udawał, że państwem są Niemcy Wschodnie. Wietnam był lustrzanym odbiciem Niemiec, chociaż Dimka nigdy nie odważyłby się powiedzieć tego na głos.

Podczas gdy ministrowie uczestniczyli w bankiecie wydanym przez północnowietnamskich przywódców, radziecki personel jadł mniej oficjalny obiad ze swoimi wietnamskimi odpowiednikami: wszyscy oni bywali w Moskwie i mówili po rosyjsku. Dania składały się głównie z warzyw i ryżu z małymi kawałkami ryb lub mięsa, ale były smaczne. Wśród wietnamskiego personelu nie było kobiet, mężczyźni wyglądali na zdziwionych obecnością Natalii oraz dwóch innych Rosjank.

Dimka siedział obok ponurego aparatczyka w średnim wieku, niejakiego Pham Ana. Natalia, zajmująca miejsce naprzeciwko, zapytała tego człowieka, co mają nadzieję uzyskać w wyniku rozmów.

An w odpowiedzi podał listę zamówień.

- Potrzebujemy samolotów, artylerii, radarów, systemów obrony przeciwlotniczej, broni ręcznej, amunicji i środków medycznych - wyliczył.

Właśnie spełniania takich życzeń Rosjanie mieli nadzieję uniknąć.

- Przecież nie będziecie tego potrzebowali, skoro wojna się kończy - zauważyła Natalia.

- Najpierw musimy pokonać amerykańskich imperialistów, wtedy nasze potrzeby będą inne.

- Wszyscy chcemy zobaczyć miażdżące zwycięstwo Wietkongu - powiedziała Natalia. - Jednak są możliwe również inne zakończenia.

Usiłowała sprzedać ideę pokojowego współistnienia.

- Jediną możliwością jest zwycięstwo - zbył ją Pham An.

Dimka nie krył rozczarowania. An uparcie odmawiał dyskusji, dla której Rosjanie tu przybyli. Może uważał, że spór z kobietą jest poniżej jego godności. Dimka miał nadzieję, że to jedyny powód jego uporu. Jeśli Wietnamczycy nie zechcą rozmawiać o alternatywie dla wojny, to radziecka misja zakończy się fiaskiem.

Natalia nie dawała się łatwo zbić z tropu.

- Zwycięstwo militarne z całą pewnością nie jest jedynym możliwym scenariuszem wydarzeń.

Dimka był dumny z jej niezłomnego uporu.

- Mówicie o klęsce? - spytał An, jeżąc się lub udając zjeżzonego.

- Nie - odparła spokojnie. - Jednak wojna nie jest jedyną drogą do zwycięstwa. Alternatywą są negocjacje.

- Wielokrotnie negocjowaliśmy z Francuzami - gniewnie rzekł An. - Każda umowa, którą z nami podpisywali, miała na celu tylko zyskanie na czasie, by mogli przygotowywać kolejną agresję. To była lekcja dla mojego narodu, jak postępować z imperialistami, lekcja, której nigdy nie zapomnimy.

Dimka znał historię Wietnamu i wiedział, że gniew Ana jest usprawiedliwiony. Francuzi byli nieuczciwi i perfidni jak wszyscy kolonizatorzy. Jednak to nie wszystko.

Natalia nie ustępowała, i słusznie, ponieważ taką wiadomość Kosygin niewątpliwie przekazywał Ho Szi Minowi.

- Imperialiści są podstępni, wszyscy o tym wiemy. Jednak rewolucjoniści też mogą wykorzystywać negocjacje. Lenin negocjował w Brześciu Litewskim. Poczynił ustępstwa i pozostał przy władzy, a potem wycofał się z tych ustępstw, kiedy był silniejszy.

An jak papuga powtórzył słowa Ho Szi Mina:

- Nie będziemy brali pod uwagę negocjacji, dopóki w Sajgonie nie powstanie neutralny rząd koalicyjny, w którego skład wejdą przedstawiciele Wietkongu.

- Bądźcie rozsądni - powiedziała Natalia łagodnym tonem. - Takie wygórowane żądania wstępne są po prostu sposobem unikania negocjacji. Powinniście rozważyć kompromisowe rozwiązanie.

- Kiedy Niemcy napadli na Rosję i doszli aż do bram Moskwy, czy poszliście na kompromis? - zaperzył się An. Uderzył pięścią w stół, co zaskoczyło Dimkę, gdyż Azjaci byli uważani za opanowanych i subtelnych. - Nie! Żadnych negocjacji, żadnych kompromisów i żadnych Amerykanów!

Wkrótce potem bankiet się skończył.

Dimka i Natalia wrócili do hotelu. Odprowadził ją do jej pokoju. Przy drzwiach

powiedziała po prostu:

- Wejdz.

Była to dopiero ich trzecia noc razem. Pierwsze dwie spędzili na łożu z baldachimem w zakurzonej magazynie pełnym starych kremlowskich mebli. Jednak, nie wiedząc czemu, czuli się razem w tej sypialni tak naturalnie, jakby byli kochankami od lat.

Pocałowali się i zdjęli buty, ponownie się pocałowali i umyli zęby, i znów się całowali. Nie oszaleli z nieopanowanego pożądania: byli raczej odprężeni i swobodni.

- Mamy całą noc, żeby robić, co zechcemy - powiedziała Natalia i Dimka pomyślał, że to najseksowniejsze słowa, jakie słyszał w życiu.

Kochali się, a potem jedli kawior i pili wódkę przywiezioną przez Natalię, i znów się kochali.

- Zakładam, że ktoś nas podsłuchuje - odezwała się później Natalia, gdy leżeli w skotłowanej pościeli, patrząc na wentylator powoli obracający się pod sufitem.

- Mam taką nadzieję - skwitował jej słowa Dimka. - Słono nas kosztowało przysłanie tu zespołu KGB, żeby ich nauczył, jak zakładać podsłuchy w pokojach hotelowych.

- Może słucha nas Pham An - rzuciła Natalia i zachichotała.

- Jeśli tak, to mam nadzieję, że bawi się lepiej niż na obiedzie.

- Hm. To była katastrofa.

- Będą musieli zmienić nastawienie, żeby dostać od nas broń. Nawet Breżniew nie chce, żebyśmy się angażowali w zakrojone na szeroką skalę działania wojenne w Azji Południowo-Wschodniej.

- Jeżeli jednak odmówimy im dostaw, zwrócą się do Chińczyków.

- Nienawidzą Chińczyków.

- Wiem. Pomimo to...

- Tak.

Powoli zapadli w sen, z którego wyrwał ich telefon. Natalia podniosła słuchawkę i podała swoje nazwisko. Słuchała chwilę.

- Do diabła - warknęła. Po kolejnej minucie się rozłączyła. - Wieści z Wietnamu Południowego - powiedziała do Dimki. - W nocy Wietkong zaatakował amerykańską bazę wojskową.

- Tej nocy? Załedwie kilka godzin po przybyciu Kosygina do Hanoi? To nie jest przypadek. Gdzie?

- W Pleiku. Ośmiu Amerykanów zostało zabitych, a około stu rannych. I zniszczyli na ziemi dziesięć samolotów USA.



- Jakie były straty Wietkongu?

- Zostawili tylko jednego zabitego.

Dimka ze zdumieniem pokręcił głową.

- Trzeba przyznać Wietnamczykom, że są groźnymi bojownikami.

- Ci z Wietkongu. Południowowietnamska armia jest beznadziejna. Dlatego potrzebują Amerykanów, żeby za nich walczyli.

Dimka zmarszczył brwi.

- Czy właśnie teraz w Wietnamie Południowym nie przebywa jakaś gruba ryba z Ameryki?

- McGeorge Bundy, doradca do spraw bezpieczeństwa narodowego, jeden z najgorszych imperialistycznych podżegaczy wojennych.

- Na pewno już dzwoni do prezydenta Johnsona.

- Tak - mruknęła Natalia. - I ciekawe, co mówi.

Odpowiedź otrzymała jeszcze tego samego dnia.

Amerykańskie samoloty z lotniskowca USS Ranger zbombardowały obóz wojskowy Dong Hoi na wybrzeżu Wietnamu Północnego. Było to pierwsze amerykańskie bombardowanie północnowietnamskiego terytorium i rozpoczęło nową fazę konfliktu.

Dimka z rozpaczą patrzył, jak w ciągu dnia plany Kosygina powoli zostają obrócone wniwecz.

Po bombardowaniu amerykańską agresję potępiły wszystkie państwa komunistyczne i niezaangażowane.

Przywódcy krajów Trzeciego Świata spodziewali się, że teraz Moskwa przyjdzie z pomocą Wietnamowi, komunistycznemu państwu bezpośrednio zaatakowanemu przez amerykański imperializm.

Kosygin nie chciał eskalacji konfliktu w Wietnamie, a Kremla nie było stać na udzielenie znacznej pomocy wojskowej Ho Szi Minowi, ale właśnie to musieli teraz zrobić.

Nie mieli innego wyjścia. Gdyby się wycofali, na ich miejsce weszliby Chińczycy, chętnie zastępując ZSRR jako potężny przyjaciel małych komunistycznych krajów. Stawką była teraz pozycja Związku Radzieckiego jako obrońcy światowego komunizmu i wszyscy o tym wiedzieli.

Zapomniano o jakichkolwiek rozmowach o pokojowej koegzystencji.

Dimka i Natalia wpadli w ponury nastrój, tak jak cała radziecka delegacja. Ich wyjściowa pozycja do rokowań z Wietnamczykami została całkowicie zniszczona. Kosygin nie miał już żadnych atutów: musiał zgodzić się na wszystkie żądania Ho Szi Mina.

Pozostali w Hanoi jeszcze przez trzy dni. Dimka i Natalia kochali się w nocy, a w dzień robili szczegółowe notatki dotyczące listy zamówień Pham Ana. Jeszcze zanim wyjechali, transport sowieckich rakiet ziemia-powietrze był już w drodze.

Dimka i Natalia siedzieli obok siebie w samolocie lecącym do kraju. Dimka odpoczywał, z przyjemnością wspominając cztery parne noce miłości pod leniwie obracającym się wentylatorem.

- Z czego się śmiejesz? - spytała Natalia.

Otworzył oczy.

- Wiesz.

Zachichotała.

- A poza tym...

- Co?

- Kiedy w myślach odtwarzasz ten wyjazd, czy nie masz wrażenia...?

- Że zostaliśmy wmanewrowani i wykorzystani? Tak, od pierwszego dnia.

- A Ho Szi Min zręcznie manipulował dwoma największymi mocarstwami na świecie i w końcu dostał wszystko, co chciał.

- Tak - rzekł Dimka. - Właśnie takie mam wrażenie.

Tania pojechała na lotnisko z wywrotowym maszynopisem Wasilija w walizce. Bała się.

Robiła już niebezpieczne rzeczy. Wydawała niezależną gazetę; została aresztowana na placu Majakowskiego i zawleczona do osławionej piwnicy w siedzibie KGB na Łubiance; kontaktowała się z dysydem na Syberii. Jednak to było najbardziej przerażające.

Porozumiewanie się z Zachodem uważano za jedno z najcięższych przestępstw. Tania zabierała maszynopis Wasilija do Lipska, gdzie miała nadzieję przekazać go jakiemuś zachodniemu wydawcy.

Biuletyn z wiadomościami, który wydawali z Wasilijem, był rozprowadzany tylko w ZSRR. Władze będą znacznie bardziej rozgniewane dysydenckim materiałem, który dotrze na Zachód. Odpowiedzialni zostaną uznani nie tylko za buntowników, ale także za zdrajców.

Kiedy myślała o tym niebezpieczeństwie, siedząc na tylnym siedzeniu taksówki, zemdlilo ją ze strachu i w panice przycisnęła dłoń do ust, dopóki to uczucie nie minęło.

Po przybyciu na lotnisko o mało nie poprosiła taksówkarza, by zawiózł ją z powrotem do domu. Potem przypomniała sobie Wasilija na Syberii, wygłodzonego i zziębniętego. Wzięła się w garść i weszła z walizką do terminalu.

Wycieczka na Syberię zmieniła Tanię. Przedtem traktowała komunizm jako nieudany eksperyment, który trzeba zakończyć. Teraz postrzegała go jako rządy brutalnych i niegodziwych tyranów. Ilekroć pomyślała o Wasiliju, jej serce przepełniała nienawiść do ludzi, którzy mu to zrobili. Nie potrafiła o tym rozmawiać nawet ze swoim bratem bliźniakiem, który wciąż wierzył, że komunizm można ulepszyć. Kochała Dimkę, lecz brat zamykał oczy na rzeczywistość. I zdała sobie sprawę, że wszędzie tam, gdzie panował okrutny ucisk - na południu Stanów Zjednoczonych, w Irlandii Północnej i w Niemczech Wschodnich - byli tacy dobrzy zwyczajni ludzie jak członkowie jej rodziny, którzy nie chcieli dostrzec przykrej prawdy. Jednak Tania nie będzie jedną z nich. Zamierzała walczyć do końca.

Nie zważając na ryzyko.

Przy stanowisku odprawy wręczyła swoje dokumenty i umieściła walizkę na wadze. Gdyby wierzyła w Boga, modliłaby się teraz gorąco.

Wszyscy urzędnicy kontroli paszportowej należeli do KGB. Ten był mężczyzną po trzydziestce z sinym cieniem gęstego zarostu na twarzy. Tania czasem oceniała ludzi, wyobrażając sobie, jak wyglądałby wywiad z nimi. Pomyślała, że mężczyzna byłby stanowczy w stopniu graniczącym z agresją i odpowiadałby na neutralne pytania, jakby zadano je z wrogimi intencjami, nieustannie szukając ukrytych motywów i zawołowanych oskarżeń.

Uważnie przyjrzał się jej twarzy, porównując ją z fotografią. Starła się nie wyglądać na przestraszoną. Jednak, powiedziała sobie, nawet niewinni radzieccy obywatele się boją, kiedy patrzy na nich człowiek z KGB.

Położył jej paszport na biurku.

- Otworzyć bagaż - zażądał.

Nie wiadomo dlaczego. Może wzbudziła podejrzenia albo nie miał nic lepszego do roboty, a może lubił oglądać kobiecą bieliznę. Nie musieli podawać powodu.

Z bijącym sercem Tania otworzyła walizkę.

Urzędnik przyklęknął i zaczął grzebać w jej rzeczach. W niecałą minutę odkrył maszynopis Wasilija. Wyjął go i przeczytał stronę tytułową: Stalag, powieść o hitlerowskich obozach koncentracyjnych napisana przez Klause Holsteina.

Ten tytuł był zmyłką, tak jak spis treści, wstęp i prolog.

- Co to jest? - zapytał urzędnik.

- Częściowy przekład wschodniemieckiej powieści. Jadę na targi książki w Lipsku.

- Czy została zatwierdzona przez cenzurę?

- W Niemczech Wschodnich? Oczywiście, inaczej by jej nie wydano.  
- A w Związku Radzieckim?  
- Jeszcze nie. Rzecz jasna, książki nie są zatwierdzane przez cenzurę, dopóki nie zostaną ukończone.

Starła się normalnie oddychać, podczas gdy urzędnik kartkował maszynopis.

- Ci ludzie mają rosyjskie nazwiska - zauważył.

- Jak wiecie, w hitlerowskich obozach było wielu Rosjan - powiedziała Tania.

Miała świadomość, że urzędnik mógł bez problemu zweryfikować jej słowa. Gdyby poświęcił chwilę i przeczytał więcej niż kilka pierwszych stron, odkryłby, że są to opowieści nie o hitlerowskim obozie, ale o gułagu, a wtedy KGB zajęłoby tylko kilka godzin ustalenie, że nie ma takiej wschodnioniemieckiej książki ani wydawcy, i Tania znów zostałaby zabrana do celi na Łubiance.

Machinalnie przewracał kartki, jakby zastanawiając się, czy robić z tego problem, czy nie. Nagle przy sąsiednim stanowisku wybuchło zamieszanie: jakiś pasażer protestował przeciwko konfiskacie ikony. Urzędnik odprowadzający Tanię oddał jej dokumenty oraz kartę pokładową i ponaglił ją machnięciem ręki, po czym poszedł asystować koledze.

Nogi tak się pod nią uginały, że bała się, iż nie zdoła odejść.

Zebrała siły i przeszła przez resztę odprawy. Samolotem był znajomy tupolew Tu-104: ten przystosowany został do lotów cywilnych i trochę zatłoczony rzędami po sześć foteli. Lecąc do Lipska, miał pokonać tysiąc sześćset kilometrów w nieco ponad trzy godziny.

Kiedy po przylocie Tania odebrała swoją walizkę, przyjrzała się jej uważnie, ale nie dostrzegła śladów otwierania. Jednak jeszcze nie była bezpieczna. Zaniosiła bagaż do odprawy celnej i kontroli paszportowej, czując się tak, jakby niosła radioaktywny materiał. Przypomniała sobie, że wschodnioniemiecki rząd jest uważany za reżim brutalniejszy od radzieckiego. Stasi było jeszcze bardziej wszechobecne niż KGB.

Okazała dokumenty. Urzędnik uważnie je obejrzał, a potem odprawił Tanię nieuprzejmym gestem.

Skierowała się do wyjścia, nie patrząc na twarze umundurowanych mężczyzn, którzy uważnie przyglądali się pasażerom.

Nagle jeden z nich zastąpił jej drogę.

- Tania Dworkina?

Omam nie zalała się łzami winowajczyni.

- T-tak.

Zwrócił się do niej po niemiecku:

- Proszę ze mną.

No i już, pomyślała, moje życie się skończyło.

Przeszła za nim przez boczne drzwi. Ze zdziwieniem zobaczyła, że prowadzą na parking.

- Dyrektor targów przysłał po panią samochód - powiedział urzędnik.

Kierowca czekał. Przedstawił się i umieścił walizkę z obciążającym materiałem w bagażniku zielono-białego wartburga 311.

Tania opadła na tylne siedzenie limuzyny tak bezwładnie, jakby była pijana.

Zaczęła dochodzić do siebie dopiero wtedy, gdy samochód znalazł się w centrum miasta. Lipsk leżał na skrzyżowaniu starych szlaków handlowych, a targi organizowano tu od średniowiecza. Jego dworzec kolejowy był największy w Europie. W swoim artykule Tania wspomni o silnych komunistycznych tradycjach tego miasta i oporze stawianym nazizmowi aż do lat czterdziestych. Nie umieści myśli, która teraz przyszła jej do głowy, że wspaniałe dziewiętnastowieczne budynki Lipska wyglądają jeszcze ładniej przy socrealistycznej architekturze.

Limuzyna zawiozła ją na targi. W dużej hali przypominającej magazyn wydawcy z Niemiec i z zagranicy rozstawili stoiska, na których prezentowali swoje książki. Dyrektor oprowadził Tanię. Wyjaśnił jej, że głównym celem targów jest kupowanie i sprzedawanie nie książek, lecz praw do ich przekładu, by mogły zostać wydane w innych krajach.

Pod koniec popołudnia zdołała się od niego uwolnić i rozejrzeć na własną rękę.

Zdumiała ją ogromna ilość i niewiarygodna różnorodność książek: instrukcji obsługi samochodów, czasopism naukowych, almanachów, bajek dla dzieci, Biblii, albumów, atlasów, słowników, podręczników szkolnych oraz dzieł zebranych Marksa i Lenina w każdym ważniejszym europejskim języku.

Szukała kogoś, kto zechciałby tłumaczyć rosyjską literaturę i wydawać ją na Zachodzie.

Zaczęła przeglądać stoiska, szukając rosyjskich powieści w obcych językach.

Zachodni alfabet różnił się od cyrylicy, ale Tania uczyła się w szkole niemieckiego i angielskiego, a na uniwersytecie miała zajęcia z niemieckiego, więc mogła odczytać nazwiska autorów i odgadnąć większość tytułów.

Rozmawiała z kilkoma wydawcami, mówiąc im, że jest dziennikarką TASS, i pytając, jakie korzyści wynikają z ich obecności na targach. Zanotowała parę wypowiedzi przydatnych do artykułu. Nie wspominała o tym, że ma dla nich rosyjską książkę.

Na stoisku londyńskiego wydawnictwa Rowley znalazła angielski przekład *Młodej Gwardii*, popularnej powieści Aleksandra Fadiejewa. Znała ją dobrze i z zaciekawieniem

czytała pierwszą stronę angielskiego przekładu, dopóki jej nie przerwano. Atrakcyjna kobieta mniej więcej w wieku Tani zwróciła się do niej po niemiecku:

- Proszę mi powiedzieć, gdyby miała pani jakieś pytania.

Tania przedstawiła się jako dziennikarka i zagadnęła kobietę o targi. Szybko odkryły, że tamta lepiej mówi po rosyjsku niż Tania po niemiecku, więc przeszły na ten pierwszy język. Tania zapytała o angielskie przekłady rosyjskich powieści.

- Chciałabym wydawać ich więcej - odparła przedstawicielka wydawnictwa. - Jednak współczesne powieści, włącznie z tą, którą trzyma pani w ręku, są tak niewolniczo prokomunistyczne.

Tania udała dotkniętą.

- Chcecie publikować antyradziecką propagandę?

- Bynajmniej - zaprotestowała z wyrozumiałym uśmiechem kobieta. - Pisarzom wolno lubić swoje rządy. Moje wydawnictwo publikuje wiele książek, które wychwalają imperium brytyjskie i jego triumfy. Jednak autora, który nie dostrzega niczego złego w otaczającym go społeczeństwie, nie można traktować poważnie. Mądrzej jest dodać szczyptę krytyki, choćby tylko dla zwiększenia wiarygodności.

Tani spodobała się ta kobieta.

- Możemy się znowu spotkać?

Tamta się zawahała.

- Ma pani coś dla mnie?

Tania nie odpowiedziała na to pytanie, tylko sama zadała kolejne:

- Gdzie się pani zatrzymała?

- W hotelu Europa.

Tania miała pokój zarezerwowany w tym samym hotelu. To był sprzyjający zbieg okoliczności.

- Jak się pani nazywa?

- Anna Murray. A pani?

- Jeszcze porozmawiamy - odparła Tania i odeszła.

Instynkt podpowiadał jej, że Anna Murray jest właściwą osobą, instynkt wyrobiony przez ćwierć wieku życia w Związku Radzieckim, ale fakty również wspierały to wrażenie. Po pierwsze, Anna najwyraźniej była Angielką, a nie Rosjanką czy mieszkanką Niemiec Wschodnich udającą Brytyjkę. Po drugie, nie wyglądała na komunistkę ani na zażartą przeciwniczkę tego ustroju. Szpieg z KGB nie zdołałby tak dobrze udawać jej swobodnej neutralności. Po trzecie, nie używała żargonu. Ludzie wychowani według ortodoksyjnych

radzieckich zasad mimowolnie mówili o partii, klasach, kadrach i ideologii. Anna nie użyła żadnego z tych kluczowych słów.

Zielono-biały wartburg czekał na Tanię przed budynkiem. Kierowca zawiózł ją do hotelu Europa, w którym się zameldowała. Niemal natychmiast opuściła pokój i wróciła do holu.

Nie chciała zwracać na siebie uwagi, pytając w recepcji o numer pokoju Anny Murray. Co najmniej jeden z recepcjonistów był informatorem Stasi i mógłby przekazać informację o radzieckiej dziennikarce szukającej przedstawicielki angielskiego wydawnictwa.

Jednak za kontuarem recepcji znajdował się rząd numerowanych przegródek, do których personel wkładał klucze do pokoi i wiadomości. Tania po prostu zakleiła pustą kopertę, napisała na niej „Frau Anna Murray” i bez słowa wręczyła recepcjoniście. Ten natychmiast umieścił ją w przegródce pokoju numer 305.

Był w niej klucz, co oznaczało, że Anny Murray w tym momencie nie ma w hotelu.

Tania poszła do baru, ale Anny w nim nie było. Spędziła tam godzinę, sącząc piwo i przygotowując zarys swojego wywiadu w notatniku. Potem poszła do restauracji. Tu również nie było Anny. Zapewne wybrała się na obiad z kolegami do jakiegoś lokalu w mieście. Tania usiadła sama przy stoliku i zamówiła miejscową specjalność, allerlei, sałatkę warzywną. Przez godzinę piła kawę, po czym wyszła.

Przechodząc przez lobby, znów spojrzała na przegródki. Klucz od pokoju 305 zniknął.

Tania wróciła do swojego pokoju, wzięła maszynopis i podeszła do drzwi z numerem 305.

Tam się zawahała. Kiedy to zrobi, nie będzie mogła się wycofać. Żadna bajeczka nie usprawiedliwi jej działań. Zamierzała przekazać na Zachód antyradzieckie materiały. Jeśli zostanie złapana, będzie skończona.

Zapukała do drzwi.

Anna otworzyła je po kilku chwilach. Była boso i ze szczoteczką do zębów w ręku: najwyraźniej szykowała się do snu.

Tania przyłożyła palec do ust, każąc jej milczeć. Potem wręczyła Annie maszynopis.

- Wrócę za dwie godziny - szepnęła.

A potem odeszła.

Wróciła do swojego pokoju i siedziała na łóżku, drżąc.

Nawet gdyby Anna tylko odmówiła publikacji tych opowiadań, byłoby niedobrze. Jeśli jednak Tania źle ją oceniła, kobieta mogła uznać, że musi zawiadomić władze, iż zaproponowano jej publikację dysydenckiej książki. Mogła się obawiać, że jeśli zachowa to

dla siebie, zostanie oskarżona o współudział w spisku i że jedynym rozsądnym postępowaniem będzie zameldowanie o tej próbie nawiązania kontaktu.

Jednak Tania uważała, że większość mieszkańców Zachodu nie myśli w taki sposób. Pomimo przedsięwziętych przez nią środków ostrożności Anna nie będzie się uważała za winną przestępstwa tylko dlatego, że przeczytała ten maszynopis.

Tak więc najważniejszym pytaniem było to, czy Annie spodoba się dzieło Wasilija. Daniłowi się spodobało, redaktorom „Nowego Świata” także. Jednak wszyscy oni byli Rosjanami. Jak zareaguje cudzoziemka? Tania była przekonana, że Anna uzna, iż opowiadania są dobrze napisane, ale czy ją poruszą? Czy złamią jej serce?

Kilka minut po jedenastej Tania wróciła do pokoju 305.

Anna otworzyła drzwi z maszynopisem w ręku.

Twarz miała mokrą od łez.

- To jest nie do zniesienia - wyszeptwała. - Musimy powiedzieć światu.

W pewien piątkowy wieczór Dave odkrył, że Lew, perkusista Plum Nellie, jest homoseksualistą.

Dotychczas myślał, że Lew jest po prostu nieśmiały. Wiele dziewcząt chciało uprawiać seks z chłopcami grającymi w zespołach rockowych i garderoba czasem przypominała burdel, ale Lew nigdy nie korzystał z takich okazji. Nie było w tym niczego dziwnego: jedni to robili, inni nie. Walli nigdy nie korzystał z usług takich „fanek”. Dave robił to czasem, a Buzz, basista zespołu, nigdy nie odmawiał.

Plum Nellie znów występowali. *Tęsknię za tobą, Alicia* zajmowało dziewiętnaste miejsce na liście przebojów i pięło się w górę. Dave i Walli pisali razem piosenki i mieli nadzieję nagrać longplaya. Pewnego późnego popołudnia poszli do studia BBC w Portland Place i nagrali materiał, który miał być puszczony w radiu. Honorarium graniczyło z jałmużną, lecz była to okazja do promowania *Tęsknię za tobą, Alicia*. Może ta piosenka wejdzie na pierwsze miejsce. I - jak czasem mówił Dave - z jałmużny też można żyć.

Wyszli ze studia, mrużąc oczy w zachodzącym słońcu, i postanowili pójść na drinka do pobliskiego pubu o nazwie Złoty Róg.

- Nie mam ochoty na drinka - rzekł Lew.

- Nie bądź głupi - powiedział Buzz. - Od kiedy to odmawiasz kufelka?

- No to chodźmy do innego pubu - zaproponował Lew.

- Dlaczego?

- Ten mi się nie podoba.



- Jeśli obawiasz się zaczepek, to włóż okulary przeciwsłoneczne.

Już kilkakrotnie występowali w telewizji i czasem fani zaczepiali ich w restauracjach i barach, ale rzadko miewali prawdziwe kłopoty. Nauczyli się trzymać z daleka od lokali, w których mogły się zbierać nastolatki, na przykład kafejek w pobliżu szkół, gdyż mogło to prowadzić do wybuchów zbiorowej hysterii, jednak w barach dla dorosłych byli bezpieczni.

Weszli do Złotego Rogu i podeszli do baru. Barman uśmiechnął się do Lew.

- Cześć, Lucy, złotko - powiedział. - Co ma być, wod i ton?

Pozostali członkowie zespołu ze zdziwieniem spojrzeli na Lew.

- A więc jesteś tu stałym gościem? - zapytał Buzz.

- Co to jest wod i ton? - chciał wiedzieć Walli.

- Lucy? - zdziwił się Dave.

Barman był stropiony.

- Kim są twoi przyjaciele, Lucy?

Lew spojrzał na swoich kolegów.

- Zdemaskowaliście mnie, dranie - burknął.

- Jesteś zboczony? - zapytał Buzz.

Lew przestał się maskować.

- Zboczony jak mechaniczna pomarańcza, banknot trzyfuntowy albo szkarłatny jednorożec. Gdybyście nie byli tacy ślepi i głupi, domyślilibyście się tego już dawno. Tak, całuję mężczyzn i idę z nimi do łóżka, ilekroć mogę to robić tak, żeby mnie nie przyłapano. Jednak proszę, nie obawiajcie się, że mogę się do was przystawiać: jesteście, kurwa, zbyt brzydki. A teraz napijmy się.

Dave przyjął to owacjami i oklaskami, a po chwili wahania zaskoczeni Buzz i Walli poszli w jego ślady.

Dave był zaintrygowany. Wiedział, kim są pederasci, ale tylko teoretycznie. Nigdy nie miał znajomego homoseksualisty, przynajmniej z tego, co się orientował - większość z nich trzymała to w tajemnicy tak jak Lew, ponieważ w Wielkiej Brytanii było to przestępstwem. Babcia Dave'a, lady Leckwith, prowadziła kampanię na rzecz zmiany tego prawa, lecz dotychczas bez powodzenia.

Dave popierał kampanię babki, głównie dlatego, że nienawidził jej przeciwników: pompatycznych duchownych, urażonych torysów i emerytowanych pułkowników. Nigdy nie myślał o tym prawie jako o czymś, co mogłoby dotyczyć jego kumpli.

Wypili drugą kolejkę, a potem trzecią. Dave'owi kończyły się pieniądze, był jednak dobrej myśli. Singiel *Tęsknię za tobą*, Alicia miał być wypuszczony w USA. Gdyby piosenka

okazała się przebojem, zespół byłby ustawiony, a Dave już nigdy nie musiałby się przejmować ortografią.

Lokal szybko się zapełniał. Większość gości miała wspólną cechę: poruszali się i mówili w nieco teatralny sposób. Zwracali się do siebie, używając takich słów jak „kochaniutki” i „skarbie”. Po chwili łatwo było się zorientować, kto jest homoseksualny, a kto nie. Było tam też kilka dziewcząt, przeważnie krótko obciętych i noszących spodnie. Dave czuł, że widzi nowy świat.

Bywalcy nie izolowali się, lecz chętnie dzielili swój ulubiony pub z heteroseksualnymi mężczyznami i kobietami. Połowa gości znała Lew i członkowie zespołu szybko zostali wciągnięci w wir rozmów. Homoseksualiści wymieniali uwagi w charakterystyczny sposób, który rozśmieszał Dave'a.

- Ooch, Lucy, masz taką samą koszulę jak ja. Super - powiedział mężczyzna w koszuli podobnej do tej, którą miał na sobie perkusista Plum Nellie. A potem dodał scenicznym szeptem: - Suka bez wyobraźni! - Wszyscy parsknęli śmiechem, włącznie z Lew.

Dave'a zaczepił wysoki mężczyzna.

- Posłuchaj, kolego, czy wiesz, kto sprzedaby mi prochy? - zapytał cicho.

Dave wiedział, o czym tamten mówi. Wielu muzyków zażywało prochy. W takich miejscach jak klub Jump można było kupić różne rodzaje narkotyków. Dave spróbował paru, ale nie przypadło mu do gustu ich działanie.

Uważnie przyjrzał się nieznajomemu. Choć miał na sobie dzinsy i sweter w paski, spodnie były tanie i nie pasowały do swetra, a ponadto mężczyzna był ostrzyżony po wojskowemu. Nie spodobał się Dave'owi.

- Nie - odpowiedział krótko i odwrócił się.

W rogu sali była niewielka scena z mikrofonem. O dziewiątej wyszedł na nią komik, powitany entuzjastycznym aplauzem. Był przebrany za kobietę, chociaż fryzurę i makijaż miał tak dobry, że w innym oświetleniu Dave by się nie zorientował.

- Czy mogę prosić wszystkich o uwagę? - rzekł komik. - Chciałbym podać ważny komunikat. Jerry Robertson złapał V.D.

Wszyscy się roześmiali.

- Co to jest V.D.? - zapytał Dave'a Walli.

- Choroba weneryczna - wyjaśnił Dave. - Plamy na fiucie.

- Wiem o tym, bo złapał ją ode mnie - dodał komik.

To wywołało nową salwę śmiechu, lecz nagle przy drzwiach wybuchło jakieś zamieszanie. Dave spojrzął w tamtym kierunku i zobaczył kilku umundurowanych

policjantów, którzy wchodzili, przepychając się między gośćmi.

- Och, to przedstawiciele prawa! - zawołał komik. - Lubię mundury. Policja często tu przychodzi, zauważyliście? Zastanawiam się, co ich tu przyciąga?

Żartował z tego, ale policjanci byli nieprzyjemnie poważni. Przepychali się przez tłum, zdając się czerpać przyjemność ze zbędnej brutalności. Czterej weszli do męskich toalet.

- Może wpadli tylko zrobić siusiu - powiedział komik.

Policjant wszedł na scenę.

- Jest pan inspektorem, prawda? - uwodzicielsko zapytał komik. - Przyszedł pan zrobić mi inspekcję?

Kolejni dwaj policjanci odciągnęli komika od mikrofonu.

- Nie bójcie się! - zawołał. - Nie będę stawiał oporu!

Inspektor złapał mikrofon.

- No dobra, wy parszywe zboki - warknął. - Otrzymałem informację, że w tym lokalu są sprzedawane zakazane substancje. Jeśli nie chcecie, żeby stała się wam krzywda, stańcie twarzą do ściany i przygotujcie się do rewizji.

Do lokalu wciąż wchodzili kolejni policjanci. Dave rozejrzał się, szukając wyjścia, ale mundurowi blokowali wszystkie drzwi. Część gości z rezygnacją odeszła na bok i stanęła pod ścianami, jakby to wszystko już im się przydarzyło. Dave pomyślał, że policja nigdy nie zrobiła nalotu na Jump Club, chociaż narkotyki sprzedawano tam niemal jawnie.

Gliniarze, którzy poszli do toalety, wyprowadzili z niej dwóch mężczyzn. Niższemu z nich leciała krew z nosa.

- Byli w tej samej kabynie, szefie - zameldował jeden z policjantów.

- Aresztujcie ich pod zarzutem obrazy moralności publicznej.

- Tak jest, szefie.

Dave został boleśnie uderzony od tyłu i krzyknął.

- Stań pod ścianą - ponaglił go policjant z pałką w ręku.

- Dlaczego mnie uderzyłeś? - zapytał Dave.

Policjant podsunął mu pałkę pod nos.

- Zamknij dziób, pedale, albo zatkam ci go tą pałką.

- Nie jestem... - Dave urwał. Niech wierzą, w co chcą, pomyślał. Wolę trzymać z tymi pedałami niż z policją. Podeszedł do ściany i stanął, jak kazali, rozmasowując obolałe miejsce na plecach.

- Nic ci się nie stało? - zapytał stojący obok Lew.

- Mam tylko małego siniaka. A tobie?

- Nic takiego.

Dave właśnie się przekonał, dlaczego jego babka chciała zmienić prawo. Był zawstydzony, że tak długo żył w niewiedzy.

- Przynajmniej gliniarze nie rozpoznali zespołu - szepnął Lew.

Dave skinął głową.

- Tacy jak oni nie znają twarzy gwiazd rocka.

Kątem oka zobaczył, że inspektor rozmawia z tym źle ubranym mężczyzną, który chciał kupić prochy. Teraz zrozumiał, skąd te tanie dzinsy i fryzura na rekruta: ten człowiek był tajnym detektywem w kiepskim przebraniu. Mężczyzna wzruszył ramionami i bezradnie rozłożył ręce, a Dave odgadł, że nie zdołał znaleźć nikogo sprzedającego narkotyki.

Policja obszukała wszystkich, każąc im wywrócić kieszenie. Mundurowy rewidujący Dave'a dłużej niż trzeba obmacywał jego krocze. Czy ci gliniarze też są pedałami? - zastanawiał się Dave. Czy dlatego to robią?

Kilku gości sprzeciwiło się rewizji osobistej. Zostali pobici pałkami, a następnie aresztowani za napaść na policjantów. Inny mężczyzna miał jakieś tabletki, które - jak twierdził - przepisał mu lekarz, ale i tak został aresztowany.

W końcu policjanci odeszli. Barman zaproponował wszystkim darmową kolejkę, lecz niewiele osób skorzystało z tej propozycji. Członkowie Plum Nellie opuścili lokal. Dave postanowił wcześniej pójść do domu.

- Czy takie rzeczy często się wam zdarzają? - zwrócił się do Lew, kiedy się żegnali.

- Przez cały czas, kolego - odparł perkusista. - Przez cały pierdolony czas.

Pewnego razu Jasper poszedł odwiedzić swoją siostrę w mieszkaniu Hanka Remingtona w Chelsea. Wpadł tam o siódmej wieczór, bo był pewny, że wtedy Anna jest już w domu po pracy, ale jeszcze nie wyszła gdzieś z Hankiem. Był zdenerwowany. Chciał czegoś od Anny i Hanka, czegoś bardzo istotnego dla swojej przyszłości.

Usiadł w kuchni i obserwował siostrę przyrządzającą Hankowi jego ulubiony smakołyk: kanapkę z frytkami.

- Jak twoja praca? - zapytał, nawiązując rozmowę.

- Cudownie - odparła i w jej oczach zapalił się błysk entuzjazmu. - Odkryłam nowego pisarza, rosyjskiego dysydenta. Nawet nie znam jego prawdziwego nazwiska, ale to geniusz. Wydaję zbiór jego opowiadań z obozu na Syberii. Jest zatytułowany *Odmrożenie*.

- To nie brzmi zbyt zabawnie.

- Miejscami jest śmieszne, jednak ogólnie serce się kraje. Zbiór jest właśnie

tłumaczony.

Jasper był nastawiony sceptycznie.

- Kto chciałby czytać o ludziach siedzących w obozie?

- Cały świat - odparła Anna. - Poczekaj, to zobaczysz. A co u ciebie? Już wiesz co będziesz robił po dyplomie?

- Zaproponowano mi pracę młodszego reportera w „Western Mail”, ale nie chcę jej podjąć. Rany boskie, byłem już redaktorem i wydawcą własnej gazety.

- Czy dostałeś jakieś odpowiedzi z Ameryki?

- Jedną - rzekł Jasper.

- Tylko jedną? I co napisali?

Jasper wyjął z kieszeni kartkę i pokazał jej. List był od producenta wiadomości telewizyjnych This Day.

Anna go przeczytała.

- Piszą tylko, że nie zatrudniają ludzi bez rozmowy wstępnej. Co za rozczarowanie.

- Mam nadzieję, że dotrzymają słowa.

- To znaczy?

Jasper wskazał jej nagłówek na papierze firmowym.

- Zamierzam zjawić się w ich biurze z tym listem w ręku i powiedzieć: przyleciałem na rozmowę wstępną.

Anna się roześmiała.

- Będą musieli podziwiać twój tupet.

- Jest tylko jeden problem. - Jasper przełknął ślinę. - Potrzebuję dziewięćdziesięciu funtów na bilet lotniczy. A mam tylko dwadzieścia.

Wyjęła z frytkownicy koszyk z ziemniakami i odstawiła go na bok. Potem spojrzała na Jaspiera.

- Po to tu przyszedłeś?

Skinął głową.

- Możesz pożyczyć mi siedemdziesiąt funtów?

- Na pewno nie - odparła. - Nie mam siedemdziesięciu funtów. Jestem redaktorką. To prawie moja miesięczna pensja.

Jasper wiedział, że taka będzie odpowiedź. Jednak to nie był jeszcze koniec tej rozmowy. Zacisnął zęby.

- Czy możesz pożyczyć je od Hanka? - zapytał.

Anna ułożyła warstwę frytek na kromce chleba z masłem. Spryskała je octem winnym i

mocno posoliła, a potem nakryła drugą kromką i przecięła kanapkę na pół.

Wszedł Hank, wpychając koszulę do pomarańczowych sztruksowych biodrówek. Długie włosy miał mokre po wyjściu spod prysznic.

- Cześć, Jasper - przywitał się jak zwykle serdecznie. Potem pocałował Annę i rzekł: - Oo, dziecino, coś tu ładnie pachnie.

- Hank - powiedziała Anna - to może być najdroższa kanapka, jaką jadłeś.

## ROZDZIAŁ 38

Dave Williams niecierpliwie czekał na spotkanie ze swoim osławionym dziadkiem, Lvem Peshkovem.

Plum Nellie objeżdżali Stany jesienią 1965 roku. Agencja All-Star Touring Beat Revue zapewniała wykonawcom pokoje hotelowe co drugą noc. Pozostałe spędzali w autobusie.

Koncertowali, o północy wsiadali do autobusu i jechali do następnego miasta. Dave nigdy nie mógł się wyspać w autobusie. Siedzenia były niewygodne, a toaleta z tyłu śmierdząca. Do picia mieli tylko słodki jak ulepek napój, którego pełną lodówkę dostarczył Dr Pepper, sponsor trasy. Członkowie Topspins, zespołu soul z Filadelfii, grali w autobusie w pokera: jednej nocy Dave przegrał dziesięć dolarów i nigdy więcej nie grał.

Rano przyjeżdżali do hotelu. Jeśli mieli szczęście, mogli się od razu wprowadzić. Jeśli nie, musieli siedzieć w holu, skwaszeni i nieumyci, czekając, aż goście z minionej nocy opuszczą pokoje. Wieczorem koncertowali, spędzali noc w hotelu i rano wsiadali do autobusu.

Plum Nellie to uwielbiali.

Nie płacono im zbyt dużo, ale zwiedzali Amerykę: dla tego mogliby grać za darmo.

No i były dziewczyny.

Buzz, basista, często miał w swoim pokoju hotelowym kilka fanek w ciągu dnia i nocy. Lew entuzjastycznie badał środowisko homoseksualistów, których w Ameryce nazywano nie pedałami, lecz gejami. Walli pozostał wierny Karolin, lecz nawet on był szczęśliwy, urzeczywistniając swoje marzenie o zostaniu gwiazdą muzyki rozrywkowej.

Dave niezbyt lubił seks z fankami, ale podczas objazdu poznał kilka niesamowitych dziewczyn. Podrywał jasnowłosą Joleen Johnson z Tamettes, która spławiła go, wyjaśniając, że została szczęśliwą mężatką w wieku trzynastu lat. Potem próbował z Lulu Small, która chętnie flirtowała, nie chciała jednak pójść do jego pokoju. W końcu pewnego wieczoru zaczął rozmawiać z Mandy Love z Love Factory, czarnoskórą dziewczyną z Chicago. Miała wielkie piwne oczy, szerokie usta i jasnobrązową skórę, gładką w dotyku jak jedwab. Nauczyła go palić marihuanę, którą polubił bardziej od piwa. Po koncercie w Indianapolis spędzali razem każdą noc w hotelach, chociaż musieli zachować dyskrecję: w niektórych stanach seks przedstawicieli różnych ras był przestępstwem.

W środę rano autobus wjechał do Waszyngtonu. Dave miał zjeść lunch z dziadkiem Peshkovem. Umówiła go matka, Daisy.

Na spotkanie ubrał się jak gwiazda muzyki pop, którą był: czerwona koszula, niebieskie biodrówki, szara tweedowa marynarka w czerwony wzorek oraz buty na wysokich obcasach i z wąskimi noskami. Pojechał taksówką z taniego hotelu, w którym zatrzymali się muzycy, do nieco szykowniejszego, w którym jego dziadek wynajmował apartament.

Dave był zaintrygowany. Słyszał tyle złych rzeczy o tym staruszk. Jeśli rodzinne legendy były prawdą, Lev zabił w Sankt Petersburgu policjanta, a potem uciekł z Rosji, pozostawiając ciężarną dziewczynę. W Buffalo zrobił dziecko córce szefa, ożenił się z nią i odziedziczył fortunę. Podejrzewano go o zamordowanie teścia, ale nigdy nie postawiono w stan oskarżenia. Podczas prohibicji nielegalnie produkował alkohol. Choć żonaty z matką Daisy, miał wiele kochanek, w tym gwiazdę filmową Gladys Angelus. I tak dalej.

Czekając w hotelowym lobby, Dave zastanawiał się, jak wygląda Lev. Nigdy się nie spotkali. Zdaje się, że Lev był raz w Londynie, na ślubie Daisy z jej pierwszym mężem, Boyem Fitzherbertem, ale nigdy tam nie wrócił.

Daisy i Lloyd przyjeżdżali do USA co pięć lat, głównie po to, żeby zobaczyć się z babką Dave'a, Olgą, teraz przebywającą w domu starców w Buffalo. Dave wiedział, że Daisy niezbyt kochała ojca. Przez większość jej dzieciństwa Lev był nieobecny. Miał w tym samym mieście drugą rodzinę - kochankę Margę oraz nieślubnego syna Grega - i najwyraźniej wolał ich od Daisy i jej matki.

Po drugiej stronie lobby Dave zobaczył mężczyznę po siedemdziesiątce. Miał na sobie srebrzystoszary garnitur i krawat w czerwono-białe paski.

- Dziadek Peshkov? - zapytał go, uśmiechając się.

Uścisnęli sobie dłonie.

- Nie nosisz krawata? - zapytał Lev.

Dave wciąż słyszał podobne pytania. Z jakiegoś powodu przedstawiciele starszego pokolenia uważali, że mają prawo robić niegrzeczne uwagi o ubiorze młodych ludzi. Dave miał kilka przygotowanych odpowiedzi, od czarujących po nieprzyjazne.

- Kiedy byłeś nastolatkiem w Petersburgu, dziadku - powiedział teraz - co nosili tacy eleganci jak ty?

Surową minę Lva zastąpił szeroki uśmiech.

- Miałem marynarkę z guzikami z macicy perłowej, kamizelkę i zegarek na mosiężnym łańcuszku oraz atłasową czapkę. A włosy nosiłem długie, z przedziałkiem na środku, tak jak twoje.

- Zatem jesteśmy podobni - rzekł Dave. - Z tą różnicą, że ja nikogo nie zabiłem.

Lev przez moment wyglądał na zaskoczonego, a potem się roześmiał.



- Jesteś sprytnym dzieciakiem - powiedział. - Odziedziczyłeś mój rozum.

Kobieta w eleganckim niebieskim płaszczu i kapeluszu podeszła do Lva, idąc jak modelka, chociaż była prawie w wieku dziadka.

- To jest Marga - przedstawił ją Lev. - Nie jest twoją babcią.

Kochanka, pomyślał Dave.

- Jest pani zdecydowanie za młoda, żeby być czyjąś babcią - rzucił z uśmiechem. - Jak mam się do pani zwracać?

- Uwodziciel z ciebie! - odparła. - Możesz mówić mi Marga. Wiesz, ja też byłam piosenkarką, chociaż nigdy nie odniosłam takiego sukcesu jak wasz zespół. - Zrobiła nostalgiczną minę. - W tamtych czasach zjadałam na śniadanie takich przystojnych chłopców jak ty.

Piosenkarki nic się nie zmieniają, pomyślał Dave, przypomniawszy sobie Mickie McFee.

Weszli do restauracji. Marga zadawała mnóstwo pytań o Daisy, Lloyd'a i Evie. Z zainteresowaniem słuchali relacji o karierze Evie jako artystki, szczególnie że Lev był właścicielem studia w Hollywood. Jednak najbardziej interesował go Dave i jego praca.

- Mówią, że jesteś milionerem, Dave - powiedział.

- Kłamią - odparł Dave. - Sprzedajemy dużo płyt, ale nie są to aż takie pieniądze, jak ludzie sobie wyobrażają. Dostajemy mniej więcej pensja od płyty. Tak więc jeśli sprzedamy milion płyt, to zarobimy tyle, żeby każdy z nas mógł sobie kupić mały samochód.

- Ktoś was okrada - orzekł Lev.

- Nie byłbym zdziwiony - zgodził się Dave. - Jednak nie wiem, jak temu zaradzić. Zwolniłem naszego pierwszego menedżera, a nowy jest znacznie lepszy, ale wciąż nie stać mnie na kupno domu.

- Działam w przemyśle filmowym i czasem sprzedajemy płyty z muzyką z naszych filmów, więc wiem, jak funkcjonuje branża muzyczna. Chcesz usłyszeć dobrą radę?

- Tak, proszę.

- Załóż własną firmę nagraniową.

Dave spojrzał na dziadka zaintrygowany. On też o tym myślał, ale wydawało się to nierealne.

- Myślisz, że to możliwe?

- Myślę, że możesz wynająć studio nagraniowe na dzień lub dwa, czy na ile będzie trzeba.

- Możemy nagrać muzykę i zapewne znaleźć tłocznnię płyt, ale nie jestem pewny, czy

potrafimy je sprzedać. Nie chciałbym tracić czasu na kierowanie przedstawicielami handlowymi, nawet gdybym umiał to robić.

- Nie musisz tego robić. Niech duża firma nagraniowa zajmie się dystrybucją za procent od sprzedaży. Oni dostaną okruszki, a wy zgarniecie zyski.

- Tylko czy się na to zgodzą?

- To im się nie spodoba, ale pójdą na to, ponieważ nie mogą sobie pozwolić, żeby was stracić.

- Chyba tak.

Dave poczuł sympatię do tego sprytnego staruszka, pomimo jego kryminalnej przeszłości.

Lev jeszcze nie skończył.

- A co z honorariami za teksty? Sami piszecie wasze piosenki, prawda?

- Zwykle Walli i ja robimy to razem. - Zazwyczaj to Walli zapisywał utwory, ponieważ charakter pisma i ortografia Dave'a były tak okropne, że nikt nie mógł przeczytać tego, co napisał; jednak tworzyli swoje piosenki razem. - Mamy trochę dodatkowych dochodów za prawa autorskie do tekstów.

- Trochę? Powinny być spore. Założę się, że wasz wydawca zatrudnia zagranicznego agenta, który bierze swoją działkę.

- To prawda.

- Jeśli to sprawdzisz, odkryjesz, że ten zagraniczny agent też zatrudnia podwykonawcę i tak dalej. I wszyscy ci ludzie biorący swoje działki należą do tej samej firmy. Po tym, jak trzej czy czterej z nich wezmą swoje dwadzieścia pięć procent, ty dostajesz ochłapy. - Lev pokręcił głową z niesmakiem. - Załóż własną firmę wydawniczą. Nigdy nie zrobisz pieniędzy, jeśli nie będziesz tego kontrolował.

- Ile masz lat, Dave? - spytała Marga.

- Siedemnaście.

- Taki młody. Jednak przynajmniej wystarczająco mądry, żeby pilnować interesów.

- Chciałbym być mądrzejszy.

Po lunchu przeszli do baru.

- Twój wuj Greg przyjdzie wypić z nami kawę - oznajmił Lev. - To przyrodni brat twojej matki.

Dave pamiętał, że matka dobrze wyrażała się o Gregu. Za młodu popełnił kilka głupstw, mówiła, ale ona również. Greg był republikańskim senatorem, lecz wybaczyła mu nawet to.

- Mój syn Greg - dodała Marga - nigdy się nie ożenił, ale ma syna George'a.

- To taka publiczna tajemnica - rzekł Lev. - Nikt o tym nie wspomina, ale wszyscy w Waszyngtonie wiedzą. Greg nie jest jedynym kongresmenem mającym nieślubne dziecko.

Dave słyszał o George'u. Powiedziała mu o nim matka, a Jasper Murray nawet go spotkał. Dave uważał, że to fajnie mieć kolorowego kuzyna.

- A więc George i ja jesteśmy twoimi wnukami - podsumował.

- Tak.

- Właśnie idą tu obaj, Greg i George - powiedziała Marga.

Dave spojrział w stronę drzwi. Przez salę szedł mężczyzna w średnim wieku w eleganckim garniturze z szarej flaneli, wymagającym porządnego wyszczotkowania i odprasowania. Towarzyszył mu Murzyn około trzydziestki, w nienagannym ciemnoszarym moherowym garniturze i wąskim krawacie.

Podeszli do stolika. Obaj mężczyźni ucałowali Margę.

- Greg, to jest twój siostrzeniec Dave Williams - powiedział Lev. - George, poznaj swojego kuzyna z Anglii.

Usiedli. Dave zauważył, że George jest opanowany i pewny siebie, chociaż był jedynym czarnoskórym w lokalu. Murzyńskie gwiazdy rocka nosiły długie włosy, jak wszyscy w show-biznesie, ale George był krótko ostrzyżony, zapewne dlatego, że zajmował się polityką.

- No, tato - rzucił Greg - wyobrażałeś sobie kiedyś taką rodzinę?

- Posłuchaj - rzekł Lev - powiem ci coś. Gdybyś mógł cofnąć się w czasie i spotkał młodego Lva Peshkova mającego tyle lat, ile ma teraz Dave, i powiedział mu, jak będzie wyglądało jego życie, to wiesz, co by odparł? Oznajmiłby ci, że postradałeś rozum.

Tego wieczoru George zabrał Marię Summers na kolację z okazji jej dwudziestych dziewiątych urodzin.

Martwił się o nią. Maria zmieniła pracę i mieszkanie, ale jeszcze nie miała chłopaka. Mniej więcej raz w tygodniu wychodziła gdzieś z dziewczętami z Departamentu Sprawiedliwości, a od czasu do czasu z George'em, nie miała jednak życia osobistego. George obawiał się, że wciąż jest w żałobie. Od zamachu minęły już prawie dwa lata, ale niektórym ludziom potrzeba więcej czasu, żeby dojść do siebie po śmierci ukochanej osoby.

Jego uczucie do Marii zdecydowanie nie było braterskie. Od czasu tamtej podróży autobusem do Alabamy uważał ją za seksowną i pociągającą. Czuł do niej to samo co do żony Skipa Dickersona, która wydawała mu się piękna i czarująca. I tak jak żona jego najlepszego przyjaciela, Maria po prostu była nieosiągalna. Nie wątpił, że gdyby życie potoczyło się

inaczej, mógłby być jej szczęśliwym mężem. Jednak on miał Verenę, a Maria nikogo nie potrzebowała.

Poszli do Jockey Club. Maria miała na sobie szarą wełnianą suknię, ładną, lecz zwyczajną. Nie nosiła biżuterii i nie zdejmowała okularów. Jej fryzura była nieco staromodna. Miała śliczną buzię i zmysłowe usta, a co ważniejsze - dobre serce: mogłaby z łatwością znaleźć sobie mężczyznę, gdyby tylko spróbowała. Jednak ludzie zaczęli mówić, że jest karierowiczką, kobietą, dla której najważniejsza jest praca. George nie sądził, żeby to miało ją uszczęśliwić, i martwił się o nią.

- Właśnie dostałam awans - oznajmiła, gdy usiedli przy stoliku w restauracji.

- Gratuluję! - rzekł George. - Napijmy się szampana.

- Och nie, dziękuję. Jutro muszę pracować.

- To twoje urodziny!

- Pomimo to nie mogę. Może później wypiję kieliszek brandy, żeby szybciej zasnąć.

George wzruszył ramionami.

- No cóż, chyba twoja powaga wyjaśnia ten awans. Wiem, że jesteś inteligentna, zdolna i nadzwyczaj dobrze wykształcona, ale zwykle to się nie liczy, jeśli ktoś ma czarną skórę.

- Jak najbardziej. Dla kolorowych zdobycie wysokich stanowisk w rządzie zawsze graniczyło z niemożliwością.

- Dobrze, że przewyciężyłaś te uprzedzenia. To duże osiągnięcie.

- Odkąd odszedłeś z Departamentu Sprawiedliwości, sytuacja się zmieniła. Wiesz dlaczego? Rząd usiłuje nakłonić policję na Południu, żeby zatrudniała Murzynów, ale południowcy mówią: „Spójrzcie na swój personel: to sami biali!”. Tak więc władze są pod presją. Aby dowieść, że nie mają uprzedzeń, muszą awansować kolorowych.

- Pewnie uważają, że jeden przykład wystarczy.

Maria się roześmiała.

- Wielu tak uważa.

Zamówili. George rozmyślał o tym, że jemu i Marii udało się przełamać barierę uprzedzeń rasowych, ale to wcale nie oznaczało, że ona nie istnieje. Wprost przeciwnie, byli wyjątkami potwierdzającymi regułę.

Maria myślała o tym samym.

- Bobby Kennedy wydaje się w porządku - powiedziała.

- Kiedy go poznałem, twierdził, że prawa człowieka odwracają uwagę od ważniejszych spraw. Jednak ogromną zaletą Bobby'ego jest to, że w razie potrzeby potrafi dostrzec słuszność cudzych argumentów i zmienić zdanie.

- Jak sobie radzi?

- Za wcześnie, żeby powiedzieć - odparł wymijająco George.

Bobby został wybrany na senatora stanu Nowy Jork, a George był jednym z jego bliskich doradców. George uważał, że szef niezbyt dobrze przystosowuje się do swojej nowej roli. Przeszedł tyle zmian - był głównym doradcą swojego brata prezydenta, został odsunięty na boczny tor przez prezydenta Johnsona, a teraz zasiadł w Senacie - że mógł się pogubić.

- Powinien wypowiedzieć się przeciwko wojnie w Wietnamie! - Maria najwyraźniej bardzo się tym emocjonowała i George wyczuł, że zamierza go przeciągnąć na swoją stronę. - Prezydent Kennedy zmniejszał nasze zaangażowanie w Wietnamie i kilkakrotnie odmówił wysłania tam oddziałów wojska - powiedziała. - Natomiast Johnson, gdy tylko został prezydentem, wysłał tam trzy tysiące pięciuset marines, a Pentagon natychmiast poprosił o wysłanie kolejnych. W czerwcu zażądali wysłania stu siedemdziesięciu pięciu tysięcy żołnierzy, a generał Westmoreland stwierdził, że to zapewne nie wystarczy! Tymczasem Johnson przez cały czas kłamie w tej sprawie.

- Wiem. Bombardowanie Wietnamu Północnego miało sprowadzić Ho Szi Mina do stołu rokowań, lecz najwyraźniej jeszcze usztywniło stanowisko komunistów.

- Dokładnie tak jak przewidział to Pentagon w wyniku przeprowadzonych symulacji.

- Naprawdę? Nie sądzę, żeby Bobby o tym wiedział.

George zamierzał jutro przekazać mu tę informację.

- Nie jest to powszechnie znany fakt, ale przeprowadzili dwie symulacje rozwoju wydarzeń po bombardowaniu Wietnamu Północnego. Obie dały ten sam wynik: nasilenie ataków Wietkongu na południu.

- Czyli dokładnie taką spiralę niepowodzeń i eskalacji konfliktu, jakiej obawiał się Jack Kennedy.

- A najstarszy syn mojego brata wkrótce osiągnie wiek poborowy. - Mina Marii zdradzała obawę o bratanka. - Nie chcę, żeby Stevie został zabity! Dlaczego senator Kennedy nic nie mówi?

- Wie, że to nie przysporzy mu popularności.

Maria nie chciała tego zaakceptować.

- Czyżby? Ludziom nie podoba się ta wojna.

- Ludziom nie podobają się politycy, którzy osłabiają nasze siły, krytykując wojnę.

- Robert Kennedy nie może pozwolić, żeby opinia publiczna dyktowała mu, co ma robić.

- Jeśli jednak ją zignoruje, nie pozostanie długo w polityce, nie w demokracji.

Rozczarowana Maria podniosła głos.

- Zatem nikt nie może sprzeciwić się prowadzeniu wojny?

- Może dlatego jest ich tak wiele.

Przyniesiono im zamówione dania i Maria zmieniła temat.

- Co u Vereny?

George uważał, że zna się z Marią dostatecznie dobrze, żeby być szczerym.

- Uwielbiam ją - powiedział. - Zatrzymuje się w moim mieszkaniu, ilekroć przyjeżdża do miasta, czyli mniej więcej raz w miesiącu. Jednak nie wygląda na to, żeby chciała stałego związku.

- Gdyby związała się z tobą na stałe, musiałyby zamieszkać w Waszyngtonie.

- Czy to takie złe?

- Ma pracę w Atlancie.

George nie widział w tym żadnego problemu.

- Większość kobiet mieszka tam, gdzie pracują ich mężowie.

- Świat się zmienia. Jeśli Murzyni mogą mieć równe prawa, to dlaczego nie kobiety?

- Och, daj spokój! - z oburzeniem rzekł George. - To nie to samo.

- Z pewnością. Seksizm jest gorszy. Kobiety, czyli połowa ludzkości, to niewolnice.

- Niewolnice?

- Pomyśl, ile gospodyń domowych ciężko pracuje przez cały dzień i nie otrzymuje za to zapłaty! W wielu częściach świata kobieta, która porzuca męża, może być aresztowana i sprowadzona do domu przez policję. Ktoś, kto pracuje za darmo i nie może porzucić pracy, jest niewolnikiem, George.

Ten spór rozżłościł George'a, tym bardziej że Maria w jakimś sensie wygrywała. Jednak dostrzegł okazję, by poruszyć temat, który naprawdę go niepokoił.

- Czy to dlatego jesteś samotna? - zapytał.

Maria się stropiła.

- Częściowo tak - odparła, nie patrząc mu w oczy.

- Jak myślisz, kiedy znów będziesz mogła chodzić na randki?

- Chyba niebawem.

- Nie masz na to ochoty?

- Mam, ale ciężko pracuję i nie zostaje mi wiele wolnego czasu.

George nie kupował tego wyjaśnienia.

- Uważasz, że nikt nie dorówna mężczyźnie, którego straciłaś.

Nie zaprzeczyła.

- A myślę się? - zapytała.
- Uważam, że mogłabyś znaleźć kogoś, kto byłby dla ciebie miłszy niż on. Kogoś mądrego, seksownego, a ponadto wiernego.
- Może.
- Poszłabyś na randkę w ciemno?
- Mogłabym.
- Wołałabyś, żeby był czarny czy biały?
- Czarny. Umawianie się z białymi facetami to zbyt duży kłopot.
- W porządku. - George pomyślał o Leopoldzie Montgomerym, reporterze. Jednak jeszcze tego nie mówił. - Jaki był twój stek?
- Rozpływał się w ustach. Dziękuję, że mnie tu zaprosiłeś. I że pamiętałeś o moich urodzinach.
- Zjedli deser, a potem pili brandy i kawę.
- Mam białego kuzyna - oznajmił George. - Co ty na to? Dave Williams. Poznałem go dzisiaj.
- Jak to możliwe, że nie spotkaliście się wcześniej?
- To angielski piosenkarz. Jest tu ze swoim zespołem Plum Nellie.
- Maria nigdy o nich nie słyszała.
- Dziesięć lat temu znałam każdą pozycję na liście przebojów. Czy ja się starzeję?
- George się uśmiechnął.
- Dziś kończysz dwadzieścia dziewięć lat.
- Tylko rok do trzydziestki! Gdzie się podziały te lata?
- Ich wielki przebój jest zatytułowany *Tęsknię za tobą, Alicia*.
- Ach tak, słyszałam tę piosenkę w radiu. Zatem twój kuzyn jest członkiem tego zespołu?
- Tak.
- Spodobał ci się?
- Owszem. Jest młody, jeszcze nie ma osiemnastu lat, wydaje się jednak dojrzały i w dodatku oczarował naszego zrzędlivego rosyjskiego dziadka.
- Widziałeś jego występ?
- Nie. Zaproponował mi darmowy bilet, ale są w mieście tylko dziś wieczorem, a ja już byłem umówiony.
- Och, George, mogłeś odwołać nasze spotkanie.
- W twoje urodziny? Do licha, nie.

Poprosił o rachunek.

Odwiózł ją do domu swoim staromodnym mercedesem. Przeprowadziła się do większego mieszkania w Georgetown.

Z zaskoczeniem zobaczyli stojący przed budynkiem policyjny radiowóz z migającym kogutem.

George podprowadził Marię do drzwi. Stał przed nimi biały policjant.

- Czy coś się stało, panie władzo? - zapytał George.

- Dziś wieczorem włamano się do trzech mieszkań w tym budynku - odparł policjant. - Mieszkają tu państwo?

- Ja tu mieszkam! - powiedziała Maria. - Czy włamano się pod czwórkę?

- Zobaczmy.

Weszli do budynku. Drzwi mieszkania Marii były wyważone. Błada jak ściana weszła do środka. George i policjant szli za nią.

Maria rozejrzała się ze zdziwieniem.

- Wszystko wygląda tak, jak było. - A po sekundzie dodała: - Tylko szuflady są otwarte.

- Musi pani sprawdzić, co zginęło.

- Nie posiadam niczego, co warto byłoby ukraść.

- Najczęściej biorą pieniądze, biżuterię, alkohol i broń palną.

- Zegarek i pierścionek mam na rękę, nie piję i na pewno nie posiadam broni. - Weszła do kuchni, a George patrzył przez otwarte drzwi. Otworzyła puszkę po kawie. - Miałam tu osiemdziesiąt dolarów - powiedziała policjantowi. - Zniknęły.

Zapisał w notesie.

- Dokładnie osiemdziesiąt?

- Trzy dwudziestki i dwie dziesiątki.

Zostało jeszcze jedno pomieszczenie. George przeszedł przez salon i otworzył drzwi sypialni.

- O mój Boże - westchnął.

Teraz zrozumiał, dlaczego nie chodziła na randki.

Maria odwróciła głowę zawstydzona.

Policjant minął George'a i wszedł do sypialni.

- Ojej! - wykrzyknął. - Ma tu pani chyba ze sto zdjęć prezydenta Kennedy'ego. Pewnie była pani jego wielbicielek, prawda?

Maria zmusiła się do odpowiedzi.

- Tak - wykrztusiła. - Wielbicielek.



- Chcę powiedzieć, że te świece, kwiaty i wszystko... to zdumiewające.

George odwrócił się plecami do sypialni.

- Mario, przepraszam, że zajrzałem - rzekł cicho.

Pokręciła głową na znak, że nie musi przepraszać: to był przypadek. Jednak George wiedział, że wtargnął do tajemnego, świętego miejsca. Miał ochotę dać sobie kopniaka.

Policjant nadal mówił:

- To niemal jak... jak to nazywają w Kościele katolickim? Kapliczka, tak na to mówią.

- Właśnie - powiedziała Maria. - Kapliczka.

Program This Day był nadawany przez sieć stacji telewizyjnych i radiowych, z których część mieściła się w wieżowcu w centrum miasta. W dziale kadr pracowała atrakcyjna kobieta w średnim wieku, niejaka pani Salzman, która dała się oczarować Jasperowi Murrayowi. Skrzyżowała swoje zgrabne nogi i patrząc łobuzersko znad okularów w niebieskich oprawkach, nazywała go panem Murrayem. On zapalał jej papierosy i nazywał Niebieskooką.

Współczuła mu. Przybył aż z Wielkiej Brytanii w nadziei zdobycia posady, która nie istniała. Producenci This Day nie zatrudniali początkujących: wszyscy pracownicy byli doświadczonymi reporterami, reżyserami, kamerzystami i researcherami. Niektórzy z nich osiągnęli naprawdę wiele w swoich zawodach. Nawet sekretarki były weterankami. Jasper na próżno protestował, że nie jest początkujący: wydawał własną gazetę. „Prasa studencka się nie liczy”, powiedziała mu pani Salzman, ociekając współczuciem.

Nie mógł wrócić do Londynu; byłoby to zbyt upokarzające. Zrobi wszystko, żeby pozostać w USA. Do tej pory jego posadę w „Western Mail” z pewnością objął już ktoś inny.

Błagał panią Salzman, żeby znalazła mu jakąś pracę, jakąkolwiek, obojętnie jak mało ważną, w sieci, do której należał program This Day. Pokazał jej zieloną kartę uzyskaną w Ambasadzie Amerykańskiej w Londynie, co oznaczało, że ma pozwolenie na szukanie pracy w Stanach. Kazała mu wrócić za tydzień.

Zatrzymał się w międzynarodowym hostelu studenckim w Lower East Side, płacąc dolara za noc. Przez tydzień zwiedzał Nowy Jork, cały czas pieszo, żeby zaoszczędzić. Potem wrócił do pani Salzman, przynosząc jej różę.

A ona dała mu pracę.

To było naprawdę podrzędne stanowisko. Został asystentem w miejscowej rozgłośni radiowej. Jego zadaniem było słuchanie radia przez cały dzień i zapisywanie wszystkiego, co się działo: jakie reklamy nadano, które utwory puszczano, z kim przeprowadzano wywiady,

ile trwały biuletyny wiadomości, prognozy pogody i raporty o sytuacji na drogach. To nie przeszkadzało Jasperowi. Wetknął stopę w drzwi. Pracował w Ameryce.

Dział kadr, rozgłośnia radiowa i studio This Day mieściły się w tym samym wieżowcu i Jasper miał nadzieję osobiście poznać ludzi pracujących przy tym programie, ale to nigdy się nie stało. Byli elitarną grupą, tworzącą zamknięty krąg.

Pewnego ranka Jasper znalazł się w windzie z Herbem Gouldem, szefem This Day, około czterdziestoletnim mężczyzną z wiecznym cieniem zarostu na brodzie. Jasper się przedstawił.

- Jestem gorącym wielbicielem pańskiego programu - powiedział.

- Dziękuję - odparł uprzejmie Gould.

- Marzę o tym, żeby dla pana pracować - ciągnął Jasper.

- Nikogo teraz nie potrzebujemy - rzekł Gould.

- Któregoś dnia, gdyby miał pan czas, chętnie pokazałbym panu moje artykuły do brytyjskich gazet. - Winda się zatrzymała. Jasper rozpaczliwie dodał: - Napisałem...

Gould uciszył go, unosząc dłoń, i wysiadł z windy.

- Mimo to dziękuję - powiedział i odszedł.

Kilka dni później Jasper siedział przy maszynie do pisania ze słuchawkami na głowie, gdy usłyszał głos złotoustego Chrisa Gardniera, gospodarza przedpołudniowego programu, który mówił:

- Brytyjski zespół Plum Nellie jest dziś w mieście i daje koncert z All-Star Touring Beat Reveu. - Jasper nadstawił uszu. - Mieliśmy nadzieję przeprowadzić dla was wywiad z tymi chłopcami, których nazywa się nowymi Beatlesami, lecz ich sponsor powiedział, że nie mają czasu. Zamiast tego posłuchajcie najnowszego przeboju grupy, napisanego przez Dave'a i Wallego, *Żegnaj, Londynie*.

Gdy puszczone nagranie, Jasper zerwał z głowy słuchawki, wyskoczył zza swojego biureczka w małym boksie i poszedł do studia.

- Mogę zdobyć wywiad z Plum Nellie - oświadczył.

Gardner miał głos gwiazdora filmowego zawsze grającego role amantów, lecz w rzeczywistości był poczciwie wyglądającym mężczyzną z łupieżem na kołnierzu swetra.

- W jaki sposób, Jasperze? - zapytał sceptycznie.

- Znam członków tego zespołu. Wychowałem się z Dave'em Williamsem. Nasze matki są najlepszymi przyjaciółkami.

- Czy możesz ściągnąć Plum Nellie do studia?

Jasper zapewne mógłby to zrobić, ale nie chciał.

- Nie - odparł. - Jednak jeśli dostanę mikrofon i magnetofon reporterski, to gwarantuję, że przeprowadzę z nimi wywiad w ich garderobie.

Było trochę biurokratycznego zamieszania, gdyż dyrektor stacji niechętnie zezwolił na wyniesienie drogiego magnetofonu z budynku, ale o szóstej wieczorem Jasper był w kulisach teatru, w którym występowali Plum Nellie.

Chris Gardner chciał nie więcej niż kilka minut szczerzej rozmowy z zespołem: jak im się podobają Stany, co myślą o dziewczętach wrzeszczących na ich koncertach, czy tęsknią za domem. Jednak Jasper miał nadzieję dać rozgłośni coś więcej. Chciał, by ten wywiad stał się jego przepustką do prawdziwej pracy w telewizji. To musiała być sensacja, która wstrząśnie Ameryką.

Najpierw nagrywał ich wszystkich razem, zadając typowe pytania, rozmawiając o początkach grupy w Londynie, żeby się odprężyli. Powiedział im, że stacja chce pokazać, jakimi są ludźmi, co w dziennikarskim żargonie oznaczało niedyskretne pytania osobiste, lecz chłopcy byli zbyt młodzi, żeby o tym wiedzieć. Rozmawiali z nim szczerze, wszyscy poza Dave'em, który był ostrożny, być może pamiętając zamieszanie wywołane artykułem Jaspера o Evie i Hanku Remingtonie. Pozostali obdarzyli go sporym zaufaniem. Musieli się dopiero nauczyć, że żadnemu dziennikarzowi nie można ufać.

Potem poprosił ich o indywidualne wywiady. Zaczął od Dave'a, wiedząc, że jest liderem zespołu. Potraktował go łagodnie, unikając wścibskich pytań i nie kwestionując żadnych odpowiedzi. Dave ze spokojną miną wrócił do garderoby, co dodało pozostałym pewności siebie.

Jasper zostawił Wallego na koniec.

To on miał do opowiedzenia ciekawą historię. Tylko czy się otworzy? Do tego zmierzały wszystkie przygotowania Jaspера.

Jasper ustawił ich krzesła blisko siebie i mówił do Wallego ściszym głosem, żeby wytworzyć złudzenie prywatności, chociaż ich słowa miały usłyszeć miliony ludzi. Obok krzesła Wallego postawił popielniczkę, żeby zachęcić go do zapalenia papierosa, domyślając się, że dzięki temu poczuje się swobodniej. Walli zapalił.

- Jakim byłeś dzieckiem? - zapytał Jasper, uśmiechając się, jakby to była nieznaczająca pogawędka.

Walli się uśmiechnął.

- Niegrzecznym - odparł i roześmiał się.

Zapowiadało się niezłe.

Walli mówił o swoim dzieciństwie w powojennym Berlinie i wczesnym

zainteresowaniu muzyką, a potem o klubie Minnesänger, w którym zajął drugie miejsce w konkursie. To w naturalny sposób doprowadziło do rozmowy o Karolin, gdyż tamtego wieczoru ona i Walli się zeszli. Walli z pasją mówił o nich dwojgu jako o muzycznym duecie, rozwodził się o doborze utworów i sposobie, w jaki razem występowali. Było oczywiste, że bardzo ją kocha, chociaż tego nie powiedział.

To był doskonały materiał, o wiele lepszy od przeciętnego wywiadu z gwiazdą muzyki rozrywkowej, ale Jasperowi nie wystarczał.

- Dobrze się razem bawiliście, graliście dobrą muzykę i mieliście zadowolonych słuchaczy - rzekł Jasper. - Co się stało?

- Zaśpiewaliśmy *If I Had a Hammer*.

- Wyjaśnij mi, dlaczego to był błąd.

- Policji się to nie spodobało. Ojciec Karolin bał się, że przez nas straci pracę, więc kazał jej przestać.

- Swoją muzykę mogłeś grać tylko na Zachodzie.

- Tak - odparł krótko Walli.

Jasper wyczuł, że chłopak próbuje zatamować powódź wspomnień.

I rzeczywiście, po chwili wahania oświadczył:

- Nie chcę zbyt wiele mówić o Karolin, ponieważ mogłaby mieć przez to kłopoty.

- Nie sądzę, żeby wschodniemiecka tajna policja słuchała naszej rozgłośni - rzucił z uśmiechem Jasper.

- Nie, a jednak...

- Zapewniam cię, że nie nadamy niczego ryzykownego.

Ta obietnica była bezwartościowa, ale Walli ją zaakceptował.

- Dziękuję - powiedział.

Jasper szybko to wykorzystał.

- Zdaje się, że uciekając, zabrałeś ze sobą tylko gitarę.

- Zgadza się. To była nagle decyzja.

- Ukradłeś pojazd...

- Woziłem perkusję lidera zespołu. Skorzystałem z jego busa.

Jasper wiedział, że ta historia, chociaż roztrąbiona przez niemiecką prasę, nie była powszechnie znana w Stanach Zjednoczonych.

- Pojechałeś na przejście graniczne...

- I staranowałem drewniany szlaban.

- A strażnicy do ciebie strzelali.

Walli tylko kiwnął głową.

Jasper zniżył głos..

- Bus potrącił strażnika.

Walli znów skinął głową. Jasper miał ochotę wrzasnąć na niego: „To jest radio, więc nie kiwaj głową!”.

- I...

- I zginął - rzekł w końcu Walli. - Zabiłem tego faceta.

- Jednak on próbował zabić ciebie.

Walli pokręcił głową, jakby Jasper nic nie rozumiał.

- Był w moim wieku - powiedział. - Później czytałem o nim w gazetach. Miał dziewczynę...

- I to jest dla ciebie ważne...

Walli znowu skinął głową.

- Co to oznacza? - zapytał Jasper.

- Był do mnie podobny - odparł Walli. - Tylko że ja lubiłem gitarę, a on lubił broń.

- Jednak pracował dla reżimu, który więził cię w Niemczech Wschodnich.

- Obaj byliśmy chłopcami. Ja uciekałem, ponieważ musiałem. On strzelał do mnie, bo musiał. To mur berliński jest złem.

Był to tak wspaniały tekst, że Jasper z trudem skrywał podniecenie. W myślach pisał artykuł, który zaoferuje tabloidowi „New York Post”. Już widział nagłówek: Skrywana udreka Wallego, gwiazdy rocka. Jednak chciał jeszcze więcej.

- Karolin nie uciekła z tobą.

- Nie przyszła. Nie miałem pojęcia dlaczego. Byłem taki rozczarowany, nie mogłem tego zrozumieć. Ale i tak uciekłem.

Pod wpływem bólu wywołanego tym wspomnieniem Walli zapomniał o ostrożności.

Jasper znów go podpuszczał.

- Jednak wróciłeś po nią.

- Poznałem ludzi, którzy kopali tunel dla uciekinierów. Musiałem się dowiedzieć, dlaczego się nie zjawiała. Dlatego przeszedłem przez tunel na drugą stronę, na Wschód.

- To było niebezpieczne.

- Gdyby mnie schwytano, tak.

- I spotkałeś się z Karolin, a wtedy...

- Powiedziała mi, że jest w ciąży.

- I nie chciała z tobą uciec.

- Bała się o dziecko.
- Alicię.
- Ma na imię Alice. Zmieniłem je w piosence. Żeby się rymowało.
- Rozumiem. I jaka jest teraz twoja sytuacja, Walli?
- Karolin nie dostanie pozwolenia na opuszczenie Niemiec Wschodnich, nawet na krótko, a ja nie mogę tam wrócić.
- A więc jesteście rodziną rozdzieloną przez mur berliński.
- Tak. - Z gardła Wallego wyrwał się szloch. - Mogę nigdy nie zobaczyć Alice. Mam cię, pomyślał Jasper.

Dave Williams nie widział Beep Dewar od czasu jej pobytu w Londynie przed czterema laty. Pragnął znowu ją zobaczyć. Ostatni koncert miał się odbyć w San Francisco, gdzie mieszkała Beep. Dave dostał adres Dewarów od matki i wysłał im cztery bilety oraz zaproszenie za kulisy po występie. Nie mogli odpowiedzieć, ponieważ zespół każdego dnia był w innym mieście, tak więc nie wiedział, czy się zjawią.

Już nie sypiał z Mandy Love - czego żałował. Wiele go nauczyła, włącznie z seksem oralnym. Jednak nigdy nie czuła się naprawdę dobrze, pokazując się z białym Anglikiem, i teraz wróciła do swojego stałego kochanka, piosenkarza Love Factory. Dave myślał, że zapewne pobiorą się po zakończeniu trasy koncertowej.

Po niej Dave nie miał żadnej dziewczyny.

Teraz już wiedział, jaki rodzaj seksu lubi, a jakiego nie. Dziewczyny w łóżku bywały namiętne, wyuzdane, uduchowione, słodko bierne lub praktyczne. Dave był najszczęśliwszy, gdy okazywały się chętne do zabawy.

Przeczuwał, że Beep byłaby chętna do zabawy.

Zadawał sobie pytanie, co się stanie, jeśli Beep zjawi się tego wieczoru.

Pamiętał ją jako trzynastolatkę palącą chesterfieldy w ogrodzie przy Great Peter Street. Była śliczna i filigranowa, i bardziej seksowna, niż powinna być w tym wieku. Dla trzynastoletniego Dave'a, pobudzonego hormonami nastolatka, była niemożliwie pociągająca. Oszalał na jej punkcie. Jednak chociaż miło spędzali czas, nie była nim zainteresowana. Ku jego bezgranicznej frustracji wołała starszego Jasperra Murraya.

Wrócił myślami do Jasperra. Walli był zły, kiedy wywiad nadano przez radio. Jeszcze gorszy był artykuł Murraya w „New York Post”, zatytułowany: Mogę nigdy nie zobaczyć mojego dziecka - mówi ojciec, gwiazda muzyki pop.

Walli bał się, że ten rozgłos może przysporzyć kłopotów Karolin w Niemczech

Wschodnich. Dave przypomniał sobie wywiad Jaspera z Evie i zanotował w pamięci, żeby nigdy nie wierzyć w ani jedno słowo Jaspera.

Zastanawiał się, jak bardzo Beep zmieniła się przez cztery lata. Mogła być wyższa albo grubsza. Czy wciąż będzie dla niego nieodparcie pociągająca? Czy okaże mu więcej zainteresowania teraz, gdy jest starszy?

Oczywiście, mogła mieć chłopaka. Może wybierze się z nim gdzieś tego wieczoru, zamiast przyjść na koncert.

Przed występem zespół miał parę godzin, żeby zwiedzić okolicę. Szybko się zorientowali, że San Francisco jest najfajniejszym z miast. Było pełne młodych ludzi w ekstremalnie modnych ciuchach. Minispódniczki wyszły z mody. Dziewczyny nosiły suknie do ziemi, kwiaty we włosach i dzwoneczki pobrzękujące, gdy się poruszały. Mężczyźni zapuszczali włosy dłuższe niż gdziekolwiek indziej, nawet w Londynie. Niektórzy czarnoskórzy obojga płci mieli wielkie chmury loczków, które wyglądały naprawdę zdumiewająco.

Miasto najbardziej spodobało się Wallemu. Powiedział, że czuje, iż tutaj mógłby robić wszystko. San Francisco było skrajnym przeciwieństwem Berlina Wschodniego.

Koncert Beat Revue składał się z występów dwunastu zespołów. Większość wykonywała dwie lub trzy piosenki, po czym schodziła ze sceny. Najdłuższy występ trwał dwadzieścia minut. Plum Nellie był na tyle znanym zespołem, żeby dostać ostatnie piętnaście minut pierwszej połowy, w ciągu których grali pięć krótkich utworów. Nie wozili ze sobą wzmacniaczy: korzystali z tego, co było dostępne na miejscu, często z prymitywnych głośników przeznaczonych dla komentatorów sportowych. Audytorium, złożone niemal z samych nastoletnich dziewcząt, wrzeszczało przez cały czas, tak że zespół sam się nie słyszał. Co nie miało większego znaczenia, bo i tak nikt nie słuchał.

Dreszczyk emocji wywołany pracą w USA powoli mijał. Zespół był znudzony i niecierpliwie czekał na powrót do Londynu, gdzie mieli nagrać nowy album.

Po występie wrócili za kulisy. Występowali w teatrze, więc ich garderoba była dość duża, a toaleta czysta, w przeciwieństwie do tych w klubach muzycznych Londynu i Hamburga. Jedynym dostępnym napojem był darmowy dr pepper sponsora, ale portier zwykle chętnie posyłał kogoś po piwo.

Dave powiedział chłopakom, że przyjaciele jego rodziców mogą przyjść za kulisy, więc mają się zachowywać. Wszyscy jęknęli: to oznaczało żadnych prochów i obmacywania fanek, dopóki starsi sobie nie pójdą.

W trakcie drugiej połowy koncertu Dave poszedł do portiera i podał mu nazwiska

swoich gości: pan Woody Dewar, pani Bella Dewar, pan Cameron Dewar i panna Ursula „Beep” Dewar.

Piętnaście minut po zakończeniu koncertu pojawili się w drzwiach jego garderoby.

Dave z przyjemnością zobaczył, że Beep prawie się nie zmieniła. Wciąż była filigranowa, nie wyższa niż w wieku trzynastu lat, chociaż miała pełniejsze kształty. Włożyła dżinsy, które ciasno opinały jej biodra, ale ich nogawki rozszerzały się poniżej kolan zgodnie z najnowszą modą, oraz dopasowany sweterek w szerokie niebieskie i białe pasy.

Czy wystroiła się tak dla Dave’a? Niekoniecznie. Która nastolatka nie wystroi się, idąc za kulisy po koncercie?

Uściskał dłonie całej czwórki gości i przedstawił ich pozostałym członkom zespołu. Obawiał się, że koledzy mogą narobić mu wstydu, zachowywali się jednak wzorowo. Każdy z nich czasem zapraszał gości z rodziny, więc wszyscy starali się hamować w obecności starszych krewnych i znajomych rodziców.

Dave musiał się powstrzymywać, żeby cały czas nie gapić się na Beep. Wciąż miała ten błysk w oku. Mandy Love także. Ludzie nazywali to seksapilem lub *je ne sais quoi*, albo po prostu „tym”. Beep uwodziła psotnym uśmiechem, rozkołysanym krokiem i ogromną ciekawością świata. Dave poczuł równie nieodparte pożądanie jak wtedy, kiedy był trzynastoletnim prawiczkiem.

Starął się rozmawiać z Cameronem, który był dwa lata starszy od Beep i już studiował na Uniwersytecie Kalifornijskim w Berkeley, niedaleko San Francisco. Jednak Cam był trudnym rozmówcą. Popierał wojnę w Wietnamie, uważał, że prawa obywatelskie należy wprowadzać stopniowo, a zachowania homoseksualne powinny pozostać przestępstwem. Ponadto wołał jazz.

Dave poświęcił Dewarom piętnaście minut.

- To jest nasz ostatni koncert na tym objeździe - powiedział, gdy już mieli się żegnać. - Za kilka minut zaczyna się wieczorek pożegnalny w hotelu. Beep i Cam, czy chcielibyście przyjść?

- Ja nie - natychmiast odpowiedział Cam. - Mimo to dziękuję.

- Szkoda - odparł uprzejmie i nieszczerze Dave. - A ty, Beep?

- Chętnie bym się wybrała... - Beep popatrzyła na matkę.

- Bądź w domu przed północą - powiedziała Bella.

- Proszę, wróć taksówką tej korporacji, z której stale korzystamy - dodał Woody.

- Dopilnuję tego - zapewnił ich Dave.

Państwo Dewarowie i Cameron wyszli, a muzycy ze swoimi gośćmi wsiedli do



autobusu, który zawiózł ich do hotelu.

Przyjęcie było w hotelowym barze, ale Dave już w holu szepnął Beep do ucha:

- Próbowałaś kiedyś palić marihuanę?
- Mówisz o trawce? - odparła. - No pewnie!
- Nie tak głośno, to wbrew prawu!
- Masz trochę?
- Tak. Chyba powinniśmy zapalić w moim pokoju. Potem wrócimy na przyjęcie.
- W porządku.

Poszli do jego pokoju. Dave przygotował skręta, a Beep znalazła w radiu stację nadającą muzykę. Usiedli na łóżku i dzielili się skrętem. Dave się odprężył.

- Kiedy mieszkałaś w Londynie... - zaczął z uśmiechem.
- Co?
- Nie byłaś mną zainteresowana.
- Lubiłam cię, ale byłeś za młody.
- To ty byłaś za młoda na te rzeczy, które chciałem z tobą robić.

Uśmiechnęła się łobuzersko.

- A co chciałeś ze mną robić?
- Lista była długa.
- Co umieściłeś na pierwszym miejscu?
- Na pierwszym? - Dave nie zamierzał jej tego zdradzać. A potem pomyślał: dlaczego nie? I powiedział: - Chciałem zobaczyć twoje cycki.

Oddała mu skręta i szybkim ruchem ściągnęła sweterek przez głowę. Nie miała nic pod spodem.

Dave był zdumiony i uradowany. Od samego patrzenia dostał wzvodu.

- Są takie piękne - powiedział.
- Owszem, są - potwierdziła z rozmarzeniem. - Są takie ładne, że czasem sama muszę ich dotykać.
- O mój Boże - jęknął Dave.
- Wróćmy do twojej listy. Co było na drugim miejscu?

Dave przesunął swój powrót o tydzień i został w tym hotelu. Codziennie spotykał się z Beep po szkole, a w sobotę i niedzielę spędził z nią cały dzień. Chodzili do kina, kupowali modne ciuchy i spacerowali po ogrodzie zoologicznym. Kochali się dwa lub trzy razy dziennie, zawsze używając prezerwatywy.

- Zdejmij dzinsy - powiedziała mu jednego wieczoru, kiedy się rozbierał.

Spojrzał na nią, leżącą na hotelowym łóżku tylko w majteczkach i dzinsowej czapeczce.

- O czym ty mówisz?

- Dziś wieczór jesteś moim niewolnikiem. Rób, co ci każe. Zdejmij dzinsy.

Właśnie je ściągał i już miał to powiedzieć, kiedy zrozumiał, że to jej fantazja. Ta myśl rozbawiła go i postanowił podjąć tę grę. Udał, że się opiera.

- Och, czy muszę?

- Musisz robić wszystko, co mówię, ponieważ należysz do mnie - oświadczyła. - Zdejmuj te przeklęte dzinsy.

- Tak, proszę pani - rzekł Dave.

Usiadła na łóżku, obserwując go. Dostrzegł jej lubieżny uśmiešek.

- Bardzo dobrze - pochwaliła.

- Co mam zrobić teraz? - spytał.

Już wiedział, dlaczego tak szalał za Beep, zarówno jako trzynastolatek, jak i dziś. Niektóre dziewczyny nudziły go po dwóch razach. Miał wrażenie, że nigdy nie znudziłby się Beep.

Kochali się, przy czym Dave udawał, że niechętnie robi to, co mu kazała. To było niesamowicie podniecające.

- Skąd się wziął twój przydomek? - zapytał niedbale już po wszystkim.

- Nie mówiłam ci?

- Nie. Jest tyle rzeczy, których o tobie nie wiem. A jednak mam wrażenie, że znamy się od wielu lat.

- Kiedy byłam mała, miałam samochód zabawkę, taki, w którym się siada i pedałuje. Nawet tego nie pamiętam, ale podobno go kochałam. Jeździłam nim godzinami, wołając: „Beep! Beep!”.

Ubrali się i poszli na hamburgery. Dave patrzył, jak Beep je swojego, obserwował sos cieknący jej po brodzie i uświadomił sobie, że jest zakochany.

- Nie chcę wracać do Londynu - powiedział.

Przełknęła.

- To zostań.

- Nie mogę. Plum Nellie musi nagrać nowy album. Potem mamy koncerty w Australii i Nowej Zelandii.

- Uwielbiam cię. - Westchnęła. - Kiedy odjedziesz, będę płakała. Jednak nie popsuję dzisiejszego dnia, martwiąc się o jutrzejszy. Zjedz swojego hamburgera. Potrzebujesz protein.

- Czuję, że jesteśmy bratnimi duszami. Wiem, co mówię. Jestem młody, ale miałem wiele innych dziewczyn.

- Nie przechwalajmy się. Ja też mam powodzenie.

- Nie chciałem się przechwalać. Nie jestem z tego dumny, bo to zbyt łatwe, kiedy się jest piosenkarzem. Próbuję wyjaśnić tobie i sobie, dlaczego jestem tego taki pewny.

Zanurzyła frytkę w keczupie.

- Pewny czego?

- Tego, że chcę, by to był stały związek.

Znieruchomiała z frytką w pół drogi do ust, a potem odłożyła ją na talerz.

- Co chcesz powiedzieć?

- Chcę, żebyśmy zawsze byli razem. Chcę, żebyśmy byli ze sobą.

- Byli ze sobą... jak?

- Beep - powiedział.

- Wciąż tu jestem.

Wyciągnął rękę nad stołem i ujął jej dłoń.

- Co ty na to, żebyśmy się pobrali?

- O mój Boże - sapnęła.

- Wiem, że to szaleństwo, wiem.

- To nie szaleństwo - odparła. - Jednak to wszystko dzieje się tak nagle.

- Czy to oznacza, że chcesz? Wyjść za mąż?

- Masz rację. Jesteśmy bratnimi duszami. Nigdy się tak dobrze nie bawiłam z żadnym chłopakiem.

Nadal nie odpowiedziała na jego pytanie.

- Kocham cię - powiedział powoli i wyraźnie. - Wyjdiesz za mnie?

Wahała się długą chwilę, zanim odpowiedziała.

- Do diabła, tak.

- Nawet mnie nie proście - oświadczył Woody Dewar z rozdrażnieniem. - Nie pobierzecie się.

Miał na sobie tweedową marynarkę, koszulę zapiętą pod szyją i krawat. Dave robił wszystko, by nie dać się zastraszyć temu wysokiemu mężczyźnie.

- Skąd wiedziałeś? - spytała Beep.

- To nieistotne.

- Powiedział ci ten świr, mój brat - fuknęła Beep. - Chyba ociptałam, że mu się

zwierzyłam.

- Nie musisz się tak wulgarnie wyrażać.

Znajdowali się w salonie wiktoriańskiej rezydencji Dewarów przy Gough Street, w dzielnicy Nob Hill. Ładne stare meble i drogie, ale wyblakłe zasłony przypominały Dave'owi dom przy Great Peter Street. On i Beep siedzieli razem na obitej czerwonym aksamitem kanapie, Bella w skórzanym fotelu, a Woody stał przed kominkiem z rzeźbionego kamienia.

- Wiem, że to nagłe - rzekł Dave - ale mam zobowiązania: nagrania w Londynie, koncerty w Australii i nie tylko.

- Nagłe? - powtórzył Woody. - To kompletnie nieodpowiedzialne! Sam fakt, że możesz proponować coś takiego po tygodniu znajomości, dowodzi, że nie jesteś dostatecznie dojrzały, by się żenić.

- Nie chcę się przechwalać - odparł Dave - ale zmusza mnie pan, bym przypomniiał, że od dwóch lat jestem samodzielny, przez ten czas stworzyłem z niczego biznes wart wiele milionów i chociaż nie jestem tak bogaty, jak ludzie sobie wyobrażają, mogę zapewnić pańskiej córce życie na odpowiedniej stopie.

- Beep ma dopiero siedemnaście lat! I ty także. Nie może wyjść za mąż bez mojego pozwolenia, a ja go nie daję. I założę się, że Lloyd i Daisy powiedzą ci to samo, młodzieńcze.

- W niektórych stanach można zawrzeć małżeństwo w wieku osiemnastu lat - przypomniała Beep.

- Nawet się do nich nie zbliżysz.

- A co zrobisz, tato, zamkniesz mnie w klasztorze?

- Grozisz ucieczką z domu?

- Ja tylko przypominam, że koniec końców tak naprawdę nie jesteś w stanie nas powstrzymać.

Miała rację. Dave sprawdził to w Bibliotece Publicznej San Francisco przy Larkin Street. Przeważnie zawarcie związku małżeńskiego wymagało ukończenia dwudziestu jeden lat, ale w kilku stanach pozwalano, by osiemnastoletnie kobiety wychodziły za mąż bez zgody rodziców. W Szkocji granicą wieku było szesnaście lat. Tak więc w praktyce rodzicom trudno było zapobiec małżeństwu dwojga zdeterminowanych nastolatków.

- Nie bądź tego taka pewna - oznajmił Woody.

- Nie zamierzamy się z panem o to spierać - rzucił ugodowo Dave. - Sądzę, że Beep chciała jedynie powiedzieć, że w tej sprawie liczy się nie tylko pańskie zdanie.

Uważał, że to łagodne słowa, i wypowiedział je uprzejmym tonem, lecz to najwidoczniej jeszcze bardziej rozwścieczyło Woody'ego.

- Wynoś się z tego domu, zanim cię wyrzucę.

Bella wtrąciła się dopiero teraz.

- Zostań na swoim miejscu, Dave.

Dave się nie ruszył. Woody miał niesprawną nogę w wyniku rany odniesionej na wojnie; nikogo nie zdołałby wyrzucić.

Bella zwróciła się do męża:

- Kochanie, dwadzieścia jeden lat temu siedziałeś w tym pokoju i stawiałeś czoła mojej matce.

- Nie miałem siedemnastu lat, tylko dwadzieścia jeden.

- Matka oskarżyła cię, że przez ciebie zerwałam zaręczyny z Victorem Rolandsonem. Miała rację: zrobiłam to z twojego powodu, chociaż wcześniej spędziliśmy razem zaledwie jeden wieczór. Poznaliśmy się na przyjęciu wydanym przez matkę Dave'a, po którym poszedłeś na wojnę, aby wziąć udział w lądowaniu w Normandii, i nie widziałam cię przez rok.

- Jeden wieczór? - zdziwiła się Beep. - Co mu zrobiłaś, mammo?

Bella spojrzała na córkę, zawahała się, ale odpowiedziała:

- Zrobiłam mu loda w parku, kochanie.

Dave popatrzył na nich zdumiony. Bella i Woody? To było niewyobrażalne!

- Bello! - zaprotestował Woody.

- To nie jest odpowiednia chwila na owijanie w bawełnę, mój drogi.

- Na pierwszej randce? - powiedziała Beep. - Ależ, mammo! Coś takiego!

- Na miłość boską... - zaczął Woody.

- Kochanie - ciągnęła Bella - ja tylko próbuję ci przypomnieć, co to znaczy być młodym.

- Ale ja nie oświadczyłem się od razu!

- To prawda, nieznośnie się ociągałeś.

Beep zachichotała, a Dave się uśmiechnął.

- Dlaczego jesteś przeciwko mnie? - spytał Woody.

- Ponieważ wydajesz się trochę pompatyczny. - Wzięła go za rękę, uśmiechnęła się i powiedziała: - Byliśmy zakochani. Tak jak oni. Mieliśmy szczęście, oni też mają.

Woody trochę się uspokoił.

- I dlatego powinniśmy pozwolić im robić wszystko, co chcą?

- Na pewno nie. Może jednak wypracujemy kompromis.

- Nie widzę jak.

- Może powiemy, żeby poprosili nas o zgodę za rok. W tym czasie Dave będzie u nas mile widziany, gdy tylko zdarzą mu się przerwy w pracy. A będąc tutaj, będzie mógł dzielić łóżce z Beep, jeśli tego zechcą.

- Na pewno nie!

- Będą to robić, jeśli nie tu, to gdzie indziej. Nie zaczynaj wojen, których nie możesz wygrać. I nie bądź hipokrytą. Spałeś ze mną przed ślubem i z Joanne Rouzrokh, zanim mnie poznałeś.

Woody wstał.

- Zastanowię się nad tym - powiedział i wyszedł z pokoju.

Bella zwróciła się do Dave'a.

- Nie rozkazuję tobie, Dave, ani Beep. Ja tylko proszę, błagam, żebyście byli cierpliwi. Jesteś dobrym człowiekiem z dobrej rodziny i będę szczęśliwa, gdy poślubisz moją córkę. Jednak proszę: zaczekaj rok.

Dave spojrzał na Beep. Skinęła głową.

- W porządku - rzekł Dave. - Rok.

Tego ranka, wychodząc z hostelu, Jasper sprawdził swoją przegródkę na listy. Były dwa: niebieska koperta lotnicza zaadresowana ładnym charakterem pisma jego matki i druga z adresem wypisanym na maszynie. Zanim zdążył je otworzyć, wywołano jego nazwisko: „Telefon do Jaspera Murraya!”, wepchnął więc obie koperty do wewnętrznej kieszeni marynarki.

Dzwoniła pani Salzman.

- Dzień dobry, panie Murray.

- Cześć, Niebieskooka.

- Czy ma pan na sobie krawat, panie Murray? - zapytała.

Krawaty stały się niemodne, a poza tym jako asystent niskiego szczebla nie musiał być elegancki.

- Nie - odparł.

- Niech go pan włoży. Herb Gould chce się z panem spotkać o dziesiątej.

- Chce? Po co?

- W This Day jest wakat dla researchera. Pokazałam Gouldowi pańskie artykuły.

- Dziękuję! Jest pani aniołem!

- Włóż krawat.

Pani Salzman się rozłączyła.

Jasper wrócił do swojego pokoju, włożył czystą białą koszulę oraz ponury czarny krawat. Narzucił marynarkę i płaszcz, po czym poszedł do pracy.

W kiosku w holu wieżowca kupił pudełko czekoladek dla pani Salzman.

Wszedł do siedziby This Day za dziesięć dziesiątą. Piętnaście minut później sekretarka wprowadziła go do gabinetu Herba Goulda.

- Miło cię widzieć - powiedział Gould. - Dziękuję, że przyszedłeś.

- Cieszę się, że tu jestem.

Jasper odgadł, że mężczyzna nie pamięta ich rozmowy w windzie.

Gould czytał wydanie „Real Thing” poświęcone zamachowi.

- W swoim résumé podałeś, że założyłeś tę gazetę.

- Tak.

- Jak do tego doszło?

- Pracowałem najpierw w oficjalnej gazecie studenckiej „St. Julian’s News”. - Zdenerwowanie Jaspera zmniejszyło się, kiedy zaczął mówić. - Ubiegałem się o posadę redaktora naczelnego, ale dostała ją siostra chłopaka, który właśnie ustępował z tego stanowiska.

- Zatem zrobiłeś to, ponieważ poczułeś się dotknięty.

Jasper się uśmiechnął.

- Częściowo tak, ale wiedziałem, że mogę to robić lepiej niż Valerie. Tak więc pożyczyłem dwadzieścia pięć funtów i założyłem konkurencyjną gazetę.

- I jak ci szło?

- Po trzech wydaniach sprzedawała się lepiej niż „St Julian’s News”. I przynosiła zyski, podczas gdy tamta była subsydiowana.

Tylko odrobinę przesadził. „Real Thing” zaczęła wychodzić na swoje mniej więcej po roku.

- To spore osiągnięcie.

- Dziękuję.

Gould pokazał mu wycinek wywiadu z Wallim z „New York Post”.

- Jak zdobyłeś ten materiał?

- To, co się przydarzyło Wallemu, nie jest tajemnicą. Pisano o tym w niemieckich gazetach. Wtedy jednak nie był gwiazdą muzyki pop. Jeśli mogę powiedzieć...

- Proszę.

- Wierzę, że sztuka dziennikarska nie zawsze polega na znajdowaniu faktów. Czasem wystarczy dostrzec, że pewne znane już fakty, opisane w odpowiedni sposób, tworzą

doskonałą historię.

Gould skinął głową.

- W porządku. Dlaczego chcesz odejść z prasy do telewizji?

- Wiemy, że dobre zdjęcie na pierwszej stronie sprzeda więcej egzemplarzy niż najlepszy nagłówek. Ruchome obrazy są jeszcze lepsze. Niewątpliwie zawsze będzie istniało zapotrzebowanie na wnikliwe artykuły prasowe, lecz w najbliższej przyszłości większość ludzi jako źródło informacji wybierze telewizję.

Gould się uśmiechnął.

- Nie przeczę.

Głośnik na jego biurku zapiszczał i doleciał z niego głos sekretarki:

- Dzwoni pan Thomas z biura w Waszyngtonie.

- Dzięki, słodka. Jasper, miło było z tobą porozmawiać. Będziemy w kontakcie. - Podniósł słuchawkę. - Hej, Larry, o co chodzi?

Jasper wyszedł z gabinetu. Rozmowa przebiegła dobrze, ale zakończyła się zbyt szybko. Żałował, że nie zdążył zapytać, kiedy może się spodziewać odpowiedzi. Jednak był petentem i nikogo nie obchodziło, co myśli.

Wrócił do rozgłośni radiowej. Gdy był na rozmowie, zastępowała go sekretarka, która regularnie zmieniała Jaspera w porze lunchu. Teraz podziękował jej i wszedł do swojego boksu. Zdejmując marynarkę, przypomniał sobie o listach w kieszeni. Nałożył słuchawki, po czym usiadł przy biurku. W radiu komentowano mecz piłkarski. Jasper wyjął listy i otworzył ten z adresem wypisanym na maszynie.

Była to wiadomość od prezydenta Stanów Zjednoczonych.

Miała formę listu, z nazwiskiem Jaspera wpisanym odręcznie w przeznaczonym do tego polu.

Brzmiała następująco:

Witaj. Niniejszym zostajesz powołany do Sił Zbrojnych Stanów Zjednoczonych...

- Co takiego? - wykrzyknął Jasper.

...i masz się stawić w celu wcielenia pod podanym poniżej adresem 20 stycznia 1966 roku o godzinie 7.00 w Biurze Werbunkowym Sił Zbrojnych.

Jasper opanował budzący się strach. To wyglądało na jakąś biurokratyczną pomyłkę. Był Brytyjczykiem: armia USA z pewnością nie potrzebowała w swoich szeregach obywateli obcych państw.

Jednak musiał to wyjaśnić, i to szybko. Amerykańscy biurokraci sprawiali wrażenie równie niekompetentnych jak wszyscy inni i równie zdolnych do sprawiania niekończących



się i zbytecznych kłopotów. Trzeba było udawać, że traktuje się ich poważnie, niczym czerwone światło na pustym skrzyżowaniu.

Biuro werbunkowe znajdowało się zaledwie kilka przecznic od rozgłośni radiowej. Kiedy sekretarka wróciła w porze lunchu, żeby go zwolnić, włożył marynarkę i płaszcz, po czym wyszedł z budynku.

Postawił kołnierz, broniąc się przed zimnym nowojorskim wiatrem, i pospieszył ulicami do budynku federalnego. Tam wszedł do biura werbunkowego na drugim piętrze, gdzie zastał siedzącego za biurkiem mężczyznę w mundurze z gwiazdkami kapitana. Miał krótko ścięte z tyłu i po bokach włosy, które wyglądały jeszcze zabawniej teraz, gdy nawet ludzie w średnim wieku nosili je dłuższe.

- Pomóc w czymś? - zapytał kapitan.

- Jestem pewny, że przysłano mi ten list przez pomyłkę - rzekł Jasper i podał mu kopertę.

Kapitan przeczytał zawiadomienie.

- A czy wie pan, że wyboru dokonuje się na zasadzie loterii? - zapytał. - Ludzi zdolnych do służby jest więcej, niż potrzebujemy, tak więc rekrutów wybiera się losowo.

Oddał mu list. Jasper się uśmiechnął.

- Nie sądzę, żebym nadawał się do tej służby, prawda?

- Dlaczego nie?

Może kapitan nie zwrócił uwagi na jego akcent.

- Nie jestem amerykańskim obywatelem - wyjaśnił Jasper. - Jestem Brytyjczykiem.

- A co pan robi w Stanach Zjednoczonych?

- Jestem dziennikarzem. Pracuję w rozgłośni radiowej.

- Zakładam, że ma pan pozwolenie na pracę.

- Tak.

- Zatem jest pan cudzoziemcem mającym prawo stałego pobytu.

- Właśnie.

- Czyli podlega pan poborowi.

- Przecież nie jestem Amerykaninem!

- To bez znaczenia.

Ta rozmowa stawała się denerwująca. Armia popełniła błąd, Jasper był prawie pewny. Ten kapitan, jak wielu niekompetentnych urzędników, po prostu nie chciał się przyznać do pomyłki.

- Czy chce mi pan wmówić, że Stany Zjednoczone powołują cudzoziemców do służby

wojskowej?

- Obowiązek poborowy opiera się na miejscu stałego pobytu, a nie obywatelstwie.

- To nie może być prawda.

Kapitan zaczął się denerwować.

- Jeśli mi pan nie wierzy, niech pan to sprawdzi.

- To właśnie zamierzam zrobić.

Jasper opuścił budynek i wrócił do rozgłośni. W dziale kadr na pewno znajdują się na takich sprawach. Pójdzie porozmawiać z panią Salzman.

Dał jej pudełko czekoladek.

- Jesteś słodki. - Uśmiechnęła się. - Panu Gouldowi też się podobasz.

- Co powiedział?

- Tylko podziękował mi za to, że cię do niego przysłałam. Jeszcze nie podjął decyzji.

Ale nie sądzę, żeby brał pod uwagę kogoś innego.

- To doskonała wiadomość! Jednak mam mały problem i potrzebuję pani pomocy. -

Pokazał jej zawiadomienie z wojska. - Przypuszczam, że to jakaś pomyłka.

Pani Salzman włożyła okulary i przeczytała list.

- O rany - jęknęła. - Co za pech. I to właśnie teraz, kiedy tak dobrze ci szło!

Jasper nie wierzył własnym uszom.

- Chyba nie chce mi pani powiedzieć, że naprawdę obejmuje mnie obowiązek służby wojskowej?

- Obejmuje - odparła ze smutkiem. - Mieliśmy już taki problem z zatrudnionymi u nas cudzoziemcami. Rząd twierdzi, że jeśli chcesz żyć i pracować w Stanach Zjednoczonych, to powinieneś pomóc bronić kraju przed komunistyczną agresją.

- Czy to znaczy, że idę do woja?

- Niekoniecznie.

W sercu Jaspera obudziła się nadzieja.

- Jaka jest inna możliwość?

- Możesz wrócić do swojego kraju. Nie będą próbowali cię zatrzymać.

- To denerwujące! Nie możecie jakoś mnie wyciągnąć?

- Czy masz jakieś ukryte schorzenia? Płaskostopie, gruźlicę, dziurę w sercu?

- Nigdy na nic nie chorowałem.

Zniżyła głos.

- I zakładam, że nie jesteś homoseksualistą.

- Nie!

- Twoja rodzina nie należy do wyznawców wiary, która zabrania służby wojskowej?
- Mój ojciec jest pułkownikiem armii brytyjskiej.
- Tak mi przykro.

Jasper zaczynał w to wierzyć.

- Naprawdę wyjadę. Bo nawet gdybym dostał tę pracę w This Day, nie będę mógł jej podjąć. - Nagle uderzyła go pewna myśl. - Czy oni nie muszą przywrócić człowieka do pracy po zakończeniu służby wojskowej?

- Tylko jeśli przepracował w niej co najmniej rok.
- Zatem nie mógłbym wrócić nawet na stanowisko asystenta w rozgłośni radiowej!
- Nie ma żadnej gwarancji, że mógłbyś.
- Natomiast jeśli teraz opuszczę Stany Zjednoczone...
- Możesz wyjechać do domu, ale już nigdy więcej nie będziesz mógł pracować w USA.
- Jezu.
- I co zrobisz? Wyjedziesz czy wstąpisz do wojska?
- Naprawdę nie wiem - odparł. - Dziękuję pani za pomoc.
- A ja panu za czekoladki, panie Murray.

Oszołomiony Jasper niemal wybiegł z działu kadr. Nie mógł wrócić do swojego boks, musiał pomyśleć. Znow wyszedł z budynku. Zwykle uwielbiał nowojorskie ulice: wieżowce, potężne ciężarówki Mack, ekstrawagancko pomalowane samochody, wspaniałe wystawy słynnych sklepów. Dzisiaj to wszystko wcale go nie cieszyło.

Ruszył w kierunku East River i usiadł w parku, z którego widział most Brookliński. Myślał o zostawieniu tego wszystkiego i powrocie z podkulonym ogonem do Londynu. Myślał o dwóch długich latach praktyki w jakiejś prowincjonalnej angielskiej gazecie. I o tym, że już nigdy nie mógłby pracować w USA.

Potem rozmyślał o wojsku: krótkich włosach, marszach, agresywnych sierżantach, przemocy. O parnej dżungli Azji Południowo-Wschodniej. Może musiałby strzelać do niskich i chudych wieśniaków w pizamach. Mógłby zostać zabity lub okaleczony.

Myślał o wszystkich swoich londyńskich znajomych, którzy zazdrościli mu wyjazdu do Stanów. Anna i Hank zaprosili go na obiad do Savoya, żeby to uczcić. Daisy wydała dla niego pożegnalne przyjęcie w domu przy Great Peter Street. Jego matka płakała.

Byłby jak panna młoda, która wraca z podróży poślubnej i oznajmia, że bierze rozwód. To upokorzenie wydawało się gorsze od ryzyka śmierci w Wietnamie.

Co powinien zrobić?

## ROZDZIAŁ 39

Młodzieżowy klub przy kościele Świętej Gertrudy zmienił się.

Lili pamiętała, że wszystko zaczęło się prawie niewinnie. Wschodnioniemiecki rząd aprobował tradycyjne tańce, nawet jeśli odbywały się w podziemiach kościoła. Władze cieszyły się, że protestancki pastor, taki jak Odo Vossler, rozmawia z młodzieżą o związkach i seksie, gdyż jego zapatrywania zapewne były równie purytańskie jak ich własne.

Dwa lata później klub nie był już tak niewinny. Wieczorków nie rozpoczynano od tańców ludowych. Z gramofonu płynęły dźwięki rocka i tańczono w energicznym indywidualistycznym stylu, tak jak robiła to młodzież na całym świecie. Później Lili i Karolin grały na gitarach, śpiewając piosenki o wolności. Wieczorek zawsze kończył się dyskusją pod przewodnictwem pastora Odon, a te dyskusje wciąż wkraczały na zakazany obszar: demokracji, religii, wad wschodnioniemieckiego rządu oraz nieodparcie pociągającego życia na Zachodzie.

Takie rozmowy były czymś zwyczajnym w domu Lili, lecz dla niektórych dzieciaków słuchanie krytycznych wypowiedzi o rządzie oraz ideologii komunistycznej było nowym i wyzwalającym doświadczeniem.

Nie było to jedyne miejsce, w którym działy się takie rzeczy. Trzy lub cztery razy w tygodniu Lili i Karolin zachodziły wieczorem ze swoimi gitarami do innych sal kościelnych albo prywatnych domów w samym Berlinie lub jego okolicy. Wiedziały, że to, co robią, jest niebezpieczne, ale obie uważały, że mają niewiele do stracenia. Karolin była przekonana, że dopóki stoi mur berliński, nigdy nie połączy się z Wallim. Kiedy amerykańskie gazety opisały historię Wallego i Karolin, Stasi ukarało rodzinę, wydalając Lili z uczelni. Teraz pracowała jako kelnerka w kantine Ministerstwa Transportu. Obie młode kobiety nie zamierzały dać się stłamsić reżimowi. Zdobywały sławę wśród młodych ludzi, którzy skrycie kontestowali komunizm. Nagrywały swoje piosenki na taśmy magnetofonowe, które wielbicieli przekazywali sobie z rąk do rąk. Lili czuła, że w ten sposób podtrzymują płomień walki.

Coś jeszcze przyciągało ją do kościoła Świętej Gertrudy: Thorsten Greiner. Miał dwadzieścia dwa lata, ale dziecinne rysy i podobieństwo do Paula McCartneya sprawiały, że wyglądał młodziej. Podzielał muzyczne zainteresowania Lili. Niedawno zerwał z Helgą, która zdaniem Lili po prostu nie była dla niego dostatecznie inteligentna.

Pewnego wieczoru w 1967 roku Thorsten przyniósł do klubu najnowszy singiel Beatlesów. Na jednej stronie był taneczny utwór zatytułowany *Penny Lane*, przy którym

wszyscy podskakiwali aż nazbyt żywo, na drugiej - niesamowicie fascynujący utwór *Strawberry Fields Forever*, przy którym Lili i inni tańczyli w powolnym tempie, kołysząc się i poruszając rękami jak podwodne rośliny. Raz po raz odtwarzali utwory z obu stron płyty.

Zapytany, jak ją zdobył, Thorsten tajemniczo postukał się palcem po nosie i nie odpowiedział. Jednak Lili знаła prawdę. Raz w tygodniu jego wuj Horst przejeżdżał przez granicę do Berlina Zachodniego furgonetką pełną bel materiałów i tanich ubrań, będących najlepszym towarem eksportowym Niemiec Wschodnich. Horst zawsze dawał pogranicznikom trochę komiksów, płyt, kosmetyków i modnych ciuchów, które przywoził.

Rodzice Lili uważali, że muzyka jest czymś frywolnym. Ich zdaniem tylko polityka była poważną sprawą. Nie mogli zrozumieć, że dla Lili i jej pokolenia muzyka ma charakter polityczny, nawet piosenki o miłości. Nowe style śpiewania i gry na gitarze łączyły się z noszeniem długich włosów i kolorowych ubrań, tolerancją rasową i wolnością seksualną. Każda piosenka Beatlesów czy Boba Dylana mówiła poprzedniemu pokoleniu: „Nie robimy niczego tak jak wy”. Dla nastolatków w Niemczech Wschodnich była to zdecydowanie polityczna wiadomość, a rząd wiedział o tym i dlatego zabraniał słuchania tej muzyki.

Wszyscy szaleli przy *Strawberry Fields Forever*, gdy wkroczyła policja.

Lili tańczyła naprzeciwko Thorstena. Znała angielski i była zaintrygowana słowami Johna Lennona: „Łatwo żyć z zamkniętymi oczami, nie pojmując niczego”. Tak dokładnie opisywały postępowanie większości ludzi w Niemczech Wschodnich, myślała.

Jako jedna z pierwszych zauważyła mundurowych wchodzących drzwiami od ulicy. Natychmiast zrozumiała, że Stasi w końcu namierzyło młodzieżowy klub przy kościele Świętej Gertrudy. To było nieuniknione: młodzi musieli rozmawiać o ekscytujących rzeczach, które tu robili. Nikt nie wiedział, ilu obywateli Niemiec Wschodnich to informatorzy tajnej policji, ale matka Lili mówiła, że jest ich więcej, niż miało gestapo. „Teraz nie moglibyśmy robić tego, co robiliśmy podczas wojny”, powiedziała, lecz gdy Lili zagadnęła ją, co to było, Carla zamknęła się w sobie, jak zwykle. W każdym razie można się było spodziewać, że prędzej czy później Stasi zwęszy, co się dzieje w podziemiach kościoła.

Lili natychmiast przestała tańczyć i rozejrzała się, szukając Karolin, ale jej nie dostrzegła. Odoną też nie było w zasięgu wzroku. Widocznie opuścili piwnicę. W kącie naprzeciw drzwi na ulicę znajdowały się schody prowadzące prosto do domu pastora obok kościoła. Zapewne wyszli tamtędy z jakiegoś powodu.

- Pójdę po Odonę - powiedziała do Thorstena.

Zdołała przecisnąć się przez tłum tańczących i wymknąć, zanim większość z nich zauważyła nalot policji. Thorsten podążył za nią. Właśnie dotarli na górę schodów, gdy

Lennon zaśpiewał: „Pozwól mi cię zabrać”, i nagle zamilkł.

Kiedy szli przez korytarz domu pastora, z dołu doleciał ich chrapliwy głos oficera policji wydającego rozkazy. Dom był duży jak na jednego mieszkańca: Odo miał szczęście. Lili nie bywała tu często, ale wiedziała, że pastor ma gabinet na parterze od frontu, i domyśliła się, że tam najprawdopodobniej go znajdzie. Drzwi były uchylone, więc pchnęła je i weszła.

W wyłożonym dębową boazerią pokoju, z półkami pełnymi biblijnych tekstów, Odo i Karolin przytulali się do siebie i całowali. Karolin obejmowała dłońmi głowę Odo, wsunawszy palce w jego długie, gęste włosy. Odo pieścił i ścisnął jej piersi. Przywarła do niego, napinając ciało jak cięciwę łuku.

Zaszokowanej Lili odjęło mowę. Uważała Karolin za żonę brata, a to, że nie byli małżeństwem, jedynie za formalność. Nigdy nie przyszło jej do głowy, że Karolin może zadurzyć się w innym mężczyźnie - a do tego w pastora! Przez moment jej umysł szukał jakiegoś innego wytłumaczenia: może to próba jakiejś sztuki albo ćwiczenie gimnastyczne.

Nagle odezwał się Thorsten:

- Mój Boże!

Odo i Karolin odskoczyli od siebie z niemal komiczną szybkością. Na ich twarzach malowało się zaskoczenie i poczucie winy. W następnej chwili przemówili jednocześnie.

- Mieliśmy wam powiedzieć - rzekł Odo.

- Och, Lili, tak mi przykro... - jęknęła Karolin.

Przez moment umysł Lili z niezwykłą jasnością rejestrował wszystkie detale: kraciasty wzór marynarki Odo, sutki Karolin uwypuklające się przez materiał sukienki, dyplom z teologii oprawiony w mosiężną ramkę, staromodny dywan w kwiaty i dywanik przed kominkiem.

Potem przypomniała sobie, co sprowadziło ją na górę.

- Przyszła policja - powiedziała. - Są w piwnicy.

- Do diabła! - zawołał Odo.

Wyszedł i Lili usłyszała, jak zbiega po schodach.

Karolin spoglądała na Lili. Obie nie wiedziały, co powiedzieć. W końcu Karolin przerwała tę ciszę.

- Muszę z nim iść - rzuciła i poszła za Odonem.

Lili i Thorsten zostali w gabinecie. To przyjemne miejsce do całowania się, ze smutkiem pomyślała Lili: dębowa boazeria, kominek, książki, dywan. Zastanawiała się, jak często Odo i Karolin to robili i kiedy to się zaczęło. Myślała o Wallim. Biedny Walli.

Usłyszała krzyki na dole i to ją otrzeźwiło. Uświadomiła sobie, że nie ma powodu, by wracać do piwnicy. Zostawiła tam płaszcz, ale wieczór nie był mroźny, więc poradzi sobie bez niego. Mogła uciec.

Frontowe drzwi domu znajdowały się po przeciwnej stronie niż wejście do piwnicy. Lili zadała sobie pytanie, czy policja otoczyła cały budynek, i doszła do wniosku, że zapewne nie.

Przeszła przez korytarz, a potem powoli uchyliła frontowe drzwi. W polu widzenia nie było policjantów.

- Idziemy? - spytała Thorstena.

- Tak, i to szybko.

Wyszli, cicho zamykając za sobą drzwi.

- Odprowadzę cię do domu - rzekł Thorsten.

Pospiesznie skręcili za róg i zwolnili kroku, gdy za nim zniknęli.

- To musiał być dla ciebie szok - zauważył Thorsten.

- Myślałam, że Karolin kocha Wallego - jęknęła Lili. - Jak mogła to zrobić?

Zaczęła płakać.

Gdy szli, Thorsten objął ją ramieniem.

- Kiedy Walli uciekł?

- Prawie cztery lata temu.

- Czy szanse Karolin na wyjazd się zwiększyły?

Lili pokręciła głową.

- Raczej zmniejszyły.

- Karolin potrzebuje kogoś, kto pomoże jej wychować Alice.

- Ma mnie i moją rodzinę!

- Może uważa, że Alice potrzebuje ojca.

- Ale... pastor!

- Większość mężczyzn nawet nie pomyślałaby o związku z samotną matką. Odo jest inny, właśnie dlatego, że jest pastorem.

Gdy dotarli do domu, Lili musiała zadzwonić do drzwi, ponieważ klucz zostawiła w kieszeni płaszcza. Matka otworzyła drzwi i zobaczyła jej minę.

- Co się, do licha, stało? - zapytała.

Lili i Thorsten weszli do środka.

- Policja zrobiła nalot na kościół - wyjaśniła Lili. - Poszłam ostrzec Karolin i znalazłam ją całującą się z Odonem!

Znów zalała się łzami.

Carla zamknęła frontowe drzwi.

- Mówisz, że naprawdę się całowali?

- Tak, jak szaleni! - odparła Lili.

- Wejdźcie oboje do kuchni, powinniście napić się kawy.

Gdy tylko wszystko opowiedzieli, ojciec Lili wyszedł, zamierzając zrobić, co w jego mocy, żeby Karolin nie spędziła tej nocy w areszcie. Potem Carla zauważyła, że Thorsten chyba powinien pójść do domu, gdyż jego rodzice mogli się dowiedzieć o nalocie i niepokoić o niego. Lili odprowadziła go do drzwi, a on pocałował ją w usta, krótko, ale cudownie, zanim odszedł.

Trzy kobiety zostały same w kuchni: Lili, Carla i babcia Maud. Alice, teraz trzyletnia, spała na górze.

- Nie bądź zbyt surowa dla Karolin - powiedziała Carla do Lili.

- Ależ, mam - zaperzyła się Lili. - Przecież zdradziła Wallego!

- To już cztery lata...

- Babcia czekała cztery lata na dziadka Waltera - przypomniała Lili. - A nawet nie miała dziecka!

- To prawda - przytaknęła Maud. - Chociaż myślałam o Gusie Dewarze.

- O ojcu Woody'ego? - zapytała zaskoczona Carla. - Nie wiedziałam.

- Walter też był kuszony - ciągnęła Maud z tą wesołą niedyskrecją typową dla ludzi zbyt starych, żeby się wstydzili. - Przez Monikę von der Helbard. Jednak do niczego nie doszło.

Sposób, w jaki to powiedziała, rozżłościł Lili.

- Łatwo ci mówić, babciu - oświadczyła zapalczywie. - Wszystko to było tak dawno temu.

- Ja też czuję smutek, Lili - powiedziała Carla - ale nie sądzę, że powinniśmy się na nią gniewać. Walli może nigdy nie wrócić do kraju, a Karolin może nigdy nie opuścić NRD. Czy naprawdę mamy prawo oczekiwać, że do końca życia będzie czekała na kogoś, kogo może już nigdy nie zobaczy?

- Sądziłam, że właśnie to będzie robić. Myślałam, że tak postanowiła.

Lili uświadomiła sobie jednak, że nie pamięta, by Karolin mówiła coś takiego.

- Myślę, że i tak długo czekała.

- Czy cztery lata to długo?

- Dostatecznie długo, żeby młoda kobieta zadała sobie pytanie, czy chce poświęcić życie dla wspomnienia.



Lili zdała sobie sprawę, że Carla i Maud sympatyzują z Karolin.

Rozmawiały o tym do północy, aż wrócił do domu Werner w towarzystwie Karolin... i Odon.

- Dwaj chłopcy wdali się w bójkę z policjantami, ale z przyjemnością mówię, że poza nimi nikt nie trafił do aresztu - poinformował Werner. - Jednak klub młodzieżowy został zamknięty.

Wszyscy usiedli przy kuchennym stole. Odo obok Karolin. Ku zdziwieniu Lili na oczach wszystkich trzymał Karolin za rękę.

- Lili - odezwał się - przykro mi, że dowiedziałaś się przypadkiem, zanim zdążyliśmy ci o tym powiedzieć.

- Powiedzieć mi o czym? - spytała napastliwie, chociaż pomyślała ponuro, że już odgadła.

- Kochamy się - rzekł Odo. - Spodziewam się, że trudno ci to zaakceptować, i przykro nam z tego powodu. Jednak myśleliśmy o tym i modliliśmy się o to.

- Modliliście się? - z niedowierzaniem zapytała Lili. - Nie pamiętam, żeby Karolin modliła się o cokolwiek!

- Ludzie się zmieniają.

Słabe kobiety się zmieniają, żeby zadowolić mężczyzn, pomyślała Lili. Jednak zanim zdążyła to powiedzieć, wtrąciła się jej matka.

- To jest trudne dla nas wszystkich, Odonie. Walli kocha Karolin i to dziecko, którego nigdy nie widział. Wiemy o tym z jego listów. I domyślamy się, słysząc piosenki Plum Nellie: tak wiele z nich jest o rozstaniu i tęsknocie.

- Jeśli chcecie, jeszcze tej nocy opuszczę ten dom - powiedziała Karolin.

Carla pokręciła głową.

- To dla nas trudne, ale dla ciebie jeszcze trudniejsze, Karolin. Nie mogę prosić normalnej młodej kobiety, żeby poświęciła swoje życie dla kogoś, kogo może już nigdy nie zobaczyć, nawet jeśli tą osobą jest nasz ukochany syn. Rozmawialiśmy o tym z Wernerem. Wiedzieliśmy, że prędzej czy później do tego dojdzie.

Lili była wstrząśnięta. Jej rodzice to przewidzieli! I nie raczyli jej powiedzieć. Jak mogli być tak bezduszni?

A może po prostu byli rozsądni? Nie chciała w to uwierzyć.

- Zamierzamy się pobrać - oznajmił Odo.

Lili wstała.

- Nie! - krzyknęła.

- I mamy nadzieję - ciągnął Odo - że otrzymamy błogosławieństwo od was wszystkich: Maud, Wenera, Carli i przede wszystkim od Lili, która była taką wspaniałą przyjaciółką dla Karolin przez te wszystkie trudne lata.

- Idźcie do diabła! - wrzasnęła Lili i wybiegła.

Dave Williams pchał po Parliament Square wózek inwalidzki z siedzącą na nim babcią, a za nimi podążało stadko fotoreporterów. Agent prasowy Plum Nellie zawiadomił dziennikarzy, więc Dave i Ethel spodziewali się kamer i wspólnie pozwali przez dziesięć minut.

- Dziękuję wam, panowie - powiedział potem Dave i skierował się na parking pałacu Westminster. Przystanął przy wejściu dla parlamentarzystów, pomachał ręką do robiących jeszcze jedno zdjęcie i wszedł z wózkiem do Izby Lordów.

- Dzień dobry szanownej pani - powiedział odźwierny.

Babcia Ethel, baronessa Leckwith, miała raka płuc. Brała silne specyfiki uśmierzające ból, ale myślała trzeźwo. Nadal mogła przejść kilka kroków, chociaż szybko dostawała zadyszki. Miała wszelkie powody, by zaprzestać aktywnej działalności politycznej. Jednak dziś w Izbie Lordów debatowano nad ustawą o przestępstwach seksualnych.

Ethel była tym żywo zainteresowana, między innymi ze względu na homoseksualnego przyjaciela, Roberta. Ku zdziwieniu Dave'a jego ojciec, którego Dave uważał za starego konserwatystę, również zdecydowanie opowiadał się za wprowadzeniem tej ustawy. Najwyraźniej Lloyd był świadkiem prześladowań osób homoseksualnych przez nazistów i nigdy tego nie zapomniał, chociaż nie chciał wdawać się w szczegóły.

Ethel nie zamierzała zabierać głosu w debacie - była na to zbyt chora - ale postanowiła głosować. A kiedy Ethel Leckwith coś postanowiła, nic nie mogło jej powstrzymać.

Dave pchał wózek inwalidzki przez korytarz będący jednocześnie szatnią, gdzie przy każdym wieszaku była pętka z różowej wstążki, na której posłowie mieli zawieszać swoje miecze. Izba Lordów nawet nie udawała, że idzie z duchem czasów.

W Wielkiej Brytanii seks między mężczyznami był przestępstwem. Każdego roku setki tych, którzy to robili, skazywano, więziono i - co najgorsze - upokarzano w gazetach. Ustawa, którą dzisiaj miano omawiać, zalegalizowałaby czyny homoseksualne dokonywane niepublicznie i za obopólną zgodą dorosłych osób.

Temat był kontrowersyjny i większość społeczeństwa nie popierała ustawy, ale bieg wydarzeń sprzyjał reformom. Kościół anglikański postanowił nie sprzeciwiać się zmianie prawa. Nadal twierdził, że homoseksualizm jest grzechem, ale zgadzał się, że nie powinien

być przestępstwem. Nowa ustawa miała szansę przejść, lecz jej zwolennicy obawiali się, że część parlamentarzystów wycofa swoje poparcie w ostatniej chwili - co było powodem determinacji Ethel.

- Dlaczego tak chętnie zabrałeś mnie na tę debatę? - zapytała teraz Dave'a. - Nigdy nie okazywałeś zainteresowania polityką.

- Nasz perkusista Lew jest gejem - odparł Dave, używając amerykańskiego określenia. - Kiedyś byłem z nim w pubie Złoty Róg podczas nalotu policji. Gliniarze zachowywali się w tak odrażający sposób, że od tamtej pory czekałem na okazję, by pokazać, że jestem po stronie homoseksualistów.

- To ładnie z twojej strony - powiedziała Ethel, a potem dodała na wpół z rozbawieniem i na wpół kąśliwie: - Cieszę się, widząc, że rycerski duch twoich przodków nie został całkowicie wyparty przez rock and rolla.

Plum Nellie odnosili większe sukcesy niż kiedykolwiek wcześniej. Wydali album koncepcyjny zatytułowany *Dla twojej przyjemności wieczorem*, który udawał zapis występów różnego rodzaju zespołów: musicalowych, folkowych, bluesowych, swingujących, gospel i Motown. W rzeczywistości wszystkie te utwory wykonywała grupa Plum Nellie. Płyta sprzedawała się w milionach egzemplarzy na całym świecie.

Policjant pomógł Dave'owi wnieść wózek po schodach. Dave podziękował mu, zastanawiając się, czy funkcjonariusz brał kiedyś udział w nalocie na pub gejów. Dotarli do sali obrad i Dave podtoczył fotel aż do progu.

Ethel wszystko zaplanowała i miała zgodę przewodniczącego Izby na przybycie na wózku inwalidzkim. Jednak Dave nie mógł wejść do sali, tak więc czekał, aż któryś z przyjaciół babci zauważy ją i wprowadzi do środka.

Debata już trwała. Parowie siedzieli na obitych czerwoną skórą ławach po obu stronach sali, której wystrój wydawał się przesadnie bogaty, jak pałacu z filmu Disneya.

Przemawiał jeden z członków Izby Lordów i Dave nadstawił ucha.

- Ta ustawa jest popieraniem pedałów i wodą na młyn najbardziej odrażających kreatur, jakimi są męskie dziwki - mówił pompatycznie. - Zwiększy pokusy stojące na drodze dorastającej młodzieży.

To dziwne, pomyślał Dave. Czy ten facet uważa, że wszyscy mężczyźni są pedałami, tylko większość po prostu opiera się pokusie?

- Nie żebym nie współczuł nieszczęsnym homoseksualistom, ale nie mogę nie współczuć tym, którzy zostaną wciągnięci w ich sidła.

Wciągnięci w sidła? Co za bzdury. Dave westchnął w duchu.

Jakiś mężczyzna siedzący po stronie laburzystów wstał i chwycił za rączki wózka inwalidzkiego Ethel. Dave ruszył po schodach na górę, na galerię dla widzów.

Kiedy tam dotarł, przemawiał już inny par.

- W jednej z najpopularniejszych niedzielnych gazet w zeszłym tygodniu pojawiła się relacja, którą niektórzy z waszych lordowskich mości mogli widzieć, ze ślubu homoseksualistów w pewnym kraju na kontynencie.

Dave czytał ten artykuł w „News of the World”.

- Uważam, że tej gazecie należy pogratulować naświetlenia tego bardzo nieprzyjemnego wydarzenia.

Jak ślub może być nieprzyjemnym wydarzeniem?

- Mam tylko nadzieję, że jeśli ta ustawa zostanie wprowadzona w życie, tego rodzaju praktyki będą bacznie obserwowane. Nie sądzę, żeby takie rzeczy mogły się zdarzyć w tym kraju, ale jest to możliwe.

Skąd oni wykopali tych dinozaurów? - zastanawiał się Dave.

Na szczęście nie wszyscy przemawiający podzielali te wsteczne opinie. Wstała groźnie wyglądająca siwowłosa kobieta. Dave spotkał ją w domu swojej matki: nazywała się Dora Gaitskell.

- Jako społeczeństwo tolerujemy wiele perwersyjnych zachowań męsko-damskich w zaciszu sypialni. Prawo oraz społeczeństwo są wobec nich bardzo tolerancyjne i przysmykają na nie oko.

Dave był zdumiony: co ona może wiedzieć o perwersyjnych zachowaniach mężczyzn i kobiet?

- Mężczyźni, którzy urodzili się homoseksualistami lub stali się nimi w wyniku wychowania lub pokusy, powinni być traktowani równie tolerancyjnie jak mężczyźni i kobiety praktykujące inne tak zwane perwersje.

Dobrze mówisz, Doro, pomyślał Dave.

Jednak jego ulubienicą była inna siwowłosa kobieta z błyskiem w oku. Ona również bywała w domu przy Great Peter Street. Nazywała się Barbara Wootton. Po długiej przemowie jednego z parów o sodomii trąciła strunę ironii.

- Zadaję sobie pytanie: czego obawiają się przeciwnicy tej ustawy? - powiedziała. - Nie mogą się bać, że staną się przymusowymi świadkami takich odrażających praktyk, ponieważ zostaną zalegalizowane tylko te akty, które nie są dokonywane publicznie. Nie mogą się obawiać deprawacji młodzieży, ponieważ zostaną zalegalizowane akty dokonywane wyłącznie przez dorosłych za ich obopólną zgodą. Mogę się jedynie domyślać, że

przeciwnicy ustawy boją się, że wyobraźnia będzie dręczyć ich wizjami tego, co gdzieś tam się dzieje.

Wyraźnie sugerowała, że ludzie usiłujący podtrzymać penalizację homoseksualizmu robią to, żeby utrzymać w ryzach swoje fantazje seksualne. Dave parsknął śmiechem i natychmiast został uciszony przez odźwiernego.

Głosowanie odbyło się o wpół do siódmej. Dave miał wrażenie, że więcej członków Izby Lordów opowiada się przeciwko ustawie niż za nią. Proces głosowania trwał nieznośnie długo. Zamiast wrzucać karteczki do urny lub naciskać guziki, parowie musieli wstać i opuścić salę, przechodząc przez jeden z dwóch przedsionków - dla popierających ustawę lub sprzeciwiających się jej. Wózek z Ethel został wepchnięty przez jednego z członków Izby do salki dla zgadzających się na wprowadzenie nowego prawa.

Ustawa przeszła stu jedenastoma głosami przeciwko czterdziestu ośmiu. Dave miał ochotę wiwatować, ale wyglądałoby to niestosownie, jak oklaski w kościele.

Spotkał Ethel przy wejściu na salę i przejął pchanie wózka od jednego z jej przyjaciół. Była triumfująca, lecz wyczerpana i Dave mimo woli zastanawiał się, jak długo babcia jeszcze pożyje.

Ależ miała życie, myślał, pchając wózek bogato ozdobionymi korytarzami w kierunku wyjścia. Jego przemiana z klasowego głupka w gwiazdę muzyki pop była niczym w porównaniu z jej drogą z dwuizbowej chaty przy hałdzie w Aberowen aż do pełnej złoceń sali obrad Izby Lordów. I zmieniła nie tylko siebie, ale także swój kraj. Toczyła walki polityczne - o prawo głosu dla kobiet, opiekę społeczną, darmową opiekę zdrowotną, kształcenie kobiet, a teraz o wolność dla prześladowanej mniejszości seksualnej - i zwyciężała w nich. Dave pisał piosenki, które uwielbiał cały świat, lecz to wydawało się niczym w porównaniu z osiągnięciami jego babki.

Jakiś mężczyzna w podeszłym wieku zatrzymał ich w wyłożonym drewnianą boazerią holu. Otaczająca go aura niedbałej elegancji wydała się Dave'owi znajoma. Przypomniał sobie, że raz już go widział tutaj, w Izbie Lordów, w dniu, gdy Ethel została baronessą, prawie pięć lat temu.

- Cóż, Ethel - odezwał się przyjaźnie mężczyzna - widzę, że twój pederastyczny projekt ustawy przeszedł. Gratuluję.

- Dziękuję ci, Fitz - odparła.

Teraz Dave sobie przypomniał. To był hrabia Fitzherbert, który kiedyś posiadał w Aberowen wielką rezydencję nazywaną Ty Gwyn. Obecnie mieścił się w niej college.

- Przykro mi słyszeć, że jesteś chora, moja droga - rzekł Fitz. Wydawał się ją lubić.

- Nie będę owijała w bawełnę - powiedziała Ethel. - Niewiele życia mi pozostało. Zapewne już nigdy więcej się nie zobaczymy.

- To strasznie mnie zasmuca.

Ku zaskoczeniu Dave'a po pomarszczonej twarzy hrabiego pociekły łzy i wyjął z brustaszy dużą białą chusteczkę, żeby wytrzeć oczy. Teraz Dave przypomniał sobie, że kiedy poprzednio był świadkiem spotkania tych dwojga, wyczuł targające nimi silne i ledwie kontrolowane emocje.

- Cieszę się, że cię znałam, Fitz - oznajmiła Ethel tonem sugerującym, że mógł sądzić inaczej.

- Naprawdę? - zapytał Fitz. A potem, ku zdumieniu Dave'a, dodał: - Nigdy nikogo nie kochałem tak jak ciebie.

- Ja również - wyznała, pogłębiając zdumienie Dave'a. - Teraz, kiedy mój drogi Bernie odszedł, mogę to powiedzieć. Był moją bratnią duszą, lecz ty byłeś kimś innym.

- Tak się cieszę.

- Żałuję tylko jednego - powiedziała Ethel.

- Wiem czego - rzekł Fitz. - Chodzi o chłopca.

- Tak. Jeśli mogę wyrazić ostatnie życzenie, to chciałabym, żebyś uściśnął mu rękę.

Dave zastanawiał się, kim też był ten „chłopiec”. Chyba nie mówili o nim.

- Wiedziałem, że mnie o to poprosisz - powiedział hrabia.

- Proszę, Fitz.

Skinął głową.

- W moim wieku powinienem umieć przyznać się do błędu.

- Dziękuję - szepnęła. - Wiedząc to, umrę szczęśliwa.

- Mam nadzieję, że jest życie po śmierci.

- Nie mam pojęcia - odparła Ethel. - Żegnaj, Fitz.

Starzec z trudem pochylił się nad fotelem inwalidzkim i ucałował jej wargi. Potem znów się wyprostował.

- Żegnaj, Ethel - powiedział.

Dave odszedł, pchając przed sobą wózek.

- To był hrabia Fitzherbert, prawda? - zapytał po chwili.

- Tak - odpowiedziała Ethel. - Jest twoim dziadkiem.

Jedynym problemem Wallego były dziewczyny.

Młode, ładne i seksowne w pewien zdrowy sposób, który wydawał mu się typowo

amerykański, tuzinami kręciły się pod jego drzwiami i wszystkie były chętne uprawiać z nim seks. Fakt, że pozostawał wierny swojej dziewczynie w Berlinie Wschodnim, zdawał się czynić go jeszcze bardziej pożądanym.

- Kup dom - mówił Dave każdemu członkowi swojego zespołu. - Kiedy mydlana bańka pęknie i nikt już nie będzie chciał słuchać Plum Nellie, przynajmniej będziesz miał gdzie mieszkać.

Walli zaczął pojmować, że Dave jest bardzo mądry. Odkąd założył te dwie firmy, Nellie Records i Plum Publishing, zespół zarabiał znacznie więcej pieniędzy. Walli wciąż nie był milionerem, za jakiego uważali go ludzie, chociaż miał nim zostać, gdy zaczną sływać tantiemy za *Dla twojej przyjemności wieczorem*. Ale było go stać na kupno własnego domu.

Na początku 1967 roku kupił w San Francisco wiktoriański dom z wykuszowym oknem od frontu, przy Haight Street na rogu Ashbury. Ceny nieruchomości w tej okolicy spadły w wyniku wieloletnich sporów o planowaną drogę szybkiego ruchu, która nigdy nie powstała. Niskie czynsze przyciągały studentów i innych młodych ludzi tworzących swobodną atmosferę, a ta zwabiła muzyków i aktorów. Mieszkali tu członkowie zespołów Grateful Dead oraz Jefferson Airplane. Na ulicach widywało się gwiazdy rocka i Walli mógł spacerować sobie jak zwyczajny człowiek.

Dewarowie, jedyni ludzie, których znał w San Francisco, spodziewali się, że wybebeszy i zmodernizuje dom, ale on uważał, że staromodne sufity kasetonowe i boazerie są fajne, i zachował je, chociaż kazał wszystkie pomalować na białe.

Urządził dwie luksusowe łazienki, a w kuchni zainstalował zmywarkę do naczyń. Kupił telewizor oraz supernowoczesny gramofon. Poza tym nabył trochę zwykłych mebli. Na cyklinowanych podłogach umieścił dywany i poduszki, a w sypialni materace i wieszaki na ubrania. Nie miał żadnych foteli, tylko sześć stołków, na jakich siedzą gitarzyści w studiach nagraniowych.

Cameron i Beep Dewarowie studiowali w Berkeley, filii Uniwersytetu Kalifornijskiego w San Francisco. Cam był dziwakiem, ubierającym się jak człowiek w średnim wieku i bardziej konserwatywnym niż Barry Goldwater. Beep zachowywała się zupełnie inaczej i przedstawiła Wallego swoim przyjaciółom, a niektórzy z nich mieszkali w jego dzielnicy.

Walli przyjeżdżał tu, kiedy nie był w trasie z zespołem i nie nagrywał w Londynie. Będąc tutaj, przez większość czasu grał na gitarze. Granie z pozorną swobodą na koncertach wymagało dużych umiejętności i Walli ćwiczył codziennie przynajmniej parę godzin. Potem pracował nad piosenkami: wypróbowując akordy, składając fragmenty melodii, usiłując zdecydować, które są cudowne, a które tylko melodyjne.

Raz w tygodniu pisał do Karolin. Nie wiedział, o czym do niej pisać. Wydawało się nie na miejscu opisywać jej filmy, koncerty i restauracje, którymi miała się nigdy nie cieszyć.

Z pomocą Wenera załatwił comiesięczne przesyłanie pieniędzy na utrzymanie Karolin i Alice. Za skromną sumę w zagranicznej walucie można było wiele kupić w Niemczech Wschodnich.

Karolin odpisywała mu raz w miesiącu. Nauczyła się grać na gitarze i utworzyła duet z Lili. Śpiewały protest songi i rozprowadzały taśmy ze swoją muzyką. Poza tym jej życie wydawało się jałowe w porównaniu z jego życiem i większość przesyłanych przez nią wiadomości dotyczyła Alice.

Jak większość mieszkańców Haight-Ashbury Walli nie zamykał drzwi. Znajomi i nieznajomi wchodzili i wychodzili, kiedy chcieli. Swoje ulubione gitary trzymał w zamkniętym pokoju na piętrze: oprócz nich niewiele miał rzeczy, które warto byłoby ukraść. Raz w tygodniu miejscowy sklep zapełniał mu lodówkę i spizarkę artykułami spożywczymi. Goście częstowali się sami, a kiedy kończyła się żywność, Walli chodził do restauracji.

Wieczorami oglądał filmy i przedstawienia, wybierał się posłuchać różnych zespołów lub przestawał z innymi muzykami, popijając piwo i paląc marihuanę w ich domach lub w swoim. Na ulicach wiele się działo: improwizowane koncerty, teatryki uliczne i spektakle, które ludzie nazywali happeningami. W lecie 1967 roku dzielnica nagle zaczęła się cieszyć sławą centrum światowego ruchu hippisów. Gdy szkoły i uczelnie zostały zamknięte na okres wakacji, młodzież z całej Ameryki jechała autostopem do San Francisco i kierowała się na róg Haight i Ashbury. Policja postanowiła przymknąć oko na powszechne palenie marihuany i zażywanie LSD oraz ludzi mniej lub bardziej jawnie uprawiających seks w parku Buena Vista. Wszystkie dziewczyny brały pigułki antykoncepcyjne.

Te dziewczyny były jedynym problemem Wallego.

Tammy i Lisa przybyły z Dallas w Teksasie autobusem linii Greyhound. Tammy była blondynką, a Lisa Latynoską; obie miały po osiemnaście lat. Zamierzały tylko poprosić Wallego o autograf i ze zdumieniem odkryły, że drzwi jego domu są otwarte, a on sam siedzi na wielkiej poduszce leżącej na podłodze i gra na gitarze.

Powiedziały, że po podróży autobusem muszą wziąć prysznic, a on im pozwolił. Kapały się razem, nie zamknawszy drzwi do łazienki, co Walli, zaabsorbowany rozmyślaniami o muzyce, odkrył dopiero wtedy, kiedy wszedł tam, żeby się wysikać. Czy był to zbieg okoliczności, że akurat w tym momencie Tammy mydliła białymi dłońmi oliwkowe i drobne piersi Lisy?

Walli wyszedł i skorzystał z drugiej łazienki, ale wymagało to ogromnego



samozaparcia.

Listonosz przyniósł pocztę, w tym listy przesłane z Londynu przez Marka Batchelora, menedżera Plum Nellie. Jeden był zaadresowany charakterem pisma Karolin i miał wschodnioniemiecki znaczek. Walli odłożył go na bok, żeby przeczytać później.

Na rogu Haight i Ashbury był zwyczajny dzień. Przyszedł znajomy muzyk i zaczęli razem pisać piosenkę, ale nic z tego nie wyszło. Wpadli Dave Williams i Beep Dewar. Dave mieszkał w domu jej rodziców i szukał nieruchomości, którą mógłby kupić. Dealer zwany Jesusem przyniósł trochę marihuany i Walli większość jej schował w obudowie wzmacniacza gitarowego. Nie miał nic przeciwko dzieleniu się z innymi, ale gdyby jej nie racjonował, do północy nic by nie zostało.

Wieczorem Walli poszedł na kolację z kilkoma znajomymi, zabierając Tammy i Lisę. Cztery lata po ucieczce z bloku wschodniego wciąż dziwiła go obfitość jedzenia w Ameryce: wielkie steki, soczyste hamburgery, sterty frytek, góry chrupiących sałatek, gęste koktajle mleczne i wszystko to tak tanio, a dolewki kawy za darmo! Nie żeby taka żywność była droga w NRD - po prostu w ogóle jej tam nie było. U rzeźnika zawsze brakowało najlepszych kawałków mięsa, a w restauracjach nadęci kelnerzy podawali nieapetyczne dania. Walli nigdy nie widział tam koktajlu mlecznego.

Podczas kolacji dowiedział się, że ojciec Lisy jest lekarzem pomagającym meksykańskiej społeczności Dallas, a ona sama ma nadzieję studiować medycynę i pójść w jego ślady. Rodzina Tammy prowadziła zyskowną stację benzynową, ale mieli przejąć ją jej bracia. Dziewczyna zamierzała studiować projektowanie odzieży, by w przyszłości otworzyć butik. Sprawiały wrażenie dość zwyczajnych nastolatek, ale to był rok 1967: obie zażywały pigułki antykoncepcyjne i chciały się kochać.

Była ciepła noc. Po kolacji wszyscy poszli do parku. Usiedli przy grupie młodych ludzi śpiewających pieśni gospel. Walli przyłączył się do nich i nikt nie rozpoznał go w mroku. Tammy, zmęczona po podróży autobusem, położyła się, kładąc głowę na jego podołku. Walli gładził jej długie jasne włosy, a ona zasnęła.

Trochę po północy ludzie zaczęli się rozchodzić. Walli ruszył do domu i dopiero kiedy tam dotarł, zauważył, że Tammy i Lisa wciąż są z nim.

- Macie gdzie spać? - zapytał.
- Możemy przespać się w parku - odparła Tammy ze swoim teksańskim akcentem.
- Możecie przespać się u mnie na podłodze, jeśli chcecie - zaproponował Walli.
- Chciałbyś się przespać z jedną z nas? - spytała Lisa.
- Lub obiema? - dodała Tammy.

Walli się uśmiechnął.

- Nie, w Berlinie zostawiłem dziewczynę, Karolin.

- A więc to prawda? - powiedziała Lisa. - Czytałam o tym w gazecie, ale...

- To prawda.

- I macie córeczkę?

- Skończyła trzy latka. Na imię jej Alice.

- Przecież nikt już nie wierzy w wierność i tym podobne bzdety, no nie? Szczególnie w San Francisco. Wszystko, czego ci trzeba, to miłość, prawda? *All You Need is Love* - zanuciła fragment piosenki Beatlesów.

- Dobranoc, dziewczyny.

Poszedł na górę do sypialni, w której zwykle spał, i rozebrał się. Słyszał dziewczyny kręcące się na parterze. Było tuż po pierwszej trzydzieści, kiedy poszedł do łóżka - wcześniej jak na muzyka.

Właśnie o tej porze najbardziej lubił czytać listy od Karolin. Myśląc o niej, uspokajał się i często zasypiał, wyobrażając sobie, że trzyma ją w ramionach. Opadł na materac i usiadł, opierając się plecami o poduszkę, którą przysunął do ściany, po czym podciągnął koc pod brodę. Następnie otworzył kopertę.

Przeczytał:

*Drogi Walli...*

To było dziwne. Zwykle pisała Mój ukochany Walli lub Kochany.

*Wiem, że ten list sprawi Ci ból i udrękę, i jest mi z tego powodu tak przykro, że niemal pęka mi serce.*

Co, do licha, się stało? Zaczął pospiesznie czytać list.

*Odszedłeś cztery lata temu i nie ma nadziei, żebyśmy w dającej się przewidzieć przyszłości byli razem. Jestem słaba i nie potrafię stawić czoła myśli, że do końca życia mam być sama.*

Chciała zakończyć ich związek - zrywała z nim. Tego się nie spodziewał.

*Poznałam kogoś, dobrego człowieka, który mnie kocha.*

Miała chłopaka! To było jeszcze gorsze. Zdradziła go. Walli poczuł gniew. Lisa się nie pomyliła: nikt już nie wierzył w wierność i tym podobne bzdety.

*Odo jest pastorem kościoła Świętej Gertrudy w Berlinie-Mitte.*

- Pieprzony klecha! - wykrzyknął Walli.

*Będzie kochał moje dziecko i troszczył się o nie.*

- Pisze, że to jej dziecko, ale Alice jest także moim dzieckiem!

*Zamierzamy się pobrać. Twój rodzice są źli, ale nie przestali być dla mnie mili, tak jak zawsze dla wszystkich. Nawet twoja siostra Lili próbuje to zrozumieć, choć przychodzi jej to z trudem.*

Założę się, pomyślał Walli. Lili będzie się opierała najdłużej.

*Przez krótką chwilę mnie uszczęśliwiłeś i dałeś mi moją cudowną Alice, za co zawsze będę cię kochać.*

Walli poczuł łzy spływające po policzkach.

*Mam nadzieję, że w nadchodzących latach znajdziesz siłę, by przebaczyć mnie i Odonowi, i że pewnego dnia spotkamy się jako przyjaciele, może kiedy będziemy starzy i siwowłosi.*

- Chyba w piekle - warknął Walli.

*Kochająca Karolin*

Drzwi się otworzyły i weszły Tammy z Lisą.

Walli miał wzrok zamglony od łez, lecz wydało mu się, że obie są nagie.

- Co się stało? - spytała Lisa.

- Dlaczego płaczesz? - dodała Tammy.

- Karolin ze mną zerwała - odparł Walli. - Zamierza wyjść za pastora.

- Tak mi przykro - powiedziała Tammy, kręcąc głową.

Lisa tylko szepnęła współczująco:

- Biedaku.

Walli wstydził się swoich łez, ale nie mógł ich powstrzymać. Rzucił list na podłogę, obrócił się na bok i naciągnął koc na głowę.

Dziewczyny położyły się na łóżku. Otworzył oczy. Leżąc przed nim Tammy delikatnie dotknęła palcem łez spływających mu po policzku. Lisa przycisnęła swoje ciepłe ciało do jego pleców.

- Nie chcę - zdołał wykrztusić.

- Nie powinieneś być sam, gdy jesteś taki smutny - powiedziała Tammy. - Tylko cię utulimy. Zamknij oczy.

Poddał się i zamknął oczy. Powoli jego udręka zmieniła się w odrętwienie. Uwolnił się od myśli i zapadł w sen.

Kiedy się zbudził, Tammy całowała jego usta, a Lisa ssała penis.

Kochał się z obiema po kolei. Tammy była delikatna i słodka, Lisa energiczna i namiętna. Był im wdzięczny za to, że chciały go pocieszyć.

Jednak pomimo wszystko, choć bardzo się starał, nie mógł dojść.

## ROZDZIAŁ 40

Wykrywacz min wyglądał na zmęczonego.

Był chudym wietnamskim chłopcem mającym na sobie tylko bawełniane szorty. Jasper Murray domyślał się, że pewnie niedawno skończył trzynaście lat. Nierozsądnie poszedł tego ranka do dżungli zbierać orzechy akurat wtedy, kiedy pluton z kompanii D jak „Desperados” wyruszał na patrol.

Ręce miał związane na plecach, a koniec trzydziestometrowego sznura był przymocowany do pasa kaprała. Chłopiec szedł ścieżką przed żołnierzami. Ranek ciągnął się niemiłosiernie, dzieciak szedł więc coraz wolniej, w wyniku czego żołnierze mimowolnie go doganiali. Kiedy to się zdarzało, sierżant Smithy rzucał w niego nabojem, trafiając w głowę lub plecy, a chłopak krzyczał z bólu i przyspieszał kroku.

Szlaki w dżungli były zaminowane i pełne pułapek zastawianych przez ruch oporu, partyzantkę Wietkongu, potocznie nazywaną Charlie. Miny robiono ze wszystkiego: niewybuchów amerykańskich pocisków artyleryjskich, starych amerykańskich bomb Bouncing Betty, ładunków ćwiczebnych przerobionych na ostre, a nawet francuskich min naciskowych pozostałych z lat pięćdziesiątych.

Wykorzystywanie Wietnamczyka jako wykrywacza min nie było czymś niezwykłym, chociaż w Stanach nikt by się do tego nie przyznał. Czasem skośnoocy wiedzieli, które odcinki szlaków są zaminowane. Czasem jakoś potrafili wypatrzeć znaki ostrzegawcze niewidoczne dla żołnierzy. A jeśli wykrywacz min nie zdołał zauważyć pułapki, ginął zamiast nich. I tyle.

Jasper był zniesmaczony, lecz widział gorsze rzeczy w ciągu tych sześciu miesięcy spędzonych dotychczas w Wietnamie. Jego zdaniem ludzie każdej narodowości, szczególnie ci przestraszeni, byli zdolni do aktów niewyobrażalnego okrucieństwa. Wiedział, że brytyjska armia popełniała straszliwe zbrodnie w Kenii: jego ojciec był tam i teraz, ilekroć wspomniano o Kenii, tata bladł i mamrotał coś pod nosem o brutalności obu stron.

Jednak kompania D była szczególną jednostką.

Należała do „Tygrysów”, Sił Specjalnych 101 Dywizji Powietrzno-Desantowej. Głównodowodzący generał William Westmoreland dumnie nazywał ich „swoimi strażakami”. Zamiast regulaminowych nosili polowe mundury w tygrysie paski bez insygniów. Mogli zapuszczać brody i jawnie nosić broń krótką. Ich specjalnością była pacyfikacja.

Jasper dołączył do kompanii D tydzień temu. Ten przydział zapewne był biurokratyczną pomyłką: nie miał żadnych konkretnych kwalifikacji, jednak do Tygrysów wcielano żołnierzy

z różnych jednostek i o różnych specjalnościach. To była jego pierwsza misja z tym oddziałem. Pluton składał się z dwudziestu pięciu żołnierzy, czarnych i białych, mniej więcej po połowie.

Nie wiedzieli, że Jasper jest Anglikiem. Większość poborowych nigdy nie spotkała Brytyjczyka, a jemu znudziła się rola obiektu ich zainteresowania. Zmienił akcent i brali go za Kanadyjczyka lub kogoś takiego. Nie chciał znów tłumaczyć, że naprawdę nie zna Beatlesów.

Dziś ich zadaniem było „oczyszczenie” wioski.

Znajdowali się w prowincji Quang Ngai, w północnej części Wietnamu Południowego, nazywanej Strefą Taktyczną Pierwszego Korpusu albo po prostu obszarem północnym. Jak prawie połową Wietnamu Południowego rządził tu nie sajgoński reżim, ale partyzantka Wietkongu, która powoływała wioskowe władze, a nawet zbierała podatki.

- Ci Wietnamczycy po prostu nie rozumieją amerykańskiego stylu życia - rzekł mężczyzna idący obok Jaspiera. Nazywał się Neville i był wysokim Teksaszczykiem o ironicznym poczuciu humoru. - Kiedy Wietkong zajął ten rejon, było tu mnóstwo nieużytków, ziemi będącej własnością bogaczy z Sajgonu, którzy nie trudzili się jej uprawą, więc Charlie oddał ją wieśniakom. Potem, gdy zaczęliśmy odzyskiwać te tereny, rząd w Sajgonie zwrócił ziemię prawowitym właścicielom. Teraz wieśniacy są na nas wściekli, uwierzysz? Nie rozumieją idei prywatnej własności. To najlepiej świadczy o ich głupocie.

Kapral John Donellan, czarnoskóry żołnierz znany jako Donny, usłyszał to.

- Jesteś po prostu pierdolonym komunistą, Neville - powiedział.

- Nie jestem. Głosowałem na Goldwatera - odparł spokojnie Neville. - Obiecywał, że będzie trzymać w ryzach aroganckich czarnuchów.

Inni znajdujący się w zasięgu jego głosu roześmiali się: żołnierze lubili tego rodzaju klótnie. Pomagały im radzić sobie ze strachem.

Jasperowi też podobał się przekorny sarkazm Neville'a. Jednak podczas pierwszego postoju tego ranka zobaczył, jak Neville robi sobie skręta, dosypując do marihuany trochę nieoczyszczonej heroiny nazywanej brązowym cukrem. Jeśli Neville nie był ćpunem, to wkrótce nim będzie.

Partyzanci czuli się wśród mieszkańców jak ryby w wodzie. Tak przynajmniej wyraził się przywódca chińskich komunistów, przewodniczący Mao. Generał Westmoreland zamierzał pokonać ryby z Wietkongu, pozbawiając je morza. Trzysta tysięcy wieśniaków z prowincji Quang Ngai zapędzono do sześćdziesięciu ośmiu ufortyfikowanych obozów koncentracyjnych, tak by na opuszczonych terenach pozostał tylko Wietkong.

Niestety, ta strategia nie przynosiła oczekiwanych rezultatów.

- Ci ludzie - mówił Neville - zachowują się tak, jakbyśmy nie mieli prawa przychodzić do ich kraju, kazać im opuścić ich domy i pola i zamieszkać w obozach jenieckich. Co jest z nimi nie tak?

Wielu wieśniaków uniknęło wywózki i pozostało w pobliżu swoich pól. Inni uciekli z zatłoczonych, niehigienicznych obozów i wrócili do domów. Jedni i drudzy w oczach armii byli dozwolonymi celami. „Jeśli jacyś ludzie przebywają tam, a nie w obozach, to dla nas są oni różowi”, twierdził generał Westmoreland. „Są sympatykami komunistów”. Podczas odprawy porucznik jeszcze jaśniej wytłumaczył to plutonowi. „Tam nie ma przyjaźnie nastawionych”, powiedział. „Słyszycie? Nie ma tam przyjaźnie nastawionych. Nikomu nie wolno przebywać na obszarze północnym. Strzelajcie do wszystkiego, co się rusza”.

Tego ranka celem była wieś, która została ewakuowana, a potem ponownie zasiedlona. Ich zadaniem było oczyścić ją i zrównać z ziemią.

Najpierw musieli znaleźć to miejsce. Orientacja w dżungli nie należała do łatwych. Punktów orientacyjnych było niewiele, a widoczność ograniczona.

A Charlie mógł być wszędzie, może metr dalej. Świadomość tego faktu działała wszystkim na nerwy. Jasper nauczył się patrzeć przez listowie, sprawdzając jego kolejne warstwy, wypatrując jakiegoś niepasującego do otoczenia koloru, kształtu lub faktury. Trudno było zachować czujność, gdy ogarniało cię zmęczenie, gdy szedłeś przez dżunglę, ociekając potem, dręczony przez owady, lecz ci, których czujność słabła w niewłaściwym momencie, szybko ginęli.

I były różne rodzaje dżungli. Gęstwiny bambusów i słoniowej trawy, praktycznie nie do przejścia, chociaż najwyższe dowództwo nie chciało tego przyznać. Lasy tropikalne, w których łatwiej się było poruszać, gdyż półmrok ograniczał wzrost poszycia. I plantacje drzew kauczukowych: drzewa rosnące w równych rzędach, wycięte poszycie, przejezdne drogi. Dziś Jasper znajdował się w mieszanym lesie, gdzie rosły bananowce, drzewa mangrowe i chlebowce, tworzące zielone tło usiane jaskrawymi plamami tropikalnych kwiatów - orchidei, obrazkowatych i chryzantem. Piekło nigdy nie wyglądało piękniej, pomyślał i właśnie wtedy eksplodowała bomba.

Wybuch ogłuszył go i rzucił na ziemię. Zaraz jednak otrząsnął się z zaskoczenia. Sturlał się ze ścieżki, schował za będącym marną osłoną krzakiem, wycelował przed siebie swój karabin M16 i rozejrzał się wokół.

Na początku kolumny na ziemi leżało pięć ciał. Żadne się nie poruszało. Od przybycia do Wietnamu Jasper kilkakrotnie widział śmierć w walce, ale wciąż się do tego nie

przyzwyczajai. Przed chwilą było tam pięć idących i rozmawiających ludzkich istot, mężczyzn, którzy z nim żartowali, stawiali mu drinki lub podawali rękę, pomagając przejść przez pień zwalonego drzewa; teraz zmienili się w krwawe ochłapy leżące na ziemi.

Odgadł, co się stało. Któryś nadepnął na ukrytą minę naciskową. Dlaczego nie wybuchła pod ciężarem ciała wietnamskiego wykrywacza min? Najpewniej chłopak zauważył ją, przytomnie zachował ten fakt dla siebie i ominął niebezpieczeństwo. Teraz nigdzie nie było go widać. W końcu przechytrzył swoich ciemiężycieli.

Jeden z żołnierzy - wysoki i czarnobrody mieszkaniec Środkowego Zachodu Jack Baxter zwany Szalonym - doszedł do tego samego wniosku. Wrzeszcząc: „Ten pierdolony skośnooki wprowadził nas na minę!”, pobiegł przed siebie, strzelając na oślep w gąszcz i marnując amunicję. „Zabiję matkojeba!” - ryczał. W końcu opróżnił dwudziestozrzałowy magazynek i zatrzymał się.

Wszyscy byli wściekli, ale pozostali nie stracili zdrowego rozsądku. Sierżant Smithy już rozmawiał przez radio, wzywając helikopter ratowniczy. Kapral Donny klęczał przy jednym z leżących, optymistycznie sprawdzając mu puls. Jasper uprzytomnił sobie, że helikopter nie zdoła wylądować na wąskiej ścieżce. Zerwał się z ziemi.

- Poszukam jakiejś polany! - zawołał do Smithy'ego.

Ten skinął głową.

- McCain i Frazer, idźcie z Murrayem! - krzyknął.

Jasper sprawdził, czy ma kilka granatów z białym fosforem Willie Pete, a potem zszedł ze ścieżki. Dwaj pozostali podążyli za nim.

Szukał oznak świadczących, że teren może stać się skalisty lub piaszczysty, utrudniając rozwój roślinności i tworząc polanę. Starał się wyszukiwać znaki orientacyjne, żeby się nie zgubić. Po paru minutach wyszli z dżungli na skraj pola ryżowego.

Na jego końcu Jasper dostrzegł trzy lub cztery postacie w tych cienkich bawełnianych piżamach będących codziennym strojem wieśniaków. Zanim zdążył ich policzyć, zauważyli go i zniknęli w dżungli.

Zastanawiał się, czy mieszkali w wiosce, do której zmierzał pluton. Jeśli tak, to mimowolnie ich ostrzegł. Trudno: ratowanie rannych miało najwyższy priorytet.

McCain i Frazer ustawili się na końcach pola, zabezpieczając teren. Jasper rzucił granat fosforowy. Ryż zapalił się, ale jego pędy były zbyt zielone i płomień zaraz zgasł. Jednak słup białego dymu uniósł się w powietrze, sygnalizując ich położenie.

Jasper rozejrzał się. Charlie wiedział, że kiedy Amerykanie są zajęci swoimi zabitymi i rannymi, jest to dogodna chwila, żeby ich zaatakować. Trzymając w rękach M16, Jasper

spoglądał na dżunglę, gotowy paść na ziemię i odpowiedzieć ogniem, gdyby ich ostrzelano. Widział, że McCain i Frazer robią to samo. Najprawdopodobniej żaden z nich nie zdążyłby uskoczyć. Ukryty wśród drzew snajper miałby mnóstwo czasu, żeby starannie wycelować i oddać zabójczy strzał. Zawsze tak jest na tej pieprzonej wojnie, pomyślał. Charlie nas widzi, a my jego nie. Atakuje i ucieka. Nazajutrz snajper zbiera ryż na poletku ryżowym i udaje zwyczajnego wieśniaka, który nie odróżnia jednego końca kałasznikowa od drugiego.

Czekając, Jasper myślał o domu. Mógłbym teraz pracować dla „Western Mail”, zadumał się, siedzieć w zacisznej sali obrad i przysypiać, gdy radni gędzą o zagrożeniu powodowanym przez nieodpowiednie oświetlenie ulic, zamiast pocić się na poletku ryżowym i zastanawiać, czy zaraz zarobię kulkę.

Myślał o swojej rodzinie i przyjaciółach. Jego siostra Anna stała się ważną osobą w świecie wydawniczym, po tym jak odkryła błyskotliwego rosyjskiego dysydenta piszącego pod pseudonimem Iwan Kuzniecowa. Evie Williams, która jako podłotek durzyła się w Jasperze, została gwiazdą filmową i przeniosła się do Los Angeles. Dave i Walli byli gwiazdami rocka i milionerami. Tymczasem Jasper jako zwykły szeregowiec brał udział w okrutnej i głupiej wojnie tysiąc kilometrów od niczego, w której Amerykanie byli stroną przegrywającą.

Rozmyślał o ruchu antywojennym w Stanach. Czy poczynił jakieś postępy? Czy może ludzie nadal dawali się omamić propagandzie głoszącej, że wszyscy protestujący to komuniści i narkomani chcący osłabić Amerykę? W przyszłym roku, 1968, odbędą się wybory prezydenckie. Czy Johnson zostanie pokonany? Czy zwycięzca zakończy tę wojnę?

Helikopter wylądował i Jasper poprowadził noszowych przez dżunglę do miejsca wybuchu. Pamiętał znaki orientacyjne i bez trudu odnalazł pluton. Gdy tylko dotarli na miejsce i zobaczył miny stojących tam mężczyzn, zrozumiał, że wszystkie ofiary nie żyją. Ratownicy zabiorą pięć worków ze zwłokami.

Pozostali przy życiu byli wściekli.

- Ten skośnooki wprowadził nas prosto w pułapkę - rzucił kapral Donny. - Po prostu zrobił nas w chuja, no nie?

- Jak skurwysyn - potwierdził Szalony Jack.

Neville jak zwykle udawał, że się zgadza, sugerując coś wręcz przeciwnego.

- Głupi szczeniak, pewnie myślał, że go zabijemy, kiedy nie będzie nam już potrzebny - oznajmił. - Był zbyt głupi, by zrozumieć, że sierżant Smithy zamierza zabrać go do swojego domu w Filadelfii i posłać do college'u.

Nikt się nie śmiał.



Jasper powiedział Smithy'emu o wieśniakach, których widział na ryżowym poletku.

- Nasza wioska chyba znajduje się w tym kierunku - orzekł Smithy.

Pluton poszedł z noszowymi niosącymi ciała do helikoptera. Gdy ten odleciał, Donny miotaczem płomieni M2 oblał napalmem ryżowe poletko, które spłonęło w kilka minut.

- Dobra robota - pochwalił Smithy. - Teraz przekonają się, że jeśli wrócą, nie będą mieli co jeść.

- Myślę, że warkot helikoptera ostrzegł wieśniaków - stwierdził Jasper. - Pewnie zastaniemy wioskę opustoszałą.

Albo wpadniemy w zasadzkę, pomyślał, ale nie powiedział tego.

- Jeśli będzie opustoszała, to w porządku - odparł Smithy. - I tak zrównamy ją z ziemią. Wywiad twierdzi, że są tam tunele. Musimy je znaleźć i zniszczyć.

Wietnamczycy kopali tunele od czasu rozpoczęcia wojny z francuskimi kolonizatorami w 1946 roku. Pod dżunglą znajdowały się dosłownie setki kilometrów korytarzy, składy amunicji, koszary, kuchnie, warsztaty, a nawet szpitale. Trudno było je zniszczyć. Rozmieszczone w regularnych odstępach zapory wodne chroniły mieszkańców przed dymem. Bomby zrzucone z powietrza zwykle nie trafiały w cel. Tunele można było wysadzić wyłącznie od wewnątrz.

Najpierw jednak musieli je znaleźć.

Sierżant Smithy poprowadził pluton ścieżką biegnącą od ryżowego poletka do małej plantacji palm kokosowych. Gdy wyszli spomiędzy palm, zobaczyli wioskę: około stu chat przy polach uprawnych. Nie dostrzegli śladów życia, ale mimo to weszli tam ostrożnie.

Osada wyglądała na opuszczoną.

Żołnierze chodzili od chaty do chaty, wołając: *Didi mau!*, co po wietnamsku oznaczało „wychodzić”. Jasper zajrzał do jednego domu i zobaczył kapliczkę będącą centrum większości wietnamskich domów: zbiór świec, zwojów, kadzielnic i dekoracyjnych zasłonek poświęcony przodkom. Kapral Donny użył miotacza płomieni. Ściany chaty były z bambusa oblepionego gliną, a dach z liści palmowych, więc napalm szybko zamienił ją w zgliszcza.

Idąc z karabinem gotowym do strzału w kierunku centrum wioski, Jasper ze zdziwieniem usłyszał rytmiczne dudnienie. Uświadomił sobie, że słyszy bicie bębna, zapewne mo, instrumentu z wydrążonego pnia uderzanego kijem. Domyślił się, że ktoś posłużył się mo, żeby ostrzec wieśniaków i umożliwić im ucieczkę. Tylko dlaczego wciąż bębnił?

Kierując się tymi odgłosami, razem z innymi podążył do centrum wioski. Tam znaleźli obrzędowy staw z kwiatami lotosu przed małym dinh, budynkiem będącym ośrodkiem wioskowego życia: świątynią, świetlicą i klasą szkolną.

W środku zobaczyli siedzącego ze skrzyżowanymi nogami na polepie buddyjskiego mnicha z ogoloną głową, uderzającego w drewniany, około półmetrowy bębenek w kształcie ryby. Zobaczył wchodzących, ale nie przestał bębnić.

Jeden z żołnierzy mówił trochę po wietnamsku. Był białym Amerykaninem z równinnego stanu Iowa, ale nazywano go Stok.

- Stok, zapytaj żółtka, gdzie są tunele - powiedział teraz Smithy.

Stok krzyknął na mnicha po wietnamsku. Mężczyzna zignorował go i nadal bębnił.

Smithy skinął na Szalonego Jacka, który podszedł i kopnął mnicha w twarz ciężkim wojskowym butem model M-1966 do walk w dżungli. Mężczyzna runął na plecy, krwawiąc z nosa i ust, a bęben i pałeczka poleciały w różne strony. Dziwne, ale nawet nie pisnął.

Jasper przełknął ślinę. Był świadkiem, jak podczas przesłuchań torturowano partyzantów Wietkongu: zdarzało się to często. Chociaż nie podobało mu się to, widział w tym sens: to byli ludzie, którzy chcieli go zabić. Każdy mężczyzna po dwudziestce złapany w tej strefie był zapewne partyzantem lub aktywnym sympatykiem, więc Jasper mógł zrozumieć, że takich ludzi torturowano, nawet jeśli brakowało dowodów, że walczyli przeciwko Amerykanom. Ten mnich mógł wyglądać na pacyfistę, ale Jasper widział, jak dziesięcioletnia dziewczynka wrzuciła granat do stojącego na ziemi helikoptera.

Smithy podniósł mnicha i przytrzymał go twarzą do żołnierzy. Wietnamczyk miał zamknięte oczy, wciąż jednak oddychał.

Stok znów zadał mu pytanie.

Mnich nie odpowiedział.

Szalony Jack złapał drewnianą rybę i trzymając ją za ogon, zaczął nią bić mnicha. Uderzał w głowę, ramiona, pierś, krocze i kolana, raz po raz przerywając, aby Stok mógł powtórzyć pytanie.

Teraz Jasper naprawdę poczuł się nieswojo. Przez samo patrzenie na to popełniał zbrodnię wojenną, ale nie to go niepokoiło: wiedział, że prokuratura armii USA prowadząca dochodzenia w sprawie takich okrucieństw nigdy nie znajduje wystarczających dowodów. Po prostu uważał, że ten mnich na to nie zasłużył. Zemdliło go i odwrócił oczy.

Nie winił tych chłopaków. W każdym miejscu i czasie, w każdym kraju są ludzie zdolni do takich czynów w sprzyjających okolicznościach. Jasper winił oficerów, którzy wiedzieli, co się dzieje, i nic nie robili, generałów okłamujących prasę i władze w Waszyngtonie, a przede wszystkim polityków, którzy nie mieli odwagi wstać i powiedzieć: „To jest złe”.

- Daj spokój, Jack, sukinsyn nie żyje - powiedział po chwili Stok.

- Kurwa! - zaklął Smithy. Puścił mnicha, który bezwładnie upadł na ziemię. - Musimy

znaleźć te pierdolone tunele.

Kapral Donny i czterej inni weszli do świątyni, ciągnąc troje Wietnamczyków: mężczyznę i kobietę w średnim wieku oraz mniej więcej piętnastoletnią dziewczynę.

- Ta rodzina myślała, że ukryje się przed nami w szopie na kokosy - rzekł Donny.

Trójka Wietnamczyków z przerażeniem spojrzała na zwłoki mnicha, który w szacie przesiąkniętej krwią i z twarzą rozbitą na miazgę ledwie przypominał człowieka.

- Powiedz im - odezwał się Smithy do Stoka - że będą tak wyglądali, jeśli nie powiedzą nam, gdzie są tunele.

Stok przetłumaczył. Mężczyzna odpowiedział mu.

- Mówi, że w tej wiosce nie ma tuneli - przetłumaczył Stok.

- Kłamliwy matkojeb - warknął Smithy.

- Czy mam...? - spytał Jack.

Smithy się zastanowił.

- Zajmij się dziewczyną, Jack - powiedział. - Niech rodzice patrzą.

Jack wydawał się chętny. Zerwał ubranie z dziewczyny, a potem rzucił ją na ziemię. Była blada i szczupła. Donny przytrzymał ją. Jack wyciągnął członek, już wpełniony, i potarł go, żeby zesztyniał.

Jasper spoglądał na to przerażony, ale nie zdziwiony. Gwałty nie były powszechne, zdarzały się jednak zbyt często. Żołnierze niekiedy o nich meldowali, zazwyczaj ci, którzy dopiero przybyli do Wietnamu. Armia badała takie doniesienia, po czym stwierdzała brak potwierdzających je dowodów, co oznaczało, że inni żołnierze nie chcieli mieć kłopotów i twierdzili, że nic nie widzieli - na tym sprawa się kończyła.

Starsza kobieta zaczęła mówić, wyrzucając z siebie potok historycznych, błagalnych słów.

- Mówi, że dziewczyna jest dziewicą i to jeszcze dziecko.

- Nie jest dzieckiem - rzekł Smithy. - Spójrzcie na to czarne futerko na cipce.

- Matka przysięga na wszystkich bogów, że tutaj nie ma tuneli. Mówi, że nie popiera Wietkongu, ponieważ żyła z pożyczania pieniędzy wieśniakom, a Charlie jej tego zabronił.

- Zrób to, Jack - powiedział Smithy.

Jack położył się na dziewczynie, swoim wielkim cielskiem zakrywając większość jej chudego ciała. Zdawało się, że ma problemy z penetracją. Pozostali zagrzewali go okrzykami i żartowali. Jack pchnął silnie i dziewczyna wrzasnęła.

Przez minutę pompował energicznie. Matka nadal błagała, chociaż Stok nie fatygował się tłumaczeniem. Ojciec milczał, ale Jasper widział łzy spływające mu po twarzy. Jack

stęknął kilkakrotnie, a potem przestał i wstał. Dziewczyna miała krew na udach, jasnoczerwoną na skórze koloru kości słoniowej.

- Kto następny? - spytał Smithy.

- Ja się nią zajmę - rzekł Donny, rozpinając rozporek.

Jasper opuścił świątynię.

To nie było normalne. Już nie można było tłumaczyć tego próbą zmuszenia ojca do zeznań; gdyby coś wiedział, powiedziałby to, zanim zaczęli gwałcić jego córkę. Jasper nie potrafił usprawiedliwić postępowania mężczyzn ze swojego plutonu. Przestali się kontrolować. Generał Westmoreland stworzył potwora i z rozmysłem wypuścił go na wolność. Ci ludzie potracili rozum. Nie byli nawet zwierzętami, ale czymś gorszym - oszalałymi bestiami.

Neville wyszedł za nim.

- Pamiętaj, Jasper - powiedział - że musimy zdobyć serca i umysły tych Wietnamczyków.

Jasper wiedział, że w ten sposób Neville stara się znieść to, co jest nie do zniesienia, ale w tym momencie nie trawił jego poczucia humoru.

- Dlaczego się, kurwa, nie zamkniesz! - warknął i odszedł.

Nie był jedynym, którego zbrzydziła scena w świątyni. Prawie połowa plutonu stała na zewnątrz, obserwując, jak płonie wioska. Chmura czarnego dymu spowijała ją niczym całun. Jasper słyszał dobiegające ze świątyni krzyki dziewczyny, które po chwili ucichły. Kilka minut później usłyszał strzał, a potem drugi.

I jak miał zareagować? Gdyby złożył skargę, nic by nie zrobiono, natomiast armia znalazłaby sposób, żeby go ukarać za sprawianie kłopotów. Może jednak, pomyślał, powinienem to zrobić. W każdym razie obiecał sobie, że wróci do Stanów i przez resztę życia będzie demaskował kłamców i głupców, którzy umożliwili takie potworności.

Donny wyszedł ze świątyni i podszedł do niego.

- Smithy chce cię widzieć - powiedział.

Jasper wszedł za kapralem do środka.

Dziewczyna leżała na ziemi z szeroko rozrzuconymi rękami i nogami, z dziurą od kuli w czole. Jasper zauważył też krwawy ślad po ugryzieniu na małej piersi.

Jej ojciec też nie żył.

Matka klęczała i mówiła coś, zapewne błagała o litość.

- Jeszcze nie straciłeś cnoty, Murray - powiedział Smithy.

Mówił, że Jasper jeszcze nie popełnił zbrodni wojennej.

Jasper wiedział, do czego to zmierza.

- Zastrzel tę starą - rozkazał Smithy.

- Pierdol się, Smithy - rzekł Jasper. - Sam ją zastrzel.

Szalony Jack podniósł karabin i przycisnął lufę do szyi Jaspera.

Nagle wszyscy umilkli i znieruchomieli.

- Zastrzel tę starą - powiedział Smithy - albo Jack zastrzeli ciebie.

Jasper nie miał wątpliwości, że Smithy był gotowy wydać taki rozkaz, a Jack go wykona. I rozumiał dlaczego. Musieli uczynić go współwinnym. Kiedy zabije tę kobietę, będzie równie winny jak każdy z nich, co nie pozwoli mu narobić im kłopotów.

Rozejrzał się. Wszyscy patrzyli na niego. Nikt nie protestował ani nawet nie był zmieszany. Zrozumiał, że już to znają. Niewątpliwie robili tak z każdym nowym wcielonym do kompanii. Jasper zadał sobie pytanie, ilu odmówiło wykonania takiego rozkazu i zginęło. Potem zostali zgłoszeni jako zabici przez nieprzyjaciela. Żadnych problemów.

- Nie zastanawiaj się zbyt długo - rzucił Smithy. - Mamy robotę.

Jasper wiedział, że i tak zabiją tę kobietę. Nie mógł jej ocalić, odmawiając wykonania rozkazu. Poświęciłby swoje życie na próżno.

Jack szturchnął go lufą karabinu.

Jasper podniósł M16 i wycelował w czoło kobiety. Zobaczył, że ma ciemnobrązowe oczy i trochę siwizny w czarnych włosach. Nie odsunęła się ani nawet nie drgnęła, tylko nadal wypowiadała błagalne słowa, których nie rozumiał.

Jasper dotknął dźwigni z lewej strony broni, przesuwając ją z pozycji zabezpieczonej na półautomat. Przy takim ustawieniu karabin strzelał ogniem pojedynczym.

Ręce wcale mu nie drżały.

Nacisnął spust.

**CZĘŚĆ SZÓSTA**

**Kwiat**

**1968**

## ROZDZIAŁ 41

Jasper Murray odsłużył w wojsku dwa lata: rok szkolenia w USA i rok walk w Wietnamie. Został zwolniony w styczniu 1968. Podczas służby nie odniósł żadnej rany i uważał się za szczęściarza.

Daisy Williams opłaciła mu przelot do Londynu, żeby mógł zobaczyć się z rodziną. Jego siostra Anna była teraz dyrektorem wydawnictwa Rowley Publishing. W końcu wyszła za Hankę Remingtona, który okazał się bardziej stały w uczuciach niż większość gwiazd rocka. Dom przy Great Peter Street wydawał się dziwnie cichy: wszyscy młodzi wyprowadzili się, zostawiając w rezydencji tylko Lloyda i Daisy. Lloyd był teraz ministrem laburzystowskiego rządu i rzadko bywał w domu. Ethel umarła w styczniu, a jej pogrzeb odbył się kilka godzin przed odlotem Jaspера do Nowego Jorku. Nabożeństwo odprawiono w Calvary Gospel Hall w Aldgate, małym drewnianym kościółku, w którym poślubiła Berniego Leckwitha pięćdziesiąt lat wcześniej, gdy jej brat Billy i niezliczeni chłopcy tacy jak on walczyli w zmrożonym błocie okopów pierwszej wojny światowej.

Mała kaplica mogła pomieścić w ławkach około stu wiernych i dwudziestu lub trzydziestu stojących z tyłu, a tymczasem ponad tysiąc osób przyszło pożegnać Eth Leckwith.

Pastor przeniósł nabożeństwo na zewnątrz, a policja zamknęła ulicę dla ruchu samochodowego. Przemawiający stawali na krzesłach, zwracając się do tłumu. Dwoje dzieci Ethel - Lloyd Williams i Millie Avery, oboje po pięćdziesiątce - stało z przodu z większością jej wnucząt i garstką prawnucząt.

Evie Williams odczytała przypowieść o dobrym Samarytaninie z Ewangelii Łukasza. Dave i Walli przynieśli gitary i zaśpiewali *Tęsknię za tobą, Alicia*. Była tam połowa gabinetu ministrów. I hrabia Fitzherbert. Dwa autobusy z Aberowen przywiozły stu Walińczyków, których głosy wzmocniły śpiewających psalm.

Jednak większość żałobników była zwyczajnymi londyńczykami, których życie zmieniła Ethel. Stali w styczniowym chłdzie, mężczyźni trzymający czapki w rękach, kobiety uciszające swoje dzieci, starcy trzęsący się w swoich tanich płaszczach, a gdy pastor pomodlił się, żeby Ethel spoczywała w pokoju, wszyscy powiedzieli: „Amen”.

Na 1968 rok George Jakes miał prosty plan: Bobby Kennedy zostanie prezydentem i zakończy wojnę.

Nie wszyscy doradcy Bobby'ego się z nim zgadzali. Dennis Wilson uważał, że Bobby powinien pozostać tylko senatorem z Nowego Jorku.

- Ludzie powiedzą, że mamy już demokratycznego prezydenta i Bobby powinien popierać Lyndona Johnsona, a nie kandydować przeciwko niemu - mówił. - To niebywałe.

Spotkali się w National Press Club w Waszyngtonie trzydziestego stycznia 1968 roku, czekając na Bobby'ego, który zaraz miał zjeść śniadanie z piętnastką reporterów.

- Nie masz racji - zaprotestował George. - Przypomnij sobie, że przeciwnikami Trumana byli Strom Thurmond i Henry Wallace.

- Ale to się działo dwadzieścia lat temu. Poza tym Bobby nie otrzyma nominacji demokratów.

- Myślę, że będzie bardziej popularny niż Johnson.

- Popularność nie ma tu nic do rzeczy - oświadczył Wilson. - Większość delegatów, którzy pojawiają się na konwencji krajowej, wykonuje polecenia partyjnych elit władzy: przywódców związkowych, gubernatorów i burmistrzów. Ludzi takich jak Daley. - Burmistrz Chicago Richard Daley był konserwatywnym politykiem najgorszego rodzaju, bezwzględny i skorumpowany. - A jedno, w czym jest dobry Johnson, to walka wewnątrzpartyjna.

George z niesmakiem pokręcił głową. Zajął się polityką, żeby zniszczyć te stare struktury władzy, a nie ulegać im. Tak samo jak - w głębi serca - Bobby.

- Bobby dostanie takie poparcie w terenie, że elity władzy nie będą mogły go zlekceważyć.

- Czy nie rozmawiałeś z nim o tym? - udawał niedowierzanie Wilson. - Nie słyszałeś, jak powiedział, że ludzie uznają go za egoistę o wybujałych ambicjach, jeśli będzie kandydował przeciwko urzędującemu prezydentowi demokratów?

- Większość ludzi uzna go za naturalnego dziedzica brata.

- Kiedy przemawiał w Brooklyn College, studenci trzymali transparent z napisem: „Jastrząb, gołąbek czy struś?”.

Ten żart dotknął Bobby'ego i zaniepokoił George'a, który teraz usiłował patrzeć na to z odrobiną optymizmu.

- To oznacza, że chcą, by kandydował! - rzekł. - Wiedzą, że jest jedynym kandydatem mogącym zjednoczyć starych i młodych, czarnych i białych, bogatych i biednych, i skłonić wszystkich do współpracy w celu zakończenia tej wojny oraz sprawiedliwego traktowania czarnych.

Wargi Wilsona wykrzywił drwiący uśmiech, lecz zanim zdążył wygłosić pogardliwą tyradę o idealizmie George'a, wszedł Bobby i wszyscy usiedli do śniadania.

George całkowicie zmienił zdanie o Lyndonie Johnsonie. Ten zaczął tak dobrze, wprowadzając ustawę o prawach obywatelskich w 1964 oraz ustawę o prawach wyborczych



w 1965 roku i zamierzając walczyć z ubóstwem. Jednak Johnson nie znał się na polityce zagranicznej, tak jak przewidywał ojciec George'a, Greg. Johnson wiedział tylko, że nie chce być prezydentem, który oddał Wietnam komunistom. W rezultacie był teraz beznadziejnie uwikłany w brudną wojnę i kłamliwie mówił amerykańskim obywatelom, że ją wygrywa.

Słownictwo też się zmieniło. George pamiętał, że dawniej „czarny” było określeniem wulgarnym, „kolorowy” łagodniejszym, a „Murzyn” uprzejmym, używanym przez liberalny „New York Times”, zawsze pisany dużą literą, tak jak „Żyd”. Teraz słowo „Murzyn” uważano za określenie protekcyjne, a „kolorowy” za wymijające i wszyscy mówili o czarnych ludziach, czarnej społeczności, czarnej dumie, a nawet czarnej sile. Czarne jest piękne, deklarowali. George nie wiedział, czy te słowa coś zmieniają.

Niewiele zjadł na śniadanie; był zbyt zajęty notowaniem pytań i odpowiedzi Bobby'ego, żeby przygotować z nich potem informację prasową.

- Jak się pan czuje naciskany, żeby kandydować na prezydenta? - zapytał jeden z dziennikarzy.

George podniósł głowę znad notatek i zobaczył, że Bobby uśmiechnął się słabo, bez cienia wesołości, zanim odpowiedział:

- Niedobrze. Niedobrze.

George się spiął. Bobby czasem bywał zbyt szczery.

- Co sądzi pan o kampanii senatora McCarthy'ego?

Nie mówił o osławionym senatorze Joem McCarthym, który polował na komunistów w latach pięćdziesiątych, lecz o jego skrajnym przeciwieństwie, senatorze Eugenie McCarthym, liberalnym białym, zarówno poetą, jak i politykiem. Dwa miesiące wcześniej Gene McCarthy ogłosił, że zamierza ubiegać się o nominację demokratów i jako przeciwnik wojny rywalizować z Johnsonem. Prasa już uznała, że nie ma szans.

- Sądzę, że kampania McCarthy'ego pomoże Johnsonowi - odparł teraz Bobby.

Nadal nie nazywał Lyndona prezydentem. Przyjaciół George'a, pracujący dla Johnsona Skip Dickerson, mocno to krytykował.

- Zatem będzie pan kandydował?

Bobby miał wiele sposobów unikania odpowiedzi na to pytanie, cały repertuar wymijających odzywek, jednak dzisiaj nie użył żadnej z nich.

- Nie - odparł.

George upuścił ołówek. A cóż to takiego?

- W żadnej przewidywalnej przyszłości nie zamierzam kandydować - dodał Bobby.

George miał ochotę powiedzieć: W takim razie co my tu wszyscy, kurwa, robimy?

Zauważył chytry uśmieszek Dennisa Wilsona.

Korciło go, żeby wstać i wyjść. Jednak nie pozwalały mu na to dobre maniery. Pozostał na swoim miejscu i nadal robił notatki do końca śniadania.

Po powrocie do biura Bobby'ego na Wzgórzu Kapitołińskim napisał komunikat dla prasy, pracując jak automat. Zmienił wypowiedź Bobby'ego na: „W żadnych przewidywalnych okolicznościach nie będę kandydował”, ale niewiele to dawało.

Tego popołudnia trzech członkowie personelu Bobby'ego złożyli rezygnacje. Nie przybyli do Waszyngtonu pracować dla przegranego faceta.

George był wściekły i też miał ochotę powiedzieć, że odchodzi, ale ugryzł się w język. Lepiej to przemyśleć. I porozmawiać z Vereną.

Była w mieście i jak zawsze zatrzymała się w jego mieszkaniu. Teraz miała u niego w sypialni swoją szafę. Trzymała w niej ciepłe rzeczy, których nigdy nie potrzebowała w Atlancie.

Wiadomość bardzo ją zmartwiła, omal się nie rozplakała.

- Tylko jego mamy - jęknęła. - Czy wiesz, ilu ludzi straciliśmy w zeszłym roku w Wietnamie?

- Oczywiście, że wiem - odparł George. - Osiemdziesiąt tysięcy. Umieściłem to w jednym z przemówień Bobby'ego, ale nie wykorzystał tej części.

- Osiemdziesiąt tysięcy zabitych, rannych lub zaginionych w akcji - powiedziała Verena. - To okropne.

- W tym roku liczba ofiar na pewno będzie większa.

- Bobby stracił szansę na wielkość. Tylko dlaczego? Dlaczego to zrobił?

- Jestem zbyt rozgniewany, żeby z nim o tym rozmawiać, ale sądzę, że on naprawdę kwestionuje swoje pobudki. Zadaje sobie pytanie, czy chce tego dla dobra swojej ojczyzny, czy własnego ego. I to go dręczy.

- Martina również - wyznała Verena. - Zadaje sobie pytanie, czy zamieszki w miastach to jego wina.

- Jednak doktor King zachowuje te wątpliwości dla siebie. Będąc przywódcą, trzeba to robić.

- Myślisz, że Bobby zaplanował to oświadczenie?

- Nie, jestem pewny, że wypowiedział te słowa pod wpływem nagłego impulsu. To jeden z powodów, że tak trudno dla niego pracować.

- I co zrobisz?

- Zapewne odejdę. Jeszcze się nad tym zastanawiam.

Przebiali się do wyjścia na kolację we dwoje, a jednocześnie czekali na wiadomości telewizyjne. Wiązując szeroki krawat w śmiałe paski, George obserwował w lustrze, jak Verena wkłada bieliznę. Jej ciało zmieniło się w ciągu tych pięciu lat, które minęły, odkąd po raz pierwszy zobaczył ją nagą. W tym roku miała skończyć dwadzieścia dziewięć lat i już nie była niezgrabnym długonogim źrebięciem. Nabrała wdzięku i gracji. George uważał, że jako dojrzała kobieta wygląda jeszcze piękniej. Zapuşciła włosy w sposób nazywany „naturalnym”, który podkreślał uwodzicielski urok jej zielonych oczu.

Teraz usiadła przed lustrem, żeby zrobić makijaż.

- Jeśli odejdziesz, mógłbyś przenieść się do Atlanty i pracować dla Martina - powiedziała.

- Nie - rzekł George. - Doktor King jest orędownikiem jednej sprawy. Demonstranci protestują, ale to politycy zmieniają ten świat.

- Co więc zrobisz?

- Chyba będę kandydował do Kongresu.

Verena odłożyła pędzelek do cieni i odwróciła się, żeby spojrzeć na George'a.

- Och - powiedziała. - To dość zaskakująca decyzja.

- Przybyłem do Waszyngtonu, żeby walczyć o prawa obywatelskie, ale niesprawiedliwe traktowanie czarnych nie jest tylko kwestią tych praw - oświadczył George. Długo się nad tym zastanawiał. - Chodzi o warunki mieszkaniowe, bezrobocie i wojnę wietnamską, na której młodzi czarni mężczyźni giną każdego dnia. Na dłuższą metę na życie czarnych ludzi wpływają nawet wydarzenia w Moskwie i Pekinie. Taki człowiek jak doktor King jest dla nas natchnieniem, ale potrzeba prawdziwego polityka, żeby zrobić coś naprawdę dobrego.

- Chyba potrzebujemy i polityków, i tych, którzy nas inspirują - zauważyła Verena i znów zaczęła malować oczy.

George włożył swój najlepszy garnitur, w którym zawsze dobrze się czuł. Później wypije martini, a może dwa. Przez siedem lat jego życie było nierozzerwalnie związane z Robertem Kennedym. Może czas ruszyć dalej.

- Czy przyszło ci kiedyś do głowy, że nasz związek jest dość szczególny? - zapytał.

Roześmiała się.

- Oczywiście! Mieszkamy osobno i spotykamy się co miesiąc lub dwa, żeby uprawiać namiętny seks. I robimy to od lat!

- Mężczyzna mógłby robić to, co ty: spotykać się z kochanką podczas podróży służbowych - rzekł George. - Szczególnie żonaty. To byłoby normalne.

- Nawet podoba mi się ten pomysł - rzuciła. - Mięso i ziemniaki w domu, a kawior w

delegacjach.

- Cieszę się, że jestem kawiozem.

Oblizwała wargi.

- Mm, słone.

George się uśmiechnął. Postanowił, że tego wieczoru nie będzie już myślał o Bobbym.

W telewizji zaczęły się wiadomości i George podkreślił głośność. Spodziewał się, że oświadczenie Bobby'ego znajdzie się na początku, ale było coś ważniejszego. W Nowy Rok, który Wietnamczycy nazywali Tet, Wietkong rozpoczął zakrojoną na dużą skalę ofensywę. Zaatakował pięć z sześciu największych miast, stolice trzydziestu sześciu prowincji i sześćdziesiąt małych miasteczek. Tak silny atak zaskoczył amerykańskich wojskowych. Nikt się nie spodziewał, że partyzanci są zdolni do przeprowadzenia operacji na tak wielką skalę.

Pentagon oświadczył, że siły Wietkongu zostały odparte, ale George w to nie wierzył.

Spiker powiedział, że nazajutrz są spodziewane kolejne ataki.

- Zastanawiam się, jak to wpłynie na kampanię Gene'a McCarthy'ego? - powiedział George do Vereny.

Beep Dewar przekonała Wallego Francka, żeby wygłosił polityczną przemowę.

Z początku odmówił. Był gitarzystą i obawiał się, że zrobi z siebie głupka, jak senator publicznie śpiewający piosenki rozrywkowe. Jednak pochodził z politycznie zaangażowanej rodziny i wychowanie nie pozwalało mu stać na uboczu. Pamiętał pogardę swoich rodziców dla Niemców z Zachodu, którzy nie protestowali przeciwko wybudowaniu muru berlińskiego i represjom wschodniemieckiego rządu. Są równie winni jak komuniści, mówiła jego matka. Teraz Walli uświadomił sobie, że gdyby nie skorzystał z okazji wypowiedzenia się za pokojem, byłby równie zły jak Lyndon Johnson.

A ponadto Beep trudno było odmówić.

Tak więc zgodził się.

Wsadziła go do czerwonego dodge'a chargera Dave'a i zawiozła do kwatery wyborczej Gene'a McCarthy'ego w San Francisco, gdzie miał przemówić do małej armii młodych entuzjastów, którzy niestrudzenie agitowali wyborców w ich domach.

Stojąc przed audytorium, poczuł się lekko zdenerwowany. Na szczęście miał przygotowany początek przemowy. Zaczął powoli, ale swobodnie.

- Niektórzy ludzie mówią mi, że powinienem się trzymać z dala od polityki, ponieważ nie jestem Amerykaninem - zagaił tonem towarzyskiej pogawędki. Potem wzruszył ramionami i dodał: - Jednak ci ludzie uważają, że to w porządku, gdy Amerykanie jadą do

Wietnamu i zabijają innych ludzi, więc to chyba nie takie złe, gdy Niemiec przyjeżdża do San Francisco i tylko mówi...

Ku swojemu zdziwieniu usłyszał ryk śmiechu i gromkie brawa. Może jednak będzie dobrze.

Od kiedy zaczęła się ofensywa Tet, młodzi ludzie licznie garnęli się do McCarthy'ego i popierali jego kampanię. Wszyscy byli ładnie ubrani. Chłopcy zgolili brody i mieli średnio długie włosy. Dziewczęta nosiły komplety składające się z bluzki oraz swetra i półbuciki ze skóry w kontrastujących kolorach. Młodzież zmieniała swój wygląd, by przekonać wyborców, że McCarthy jest dobrym prezydentem nie tylko dla hippisów, ale także Amerykanów z klasy średniej. Ich hasłem było: „Ładni i czysti dla Gene'a”.

Walli zamilkł, każąc im czekać, a potem dotknął swoich sięgających do ramion włosów.

- Przepraszam za moją fryzurę.

Znów śmiali się i klaskali. Walli uświadomił sobie, że to jak w show-biznesie. Jeśli jesteś gwiazdą, kochają cię już za samo to, że jesteś mniej więcej normalny. Podczas koncertów Plum Nellie słuchacze owacyjnie przyjmowali dosłownie wszystko, co Walli lub Dave mówili do mikrofonu. Żart stawał się dziesięć razy śmieszniejszy, jeśli opowiedział go celebryta.

- Nie jestem politykiem, nie potrafię wygłaszać politycznych przemówień... ale myślę, że wy, ludzie, słyszeliście ich już dość.

- Racja! - zawołał jakiś chłopak i wszyscy znów się roześmiali.

- Jednak mam trochę doświadczenia, wiecie? Kiedyś żyłem w komunistycznym kraju. Pewnego dnia policja przyłapała mnie na śpiewaniu piosenki Chucka Berry'ego *Back in the USA*. Roztrzaskali moją gitarę.

Słuchacze ucichli.

- To była moja pierwsza gitara. W tamtych czasach miałem tylko jedną. Połamali moją gitarę i złamali mi serce. Tak więc widzicie, że wiem coś o komunizmie. Zapewne wiem o nim więcej niż Lyndon Johnson. Nienawidzę komunizmu. - Podniósł nieco głos. - I mimo to jestem przeciwnikiem tej wojny.

Znów zaczęli wiwatować.

- Niektórzy ludzie wierzą, że pewnego dnia Jezus wróci na ziemię. Nie wiem, czy tak będzie. - Zmieszali się, nie wiedząc, jak to traktować. Walli dodał: - Jeśli przybędzie do Ameryki, zapewne nazwą go komunistą.

Zerknął na Beep, która śmiała się wraz z innymi. Miała na sobie sweter i krótką, lecz przyzwoitą spódniczkę. Włosy ściągnęła w schludny kucyk. Pomimo to wyglądała seksownie;

tego nie dało się ukryć.

- Jezus zapewne zostanie aresztowany przez FBI za działalność antyamerykańską - ciągnął Walli. - Jednak nie będzie zdziwiony: to dość podobne do tego, co przydarzyło mu się, kiedy pierwszy raz przybył na Ziemię.

Walli przygotował sobie niewiele więcej niż pierwsze zdanie przemowy i teraz improwizował, ale słuchacze byli zachwyceni. Pomimo to postanowił skończyć, dopóki szło mu dobrze.

Zakończenie też miał przygotowane.

- Przyszedłem tutaj, żeby powiedzieć wam jedno: dziękuję. Dziękuję wam w imieniu milionów ludzi na całym świecie, którzy chcą zakończyć tę niegodziwą wojnę. Doceniamy waszą ciężką pracę. Róbcie dalej swoje, a mam nadzieję, że Bóg da wam zwyciężyć. Dobranoc.

Cofnął się od mikrofonu. Beep podeszła do niego i wzięła go pod rękę, po czym razem wyszli tylnymi drzwiami, przy niecichnących wiwatach i brawach.

- Mój Boże - powiedziała, gdy znaleźli się w samochodzie Dave'a - byłeś wspaniały! Powinieneś kandydować na prezydenta!

Uśmiechnął się i wzruszył ramionami.

- Ludzie zawsze są zadowoleni, odkrywając, że gwiazda rocka jest istotą ludzką. To wszystko.

- Jednak mówiłeś szczerze i byłeś taki dowcipny!

- Dzięki.

- Może masz to po matce. Czy nie mówiłaś mi, że zajmowała się polityką?

- Niezupełnie. W Niemczech Wschodnich nie ma normalnej działalności politycznej. Była radną, zanim komuniści rozwiązali Radę Miejską. Nawiasem mówiąc, czy było słyhać mój niemiecki akcent?

- Tylko trochę.

- Tego się obawiałem.

Był bardzo wyczulony na punkcie swojego akcentu. Ludziom kojarzył się z nazistami z filmów wojennych. Usiłował mówić jak Amerykanin, ale to było trudne.

- Właściwie to jest czarujący - oświadczyła Beep. - Żałuję, że Dave nie słyszał twojej przemowy.

- A gdzie on się podziewa?

- Chyba jest w Londynie. Myślałam, że ty to wiesz.

Walli ponownie wzruszył ramionami.

- Wiem, że gdzieś zajmuje się interesami. Pojawi się, kiedy będzie trzeba napisać kilka piosenek lub nakręcić film, albo znów ruszyć w trasę. Myślałem, że wy dwoje zamierzacie się pobrać.

- Zamierzamy. Tylko jeszcze się do tego nie zabraliśmy, bo jest taki zajęty. I... no wiesz, moi rodzice nie mają nic przeciwko temu, że dzielimy sypialnię, kiedy Dave tu jest, więc nie usiłujemy rozpaczliwie się od nich uwolnić.

- Fajnie. - Dojechali do Haight-Ashbury. Beep zatrzymała samochód przed domem Wallego, a on zapytał: - Napijesz się kawy czy czegoś?

Nie wiedział, dlaczego to powiedział: jakoś tak wyszło.

- Jasne - odparła i zgasła warczący silnik.

Dom był pusty. Tammy i Lisa pomogły Wallemu uporać się ze smutkiem z powodu małżeństwa Karolin i zawsze będzie im za to wdzięczny, ale żyły w świecie iluzji, która trwała tylko do końca wakacji. Kiedy po lecie nadeszła jesień, opuścili San Francisco i wrócili do domów, żeby pójść do college'u, jak większość hippisów w 1967 roku.

To była idylla - dopóki trwała.

Walli puścił nowy album Beatlesów *Magical Mystery Tour*, a potem zrobił kawę i skręta. Usiedli na olbrzymiej poduszce, Walli ze skrzyżowanymi nogami, Beep z podkulonymi, i przekazywali sobie peta. Wkrótce Walli wpadł w łagodny trans, który tak bardzo lubił.

- Nienawidzę Beatlesów - powiedział po chwili. - Są tak cholernie dobrzy.

Beep zachichotała.

- Niesamowite teksty - dodał Walli.

- Wiem!

- Co oznacza ten fragment: „palcówka za cztery ryby z frytkami”?

- Dave mi to wyjaśnił - odparła Beep. - W Anglii są restauracje rybne, które sprzedają ryby w zestawie z frytkami. „Za cztery” oznacza, że za cztery pensy.

- A palcówka?

- No, to kiedy chłopak wkłada palec dziewczynie do, no wiesz, pochwy.

- Jaki to ma związek?

- Tekst oznacza, że jeśli kupisz dziewczynie rybę z frytkami, to pozwoli się obmacywać.

- Czy pamiętasz czasy, kiedy to było śmiałe? - nostalgicznie zapytał Walli.

- Teraz jest zupełnie inaczej, dzięki Bogu - powiedziała Beep. - Nikt już nie trzyma się starych zasad. Mamy wolną miłość.

- I seks oralny na pierwszej randce.

- Co najbardziej lubisz? - dopytywała się Beep. - Aktywny czy bierny seks oralny?

- Ależ trudne pytanie! - Walli nie był pewny, czy powinien rozmawiać o tym z narzeczoną swojego najlepszego przyjaciela. - Jednak myślę, że chyba bierny. - Nie mógł się powstrzymać, żeby nie zapytać: - A ty?

- Ja wolę aktywny - odparła.

- Dlaczego?

Zawahała się. Przez moment miała minę winowajczyni: może ona też nie wiedziała, czy powinni o tym rozmawiać, pomimo hippisowskich tekstów o wolnej miłości. Mocno zaciągnęła się skrętem i wydmuchnęła dym, a potem wyznała z rozpromienioną twarzą:

- Większość chłopaków robi to tak kiepsko, że seks oralny nie jest dla dziewczyn tak przyjemny, jak powinien.

Walli wziął od niej skręta.

- Gdybyś miała poradzić amerykańskim chłopcom, jak należy uprawiać seks oralny, co byś im powiedziała?

Parsknęła śmiechem.

- No, przede wszystkim: nie zaczynajcie od razu lizać.

- Nie? - zdziwił się Walli. - A myślałem, że chodzi głównie o lizanie.

- Wcale nie. Z początku musisz być delikatny. Tylko całuj!

W tym momencie Walli zrozumiał, że przepadł.

Spojrzał na nogi Beep. Miała zaciśnięte kolana. Czy był to obronny gest? A może oznaka podniecenia? Jedno i drugie?

- Żadna dziewczyna nigdy mi tego nie mówiła - rzekł.

Oddał jej skręta.

Poczuł nieodparty przypływ podniecenia seksualnego. Czy ona również, czy tylko się z nim droczyła? Dopaliła skręta i wrzuciła go do popielniczki.

- Większość dziewczyn jest zbyt nieśmiała, żeby mówić o tym, co lubią - oświadczyła. - Prawda wygląda tak, że nawet pocałunek może być zbyt odważny, z początku. W istocie... - Popatrzyła mu w oczy i w tym momencie pojął, że ona też przepadła. Dodała cicho: - W istocie możesz ją podniecić, tylko chuchając.

- O mój Boże.

- A jeszcze lepiej - dodała - chuchając przez bawełniane majteczki.

Poruszyła się w końcu, rozsuwając kolana, i zobaczył, że pod spódniczką ma białe majteczki.



- Zdumiewające - rzekł ochryplym głosem.
- Chcesz spróbować?
- Tak - odparł Walli. - Proszę.

Po powrocie do Nowego Jorku Jasper Murray poszedł zobaczyć się z panią Salzman. Po raz kolejny załatwiła mu rozmowę z Herbem Gouldem w sprawie posady researchera w programie telewizyjnym.

Teraz występował z innej pozycji. Przed dwoma laty był petentem, studentem dziennikarstwa rozpaczliwie szukającym jakiegokolwiek zajęcia, ale nikt nie miał wobec niego żadnych zobowiązań. Teraz był weteranem, który ryzykował życie dla USA. Dorósł i zmądrzał, i ludzie byli mu coś winni, szczególnie tacy, którzy nie walczyli na wojnie. Dostał tę pracę.

To było dziwne. Zapomniał już, co to chłody. Odzwyczaił się od takiego stroju jak garnitur i biała koszula oraz krawat. Skórzane półbuty były tak lekkie, że miał wrażenie, iż jest bosy. Idąc z mieszkania do pracy, przyłapywał się na tym, że wypatruje na chodniku ukrytych min.

Z drugiej strony był zajęty. W cywilu rzadko zdarzały się długie, denerwujące okresy bezczynności typowe dla wojskowego życia: czekanie na rozkazy, wyczekiwanie na transport, oczekiwanie na wroga. Od pierwszego dnia po powrocie Jasper odbywał rozmowy telefoniczne, sprawdzał akta, szukał informacji w bibliotekach i przeprowadzał wstępne wywiady.

W biurze This Day czekał Jaspera lekki szok. Sam Cakebread, jego dawny rywal w gazetce studenckiej, pracował teraz przy przygotowywaniu programu. Był uznanym reporterem, ponieważ nie został powołany do wojska. Jasper często musiał opracowywać materiał, który Sam następnie przedstawiał przed kamerą. Uważał to za szczególnie denerwujące.

Jasper zajmował się modą, przestępstwami, muzyką, literaturą i ekonomią. Szukał materiału do reportażu o *Odmrożeniu*, bestsellerze wydanym przez jego siostrę, oraz jego ukrywającym się pod pseudonimem autorze, spekulując, który ze znanych sowieckich dysydentów mógł napisać tę książkę. Analizując styl pisarski i obozowe doświadczenia, stwierdził, że zapewne autorem jest ktoś zupełnie nieznany.

Potem stacja postanowiła zrobić program o tej zdumiewającej operacji Wietkongu, którą nazwano ofensywą Tet.

Jasper nadal czuł gniew wywołany wydarzeniami w Wietnamie. Wściekłość płonęła w

nim jak przygaszony piec, ale niczego nie zapomniał, a na pewno nie swojej obietnicy zdemaskowania ludzi okłamujących amerykański naród.

Kiedy walki zaczęły przygasać w drugim tygodniu lutego, Herb Gould kazał Samowi Cakebreadowi przygotować raport podsumowujący i oceniający, jak ta ofensywa zmieniała losy wojny. Sam przedstawił swoje wstępne wnioski na spotkaniu redakcyjnym całego zespołu, włącznie z researcherami.

Sam powiedział, że ofensywa Tet była dla mieszkańców Wietnamu Północnego niepowodzeniem z trzech powodów.

- Po pierwsze, siły komunistyczne otrzymały rozkaz: „Naprzód do ostatecznego zwycięstwa”. Wiemy o tym z dokumentów znalezionych przy schwytanych żołnierzach nieprzyjaciela. Po drugie, chociaż nadal trwają walki o Hue i Khe Sanh, Wietkong okazał się niezdolny do utrzymania choćby jednego miasta. Po trzecie, stracili w tej konfrontacji ponad dwadzieścia tysięcy ludzi, wszystko na próżno.

Herb Gould popatrzył na zebranych, czekając na komentarze.

Jasper był bardzo młody stażem w tej grupie, ale nie zdołał się powstrzymać.

- Mam do Sama jedno pytanie - powiedział.

- Pytaj, Jasper - zachęcił Herb.

- Na jakiej, kurwa, planecie ty żyjesz?

Po tej wulgarnej uwadze wszyscy oniemieli. Milczenie przerwał Herb.

- Wiele osób podchodzi do tego sceptycznie, Jasperze - rzekł łagodnie - ale może wyjaśnisz to bez wulgaryzmów?

- Sam właśnie przekazał nam punkt widzenia prezydenta Johnsona na ofensywę Tet. Od kiedy ten zespół jest agencją propagandową Białego Domu? Czy nie powinniśmy kwestionować zapatrywań rządu?

Herb nie zaprzeczył.

- Jak byś to zakwestionował?

- Po pierwsze, dokumentów znalezionych przy schwytanych żołnierzach nie można przyjmować na wiarę. Pisemne rozkazy dla żołnierzy nie są wiarygodnym źródłem wiedzy o strategicznych celach nieprzyjaciela. Mam tutaj tłumaczenie: „Wykazać najwyższy stopień rewolucyjnego heroizmu przez przewyciężanie wszelkich przeszkód i trudności”. To nie jest strategia, tylko czcza gadanina.

- Co więc było ich celem? - spytał Herb.

- Chcieli zademonstrować swoją siłę i możliwości, żeby osłabić morale południowowietnamskiego reżimu, naszych oddziałów i amerykańskiego narodu. I to im się

udało.

- Nadal nie przejęli żadnego miasta - przypomniał Sam.

- Nie muszą ich zajmować, oni już w nich są. Jak myślicie, w jaki sposób dostali się do Ambasady Amerykańskiej w Sajgonie? Nie zrzucano ich na spadochronach, tylko wyszli z za rogu! Zapewne mieszkali na sąsiedniej ulicy. Nie zajmują miast, ponieważ już w nich są.

- A co z trzecim punktem Sama, czyli stratami Wietkongu? - spytał Herb.

- Żadne podane przez Pentagon wykazy strat nie są wiarygodne - odparł Jasper.

- Byłby to poważny krok, gdybyśmy powiedzieli w naszym programie amerykańskim obywatelom, że rząd okłamuje ich w tej sprawie.

- Wszyscy kłamią, od Lyndona Johnsona po szeregowca na patrolu w dżungli, ponieważ potrzebują wysokich strat wroga, żeby usprawiedliwić to, co robią. Ja jednak znam prawdę, ponieważ tam byłem. W Wietnamie każdy zabity jest zaliczany do strat nieprzyjaciela. Wrzucić granat do schronu przeciwlotniczego i zabić wszystkich w środku, dwóch chłopców, cztery kobiety, starca i dziecko, i w oficjalnym raporcie masz ośmiu zabitych członków Wietkongu.

Herb miał wątpliwości.

- Skąd możemy wiedzieć, że to prawda?

- Zapytajcie byle weterana - odparł Jasper.

- Trudno w to uwierzyć.

Jasper miał rację i Herb o tym wiedział, ale bał się zająć tak zdecydowane stanowisko. Jednak Jasper sądził, że zdoła go przekonać.

- Patrzcie - powiedział. - Minęły już cztery lata, odkąd posłaliśmy pierwszych żołnierzy piechoty do Wietnamu Południowego. Przez ten czas Pentagon meldował o jednym zwycięstwie po drugim, a nasz program powtarzał te komunikaty amerykańskiemu narodowi. Skoro od czterech lat odnosimy zwycięstwa, to jak to możliwe, że nieprzyjaciel zdołał wdrzeć się do centrum stolicy i otoczyć ambasadę USA? Otwórzcie oczy, dobrze?

Herb głośno myślał.

- Zatem jeśli ty masz rację, Jasperze, a Sam się myli, co powinniśmy powiedzieć?

- To proste - oświadczył Jasper. - Powinniśmy zakwestionować wiarygodność administracji po ofensywie Tet. Pod koniec września wiceprezydent Humphrey oświadczył, że zwyciężamy. W grudniu generał Palmer zapewniał, że Wietkong został pokonany. W styczniu sekretarz obrony McNamara przekazał nam, że Wietnamczycy z Wietnamu Północnego tracą wolę walki. Sam generał Westmoreland powiedział reporterom, że komuniści nie są w stanie przeprowadzić zakrojonej na dużą skalę ofensywy. A potem pewnego ranka Wietkong zaatakował prawie wszystkie duże miasta i miasteczka w

Wietnamie Południowym.

- Nigdy nie kwestionowaliśmy uczciwości prezydenta - przypomniał Sam. - Żaden program telewizyjny tego nie robił.

- Teraz nadszedł czas, by się na to zdobyć - rzekł Jasper. - Czy prezydent kłamie? Pół Ameryki zadaje to pytanie.

Wszyscy patrzyli na Herba. Decyzja należała do niego. Milczał przez długą chwilę.

- Dobrze - powiedział w końcu. - Taki będzie tytuł naszego raportu. Czy prezydent kłamie? Zróbmy to.

Dave Williams złapał poranny samolot z Nowego Jorku do San Francisco i w pierwszej klasie zjadł amerykańskie śniadanie składające się z naleśników z bekonem.

Życie było piękne. Plum Nellie odnosili sukcesy, a on już nigdy w życiu nie będzie musiał zdawać żadnych egzaminów. Kochał Beep i zamierzał ją poślubić, gdy tylko znajdzie czas.

Był jedynym członkiem zespołu, który nie kupił sobie jeszcze domu, lecz miał nadzieję zrobić to dzisiaj. Jednak to będzie więcej niż dom. Zamierzał kupić nieruchomość na wsi z kawałkiem ziemi i zbudować studio nagraniowe. Cały zespół mógłby tam mieszkać podczas pracy nad nowym albumem, co obecnie trwało kilka miesięcy. Dave często z uśmiechem wspominał, jak swoją pierwszą płytę nagrali w jeden dzień.

Był podekscytowany: jeszcze nigdy nie kupował domu. Stęsknił się za Beep, ale postanowił najpierw zająć się interesami, żeby później nie przeszkadzały mu, kiedy będzie spędzał z nią czas. Na lotnisku czekał na niego księgowy Mortimer Schulman. Dave zatrudnił Morty'ego, żeby zajmował się jego interesami, niezależnie od finansów zespołu. Morty był mężczyzną w średnim wieku ubierającym się w sportowym kalifornijskim stylu - teraz miał na sobie blezer i niebieską koszulę rozpiętą pod szyją. Ponieważ Dave niedawno skończył dwadzieścia lat, prawnicy oraz księgowi zwykle zachowywali się wobec niego protekcjonalnie i próbowali dawać mu polecenia, zamiast informować. Morty traktował go jak szefa, którym Dave był, i podsuwał mu możliwości, wiedząc, że to sam Dave musi podjąć decyzje.

Wsiedli do cadillaca Morty'ego, przejechali przez Bay Bridge i skierowali się na północ, mijając miasteczko uniwersyteckie Berkeley, gdzie studiowała Beep.

- Przekazano mi pewną propozycję dla ciebie - powiedział Morty, prowadząc. - To nie moja działka, ale chyba uważali, że jestem kimś w rodzaju twojego agenta.

- Jaką propozycję?

- Producent telewizyjny Charlie Lacklow chce z tobą porozmawiać o twoim własnym programie telewizyjnym.

Dave był zaskoczony. Tego się nie spodziewał.

- Jakim programie?

- No wiesz, takim jak Danny Kaye Show czy Dean Martin Show.

- Żartujesz?

To była ważna wiadomość. Czasem Dave miał wrażenie, że spada na niego grad sukcesów: przeboje, platynowe płyty, wysprzedane bilety na koncerty, udane filmy - a teraz to.

W amerykańskiej telewizji puszczano tygodniowo kilkanaście różnych programów rozrywkowych, przeważnie promowanych przez gwiazdy filmowe lub komików. Prowadzący przedstawiał gościa i rozmawiał z nim chwilę, a potem gość śpiewał swój najnowszy przebój lub odgrywał kilka skeczy. Plum Nellie pojawiał się w wielu takich programach, ale Dave nie wyobrażał sobie, w jaki sposób zespół muzyczny mógłby zostać gospodarzem takiego programu.

- A więc byłby to program Plum Nellie?

- Nie. Nazywałby się Dave Williams i Przyjaciele. Nie chcą całego zespołu, tylko ciebie.

Dave miał wątpliwości.

- Ich zainteresowanie mi pochlebia, ale...

- To wspaniała okazja, gdybyś mnie pytał. Zespoły rozrywkowe zwykle istnieją bardzo krótko, a to jest szansa, żeby stać się ulubionym gospodarzem rodzinnego programu i odgrywać tę rolę do siedemdziesiątki.

Był to dobry argument. Dave zastanawiał się, co będzie robił, kiedy zespół Plum Nellie przestanie być popularny. To zdarzało się większości wykonawców, chociaż były wyjątki - Elvisa wciąż uważano za gwiazdę pierwszej wielkości. Dave zamierzał ożenić się z Beep i mieć dzieci - co trochę go niepokoiło. Może przyjdzie taka chwila, kiedy będzie musiał inaczej zarabiać na życie. Myślał o tym, żeby zostać producentem muzycznym lub menedżerem: w przypadku Plum Nellie dobrze się spisał w obu tych rolach.

Jednak było na to o wiele za wcześnie. Zespół cieszył się ogromną popularnością i teraz w końcu zarabiał duże pieniądze.

- Nie mogę tego zrobić - powiedział Morty'emu. - To mogłoby spowodować rozpad zespołu, a teraz, kiedy tak dobrze nam idzie, nie mogę ryzykować.

- Czy mam powiedzieć Charliemu Lacklowowi, że odmawiasz?

- Tak. Z żalem.

Przejechali następny długi most i wjechali w pagórkowatą okolicę z sadami na zboczach. Śliwy i migdałowce były obsypane różowymi i białymi kwiatami.

- Znajdujemy się w dolinie rzeki Napa - poinformował Morty.

Skręcił w boczną drogę wijącą się w górę. Po przejechaniu kilometra wjechał przez otwartą bramę i zatrzymał samochód przed dużym wiejskim domem.

- To pierwszy na mojej liście i najbliższy San Francisco - powiedział. - Nie wiem, czy o coś takiego ci chodziło.

Wysiedli z samochodu. Dom był budynkiem z bali, który zdawał się ciągnąć w nieskończoność. Wyglądało na to, że w przeszłości dobudowano do głównej rezydencji dwie lub trzy przybudówki. Obchodząc go, zobaczyli wspaniały widok na całą dolinę.

- Och - rzekł Dave. - Beep go pokocha.

Wokół domu ciągnęły się pola uprawne.

- Co się tu uprawia? - spytał Dave.

- Winorośl.

- Nie chcę być farmerem.

- Będiesz ziemianinem. Dwanaście hektarów należących do tej posesji jest wdzierżawione.

Weszli do środka. Dom był prawie nieumeblowany, nie licząc kilku niedobrych stołów i krzeseł. Nie widzieli też łóżek.

- Czy ktoś tu mieszka? - zapytał Dave.

- Nie. Tylko jesienią zbieracze winogron wykorzystują dom jako sypialnię.

- I jeśli się wprowadzę...

- Farmer znajdzie inne schronienie dla swoich sezonowych robotników.

Dave rozejrzał się wokół. Dom był zaśmiecony i zaniedbany, ale piękny. Stolarka wyglądała solidnie. Główny budynek miał wysokie pomieszczenia i eleganckie schody na piętro.

- Nie mogę się doczekać, żeby pokazać to Beep - powiedział.

Z największego pokoju rozpościerał się ten sam piękny widok na dolinę. Wyobraził sobie, jak budzą się z Beep rano i razem patrzą przez okno, parzą kawę i jedzą śniadanie z dwojgiem lub trojgiem bosych dzieci. Idealnie.

Było tam dość miejsca na pół tuzina pokoi gościnnych. A duża i nieużywana stodoła, pełna maszyn rolniczych, nadawała się na studio nagraniowe.

Dave chciał natychmiast kupić ten dom. Jednak nakazał sobie powściągliwość.

- Jaka jest cena wyjściowa? - zapytał.

- Sześćdziesiąt tysięcy dolarów.

- To dużo.

- Pięć tysięcy dolarów za hektar to cena rynkowa winnicy - wyjaśnił Morty. - Dom dorzuca za darmo.

- Tylko że wymaga sporo pracy.

- Sam to powiedziałeś. Centralne ogrzewanie, modernizacja instalacji elektrycznej, ocieplenie, nowe łazienki... Możesz wydać prawie drugie tyle na remont.

- Powiedzmy sto tysięcy dolarów bez sprzętu nagraniowego.

- To dużo pieniędzy.

Dave się uśmiechnął.

- Na szczęście stać mnie na to.

- Z pewnością.

Kiedy wyszli na zewnątrz, przed budynek zajechał pick-up. Mężczyzna, który z niego wysiadł, miał szerokie bary i pobrużdżoną twarz. Wyglądał na Meksykanina, ale mówił bez akcentu.

- Jestem Danny Medina, gospodarz - przedstawił się.

Wytarł ręce w ogrodniczki, zanim uściśnął im dłonie.

- Myślę o kupnie tego domu - rzekł Dave.

- Dobrze. Miło będzie mieć sąsiada.

- Gdzie pan mieszka, panie Medina?

- W domku na drugim końcu winnicy, zasłoniętym przez grań. Jest pan Europejczykiem?

- Tak, Anglikiem.

- Europejczycy zwykle lubią wino.

- Robi pan tu wino?

- Trochę. Większość winogron sprzedajemy. Amerykanie nie lubią wina, poza Amerykanami włoskiego pochodzenia, a ci je importują. Większość ludzi woli koktajle lub piwo. Jednak nasze wino jest dobre.

- Białe czy czerwone?

- Czerwone. Chciałby pan parę butelek, żeby spróbować?

- Pewnie.

Danny sięgnął do kabiny, wyjął dwie butelki i wręczył je Dave'owi.

Ten spojrział na etykietę.

- Daisy Farm Red? - przeczytał.
- Tak nazywa się ta farma, nie mówiłem ci? - włączył się Morty. - Daisy Farm.
- Daisy to imię mojej matki.
- Może to dobry omen - rzekł Danny i wsiadł do swojego pojazdu. - Powodzenia!
- Podoba mi się to miejsce - powiedział Dave, gdy Danny odjechał. - Kupmy je.
- Mam ci do pokazania jeszcze pięć innych! - zaprotestował Morty.
- Spieszę się do mojej narzeczonej.
- Może któreś z pozostałych miejsc spodoba ci się bardziej niż to.

Dave wskazał na winnice.

- Czy któreś z nich ma taki widok?
- Nie.
- To wracajmy do San Francisco.
- Ty tu jesteś szefem.

W drodze powrotnej Dave zaczął się niepokoić przedsięwzięciem, które zamierzał rozpocząć.

- Chyba muszę znaleźć jakiegoś budowniczego - zauważył.
- Albo architekta - rzekł Morty.
- Naprawdę? Tylko po to, żeby zrobić remont?

- Architekt ustali z tobą, czego chcesz, narysuje projekty, a potem omówi je z kilkoma wykonawcami. Teoretycznie może także nadzorować ich pracę, chociaż z doświadczenia wiem, że zwykle przestaje się tym interesować.

- W porządku - powiedział Dave. - Znasz jakiegoś?
- Chcesz starą i uznaną firmę czy kogoś młodego i przebojowego?

Dave się zastanowił.

- A może kogoś młodego i przebojowego, pracującego w starej i uznanej firmie?

Morty się zaśmiał.

- Popytam.

Tuż po południu wrócili do San Francisco. Morty wysadził Dave'a przed domem Dewarów na Nob Hill.

Otworzyła mu matka Beep.

- Witaj - powiedziała. - Jesteś wcześniej. To wspaniale, tylko że Beep tu nie ma.

Dave był rozczarowany, ale nie zaskoczony. Sądził, że cały dzień zjeździe mu na oglądaniu nieruchomości z Mortym, więc powiedział Beep, żeby oczekiwała go późnym popołudniem.



- Pewnie poszła na uczelnię - rzekł.

Była na drugim roku Berkeley. Dave wiedział - a jej rodzice nie - że Beep mało się uczy i grozi jej, że nie zda egzaminów i zostanie wyrzucona.

Poszedł do sypialni, którą z nią dzielił, i zostawił tam swoją walizkę. Pigułki antykoncepcyjne Beep leżały na szafce nocnej. Bywała roztrzępana i czasem zapomniała zażyć tabletkę, ale Dave'owi to nie przeszkadzało. Gdyby zaszła w ciążę, po prostu szybko by się pobrali.

Wrócił na dół i usiadł w kuchni z Bellą, opowiadając jej wszystko o Daisy Farm. Zaraziła się jego entuzjazmem i wyraziła chęć zobaczenia nieruchomości.

- Zjesz lunch? - zaproponowała. - Właśnie miałam ugotować zupę i zrobić kanapki.

- Nie, dziękuję, zjadłem solidne śniadanie w samolocie. - Dave był podniecony. - Pójdę i powiem Wallemu o Daisy Farm.

- Twój samochód jest w garażu.

Dave wsiadł do swojego dodge'a chargera i przejechał przez San Francisco, z najbogatszej dzielnicy do najbiedniejszej.

Wallemu spodoba się pomysł wiejskiego domu, w którym wszyscy będą mogli mieszkać i tworzyć muzykę, myślał Dave. Nie zabraknie im czasu na doskonalenie swoich nagrań. Wallego korciło, żeby wypróbować jeden z tych nowych ośmiościeżkowych magnetofonów - a już mówiono o nowszych, szesnastościeżkowych - lecz obecnie tworzenie bardziej złożonych utworów muzycznych trwało dłużej. Czas nagraniowy był drogi i muzycy czasem czuli się popędzani. Dave uważał, że znalazł na to sposób.

Kiedy jechał, przyszedł mu do głowy fragment melodii i zaśpiewał: „Wszyscy będziemy w Daisy Farm”. Uśmiechnął się. Może będzie z tego piosenka. Daisy Farm Red to byłby dobry tytuł. Pasujący do dziewczyny, koloru lub gatunku marihuany. Zaśpiewał: „Wszyscy zobaczymy Daisy Farm Red, gdzie rosną winogrona”.

Zaparkował przed domem Wallego w Haight-Ashbury. Frontowe drzwi zastał otwarte, jak zawsze. Salon na parterze był pusty, ale zasłany pudełkami po pizzy, brudnymi kubkami po kawie, pełnymi popielniczkami i pustymi butelkami po piwie.

Dave był rozczarowany, nie widząc Wallego. Chciał z nim omówić przyszłość Daisy Farm. Postanowił go zbudzić.

Poszedł na górę. W domu było cicho. Może Walli wstał wcześniej i wyszedł, nie posprzątawszy. Drzwi sypialni były zamknięte. Dave zapukał i otworzył je. Wszedł, śpiewając „Wszyscy zobaczymy Daisy Farm”, i stanął jak wryty.

Walli był w łóżku i podnosił się, wyraźnie zaskoczony.

Obok niego na materacu leżała Beep.

Przez moment Dave był zbyt wstrząśnięty, żeby coś powiedzieć.

- Hej, człowieku... - zaczął Walli.

Dave poczuł pustkę w żołądku, jakby znajdował się w zbyt szybko zjeżdżającej windzie. Przez moment miał nieprzyjemne wrażenie, że lewituje. Beep była w łóżku z Wallim i ziemia rozstała się pod nogami Dave'a.

- Co to, kurwa, ma znaczyć? - zapytał głupio.

- Człowieku, to nic takiego...

Jego zaskoczenie zmieniło się w gniew.

- Odbiło ci? Leżysz w łóżku z moją narzeczoną! To nic takiego?

Beep usiadła. Była rozczochrana. Prześcieradło opadło, odsłaniając jej piersi.

- Dave, pozwól nam wyjaśnić - powiedziała.

- W porządku, wyjaśnij - rzekł Dave.

Beep wstała. Była całkiem naga i doskonale piękno jej ciała z brutalną siłą uzmysłowiło Dave'owi, że ją stracił. Poczuli się, jakby ktoś uderzył go w twarz, i chciało mu się płakać.

- Napijmy się wszyscy kawy i... - zaczęła Beep

- Żadnej kawy - wychrypiął Dave, ratując się przed upokarzającym ronieniem łez. - Po prostu wyjaśnij.

- Nie mam nic na sobie!

- Dlatego, że pieprzyłaś się z najlepszym przyjacielem swojego narzeczonego. - Dave odkrył, że gniewne słowa pozwalają ukryć ból. - Powiedziałaś, że mi to wyjaśnisz. Czekam.

Beep odgarnęła włosy z oczu.

- Słuchaj, zazdrość jest niemodna, okay?

- I co to oznacza?

- Kocham cię i chcę wyjść za ciebie, ale lubię też Wallego i lubię chodzić z nim do łóżka. Mamy wolną miłość, no nie? Po co więc się okłamywać?

- To wszystko? - zapytał Dave z niedowierzaniem. - To jest twoje wyjaśnienie?

- Spokojnie, człowieku - poprosił Walli. - Chyba wciąż jestem trochę na haju.

- Wy dwoje braliście tej nocy kwas, tak do tego doszło?

Dave dostrzegł promyk nadziei. Jeśli zrobili to tylko raz...

- Beep cię kocha, człowieku. Tylko zabija ze mną czas, kiedy wyjeżdżasz, wiesz?

Nadzieje Dave'a legły w gruzach. To nie był tylko ten jeden raz. Robili to regularnie.

Walli wstał i wbił się w dzinsy.

- Moje stopy powiększyły się przez noc - zauważył. - Dziwne.

Dave zignorował te narkomańskie brednie.

- Nawet nie powiedzieliście, że wam przykro, żadne z was!

- Nie jest nam przykro - stwierdził Walli. - Mielśmy ochotę się pieprzyć, więc zrobiliśmy to. Niczego to nie zmienia, bo nikt już nikomu nie jest wierny. Wszystko, czego potrzebujesz, to miłość. Nie rozumiesz słów tej piosenki? - Uważnie przyjrzał się Dave'owi. - Wiedziałaś, że masz aurę? Taką aureolę. Nigdy wcześniej jej nie zauważyłem. Myślę, że jest niebieska.

Dave też zażywał LSD i wiedział, że z Wallim w takim stanie nie można sensownie rozmawiać. Zwrócił się do Beep, która zdawała się dochodzić do siebie.

- Jest ci przykro?

- Nie uważam, żebyśmy zrobili coś złego. Wyrosłam z takiej mentalności.

- Zatem zrobiłabyś to znowu?

- Dave, nie zrywaj ze mną.

- A co tu zrywać? - gniewnie rzucił Dave. - Nic nas nie łączy. Możesz się pieprzyć, z kim chcesz. Żyj sobie w taki sposób, jeśli masz ochotę, ale to nie jest dobry pomysł na małżeństwo.

- Musisz porzucić takie staromodne poglądy.

- Muszę wyjść z tego domu. - Gniew Dave'a zmienił się w smutek. Zrozumiał, że utracił Beep: stracił ją na rzecz narkotyków i wolnej miłości, i hippisowskiej kultury, którą jego muzyka pomogła stworzyć. - Muszę się od ciebie uwolnić.

Odwrócił się.

- Nie odchodź - powiedziała. - Proszę.

Dave wyszedł.

Zbiegł po schodach i po chwili znalazł się na ulicy. Wskoczył do samochodu i odjechał z rykiem silnika. O mało nie przejechał długowłosego chłopaka chwiejnie przechodzącego przez Ashbury Street i uśmiechającego się głupkowato, naćpanego po uszy. Do diabła z wszystkimi hippisami, pomyślał Dave, szczególnie z Wallim i Beep. Nie chciał ich już więcej widzieć.

Zrozumiał, że to koniec Plum Nellie. On i Walli byli jądrem zespołu, a teraz, kiedy się pokłócili, zespół przestał istnieć. No cóż, niech tak będzie, pomyślał. Od dziś zacznie solową karierę.

Zobaczył budkę telefoniczną i zatrzymał samochód. Otworzył schowek, po czym wyjął rulon ćwierćdolarówek, które w nim trzymał. Zadzwoił do biura Morty'ego.

- Cześć, Dave - powiedział Morty. - Już rozmawiałem z pośrednikiem sprzedaży

nieruchomości. Zaproponowałem pięćdziesiąt tysięcy i stanęło na pięćdziesięciu pięciu, co ty na to?

- To wspaniała wiadomość, Morty - rzekł Dave. Będzie potrzebował studia nagrań do pracy solo. - Słuchaj, jak nazywał się ten producent telewizyjny?

- Charlie Lacklow. Jednak myślałem, że obawiasz się rozpadu zespołu.

- Już mnie to nie martwi - odparł Dave. - Umów nas na spotkanie.

W marcu przyszłość George'a i Ameryki zaczęła wyglądać ponuro.

George był w Nowym Jorku z Bobbym Kennedym we wtorek, dwunastego marca, w dniu prawyborów w New Hampshire, które zapowiadały się na pierwsze poważne starcie pomiędzy ewentualnymi kandydatami demokratów. Bobby jadł późną kolację ze starymi znajomymi w modnej restauracji 21 przy Pięćdziesiątej Drugiej Ulicy. Kennedy był na górze, a George i inni doradcy jedli na dole.

George nie złożył rezygnacji. Bobby, wydawszy oświadczenie, że nie zamierza kandydować na prezydenta, jakby złapał drugi oddech. Po ofensywie Tet George napisał przemówienie otwarcie atakujące prezydenta Johnsona i Bobby po raz pierwszy nie ocenzurował go, ale wykorzystał każde gniewne zdanie. „Pół miliona amerykańskich żołnierzy wraz z siedmiuset tysiącami wietnamskich sojuszników, dysponując olbrzymimi zasobami i najnowocześniejszym uzbrojeniem, nie jest w stanie zabezpieczyć ani jednego miasta przed atakami wroga, którego siły liczą około dwustu pięćdziesięciu tysięcy żołnierzy!”

Gdy Bobby zdawał się odzyskiwać energię, rozczarowanie George'a Johnsonem pogłębiła reakcja prezydenta na raport Komisji Kerner, powołanej do zbadania przyczyn zamieszek na tle rasowym podczas długiego i skwarne go lata 1967 roku. Raport stwierdzał bez ogródek: przyczyną zamieszek jest biały rasizm. Poza tym ostro krytykował rząd, środki przekazu oraz policję i domagał się radykalnych zmian dotyczących warunków socjalnych, polityki zatrudnienia i segregacji rasowej. Został opublikowany jako książka w miękkich okładkach i sprzedano dwa miliony jego egzemplarzy. Jednak Johnson po prostu go odrzucił. Człowiek, który heroicznie walczył o ustawę o prawach obywatelskich z 1964 roku i ustawę o prawie wyborczym z 1965 - kluczowe dla poprawy sytuacji Murzynów - teraz poddał się bez walki.

Bobby'ego, który postanowił nie kandydować, nadal dręczyła obawa, czy dobrze zrobił - co było dla niego typowe. Rozmawiał o tym ze swoimi najlepszymi przyjaciółmi i przypadkowymi znajomymi, z najbliższymi doradcami - w tym z George'em - i reporterami z

gazet. Zaczęły krążyć plotki, że może zmienić zdanie. George nie zamierzał w to uwierzyć, dopóki nie usłyszy tego z jego własnych ust.

Prawybory były lokalnymi kampaniami osób z tej samej partii, chcących kandydować jako jej przedstawiciele na prezydenta. Pierwsze prawybory demokratów odbywały się w New Hampshire. Gene McCarthy był nadzieją młodzieży, ale źle wypadł w ankietach, pozostając daleko w tyle za prezydentem Johnsonem, który ubiegał się o reelekcję. McCarthy miał mało pieniędzy. Dziesięć tysięcy młodych i entuzjastycznych ochotników przybyło do New Hampshire, aby wspomóc jego kampanię, lecz George i inni doradcy zebrani przy stole w 21 byli pewni, że Johnson zwycięży dużą przewagą głosów.

George z obawą czekał na wybory prezydenckie w listopadzie. Po stronie republikanów umiarkowanie liberalny George Romney, dotychczasowy lider sondaży, wycofał się, oddając pole zdecydowanie konserwatywnemu Richardowi Nixonowi. Tak więc wybory prezydenckie niemal na pewno miały być starciem Johnsona z Nixonem, dwóch zwolenników wojny.

Pod koniec przebiegającego w ponurym nastroju posiłku George został wezwany do telefonu przez członka sztabu, który znał już wyniki w New Hampshire.

Wszyscy się mylili. Wynik był kompletnie niespodziewany. McCarthy zebrał czterdzieści dwa procent głosów, zadziwiająco blisko czterdziestu dziewięciu Johnsona.

George zrozumiał, że Johnson może jednak zostać pokonany.

Pobiegł po schodach na górę i przekazał Bobby'emu tę wiadomość.

Reakcja Bobby'ego była zaskakująca.

- To za dużo! - powiedział. - Jak mam teraz skłonić McCarthy'ego, żeby się wycofał?

Wtedy George zrozumiał, że mimo wszystko Bobby zamierza kandydować.

Walli i Beep poszli na wiec wyborczy Bobby'ego, żeby go zakłócić.

Oboje byli rozgniewani na Roberta Kennedy'ego. Przez kilka miesięcy nie chciał się zadeklarować jako kandydat na prezydenta. Nie sądził, że może wygrać i - jak uważali - nie miał odwagi, żeby spróbować. Tak więc Gene McCarthy nadstawił karku i spisał się tak dobrze, że miał szansę pokonać prezydenta Johnsona.

Aż do tej chwili. Ponieważ Bobby Kennedy zgłosił swoją kandydaturę, usiłując wykorzystać wysiłki zwolenników McCarthy'ego i zapewnić sobie zwycięstwo. Uważali, że jest cynicznym oportunistą.

Walli przyjął to z pogardą, a Beep z oburzeniem. Reakcja Wallego była bardziej umiarkowana, ponieważ dostrzegał realia polityczne za zasłoną moralności. McCarthy miał oparcie głównie w studentach i intelektualistach. Jego mistrzowskim posunięciem było

stworzenie z młodych zwolenników ochotniczej armii wspierającej jego kandydaturę, co zapewniło mu sukces, jakiego nikt się nie spodziewał. Czy jednak ci ochotnicy wystarczą, by doprowadzić go do Białego Domu? Przez lata słyszał, jak jego rodzice dokonywali takich ocen, rozmawiając o wyborach - nie w NRD, gdzie były one fikcją, ale w Niemczech Zachodnich, Francji i Stanach Zjednoczonych.

Bobby miał szerszy krąg zwolenników. Przyciągnął Murzynów, którzy uważali, że jest po ich stronie, oraz rzesze katolickiej klasy robotniczej - Irlandczyków, Polaków, Włochów i Latynosów. Walli nienawidził płytkiej moralności Bobby'ego, musiał jednak przyznać - choć to gniewało Beep - że Bobby ma większe niż Gene szanse na pokonanie prezydenta Johnsona.

Pomimo to oboje zgadzali się, że dobrze będzie wygwizdać dziś wieczór Roberta Kennedy'ego.

Wśród słuchaczy było wielu takich jak oni: młodych ludzi z długimi włosami i brodami, bosych hippisek. Walli zastanawiał się, ilu z nich przyszło wydrwić mowę. Zjawili się także czarni w różnym wieku, młodzi z fryzurami w stylu nazywanym teraz afro, ich rodzice w kolorowych sukniach i eleganckich garniturach zwykle ubieranych do kościoła. Zakres poparcia dla Bobby'ego podkreślała będąca w zdecydowanej mniejszości klasa średnia - ludzie w średnim wieku, w sportowych spodniach i swetrach pomimo chłodu wiosny w San Francisco.

Sam Walli schował włosy pod dżinsową czapkę i włożył okulary przeciwsłoneczne, aby ukryć swoją tożsamość.

Scena była zdumiewająco pusta. Walli spodziewał się flag, transparentów, plakatów i olbrzymich zdjęć kandydata, takich, jakie widział w telewizyjnych reportażach z innych wieców. Tymczasem Bobby miał tylko pustą scenę z mównicą i mikrofonem. U innego kandydata byłby to dowód, że zabrakło mu pieniędzy, ale wszyscy wiedzieli, że Bobby ma nieograniczony dostęp do fortuny Kennedych. Cóż więc to oznaczało? Zdaniem Wallego, mówiło: „Bez pieprzenia, to prawdziwy ja”. Interesujące, pomyślał.

W tym momencie na mównicy stał miejscowy kandydat demokratów, który rozgrzewał tłum dla wielkiej gwiazdy. To bardzo przypomina show-biznes, uznał Walli. Słuchacze mają śmiać się i klaskać, a jednocześnie niecierpliwie czekać na występ, na który przyszli. Z tego samego powodu koncertującemu bandowi Plum Nellie towarzyszyły mniej popularne zespoły.

Tylko że grupa Plum Nellie już nie istniała. Zespół powinien teraz pracować nad nowym albumem na Gwiazdkę i Walli miał kilka piosenek, które dopracował na tyle, że chciał je zagrać dla Dave'a, by ten mógł coś dopisać, zmienić jakiś akord lub powiedzieć:

„Doskonale, nazwijmy to *Pocałunek duszy*”. Jednak Dave zniknął z horyzontu.

Wysłał chłodną, ale uprzejmą wiadomość matce Beep, dziękując za pozwolenie zatrzymywania się w ich domu i prosząc o spakowanie jego rzeczy, po które zgłosi się asystent. Podczas telefonicznej rozmowy z Daisy Walli dowiedział się, że Dave odnawia dom w dolinie Napa i zamierza stworzyć tam studio nagraniowe. A Jasper Murray zadzwonił do Wallego, próbując sprawdzić plotkę, że Dave przygotowuje program telewizyjny bez zespołu.

Dave wykazywał staroświecką zazdrość, zdaniem hippisów będącą przestarzałym uczuciem. Powinien zrozumieć, że ludzie nie mogą być uwiązani i powinni uprawiać miłość, z kim zechcą. Chociaż Walli mocno w to wierzył, nie mógł wyzbyć się poczucia winy. On i Dave byli bliskimi przyjaciółmi, lubili się i ufali sobie, i trzymali się razem przez cały ten czas od Reeperbahn. Walli był nieszczęśliwy z powodu tego, że zranił przyjaciela.

Nie żeby Beep była dla Wallego miłością życia. Bardzo ją lubił - uważał za piękną, zabawną i świetną w łóżku i tworzyli podziwianą parę - ale nie była jedyną dziewczyną na świecie. Walli zapewne nie pieprzyłby jej, gdyby wiedział, że przez to rozpadnie się zespół. Jednak nie pomyślał o konsekwencjach: zamiast tego żył chwilą, tak jak ludzie powinni robić. A szczególnie łatwo ulegało się takim impulsom pod wpływem narkotyków.

Beep wciąż była wstrząśnięta tym, że Dave ją rzucił. Może dlatego było im tak dobrze razem: ona straciła Dave'a, a on Karolin.

Walli błądził myślami, ale gwałtownie wrócił do rzeczywistości, gdy zapowiedziano przybycie Roberta Kennedy'ego.

Wydawał się mniejszy, niż Walli sobie wyobrażał, i mniej pewny siebie. Podeszedł do mównicy, machając ręką, z półuśmiechem, który był prawie wstydlivy. Wsunął dłoń do kieszeni marynarki i Walli przypomniał sobie, że prezydent Kennedy robił dokładnie to samo.

Kilka osób w tłumie natychmiast podniosło tablice. Walli zobaczył napisy: „Pocałuj mnie, Bobby!” oraz „Bobby jest morowy”. Beep wyjęła z nogawki spodni rulon papieru, który rozwinęła z Wallim. Widniało na nim tylko jedno słowo: „Zdrajca”.

Bobby zaczął przemawiać, zerkając na plik kartek, który wyjął z wewnętrznej kieszeni marynarki.

- Pozwólcie, że zacznę od przeprosin - powiedział. - Uczestniczyłem w podejmowaniu wielu początkowych decyzji dotyczących Wietnamu. To właśnie te decyzje skierowały nas na drogę, którą obecnie podążamy.

- Cholerna racja! - wrzasnęła Beep i ludzie wokół niej się roześmiali.

Bobby mówił dalej z wyraźnym bostońskim akcentem:

- Przyznaję, że jestem za to częściowo odpowiedzialny. Jednak popełniony błąd nie

usprawiedliwia trwania w nim. Tragedia jest dla żyjących narzędziem zyskiwania mądrości. „Wszyscy ludzie popełniają błędy”, powiedział starożytny Grek Sofokles. „Jednak mądry ustępuje, gdy wie, że źle czyni, i naprawia wyrządzone szkody. Jedynym grzechem jest duma”.

Słuchaczom spodobały się te słowa, zaczęli bić brawo. Gdy to robili, Bobby zerknął do swoich notatek i Walli wiedział, że to błąd. Powinien nawiązać dialog z tłumem. Ludzie chcieli, aby ich gwiazda patrzyła na nich i doceniała ich owacje. Tymczasem Bobby wydawał się nimi zmieszany. Walli zrozumiał, że takie polityczne przemówienia nie przychodzą mu łatwo.

Bobby rozwijał temat wojny w Wietnamie, lecz pomimo początkowego sukcesu wywołanego przyznaniem się do winy nie szło mu najlepiej. Był zbyt ostrożny, jękał się i powtarzał. Stał nieruchomo, jak wyciosany z drewna, jakby bał się poruszać czy gestykulować.

Kilku przeciwników obecnych na sali przeszkadzało mu, ale Walli i Beep nie przyłączyli się do nich. Nie musieli. Bobby sam kopał sobie grób.

W pewnej chwili w ciszy rozległ się płacz dziecka. Kątem oka Walli zobaczył kobietę, która wstała i ruszyła do wyjścia. Bobby urwał w pół zdania.

- Proszę, niech pani nie wychodzi! - powiedział.

Słuchacze zachichotali. Kobieta w przejściu odwróciła się i spojrzała na stojącego na podium Bobby'ego.

- Jestem przyzwyczajony do płaczących dzieci - rzucił.

Zaśmiali się: wszyscy wiedzieli, że ma dziesięcioro dzieci.

- Ponadto - dodał - jeśli pani wyjdzie, w gazetach napiszą, że usunąłem z sali matkę z dzieckiem.

Przyjęli to aplauzem: wielu młodych ludzi nienawidziło prasy za stronnicze relacje z demonstracji.

Kobieta uśmiechnęła się i wróciła na swoje miejsce.

Bobby spojrział na swoje notatki. Przez chwilę był ciepłym, zwykłym człowiekiem. W tym momencie mógł przeciągnąć ludzi na swoją stronę. Jednak znów ich straci, gdy powróci do przygotowanej przemowy. Walli pomyślał, że zmarnuje okazję...

Nagle Bobby chyba to sobie uświadomił. Uniósł głowę.

- Zmarłem tutaj - powiedział. - Czy wam też jest zimno?

Potwierdzili chóralnym okrzykiem.

- Klaszcie - poprosił. - Śmiało, to nas rozgrzeje.



Zaczął klaskać, a słuchacze robili to samo, śmiejąc się. Po chwili przestał.

- Teraz już mi lepiej. A wam?

Znów przytaknęli chórem.

- Chcę porozmawiać o przyzwoitości - oznajmił. Wrócił do tematu swojego przemówienia, ale już nie korzystał z notatek. - Niektórzy ludzie uważają, że długie włosy są nieprzyzwoite, i boso nogi, i obściskiwanie się w parku. Powiem wam, co ja myślę. - Podniósł głos. - Ubóstwo jest nieprzyzwoite! - Tłum krzyknął z aprobatą. - Analfabetyzm jest nieprzyzwoity! - Znów przyjęli to aplauzem. - I mówię tutaj, w Kalifornii, że jest nieprzyzwoite, by człowiek pracował fizycznie na polach, nie mając żadnej nadziei na posłanie syna do college'u.

Nikt na sali nie mógł wątpić, że Bobby wierzy w to, co mówi. Schował karteczki. Przemawiał z pasją, machając rękami, gestykulując, waląc pięścią w mównicę; a słuchacze reagowali na tak silne emocje, oklaskując każde namietne zdanie. Walli patrzył na ich twarze i rozpoznał ten wyraz, który widział, kiedy sam był na scenie: młodzi mężczyźni i kobiety patrzący jak zauroczeni, z szeroko otwartymi oczami i rozdziawionymi ustami, z uwielbieniem.

Nikt nigdy nie patrzył w taki sposób na Gene'a McCarthy'ego.

Walli uświadomił sobie, że w pewnej chwili on i Beep upuścili na podłogę plakat z napisem „Zdrajca”.

Bobby mówił o ubóstwie.

- W delcie Missisipi widziałem dzieci z brzuchami wzdętymi z głodu i wrzodami na twarzach. - Znów podniósł głos. - Uważam, że to nie do zaakceptowania! Indianie żyjący w swoich nędznych rezerwatach mają tak kiepskie perspektywy na przyszłość, że najczęstszą przyczyną śmierci nastolatków jest samobójstwo. Wierzę, że może być lepiej! Ludzie z czarnych gett wciąż słyszą nowe obietnice równości i sprawiedliwości, siedząc w tych samych rozpadających się szkołach i wegetując w tych samych brudnych norach pełnych szczurów. Jestem przekonany, że Amerykanów stać na coś lepszego!

Walli zrozumiał, że Bobby buduje nastrój.

- Przyszedłem tu dzisiaj prosić was o pomoc w następnych miesiącach - powiedział Bobby. - Jeśli wy też uważacie, że ubóstwo jest nieprzyzwoite, dajcie mi wasze poparcie.

Zawołali, że dadzą.

- Jeśli wy też uważacie, że nie można zaakceptować głodujących dzieci w naszym kraju, wspomóżcie moją kampanię.

Znów zawołali: „Hura!”.

- Czy wierzycie, tak jak ja, że Ameryka może być lepsza?

Potwierdzili chóralnym okrzykiem.

- Zatem przyłączcie się do mnie... i Ameryka będzie lepsza!

Zszedł z mównicy, a tłum oszalał.

Walli spojrział na Beep. Widział, że myśli to samo co on.

- Wygra, prawda? - rzekł Walli.

- Tak - potwierdziła Beep. - Zajdzie aż do Białego Domu.

Podczas dziesięciodniowej podróży Bobby odwiedził trzynaście stanów. Pod koniec ostatniego dnia on i jego świta weszli na pokład samolotu w Phoenix, by polecieć do Nowego Jorku. Do tej pory George Jakes był już pewny, że Bobby zostanie prezydentem.

Reakcja społeczeństwa była żywiołowa. Tysiące oblegały Bobby'ego na lotniskach. Tłoczono się na ulicach, by oglądać karawanę towarzyszących mu pojazdów. Bobby zawsze stał na tylnym siedzeniu kabrioletu, a George i inni siedzieli na podłodze i trzymali go za nogi, żeby nie został wyciągnięty z wozu. Zgraje dzieci biegły obok, krzycząc „Bobby!”, a ilekroć samochód przystawał, ludzie rzucali się na niego. Wrywali spinki od mankietów i krawata oraz guziki jego koszul.

W samolocie Bobby usiadł i opróżnił kieszenie. Wpadł z nich grad karteczek, niczym konfetti. George podniósł kilka z dywanu. Były to liściki, dziesiątki próśb, starannie napisanych i złożonych, po czym wepchniętych Bobby'emu do kieszeni. Proszono go, żeby przybył na rozdanie świadectw lub odwiedził chore dzieci w miejskich szpitalach, i zapewniano, że ludzie modlą się za niego w podmiejskich domach i zapalają świece w wiejskich kościółkach.

Bobby zdjął marynarkę i podwinął rękawy koszuli, jak to miał w zwyczaju. Wtedy George zobaczył jego przedramiona. Były owłosione, lecz nie to uderzyło George'a. Ciało było spuchnięte, a skóra poprzecinana pajęczyną czerwonych zadrapań. George uświadomił sobie, że to skutek kontaktów z tłumem. Nie chcieli go skrzywdzić, ale uwielbiali do bólu.

Ludzie znaleźli bohatera, którego potrzebowali - lecz Bobby także odnalazł siebie. To dlatego George i inni doradcy nazywali tę podróż „nareszcie wolny”. Bobby wypracował swój własny styl. Znalazł nową odmianę charyzmy Kennedych. Jego brat był czarujący, ale skupiony, opanowany i zamknięty w sobie - co zresztą sprawdziło się w 1960 roku. Bobby wydawał się bardziej otwarty. Słuchacze odnosili wrażenie, że odsłania przed nimi swoją duszę, wyznając, że jest niepozbanionym wad człowiekiem pragnącym czynić dobro, ale nie zawsze wiedzącym, co nim jest. Hasłem przewodnim roku 1968 było: „Na wszystko

przychodzi czas”. Bobby’emu to odpowiadało, a oni uwielbiali go za to.

Wśród pasażerów lecących do Nowego Jorku przeważali dziennikarze. Przez dziesięć dni fotografowali i filmowali ekstatyczne tłumy i kręcili reportaże o tym, jak ten nowy, odrodzony Bobby Kennedy zdobywa serca wyborców. Elitom władzy Partii Demokratycznej mógł się nie podobać młodzieńczy liberalizm Bobby’ego, ale nie odważyłyby się zignorować fenomenu jego popularności. Czy wolno im było samowolnie wybrać po raz drugi Lyndona Johnsona, skoro amerykański naród tak hałaśliwie opowiadał się za Bobbym? A gdyby zaproponowali alternatywnego kandydata popierającego wojnę, powiedzmy wiceprezydenta Huberta Humphreya lub senatora Muskiego, ten odebrałby głosy Johnsonowi, nie osłabiając poparcia Bobby’ego. George nie widział sposobu, żeby Bobby nie uzyskał nominacji.

I pokona kandydata republikanów. Niemal na pewno będzie nim „Sprytny” Dick Nixon, weteran, który już raz został pokonany przez Kennedy’ego.

Wydawało się, że droga do Białego Domu stoi otworem.

Gdy samolot zbliżał się do lotniska imienia Johna F. Kennedy’ego w Nowym Jorku, George zastanawiał się, jak przeciwnicy Bobby’ego spróbują go powstrzymać. Tego wieczoru, kiedy samolot jeszcze był w powietrzu, prezydent Johnson miał wystąpić w ogólnokrajowej telewizji. George niecierpliwie czekał na informacje o tym, co powiedział. Nie przychodziło mu do głowy nic, co zmieniłoby sytuację.

- To musi być naprawdę coś - rzekł jeden z dziennikarzy do Bobby’ego - lądować na lotnisku noszącym imię pańskiego brata.

Było to nieuprzejme, wścibskie pytanie reportera mającego nadzieję sprowokować nieprzemyslaną odpowiedź, która dałaby mu temat. Jednak Bobby był do tego przyzwyczajony.

- Wolałbym, żeby nadal nazywało się Idlewild - odparł krótko.

Samolot podkołował do bramki. Zanim wyłączono podświetlenie znaku nakazującego zapiąć pasy, znajoma postać weszła na pokład i podbiegła przejściem do Bobby’ego. Był to przewodniczący Partii Demokratycznej stanu Nowy Jork.

- Prezydent nie będzie kandydował! - zawołał, zanim jeszcze dotarł do Bobby’ego. - Prezydent nie będzie kandydował!

- Niech pan to powtórzy - rzekł Bobby.

- Prezydent nie będzie kandydował!

- Chyba pan żartuje.

George był oszołomiony. Lyndon Johnson, który nienawidził Kennedych, zrozumiał, że nie otrzyma nominacji demokratów, niewątpliwie z tych wszystkich powodów, które

rozważał George. Miał jednak nadzieję, że inny popierający wojnę demokratą zdoła pokonać Bobby'ego. Johnson doszedł do wniosku, że jedyny sposób, w jaki może sabotować kandydaturę Roberta Kennedy'ego na prezydenta, to wycofać się z kampanii.

Teraz wszystko się zmieniło.

## ROZDZIAŁ 42

Dave Williams wiedział, że jego siostra coś szykuje.

Przygotowywał pilotażowy odcinek swojego programu telewizyjnego Dave Williams i Przyjaciele. Kiedy dostał tę propozycję, nie przywiązywał do niej większej wagi: wydawało się, że zawdzięcza ją ogromnemu sukcesowi Plum Nellie. Teraz zespół się rozpadł i Dave potrzebował tego programu. Miał być początkiem jego samodzielnej kariery, musiał więc być dobry.

Producent zaproponował, żeby zaprosić jako gościa siostrę Dave'a, gwiazdę filmową. Evie była sławniejsza niż kiedykolwiek. Jej ostatni film, komedia o snobce, która zatrudniła czarnego prawnika, był wielkim przebojem.

Evie zaproponowała, że zaśpiewa w duecie z drugą gwiazdą tego filmu, Percym Marquandem. Producent, Charlie Lacklow, poparł ten pomysł, ale niepokoił się wyborem piosenki. Charlie był niskim, zadziornym mężczyzną o zgrzytliwym głosie.

- To musi być zabawna piosenka - zastrzegł. - Nie mogą śpiewać *Prawdziwa miłość* czy *Dziecino, jest tak zimno na dworze*.

- Łatwiej powiedzieć niż zrobić - odparł Dave. - Większość duetów śpiewa piosenki o miłości.

Charlie pokręcił głową.

- Zapomnij o tym. To telewizja. Nie możemy nawet robić aluzji do seksu uprawianego przez białą kobietę i czarnego mężczyznę.

- Mogliby zaśpiewać *Wszystko, co robisz, ja mogę robić lepiej*. To byłoby zabawne.

- Nie. Ludzie pomyśleliby, że to komentarz dotyczący praw obywatelskich.

Charlie Lacklow był mądry, ale Dave go nie lubił. Jak wszyscy. Charlie miewał humory i zachowywał się agresywnie, a jego sporadyczne próby poprawienia swojego wizerunku jeszcze to pogarszały.

- A co z *Drozdem*? - podsunął Dave.

Charlie zastanowił się.

- Jeśli ten drozd śpiewać się nie kwapi, niech pierścionek z diamentem mi kupi - zaśpiewał. - To chyba uszłoby nam na sucho.

- Na pewno - rzekł Dave. - Oryginalny utwór wykonywało rodzeństwo, Inez i Charlie Foxxowie. Nikt nie uważał, że sugeruje kazirodztwo.

- W porządku.

Dave omówił z Evie wrażliwość amerykańskich telewidzów i wyjaśnił wybór tej piosenki, a ona przyznała mu rację - jednak miała w oczach błysk, który Dave znał aż za dobrze. Oznaczał kłopoty. Tak właśnie wyglądała przed premierą szkolnego przedstawienia Hamleta, w którym jako Ofelia wystąpiła nago.

Rozmawiali także o jego zerwaniu z Beep.

- Wszyscy zachowują się tak, jakby to był typowy przelotny romans nastolatków - narzekał Dave. - Ja jednak przestałem mieć przelotne młodzieńcze romanse na długo przed tym, zanim przestałem być nastolatkiem, i nigdy nie lubiłem sypiać z kim popadnie. Związek z Beep traktowałem poważnie. Chciałem mieć z nią dzieci.

- Dorosteś szybciej niż Beep - powiedziała Evie. - A ja dorosłam szybciej niż Hank Remington. Hank ustatkował się przy Annie Murray. Słyszę, że już nie sypia z kim popadnie. Może z Beep będzie tak samo.

- Tylko za późno dla mnie, tak samo jak dla ciebie - z goryczą rzekł Dave.

Teraz orkiestra stroiła instrumenty, Evie była umalowana, a Percy wkładał kostium. Tymczasem reżyser, Tony Peterson, poprosił Dave'a, żeby nagrał swoje wprowadzenie.

Program szedł w kolorze i Dave miał na sobie aksamitny garnitur barwy burgunda. Spojrzał w kamerę, wyobraził sobie Beep wracającą do niego, żeby wpaść w jego ramiona, i uśmiechnął się ciepło.

- Teraz, drodzy widzowie, coś specjalnego. Mamy tu obie gwiazdy przeboju filmowego *Mój klient i ja*: Percy'ego Marquanda i moją siostrę, Evie Williams!

Zaczął bić brawo. W studiu było cicho, ale przed emisją programu zostaną podłożone oklaski widowni.

- Kocham ten uśmiech, Dave - powiedział Tony. - Zrób to jeszcze raz.

Dave powtórzył to trzy razy i Tony oznajmił, że jest zadowolony.

W tym momencie przyszedł Charlie z jakimś mężczyzną w średnim wieku, który miał na sobie szary garnitur. Dave natychmiast zauważył służalcze zachowanie producenta.

- Dave, poznaj naszego sponsora - powiedział. - Pan Albert Wharton, prezes National Soap i jeden z największych biznesmenów w Ameryce. Przyleciał tu aż z Cleveland w Ohio, żeby się z tobą spotkać. Czy to nie miło z jego strony?

- Z pewnością - rzekł Dave.

Ludzie przylatywali z całego świata na jego koncerty, ale zawsze mówił, że to go cieszy.

- Mam dwoje nastoletnich dzieci, chłopca i dziewczynkę - rzucił Wharton. - Będą mi zazdrościć tego, że pana poznałem.

Dave próbował się skupić na robieniu dobrego programu i nie miał teraz ochoty rozmawiać z magnatem mydlanym, wiedział jednak, że powinien być miły dla tego człowieka.

- Powiniennem dać autografy pańskim dzieciom - zaproponował.

- Byłyby zachwycone.

Charlie pstryknięciem palców przywołał pannę Pritchard, swoją sekretarkę, która podążała za nim.

- Jenny, skarbie - powiedział, chociaż była czterdziestokilkuletnią starą panną. - Przynies z biura parę zdjęć Dave'a.

Wharton wyglądał jak typowy konserwatywny biznesmen, krótko ostrzyżony i w nierzucającym się w oczy ubraniu. To sprawiło, że Dave zadał mu pytanie.

- Co skłoniło pana do sponsorowania mojego programu, panie Wharton?

- Naszym głównym produktem jest detergent o nazwie Foam - zaczął Wharton.

- Widziałem reklamy - z uśmiechem rzekł Dave. - „Po Foam pranie czystsze od bieli!”

Wharton skinął głową. Zapewne wszyscy powtarzali ten slogan.

- Foam jest dobrze znanym i lubianym produktem od wielu lat - powiedział. - I dlatego trochę się zestarzał. Młode gospodynie mówią: „Foam, tak, moja matka zawsze go używała”. Co jest miłe, ale niesie pewne niebezpieczeństwo.

Dave z rozbawieniem słuchał, jak facet mówi o pudełku proszku, jakby miał do czynienia z żywą osobą. Jednak Wharton powiedział to bez śladu rozbawienia czy ironii, więc Dave powstrzymał chęć zbagatelizowania tej uwagi.

- Tak więc mam je przekonać, że Foam jest młody i fajny.

- Właśnie - rzekł Wharton. Potem w końcu się uśmiechnął. - A jednocześnie wnieść do amerykańskich domów trochę muzyki rozrywkowej i humoru.

Dave się zaśmiał.

- Zatem dobrze, że nie jestem z Rolling Stonesów!

- Z pewnością - śmiertelnie poważnie odparł Wharton.

Jenny wróciła z dwoma dużymi kolorowymi zdjęciami Dave'a i flamastrem.

- Jakie imiona noszą pańskie dzieci? - zapytał Whartona Dave.

- Caroline i Edward.

Dave podpisał po jednym zdjęciu dla każdego z nich.

- Gotowi do fragmentu z *Drozdem* - oznajmił Tony Peterson.

Do tego numeru stworzono małą dekorację. Wyglądała jak wnętrze eleganckiego sklepu ze szklanymi witrynami pełnymi luksusowych towarów. Percy był w ciemnym garniturze i

srebrnym krawacie, jak ekspedient. Evie odgrywała bogatą klientkę w kapeluszu, rękawiczkach i z torebką. Stanęli po obu stronach lady. Dave uśmiechnął się na widok trudu, jaki zadał sobie Charlie, by nie pomyślano, że tych dwoje łączy romans.

Przeprowadzili próbę z orkiestrą. Piosenka była żywa i lekka. Baryton Percy'ego i kontralt Evie ładnie ze sobą współgrały. W odpowiednich chwilach Percy wyjmował spod lady ptaszka w klatce i tać z pierścionkami.

- Tutaj dodamy nagrany śmiech, aby widzowie wiedzieli, że to ma być zabawne - poinformował Charlie.

Odegrali to przed kamerami. Za pierwszym razem było doskonale, ale jak zwykle powtórzyli to, na wszelki wypadek.

Gdy zbliżali się do końca, Dave poczuł zadowolenie. To była idealna rozrywka dla amerykańskiej widowni. Zaczynał wierzyć, że program odniesie sukces.

Przy ostatnich taktach piosenki Evie przechyliła się przez ladę, stanęła na palcach i pocałowała Percy'ego w policzek.

- Cudownie! - zawołał Tony, podchodząc do dekoracji. - Dziękuję wszystkim. Przygotujcie się teraz do następnego wprowadzenia Dave'a.

Był wyraźnie zaambarasowany i Dave zastanawiał się dlaczego.

Evie i Percy zeszli ze sceny.

- Nie możemy pokazać tego pocałunku - powiedział stojący obok Dave'a pan Wharton.

Zanim Dave zdążył zareagować, Charlie Lacklow przytaknął służalczo.

- Oczywiście, że nie, proszę się nie obawiać, panie Wharton, możemy to wyciąć i zapewne pokażemy klaszczącego Dave'a.

- Uważam, że ten pocałunek był czarujący i w zasadzie niewinny - zaproponował łagodnie Dave.

- Doprawdy? - rzucił Wharton surowym tonem.

Dave zaniepokoił się: czyżby to miało być jakimś problemem?

- Pan Wharton ma rację, Dave - powiedział Charlie. - W amerykańskiej telewizji nie możemy pokazać pocałunku przedstawicieli dwóch ras.

Dave popatrzył na niego zdziwiony. Jednak po namyśle uświadomił sobie, że nieliczni czarni, pokazywani w telewizji, bardzo rzadko, jeśli w ogóle, byli dotykani przez białych.

- Czy to taka polityka lub coś w tym rodzaju? - zapytał.

- Raczej niepisana zasada - odparł Charlie. - Niepisana i nienaruszalna - dodał stanowczo.

Evie usłyszała tę wymianę zdań.



- Dlaczego? - zapytała wyzywająco.

Dave zobaczył jej minę i jęknął w duchu. Evie nie zamierzała tego zignorować. Chciała walczyć. Jednak przez dłuższą chwilę panowała cisza. Nikt nie wiedział, co powiedzieć, szczególnie w obecności Percy'ego.

W końcu na pytanie Evie odpowiedział pan Wharton, swoim suchym głosem księgowego:

- Widzowie przyjęliby to z dezaprobatą - rzekł. - Większość Amerykanów uważa, że przedstawiciele różnych ras nie powinni się pobierać.

- Właśnie - potwierdził Charlie Lacklow. - To, co się dzieje w telewizji, dzieje się w twoim domu, sypialni, na oczach twoich dzieci i teściowej.

Wharton spojrzał na Percy'ego i przypomniał sobie, że ten jest mężem Babe Lee, białej kobiety.

- Przykro mi, jeśli czuje się pan urażony, panie Marquand - powiedział.

- Jestem do tego przyzwyczajony - spokojnie odparł Percy, nie zaprzeczając, że czuje się urażony, ale nie chcąc robić z tego wielkiej sprawy. Dave uważał, że to niezwykle ładnie z jego strony.

- Może telewizja powinna starać się przełamywać takie uprzedzenia - z urazą zauważyła Evie.

- Nie bądź naiwna - niegrzecznie rzekł Charlie. - Jeśli pokażemy coś, co im się nie spodoba, po prostu zmienią cholerny kanał.

- Zatem wszystkie stacje powinny zrobić to samo i ukazać Amerykę jako kraj, w którym wszyscy ludzie są równi.

- To się nie uda - zawyrokował producent.

- Może nie - odparła Evie. - Jednak musimy spróbować. Cięży na nas odpowiedzialność. - Popatrzyła wokół, na Charliego, Tony'ego, Dave'a, Percy'ego i Whartona. Patrząc jej w oczy, Dave miał poczucie winy, ponieważ wiedział, że siostra ma rację. - Każdy z nas - ciągnęła. - Robimy programy telewizyjne, które zmieniają sposób myślenia ludzi.

- Niekoniecznie... - zaczął Charlie.

Dave przerwał mu:

- Daruj sobie, Charlie. Wpływamy na ludzi. Gdyby było inaczej, pan Wharton nie trafiłby na nas swoich pieniędzy.

Producent miał gniewną minę, ale nic nie powiedział.

- Dziś mamy szansę uczynić ten świat lepszym miejscem - dodała Evie. - Nikomu by

nie przeszkadzało, gdybym pocałowała Binga Crosby'ego w głównym programie telewizyjnym. Pomóżmy ludziom zrozumieć, że niczym się to nie różni, jeśli całowany przeze mnie policzek ma trochę ciemniejszy kolor.

Wszyscy spojrzeli na pana Whartona.

Dave poczuł, że się poci pod swoją obcisłą koszulą z żabotem. Nie chciał, żeby sponsor się obraził.

- To dobry argument, młoda damo - rzekł Wharton. - Jednak mam zobowiązania wobec moich akcjonariuszy i pracowników. Nie jestem tu po to, żeby uczynić ten świat lepszym miejscem, ale żeby sprzedać Foam gospodyniom domowym. A nie dokonam tego, jeśli skojarzę mój produkt z seksem przedstawicieli dwóch różnych ras, z całym szacunkiem dla pana Marquanda. Nawiasem mówiąc, jestem twoim wielkim wielbicielem, Percy. Mam wszystkie twoje płyty.

Dave myślał o Mandy Love. Szalał za nią. Miała gładką skórę, czarną jak węgiel, a nie złocistą jak Percy. Dave całował ją, aż bolały go wargi. Mógłby się jej oświadczyć, gdyby nie wróciła do swojego dawnego chłopaka. I byłby teraz w sytuacji Percy'ego, usiłując tolerować rozmowę obrażającą jego małżeństwo.

- Myślę - powiedział Charlie - że ten duet będzie pięknym symbolem międzyrasowej harmonii bez poruszania drażliwego tematu seksu między przedstawicielami dwóch różnych ras. Uważam, że wykonaliśmy wspaniałą robotę, zakładając, że pominiemy ten pocałunek.

- Niezła próba, Charlie - rzuciła Evie. - Ale to bzdura i dobrze o tym wiesz.

- Taka jest rzeczywistość.

- Czy właśnie nazwałeś seks drażliwym tematem, Charlie? - zapytał Dave, usiłując rozładować napięcie. - Zabawne.

Nikt się nie roześmiał.

Evie patrzyła na Dave'a.

- A poza żartowaniem, co zamierzasz zrobić, Dave? - zapytała, prawie prowokująco. - Nauczono nas bronić tego, co słuszne. Nasz ojciec brał udział w hiszpańskiej wojnie domowej. Nasza babka wywalczyła prawo głosowania dla kobiet. Zamierzasz ustąpić?

- Masz talent, Dave - odezwał się Percy Marquand. - Ci ludzie cię potrzebują. Bez ciebie nie będzie tego programu. Masz władzę. Wykorzystaj ją w słusznej sprawie.

- Bądź realistą - rzekł Charlie. - Nie będzie programu bez National Soap. Nie znajdziemy szybko nowego sponsora, zwłaszcza jeśli wszyscy się dowiedzą, dlaczego pan Wharton się wycofał.

Dave zastanowił się nad sytuacją. Pan Wharton wcale nie powiedział, że przestanie

sponsorować program z powodu tego pocałunku. A Charlie nie zastrzegł, że znalezienie nowego sponsora będzie niemożliwe - tylko trudne. Gdyby Dave uparł się przy pozostawieniu tego całusa, program mógł nadal powstać, a jego telewizyjna kariera wcale by nie ucierpiała.

Może.

- Czy decyzja naprawdę należy do mnie? - zapytał.

- Na to wygląda - odparła Evie.

Czy był przygotowany na podjęcie takiego ryzyka?

Nie, nie był.

- Wycinamy ten pocałunek - powiedział.

Jasper Murray poleciał w kwietniu do Memphis, żeby zobaczyć strajk pracowników zakładów oczyszczania miasta, który przybierał ostrą formę.

Przemoc nie była dla niego czymś nowym. Uważał, że każdy człowiek, włącznie z nim samym, może być ugodowy lub wojowniczy, zależnie od okoliczności. Naturalną skłonnością jest prowadzenie spokojnego życia i przestrzeganie prawa, jednak w określonych warunkach większość potrafi torturować, gwałcić i mordować. Doskonale o tym wiedział.

Tak więc po przyjeździe do Memphis słuchał obu stron. Rzecznik ratusza powiedział, że agitatorzy z zewnątrz podżegają pracowników do gwałtownych czynów. Strajkujący zarzucali policji brutalność.

- Kto tym kieruje? - zapytał Jasper.

Powiedziano mu, że Henry Loeb.

Jasper dowiedział się, że Loeb, demokratyczny burmistrz Memphis, jest jawnym rasistą. Wierzył w segregację rasową, popierał „oddzielne, lecz jednakowe” instytucje dla białych i czarnych i publicznie występował przeciwko nakazywanej przez sąd integracji.

A niemal wszyscy pracownicy zakładów oczyszczania byli czarni.

Pensje płacono im tak niskie, że wielu kwalifikowało się do korzystania z pomocy społecznej. Nie otrzymywali wynagrodzenia za obowiązkowe nadgodziny. I miasto nie uznawało ich związku zawodowego.

Jednak powodem strajku było bezpieczeństwo pracy. Dwaj mężczyźni zostali zmiżdżeni przez niesprawną ciężarówkę. Loeb odmówił wycofania z użytku wyeksploatowanych wozów i zaostżenia przepisów bezpieczeństwa.

Rada Miejska przegłosowała wniosek uznający związek zawodowy, mając nadzieję, że to zakończy strajk, ale Loeb odrzucił jej decyzję.

Protest się zaostrzał.

Skupił też uwagę całego kraju, gdy Martin Luther King stanął po stronie pracowników zakładów oczyszczania.

King przyleciał tam ze swoją drugą wizytą tego samego dnia co Jasper, trzeciego kwietnia 1968 roku, w środę. Tego wieczoru nad miastem szalała burza. W ulewnym deszczu Jasper poszedł wysłuchać przemówienia Kinga na wiecu w Mason Temple.

Wiec prowadził Ralph Abernathy. Wyższy, o ciemniejszej skórze od Kinga, mniej przystojny i agresywniejszy, był - jak głosiła plotka - nie tylko kompanem Kinga od kieliszka i tak jak on kobieciarzem, ale też jego największym sojusznikiem i przyjacielem.

Na wiecu zjawili się głównie pracownicy zakładów oczyszczania oraz ich rodziny i popierający strajk. Patrząc na ich znoszone buty oraz stare płaszcze i kapelusze, Jasper uzmysłowił sobie, że należą do najbiedniejszych ludzi w Ameryce. Byli niewykształceni, wykonywali nędzną pracę i mieszkali w mieście, w którym nazywano ich obywatelami drugiej kategorii i czarnuchami. Jednak mieli ducha walki. Nie zamierzali dłużej tego znosić. Wierzyli w lepsze życie. Mieli marzenia.

I mieli Martina Luthera Kinga.

Trzydziestodwuletni King wyglądał na starszego. Był nieco krępy, gdy Jasper widział go przemawiającego w Waszyngtonie, lecz przez tych pięć lat, które minęły od tamtej chwili, przytył i teraz wydawał się pulchny. Gdyby nie elegancki garnitur, można by go wziąć za sprzedawcę. Jednak tylko dopóki nie otworzył ust. Kiedy mówił, stawał się olbrzymem.

Tego wieczoru był w ponurym nastroju. Gdy za oknem migotały błyskawice, a huk gromów przerywał jego przemowę, powiedział słuchaczom, że rano jego samolot spóźnił się z powodu groźby o podłożonej bombie.

- To jednak nie ma teraz dla mnie znaczenia, ponieważ byłem na szczycie góry - powiedział, a oni wiwatowali. - Chcę tylko spełniać wolę Boga. - Potem dał się porwać namiętności swoich własnych słów i jego głos zadrżał tak jak na stopniach Mauzoleum Lincolna. - A on pozwolił mi wejść na tę górę! - zawołał. - I spojrzałem w dal. - Znów podniósł głos. - I ujrzałem ziemię obiecaną!

Jasper widział, że King jest szczerze poruszony. Mocno się pocił i powstrzymywał łzy. Tłum podzielał jego uczucia i odpowiedział, krzyżąc: „tak!” i „amen!”.

- Może nie dotrę tam z wami - powiedział King głosem drżącym z emocji i Jasper przypomniał sobie, że w Biblii Mojżesz nigdy nie dotarł do Kanaanu. - Jednak chcę, żebyście wiedzieli, dziś wieczór, że my, jako naród, dotrzemy do ziemi obiecanej. - Dwa tysiące słuchaczy odpowiedziało brawami i okrzykami. - I dlatego dziś wieczór jestem szczęśliwy. Nie obawiam się niczego. Nie boję się żadnego człowieka. - Zamilkł, a potem dodał powoli: -

Moje oczy widziały chwałę nadejścia Pana.

Z tymi słowami chwiejnie odsunął się od pulpitu. Stojący za nim Ralph Abernathy doskoczył go podtrzymać i odprowadził na miejsce w burzy oklasków współzawodniczącej z tą za oknami.

Przez cały następny dzień Jasper obserwował spór prawny. Miasto usiłowało skłonić sąd do zakazania demonstracji zaplanowanej przez Kinga na następny poniedziałek, a King wypracowywał kompromis, który gwarantowałby nieduży pokojowy marsz.

Późnym popołudniem Jasper zadzwonił do Nowego Jorku, by porozmawiać z Herbem Gouldem. Uzgodnili, że Jasper spróbuje zaaranżować dla Sama Cakebreada wywiad z Loebem i Kingiem w sobotę lub niedzielę, a Herb przyśle ekipę, która sfilmuje poniedziałkową demonstrację, żeby pokazać ją w wieczornych wiadomościach.

Po rozmowie z Gouldem Jasper udał się do motelu Lorraine, gdzie zatrzymał się King. Był to niski piętrowy budynek z galeriami wychodzącymi na parking. Jasper dostrzegł białego cadillaca, który, jak wiedział, został wypożyczony Kingowi wraz z szoferem przez czarnoskórego właściciela domu pogrzebowego z Memphis. Niedaleko samochodu stała grupka doradców Kinga i wśród nich Jasper wypatrzył Verenę Marquand.

Była równie piękna jak przed pięcioma laty, ale wyglądała inaczej. Nosiała fryzurę afro, koraliki i kaftan. Jasper dostrzegł zmarszczki pod jej oczami i zadał sobie pytanie, jak to jest pracować dla człowieka, który jest tak namiętnie wielbiony przez jednych i tak strasznie znienawidzony przez innych jak Martin Luther King.

Jasper posłał jej swój najbardziej uwodzicielski uśmiech, przedstawił się i powiedział:

- Już kiedyś się spotkaliśmy.

Spojrzała na niego podejrzliwie.

- Nie sędzę.

- Ależ tak. Jednak można pani wybaczyć to, że tego nie pamięta. To było dwudziestego ósmego sierpnia tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego trzeciego roku. Tamtego dnia wiele się wydarzyło.

- A szczególnie przemówienie Martina „Mam sen”.

- Byłem reporterem gazetki studenckiej i poprosiłem panią o załatwienie mi wywiadu z doktorem Kingiem. Spławiła mnie pani.

Jasper pamiętał także, jak urzekła go uroda Vereny. Teraz był równie oczarowany.

Złagodniała.

- I domyślam się, że nadal chce pan mieć ten wywiad - powiedziała z uśmiechem.

- Sam Cakebread przybędzie tu na weekend. Zamierza porozmawiać z Herbem Loebem.

Naprawdę powinien porozmawiać również z doktorem Kingiem.

- Zrobię, co w mojej mocy, panie Murray.

- Proszę mi mówić Jasper.

Zawahała się.

- Zaspokój moją ciekawość. W jakich okolicznościach się spotkaliśmy tamtego dnia w Waszyngtonie?

- Jadłem śniadanie z kongresmenem Gregiem Peshkovem, przyjacielem rodziny. Ty byłaś z George'em Jakesem.

- I gdzie się podziewałeś od tamtej pory?

- Byłem w Wietnamie, przez pewien czas.

- Walczyłeś?

- Brałem udział w działaniach, owszem. - Nienawidził o tym mówić. - Mogę zadać ci osobiste pytanie?

- Spróbuj. Nie obiecuję, że odpowiem.

- Czy ty i George nadal jesteście parą?

- Nie odpowiem.

W tym momencie oboje usłyszeli głos Kinga i spojrzeli w stronę, z której dobiegał. Pastor wyszedł na galerię przed swoim pokojem i patrząc w dół, mówił coś do jednego ze swoich współpracowników stojących na parkingu niedaleko Jaspera i Vereny. King wpychał koszulę do spodni, jakby ubierał się po wzięciu prysznica. Zapewne szykuje się do wyjścia na obiad, pomyślał Jasper.

Potem King oparł się obiema rękami o poręcz i przechylił, żartując z kimś stojącym na dole.

- Ben, chcę, żebyś zagrał dla mnie dziś wieczorem *My Precious Lord* tak, jak jeszcze nigdy przedtem. Chcę, żebyś zaśpiewał to naprawdę ładnie.

- Robi się chłodno, wielebny! - zawołał do niego kierowca białego cadillaca. - Wieczorem może być panu potrzebny płaszcz.

- W porządku, Jonesy - odparł King i wyprostował się.

Huknął wystrzał.

King zatoczył się do tyłu, rozłożył ręce jak ukrzyżowany, uderzył o ścianę i upadł.

Verena wrzasnęła.

Doradcy Kinga schowali się za białym cadillakiem.

Jasper przykłęknął. Verena skuliła się przed nim. Objął ją, ochronnym gestem przyciskając do piersi i wypatrując, skąd padł strzał. Po drugiej stronie ulicy znajdował się

budynek, który mógł być pensjonatem.

Drugi strzał nie padł.

Przez moment Jasper był w rozterce. Wypuścił Verenę z objęć.

- Nic ci nie jest? - zapytał.

- Och, Martinie - jęknęła, patrząc na galerię.

Oboje ostrożnie wstali, ale kolejne strzały nie padły.

Bez słowa wbiegli zewnętrznymi schodami na pierwsze piętro.

King leżał na plecach z nogami opartymi o balustradę. Ralph Abernathy pochylał się nad nim wraz z drugim współpracownikiem, przyjacielskim okularnikiem Billym Kylesem. Z parkingu dochodziły krzyki i jęki ludzi, którzy widzieli zamach.

Kula przebiła szyję oraz szczękę Kinga i rozerwała mu krawat. Rana była straszna i Jasper natychmiast zrozumiał, że pastor został trafiony kulą rozrywającą nazywaną dum-dum. Wokół barków leżącego zbierała się kałuża krwi.

- Martin! Martin! Martin! - krzyczał Abernathy. Poklepał Kinga po policzku. Jasperowi wydało się, że na twarzy Kinga dostrzegł słabe oznaki świadomości. - Martin - powiedział Abernathy - to ja, Ralph, nie martw się, wszystko będzie dobrze.

Wargi Kinga poruszyły się, lecz nie wydobył się z nich żaden dźwięk.

Kyles pierwszy dopadł telefonu w pokoju. Podniósł słuchawkę, ale widocznie nikogo nie było przy centralce. Zaczął walić pięścią w ścianę.

- Odbierz telefon! Odbierz telefon! Odbierz telefon! - krzyczał.

Potem zrezygnował i wybiegł z powrotem na galerię.

- Wezwijcie karetkę, doktor King został postrzelony! - zawołał.

Ktoś owinał roztrzaskaną głowę Kinga ręcznikiem przyniesionym z łazienki.

Kyles zdjął pomarańczową narzutę z łóżka i nakrył nią pastora aż po rozerwaną szyję.

Jasper znał się na ranach. Wiedział, ile człowiek może stracić krwi oraz z czego człowiek może lub nie może wyjść.

Dla Martina Luthera Kinga nie było nadziei.

Kyles uniósł dłoń pastora, rozgiął jego palce i wyjął z nich paczkę papierosów. Jasper nigdy nie widział, żeby King palił; widocznie robił to tylko w samotności. Nawet teraz Kyles chronił swojego przyjaciela. Ten gest ujął Jaspiera.

Abernathy nadal mówił do rannego.

- Słyszysz mnie? - pytał. - Słyszysz mnie?

Jasper zobaczył, jak twarz Kinga nagle zmienia kolor. Brązowa skóra zbladła i przybrała szarawą barwę. Urodziwa twarz nienaturalnie znieruchomiała.

Jasper znalazł się na śmierci i wiedział, że przyszła.

Verena też to zrozumiała. Odwróciła się i wbiegła do pokoju, szlochając.

Jasper ruszył za nią i wziął ją w ramiona.

Osunęła się w nie z płaczem i jej gorące łzy wsiąkały w jego białą koszulę.

- Tak mi przykro - szepnął Jasper. - Tak mi przykro.

Żał mi Vereny, pomyślał. Żał Martina Luthera Kinga. Żał Ameryki.

Tej nocy w wielu miastach Stanów Zjednoczonych wybuchły zamieszki.

Dave Williams z przerażeniem oglądał telewizyjne relacje w bungalowie hotelu Beverly Hills, w którym mieszkał. Rozruchy objęły sto dziesięć miast. W Waszyngtonie dwadzieścia tysięcy ludzi przerwało policyjne kordony i podpaliło budynki. W Baltimore było sześciu zabitych i siedmiuset rannych. W Chicago trzy kilometry West Madison Street zmieniło się w gruzy.

Przez cały następny dzień Dave nie wychodził z domu, siedząc na kanapie przed telewizorem i paląc papierosy. Kogo o to winić? Nie tylko strzelca. Wszystkich białych rasistów, którzy siali nienawiść. I wszystkich tych, którzy nic nie robili, pozwalając na okrutną niesprawiedliwość.

Takich ludzi jak Dave.

Raz w życiu miał okazję sprzeciwić się rasizmowi. Zdarzyło się to kilka dni wcześniej w telewizyjnym studiu w Burbank. Powiedziano mu, że w amerykańskiej telewizji biała kobieta nie może pocałować czarnego mężczyzny. Jego siostra żądała, żeby się sprzeciwił tej rasistowskiej zasadzie. Jednak on ugiął się pod naciskiem uprzedzeń.

Zabił Martina Luthera Kinga tak samo jak Henry Loeb, Barry Goldwater i George Wallace.

Program miał być nadany nazajutrz, w sobotę, o ósmej wieczorem, z wyciętą sceną pocałunku.

Dave zamówił do pokoju butelkę bourbona i zasnął na kanapie.

Zbudził się wczesnym rankiem, wiedząc, co musi zrobić.

Wziął prysznic, połknął dwie aspiryny na kaca i ubrał się w swój najbardziej konserwatywny strój, garnitur w zieloną kratę z szerokimi klapami i spodniami rozszerzającymi się od kolan, na które mówiono „dzwony”. Zamówił limuzynę i pojechał do studia w Burbank, dokąd przybył o dziesiątej.

Wiedział, że chociaż jest weekend, zastanie Charliego Lacklowa w jego gabinecie, ponieważ sobota była dniem emisji, a z pewnością w ostatniej chwili trzeba będzie dokonać



jakichś zmian - takich jak ta, którą zaraz zamierzał wprowadzić Dave.

Sekretarka Charliego, Jenny, siedziała przy swoim biurku w sekretariacie.

- Dzień dobry, Jenny - powiedział Dave. Traktował ją z niezwykle szacunkiem, ponieważ Charlie był dla niej tak nieuprzejmy. W rezultacie uwielbiała Dave'a i zrobiłaby dla niego wszystko. - Zechciałabyś sprawdzić loty do Cleveland?

- W Ohio?

Uśmiechnął się.

- A jest inne Cleveland?

- Chcesz polecieć tam dzisiaj?

- Najszybciej jak się da.

- Czy wiesz, jaka to odległość?

- Jakieś trzy tysiące kilometrów?

Podniosła słuchawkę.

- I zamów limuzynę - dodał Dave - żeby czekała tam na mnie na lotnisku.

Zanotowała to, a potem zadzwoniła na lotnisko.

- Kiedy jest następny lot do Cleveland? Dziękuję, rezerwuję. - Znów spojrzała na Dave'a. - Dokąd w Cleveland chcesz się udać?

- Podaj kierowcy domowy adres Alberta Whartona.

- Czy pan Wharton cię oczekuje?

- To będzie niespodzianka.

Mrugnął do niej i wszedł do gabinetu.

Charlie siedział za biurkiem. Dla uczczenia soboty włożył tweedową marynarkę, ale nie miał na sobie krawata.

- Możesz zrobić dwie wersje programu? - zapytał Dave. - Jedną z pocałunkiem, a drugą bez?

- Z łatwością - odparł Charlie. - Mamy już wersję bez pocałunku, gotową do emisji. Do południa moglibyśmy zmontować drugą. Jednak tego nie zrobimy.

- Jeszcze dziś zadzwoni do ciebie Albert Wharton i poprosi, żebyś zostawił ten pocałunek. Lepiej, żebyś był przygotowany. Nie chcesz rozczarować naszego sponsora.

- Jasne, że nie. Dlaczego jesteś taki pewny, że zmieni zdanie?

Dave wcale nie był tego pewny, ale nie powiedział o tym Charliemu.

- Mając przygotowane obie wersje, kiedy najpóźniej możesz je zamienić?

- Za dziesięć ósma, czasu wschodniego.

Jenny Pritchard zajrzała do pokoju.

- Masz zarezerwowany bilet na samolot o jedenastej, Dave. Lotnisko znajduje się dwanaście kilometrów stąd, więc musisz już jechać.

- Zaraz wychodzę.

- Lot trwa cztery i pół godziny, różnica czasu wynosi trzy, więc wylądujesz o szóstej trzydzieści. - Wręczyła mu karteczkę z adresem Alberta Whartona. - Powinieneś być na miejscu o siódmej.

- Zatem wystarczy mi czasu - rzekł Dave. Pożegnał się z Charliem i dodał: - Bądź pod telefonem.

Charlie miał zdezorientowaną minę. Nie przywykł, by wydawano mu polecenia.

- Nigdzie się nie wybieram - burknął.

- Jego żona ma na imię Susan, a dzieci to Caroline i Edward - powiedziała Dave'owi panna Pritchard w sekretariacie.

- Dziękuję. - Dave zamknął drzwi gabinetu Charliego. - Jenny, jeśli kiedyś będziesz miała dość pracy u Charliego, to potrzebna mi sekretarka.

- Już mam jej dość - odparła. - Kiedy zaczynam?

- W poniedziałek.

- Mam przyjść do hotelu Beverly Hills o dziewiątej?

- Powiedzmy o dziesiątej.

Hotelowa limuzyna zawiozła Dave'a na LAX. Panna Pritchard zadzwoniła do biura linii lotniczej i stewardesa czekała, żeby wprowadzić go przejściem dla VIP-ów, dzięki czemu uniknął tłumów w hali odlotów.

Na śniadanie połknął tylko dwie aspiryny, więc był zadowolony z lunchu podczas lotu. Gdy samolot schodził do lądowania w mieście leżącym nad jeziorem Erie, Dave zastanawiał się, co powiedzieć panu Whartonowi. To będzie trudna rozmowa. Jednak jeśli dobrze ją poprowadzi, może uda mu się go przekonać. W ten sposób odkupiłby swoje wcześniejsze tchórzostwo. Marzył, by móc powiedzieć siostrze, że je naprawił.

Panna Pritchard dobrze wszystko zorganizowała i na lotnisku Hopkins czekał na niego samochód. Zawiózł go na zadrzewione i niezbyt odległe przedmieście. Kilka minut po siódmej limuzyna zajechała na podjazd okazałego, lecz bezpretensjonalnego wiejskiego domu. Dave podszedł do drzwi i zadzwonił.

Był zdenerwowany.

Otworzył mu sam Albert Wharton w szarym swetrze i sportowych spodniach.

- Dave Williams? - zdziwił się. - Co, do...?

- Dobry wieczór, panie Wharton - rzekł Dave. - Przepraszam za najście, ale naprawdę

muszę z panem porozmawiać.

Wharton po chwili otrząsnął się z szoku i wydawał się zadowolony.

- Proszę wejść. - Zachęcił go gestem. - I poznać moją rodzinę.

Zaprowadził Dave'a do jadalni. Jego rodzina najwyraźniej kończyła obiad. Wharton miał ładną żonę po trzydziestce, około szesnastoletnią córkę i o parę lat młodszego pryszczatego syna.

- Mamy niespodziewanego gościa - powiedział Wharton. - To jest Dave Williams z Plum Nellie.

Pani Wharton przycisnęła do ust małą białą dłoń.

- Ojejku - wykrztusiła.

Dave uściskał jej dłoń, a potem zwrócił się do dzieciaków.

- A wy to zapewne Caroline i Edward.

Wharton był wyraźnie zadowolony, że Dave zapamiętał imiona jego pociech.

Dzieci były oszołomione tą nieoczekiwaną wizytą prawdziwej gwiazdy rocka, którą widywały w telewizji. Edward prawie zaniemówił. Caroline wyprostowała się, wypinając małe piersi, i posłała Dave'owi spojrzenie, które widział u tysięcy nastolatków. Mówiło: możesz zrobić ze mną, co chcesz.

Dave udał, że tego nie zauważył.

- Proszę, usiądź, Dave - powiedział pan Wharton. - Przyłącz się do nas.

- Zje pan deser? - spytała pani Wharton. - Mamy kruche ciasto z truskawkami.

- Tak, proszę - odparł Dave. - Mieszkam w hotelu, więc domowe jedzenie to dla mnie prawdziwy przysmak.

- Och, biedaku - westchnęła i poszła do kuchni.

- Przyleciał pan dziś z Los Angeles? - zapytał Wharton.

- Tak.

- Z pewnością nie tylko po to, żeby wpaść do mnie.

- Właściwie to tak. Chcę jeszcze raz porozmawiać z panem o dzisiejszym programie.

- Dobrze - powiedział Wharton z lekkim zdziwieniem.

Pani Wharton wróciła, niosąc talerz z ciastem, i zaczęła je nakładać.

Dave chciał przeciągnąć dzieci na swoją stronę.

- W programie, który robimy z waszym tatą, jest fragment z Percym Marquandem, który śpiewa w duecie z moją siostrą Evie Williams - powiedział do nich.

- Widziałem ich film. Był wystrzałowy! - zawołał Edward.

- Na końcu piosenki Evie całuje Percy'ego w policzek - rzekł Dave i zamilkł.

- Co z tego? - powiedziała Caroline. - Wielkie mi rzeczy!

Pani Wharton uwodzicielsko uniosła brwi, nakładając Dave'owi duży kawałek ciasta z truskawkami.

- Pan Wharton i ja rozmawialiśmy o tym, czy to nie urazi uczuć naszych widzów, czego żaden z nas by nie chciał - ciągnął Dave. - Postanowiliśmy nie pokazywać tego pocałunku.

- Myślę, że to była mądra decyzja - powiedział Wharton.

- Przyszedłem zobaczyć się dziś z panem, panie Wharton - rzekł Dave - ponieważ uważam, że od kiedy podjęliśmy tę decyzję, sytuacja się zmieniła.

- Mówi pan o zabójstwie Martina Luthera Kinga.

- Doktor King został zabity, ale Ameryka wciąż krwawi.

To zdanie przyszło Dave'owi do głowy nie wiadomo skąd, tak jak czasem słowa jego piosenek.

Wharton pokręcił głową, z uporem zaciskając wargi. Optymizm Dave'a osłabł.

- Mam ponad tysiąc pracowników - oznajmił z dumą przedsiębiorca. - Nawiasem mówiąc, wielu z nich to Murzyni. Jeśli sprzedaż Foam się załamie, ponieważ obrazimy widzów, niektórzy z nich stracą pracę. Nie mogę podjąć takiego ryzyka.

- Ryzykowalibyśmy obaj - powiedział Dave. - Stawką jest także moja popularność. Jednak chcę coś zrobić, żeby pomóc temu krajowi wyzdrowieć.

Wharton uśmiechnął się łaskawie, jakby jedno z jego dzieci powiedziało coś beznadziejnie idealistycznego.

- I myśli pan, że jeden pocałunek może to sprawić?

Dave zaczął mówić ciszej i ostrzej.

- Jest sobotni wieczór, Albercie. Tylko pomyśl: w całej Ameryce młodzi czarni ludzie zastanawiają się, czy iść wzniecać pożary i wybijać okna, czy uspokoić się i unikać kłopotów. Zanim podejmą decyzję, wielu z nich obejrzy program Dave Williams i Przyjaciele tylko dlatego, że jego gospodarzem jest gwiazda rocka. Jak mają się czuć po zakończeniu tego programu?

- Cóż, oczywiście...

- Pomyśl, jak zbudowaliśmy tę dekorację dla Percy'ego i Evie. Wszystko w tej scenie mówi, że białych i czarnych trzeba trzymać z daleka od siebie: ich kostiumy, odgrywane przez nich role i lada pomiędzy nimi.

- Takie były nasze intencje - rzekł Wharton.

- Podkreśliliśmy to, co ich dzieli, a ja nie chcę rzucać tego w twarz czarnym ludziom, zwłaszcza dziś wieczór, gdy właśnie został zamordowany ich bohater. Jednak pocałunek Evie

na zakończenie osłabia cały ten układ. Ten pocałunek mówi, że nie musimy się wykorzystywać, bić i mordować. Mówi, że możemy się dotykać. To nie powinno być problemem, ale jest.

Dave wstrzymał oddech. Tak naprawdę nie wiedział, czy jeden pocałunek powstrzyma wiele rozruchów. Chciał go pozostawić tylko dlatego, że w ten sposób opowiadał się za dobrem, a nie za złem. Sądził jednak, że argument o wyciszeniu buntowniczych nastrojów może przekonać Whartona.

- Dave ma rację, tatusiu - odezwała się Caroline. - Powinieneś to zrobić.

- Tak - przytaknął Edward.

Wharton nie był specjalnie poruszony zdaniem swoich dzieci, tylko zwrócił się do żony, co trochę zdziwiło Dave'a.

- Jak myślisz, moja droga? - zapytał.

- Nie kazałabym ci zrobić niczego, co zaszkodziłoby firmie - odpowiedziała. - Wiesz o tym. Jednak uważam, że to może nawet przynieść korzyści National Soap. Jeśli będą cię krytykować, powiesz, że zrobiłeś to z powodu Martina Luthera Kinga. Może nawet zostaniesz bohaterem.

- Jest siódma czterdzieści pięć, panie Wharton - włączył się Dave. - Charlie Lacklow czeka przy telefonie. Jeżeli zadzwoni pan do niego przed upływem następnych pięciu minut, zdąży zamienić taśmy. Decyzja należy do pana.

W pokoju zapadła cisza. Wharton zastanawiał się przez moment. Potem wstał.

- Do licha, myślę, że możecie mieć rację - powiedział.

Wyszedł do holu.

Wszyscy słyszeli, jak wybiera numer. Dave przygryzł wargę.

- Z panem Lacklowem proszę... Halo, Charlie... Tak, jest tutaj, je z nami deser... Długo o tym rozmawialiśmy i dzwonię, by ci powiedzieć, żebyś jednak umieścił ten pocałunek w programie... Tak, właśnie to mówię. Dziękuję, Charlie. Dobranoc.

Dave usłyszał dźwięk odkładanej słuchawki i pozwolił, by ogarnęła go ciepła fala triumfu.

Pan Wharton wrócił do pokoju.

- No cóż, zrobione - powiedział i popatrzył na nich wszystkich.

- Dziękuję, panie Wharton - odparł Dave.

- Ten pocałunek wywołał wiele komentarzy, niemal wyłącznie przychylnych - powiedział Dave do Evie, gdy we wtorek jedli lunch w Polo Lounge.

- A więc firma National Soap tylko na tym zyskała?  
- Tak twierdzi mój nowy przyjaciel, pan Wharton. Sprzedaż Foam wzrosła, nie spadła.  
- A program?  
- Też odniósł sukces. Już zamówili cały sezon.  
- A wszystko dlatego, że postąpiłeś, jak należało.  
- Moja osobista kariera też dobrze rokuje. Nieźle jak na dzieciaka, który oblewał wszystkie egzaminy.

Charlie Lacklow przyłączył się do nich.

- Przykro mi, że się spóźniłem - wymamrotał nieszczercze. - Pracowałem nad wspólnym komunikatem prasowym, naszym i National Soap. Trochę późno, trzy dni po programie, ale chcę wykorzystać dobrą prasę.

Wręczył Dave'owi dwie kartki papieru.

- Mogę rzucić okiem? - spytała Evie. Wiedziała, że Dave ma kłopoty z czytaniem. Charlie dał jej kartki. Po chwili powiedziała: - Dave! Tu jest napisane, że powiedziałeś: „Pragnę pogratulować dyrektorowi National Soap, panu Albertowi Whartonowi, odwagi i dalekowzroczności, które okazał, upierając się przy emisji programu zawierającego ten kontrowersyjny pocałunek”. Co za tupet!

Dave wziął od niej kartki.

Charlie podał mu długopis.

Dave napisał „OK” na górze pierwszej strony, a potem podpisał komunikat i wręczył go Charliemu.

Evie poczerwieniała.

- To oburzające! - wykrzyknęła.

- Oczywiście - powiedział Dave. - Przecież to show-biznes.

## ROZDZIAŁ 43

W dniu, w którym wreszcie orzeczono rozwód Dimki, czołowi doradcy spotkali się na Kremlu, żeby omówić kryzys w Czechosłowacji.

Dimka był zadowolony. Pragnął ożenić się z Natalią, a teraz jedna z największych przeszkód została usunięta. Nie mógł się doczekać, żeby jej o tym powiedzieć, lecz kiedy przybył do Sali Niny Oniłowej, było tam już kilku innych doradców i musiał z tym poczekać.

Kiedy weszła, z kręconymi włosami okalającymi jej twarz w sposób, który uważał za tak czarujący, posłał jej szeroki uśmiech. Nie wiedziała dlaczego, ale odpowiedziała takim samym uśmiechem.

Dimka był niemal równie uszczęśliwiony wydarzeniami w Czechosłowacji. Nowy przywódca w Pradze, Aleksander Dubček, okazał się reformatorem, o jakim marzył w głębi serca. Po raz pierwszy, odkąd Dimka zaczął pracować na Kremlu, zaistniała szansa, by w kraju satelickim wprowadzono inny model komunizmu, odmienny od tego, co obowiązywało w Związku Radzieckim. Piątego kwietnia Dubček ogłosił „Program działania” obejmujący wolność wypowiedzi, prawo podróżowania na Zachód, koniec nieuzasadnionych aresztowań i większą swobodę działalności gospodarczej.

Gdyby to udało się w Czechosłowacji, mogłoby się udać i w ZSRR.

Dimka zawsze wierzył, że komunizm można zreformować - przeciwnie niż jego siostra i dysydenci, którzy sądzili, że trzeba od niego odejść.

Rozpoczęła się narada. Jewgienij Filipow przedstawił raport KGB. Znalazła się w nim informacja, jakoby burżuazyjne elementy próbowały zakwestionować czechosłowackie status quo.

Dimka westchnął. To było typowe dla Kremla pod rządami Breżniewa. Kiedy naród sprzeciwiał się władzy, nigdy nie pytano, czy miał po temu uzasadnione powody, tylko zawsze przypisywano - lub preparowano - wrogie intencje.

Dimka prychnął pogardliwie.

- Wątpię, by po dwudziestu latach komunizmu w Czechosłowacji pozostało wiele burżuazyjnego elementu.

Na dowód Filipow pokazał dwie kartki papieru. Jedną był list Szymona Wiesenthala, dyrektora Żydowskiego Centrum Dokumentacji w Wiedniu, wychwalającego działalność syjonistycznych kolegów w Pradze. Drugą okazała się wydrukowana w Czechosłowacji ulotka wzywająca do oderwania Ukrainy od ZSRR.

Głos zabrała Natalia, siedząca po drugiej stronie stołu:

- Te dokumenty są tak oczywistymi fałszerstwami, że to wprost śmieszne! Jest absolutnie niewiarygodne, żeby Szymon Wiesenthal organizował kontrrewolucję w Pradze. Chyba KGB stać na coś lepszego? - zadrwiła.

- Dubček okazał się zdradliwym gadem! - odparował Filipow.

Było w tym ziarno prawdy. Kiedy poprzedni czechosłowacki przywódca stracił poparcie, Breżniew zaaprobował na jego miejsce Dubčeka, gdyż ten wydawał się nijaki i lojalny. Jego radykalizm był przykrą niespodzianką dla kremlowskich konserwatystów.

Filipow mówił dalej, nie ukrywając oburzenia:

- Dubček pozwolił gazetom atakować komunistycznych przywódców!

Tu wszedł na grząski teren. Poprzednik Dubčeka, Novotný, był łajdakiem.

- Uwolnione od cenzury gazety ujawniły, że Novotný wykorzystywał rządowe zezwolenia na import samochodów, by sprowadzać jaguary, które z ogromnym zyskiem sprzedawał swoim partyjnym kolegom - odpowiedział mu Dimka. I dodał z udawanym niedowierzaniem: - Naprawdę chcecie bronić takich ludzi, towarzyszu Filipow?

- Chcę, żeby komunistyczne kraje były rządzone w zdyscyplinowany i rygorystyczny sposób - odparł Filipow. - Wywrotowe gazety wkrótce zaczną się domagać zachodniego stylu życia, tak zwanej demokracji, w której partie polityczne reprezentujące różne burżuazyjne frakcje polityczne tworzą iluzję wyboru, lecz jednoczą się w ucisku klasy robotniczej.

- Nikt tego nie chce - włączyła się ponownie Natalia. - Jednak zależy nam, aby Czechosłowacja była rozwiniętym kulturalnie krajem, atrakcyjnym dla zachodnich turystów. Jeśli w wyniku naszej interwencji turystyka osłabnie, Związek Radziecki będzie musiał wyłożyć jeszcze więcej pieniędzy na wspieranie czechosłowackiej gospodarki.

- Czy taki jest pogląd Ministerstwa Spraw Zagranicznych? - fuknął Filipow.

- Ministerstwo Spraw Zagranicznych chce rozmawiać z Dubčkiem, by mieć pewność, że jego kraj pozostanie komunistyczny. Nie myślimy o brutalnej interwencji, która zantagonizowałaby zarówno kapitalistyczne, jak i komunistyczne państwa.

W końcu względy ekonomiczne przeważały w opinii większości obecnych przy stole. Doradcy przygotowali rekomendację dla Politbiura, żeby członkowie Układu Warszawskiego zadali te pytania Dubčekowi na swoim następnym spotkaniu w Dreźnie, w Niemczech Wschodnich. Dimka cieszył się: groźba czystki została zażegnana, przynajmniej na razie. Obiecujący czeski eksperyment z reformowaniem komunizmu mógł być kontynuowany.

- Dostałem orzeczenie o rozwodzie - poinformował Natalię zaraz po wyjściu z sali. - Teraz już oficjalnie nie jestem mężem Niny.



Zareagowała z rezerwą.

- To dobrze. - Pokiwała głową, ale wyglądała na zaniepokojoną.

Dimka już od roku nie mieszkał z Niną i małym Grigorem. Miał własne mieszkanie, w którym jemu i Natalii parę razy w tygodniu udawało się spędzić razem kilka godzin. Jednak to ich nie zadowalało.

- Chcę się z tobą ożenić - powiedział.

- Ja też tego chcę.

- Czy porozmawiasz z Nikiem?

- Tak.

- Dziś wieczorem?

- Wkrótce.

- Czego się boisz?

- Nie boję się o siebie - odparła. - Nie dbam o to, co mi zrobi. - Dimka skrzywił się na wspomnienie jej rozciętej wargi. - To o ciebie się martwię - ciągnęła. - Pamiętasz tego człowieka od magnetofonu.

Dimka pamiętał. Czarnorynkowy handlarz, który oszukał Natalię, został tak ciężko pobity, że wylądował w szpitalu. Natalia sugerowała, że to samo może się przydarzyć Dimce, jeśli ona poprosi Nika o rozwód.

Dimka w to nie wierzył.

- Nie jestem jakimś nędznym kryminalistą, ale prawą ręką premiera. Nik nie może mnie tknąć.

Był tego pewny na dziewięćdziesiąt dziewięć procent.

- No, nie wiem - z przygnębieniem mruknęła Natalia. - Nik też zna wysoko postawione osobistości.

Dimka zniżył głos.

- Czy nadal uprawiasz z nim seks?

- Niezbyt często. Ma inne dziewczyny.

- Lubisz to?

- Nie!

- A on?

- Niespecjalnie.

- No to w czym problem?

- W jego dumie. Rozgniewa go myśl, że wolę innego.

- Nie boję się jego gniewu.

- A ja tak. Jednak porozmawiam z nim. Obiecuję.
- Dziękuję. - Dimka zniżył głos do szeptu. - Kocham cię.
- Ja też cię kocham.

Dimka wrócił do biura i zdał sprawozdanie ze spotkania swojemu szefowi, Aleksiejowi Kosyginowi.

- I ja nie wierzę KGB - rzekł Kosygin. - Andropow chce powstrzymać reformy Dubčeka i fabrykuje dowody na poparcie tego posunięcia. - Jurij Andropow był nowym szefem KGB i fanatycznym zwolennikiem twardej linii. Kosygin dodał: - Jednak potrzebuję wiarygodnych informacji z Czechosłowacji. Jeśli nie mogę ufać KGB, to do kogo mam się zwrócić?

- Wyślijcie tam moją siostrę - powiedział Dimka. - Jest reporterką TASS. W czasie kryzysu kubańskiego przekazywała Chruszczowowi doskonałe informacje z Hawany telegrafem Armii Czerwonej. Może robić to samo w Pradze.

- Świetny pomysł - pochwalił Kosygin. - Zajmij się tym, dobrze?

Następnego dnia Dimka nie widział się z Natalią, ale dwa dni później zadzwoniła, gdy o siódmej zbierał się do wyjścia z biura.

- Rozmawiałaś z Nikiem? - zapytał ją.

- Jeszcze nie. - Zanim Dimka zdążył wyrazić swoje rozczarowanie, dodała: - Jednak stało się coś innego. Filipow przyszedł się z nim zobaczyć.

- Filipow? - Dimka był zdumiony. - Co urzędnik Ministerstwa Obrony chciał od twojego męża?

- Nic dobrego. Myślę, że powiedział o nas Nikowi.

- Po co miałby to robić? Wiem, że zawsze ścieramy się na naradach, ale...

- Jest coś, o czym ci nie mówiłam. Filipow przystawiał się do mnie.

- Głupi kutas. Kiedy?

- Dwa miesiące temu, w barze nad rzeką. Wyjechałeś wtedy z Kosyginem.

- Niewiarygodne. Myślał, że pójdziesz z nim do łóżka tylko dlatego, że nie ma mnie w mieście?

- Coś w tym rodzaju. To było krępujące. Powiedziałam mu, że nie przespałabym się z nim, nawet gdyby był ostatnim mężczyzną w Moskwie. Może powinnam była być delikatniejsza.

- Myślisz, że rozmawiał z Nikiem, żeby się zemścić?

- Jestem tego pewna.

- Co powiedział ci Nik?

- Nic. I to mnie niepokoi. Wolałabym, żeby znów rozciął mi wargę.
- Nie mów tak.
- Boję się o ciebie.
- Nic mi nie będzie, nie martw się.
- Bądź ostrożny.
- Będę.
- Nie idź do domu, tylko pojedź samochodem.
- Zawsze tak robię.

Pożegnali się i rozłączyli. Dimka włożył gruby płaszcz i futrzaną czapkę, po czym opuścił budynek. Jego moskwicz 408 stał na kremłowskim parkingu, więc tam był bezpieczny. Pojechał do domu, zastanawiając się, czy Nik miałby odwagę staranować jego samochód, lecz nic takiego się nie stało.

Dotarł do swojego domu i zaparkował przecznicę dalej. W tym momencie był najbardziej narażony na atak. Musiał przejść pod latarniami ulicznymi od samochodu do drzwi budynku. Jeśli chcieli go pobić, mogli zrobić to tutaj.

Nikogo nie zauważył, ale mogli się ukrywać.

Dimka założył, że Nik nie weźmie osobiście udziału w ataku, tylko wyśle paru swoich zbirów. Zastanawiał się ilu. Czy powinien z nimi walczyć? Przeciwno dwóm miałby szansę, nie był mięczakiem. Jeśli będzie ich trzech lub czterech, to równie dobrze może położyć się i pozwolić, by go pobili.

Wysiadł z samochodu i zamknął drzwi.

Ruszył chodnikiem. Czy wypadną z za tej zaparkowanej furgonetki? Wyjdą z za rogu następnej kamienicy? Będą czaić się w bramie?

Dotarł do swojej kamienicy i wszedł. Może będą w holu.

Musiał długo czekać na windę.

Gdy przyjechała i jej drzwi zamknęły się za nim, zadawał sobie pytanie, czy czekają w jego mieszkaniu.

Otworzył drzwi wejściowe. W mieszkaniu panowała cisza. Zajrzał do sypialni, salonu, kuchni i łazienki.

Nie było tam nikogo.

Zaryglował drzwi.

Przez dwa tygodnie Dimka obawiał się, że w każdej chwili może zostać napadnięty. W końcu doszedł do wniosku, że to się nie zdarzy. Może Nika nie obchodziło to, że jego żona

ma romans, a może był zbyt sprytny, żeby robić sobie wroga z kogoś pracującego na Kremlu. Tak czy inaczej, Dimka poczuł się bezpiecznie.

Wciąż zadziwiał go tupet Jewgienija Filipowa. Na jakiej podstawie ten facet sądził, że Natalia pójdzie z nim do łóżka? Był nudny, konserwatywny, nijaki i źle ubrany: co jego zdaniem mogło skusić młodą kobietę, która już miała kochanka i męża? Najwyraźniej jednak uczucia Filipowa zostały głęboko zranione. Ale zemsta chyba mu się nie udała.

Dimkę przede wszystkim zaprzętał teraz czeski ruch reformatorski, który nazywano Praską Wiosną i który wywołał na Kremlu najgłębszy rozłam od czasu kryzysu kubańskiego. Szef Dimki, premier Aleksiej Kosygin, był przywódcą optymistów mających nadzieję, że Czesi znajdą drogę wyjścia z bagna nieefektywności i marnotrawstwa, jakim była typowa gospodarka komunistyczna. Powstrzymując entuzjazm z taktycznych powodów, proponowali, by Dubčeka uważnie obserwować, ale w miarę możliwości unikać konfrontacji. Jednakże takich konserwatystów jak szef Filipowa, minister obrony Andriej Greczko, i szef KGB Andropow denerwowała sytuacja w Pradze. Obawiali się, że radykalne idee osłabią ich władzę, zarażą inne kraje i rozbiją militarny Układ Warszawski. Chcieli posłać tam czołgi, pozbyć się Dubčeka i wprowadzić twardy komunistyczny reżim niewolniczo wierny Moskwie.

Prawdziwy szef, Leonid Breżniew, siedział okrakiem na płocie, jak to często robił, czekając na wypracowanie konsensusu.

Chociaż należeli do najpotężniejszych ludzi na świecie, władcy Kremla obawiali się wychylić. Marksizm-leninizm wyjaśniał wszelkie pytania, tak więc ewentualna decyzja była niezmiennie właściwa. Każdy optujący za innym rozwiązaniem zostawał uznany za winnego odstępstwa od ortodoksyjnego myślenia. Dimka czasem zastanawiał się, czy równie źle jest w Watykanie.

Ponieważ żaden z nich nie chciał jako pierwszy wyrazić swojej opinii, kazali swoim doradcom spierać się nieformalnie przed każdą naradą Politbiura.

- Nie chodzi tylko o rewizjonistyczne idee Dubčeka dotyczące wolności prasy - powiedział Jewgienij Filipow do Dimki pewnego popołudnia w szerokim korytarzu przed salą prezydiąlną. - To Słowak, pragnący dać więcej praw uciskanej mniejszości, z której się wywodzi. Wyobraź sobie, że tą ideą zarażą się Ukraina i Białoruś.

Filipow wciąż wyglądał jak sprzed dziesięciu lat. Niemal wszyscy faceci nosili teraz nieco dłuższe włosy, ale on nadal strzygł się po wojskowemu. Dimka próbował na moment zapomnieć, że to złośliwy i kłopotliwy skurwiel.

- Niebezpieczeństwo, o którym mówisz, jest znikome - oświadczył. - Nie ma żadnego

zagrożenia dla Związku Radzieckiego, a z pewnością takiego, które uzasadniałoby brutalną interwencję wojskową.

- Dubček osłabił KGB. Wydalił kilku agentów i zarządził ponowne śledztwo w sprawie śmierci dawnego ministra spraw zagranicznych, Jana Masaryka.

- Czy KGB jest uprawnione do mordowania ministrów zaprzyjaźnionych państw? - spytał Dimka. - Czy taką wiadomość chcecie wysłać na Węgry i do NRD? To uczyniłoby KGB gorszym niż CIA. Amerykanie przynajmniej mordują ludzi tylko w nieprzyjaznych krajach, takich jak Kuba.

Filipow nie ustępował.

- Co osiągniemy, pozwalając na takie głupoty w Pradze?

- Jeśli dokonamy inwazji na Czechosłowację, nastąpi ochłodzenie stosunków dyplomatycznych, jak wiecie.

- I co z tego?

- Pogorszą się nasze stosunki z Zachodem. Próbujemy złagodzić napięcie w kontaktach ze Stanami Zjednoczonymi, żeby wydawać mniej na brojenia. Wszystkie te wysiłki zostaną przekreślone. Inwazja może nawet pomóc Richardowi Nixonowi w wyborze na prezydenta, a on z pewnością zwiększy wydatki brojeniarne Amerykanów. Pomyślcie, ile to może nas kosztować!

Filipow próbował mu przerwać, ale Dimka go zagłuszył.

- Inwazja zaszokuje także Trzeci Świat. Staramy się pozyskać dla naszej sprawy kraje niezaangażowane, zwłaszcza w obliczu rywalizacji z Chinami, które tylko marzą, by zastąpić nas jako przywódców światowego komunizmu. Właśnie dlatego organizujemy w listopadzie światowy zjazd komunistyczny. Ten zjazd stałby się upokarzającą klęską, gdybyśmy dokonali inwazji na Czechosłowację.

- Zatem po prostu pozwolicie Dubčekowi robić, co chce? - zadrwił Filipow.

- Wprost przeciwnie. - Dimka ujawnił rozwiązanie, za którym opowiadał się jego szef: - Kosygin pojedzie do Pragi i wynegocjuje kompromis, rozwiązanie bez użycia wojska.

Teraz z kolei Filipow wyłożył karty na stół.

- Ministerstwo Obrony poprze ten plan w Politbiurze, pod warunkiem że natychmiast rozpoczniemy przygotowania do inwazji, na wypadek gdyby negocjacje się nie powiodły.

- Zgoda - rzekł Dimka, który czuł, że wojskowi i tak by to zrobili.

Uzgodniwszy decyzję, rozeszli się w przeciwne strony. Dimka wrócił do swojego biura w chwili, gdy jego sekretarka, Wiera Pletner, podnosiła słuchawkę telefonu. Zobaczył, że jej twarz przybrała barwę papieru w maszynie do pisania.

- Czy coś się stało? - zapytał.

Podawała mu słuchawkę.

- To wasza była żona - powiedziała.

Powstrzymując jęk, Dimka wziął słuchawkę i przyłożył do ucha.

- O co chodzi, Nino? - zapytał.

- Przyjedź natychmiast! - wrzasnęła. - Grisza przepadł!

Dimka miał wrażenie, że serce przestało mu bić. Grigor, którego nazywali Griszą, jeszcze nie ukończył pięciu lat i nie chodził do szkoły.

- Jak to przepadł?

- Nie mogę go znaleźć, po prostu zniknął. Szukałam wszędzie!

Serce ścisnęło mu się w piersi. Usiłował zachować spokój.

- Kiedy i gdzie ostatnio go widziałeś?

- Poszedł na górę do twojej matki. Pozwoliłam mu iść samemu, jak zawsze, to tylko trzy piętra.

- Kiedy to było?

- Niecałą godzinę temu. Musisz przyjechać!

- Już jadę. Zadzwoń na milicję.

- Przyjedź szybko!

- Zadzwoń po milicję, dobrze?

- Dobrze.

Dimka rzucił słuchawkę i opuścił pokój. Wybiegł z budynku. Nie tracił czasu na wkładanie płaszcza, ale nawet nie czuł moskiewskiego chłodu. Wskoczył do swojego moskwicza, wrzucił pierwszy bieg i gwałtownie ruszył. Chociaż wduślił pedał gazu do podłogi, samochód nie jechał szybko.

Nina nadal zajmowała mieszkanie, w którym zamieszkiwali razem, w rządowym budynku nieco ponad kilometr od Kremla. Dimka zaparkował nieprzepisowo i wbiegł do środka.

W holu był portier z KGB.

- Dzień dobry, Dmitriju Iljiczu - powiedział uprzejmie.

- Widziałeś Griszę, mojego chłopca? - spytał Dimka.

- Nie dziś.

- Zniknął. Czy mógł wyjść na zewnątrz?

- Nie, odkąd wróciłem z przerwy obiadowej o pierwszej.

- Czy jacyś obcy wchodzili dziś do budynku?

- Kilku, jak zwykle. Mam listę...
- Spójrzę na nią później. Jeśli zobaczysz Griszę, natychmiast do nas zadzwoń.
- Tak, oczywiście.
- Milicja będzie tu lada chwila.
- Natychmiast przyślę ich na górę.

Dimka czekał na windę. Był zlany potem i tak zdenerwowany, że nacisnął niewłaściwy guzik i musiał zaczekać, gdy kabina zatrzymała się po drodze. Kiedy dotarł na piętro, na którym mieszkała jego była żona, Nina czekała na korytarzu z matką Dimki, Anią.

Ania machinalnie wycierała dłonie w kwiaciasty fartuch.

- Nie było go u mnie - powiedziała. - Nie rozumiem, co się stało!
- Czy mógł zabłądzić? - zapytał Dimka.
- Był tam już ze dwadzieścia razy, więc zna drogę - odpowiedziała Nina - ale owszem, mógł się czymś zainteresować i zgubić drogę. Ma dopiero pięć lat.

- Portier jest pewny, że Grisza nie wyszedł z budynku. Zatem musimy go poszukać. Zapukamy do każdych drzwi. Nie, czekajcie, większość lokatorów ma telefony. Zejdę i zadzwonię do nich z aparatu portiera.

- Może go nie być w żadnym mieszkaniu - zauważyła Ania.
- Wy dwie sprawdźcie wszystkie korytarze, schody i schowek na szczotki.
- Dobrze - przytaknęła Ania. - Wjedziemy windą na ostatnie piętro i zaczniemy od góry.

Wsiadły do windy, a Dimka zbiegł schodami. W holu powiedział portierowi, co się dzieje, i zaczął dzwonić do mieszkań. Nie wiedział, ile ich jest w budynku: może sto? „Zaginął mały chłopiec, czy widzieliście go?” - pytał za każdym razem, gdy ktoś odebrał telefon. Gdy tylko słyszał „nie”, rozłączał się i dzwonił do następnego mieszkania. Notował numery tych, w których nikt się nie zgłaszał lub nie było telefonu.

Bez powodzenia sprawdził cztery piętra, kiedy przybyła milicja: gruby sierżant i młody posterunkowy. Byli denerwująco spokojni.

- Rozejrzę się - powiedział sierżant. - Znam ten budynek.
- Będzie potrzeba więcej ludzi niż was dwóch, żeby dokładnie go przeszukać! - stwierdził Dimka.
- W razie potrzeby wezwiemy posiłki, towarzyszu - zapewnił sierżant.

Dimka nie zamierzał tracić czasu na spieranie się z nimi. Znów zaczął wydzwaniać, ale czuł, że Nina i Ania mają większe szanse znalezienia Griszy. Gdyby chłopczyk zawędrował do niewłaściwego mieszkania, lokator z pewnością już zawiadomiłby portiera. Grisza mógł zgubić drogę i błąkać się na schodach. Dimce chciało się płakać na myśl o tym, jak

przerażony jest malec.

Po kolejnych dziesięciu minutach telefonowania zobaczył obu policjantów wychodzących po schodach z piwnicy oraz idącego między nimi Griszę, który trzymał sierżanta za rękę.

Dimka rzucił słuchawkę i podbiegł do niego.

- Nie mogłem otworzyć drzwi i płakałem! - powiedział Grisza.

Dimka podniósł go i przytulił, powstrzymując łzy ulgi.

- Co się stało, Grisza? - zapytał po chwili.

- Milicjanci mnie znaleźli - odparł malec.

Ania z Niną pojawiły się na schodach i podbiegły, nie posiadając się z radości. Nina wyrwała Dimce Griszę i przycisnęła go do piersi.

Dimka odwrócił się do sierżanta.

- Gdzie go znaleźliście?

Milicjant wyglądał na zadowolonego z siebie.

- W piwnicy, w magazynie. Drzwi nie były zamknięte, ale nie mogłem dosięgnąć klamki.

Przestraszył się, jednak poza tym nic mu się nie stało.

Dimka zwrócił się do chłopca:

- Powiedz mi, dlaczego zszedłeś do piwnicy?

- On powiedział, że tam jest piesek, ale nie mogłem go znaleźć!

- On?

- Tak.

- Ktoś znajomy?

Grisza pokręcił głową.

Sierżant poprawił czapkę, szykując się do odejścia.

- Zatem wszystko dobre, co się dobrze kończy.

- Chwileczkę! - zaprotestował Dimka. - Słyszeliście, co mówi chłopiec. Jakiś człowiek zwabił go tam, mówiąc o piesku.

- Tak, towarzyszu, tak mi powiedział. Jednak, o ile mogę stwierdzić, nie popełniono żadnego przestępstwa.

- Uprowadzono dziecko!

- Trudno dokładnie orzec, co się stało, szczególnie na podstawie informacji od tak małego chłopca.

- To wcale nie jest trudne. Jakiś mężczyzna zwabił dziecko do piwnicy, a potem je tam zostawił.



- Tylko po co miałyby to robić?

- Słuchajcie, jestem wam wdzięczny za znalezienie malca, ale czy nie traktujecie całego tego zdarzenia zbyt lekko?

- Dzieciom często zdarza się zabłądzić.

Dimka zaczął coś podejrzewać.

- Skąd wiedzieliście, gdzie szukać?

- Odgadliśmy. Jak mówię, znamy ten budynek.

Dimka zdecydował nie zdradzać swoich podejrzeń, dopóki jest tak wzburzony. Odwrócił się plecami do funkcjonariusza i znów zagadnął Griszę.

- Czy ten pan powiedział ci, jak się nazywa?

- Tak - odparł Grisza. - Ma na imię Nik.

Następnego dnia rano Dimka zażądał akt KGB dotyczących Nika Smotrowa.

Był wściekły. Miał ochotę wziąć pistolet i zabić Nika. Jednak nakazał sobie zachować spokój.

Ominięcie portiera z pewnością nie nastąpiło Nikowi problemów. Mógł podać się za dostawcę, wejść razem z grupą lokatorów, udając ich znajomego, lub po prostu pokazać legitymację partyjną. Trochę trudniej było wytłumaczyć, skąd Nik wiedział, że Grisza będzie sam przechodził na inne piętro budynku. Po namyśle Dimka doszedł do wniosku, że zapewne Nik kilka dni wcześniej przeprowadził rekonesans. Mógł pogawędzić z jakimś sąsiadem, poznać rozkład zajęć dzieciaka i wybrać najlepszą okazję. Zapewne przekupił także tych milicjantów. Zamierzał śmiertelnie przestraszyć Dimkę.

I udało mu się.

Jednak miał tego pożałować.

Teoretycznie Kosyginowi przysługiwało prawo wglądu do każdego akt. W praktyce szef KGB, Andropow, decydował o tym, co premier może zobaczyć, a czego nie. Jednak Dimka był pewny, że działalność Nika, choć przestępcza, nie miała politycznego charakteru, więc nie było powodu odmawiać dostępu do jego akt. I rzeczywiście, po południu teczka znalazła się na jego biurku.

Była gruba.

Tak jak Dimka podejrzewał, Nik był czarnorynkowym handlarzem. I jak większość takich ludzi, oportunistą. Kupował i sprzedawał wszystko, co mu wpadło w ręce: koszule w kwiatki, drogie perfumy, gitary elektryczne, bieliznę, szkocką whisky - wszelkie nielegalnie sprowadzane luksusowe towary trudne do zdobycia w Związku Radzieckim. Dimka uważnie

czytał raporty, szukając czegoś, co mógłby wykorzystać, żeby zniszczyć Nika.

KGB zajmuje się plotkami, a Dimka potrzebował czegoś konkretnego. Mógł pójść na milicję, zgłosić to, co wyczytał w aktach KGB, i zażądać dochodzenia. Jednak Nik z pewnością przekupił policję - inaczej nie mógłby tak długo i bezkarnie prowadzić swojej przestępczej działalności. A jego protektorzy na pewno chcieli nadal dostawać łapówki. Tak więc dopilnowaliby, żeby śledztwo niczego nie wykryło.

Akta zawierały dużo informacji o prywatnym życiu Nika. Miał kochankę oraz kilka przyjaciółek, jedna z nich paliła marihuanę. Dimka zastanawiał się, co Natalia wie o przyjaciółkach męża. Nik i jego kumple od interesów spotykali się popołudniami w barze Madryt w pobliżu placu Centralnego. Miał ładną żonę, która...

Dimka był zaszokowany, gdy przeczytał, że żona Nika ma długotrwały romans z Dmitrijem Iljiczem „Dimką” Dworkinem, doradcą premiera Kosygina.

Widząc swoje nazwisko w aktach, poczuł się okropnie. Wyglądało na to, że nie mieli prawa do prywatności.

Dobrze przynajmniej, że w aktach nie było żadnych ich zdjęć lub nagrań.

Jednak było zdjęcie Nika, którego Dimka nigdy wcześniej nie widział. Nik był przystojnym mężczyzną o czarującym uśmiechu. Na zdjęciu nosił bardzo modną kurtkę z pagonami. Według danych miał prawie metr dziewięćdziesiąt i atletyczną budowę.

Dimka pragnął stłuc go na miazgę.

Jednak powstrzymał te rojenia o zemście i czytał dalej.

Niebawem natrafił na złotą żyłę.

Nik kupował telewizory od Armii Czerwonej.

Radziecka armia miała ogromny budżet, którego nikt nie śmiał kwestionować z obawy, że zarzucą mu brak patriotyzmu. Część pieniędzy wydawano na zakup najnowocześniejszego sprzętu na Zachodzie. I tak na przykład Armia Czerwona co roku kupowała setki drogich telewizorów. Ulubioną marką wojskowych były odbiorniki Franck z Berlina Zachodniego, mające wspaniały obraz i dźwięk. Według akt KGB, większość tych telewizorów była wojsku niepotrzebna. Zamawiała je niewielka grupka oficerów, których nazwiska znajdowały się w aktach. Następnie oficerowie uznawali odbiorniki za przestarzałe i sprzedawali je tanio Nikowi, który odsprzedawał je na czarnym rynku z ogromnym zyskiem, a potem dzielił się z wojskowymi.

Większość przedsięwzięć Nika była drobnymi szwindlami, ale ten od lat przynosił mu naprawdę duże pieniądze.

Nie było żadnego dowodu na to, że ta historia jest prawdziwa, lecz dla Dimki miało to

sens. KGB zawiadomiło o wszystkim armię, ale wojskowe dochodzenie nie przyniosło rezultatów. Najprawdopodobniej, pomyślał Dimka, prokurator też dostał w łapę.

Zadzwoił do biura Natalii.

- Jedno krótkie pytanie - powiedział. - Jakiej marki telewizor masz w domu?
- Franck - odparła bez namysłu. - Jest świetny. Mogę ci taki załatwić, jeśli chcesz.
- Nie, dziękuję.
- Dlaczego pytasz?
- Później ci wyjaśnię.

Dimka się rozłączył.

Spojrzał na zegarek. Była piąta. Opuścił Kreml i pojechał ulicą Sadowaja Samotiocznaja.

Musiał nastraszyć Nika. To nie będzie łatwe, nie miał jednak innego wyjścia. Nik musi zrozumieć, że nigdy, ale to nigdy nie wolno mu grozić rodzinie Dimki.

Zaparkował moskwicza, lecz nie wysiadł z niego od razu. Przypomniał sobie, w jakim stanie ducha był podczas kryzysu kubańskiego, gdy za wszelką cenę musiał zachować swoją misję w tajemnicy. Bez wahania łamał kariery i niszczył ludzi, ponieważ trzeba było to robić. Teraz zamierzał zniszczyć Nika.

Zamknął samochód i ruszył do baru Madryt.

Pchnięciem otworzył drzwi, po czym wszedł do środka. Przystanął i rozejrzał się. Lokal był obrzydliwie nowoczesny, zimny i plastikowy, niedostatecznie ogrzewany elektrycznym kominkiem, ze zdjęciami tancerek flamenco na ścianach. Garstka klientów spojrzała na niego z zaciekawieniem. Wyglądali na drobnych złodziejasków. Żaden nie był podobny do Nika z fotografii w aktach.

Na drugim końcu sali znajdował się narożny barek, a obok niego drzwi z napisem „Pomieszczenie prywatne”.

Dimka przeszedł przez salę, jakby był właścicielem tego lokalu. Nie zatrzymując się, zapytał mężczyznę za barem:

- Nik na zapleczu?

Tamten popatrzył, jakby zamierzał mu powiedzieć, żeby przystanął i poczekał, ale zobaczył minę Dimki i rozmyślił się.

- Tak - odparł.

Dimka pchnął drzwi.

W pokoiku na zapleczu czterej mężczyźni grali w karty. Na stole leżało dużo pieniędzy. Z boku, na kanapie, dwie młode i mocno umalowane kobiety w eleganckich sukniach paliły

ze znudzonymi minami długie amerykańskie papierosy.

Dimka natychmiast rozpoznał Nika. Jego twarz była tak urodziwa, jak ją ukazał fotograf, ale obiektyw nie zdołał uchwycić jej zimnego wyrazu. Mąż Natalii podniósł głowę.

- To prywatne pomieszczenie - warknął. - Spływaj.

- Mam dla ciebie wiadomość - rzekł Dimka.

Nik położył karty na stole, koszulkami do góry, i usiadł prosto.

- A kim ty, kurwa, jesteś?

- Wydarzy się coś złego.

Dwaj z grających wstali, odwracając się w stronę Dimki. Jeden sięgnął pod kurtkę. Dimka pomyślał, że mężczyzna zaraz wyciągnie broń, ale Nik powstrzymał go, podnosząc rękę.

Nie odrywał oczu od Dimki.

- O czym mówisz?

- Kiedy wydarzy się coś złego, będziesz pytał, kto za tym stoi.

- I ty mi powiesz?

- Właśnie ci mówię. Dmitrij Iljicz Dworkin. To on jest powodem twoich kłopotów.

- Nie mam żadnych kłopotów, dupku.

- Nie miałeś, do wczoraj. Wtedy popełniłeś błąd, dupku.

Mężczyźni obok Nika drgnęli, ale on zachował spokój.

- Wczoraj? - Zmrużył oczy. - To ty jesteś tym czubkiem, z którym się pieprzy?

- Kiedy wpadniesz w takie kłopoty, że nie będziesz wiedział, co robić, przypomnij sobie moje nazwisko.

- Ty jesteś Dimka!

- Jeszcze się zobaczymy - powiedział Dimka, a potem powoli odwrócił się i wyszedł.

Gdy szedł przez bar, wszyscy na niego patrzyli. Poszedł prosto do wyjścia, przez cały czas spodziewając się kuli w plecy.

Dotarł do drzwi i wyszedł.

Uśmiechnął się pod nosem. Udało mi się, pomyślał.

Teraz musiał urzeczywistnić swoją groźbę.

Pojechał na znajdujące się dziesięć kilometrów od centrum lotnisko Chodynka i zaparkował przed siedzibą wywiadu Armii Czerwonej. Ten stary gmach był koszmarnym wytworem architektury z okresu stalinizmu - dziewięciopiętrowym i otoczonym kręgiem dwupiętrowych budynków. GRU zajmowało teraz także piętnastopiętrowy budynek w pobliżu: organizacje wywiadowcze zawsze się rozrastają.

Niosąc teczkę Nika, Dimka wszedł do starego gmachu i zapytał o generała Wołodię Peszkowa.

- Czy jesteście umówieni? - zapytał wartownik.

Dimka podniósł głos.

- Nie opierdalaj się, synu. Dzwoń do sekretarki generała i powiedz, że tu jestem.

Po chwili nerwowej aktywności - bo mało kto wpadał tutaj niewezwany - przeprowadzono go przez bramkę wykrywacza metalu i do windy, którą pojechał do biura na ostatnim piętrze.

Stamtąd rozpościerał się wspaniały widok na Moskwę. Wołodia powitał Dimkę i zaproponował mu herbatę. Dimka zawsze lubił wujka. Teraz, gdy Wołodia skończył już pięćdziesiątkę, jego włosy się posrebrzyły. Pomimo twardo spoglądających niebieskich oczu należał do zwolenników reform, co było rzadkością wśród przeważnie konserwatywnych generałów. On jednak miał za sobą pobyt w Ameryce.

- Co ci leży na sercu? - spytał Wołodia. - Wyglądasz, jakbyś chciał kogoś zabić.

- Mam problem - odparł Dimka. - Zrobiłem sobie wroga.

- Nic niezwykłego w tych kręgach, w których pracujesz.

- To nie ma nic wspólnego z polityką. Nik Smotrow jest gangsterem.

- Jak naraziłeś się takiemu człowiekowi?

- Sypiam z jego żoną.

Wujek spojrział z dezaprobatą.

- A on ci grozi.

Wołodia zapewne nigdy nie zdradził Zoi, swojej żony, która była równie piękna jak inteligentna. To oznaczało, że miał niewiele współczucia dla Dimki. Może byłoby inaczej, gdyby był tak głupi, żeby poślubić kobietę pokroju Niny.

- Nik porwał Griszę - powiedział Dimka.

Wołodia się wyprostował.

- Co takiego? Kiedy?

- Wczoraj. Odzyskaliśmy go. Został tylko zamknięty w piwnicy budynku. Jednak to było ostrzeżenie.

- Musisz zerwać z tą kobietą!

Dimka zignorował okrzyk Wołodii.

- Przyszedłem do ciebie z konkretną propozycją, wuju. Jest sposób, żebyś mi pomógł, a jednocześnie zrobił coś dla dobra armii.

- Mów.

- Nik stoi za przekrętem, który każdego roku kosztuje armię miliony. - Dimka wyjaśnił mechanizm afery z telewizorami. Kiedy skończył, położył teczkę z aktami na biurku Wołodii.  
- Tu jest wszystko, włącznie z nazwiskami oficerów, którzy to zorganizowali.

Wołodia nie podniósł teczek.

- Nie jestem policjantem. Nie mogę aresztować tego Nika.

- Ale możesz aresztować zamieszanych w to oficerów.

- O tak. W ciągu dwudziestu czterech godzin znajdą się w wojskowych celach.

- I zakończysz cały ten interes.

- Bardzo szybko.

A wtedy Nik będzie zrujnowany, pomyślał Dimka.

- Dziękuję, wuju - powiedział. - Bardzo mi pomogłeś.

Dimka był w swoim mieszkaniu, pakując się przed wyjazdem do Czechosłowacji, kiedy przyszedł do niego Nik.

Politbiuro zaakceptowało plan Kosygina. Dimka leciał z nim do Pragi, żeby negocjować rozwiązanie kryzysu bez użycia sił wojskowych. Mieli znaleźć sposób na kontynuowanie eksperymentu z liberalizacją, a jednocześnie upewnić twardogłowych, że nie jest on fundamentalnym zagrożeniem dla radzieckiego systemu. Jednak Dimka miał nadzieję, że z czasem cały ten system się zmieni.

Praga w maju będzie ciepła i deszczowa. Dimka składał płaszcz przeciwdeszczowy, gdy usłyszał dzwonek do drzwi.

W tym budynku nie było portiera ani domofonu. Niezapowiedziani goście wchodzili przez otwartą bramę i potem po schodach na górę. Nie było to tak luksusowe zakwaterowanie jak w rządowym budynku, w którym została jego ekszona. Dimka czasem tego żałował, ale w sumie cieszył się, że Grisza mieszka blisko babci.

Otworzył drzwi i z zaskoczeniem zobaczył stojącego na progu męża swojej kochanki.

Nik był odrobinę wyższy i cięższy od Dimki, lecz ten nie miał oporów, by się z nim zmierzyć. Cofnął się o krok i złapał najbliższy ciężki przedmiot, którym była szklana popielniczka.

- Nie ma potrzeby - rzucił Nik. Przeszedł przez próg i zamknął za sobą drzwi.

- Spływaj - warknął Dimka. - I to już, zanim narobisz sobie jeszcze większych kłopotów.

Udało mu się powiedzieć to z niezachwianą pewnością siebie.

Nik spoglądał na niego gniewnie i nienawistnie.

- Zrozumiałem twoją wiadomość - wycodził. - Nie boisz się mnie. Jesteś dostatecznie wpływowy, żeby zatruć mi życie. Powiniennem się ciebie bać. W porządku, zrozumiałem. Boję się.

Nie wyglądało na to.

- Po co tu przyszedłeś? - zapytał Dimka.

- Ta suka guzik mnie obchodzi. Ożeniłem się z nią tylko po to, żeby sprawić przyjemność mojej matce, która już nie żyje. Jednak to obraża dumę mężczyzny, kiedy ktoś inny gmera w jego ognisku. Wiesz, co mam na myśli.

- Do rzeczy.

- Mój interes legł w gruzach. Żaden wojskowy nie chce ze mną gadać, nie mówiąc nawet o sprzedawaniu telewizorów. Ludzie pobudowali sobie czteropokojowe dacje za pieniądze, które dla nich zarobiłem, a teraz mijają mnie na ulicy bez słowa. Ci, którzy nie siedzą w więzieniu.

- Nie powinieneś być grozić mojemu synowi.

- Teraz to wiem. Myślałem, że moja żona rozkłada nogi dla jakiegoś urzędniczyny. Nie wiedziałem, że to pierdolony watażka. Nie doceniłem cię.

- No to spieprzaj do domu lizać rany.

- Muszę jakoś zarabiać na życie.

- Spróbuj pracować.

- Bez żartów, proszę. Znalazłem inne źródło zachodnich telewizorów, niezwiązane z wojskiem.

- A co mnie to obchodzi?

- Mogę odbudować interes, który rozwaliłeś.

- Co z tego?

- Mogę wejść i usiąść?

- Nie bądź, kurwa, głupi.

W oczach Nika zabłyśła wściekłość i Dimka już myślał, że posunął się za daleko, ale ten błysk zaraz zgasł i Nik spokorniał.

- W porządku, oto umowa. Dam ci dziesięć procent od zysków.

- Chcesz, żebym prowadził z tobą ten interes? Przystępczą działalność? Chyba oszalałeś.

- No dobrze, dwadzieścia procent. I nie musisz nic robić, tylko zostawić mnie w spokoju.

- Nie chcę twoich pieniędzy, głupcze. To jest Związek Radziecki. Nie możesz kupić

wszystkiego jak w Ameryce. Moje kontakty są warte więcej, niż mógłbyś mi zapłacić.

- Musi być coś, czego chcesz.

Do tej chwili Dimka spierał się z Nikiem tylko po to, żeby wytrącić go z równowagi, lecz teraz dostrzegł okazję.

- Och, tak - powiedział. - Jest coś, czego chcę.

- Tylko powiedz.

- Daj żonie rozwód.

- Co?

- Chcę, żebyście się rozwiedli.

- Mam się rozwieść z Natalią?

- Daj jej rozwód - powtórzył Dimka. - Którego z tych trzech słów nie rozumiesz?

- Ja pierdołę, to wszystko?

- Tak.

- Możesz się z nią żenić. I tak już bym jej nie tknął.

- Jeśli się z nią rozwiedziesz, zostawię cię w spokoju. Nie jestem gliniarzem i nie prowadzę krucjaty przeciwko korupcji w ZSRR. Mam ważniejsze rzeczy do zrobienia.

- Umowa stoi. - Nik otworzył drzwi. - Przyślę ją na górę.

To zaskoczyło Dimkę.

- Natalia jest tutaj?

- Czeka w samochodzie. Jutro każe spakować i przywieźć jej rzeczy. Nie chcę tej baby więcej widzieć w moim mieszkaniu.

Dimka podniósł głos.

- Tylko nie waż się jej skrzywdzić! Jeśli będzie miała choćby siniaka, cała umowa jest nieważna.

Nik odwrócił się na progu i groźnie podniósł palec.

- A ty nie próbuj się wyłgać z naszego układu. Jeśli spróbujesz mnie orznać, utnę jej sutki nożyczkami.

Dimka wierzył, że Nik mógł to zrobić. Przeszedł go dreszcz zgrozy.

- Wynos się z mojego mieszkania.

Nik wyszedł, nie zamykając drzwi.

Dimka ciężko dyszał, jak po szybkim biegu. Stał nieruchomo w korytarzyku swojego mieszkania. Słyszał, jak Nik z hałasem zbiega po schodach. Odstawił popielniczkę na stolik. Palce miał śliskie od potu i o mało jej nie upuścił.

To, co się właśnie stało, było jak sen. Czy Nik naprawdę był tutaj i zgodził się rozwieść



z Natalią? Czy Dimka naprawdę go nastraszył?

Po chwili usłyszał na schodach inne kroki: lżejsze, szybsze, zmierzające do góry. Nie wyszedł na korytarz: stał jak wmurowany.

Natalia pojawiła się w drzwiach, szeroki uśmiech, którym go przywitała, rozjaśnił całe mieszkanie. Padła mu w ramiona, a on schował twarz w jej gęstych lokach.

- Jesteś tu - powiedział.

- Tak - odparła. - I już nigdy nie odejdę.

## ROZDZIAŁ 44

Rebeccę kusiło, żeby zdradzić Bernda. Jednak nie mogła go okłamywać. Dlatego opowiedziała mu wszystko w przypiływie skruchy.

- Poznałam kogoś, kto mi się podoba - wyznała. - I całowałam się z nim. Dwukrotnie. Już nigdy tego nie zrobię.

Bała się tego, jak zareaguje mąż. Mógł natychmiast zażądać rozwodu. Większość mężczyzn tak by zrobiła. Jednak Bernd był lepszy niż większość mężczyzn. Ale złamałby jej serce, gdyby nie był zły, tylko poczuł się upokorzony. Nie chciała zranić osoby, którą kochała najbardziej na świecie.

Jednakże reakcja Bernda na jej wyznanie była zaskakująco inna od wszystkiego, czego się spodziewała.

- Powinnaś to zrobić - rzekł. - Mieć romans z tym facetem.

Leżeli w łóżku, był późny wieczór. Odwróciła się i spojrzała na niego ze zdziwieniem.

- Jak możesz tak mówić?

- Mamy sześćdziesiąty ósmy rok, nastała era wolnej miłości. Wszyscy uprawiają seks ze wszystkimi. Dlaczego miałabyś sobie odmawiać?

- Nie mówisz poważnie.

- Nie chciałem, żeby zabrzmiało to tak trywialnie.

- Co przez to rozumiesz?

- Wiem, że mnie kochasz - odparł - i wiem, że lubisz seks ze mną, ale nie możesz przez resztę życia obywać się bez prawdziwej miłości.

- Nie wierzę w prawdziwą miłość - powiedziała. - Każdy przeżywa to inaczej. Z tobą jest o wiele lepiej niż z Hansem.

- I zawsze będzie, ponieważ się kochamy. Jednak myślę, że potrzebujesz naprawdę dobrego pieprzenia.

I masz rację, pomyślała. Kochała Bernda i lubiła ten szczególny rodzaj seksu, jaki uprawiali, lecz gdy pomyślała o Clausie leżącym na niej, całującym ją i poruszającym się w niej, o tym, jak unosiłaby biodra na spotkanie jego pchnięć, natychmiast robiła się wilgotna. Wstydziała się tego. Czy jest zwierzęciem? Może tak, lecz Bernd miał rację, mówiąc o tym, czego potrzebowała.

- Myślę, że jestem dziwna - rzuciła. - Może to przez to, co przydarzyło mi się podczas wojny.

Opowiedziała Berndowi - ale nikomu innemu - o tym, jak czerwonoarmiści chcieli ją zgwałcić i Carla poświęciła się za nią. Niemieckie kobiety rzadko rozmawiały o tamtych czasach, nawet ze sobą. Jednak Rebecca nigdy nie zapomni widoku Carli wchodzącej po schodach z wysoko podniesioną głową i sowieckich żołnierzy podążających za nią jak stado psów. Trzynastoletnia Rebecca wiedziała, co chcieli zrobić, i łkała z ulgi, że jej to nie spotka.

- Czy czujesz się winna, ponieważ uniknęłaś tego, co wycierpiała Carla? - przenikliwie zapytał Bernd.

- Tak, czy to nie dziwne? - zapytała. - Byłam dzieckiem i ofiarą wojny, ale czuję się tak, jakbym zrobiła coś, czego należy się wstydzić.

- Nie ma w tym niczego niezwykłego - rzekł Bernd. - Ci, którzy uszli z życiem podczas walk, często czują się winni, że to inni zginęli, a nie oni.

Bernd miał na czole bliznę - pozostałość z bitwy o wzgórze Seelow.

- Poczułam się lepiej, po tym jak Carla i Werner mnie adoptowali - wyznała Rebecca. - W jakiś sposób to wszystko naprawiło. Rodzice poświęcają się dla swoich dzieci, prawda? Kobiety cierpią, żeby wydać dzieci na świat. Może to bez sensu, ale kiedy zostałam córką Carli, poczułam, że byłam uprawniona do takiej ofiary.

- To ma sens.

- Naprawdę chcesz, żebym poszła do łóżka z innym mężczyzną?

- Tak.

- Ale dlaczego?

- Ponieważ alternatywa jest gorsza. Jeśli tego nie zrobisz, zawsze będziesz czuła w głębi serca, że przeze mnie coś cię ominęło i że poświęciłaś coś dla mnie. Wolę, żebyś spróbowała to zrobić. Nie musisz opowiadać mi szczegółów. Po prostu przyjdź do domu i powiedz mi, że mnie kochasz.

- No, nie wiem - odparła Rebecca i tej nocy źle spała.

Następnego dnia wieczorem siedziała naprzeciwko Clausa Krohna, mężczyzny, który chciał być jej kochankiem, w sali narad hamburskiego neorenesansowego ratusza z zielonym dachem. Rebecca była członkiem parlamentu rządzącego tym miastem-państwem, za jakie uznawano Hamburg. Komisja omawiała propozycję zburzenia slumsów i wybudowania na ich miejscu nowej galerii handlowej. Jednak Rebecca potrafiła myśleć tylko o Clausie.

Była pewna, że po tym zebraniu Claus zaprosi ją do baru na drinka. Będzie to już trzecie ich spotkanie. Po pierwszym pocałował ją na dobranoc. Drugie zakończyło się namiętnym uściskiem na parkingu, gdy całowali się z otwartymi ustami, a on dotykał jej piersi. Była pewna, że tego wieczoru zaprosi ją do swojego mieszkania.

Nie wiedziała, co robić. Nie mogła skupić się na debacie. Rysowała esy-floresy w swoim terminarzu. Czuła się jednocześnie znudzona i niespokojna: narada była męcząca, ale Rebecca nie chciała, żeby się skończyła, ponieważ obawiała się tego, co będzie potem.

Claus był atrakcyjnym mężczyzną: inteligentnym, miłym, czarującym i w tym samym wieku co ona - trzydziestu siedmiu lat. Jego żona zginęła w wypadku samochodowym przed dwoma laty, a dzieci nie mieli. Nie odznaczał się urodą filmowego amanta, ale miał ciepły uśmiech. Tego wieczoru nosił granatowy garnitur polityka, lecz był jedynym mężczyzną na sali, który miał rozpięty kołnierzyk koszuli. Rebecca pragnęła się z nim kochać, i to bardzo. A jednocześnie obawiała się tego.

Narada skończyła się i tak jak Rebecca się spodziewała, Claus zapytał ją, czy zechciałaby się z nim spotkać w barze Jacht, zacisznym lokalu daleko od ratusza. Pojechali tam swoimi samochodami.

Bar był mały i ciemny, najgwarniejszy w dzień, kiedy wpadali tu właściciele żaglówek, a teraz cichy i prawie pusty. Claus zamówił piwo, Rebecca poprosiła o kieliszek wina.

- Powiedziałam o nas mojemu mężowi - wypaliła, gdy tylko usiedli.

Claus spojrzał na nią zaskoczony.

- Dlaczego? - zapytał. A potem dodał: - Nie żeby było wiele do opowiadania.

Pomimo to miał minę winowajcy.

- Nie mogę okłamywać Bernda - powiedziała. - Kocham go.

- I najwyraźniej nie potrafisz okłamywać także mnie - rzekł Claus.

- Przepraszam.

- Nie ma za co przepraszać. Wprost przeciwnie. Dziękuję ci za szczerość. Doceniam to.

Claus wyglądał na zdruzgotanego i oprócz wszystkich innych emocji Rebecca poczuła zadowolenie, że lubi ją na tyle, żeby być rozczarowany.

- Jeśli wyznałaś wszystko mężowi - rzekł ze smutkiem - to dlaczego jesteś tu teraz ze mną?

- Bernd powiedział mi, że mam się nie krepować.

- Twój mąż chce, żebyś się ze mną całowała?

- Chce, żebym została twoją kochanką.

- To dziwaczne. Czy to ma coś wspólnego z jego paralizem?

- Nie - skłamała. - Stan zdrowia Bernda nie wpływa na nasze życie seksualne.

Taką bajeczkę opowiadała swojej matce i kilku innym kobietom, z którymi była naprawdę blisko. Oszukiwała je ze względu na Bernda: miała wrażenie, że czułby się upokorzony, gdyby ludzie znali prawdę.

- Cóż - powiedział Claus - jeśli to mój szczęśliwy dzień, to czy możemy pojechać prosto do mojego mieszkania?

- Nie spieszmy się, jeśli to ci nie przeszkadza.

Nakrył jej dłoń swoją.

- To zrozumiałe, że się denerwujesz.

- Nie robię tego często.

Uśmiechnął się.

- Nie ma w tym niczego złego, nawet jeśli żyjemy w czasach wolnej miłości.

- Na studiach spałam z dwoma chłopakami. Potem wyszłam za Hansa, który okazał się policyjnym informatorem. A później zakochałam się w Berndcie i uciekliśmy razem. Oto całe moje życie miłosne.

- Przez chwilę porozmawiajmy o czymś innym - rzekł. - Czy twoi rodzice nadal są na Wschodzie?

- Tak, i nigdy nie otrzymają zezwolenia na wyjazd. Kiedy zrobisz sobie wroga z kogoś takiego jak Hans Hoffmann, mój pierwszy mąż, on nigdy o tym nie zapomni.

- Musisz za nimi tęsknić.

Nie potrafiła wyrazić, jak bardzo tęskni za swoją rodziną. Komuniści przerwali łączność telefoniczną z Zachodem w dniu, gdy wybudowali mur berliński, więc nawet nie mogła porozmawiać z rodzicami przez telefon. Zostały jej tylko listy - otwierane i czytane przez Stasi, zwykle spóźnione, często ocenzurowane, okradzione przez policję z wszystkiego, co przedstawiało jakąkolwiek wartość. Kilka zdjęć jednak dostała i trzymała je obok łóżka: posiwiąłego ojca, nieco grubszej matki, Lili wyrastającej na piękną kobietę.

- Opowiedz mi o sobie - poprosiła, zamiast próbować opisywać swoją udramę. - Co ci się przydarzyło podczas wojny?

- Nic szczególnego poza tym, że głodowałem jak większość dzieci - odparł. - Sąsiedni dom został zniszczony i wszyscy jego mieszkańcy zginęli, ale nam nic się nie stało. Mój ojciec jest przedsiębiorcą budowlanym: przez większość wojny oceniał uszkodzenia spowodowane przez bomby i zabezpieczał budynki.

- Masz jakieś rodzeństwo?

- Brata i siostrę. A ty?

- Moja siostra Lili jest nadal w Berlinie Wschodnim. Mój brat, Walli, uciekł wkrótce po mnie. Jest gitarzystą zespołu, który nazywa się Plum Nellie.

- Ten Walli? Jest twoim bratem?

- Tak. Byłam przy tym, jak się urodził, na podłodze naszej kuchni, która była jedynym

ogrzewanym pomieszczeniem w naszym domu. Nieźle przeżycie dla czternastoletniej dziewczyny.

- Zatem on uciekł.

- I zamieszkał u mnie, w Hamburgu. Dołączył do zespołu, gdy ten grał w jakimś nędznym klubie przy Reeperbahn.

- A teraz jest gwiazdą. Widujesz się z nim?

- Oczywiście. Za każdym razem, gdy Plum Nellie grają w Niemczech Zachodnich.

- Niesamowite! - Claus spojrzął na jej kieliszek i zauważył, że jest pusty. - Wypijesz jeszcze trochę wina?

Rebecca czuła ściskanie w piersi.

- Nie, dziękuję, nie sędzę.

- Posłuchaj - rzekł. - Chcę, żebyś coś zrozumiała. Rozpaczliwie pragnę się z tobą kochać, ale wiem, że masz wątpliwości. Po prostu pamiętaj, że w każdej chwili możesz zmienić zdanie. Nie ma czegoś takiego jak punkt bez powrotu. Jeśli poczujesz się niezręcznie, po prostu powiedz. Obiecuję, że nie będę zły ani natarczywy. Nie chcę zmuszać cię do czegoś, na co nie jesteś gotowa.

Powiedział to, co chciała usłyszeć. Ściskanie w piersi zelżało. Rebecca bała się, że zabrnę za daleko, zrozumie, że podjęła błędną decyzję, i nie będzie mogła się wycofać. Obietnica Clausa ją uspokoiła.

- Chodźmy - powiedziała.

Wsiadli do samochodów i Rebecca pojechała za Clausem. Jadąc, czuła dzikie uniesienie. Zaraz odda się Clausowi. Wyobraziła sobie jego twarz, kiedy zdejmie bluzkę: miała na sobie nowy biustonosz, czarny i obszyty koronką. Pomyślała o tym, jak będą się całować - gwałtownie przedtem, a czule potem. Wyobraziła sobie jego westchnienie, gdy weźmie jego penisa w usta. Czuła, że nigdy niczego tak bardzo nie pragnęła, i musiała zacisnąć zęby, żeby nie krzyknąć.

Claus miał mieszkanie w nowoczesnym budynku. Kiedy jechała windą na górę, znów ogarnęły ją wątpliwości. A jeśli nie spodoba mu się to, co zobaczy, gdy ona się rozbierze? Skończyła trzydzieści siedem lat, więc nie miała już jędrnych piersi i idealnej cery nastolatki. A jeśli on ma jakąś ukrytą mroczną stronę charakteru? Mógł wyjąć kajdanki i bicz, a potem zamknąć drzwi i...

Nie bądź głupia, powiedziała sobie. Jak każda kobieta potrafiła wyczuć, kiedy miała do czynienia ze świrem, a Claus zdecydowanie był normalny. Pomimo wszystko ogarnął ją lekki niepokój, gdy otwierał drzwi i wprowadzał ją do środka.

Mieszkanie było typowym lokum samotnego mężczyzny, niemal bez ozdób, z funkcjonalnymi meblami, dużym telewizorem i drogim gramofonem.

- Jak długo tu mieszkasz? - spytała Rebecca.

- Rok.

Domyślała się, że nie był to dom, w którym mieszkał ze swoją zmarłą żoną.

Niewątpliwie wszystko sobie zaplanował. Szybko zapalił gazowy kominek, puścił płytę z kwartetem smyczkowym Mozarta i przyniósł tacę z butelką wódki, dwoma kieliszkami oraz miseczką solonych orzeszków.

Usiedli obok siebie na kanapie.

Chciała zapytać go, ile dziewczyn uwiódł już na tej kanapie. Źle by to zabrzmiało, ale zastanawiała się nad tym. Czy dobrze się czuł jako kawaler, czy może pragnął ponownie się ożenić? Następne pytanie, którego nie zamierzała mu zadać.

Napełnił kieliszki i upiła łyk tylko po to, żeby czymś się zająć.

- Jeśli teraz się pocałujemy - zauważył - pocujemy smak alkoholu na naszych językach.

Uśmiechnęła się.

- W porządku.

Nachylił się do niej.

- Nie lubię marnotrawstwa - mruknął.

- Cieszę się, że jesteś taki oszczędny - powiedziała.

Przez chwilę nie mogli się pocałować, ponieważ chichotali.

Potem to zrobili.

Ludzie myśleli, że Cameron Dewar oszalał, gdy zaprosił Richarda Nixona, żeby wygłosił przemówienie w Berkeley. To było najbardziej radykalnie nastawione miasteczko uniwersyteckie w kraju. Ukrzyżują Nixona, mówiono. Wybuchną zamieszki. Cam się tym nie przejął.

Uważał, że Nixon jest jedyną nadzieją dla Ameryki. Nixon był silny i zdecydowany. Mówiono, że jest także pozbawiony skrupułów i przebiegły: co z tego? Ameryka potrzebowała takiego przywódcy. Boże broń, by prezydentem został Bobby Kennedy, który bez przerwy zadawał sobie pytanie, co jest dobre, a co złe. Następny prezydent będzie musiał pokonać awanturników w gettach i Wietkong w dżungli, a nie zgłębiać swoje sumienie.

W liście do Nixona Cam napisał, że liberałowie i kryptokomuniści w kampusie skupiają całą uwagę lewicowych mediów, lecz w rzeczywistości większość studentów jest

konserwatywna i praworządna, więc wykaże ogromne poparcie dla Nixona.

Rodzina Cama była wściekła. Jego dziadek i pradziadek byli senatorami Partii Demokratycznej. Rodzice zawsze głosowali na demokratów. Jego siostra była tak rozgniewana, że prawie przestała się do niego odzywać.

- Jak możesz popierać niesprawiedliwość, nieuczciwość i wojnę? - zapytała.

- Nie ma sprawiedliwości bez porządku na ulicach ani pokoju przy zagrożeniu, jakim jest międzynarodowy komunizm.

- Gdzie byłeś przez kilka ostatnich lat? Kiedy czarni nie stosowali przemocy, używano przeciw nim pałek i psów! Gubernator Reagan chwali policję za bicie demonstrujących studentów!

- Nie znosisz policji.

- Nieprawda. Nie znoszę przestępców. Gliniarze bijący demonstrantów są przestępcami i powinni pójść do więzienia.

- Właśnie dlatego popieram takich ludzi jak Nixon i Reagan: ponieważ ich przeciwnicy chcą zamknąć w więzieniach policjantów zamiast wicherzycieli.

Cam był zadowolony, gdy wiceprezydent Hubert Humphrey oświadczył, że będzie się ubiegał o nominację demokratów. Humphrey przez cztery lata przytakiwał we wszystkim Johnsonowi i nikt nie wierzył, by potrafił wygrać wojnę lub wynegocjować pokój, tak więc raczej nie mógł wygrać wyborów, ale był w stanie popsuć kampanię groźniejszemu Robertowi Kennedy'emu.

Na list Cama odpowiedział członek sztabu wyborczego, John Ehrlichman, proponując spotkanie. Cam był podekscytowany. Chciał zostać politykiem - może to będzie dobry początek!

Ehrlichman zajmował się organizacją spotkań wyborczych Nixona. Był onieśmielająco wysoki, miał prawie metr dziewięćdziesiąt wzrostu, czarne brwi i wysokie czoło.

- Dickowi bardzo spodobał się twój list - powiedział.

Spotkali się w kafejce przy Telegraph Avenue i usiedli na zewnątrz pod drzewem okrytym świeżym listowiem, patrząc, jak studenci jeżdżą na rowerach w promieniach słońca.

- Przyjemne miejsce do studiowania - zauważył Ehrlichman. - Ja chodziłem na UCLA.

Zadał Camowi wiele pytań. Był zaintrygowany jego demokratycznymi przodkami.

- Moja babka redagowała gazetę o nazwie „Buffalo Anarchist” - wyznał Cam.

- To świadczy o tym, że Ameryka staje się bardziej konserwatywna - stwierdził Ehrlichman.

Cam z ulgą przyjął fakt, że jego rodzina nie będzie przeszkodą w karierze w Partii



Republikańskiej.

- Dick nie przemówi w Berkeley - oznajmił Ehrlichman. - To zbyt ryzykowne.

Cam poczuł rozczarowanie. Uważał, że Ehrlichman się myli i to przemówienie byłoby wielkim sukcesem. Już miał się zacząć spierać, gdy Ehrlichman dodał:

- Jednak chce, żebyś założył tu grupę o nazwie „Studenci Berkeley za Nixonem”. To dowiedzie, że nie wszyscy młodzi ludzie są ogłupieni przez Gene’a McCarthy’ego lub zakochani w Bobbym Kennedym.

Camowi pochlebiało, że jest tak poważnie traktowany przez członka sztabu wyborczego kandydata na prezydenta, i ochoczo zgodził się na to, o co prosił Ehrlichman.

Jego najlepszym przyjacielem w kampusie był Jamie Mulgrove, który tak jak Cam robił magisterium z rusycystyki i należał do Młodych Republikanów. Ogłosili powstanie grupy i zostali opisani w gazetce studenckiej „Daily Californian”, ale przyłączyło się do nich tylko dziesięć osób.

Cam i Jamie zorganizowali mityng połączony z lunchem, mający przyciągnąć nowych członków. Za pośrednictwem Ehrlichmana Cam zaprosił trzech prominentnych kalifornijskich republikanów, którzy mieli przemawiać. Zarezerwował salę na dwieście pięćdziesiąt osób.

Wysłał też komunikat do prasy i tym razem wzbudził większe zainteresowanie lokalnych gazet oraz stacji radiowych, zaintrygowanych sprzecznym z logiką pomysłem poparcia Nixona przez studentów Berkeley. Niektóre gazety zamieściły wzmianki o spotkaniu i obiecały przysłać reporterów.

Sharon McIsaac z „San Francisco Examiner” zadzwoniła do Cama.

- Ilu członków liczy wasza grupa? - zapytała.

Camowi nie spodobał się jej agresywny ton.

- Tego nie mogę powiedzieć - odparł. - To jak tajemnica wojskowa. Przed bitwą nie zdradza się nieprzyjacielowi, ile ma się dział.

- Zatem niewielu - skomentowała sarkastycznie.

Wyglądało na to, że spotkanie nie będzie jednak wielkim wydarzeniem medialnym.

W dodatku nie udało im się sprzedać biletów.

Rozważali, czyby ich nie rozdać, ale to wydawało się ryzykowne: mogłoby przyciągnąć lewicujących studentów, którzy narobiliby zamieszania.

Cam nadal wierzył, że wielu spośród studentów to konserwatyści, ale rozumiał, że w obecnej atmosferze nie chcą się do tego przyznać. Ich zachowanie było tchórzliwe, wiedział jednak, że dla większości ludzi polityka nie ma żadnego znaczenia.

Tylko co powinien zrobić?

Dzień przed mityngiem miał ponad dwieście niesprzedanych biletów - i telefon od Ehrlichmana.

- Tylko sprawdzam, Cam - powiedział Ehrlichman. - Jak to wygląda?
- Będzie wspaniale, John - skłamał Cam.
- Prasa się interesuje?
- Trochę. Spodziewam się kilku reporterów.
- Sprzedałeś dużo biletów?

Ehrlichman jakby czytał Camowi w myślach.

Zaplątany w swoje kłamstwa Cam nie mógł się teraz wycofać.

- Zostało nam jeszcze kilka.

Przy odrobinie szczęścia tamten nigdy się nie dowie ile.

I wtedy Ehrlichman rzucił bombę.

- Jutro będę w San Francisco, więc wpadnę do was.
- Wspaniale! - zapiał Cam z rozpaczą w sercu.
- To na razie.

Tego popołudnia, po zajęciach o Dostojewskim, Cam i Jamie zostali w sali wykładowej i drapali się po głowach. Gdzie znaleźć dwustu republikańskich studentów?

- Nie muszą być prawdziwymi studentami - powiedział Cam.
- Przecież nie chcemy, by w gazetach napisano, że na mityngu byli figuranci - zaniepokoił się Jamie.

- Nie figuranci. Po prostu republikanie, którzy akurat nie są studentami.
- Nadal uważam, że to ryzykowne.
- Wiem. Jednak lepsze niż kompletna kłapa.
- A gdzie znajdziemy tych ludzi?
- Czy masz telefon do Młodych Republikanów w Oakland?
- Mam.

Poszli do budki telefonicznej i Cam wybrał numer.

- Potrzebuję dwustu osób, żeby spotkanie wyglądało na sukces - wyznał.
- Zobaczą, co da się zrobić - obiecał rozmówca.
- Tylko powiedz im, żeby nie rozmawiali z reporterami. Nie chcemy, by prasa odkryła, że grupa Studenci Berkeley za Nixonem składa się głównie z ludzi, którzy nie są studentami.
- Czy to nie jest trochę nieuczciwe? - zapytał Jamie, gdy Cam się rozłączył.
- O co ci chodzi?

Cam dobrze wiedział, o co chodzi przyjacielowi, ale nie chciał się do tego przyznać.

Nie zamierzał marnować swojej szansy z powodu jakiegoś drobnego kłamstewka.

- Cóż - rzekł Jamie - mówimy ludziom, że studenci Berkeley popierają Nixona, i fingujemy to.

- Przecież nie możemy się teraz wycofać! - Cameron przestraszył się, że przyjaciel zechce odwołać spotkanie.

- Chyba nie - bez przekonania powiedział Jamie.

Przez cały następny ranek Cam zadreślał się niepewnością. O wpół do pierwszej na sali było tylko siedem osób. Gdy przybyli mówcy, Cam zabrał ich do bocznego pokoju i poczęstował kawą oraz ciasteczkami upieczonymi przez matkę Jamiego. Za piętnaście pierwsza sala nadal świeciła pustkami. Jednak za dziesięć pierwsza zaczęli powoli napływać ludzie. Do pierwszej niemal wszystkie miejsca były zajęte i Cam odetchnął z ulgą.

Poprosił Ehrlichmana, żeby przewodniczył spotkaniu.

- Nie - odmówił Ehrlichman. - Lepiej będzie, jeśli poprowadzi to jakiś student.

Cam przedstawił mówców, lecz prawie nie słyszał, co mówili. Spotkanie okazało się sukcesem i Ehrlichman był pod wrażeniem, ale wszystko jeszcze mogło się źle skończyć.

W końcowym podsumowaniu Cam powiedział, że liczba uczestników spotkania dowodzi, iż studenci są przeciwni demonstracjom, liberalizmowi i narkotykom. Otrzymał entuzjastyczne brawa.

Gdy spotkanie się skończyło, nie mógł się doczekać, kiedy wszyscy opuszczą salę.

Wśród uczestników była reporterka Sharon McIsaac. Miała wojowniczy wygląd, przypominała nieco Evie Williams, która wzgardziła jego szczenięcą miłością. Zagadywała wychodzących. Jakaś para nie chciała z nią rozmawiać; a potem, ku uldze Cama, Sharon zaczęła jednego z kilku republikanów naprawdę studiujących na Berkeley. Zanim skończyła tę rozmowę, wszyscy inni już sobie poszli.

O drugiej trzydzieści Cam i Ehrlichman zostali w pustej sali.

- Dobra robota - rzekł Ehrlichman. - Jesteś pewny, że wszyscy ci ludzie byli studentami?

Cam się zawahał.

- Rozmawiamy prywatnie?

Ehrlichman roześmiał się.

- Posłuchaj, gdy ten semestr się skończy, czy zechcesz przyjść do nas i pracować w Komitecie Wyborczym Dicka? Przydałby nam się taki facet jak ty.

Cam się ucieszył.

- Bardzo chętnie - powiedział.

Dave był w Londynie i zatrzymał się u rodziców przy Great Peter Street, gdy do drzwi zadzwonił Fitz.

Rodzina zebrała się w kuchni: Lloyd, Daisy i Dave. Brakowało tylko Evie, która mieszkała teraz w Los Angeles. Była szósta i o tej porze dzieci jadały podwieczorek, który nazywały „herbatką”, kiedy były małe. W tamtych czasach rodzice siadywali przy nich na chwilę i relacjonowali wydarzenia minionego dnia, zanim wyszli wieczorem z domu, zazwyczaj na jakiś mityng polityczny. Daisy paliła, a Lloyd czasem mieszał koktajle. Zwyczaj spotykania się w kuchni na pogawędkę o tej godzinie przetrwał długo po tym, jak dzieci dorosły na tyle, że były już za duże na „herbatkę”.

Dave opowiadał rodzicom o swoim zerwaniu z Beep, gdy weszła pokojówka.

- Przyszedł hrabia Fitzherbert - powiedziała.

Dave zauważył, że ojciec zeszywniał.

Daisy położyła dłoń na ramieniu męża.

- Wszystko będzie dobrze - rzuciła.

Dave'a pożerała ciekawość. Wiedział już, że hrabia uwiódł Ethel, kiedy u niego pracowała, a Lloyd był nieślubnym owocem tego romansu. Wiedział także, że Fitz przez ponad pół wieku gniewnie odmawiał uznania Lloydowi za swojego syna. Cóż więc robił tutaj tego wieczoru?

Fitz wszedł do kuchni, podpierając się dwiema łaskami.

- Moja siostra Maud umarła - powiedział.

Daisy zerwała się z krzesła.

- Jakże przykro mi to słyszeć, Fitz. Chodź tu i usiądź.

Wzięła go pod rękę.

Jednak Fitz zawahał się i spojrzał na Lloydowi.

- Nie mam prawa siadać w tym domu - oświadczył.

Dave odgadł, że taka pokora nie przychodziła Fitzowi z łatwością.

Lloyd opanował burzę emocji. Miał przed sobą ojca, który odrzucał go przez całe życie.

- Proszę, usiądź - odezwał się oficjalnym tonem.

Dave przysunął hrabiemu kuchenne krzesło i Fitz usiadł przy stole.

- Jadę na jej pogrzeb - powiedział. - Odbędzie się za dwa dni.

- Mieszkała w Niemczech Wschodnich, prawda? - zapytał Lloyd. - Jak się dowiedziałeś, że umarła?

- Maud miała córkę, Carlę. Ta zadzwoniła do Ambasady Brytyjskiej w Berlinie

Wschodnim. Byli tak uprzejmi, że zadzwonili do mnie i przekazali mi tę wiadomość. Aż do tysiąc dziewięćset czterdziestego piątego roku pracowałem w Ministerstwie Spraw Zagranicznych i z zadowoleniem mogę powiedzieć, że to wciąż się liczy.

Nieproszona, Daisy wyjęła z szafki butelkę whisky, nalała odrobinę do szklaneczki i razem z dzbanuszką wody z kranu postawiła przed Fitzem. Fitz dolał trochę wody do whisky i upił łyk.

- Jak miło, że pamiętasz, Daisy - powiedział.

Dave przypomniał sobie, że Daisy przez jakiś czas mieszkała pod jednym dachem z Fitzem, gdy była żoną jego syna, Boya Fitzherberta. To stąd wiedziała, jaką pija whisky.

- Lady Maud była najlepszą przyjaciółką mojej nieżyjącej matki - odezwał się znowu Lloyd. Trochę się odprężył. - Ostatni raz widziałem ją, kiedy mama zabrała mnie do Berlina w trzydziestym trzecim roku. Maud była wtedy dziennikarką i pisała artykuły denerwujące Hitlera.

- Nie widziałem mojej siostry i nie rozmawiałem z nią od tysiąc dziewięćset dziewiętnastego roku - oświadczył Fitz. - Byłem na nią zły, ponieważ wyszła za męża bez mojego pozwolenia, w dodatku za Niemca, i gniewałem się przez prawie pięćdziesiąt lat. - Na jego bladej starczej twarzy malował się głęboki smutek. - Teraz już za późno, żebym jej wybaczył. Byłem głupcem. - Spojrzał na Lloyda. - Głupcem w tej sprawie i nie tylko.

Lloyd nieznacznie i w milczeniu kiwnął głową.

Dave pochwycił spojrzenie swojej matki. Wyczuł, że właśnie zdarzyło się coś ważnego, a jej mina to potwierdzała. Smutek Fitz'a wydawał się tak głęboki, że nie potrafił go wyrazić, ale z jego strony były to najlepsze przeprosiny, na jakie mógł się zdobyć.

Trudno było sobie wyobrazić, że ten wąty staruszek dał się kiedyś unieść fali namiętności. Jednak Fitz kochał Ethel, a Dave wiedział, że Ethel również go kochała, ponieważ sam słyszał, jak to mówiła. Fitz nie uznał ich dziecka i teraz, po wielu latach, spoglądał wstecz i rozumiał, jak wiele stracił. To było okropnie smutne.

- Pojadę z panem - zaproponował Dave pod wpływem impulsu.

- Co?

- Na pogrzeb. Pojadę z panem do Berlina.

Dave nie wiedział, dlaczego chciał to zrobić, jednak czuł, że może to mieć uzdrawiający efekt.

- Jesteś bardzo uprzejmy, młodzieńcze - rzekł Fitz.

- To byłoby naprawdę miłe z twojej strony, Dave - dodała Daisy.

Dave zerknął na swojego ojca w obawie, że Lloyd tego nie zaaprobuje, lecz że

zdziwieniem dojrzał w jego oczach łzy.

Nazajutrz Dave i Fitz polecili do Berlina. Zatrzymali się na noc w hotelu po zachodniej stronie muru.

- Czy mogę mówić panu Fitz? - spytał Dave przy obiedzie. - Zawsze nazywaliśmy Berniego Leckwitha dziadkiem, chociaż wiedzieliśmy, że był ojczymem mojego ojca. I jako dziecko nigdy pana nie znałem. Dlatego wydaje się, że za późno to teraz zmieniać.

- Nie mogę ci niczego nakazywać - powiedział Fitz. - A poza tym nie mam nic przeciwko temu.

Rozmawiali o polityce.

- My, konserwatyści, mieliśmy rację co do komunizmu - rzekł Fitz. - Mówiliśmy, że się nie sprawdzi, i tak też jest. Jednak myliliśmy się co do socjaldemokracji. Kiedy Ethel stwierdziła, że powinniśmy zapewnić wszystkim darmową edukację i ubezpieczenia społeczne, powiedziałem jej, że żyje w świecie iluzji. A teraz patrz: wszystko, o co walczyła, zostało zrealizowane, a jednak Anglia pozostała Anglią.

Fitz w czarujący sposób przyznaje się do swoich błędów, pomyślał Dave. Stary hrabia najwyraźniej nie zawsze był taki: jego właśnie z rodziną trwały kilkadziesiąt lat. Może taka umiejętność przychodzi z wiekiem.

Następnego ranka czarny mercedes z szoferem zamówiony przez sekretarkę Dave'a, Jenny Pritchard, czekał, żeby przewieźć ich przez granicę.

Zajechali na Checkpoint Charlie.

Przejechali pod podniesionym szlabanem do długiego baraku, w którym musieli pokazać paszporty. Potem kazano im zaczekać.

Strażnik graniczny, który zabrał ich dokumenty, odszedł. Po chwili wysoki, przygarbiony mężczyzna w cywilnym ubraniu kazał im wysiąść z mercedesa i pójść za sobą.

Mężczyzna szedł przed nimi i po chwili odwrócił się, zirytowany powolnym tempem marszu Fitz'a.

- Proszę szybciej - odezwał się po angielsku.

Dave przypomniał sobie niemczyznę, wyuczoną w szkole i wyszlifowaną w Hamburgu.

- Mój dziadek jest stary - powiedział urażony.

- Nie spieraj się - szepnął Fitz. - Ten arogancki skurwiel jest ze Stasi. - Dave uniósł brwi: dotychczas nie słyszał z ust hrabiego jakichkolwiek wulgaryzmów. - Są jak KGB, tylko nie tak dobroduszni.

Zabrano ich do pustego pokoju z metalowym stołem i twardymi drewnianymi krzesłami. Nie poproszono ich, by usiedli, ale Dave podsunął krzesło Fitzowi. Hrabia opadł

na nie z wdzięcznością.

Wysoki mężczyzna powiedział coś po niemiecku do tłumacza, który palił papierosa, tłumacząc jego pytania.

- Po co chcecie wjechać do Niemiec Wschodnich?

- Aby wziąć udział w pogrzebie bliskiej krewnej o jedenastej rano - odparł Fitz. Spojrzał na zegarek, złotą omegę. - Teraz jest dziesiąta. Mam nadzieję, że to nie potrwa długo.

- Potrwa tyle, ile będzie trzeba. Jak nazywa się pana siostra?

- Po co pan pyta?

- Powiedział pan, że chce wziąć udział w pogrzebie siostry. Jak ona się nazywa?

- Powiedziałem, że chcę wziąć udział w pogrzebie bliskiej krewnej. Nie mówiłem, że to moja siostra. Najwyraźniej pan już wie, o kogo chodzi.

Dave uświadomił sobie, że ten tajniak czekał na nich. Trudno było zrozumieć dlaczego.

- Odpowiadać na pytania. Jak nazywa się pana siostra?

- Frau Maud von Ulrich, jak niewątpliwie poinformowali pana wasi szpiedzy.

Dave zauważył, że Fitz zaczyna się złościć i łamać postanowienie, by mówić jak najmniej.

- Jak to możliwe, że lord Fitzherbert ma siostrę Niemkę?

- Poślubiła mojego przyjaciela, Waltera von Ulricha, który był niemieckim dyplomatą w Londynie. Został zamordowany przez gestapo podczas drugiej wojny światowej. Co pan robił w czasie wojny?

Widząc wściekłość malującą się na twarzy wysokiego mężczyzny, Dave odgadł, że zrozumiał to pytanie. Jednak nie odpowiedział na nie. Zamiast tego zwrócił się do Dave'a.

- Gdzie jest Walli Franck?

Dave był zaskoczony.

- Nie wiem.

- Oczywiście, że pan wie. Należy do waszego zespołu muzycznego.

- Zespół się rozpadł. Nie widziałem Wallego od miesiący. Nie wiem, gdzie jest.

- To niewiarygodne. Jesteście współnikami.

- Wspólnikom czasem zdarza się pokłócić.

- Jaki był powód waszej kłótni?

- Osobisty i zawodowy.

W rzeczywistości poróżnili się z powodów czysto osobistych. Dave i Walli nigdy nie sprzeczekali się o sprawy zawodowe.

- A jednak teraz chce pan wziąć udział w pogrzebie jego babki.

- Była także moją krewną.

- Gdzie ostatnio widział pan Wallego Francka?

- W San Francisco.

- Adres proszę.

Dave zawahał się. Robiło się nieprzyjemnie.

- Proszę odpowiedzieć. Walli Franck jest poszukiwany za morderstwo.

- Ostatnio widziałem go w parku Buena Vista. To przy Haight Street. Nie wiem, gdzie mieszka.

- Czy zdaje pan sobie sprawę, że utrudnianie śledztwa jest przestępstwem?

- Oczywiście.

- I że jeśli popełni pan takie przestępstwo w Niemczech Wschodnich, może pan zostać aresztowany i postawiony przed tutejszym sądem?

Dave nagle się przestraszył, ale próbował zachować spokój.

- I dziesięć milionów moich fanów na całym świecie będzie się domagać mojego uwolnienia.

- Ich protesty nie przeszkadzają, by sprawiedliwości stało się zadość.

Fitz wtrącił się do rozmowy:

- Jest pan pewny, że wasi towarzysze w Moskwie będą zadowoleni z tego, że sprowokował pan poważny incydent międzynarodowy?

Wysoki mężczyzna uśmiechnął się pogardliwie, ale nieprzekonująco.

Dave doznał nagłego olśnienia.

- Pan Hans Hoffmann, prawda?

Tłumacz nie przetłumaczył tego pytania, jednak widząc minę wysokiego mężczyzny, Dave zrozumiał, że jego domysł był słuszny.

- Walli mówił mi o panu - powiedział. - Jego siostra wyrzuciła pana i od tej pory mści się pan na jej rodzinie.

- Macie tylko odpowiadać na pytania.

- To ma być część pańskiej zemsty? Nękanie dwóch niewinnych osób jadących na pogrzeb? Takimi ludźmi jesteście, wy, komuniści?

- Proszę tu poczekać.

Hans i tłumacz wyszli z pokoju i Dave usłyszał szcęk zasuwanego rygla po drugiej stronie drzwi.

- Przepraszam. - Dave westchnął. - Zdaje się, że to z powodu Wallego. Może lepiej by



było, gdybyś przyjechał tu sam.

- To nie twoja wina. Mam tylko nadzieję, że zdążymy na pogrzeb. - Fitz wyjął cygarnicę. - Ty nie palisz, Dave, prawda?

Dave pokręcił głową.

- Nie, przynajmniej nie tytoń.

- Marihuana szkodzi.

- A papierosy pewnie są zdrowe?

Fitz się uśmiechnął.

- Touché.

- Spierałem się o to z ojcem. On pija szkocką. Wy, parlamentarzyści, macie jedną zasadę: zakazać używania wszystkich szkodliwych substancji, poza tymi, które lubicie. A potem narzekacie, że młodzi was nie słuchają.

- Masz rację, oczywiście.

Cygaro było duże, a Fitz wypalił je do końca i wrzucił niedopałek do blaszanego kosza na śmieci. Minęła jedenasta. Nie zdążyli na pogrzeb, na który przyjechali z Londynu.

O wpół do dwunastej drzwi ponownie się otworzyły. Stanął w nich Hans Hoffmann.

- Możecie wjechać do Niemiec Wschodnich - oznajmił z krzywym uśmiechem.

I odszedł.

Dave i Fitz wrócili do samochodu.

- Lepiej jedźmy teraz prosto do domu - zarządził Fitz.

Podał szoferowi adres.

Przejechali wzdłuż Friedrich Strasse do Unter den Linden. Stare budynki rządowe były ładne, ale chodniki puste.

- Mój Boże - skomentował Fitz z zadumą. - Przy tych ulicach były kiedyś najruchliwsze centra handlowe w Europie. Spójrz na nie teraz. Kompletna pustka.

Samochód zajechał przed willę będącą w lepszym stanie niż sąsiednie.

- Córce Maud chyba powodzi się lepiej niż jej sąsiadom - zauważył Fitz.

Dave wyjaśnił.

- Ojciec Wallego ma fabrykę telewizorów w Berlinie Zachodnim. Jakoś udaje mu się kierować nią stąd. Domyślam się, że fabryka nadal przynosi zyski.

Weszli do domu. Wszyscy przedstawili się sobie. Rodzicami Wallego byli Werner i Carla - przystojny mężczyzna i kobieta o pospolitej urodzie, ale rysach twarzy zdradzających siłę charakteru. Siostra Wallego, dziewiętnastoletnia Lili, wydała mu się atrakcyjna i zupełnie do niego niepodobna. Dave'a zaintrygowała też obecność Karolin: długie włosy dziewczyny

miały przedziałek na środku i opadały falami na boki. Towarzyszyła jej Alice, która była inspiracją do tamtej piosenki, nieśmiała czterolatka z czarną kokardką we włosach na znak żałoby. Mąż Karolin, Odo, wyglądał na nieco starszego od niej, mógł mieć około trzydziestki. Nosił modne długie włosy i koloratkę.

Dave wyjaśnił, dlaczego nie zdążyli na pogrzeb. Rozmawiali, mieszając języki, choć Niemcy mówili po angielsku lepiej niż Anglicy po niemiecku. Dave wyczuł, że Fitz budzi w gospodarzach mieszane uczucia. To zrozumiałe: w końcu był nieprzyjemny dla Maud i jej córka mogła uważać, że jest za późno, by to naprawić. Jednak było również za późno na protesty, więc nikt nie wspominał o pięćdziesięcioletniej urazie.

Carla i Lili poczęstowały kawą i kanapkami kilkanaścioro przyjaciół i sąsiadów, którzy brali udział w pogrzebie. Dave rozmawiał z Karolin o grze na gitarze. Okazało się, że ona i Lili są gwiazdami undergroundu. Nie pozwalano im nagrywać płyt z ich utworami, ponieważ mówiły o wolności, ale ludzie nagrywali ich występy i pożyczali sobie taśmy. Trochę przypominało to samizdatowe wydawnictwa w Związku Sowieckim. Rozmawiali o nowym nośniku, jakim były kasety magnetofonowe, wygodniejszym, choć nieco pogarszającym jakość dźwięku. Dave zaproponował, że przyśle Karolin kilka kaset i magnetofon, lecz ona powiedziała, że i tak ukradłaby je tajna policja.

Dave zakładał, że Karolin jest kobietą o twardym sercu, skoro zerwała z Wallim i wyszła za Odoną, ale ze zdziwieniem odkrył, że ją polubił. Wydawała się miła i mądra. Z uczuciem mówiła o Wallim i chciała wiedzieć o nim wszystko.

Dave powiedział jej, dlaczego pokłócili się z Wallim. Zasmuciło ją to.

- To do niego niepodobne - stwierdziła. - Walli nigdy nie był podrywaczem. Dziewczyny zawsze na niego leciały i mógł co tydzień mieć inną, ale nigdy tego nie robił.

Dave wzruszył ramionami.

- Zmienił się.

- A co z twoją byłą narzeczoną? Jak miała na imię?

- Ursula, ale wszyscy nazywali ją Beep. Szczerze mówiąc, nic w tym dziwnego, że mnie zdradziła. Jest trochę dzika. Częściowo dlatego wydaje mi się taka atrakcyjna.

- Myślę, że nadal coś do niej czujesz.

- Szalałem za nią.

Dave odpowiedział tak wymijająco, ponieważ sam nie wiedział, co teraz czuje. Był zły na Beep i rozgniewany jej zdradą, nie miał jednak pojęcia, co by zrobił, gdyby postanowiła do niego wrócić.

Fitz podszedł do nich.

- Dave - powiedział - chciałbym zobaczyć grób, zanim wrócimy do Berlina Zachodniego. Masz coś przeciwko temu?

- Oczywiście, że nie. - Dave wstał. - Chyba zaraz będziemy musieli jechać.

- Jeśli będziesz rozmawiał z Wallim - odezwała się znowu Karolin - przekaz mu moje pozdrowienia. Powiedz, że czekam na dzień, kiedy będzie mógł zobaczyć się z Alice. Opowiem jej o nim, gdy będzie dostatecznie duża.

Wszyscy mieli wiadomości dla Wallego: Werner, Carla i Lili. Dave pomyślał, że będzie musiał porozmawiać z Wallim choćby po to, żeby je przekazać.

- Powinieneś mieć coś, co należało do Maud - powiedziała Carla do Fitz, kiedy wychodzili.

- Bardzo bym chciał.

- Jest coś takiego.

Zniknęła na moment i wróciła ze starym albumem oprawionym w skórę. Fitz go otworzył. Wszystkie zdjęcia były czarno-białe, niektóre barwy sepii, wiele wyblakło. Miały podpisy nakreślone eleganckim charakterem pisma, zapewne Maud. Najstarsze zostało zrobione we wspaniałej wiejskiej rezydencji. Dave przeczytał: „Ty Gwyn, 1905”. To była wiejska posiadłość Fitzherbertów, w której obecnie mieścił się college Aberowen.

Na widok zdjęć swoich i Maud jako młodych ludzi Fitz się rozplakał. Łzy płynęły mu po cienkiej jak papier skórze pomarszczonej twarzy i wsiąkały w kołnierzyk nienagannie wyprasowanej białej koszuli.

- Dobre czasy nigdy nie wracają - wykrztusił.

Odjechali. Szofer zawiózł ich na wielki i nieładny cmentarz miejski i znaleźli grób Maud. Otwór już zasypano ziemią, tworząc kopczyk żałośnie przypominający wielkością i kształtem ludzką postać. Przez kilka minut stali nad nim, nic nie mówiąc. Jedynym dźwiękiem był śpiew ptaków.

Fitz otarł twarz dużą białą chusteczką.

- Chodźmy - powiedział.

Na przejściu znów ich zatrzymano. Hans Hoffmann z uśmiechem obserwował, jak przeszukiwano ich i samochód.

- Czego szukacie? - zapytał Dave. - Po co mielibyśmy przemycać coś z Niemiec Wschodnich? Nie macie tu niczego, czego ktokolwiek by chciał!

Nikt mu nie odpowiedział.

Umundurowany strażnik graniczny wziął album ze zdjęciami i wręczył go Hoffmannowi. Ten przekartkował go niedbale.

- Będzie go musiał zbadać nasz wydział kryminalistyki - rzekł.

- Oczywiście - odparł ze smutkiem Fitz.

Musieli wyjechać bez albumu.

Kiedy odjeżdżali, Dave obejrzał się i zobaczył, jak Hans wrzuca album do kosza na śmieci.

George Jakes poleciał z Portlandu do Los Angeles, żeby spotkać się z Vereną. W kieszeni miał pierścionek z diamentem.

Był na objeździe z Bobbym Kennedym i nie widział Vereny od pogrzebu Martina Luthera Kinga, który odbył się przed siedmioma tygodniami w Atlancie.

George czuł się zdruzgotany tym zabójstwem. Doktor King był płomykiem nadziei dla czarnych Amerykanów, a teraz nie żył, zamordowany przez białego rasistę ze sztucerem. Prezydent Kennedy też dawał nadzieję czarnym i on również został zabity przez uzbrojonego białego. Jaki sens ma polityka, jeśli wielkich ludzi można tak łatwo zgładzić? Jednak przynajmniej mamy jeszcze Bobby'ego, myślał George.

Verena ciężko to przeżywała. Na pogrzebie sprawiała wrażenie zaskoczonej, wściekłej i zagubionej. Odszedł człowiek, którego podziwiała, ceniła i dla którego pracowała przez siedem lat.

Ku konsternacji George'a nie chciała, żeby ją pocieszał. Był tym głęboko zraniony. Mieszkali tysiąc kilometrów od siebie, ale uważał się za mężczyznę jej życia. Pomyślał, że odepchnęła go pod wpływem żalu i że to minie.

Nie miała co robić w Atlancie - nie chciała pracować dla następcy Kinga, Ralpha Abernathy'ego - więc złożyła rezygnację. George myślał, że wprowadzi się do jego mieszkania w Waszyngtonie. Ona jednak bez słowa wyjaśnienia wróciła do domu swoich rodziców w Los Angeles. Może wolała opłakiwać Kinga w samotności.

A może potrzebowała czegoś więcej niż zaproszenia, żeby się do niego wprowadzić.

Stąd ten pierścionek.

Następne prawyборы miały się odbyć w Kalifornii, co dało George'owi okazję odwiedzenia Vereny.

Na lotnisku wynajął skromnego białego plymoutha valianta - z funduszu kampanii - po czym pojechał na North Roxbury Drive w Beverly Hills.

Przejechał przez wysoką bramę i zaparkował przed ceglany domem w stylu Tudorów, który - jak przypuszczał - był pięciokrotnie większy od prawdziwych budynków z tamtych czasów. Rodzice Vereny, Percy Marquand i Babe Lee, żyli jak gwiazdy, którymi byli.

Pokojówka wpuściła go i zaprowadziła do salonu. Biały dywan, klimatyzacja oraz okno od podłogi do sufitu wychodzące na basen nie miały nic wspólnego z epoką Tudorów. Pokojówka zapytała George'a, czy napije się czegoś.

- Proszę jakiś napój orzeźwiający - powiedział. - Obojętnie jaki.

Gdy weszła Verena, przeżył szok.

Ostrzygła swoje cudowne afro i teraz miała włosy równie krótkie jak on. Nosiła czarne spodnie, niebieską bluzkę, skórzany blezer i czarny beret. Był to strój Partii Czarnych Panter.

George opanował gniew i pocałował Verenę. Musnęła wargami jego usta, ale tylko przelotnie, i natychmiast zrozumiał, że nie otrząsnęła się z nastroju, w jakim była na pogrzebie. Miał nadzieję, że jego oświadczenia wyrwą ją z depresji.

Usiedli na kanapie obitej materiałem w ciemnopomarańczowe, żółte i czekoladowobrazowe ciapki. Pokojówka przyniosła George'owi na srebrnej tacy colę z lodem w wysokiej szklance. Kiedy odeszła, wziął Verenę za rękę. Powstrzymując gniew, powiedział najdelikatniej, jak umiał:

- Dlaczego nosisz ten strój?

- Czy to nie oczywiste?

- Nie dla mnie.

- Martin Luther King nawoływał do nieużywania przemocy, a oni go zastrzelili.

George był rozczarowany. Spodziewał się po niej lepszych argumentów.

- Abraham Lincoln prowadził wojnę domową i jego też zastrzelili.

- Czarni mają prawo się bronić. Nikt tego za nich nie robi, a szczególnie policja.

George ledwie zdołał ukryć swoją pogardę dla takich poglądów.

- Po prostu chcecie przestraszyć białasów. Takimi metodami nigdy niczego nie osiągnięto.

- A co osiągnięto bez użycia przemocy? Setki czarnoskórych zlinczowano i zamordowano, tysiące pobito i wsadzono do więzień.

George nie chciał się z nią kłócić - wprost przeciwnie, pragnął ją uspokoić - lecz mimo woli podniósł głos.

- I mamy ustawę o prawach obywatelskich z sześćdziesiątego czwartego roku, ustawę o prawach wyborczych z sześćdziesiątego piątego oraz sześciu czarnych kongresmenów i senatora!

- A biali mówią, że to wystarczy. Nikt nie zdołał przeforsować ustawy znoszącej dyskryminacyjne prawo osiedlania się.

- Może biali się boją, że po ich ładnych przedmieściach będą spacerować uzbrojone

Pantery w gestapowskich mundurach.

- Policja ma broń. My też musimy ją mieć.

George zrozumiał, że w tej kłótni, choć pozornie dotyczącej polityki, tak naprawdę chodzi o ich związek. Tracił ją. Jeśli nie uda mu się przekonać Vereny, żeby zerwała z Czarnymi Panterami, nie zdoła skłonić jej, by wróciła do jego życia.

- Posłuchaj, wiem, że w oddziałach policji w całej Ameryce jest wielu zagorzałych rasistów. Jednak rozwiązaniem tego problemu jest poprawienie tego stanu rzeczy, a nie strzelanie do nich. Musimy pozbyć się takich polityków jak Ronald Reagan, którzy popierają brutalne działania policji.

- Odmawiam akceptowania sytuacji, w której biali mają broń, a my nie.

- A zatem walcz o ograniczenie dostępu do broni palnej i zwiększenie liczby czarnych policjantów na wyższych stanowiskach.

- Martin wierzył w to i nie żyje - rzuciła wyzywającym tonem, ale po chwili się rozplakała.

George próbował ją objąć, lecz go odepchnęła. Pomimo to usiłował przemówić jej do rozsądku.

- Jeżeli chcesz bronić czarnych, to przyjdź do nas i prowadź z nami kampanię - zaproponował. - Bobby zostanie prezydentem.

- Nawet jeśli zwycięży, Kongres nie pozwoli mu nic zrobić.

- Będą próbowali go powstrzymać, ale stoczymy walkę polityczną, w której jedna strona wygra, a druga przegra. Tak zmienia się prawo w Ameryce. To kiepski system, jednak wszystkie inne są gorsze. A strzelanie do siebie jest metodą najgorszą ze wszystkich.

- Nie dogadamy się.

- W porządku. - Zniżył głos. - Nie zgadzaliśmy się już wcześniej, ale zawsze się kochaliśmy, nieprawdaż?

- To co innego.

- Nie mów tak.

- Całe moje życie się zmieniło.

George uważnie spojrzał na nią i na jej twarzy zobaczył wyzwanie zmieszane z poczuciem winy, które wyjaśniło mu, co się dzieje.

- Sypiasz z kimś, kto należy do Czarnych Panter, prawda?

- Tak.

George poczuł nieprzyjemny ciężar w brzuchu, jakby wypił kufel zimnego piwa.

- Powinnaś była mi powiedzieć.

- Mówię ci teraz.

- Mój Boże. - George poczuł smutek. Dotknął pierścionka w kieszeni. Czy miał w niej pozostać? - Zdajesz sobie sprawę, że minęło siedem lat, odkąd ukończyliśmy Harvard?

Walczył ze łzami.

- Wiem.

- Policyjne psy w Birmingham, „Mam sen” w Waszyngtonie, prezydent Johnson popierający prawa obywatelskie, dwa zamachy...

- I czarni nadal są najbiedniejszymi Amerykanami, mieszkającymi w najnędzniejszych domach, otrzymującymi niedostateczną pomoc medyczną i biorącymi udział w wojnie w Wietnamie.

- Bobby zmieni to wszystko.

- Nie, nie zmieni.

- Owszem, zmieni. A ja zaproszę cię do Białego Domu, żebyś przyznała, że się myliłaś.

Verena podeszła do drzwi.

- Żegnaj, George.

- Nie mogę uwierzyć, że to tak się kończy.

- Pokojówka pokaże ci drogę do wyjścia.

George nie był w stanie zebrać myśli. Kochał Verenę od lat i zakładał, że pobiorą się prędzej czy później. Teraz rzuciła go dla Czarnych Panter. Czuł się zagubiony. Choć mieszkali osobno, zawsze mógł myśleć o tym, co jej powie i jak będzie ją pieścił, kiedy przyjedzie go odwiedzić. Teraz został sam.

Przyszła pokojówka.

- Proszę tędy, panie Jakes - powiedziała.

Jak automat wyszedł za nią na korytarz. Otworzyła frontowe drzwi.

- Dziękuję - wykrztusił.

- Do widzenia, panie Jakes.

George wszedł do wypożyczonego samochodu i odjechał.

W dniu prawyborów w Kalifornii George przebywał z Bobbym Kennedym w domu na plaży Malibu należącym do Johna Frankenheimera, reżysera filmowego. Ranek był pochmurny, lecz Bobby pomimo to pływał w oceanie ze swoim dwunastoletnim synem Davidem. Obaj zostali porwani przez prąd wsteczny, który przeciągnął ich po kamieniach, zostawiając im na pamiątkę otarcia i skaleczenia. Po lunchu Bobby zasnął przy basenie, wyciągnięty na dwóch leżakach, z otwartymi ustami. Patrząc przez szklane drzwi patio,

George zauważył na jego czole czerwony ślad po porannym wypadku.

Nie powiedział Bobby'emu, że zerwał z Vereną. Zdradził to tylko swojej matce. Podczas kampanii nie miał czasu na uzalanie się nad sobą. Zaprzętały go powitania na lotnisku, kawalkady samochodów, szalejące tłumy i napięty harmonogram spotkań. Cieszył się z tego nawалу zajęć. Na luksus smucenia się miał czas jedynie przez kilka minut dziennie, tuż przed zaśnięciem. Niekiedy wyobrażał sobie, że rozmawia z Vereną i usiłuje ją przekonać, by wróciła do legalnej polityki i kampanii na rzecz Bobby'ego. Czy to możliwe, by ich rozbieżne poglądy były przejawem głębokiego niedopasowania? Nie chciał w to uwierzyć.

O trzeciej podano w telewizji wyniki sondażu powyborczego. Bobby prowadził, wyprzedzając Gene'a McCarthy'ego, przy stosunku głosów czterdzieści dziewięć do czterdziestu jeden. George wpadł w uniesienie. Nie mogą odzyskać dziewczyny, ale potrafię wygrywać kampanie wyborcze, pomyślał.

Bobby wziął prysznic, ogolił się i włożył niebieski garnitur w białe prążki oraz białą koszulę. Może ten strój, a może większa pewność siebie sprawia, że bardziej niż kiedykolwiek wcześniej wygląda na prezydenta, dumał George.

Siniak na czole Bobby'ego wyglądał nieładnie, ale John Frankenheimer znalazł w domu profesjonalny zestaw do makijażu i zamaskował ten ślad.

O wpół do siódmej grupa Kennedy'ego wsiadła do samochodów i pojechała do Los Angeles. Weszli do hotelu Ambassador, gdzie w sali balowej już zaczęto świętować zwycięstwo. George poszedł z Bobbym do apartamentu królewskiego na czwartym piętrze. Tam, w dużym salonie, czekała ponad setka przyjaciół, doradców i zaproszonych dziennikarzy, sącząc koktajle i gratulując sobie wzajemnie. Wszystkie odbiorniki telewizyjne w apartamencie były włączone.

George i najbliżsi doradcy przeszli z Bobbym przez salon do jednej z sypialń. Jak zawsze Bobby łączył przyjęcie z trudnymi rozmowami politycznymi. Dzisiaj, tak samo jak w Kalifornii, zwyciężył w trudnych prawyborach w Dakocie Południowej, rodzinnym stanie Huberta Humphreya. Po Kalifornii był pewny zwycięstwa w Nowym Jorku, gdzie miał przewagę jako jeden z senatorów tego stanu.

- Pokonujemy McCarthy'ego, do licha - powiedział radośnie, siedząc na podłodze w kącie pokoju i oglądając telewizję.

George już zaczynał się martwić o krajową konwencję. Jak sprawić, żeby popularność Bobby'ego odzwierciedliły głosy delegatów ze stanów, w których nie było wyborów wstępnych?

- Humphrey ciężko pracuje w takich stanach jak Illinois, gdzie burmistrz Daley



kontroluje głosy delegatów.

- Owszem - przyznał Bobby. - Ale nawet ludzie pokroju Daleya nie mogą ignorować opinii publicznej. Chcą zwycięstwa. Hubert nie może pokonać Dicka Nixona, a ja tak.

- To prawda, tylko czy elity władzy demokratów o tym wiedzą?

- Do sierpnia się dowiedzą.

George podzielał przekonanie Bobby'ego, że są na fali, lecz aż nazbyt wyraźnie dostrzegał oczekujące ich niebezpieczeństwa.

- McCarthy powinien się wycofać, żebyśmy mogli się skupić na pokonaniu Humphreya. Musimy zawrzeć z nim umowę.

Bobby pokręcił głową.

- Nie mogę zaproponować mu wiceprezydentury. Jest katolikiem. Protestanci mogą zagłosować na jednego katolika, ale nie na dwóch.

- A gdybyś zaoferował mu wysoką posadę w administracji rządowej?

- Sekretarza stanu?

- Jeśli się teraz wycofa.

Bobby zmarszczył brwi.

- Trudno mi sobie wyobrazić współpracę z nim w Białym Domu.

- Jeśli nie zwyciężysz, nie będziesz w Białym Domu. Czy mam wysłać sygnał?

- Daj mi się nad tym zastanowić.

- Oczywiście.

- Chcesz wiedzieć jeszcze coś, George? - rzekł Bobby. - Po raz pierwszy nie czuję, że jestem tutaj jako brat Jacka.

George się uśmiechnął. To był duży krok naprzód.

Poszedł do salonu porozmawiać z dziennikarzami, ale nie pił. Będąc z Bobbym, wolał zachować trzeźwy umysł. Sam Bobby lubił się napić. Jednak niekompetencja zespołu irytowała go i potrafił ostro zganić kogoś, kto go zawiódł. George pił alkohol tylko wtedy, kiedy przebywał z dala od szefa.

Tak więc był zupełnie trzeźwy kilka minut przed północą, gdy towarzyszył Bobby'emu udającemu się do sali balowej, żeby wygłosić zwycięskie przemówienie. Żona Bobby'ego, Ethel, wyglądała ładnie w pomarańczowo-białej krótkiej sukience i białych rajstopach, chociaż była w ciąży z ich jedenastym dzieckiem.

Tłum szalał, jak zwykle. Wszyscy chłopcy nosili słomkowe kapelusze jak Kennedy. Dziewczęta miały jednakowe stroje: niebieskie spódniczki, białe bluzki i czerwone szarfy Kennedy'ego. Orkiestra grała piosenkę z kampanii wyborczej. Silne reflektory telewizyjne

podnosiły temperaturę w pomieszczeniu. Prowadzeni przez ochroniarza, Billa Barry'ego, Bobby i Ethel przeciskali się przez tłum, a młodzi zwolennicy dotykali ich i szarpali za ubrania. Chaos powiększali wszędobylscy fotoreporterzy.

Ta histeria tłumy była problemem dla George'a i innych, ale siłą Bobby'ego. Umiejętność sterowania emocjami tłumy miała zaprowadzić go do Białego Domu.

W końcu dotarł z żoną do małego podium i teraz stanął za pękiem mikrofonów. Nie prosił o napisanie przemówienia, tylko o kilka notatek. Jego wystąpienie było nieco bezbarwne, ale nikt nie zwracał na to uwagi.

- Jesteśmy wielkim krajem, wielkodusznym i współczującym - mówił. - Zamierzam z tego uczynić motto mojej kampanii prezydenckiej.

Nie były to szczególnie inspirujące słowa, lecz tłum za bardzo go wielbił, żeby mieć mu to za złe.

George zdecydował, że później nie pójdzie z Bobbym do dyskoteki Factory. Widok tańczących par tylko przypomniałby mu, że jest samotny. Porządnie się wyśpi przed porannym lotem do Nowego Jorku i rozpoczęciem kampanii w kolejnym stanie. Praca była lekarstwem na jego złamane serce.

- Dziękuję wszystkim, którzy zjawili się tu dzisiejszego wieczoru - zakończył Bobby.

Pokazał „V” - churchillowski znak zwycięstwa - i setki młodych ludzi na sali powtórzyły ten gest. Potem pochylił się, żeby z podium uścisnąć kilka wyciągniętych rąk.

Nagle coś się zacięło w tej wyborczej machinie. Za chwilę Bobby miał się spotkać z dziennikarzami w jednym z sąsiednich pokoi. Zgodnie z planem powinien przejść przez tłum po lewej stronie, lecz George zauważył, że Bill Barry nie zdołał utworować mu przejścia przez grupę rozhisteryzowanych nastolatków wykrzykujących: „Chcemy Bobby'ego! Chcemy Bobby'ego!”.

Pracownik hotelu w uniformie *maître d'hôtel* rozwiązał ten problem, wskazując Bobby'emu wahadłowe drzwi najwyraźniej prowadzące przez pomieszczenia służbowe do sali konferencyjnej. Bobby i Ethel ruszyli za nim słabo oświetlonym korytarzem, a po chwili dołączyli do nich George, Bill Barry i reszta świty.

George zastanawiał się, kiedy znów będzie mógł poruszyć z Bobbym kwestię umowy z Gene'em McCarthym. Jego zdaniem ta sprawa powinna mieć priorytet. Jednak osobiste stosunki były tak ważne dla Kennedych. Gdyby Bobby zdołał zaprzyjaźnić się z Lyndonem Johnsonem, wszystko wyglądałoby inaczej.

Korytarz prowadził do jasno oświetlonej kuchni z błyszczącymi stołami z nierdzewnej stali i olbrzymią maszyną do lodu. Jakiś reporter radiowy zagadywał Bobby'ego, gdy szli.

- Senatorze - pytał - jak zamierza pan walczyć z panem Humphreym?

Po drodze Bobby ścisnął dłonie uśmiechniętym pracownikom. Jakiś kuchcik odwrócił się od stojaka na tace, jakby chciał powitać Bobby'ego.

Nagle George z przerażeniem uświadomił sobie, że młody człowiek trzyma w ręku broń.

Mały czarny rewolwer z krótką lufą.

Mężczyzna wycelował go w głowę Bobby'ego.

George otworzył usta, chcąc krzyknąć, ale strzał padł najpierw.

Strzał z tak niewielkiego rewolweru bardziej przypominał odgłos wyciąganego korka z butelki.

Bobby zasłonił rękami twarz, a potem zatoczył się i upadł na cementową podłogę.

- Nie! Nie! - wrzasnął George.

To nie mogło się dziać naprawdę - nie mogło znowu się wydarzyć!

W następnej chwili padła seria strzałów przypominająca eksplozję chińskich fajerwerków. George poczuł ukłucie w ramię, lecz je zignorował.

Bobby leżał obok maszyny do robienia lodu, z rękami za głową i rozrzuconymi nogami. Miał otwarte oczy.

Ludzie wrzeszczeli i krzyczeli. Reporter radiowy bełkotał do mikrofonu.

- Senator Kennedy został postrzelony! Senator Kennedy został postrzelony! Czy to możliwe? Czy to możliwe?

Kilka osób rzuciło się na strzelającego.

- Zabierzcie mu broń! Zabierzcie mu broń! - krzyczał ktoś.

George zobaczył, jak Bill Barry uderza zamachowca pięścią w twarz. Ukląkł przy Bobbym. Ten żył, ale krwawił z rany tuż za uchem. Wyglądał okropnie. George rozluźnił mu krawat, żeby ułatwić oddychanie. Ktoś inny wsunął pod głowę Bobby'ego zwinięty płaszcz.

Jakiś męski głos powtarzał w kółko: „Boże, nie... Chryste, nie...”.

Ethel precyzyjnie się przez tłum, uklękła obok George'a i zaczęła mówić do męża. W oczach Bobby'ego pojawił się błysk rozpoznania i ranny próbował coś powiedzieć. George'owi wydawało się, że pytał, czy nikomu innemu nic się nie stało. Ethel gładziła go po policzku.

George rozejrzał się. Nie potrafił powiedzieć, czy ktoś jeszcze został postrzelony. Potem spojrzał na swoje przedramię. Rękaw marynarki był rozerwany, a z rany sączyła się krew. Został trafiony. Teraz, kiedy to zauważył, ręka zaczęła go boleć jak diabli.

Drzwi na końcu kuchni otworzyły się i wpadł przez nie tłum reporterów i fotografów z

sali konferencyjnej. Kamerzyści tłoczyli się wokół Bobby'ego, przepychając się i wspinając na kuchnie oraz zlewy, żeby zrobić lepsze ujęcia krwawiącego senatora i jego załamanej żony.

- Zróbcie trochę miejsca, proszę! - apelowała Ethel. - Dajcie mu oddychać!

Przybyli sanitariusze z noszami. Wzięli Bobby'ego za ramiona i nogi.

- Och nie, nie... - słabym głosem jęknął Bobby.

- Delikatnie! - błagała Ethel sanitariuszy. - Delikatnie.

Położyli go na noszach i zapięli pasy.

Bobby zamknął oczy.

I już ich nie otworzył.

## ROZDZIAŁ 45

Tego lata Dimka i Natalia malowali mieszkanie w słońcu wpadającym przez otwarte okna. Trwało to dłużej, niż powinno, ponieważ wciąż przerywali pracę, żeby uprawiać seks. Wspaniałe włosy miała upięte i schowane pod chustką, a na sobie jego starą koszulę z postrzępionym kołnierzykiem, ale jej szorty były obcisłe i ilekroć widział, jak wchodzi na drabinę, musiał ją pocałować. Zdejmował z niej te szorty tak często, że w końcu miała na sobie tylko koszulę, a wtedy jeszcze częściej robili przerwy na seks.

Nie mogli się pobrać, dopóki jej rozwód nie zostanie orzeczony, i dla zachowania pozorów Natalia miała w pobliżu własne mieszkanie, ale nieoficjalnie rozpoczynali nowe, wspólne życie w mieszkaniu Dimki. Przemeblowali je według upodobania Natalii i kupili kanapę. Wypracowali własny podział obowiązków: on przygotowywał śniadanie, ona gotowała obiad; on czyścił jej buty, ona prasowała mu koszule; on kupował mięso, a ona ryby.

Nie widywali Nika, ale Natalia zaczęła nawiązywać kontakt z Niną. Ekszona Dimki była teraz stałą kochanką Pusznaja i spędzała z nim większość weekendów w jego daczce, wydając przyjęcia dla przyjaciół marszałka, z których niektórzy również przyprowadzali swoje kochanki. Dimka nie miał pojęcia, jak Pusznaj załatwił to ze swoją żoną, sympatyczną starszą panią, która zawsze pojawiała się u jego boku podczas świąt państwowych. Kiedy Nina wyjeżdżała na te weekendy, Dimka i Natalia zajmowali się Griszą. Początkowo Natalia obawiała się tego; sama nie miała dzieci, bo Nik ich nie znosił. Szybko jednak polubiła Griszę, który był bardzo podobny do Dimki i - w czym nie było niczego niezwykłego - obudził w niej instynkt macierzyński.

Ich życie osobiste układało się szczęśliwie, ale zawodowe mniej pomyślnie. Twardogłowi z Kremla tylko udawali, że akceptują czechosłowacki kompromis. Gdy tylko Kosygin i Dimka wrócili z Pragi, konserwatyści zaczęli sabotować umowę, dążąc do inwazji, która zmiażdży Dubčeka i jego reformy. Zaciekle spory toczyły się przez czerwiec i lipiec w moskiewskim skwarze i w podmuchach czarnomorskiego wiatru w daczach, do których elita partii komunistycznej wyjeżdżała na letnie wakacje.

Zdaniem Dimki nie chodziło tylko o Czechosłowację. Chodziło o jego syna i świat, w którym będzie dorastał. Za piętnaście lat Grisza pójdzie na studia; za dwadzieścia do pracy; w wieku dwudziestu pięciu lat może już mieć dzieci. Czy Rosja wypracuje lepszy system, coś w rodzaju proponowanej przez Dubčeka wersji komunizmu z ludzką twarzą? Czy może

Związek Radziecki nadal będzie tyranią, w której niepodważalne przewodnictwo partii jest brutalnie wymuszane przez KGB?

Leonid Breżniew, sekretarz generalny, w rozwścieczający sposób siedział okrakiem na płocie. Dimka zaczął nim gardzić. Obawiając się stanąć po stronie przegranych, Breżniew nie opowiadał się po żadnej, dopóki nie wiedział, jaka będzie kolektywna decyzja. Nie miał wizji, odwagi ani planu uczynienia Związku Radzieckiego lepszym krajem. Nie był przywódcą.

Konflikt osiągnął apogeum podczas dwudniowego spotkania Politbiura, które rozpoczęło się w czwartek, piętnastego sierpnia. Jak zawsze, oficjalne spotkanie było głównie uprzejmą wymianą banałów, a prawdziwe bitwy toczono poza salą.

Tam Dimka stał się z Jewgienijem Filipowem, stojącym w słońcu przed żółto-białym budynkiem pałacu otoczonego zaparkowanymi samochodami i czekającymi limuzynami.

- Spójrz na raporty KGB z Pragi - powiedział Filipow. - Kontrewolucyjne wiece studenckie! Kluby, w których otwarcie mówi się o obaleniu komunizmu! Tajne magazyny broni!

- Nie wierzę we wszystkie te opowieści - rzekł Dimka. - To prawda, mówi się o reformach, lecz zagrożenia są rozdmuchiwane przez nieudolnych przywódców, którzy zostali odsunięci od władzy.

W rzeczywistości to Andropow, twardogłowy szef KGB, fabrykował sensacyjne raporty wywiadu, żeby podburzyć konserwatystów, ale Dimka nie był tak lekkomyślny, żeby o tym mówić.

Miał wiarygodne źródło informacji: swoją siostrę bliźniaczkę. Tania była w Pradze i pisała ostrożne, neutralne artykuły dla TASS, a jednocześnie dostarczała Dimce i Kosyginowi raporty, z których wynikało, że Dubček jest bohaterem dla wszystkich oprócz starych partyjnych aparatczyków.

W zamkniętym społeczeństwie odkrycie prawdy stawało się prawie niemożliwe. Rosjanie głosili tyle kłamstw. W Związku Radzieckim prawie każdy dokument był oszustwem: sprawozdania, analizy polityczne, raporty z przesłuchań podejrzanych, prognozy ekonomiczne. Ludzie po cichu mówili, że jedyne prawdziwe wiadomości w gazecie są na stronie z programem radiowym i telewizyjnym.

- Nie wiem, w jakim kierunku się to potoczy - powiedziała Natalia do Dimki w piątek wieczorem. Nadal pracowała dla ministra spraw zagranicznych Andrieja Gromyki. - Wszystkie sygnały z Waszyngtonu sugerują, że prezydent Johnson niczego nie zrobi, jeśli dokonamy inwazji na Czechosłowację. Ma zbyt wiele problemów z zamieszkami, zamachami, Wietnamem i wyborami prezydenckimi.

Tego wieczoru skończyli malowanie i siedzieli na podłodze, dzieląc się butelką piwa. Natalia miała smużkę żółtej farby na czole. Z jakiegoś powodu ten widok sprawił, że Dimka zapragnął ją przelecieć. Zastanawiał się, czy zrobić to teraz, czy najpierw się wykąpać i położyć do łóżka, kiedy powiedziała:

- Zanim się pobierzemy...

To były złowieszcze słowa.

- Tak?

- Powinniśmy porozmawiać o dzieciach.

- Chyba powinniśmy byli o tym porozmawiać trochę wcześniej, bo przez całe lato pieprzyliśmy się jak szaleni.

Nigdy nie stosowali żadnych środków antykoncepcyjnych.

- Tak. Jednak ty już masz dziecko.

- My je mamy. Jest nasz. Będiesz jego macochą.

- I bardzo go lubię. Łatwo kochać chłopca, który jest tak podobny do ciebie. Jednak co sądzisz o tym, żeby mieć więcej dzieci?

Dimka widział, że z jakiegoś powodu jest zdenerwowana, i musiał ją uspokoić. Odstawił butelkę i objął Natalię.

- Uwielbiam cię - powiedział. - I bardzo chciałbym mieć z tobą dzieci.

- Och, dzięki Bogu - westchnęła. - Ponieważ jestem w ciąży.

Tania odkryła, że w Pradze trudno zdobyć gazety, co było zabawną konsekwencją zniesienia cenzury przez Dubčeka. Poprzednio mało kto trudził się czytaniem jałowych i kłamliwych artykułów w kontrolowanej przez władze prasie. Teraz, gdy gazety mogły pisać prawdę, nakłady nie pokrywały zapotrzebowania. Musiała wstawać wcześnie rano, żeby je kupić, zanim zostaną wysprzedane.

Telewizja też została uwolniona od cenzury. W programach o bieżących sprawach robotnicy i studenci kwestionowali i krytykowali decyzje ministrów. Uwolnieni więźniowie polityczni mogli stawiać czoło funkcjonariuszom tajnej policji, którzy ich aresztowali. Przed telewizorem w holu każdego dużego hotelu często zbierał się tłumek widzów obserwujących dyskusję na ekranie.

Podobne rozmowy toczyły się w każdej kawiarni, bufecie robotniczym i ratuszu. Ludzie, którzy ukrywali swoje prawdziwe uczucia przez dwadzieścia lat, nagle mogli powiedzieć, co im leży na sercu.

Atmosfera wolności była zaraźliwa. Tanię kusilo, by uwierzyć, że stare czasy nie wrócą

i nie ma żadnego zagrożenia. Musiała sobie przypominać, że Czechosłowacja nadal jest komunistycznym państwem z tajną policją i stosowaniem tortur.

Przywiozła ze sobą maszynopis pierwszej powieści Wasilija.

Rękopis otrzymała tuż przed wyjazdem z Moskwy w taki sam sposób jak pierwsze opowiadanie. Na ulicy przed biurem wręczył jej go nieznajomy, który nie chciał odpowiedzieć na żadne pytanie. I tak jak poprzednio tekst był napisany maczkiem - niewątpliwie, żeby oszczędzać papier. Powieść nosiła sardoniczny tytuł *Wolny człowiek*.

Tania przepisała powieść na maszynie. Musiała zakładać, że jej bagaż będzie kontrolowany. Chociaż była zaufaną reporterką TASS, nie mogła wykluczyć, że każdy pokój hotelowy, w którym się zatrzyma, zostanie przeszukany, a przydzielone mieszkanie na praskiej starówce dokładnie przetrząśnięte. Jednak uważała, że znalazła sprytną kryjówkę dla tej książki. Pomimo to żyła w strachu. To było jak posiadanie bomby nuklearnej. Rozpaczliwie chciała jak najszybciej przekazać ten tekst dalej.

Zaprzyjaźniła się z praskim korespondentem pewnej brytyjskiej gazety i przy pierwszej okazji go zagadnęła:

- W Londynie jest redaktorka specjalizująca się w przekładach wschodnioeuropejskich powieści, Anna Murray z Rowley Publishing. Bardzo chciałabym przeprowadzić z nią wywiad o czeskiej literaturze. Myślisz, że mógłbyś przekazać jej tę wiadomość?

Wiedziała, że to niebezpieczne, gdyż takie nawiązanie kontaktu z Anną można było wytropić, ale musiała podjąć pewne ryzyko i uważała, że w ten sposób je minimalizuje.

- Anna Murray przyjeżdża do Pragi w przyszły wtorek - poinformował ją brytyjski dziennikarz dwa tygodnie później. - Nie mogłem podać jej twojego numeru telefonu, ponieważ go nie znam, ale zatrzyma się w hotelu Palace.

We wtorek Tania zadzwoniła do tego hotelu i zostawiła dla Anny następującą wiadomość: „Spotkaj Jakuba przy pomniku Jana Husa o czwartej”.

Jan Hus był średniowiecznym filozofem spalonym przez papieża na stosie za twierdzenie, że msza powinna być odprawiana w miejscowym języku. Pozostał symbolem czeskiego oporu przeciwko obcej władzy. Jego pomnik stał na Rynku Starego Miasta.

Agenci tajnej policji we wszystkich hotelach szczególnie interesowali się gośćmi z Zachodu i Tania musiała zakładać, że pokazywano im wszystkie zostawiane wiadomości, tak więc mogli obstawić pomnik, by zobaczyć, z kim umówiona jest Anna. Dlatego Tania nie wybrała się na to spotkanie. Zamiast tego podeszła do Anny na ulicy i wsunęła jej do ręki karteczkę z adresem restauracji na Starówce i wiadomością:

*Ósma wieczór, dziś. Stolik zarezerwowany przez Jakuba.*



Oczywiście istniała możliwość, że Anna będzie śledzona od hotelu do restauracji. Jednak Tani wydało się to mało prawdopodobne: tajna policja nie miała tylu ludzi, żeby śledzić każdego obcokrajowca i przez cały czas. Mimo wszystko znów przedsięwzięła środki ostrożności. Wieczorem włożyła luźną skórzaną kurtkę, pomimo ciepłej pogody, i przysłała na spotkanie wcześniej. Usiadła nie przy tym stoliku, który zarezerwowała. Kiedy zjawiała się Anna, Tania spuściła głowę i obserwowała, jak Angielkę sadzają przy stole.

W Annie łatwo było rozpoznać cudzoziemkę. Nikt w Europie Wschodniej nie był tak dobrze ubrany. Miała na sobie ciemnoczerwony spodnium dopasowany do jej bujnych kształtów. Do tego kolorową apaszkę, która niewątpliwie pochodziła z Paryża. Ciemne włosy i oczy zapewne zawdzięczała swojej niemiecko-żydowskiej matce. Tania wyliczyła, że Anna chyba zbliża się do trzydziestki, lecz należała do tych kobiet, które pięknieją z wiekiem.

Nikt nie wszedł za Anną do restauracji. Tania odczekała piętnaście minut, obserwując przybywających, podczas gdy Anna zamówiła butelkę węgierskiego rieslinga i wypiła kieliszek. Po niej do lokalu weszły tylko cztery osoby: małżeństwo w średnim wieku i dwoje nastolatków na randce: nikt z nich nie wyglądał na funkcjonariusza policji. W końcu Tania wstała i dołączyła do Anny przy zarezerwowanym stoliku, powiesiwszy kurtkę na oparciu krzesła.

- Dziękuję za przyjęcie - powiedziała.

- Nie ma o czym mówić. Cieszę się, że tu jestem.

- To kawał drogi.

- Pojechałabym dziesięć razy dalej, żeby spotkać kobietę, która dała mi *Odmrożenie*.

- Teraz napisał powieść.

Anna wyprostowała się z westchnieniem zadowolenia.

- Miałam nadzieję, że właśnie to powiesz. - Nalała wina do kieliszka Tani. - Gdzie ona jest?

- Ukryta. Przekażę ci ją, zanim stąd wyjdziemy.

- W porządku. - Ania była zdziwiona, gdyż nie widziała maszynopisu, ale zaakceptowała obietnicę Tani. - Bardzo mnie uszczęśliwiłaś.

- Zawsze wiedziałam, że *Odmrożenie* jest genialne - powiedziała z zadumą Tania - ale nawet ja nie przewidziałam międzynarodowego sukcesu, jakie odniosło. Na Kremlu wywołało wściekłość, zwłaszcza że nie zdołali dojść do tego, kim jest autor.

- Powinnaś wiedzieć, że ma fortunę z honorariów.

Tania pokręciła głową.

- Gdyby otrzymał pieniądze z zagranicy, zostałby zdemaskowany.

- Cóż, może kiedyś. Poprosiłam największą agencję literacką w Londynie, żeby go reprezentowała.

- Co robią agenci literaccy?

- Dbają o interesy autora, negocjują umowy i pilnują, żeby wydawcy płacili na czas.

- Nigdy o czymś takim nie słyszałam.

- Otworzyli mu konto bankowe na nazwisko Iwan Kuzniecowa. Jednak powinniście się zastanowić, czy tych pieniędzy nie należałoby w coś zainwestować.

- Ile tego jest?

- Ponad milion funtów.

Tania spojrzała na nią zaszokowana. Wasilij byłby najbogatszym człowiekiem w Rosji, gdyby kiedyś zdołał położyć ręce na tych pieniądzech.

Zamówiły obiad. Praskie restauracje znacznie się poprawiły w ostatnich miesiącach, ale dania nadal były tradycyjne. Wołowina i knedle w gęstym sosie, garnirowane bitą śmietaną i łyżeczką dżemu żurawinowego.

- Co się zdarzy tutaj, w Pradze? - zapytała Anna.

- Dubček jest prawdziwym komunistą i chce, żeby jego kraj pozostał w Układzie Warszawskim, więc nie stanowi żadnego zagrożenia dla Moskwy, ale dinozaury na Kremlu widzą to inaczej. Nikt nie wie, co się stanie.

- Masz dzieci?

Tania się uśmiechnęła.

- Być może dla świętego spokoju możemy godzić się na radziecki system, ale czy mamy prawo narzucać taką nędzę i cierpienia następnemu pokoleniu? Nie, nie mam dzieci. Mam bratanka, Griszę, którego kocham. A dziś rano dostałam list od mojego brata bliźniaka, który pisze, że jego druga żona jest już w ciąży, zatem będę miała drugiego bratanka lub bratanicę. Ze względu na nich mam nadzieję, że Dubčekowi się uda i inne komunistyczne kraje pójdą za przykładem Czechów. Jednak system radziecki jest beznadziejnie konserwatywny i bardziej oporny na zmiany niż kapitalizm. Na dłuższą metę może to być jego największą wadą.

- Rozumiem, że na razie nie możemy zapłacić autorowi - powiedziała Anna, kiedy skończyły. - A czy moglibyśmy dać ci jakiś prezent, żebyś mu go przekazała? Czy jest coś, co chciałby mieć?

Potrzebował maszyny do pisania, ale ta by go zdemaskowała.

- Sweter - odparła Tania. - Naprawdę gruby i ciepły sweter. On wciąż marznie. I jakaś bielizna, taka z długimi rękawami i długimi nogawkami.

Ten strzęp informacji o życiu Iwana Kuzniecowa wyraźnie przeraził Annę.

- Jutro pojedę do Wiednia i znajdę te rzeczy najlepszej jakości.

Tania z zadowoleniem skinęła głową.

- Spotkamy się tu znowu w piątek?

- Tak.

Tania wstała.

- Powinnyśmy wyjść oddzielnie.

Na twarzy Anny odmalował się lekki przestach.

- A co z maszynopisem?

- Włóż moją kurtkę - powiedziała Tania. Okrycie mogło być trochę za małe na Annę, która była cięższa od Tani, ale to nie będzie rzucało się w oczy. - Kiedy dotrzesz do Wiednia, odpruj podszewkę. - Ujęła dłoń Anny. - Nie zgub - poprosiła. - Nie mam kopii.

W środku nocy Tanię obudziły wstrząsy. Usiadła, przerażona, myśląc, że tajna policja przysłała ją aresztować. Kiedy zapaliła światło, zobaczyła, że jest sama, ale wstrząsy nie były snem. Oprawiona w ramkę fotografia Griszy tańczyła na nocnym stoliku i Tania usłyszała brzęk słoiczków z kosmetykami na szklanym blacie toaletki.

Wyskoczyła z łóżka i podeszła do otwartego okna. Świtało. Z pobliskiej głównej ulicy dobiegał łoskot, ale stąd nie mogła zobaczyć, co go wywoływało. Poczowała dziwny lęk.

Zaczęła szukać skórzanej kurtki i przypomniała sobie, że dała ją Annie. Szybko wciągnęła dzinsy i sweter, włożyła buty i wybiegła z mieszkania. Pomimo wczesnej pory na ulicy byli ludzie. Szybko ruszyła tam, skąd dochodził hałas.

Gdy tylko doszła do głównej ulicy, zrozumiała, co się stało.

Hałas powodowały czołgi. Toczyły się ulicą, powoli, lecz niepowstrzymanie, a ich gąsienice głośno dzwoniły o bruk. Na czołgach siedzieli żołnierze w radzieckich mundurach, przeważnie młodzi, prawie dzieci. Spoglądając w głąb ulicy w słabym świetle świtu, Tania zobaczyła dziesiątki, a może setki tych czołgów, jadących kolumną ciągnącą się aż do mostu Karola i dalej. Na chodnikach stały grupki Czechów, mężczyzn i kobiet, wielu w koszulach nocnych i piżamach, patrzących z konsternacją i oszołomieniem na wojsko zajmujące ich miasto.

Tania uświadomiła sobie, że konserwatyści na Kremlu wygrali. Związek Radziecki dokonał inwazji na Czechosłowację. Krótki czas reform i nadziei się skończył.

Pochwyciła spojrzenie stojącej obok kobiety w średnim wieku. Kobieta miała na głowie staromodną siateczkę, taką, jaką matka Tani zakładała na noc. Jej twarz była mokra od łez.

Dopiero wtedy Tania poczuła wilgoć na swoich policzkach i zdała sobie sprawę z tego, że ona też płacze.

Tydzień po tym, jak czołgi wjechały do Pragi, George Jakes siedział w piżamie na swojej kanapie w Waszyngtonie, oglądając telewizyjne sprawozdanie z krajowej konwencji demokratów w Chicago.

Na lunch podgrzał sobie zupę pomidorową z puszki i zjadł ją prosto z garnka, który teraz stał na ławie, z zastygającymi w środku czerwonymi resztkami lepkiego płynu.

Wiedział, co powinien zrobić. Powinien włożyć garnitur, wyjść i znaleźć sobie nową pracę, nową dziewczynę i nowe życie.

Jakoś nie widział potrzeby.

Słyszał o depresji i wiedział, że ją ma.

Tylko odrobinę poruszył go widok chicagowskiej policji, która wpadła w amok. Kilkuset demonstrantów siedziało spokojnie na ulicy przed centrum kongresowym. Policja wpadła na nich z pałkami, brutalnie bijąc wszystkich i jakby nie zdając sobie sprawy z tego, że dopuszcza się bandyckiej napaści pokazywanej na żywo w telewizji - a może, co bardziej prawdopodobne, wiedząc o tym, ale się nie przejmując.

Ktoś, zapewne burmistrz Richard Daley, spuścił psy ze smyczy.

George ospale zastanawiał się nad politycznymi konsekwencjami tych wydarzeń. Domyślał się, że to oznacza koniec strategii niestosowania przemocy. Martin Luther King i Bobby Kennedy mylili się i teraz obaj nie żyli. Czarne Pantery miały rację. Burmistrz Daley, gubernator Ronald Reagan, kandydat na prezydenta George Wallace i wszyscy ich rasistowscy szefowie policji użyją przemocy wobec każdego, kto ma odmienne poglądy. Czarni potrzebują broni, żeby móc o siebie zadbać. I wszyscy inni, którzy chcą rzucić wyzwanie dinozaurom amerykańskiego społeczeństwa, również jej potrzebują. W tym momencie chicagowska policja potraktowała białe dzieci z klasy średniej tak, jak zawsze traktowała czarnych. To na pewno zmieni sytuację.

Usłyszał dzwonek do drzwi. Zmarszczył brwi zdziwiony. Nie spodziewał się żadnego gościa i nie miał ochoty z nikim rozmawiać. Zignorował dźwięk w nadziei, że dzwoniący odejdzie. Dzwonek zadzwonił znowu. Przecież mogłem wyjść, pomyślał, skąd wiedzą, że jestem w domu? Dzwonek zadzwonił po raz trzeci, długo i uparcie. George zrozumiał, że ten ktoś nie zrezygnuje.

Poszedł otworzyć drzwi. To była jego matka. Przyniosła opakowane naczynie żaroodporne.

Jacky zlustrowała go od stóp do głów.

- Tak myślałam - mruknęła i weszła bez zaproszenia.

Wstawiła naczynie do piekarnika i włączyła grzanie.

- Weź prysznic - rozkazała. - Ogól to smętne oblicze i włóż coś czystego.

Chciał się spierać, ale nie miał siły. Łatwiej było po prostu zrobić to, co kazała.

Zacząła sprzątać salon: wstawiła garnek po zupie do kuchennego zlewu, poskładała gazety, otworzyła okna.

George wycofał się do swojego pokoju. Zdjął bieliznę, wziął prysznic i ogolił się. Co za różnica. Jutro znów będzie niechlujem.

Wciągnął sportowe spodnie i niebieską koszulę, a potem wrócił do salonu. Nie mógł zaprzeczyć, że danie pachniało apetycznie. Jacky zastawiła stół.

- Siadaj - powiedziała. - Kolacja gotowa.

Zrobiła zapiekankę z kurczaka w sosie pomidorowym, z zielonymi papryczkami i serem. George nie mógł się oprzeć i zjadł dwa talerze. Później matka zmyła, a on powycierał naczynia.

Usiadła, żeby obejrzeć z nim sprawozdanie z konwencji. Przemawiał senator Abraham Ribicoff, przedstawiając George'a McGoverna, kandydata wprowadzonego w ostatniej chwili, będącego zwolennikiem pokoju. Wywołał poruszenie, mówiąc: „Z George'em McGovernem jako prezydentem Stanów Zjednoczonych nie mielibyśmy gestapowskich metod na ulicach Chicago”.

- O rany, ale im powiedział! - skomentowała Jacky.

W sali zapadła głucha cisza. Reżyser programu pokazał zbliżenie burmistrza Daleya. Ten wyglądał jak olbrzymia ropucha, z wybałuszonymi oczami, opasłą gębą i karkiem ginącym pod fałdami tłuszczu. Na moment zapomniał, że jest w telewizji - tak jak wcześniej jego gliniarze - i wrzasnął coś karcąco do Ribicoffa.

Mikrofony nie wychwyciły słów.

- Ciekawe, co powiedział? - głośno zastanawiał się George.

- Mogę ci to zdradzić - rzekła Jacky. - Umiem czytać z ruchu warg.

- Nie wiedziałem o tym.

- Kiedy miałam dziewięć lat, ogłuchłam. Znalezienie przyczyny zajęło sporo czasu. W końcu przeszłam operację, która przywróciła mi słuch. Jednak nie zapomniałam umiejętności czytania z ruchu warg.

- W porządku, mamu, udowodnij to. Powiedz, co burmistrz Daley powiedział do Abe'a Ribicoffa?

- Powiedział: „Pierdol się, ty żydowski skurwysynu”, oto, co powiedział.

Walli i Beep zatrzymali się w chicagowskim Hiltonie, na czternastym piętrze, na którym sztab wyborczy McCarthy’ego miał swoją główną kwaterę. Byli zmęczeni i przygnębieni, gdy poszli do swojego pokoju w ostatni wieczór konwencji, w czwartek o północy. Przegrali: na kandydata demokratów został wybrany Hubert Humphrey, wiceprezydent Johnsona. Wybory prezydenckie będą walką dwóch kandydatów popierających wojnę w Wietnamie.

Nie mieli nawet marychy, żeby zapalić. Chwilowo przestali to robić z obawy, że dadzą prasie okazję do obsmarowania McCarthy’ego. Przez chwilę oglądali telewizję, a potem poszli do łóżka, zbyt przybici, żeby się kochać.

- Cholera - powiedziała Beep - za kilka tygodni znów będę na zajęciach. Nie wiem, czy dam sobie z tym radę.

- Ja chyba nagram płytę - rzekł Walli. - Mam kilka nowych piosenek.

Beep powątpiewała.

- Myślisz, że możesz naprawić stosunki z Dave’em?

- Nie. Ja chciałbym, ale on nie. Kiedy zadzwonił powiedzieć mi o spotkaniu z moją rodziną w Berlinie Wschodnim, potraktował mnie chłodno, chociaż zachował się bardzo ładnie.

- O Boże, naprawdę go zraniliśmy - ze smutkiem zauważyła Beep.

- Poza tym Dave świetnie sobie radzi sam, z własnym programem w telewizji i w ogóle.

- No to jak nagrasz płytę?

- Polecę do Londynu. Wiem, że Lew zagra dla mnie na perkusji, a Buzz na gitarze basowej. Obaj są wkurzeni na Dave’a za rozpad zespołu. Nagram z nimi podkład, a potem sam zrobię wokale i dogram solówki gitarowe, chórek, a może nawet instrumenty smyczkowe i dęte.

- Wow, naprawdę to przemyślałeś.

- Miałem czas. Nie byłem w studiu od pół roku.

Rozległ się głośny trzask i pokój zalało światło wpadające z korytarza. Walli ze zdumieniem i przerażeniem pojął, że ktoś wyważył drzwi. Odrzucił pościel i wyskoczył z łóżka, krzycząc:

- Co jest, do cholery?!

Zapaliło się światło w pokoju i zobaczył dwóch umundurowanych chicagowskich policjantów wchodzących przez rozbite drzwi.

- Co tu się, do diabła, dzieje? - zapytał.

Zamiast odpowiedzi jeden z nich uderzył go pałką.

Walli zdołał się uchylić i zamiast w głowę pałka trafiła go w ramię. Jęknął z bólu, a Beep wrzasnęła.

Ściskając bolące ramię, Walli cofnął się w kierunku łóżka. Gliniarz znów zamachnął się pałką. Walli odskoczył, upadł na łóżko i pałka uderzyła go w nogę. Ryknął z bólu.

Obaj gliniarze unieśli pałki. Walli przetoczył się, zasłaniając Beep. Jedna pałka uderzyła go w plecy, a druga w biodro.

- Przestańcie, proszę, przestańcie! - zawołała Beep. - Nie zrobiliśmy nic złego, przestańcie go bić!

Walli poczuł jeszcze dwa bolesne uderzenia i myślał, że zemdleje. Nagle ciosy ustały i usłyszał kroki dwóch par nóg w ciężkich butach idących przez pokój i na korytarz.

Stoczył się z Beep.

- O kurwa, jak boli - jęknął.

Beep uklękła, próbując obejrzeć jego obrażenia.

- Dlaczego to zrobili? - zapytała.

Walli usłyszał dobiegające z korytarza odgłosy wyważania kolejnych drzwi oraz krzyki ludzi wywlekanych z łóżek i bitych pałkami.

- Chicagowska policja może robić, co chce - odparł. - Tu jest gorzej niż w Berlinie Wschodnim.

W październiku, w samolocie do Nashville, Dave Williams siedział obok zwolennika Nixona.

Dave leciał do Nashville na nagranie. Jego własne studio na Daisy Farm w dolinie Napa było jeszcze w budowie. Poza tym w Nashville mieszkało kilku najlepszych muzyków. Dave uważał, że muzyka rockowa staje się zbyt wydumana, z psychodelicznymi dźwiękami i dwudziestominutowymi solówkami gitarowymi, więc na swojej płycie zamierzał umieścić klasyczne dwuminutowe utwory pop, takie jak *The Girl of My Best Friend*, *I Heard it through the Grapevine* i *Woolly Bully*. Wiedział, że Walli pracuje w Londynie nad solowym albumem, i nie chciał pozostać w tyle.

Miał jeszcze jeden powód. Mała Lulu Small, która flirtowała z nim na trasie All-Star Touring Beat Revue, teraz mieszkała w Nashville i śpiewała w duetach. Potrzebował kogoś, kto pomógłby mu zapomnieć o Beep.

Na pierwszej stronie gazety, którą trzymał na kolanach, znalazło się zdjęcie z olimpiady

w Meksyku. Ukazywało uroczystość wręczenia medali za bieg na dwieście metrów. Złotym medalistą został Tommie Smith, czarny Amerykanin, który pobił rekord świata. Biały Australijczyk zdobył srebrny, a inny czarny Amerykanin brązowy. Wszyscy trzej nosili na swoich sportowych bluzach odznaki obrońców praw obywatelskich. Kiedy orkiestra grała Gwiazdzisty sztandar, dwaj amerykańscy sportowcy pochyłili głowy i podnieśli pięści w czarnych rękawicach w geście poparcia dla Czarnej Siły i to zdjęcie znalazło się we wszystkich gazetach.

- Wstyd - skomentował mężczyzna siedzący obok Dave'a w pierwszej klasie.

Wyglądał na czterdziestolatka i miał na sobie elegancki garnitur, białą koszulę i krawat. Wyjął z dyplomacji gruby plik dokumentów i robił na nich adnotacje długopisem.

Dave zwykle unikał pogaduszek z ludźmi w samolotach. Taka rozmowa zazwyczaj zamieniała się w wywiad o tym, jak to jest być gwiazdą muzyki rozrywkowej, co uważał za nudne. Jednak ten facet chyba nie wiedział, kim jest Dave. A Dave był ciekaw, co dzieje się w głowie takiego człowieka.

- Widzę, że przewodniczący Międzynarodowego Komitetu Olimpijskiego usunął ich z zawodów - dodał mężczyzna. - Cholernie słusznie.

- To Avery Brundage - powiedział Dave. - W gazecie podano, że w trzydziestym szóstym, podczas olimpiady w Berlinie, bronił prawa Niemców do nazistowskiego pozdrowienia.

- Tego też nie popieram - oświadczył biznesmen. - Igrzyska są apolityczne. Nasi sportowcy występują jako Amerykanie.

- Są Amerykanami, kiedy zwyciężają i są powoływani do wojska - zauważył Dave. - Natomiast są Murzynami, gdy chcą kupić sąsiedni dom.

- Cóż, jestem za równouprawnieniem, lecz powolne zmiany są zazwyczaj lepsze od gwałtownych.

- Może więc powinniśmy mieć w Wietnamie armię złożoną wyłącznie z białych, tylko dopóki nie będziemy pewni, że amerykańskie społeczeństwo jest gotowe do całkowitego równouprawnienia.

- Jestem przeciwnikiem wojny - odparł mężczyzna. - Jeżeli Wietnamczycy są tak głupi, by chcieć komunizmu, pozwólmy im na to. To komuniści w Ameryce powinni nas niepokoić.

Dave miał wrażenie, że rozmawia z kosmitą.

- W jakiej branży pan pracuje?

- Sprzedaję reklamodawcom czas antenowy w radiu. - Wyciągnął rękę do Dave'a. - Ron Jones.



- Dave Williams. Jestem muzykiem. Jeśli wolno spytać, na kogo zagłosuje pan w listopadzie?

- Na Nixona - bez wahania odpowiedział Jones.

- Przecież jest pan przeciwnikiem wojny i zwolennikiem praw dla Murzynów, aczkolwiek przyznawanych powoli, zatem zgadza się pan z zapatrywaniami Humphreya na te problemy.

- Do diabła z zapatrywaniami. Mam żonę i troje dzieci, obciążoną hipotekę i raty za samochód. To moje problemy. Udało mi się zostać regionalnym menedżerem sprzedaży i za kilka lat mam szansę być dyrektorem na cały kraj. Zaharowywałem się, żeby zdobyć to stanowisko, i nikt mi tego nie odbierze: ani awanturujący się Murzyni, ani épający hippisi czy komuniści na łożdzie Moskwy, a na pewno nie taki liberał o miękkim sercu jak Humphrey. Nieważne, co mówią o Nixonie, on reprezentuje takich jak ja.

W tym momencie Dave z przygnębiającym przecuciem nadchodzącej katastrofy poczuł, że Nixon zwycięży.

George Jakes po raz pierwszy od miesiący włożył białą koszulę, krawat i garnitur, po czym poszedł do Jockey Club na lunch z Marią Summers. To ona go zaprosiła.

Domyślał się, co będzie. Maria rozmawiała z jego matką. Jacky poskarżyła się jej, że George całymi dniami siedzi w swoim mieszkaniu, nic nie robiąc. Maria chciała mu powiedzieć, żeby wziął się w garść.

Nie wiedział po co. Jego życie legło w gruzach. Bobby nie żył, a następnym prezydentem zostanie Humphrey lub Nixon. Teraz niczego już nie można zrobić, aby zakończyć wojnę lub wprowadzić równouprawnienie dla czarnych, czy choćby zabronić policji bicia każdego, kto im się nie spodoba.

Pomimo wszystko zgodził się zjeść lunch z Marią. Znali się od dawna.

Maria wyglądała atrakcyjnie i dojrzałe. Miała na sobie czarną suknię z dopasowanym żakietem i sznurem pereł. Emanowała pewnością siebie. Wyglądała na osobę, którą była: sprawną urzędniczką średniego szczebla w Departamencie Sprawiedliwości. Nie chciała koktajlu, więc od razu zamówili lunch.

- Nie można się z tym pogodzić - powiedziała do George'a, gdy kelner odszedł.

Zrozumiał, że porównuje jego żalobę po Bobbym ze swoim smutkiem po stracie Jacka.

Kiwnął głową. Miała rację i z trudem powstrzymał łzy.

- Praca jest najlepszym lekarstwem - dodała. - I czas.

George uświadomił sobie, że Maria jakoś przetrwała. Jej strata była boleśniejsza,

ponieważ Jack Kennedy był jej kochankiem, a nie tylko przyjacielem.

- Pomogłeś mi - kontynuowała. - Załatwiłeś mi pracę w Departamencie Sprawiedliwości. To mnie ocaliło: nowe środowisko, nowe wyzwanie.

- Jednak nie nowy chłopak.

- Nie.

- Wciąż jesteś sama?

- Mam dwa koty - odparła. - Juliusza i Uchatą.

George skinął głową. Samotność pomogła jej w Departamencie Sprawiedliwości. Tam niechętnie awansowałaby mężatkę, która mogła zająć w ciążę i wziąć urlop macierzyński, ale zadeklarowana stara panna miała większe szanse.

Przyniesiono im posiłek i przez kilka minut jedli w milczeniu. Potem Maria odłożyła widelec.

- Chcę, żebyś wrócił do pracy, George.

George był poruszony jej czułą troską i podziwiał stanowczą determinację, z jaką próbowała odbudować jego życie. Jednak nie mógł wykrzesać z siebie entuzjazmu. Bezradnie wzruszył ramionami.

- Bobby zginął, McCarthy nie dostał nominacji. Dla kogo miałbym pracować?

Maria go zaskoczyła.

- Dla Fawcett Renshaw - powiedziała.

- Dla tych drani?

Fawcett Renshaw była waszyngtońską kancelarią prawną, która zaproponowała George'owi pracę po ukończeniu studiów i wycofała tę propozycję, gdy wziął udział w Rajdzie Wolności.

- Byłbyś ich ekspertem od praw obywatelskich - dodała.

George napawał się ironią sytuacji. Siedem lat temu udział w walce o prawa obywatelskie uniemożliwił mu pracę w firmie Fawcett Renshaw, teraz mu ją gwarantował. Jednak odnieśliśmy jakieś zwycięstwa, pomyślał, pomimo wszystko. Poczul się lepiej.

- Pracowałeś w Departamencie Sprawiedliwości i na Kapitolu, więc masz bezcenną znajomość mechanizmów ich działania - ciągnęła. - I wiesz co? Nagle stało się modne, by waszyngtońska firma prawnicza miała w swych szeregach choć jednego czarnego prawnika.

- Skąd wiesz, czego chce Fawcett Renshaw? - zapytał.

- W Departamencie Sprawiedliwości często mamy z nimi do czynienia. Zwykle próbując skłonić ich klientów do przestrzegania prawa federalnego.

- Skończyłbym, broniąc korporacji gwałcących ustawę o prawach obywatelskich.

- Pomyśl o tym jak o cennym doświadczeniu. Zdobędziesz wiadomości z pierwszej ręki, w jaki sposób są realizowane ustawy o równouprawnieniu. To ci się przyda, jeśli kiedyś wrócisz do polityki. A tymczasem będziesz nieźle zarabiał.

George zastanawiał się, czy kiedykolwiek wróci do polityki.

Podniósł głowę i zobaczył ojca idącego przez salę restauracyjną.

- Właśnie skończyłem lunch - powiedział Greg. - Czy mogę wypić z wami kawę?

George zastanawiał się, czy to pozornie przypadkowe spotkanie zostało w istocie zaplanowane przez Marię. Przypomniał sobie, że Greg zna od dziecka starego Renshawa, starszego wspólnika w kancelarii.

- Właśnie rozmawialiśmy o powrocie Grega do pracy - oznajmiła Maria. - Fawcett Renshaw chce go zatrudnić.

- Renshaw wspominał mi o tym. Będziesz dla nich bezcenny. Nikt nie ma takich kontaktów jak ty.

- Wydaje się, że Nixon zwycięży - z powątpiewaniem rzucił George. - Większość moich kontaktów to demokraci.

- Nadal będą przydatne. Poza tym nie sądzę, żeby Nixon długo przetrwał na tym stanowisku. Wyleci z trzaskiem.

George uniósł brwi. Greg należał do liberalnych republikanów i jako kandydata na prezydenta chętniej widziałby kogoś takiego jak Nelson Rockefeller. Mimo wszystko był w swej wypowiedzi zaskakująco nielojalny wobec swojej partii.

- Uważasz, że ruch pokojowy zniszczy Nixona? - zapytał ojca.

- Chyba śnisz. Prędzej będzie odwrotnie. Nixon to nie Lyndon Johnson. Świetnie się zna na polityce zagranicznej, zapewne lepiej niż ktokolwiek w Waszyngtonie. Nie daj się zwieść jego głupiej gadaninie o komuchach, to tylko dla zwolenników mieszkających w przyczepach. - Greg był snobem. - Nixon wyprowadzi nas z Wietnamu i powie, że przegraliśmy tę wojnę, ponieważ ruch pokojowy osłabił armię.

- Zatem co go załatwi?

- Dick Nixon kłamie - oświadczył Greg. - Kłamie niemal za każdym razem, gdy otwiera swój cholerny dziób. Kiedy republikanie objęli rządy w tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym drugim roku, Nixon twierdził, że wykrył tysiące wyrotowców w administracji.

- Ilu znaleźliście?

- Żadnego. Ani jednego. Wiem, bo byłem wtedy młodym kongresmenem. Potem powiedział prasie, że w aktach ustępującej demokratycznej administracji natrafił na plan zaprowadzenia w Ameryce socjalizmu. Reporterzy poprosili, żeby pokazał im te dokumenty.

- Nie miał ich.

- Właśnie. Zapewniał też, że odkrył tajne memorandum komunistów mówiące o tym, jak zamierzali działać poprzez Partię Demokratyczną. Tego też nikt nie widział. Podejrzewam, że matka nie powiedziała Dickowi, że kłamstwo jest grzechem.

- W polityce jest mnóstwo nieuczciwości - zauważył George.

- Tak jak w wielu innych dziedzinach życia. Jednak niewiele osób kłamie tak często i tak bezwstydnie jak Nixon. To oszust i łajdak. Dotychczas uchodziło mu to na sucho. Tak bywa. Jednak na stanowisku prezydenta jest inaczej. Dziennikarze wiedzą, że byli okłamywani w sprawie Wietnamu, i coraz uważniej sprawdzają wszystko, co mówi rząd. Przyłapią Dicka i upadnie. I wiesz co? Nigdy nie zrozumie dlaczego. Powie, że prasa od początku była przeciwko niemu.

- Mam szczerą nadzieję, że się nie mylisz.

- Weź tę pracę, George - poprosił Greg. - Jest tyle do zrobienia.

George skinął głową.

- Może wezmę.

Claus Krohn był rudy. Włosy na głowie miał ciemnorude, lecz na innych częściach ciała rudawe. Rebecca szczególnie lubiła trójkąt porastający jego krocze do pępka. Patrzyła tam, gdy pieściła go ustami - sprawiało jej to co najmniej tyle samo przyjemności, co jemu.

Teraz leżała z głową na jego brzuchu i leniwie gładziła palcami te kędziory. Był poniedziałek i znajdowali się w jego mieszkaniu. W poniedziałkowe wieczory Rebecca nie miała narad, ale udawała, że je ma, a jej mąż udawał, że w to wierzy.

Fizyczna część tego układu była nieskomplikowana. Natomiast uczucia Rebekki trudniejsze do kontrolowania. Tak trudno było jej rozgraniczać życie z tymi dwoma mężczyznami, że często chciała to zakończyć. Miała okropne poczucie winy z powodu tego, że nie jest wierna Berndowi. Jednak nagradzał to namiętny i satysfakcjonujący seks z czarującym mężczyzną, który ją uwielbiał. A Bernd dał jej na to pozwolenie. Raz po raz przypominała sobie o tym.

Obecnie wszyscy to robili. Miłość jest wszystkim, czego ci trzeba. Rebecca nie była hippiską - była nauczycielką i szanowaną radną - a mimo to udzielała jej się ta rozwiązła atmosfera, niemal jakby mimowolnie wdychała z powietrzem marihuanę. Czemu nie? - pytała siebie. Co w tym złego?

Gdy spoglądała wstecz na trzydzieści siedem lat swojego życia, żałowała tylko tego, czego nie robiła: nie była niewierna swojemu okropnemu pierwszemu mężowi; nie zaszła w

ciężę z Berndem, kiedy było to jeszcze możliwe; nie uciekła wcześniej z tyranii Niemiec Wschodnich.

Przynajmniej patrząc wstecz, nie będzie żałowała, że nie pieprzyła się z Clausem.

- Jesteś szczęśliwa? - spytał Claus.

Tak, pomyślała, kiedy na kilka minut zapomnę o Berndzie.

- Oczywiście - odparła. - Inaczej nie bawiłabym się twoimi włosami łonowymi.

- Uwielbiam te spędzane razem chwile, tylko że one zawsze są takie krótkie.

- Wiem. Chciałabym mieć drugie życie, żeby mogła spędzać je z tobą.

- Zgodziłbym się na same weekendy.

Rebecca za późno zorientowała się, dokąd zmierza ta rozmowa. Na moment zaparło jej dech.

Tego się obawiała. Poniedziałkowe wieczory nie wystarczały. Może nigdy nie było nadziei, by Claus zadowolili się spotkaniami raz na tydzień.

- Wolałabym, żebyś tego nie powiedział.

- Mogłabyś załatwić pielęgniarkę, która zajęłaby się Berndem.

- Wiem.

- Moglibyśmy jeździć do Danii, gdzie nikt nas nie zna. Zatrzymywać się w jakimś nadmorskim hoteliku. Spacerować po jednej z tych bezkresnych plaż i wdychać słone powietrze.

- Wiedziałam, że tak będzie. - Rebecca wstała. Z roztargnieniem szukała swojej bielizny. - To była tylko kwestia czasu.

- Hej, zwolnij! Do niczego cię nie zmuszam.

- Wiem, że nie. Jesteś miłym, uprzejmym człowiekiem.

- Jeśli nie odpowiada ci wyjazd na weekend, nie wyjedziemy.

- Nie wyjedziemy.

Znalazła swoje majteczki i włożyła je, a potem sięgnęła po biustonosz.

- No to dlaczego się ubierasz? Mamy jeszcze co najmniej pół godziny.

- Kiedy zaczęliśmy się spotykać, przysięgam sobie, że zakończę to, zanim stanie się zbyt poważną sprawą.

- Posłuchaj! Przepraszam, że chciałem wyjechać z tobą na weekend. Obiecuję już nigdy więcej o tym nie wspominać.

- Nie w tym problem.

- A w czym?

- Chcę z tobą pojechać. To właśnie mnie niepokoi. Chcę tego bardziej niż ty.

Wyglądał na zdezorientowanego.

- A więc...?

- Dlatego muszę wybrać. Nie mogę dłużej kochać was obu.

Zapięła zamek sukienki i włożyła buty.

- Wybierz mnie - poprosił. - Dałaś Berndowi sześć długich lat. Czy to nie wystarczy?

Jak może być niezadowolony?

- Złożyłam mu obietnicę.

- Złam ją.

- Człowiek, który łamie dane słowo, umniejsza swoją wartość. To jak utrata palca. To gorsze niż paraliż, który jest tylko fizyczną ułomnością. Człowiek, którego obietnice są bezwartościowe, ma chorą duszę.

Popatrzył na nią zawstydzony.

- Masz rację.

- Dziękuję za to, że mnie kochałeś, Claus. Nigdy nie zapomnę ani jednej sekundy z naszych poniedziałkowych wieczorów.

- Nie mogę uwierzyć, że cię tracę.

Odwrócił się.

Chciała pocałować go jeszcze jeden raz, ale postanowiła tego nie robić.

- Żegnaj - powiedziała i wyszła.

Końcówka wyborów okazała się wyrównanym pojedynkiem.

Na początku września Cam był pewny, że Richard Nixon wygra. W sondażach miał ogromną przewagę. Policyjne ekscesy w demokratycznym Chicago, świeże w pamięci telewidzów, obciążły jego przeciwnika, Huberta Humphreya. Potem, pod koniec września i w październiku, Cam przekonał się, że wyborcy mają denerwująco krótką pamięć. Ku jego przerażeniu Humphrey zaczął doganiać kandydata republikanów. W piątek przed wyborami sondaż Harrisa wykazywał przewagę Nixona czterdzieści do trzydziestu siedmiu; w poniedziałek Gallup oszacował ją na czterdzieści dwa do czterdziestu; a w dniu wyborów Harris podał, że Humphrey prowadzi „o włos”.

Wieczorem Nixon wprowadził się do apartamentu hotelu Waldorf Towers w Nowym Jorku. Cam i inni ważni wolontariusze zebrali się w znacznie skromniejszym pomieszczeniu z telewizorem i lodówką pełną piwa. Cam rozglądał się po sali i podekscytowany zastanawiał się, ilu z nich dostanie pracę w Białym Domu, jeśli tego wieczoru wygra Nixon.

Cam zaprzyjaźnił się z pospolitą, poważną dziewczyną - Stephanie Maple - i miał

nadzieję, że pójdzie z nim do łóżka, żeby uczcić zwycięstwo Nixona lub dać się pocieszyć po przegranej.

O wpół do dwunastej zobaczyli w telewizorze, jak Herb Klein, etatowy rzecznik prasowy Nixona, przemawia w przestronnej sali konferencyjnej kilka pięter niżej.

- Nadal uważamy, że wygramy przewagą od trzech do pięciu milionów głosów, ale w tym momencie wygląda ona na bliższą tej pierwszej cyfry.

Cam pochwycił spojrzenie Stephanie i uniósł brwi. Wiedzieli, że Herb wygaduje bzdury. Według danych, które spłynęły do północy, Humphrey prowadził sześciuset tysiącami głosów. Potem, dziesięć minut po północy, przyszła wiadomość, która przekreśliła nadzieje Cama: CBS donosiła, że Humphrey zwyciężył w Nowym Jorku - nie o włos, ale przewagą pół miliona głosów.

Oczy wszystkich zwróciły się na Kalifornię, gdzie głosowanie odbywało się trzy godziny po zamknięciu urn na wschodzie. Jednak Kalifornia opowiedziała się za Nixonem i o wszystkim miało zdecydować Illinois.

Nikt nie potrafił przewidzieć wyniku w Illinois. Machina partyjna demokratów burmistrza Daleya zawsze bezczelnie oszukiwała. Tylko czy władza Daleya nie zmniejszyła się po tym, jak telewizja pokazała jego policję bijącą pałkami młodzież? Czy poparcie burmistrza dla Humphreya było wiarygodne? Humphrey w bardzo umiarkowany i zawoalowany sposób skrytykował Daleya, mówiąc: „Chicago w sierpniu było pełne bólu”, ale napastnicy i tak poczuli się urażeni i krążyły pogłoski, że Daley jest niezadowolony i bez przekonania oręduje za Humphreym.

Jakikolwiek był tego powód, w końcu Daley nie oddał Illinois Humphreyowi.

Kiedy w telewizji podano, że Nixon wygrał w tym stanie przewagą stu czterdziestu tysięcy głosów, wolontariusze szaleli z radości. Wybory się zakończyły i wygrali je.

Przez chwilę gratulowali sobie, a potem rozeszli się do swoich pokoi, żeby przespać się kilka godzin przed porannym przemówieniem zwycięskiego Nixona.

- Może jeszcze jednego drinka? - cicho powiedział Cam do Stephanie. - Mam w pokoju butelkę.

- O rany, nie, dziękuję - odparła. - Jestem wykończona.

Ukrył rozczarowanie.

- Może innym razem.

- Jasne.

W drodze do swojego pokoju Cam spotkał Johna Ehrlichmana.

- Gratuluję panu!

- A ja tobie, Cam.

- Dziękuję.

- Kiedy kończysz studia?

- W czerwcu.

- Zgłoś się do mnie potem. Może będę mógł zaproponować ci pracę.

Właśnie o tym Cam marzył.

- Dziękuję!

Wszedł do swojego pokoju w podniosłym nastroju, pomimo odmowy Stephanie. Nastawił budzik i padł na łóżko: wyczerpany, lecz triumfujący. Nixon zwyciężył. Kończyły się dekadencje, liberalne lata sześćdziesiąte. Teraz ludzie będą musieli pracować na to, czego chcą, a nie domagać się tego, demonstrując. Ameryka znów stanie się silna, zdyscyplinowana, konserwatywna i bogata. W Waszyngtonie będzie rządził nowy reżim.

A Cam będzie jego częścią.



**CZĘŚĆ SIÓDMA**

**Taśma**

**1972-1974**

## ROZDZIAŁ 46

Jacky Jakes przyrządziła smażonego kurczaka ze słodkimi ziemniakami, jarmużem i chlebem kukurydzianym.

- Do licha z dietą - powiedziała Maria Summers i zaczęła zajadać.

Uwielbiała takie jedzenie. Zauważyła, że George jadł niewiele, trochę kurczaka i zieleniny, bez chleba. Zawsze miał wyrafinowany gust.

Była niedziela. Maria bywała w domu Jakesów, niemal jakby byli jej rodziną. Zaczęło się to przed czterema laty, po tym jak pomogła George'owi dostać pracę w firmie Fawcett Renshaw. W Święto Dziękczynienia zaprosił Marię do domu matki na tradycyjnego indyka, próbując podnieść wszystkich na duchu po zwycięstwie wyborczym Nixona, które przekreśliło ich nadzieje. Maria tęskniła za swoją rodziną w tak odległym Chicago, więc z wdzięcznością przyjęła zaproszenie. Uwielbiała ciepłą i stanowczą Jacky, która najwyraźniej też ją polubiła. Od tamtej pory Maria odwiedzała ich co parę miesięcy.

Po obiedzie usiedli w saloniku.

- Coś cię gryzie, dziecko - odezwała się Jacky, gdy George wyszedł na chwilę. - Co ci leży na sercu?

Maria westchnęła. Jacky była domyślna.

- Muszę podjąć trudną decyzję - odparła.

- Romans czy praca?

- Praca. No wiesz, z początku wydawało się, że prezydent Nixon nie będzie taki zły, jak wszyscy się obawialiśmy. Zrobił dla czarnych więcej, niż ktokolwiek mógł przypuszczać. - Zaczęła liczyć na palcach: - Po pierwsze, zmusił związki pracowników budowlanych, żeby przyjmowały więcej czarnych pracowników. Związki walczyły z nim zaciekle, ale nie ustąpił. Po drugie, wspomógł firmy mniejszości narodowych. W ciągu trzech lat udział takich firm w kontraktach rządowych wzrósł z ośmiu milionów dolarów do dwustu czterdziestu milionów. Po trzecie, zniósł segregację rasową w szkołach. Wprawdzie to prawo już obowiązywało, ale Nixon wymusił jego przestrzeganie. Do zakończenia pierwszej kadencji Nixona liczba dzieci w szkołach tylko dla czarnych spadnie z sześćdziesięciu ośmiu procent do mniej niż dziesięciu.

- W porządku, przekonałaś mnie. W czym problem?

- Jego administracja robi rzeczy, które są złe, po prostu przestępcze. Prezydent postępuje tak, jakby nie musiał przestrzegać prawa!

- Wierz mi, kochanie, wszyscy przestępcy tak myślą.

- Ale my, pracownicy państwowi, mamy być dyskretni. Obowiązuje nas milczenie. Nie donosimy na polityków, nawet jeśli nie zgadzamy się z ich działaniami.

- Hm. Widzę tu konflikt moralny. Lojalność wobec przełożonego sprzeczną z obowiązkiem względem kraju.

- Mogłabym po prostu odejść. Zapewne zarobiłabym więcej w prywatnym sektorze. Jednak Nixon i jego ludzie nadal robiliby swoje, zachowując się niczym gangsterzy z mafii. Poza tym nie chcę pracować w prywatnej firmie. Chcę uczynić Amerykę lepszym krajem, szczególnie dla czarnych. Poświęciłam temu całe moje życie. Dlaczego miałabym zrezygnować tylko dlatego, że Nixon jest łajdakiem?

- Wielu pracowników administracji rządowej rozmawia z prasą. Wciąż czytam o tym, co „pewne źródła” mówią dziennikarzom.

- Jesteśmy zaszokowani, ponieważ Nixon i Agnew podczas kampanii wyborczej obiecywali prawo i porządek. Ta jawna hipokryzja doprowadza nas wszystkich do szału.

- Tak więc musisz zdecydować, czy dokonać „przecieku” do mediów.

- Chyba właśnie nad tym się zastanawiam.

- Jeśli to zrobisz - powiedziała zaniepokojona Jacky - to proszę, bądź ostrożna.

Maria i George poszli z Jacky na wieczorne nabożeństwo w Kościele Ewangelickim Bethel, a potem George odwiózł Marię do domu. Wciąż jeździł tym starym ciemnoniebieskim mercedesem kabrioletem, który kupił po przyjeździe do Waszyngtonu.

- Chyba już wszystkie części tego samochodu zostały wymienione - poskarżył się. - Kosztował mnie fortunę.

- Zatem dobrze, że w Fawcett Renshaw zarabiasz fortunę.

- Istotnie, nieźle mi płacą.

Maria uświadomiła sobie, że siedzi tak sztywno, aż bolą ją plecy. Próbowała rozluźnić mięśnie.

- George, chcę z tobą porozmawiać o pewnej poważnej sprawie.

- Słucham.

Zawahała się. Teraz albo nigdy.

- W zeszłym miesiącu Departament Sprawiedliwości umorzył trzy dochodzenia antymonopolowe na bezpośrednie polecenie Białego Domu.

- Z jakiego powodu?

- Żadnego nie podano. Jednak wszystkie trzy firmy były ważnymi sponsorami kampanii Nixona w sześćdziesiątym ósmym roku i można oczekiwać, że będą finansowały tegoroczną, w której będzie się ubiegał o reelekcję.

- Przecież to zwyczajne naruszanie praworządności! To przestępstwo.
- Właśnie.
- Wiedziałem, że Nixon to kłamca, ale nie sądziłem, że jest przestępcą.
- Tak, trudno w to uwierzyć.
- Dlaczego mi o tym mówisz?
- Trzeba przekazać tę informację prasie.
- No cóż, Mario, to trochę niebezpieczne.
- Jestem gotowa podjąć ryzyko. Ale oczywiście postaram się być bardzo ostrożna.
- Dobrze.
- Czy znasz jakichś reporterów?
- Jasne. Na przykład Lee Montgomery'ego.

Maria się uśmiechnęła.

- Kilka razy byłam z nim na randce.
- Wiem, sam was umawiałem.
- Jednak to oznacza, że zdaje sobie sprawę z naszej znajomości. Gdybyś przekazał mu tę informację, a on zastanawiałby się, kto jest źródłem przecieku, byłabym pierwszą osobą, która przyszłaby mu na myśl.

- Masz rację, to zły pomysł. A może Jasper Murray?
- Szef waszyngtońskiego oddziału This Day? On byłby idealny. Skąd go znasz?
- Poznaliśmy się przed laty, gdy był studentem dziennikarstwa i męczył Verenę, żeby załatwiła mu wywiad z Martinem Lutherem Kingiem. Jakies sześć miesięcy temu zagadnął mnie na konferencji prasowej jednego z moich klientów. Okazuje się, że był w tym motelu w Memphis, rozmawiał z Vereną i oboje widzieli, jak zastrzelono doktora Kinga. Pytał mnie, co się z nią stało. Musiałem mu powiedzieć, że nie mam pojęcia. Myślę, że się w niej durzył.

- Jak większość mężczyzn.
- Włącznie ze mną.
- Zobacysz się z Murrayem? - Maria w napięciu czekała na odpowiedź, obawiając się, że George odmówi, argumentując, że nie chce się w to mieszać. - Przekażesz mu to, co ci powiedziałam?

- A więc mam być twoim zabezpieczeniem. W ten sposób nie będzie bezpośredniego powiązania między tobą a Jasperem.

- Tak.
- To jak z filmu z Jamesem Bondem.
- Zrobisz to? - Wstrzymała oddech.

Uśmiechnął się.

- Oczywiście - rzekł.

Prezydent Nixon był wściekły jak diabli.

Stał za swoim wielkim biurkiem w Gabinetcie Ovalnym, na tle złotych zasłon. Zgarbił się, spuścił głowę i groźnie ściągnął krzaczaste brwi. Jego twarz o obwisłych policzkach jak zwykle była ciemna od zarostu, którego nigdy nie mógł dobrze ogolić. Dolną wargę wysunął w charakterystycznym grymasie wyzwania przechodzącego w użalanie się nad sobą.

- Ni cholery mnie nie obchodzi, jak to zostanie zrobione - odezwał się głębokim, chrapliwym, ponurym głosem. - Zróbcie, co trzeba, żeby zatamować te przecieki i zapobiec dalszym nieautoryzowanym wywiadam dla prasy.

Cam Dewar i jego szef, John Ehrlichman, stali i słuchali. Cam był wysoki, jak jego ojciec i dziadek, ale Ehrlichman jeszcze wyższy. Mianowano go asystentem prezydenta do spraw krajowych. Ten skromny tytuł był zwodniczy: John należał do najbardziej zaufanych współpracowników Nixona.

Cam wiedział, dlaczego prezydent się złości. Wszyscy oglądali program This Day poprzedniego wieczoru. Jasper Murray skierował obiektyw swojej wścibskiej kamery na sponsorów Nixona. Twierdził, że Nixon zamknął dochodzenia antymonopolowe trzech dużych korporacji, które przekazały spore dotacje na jego kampanię.

Co było prawdą.

Gorzej, Murray sugerował, że jakakolwiek firma chcąc utracić takie śledztwo w tym roku wyborczym musi tylko zapłacić wystarczająco dużą kontrybucję na rzecz Komitetu Reelekcji Prezydenta, w skrócie CREEP.

Cam domyślał się, że to też jest prawdą.

Nixon wykorzystywał prezydencką władzę, by pomóc swoim przyjaciołom. A do tego atakował nieprzyjaciół, nasyłając urzędy skarbowe i inne organa kontrolne na korporacje wspierające finansowo demokratów.

Cam uważał reportaż Murraya za ociekający obrzydliwą hipokryzją. Wszyscy wiedzieli, jak się robi politykę. Niby skąd biorą się pieniądze na kampanie wyborcze? Bracia Kennedy robiliby to samo, gdyby nie mieli więcej pieniędzy niż sam Pan Bóg.

Precieki do prasy były plagą prezydentury Nixona. „New York Times” ujawnił skrywane przez Nixona naloty bombowe na sąsiada Wietnamu, Kambodżę, cytując anonimowe źródła z Białego Domu. Dziennikarz śledczy Seymour Hersh ujawnił, że armia USA zamordowała setki niewinnych osób w wietnamskiej wiosce My Lai - zbrodnia

wojenna, którą Pentagon rozpaczliwie usiłował zatuszować. Teraz, w styczniu 1972 roku, popularność Nixona spadła jak nigdy wcześniej.

Dick Nixon traktował to osobiście. Zresztą wszystko traktował osobiście. Tego ranka wyglądał na urażonego, zdradzonego, wściekłego. Uważał, że świat jest pełen ludzi, którzy chcą go wykończyć, a przecieki tylko pogłębiały tę paranoję.

Cam też był wściekły. Kiedy podjął pracę w Białym Domu, miał nadzieję, że będzie należał do grupy, która zmieni Amerykę. Jednak wszystko, co administracja Nixona próbowała zrobić, było atakowane przez liberalnych dziennikarzy, którym amunicji dostarczały zdradzieckie „źródła” w rządzie. Uznawał to za potwornie irytujące.

- Ten Jasper Murray - powiedział Nixon.

Cam pamiętał Jaspiera. Reporter This Day mieszkał w londyńskim domu Williamsów dziesięć lat temu, gdy odwiedzili ich Dewarowie. To było gniazdo kryptokomunistów.

- Czy to Żyd? - zapytał Nixon.

Cam poczuł zniecierpliwienie, lecz zachował nieprzenikniony wyraz twarzy. Nixon miał kilka zwariowanych teorii, a jedna z nich głosiła, że Żydzi są urodzonymi szpiegami.

- Nie sądzę - odparł Ehrlichman.

- Poznałem Murraya przed laty w Londynie - włączył się Cam. - Jego matka jest pół-Żydówką, a ojciec brytyjskim oficerem.

- Murray jest Anglikiem?

- Tak, ale nie możemy tego wykorzystać przeciwko niemu, ponieważ służył w armii USA w Wietnamie. Brał udział w akcjach i ma medale, które tego dowodzą.

- Cóż, znajdźcie sposób zatamowania tych przecieków. Nie chcę słuchać, dlaczego nie można tego zrobić. Nie chcę wymówek. Chcę wyników. Chcę, żeby to zostało zrobione, obojętnie jakim kosztem.

To była wojownicza deklaracja z rodzaju tych, jakich Cam lubił słuchać. Zagrzała go do czynu.

- Dziękuję, panie prezydencie - powiedział Ehrlichman i wyszli.

- Cóż, to wystarczająco jasne! - ochoczo powiedział Cam, gdy tylko znaleźli się za drzwiami Gabinetu Ovalnego.

- Musimy obserwować Murraya - oświadczył Ehrlichman zdecydowanym tonem.

- Zajmę się tym - rzekł Cam.

Ehrlichman skierował się do swojego gabinetu. Cam opuścił Białą Dom i poszedł Pennsylvania Avenue do Departamentu Sprawiedliwości.

Określenie „obserwować” miało wiele znaczeń. Nie było łamaniem prawa

podsluchiwanie za pomocą ukrytego urządzenia rozmów prowadzonych w jakimś pomieszczeniu. Jednak wejście w tajemniczy do tego pomieszczenia, by ten podsłuch założyć, niemal zawsze łączyło się z nieuprawnionym wtargnięciem lub włamaniem. Podsluchiwanie i nagrywanie rozmów telefonicznych było nielegalne - z pewnymi wyjątkami. Administracja Nixona uważała podsłuchy za legalne, jeśli zaaprobował je prokurator generalny. W ostatnich dwóch latach Biały Dom zlecił siedemnaście podsłuchów: wszystkie zostały zatwierdzone przez prokuratora generalnego na podstawie ustawy o bezpieczeństwie narodowym i zainstalowane przez FBI.

Cam właśnie szedł po zatwierdzenie osiemnastego.

Słabo pamiętał Jaspera Murraya jako młodzieńca, ale wciąż miał przed oczami piękną Evie Williams, która brutalnie odrzuciła jego zaloty. Kiedy powiedział jej, że ją kocha, odparła: „Och, Cam, nie bądź śmieszny”. A potem, gdy nalegał, żeby podała powód, wyjaśniła: „Kocham Jaspera, ty idioto”.

Mówił sobie, że to były głupie szczeniackie dramaty, w końcu miał wtedy zaledwie piętnaście lat. Teraz Evie była gwiazdą filmową i popierała wszystkie komunistyczne idee: od praw obywatelskich po edukację seksualną. Głośny stał się incydent, gdy w programie telewizyjnym swojego brata pocałowała Percy'ego Marquanda, wywołując oburzenie widowni nieprzyzwyczajonej do oglądania, jak biali choćby dotykają czarnych. I na pewno nie kochała już Jaspera. Przez długi czas spotykała się z gwiazdą muzyki rozrywkowej Hankiem Remingtonem, chociaż teraz nie byli parą.

Jednak wspomnienie jej pogardliwej odmowy wciąż paliło Cama jak oparzenie. Nadal nie miał powodzenia u kobiet. Nawet Stephanie Maple, która wcale nie była piękna, odrzuciła jego awanse w dniu zwycięstwa Nixona. Później, gdy oboje zaczęli pracować w Waszyngtonie, Stephanie w końcu zgodziła się pójść z nim do łóżka, ale zakończyła ten romans po pierwszej nocy, co było jeszcze gorsze.

Cam wiedział, że jest wysoki i niezgrabny, ale jego ojciec też był taki i najwyraźniej zawsze miał powodzenie u kobiet. Cam okrężną drogą zapytał o to matkę.

- Jak zakochałaś się w tacie? - spytał. - Nie jest przystojny ani nic.

- Och, ale był taki miły - powiedziała.

Cam nie miał pojęcia, co to miało znaczyć.

Dotarł do budynku Departamentu Sprawiedliwości i wszedł do rozległego i wysokiego holu z aluminiowymi lampami w stylu art déco. Nie przewidywał żadnych problemów z autoryzacją: prokurator generalny John Mitchell był kumplem Nixona i szefem jego sztabu wyborczego w 1968 roku.

Aluminiowe drzwi windy otworzyły się. Cam wsiadł i nacisnął guzik czwartego piętra.

Przez dziesięć lat pracy w waszyngtońskiej administracji Maria nauczyła się ostrożności. Drzwi jej pokoju wychodziły na korytarz prowadzący do pomieszczeń zajmowanych przez prokuratora generalnego i były zawsze otwarte, żeby mogła widzieć, kto przychodzi i wychodzi. Dziś była szczególnie czujna, ponieważ poprzedniego wieczoru nadano program This Day oparty na jej informacjach. Miała świadomość, że reakcja Białego Domu będzie gwałtowna, i chciała wiedzieć, jaką przybierze formę.

Gdy tylko zobaczyła jednego ze współpracowników Johna Ehrlichmana, zerwała się z krzesła.

- Prokurator generalny jest na naradzie i nie można mu przeszkadzać - powiedziała, dogoniwszy młokosa. Widziała go już wcześniej. Był niezdarnym, chuderlawym białym chłopakiem, wysokim i kościstym, przez co marynarka garnituru wisiała na nim jak na wieszaku. Znała ten typ: sprytny, a jednocześnie naiwny. Przywołała swój najbardziej przyjazny uśmiech. - Może mogę panu jakoś pomóc?

- Spraw tego rodzaju nie omawia się z sekretarką - rzucił z irytacją.

Maria nadstawiła uszu. Wyczuwała niebezpieczeństwo. Jednak wciąż udawała życzliwą.

- Zatem to dobrze, że nie jestem sekretarką - powiedziała. - Zajmuję stanowisko radczynie. Nazywam się Maria Summers.

Najwyraźniej trudno mu było pojąć, że czarna kobieta może być prawnikiem.

- Gdzie pani studiowała? - zapytał sceptycznie.

Zapewne spodziewał się, że usłyszy nazwę jakiegoś podrzędnego college'u dla czarnych, więc z przyjemnością rzuciła niedbale:

- Na chicagowskim wydziale prawa.

Jednak nie mogła się oprzeć, żeby nie zapytać:

- A pan?

- Nie jestem prawnikiem - przyznał. - Ukończyłem rusycystykę na Berkeley. Cam Dewar.

- Słyszałam o panu. Pracuje pan dla Johna Ehrlichmana. Może porozmawiamy w moim gabinecie?

- Zaczekam na prokuratora generalnego.

- Chodzi o ten wczorajszy program telewizyjny?

Cam pospiesznie się rozejrzał. Nikt ich nie słyszał.



- Musimy coś z tym zrobić - z wyczuciem powiedziała Maria. - Rząd nie może pracować przez te nieustanne przecieki - ciągnęła z udawanym oburzeniem. - To nie do zniesienia!

Młodzian wyraźnie odtajał.

- Tak właśnie uważa prezydent.

- Tylko co z tym zrobimy?

- Musimy założyć podsłuch na telefon Jaspera Murraya.

Maria przełknęła ślinę. Bogu dzięki, że się o tym dowiedziałam, pomyślała.

- Doskonale - rzuciła. - W końcu jakieś zdecydowane działanie.

- Dziennikarz, który przyznaje się do otrzymywania poufnych informacji z kręgów rządowych, stanowi oczywiste zagrożenie dla bezpieczeństwa narodowego.

- Jak najbardziej. Nie musi się pan martwić papierkami. Jeszcze dzisiaj przedłożę to Mitchellowi. Wiem, że chętnie podpisze.

- Dziękuję.

Zauważyła, że Dewar zerka na jej piersi. Najpierw była dla niego sekretarką, potem Murzynką, a teraz parą cycków. Młodzi ludzie są tacy przewidywalni.

- To będzie tajna akcja wywiadowcza - powiedziała. Określenie, którego użyła, oznaczało bezprawne wtargnięcie i włamanie. - Zajmuje się tym Joe Hugo z FBI.

- Zaraz pójdę i z nim porozmawiam. - Główna siedziba FBI znajdowała się w tym samym budynku. - Dziękuję za pomoc, Mario.

- Bardzo proszę, panie Dewar.

Patrzyła, jak odchodził korytarzem, a potem zamknęła drzwi swojego biura. Podniosła słuchawkę i zadzwoniła do kancelarii Fawcett Renshaw.

- Chciałabym zostawić wiadomość dla George'a Jakesa - powiedziała.

Joe Hugo był mężczyzną około trzydziestki, o bladej twarzy i wyrazistych niebieskich oczach. Jak wszyscy agenci FBI nosił koszmarne konserwatywny strój: szary garnitur, białą koszulę, nijaki krawat i czarne trzewiki z obszytymi noskami. Cam też ubierał się konwencjonalnie, ale nagle jego nierzucający się w oczy brązowy garnitur w prążki - marynarka z szerokimi klapami i spodnie dzwony - wydał mu się ekstrawagancki.

Cam poinformował Hugo, że pracuje dla Ehrlichmana, i wypalił bez ogródek:

- Potrzebny mi podsłuch telefonu Jaspera Murraya, tego dziennikarza telewizyjnego.

Joe zmarszczył brwi.

- Podsłuch biura This Day? Gdyby to wyszło na jaw...

- Nie w biurze, tylko w jego domu. Informatorzy, o których mówimy, najprawdopodobniej dzwonią do niego wieczorami z budek telefonicznych.

- Tak czy inaczej, to problem. FBI już nie zakłada podsłuchów.

- Co takiego? Dlaczego?

- Pan Hoover uważa, że Biuro może stać się kozłem ofiarnym.

Cam nie mógł temu zaprzeczyć. Gdyby FBI zostało przyłapane na włamaniu do domu dziennikarza, prezydent oczywiście twierdziłby, że nic o tym nie wiedział. Tak to się odbywało. J. Edgar Hoover łamał prawo latami, ale teraz z jakiegoś powodu wzbraniał się przed tym. Trudno było powiedzieć dlaczego; miał już siedemdziesiąt siedem lat i na pewno nie był zdrowszy na umyśle niż dawniej.

Cam podniósł głos.

- Prezydent prosi o ten podsłuch, a prokurator generalny chętnie go autoryzuje! Zamierza pan odmówić?!

- Spokojnie - odparł Hugo. - Zawsze jest sposób, żeby spełnić życzenie prezydenta.

- Czy to oznacza, że pan to zrobi?

- To oznacza, że jest pewien sposób. - Hugo napisał coś w notatniku i wydarł kartkę. - Niech pan zadzwoni do tego gościa. Robił takie rzeczy oficjalnie. Teraz jest na emeryturze, co oznacza, że robi je nieoficjalnie.

Cama niepokoiła myśl o nieoficjalnym biegu spraw. Zastanawiał się, co to właściwie oznacza. Jednak wyczuł, że nie pora na wahania.

Wziął kartkę. Widniało na niej nazwisko „Tim Tedder” i numer telefonu.

- Zadzwoń do niego dzisiaj - powiedział Cam.

- Z budki - rzekł Hugo.

Burmistrz Roath w stanie Missisipi siedział w gabinecie George'a Jakesa w kancelarii Fawcett Renshaw. Nazywał się Robert Denny.

- Mów mi Denny - powiedział. - Wszyscy znają Denny'ego. Nawet moja żoneczka nazywa mnie Denny.

Należał do tego rodzaju ludzi, z którymi George walczył przez dziesięć lat: brzydki, gruby, wulgarny, głupi biały rasista.

Jego miasto budowało lotnisko z pomocą rządu. Jednak rządową subwencję mogli otrzymać tylko pracodawcy stosujący przy zatrudnianiu zasadę równouprawnienia. Tymczasem Maria w Departamencie Sprawiedliwości odkryła, że na nowym lotnisku nie będzie czarnego personelu poza tragarzami.

Właśnie tego typu sprawami zajmował się George.

Denny był potwornie protekcyjny.

- Na Południu jest trochę inaczej, George - oznajmił.

Jakbym, kurwa, nie wiedział, pomyślał George, tacy bandyci jak ty jedenaście lat temu złamali mi rękę i w chłodny dzień nadal boli mnie jak diabli.

- Mieszkańcy Roath nie mieliby zaufania do lotniska obsługiwanego przez kolorowych - ciągnął Denny. - No wiesz, bałoby się, że z bezpieczeństwem nie jest tam tak, jak powinno być. Na pewno mnie rozumiesz.

Możesz się założyć, ty rasistowski durniu.

- Stary Renshaw to mój dobry znajomy.

George wiedział, że Renshaw nie jest znajomym Denny'ego. Starszy partner spotkał się z tym klientem tylko dwa razy. Jednak Denny chciał nastraszyć George'a. Jeśli to schrzanisz, twój szef będzie na ciebie naprawdę wściekły.

- Mówił mi - ciągnął Denny - że jesteś najodpowiedniejszą osobą w Waszyngtonie, żeby zdjąć mi z karku Departament Sprawiedliwości.

- Pan Renshaw ma rację - rzekł George. - Jestem.

Denny'emu towarzyszyli dwaj radni miejscy i trzech doradcy, wszyscy biali. Teraz usiedli wygodniej, uspokojeni. George zapewnił ich, że problem da się rozwiązać.

- Cóż - powiedział - można to zrobić na dwa sposoby. Moglibyśmy iść do sądu i zaskarżyć orzeczenie Departamentu Sprawiedliwości. Oni nie są tam zbyt sprytni i na pewno możemy znaleźć usterki w metodologii, błędy w raportach albo oskarżyć ich o stronniczość. Spór sądowy jest korzystny dla mojej firmy, gdyż nasze honoraria byłyby wysokie.

- Możemy je zapłacić - oświadczył Denny.

Najwyraźniej lotnisko było lukratywnym projektem.

- Spór prawny ma dwie wady - kontynuował George. - Po pierwsze, zawsze powoduje zwłokę, a wy chcecie jak najszybciej zbudować i otworzyć to lotnisko. Po drugie, żaden prawnik nie może z ręką na sercu powiedzieć, jaka będzie decyzja sądu. Nigdy nie wiadomo.

- Przynajmniej nie tu, w Waszyngtonie - rzekł Denny.

Widocznie sądy w Roath chętnie spełniały życzenia Denny'ego.

- Ewentualnie - dodał George - możemy negocjować.

- Z czym to by się łączyło?

- Ze stopniowym zatrudnianiem czarnych pracowników na wszystkich szczeblach.

- Obiecujemy im cokolwiek! - powiedział Denny.

- Nie są zupełnie głupi, więc subwencje zostaną powiązane z realizacją tych obietnic.

- Jak sądzisz, czego będą chcieli?

- Ludziom z Departamentu Sprawiedliwości jest wszystko jedno, byle mogli powiedzieć, że coś zmienili. Jednak skonsultują się z organizacjami czarnych w waszym mieście. - George zerknął w akta leżące na biurku. - Tę sprawę zgłosili Departamentowi Sprawiedliwości Chrześcijanie Roath za Równouprawieniem.

- Pierdoleni komuniści - burknął Denny.

- Departament Sprawiedliwości zapewne zgodzi się na każdy kompromis, który uzyska aprobatę tej organizacji. Traficie do nich i macie departament z głowy.

Denny poczerwieniał.

- Nie mów mi, że mam negocjować z tymi cholernymi Chrześcijanami Roath.

- To najlepsze wyjście, jeśli chcecie szybko rozwiązać wasz problem.

Denny się zjeżył.

- Jednak nie musisz spotykać się z nimi osobiście - dodał George. - W rzeczy samej radzę, żebyś wcale z nimi nie rozmawiał.

- To kto będzie negocjował?

- Ja - odparł George. - Polecę tam jutro.

Burmistrz się uśmiechnął.

- A mając, no wiesz, taki kolor skóry, będziesz mógł ich przekonać do ustępstw.

George miał chęć udusić tego głupiego kutasa.

- Nie chcę być źle zrozumiany, panie burmistrzu... a raczej Denny. Będziecie musieli dokonać kilku zmian. Moim zadaniem jest dopilnować, żeby były one jak najmniej bolesne. Jesteś jednak doświadczonym politykiem i na pewno wiesz, jakie znaczenie ma dobre publicity.

- To prawda.

- Najlepiej będzie przyjąć taką wersję, że łaskawie poszedłeś na pewne drobne ustępstwa, wbrew swojej woli, byle tylko to lotnisko zostało zbudowane dla dobra miasta. W ten sposób to wy będziecie mieli ostatnie słowo, a nie Chrześcijanie Roath.

- Kapuję - rzekł Denny i mrugnął.

Nie zdając sobie z tego sprawy, Denny zgodził się zmienić stosowaną od dziesięcioleci zasadę i zatrudnić więcej czarnych na lotnisku. Było to małe zwycięstwo, lecz George i tak się nim cieszył. Jednak Denny nie byłby zadowolony, gdyby nie mógł powiedzieć sobie i innym, że wykiwał przeciwnika. Tak więc trzeba było podtrzymać to złudzenie.

George odpowiedział mu takim samym mrugnięciem.

Gdy delegacja z Missisipi opuszczała jego gabinet, sekretarka George'a z dziwną miną

wręczyła mu karteczkę.

Była na niej zapisana na maszynie wiadomość:

*Jutro o szóstej w kościele przy Barney Circle odbędzie się spotkanie modlitewne.*

Mina sekretarki świadczyła, jak bardzo dziwi ją ten sposób spędzania wieczoru przez wziętego waszyngtońskiego prawnika.

George wiedział, że to wiadomość od Marii.

Camowi nie podobał się Tim Tedder. Nosił strój safari i był krótko ostrzyżony, jak żołnierz. Nie zapuścił baków, chociaż obecnie prawie wszyscy je mieli. Cam uważał, że Tedder jest zbyt zapalczywy. Najwyraźniej cieszyło go każde tajne działanie. Cam zastanawiał się, co Tedder by powiedział, gdyby go poprosił, żeby zabił Jaspera Murraya, a nie tylko założył mu podsłuch.

Tedder nie miał żadnych skrupułów w kwestii łamania prawa, ale przywykł pracować dla rządu i przed upływem dwudziestu czterech godzin pojawił się w biurze Cama z projektem planu i budżetu.

Plan przewidywał obserwację mieszkania Jaspera Murraya, którą trzej obserwatorzy poprowadzą przez dwa dni w celu poznania rozkładu dnia dziennikarza. Następnie wejdą do mieszkania, gdy będzie to bezpieczne, i umieszczą nadajnik w jego telefonie. Ponadto umieszczą w pobliżu magnetofon, zapewne na dachu budynku, w obudowie z napisem „50 000 V - NIE DOTYKAĆ”, żeby zniechęcić ciekawskich. Przez miesiąc będą zmieniać taśmy co dwadzieścia cztery godziny, a Tedder dostarczy maszynopisy wszystkich rozmów.

Razem miało to kosztować pięć tysięcy dolarów. Cam zamierzał pobrać te pieniądze ze specjalnego funduszu Komitetu Reelekcji Prezydenta.

Poszedł z tą propozycją do Ehrlichmana, doskonale wiedząc, że przekracza pewną granicę. Jeszcze nigdy nie zrobił niczego sprzecznego z prawem. Teraz miał się stać współuczestnikiem włamania. Jednak to było konieczne: muszą zatamować przecieki, a prezydent powiedział: „Ni cholery mnie nie obchodzi, jak to zostanie zrobione”. Pomimo wszystko Cam nie czuł się z tym najlepiej. Miał skoczyć z trampoliny w ciemność i nie widział wody na dole.

John Ehrlichman zaaprobował projekt, kreśląc „E” w przeznaczonym na to miejscu.

Potem dopisał uwagę świadczącą, że też jest zaniepokojony:

*Jeśli gwarantujesz, że to nie wyjdzie na jaw.*

Cam wiedział, co to oznacza.

Jeżeli to wszystko się wyda, cała wina spadnie na niego.

George opuścił swoje biuro o piątej trzydzieści i pojechał na Barney Circle, do taniej dzielnicy mieszkaniowej na wschód od Wzgórza Kapitońskiego. Kościół okazał się barakiem na parceli otoczonej wysokim ogrodzeniem z siatki z rzędami twardych krzeseł zajętych mniej więcej w połowie. Wszyscy wierni byli czarni, większość stanowiły kobiety. George uznał, że to doskonałe miejsce na tajne spotkanie: agent FBI rzucałby się tu w oczy jak łajno na obrusie.

Jedna z kobiet odwróciła się i poznał Marię Summers. Usiadł obok niej.

- Co się stało? - szepnął. - Co to za nagła sprawa?

Przyłożyła palec do ust.

- Później - powiedziała.

Uśmiechnął się krzywo. Będzie musiał odsiedzieć godzinę modlitw. No cóż, to zapewne dobrze zrobi jego duszy.

Cieszył się, że może brać udział w tym spisku razem z Marią. Praca w firmie Fawcett Renshaw nie zaspokajała jego umiłowania sprawiedliwości. Wprawdzie pomagał w realizacji równych praw dla czarnych, ale stopniowo i powoli. Miał już trzydzieści sześć lat, wystarczająco dużo, by wiedzieć, że młodzieńcze marzenia o lepszym świecie rzadko się spełniają, a mimo to uważał, że powinien robić więcej niż tylko umożliwić kilku czarnym znalezienie zatrudnienia na lotnisku Roath.

Wszedł pastor i zaczął od improwizowanej modlitwy, która trwała dziesięć lub piętnaście minut. Następnie poprosił wiernych, żeby posiedzieli w milczeniu, rozmawiając z Bogiem.

- Chętnie usłyszemy głos każdego, kto czuje się powołany przez Ducha Świętego, aby podzielić się z nami swoją modlitwą. Zgodnie z naukami apostoła Pawła, kobiety milczą w kościele.

George szturchnął Marię, wiedząc, że się zjeżyła na taki przejaw uświęconego seksizmu.

Matka George'a uwielbiała Marię. George podejrzewał, że Jacky sądziła, iż mogłaby być taka jak ona, gdyby urodziła się jedno pokolenie później. Mogłaby mieć dobre wykształcenie, ważną pracę i czarną suknię oraz sznur pereł.

Podczas modłów myśli George'a pobiegły do Vereny. Zniknęła w szeregach Czarnych Panter. Chciałby wierzyć, że stała za bardziej humanitarnymi przejawami ich działania, takimi jak gotowanie śniadań uczniom z biednych dzielnic, których matki wcześniej rano sprzątały biura białych ludzi. Jednak znając Verenę, równie dobrze mogła rabować banki.

Pastor zakończył spotkanie kolejną długą modlitwą. Gdy tylko powiedział „amen”, członkowie kongregacji zaczęli ze sobą rozmawiać. Gwar ich rozmów był głośny i George uznał, że teraz może pomówić z Marią.

- Zamierzają założyć podsłuch w telefonie w domu Jaspera Murraya - powiedziała pospiesznie. - Jeden z chłopców Ehrlichmana przyszedł dziś z Białego Domu.

- Zapewne spowodował to ostatni program telewizyjny Jaspera.

- Możesz się założyć o ostatnią koszulę.

- I tak naprawdę nie chodzi im o Jaspera.

- Wiem. O osobę, która przekazuje mu informacje. O mnie.

- Jutro zobaczę się z Jasperem i ostrzegę go, żeby uważał, co mówi w domu przez telefon.

- Dzięki. - Rozejrzała się. - Nie jesteśmy tu tak niewidoczni, jak liczyłam.

- Dlaczego?

- Jesteśmy za dobrze ubrani. Wyróżniamy się z tłumu.

- A moja sekretarka teraz myśli, że odrodziłem się duchowo. Chodźmy stąd.

- Nie możemy wyjść razem. Idź pierwszy.

George wyszedł z kościółka i pojechał z powrotem w kierunku Białego Domu.

Myślał o tym, że Maria nie jest jedyną osobą z rządowej administracji przekazującą informacje prasie: było takich wiele. George przypuszczał, że okazywany przez prezydenta brak szacunku dla prawa szokował niektórych pracowników do tego stopnia, że łamali wieloletnie milczenie. Przestępcze działania Nixona były szczególnie przerażające, ponieważ w kampanii wyborczej obiecywał prawo i porządek. George miał wrażenie, że amerykański naród padł ofiarą gigantycznego oszustwa.

Starał się znaleźć najlepsze miejsce na spotkanie z Jasperem. Poprzednio po prostu poszedł do filii This Day. Ten jeden raz mogło to nie być ryzykowne, ale nie powinien tam iść po raz drugi. Nie chciał, by waszyngtońscy plotkarze zbyt często widywali go z Jasperem. Poza tym ich spotkanie musiało wyglądać na przypadkowe, a nie skrywane, na wypadek gdyby jednak ktoś ich zobaczył.

Pojechał na parking w pobliżu biura Jaspera. Szereg stanowisk na drugim piętrze był zarezerwowany dla personelu This Day. George zaparkował w pobliżu i poszedł do budki telefonicznej.

Jasper był w biurze.

George nie podał swojego nazwiska.

- Jest piątkowy wieczór - powiedział bez żadnych wstępów. - Kiedy zamierzasz wyjść z

pracy?

- Wkrótce.
- Najlepiej zrób to teraz.
- W porządku.

George się rozłączył.

Kilka minut później Jasper wyszedł z windy - postawny mężczyzna z grzywą jasnych włosów, niosący prochowiec. Podszedł do swojego samochodu, brązowego lincolna continental z czarnym dachem.

George ruszył w jego stronę i po chwili obaj wsiedli do wozu. Opowiedział dziennikarzowi o podsłuchu.

- Będę musiał rozebrać telefon na części i usunąć pluskwę - rzekł Jasper.

George pokręcił głową.

- Jeśli to zrobisz, będą wiedzieli, ponieważ magnetofon niczego nie zarejestruje.
- I co z tego?

- To, że znajdą inny sposób, by cię podsłuchiwać, a następnym razem możemy nie mieć tyle szczęścia i nie wiedzieć o tym.

- Kurwa. Wszystkie najważniejsze telefony odbieram w domu. Co mam robić?

- Kiedy zadzwoni jakieś ważne źródło, powiedz, że jesteś zajęty i oddzwonisz, a potem zrób to z budki telefonicznej.

- Chyba coś wymyślę. Dzięki za ostrzeżenie. Czy pochodzi z tego samego źródła?

- Tak.

- Ten ktoś jest dobrze poinformowany.

- Tak - potwierdził George. - Jest.



## ROZDZIAŁ 47

Beep Dewar przyjechała zobaczyć się z Dave'em Williamsem na Daisy Farm, w jego studiu nagraniowym w dolinie Napa.

Pokoje były skromnie umeblowane, lecz wygodne, natomiast bynajmniej skromne nie było studio, wyposażone w najnowocześniejszy sprzęt. Nagrano tu kilka albumów, które stały się przebojami, a wynajmowanie studia zespołom zmieniło się w mały, ale dochodowy interes. Czasem zespoły prosiły Dave'a, żeby został ich producentem, a on odkrył, że ma talent do pomagania im w uzyskaniu takiego brzmienia, jakie chcieli.

I dobrze, ponieważ Dave nie zarabiał już tyle co kiedyś. Od rozpadu Plum Nellie wydał płytę z największymi przebojami, płytę z koncertu na żywo oraz z nowymi aranżacjami. Każda sprzedawała się nieco gorzej od poprzedniej. Solowe płyty byłych członków zespołu cieszyły się umiarkowanym powodzeniem. Dave nie miał problemów finansowych, ale już nie kupował co roku nowego ferrari. Jego dochody spadały.

Kiedy Beep zadzwoniła, pytając, czy może przyjechać i spotkać się z nim nazajutrz, był tak zdziwiony, że nie zapytał, czy ma po temu jakiś szczególny powód.

Rano umył szamponem brodę, biorąc prysznic. Włożył czyste dżinsy i jasnoniebieską koszulę. Potem zadał sobie pytanie, dlaczego tak się przejmuje. Już nie był zakochany w Beep. Dlaczego miałoby go obchodzić, co eksnarzeczona pomyśli o jego wyglądzie? Uświadomił sobie, że chciał, by spojrzała na niego i pożałowała, że go zdradziła. „Cholerny głupiec”, powiedział do siebie i włożył stary bawełniany T-shirt.

Mimo wszystko zastanawiał się, czego ona chce.

Był w studiu, pracując z młodym piosenkarzem i kompozytorem nad jego pierwszą płytą, gdy zamrugła lampka bramofonu. Zostawił artystę pracującego nad środkową częścią utworu i wyszedł na zewnątrz. Beep podjechała pod dom czerwonym mercurym cougarem ze spuszczonej dachem.

Spodziewał się, że się zmieniła, i był zaintrygowany, widząc, że wygląda tak samo jak dawniej: mała i śliczna, z łobuzerskim błyskiem w oku. Niemal nie różniła się od tej Beep, którą poznał dziesięć lat temu jako niepokojąco seksowną trzynastolatkę. Dziś miała na sobie niebieskie rybaczki i pasiasty top, a krótko ścięte włosy związane w kucyk.

Najpierw zaprowadził ją na tyły domu i pokazał widok na dolinę. Była zima i winorośl zgubiła liście, ale słońce świeciło jasno i rzędy brązowych roślin rzucały niebieskawe cienie, tworząc kręte wzory jak muśnięcie pędzla.

- Jakie winogrona tu uprawiasz? - zapytała.

- Cabernet sauvignon, klasyczne czerwone. Są odporne i ta kamienista gleba im odpowiada.

- Robisz wino?

- Tak. Nie jest rewelacyjne, ale coraz lepsze. Wejź do środka i spróbuj kieliszek.

Spodobała jej się kuchnia, cała w drewnie i wyglądająca na tradycyjną pomimo najnowszych gadżetów. Szafki były z naturalnego drewna sosnowego, ręcznie przecieranego i zabarwionego jasną bejcą, nadającą drewnu złocisty połysk. Dave usunął płaski sufit, otwierając pomieszczenie w górę, aż po skośny dach.

Poświęcił dużo czasu na projektowanie tego wnętrza, ponieważ chciał, by wyglądało jak kuchnia domu przy Great Peter Street, do której wszyscy przychodzili posiedzieć, jeść, pić i rozmawiać.

Usiedli przy zabytkowym sosnowym stole i Dave otworzył butelkę Daisy Farm Red rocznik 1969; pierwszy rocznik, który wyprodukowali wspólnie z Dannym Medina. Nadal było zbyt ciepko i Beep się skrzywiła, a Dave skwitował to śmiechem.

- Chyba trzeba wziąć pod uwagę przede wszystkim jego potencjał.

- Wierzę ci na słowo.

Wyjęła paczkę chesterfieldów.

- Paliłaś chesterfieldy, kiedy miałaś trzynaście lat - powiedział Dave.

- Powinnam rzucić palenie.

- Nigdy wcześniej nie widziałem tak długich papierosów.

- Byłaś słodkim dzieciakiem.

- I widok twoich warg zaciśniętych na chesterfieldzie dziwnie mnie podniecał, chociaż nie wiedziałem dlaczego.

Roześmiała się.

- Mogłam ci to wyjaśnić.

Upił następny łyk wina. Za parę lat może będzie lepsze.

- Co u Wallego? - zapytał.

- Dobrze. Ćpa więcej, niż powinien, ale co mam powiedzieć? Jest gwiazdą rocka.

Dave się uśmiechnął.

- Sam często wypalam skręta wieczorem.

- Spotykasz się z kimś?

- Z Sally Dasilwą.

- Tą aktorką. Widziałam wasze zdjęcie na jakiejś premierze, ale nie wiedziałam, czy to

poważny związek.

Nie był zbyt poważny.

- Sally mieszka w LA, poza tym oboje mamy dużo pracy. Jednak czasem spędzamy razem weekendy.

- Skoro o tym mowa, muszę ci powiedzieć, że bardzo podziwiam twoją siostrę.

- Evie jest fantastyczną aktorką.

- Płakałam ze śmiechu na tym filmie, w którym grała młodą policjantkę. Jednak to jej działalność czyni ją bohaterką. Wielu ludzi deklaruje, że jest przeciwko wojnie, ale niewielu ma odwagę pojechać do Wietnamu Północnego.

- Bała się jak cholera.

- Założę się.

Dave odstawił kieliszek i uważnie przyjrzał się Beep. Nie potrafił już dłużej zapanować nad ciekawością.

- O co naprawdę ci chodzi, Beep?

- Po pierwsze, dziękuję za to, że zechciałeś się ze mną spotkać. Nie musiałeś i doceniam to.

- Bardzo proszę.

Przyszło mu to z trudem, lecz dociekliwość wzięła górę nad urazą.

- Po drugie, przepraszam za to, co zrobiłam w sześćdziesiątym ósmym roku. Przykro mi, że cię zraniłam. To było okrutne i nigdy nie przestanę się tego wstydzić.

Dave skinął głową. Nie zamierzał zaprzeczać. Pozwolić, by narzeczony zastał ją w łóżku ze swoim najlepszym przyjacielem, to chyba najokrutniejsze, co może zrobić dziewczyna, a to, że miała wtedy zaledwie dwadzieścia lat, nie było wystarczającym usprawiedliwieniem.

- Po trzecie, Wallemu też jest przykro. Nie zrozum mnie źle, on i ja wciąż się kochamy, ale wiemy, co zrobiliśmy. Walli sam ci to powie, jeśli dasz mu kiedyś szansę.

- W porządku.

Zaczęła budzić uśpione emocje. Dave odkrył w sobie echa dawno zapomnianych uczuć: gniew, urazę, ból. Niecierpliwie chciał się dowiedzieć, do czego zmierza ta rozmowa.

- Czy zdołasz nam kiedyś wybaczyć? - spytała Beep.

Nie był przygotowany na to pytanie.

- Nie wiem, nie zastanawiałem się nad tym - wykrztusił. Jeszcze wczoraj powiedziałby, że już go to nie obchodzi, lecz pytania Beep ponownie obudziły uśpiony żal. - Z czym wiązałoby się to przebaczenie?

Beep nabrała tchu.

- Walli chce reanimować zespół.
- O! - Tego Dave się nie spodziewał.
- Brakuje mu pracy z tobą.

Dave poczuł mściwą satysfakcję.

- Albumy solowe nie sprzedają się tak dobrze - dodała Beep.
- Jego i tak lepiej niż moje.

- Jednak nie chodzi mu nawet o wyniki sprzedaży. Nie dba o pieniądze, nie wydaje nawet połowy tego, co zarabia. Najważniejsze jest dla niego to, że razem tworzyliście lepszą muzykę.

- Nie mogę zaprzeczyć - powiedział Dave.

- Ma kilka piosenek, które chciałby z tobą zagrać. Moglibyście ściągnąć z Londynu Lew i Buzza. Wszyscy zamieszkalibyśmy tu, na Daisy Farm. A potem, kiedy wyjdzie płyta, może moglibyście dać wspólny koncert albo nawet ruszyć w trasę.

Dave mimo woli był podekscytowany. Nic nie mogło się równać z tamtymi latami, w ciągu których Plum Nellie przebyli długą drogę z Hamburga do Haight-Ashbury. Zespół był wykorzystywany, oszukiwany i naciągany, ale cieszył się każdą chwilą. Teraz Dave stał się szanowaną i dobrze zarabiającą osobowością telewizyjną, postacią ze świata show-biznesu, ulubieńcem rodzin. Jednak to nie było nawet w połowie tak zabawne.

- Znów ruszyć w trasę? - odezwał się. - Sam nie wiem.
- Zastanów się - poprosiła Beep. - Na razie nie mów „tak” czy „nie”.
- Dobrze - rzekł Dave. - Zastanowię się nad tym.

Jednak już wiedział, jaka będzie odpowiedź.

Odprowadził ją do samochodu. Na fotelu pasażera leżała gazeta. Beep podniosła ją i podała mu.

- Widziałeś? - zapytała. - To zdjęcie twojej siostry.

Zdjęcie ukazywało Evie Williams w mundurze polowym.

Pierwsze, o czym pomyślał Cam Dewar, to jak kusząco wygląda. Te workowate ciuchy tylko przypominały mu, że pod nimi znajduje się idealne ciało, które cały świat widział w filmie Modelka artysty. W ciężkich buciorach i czapce z daszkiem wyglądała jeszcze ponętniej.

Siedziała na czołgu. Cam nie znał się na uzbrojeniu, ale podpis powiedział mu, że to sowiecki T-54 z działem kalibru 100 milimetrów.

Wokół niej stali żołnierze w mundurach armii Wietnamu Północnego. Evie najwyraźniej mówiła im coś śmiesznego, bo wszyscy mieli ożywione i rozbawione miny. Uśmiechali się i śmiali jak ludzie na całym świecie na widok hollywoodzkiej znakomitości.

Według zamieszczonego artykułu była tam z misją pokojową. Dowiedziała się, że Wietnamczycy nie chcą toczyć wojny ze Stanami Zjednoczonymi.

- Pierdolona niespodzianka - sarkastycznie mruknął Cam.

Evie mówiła, że chcą tylko, by zostawiono ich w spokoju.

To zdjęcie było wielkim sukcesem ruchu antywojennego. Połowa dziewcząt w Ameryce chciała być Evie Williams, połowa chłopców pragnęła się z nią ożenić, a wszyscy podziwiali jej odwagę, ponieważ udała się do Wietnamu Północnego. Gorzej, bo komuniści nic jej nie zrobili. Rozmawiali z nią i mówili, że chcą być przyjaciółmi Amerykanów.

Jak ten okropny prezydent mógł rzucać bomby na takich miłych ludzi?

Camowi chciało się rzygać.

Jednak Biały Dom nie zamierzał puścić tego płazem.

Cam wykonał szereg telefonów do przychylnych prezydentowi dziennikarzy. Nie było ich wielu: liberalne media nienawidziły Nixona, a część konserwatywnych uważała go za zbyt umiarkowanego. Mimo to Cam uważał, że znajdzie dość sympatyków, by przeprowadzić kontratak.

Miał przed sobą listę tematów, które można było poruszyć, i wybierał z niej różne punkty w zależności od tego, z kim rozmawiał.

- Jak pan myśli, ilu amerykańskich chłopców zabił ten czołg? - zapytał scenarzystę talk-show.

- Nie wiem, niech pan mi powie - odparł tamten.

Poprawną odpowiedzią zapewne było, że żadnego, gdyż północnowietnamskie czołgi zwykle nie walczyły z amerykańskimi oddziałami, tylko z armią południowowietnamską. Ale nie o to chodziło.

- Takie pytanie należałoby zadać liberałom w pańskim programie - rzekł Cam.

- Ma pan rację, to dobre pytanie.

- Czy wiedział pan, że Evie Williams jest Angielką? - zapytał redaktora kroniki towarzyskiej pewnego tabloidu.

- Jej matka jest Amerykanką - przypomniał dziennikarz.

- Jej matka tak nienawidzi Ameryki, że wyjechała w tysiąc dziewięćset trzydziestym szóstym roku i od tej pory tutaj nie mieszkała.

- Celna uwaga!

- Nawet pan musi przyznać, że jest naiwna, pozwalając się wykorzystać w ten sposób przez mieszkańców Wietnamu Północnego do celów ich antyamerykańskiej propagandy - powiedział w rozmowie z liberalnym dziennikarzem, który często atakował Nixona. - Czy może bierze pan jej pokojową misję poważnie?

Rezultaty były spektakularne. Następnego dnia rozpoczął się zmasowany atak na Evie Williams, którego natężenie było większe niż jej początkowy sukces. Stała się wrogiem publicznym numer jeden, zastępując Eldridge'a Cleavera, seryjnego gwałciciela i przywódcę Czarnych Panter. Do Białego Domu przychodziły sterty listów przedstawiające ją w jak najgorszym świetle - i nie wszystkie były płożone przez członków Partii Republikańskiej w całym kraju. Ludzie głosujący na Nixona wyznawali prostą zasadę: albo jesteś za Ameryką, albo przeciwko niej, dlatego znienawidzili Evie.

Dla Cama było to bardzo satysfakcjonujące. Ilekroć czytał w jakimś tabloidzie kolejną diatrybę wymierzoną przeciwko niej, przypominał sobie, że uznała jego miłość za śmieszna.

Ale jeszcze z nią nie skończył.

Gdy fala ataków osiągnęła apogeum, zadzwonił do Meltona Faulknera, biznesmena będącego zwolennikiem Nixona i członka zarządu jednej z sieci telewizyjnych. Połączył się przez centralę, żeby sekretarka Faulknera mogła powiedzieć szefowi: „Biały Dom na linii!”.

Kiedy połączono go z Faulknerem, przedstawił się i powiedział:

- Prezydent prosił mnie, żebym zadzwonił do pana w sprawie planowanego przez was serialu o Jane Addams.

Jane Addams, która umarła w 1935 roku, była postępową działaczką, sufrażystką i laureatką Pokojowej Nagrody Nobla.

- Zgadza się - rzekł Faulkner. - Czy prezydent jest jej wielbicielem?

Akurat, pomyślał Cam, Jane Addams należała do tego rodzaju głupich liberałów, których nienawidził.

- Owszem, jest - powiedział. - Jednak „Hollywood Reporter” podaje, że zamierzacie obsadzić Evie Williams w roli Jane.

- Zgadza się.

- Zapewne widział pan ostatnie wiadomości o Evie Williams i sposobie, w jaki pozwoliła się wykorzystać propagandowo nieprzyjaciołom Ameryki.

- Jasne, czytałem o tym.

- Czy sądzi pan, że antyamerykańska Angielka o socjalistycznych poglądach jest odpowiednią osobą do roli amerykańskiej bohaterki?

- Jako członek zarządu nie mam nic do powiedzenia w kwestii obsady...

- Prezydent nie ma możliwości podjęcia jakichkolwiek działań w tej sprawie, Boże broń, ale uważał, że może zainteresuje pana jego zdanie.

- Z całą pewnością.

- Miło było z panem porozmawiać, panie Faulkner.

Cam się rozłączył.

Słyszał ludzi mówiących, że zemsta jest słodka. Jednak nikt nie powiedział mu, jak bardzo.

Dave i Walli siedzieli na wysokich stołkach w studiu nagraniowym, trzymając gitary. Grali utwór zatytułowany *Znowu razem*. Składał się z dwóch części, w odmiennych nastrojach i różnych tonacjach, więc potrzebowali akordu, który by je spinał. Zaśpiewali piosenkę kilkakrotnie, próbując rozmaitych rozwiązań.

Dave czuł się szczęśliwy. Nadal mieli to coś. Walli był oryginalnym twórcą, wykorzystującym melodie i zestawienia harmoniczne, których nikt inny nie używał. Przerzucali się pomysłami i rezultat był lepszy od wszystkiego, co robili indywidualnie. Ich powrót będzie triumfem.

Beep się nie zmieniła, ale Walli tak. Był wychudzony. Wydatne kości policzkowe i migdałowe oczy podkreślały jego chudość i wyglądał jak przystojny wampir.

Buzz i Lew siedzieli w pobliżu, pałac, słuchając i czekając. Byli cierpliwi. Gdy tylko Dave i Walli odnajdą właściwe brzmienie, siądą do swoich instrumentów, żeby stworzyć podkład.

Była dziesiąta wieczór i pracowali od trzech godzin. Będą robili to do trzeciej lub czwartej rano, a potem spali do południa. W takich godzinach pracują muzycy rockowi.

Był to ich trzeci dzień w studiu. Przez pierwszy rozgrzewali się, grając stare ulubione utwory, ciesząc się ponownym oswojeniem ze sobą. Walli odgrywał cudowne gitarowe solówki. Niestety, na drugi dzień miał kłopoty żołądkowe i musiał wcześniej udać się na spoczynek. Tak więc był to ich pierwszy dzień poważnej pracy.

Na wzmacniaczu obok Wallego stała butelka jacka daniel'sa i wysoka szklanka z kostkami lodu. Dawniej często pili alkohol lub palili skręty podczas pracy nad piosenkami. To było częścią zabawy. Teraz Dave wolał pracować na trzeźwo, ale Walli nie zmienił swoich przyzwyczajień.

Przyszła Beep, niosąc cztery piwa na tacy. Dave domyślił się, że chciała, aby Walli pił piwo zamiast whisky. Często przynosiła do studia jedzenie: lody z jeżynami, ciasto czekoladowe, miseczki z orzeszkami, banany. Zależało jej, by Walli odżywił się czymś

więcej niż tylko whisky. Zjadał łyżeczkę lodów lub garść orzeszków, a potem wracał do swojego jacka daniel'sa.

Na szczęście nadal był genialny, czego dowodził ten nowy utwór. Jednak irytowała go niemożność znalezienia właściwego akordu.

- Kurwa - zaklął. - Mam to w głowie, wiesz? Ale nie chce wyjść.

- To muzyczne zaparcie, koleś - rzucił Buzz. - Potrzebujesz rockowego środka przeczyszczającego. Co byłoby odpowiednikiem miski śliwek?

- Opera Schoenberga - podsunął Dave.

- Solo na perkusji Dave'a Clarka - powiedział Lew.

- Płyta Demisa Roussosa - rzekł Walli.

Zamigotała dioda domofonu i Beep podniosła słuchawkę.

- Wejdz - powiedziała i odłożyła ją. Potem poinformowała Wallego: - To Hilton.

- W porządku.

Walli zszedł ze stołka, wstawił gitarę do stojaka i wyszedł.

Dave spojrzał pytająco na Beep.

- Dealer - wyjaśniła.

Dave nie przestał grać. Nie było niczego niezwykłego w tym, że dealer wpadł do studia nagraniowego. Dave nie wiedział, dlaczego muzycy zażywają narkotyki częściej niż inni ludzie, ale zawsze tak było: Charlie Parker był heroinistą, a nie należał nawet do poprzedniego pokolenia.

Gdy Dave grał, Buzz wziął gitarę basową i przyłączył się do niego, a Lew usiadł przy perkusji i zaczął cicho bębnić, szukając najlepszego podkładu. Improwizowali tak przez piętnaście czy dwadzieścia minut, zanim Dave przestał.

- Co, do cholery, stało się z Wallim? - zapytał

Wyszedł ze studia, kierując się do głównej części budynku, a pozostali szli za nim.

Znaleźli Wallego w kuchni. Leżał na podłodze, zaćpany, ze strzykawką wciąż tkwiącą w żyle. Wstrzyknął sobie działkę, gdy tylko dealer mu ją przyniósł.

Beep pochyliła się nad nim i delikatnie wyciągnęła igłę z ciała.

- Będzie nieprzytomny do rana - powiedziała. - Przepraszam.

Dave zaklął. Na ten dzień zakończyli pracę.

- Pójdziemy do kantyny? - Buzz zwrócił się do Lew.

U stóp wzgórze był bar, którego klientelę stanowili głównie meksykańscy robotnicy. Nosił śmieszna nazwę Mayfair Lounge, więc nazywali go kantyną.

- A co innego nam pozostaje - rzekł Lew i westchnął.



Sekcja rytmiczna wyszła.

- Pomóż mi zanieść go do łóżka - powiedziała Beep.

Dave załapał Wallego pod ręce, a Beep za nogi i zanieśli go do sypialni. Potem wrócili do kuchni. Beep oparła się o szafkę, a Dave zaczął parzyć kawę.

- Jest uzależniony, prawda? - powiedział, wkładając papierowy filtr do ekspresu.

Beep kiwnęła głową.

- Myślisz, że zdołamy nagrać chociaż tę płytę?

- Tak! - odparła. - Proszę, nie skreślaj go. Obawiam się, że...

- W porządku, po co te nerwy.

Włączył ekspres do kawy.

- Mogę go przypilnować - zapewniła rozpaczliwie. - Trzyma się wieczorami, pozwalając sobie jedynie na małe dawki, kiedy jest zajęty pracą, a potem nad ranem bierze większą i odlatuje. Dziś było inaczej. Nieczęsto mu się to zdarza. Zwykle sama biorę towar i mu wydzielam.

Dave był zniesmaczony. Spojrzał na nią.

- Zostałaś niańką ćpuna.

- Podejmujemy takie decyzje, kiedy jesteśmy zbyt młodzi, by je rozumieć, a potem musimy z tym żyć - wyrzuciła z siebie i zaczęła płakać.

Dave wziął ją w ramiona, a ona szlochała na jego piersi. Pozwolił jej płakać, aż cały przód koszuli miał mokry od łez, a kuchnię wypełnił aromat kawy. Wtedy delikatnie uwolnił się z objęć Beep i napełnił dwie filizanki.

- Nie martw się - powiedział. - Teraz, gdy wiemy, w czym problem, możemy sobie z nim poradzić. Kiedy Walli będzie w najlepszej formie, popracujemy nad najtrudniejszymi rzeczami: tekstami piosenek, solówkami gitarowymi, wokalem. Gdy odleci, będziemy opracowywać podkład i z grubsza miksować. Możemy to zrobić razem.

- Och, dziękuję. Ratuszujesz mi życie. Nie umiem wyrazić, jaka to dla mnie ulga. Jesteś takim dobrym człowiekiem.

Staneła na palcach i pocałowała go w usta.

Dave poczuł się dziwnie. Dziękowała mu za uratowanie życia jej chłopcu, a całowała jego.

- Byłam głupia, rezygnując z ciebie - oświadczyła nagle.

To było nielojalne wobec mężczyzny, który leżał w sypialni. Jednak wierność nigdy nie była cnotą Beep.

Objęła Dave'a w talii i przycisnęła się do niego całym ciałem.

Przez moment trzymał ręce w powietrzu, nie dotykając jej; potem poddał się i znów wziął ją w ramiona. Może lojalność nie była i jego cnotą.

- Ćpuni rzadko uprawiają seks - powiedziała. - Minęło trochę czasu.

Dave był wstrząśnięty. Zrozumiał, że podświadomie wiedział, iż do tego dojdzie. Wiedział o tym od chwili, gdy zobaczył ją w tym czerwonym kabriolecie.

Drżał, ponieważ tak bardzo jej pragnął.

Pomimo to nic nie powiedział.

- Chodź ze mną do łóżka, Dave - poprosiła. - Popieprzmy się tak jak dawniej, tylko raz, przez wzgląd na dawne czasy.

- Nie - powiedział.

Jednak poszedł.

Zakończyli pracę nad płytą w dniu, gdy umarł dyrektor FBI, J. Edgar Hoover.

- Mój dziadek jest senatorem - powiedziała Beep przy śniadaniu w południe następnego dnia - i mówi, że J. Edgar lubił ciągnąć druta.

Wszyscy byli zdumieni.

Dave się uśmiechnął. Był pewny, że stary Gus Dewar nigdy nie użyłby takich słów przy wnuczce. Po prostu Beep wiedziała, że to ich nakreśli. Była w łobuzerskim nastroju. To jedna z cech, które czyniły ją tak ekscytującą.

- Dziadek mówił mi, że Hoover żył ze swoim zastępcą, jakimś Tolsonem - dodała. - Wszędzie chodzili razem, jak mąż i żona.

- To takim jak Hoover my, pedały, zawdzięczamy kiepską opinię - zauważył Lew.

- Hej, słuchajcie! - zawołał Walli, który bardzo wcześnie jak na niego wstał z łóżka. - Po wydaniu płyty zagramy koncert z okazji wskrzeszenia zespołu, prawda?

- Taak - potwierdził Dave. - Co ci chodzi po głowie?

- Przekażemy dochód na kampanię George'a McGovern.

Pomysł dotowania liberalnych polityków przez zespoły rockowe był zaraźliwy, a McGovern stał się czołowym kandydatem do nominacji z ramienia demokratów w tegorocznych wyborach prezydenckich, w dodatku pokojowo nastawionym kandydatem.

- Wspaniały pomysł - stwierdził Dave. - Podwoi naszą popularność, a także pomoże zakończyć wojnę.

- Jestem za - rzucił Lew.

- W porządku, i tak byście mnie przegłosowali, ustępuję.

Lew i Buzz wyjechali wkrótce potem, żeby złapać samolot do Londynu. Walli poszedł

do studia zapakować swoje gitary do futerałów, tej czynności nie lubił pozostawiać nikomu innemu.

- Nie możesz tak po prostu odejść - powiedział Dave do Beep.

- Dlaczego? - zapytała.

- Ponieważ przez sześć ostatnich tygodni pieprzyliśmy się jak szaleni za każdym razem, gdy Walli odleciał.

Uśmiechnęła się.

- Było wspaniale, no nie?

- I ponieważ się kochamy.

Dave czekał, czy Beep to potwierdzi, czy temu zaprzeczy.

Nic nie powiedziała.

- Nie wolno ci tak po prostu odejść - powtórzył.

- A co innego mogę zrobić?

- Porozmawiaj z Wallim. Powiedz, żeby załatwił sobie inną niańkę. Zostań tu ze mną.

Beep pokręciła głową.

- Poznałem cię dziesięć lat temu - przypomniał Dave. - Byliśmy kochankami. Zaręczyliśmy się i mieliśmy wziąć ślub. Myślę, że cię znam.

- I co?

- Lubisz Wallego, troszczysz się o niego, nie chcesz, żeby coś mu się stało. Jednak rzadko uprawiasz z nim seks i co ważniejsze, wcale ci to nie przeszkadza. Sądzę, że go nie kochasz.

I znowu nie potwierdziła ani nie zaprzeczyła.

- Myślę, że kochasz mnie - powiedział Dave.

Spojrzała w głąb filiżanki, jakby mogła wyczytać odpowiedzi w fusach.

- Może moglibyśmy się pobrać? - dodał Dave. - Czy dlatego się wahasz? Chcesz, żebym się oświadczył? Zatem zrobię to. Wyjdź za mnie, Beep. Kocham cię. Zakochałem się w tobie, kiedy byliśmy trzynastoletnimi dziećmi, i myślę, że nigdy nie przestałem cię kochać.

- Co, nawet wtedy, gdy byłeś w łóżku z Mandy Love?

Uśmiechnął się smutno.

- Może czasem zapomniałem o tobie na chwilę.

Parsknęła śmiechem.

- Teraz ci wierzę.

- A co z dziećmi? Chciałabyś mieć dzieci? Ja chciałbym.

Nic nie powiedziała.

- Otwieram przed tobą moje serce, a ty nie reagujesz - zirytował się Dave. - Co się dzieje w twojej głowie?

Popatrzyła na niego i zobaczył, że płacze.

- Jeśli zostawię Wallego, on umrze - powiedziała.

- Nie wierzę w to - rzekł Dave.

Beep uniosła rękę, uciszając go.

- Pytałeś, co się dzieje w mojej głowie. Jeśli naprawdę chcesz wiedzieć, nie zaprzeczaj temu, co mówię.

Dave zagryzł wargi.

- Zrobiłam w życiu wiele złych i samolubnych rzeczy. O niektórych wiesz, ale nie o wszystkich.

Dave mógł w to uwierzyć, ale chciał jej powiedzieć, że przyniosła również radość i uśmiech wielu ludziom, w tym jemu. Jednak kazała mu tylko słuchać, więc milczał.

- Trzymam życie Wallego w swoich rękach.

Dave powstrzymał się, ale Beep powiedziała za niego to, co miał na końcu języka.

- W porządku, to nie moja wina, że jest ćpunem, nie jestem jego matką i nie muszę go ratować.

Dave pomyślał, że Walli jest twardszy, niż Beep przypuszcza. Z drugiej strony Jimi Hendrix zmarł, Janis Joplin też, tak jak Jim Morrison...

- Chcę się zmienić - wyznała Beep. - Co więcej, chcę naprawić swoje błędy. Czas, żebym zrobiła coś więcej niż to, na co akurat mam ochotę. Czas, żebym zrobiła coś dobrego. Tak więc zostanę z Wallim.

- To twoje ostatnie słowo?

- Tak.

- Zatem żegnaj - powiedział Dave i wybiegł z kuchni, żeby Beep nie widziała, jak płacze.

## ROZDZIAŁ 48

- Kreml wpadł w panikę po wizycie Nixona w Chinach - powiedział Dimka do Tani.

Byli w mieszkaniu Dimki. Jego trzyletnia córeczka Katia siedziała na jej kolanach i przeglądały książeczkę z obrazkami zwierząt domowych.

Dimka i Natalia wprowadzili się z powrotem do rządowego budynku. Klan Peszkowów i Dworkinów zajmował w nim obecnie trzy mieszkania. Dziadek Grigorij wciąż mieszkał u siebie, teraz ze swoją córką Anią i wnuczką Tanią. Była żona Dimki, Nina, mieszkała tam z Griszą, ośmioletnim i chodzącym już do szkoły. A teraz zamieszkali w nim Dimka, Natalia i mała Katia. Tania uwielbiała bratanka i bratanicę i zawsze chętnie się nimi zajmowała. Czasem przemykało jej przez głowę, że ten rządowy budynek jest jak wioska, w której liczna rodzina opiekuje się dziećmi.

Ludzie często pytali Tanię, czy nie chce mieć własnych dzieci. Zawsze odpowiadała, że ma na to mnóstwo czasu. Miała dopiero trzydzieści dwa lata. Jednak nie czuła się wolną kobietą, która może wyjść za mąż. Wasilij nie był jej kochankiem, ale poświęciła życie podziemnej działalności, którą prowadzili razem. Najpierw wspólnie wydawali „Niezgodę”, a potem Tania przemycała książki Wasilija na Zachód. Czasem ktoś próbował ją poderwać i niekiedy umawiała się z którymś z coraz mniej licznych kawalerów do wzięcia w jej wieku na kilka randek, a nawet szła do łóżka. Jednak nie wtajemniczała ich w swoje sekretne życie.

A życie Wasilija było teraz ważniejsze niż jej własne. Po opublikowaniu *Wolnego człowieka* stał się jednym z czołowych pisarzy na świecie. Pokazywał Związek Radziecki reszcie planety. Po trzeciej książce, *Wiek stagnacji*, mówiono o Nagrodzie Nobla, tyle że najwyraźniej nie można jej było przyznać piszącemu pod pseudonimem. Tania była kanałem, przez który książki Wasilija przechodziły na Zachód, a byłoby niemożliwe utrzymać tak wielką i niebezpieczną tajemnicę w sekrecie przed mężem.

Komuniści nienawidzili „Iwana Kuzniecowa”. Cały świat wiedział, że autor nie może ujawnić swojego prawdziwego nazwiska z obawy, że uniemożliwią mu pisanie, co ukazywało kremlowskich przywódców jako barbarzyńców, którymi byli. Za każdym razem, gdy jego dzieła omawiano w zachodnich mediach, dziennikarze przypominali, że z powodu cenzury nigdy nie zostały one wydane po rosyjsku, w języku, w którym zostały napisane. To doprowadzało Kreml do szału.

- Podróż Nixona była dużym sukcesem - powiedziała Tania do Dimki. - W naszym biurze słuchamy wiadomości z Zachodu. Ludzie nieustannie gratulują Nixonowi jego wizji.

To ogromny krok w kierunku stabilizacji sytuacji na świecie, mówią. Ponadto jego notowania skoczyły, a w tym roku w Stanach Zjednoczonych odbędą się wybory.

Myśl, że imperialiści mogą zawrzeć z enigmatycznymi chińskimi komunistami sojusz przeciwko ZSRR, przerażała radzieckich przywódców. Natychmiast zaprosili Nixona do Moskwy, próbując przywrócić równowagę.

- Teraz rozpaczliwie się starają, żeby wizyta Nixona w naszym kraju również była sukcesem - rzekł Dimka. - Zrobią wszystko, byle powstrzymać USA przed sprzymierzeniem się z Chinami.

Nagle Tania przysłała do głowy pewna myśl.

- Wszystko?

- Przesadzam. A co ci chodzi po głowie?

Tania poczuła, że serce bije jej szybciej.

- Czy wypuściliby dysydentów?

- Ach. - Dimka zorientował się, chociaż nie powiedział tego głośno, że Tania myśli o Wasiliju. Był jednym z niewielu ludzi wiedzących o jej kontaktach z tym dysydentem. - KGB proponuje coś wręcz przeciwnego: zamknąć ich wszystkich. Chcą wsadzić do więzienia każdego, kto mógłby protestować, machając plakatem podczas przejazdu limuzyny amerykańskiego prezydenta.

- Co za głupota - zachnęła się Tania. - Jeśli nagle wpakujemy setki ludzi do więzień, Amerykanie, którzy też mają swoich szpiegów, dowiedzą się o tym i nie będą zachwyceni.

Dimka skinął głową.

- Nixon nie pozwoli sobie na to, by jego krytycy powiedzieli, że przyjechał tu i zupełnie ignorował kwestię praw człowieka, nie w roku wyborczym.

- Właśnie.

Dimka się zamyślił.

- Musimy jak najlepiej wykorzystać tę okazję. Jutro spotykam się z kilkoma osobami z ambasady USA. Zastanawiam się, czy mógłbym...

Dimka się zmienił. Spowodowała to inwazja na Czechosłowację. Wcześniej uparcie wierzył, że komunizm można zreformować. Jednak w 1968 roku zobaczył, że gdy tylko ktoś zaczyna zmieniać charakter komunistycznych rządów, jego wysiłki zostają udaremnione przez zainteresowanych utrzymaniem status quo. Ludzie tacy jak Breżniew i Andropow cieszyli się władzą, pozycją i przywilejami: dlaczego mieliby ryzykować utratę tego wszystkiego? Teraz Dimka zgadzał się ze swoją siostrą: największym problemem komunizmu

było to, że wszechwładna partia zawsze powstrzymywała zmiany. Państwo radzieckie było beznadziejnie skostniałe, pogrążone w strasznym konserwatyzmie, tak jak carat sześćdziesiąt lat wcześniej, gdy jego dziadek był brygadzystą w Zakładach Putiłowskich w Petersburgu.

Jakie to zabawne, rozmyślał Dimka, że pierwszym filozofem, który wyjaśnił zjawisko zmian społecznych, był Karol Marks.

Dzień później Dimka przewodniczył kolejnej z długich dyskusji o wizycie Nixona w Moskwie. Była z nim Natalia, ale niestety Jewgienij Filipow także. Amerykańskim zespołem kierował Ed Markham, zawodowy dyplomata w średnim wieku. Wszyscy porozumiewali się przez tłumaczy.

Nixon i Breżniew mieli podpisać dwa traktaty o redukcji zbrojeń oraz jedną umowę o ochronie środowiska. „Środowisko” nie miało żadnego znaczenia dla Rosjan, ale najwyraźniej Nixon przywiązywał do tego dużą wagę i w Stanach promował pionierskie ustawodawstwo w tej dziedzinie. Te trzy dokumenty zagwarantują, że wizyta zostanie okrzyknięta historycznym triumfem i na dłuższą metę zapobiegnie groźbie chińsko-amerykańskiego sojuszu. Pani Nixon odwiedzi szkoły i szpitale. Sam prezydent upierał się przy spotkaniu z dysydenckim poetą, Jewgienijem Jewtuszenką, którego poznał już w Waszyngtonie.

Podczas dzisiejszego spotkania omawiano sprawy bezpieczeństwa i protokołu dyplomatycznego. W trakcie narady Natalia miała wypowiedzieć słowa uprzednio uzgodnione z Dimką. Rzuciła je jakby mimochodem, zwracając się do Amerykanów:

- Starannie rozpatrujemy waszą prośbę o zwolnienie dużej liczby tak zwanych więźniów politycznych, w geście dobrej woli okazując nasze przywiązanie do tego, co nazywacie prawami człowieka.

Ed Markham posłał zaskoczone spojrzenie Dimce, który przewodniczył spotkaniu. Markham nic o tym nie wiedział, ponieważ Amerykanie nie wysunęli takiego żądania. Dimka nieznacznie i niedbale machnął ręką, dając do zrozumienia Markhamowi, żeby siedział cicho. Jako zręczny i doświadczony negocjator, Amerykanin zastosował się do jego prośby.

Filipow był równie zdziwiony.

- Nic nie wiem o takim...

Dimka podniósł głos.

- Proszę, Jewgieniju Dawidowiczu, nie przerywajcie towarzyszce Smotrowej! Nalegam, aby tylko jedna osoba mówiła w danej chwili.

Filipow był wściekły, ale komunistyczne szkolenie kazało mu przestrzegać reguł.

Natalia mówiła dalej:

- W Związku Radzieckim nie mamy więźniów politycznych, a nie widzimy sensu wypuszczać na ulice kryminalistów, żeby zakłócali wizytę głowy obcego państwa.

- Oczywiście - rzekł Dimka.

Markham był wyraźnie zaintrygowany. Jaki sens ma poruszanie tematu fikcyjnego żądania tylko po to, żeby je odrzucić? Jednak czekał w milczeniu, chcąc zobaczyć, do czego zmierza Natalia. Tymczasem sfrustrowany Filipow bębnił palcami w notatnik.

- Jednakże mała grupka osób nie ma zezwoleń na poruszanie się wewnątrz kraju z powodu powiązań z społecznymi elementami i wichrzycielami.

Właśnie w takiej sytuacji był przyjaciel Tani, Wasilij. Dimka raz próbował go uwolnić, ale nie zdołał. Może tym razem będzie miał więcej szczęścia.

Baczenie obserwował Markhama. Czy zrozumie, co się dzieje, i odegra swoją rolę? Amerykanie musieli udawać, że zażądali uwolnienia dysydentów. Wtedy będzie mógł wrócić na Kreml i powiedzieć, że USA przedstawiły to jako wstępny warunek przed wizytą Nixona. W tym momencie wszelkie sprzeciwy KGB czy innych organów ucichną, gdyż wszyscy na Kremlu rozpaczliwie chcieli sprowadzić go tutaj i odciągnąć od znieawidzonych Chińczyków.

- Ponieważ ci ludzie nie byli skazani sądownie - ciągnęła Natalia - nie ma przeszkód prawnych do takiego działania rządu, tak więc proponujemy złagodzenie restrykcji i zezwolenie im na podróżowanie jako gest dobrej woli.

- Czy takie działanie z naszej strony usatysfakcjonuje waszego prezydenta? - zapytał Dimka Amerykanów.

Markham rozpogodził się, zrozumiał, jaką grę prowadzą Natalia i Dimka. Chętnie dał im się w niej wykorzystać.

- Tak. - Pokiwał głową. - Myślę, że to wystarczy.

- Zatem sprawa jest uzgodniona - powiedział Dimka i wygodniej usiadł na krześle z przyjemnym poczuciem, że coś zdołał osiągnąć.

Prezydent Nixon przyleciał do Moskwy w maju, kiedy śnieg stopniał i zaświeciło słońce.

Tania miała nadzieję, że w związku z wizytą wielu więźniów politycznych zostanie wypuszczonych na wolność, ale się rozczarowała. To była najlepsza szansa od lat, żeby wydostać Wasilija z jego baraku na Syberii i ściągnąć do Moskwy. Wiedziała, że brat próbował tego dokonać, ale najwyraźniej nie zdołał. Chciało jej się płakać.

- Proszę, obstawiaj dziś żonę prezydenta, Taniu - poprosił ją szef, Danił Antonow.



- Odpieprz się - powiedziała. - To, że jestem kobietą, nie oznacza, że wciąż mam pisać artykuły o kobietach.

Tania zawsze sprzeciwiała się przydzielaniu jej „kobięcych” tematów. Czasem wygrywała, czasem nie.

Dziś przegrała.

Danił był dobrym człowiekiem, ale nie dawał sobą manipulować.

- Nie proszę cię o wywiady wyłącznie z kobietami i nie daję ci samych kobiecych tematów, więc nie opowiadaj bzdur. Proszę, żebyś dziś towarzyszyła Pat Nixon. Teraz rób, co mówię.

Danił naprawdę był wspaniałym szefem. Tania ustąpiła.

Dziś Pat Nixon oprowadzano po Państwowym Uniwersytecie Moskiewskim, trzydziestodwupiętrowym budynku z tysiącami pomieszczeń. Wydawał się prawie pusty.

- Gdzie są wszyscy studenci? - spytała pani Nixon.

Rektor uniwersytetu odpowiedział jej przez tłumaczy.

- Trwa sesja egzaminacyjna i wszyscy się uczą.

- Nie spotkam żadnych rosyjskich obywateli - narzekała pani Nixon.

Tania miała ochotę wrzasnąć do niej: „Możesz się założyć, że nie spotkasz nikogo, bo mógłby powiedzieć ci prawdę!”, ale oczywiście milczała.

Pani Nixon była ubrana konserwatywnie nawet jak na moskiewskie standardy. Włosy miała wysoko zaczesane i pokryte warstwą lakieru, przez co wyglądała, jakby włożyła na głowę hełm wikinga. Nosila ubrania zbyt młodzieżowe, a jednocześnie niemodne. Przyklejony do warg uśmiech nigdy nie gasł, nawet gdy podążający za nią dziennikarze stawali się zbyt natarczywi.

Zaprowadzono ją do sali, w której trzej studenci siedzieli przy stolikach. Wyglądali na zdziwionych jej widokiem i wyraźnie nie wiedzieli, kim ona jest. Było oczywiste, że nie chcieli się z nią spotkać.

Biedna pani Nixon zapewne nie miała pojęcia, że każdy kontakt z mieszkańcami Zachodu jest niebezpieczny dla zwykłych radzieckich obywateli. Niemal na pewno aresztowano ich potem i przesłuchiowano, pytając, o czym rozmawiali i czy to spotkanie było zaaranżowane. Tylko najbardziej lekkomyślni moskwianie chcieli zamienić kilka słów z cudzoziemskimi gośćmi.

Tania układała w myślach swój artykuł, podążając za Pierwszą Damą. „Nowy i nowoczesny Uniwersytet Moskiewski najwyraźniej zrobił wrażenie na pani Nixon. W USA nie ma uniwersyteckiego budynku porównywalnej wielkości”.

Istotne rzeczy działy się na Kremlu i dlatego Tania naskoczyła na Daniła. Nixon i Breżniew podpisywali traktaty, które miały uczynić świat bezpieczniejszym miejscem. O tym wolałaby napisać.

Z lektury prasy zagranicznej wiedziała, że wizyta Nixona w Chinach i obecna w Moskwie zmieniły jego szanse w listopadowych wyborach prezydenckich. Po styczniowym spadku w sondażach teraz jego popularność poszybowała w górę. Miał duże szanse na reelekcję.

„Pani Nixon była ubrana w dwuczęściowy kostium z krótkim zakieciem i skromną spódnicą za kolana. Jej białe pantofle miały niskie obcasy. Stroju dopełniała szyfonowa apaszka”. Tania nienawidziła pisać o modzie. Rany boskie, przecież relacjonowała kubański kryzys rakietowy - z Kuby!

W końcu Pierwszą Damę zabrała limuzyna Chrysler LeBaron i stado dziennikarzy się rozpierchło.

Na parkingu Tania zauważyła wysokiego mężczyznę w długim samodziałowym płaszczu pomimo wiosennego słońca. Miał rozczochrane stalowosiwe włosy i pobrużdżoną twarz, która kiedyś mogła być urodziwa.

Wasilij.

Przycisnęła pięć do ust i przygryzła, tłumiąc krzyk, który wzbierał jej w gardle.

Zauważył, że go poznała, i uśmiechnął się, pokazując luki w uzębieniu.

Powoli podeszła do niego. Stał z rękami w kieszeniach płaszcza. Nie nosił kapelusza i mrużył oczy w słońcu.

- Wypuścili cię - powiedziała Tania.

- Żeby zrobić przyjemność amerykańskiemu prezydentowi - rzekł. - Dziękuję, Dicku Nixon.

Powinien podziękować Dimce Dworkinowi. Chyba jednak lepiej nikomu o tym nie mówić, nawet Wasilijowi.

Rozejrzała się czujnie, ale wokół nie było nikogo.

- Nie obawiaj się - rzucił Wasilij. - Przez dwa tygodnie w tym miejscu roiło się od tajniaków, ale pięć minut temu wszyscy sobie poszli.

Nie mogła już dłużej wytrzymać i padła mu w ramiona. Poklepał ją po plecach, jakby chciał pocieszyć. Uścisnęła go mocno.

- Rany - powiedział. - Ładnie pachniesz.

Wysunęła się z jego objęć. Sto pytań cisnęło się jej na usta i musiała opanować entuzjazm, żeby wybrać jedno.

- Gdzie mieszkasz?

- Przydzielili mi mieszkanie ze stalinowskich czasów: stare, ale ładne.

Mieszkania z epoki Stalina miały większy metraż i były wyższe niż te wybudowane w latach pięćdziesiątych i sześćdziesiątych.

Roznosił ją entuzjazm.

- Mogę cię odwiedzić?

- Jeszcze nie. Najpierw ustalmy, jak uważnie mnie pilnują.

- Masz jakąś pracę?

To była ulubiona sztuczka komunistów: dopilnować, żeby człowiek nie dostał żadnej pracy, a potem oskarżyć go, że jest pasożytem.

- Pracuję w Ministerstwie Rolnictwa. Piszę broszury dla wieśniaków objaśniające nowoczesne metody uprawy. Nie użalaj się nade mną: to ważna praca i jestem w tym dobry.

- A twoje zdrowie?

- Przytyłem!

Rozchylił płaszcz, żeby to pokazać.

Roześmiała się uszczęśliwiona. Nie był otyły, ale może nie tak chudy jak przedtem.

- Masz na sobie sweter, który ci wysłałam. Jestem zdziwiona, że go dostałeś.

Był to sweter, który Anna Murray kupiła w Wiedniu. Tania musiała teraz wszystko wytłumaczyć Wasilijowi. Nie wiedziała, od czego zacząć.

- Przez cztery lata prawie go nie zdejmowałem. Nie jest mi potrzebny w Moskwie w maju, ale trudno się oswoić z myślą, że nie zawsze jest mróz na dworze.

- Mogę kupić ci inny sweter.

- Widocznie zarabiasz mnóstwo pieniędzy!

- Nie, ja nie - zaoponowała z szerokim uśmiechem. - Ale ty tak.

Zmarszczył brwi zdumiony.

- Jak to?

- Chodźmy do baru - poprosiła, biorąc go pod rękę. - Mam ci tyle do powiedzenia.

Na pierwszej stronie „Washington Post” zamieszczono niezwykle artykuł o wydarzeniach z niedzielnego ranka osiemnastego czerwca. Dla większości czytelników był nieco zaskakujący. Dla niektórych skrajnie niepokojący.

*Pięciu mężczyzn zatrzymano podczas próby  
założenia podsłuchu w kwaterze demokratów*

Napisał Alfred E. Lewis

redaktor „Washington Post”

*Pięciu mężczyzn, z których jeden przedstawił się jako były pracownik Centralnej Agencji Wywiadowczej, aresztowano wczoraj o 2.30 rano podczas działań, które policja opisała jako próbę zainstalowania podsłuchu w miejscowej siedzibie Partii Demokratycznej.*

*Trzej z nich byli rodowitymi Kubańczykami, a czwarty podobno przygotowywał kubańskich uchodźców do działań partyzanckich po inwazji w Zatoce Świń w 1961 roku.*

*Zostali zaskoczeni przez trzech uzbrojonych i ubranych po cywilnemu funkcjonariuszy policji metropolitalnej w biurze na piątym piętrze luksusowego kompleksu Watergate, przy Virginia Avenue 2600, w którym całe piętro zajmuje sztab wyborczy Partii Demokratycznej.*

*Na razie nie wyjaśniono, dlaczego tych pięciu podejrzanych chciało założyć podsłuch w biurach Partii Demokratycznej ani czy pracowali dla innych osób lub organizacji.*

Cameron Dewar przeczytał ten artykuł i zaklął.

- O kurwa.

Odsunął talerz z płatkami, zbyt zdenerwowany, by jeść. Dobrze wiedział, o co chodzi i jakim strasznym zagrożeniem jest ta wiadomość dla prezydenta Nixona. Jeśli ludzie dowiedzą się lub uwierzą, że miłujący prawo i porządek prezydent kazał dokonać włamania, może to uniemożliwić jego reelekcję.

Cam pospiesznie przeczytał resztę, aż dotarł do nazwisk oskarżonych. Obawiał się, że będzie wśród nich Tim Tedder. Z ulgą stwierdził, że nie wymieniono nazwiska Teddera.

Jednak większość wymienionych była jego przyjaciółmi i współpracownikami.

Tedder oraz grupa byłych agentów FBI i CIA wchodził w skład Specjalnej Grupy Dochodzeniowej Białego Domu. Mieli dobrze strzeżone biuro na parterze budynku administracyjnego po drugiej stronie ulicy, naprzeciw Białego Domu. Na ich drzwiach była przyklejona kartka z napisem „Hydraulicy”. To miał być żart: ich zadaniem było likwidowanie przecieków.

Cam nie wiedział, że zamierzali założyć podsłuch w kwaterze demokratów. Jednak nie był zdziwiony: to był bardzo dobry pomysł i mógł doprowadzić do informacji o źródłach przecieków.

Jednak ci przekłęci idioci nie powinni byli dać się aresztować przez pieprzoną waszyngtońską policję.

Prezydent był na Bahamach i miał wrócić nazajutrz.

Cam zadzwonił do biura „hydraulików”. Odebrał Tim Tedder.

- Co robisz? - spytał Cam.

- Niszczę akta.

W tle Cam usłyszał wycie niszczarki.

- Dobrze - powiedział.

Potem ubrał się i poszedł do Białego Domu.

Z początku wydawało się, że żaden z włamywaczy nie jest bezpośrednio powiązany z prezydentem, i w niedzielę Cam myślał, że skandalu da się uniknąć. Potem okazało się, że jeden z zatrzymanych podał fałszywe nazwisko. „Edwardem Martinem” był w rzeczywistości James McCord, emerytowany agent CIA zatrudniony na pełnym etacie przez CREEP, czyli Komitet Reelekcji Prezydenta.

- No i masz - jęknął Cam.

Czuł się przybity i zdruzgotany. To było straszne.

Poniedziałkowy „Washington Post” zamieścił informacje o McCordzie w artykule podpisanym przez Boba Woodwarda i Carla Bernsteina.

Cam nadal miał nadzieję, że udział prezydenta da się ukryć.

Wtedy wkroczyło FBI. Biuro otworzyło śledztwo w sprawie pięciu włamywaczy. Dawniej, myślał z ubolewaniem Cam, J. Edgar Hoover nie zrobiłby czegoś takiego - tyle że Hoover już nie żył. Nixon zainstalował na jego miejscu swojego kolesia, Patricka Graya, jako pełniącego obowiązki dyrektora, ale Gray nie znał Biura i nie potrafił nad nim zapanować. W rezultacie FBI zaczęło działać jak organ ścigania.

Przy włamywaczach znaleziono duże sumy gotówki w nowych banknotach o kolejnych numerach seryjnych. To oznaczało, że prędzej czy później FBI zdoła wytropić pochodzenie tych pieniędzy i odkryć, kto im je dał.

Cam już to wiedział. Te pieniądze, tak jak środki na wszystkie tajne działania administracji, pochodziły ze specjalnego funduszu CREEP.

Dochodzenie FBI trzeba było zamknąć.

Gdy Cam Dewar wszedł do gabinetu Marii Summers w Departamencie Sprawiedliwości, przez moment poczuła strach. Czyżby ją zdemaskowali? Czy Biały Dom jakimś cudem odkrył, że to ona była źródłem informacji Jaspera Murraya? Stała przy szafce na akta i przez moment kolana uginały się pod nią tak, że obawiała się, iż upadnie.

Jednak Cam był przyjazny i zaraz ochłoneła. Uśmiechnął się, usiadł i prześlizgnął się po niej tym spojrzeniem niedorostka świadczącym, że uważa ją za atrakcyjną.

Możesz sobie pomarzyć, chłopcze, pomyślała.

O co mu teraz chodziło? Usiadła za biurkiem, zdjęła okulary i posłała gościowi ciepły uśmiech.

- Czołem, panie Dewar - powiedziała. - Jak tam podsłuch telefonu?

- Ostatecznie dał nam niewiele informacji - przyznał Cam. - Sądzymy, że Murray ma gdzieś drugi, bezpieczny telefon, którego używa do poufnych rozmów.

Dzięki Bogu, pomyślała, ale na głos rzuciła zatroskanym tonem:

- No cóż, szkoda.

- Pomimo to doceniamy pani pomoc.

- Bardzo pan uprzejmy. Czy jest jeszcze coś, co mogłabym dla pana zrobić?

- Tak. Prezydent chce, żeby prokurator generalny nakazał FBI zakończyć śledztwo w sprawie włamania do budynku Watergate.

Maria usiłowała ukryć zaskoczenie, oszołomiona implikacjami tego stwierdzenia. Zatem to robota Białego Domu. Marię ogarnęło zdumienie. Żaden inny prezydent poza Nixonem nie byłby tak arogancki i głupi.

I znów najwięcej się dowie, udając pomocną.

- W porządku - powiedziała. - Zastanówmy się. Kleindienst to nie Mitchell, jak pan wie.

- John Mitchell zrezygnował ze stanowiska prokuratora generalnego, żeby kierować CREEP. Jego następca, Richard Kleindienst, też był kumplem Nixona, ale nie tak uległym. - Zażąda powodu.

- Możemy mu go dać. Na przykład taki, że śledztwo FBI doprowadzi do poufnych kwestii dotyczących polityki zagranicznej. A szczególnie do ujawnienia informacji o udziale CIA w inwazji w Zatoce Świń za prezydentury Kennedy'ego.

Typowe dla Sprytnego Dicka, pomyślała z niesmakiem Maria. Wszyscy będą udawać, że bronią amerykańskich interesów, w rzeczywistości chroniąc tyłek prezydenta.

- Zatem to kwestia bezpieczeństwa narodowego.

- Tak.

- Dobrze. To uzasadni nakaz prokuratora generalnego, aby FBI zamknęło śledztwo. - Jednak Maria nie chciała za bardzo ułatwiać tego Białemu Domowi. - Jednakże Kleindienst może zażądać konkretnego uzasadnienia.

- Możemy takie dostarczyć. CIA jest gotowa złożyć formalny wniosek. Walters to zrobi.

Generał Vernon Walters był zastępcą dyrektora CIA.

- Jeśli to będzie formalny wniosek, myślę, że możemy się zgodzić i zrobić dokładnie to, czego chce prezydent.

- Dziękuję, Mario. - Chłopak wstał. - Znów byłaś bardzo pomocna.

- Bardzo mi było miło, panie Dewar.

Cam opuścił pokój.

Maria w zadumie spoglądała na krzesło, na którym siedział Dewar. Prezydent musiał zlecić to włamanie, a przynajmniej przytknąć na nie oko. To był jedyny możliwy powód tego, że Cam Dewar tak usilnie starał się to zatuszować. Gdyby jakiś pracownik administracji zlecił to włamanie, chcąc się przypodobać Nixonowi, zostałby już wymieniony po nazwisku, napiętnowany i zwolniony. Nixon bez wahania pozbywał się niewygodnych kolegów. Troszczył się wyłącznie o siebie.

Czy mogła pozwolić, żeby uszło mu to na sucho?

Akurat.

Podniosła słuchawkę.

- Połącz mnie, proszę, z kancelarią Fawcett Renshaw - powiedziała.

## ROZDZIAŁ 49

Dave Williams był zdenerwowany. Minęło prawie pięć lat, odkąd Plum Nellie ostatnio występowali na żywo przed widownią. Teraz mieli zagrać dla sześćdziesięciu tysięcy fanów na stadionie Candlestick Park w San Francisco.

Granie w studiu jest czymś zupełnie innym. Magnetofon był wyrozumiały: jeśli pomyliłeś nutę, załamał ci się głos lub zapomniałeś słów piosenki, mogłeś to skasować i spróbować jeszcze raz.

Wszystko, co tutaj pójdzie nie tak, usłyszysz cały stadion i już nie uda się tego poprawić.

Nie bądź głupi, powiedział sobie Dave. Robiłeś to sto razy. Pamiętał, jak grał z Guardsmenami w pubach londyńskiego East Endu, kiedy znał tylko kilka akordów. Patrząc wstecz, podziwiał swoją młodzieńczą śmiałość. Pamiętał tę noc, gdy Geoffrey stracił przytomność, zalany w trupa w hamburskim klubie Dive, a Walli wszedł na scenę i grał na gitarze przez resztę występu bez wcześniejszej próby. Szczęśliwe, beztrudne czasy.

Dave miał teraz dziewięcioletnie doświadczenie, dłuższe niż cała kariera wielu gwiazd muzyki rozrywkowej. Pomimo to, widząc gromadzących się fanów, kupujących piwo, koszulki i hot dogi, wierzących, że on zapewni im wspaniały wieczór, czuł się trochę nieswojo.

Młoda kobieta z firmy rozprowadzającej płyty Nellie Records przysłała do jego garderoby zapytać, czy czegoś potrzebuje. Miała na sobie spodnie z rozszerzanymi nogawkami i skąpy top, pokazujący doskonałą figurę.

- Nie, dzięki, kochana - powiedział.

W każdej garderobie był barek z piwem i whisky, napoje orzeźwiające i lód oraz karton papierosów.

- Jeśli chcesz trochę czegoś na odprężenie, mogę dostarczyć - rzuciła.

Pokręcił głową. Nie chciał teraz żadnych prochów. Może po wszystkim zapali skręta.

Nie ustępowała.

- Albo jeśli mogę, no wiesz, zrobić coś...

Proponowała mu seks. Była tak ładna, jak tylko może być kalifornijska blondynka, czyli naprawdę śliczna, ale on nie był w nastroju.

Nie miał na to ochoty od ostatniego spotkania z Beep.

- Może po występie - odparł. Jeśli będę mocno pijany, pomyślał. - Jestem wdzięczny za propozycję, ale teraz spadaj - dodał stanowczo.



Nie obraziła się.

- Daj mi znać, jeśli zmienisz zdanie! - powiedziała wesoło i wyszła.

Ten wieczorny występ był na rzecz George'a McGoverna. Jego kampania wyborcza znów przyciągnęła młodzież do polityki. Dave wiedział, że w Europie byłby politykiem centrum, ale tu uważano go za lewicowego. Krytyczne nastawienie McGoverna do wojny w Wietnamie cieszyło liberałów i było oparte na doświadczeniu, które zdobył, walcząc podczas drugiej wojny światowej.

Siostra Dave'a, Evie, przyszła do jego garderoby życzyć mu szczęścia. Miała na sobie strój zapewniający anonimowość: włosy schowane pod tweedową czapkę, okulary przeciwsłoneczne i motocyklową kurtkę.

- Wracam do Anglii - oznajmiła.

To go zaskoczyło.

- Wiedziałem, że masz złą prasę od czasu tamtego zdjęcia w Hanoi, ale...

Pokręciła głową.

- To gorzej niż zła prasa. Jestem dziś znienawidzona tak żarliwie, jak byłam uwielbiana rok temu. Mówił o tym już Oscar Wilde: jedno uczucie zmienia się w drugie z niewiarygodną gwałtownością.

- Myślałem, że to przeczekasz.

- Przez pewien czas próbowałam. Ale od sześciu miesięcy nie dostałam żadnej porządnej roli. Mogłabym grać dzielną dziewczynę w spaghetti westernie, striptizerkę w podrzędnym teatryku na Broadwayu albo dowolną rolę w inscenizacji Jesus Christ Superstar, jeżdżąc z nią po Australii.

- Przykro mi, nie miałem pojęcia.

- To nie była spontaniczna reakcja.

- Co chcesz powiedzieć?

- Kilku dziennikarzy mówiło mi, że mieli telefony z Białego Domu.

- Zorganizowana akcja?

- Tak sądzę. Byłam znaną osobą, która przy każdej okazji atakowała Nixona. Nic dziwnego, że wbił mi nóż w plecy, kiedy w głupi sposób dałam mu okazję. Trudno się dziwić: robię, co mogę, żeby pozbawić go pracy.

- Jesteś bardzo wyrozumiała.

- I może nawet to nie Nixon. Czy znamy kogoś, kto pracuje w Białym Domu?

- Brata Beep? - z niedowierzaniem spytał Dave. - Cam ci to zrobił?

- Zadurzył się we mnie przed laty w Londynie, a ja dość szorstko go splawiłam.

- I przez tyle lat żywił urazę?
- Nigdy nie zdołałabym tego dowieść.

- Drań!

- Tak więc wystawiłam mój bajerancki dom w Hollywood na sprzedaż, znalazłam kupca na kabriolet i spakowałam kolekcję sztuki współczesnej.

- Co będziesz robić?

- Na początek zagram Lady Makbet.

- Będiesz niesamowita. Gdzie?

- W Stratford-upon-Avon. Wstąpię do Królewskiego Towarzystwa Szekspirowskiego.

- Jedne drzwi się zamykają, a drugie otwierają.

- Bardzo się cieszę, że znów będę grała Szekspira. Minęło dziesięć lat, odkąd grałam w szkole Ofelię.

- Nago.

Evie uśmiechnęła się smutno.

- Lubiałam się popisywać.

- I już wtedy byłaś dobrą aktorką.

Wstała.

- Zostawię cię, żebyś mógł się przygotować. Baw się dobrze dziś wieczór, braciszku. Będę się gibała na widowni.

- Kiedy wyjeżdżasz do Anglii?

- Jutro mam samolot.

- Daj mi znać, kiedy premiera Makbeta. Przyjadę cię zobaczyć.

- To byłoby miłe.

Dave wyszedł z Evie. Scenę ustawiono na tymczasowym podium na jednym końcu boiska. Za sceną na murawie kłębił się tłum techników, dźwiękowców, ludzi z firmy fonograficznej i uprzywilejowanych dziennikarzy. Garderoby mieściły się w namiotach rozstawionych na obszarze ogrodzonym linami.

Buzz i Lew już przybyli, ale nie było widać Wallego. Dave wierzył, że Beep sprowadzi go na czas. Niespokojnie zastanawiał się, gdzie też się podziali.

Wkrótce po odejściu Evie za kulisy przybyli rodzice Beep. Dave znów był w dobrych stosunkach z Bellą i Woodym. Postanowił nie mówić im tego, co Evie powiedziała o Camie nastawiającym przeciwko niej prasę. Zadeklarowani demokraci, już i tak denerwowali się, że ich syn pracuje dla Nixona.

Dave chciał wiedzieć, co Woody myśli o szansach McGoverna.

- George McGovern ma problem - rzekł Woody. - Aby pokonać Huberta Humphreya i otrzymać nominację demokratów, musiał złamać władzę starych partyjnych bonzów, burmistrzów, gubernatorów i przywódców związkowych.

Dave nie nadążał.

- I jak mu się to udało?

- Po chicagowskich zamieszkach w sześćdziesiątym ósmym roku partia zmieniła reguły, a McGovern przewodniczył komisji, która tego dokonała.

- Dlaczego to jest problemem?

- Ponieważ pokonani nie będą dla niego pracować. Niektórzy gardzą nim tak bardzo, że utworzyli organizację o nazwie „Demokraci za Nixonem”.

- Młodzi ludzie go lubią.

- Musimy mieć nadzieję, że to wystarczy.

W końcu Beep przybyła z Wallim. Państwo Dewar poszli do jego garderoby. Dave włożył swój kostium - czerwony jednoczęściowy kombinezon i buty robocze. Wykonał kilka ćwiczeń rozluźniających struny głosowe. Gdy śpiewał gamy, weszła Beep.

Obdarzyła go promiennym uśmiechem i pocałowała w policzek. Jak zawsze, samą swoją obecnością rozjaśniła pomieszczenie. Nigdy nie powinienem pozwolić jej odejść, pomyślał Dave. Ależ ze mnie idiota!

- Co z Wallim? - zapytał z niepokojem.

- Wziął działkę, tylko tyle, żeby wytrzymać do końca występu. Wstrzyknie sobie po zejściu ze sceny. Może grać.

- Dzięki Bogu.

Miała na sobie satynowe szorty i gorsecik obszyty cekinami. Dave zauważył, że trochę przytyła od czasu sesji nagraniowych: jej biust wydawał się większy i miała nawet niewielki brzuszek. Zaoferował jej drinka. Poprosiła o colę.

- Poczęstuj się papierosem - zaproponował.

- Rzuciłam.

- To dlatego przytyłaś.

- Nie, nie dlatego.

- To nie był przytyk. Wyglądasz bajecznie.

- Zrywam z Wallim.

To nim wstrząsnęło. Odwrócił się od baru i popatrzył na nią.

- O - powiedział. - Czy on już o tym wie?

- Powiem mu po dzisiejszym występie.

- Co za ulga. Ale co z tym wszystkim, o czym mi mówiłaś na farmie, że jako mniej samolubna osoba chcesz ratować mu życie?

- Mam ważniejsze życie do ratowania.

- Twoje?

- Mojego dziecka.

- Chryste. - Dave usiadł. - Jesteś w ciąży.

- Trzeci miesiąc.

- To dlatego przytyłaś.

- I rzygam, gdy palę papierosy. Odstawiłam nawet marychę.

W garderobie zatrzeszczał głośnik:

- Za pięć minut na scenę, wszyscy - oznajmił chropowaty głos. - Technicy na stanowiska.

- Jeśli jesteś w ciąży, to dlaczego odchodzisz od Wallego? - zapytał Dave.

- Nie zamierzam wychowywać dziecka w takim środowisku. Co innego poświęcić siebie, a co innego dzieciaka. To dziecko będzie miało normalne życie.

- Dokąd pójdziesz?

- Znow wprowadzę się do rodziców. - Ze zdumieniem pokręciła głowę. - To niewiarygodne. Przez dziesięć lat robiłam wszystko, żeby ich wkurzyć, a kiedy potrzebowałam pomocy, po prostu się zgodzili. Kurewsko dziwne.

- Jedna minuta, wszyscy - przypomniał głos. - Zespół jest uprzejmie proszony o wejście na scenę, gdy tylko będzie gotowy.

Nagle Dave'a uderzyła pewna myśl.

- Trzy miesiące...

- Nie wiem, czyje to dziecko - powiedziała Beep. - Poczęłam je, kiedy nagrywaliście płytę. Brałam pigułki, ale czasem zapomniałam wziąć, szczególnie kiedy byłam zalana.

- Przecież mówiłaś mi, że ty i Walli rzadko uprawiacie seks.

- Rzadko to nie nigdy. Powiedziałabym, że jest dziesięć procent szans, że to dziecko Wallego.

- Zatem na dziewięćdziesiąt procent jest moje.

Lew zajrzał do namiotu Dave'a.

- Idziemy - rzucił.

- Już idę - odparł Dave.

Lew wyszedł, a Dave zwrócił się do Beep:

- Zamieszkaj ze mną.

Spojrzała na niego ze zdumieniem.

- Naprawdę tego chcesz?

- Tak.

- Nawet jeśli to nie twoje dziecko?

- Jestem pewny, że pokocham twoje dziecko. Kocham ciebie. Cholera, kocham też Wallego. Zostań ze mną, proszę.

- O Boże - wykrztusiła i rozplakała się. - Miałam nadzieję, że to powiesz, i modliłam się o to.

- Czy to oznacza, że się zgadzasz?

- Oczywiście. Tylko o tym marzę.

Dave miał wrażenie, że właśnie wzeszło słońce.

- No cóż, a więc tak zrobimy - powiedział.

- A co z Wallim? Nie chcę, żeby umarł.

- Mam pewien pomysł - rzekł Dave. - Powiem ci po koncercie.

- Idź na scenę, czekają na ciebie.

- Wiem. - Delikatnie pocałował ją w usta. Objęła go i mocno przytuliła. - Kocham cię - powiedział.

- Ja też cię kocham i byłam wariatką, że pozwoliłam ci odejść.

- Więcej tego nie rób.

- Nigdy.

Dave wyszedł. Pobiegnął po trawie i schodach tam, gdzie czekali pozostali członkowie zespołu. Nagle coś sobie przypomniał.

- Zapomniałem o czymś! - zawołał i zawrócił.

- O czym? - z irytacją prychnął Buzz. - Gitary są na scenie.

Dave nie odpowiedział. Pobiegnął z powrotem do swojej garderoby. Beep wciąż tam była: siedziała i wycierała oczy.

- Pobierzemy się? - zapytał Dave.

- Jasne - odparła.

- To dobrze.

Pobiegnął z powrotem na podium.

- Wszyscy gotowi? - zapytał.

Wszyscy byli gotowi.

Dave wprowadził zespół na scenę.

Claus Krohn zaprosił Rebecę na drinka po posiedzeniu hamburskiego parlamentu.

Była zaskoczona. Minęły cztery lata, odkąd zakończyła ich romans. Wiedziała, że przez dwanaście ostatnich miesięcy Claus spotykał się z atrakcyjną kobietą, która była etatową urzędniczką związku zawodowego. W tym czasie stał się ważną figurą w Wolnej Partii Demokratycznej, do której należała również Rebecca. Claus i jego dziewczyna pasowali do siebie. Rebecca słyszała nawet, że zamierzają się pobrać.

Posłała mu zniechęcające spojrzenie.

- Nie w barze Jacht - pospiesznie dodał Claus. - W jakimś mniej zacisznym miejscu.

Roześmiała się uspokojona.

Poszli do baru w centrum miasta, niedaleko ratusza. Przez wzgląd na dawne czasy Rebecca zamówiła kieliszek wina.

- Od razu przejdę do sedna sprawy - powiedział Claus, gdy przyniesiono im drinki. - Chcemy, żebyś kandydowała do krajowego parlamentu.

- Och! - sapnęła. - Byłabym mniej zaskoczona, gdybyś próbował mnie poderwać.

Uśmiechnął się.

- Nie dziw się. Jesteś inteligentna i atrakcyjna, wygadana i lubiana. Szanują cię ludzie ze wszystkich partii w Hamburgu. Masz prawie dziesięcioletnie doświadczenie w polityce. Będziesz cennym nabytkiem.

- Ale to tak nagle...

- Wybory zawsze wydają się nagle.

Kanclerz Willy Brandt doprowadził do przyspieszonych wyborów, które miały się odbyć za osiem tygodni. Gdyby Rebecca się zgodziła, przed Bożym Narodzeniem mogłaby być członkiem parlamentu.

Gdy minęło zaskoczenie, nabrała na to ochoty. Jej gorącym pragnieniem było ponowne zjednoczenie Niemiec, żeby ona i tysiące innych Niemców mogły się połączyć ze swoimi rodzinami. Nigdy nie osiągnęłyby tego działalnością polityczną w lokalnej skali - lecz jako członek parlamentu krajowego mogłaby mieć na to pewien wpływ.

Jej partia, FDP, była w koalicyjnym rządzie z socjaldemokratami, którym przewodził Willy Brandt. Rebecca zgadzała się z „Ostpolitik” Brandta i próbami nawiązywania kontaktów ze Wschodem pomimo istnienia muru. Wierzyła, że to najszybsza droga do obalenia wschodnioniemieckiego reżimu.

- Porozmawiam z mężem - odparła.

- Wiedziałem, że to powiesz. Kobiety zawsze tak mówią.

- Gdyby udało mi się wygrać wybory, często zostawałby sam.

- To się zdarza wszystkim małżonkom członków parlamentu.
- Jednak mój mąż to szczególny przypadek.
- Istotnie.
- Porozmawiam z nim dziś wieczorem.

Rebecca wstała. Claus także podniósł się ze swojego miejsca.

- A prywatnie... - zaczął.
- Co?
- Znamy się dość dobrze.
- Tak...

- To twoje przeznaczenie. - Mówił poważnie. - Powinnaś zasiąść w krajowym parlamencie. Skromniejsze stanowisko byłoby marnowaniem twoich możliwości. Okropnym marnotrawstwem. Mówię serio.

Była zaskoczona siłą jego argumentacji.

- Dziękuję - powiedziała.

Jadąc do domu, była jednocześnie podekscytowana i oszołomiona. Nagle otworzyła się przed nią nowa przyszłość. Myślała o działalności politycznej, ale obawiała się, że będzie to dla niej zbyt trudne, jako kobiety i żony niepełnosprawnego męża. Teraz jednak, gdy ta perspektywa stała się czymś więcej niż marzeniem, chciała to zrobić.

Tylko co na to powie Bernd?

Zaparkowała samochód i pospieszyła do ich mieszkania. Bernd był przy kuchennym stole na swoim wózku, sprawdzając szkolne wypracowania z zatemperowanym czerwonym ołówkiem w ręku. Był nieubrany, miał na sobie jedynie płaszcz kąpielowy, który sam potrafił włożyć. Ze spodniami nie był w stanie się uporać.

Natychmiast powiedziała mu o propozycji Clausa.

- Zanim odpowiesz, pozwól mi dodać jeszcze jedno - rzekła. - Jeśli nie chcesz, żebym się zgodziła, nie zrobię tego. Bez sporów, bez żalu, bez wypominania. Jesteśmy w związku partnerskim, a to oznacza, że żadne z nas nie ma prawa jednostronnie zmieniać naszego życia.

- Dziękuję - odparł. - Jednak porozmawiajmy o szczegółach.

- Bundestag obraduje od poniedziałku do piątku mniej więcej przez dwadzieścia tygodni w roku i obecność na posiedzeniach jest obowiązkowa.

- Tak więc spędzałabyś poza domem średnio osiemdziesiąt nocy w roku. Mogę sobie z tym poradzić, szczególnie jeśli zatrudnimy pielęgniarkę, która będzie przychodziła pomagać mi rano.

- Będzie ci mnie brakowało?

- Oczywiście. Jednak niewątpliwie noce z tobą w domu będą jeszcze przyjemniejsze.

- Bernd, jesteś taki dobry.

- Musisz to zrobić - powiedział. - To twoje przeznaczenie.

Zaśmiała się.

- Tak powiedział Claus.

- Nie dziwię się.

Jej mąż i były kochanek zgodnie uważali, że powinna to zrobić. Ona też tak sądziła. Mimo wszystko czuła lekki niepokój: wierzyła, że potrafi to robić, ale jednak było to wyzwanie. Krajowa polityka jest trudniejsza i paskudniejsza od lokalnej. Prasa będzie złośliwa.

Matka będzie ze mnie dumna, pomyślała. Carla powinna być przywódczynią partii i zapewne tak by się stało, gdyby nie została uwięziona w pułapce, jaką były Niemcy Wschodnie. Będzie zachwycona, że córka realizuje aspiracje, których jej nie pozwolono zrealizować.

Rozmawiali o tym przez następne trzy wieczory, a potem, czwartego, przybył Dave Williams.

Nie spodziewali się jego wizyty. Rebecca była zdumiona, ujrawszy go w prog, w brązowym zamszowym płaszczu i z walizeczką z naklejką hamburskiego lotniska.

- Mogłeś zadzwonić! - powiedziała po angielsku.

- Zgubiłem twój numer - odparł po niemiecku.

Pocałowała go w policzek.

- Co za cudowna niespodzianka!

Lubiła Dave'a wtedy, kiedy Plum Nellie grali w Reeperbahn i chłopcy przychodzili do tego mieszkania na ich jedyny porządny posiłek w tygodniu. Dave był dobry dla Wallego, którego talent rozkwitł przy takim partnerze.

Dave wszedł do kuchni, postawił walizeczkę i uścisnął dłoń Bernda.

- Przyleciałeś z Londynu? - zapytał Bernd.

- Z San Francisco. Podróż trwała dwadzieścia cztery godziny.

Jak zwykle rozmawiali, mieszając angielski z niemieckim.

Rebecca nastawiła kawę. Gdy otrząsnęła się z zaskoczenia, uświadomiła sobie, że ta wizyta Dave'a musi mieć jakiś ważny powód, i zaniepokoiła się. Dave mówił Berndowi o swoim studiu nagraniowym, ale Rebecca mu przerwała.

- Dlaczego tu przyleciałeś, Dave? Czy coś się stało?

- Tak - odparł Dave. - Chodzi o Wallego.



Serce Rebekki jakby na moment przestało bić.

- Co się stało? Powiedz! Chyba nie umarł...

- Nie, żyje. Jednak jest uzależniony od heroiny.

- Och, nie. - Rebecca ciężko opadła na krzesło. - Och, nie.

Ukryła twarz w dłoniach.

- To nie wszystko - powiedział Dave. - Beep go opuszcza. Jest w ciąży i nie chce wychowywać dziecka przy narkomanie.

- Och, mój biedny braciszek.

- Co Beep zamierza zrobić? - spytał Bernd.

- Zamieszka ze mną na Daisy Farm.

- Och. - Rebecca zauważyła, że Dave jest zmieszany. Domyśliła się, że odnowił swój romans z Beep. To mogło tylko pogorszyć stan jej brata. - Co możemy zrobić dla Wallego?

- Musi przestać brać heroinę, oczywiście.

- Myślisz, że to możliwe?

- Jeśli otrzyma odpowiednią pomoc. Są programy, zarówno w Stanach, jak i w Europie, łączące terapię z farmakologicznym substytutem, zazwyczaj metadonem. Jednak Walli mieszka w Haight-Ashbury. Tam dealer stoi na każdym rogu i nawet jeśli Walli nie pójdzie kupić, to jeden z nich zapuka do jego drzwi. W San Francisco zbyt łatwo mógłby wrócić do nałogu.

- Zatem musi się przeprowadzić?

- Uważam, że powinien przeprowadzić się tutaj.

- Wielkie nieba.

- Myślę, że mieszkając u was, mógłby zerwać z nałogiem.

Rebecca spojrzała na Bernda.

- Chodzi mi o ciebie - powiedział jej. - Masz pracę i karierę polityczną przed sobą. Lubię Wallego, nie tylko dlatego, że ty go kochasz. Ale nie chcę, żebyś poświęcała dla niego swoje życie.

- To nie na zawsze - pospieszenie wtrącił Dave. - Jednak gdybyście pomogli mu wytrzymać przez rok...

Rebecca wciąż patrzyła na Bernda.

- Nie poświęcę mojego życia. Może jednak oddam mu jeden rok.

- Jeśli teraz odrzucisz propozycję kandydowania do Bundestagu, mogą już nigdy jej nie ponowić.

- Wiem.

- Chcę, żebyś wróciła ze mną do San Francisco i przekonała Wallego do tego pomysłu - powiedział Dave do Rebekki.

- Kiedy?

- Jutro byłoby dobrze. Już zarezerwowałem miejsca w samolocie.

- Jutro!

Jednak tak naprawdę nie mam innego wyjścia, pomyślała Rebecca. Stawką jest życie Wallego. W porównaniu z tym reszta się nie liczy. Brat jest dla niej najważniejszy, oczywiście, że tak. Nie musiała się specjalnie zastanawiać.

A jednocześnie smuciło ją to, że odrzuca tę fascynującą możliwość, która się przed nią na moment otworzyła.

- Co mówiliście przed chwilą o Bundestagu? - zapytał Dave.

- Nic - odparła Rebecca. - To tylko coś innego, co zamierzałam zrobić. Jednak polecę z tobą do San Francisco. Oczywiście, że tak.

- Jutro?

- Tak.

- Dziękuję.

Rebecca wstała.

- Spakuję się - powiedziała.

## ROZDZIAŁ 50

Jasper Murray był przygnębiony. Prezydent Nixon - kłamca, oszust i łajdak - został ponownie wybrany ogromną większością głosów. Wygrał w czterdziestu dziewięciu stanach. George McGovern, jeden z najbardziej przegranych kandydatów w historii Ameryki, zwyciężył tylko w Massachusetts i Dystrykcie Kolumbii.

Co gorsza, choć nowe rewelacje o aferze Watergate wywoływały oburzenie liberalnej inteligencji, Nixon nadal miał wysokie notowania. Pięć miesięcy po wyborach, w kwietniu 1973 roku, poparcie dla prezydenta wynosiło ponad sześćdziesiąt procent.

- Co mamy robić? - pytał sfrustrowany Jasper każdego, kto chciał słuchać. Media pod wodzą „Washington Post” ujawniały jedno przestępstwo prezydenckie po drugim, gdy Nixon rozpaczliwie usiłował ukryć swój udział we włamaniu. Jeden z włamujących się do Watergate napisał list, który sędzia odczytał w sądzie, narzekając, że na podsądnych wywiera się polityczną presję, żeby przyznali się do winy i nic nie mówili. Jeśli to było prawdą, oznaczało, że prezydent próbuje manipulować przebiegiem procesu sądowego. Jednak wydawało się, że wyborcom to nie przeszkadza.

Jasper był w sali konferencyjnej Białego Domu we wtorek, siedemnastego kwietnia, kiedy nastąpił przełom.

Na końcu pomieszczenia znajdowało się niewielkie podium. Stała na nim mównica przed zasłoną w przyjaznym dla telewizji szaroniebieskim kolorze. Nigdy nie wystarczało krzeseł, więc niektórzy reporterzy siadali na jasnobrązowym dywanie, gdy kamerzyści walczyli o miejsca.

Biały Dom oznajmił, że prezydent wygłosi krótki komunikat, ale nie będzie odpowiadał na pytania. Reporterzy zebrali się o trzeciej. Teraz było wpół do piątej i nic się nie działo.

Nixon pojawił się o czwartej czterdzieści dwie. Jasper zauważył, że trzęsą mu się ręce. Prezydent poinformował dziennikarzy o wyniku sporu pomiędzy Białym Domem a Samem Ervinem, przewodniczącym senackiej komisji badającej aferę Watergate. Personelowi Białego Domu pozwolono zeznawać przez Komisję Ervina, chociaż mogli odmawiać odpowiedzi na dowolne pytania. Niewielkie ustępstwo, pomyślał Jasper. Jednak niewinny prezydent nie powinien w ogóle się o to spierać.

Potem Nixon powiedział:

- Żadna osoba zajmująca, w przeszłości czy obecnie, ważne stanowisko w administracji państwowej nie powinna być zwolniona z odpowiedzialności karnej.

Jasper zmarszczył brwi. Co to oznaczało? Ktoś musiał żądać immunitetu, ktoś z otoczenia Nixona. Teraz Nixon publicznie mu tego odmawiał. Posyłał kogoś w odstawkę. Tylko kogo?

- Potępiam wszelkie próby tuszowania nadużyć, obojętnie kto jest w to zamieszany - oświadczył prezydent, który próbował zamknąć dochodzenie FBI, a potem opuścił salę.

Sekretarz prasowy Ron Ziegler wszedł na podium, by stawić czoło lawinie pytań. Jasper nie zadał żadnego. Był zaintrygowany tym komunikatem o immunitecie.

Ziegler powiedział teraz, że oświadczenie prezydenta jest „zobowiązujące”. Jasper natychmiast zrozumiał, że to wykrętne określenie, rozmyślnie niejasne, miało raczej ukryć prawdę niż ją wyjaśnić. Inni dziennikarze na sali też to pojęli.

To Johnny Apple z „New York Timesa” zapytał, czy z tego wynika, że wszystkie poprzednie oświadczenia były niezobowiązujące.

- Tak - rzekł Ziegler.

Dziennikarze wpadli we wściekłość. To oznaczało, że ich okłamywano. Przez lata wiernie przekazywali oświadczenia Nixona, darząc go zaufaniem jako przywódcę narodu. Zrobiono z nich głupców.

Już nigdy więcej mu nie zaufają.

Jasper wrócił do swojego biura, nadal zadając sobie pytanie, kto naprawdę był celem tego oświadczenia Nixona.

Odpowiedź otrzymał dwa dni później. Podniósł słuchawkę i usłyszał drżący kobiecy głos sekretarki doradcy prawnego Białego Domu, Johna Deana, która dzwoniła do waszyngtońskich dziennikarzy, żeby odczytać im jego oświadczenie.

To samo w sobie było przedziwne. Jeśli doradca prawny prezydenta chciał coś powiedzieć prasie, powinien zrobić to za pośrednictwem Rona Zieglera. Najwyraźniej doszło do rozłamu.

- Niektórzy mogą liczyć lub myśleć, że stanę się kozłem ofiarnym w sprawie Watergate - przeczytała sekretarka. - Każdy, kto tak uważa, nie zna mnie...

Ach, pomyślał Jasper, pierwszy szczur opuszcza tonący statek.

Maria była zdumiona postępowaniem Nixona. Nie miał ani krzty godności. Choć coraz więcej ludzi uświadamiało sobie, jakim jest oszustem, on nie złożył rezygnacji, tylko pozostał w Białym Domu, chełpiąc się, matacząc, grożąc i kłamiąc, kłamiąc, kłamiąc.

Pod koniec kwietnia John Ehrlichman i Bob Haldeman jednocześnie złożyli rezygnację. Obaj byli bliskimi współpracownikami Nixona. Z powodu niemieckich nazwisk nazywano

ich „murem berlińskim”. Określenia tego używały najczęściej te osoby, które czuły się przez nich odsunięte. Obaj organizowali dla prezydenta przestępcze działania, takie jak włamania, i aranżowali krzywoprzysięstwa. Czy ktokolwiek mógł uwierzyć, że robili to wbrew jego woli i wiedzy? Śmieszne.

Następnego dnia Senat jednomyślnie przegłosował powołanie specjalnego prokuratora, niezależnego od skompromitowanego Departamentu Sprawiedliwości, aby wyjaśnić, czy prezydenta należy postawić w stan oskarżenia.

Dziesięć dni później zaufanie do Nixona spadło poniżej pięćdziesięciu procent - po raz pierwszy przeważały opinie negatywne.

Prokurator specjalny szybko zabrał się do pracy. Zaczął od zatrudnienia grupy prawników. Maria знаła jedną z osób należących do zespołu, była urzędniczką Departamentu Sprawiedliwości, Antonię Capel. Antonia mieszkała niedaleko Marii w Georgetown. Pewnego wieczoru Maria zadzwoniła do jej drzwi.

Antonia otworzyła je i zrobiła zdziwioną minę.

- Nie wymawiaj mojego nazwiska - powiedziała Maria.

Antonia była zaskoczona, ale szybko pojęła, o co chodzi.

- W porządku - odparła.

- Możemy porozmawiać?

- Oczywiście, wejdź.

- Zechcesz wypić ze mną kawę w kafejce tuż obok?

Antonia spojrzała na nią z niedowierzaniem, ale zgodziła się.

- Jasne. Poproszę męża, żeby wykapał dzieci... hmm, dasz mi piętnaście minut?

- No pewnie.

Kiedy Antonia przyszła do kawiarni, najpierw zapytała, czy w jej mieszkaniu jest podsłuch.

- Nie wiem, ale może być, skoro pracujesz teraz dla prokuratora specjalnego.

- Och.

- Po pierwsze - zaczęła Maria - nie pracuję dla Dicka Nixona, ale dla Departamentu Sprawiedliwości i amerykańskiego narodu.

- W porządku...

- Teraz nie mam ci niczego szczególnego do powiedzenia, ale chcę, żebyś wiedziała, że jeśli będę w jakiś sposób mogła pomóc prokuratorowi specjalnemu, zrobię to.

Antonia była dostatecznie sprytna, by wiedzieć, że Maria zaproponowała, iż zostanie jej szpiegiem w Departamencie Sprawiedliwości.

- To może być naprawdę ważne - powiedziała. - Tylko jak będziemy się kontaktowały, żeby to nie wyszło na jaw?

- Dzwoń do mnie z budki telefonicznej. Nie podawaj swojego nazwiska. Powiedz coś o filizance kawy. Spotkam się tu z tobą tego samego dnia. Czy ta pora jest dobra?

- Doskonała.

- Jak idzie praca?

- Dopiero zaczęliśmy. Szukamy odpowiednich prawników do naszego zespołu.

- Skoro o tym mowa, mam pewną sugestię: George Jakes.

- Chyba znam to nazwisko. Przypomnij mi, kto to jest.

- Przez siedem lat pracował dla Roberta Kennedy'ego, najpierw w departamencie, gdy Bobby był prokuratorem generalnym, a potem w Senacie. Po śmierci Kennedy'ego George podjął pracę w kancelarii Fawcett Renshaw.

- Wydaje się idealnym kandydatem. Zadzwońię do niego.

Maria wstała.

- Wyjdźmy osobno. To zmniejszy ryzyko, że ktoś zobaczy nas razem.

- Czy to nie straszne, że musimy działać ukradkiem, chociaż robimy to, co należy?

- Wiem.

- Dziękuję, że do mnie przyszedłeś, Mario. Naprawdę to doceniam.

- Do widzenia - powiedziała Maria. - Nie podawaj swojemu szefowi mojego nazwiska.

Cameron Dewar miał w swoim pokoju telewizor. Gdy nadawano przesłuchania Komisji Eryna, odbiornik Cama był włączony bez przerwy - tak jak niemal każdy w centrum Waszyngtonu.

Po południu w poniedziałek, szesnastego lipca Cam pracował nad raportem dla swojego nowego szefa, Ala Haiga, który zastąpił Boba Haldemana na stanowisku szefa personelu Białego Domu. Cam niezbyt uważnie słuchał transmitowanych zeznań Alexandra Butterfielda, pracownika Białego Domu średniego szczebla, który opracowywał harmonogramy dnia dla Nixona podczas jego pierwszej kadencji, a potem odszedł, aby kierować Federalną Administracją Lotnictwa.

Prawnik komisji, Fred Thompson, przesłuchiwał Butterfielda.

- Czy wiedział pan o istnieniu jakichkolwiek urządzeń podsłuchowych w prezydenckim Gabinetcie Ovalnym?

Cam spojrzał. To było nieoczekiwane. Urządzenia podsłuchowe - powszechnie nazywane pluskwami - w Gabinetcie Ovalnym? Na pewno nie.

Butterfield milczał przez długą chwilę. W sali przesłuchań zrobiło się cicho.

- Jezu - szepnął Cam.

- Wiedziałem o urządzeniach podsłuchowych, tak, proszę pana - odpowiedział w końcu Butterfield.

Cam wstał.

- Kurwa, nie! - wrzasnął.

W telewizorze Thompson pytał dalej.

- Kiedy te urządzenia podsłuchowe zostały umieszczone w Gabinetcie Ovalnym?

Butterfield zawahał się, westchnął, przełknął ślinę i odpowiedział:

- Mniej więcej w lecie tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego roku.

- Boże Wszechmogący! - ryczał Cam w pustym pokoju. - Jak to się mogło stać? Jak prezydent mógł być taki głupi?

- Proszę nam coś powiedzieć o tym, jak działały te urządzenia - zażądał Thompson. - Na przykład jak były aktywowane.

- Zamknij się! - wrzeszczał Cam. - Zamknij się, kurwa!

Butterfield zaczął rozwlekle wyjaśniać działanie tej aparatury i w końcu wyjął, że była aktywowana głosem.

Cam usiadł, to była katastrofa. Nixon w tajemnicy nagrywał wszystko, co mówiono w Gabinetcie Ovalnym. Mówił o włamaniach, łapówkach i szantażach, przez cały czas wiedząc, że te obciążające słowa są nagrywane.

- Głupiec, głupiec, głupiec! - głośno powiedział Cam.

Domyślał się, co teraz nastąpi. Zarówno Komisja Ervina, jak i prokurator specjalny zażądają dostępu do nagrań. Niemal na pewno zdołają zmusić prezydenta do ich wydania jako kluczowego dowodu w kilku dochodzeniach kryminalnych. A wtedy cały świat pozna prawdę.

Nixon może zdoła zatrzymać te taśmy lub je zniszczyć, ale to byłoby niemal równie fatalne. Skoro twierdził, że jest niewinny, te taśmy by go oczyściły, więc po co miałby je ukrywać? Zniszczenie ich uznano by za przyznanie się do winy - oraz jeszcze jedno z coraz dłuższej listy przestępstw, o które go oskarżano.

To był koniec prezydentury Nixona.

Zapewne będzie kurczowo trzymał się stołka. Cam zdążył go już dobrze poznać. Nixon nie wiedział, kiedy się poddać - i nigdy tego nie robił. Kiedyś było to jego zaletą. Teraz miało prowadzić do tygodni, a może miesięcy utraty wiarygodności i upokorzeń, zanim w końcu ustąpi.

Cam nie zamierzał brać w tym udziału. Podniósł słuchawkę i zadzwonił do Tima Teddera. Spotkali się godzinę później w Electric Diner, staroświeckiej kafejce.

- Nie boisz się ze mną pokazywać? - spytał Tedder.

- To już nie ma znaczenia. Odchodzę z Białego Domu.

- Dlaczego?

- Nie oglądałeś telewizji?

- Nie dzisiaj.

- W Gabinetcie Ovalnym jest aparatura nagrywająca uaktywniana głosem. Rejestrowała wszystko, co mówiono w tym pokoju przez ostatnie trzy lata. To koniec. Nixon jest skończony.

- Poczekaj chwilę. Kiedy zlecał te misje, przez cały czas to nagrywał?

- Tak.

- Obciążając się.

- Tak.

- Co za idiota tak robi?

- Myślałem, że jest sprytny. Chyba oszukał nas wszystkich. Mnie na pewno.

- Co zamierzasz?

- Właśnie dlatego do ciebie zadzwoniłem. Zaczynam nowe życie. Potrzebuję nowej pracy.

- Chcesz pracować w mojej firmie ochroniarskiej? Jestem tylko pracownikiem...

- Nie, nie. Posłuchaj. Mam dwadzieścia siedem lat. I pięcioletnie doświadczenie w pracy w Białym Domu. Znam rosyjski.

- Zatem chcesz pracować w...

- CIA. Mam dobre kwalifikacje.

- Masz. Ale musiałbyś przejść podstawowe przeszkolenie.

- Żaden problem. Część nowego życia.

- Chętnie zadzwonię do moich przyjaciół w firmie i powiem o tobie dobre słowo.

- Doceniam to. I jeszcze jedno.

- Co?

- Nie chcę robić z tego wielkiego halo, ale słyszałem to i owo. CIA złamała kilka przepisów w tej całej aferze Watergate. Wiem wszystko o jej udziale.

- No tak.

- Nie chcę nikogo szantażować. Wiesz, że jestem lojalny. Możesz jednak napomknąć przyjaciołom w Agencji, że oczywiście nie donosiłbym na swojego pracodawcę.



- Rozumiem.
- I co sądzisz?
- Sądzę, że już masz tę robotę.

George był uszczęśliwiony i dumny z tego, że wszedł do zespołu prokuratora specjalnego. Teraz czuł, że jest członkiem grupy czołowych amerykańskich polityków, tak jak wtedy, gdy pracował dla Roberta Kennedy'ego. Jego jedynym problemem było to, że nie wiedział, jak zdoła kiedyś powrócić do banalnych spraw, którymi zajmował się w firmie Fawcett Renshaw.

Zajęło to pięć miesięcy, ale w końcu Nixon został zmuszony do wydania prokuratorowi trzech taśm nagranych przez aparaturę w Gabinetcie Ovalnym.

George Jakes był w biurze wraz z resztą zespołu, gdy przesłuchiwali taśmę z dwudziestego trzeciego czerwca 1972 roku, niecały tydzień po włamaniu do kompleksu Watergate.

Usłyszał głos Boba Haldemana: „FBI nie jest kontrolowane, ponieważ Gray nie ma pojęcia, jak je kontrolować”.

Nagranie było kiepskie, ale kulturalny głos Haldemana był dość dobrze słyszalny.

„Dlaczego prezydent chciał kontrolować FBI?” - zapytał ktoś.

To retoryczne pytanie, pomyślał George. Jedynym powodem było wstrzymanie śledztwa FBI dotyczącego przestępstw samego prezydenta.

„Ich dochodzenie wkracza teraz na dość niebezpieczne obszary”, ciągnął na taśmie Haldeman. „Zdołali wytropić pieniądze”.

George przypomniał sobie, że włamujący się do Watergate mieli dużo gotówki w nowych banknotach z kolejnymi numerami seryjnymi. To oznaczało, że FBI prędzej czy później odkryje, kto im dał te pieniądze.

Teraz wszyscy wiedzieli, że pochodziły one z funduszy CREEP. Nixon jednak wciąż zaprzeczał, że cokolwiek o tym wiedział. Tymczasem, jak wynikało z nagrania, rozmawiali o tym sześć dni po włamaniu!

Nixon wtrącił ciężkim basem: „Ludzie, którzy przekazali te pieniądze, mogą po prostu powiedzieć, że dali je Kubańczykom”.

George usłyszał, jak ktoś w pokoju mówi: „Jasna dupa!”.

Prokurator specjalny zatrzymał taśmę.

- Jeśli się nie mylę - powiedział oszołomiony George - prezydent zamierza prosić swoich sponsorów, żeby popełnili krzywoprzysięstwo!

- Możecie to sobie wyobrazić? - spytał oszołomiony prokurator specjalny.

Wcisnął guzik i Haldeman podjął przerwana rozmowę.

„Nie chcemy wtajemniczać zbyt wielu osób. Możemy poradzić sobie z tym, nakazując Waltersowi, żeby zadzwonił do Pata Graya i polecił mu się trzymać od tej sprawy z daleka”.

To było bardzo zbliżone do tego, co pokazał Jasper Murray na podstawie informacji przekazanych mu przez Marię. Generał Vernon Walters był zastępcą dyrektora CIA. Agencja od dawna miała cichą umowę z FBI: jeśli śledztwo jednej z tych dwóch organizacji zagrażało tajnym operacjom drugiej, można je było wstrzymać jednym prostym żądaniem. Najwyraźniej Haldeman zamierzał namówić CIA, żeby udawała, iż śledztwo FBI w sprawie afery Watergate z jakiegoś powodu stanowi zagrożenie dla bezpieczeństwa narodowego.

Co byłoby utrudnianiem działania wymiarowi sprawiedliwości.

„Racja, dobrze”, powiedział Nixon na taśmie.

Prokurator ponownie zatrzymał odtwarzanie.

- Słyszeliście to? - z niedowierzaniem zapytał George. - Nixon powiedział: „Racja, dobrze”.

„To może rozdmuchać całą tę sprawę z Zatoką Świń - ciągnął Nixon - i uważamy, że byłoby to bardzo niefortunne dla CIA, kraju i amerykańskiej polityki zagranicznej”.

Tworzy bajeczkę, którą CIA miała sprzedać FBI, pomyślał George.

„Taak”, rzekł Haldeman. „Na tej podstawie ich o to poprosimy”.

- Prezydent Stanów Zjednoczonych siedzi w swoim gabinecie i mówi członkom swojego personelu, jak mają popełnić krzywoprzysięstwo! - sapnął prokurator

Wszyscy w pokoju spoglądali na siebie oszołomieni. Prezydent był przestępcą, a oni mieli dowód tego w rękach.

- Kłamliwy drań, mamy go - powiedział George.

Na taśmie Nixon rzekł: „Nie chcemy, by nabrali podejrzeń, że robimy to z powodów politycznych”.

„Właśnie”, przytaknął Haldeman.

W pokoju zebrani wokół magnetofonu prawnicy ryknęli śmiechem.

Maria siedziała za swoim biurkiem w Departamencie Sprawiedliwości, gdy zadzwonił George.

- Właśnie dostałem wiadomość od naszego znajomego - powiedział. Wiedziała, że chodzi o Jaspiera. Mówił do niej szyfrem, na wypadek gdyby telefony były na podsłuchu. - Biuro prasowe Białego Domu zadzwoniło do sieci radiowych i telewizyjnych, rezerwując

czas dla prezydenta. Dzisiaj o dziewiątej wieczorem.

Był czwartek, ósmy sierpnia 1974 roku.

Serce zabiło jej szybciej. Czy to wreszcie miał być koniec?

- Może zamierza ustąpić - powiedziała.

- Może.

- Boże, mam taką nadzieję.

- Albo to, albo znów będzie twierdził, że jest niewinny.

Maria nie chciała być sama, kiedy to się stanie.

- Chcesz przyjść do mnie? - spytała. - Obejrzymy to razem.

- Tak, dobrze.

- Zrobię kolację.

- Tylko nic tuczącego.

- George'u Jakes, jesteś próżny.

- Zrób sałatkę.

- Przyjdź o siódmej trzydzieści.

- Przyniosę wino.

Maria poszła kupić produkty na kolację. Waszyngtońskie ulice pogrążone były w sierpniowym skwarze. Już nie przejmowała się swoją pracą. Utraciła wiarę w Departament Sprawiedliwości. Jeśli Nixon wieczorem ustąpi ze stanowiska, ona zacznie szukać sobie innej posady. Nadal chciała pracować w administracji państwowej: tylko rząd miał możliwość uczynienia tego świata lepszym miejscem. Jednak zbrzydły jej przestępstwa i wykręty przestępców. Pragnęła zmiany. Pomyślała, że mogłaby spróbować się zatrudnić w Departamencie Stanu.

Kupiła sałatkę, a także trochę makaronu, parmezanu i oliwek. George miał wyrafinowany gust, a po osiągnięciu wieku średniego stał się jeszcze bardziej wybredny. Jednak z pewnością nie był gruby. Maria również nie była otyła, ale też nie chuda. Zbliżając się do czterdziestki, stawała się... no cóż, bardziej podobna do matki, szczególnie w okolicy bioder.

Wyszła z pracy kilka minut przed piątą. Przed Białym Domem zgromadził się tłum. Śpiewano *Jail to the Chief*, przekręcając oryginalne słowa *Hail to the Chief*.

Maria złapała autobus do Georgetown.

W miarę jak jej dochody rosły, z biegiem lat zmieniała mieszkania, zawsze na większe, ale w tej samej okolicy. Podczas ostatniej przeprowadzki pozbyła się wszystkich fotografii prezydenta Kennedy'ego poza jedną. Jej obecne mieszkanie było przede wszystkim wygodne. George zawsze lubił nowoczesne meble i oszczędny wystrój, Maria wolała wzorzyste

materiały, zakrzywione linie sprzętów i mnóstwo poduszek.

Jej szara kotka Uchata przyszła ją przywitać, jak zawsze, i potarła łebkiem o nogę Marii. Juliusz, kocur, zachowywał się z rezerwą: pojawi się później.

Zastawiła stół, umyła sałatę i startła parmezan. Potem wzięła prysznic i włożyła letnią bawełnianą sukienkę w swoim ulubionym kolorze - turkusowym. Zastanawiała się, czy pomalować usta, ale postanowiła tego nie robić.

W wieczornych wiadomościach telewizyjnych głównie spekulowano. Nixon spotkał się z wiceprezydentem Geraldem Fordem, który nazajutrz mógł być prezydentem. Sekretarz prasowy Ziegler oznajmił reporterom w Białym Domu, że prezydent przemówi do narodu o dziewiątej, a potem opuścił salę konferencyjną, nie odpowiadając na pytania, o czym będzie ta przemowa.

George przyszedł o siódmej trzydzieści, w sportowych spodniach, mokasynach i niebieskiej batystowej koszuli rozpiętej pod szyją. Maria przyprawiła sałatę i wrzuciła makaron do wrzącej wody, podczas gdy on otwierał butelkę chianti.

Drzwi jej sypialni były otwarte i George zajrzał do środka.

- Nie ma kapliczki - stwierdził.

- Wyrzuciłam większość zdjęć.

Zasiedli przy małym stoliku w jadalni.

Przyjaźnili się od trzynastu lat. Każde z nich było świadkiem, jak to drugie pograża się w otchłani rozpacz. Oboje stracili ukochane osoby: Verena Marquand odeszła do Czarnych Panter, a prezydent Kennedy na tamten świat. W różny sposób, ale oboje zostali osamotnieni. Tyle ich łączyło, że dobrze się czuli razem.

- Serce jest mapą świata, wiedziałeś o tym? - zapytała Maria.

- Nie wiem nawet, co to oznacza - odparł.

- Widziałam kiedyś średniowieczną mapę. Ukazywała Ziemię jako płaski dysk z Jerozolimą na środku. Rzym był większy niż Afryka, a Ameryki nawet nie ukazano, oczywiście. Serce jest tego rodzaju mapą. Jesteś na jej środku, a wszystko inne ma zachwiane proporcje. Rysujesz przyjaciół z czasów młodości jako wielkich, a potem nie możesz już zmienić skali, gdy musisz dodać inne, ważniejsze osoby. Każdy, kto cię skrzywdził, jest zbyt duży, tak jak każda osoba, którą się kochało.

- W porządku, łapię, ale...

- Wyrzuciłam moje zdjęcia Jacka Kennedy'ego. Jednak on zawsze będzie zbyt duży na mapie mojego serca. Tylko to chciałam powiedzieć.

Po kolacji pozmywali, a potem usiedli na dużej i wygodnej kanapie przed telewizorem,

żeby dopić wino. Koty zasnęły na dywanie.

Nixon pojawił się o dziewiątej.

Proszę, pomyślała Maria, niech te męczarnie się skończą.

Nixon siedział w Gabinetcie Ovalnym, przed niebieską zasłoną, z flagą po prawej i sztandarem prezydenckim po lewej. Natychmiast zaczął mówić tym głębokim, ponurym głosem.

„Po raz trzydziesty siódmy przemawiam do was z gabinetu, w którym podjęto tyle decyzji zmieniających historię tego narodu”.

Kamera pokazała obraz w nieco bliższym planie. Prezydent nosił znajomo wyglądający niebieski garnitur i krawat.

„W tym długim i trudnym okresie Watergate uważałem za swój obowiązek wytrwać i podjąć wszelkie możliwe wysiłki, aby dokończyć kadencję, na którą mnie wybraliście. Jednak w ostatnich dniach stało się dla mnie oczywiste, że nie mam już wystarczająco silnego poparcia politycznego w Kongresie, które usprawiedliwiłoby kontynuowanie tych wysiłków”.

- A jednak! - zawołał podekscytowany George. - Składa rezygnację!

Rozemocjonowana Maria złapała go za rękę.

Kamera pokazała zbliżenie twarzy Nixona.

„Nigdy się nie poddawałem”, rzekł.

- O cholera! - zaklął George. - Czyżby miał się rozmyślić?

„Jednak jako prezydent muszę na pierwszym miejscu stawiać interes Ameryki”.

- Nie - powiedziała Maria. - Nie rozmyśli się.

„Zatem jutro w południe złożę rezygnację. O tej godzinie i w tym gabinecie wiceprezydent Ford zostanie zaprzysiężony jako prezydent USA”.

- Tak! - George przeszył pięścią powietrze. - Zrobił to! Odchodzi!

Maria przyjęła to nie tyle z triumfem, ile z ulgą. Ocknęła się z koszmarnego snu. W tym śnie najwyżsi urzędnicy państwowi byli przestępcami i nikt nie mógł ich powstrzymać.

Jednak w prawdziwym życiu zostali zdemaskowani, napiętnowani i usunięci. Nareszcie ogarnął ją spokój i uświadomiła sobie, że przez ostatnie dwa lata nie miała poczucia, że Ameryka jest bezpiecznym krajem

Nixon nie przyznał się do niczego. Nie powiedział, że popełniał przestępstwa, kłamał i próbował obwiniać innych ludzi. Przewracając kartki przemówienia, przypominał o swoich sukcesach: Chinach, rozmowach o redukcji uzbrojenia, dyplomacji na Bliskim Wschodzie. Zakończył dumnie i wyzywająco.

- Skończyło się - powiedziała Maria z lekkim niedowierzaniem.

- Zwyciężyliśmy! - zawołał George i wziął ją w ramiona.

I nagle, bez namysłu, zaczęli się całować.

Wydawało się to najbardziej naturalną rzeczą na świecie.

Nie był to nagły przyływ namiętności. Całowali się delikatnie, badając swoje wargi i języki. George smakował winem. To było jak odkrycie fascynującego tematu rozmowy, który wcześniej przeoczyli. Maria uświadomiła sobie, że uśmiecha się i całuje jednocześnie.

Jednak ten uścisk szybko stał się namiętny. Maria poczuła tak głęboką przyjemność, że z trudem łapała oddech. Rozpięła George'owi koszulę, żeby dotykać jego torsu. Niemal zapomniała, jak to jest, gdy się trzyma w ramionach szczupłe męskie ciało. Prężyła się, gdy jego duże dłonie dotykały intymnych miejsc, tak inaczej niż jej własne miękkie i małe palce.

Kątem oka zobaczyła, że oba koty wychodzą z pokoju.

George pieścił ją zadziwiająco długo. Dotychczas miała tylko jednego kochanka, a ten nie był tak cierpliwy: do tej pory już by na niej leżał. To, co robił George, sprawiało jej przyjemność, a jednocześnie rozpaczliwie pragnęła poczuć go w sobie.

Potem w końcu to się stało. Zapomniała, jakie to wspaniałe uczucie. Przycisnęła George'a do siebie i uniosła nogi, wpuszczając go głębiej. Raz po raz powtarzała jego imię, aż uniosły ją spazmy rozkoszy i krzyknęła. W następnej chwili poczuła w sobie jego wytrysk, który wywołał jeszcze jeden spazm.

Leżeli złączeni ze sobą, ciężko dysząc. Maria nie mogła nacieszyć się dotykaniem jego skóry. Jedną dłonią przyciskała plecy George'a, a drugą głowę, wyczuwając jego ciało, niemal obawiając się, że może nie być realne i że to może być sen. Pocałowała zniekształcone ucho. Na szyi czuła jego gorący oddech.

Powoli zaczęła oddychać normalnie. Świat wokół znów stał się rzeczywisty. Telewizor nadal był włączony i podawał reakcje na rezygnację Nixona. Usłyszała głos komentatora: „To był naprawdę pamiętny dzień”.

Maria westchnęła.

- Z pewnością - powiedziała.

George uważał, że były prezydent powinien pójść do więzienia. Nixon popełnił wystarczającą liczbę przestępstw uzasadniających taką karę. To nie była średniowieczna Europa, gdzie władcy stali ponad prawem, tylko Ameryka, w której sprawiedliwość jest taka sama dla wszystkich. Komitet Prawny Izby Reprezentantów orzekł, że należy rozpocząć procedurę impeachmentu, i Kongres zatwierdził jego raport znamiennej większością głosów:

czterysta dwanaście przeciwko trzem. Opinia publiczna opowiadała się za impeachmentem procentowym stosunkiem głosów sześćdziesiąt sześć do dwudziestu siedmiu. John Ehrlichman już został skazany za swoje przestępstwa na dwadzieścia miesięcy więzienia: byłoby niesprawiedliwe, gdyby człowiek, który wydawał mu rozkazy, miał uniknąć kary.

Miesiąc po ustąpieniu Nixona prezydent Ford go ułaskawił.

George był wściekły i wszyscy inni również. Sekretarz prasowy Forda zrezygnował z pracy. W „New York Timesie” napisano, że to ułaskawienie było „głęboko nieprzemyślaną, jątrzącą i niesprawiedliwą decyzją”, która całkowicie przekreśliła wiarygodność nowego prezydenta. Wszyscy uważali, że Nixon zawarł umowę z Fordem, zanim przekazał mu władzę.

- Nie mogę już tego znieść - rzekł George do Marii w kuchni swojego mieszkania. Mieszał w dzbanuszku oliwę z oliwek z czerwonym octem winnym, żeby polać tym sałatę. - Siedzę za biurkiem w firmie Fawcett Renshaw, gdy kraj diabli biorą.

- I co zamierzasz zrobić?

- Dużo o tym myślałem. Chcę wrócić do polityki.

Odwróciła się do niego i ze zdziwieniem zobaczył dezaprobatę na jej twarzy.

- Co przez to rozumiesz? - zapytała.

- Kongresmen z obwodu wyborczego mojej matki, dziewiątego marylandzkiego, za dwa lata odchodzi na emeryturę. Myślę, że mogę dostać nominację na jego miejsce. Prawdę mówiąc, jestem tego pewny.

- Zatem już rozmawiałeś z tamtejszymi demokratami.

Wyraźnie była na niego zła, ale nie miał pojęcia dlaczego.

- Tylko zbadałem teren, owszem - odparł.

- Nie rozmawiając wcześniej ze mną.

George był zaskoczony. Ich romans trwał dopiero miesiąc. Czy już miał wszystko z nią uzgadniać? O mało tego nie powiedział, ale ugryzł się w język i spróbował łagodniej.

- Może powinienem najpierw porozmawiać z tobą, ale jakoś o tym nie pomyślałem.

Polał sałatę sosem i zaczął ją mieszać.

- Wiesz, że właśnie staram się o naprawdę dobrą posadę w Departamencie Stanu.

- Oczywiście.

- I myślę, że wiesz, że chcę dostać się na samą górę.

- Założę się, że ci się to uda.

- Nie przy tobie.

- O czym ty mówisz?

- Wyżsi urzędnicy Departamentu Stanu muszą być apolityczni. Muszą służyć jednakowo chętnie demokratycznym i republikańskim kongresmenom. Jeśli będę związana z kongresmenem, nigdy nie awansuję. Zawsze będą mówili: „Tej Summers nie można ufać, sypia z kongresmenem Jakesem”. Będą zakładali, że jestem lojalna wobec ciebie, a nie wobec nich.

O tym George nie pomyślał.

- Naprawdę mi przykro - powiedział. - Ale co mogę zrobić?

- Jak ważny jest dla ciebie nasz związek? - zapytała.

George pomyślał, że jej wyzywające słowa skrywają prośbę.

- Trochę za wcześnie mówić o małżeństwie...

- Wcześnie? - rzuciła gniewnie. - Mam trzydzieści osiem lat i jesteś dopiero moim drugim kochankiem. Czy myślisz, że szukałam przelotnego flirtu?

- Chciałem powiedzieć - rzekł cierpliwie - że jeśli się pobierzemy, to zakładam, że będziemy mieli dzieci i zostaniesz w domu, żeby się nimi zająć.

Poczerwieniała ze złości.

- Och, tak sobie zakładasz? Nie tylko zamierzasz uniemożliwić mi awans, ale nawet oczekujesz, że w ogóle zrezygnuję z kariery!

- Cóż, tak zwykle robią kobiety, kiedy wychodzą za mąż.

- Do diabła! Obudź się, George. Wiem, że twoja matka w wieku szesnastu lat poświęciła się całkowicie wychowywaniu ciebie, ale urodziłeś się w tysiąc dziewięćset trzydziestym szóstym, na Boga. Teraz mamy lata siedemdziesiąte. Słyszałeś o feminizmie? Praca nie jest już czymś, co kobieta robi tylko dla zabicia czasu, czekając, aż jakiś mężczyzna łaskawie uczyni z niej kurę domową.

George nie wierzył własnym uszom. To było zupełnie nieoczekiwane. Powiedział coś całkiem normalnego i rozsądnego, a ona szalała z wściekłości.

- Nie wiem, dlaczego tak się zaperzasz - powiedział. - Nie zrujnowałem ci kariery, nie zrobiłem z ciebie kury domowej ani jeszcze nawet nie poprosiłem, żebyś za mnie wyszła.

Przycichła.

- Ty dupku - wychrypiała. - Ty cholerny dupku.

Wyszła z pokoju.

- Nie odchódź - poprosił.

Usłyszał trzask zamykanych drzwi.

- Do diabła - powiedział.

Poczuł dym. Steki się przypalały. Wyłączył palnik kuchenki. Mięso było zwęglone,



niejadalne. Wrzucił je do kosza na śmieci.

- Do diabła - powtórzył.

# **CZEŚĆ ÓSMA**

**Podwórko**

**1976-1983**

## ROZDZIAŁ 51

Grigorij Peszkow umierał. Stary wojownik miał osiemdziesiąt siedem lat i serce odmawiało mu posłuszeństwa.

Tania zdołała przesłać wiadomość jego bratu. Lev Peshkov miał osiemdziesiąt dwa lata, ale oznajmił, że przyleci do Moskwy prywatnym odrzutowcem. Tania zastanawiała się, czy uzyska pozwolenie na tę wizytę, lecz jakoś to załatwił. Przyleciał poprzedniego dnia i dziś miał odwiedzić Grigorija.

Dziadek leżał w łóżku w swoim mieszkaniu, blady i nieruchomy. Każdy ucisk sprawiał mu ból i nie mógł znieść ciężaru pościeli na stopach, więc matka Tani, Ania, położyła na łóżku dwa pudła, rozpinając na nich koce tak, żeby go ogrzewały, nie dotykając.

Chociaż był słaby, Tania nadal czuła siłę jego osobowości. Nawet gdy drzemał, miał wyzywająco wysuniętą brodę. Kiedy otwierał niebieskie oczy, ukazywał to intensywne spojrzenie, które tak często budziło strach wrogów klasy robotniczej.

Była niedziela, więc rodzina i przyjaciele przyszli w odwiedziny. Chcieli się z nim pożegnać, choć oczywiście udawali, że nie. Bliźniak Tani, Dimka, oraz jego żona Natalia przyszli z Katią, śliczną siedmioletnią córeczką. Była żona Dimki, Nina, przyprowadziła jedenastoletniego Griszę, który pomimo swego młodego wieku zaczynał wykazywać podobieństwo do swojego surowego pradziadka. Grigorij dobrodusznie uśmiechał się do nich wszystkich.

- Brałem udział w dwóch rewolucjach i dwóch wojnach światowych - powiedział. - To cud, że przetrwałem tak długo.

Potem zasnął i większość rodziny wyszła, zostawiając Tanię i Dimkę siedzących przy wezłowi. Dimka robił karierę: był teraz członkiem Państwowej Komisji Planowania i członkiem kandydatem Politbiura. Nadal blisko współpracował z Kosyginem, lecz ich próby zreformowania radzieckiej gospodarki były zawsze torpedowane przez kremlofskich konserwatystów. Żona Dimki, Natalia, szefowała wydziałowi analiz w Ministerstwie Spraw Zagranicznych.

Tania zaczęła opowiadać bratu o ostatnim swoim reportażu dla TASS. Wasilij, który pracował teraz w Ministerstwie Rolnictwa, zasugerował jej, żeby poleciała do Stawropola, żywnego rejonu na południu, gdzie kolchozy eksperymentowały z systemem bodźców opartym na wynikach.

- Zbiory wzrosły - powiedziała Dimce. - Ta reforma jest dużym sukcesem.

- Kremlowi nie spodobają się bodźce - odparł Dimka. - Powiedzą, że ten system pachnie

rewizjonizmem.

- System działa od lat - poinformowała. - Tamtejszy pierwszy sekretarz ma niespożytą energię. Nazywa się Michaił Gorbaczow.

- Musi być wysoko ustosunkowany.

- Zna Andropowa, który jeździ do uzdrowiska w tamtym rejonie.

Szef KGB miał kamienie nerkowe, co było bolesną przypadłością. Ale Tania uważała, że jeśli ktoś kiedykolwiek zasługiwał na takie cierpienia, to właśnie Jurij Andropow.

Dimka popatrzył na siostrę zaintrygowany.

- Zatem ten Gorbaczow jest reformatorem i przyjaźni się z Andropowem? - powiedział.

- To czyni go niezwykłym człowiekiem. Muszę mieć na niego oko.

- Uważam, że jest ożywczo zdroworozsądkowy.

- Niewątpliwie potrzebujemy nowych koncepcji. Pamiętasz, jak Chruszczow w sześćdziesiątym pierwszym przepowiadał, że w ciągu dwudziestu lat ZSRR prześcignie USA zarówno pod względem produkcji, jak i siły militarnej?

Tania skinęła głową.

- Wtedy uważano go za pesymistę.

- Tymczasem minęło już piętnaście lat i jesteśmy w tyle bardziej niż kiedykolwiek wcześniej. A Natalia mówi mi, że wschodnioeuropejskie kraje również nie dorównują swoim sąsiadom. Siedzą cicho tylko dzięki naszym ogromnym subwencjom.

Tania skinęła głową.

- Dobrze, że duży eksport ropy i innych surowców pomaga nam płacić rachunki.

- Jednak to nie wystarczy. Spójrz na NRD. Musieliśmy zbudować ten przeklęty mur, żeby zapobiec ucieczce ludności do kapitalizmu.

Grigorij się poruszył. Tania poczuła się jak winowajczyni. Kwestionowała fundamentalne przekonania dziadka, siedząc przy jego łożu śmierci.

Drzwi otworzyły się i wszedł jakiś obcy człowiek. Był stary, chudy i zgarbiony, ale nienagannie ubrany. Ciemnoszary garnitur leżał na nim jak na amancie filmowym. Biała koszula lśniła, a czerwony krawat oślepiał. Takie ciuchy mogły pochodzić tylko z Zachodu. Tania nigdy wcześniej go nie spotkała, a mimo to wydał jej się znajomy. To musiał być Lev.

Zignorował Tanię i Dimkę, patrząc na mężczyznę leżącego na łóżku.

Dziadek Grigorij posłał gościowi spojrzenie świadczące, że go zna, ale nie pamięta skąd.

- Grigorij - rzekł nowo przybyły. - Mój bracie. Kiedy się tak zestarzeliliśmy?

Mówił dziwnym, archaicznym rosyjskim dialektem z wyraźnym chropowatym

akcentem lenigradzkiego robotnika.

- Lev - powiedział Grigorij. - To naprawdę ty? Kiedyś byłeś taki przystojny!

Lev pochylił się i ucałował go w oba policzki, a potem uściskał.

- Przyjechałeś w samą porę - rzekł Grigorij. - Wkrótce umrę.

Za gościem weszła około osiemdziesięcioletnia kobieta. Tania pomyślała, że wygląda jak prostytutka, w stylowej czarnej sukni i szpilkach, makijażu i biżuterii. Zastanawiała się, czy w Ameryce to normalne, że staruszki tak się ubierają.

- W sąsiednim pokoju widziałem kilkoro twoich wnucząt - powiedział Lev. - Fajna banda.

Grigorij się uśmiechnął.

- Są radością mojego życia. A co u ciebie?

- Mam córkę z Olgą, żoną, której nigdy szczególnie nie lubiłem, oraz syna z obecną tu Margą, którą wołałem. Nie byłem zbyt dobrym ojcem dla moich dzieci. Nigdy nie miałem poczucia odpowiedzialności.

- Masz wnuki?

- Troje - odparł Lev. - Gwiazda filmowa, piosenkarz i czarny.

- Czarny? - zdziwił się Grigorij. - Jak to się stało?

- Tak jak zwykle się to dzieje, idioto. Mój syn Greg, nawiasem mówiąc, noszący imię po swoim wujku, pieprzył czarną dziewczynę.

- No, to zrobił więcej niż jego wujek - powiedział Grigorij i obaj starcy zachichotali.

Potem Grigorij pokiwał głową.

- Ależ miałem życie, Lev - oświadczył. - Szturmowałem Pałac Zimowy. Obaliliśmy carat i stworzyliśmy pierwsze komunistyczne państwo. Broniliśmy Moskwy przed hitlerowcami. Jestem generałem i Wołodia również. Mam wobec ciebie takie poczucie winy.

- Wobec mnie?

- Wyjechałeś do Ameryki i to wszystko cię ominęło - wyjaśnił Grigorij.

- Ja nie narzekam - rzekł Lev.

- Nawet zdobyłem Katerinę, chociaż wołała ciebie.

Lev się uśmiechnął.

- A ja zdobyłem tylko sto milionów dolarów.

- Tak - powiedział Grigorij. - Gorzej wyszedłeś na naszej umowie. Przykro mi, Lev.

- W porządku - odparł Lev. - Wybaczam ci.

Powiedział to z ironią, ale Tania pomyślała, że Grigorij najwyraźniej tego nie wyczuł.

Wszedł wuj Wołodia. Wcześniej był na jakiejś uroczystości wojskowej i miał na sobie

generalski mundur. Tania nagle uświadomiła sobie, że wuj po raz pierwszy widzi swojego prawdziwego ojca. Lev gapił się na syna, którego nigdy wcześniej nie spotkał.

- Mój Boże - powiedział. - Wydaje się taki podobny do ciebie, Grigorij.

- Jednak jest twój - odparł Grigorij.

Ojciec i syn uścisnęli sobie dłonie.

Wołodia nic nie powiedział, najwyraźniej pod wpływem silnego wzruszenia, które odebrało mu mowę.

- Tracąc mnie jako ojca, Wołodia - odezwał się Lev - niewiele straciłeś. - Trzymając dłoń syna w swojej, zmierzył go wzrokiem: błyszczące buty, mundur czerwonarmisty, medale wojenne, przeszywające niebieskie oczy i stalowosiwe włosy. - Natomiast ja tak - dodał. - Chyba wiele straciłem.

Po wyjściu z mieszkania Tania zaczęła się zastanawiać, kiedy bolszewicy zblądzili, kiedy idealizm i energia dziadka Grigorija zrodziły tyranie. Poszła na przystanek autobusowy, zmierzając na spotkanie z Wasilijem. W autobusie, rozmyślając o pierwszych latach rosyjskiej rewolucji, zastanawiała się, czy decydującym błędem nie była decyzja Lenina o zamknięciu wszystkich gazet poza bolszewickimi. To oznaczało, że od samego początku nie dopuszczano istnienia odmiennych poglądów i podważania konwencjonalnej wiedzy. Gorbaczow, któremu w Stawropolu pozwolono spróbować czegoś innego, był wyjątkiem. Takich ludzi przeważnie tłamszono. Tania miała świadomość, że jako dziennikarka egocentrycznie przecenia rolę wolnej prasy, ale wydawało jej się, że brak krytyki prasowej znacznie ułatwia rozkwit innych form ucisku.

Minęły już cztery lata od uwolnienia Wasilija. Przez ten czas zdołał się zrehabilitować. W Ministerstwie Rolnictwa opracował edukacyjny serial radiowy osadzony w kolchozie. Oprócz rozmów o niewiernych żonach i nieposłusznym dzieciach jego bohaterowie dyskutowali o metodach uprawy. Oczywiście wieśniacy ignorujący rady z Moskwy zostali pokazani jako leniwi i krnąbrni, a błędzące nastolatki kwestionujące przywództwo partii komunistycznej były rzucane przez swoich chłopców lub oblewały egzaminy. Serial okazał się ogromnym sukcesem. Wasilij wrócił do moskiewskiego radia i dostał mieszkanie w bloku zajmowanym przez pisarzy cieszących się względami rządu.

Spotykali się w tajemnicy, ale czasem Tania wpadała na niego także na spotkaniach związkowych lub przyjęciach. Nie był już takim chodzącym szkieletem jak po powrocie z Syberii w 1972 roku. Przybrał na wadze i odzyskał trochę swojej poprzedniej prezencji. Będąc już w średnim wieku, nie mógł znów mieć urody filmowego amanta, ale zmarszczki na

jego twarzy tylko dodawały mu uroku. A tego wciąż miał mnóstwo. Tania co chwilę widywała go z inną kobietą. Nie były to powabne nastolatki, które adorowały go jako trzydziestoletniego mężczyznę, choć może były to one, tylko teraz w średnim wieku: sztywne kobiety w eleganckich ciuchach i szpilkach, które zawsze zdobywały gdzieś lakier do paznokci, farbę do włosów i pończochy.

Tania spotykała się z nim w tajemnicy raz w miesiącu.

Za każdym razem przynosił jej kolejną część książki, nad którą pracował, napisaną tym drobnym i równym charakterem pisma, który wyćwiczył na Syberii, oszczędzając papier. Przepisywała tekst na maszynie, w razie potrzeby poprawiając ortografię i interpunkcję. Na następnym spotkaniu dawała mu maszynopis do wglądu i omawiała z nim tekst.

Miliony ludzi na całym świecie kupowały książki Wasilija, ale on nigdy nie spotkał żadnego z nich. Nie mógł nawet czytać recenzji pisanych w obcych językach i publikowanych w zagranicznej prasie. Tak więc Tania była jedyną osobą, z którą rozmawiał o swojej pracy, i uważnie słuchał wszystkiego, co mu mówiła. Była jego redaktorką.

Tania co roku jechała w marcu do Lipska na tamtejsze targi książki i za każdym razem spotykała się z Anną Murray. W 1973 roku przekazała Annie maszynopis *Wieku stagnacji*. Zawsze wracała z prezentem od Anny dla Wasilija - elektryczną maszyną do pisania, kaszmirowym płaszczem - oraz wiadomościami o kolejnych kwotach gromadzących się na jego londyńskim koncie bankowym. Zapewne nigdy nie zdoła wydać z tego ani pensa.

Nadal stosowała środki ostrożności, kiedy się z nim spotykała. Dzisiaj wysiadła z autobusu kilometr przed miejscem spotkania i idąc do knajpki U Józefa, upewniła się, że nie jest śledzona. Wasilij już tam był i siedział przy stoliku, na którym stał kieliszek wódki. Na krześle obok niego leżała gruba brązowa koperta. Tania pomachała mu niedbale, jak do przypadkowo spotkanego znajomego. Wzięła z baru piwo i usiadła naprzeciwko Wasilija.

Cieszyła się, widząc go w takiej dobrej formie. Jego twarz miała godny wyraz, jakiego nie nosiła przed piętnastoma laty. Oczy wciąż były piwne, ale teraz nie tylko bystre, lecz także skrzące się łobuzerskimi iskierkami. Uświadomiła sobie, że nikogo poza członkami swojej najbliższej rodziny nie zna lepiej niż jego. Znała zalety Wasilija: wyobraźnia, inteligencja, wdzięk i ponura determinacja, dzięki której przetrwał i pisał przez dziesięć lat na Syberii. Znała również jego słabości, z których największą była nieprzezwykła chęć uwodzenia.

- Dziękuję za informację o Stawropolu - powiedziała. - Zrobiłam niezły reportaż.

- Dobrze. Miejmy tylko nadzieję, że cały ten eksperyment nie zostanie przerwany.

Wręczyła mu ostatni fragment tekstu, przepisany na maszynie, po czym ruchem głowy

wskazała kopertę.

- Następny rozdział?

- Ostatni.

Dał jej kopertę.

- Anna Murray będzie uszczęśliwiona.

Nowa powieść Wasilija była zatytułowana *Pierwsza Dama*. Opisywała żonę amerykańskiego prezydenta - mogła nią być Pat Nixon - która przez dwadzieścia cztery godziny błąka się po Moskwie. Tania podziwiała wyobraźnię Wasilija. Spojrzenie na życie w ZSRR oczami dobrodusznej konserwatywnej Amerykanki było zabawną krytyką radzieckiego społeczeństwa. Wsunęła kopertę do torebki.

- Kiedy zdołasz przekazać całą książkę wydawcy? - zapytał Wasilij.

- Gdy tylko wyślą mnie za granicę. Najpóźniej w marcu, na targach lipskich.

- W marcu? - Wasilij był rozczarowany. - To za sześć miesięcy - powiedział karcąco.

- Postaram się otrzymać temat, który umożliwi mi spotkanie z Anną.

- Proszę, zrób to.

Tania była urażona.

- Do licha, Wasilij, ryzykuję życie, robiąc to dla ciebie. Znajdź kogoś innego albo rób to sam. Proszę bardzo.

- No tak. - Natychmiast spokorniał. - Przepraszam. Zainwestowałem w to tyle czasu, wszystkie wieczory w domu po powrocie z pracy. Jednak nie mam prawa cię poganiać. - Wyciągnął rękę nad stołem i nakrył jej dłoń swoją. - Okazałaś mi tyle wsparcia, i to niejedyn raz.

Skinęła głową. Tak naprawdę było.

A jednak czuła złość, gdy wychodziła z knajpy z zakończeniem jego powieści w torebce. Co ją drażniło? Doszła do wniosku, że te kobiety w szpilkach. Uważała, że Wasilij powinien z tego wyrosnąć. Rozwiązłość jest dobra dla niedorostków. Poniżał się, przychodząc na każde przyjęcie z inną panią. Powinien już pozostawać w poważnym związku z jakąś równą sobie kobietą. Może mogłaby być od niego młodsza, ale dorównywać mu inteligencją i doceniać jego działania, a może nawet mu pomagać. Potrzebował partnerki, a nie kolejnych zdobyczy.

Poszła do biura TASS. Zanim dotarła do swojego biurka, zaczepił ją Piotr Opotkin, kierownik działu reportażu i zarazem komisarz polityczny. Jak zawsze w jego ustach tkwił papieros.

- Miałem telefon z Ministerstwa Rolnictwa. Twój kawałek o Stawropolu nie może pójść



- powiedział.

- Co? Dlaczego? System bodźców został zatwierdzony przez ministerstwo. I działa.

- Mylisz się. - Opotkin lubił mówić ludziom, że się mylą. - Został skreślony. Mają nowy sposób, metodę ipatowską. Wysyłają do okręgu całą armię kombajnów.

- Znów centralne planowanie zamiast indywidualnej odpowiedzialności.

- Właśnie. - Wyjął papierosa z ust. - Musisz napisać nowy artykuł, o metodzie ipatowskiej.

- Co na to pierwszy sekretarz tamtejszego rejonu?

- Młody Gorbaczow? Wprowadza nowy system.

Oczywiście, pomyślała Tania. To inteligentny człowiek. Wie, kiedy się zamknąć i robić, co mu każą. Inaczej nie zostałby pierwszym sekretarzem.

- W porządku - powiedziała, tłumiąc gniew. - Napiszę nowy artykuł.

Opotkin kiwnął głową i odszedł.

To było zbyt piękne, żeby mogło być prawdą, pomyślała Tania: nowy pomysł, premie za dobre wyniki, a w rezultacie większe plony, bez domagania się pomocy od Moskwy. To cud, że przez kilka lat na to pozwalano. Na dłuższą metę coś takiego było nie do pomyslenia.

Oczywiście.

## ROZDZIAŁ 52

George Jakes włożył nowy smoking. Uważał, że wygląda w nim bardzo dobrze. W wieku czterdziestu dwóch lat nie miał już sylwetki zapaśnika, która napawała go taką dumą za młodu, ale wciąż był szczupły i wyprostowany, i w tym czarno-białym stroju wyglądał korzystnie.

Stał w Kościele Ewangelickim Bethel, do którego jego matka uczęszczała od kilkudziesięciu lat, na przedmieściu Waszyngtonu, które teraz reprezentował jako kongresmen. Ten niski budynek z cegły był mały i niepozorny, zazwyczaj ozdobiony jedynie kilkoma cytatami z Biblii: „Pan jest moim pasterzem” oraz „Na początku było Słowo”. Dziś jednak przystrojono go na uroczystość wstążkami i mnóstwem białych kwiatów. Chór śpiewał „Oto nadchodzi”, gdy George czekał na swoją oblubienicę.

W pierwszej ławce siedziała jego matka w nowej granatowej garsonce i dopasowanym kapelusiku z woalką.

- Cóż, cieszę się - powiedziała Jacky, gdy George powiedział jej, że się żeni. - Mam pięćdziesiąt osiem lat i żałuję, że czekałeś z tym tak długo, ale dobrze, że w końcu się zdecydowałeś.

Zawsze miała ostry języczek, ale dziś dumny uśmiech nie znikął z jej twarzy. Syn brał ślub w jej kościele, w obecności wszystkich jej przyjaciół i sąsiadów, a w dodatku był kongresmenem.

Obok niej siedział ojciec George'a, senator Greg Peshkov. W jakiś niewiadomy sposób nawet smoking wyglądał na nim jak wymięta piżama, a muszka niczym martwa ćma. Nikt na to nie zważał.

W pierwszej ławce siedzieli również rosyjscy dziadkowie George'a, Lev i Marga, oboje już po osiemdziesiątce. Wyglądali jak chuchra, ale przylecieli z Buffalo na ślub wnuka.

Pojawiając się na tym ślubie i siadając w pierwszym rzędzie, biały ojciec i dziadkowie George'a wyjawiali światu prawdę, lecz nikogo to nie obchodziło. Był rok 1978 i to, co kiedyś ukrywano i uznawano za haniebną, teraz nie miało znaczenia.

Chór zaczął śpiewać *You are so beautiful* Joego Cockera i wszyscy odwrócili się, żeby spojrzeć w kierunku drzwi.

Verena weszła pod rękę z ojcem, Percym Marquandem. George westchnął, kiedy ją zobaczył, i kilka osób spośród zebranych również. Miała śmiałą białą suknię ślubną bez ramiączek, obcisłą do połowy ud, a poniżej rozszerzająca się w tren. Jej karmelowa skóra była

równie miękka i gładka jak satyna sukni. Wyglądała tak pięknie, że to aż bolało. George poczuł łzy napływające mu do oczu.

Nabożeństwo minęło w okamgnieniu. George jakoś zdołał udzielić prawidłowych odpowiedzi, ale myślał tylko o tym, że Verena należy do niego, teraz i na zawsze.

Ceremonia odznaczała się prostotą, lecz w weselnym śniadaniu wydanym później przez ojca panny młodej nie było niczego skromnego. Percy wynajął Pisces, nocny klub w Georgetown, mający przy wejściu sześciometrowy wodospad spadający do wielkiego stawu ze złotymi rybkami piętro niżej, a także akwarium na środku parkietu.

George i Verena zatańczyli pierwszy taniec przy dźwiękach *Stayin' Alive* Bee Gees. George nie był dobrym tancerzem, ale nie miało to większego znaczenia: wszyscy patrzyli na Verenę, podtrzymującą jedną ręką tren i tańczącą w rytmie disco. George był tak szczęśliwy, że miał ochotę uściskać każdego.

Drugą osobą, która zatańczyła z panną młodą, był Ted Kennedy, który przyszedł bez żony Joan: plotkowano, że są w separacji. Przystojny Percy Marquand złapał Jacky. Matka Vereny, Babe Lee, tańczyła z Gregiem.

Kuzyn George'a, Dave Williams, gwiazda muzyki rozrywkowej, przybył ze swoją seksowną żoną Beep i ich pięcioletnim synkiem, Johnem Lee, nazwanym tak na cześć bluesmana Johna Lee Hookera. Chłopczyk tańczył ze swoją matką i wywijał tak wprawnie, że wszyscy się śmiali: musiał oglądać *Gorączkę sobotniej nocy*.

Elizabeth Taylor tańczyła ze swoim najnowszym mężem, multimilionerem i przyszłym senatorem Johnem Warnerem. Na serdecznym palcu lewej ręki Liz miała słynny pierścionek z trzydziestotrzykaratowym diamentem Krupp. Widząc to wszystko przez mgiełkę euforii, George ze zdumieniem pojął, że ten ślub zmienił się w jedno z największych wydarzeń roku.

Zaprosił Marię Summers, ale odmówiła przyjęcia. Po kłótni, która zakończyła ich krótki romans, nie rozmawiali ze sobą przez rok. George był zraniony i zdumiony. Nie wiedział, jak ma żyć; najwyraźniej reguły się zmieniły. Patrzył na to z niechęcią. Kobiety chciały wprowadzić nowe zasady i oczekiwały, że on zdoła je odgadnąć bez wyjaśniania i zgodzi się na nie bez negocjacji.

Potem Verena pojawiła się po siedmiu latach nieobecności. Założyła własną firmę lobbystyczną w Waszyngtonie, specjalizującą się w prawach obywatelskich i innych problemach równouprawnienia. Jej pierwszymi klientami zostały małe grupy nacisku, których nie było stać na zatrudnienie lobbysty na pełny etat. Plotka, że Verena należała kiedyś do Czarnych Panter, zdawała się jedynie zwiększać jej wiarygodność. Niebawem ona i George znów byli parą.

Verena się zmieniła. Pewnego wieczoru powiedziała: „W polityce jest miejsce na dramatyczne gesty, lecz ostatecznie postęp rodzi się w wyniku cierpliwych zabiegów: prawodawstwa, rozmów z mediami i zdobywania głosów”.

Doroślaś, pomyślał George i z trudem się powstrzymał przed powiedzeniem jej tego.

Nowa Verena chciała małżeństwa i dzieci i była pewna, że potrafi pogodzić to z pracą zawodową. Raz sparzony, George już nie wkładał ręki w ogień; jeśli tak uważała, to nie zamierzał się sprzeczać.

Napisał taktowny list do Marii, zaczynający się od: „Nie chcę, żebyś dowiedziała się o tym od kogoś innego”. Napisał jej, że on i Verena znów są razem i rozmawiają o małżeństwie. Maria odpowiedziała przyjaźnie i ich stosunki wróciły do stanu sprzed rezygnacji Nixona. Jednak pozostała samotna i nie przyszła na ślub.

Odpuzywając między tańcami, George usiadł przy ojcu i dziadku. Lev ochoczo pił szampana i opowiadał kawały. Polski kardynał został wybrany na głowę Kościoła katolickiego i Lev znał mnóstwo niesmacznych dowcipów o polskim papieżu.

- Sprawił cud: uczynił ślepego głuchym!

- Uważam, że to bardzo agresywne politycznie posunięcie ze strony Watykanu - rzekł Greg.

George był zaskoczony, ale Greg zwykle miał podstawy do tego, co mówił.

- Dlaczego? - spytał ojca.

- Katolicyzm jest bardziej rozpowszechniony w Polsce niż gdziekolwiek indziej w Europie Wschodniej, a komuniści nie są dostatecznie silni, żeby represjonować tam religię tak jak w innych krajach. W Polsce wychodzi prasa katolicka, jest katolicki uniwersytet i różne organizacje charytatywne, którym udaje się pomagać dysydentom i notować łamanie praw człowieka.

- I co chce osiągnąć Watykan? - drążył George.

- Zaszkozić komunistom. Sądzę, że postrzega Polskę jako słaby punkt Związku Sowieckiego. Ten polski papież nie będzie tylko machał turystom z balkonu, poczekaj, a zobaczysz.

George miał zamiar zapytać, co zrobi papież, gdy w sali zapadła cisza i zobaczył, że przybył prezydent Carter.

Wszyscy bili brawo, nawet republikanie. Prezydent pocałował pannę młodą, uściskał dłoń George'a i przyjął kieliszek szampana, chociaż wypił tylko łyk.

Kiedy Carter rozmawiał z Percym i Babe, którzy od lat dotowali Partię Demokratyczną, do George'a podszedł jeden z doradców prezydenta. Po krótkiej wymianie uprzejmości

zapytał:

- Czy rozważyłby pan udział w stałej komisji Kongresu do spraw wywiadu?

George czuł się zaszczycony. Komisje Kongresu były ważnymi organami. Członkostwo zapewniało wpływy.

- Jestem kongresmenem zaledwie od dwóch lat - powiedział.

Doradca skinął głową.

- Prezydent chce promować czarnych kongresmenów, a Tip O'Neill się zgadza.

Tip O'Neill był przywódcą większości w Kongresie, mającym przywilej wyboru członków komisji.

- Chętnie zrobię dla prezydenta wszystko, co w mojej mocy, ale wywiad? - indagował dalej George.

CIA i inne agencje wywiadowcze odpowiadały bezpośrednio przed prezydentem i Pentagonem, choć były autoryzowane, finansowane i teoretycznie kontrolowane przez Kongres. Ze względów bezpieczeństwa nadzór powierzono dwóm komisjom, jednej Kongresu, a drugiej Senatowi.

- Wiem, co pan myśli - rzekł doradca. - Komisje do spraw wywiadu zwykle są pełne konserwatywnych przyjaciół wojskowych. Pan jest liberałem, który krytykował działania Pentagonu w Wietnamie i zaangażowanie CIA w aferę Watergate. I dlatego chcemy tam pana mieć. Dziś te komisje nie nadzorują, tylko przyklaskują. A agencje wywiadowcze uważające, że wszystko ujdzie im na sucho, robią, co chcą. Tak więc potrzebujemy kogoś, kto zacznie zadawać nieprzyjemne pytania.

- Kręgi wywiadowcze będą wstrząśnięte.

- To dobrze - odparł doradca. - Po tym, jak zachowywały się w czasach Nixona, trzeba nimi potrząsnąć. - Spojrzał w głąb sali. Podążając wzrokiem za jego spojrzeniem, George zobaczył, że prezydent Carter wychodzi.

- Muszę iść - rzucił doradca. - Czy potrzebuje pan trochę czasu do namysłu?

- Do diabła, nie - odparł George. - Zrobię to.

- Matką chrzestną? - powtórzyła Maria Summers. - Mówisz poważnie?

George Jakes się uśmiechnął.

- Wiem, że nie jesteś szczególnie religijna. My także niespecjalnie. Chodzę do kościoła, żeby zrobić przyjemność mojej matce. W ciągu ostatnich dziesięciu lat Verena była w kościele raz, na naszym ślubie. Jednak podoba nam się idea rodziców chrzestnych.

Jedli lunch w sali jadalnej Izby Reprezentantów, na parterze Kapitolu, siedząc przed

słynnym freskiem *Cornwallis składa broń*. Maria jadła pieczeń rzymską, George zamówił sałatkę.

- Kiedy dziecko ma przyjść na świat? - zapytała Maria.

- Mniej więcej za miesiąc, na początku kwietnia.

- Jak się czuje Verena?

- Okropnie. Apatyczna i zniecierpliwiona jednocześnie. I zmęczona, wiecznie zmęczona.

- Wkrótce będzie po wszystkim.

George naprowadził ją ponownie na temat.

- Zostaniesz matką chrzestną?

Znów zrobiła unik.

- Dlaczego prosisz mnie?

Zastanawiał się chwilę.

- Chyba dlatego, że ci ufam. Zapewne ufam ci bardziej niż komukolwiek poza moją rodziną. Gdybyśmy z Vereną zginęli w katastrofie lotniczej, a nasi rodzice byłiby za starzy lub martwi, jestem przekonany, że zatroszczyłabyś się o moje dzieci.

Maria podniosła wzrok znad talerza wyraźnie poruszona.

- Naprawdę wspaniale usłyszeć coś takiego.

George uważał, chociaż tego nie mówił, że jest już mało prawdopodobne, by Maria miała własne dzieci. Wyliczył, że w tym roku kończyła czterdzieści cztery lata, co oznaczało, że ma mnóstwo niezaspokojonych uczuć macierzyńskich, którymi może obdarzyć dzieci przyjaciół.

Już traktował ją jak członka rodziny. Przyjaźnił się z nią prawie dwadzieścia lat. Wciąż kilka razy w roku odwiedzała Jacky. Greg też lubił Marię, tak samo jak Lev i Marga. Trudno było jej nie lubić.

Nie wyraził na głos żadnej z tych myśli.

- To wiele by znaczyło dla Vereny i dla mnie, gdybyś się zgodziła.

- Czy Verena naprawdę tego chce?

George się uśmiechnął.

- Tak. Wie, że byliśmy ze sobą związani, ale nie jest zazdrosna. Prawdę mówiąc, podziwia cię za twoje osiągnięcia w pracy zawodowej.

Maria spojrzała na ludzi na fresku w ich osiemnastowiecznych płaszczach i butach.

- No cóż - powiedziała - chyba postąpię jak generał Cornwallis i poddam się.

- Dziękuję! - rzekł George. - Jestem bardzo szczęśliwy. Zamówiłbym szampana, ale

wiem, że nie wypijałabyś nawet kieliszka w środku dnia pracy.

- Może po narodzinach dziecka.

Kelnerka zabrała ich talerze i zamówili kawę.

- Jak sytuacja w Departamencie Stanu? - zapytał George.

Maria była tam teraz grubą rybą. Zajmowała stanowisko zastępcy sekretarza stanu, bardziej wpływowe niż sugerował ten tytuł.

- Próbujemy ustalić, co się dzieje w Polsce - powiedziała. - Nie jest to łatwe. Uważamy, że w Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej, która jest partią komunistyczną, nasila się krytyka rządu. Robotnicy są biedni, elita zbyt uprzywilejowana, a propaganda sukcesu tylko przyciąga uwagę do niepowodzeń. Dochód narodowy w ubiegłym roku zmalał.

- Wiesz, że w Kongresie jestem członkiem komisji do spraw wywiadu.

- Oczywiście.

- Czy otrzymujecie dobre informacje od agencji?

- O ile nam wiadomo, są dobre, ale niewystarczające.

- Chcesz, żebym zapytał o to na posiedzeniu komisji?

- Tak, proszę.

- Może potrzebujemy dodatkowego personelu wywiadowczego w Warszawie.

- Uważam, że tak. Polska może być ważna.

George skinął głową.

- Tak mówił Greg, kiedy Watykan wybrał polskiego papieża, a on przeważnie ma rację.

W wieku czterdziestu lat Tania była niezadowolona ze swojego życia.

Zadała sobie pytanie, co chce robić przez czterdzieści następnych lat, i odkryła, że nie chce spędzić ich jako pomocnica Wasilija Jenkowa. Ryzykowała swoją wolność, aby udostępnić jego geniusz światu, ale sama nic z tego nie miała. Czas zająć się swoimi potrzebami, zdecydowała. Jeszcze nie wiedziała, co przez to rozumie.

Jej niezadowolenie ujawniło się na przyjęciu z okazji przyznania Leonidowi Breżniewowi Nagrody Leninowskiej w dziedzinie literatury za jego pamiętniki. Ta nagroda była kpina: trytomowa autobiografia radzieckiego przywódcy była nieprawdziwa, źle napisana i w dodatku nie przez Breżniewa. Jednak Związek Literatów uznał nagrodę za dobry pretekst do podlizania się.

Szykując się na przyjęcie, Tania związała włosy w koński ogon jak Olivia Newton-John w filmie *Grease*, który oglądała z pirackiej kasety. Nowa fryzura nie poprawiła jej humoru tak, jak na to liczyła.

Gdy wychodziła z budynku, natknęła się w holu na brata i powiedziała mu, dokąd się wybiera.

- Widzę, że twój protegowany Gorbaczow wygłosił czołobitną przemowę, wychwalając literacki geniusz towarzysza Breżniewa - powiedziała.

- Michaił wie, kiedy trzeba całować komuś tyłek - odparował Dimka.

- Dobrze się spisałeś, wprowadzając go do Komitetu Centralnego.

- Miał już poparcie Andropowa, który go lubi - wyjaśnił Dimka. - Musiałem tylko przekonać Kosygina, że Gorbaczow jest prawdziwym reformatorem.

Andropow, szef KGB, w coraz większym stopniu stawał się przywódcą konserwatywnej frakcji na Kremlu, natomiast Kosygin był zwolennikiem reform.

- Uzyskanie aprobaty obu stron to niezwykle osiągnięcie - zauważyła Tania.

- To niezwykły człowiek. Baw się dobrze na przyjęciu.

Bankiet odbywał się w biurowych pomieszczeniach Związku Literatów, lecz ci zdołali zdobyć kilka skrzynek bagrationi, gruzińskiego szampana. Pod jego wpływem Tania wdała się w spór z Piotrem Opotkinem z TASS. Nikt nie lubił Opotkina, który nie był dziennikarzem, lecz politrukiem, ale musiano go zapraszać na takie spotkania, ponieważ był zbyt wpływowy, żeby go obrażać. Przyparł Tanię do muru.

- Ta wizyta papieża w Warszawie to katastrofa!

Opotkin miał rację. Nikt nie spodziewał się, że tak będzie. Papież Jan Paweł II okazał się zręcznym politykiem. Wsiadłszy z samolotu na lotnisku Okęcie, upadł na kolana i ucałował polską ziemię. Następnego ranka zdjęcie przedstawiające ten gest znalazło się na pierwszych stronach zachodnich gazet i Tania wiedziała - tak jak musiał wiedzieć papież - że podziemnymi kanałami dotrze także do Polski. Tania w duchu cieszyła się z tego.

Danił, szef Tani, przysłuchiwał się rozmowie.

- Papieża wjeżdżającego do Warszawy w odkrytym samochodzie witały dwa miliony ludzi - poinformował.

- Dwa miliony? - zdziwiła się Tania. O tym nie wiedziała. - Czy to możliwe? To chyba pięć procent ludności, czyli co dwudziesty Polak!

- Jaki sens ma cenzurowanie transmisji telewizyjnych, skoro ludzie mogą zobaczyć papieża na własne oczy? - gniewnie zapytał Opotkin.

Dla takich jak on władza była wszystkim. I jeszcze nie skończył.

- Odprawił mszę na placu Zwycięstwa w obecności dwustu pięćdziesięciu tysięcy ludzi!

Tania wiedziała o tym. Nawet dla niej była to szokująca liczba, gdyż brutalnie ujawniała, w jakim stopniu komunizm nie zdołał zdobyć serc Polaków. Trzydzieści pięć lat



życia w radzieckim systemie nie przekonało nikogo poza uprzywilejowaną elitą. Wytknęła mu to w aprobowanym komunistycznym żargonie.

- Polska klasa robotnicza przy pierwszej nadarzającej się okazji wróciła do swych starych reakcyjnych przekonań.

Oskarżycielsko dźgając palcem ramię Tani, Opotkin odparł:

- To tacy reformatorzy jak wy nalegali, żeby pozwolić papieżowi na tę wizytę.

- Bzdura - pogardliwie rzuciła Tania.

Chcieli tego tacy kremłowski liberałowie jak Dimka, ale przegrali spór i Moskwa kazała Warszawie zabronić papieżowi wizyty, lecz polscy komuniści nie usłuchali tego rozkazu. Wykazując niezwykłą dla satelickiego państwa niezależność, polski przywódca Edward Gierek nie wykonał polecenia Breżniewa.

- To polscy przywódcy podjęli tę decyzję - dodała. - Obawiali się, że wybuchnie powstanie, jeśli zabronią papieżowi przyjechać.

- Umiemy radzić sobie z powstaniami - rzekł Opotkin.

Tania wiedziała, że spierając się z Opotkinem, naraża swoją karierę, ale miała czterdzieści lat i dość potakiwania idiotom.

- Sytuacja finansowa sprawiła, że ta decyzja polskiego rządu była nieunikniona - zauważyła. - Polska otrzymuje od nas ogromne subwencje, ale potrzebuje także pożyczek z Zachodu. Prezydent Carter zajął twarde stanowisko podczas wizyty w Warszawie. Wyraźnie powiedział, że pomoc finansowa jest związana z przestrzeganiem praw człowieka. Jeśli chcecie kogoś winić za triumf papieża, to winnym jest Jimmy Carter.

Opotkin musiał wiedzieć, że to prawda, ale nie zamierzał tego przyznać.

- Zawsze mówiłem, że to błąd pozwalać komunistycznym krajom brać pożyczki w zachodnich bankach.

Tania powinna na tym zakończyć rozmowę i pozwolić Opotkinowi zachować twarz, nie mogła się jednak powstrzymać.

- Zatem macie dylemat, prawda? - powiedziała. - Alternatywą dla zachodniego finansowania jest liberalizacja polskiego rolnictwa, żeby mogli produkować dość własnej żywności.

- Kolejne reformy! - fuknął Opotkin. - Ciągłe proponujecie to samo rozwiązanie!

- Polacy zawsze mieli taną żywność i tylko dlatego siedzieli cicho. Ilekroć rząd próbuje podnieść ceny, wybuchają zamieszki.

- Umiemy radzić sobie z zamieszkami - powtórzył swoje Opotkin i odszedł.

Danił wyglądał na ubawionego.

- Punkt dla ciebie - rzekł do Tani. - Chociaż zapłacisz za to.

- Muszę się napić jeszcze trochę szampana - powiedziała Tania.

W barze natknęła się na Wasilija. Był sam. Tania uświadomiła sobie, że ostatnio pojawiał się na takich imprezach bez żadnej flamy uczeptionej jego ramienia, i zadała sobie pytanie dlaczego.

- Nie mogę już tego dłużej robić - rzuciła na powitanie.

Wasilij podał jej kieliszek.

- Czego?

- Wiesz czego.

- Chyba się domyślam.

- Skończyłam czterdziestkę. Muszę żyć własnym życiem.

- Co chcesz robić?

- Nie wiem, w tym problem.

- Ja mam czterdzieści osiem lat - mruknął. - I czuję się podobnie.

- Co?

- Już nie uganiam się za dziewczynami. Ani kobietami.

Była w cynicznym nastroju.

- Nie uganasz się czy nie możesz żadnej złapać?

- Wyczuwam odrobinę sceptycyzmu.

- Masz wycucie.

- Posłuchaj - powiedział. - Myślałem o tym. Nie wiem, czy nadal musimy udawać, że ledwie się znamy.

- Dlaczego tak uważasz?

Nachylił się do niej i zniżył głos, tak że musiała wyteżać słuch, by usłyszeć go przez gwar przyjęcia.

- Wszyscy wiedzą, że Anna Murray jest wydawcą Iwana Kuzniecowa, ale nikt nigdy nie połączył jej z tobą.

- Dlatego, że jesteśmy bardzo ostrożne. Nie pozwalamy, żeby ktoś zobaczył nas razem.

- W takim razie niczym nam nie grozi ujawnienie tego, że jesteśmy przyjaciółmi.

Nie była tego taka pewna.

- Może. Co z tego?

Wasilij spróbował zawadiackiego uśmiechu.

- Kiedyś powiedziałaś mi, że poszłabyś ze mną do łóżka, gdybym pozbył się mojego haremu.

- Nie wierzę, że powiedziałam coś takiego.
- Może tylko zasugerowałaś.
- A poza tym to było osiemnaście lat temu.
- Czy już za późno, żeby przyjąć tę propozycję?

Popatrzyła na niego oniemiała.

Skorzystał z jej milczenia.

- Jesteś jedyną kobietą, na której kiedykolwiek naprawdę mi zależało. Każda inna była tylko podbojem. Niektórych nawet nie lubiłem. Jeśli nigdy wcześniej z taką nie spałem, to był wystarczający powód, żeby ją uwieść.

- Czy to ma uczynić cię dla mnie bardziej atrakcyjnym?

- Po powrocie z Syberii próbowałem wrócić do takiego życia. Długo to trwało, ale w końcu zrozumiałem prawdę: to mnie nie uszczęśliwia.

- Naprawdę? - Tania rozzłościła się jeszcze bardziej.

Wasilij tego nie zauważył.

- Ty i ja przyjaźnimy się od dawna. Jesteśmy bratnimi duszami. Pasujemy do siebie. Jeśli pójdziemy razem do łóżka, będzie to naturalny bieg wydarzeń.

- Och, rozumiem.

Nie wyczuł sarkazmu.

- Ty jesteś samotna, ja też. Dlaczego jesteśmy sami? Powinniśmy być razem. Powinniśmy się pobrać.

- Zatem podsumujmy - powiedziała Tania. - Przez całe życie uwodziłeś kobiety, które nic cię nie obchodziły. Teraz zbliżasz się do pięćdziesiątki i już cię nie pociągają, albo ty ich nie pociągasz, więc w tym momencie łaskawie proponujesz mi małżeństwo.

- Może nie ująłem tego najlepiej. Pisanie lepiej mi wychodzi.

- Na pewno nie ująłeś tego najlepiej. Jestem ostatnią deską ratunku dla wędrownego casanovy!

- Och, do licha, jesteś na mnie zła, prawda?

- Zła to za słabo powiedziane.

- Widzę, że moje słowa wywarły skutek przeciwny do zamierzonego.

Patrząc mu przez ramię, pochwyciła spojrzenie Daniła. Pod wpływem nagłego impulsu zostawiła Wasilija i przeszła przez salę.

- Danił - powiedziała. - Chciałabym znów wyjechać z kraju. Czy jest jakaś szansa, że mogłabym dostać akredytację za granicą?

- Oczywiście - odparł. - Jesteś moją najlepszą dziennikarką. Zrobię wszystko,

oczywiście w granicach rozsądku, żeby cię uszczęśliwić.

- Dziękuję.

- I tak się składa, że właśnie myślałem o tym, że musimy zwiększyć nasz personel w pewnym obcym kraju.

- W którym?

- W Polsce.

- Wysłałbyś mnie do Warszawy?

- Tam wiele się dzieje.

- W porządku - przytaknęła. - Zatem Polska.

Cam Dewar miał dość Jimmy'ego Cartera. Uważał, że administracja Cartera jest zbyt delikatna, szczególnie w stosunkach z ZSRR. Cam pracował w wydziale moskiewskim głównej kwatery CIA w Langley, szesnaście kilometrów od Białego Domu. Doradca do spraw bezpieczeństwa narodowego Zbigniew Brzeziński był twardym antykomunistą, ale Carter sprawiał wrażenie ostrożnego.

Jednak w listopadzie odbędą się wybory i Cam miał nadzieję, że zwycięży w nich Ronald Reagan. Ten był zwolennikiem agresywnej polityki zagranicznej i obiecywał uwolnić agencje wywiadowcze od osłabiających je etycznych cugli Cartera. Cam liczył, że Reagan będzie bardziej podobny do Nixona.

Na początku 1980 roku Cam zdziwił się, gdy wezwała go Florence Geary, która zajmowała stanowisko zastępcy szefa wydziału sowieckiego. Była atrakcyjną kobietą kilka lat starszą od Cama: on miał trzydzieści trzy, a ona trzydzieści osiem lat. Znał jej historię. Została zatrudniona jako stażystka, latami była wykorzystywana jako sekretarka i przeszkolono ją dopiero wówczas kiedy narobiła rabanu. Teraz stała się wysoce kompetentnym oficerem wywiadu, ale wciąż wielu mężczyzn jej nie lubiło za zamieszanie, które wywołała.

Dziś miała na sobie kraciatą spódnicę i zielony sweter. Cam pomyślał, że wygląda jak nauczycielka; seksowna nauczycielka o ładnych piersiach.

- Siadaj - powiedziała. - Komisja do spraw wywiadu Kongresu uważa, że nasze informacje otrzymywane z Polski są niewystarczające.

Cameron usiadł. Spojrzał w okno, żeby nie patrzeć na jej piersi.

- Zatem wiedzą, kogo winić - odparł.

- Kogo?

- Dyrektora CIA, admirała Turnera, i tego, kto go mianował, prezydenta Cartera.

- A to dlaczego?

- Ponieważ Turner nie wierzy w HUMINT.

HUMINT był to skrót oznaczający rozpoznanie osobowe, czyli informacje zdobywane przez szpiegów. Turner preferował SIGINT, czyli dane uzyskiwane z nasłuchu.

- A ty wierzysz w HUMINT?

Zauważył, że ma ładne usta: różowe wargi, równe zęby. Starał się skupić i odpowiadać na jej pytania.

- Te informacje wydają się z natury rzeczy niewiarygodne, ponieważ wszyscy zdrajcy są z definicji kłamcami. Jeśli mówią prawdę nam, to muszą okłamywać drugą stronę. To jednak nie oznacza, że pozyskiwane w ten sposób dane są bezwartościowe, szczególnie jeśli dokona się ich weryfikacji poprzez porównywanie z innymi źródłami.

- Cieszę się, że tak uważasz. Musimy zintensyfikować działalność naszych agentów. Co sądzisz o pracy za granicą?

Cameron poczuł nagły przypływ nadziei.

- Gdy tylko wstąpiłem do Agencji sześć lat temu, prosiłem o przydział zagraniczny.

- To dobrze.

- Płynnie mówię po rosyjsku. Bardzo chciałbym pojechać do Moskwy.

- Cóż, życie płata figle. Jedziesz do Warszawy.

- Bez żartów.

- Nie żartuję.

- Nie znam polskiego.

- Rosyjski ci się tam przyda. Od trzydziestu pięciu lat polskie dzieci są uczone w szkołach rosyjskiego. Jednak powinieneś nauczyć się trochę polskiego.

- W porządku.

- To wszystko.

Cameron wstał.

- Dzięki. - Podeszedł do drzwi. - Moglibyśmy omówić to dokładniej, Florence? - zapytał.

- Może przy obiedzie?

- Nie - odparła stanowczo. A potem, na wypadek gdyby nie zrozumiał, dodała: - Zdecydowanie nie.

Wyszedł i zamknął drzwi. Warszawa! Właściwie był zadowolony. Placówka zagraniczna. Poczul przypływ optymizmu. Był rozczarowany, że odrzuciła jego zaproszenie na obiad, ale wiedział, co z tym zrobić.

Wziął płaszcz, opuścił budynek i poszedł do swojego samochodu, srebrzystego

mercury'ego capri. Pojechał do Waszyngtonu i w gęstym ruchu ulicznym dotarł do dzielnicy Adams Morgan. Tam zaparkował przecnicę od salonu masażu o nazwie Jedwabne Dłonie.

- Cześć, Christopherze, jak się dziś masz? - powitała go kobieta w recepcji.

- Świetnie, dzięki. Czy Suzy jest wolna?

- Masz szczęście, jest. Pokój trzy.

- Doskonale.

Cam wręczył jej banknot i poszedł korytarzem w głąb budynku.

Odsunął zasłonę i wszedł do pokoiku z wąskim łóżkiem. Obok łóżka na plastikowym krzeselku siedziała krępa kobieta po dwudziestce, czytając gazetę. Była w bikini.

- Witaj, Chris - powiedziała, odkładając gazetę i wstając. - Ręczna robota, jak zwykle?

Cam nigdy nie odbywał prawdziwego stosunku z prostytutkami.

- Tak, proszę, Suzy.

Dał jej banknot i zaczął się rozbierać.

- Cała przyjemność po mojej stronie - powiedziała, chowając pieniądze. Pomogła mu się rozebrać, a potem poprosiła: - Po prostu połów się i odpręż, dzieciно.

Cam położył się na łóżku i zamknął oczy, gdy Suzy zabrała się do dzieła. Wyobrażał sobie Florence Geary w jej gabinecie. W myślach ścigał jej przez głowę ten zielony sweter i rozpinął kraciastą spódnice. „Och, Cam, po prostu nie mogę ci się oprzeć”, powiedziała w jego wyobraźni. W samej bieliznie wyszła zza biurka i objęła go. „Rób ze mną, co chcesz, Cam”, jęczała. „Tylko proszę, zrób to mocno”.

- Taak, dzieciно - głośno powiedział Cam w salonie masażu.

Tania spojrzała w lustro. Trzymała w dłoni słoiczek z niebieskim cieniem do powiek i pędzelek. W Warszawie łatwiej było zdobyć kosmetyki niż w Moskwie. Tania nie miała doświadczenia w nakładaniu makijażu, ale zauważyła, że niektóre kobiety robią to nieumiejętnie. Na jej toalecie leżał magazyn ilustrowany otwarty na zdjęciu Bianki Jagger. Zerkając na nie raz po raz, Tania zaczęła malować powieki.

Uznała, że efekt jest bardzo dobry.

Stanisław Pawlak siedział na jej łóżku w mundurze, trzymając buty na gazecie, żeby nie ubrudzić pościeli, paląc i przyglądając się jej. Był wysoki, przystojny i inteligentny i szalała na jego punkcie.

Poznała go wkrótce po przyjeździe do Polski, podczas oprowadzania po głównej kwaterze armii. Należał do grupy nazywanej „złotymi chłopcami”, składającej się z młodych i zdolnych oficerów wybranych przez ministra obrony generała Jaruzelskiego i przewidzianych

do szybkich awansów. Często przenoszono ich i dostawali nowe zadania, żeby w ten sposób zdobyli doświadczenie niezbędne na stanowiskach dowódczych, które mieli zająć.

Zwróciła uwagę na Stasia, jak go nazywano, ponieważ był taki przystojny i najwyraźniej nią zauroczony. W dodatku mówił płynnie po rosyjsku. Po przedstawieniu jej swojej jednostki, która utrzymywała łączność z Armią Czerwoną, towarzyszył Tani przez resztę wycieczki, która poza tym była nudna.

Nazajutrz pojawił się na jej progu o szóstej wieczorem, uzyskawszy adres od SB, polskiej tajnej policji. Zabrał ją na kolację do modnej nowej restauracji o nazwie Kaczka. Szybko zrozumiała, że Staś jest równie sceptycznie nastawiony do komunizmu jak ona. Po tygodniu przespała się z nim.

Wciąż myślała o Wasiliju, zastanawiając się, jak mu idzie pisanie i czy odczuwa brak ich comiesięcznych spotkań. Jednak nadal była na niego wściekła, chociaż sama nie wiedziała dlaczego. Był prostakiem, lecz mężczyźni to prostacy, szczególnie ci przystojni. Co naprawdę ją złościło, to te wszystkie lata przed jego oświadczeniami. Nie wiedzieć czemu miała poczucie, że wszystko, co robiła dla niego przez ten czas, zostało zbezczeszczone. Czy Wasilij uważał, że czekała tyle lat, aż będzie gotowy zostać jej mężem? Ta myśl wciąż ją rozwścieczała.

Staś spędzał teraz w jej mieszkaniu dwie lub trzy noce w tygodniu. Nigdy nie chodzili do jego kwatery: powiedział, że jest niewiele lepsza od koszar. Jednak świetnie się bawili. I przez cały czas podświadomie zastanawiała się, czy jego antykomunizm może pewnego dnia zaowocować jakimś działaniem.

Odwróciła się do niego.

- Jak ci się podobają moje oczy?

- Uwielbiam je - powiedział. - Urzekły mnie. Twoje oczy są jak...

- Pytam o makijaż, idioto.

- Masz jakiś makijaż?

- Mężczyźni są ślepi. Jak obronicie wasz kraj, mając tak kiepski dar obserwacji?

Znów wpadł w ponury nastrój.

- Nie mamy żadnych planów obrony naszego kraju - burknął. - Wojsko Polskie jest całkowicie podporządkowane ZSRR. Mamy tylko wspomagać Armię Czerwoną podczas inwazji na Europę Zachodnią.

Staś często to powtarzał, narzekając na radziecką dominację nad polskim wojskiem. Był to dowód tego, jak bardzo jej ufał. Tania odkryła też, że Polacy śmiało mówią o niepowodzeniach komunistycznego rządu. Czuli się uprawnieni do narzekania w sposób

niewyobrażalny dla innych radzieckich poddanych. Większość obywateli bloku wschodniego traktowała komunizm jak religię, której krytykowanie jest grzechem. Polacy tolerowali komunizm, dopóki im służył, i protestowali, gdy tylko nie spełniał ich oczekiwań.

Tak czy inaczej, Tania włączyła teraz radio stojące przy łóżku. Nie sądziła, żeby w jej pokoju był podsłuch - SB miała pełne ręce roboty, szpiegując zachodnich dziennikarzy, i zapewne zostawiała radzieckich w spokoju - ale ostrożność stała się dla niej nawykiem.

- Wszyscy jesteśmy zdrajcami - zakończył Staś.

Tania zmarszczyła brwi. Jeszcze nigdy nie nazwał się zdrajcą. To była poważna sprawa.

- Co masz na myśli, do licha? - spytała.

- Związek Radziecki ma przygotowany plan operacyjny inwazji na Europę Zachodnią przeprowadzonej przez tak zwane siły drugiego rzutu. Większość czołgów i transporterów opancerzonych Armii Czerwonej zmierzających ku Niemcom Zachodnim, Francji, Holandii i Belgii po drodze przejedzie przez Polskę. Stany Zjednoczone użyją broni nuklearnej, aby zniszczyć te jednostki, zanim dotrą na Zachód, czyli kiedy będą jeszcze na terenie Polski. Szacujemy, że na nasz kraj spadnie od czterystu do sześćset bomb atomowych. Nie zostanie nic prócz napromieniowanej pustyni. Polska zniknie z powierzchni ziemi. Jeśli współpracujemy przy tworzeniu planów na taką ewentualność, czy nie jesteśmy zdrajcami?

Tania się wzdrygnęła. Był to koszmarny scenariusz - ale przerażająco logiczny.

- Ameryka nie jest wrogiem polskiego narodu - powiedział Staś. - Jeśli ZSRR i USA rozpoczną wojnę w Europie, powinniśmy stanąć po stronie Amerykanów i uwolnić się spod tyranii Moskwy.

Chciał jedynie zrzucić ciężar z serca czy było w tym coś więcej?

- Czy tylko ty tak uważasz, Staś? - ostrożnie zapytała Tania.

- Z pewnością nie tylko. Większość oficerów w moim wieku myśli tak samo. Pozornie opowiadają się za komunizmem, ale porozmawiaj z nimi, kiedy są pijani, to usłyszysz co innego.

- W takim razie macie problem - zauważyła. - Gdy zacznie się wojna, będzie za późno, żebyście mogli zdobyć zaufanie Amerykanów.

- To nasz dylemat.

- Rozwiązanie jest proste. Powinniście znaleźć sposób porozumiewania się.

Obrzucił ją chłodnym spojrzeniem. Przemknęło jej przez głowę, że może być prowokatorem mającym nakłonić ją do wywrotowych wypowiedzi, za które będzie można aresztować nieprawomyślną dziennikarkę. Jednak nie wyobrażała sobie, żeby szpicel mógł być takim czułym kochankiem.



- Tylko tak sobie gawędzimy... - rzucił Staś - czy to poważna rozmowa?

Tania nabrała tchu.

- Mówię jak najbardziej poważnie.

- Naprawdę uważasz, że to możliwe?

- Wiem, że tak - odparła ze zrozumieniem. Od dwudziestu lat prowadziła tajną działalność wywrotową. - To najłatwiejsza rzecz na świecie, ale znacznie trudniejsze jest utrzymać ją w tajemnicy i nie dać się złapać. Musiałbyś zachować wyjątkową ostrożność.

- Uważasz, że powinienem to zrobić?

- Tak! - odpowiedziała z uczuciem. - Nie chcę, by następne pokolenie radzieckich czy polskich dzieci dorastało w tej duszącej tyranii.

Skinął głową.

- Widzę, że naprawdę tak myślisz.

- Owszem.

- Pomożesz mi?

- Oczywiście, że tak.

Cameron Dewar nie wiedział, czy będzie dobrym szpiegiem. Tajne zlecenia, które wykonywał dla prezydenta Nixona, były amatorszczyzną i miał szczęście, że nie wylądował w więzieniu razem ze swoim szefem, Johnem Ehrlichmanem. Kiedy wstąpił do CIA, uczono go korzystania z martwych skrzynek i przelotnych kontaktów, ale nigdy nie uciekał się do takich sztuczek. Po sześciu latach pracy w głównej siedzibie CIA w Langley w końcu wysłano go do stolicy obcego państwa, lecz nadal nie prowadził tu żadnych tajnych działań.

Ambasada USA w Warszawie była okazałym budynkiem z marmuru przy Alejach Ujazdowskich. CIA zajmowała jedno pomieszczenie w pobliżu apartamentu ambasadora. Obok biura znajdował się mały składzik bez okien, wykorzystywany jako ciemnia do wywoływania filmów. Personel stanowiło czterech szpiegów i sekretarka. Był nieliczny, ponieważ mieli niewielu informatorów.

Cam nie narzekał na nadmiar zajęć. Czytał warszawskie gazety, korzystając ze słownika. Meldował o napisach na murach, które widział: „Niech żyje papież” oraz „My chcemy Boga”. Rozmawiał z ludźmi takimi jak on, pracującymi dla służb wywiadowczych innych krajów Paktu Północnoatlantyckiego NATO, szczególnie z Niemiec Zachodnich, Francji i Wielkiej Brytanii. Jeździł używanym samochodem - zielonym polskim fiatem z akumulatorem tak zużytym, że trzeba go było ładować co noc, inaczej samochód rano nie zapalał. Próbował poderwać którąś z sekretarek ambasady, ale nie zdołał.

Czuł się przegrany. Kiedyś jego życie wydawało się tak obiecujące. Wyróżniał się jako uczeń i student, a jego pierwszym zajęciem była praca w Białym Domu. Potem wszystko poszło nie tak. Nie zamierzał pozwolić, by klęska Nixona złamała mu życie. Jednak potrzebował sukcesu. Chciał znów być na topie.

Zamiast tego chodził na przyjęcia.

Ci z personelu ambasady, którzy mieli żony i dzieci, chętnie wracali wieczorami do domów i oglądali amerykańskie filmy z kaset wideo, tak więc samotni musieli chodzić na wszystkie mniej ważne przyjęcia. Tego wieczoru Cam wybierał się do ambasady egipskiej na przyjęcie z okazji powitania nowego wiceambasadora.

Kiedy zapuścił silnik fiata, włączyło się radio. Miał je nastrojone na zakres używany przez SB. Odbiór często był słaby, ale czasem słyszał rozmowy tajniaków śledzących ludzi w stolicy.

Niekiedy także on stawał się obiektem ich zainteresowania. Zmieniali samochody, lecz zwykle byli to ci sami dwaj mężczyźni: śniady, nazywany przez Cama „Mario”, i grubas, któremu w myślach nadał imię „Olli”. Nie mógł znaleźć żadnej reguły w częstotliwości prowadzonej przez nich obserwacji, zatem zakładał, że jest prowadzona przez cały czas. Zapewne tego właśnie chcieli. Może specjalnie śledzili go w przypadkowych porach właśnie po to, żeby przez cały czas żył w napięciu.

Jednak on też otrzymał przeszkolenie. Wiedział, że nigdy nie należy demonstracyjnie gubić ogona, gdyż dla drugiej strony jest to sygnał, że coś szykujesz. Miej regularne zwyczaje, powiedziano mu: w każdy poniedziałek chodź do restauracji X, a w każdy wtorek do baru Y. Wzbudź w nich fałszywe poczucie bezpieczeństwa. I wypatruj luk w kordonie, ustal, kiedy słabnie ich czujność. Wtedy możesz zrobić coś niepostrzeżenie.

Odjeżdżając spod ambasady USA, zauważył niebieską škodę 105 włączającą się do ruchu dwa samochody za nim.

Škoda towarzyszyła mu przez całe miasto. Widział Maria za kierownicą i Ollego na przednim siedzeniu obok.

Cam zaparkował na ulicy Alzackiej i zobaczył niebieską škodę zatrzymującą się sto metrów dalej.

Czasem korciło go, żeby porozmawiać z Mariem i Ollim, którzy stali się nieodłączną częścią jego życia, ale przestrzegano go, żeby nigdy tego nie robił, ponieważ wtedy SB zmieni agentów i minie trochę czasu, zanim rozpozna tych nowych.

Wszedł do ambasady egipskiej i wziął z tacy koktajl. Ten był tak rozcięnczony, że Cam ledwie czuł smak ginu. Wdał się w pogawędkę z austriackim dyplomatą o trudnościach z

nabyciem wygodnej męskiej bielizny w Warszawie. Kiedy Austriak odszedł, Cam rozejrzał się i zauważył samotnie stojącą blondynkę po dwudziestce. Dostrzegła jego spojrzenie i uśmiechnęła się, więc podszedł do niej porozmawiać.

Szybko odkrył, że jest Polką, ma na imię Lidka i pracuje jako sekretarka w ambasadzie kanadyjskiej. Miała na sobie obcisły różowy sweterek i krótką czarną spódniczkę, ukazującą długie nogi. Dobrze mówiła po angielsku i słuchała Cama z głębokim skupieniem, które mu pochlebiało.

Potem jakiś mężczyzna w garniturze w prążki - zapewne jej szef - przywołał ją władczo, przerywając rozmowę. Niemal natychmiast do Cama podeszła inna atrakcyjna kobieta i już zaczął myśleć, że to jego szczęśliwy dzień. Ta była starsza, pod czterdziestkę, ale ładniejsza, o krótkich platynowych włosach i jasnoniebieskich oczach, których barwę podkreślał niebieski cień do powiek. Odezwała się do niego po rosyjsku.

- Już się spotkaliśmy - powiedziała. - Pan Cameron Dewar. Jestem Tania Dworkina.

- Pamiętam - odparł, zadowolony z okazji popisania się swoją znajomością rosyjskiego.

- Jest pani reporterką TASS.

- A pan agentem CIA.

Na pewno jej tego nie mówił, więc musiała się domyślić. Rutynowo zaprzeczył.

- Nic tak emocjonującego - rzekł. - Jestem tylko skromnym attaché kulturalnym.

- Kulturalnym? - powtórzyła. - Zatem może mi pan pomóc. Jakiego rodzaju malarzem jest Jan Matejko?

- Nie jestem pewny - odrzekł. - Chyba impresjonistą. Dlaczego pani pyta?

- Sztuka nie jest pańską specjalnością?

- Wolę muzykę - powiedział, czując się zapędzony do narożnika.

- Zapewne uwielbia pan Szpilmana, polskiego skrzypka.

- Oczywiście. Co za technika prowadzenia smyczka!

- Co pan sądzi o poezji Wisławy Szymborskiej?

- Niestety, nie czytałem żadnych jego dzieł. Czy to egzamin?

- Tak, i oblał go pan. Szymborska to kobieta. Szpilman jest pianistą, nie skrzypkiem.

Matejko był klasycznym malarzem scen dworskich i batalistycznych, nie impresjonistą. A pan nie jest attaché kulturalnym.

Cam był załamany, że zdemaskowano go tak łatwo. Ależ z niego beznadziejny tajny agent! Spróbował potraktować ten incydent z humorem.

- Może po prostu jestem bardzo kiepskim attaché kulturalnym.

Zniżyła głos.

- Gdyby oficer polskiej armii chciał porozmawiać z przedstawicielem rządu USA, pewnie mógłby pan to zaaranżować.

Nagle rozmowa przybrała bardzo poważny obrót. Cam się zdenerwował. To mogła być pułapka.

Albo prawdziwa próba nawiązania kontaktu - co byłoby dla niego wspaniałą okazją.

Odpowiedział ostrożnie.

- Naturalnie, mogę każdemu zaaranżować spotkanie z przedstawicielem rządu USA.

- W tajemnicy?

Co to ma być, do diabła?

- Tak.

- Dobrze - odparła i odeszła.

Cam wziął następnego drinka. O co jej chodziło? Czy to zdarzyło się naprawdę, czy tylko z niego kpiła?

Przyjęcie zbliżało się do końca. Zastanawiał się, co robić z resztą wieczoru. Myślał o pójściu do baru w ambasadzie Australii, gdzie czasem grał w strzałki z przyjacielskimi szpiegami z tej krainy Oz. Nagle zauważył stojącą w pobliżu Lidkę, znowu samą. Naprawdę była bardzo seksowna.

- Masz jakieś plany na wieczór? - zapytał ją.

Zrobiła zdziwioną minę.

Uśmiechnął się.

- Pytałem o to, czy zjesz ze mną kolację?

- Och tak - odparła bez namysłu. - Pójdziemy do Kaczki?

- Oczywiście. - To była droga restauracja, chociaż nie wtedy, kiedy płaciło się dolarami.

Spojrzał na zegarek. - Możemy już iść?

Lidka rozejrzała się po sali. Nigdzie nie było widać mężczyzny w garniturze w prążki.

- Jestem wolna - powiedziała.

Ruszyli do wyjścia. Gdy przechodzili przez drzwi, pojawiła się sowiecka dziennikarka, Tania, i zatrzymała Lidkę.

- Upuściłaś coś - odezwała się słabą polszczyzną, podając jej czerwoną apaszkę.

- To nie moja - zaprotestowała Lidka.

- Widziałam, jak wypadła ci z ręki.

Ktoś dotknął łokcia Cama. Odwrócił się i zobaczył wysokiego, przystojnego mężczyznę około czterdziestki w mundurze pułkownika Ludowego Wojska Polskiego.

- Chcę z panem porozmawiać - powiedział płynną angielszczyzną nieznajomy.

Cam odpowiedział w tym samym języku:

- W porządku.
- Znajdę bezpieczne miejsce.

Cam mógł tylko potwierdzić:

- Dobrze.

Mężczyzna się odwrócił.

Cameron znów skupił uwagę na Lidce.

- Pomyliłam się, przepraszam - powiedziała Tania i pośpiesznie odeszła.

Najwyraźniej chciała odwrócić uwagę Lidki na ten moment, gdy żołnierz rozmawiał z Camem.

Lidka popatrzyła na Cama zdumiona.

- To było dziwne - zauważyła, kiedy wyszli z budynku.

Cam był podekscytowany, ale udawał równie zdziwionego.

- Rzeczywiście - rzekł.

Lidka nie przestawała się dziwić.

- Kim był ten polski oficer, który z tobą rozmawiał?
- Nie mam pojęcia - odparł Cam. - Mój samochód stoi tam.
- Och! - powiedziała. - Masz samochód?
- Tak.
- Jak miło - rzekła Lidka z zadowoloną miną.

Tydzień później Cam obudził się w łóżku w mieszkaniu Lidki.

Bardziej przypominało kawalerkę: jeden pokój z łóżkiem, telewizorem i kuchennym zlewem. Prysznic i toaletę miała wspólnie z trojgiem innych lokatorów.

Dla Cama był to raj.

Lidka stała przy szafce kuchennej, parząc przyniesioną przez niego kawę. Była naga. Odwróciła się i z filiżanką w ręku podeszła do łóżka. Miała kręcone brązowe włosy łonowe i małe sterczące piersi z sutkami koloru morwy.

Z początku krępowało go, gdy chodziła po mieszkaniu nago, ponieważ miał ochotę gapić się na nią, co było niegrzeczne. Kiedy jej to wyznał, powiedziała: „Patrz, ile chcesz, to mi się podoba”. Nadal był nieśmiały, ale nie aż tak jak przedtem.

Od tygodnia spotykał się z Lidką co wieczór.

Siedmiokrotnie uprawiał z nią seks, czyli więcej razy niż dotychczas przez całe swoje życie, nie licząc ręcznych pieszczot w salonach masażu.

Pewnego dnia zapytała go, czy chciałby zrobić to ponownie rano.

- A ty co, jesteś nimfomanką? - zapytał.

Była obrażona, ale potem jej przeszło.

Kiedy szczotkowała włosy, on popijał kawę i myślał o dzisiejszym dniu. Jeszcze nie otrzymał żadnej wiadomości od Tani Dworkiny. Zameldował o tym kontakcie w ambasadzie egipskiej swojemu szefowi, Keithowi Dorsetowi, i obaj zgodnie stwierdzili, że pozostaje im tylko czekać, co będzie.

Miał teraz większy problem. Znał określenie „miodowa pułapka”. Tylko głupiec nie zastanawiałby się, czy Lidka nie miała jakiegoś ukrytego powodu, żeby pójść z nim do łóżka. Musiał brać pod uwagę możliwość, że dziewczyna wypełnia rozkazy SB. Westchnął.

- Muszę powiedzieć o tobie mojemu szefowi - rzekł.

- Naprawdę musisz? - Nie wyglądała na przestraszoną. - Dlaczego?

- Amerykańscy dyplomaci powinni się umawiać tylko z obywatelami państw NATO. Nazywamy to natowską zasadą pieprzenia. Nie chcą, żebyśmy zakochiwali się w komunistkach.

Nie zdradził jej, że jest raczej szpiegiem niż dyplomata.

Ze smutną miną usiadła obok niego na łóżku.

- Zrywasz ze mną?

- Nie, nie! - Ten pomysł prawie go przeraził. - Jednak muszę o tym powiedzieć, a oni cię prześwietlą.

Teraz ona się zaniepokoiła.

- Co to oznacza?

- Sprawdź, czy nie jesteś agentką polskiej tajnej policji lub kimś takim.

Wzruszyła ramionami.

- No cóż, to w porządku. Wkrótce się dowiedzą, że nie jestem nikim takim.

Najwyraźniej ją to uspokoiło.

- Przykro mi, ale tak trzeba - rzekł Cam. - Jednonocne przygody się nie liczą, ale musimy je zgłaszać, jeśli stają się czymś więcej, no wiesz, prawdziwym miłosnym związkiem.

- W porządku.

- Nasz taki jest, prawda? - nerwowo spytał Cam. - To prawdziwy miłosny związek.

Lidka się uśmiechnęła.

- Och tak - powiedziała. - Taki jest.

## ROZDZIAŁ 53

Rodzina Francków pojechała na Węgry dwoma trabantami. Udali się na wakacje. Węgry stały się popularnym celem letnich podróży dla Niemców, których było stać na benzynę.

O ile mogli to stwierdzić, nikt ich nie śledził.

Wykupili wczasy we wschodnioniemieckim państwowym biurze turystycznym. Niemal się spodziewali, że nie dostaną wiz, mimo że Węgry należały do bloku sowieckiego, ale czekała ich przyjemna niespodzianka. Hans Hoffmann przegapił okazję do dokuczenia im; może był zajęty.

Potrzebowali dwóch samochodów, ponieważ zabrali Karolin i jej rodzinę. Werner i Carla szaleńczo uwielbiali swoją wnuczkę, Alice, teraz szesnastoletnią. Lili kochała Karolin, ale nie jej męża, Odonę. Był dobrym człowiekiem i załatwił Lili jej obecną posadę administratorki kościelnego sierocińca, lecz w jego sympatii do Karolin i Alice widziała coś wymuszonego, jakby kochanie ich było dobrym uczynkiem. Lili uważała, że miłość powinna być namiętnością, a nie moralnym obowiązkiem.

Karolin uważała tak samo. Były sobie na tyle bliskie z Lili, żeby zwierzać się sobie z różnych sekretów, i Karolin wyznała, że jej małżeństwo było pomyłką. Nie męczyła się przy Odonie, ale też go nie kochała. Był uprzejmy i delikatny, jednak nie seksowny: kochali się mniej więcej raz na miesiąc.

Tak więc grupa wycieczkowiczów składała się z sześciu osób. Werner, Carla i Lili wzięli brązowy samochód, a Karolin, Odo i Alice pojechali białym.

Była to długa podróż, szczególnie „mydelniczką” z dwusuwowym silnikiem o pojemności sześciuset centymetrów sześciennych: ponad dziewięćset kilometrów przez całą Czechosłowację. Pierwszego dnia dojechali do Pragi, gdzie zatrzymali się na noc.

- Jestem najzupełniej pewny, że nikt nas nie śledzi - powiedział Werner, kiedy następnego dnia rano opuścili hotel. - Chyba nam się udało.

Pojechali nad Balaton, mające niemal osiemdziesiąt kilometrów długości największe jezioro w Europie Środkowej. Znajdowało się kusząco blisko Austrii, wolnego kraju. Jednak wzdłuż całej granicy ciągnęło się ogrodzenie pod napięciem, mające zapobiec ucieczce ludzi z komunistycznego raju.

Zaczęli rozstawiać oba namioty tuż obok siebie, na kempingu na południowym brzegu.

Mieli ukryty cel: chcieli spotkać się z Rebeccą.

To był jej pomysł. Przez rok opiekowała się Wallim i udało mu się wyleczyć z uzależnienia od narkotyków. Teraz miał własne mieszkanie w Hamburgu, niedaleko niej. Aby się nim opiekować, zrezygnowała z szansy kandydowania do Bundestagu, parlamentu krajowego, lecz gdy Walli wyzdrowiał, tę ofertę ponowiono. Teraz zasiadała w parlamencie, specjalizując się w polityce zagranicznej. Była na Węgrzech z oficjalną wizytą i zobaczyła, że Węgry celowo przyciągają wczasowiczów z Zachodu: turystyka i tani riesling były dla tego kraju jedynym sposobem zdobycia obcej waluty i zmniejszenia olbrzymiego deficytu w wymianie handlowej. Gości z Zachodu lokowano w specjalnych oddzielnych ośrodkach wakacyjnych, ale poza nimi nic nie mogło zapobiec fraternizacji.

Tak więc żadne prawo nie zabraniało tego, co teraz robili Franckowie. Ich wycieczka była legalna i przyjazd Rebekki też. Tak jak oni, przyjechała spędzić tanie wakacje na Węgrzech. Mieli spotkać się jakby przypadkiem.

Jednak w krajach komunistycznych prawo było fikcją. Franckowie wiedzieli, że mieliby straszne kłopoty, gdyby tajna policja odkryła, co zamierzali zrobić. Tak więc Rebecca przygotowała wszystko w tajemnicy, za pośrednictwem Enoka Andersena, duńskiego księgowego, który wciąż często przekraczał granicę między Berlinem Zachodnim a Wschodnim, żeby spotkać się z Wernerem. Niczego nie zapisywano ani nie omawiano przez telefon. Najbardziej obawiali się, że Rebecca zostanie za coś aresztowana - albo nawet porwana przez Stasi - i zabrana do więzienia w NRD. Wywołałoby to kryzys dyplomatyczny, ale Stasi i tak mogło to zrobić.

Mąż Rebekki, Bernd, pozostał w Hamburgu. Stan jego zdrowia pogorszył się i nerki źle pracowały. Pracował teraz tylko na pół etatu i nie mógł odbywać dalekich podróży.

Werner wbił śledzia od namiotu i wyprostował się.

- Rozejrzyj się - rzucił półgłosem do Lili. - Nie jechali za nami, ale może nie musieli, ponieważ przysłali tu kogoś wcześniej.

Lili przeszła się po kempingu, jakby chciała go poznać. Obozowicze znad Balatonu byli weseli i przyjaźni. Jako atrakcyjna młoda kobieta, Lili co chwilę słyszała miłe pozdrowienia oraz zaproszenia na kawę, piwo i zakąski. Większość namiotów zajmowały rodziny, choć było także kilka grup męskich i parę kobiecych. Niewątpliwie w ciągu kilku następnych dni samotni połączą się w pary.

Lili nie miała chłopaka. Lubiła seks i zdarzyło jej się kilka przygód - w tym jedna z kobietą, o której jej rodzina nic nie wiedziała. Zapewne miała taki sam instynkt macierzyński jak inne kobiety, bo przecież uwielbiała dziecko Wallego, Alice. Jednak okropna perspektywa wychowywania własnych dzieci w Niemczech Wschodnich odbierała jej chęć ich posiadania.



Z powodu politycznych przekonań rodziny Francków Lili usunięto z uniwersytetu, więc została pielęgniarzką dziecięcą. Gdyby władze mogły temu zapobiec, nigdy by nie awansowała, ale Odo pomógł jej zdobyć pracę w kościelnym sierocińcu, gdzie partia komunistyczna nie decydowała o zatrudnieniu.

Jednak jej prawdziwym powołaniem była muzyka. Razem z Karolin śpiewała i grała na gitarze w małych barach i klubach młodzieżowych, często w salach katechetycznych. Ich piosenki były protestem przeciwko skażeniom przemysłowym, niszczeniu starych budynków i pomników, wyrębowi lasów i brzydkiej architekturze. Rząd ich nienawidził, więc obie często trafiały do aresztu, gdzie ostrzegano je przed szerszeniem wrogiej propagandy. Jednak komuniści oficjalnie nie mogli popierać zatruwania rzek ściekami fabrycznymi, więc trudno było im podejmować drastyczne działania przeciwko obrońcom środowiska i w istocie nawet próbowali włączyć Lili i Karolin do bezsilnego oficjalnego Towarzystwa Ochrony Przyrody i Środowiska.

Ojciec Lili mówił, że w USA konserwatyści oskarżali obrońców środowiska o wrogie nastawienie do biznesu. Konserwatystom z bloku wschodniego trudniej było oskarżyć ich o antykomunizm. W końcu komunizmowi chodziło głównie o to, żeby przemysł pracował dla ludzi, a nie dla właścicieli.

Pewnego wieczoru Lili i Karolin zakradły się do studia i nagrały płytę. Nie została wypuszczona oficjalnie, ale taśmy magnetofonowe w nieopisanych pudełkach zawierające te utwory sprzedawały się tysiącami.

Lili obesła obóz, w którym przebywali niemal sami Niemcy z Niemiec Wschodnich, bo kemping dla obozowiczów z Zachodu znajdował się półtora kilometra dalej. Wracając do rodziny, zauważyła przed namiotem rozbitym blisko ich obozowiska dwóch młodych mężczyzn pijących piwo. Jeden miał rzedniejącą jasną czuprynę, a drugi czarne włosy ostrzyżone na Beatlesa, co wyszło z mody piętnaście lat temu. Blondyn napotkał jej wzrok i szybko odwrócił oczy. Wzbudziło to podejrzenia Lili: młodzi ludzie raczej nie unikali patrzenia na nią. Ci dwaj nie zaproponowali jej drinka. Ani nie zaprosili, żeby do nich dołączyła.

- O nie - mruknęła.

Tajniaków ze Stasi łatwo było rozpoznać. Byli brutalni, a nie sprytni. Tę karierę wybierali ludzie pragnący prestiżu i władzy, lecz nieudolni i niezbyt inteligentni. Na przykład pierwszy mąż Rebekki, Hans: był tylko nieprzyjemnym brutalem, ale stale awansował i teraz należał już chyba do kierownictwa Stasi: wożono go limuzyną i mieszkał w willi otoczonej wysokim murem.

Lili nie chciała zwracać na siebie uwagi, ale postanowiła sprawdzić swoje podejrzenia, więc musiała być zuchwałą.

- Cześć, chłopaki! - zawołała przyjaźnie.

Obaj odpowiedzieli zdawkowym pozdrowieniem.

Lili nie zamierzała tak łatwo dać się zbyć.

- Jesteście tu z żonami? - zapytała.

Nie mogli nie uznać tego za próbę zawarcia bliższej znajomości.

Blondyn tylko pokręcił głową, a ten drugi odparł krótko:

- Nie.

Nie byli nawet na tyle sprytni, żeby udawać.

- Naprawdę? - To chyba wystarczające potwierdzenie, pomyślała. Co dwaj samotni mężczyźni robią na kempingu, jeśli nie szukają dziewczyn? I byli zbyt kiepsko ubrani, żeby mogli być homoseksualistami. - Powiedzcie mi - dodała, siląc się na rażny ton - gdzie tutaj można dobrze się zabawić wieczorami? Da się tu gdzieś potańczyć?

- Nie wiem.

Wystarczy. Jeśli ci dwaj są tu na wakacjach, to jestem panią Breżniew, pomyślała. Odeszła.

To był problem. Jak rodzina Francków spotka się z Rebeccą, żeby nie dowiedzieli się o tym ci tajniacy ze Stasi?

Lili wróciła do swojej rodziny. Oba namioty już stały.

- Zła wiadomość - powiedziała swojemu ojcu. - Dwaj agenci Stasi. Jeden rząd na południe i trzy namioty na wschód od nas.

- Tego się obawiałem - skwitował jej słowa Werner.

Mieli spotkać się z Rebeccą dwa dni później w restauracji, w której była podczas swojej oficjalnej wizyty. Jednak zanim tam pójda, Franckowie musieli zgubić śledzących ich tajniaków. Lili niepokoiła się, lecz jej rodzice byli dziwnie spokojni.

Pierwszego dnia Werner i Carla wyjechali wcześniej brązowym trabantem, mówiąc, że jadą na rekonesans. Agenci Stasi pojechali za nimi zieloną škodą. Werner i Carla wrócili dopiero wieczorem, z zadowolonymi minami.

Następnego ranka Werner powiedział Lili, że zabiera ją na przechadzkę. Stanęli przed namiotem z plecakami, wzajemnie pomagając je sobie założyć. Na nogach mieli mocne buty, a na głowach kapelusze. Dla każdego patrzącego było oczywiste, że wybierają się na długi spacer.

Jednocześnie Carla szykowała się do wyjazdu z torbami na zakupy, sporządzając ich listę i głośno mówiąc:

- Szynka, ser, chleb... jeszcze coś?

Lili zaniepokoiła się, że ich zachowanie jest zbyt ostentacyjne.

Byli obserwowani przez obu tajniaków, którzy siedzieli przed namiotem, paląc papierosy.

Ruszyli w przeciwnie strony, Carla w kierunku parkingu, a Lili i Werner na plażę. Agent Stasi ostrzyżony na Beatlesa poszedł za Carlą, a blondyn za Wernerem i Lili.

- Na razie dobrze - zauważył Werner. - Rozdzieliliśmy ich.

Kiedy Lili i Werner doszli do jeziora, Werner skręcił na zachód, idąc wzdłuż brzegu. Najwyraźniej sprawdził okolicę poprzedniego dnia. Teren był bardzo nierówny. Jasnowłosy agent Stasi śledził ich z daleka, nie bez trudu, bo nie był odpowiednio ubrany. Czasem przystawali, udając, że muszą odpocząć, żeby mógł ich dogonić.

Szli tak dwie godziny, a potem wyszli na pustą, dziką plażę. Kawałek dalej pomiędzy drzewami biegła polna droga, dochodząca na sam brzeg jeziora.

Stał na niej brązowy trabant z Carlą za kierownicą.

W polu widzenia nie było nikogo innego.

Werner z Lili wsiedli do samochodu i Carla odjechała, zostawiając agenta Stasi na pustkowiu.

Lili powstrzymała chęć pomachania mu na pożegnanie.

- Zgubiłaś tego drugiego? - rzucił Werner do Carli.

- Tak - potwierdziła. - Wywołałam zamieszanie przed sklepem spożywczym, podpalając kosz na śmieci.

Werner się uśmiechnął.

- Tej sztuczki nauczyłaś się ode mnie przed wieloma laty.

- Ależ tak. Oczywiście wysiadł z samochodu i poszedł zobaczyć, co się dzieje.

- A wtedy...

- Kiedy był zajęty, przebiłam mu gwoździem oponę. Gdy odjeżdżałam, zmieniał koło.

- Ładnie.

- Wy dwoje robiliście to podczas wojny, prawda? - zapytała Lili.

Zapadła chwila ciszy. Nigdy nie mówili o wojnie.

- Tak - odpowiedziała w końcu Carla. - Tak, trochę działaliśmy, nic takiego, czym warto by się chwalić.

Nigdy więcej nie poruszali tego tematu.

Pojechali do oddalonej nieco od jeziora wioski i zwolnili przy domku z angielskim szyldem „Bar”. Stojący na zewnątrz mężczyzna skierował ich na parking na polu za domem, gdzie samochód był niewidoczny z ulicy.

Weszli do małego baru, zbyt przytulnego, żeby mógł być państwowym lokalem. Lili natychmiast zauważyła siostrę, Rebecę, i wzięła ją w objęcia. Nie widziały się od osiemnastu lat. Lili usiłowała dostrzec jej twarz, ale nic nie widziała przez łzy. Carla i Werner po kolei uściskali Rebecę.

Kiedy w końcu Lili otarła łzy, zobaczyła, że Rebecca wygląda jak kobieta w średnim wieku, co nie było żadną niespodzianką: w następne urodziny skończy pięćdziesiąt lat. Sprawiała wrażenie tęższej, niż Lili pamiętała.

Jednak najbardziej uderzający był jej elegancki wygląd. Miała na sobie niebieską letnią sukienkę w kropki i dopasowany żakiet. Srebrny łańcuszek z dużą perłą na szyi i grubą srebrną bransoletę na ręce. Ładne sandały na korkowym koturnie. Granatową skórzaną torebkę na ramieniu. O ile Lili wiedziała, polityka nie jest popłatnym zajęciem. Czy to możliwe, że wszyscy w Niemczech Zachodnich są tak dobrze ubrani?

Rebecca przeprowadziła ich przez bar do prywatnego pomieszczenia na tyłach, gdzie długi stół już był zastawiony półmiskami z zimnym mięsiwem, miskami sałatek i butelkami wina. Obok stołu stał chudy, przystojny, mizernie wyglądający mężczyzna w białym podkoszulku i obcisłych czarnych dżinsach. Mógł mieć czterdzieści kilka lat lub mniej, jeśli był poważnie chory. Lili wzięła go za pracownika baru.

Carla jęknęła, a Werner powiedział:

- O mój Boże.

Lili zobaczyła, że chudzielec spogląda na nią wyczekująco. Nagle zauważyła jego migdałowe oczy i pojęła, że patrzy na swojego brata, Wallego. Wydała cichy okrzyk zaskoczenia: wyglądał tak staro!

Carla przytuliła Wallego.

- Mój chłopiec! - powtarzała. - Mój biedny chłopiec!

Lili uściskała go i ucałowała, znów płacząc.

- Wyglądasz tak inaczej - załkała. - Co ci się stało?

- Rock and roll - odparł ze śmiechem. - Jednak dochodzę do siebie. - Popatrzył na starszą siostrę. - Rebecca poświęciła rok swojego życia i wspaniałą okazję zrobienia kariery, żeby mnie ratować.

- To oczywiście - powiedziała Rebecca. - Jestem twoją siostrą.

Lili była pewna, że Rebecca nie wahała się ani chwili. Dla niej rodzina była

najważniejsza. Lili miała teorię, że powodem tak silnego przywiązania było to, że została adoptowana.

Werner długo trzymał Wallego w ramionach.

- Nie wiedzieliśmy - wyrzucił z siebie ochryplym z emocji głosem. - Nie wiedzieliśmy, że przyjedziesz.

- Postanowiłam trzymać to w całkowitej tajemnicy - wyjaśniła Rebecca.

- Czy to nie jest niebezpieczne? - zapytała Carla.

- Z pewnością jest - odparła Rebecca. - Jednak Walli chciał podjąć to ryzyko.

Potem weszła Karolin ze swoją rodziną. Tak jak pozostali, dopiero po chwili poznała Wallego, a wtedy wydała z siebie okrzyk zaskoczenia.

- Cześć, Karolin - powiedział. Ujął jej dłonie w swoje i ucałował ją w oba policzki. - Dobrze znów cię widzieć.

- Jestem Odo, mąż Karolin - przedstawił się Odo. - Cieszę się, że w końcu mogę cię poznać.

Jakiś dziwny grymas przemknął po twarzy Wallego. Zniknął w ułamku sekundy, ale Lili wiedziała, że Walli dostrzegł i wyczuł u Odo coś, co nim wstrząsnęło, lecz zaraz zręcznie ukrył swoje zaskoczenie. Obaj przyjaźnie uścisnęli sobie ręce.

- A to jest Alice - powiedziała Karolin.

- Alice? - powtórzył Walli. Oszołomiony patrzył na wysoką szesnastoletnią dziewczynę z długimi włosami okalającymi jej twarz. - Napisałem o tobie piosenkę - powiedział. - Kiedy byłaś mała.

- Wiem. - Pocałowała go w policzek.

- Alice zna historię swoich narodzin - dodał Odo. - Wyjaśniliśmy jej wszystko, gdy tylko była dostatecznie dorosła, żeby to zrozumieć.

Lili zastanawiała się, czy Walli usłyszał buńczuczną nutę w głosie męża Karolin. A może była przeczulona?

- Kocham cię - rzekł Walli do Alice - ale to Odo cię wychował. Nigdy o tym nie zapomnę i jestem pewny, że ty także.

Wzruszenie na moment odebrało mu głos. Potem odzyskał panowanie nad sobą.

- Wszyscy siądźmy i jedzmy - powiedział. - To szczęśliwy dzień.

Lili uświadomiła sobie, że to zapewne Walli zapłacił za to wszystko.

Usiedli przy stole. Przez chwilę byli jak obcy sobie ludzie, czując się niezręcznie, usiłując wymyślić jakiś temat rozmowy. Potem kilkoro z nich odezwało się jednocześnie, zadając Wallemu różne pytania. Wszyscy się roześmiali.

- Po kolei! - zawołał Walli i odprężyli się.

Powiedział im, że ma apartament w Hamburgu. Nie jest żonaty, chociaż ma dziewczynę. Mniej więcej co osiemnaście miesięcy lub dwa lata jeździ do Kalifornii, gdzie przez cztery miesiące mieszka na farmie Dave'a Williamsa i nagrywa nową płytę z Plum Nellie.

- Jestem uzależniony - powiedział. - Jednak nie biorę od siedmiu lat, a we wrześniu minie osiem. Kiedy koncertuję z zespołem, przed drzwiami mojej garderoby stoi strażnik sprawdzający, czy ktoś nie wnosi narkotyków. - Wzruszył ramionami. - Wiem, że to wydaje się przesadą, ale tak jest.

Walli też miał pytania, szczególnie do Alice. Kiedy na nie odpowiadała, Lili przyglądała się siedzącym przy stole. To była jej rodzina: rodzice, siostra, brat, bratanica i najlepsza przyjaciółka. Jakie to szczęście, mieć ich wszystkich razem, jedzących, rozmawiających i pijących wino.

Pomyślała, że niektóre rodziny spotykały się tak co tydzień i uważały to za coś oczywistego.

Karolin siedziała obok Wallego, a Lili obserwowała ich razem. Dobrze się bawili. Zauważyła, że nadal potrafili się rozśmieszać. Gdyby sprawy wyglądały inaczej - gdyby mur berliński runął - czy ich romans mógłby się odrodzić? Wciąż byli młodzi: Walli miał trzydzieści trzy lata, a Karolin trzydzieści pięć. Lili skarciła się za takie myśli: to były jałowe spekulacje, głupie fantazje.

Walli ponownie opowiedział o swojej ucieczce z Berlina, kierując swoje słowa do Alice. Kiedy doszedł do tego, jak siedział przez całą noc, czekając na Karolin, która się nie pojawiła, ona przerwała mu.

- Bałam się - powiedziała. - Bałam się o siebie i o dziecko, które nosiłam.

- Nie winię cię - rzekł Walli. - Nie zrobiłaś nic złego. Ja też nie zrobiłem nic złego. Zły był tylko mur.

Opisał, jak przejechał przez punkt kontrolny, taranując szlaban.

- Nigdy nie zapomnę tego człowieka, którego zabiłem - wyznał.

- To nie była twoja wina - powiedziała Carla. - Przecież do ciebie strzelał!

- Wiem - odparł i z tonu jego głosu Lili wywnioskowała, że w końcu się z tym pogodził.

- Przykro mi z tego powodu, ale nie czuję się winny. Nie zrobiłem nic złego, uciekając; on nie zrobił nic złego, strzelając do mnie.

- Tak jak powiedziałeś - wtrąciła Lili. - Jedynym złem jest mur.

## ROZDZIAŁ 54

Szef Cama Dewara, Keith Dorset, był otyłym mężczyzną o jasnych włosach. Jak wielu pracowników CIA ubierał się okropnie. Dziś miał na sobie brązową tweedową marynarkę, spodnie z szarej flaneli, białą koszulę w brązowe paski i nijaki zielony krawat. Na ulicy nikt nie zwracał na niego uwagi, uznając go za osobę przeciętną do bólu. Może właśnie o to mu chodziło, myślał Cameron. A może po prostu miał zły gust.

- Co do twojej dziewczyny, Lidki - zagał Keith, siedząc za dużym biurkiem w ambasadzie amerykańskiej.

Cam był najzupełniej pewny, że Lidka nie ma żadnych niewłaściwych powiązań, ale niecierpliwie czekał na potwierdzenie tego.

- Twoja prośba została odrzucona - dokończył Keith.

Cam był zdumiony.

- O czym ty mówisz?

- Twoja prośba została odrzucona. Którego z tych czterech słów nie rozumiesz?

Ludzie w CIA czasem zachowywali się, jakby byli w wojsku i mogli wykrzykiwać rozkazy podwładnym. Jednak Cam nie dawał się łatwo zastraszyć. Pracował w Białym Domu.

- Odrzucona? Z jakiego powodu?

- Nie muszę podawać powodów.

W wieku trzydziestu czterech lat Cam po raz pierwszy miał dziewczynę. Po dwudziestu latach niepowodzeń sypiał z kobietą, która najwyraźniej chciała tylko go uszczęśliwić. Strach przed jej utratą wytrącił go z równowagi.

- Nie musisz też być dupkiem - warknął.

- Nie waż się tak do mnie mówić. Jeszcze jedna taka odzywka i polecisz do kraju.

Cam nie chciał być odesłany do kraju. Wycofał się.

- Przepraszam. Jednak nadal chcę znać powód twojej odmowy, jeśli łaska.

- Utrzymujesz z nią tak zwany bliski i stały kontakt, prawda?

- Oczywiście. Sam ci o tym powiedziałem. W czym problem?

- W statystyce. Większość zdrajców, których łapiemy na szpiegowaniu Stanów Zjednoczonych, ma krewnych lub dobrych przyjaciół, którzy są cudzoziemcami.

Cam podejrzewał coś takiego.

- Nie chcę z niej zrezygnować ze względu na statystykę. Czy masz przeciwko niej coś konkretnego?

- Dlaczego ci się wydaje, że możesz mnie przesłuchiwać?

- Rozumiem, że nie masz.

- Ostrzegłem cię przed takimi odzywkami.

Przerwał im inny agent, Tony Savino, który podszedł do nich, trzymając w ręku kartkę.

- Właśnie przeglądam listę dziennikarzy na poranną konferencję prasową - powiedział. - Jest wśród nich Tania Dworkina z TASS. - Spojrzał na Cama. - To ta kobieta, z którą rozmawiałeś w ambasadzie egipskiej, prawda?

- To ona - potwierdził Cam.

- Jaki jest temat tej konferencji prasowej? - spytał Keith.

- Tu jest napisane, że chodzi o nawiązanie nowej, bliskiej współpracy polskich i amerykańskich muzeów w celu wzajemnego wypożyczania sobie dzieł sztuki. - Tony oderwał wzrok od kartki. - To nie jest coś, co przyciągnęłoby uwagę gwiazdy TASS, no nie?

- Widocznie chce się ze mną spotkać - powiedział Cam.

Tania zauważyła Cama, gdy tylko wszedł do sali konferencyjnej ambasady amerykańskiej. Wysoki i chudy, stał z tyłu jak słup. Gdyby się tu nie pojawił, odszukałaby go po konferencji prasowej, ale tak było lepiej, bo mniej rzucało się w oczy.

Jednak nie chciała podchodzić do niego zbyt ostentacyjnie, więc postanowiła najpierw wysłuchać komunikatu. Usiadła obok polskiej dziennikarki, którą lubiła, Danuty Górskiej, apetycznej brunetki o szerokim uśmiechu. Danuta należała do podziemnej organizacji o nazwie Komitet Samoobrony Społecznej KOR, która drukowała ulotki opisujące niezadowolenie robotników i łamanie praw człowieka. Takie nielegalne publikacje potocznie nazywano bibułą. Danuta mieszkała w tym samym budynku co Tania.

Gdy rzecznik prasowy ambasady odczytywał komunikat, który już otrzymali na piśmie, Danuta mruknęła do Tani:

- Może powinnaś pojechać do Gdańska.

- Dlaczego?

- Będzie strajk w stoczni imienia Lenina.

- Strajki są wszędzie.

Robotnicy domagali się wzrostu płac jako rekompensaty za znaczne podwyżki cen żywności wprowadzone przez rząd. Tania pisała o tym jako o „przerwach w pracy”, ponieważ strajki zdarzały się jedynie w krajach kapitalistycznych.

- Wierz mi - powiedziała Danuta. - Ten może być inny.

Polski rząd szybko kończył wszystkie lokalne strajki, obiecując podwyżki płac i inne



ustępstwa, chcąc stłumić protesty, zanim rozszerzą się jak plama na materiale. Koszmarem rządzącej elity - i marzeniem dysydentów - było połączenie się tych plam w jedną, tak dużą, że materiał całkowicie zmieni kolor.

- Pod jakim względem inny?

- Zwolnili z pracy operatora dźwigu, który jest związany z działalnością opozycyjną, ale wybrali sobie niewłaściwą ofiarę. Anna Walentynowicz jest kobietą, wdową i ma pięćdziesiąt jeden lat.

- Tak więc wzbudza ogromną sympatię rycerskich Polaków.

- Jest bardzo lubiana. Nazywają ją panią Anią.

- Może tam zajrzę.

Dimka chciał wiedzieć o każdym proteście, który mógł przybrać poważny obrót, żeby w razie potrzeby zniechęcić kremlowskich twardegłowych do interwencji.

Przechodząc obok Cama Dewara po zakończeniu konferencji prasowej, Tania cicho powiedziała po rosyjsku:

- Przyjdź do katedry Świętego Jana w piątek o drugiej, żeby popatrzeć na Krucyfik Baryczków.

- To nie jest dobre miejsce - syknął.

- Tam albo nigdzie - odparła Tania.

- Powiedz mi, o co chodzi - nie ustępował.

Tania zrozumiała, że musi zaryzykować jeszcze chwilę rozmowy.

- O stworzenie kanału łączności na wypadek inwazji Związku Radzieckiego na Europę Zachodnią - powiedziała. - Możliwość utworzenia grupy polskich oficerów, którzy przeszliby na waszą stronę.

Amerikaninowi opadła szczęka.

- Och... och... - wyjąkał. - Dobrze, tak.

Uśmiechnęła się do niego.

- Zadowolony?

- Jak się nazywa ten oficer?

Tania się zawahała.

- On zna moje nazwisko - powiedział Cam.

Tania postanowiła zaufać temu człowiekowi. I tak już złożyła swoje życie w jego ręce.

- Stanisław Pawlak - odparła. - Znany jako Staś.

- Powiedz Stasiowi, że ze względów bezpieczeństwa ma nie rozmawiać z nikim z ambasady poza mną.

A. Walentynowicz stała się niewygodna, bo swoim przykładem działała na innych. Stała się niewygodna, bo broniła innych i mogła zorganizować kolegów. Jest to stała tendencja władz, by izolować tych, którzy mogliby stać się przywódcami... Jeśli nie potrafimy się temu przeciwstawić, nie będzie nikogo, kto wystąpi przeciw podwyżce norm, łamaniu BHP czy zmuszaniu do nadgodzin<sup>12</sup>.

Tania była oszołomiona. Tu nie chodziło o podwyżki czy skrócenie czasu pracy, ale o prawo polskich robotników do tworzenia związków zawodowych niezależnych od komunistycznej hierarchii. Czuła, że to ma doniosłe znaczenie. W jej sercu zapalił się nikły płomyk nadziei.

W świetle wstającego dnia przeszła się po stoczni. Jej ogrom robił wrażenie: tysiące robotników, kilotony stali, miliony nitów. Pionowe burty niedokończonych statków wznosiły się wysoko nad jej głową jak góry podparte pajęczyną rusztowań. Ogromne dźwigi kłoniły swe łby nad każdym statkiem niczym Mędrcy ze Wschodu.

Wszędzie, gdzie poszła, robotnicy odkładali narzędzia, żeby przeczytać ulotkę i dyskutować.

Kilku zaczęło maszerować, a Tania poszła za nimi. Szli przez stocznię, niosąc naprędce namalowane transparenty, rozdając ulotki, wzywając innych, żeby do nich dołączyli, rosnąc w siłę. W końcu doszli do głównej bramy i zaczęli mówić wchodzącym robotnikom, że rozpoczęli strajk.

Zamknęli bramę stoczni, ryknęła syrena, a na najbliższym budynku załopotą polska flaga.

Potem zaczęli wybierać Komitet Strajkowy.

Gdy to robili, ktoś im przerwał. Jakiś mężczyzna w garniturze wspiął się na koparkę i zaczął krzyczeć do tłumu. Tania nie rozumiała wszystkiego, co mówił, ale najwyraźniej sprzeciwiał się tworzeniu Komitetu Strajkowego - a robotnicy zdawali się go słuchać. Zapytała najbliższego stojącego robotnika, kto to jest.

- Klemens Gniech, dyrektor stoczni - usłyszała. - To nie jest zły człowiek.

Tania była przerażona. Jakże słabi są ludzie!

Gniech proponował negocjacje, jeśli ludzie najpierw wrócą do pracy. Tania uznała to za przejrzysty podstęp. Wiele osób przyjęło słowa Gniecha gwizdami i kpinami, ale inni mu

---

<sup>12</sup> Apel członków Komitetu Założycielskiego WZZ i redakcji „Robotnika Wybrzeża” do stoczniowców o obronę Anny Walentynowicz, archiwum prywatne Zenona Kwoki. Materiały z wystawy Instytutu Pamięci Narodowej Anna Walentynowicz Legenda Solidarność 1929-2010, [http://ipn.gov.pl/\\_\\_data/assets/pdf\\_file/0004/75523/1-39295.pdf](http://ipn.gov.pl/__data/assets/pdf_file/0004/75523/1-39295.pdf)

przytakiwali, a niektórzy odeszli, najwyraźniej wracając na swoje stanowiska. Chyba strajk nie zakończy się tak szybko?

Nagle ktoś wskoczył na koparkę i klepnął dyrektora w ramię. Nowo przybyły był niskim, barczystym mężczyzną z bujnym wąsem. Chociaż Tani wydał się niepozorny, tłum rozpoznał go i powitał owacjami. Najwidoczniej wiedzieli, kim jest.

- Pamiętasz mnie?! - zawołał do dyrektora tak głośno, że wszyscy go usłyszeli. - Pracowałem tu dziesięć lat, a potem mnie zwolniłeś!

- Kto to? - spytała Tania sąsiada.

- Lech Wałęsa. To tylko elektryk, ale wszyscy go znają.

Dyrektor próbował dyskutować z Wałęsą przy ludziach, ale ten niewysoki człowiek z sumiastymi wąsami nie zamierzał dopuścić go do głosu.

- Ogłaszam strajk okupacyjny! - ryknął i tłum chóralnym okrzykiem wyraził zgodę.

Dyrektor i Wałęsa zeszli z koparki. Wałęsa objął przywództwo, co wszyscy zdawali się akceptować bez sprzeciwu. Kiedy polecił szoferowi dyrektora pojechać i przywieźć Annę Walentynowicz, kierowca zrobił, co mu kazano, a co jeszcze dziwniejsze, dyrektor nie protestował.

Wałęsa zorganizował wybory Komitetu Strajkowego. Samochód wrócił z Anną, którą powitano owacyjnie. Była drobną kobietą, ostrzyżoną po męsku. Nosiła okrągłe okulary i bluzkę w śmiałe poziome pasy.

Komitet Strajkowy i dyrektor weszli do sali BHP, żeby negocjować. Tanię korciło, żeby spróbować wślizgnąć się tam z nimi, ale postanowiła nie kusić losu: i tak miała szczęście, że dostała się za bramę. Robotnicy chętnie wpuszczali zachodnich dziennikarzy, ale legitymacja dziennikarska Tani zdradziłaby, że jest reporterką TASS, i gdyby to odkryli, wyrzuciliby ją z terenu stoczni.

Jednak negocjatorzy musieli mieć mikrofony na stole, ponieważ cała dyskusja była nadawana przez głośniki i tłum na zewnątrz wszystko słyszał, co Tania uznała za bardzo demokratyczne. Strajkujący gwizdami lub owacjami natychmiast wyrażali swój stosunek do tego, co mówiono.

Ustaliła, że strajkujący oprócz przywrócenia do pracy Anny Walentynowicz mają teraz kilka innych żądań, włącznie z gwarancją bezpieczeństwa. Co dziwne, jedynym żądaniem, którego dyrektor nie chciał zaakceptować, była zgoda na postawienie przy bramie stoczni pomnika upamiętniającego masakrę stoczniowców protestujących przeciwko podwyżce cen żywności w 1970 roku.

Tania zastanawiała się, czy ten strajk też zakończy się masakrą. Z nagłym dreszczem

zgroszy pojęła, że jeśli do tego dojdzie, znajduje się na linii ognia.

Gniech wyjaśniał, że teren przed bramą jest przeznaczony pod szpital.

Strajkujący powiedzieli, że wolą mieć pomnik.

Dyrektor zaproponował wmurowanie tablicy pamiątkowej w dowolnym miejscu stoczni.

Nie zgodzili się.

- Targujemy się nad zwłokami bohaterów jak żebracy pod latarnią! - z niesmakiem powiedział do mikrofonu jakiś robotnik.

Ludzie na zewnątrz bili brawo.

Inny negocjator zwrócił się wprost do tłumu, pytając, czy chce pomnika.

Potwierdzili donośnym okrzykiem.

Dyrektor odszedł skonsultować się z przełożonymi.

Teraz przed bramą były już tysiące zwolenników. Ludzie zbierali żywność dla strajkujących. W wielu polskich rodzinach się nie przelewało, lecz przez bramę przechodziły dziesiątki worków z żywnością i strajkujący zjedli obiad.

Dyrektor wrócił po południu i powiedział, że najwyższe władze zgodziły się na postawienie pomnika.

Wałęsa oznajmił, że strajk będzie trwał dalej, dopóki wszystkie postulaty nie zostaną spełnione.

I nagle, jakby po namyśle, dodał, że strajkujący chcą również rozmawiać o utworzeniu wolnych i niezależnych związków zawodowych.

No, pomyślała Tania, to robi się naprawdę interesujące.

W piątek po obiedzie Cam Dewar pojechał na warszawską Starówkę.

Był śledzony przez Maria i Ollego.

Większość Warszawy została zburzona podczas wojny. Odbudowane miasto miało proste ulice, chodniki i nowoczesne budynki. Takie otoczenie nie sprzyjało ukradkowym spotkaniom i niezauważalnej wymianie informacji. Jednak planiści usiłowali odtworzyć oryginalne Stare Miasto z jego brukowanymi uliczkami, zaułkami i domami o nieregularnych kształtach. Udało im się to aż za dobrze: proste kanty, regularne wzory i żywe barwy wyglądały zbyt świeżo, jak filmowe dekoracje. Pomimo to były terenem bardziej sprzyjającym tajnym agentom niż reszta miasta.

Cam zaparkował samochód i wszedł do wysokiej kamienicy. Na pierwszym piętrze mieścił się warszawski odpowiednik Jedwabnych Dłoni. Cam bywał tam regularnie, dopóki

nie poznał Lidki.

W głównym pokoju siedziały dziewczyny w bieliźnie, oglądając telewizję i pałac. Posągowa blondynka natychmiast wstała, pozwalając, by jej szlafrok rozchylił się na moment, ukazując mu pulchne uda i koronkową bieliznę.

- Cześć, Krzysiek, nie widziałyśmy cię tu od paru tygodni!

- Cześć, Pela.

Cam podszedł do okna i spojrzął na ulicę. Jak zwykle, Mario i Ollie siedzieli w barze naprzeciwko, pijąc piwo i oglądając przechodzące dziewczęta w letnich sukienkach. Spodziewali się, że zabawi tu przez co najmniej pół godziny lub dłużej.

Na razie dobrze.

- O co chodzi, czy żona cię śledzi? - zapytała Pela.

Pozostałe dziewczyny się roześmiały.

Cam wyjął pieniądze i wręczył Peli zwykłą opłatę za ręczne pieszcoty.

- Dziś potrzebuję przysługi - powiedział. - Masz coś przeciwko temu, żebym wymknął się tylnymi drzwiami?

- Czy twoja żona zamierza przyjść tu na górę i zrobić scenę?

- To nie moja żona - odparł. - To mąż mojej dziewczyny. Jeśli zaczniesz sprawiać kłopoty, zaproponuj, że zrobisz mu loda za darmo. Ja zapłacę.

Pela wzruszyła ramionami.

Cam przeszedł schodami na tyły domu i przez podwórze. Był dobrej myśli. Zgubił śledzących, a oni jeszcze się nie zorientowali. Wróci za niecałą godzinę i wyjdzie frontowymi drzwiami. Nawet nie będą wiedzieli, że wychodził z budynku.

Pospiesznie przeszedł przez Rynek Starego Miasta i długą ulicą Świętojańską dotarł do katedry Świętego Jana, kościoła zniszczonego podczas wojny i odbudowanego po niej. SB już go nie śledziła - ale mogła obserwować Stanisława Pawlaka.

Placówka CIA w Warszawie długo się zastanawiała, jak nawiązać ten kontakt. Każdy krok starannie zaplanowano.

Przed kościołem Cam zobaczył swojego szefa, Keitha Dorseta. Ten miał dziś na sobie źle uszyty garnitur z polskiego sklepu, który nosił tylko podczas pracy w terenie. Czapkę wetknął do kieszeni marynarki. To oznaczało, że teren jest czysty. Gdyby miał czapkę na głowie, to byłby znak, że SB jest w kościele i nie należy iść na spotkanie.

Cam wszedł przez gotycką główną bramę w zachodniej ścianie. Wspaniała architektura i świątynna atmosfera zwiększyły jego euforię. Miał nawiązać kontakt z informatorem z obozu nieprzyjaciela. To była decydująca chwila.

Jeśli wszystko dobrze pójdzie, zapewni mu to dalszą karierę agenta CIA. Jeżeli nie, w mgnieniu oka wróci za biurko w Langley.

Cam udawał, że Staś nie skontaktuje się z nikim prócz niego. Celem tego kłamstwa było uniemożliwienie Keithowi odesłania go do kraju. Szef zabraniał mu kontaktów z Lidką, chociaż śledztwo wykazało, że nie miała powiązań z SB, a nawet nie należała do partii komunistycznej. Jeśli jednak Camowi uda się zwerbować polskiego pułkownika, żeby szpiegował dla CIA, taki sukces zapewni mu silną pozycję i pozwoli zignorować polecenie Keitha.

Rozejrzał się, wypatrując tajniaków, ale zobaczył tylko turystów, wiernych i kapłanów.

Przeszedł północną nawą, aż dotarł do kaplicy ze słynnym krucyfiksem z szesnastego wieku. Przystojny polski oficer stał przed nim, spoglądając na wyraz twarzy Chrystusa. Cam stanął obok. Byli sami.

Cam odezwał się po rosyjsku.

- Rozmawiamy dziś ostatni raz.

Stanisław odpowiedział w tym samym języku.

- Dlaczego?

- To zbyt niebezpieczne.

- Dla pana?

- Nie, dla pana.

- Jak będziemy się kontaktować? Przez Tanię?

- Nie. W istocie niech pan już nie mówi jej nic o kontaktach ze mną. Proszę ją wyłączyć. Może pan nadal z nią sypiać, jeśli pan to robi.

- Dziękuję - ironicznie powiedział Stanisław.

Cam zignorował to.

- Jakim samochodem pan jeździ?

- Zielonym saabem dziewięćdziesiąt dziewięć, rocznik tysiąc dziewięćset siedemdziesiąt pięć.

Wyrecytował numer rejestracyjny.

Cameron zapamiętał go.

- Gdzie stoi ten samochód w nocy?

- Na ulicy Jana Olbrachta, w pobliżu bloku, w którym mieszkam.

- Parkując go, proszę zostawić lekko opuszczone okno. Będziemy wrzucać koperty przez tę szparę.

- To ryzykowne. A jeśli ktoś przeczyta taki list?

- Bez obawy. Koperta będzie zawierała drukowane ogłoszenie z ofertą taniego umycia pańskiego samochodu. Kiedy jednak przejdzie pan po papierze gorącym żelazkiem, pojawi się wiadomość. Podamy panu czas i miejsce spotkania. Jeśli z jakiegoś powodu nie zdoła pan na nie przyjść, to nic: po prostu podrzucimy następną kopertę.

- Co będziemy robić podczas tych spotkań?

- Dojdę do tego. - Cam miał listę wiadomości, uzgodnioną z kolegami na spotkaniu operacyjnym, i chciał przekazać je jak najszybciej. - Co do grupy pańskich przyjaciół...

- Tak?

- Niech pan nie tworzy organizacji.

- Dlaczego?

- Zostałaby rozbita. Jak każda organizacja. Musi pan poczekać do ostatniej chwili.

- Zatem co mogę zrobić?

- Dwie rzeczy. Jedna to przygotować się. Sporządzić w myślach listę ludzi, którym pan ufa. Dokładnie określić, w jakim stopniu każdy z nich zwróci się przeciwko Sowiecom, jeśli wybuchnie wojna. Dać się poznać takim liderom opozycji jak Lech Wałęsa, ale nie zdradzać, co pan zamierza. Przeprowadzić rekonesans w rozgłośni telewizyjnej i opracować plan jej przejęcia. Jednak wszystko tylko w myślach.

- A druga rzecz?

- Przekazywać nam informacje. - Cam starał się nie okazywać, jaki jest spięty. To była ogromna prośba i Stanisław mógł odmówić jej spełnienia. - Plany operacyjne Armii Czerwonej i wojsk innych państw Układu Warszawskiego. Liczbę żołnierzy, czołgów, samolotów...

- Wiem, co oznacza określenie „plan operacyjny”.

- A także plany na wypadek kryzysu.

Zapadła długa cisza, zanim w końcu Stanisław odpowiedział.

- Mogę je zdobyć.

- Dobrze - z uczuciem rzekł Cam.

- A co dostanę w zamian?

- Podam panu numer telefonu i hasło. Może go pan użyć tylko w wypadku sowieckiej inwazji na Europę Zachodnią. Kiedy zadzwoni pan pod ten numer, telefon odbierze wysoki oficer Pentagonu mówiący po polsku. Będzie pana uważał za przedstawiciela polskiego ruchu oporu walczącego z Sowiecami. Praktycznie stanie się pan przywódcą wolnej Polski.

Stanisław w zadumie pokiwał głową, ale Cam widział, że podoba mu się ten pomysł.

- Jeśli się na to zgodzę - powiedział po chwili - złożę moje życie w pana ręce.

- Już pan to zrobił - odparł Cam.

Strajkujący w Stoczni Gdańskiej przezornie informowali zagraniczne środki przekazu o wszystkich swoich działaniach. Zabawne, ale był to najlepszy sposób przekazywania informacji polskiemu społeczeństwu. Polskie media podlegały cenzurze, ale reportaże z prasy zachodniej były czytane w Radiu Wolna Europa i tak trafiały do Polski. Głównie w ten sposób Polacy dowiadywali się prawdy o tym, co się dzieje w ich kraju.

Lili Franck śledziła wydarzenia w Polsce w wiadomościach zachodnioniemieckiej telewizji. Każdy w Berlinie Wschodnim mógł je oglądać, jeśli ustawił antenę pod odpowiednim kątem.

Strajk rozszerzył się, ku radości Lili, pomimo wszystkich wysiłków rządu. Dołączyła do niego stocznia w Gdyni, a także pracownicy transportu publicznego. Utworzyli Międzyzakładowy Komitet Strajkowy, MKS, z główną siedzibą w Stoczni Gdańskiej imienia Lenina. Postulatem numer jeden było prawo do tworzenia wolnych związków zawodowych.

Jak wielu innych w NRD, rodzina Francków żywo o tym dyskutowała, siedząc w salonie na piętrze domu w Berlinie-Mitte, przed telewizorem firmy Franck. W żelaznej kurtynie pojawiła się szpara i rozmawiali o tym, do czego to doprowadzi. Jeśli Polacy potrafili się zbuntować, to może Niemcy też.

Polski rząd próbował negocjować z poszczególnymi zakładami, proponując hojne podwyżki strajkującym, którzy wyłamią się i wrócą do pracy, ignorując MKS. Ta taktyka zawiodła.

W ciągu tygodnia do MKS przyłączyło się trzysta zakładów.

Oslabiona polska gospodarka nie wytrzymałaby wielodniowego strajku. Rząd w końcu pogodził się z rzeczywistością. Do Gdańska wysłano wicepremiera.

Po tygodniu doszło do porozumienia. Strajkujący uzyskali prawo do utworzenia wolnych związków zawodowych. Był to triumf, który zadziwił świat.

Skoro Polacy mogli wywalczyć wolność, czy Niemcy będą następni?

- Wciąż spotykasz się z tą polską dziewczyną - powiedział Keith, rzucając podwładnemu kose spojrzenie.

Cam milczał. Oczywiście, że nadal się z nią spotykał. Był szczęśliwy jak dzieciak w cukierni. Lidka chętnie uprawiała z nim seks, kiedy tylko chciał. Dotychczas niewiele dziewczyn w ogóle chciało uprawiać z nim seks. „Lubisz tak?” - zgadywała, pieszcząc go, a jeśli przyznał, że lubi, pytała dalej: „Ale czy lubisz to troszeczkę, czy może bardziej, a może



tak bardzo, że chciałbyś umrzeć?”.

- Powiedziałem ci, że twoja prośba została odrzucona - przypomniał Keith.

- Jednak nie wyjaśniłeś dlaczego.

Keith się rozłościł.

- Ponieważ podjąłem taką decyzję.

- Tylko czy właściwą?

- Kwestionujesz mój autorytet?

- Nie, to ty kwestionujesz mój wybór dziewczyny.

Keith rozłościł się jeszcze bardziej.

- Myślisz, że przyparłeś mnie do muru, ponieważ Stanisław nie chce rozmawiać z nikim innym.

Cam tak właśnie myślał, ale zaprzeczył.

- To nie ma nic wspólnego ze Stasiem. Nie zamierzam zrezygnować z niej bez żadnego powodu.

- Może będę musiał cię zwolnić.

- I tak z niej nie zrezygnuję. W istocie... - Cam się zawahał. Nie zamierzał wypowiedzieć tych słów, które teraz przyszyły mu do głowy. Jednak powiedział je: - W istocie mam nadzieję się z nią ożenić.

Keith zmienił ton.

- Cam - perswadował - ona może nie być agentką SB, ale mimo to mieć ukryty powód, żeby z tobą sypiać.

Cam się zjeżył.

- Jeżeli to nie ma związku z wywiadem, to nic ci do tego.

Keith nalegał, mówiąc delikatnie, jakby nie chciał urazić uczuć Cama.

- Wiele polskich dziewczyn chciałoby wyjechać do Ameryki, jak wiesz.

Cam zdawał sobie z tego sprawę. Przyszło mu to do głowy już dawno temu. Był skrepowany i upokorzony tym, że Keith to powiedział. Jednak zachował pokerową twarz.

- Wiem - odparł.

- Wybacz, że to mówię, ale ona może oszukiwać cię właśnie z tego powodu - dodał Keith. - Czy wzięłeś pod uwagę taką możliwość?

- Tak, wzięłem - przyznał Cam. - I nic mnie to nie obchodzi.

W Moskwie zastanawiano się, czy dokonać inwazji na Polskę.

Dzień przed naradą Politbiura Dimka i Natalia starli się z Jewgienijem Filipowem na

posiedzeniu roboczym w Sali Niny Oniłowej.

- Nasi polscy towarzysze pilnie potrzebują pomocy wojskowej, aby odeprzeć ataki zdrajców na usługach sił kapitalistyczno-imperialistycznych - oświadczył Filipow.

- Chcecie inwazji takiej jak w sześćdziesiątym ósmym roku w Czechosłowacji i w pięćdziesiątym szóstym na Węgrzech? - zapytała Natalia.

Filipow nie zaprzeczył.

- Związek Radziecki ma prawo najechać każdy kraj, gdy zagrożone są idee komunizmu. To doktryna Breżniewa.

- Jestem przeciwny zbrojnej interwencji - włączył się Dimka.

- Też mi niespodzianka - sarkastycznie rzucił Filipow.

Dimka zignorował zaczepkę.

- Zarówno na Węgrzech, jak i w Czechosłowacji kontrrewolucją kierowały rewizjonistyczne elementy w rządzącej kadrze partii komunistycznej - przypomniał. - Tak więc było możliwe ich usunięcie, jak odrąbanie łba kurze. Mieli niewielkie poparcie.

- Dlaczego ten kryzys miałby być inny?

- Ponieważ w Polsce kontrrewolucjonistami są przywódcy klasy robotniczej mający poparcie klasy robotniczej. Lech Wałęsa jest elektrykiem. Anna Walentynowicz suwnicową. Strajkują setki fabryk. Mamy do czynienia z masowym protestem.

- I tak musimy go stłumić. Naprawdę proponujecie, żebyśmy zrezygnowali z komunizmu w Polsce?

- Jest inny problem - wtrąciła Natalia. - Pieniądze. W tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym ósmym roku blok wschodni nie miał wielomiliardowego długu zagranicznego. Dziś jesteśmy uzależnieni od zachodnich pożyczek. Słyszeliście, co prezydent Carter powiedział w Warszawie. Kredyt z Zachodu jest uzależniony od przestrzegania praw człowieka.

- A zatem...?

- Jeśli wyślemy czołgi do Polski, zamkną nam linię kredytową. W ten sposób, towarzyszu Filipow, wasza inwazja zrujnuje gospodarkę bloku państw komunistycznych.

Na sali zapadła cisza.

- Czy ktoś ma jakieś inne propozycje? - zapytał Dimka.

Cam uznał za dobry omen to, że polski oficer zwrócił się przeciwko Armii Czerwonej w tym samym czasie, gdy polscy robotnicy odrzucili komunistyczną tyranię. Oba wydarzenia były oznakami tej samej zmiany. Idąc na spotkanie ze Stanisławem, miał poczucie, że jest

częścią tego historycznego trzęsienia ziemi.

Opuścił ambasadę i wsiadł do samochodu. Tak jak miał nadzieję, śledzili go Mario i Ollie. Było bardzo ważne, żeby to oni go obserwowali, kiedy spotka się ze Stanisławem. Jeśli wszystko pójdzie zgodnie z planem, Mario i Ollie zameldują, że nic podejrzanego nie miało miejsca.

Cam miał nadzieję, że Stanisław otrzymał i zrozumiał jego instrukcje.

Zaparkował na Rynku Starego Miasta. Przeszedł przez plac z egzemplarzem „Trybuny Ludu”, rządowej gazety, w ręce. Mario wysiadł z samochodu i poszedł za nim. Pół minuty później ruszył także Ollie, trzymając się w pewnej odległości.

Cam skręcił w boczną uliczkę, śledzony przez dwóch tajniaków.

Wszedł do baru, usiadł pod oknem i zamówił piwo. Widział swoje cienie czekające w pobliżu. Zapłacił za napój, gdy tylko go dostał, żeby móc szybko opuścić lokal.

Pijąc piwo, często spoglądał na zegarek.

Za minutę trzecia wyszedł.

Ćwiczył ten manewr wielokrotnie w Camp Peary, ośrodku szkoleniowym CIA pod Williamsburgiem w stanie Wirginia. Tam wychodził mu idealnie. Jednak teraz po raz pierwszy miał wykonać go w praktyce.

Zbliżając się do rogu ulicy, trochę przyspieszył kroku. Skręcając, obejrzał się i zobaczył Maria w odległości mniej więcej trzydziestu metrów.

Zaraz za rogiem znajdował się sklepik z papierosami i tytoniem. Stanisław był dokładnie tam, gdzie Cam się go spodziewał: stał przed sklepem i oglądał wystawę. Cam miał trzydzieści sekund, zanim Mario wyjdzie zza rogu - mnóstwo czasu na przelotny kontakt.

Musiał tylko wymienić gazetę, którą niósł, na tę, którą trzymał w ręce Stanisław, identyczną, lecz - jeśli wszystko dobrze poszło - zawierającą fotokopie dokumentów znajdujących się w sejfie Stanisława w kwaterze głównej LWP.

Był tylko jeden problem.

Stanisław nie miał gazety.

Zamiast niej trzymał dużą brązową kopertę.

Nie wykonał dokładnie poleceń. Albo ich nie zrozumiał, albo uważał, że takie szczegóły nie mają znaczenia.

Jakikolwiek był powód, sprawy poszły źle.

Strach na moment sparaliżował mózg Cama. Zwolnił kroku. Nie wiedział, co robić. Miał chęć wrzasnąć na Stasia.

Zaraz jednak wziął się w garść. Kazał sobie zachować spokój. Momentalnie podjął decyzję. Nie przerwie akcji. Dokona wymiany.

Poszedł w kierunku Stanisława.

Kiedy go mijał, wymienili gazetę na kopertę.

Stanisław natychmiast wszedł z gazetą do sklepu i zniknął.

Cam szedł dalej, trzymając grubą kopertę z dokumentami.

Na następnym rogu znów się obejrzał i zobaczył Maria. Tajniak był dwadzieścia metrów za nim, najwyraźniej spokojny i pewny siebie. Nie spostrzegł, co się stało. Nawet nie widział Stanisława.

Czy zauważy, że Cam już nie trzyma w ręku gazety i zamiast niej niesie kopertę? Jeśli tak, to może aresztować Cama i skonfiskować kopertę. To zakończyłoby karierę Cama - i życie Stanisława.

Było lato. Cam nie miał na sobie płaszcza, pod którym mógłby ukryć kopertę. Ponadto ukrycie jej byłoby jeszcze gorsze: Mario mógłby zauważyć, że Cam nagle niczego nie trzyma w ręku.

Minął kiosk z gazetami, ale wiedział, że nie może przystanąć i kupić gazety na oczach Maria, gdyż to zwróciłoby jego uwagę na fakt, że już nie niesie „Trybuny Ludu”.

Pojął, że popełnił idiotyczny błąd. Za bardzo skupił się na dokonaniu rutynowej wymiany i nie wpadł na najprostsze rozwiązanie. Powinien był zabrać kopertę, ale nie oddawać gazety.

Teraz już za późno na żale.

Czuł się jak w pułapce. To było tak irytujące, że miał ochotę wrzeszczeć. Wszystko szło doskonale prócz jednego drobnego szczegółu. Mógłby wejść do jakiegoś sklepu i kupić gazetę. Rozglądał się za jakimś. To jednak była Polska, a nie Ameryka, i nie było tu sklepu na każdym rogu.

Znów skręcił i zobaczył kosz na śmieci. Alleluja! Przyspieszył kroku i zajrzał do kosza. Nie miał szczęścia - w środku nie było żadnej codziennej gazety, ale zobaczył jakiś tygodnik z kolorową okładką. Chwycił go i poszedł dalej. Idąc, niepostrzeżenie złożył tygodnik tak, żeby okładka była w środku, a zadrukowane czarno-białe strony na zewnątrz. Skrzywił się: w koszu było coś obrzydliwego i tygodnik śmierdział. Cam starał się nie oddychać głęboko, gdy wsuwał kopertę w gazetę.

Poczuł się lepiej. Teraz wyglądał niemal tak samo jak przedtem.

Wrócił do samochodu i wyjął kluczyki. To był moment, w którym mogli go zatrzymać. Wyobraził sobie, jak Mario mówi: „Chwileczkę, chcę zobaczyć tę kopertę, którą próbuje pan

ukryć”. Najszybciej jak mógł, otworzył drzwi.

Mario był kilka kroków za nim.

Cam wsiadł do samochodu i położył tygodnik na podłodze przed fotelem pasażera.

Spojrzał i zobaczył, że Mario i Ollie wsiadają do swojego wozu.

Wyglądało na to, że mu się udało.

Przez moment czuł się tak słabo, że nie mógł ruszyć.

Potem zapuścił silnik i pojechał z powrotem do ambasady.

Cam Dewar siedział w kawalerce Lidki, czekając na jej powrót.

Na toaletce umieściła jego zdjęcie. Cam uważał to za tak miłe, że chciało mu się płakać. Żadna dziewczyna nigdy nie chciała mieć jego zdjęcia, nie mówiąc o oprawianiu go w ramki i stawianiu przy lustrze.

Ten pokój odzwierciedlał osobowość Lidki. Jej ulubionym kolorem był jasny róż i taką barwę miała kapa na łóżku, obrus oraz poduszki. W szafie trzymała niewiele rzeczy, ale wszystkie podkreślały jej urodę: krótkie spódniczki, sukienki z dekoltem, ładna biżuteria, wzory w drobne kwiatki, łuki i motyle. Na półce ustawiła wszystkie dzieła Jane Austen po angielsku oraz Annę Kareninę Tołstoja po polsku. W kartonie pod łóżkiem, niczym skrywaną kolekcję pornograficznych pisemek, trzymała amerykańskie tygodniki o wystroju wnętrza, pełne zdjęć słonecznych kuchni pomalowanych w jasne kolory.

Dziś Lidka rozpoczęła nużący proces weryfikacji przyszłej żony pracownika CIA. Sprawdzano ją znacznie dokładniej, niż kiedy była tylko jego dziewczyną. Musiała napisać życiorys i przejść kilkudniowe przesłuchania oraz rozszerzone badanie na wykrywaczu kłamstw. Wszystko to działo się gdzieś w ambasadzie, kiedy Cam normalnie pracował. Nie pozwolono mu się z nią zobaczyć, dopóki Lidka nie wróci do domu.

Teraz Keithowi Dorsetowi trudno byłoby zwolnić Cama. Dostarczane przez Stasia informacje były istną kopalnią złota.

Cam dał mu mały aparat fotograficzny na trzydziestopięciomilimetrową kliszę, zorke, która była sowiecką kopią leiki, żeby mógł fotografować dokumenty w swoim gabinecie, zamiast robić ich kopie na kserokopiarce w sekretariacie. Na kilku rolkach filmu mógł przekazywać Camowi setki dokumentów.

Ostatnie pytanie, jakie placówka CIA w Warszawie zadała Stasiowi, brzmiało: co zapoczątkowałoby atak sił drugiego rzutu strategicznego Armii Czerwonej? Dokumenty, które dostarczył w odpowiedzi, były tak wyczerpujące, że Keith Dorset otrzymał pisemną pochwałę z Langley - co rzadko się zdarzało.

A Mario i Ollie nadal nie zauważyli Stasia.

Dlatego Cam był pewny, że nie zostanie zwolniony i otrzyma zezwolenie na zawarcie małżeństwa, chyba że Lidka okaże się agentką KGB.

Tymczasem Polska zmierzała ku wolności. Dziesięć milionów ludzi wstąpiło do pierwszego niezależnego związku zawodowego, nazwanego Solidarność. Tak więc co trzeci polski robotnik był członkiem tej organizacji. Teraz największym problemem Polski był nie Związek Sowiecki, ale pieniądze. Strajki i wywołany nimi paraliż rządzącej partii komunistycznej rozłożyły i tak już słabą gospodarkę. Rezultatem był brak wszystkiego: rząd racjonował mięso, masło i mąkę. Pracownicy, którzy wywalczyli spore podwyżki, zorientowali się, że za swoje pieniądze niczego nie mogą kupić. Czarnorynkowy kurs dolara wzrósł ponad dwukrotnie, ze stu dwudziestu do dwustu pięćdziesięciu złotych. Pierwszego sekretarza Gierka zastąpił Kania, co niczego nie zmieniło.

Bliska obalenia komunizmu Solidarność Lecha Wałęsy powstrzymała się od radykalnych działań, choć było to kuszące. Przygotowano strajk generalny, lecz w ostatniej chwili odwołano go, za radą papieża i nowego prezydenta USA, Ronalda Reagana, którzy obawiali się rozlewu krwi. Cam był rozczarowany słabością Reagana.

Wstał z łóżka i rozłożył na stole talerze oraz sztuce. Przyniósł dwa steki. Naturalnie dyplomatów nie obowiązywały ograniczenia dokuczliwe dla Polaków. Płacili rozpaczliwie potrzebnymi dolarami: mogli mieć, co chcieli. Lidka zapewne jadała lepiej niż partyjne elity.

Cam zastanawiał się, czy pokochać się z nią przed jedzeniem, czy też później. Czasem dobrze było cieszyć się oczekiwaniem. Innym razem za bardzo mu się spieszyło. Lidce zawsze było dobrze.

W końcu przyszła. Pocałowała go w policzek, położyła torebkę, zdjęła płaszcz i poszła korytarzem do łazienki.

Kiedy wróciła, pokazał jej steki.

- Bardzo ładne - powiedziała, lecz nadal na niego nie patrzyła.

- Coś się stało, prawda? - spytał Cam.

Zawsze miała dobry humor. Takie zachowanie było u niej niezwykle.

- Nie sądzę, żebym mogła być żoną pracownika CIA - odparła.

Cam przestraszył się, ale opanował lęk.

- Powiedz mi, co się stało.

- Nie pójdę tam jutro. Nie zniosę tego.

- W czym problem?

- Czuję się jak kryminalistka.

- Dlaczego, co ci zrobili?

W końcu spojrzała na niego.

- Czy uważasz, że wykorzystuję cię tylko po to, żeby dostać się do Ameryki?

- Nie, skądże!

- To dlaczego mnie o to pytają?

- Nie wiem.

- Czy to pytanie ma coś wspólnego z bezpieczeństwem narodowym?

- Zupełnie nic.

- Oskarżyli mnie, że kłamię.

- A kłamałaś?

Wzruszyła ramionami.

- Nie mówiłam im wszystkiego. Nie jestem zakonnica, miałam kochanków. Pominęłam to i owo, ale ta twoja okropna CIA wiedziała! Widocznie poszli do mojej dawnej szkoły!

- Wiem, że miałaś kochanków. Ja też miałem inne kobiety. - Chociaż niewiele, pomyślał Cam, lecz nie powiedział tego. - To mi nie przeszkadza.

- Sprawili, że czułam się jak prostytutka.

- Przykro mi. Jednak to naprawdę nie ma znaczenia, co o nas myślą, byle tylko uznali, że nie stanowisz zagrożenia dla bezpieczeństwa.

- Opowiedzą ci o mnie różne brzydkie historie. Rozpowiadane przez ludzi, którzy mnie nienawidzą: zazdrosne dziewczyny i chłopców, z którymi nie chciałam się przespać.

- Nie uwierzę w nie.

- Obiecujesz?

- Obiecuję.

Usiadła mu na kolanach.

- Przepraszam, że byłam zrzędliva.

- Wybaczam ci.

- Kocham cię, Cam.

- Ja też cię kocham.

- Teraz czuję się lepiej.

- To dobrze.

- Chcesz poczuć się jeszcze lepiej?

Od takich słów Camowi zasychało w ustach.

- Tak, proszę.

- W porządku. - Wstała. - Tylko połóż się i odpręż, dzieciно - powiedziała.

Dave Williams przyleciał do Warszawy ze swoją żoną Beep oraz ich synem, Johnym Lee, na ślub szwagra, Cama Dewara.

John Lee nie umiał czytać, chociaż był inteligentnym ośmiolatkiem i uczęszczał do dobrej szkoły. Dave i Beep poszli z nim do psychologa dziecięcego i dowiedzieli się, że chłopiec cierpi na częstą przypadłość nazywaną dysleksją, czyli zaburzenia percepcji wzrokowej. John Lee nauczy się czytać, ale będzie wymagał specjalnej pomocy i nie przyjdzie mu to zbyt łatwo. Dysleksja jest dziedziczna i częstsza u chłopców niż u dziewczynek.

Dopiero wtedy Dave zrozumiał, na czym polegał jego problem.

- Przez wszystkie szkolne lata myślałem, że jestem głupi - powiedział wieczorem Beep, w sosnowej kuchni Daisy Farm, kiedy położyli Johna Lee do łóżka. - Nauczyciele też mi to mówili. Moi rodzice wiedzieli, że nie jestem głupi, więc założyli, że jestem leniem.

- Nie jesteś leniem - zaprotestowała. - Jesteś najciężej pracującym człowiekiem, jakiego znam.

- Coś było ze mną nie tak, ale nie wiedzieliśmy co. Teraz wiemy.

- I dopilnujemy, żeby John Lee nie męczył się tak jak ty.

Wyjaśniło się, dlaczego Dave przez całe życie miał kłopoty z pisaniem i czytaniem. Już od wielu lat nie przejmował się tym, zwłaszcza gdy stał się autorem piosenek, których słowa były na ustach milionów. Pomimo to poczuł przemożną ulgę. Tajemnica w końcu została wyjaśniona: powodem była przykra przypadłość. A co najważniejsze, wiedział, jak dopilnować, żeby nie dokuczała jego synowi.

- I wiesz, co to jeszcze oznacza? - zapytała Beep, napełniając kieliszek cabernet sauvignon z Daisy Farm.

- Tak - odparł Dave. - Jest prawdopodobnie moim synem.

Beep nigdy nie była pewna, czy ojcem Johny'ego Lee jest Dave, czy Walli. Kiedy chłopiec rósł, zmieniał się i był coraz bardziej podobny do Dave'a, oboje nie wiedzieli, czy to podobieństwo odziedziczone, czy nabyte: gesty, wyrażenia, entuzjazm - to wszystko może naśladować chłopiec uwielbiający swojego ojca. Jednak dysleksji nie sposób się nauczyć.

- To nie jest niezbity dowód - zauważyła Beep. - Jednak mocna poszlaka.

- A poza tym nic nas to nie obchodzi - rzekł Dave.

Jednak zdecydowali nigdy nie rozmawiać o tym z nikim, włącznie z samym Johnem Lee.

Cam brał ślub w nowoczesnym kościele w Otwocku, miasteczku pod Warszawą.



Przyjął katolicyzm. Dave nie miał żadnych wątpliwości, że to nawrócenie było czysto pragmatyczne.

Panna młoda miała suknię, w której brała ślub jej matka: Polacy musieli donaszać odzież.

Lidka była szczupła i atrakcyjna, miała długie nogi i ładny biust, ale Dave odnosił wrażenie, że jej usta świadczą o skrywanym okrucieństwie. Może był niesprawiedliwy: będąc od piętnastu lat gwiazdą rocka, dość cynicznie myślał o dziewczynach. Z doświadczenia wiedział, że częściej niż ludzie sądzą, sypiają z mężczyznami dla różnych osobistych korzyści.

Trzy drużyny uszyły sobie krótkie letnie sukienki z jasnoróżowej bawełny.

Przyjęcie odbywało się w ambasadzie amerykańskiej. Zapłacił za nie Woody Dewar, ale w ambasadzie udało się załatwić mnóstwo jedzenia, a do picia nie tylko wódkę.

Ojciec Lidki opowiadał kawał łamaną angielszczyzną. Facet wchodzi do sklepu mięsnego i prosi o pół kilo wołowiny.

- Nie ma - odpowiada sprzedawca.

- No to wieprzowiny.

- Nie ma.

- A baraniny?

- Nie ma.

- Proszę więc kurczaka.

- Nie ma.

Klient wychodzi.

- Wariat - mówi żona rzeźnika.

- Oczywiście - odpowiada jej mąż. - Ale jaką ma pamięć!

Amerykanie mieli dziwne miny, ale Polacy się zaśmiewali.

Dave prosił Cama, żeby nikomu nie mówił, że jego szwagier jest członkiem zespołu Plum Nellie, ale wieść i tak się rozeszła, jak zawsze, i Dave był oblegany przez przyjaciółki Lidki. Drużny nie odstępowały go i było oczywiste, że mogłyby pójść do łóżka z każdą z nich, a nawet - jak sugerowała jedna - ze wszystkimi trzema naraz, gdyby miał ochotę.

- Powinnyście poznać naszego basistę - rzucił Dave.

Kiedy Cam i Lidka zawirowali w pierwszym tańcu, Beep przytuliła się do męża.

- Wiem, że to dziwak - powiedziała do niego cicho. - Jednak jest moim bratem i nie mogę się nie cieszyć, że w końcu kogoś sobie znalazł.

- Nie boisz się, że Lidka okaże się naciągaczką, której zależało tylko na amerykańskim

paszporcie? - spytał Dave.

- Tego obawiają się moi rodzice. Jednak Cam jest dorosły i samotny.

- Pewnie masz rację - rzekł Dave. - Co ma do stracenia?

Tania Dworkina była pełna obaw, wybierając się na pierwszy krajowy zjazd Solidarności we wrześniu 1981 roku.

Zaczął się w katedrze w Oliwie, na północ od Gdańska. Dwie ostre jak sztylety wieże groźnie stały po bokach niskiego barokowego portalu, przez który delegaci wchodzili do kościoła. Tania siedziała z Danutą Górską, sąsiadką z Warszawy, dziennikarką i działaczką Solidarności. Tak jak Tania, Danuta pisała mdłe ortodoksyjne reportaże dla oficjalnej prasy, po cichu realizując swoje cele.

Arcybiskup wygłosił uspokajające kazanie o pokoju i miłości ojczyzny. Chociaż papież był bojowy, polscy duchowni mieli mieszane uczucia wobec Solidarności. Nienawidzili komunizmu, ale byli autokratyczni i wrogo nastawieni do demokracji. Niektórzy kapłani z heroiczną odwagą zwalczali reżim, lecz kościelni hierarchowie chcieli zastąpić bezbożny despotyzm chrześcijańską tyranią.

Jednak to nie Kościół niepokoił Tanię ani żadne inne siły próbujące podzielić Solidarność. O wiele bardziej złowieszcze były groźne manewry radzieckiej marynarki wojennej w Zatoce Gdańskiej, połączone z „ćwiczeniami” stutysięcznych oddziałów Armii Czerwonej przy wschodniej granicy Polski. Według artykułu Danuty w dzisiejszej „Trybunie Ludu” ten militarny pokaz siły był odpowiedzią na coraz agresywniejsze działania amerykańskie. Nikt nie dał się zwieść. Związek Radziecki chciał powiedzieć wszystkim, że jest gotowy do inwazji, jeśli Solidarność wykona jakiś niewłaściwy ruch.

Po mszy dziewięciuset delegatów pojechało autobusami do miasteczka akademickiego Uniwersytetu Gdańskiego, gdzie zjazd miał się odbyć w ogromnej hali sportowej Olivia.

Wszystko to było wysoce prowokacyjne. Kreml nienawidził Solidarności. Od ponad dekady w bloku państw socjalistycznych nie wydarzyło się nic równie niebezpiecznego. Demokratycznie wybrani delegaci z całej Polski zebrali się, by debatować i uchylać rezolucje, a partia komunistyczna nie miała nad tym żadnej kontroli. Właściwie był to parlament, tylko bez takiej nazwy. Nazywano by to rewolucją, gdyby to słowo nie zostało zdewaluowane przez bolszewików. Nic dziwnego, że Rosjanie panikowali.

Hala sportowa była wyposażona w elektroniczną tablicę wyników. Gdy Lech Wałęsa wstał, żeby przemówić, zapalił się na niej krzyż i łacińska sentencja: *Polonia semper fidelis*, Polska zawsze wierna.

Tania wyszła na zewnątrz, wsiadła do samochodu i włączyła radio. Wszystkie programy były nadawane normalnie. Rosjanie jeszcze nie rozpoczęli inwazji.

Reszta soboty minęła bez sensacji. Dopiero we wtorek Tania znów zaczęła się bać.

Rząd opublikował projekt ustawy o samorządzie pracowniczym obejmujący konsultowanie obsadzania stanowisk kierowniczych z pracownikami. Tania z goryczą pomyślała, że prezydent Reagan nigdy nie nadałby Amerykanom takich uprawnień. Pomimo to dla Solidarności ten projekt nie był wystarczająco radykalny, gdyż ustawa nie dawała pracownikom uprawnień do zatrudniania i zwalniania dyrektorów, tak więc zaproponowali przegłosowanie tej kwestii w ogólnokrajowym referendum.

Lenin chyba przewracał się w swojej trumnie w mauzoleum.

Gorzej, bo dodali klauzulę, że jeśli rząd nie ogłosi referendum, Solidarność sama je zorganizuje.

Tania znów poczuła ukłucie strachu. Związek zaczynał odgrywać rolę zarezerwowaną zwykle dla partii komunistycznej. Ateiści przejmowali Kościoł. Związek Radziecki nigdy tego nie zaakceptuje.

Rezolucja przeszła przy zaledwie jednym głose sprzeciwu, a delegaci wstali i bili sobie brawo.

Jednak to nie wszystko.

Ktoś zaproponował, by zjazd wystosował Poślanie do ludzi pracy Europy Wschodniej. Skierowano je do robotników Albanii, Bułgarii, Czechosłowacji, Niemieckiej Republiki Demokratycznej, Rumunii, Węgier i wszystkich narodów Związku Radzieckiego. Między innymi głosiło ono:

*Popieramy tych z was, którzy zdecydowali się wejść na trudną drogę walki o wolny ruch związkowy.*

Przegłosowano to, podnosząc ręce.

Tania była pewna, że posunęli się za daleko.

Rosjanie najbardziej obawiali się tego, że polska walka o wolność obejmie inne kraje za żelazną kurtyną - a delegaci właśnie do tego zachęcali! Teraz inwazja wydawała się nieunikniona.

Następnego dnia radzieckie gazety szalały z wściekłości. Piszczwały, że Solidarność wtrąca się w wewnętrzne sprawy niepodległych państw.

Jednak nadal nie doszło do inwazji.

Radziecki przywódca Leonid Breżniew nie chciał dokonywać inwazji na Polskę. Nie

mógł sobie pozwolić na utratę kredytów w zachodnich bankach. Miał inny plan. Cam Dewar dowiedział się od Stasia jaki.

Przetworzenie surowych danych przekazanych przez Stasia zawsze trwało kilka dni. Odebranie od niego rolek filmów podczas niebezpiecznego krótkiego spotkania na ulicy stanowiło dopiero początek operacji. Film trzeba było wywołać w ciemni ambasady amerykańskiej, a potem zrobić odbitki i fotokopie. Następnie tłumacz mający odpowiednio wysoki certyfikat bezpieczeństwa siadał i przekładał materiał z polskiego i rosyjskiego na angielski. Jeśli stron było sto lub więcej - co często się zdarzało - trwało to kilka dni. Rezultat trzeba było ponownie przepisać na maszynie i skserować. Dopiero wtedy Cam mógł zobaczyć, jaką rybkę złowił tym razem.

Gdy w Warszawie nastała mroźna zima, Cam ślęczał nad najnowszym materiałem i znalazł dobrze opracowany oraz szczegółowy plan stłumienia rewolucji przez polski rząd. Plan zakładał wprowadzenie stanu wojennego, zawieszenie wszystkich praw obywatelskich i zerwanie umów zawartych z Solidarnością.

Był to tylko plan awaryjny. Jednak Cam ze zdumieniem odkrył, że Jaruzelski sprawdził go w trakcie gry wojennej już po tygodniu od chwili objęcia urzędu. Najwyraźniej od początku chciał go wprowadzić w życie.

A Breżniew niestrudzenie nalegał, żeby to zrobił.

Jaruzelski oparł się tym naciskom na początku roku. Wtedy Solidarność była w dobrej sytuacji do kontrataku, gdyż robotnicy okupowali zakłady w całym kraju, a przygotowania do strajku generalnego były bardzo zaawansowane.

Wtedy Solidarność zwyciężyła i komuniści pozornie ustąpili. Jednak teraz robotnicy stracili czujność.

Ponadto byli głodni, zmęczeni i zziębnięci. Wszystkiego brakowało, inflacja szalała, a dystrybucja żywności była sabotowana przez komunistycznych biurokratów, którzy pragnęli powrotu dawnych czasów. Jaruzelski wykalkulował sobie, że ludzie w tak ciężkich warunkach uznają, iż powrót totalitarnych rządów może być błogosławieństwem.

Polski generał chciał sowieckiej inwazji. Wysłał do Kremla wiadomość ze śmiałym pytaniem: Czy możemy liczyć na pomoc wojskową Moskwy?

Odpowiedź, którą otrzymał, była równie szczerą: Nie wyślemy żadnych oddziałów.

To była dobra wiadomość dla Polski, myślał Cam. Sowietci mogli straszyć i grozić, ale nie chcieli podjąć bardziej zdecydowanych działań. Cokolwiek się stanie, będzie dziełem Polaków.

Jednak Jaruzelski mógł jeszcze stłumić bunt, nawet bez wsparcia sowieckich czołgów.

Jego plan był tutaj, na filmie Stasia. Ten ostatni najwyraźniej obawiał się, że plan zostanie zrealizowany, gdyż załączył odręczną notatkę. Co było na tyle niezwykle, że Cam przeczytał ją bardzo uważnie. Staś napisał: Reagan może temu zapobiec, jeśli zagrozi wstrzymaniem pomocy finansowej.

Cam uważał, że to doskonały pomysł. Pożyczki od zachodnich państw i banków utrzymywały Polskę na powierzchni. Jediną rzeczą gorszą od demokracji byłoby bankructwo.

Cam głosował na Reagana, ponieważ ten obiecywał agresywniejszą politykę zagraniczną. Teraz miał szansę ją zrealizować. Gdyby prezydent szybko zareagował, mógłby powstrzymać Polskę przed uczynieniem olbrzymiego kroku wstecz.

George i Verena mieli przyjemny podmiejski dom w hrabstwie Prince George w stanie Maryland, tuż za granicą Waszyngtonu, w okręgu, który George reprezentował jako kongresmen. Teraz musiał co niedziela chodzić do kościoła - co tydzień do innego - żeby pokazać się swoim wyborcom. Nie miał wiele takich obowiązków, ale i tak przeważnie był bardzo zajęty. Jimmy Carter odszedł, a Ronald Reagan przyszedł do Białego Domu i George mógł walczyć o prawa najbiedniejszych ludzi w Ameryce, w tym wielu czarnych.

Co miesiąc lub dwa Maria Summers przychodziła zobaczyć swojego chrześniaka, Jacka, teraz osiemnastomiesięcznego i wykazującego nieco uporę swojej babci Jacky. Zwykle przynosiła mu jakąś książeczkę. Po solidnym drugim śniadaniu George zmywał naczynia, a Maria je wycierała i rozmawiali o wywiadzie oraz polityce zagranicznej.

Maria nadal pracowała w Departamencie Stanu. Jej szefem był teraz sekretarz stanu Alexander Haig. George zapytał, czy departament otrzymuje w końcu lepsze informacje z Polski.

- Znacznie lepsze - powiedziała. - Nie wiem, co zrobisz, ale CIA naprawdę wzięła się do roboty.

George podał jej miskę do wytarcia.

- I co się dzieje w Warszawie?

- Sowieci nie wkroczą. To wiemy. Polscy komuniści prosili ich o to, a oni po prostu odmówili. Jednak Breżniew naciska na Jaruzelskiego, żeby wprowadził stan wojenny i zdelegalizował Solidarność.

- To byłoby okropne.

- Tak też uważa Departament Stanu.

George się zawahał.

- Słyszę niewypowiedziane „ale”...

- Za dobrze mnie znasz. - Uśmiechnęła się. - Moglibyśmy uniemożliwić wprowadzenie stanu wojennego. Prezydent Reagan musiałby tylko powiedzieć, że dalsza pomoc ekonomiczna jest uzależniona od przestrzegania praw człowieka.

- Dlaczego tego nie mówi?

- On i Al Haig nie wierzą, że Polacy wprowadzą u siebie stan wojenny.

- Kto to wie? Może jednak dobrze byłoby ich ostrzec.

- Też tak myślę.

- Dlaczego więc tego nie robią?

- Nie chcą, aby druga strona się dowiedziała, jakie dobre mamy informacje.

- Informacje nie mają żadnego znaczenia, jeśli się ich nie wykorzystuje.

- Może to zrobią - powiedziała Maria. - Na razie jednak zwlekają.

Śnieg spadł w Warszawie dwa tygodnie przed Bożym Narodzeniem. Tania spędziła sobotni wieczór sama. Staś nigdy nie wyjaśniał, dlaczego może lub nie może zostać u niej na noc. Ona nigdy nie była u niego, chociaż wiedziała, gdzie mieszka. Od czasu, gdy przedstawiła go Camowi Dewarowi, Staś przestał mówić o czymkolwiek, co miało związek z wojskiem. Tania zakładała, że powodem jest to, że ujawnia tajemnice Amerykanom. Był jak więzień, który przez cały dzień dobrze się zachowuje, a w nocy kopie tunel, żeby uciec.

Jednak to była druga sobotnia noc, którą Tania spędziła bez niego. Nie wiedziała dlaczego, może zaczynał mieć jej dość? Mężczyznom to się zdarza. Jedynym mężczyzną, który pozostał stałym elementem jej życia, był Wasilij, a ona nigdy z nim nie spała.

Odkryła, że tęskni za Wasilijem. Nigdy nie pozwoliła sobie zakochać się w nim, ponieważ był rozwiązły, ale czuła do niego pociąg. Zaczynała sobie uświadamiać, że u mężczyzn podoba jej się odwaga. Trzema najważniejszymi mężczyznami w jej życiu byli Paz Oliva, Staś Pawlak i Wasilij. I przypadkiem wszyscy trzej byli wyjątkowo przystojni. Jednak cechowała ich też odwaga. Paz przeciwstawiał się potędze USA, Staś zdradzał tajemnice Armii Czerwonej, a Wasilij rzucał wyzwanie władzy Kremla. Z tych trzech Wasilij najbardziej rozpałał jej wyobraźnię, gdyż pisał wstrząsające opowiadania o Związku Radzieckim, nawet głodując i marznąc na Syberii. Zastanawiała się, co u niego słyhać, i żałowała, że nie wie, o czym teraz pisze. Ciekawe, czy powrócił do swoich dawnych zwyczajów casanovy, czy może naprawdę się ustatkował.

Poszła do łóżka i czytała Doktora Żywago po niemiecku - nadal nie wydano go po rosyjsku - aż poczuła się senna i zgasła światło.

Obudziło ją łomotanie. Usiadła i zapaliła światło. Było wpół do trzeciej nad ranem.

Ktoś walił w drzwi, chociaż nie do jej mieszkania.

Wstała i wyjrzała przez okno. Samochody zaparkowane po obu stronach ulicy były pokryte warstwą świeżego śniegu. Na środku ulicy stały dwa radiowozy i transporter opancerzony BTR-60, niedbale zaparkowane, tak jak robią to policjanci wiedzący, że mogą sobie na to pozwolić.

Hałas na korytarzu zmienił się z łoskotu w trzaski. Brzmiało to tak, jakby ktoś rozwałił budynek młotem.

Tania narzuciła na siebie płaszcz kąpielowy i wyszła do przedpokoju. Wzięła swoją legitymację TASS, która leżała na stoliku obok kluczy i drobnych. Otworzyła drzwi i wyjrzała na korytarz. Nic się tam nie działo, tylko dwoje jej sąsiadów też nerwowo wyglądało przez uchylone drzwi.

Tania podparła drzwi krzesłem i wyszła. Hałas dochodził z korytarza piętro niżej. Wychyliła się za balustradę i zobaczyła grupkę mężczyzn w mundurach ZOMO, mających złą sławę oddziałów milicji. Z łomami i młotami wyważali drzwi przyjaciółki Tani, Danuty Górskiej.

- Co wy robicie?! - zawołała. - Co się dzieje?

Kilku jej sąsiadów też domagało się wyjaśnień. Milicjanci nie zwracali na nich uwagi.

Drzwi otworzono od środka i stanął w nich mąż Danuty, przestraszony mężczyzna w piżamie i okularach.

- Czego chcecie? - zapytał.

W głębi mieszkania słychać było płacz dzieci.

Milicjanci weszli do środka, odpychając męża Danuty.

Tania zbiegła po schodach.

- Nie możecie tego robić! - krzyknęła. - Musicie się wylegitymować!

Dwaj rośli milicjanci wyszli z mieszkania, wlokąc Danutę, z bujnymi włosami w nieładzie, w koszuli nocnej i narzuconej na nią podomce.

Tania stanęła przed nimi, zagrządzając im przejście na schody. Pokazała swoją legitymację prasową.

- Jestem radziecką reporterką! - krzyknęła.

- To zejdź, kurwa, z drogi - odparł jeden z nich.

Machnął łomem, który trzymał w lewej ręce. Nie był to precyzyjnie zadany cios, ponieważ drugą ręką przytrzymał szamoczącą się Danutę, ale żelazny łom prześlizgnął się Tani po twarzy. Poczowała przeszywający ból i zatoczyła się. Dwaj milicjanci przepchnęli się obok niej i powlekli Danutę po schodach.

Krew zalała prawe oko Tani, ale lewym jeszcze widziała. Następny gliniarz pojawił się w drzwiach, niosąc maszynę do pisania i automatyczną sekretarkę.

Mąż Danuty wyszedł z mieszkania z dzieckiem na ręku.

- Dokąd ją zabieracie?! - zawołał.

Milicjanci nie odpowiedzieli.

- Zaraz zadzwonię do sztabu i się dowiem - powiedział mu Tania.

Przyciskając dłonią obolałą twarz, poszła schodami na górę.

Spojrzała w lustro w przedpokoju. Miała rozcięte czoło, a czerwony siniec na policzku już zaczynał puchnąć, ale cios nie złamał jej żadnej kości.

Podniosła słuchawkę, żeby zadzwonić do Stasia.

Telefon był głuchy.

Włączyła telewizor, a potem radio. Ekran telewizora był ciemny, radio milczało.

Zatem nie chodziło tylko o Danutę.

Jedna z sąsiadek weszła za nią do środka.

- Pani mi pozwoli wezwać lekarza - powiedziała.

- Nie mam czasu.

Tania weszła do swojej małej łazienki, zmoczyła ręcznik pod kranem i ostrożnie obmyła twarz. Potem wróciła do sypialni i szybko włożyła ciepłą bieliznę, dzinsy i wełniany sweter oraz gruby płaszcz z futrzaną podszewką.

Zbiegła po schodach i wsiadła do samochodu. Śnieg znów padał, ale główne ulice były przejezdne i szybko odkryła dlaczego. Czołgi i wojskowe ciężarówki były wszędzie. Z rosnącym przeczuciem nieszczęścia zrozumiała, że aresztowanie Danuty jest zaledwie małą częścią operacji zakrojonej na wielką skalę.

Jednak żołnierze rojący się w centrum Warszawy nie byli Rosjanami. To nie była powtórka Pragi z 1968 roku. Pojazdy miały polskie oznakowania, a żołnierze polskie mundury. Polacy dokonali inwazji na własną stolicę.

Ustawiali blokady drogowe, ale dopiero zaczęli to robić i jeszcze można było je objechać. Tania pomknęła swoim mercedesem, wyzywając los na śliskich zakrętach, na ulicę Jana Olbrachta w zachodniej części miasta. Zaparkowała przed budynkiem, w którym mieszkał Staś. Znała adres, lecz nigdy nie była w jego mieszkaniu: zawsze powtarzał, że jest niewiele lepsze od koszar.

Wbiegła do budynku. Odszukanie właściwego mieszkania zajęło jej kilka minut. Zastukała do drzwi, modląc się, żeby Staś był w środku, chociaż obawiała się, że najprawdopodobniej jest w mieście, tak jak inni żołnierze.



Drzwi otworzyła kobieta.

Tania była tak zaskoczona, że zaniemówiła. Czyżby Staś miał inną dziewczynę?

Ładna blondynka w różowej nylonowej koszuli spojrzała skonsternowana na twarz Tani.

- Jest pani ranna! - odezwała się po polsku.

W korytarzu za jej plecami Tania zauważyła trójkołowy rowerek. Ta kobieta nie była dziewczyną Stasia: była jego żoną i mieli dziecko.

Poczucie winy przeszło ją jak wstrząs elektryczny. Odbierała Stasia rodzinie. A on ją okłamywał.

Z trudem wróciła do rzeczywistości.

- Muszę porozmawiać z pułkownikiem Pawlakiem - powiedziała. - To pilne.

Kobieta usłyszała rosyjski akcent i jej nastawienie natychmiast się zmieniło. Przeszła Tanię gniewnym wzrokiem.

- A więc to ty jesteś tą ruską kurwą - syknęła.

Najwyraźniej Staś nie zdołał ukryć swojego romansu przed żoną. Tania chciała wyjaśnić, że nie wiedziała, że on jest żonaty, ale to nie był odpowiedni moment.

- Nie ma na to czasu! - rzuciła rozpaczliwie. - Zajmują miasto! Gdzie on jest?

- Tutaj go nie ma.

- Pomoże mi pani go znaleźć?

- Nie. A teraz spierdalaj i obyś zdechła.

Kobieta zatrzęsnęła drzwiami.

- Cholera! - zakląła Tania.

Stała przed zamkniętymi drzwiami. Przyłożyła dłoń do bolącego policzka: wydawał się groteskowo spuchnięty. Nie miała pojęcia, co teraz robić.

Drugą osobą, która mogła wiedzieć, co się dzieje, był Cam Dewar. Pewnie nie zdoła się do niego dodzwonić; odgadła, że wszystkie cywilne telefony w mieście zostały wyłączone. Jednak Cam mógł się udać do ambasady amerykańskiej.

Wybiegła na zewnątrz, wskoczyła do samochodu i pojechała na południe. Przemknęła po przedmieściach, omijając centrum miasta, gdzie ustawiono blokady.

A więc Staś miał żonę. Oszukiwał je obie. Jest zręcznym kłamcą, z goryczą pomyślała Tania: zapewne także dobrym szpiegiem. Była tak rozgniewana, że miała ochotę na zawsze zrezygnować z mężczyzn. Wszyscy są tacy sami!

Zobaczyła grupę żołnierzy mocujących tablicę do latarni. Zatrzymała się, żeby spojrzeć, chociaż nie ryzykowała wysiadania z samochodu. Był to dekret wydany przez jakiś organ

zwany Wojskową Radą Ocalenia Narodowego. Nie było takiego organu: widocznie właśnie został stworzony, niewątpliwie przez Jaruzelskiego. Ze zgrozą przeczytała komunikat. Wprowadzono stan wojenny. Prawa obywatelskie zostały zawieszono, granice zamknięte, podróże między miastami zabronione, wszelkie zgromadzenia zakazane, od dziesiątej wieczorem do szóstej rano obowiązywała godzina policyjna, a siły zbrojne mogły używać środków przymusu do zaprowadzenia ładu i porządku.

Komuniści przeprowadzili kontratak. I był on dobrze przygotowany, gdyż ten plakat musieli wydrukować wcześniej. Plan realizowano z brutalną skutecznością. Czy była jeszcze jakaś nadzieja?

Pojechała dalej. Na ciemnej ulicy dwaj zomowcy wyszli w światła reflektorów jej samochodu i jeden podniósł rękę, żeby ją zatrzymać. W tym momencie Tanię zabolął policzek i podjęła błyskawiczną decyzję. Wcisnęła pedał gazu do podłogi. Podziękowała losowi za potężny niemiecki silnik, gdy samochód gwałtownie przyspieszył i przestraszeni gliniarze odskoczyli. Z piskiem opon minęła zakręt, znikając im z oczu, zanim zdążyli użyć broni.

Po kilku minutach podjechała pod marmurowy budynek ambasady. Wszystkie światła były zapalone: oni też usiłowali się zorientować, co się dzieje. Wyskoczyła z samochodu i podbiegła do żołnierza marines pełniącego wartę przy bramie.

- Mam ważną wiadomość dla Cama Dewara - powiedziała po angielsku.

Żołnierz pokazał palcem coś za jej plecami.

- Wygląda na to, że to on.

Tania odwróciła się i zobaczyła, że do ambasady podjeżdża zielony polski fiat. Za kierownicą siedział Cam. Tania ruszyła w stronę samochodu, a Cam opuścił szybę. Odezwał się do niej po rosyjsku, jak zawsze.

- Mój Boże, co się stało z twoją twarzą?

- Miałam krótką rozmowę z ZOMO - powiedziała. - Czy wiesz, co się dzieje?

- Rząd aresztował chyba wszystkich przywódców i działaczy Solidarności, tysiące ludzi - ponuro wyjaśnił Cam. - Wszystkie linie telefoniczne są odcięte. Na wszystkich głównych drogach ustawiono blokady.

- Jednak nie widzę Rosjan!

- Nie ma ich. Polacy sami to sobie zrobili.

- Czy amerykański rząd wiedział, że tak będzie? Czy Staś ci to mówił?

Cam nie odpowiedział.

Tania uznała to za potwierdzenie.

- Czy Reagan nie mógł czegoś zrobić, żeby temu zapobiec?

Cam był równie wzburzony i rozczarowany jak Tania.

- Myślałem, że zrobi - rzekł.

Tania usłyszała swój głos, ze zdenerwowania przechodzący w pisk.

- No to czemu, na Boga, nic nie zrobił?

- Nie wiem - odparł Cam. - Po prostu nie wiem.

Kiedy Tania wróciła do Moskwy, w mieszkaniu matki czekał na nią bukiet kwiatów od Wasilija. Gdzie on znalazł w Moskwie róże w styczniu?

Te róże były jasną plamą w ponurym krajobrazie. Tania przeżyła dwa wstrząsy: odkryła oszustwo Stasia i widziała, jak generał Jaruzelski zdradził polski naród. Staś nie był lepszy niż Paz Oliva i musiała zadać sobie pytanie, co jest nie tak z jej umiejętnością oceny sytuacji. Może myliła się także co do komunizmu. Zawsze wierzyła, że nie przetrwa. Była uczennicą w 1956 roku, gdy stłumiono powstanie na Węgrzech. Dwanaście lat później to samo stało się z Praską Wiosną, a po następnych trzynastu latach z Solidarnością. Może komunizm rzeczywiście był przyszłością świata, jak wierzył do śmierci dziadek Grigorij. Jeśli tak, to ponure życie czeka Griszę i Katię, jej bratanka i bratanicę, dzieci Dimki.

Wkrótce po powrocie Tani do domu Wasilij zaprosił ją na obiad.

Uzgodnili, że teraz mogą jawnie się przyjaźnić. On został zrehabilitowany. Jego program radiowy cieszył się niesłabnącym powodzeniem, a on sam był gwiazdą Związku Literatów. Nikt nie wiedział, że był także Iwanem Kuzniecowerem, dysydenckim autorem *Odmrożenia* i innych antykomunistycznych książek będących bestsellerami na Zachodzie. Znamienne, pomyślała Tania, że tak długo udało się nam utrzymać to w tajemnicy.

Szykowała się do wyjścia z biura, żeby pojechać do mieszkania Wasilija, gdy zatrzymał ją Piotr Opotkin, mrużący oczy w dymie papierosa, który tkwił w jego ustach.

- Znów to zrobiłaś - powiedział. - Mamy skargi z najwyższego szczebla z powodu twojego artykułu o krowach.

Tania odwiedziła Obwód Władimirowski, gdzie partyjni urzędnicy byli tak nieudolni, że było masowo padało, podczas gdy pasza gniła w stodołach. Napisała o tym gniewny artykuł, a Danił go puścił.

- Pewnie poskarżyli wam się ci skorumpowani i leniwi dranie, którzy pozwolili ginąć krowom z głodu - odparowała.

- Nie mówimy o nich - rzekł Opotkin. - Dostałem list z Komitetu Centralnego od sekretarza do spraw ideologicznych!

- On wie o tych krowach, tak?

Opotkin podał jej kartkę.

- Musimy opublikować to sprostowanie.

Tania wzięła od niego kartkę, ale nawet na nią nie spojrzała.

- Dlaczego tak bronicie ludzi, którzy rujnują nasz kraj?

- Nie możemy podważać autorytetu kadr partyjnych!

Zadzwonił telefon na biurku Tani. Podniosła słuchawkę.

- Tania Dworkina.

- Napisałicie artykuł o krowach padających w Obwodzie Władimirowskim - powiedział dziwnie znajomy głos.

Tania westchnęła.

- Tak, napisałam, i już zostałam za to skarcona. Kto mówi?

- Jestem sekretarzem do spraw rolnictwa. Nazywam się Michaił Gorbaczow. Przeprowadziliście ze mną wywiad w tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym szóstym roku.

- Istotnie.

Tania pomyślała, że Gorbaczow zamierza udzielić jej reprimendy tak jak Opotkin.

- Dzwonię - powiedział - żeby pogratulować wam doskonałej analizy sytuacji.

Tania była zdumiona.

- Ja... hm, dziękuję, towarzyszu!

- To bardzo ważne, żebyśmy wyeliminowali taką nieudolność w naszych gospodarstwach.

- Hm, towarzyszu sekretarzu, czy zechcielibyście powiedzieć to mojemu redaktorowi naczelnemu? Właśnie dyskutowaliśmy o tym artykule i mówił o sprostowaniu.

- Sprostowaniu? Bzdura. Dajcie mi go do telefonu.

- Sekretarz Gorbaczow chce z tobą mówić - z uśmiechem powiedziała Tania do Opotkina.

Ten w pierwszej chwili jej nie uwierzył. Wziął od niej słuchawkę.

- Z kim mówię, jeśli można wiedzieć?

Potem już milczał, tylko sporadycznie przytakując: „Tak, towarzyszu”.

W końcu odłożył słuchawkę i odszedł, nie odezawszy się do Tani.

Z głęboką satysfakcją zmięła sprostowanie i wrzuciła je do kosza.

Pojechała do mieszkania Wasilija, nie wiedząc, czego się spodziewać. Miała nadzieję, że nie poprosi jej, by dołączyła do jego haremu. Na wszelki wypadek włożyła luźne sztruksowe spodnie i szarobury sweter, żeby go zniechęcić. Mimo wszystko niecierpliwie

czekała na to spotkanie.

Otworzył jej drzwi w niebieskim swetrze i białej koszuli - obie rzeczy wyglądały na nowe. Cmoknęła go w policzek, a potem przyjrzała mu się uważnie. Włosy miał siwe, ale wciąż bujne i falujące. Po pięćdziesiątce nadal był szczupły i trzymał się prosto.

Otworzył butelkę gruzińskiego szampana i postawił na stole przekąski - kanapeczki z sałatką jajeczną i pomidorem oraz kawiozem i ogórkiem. Tania zastanawiała się, kto mu je zrobił. Jak go znała, mógł poprosić o to jedną ze swoich dziewczyn.

Mieszkanie było przytulne, pełne książek i obrazów. Wasilij miał magnetofon kasetowy. Dobrze mu się teraz powodziło, nawet bez zagranicznej fortuny z honorariów, z której nie mógł korzystać.

Chciał wiedzieć wszystko o Polsce. Jak Kreml zdołał pokonać Solidarność, nie dokonując inwazji? Dlaczego Jaruzelski zdradził polski naród? Nie przypuszczał, żeby w jego mieszkaniu był podsłuch, ale na wszelki wypadek puścił kasetę z muzyką Czajkowskiego.

Tania powiedziała mu, że Solidarność nie została zlikwidowana. Zeszła do podziemia. Wielu mężczyzn aresztowanych w pierwszych dniach stanu wojennego nadal siedziało w więzieniach, ale seksistowska tajna policja nie doceniła, jak ważną rolę odgrywały kobiety. Niemal wszystkie działaczki były już na wolności, włącznie z Danutą, która została aresztowana, a potem wypuszczona. Znowu działała w podziemiu, wydając nielegalną prasę i ulotki, odbudowując kanały łączności.

Pomimo to Tania nie miała nadziei. Jeśli ponownie wybuchnie bunt, i tak zostanie stłumiony. Wasilij był nastawiony bardziej optymistycznie.

- Niewiele brakowało - powiedział. - Przez pół wieku nikt nie był tak bliski pokonania komunizmu.

Jest jak za dawnych czasów, pomyślała Tania, która odprężyła się nieco pod wpływem wypitego szampana. Na początku lat sześćdziesiątych, zanim Wasilij został aresztowany, często tak siedzieli, rozmawiając i spierając się o politykę, literaturę i sztukę.

Opowiedziała mu o telefonie od Michaiła Gorbaczowa.

- Gorbaczow jest dziwny - rzekł Wasilij. - Bardzo często go widzimy w Ministerstwie Rolnictwa. Należy do ulubieńców Jurija Andropowa i wygląda na zagorzałego komunistę, a jego żona jest jeszcze bardziej ortodoksyjna. A jednak popiera reformatorskie pomysły, ilekroć może to robić, nie narażając się swoim zwierzchnikom.

- Mój brat bardzo go ceni.

- Kiedy Breżniew umrze, co, daj Boże, stanie się w niezbyt odległej przyszłości, Andropow spróbuje przejąć władzę, a Gorbaczow go poprze. Jeśli im się to nie uda, obaj będą

skończeni. Zostaną wysłani na prowincję. Jeśli jednak Andropowowi się powiedzie, Gorbaczow będzie miał przed sobą świetlaną przyszłość.

- W każdym innym kraju pięćdziesięcioletni Gorbaczow byłby w idealnym wieku, aby zostać przywódcą. Tutaj jest za młody.

- Kreml to oddział geriatryczny.

Wasilij podał czerwony barszcz.

- Dobry - pochwaliła Tania. Nie oparła się, żeby nie zapytać: - Kto go ugotował?

- Ja, oczywiście. A któż by inny?

- Nie wiem. Masz gosposię?

- Tylko babinkę, która przychodzi posprzątać i uprasować mi koszule.

- To może jedna z twoich dziewczyn?

- W tym momencie nie mam dziewczyny.

Tania była zaintrygowana. Pamiętała ich ostatnią rozmowę tuż przed jej wyjazdem do Warszawy. Twierdził, że się zmienił i wydorósł. Powiedziała mu, że musi to udowodnić, a nie tylko deklarować. Była pewna, że mówił tak tylko po to, żeby zaciągnąć ją do łóżka. Czy mogła się mylić? Wątpiła, by tak było.

Kiedy zjedli, zapytała go, co myśli o tych honorariach gromadzących się na londyńskim koncercie.

- To tobie należą się te pieniądze - powiedział.

- Nie bądź głupi. Ty napisałeś te książki.

- Niewiele miałem do stracenia, bo już byłem na Syberii. Nie mogli mi nic zrobić, najwyżej zabić, co uwolniłoby mnie od cierpień. Ty jednak ryzykowałeś wszystko: karierę, wolność, życie. Bardziej niż ja zasługujesz na te pieniądze.

- Cóż, nie wzięłabym ich, nawet gdybyś mógł mi je dać.

- Zatem zapewne zostaną tam, dopóki nie umrę.

- Nie korci cię, żeby uciec na Zachód?

- Nie.

- Mówisz to z takim przekonaniem.

- Bo jestem tego pewny.

- Dlaczego? Mógłbyś pisać, co byś chciał, cały czas. Koniec z serialami radiowymi.

- Nie wyjechałbym... chyba że ty też byś wyjechała.

- Nie mówisz tego poważnie.

Wzruszył ramionami.

- Nie oczekuję, że mi uwierzysz. Dlaczego miałabyś wierzyć? Jednak jesteś

najważniejszą osobą w moim życiu. Przyleciałaś na Syberię, żeby mnie odnaleźć, nikt inny tego nie zrobił. Staralaś się mnie uwolnić. Przemyciłaś moje dzieła do wolnego świata. Przez dwadzieścia lat byłaś najlepszym przyjacielem, jakiego można mieć.

Była poruszona. Nigdy nie patrzyła na to w taki sposób.

- Dziękuję, że to powiedziałaś.

- To szczerza prawda. Nie wyjadę. - I zaraz dodał: - Chyba że, oczywiście, pojedziesz ze mną.

Spojrzała na niego ze zdumieniem. Czy to miała być poważna propozycja? Bała się zapytać. Spojrzała za okno na płatki śniegu wirujące w świetle latarni.

- Dwadzieścia lat, a my nigdy nawet się nie pocałowaliśmy - rzekł Wasilij.

- To prawda.

- Mimo to wciąż uważasz mnie za casanovę bez serca.

Prawdę mówiąc, już nie wiedziała, co myśleć. Czyżby się zmienił? Czy ludzie w ogóle się zmieniają?

- Po tak długim czasie - odparła - szkoda byłoby przekreślić ten nasz rekord.

- A mimo to pragnę tego z całego serca.

Zmieniła temat.

- A gdybyś miał okazję, czy uciekłbyś na Zachód?

- Z tobą, tak. Inaczej nie. Już ci mówiłem.

- Zawsze chciałam naprawić Związek Radziecki, a nie opuścić go. Jednak po pokonaniu Solidarności trudno mi wierzyć w lepszą przyszłość. Komunizm może potrwać tysiąc lat.

- A przynajmniej dłużej niż ja czy ty.

Tania wahała się. Była zaskoczona tym, jak bardzo pragnie go pocałować. I nie tylko: chciała zostać tutaj i rozmawiać z nim długo, bardzo długo, na tej kanapie w przytulnym mieszkanku z płatkami śniegu sypiącego za oknem. Co to za dziwne uczucie, pomyślała. Może miłość?

Tak więc pocałowała go.

Po chwili poszli do sypialni.

Natalia zawsze pierwsza dowiadywała się o wszystkim. W Wigilię z zaniepokojoną miną przyszła do kremlowskiego gabinetu Dimki.

- Andropowa nie będzie na posiedzeniu Politbiura - powiedziała. - Jest zbyt chory, żeby mógł opuścić szpital.

Następne posiedzenie Politbiura miało się odbyć dzień po świętach.

- Do licha - rzekł Dimka. - To niebezpieczne.

Dziwne, ale Jurij Andropow okazał się dobrym radzieckim przywódcą. Przez ostatnie piętnaście lat był sprawnym szefem okrutnej i brutalnej tajnej policji KGB. A teraz, jako sekretarz generalny Komunistycznej Partii Związku Radzieckiego, nadal bezwzględnie represjonował dysydentów. Jednak w ramach partii był zdumiewająco tolerancyjny wobec nowych pomysłów i reform. Jak średniowieczny papież, torturujący heretyków, lecz jednocześnie omawiający z kardynałami argumenty przeciwko istnieniu Boga, Andropow swobodnie rozmawiał z ludźmi ze swojego najbliższego otoczenia - w tym z Dimką i Natalią - o niedostatkach radzieckiego systemu. A te rozmowy skutkowały działaniem. Prerogatywy Gorbaczowa rozszerzono z rolnictwa na całą gospodarkę, a on stworzył program decentralizacji zarządzania, odbierając Moskwie prawo podejmowania niektórych decyzji i przekazując je kadrom kierowniczym niższego szczebla, lepiej znającym dany problem.

Niestety, Andropow zachorował po niecałym roku sprawowania władzy. To niepokoiło Dimkę i Natalię. Konserwatywnym rywalem Andropowa był Konstantin Czernienko, wciąż będący numerem drugim w hierarchii. Dimka obawiał się, że Czernienko wykorzysta chorobę Andropowa, by objąć jego stołek.

- Andropow napisał przemówienie, które ma być odczytane na początku obrad - powiedziała Natalia.

Dimka pokręcił głową.

- To nie wystarczy. Pod nieobecność Andropowa posiedzeniu będzie przewodniczył Czernienko, a wtedy wszyscy zaakceptują go jako następnego przywódcę. I kraj cofnie się w rozwoju.

Ta perspektywa była zbyt przygnębiająca, aby ją rozważyć.

- Po prostu Gorbaczow powinien przewodniczyć posiedzeniu.

- Jednak Czernienko jest numerem drugim. Chciałbym, żeby to on znalazł się w szpitalu.

- Wkrótce się w nim znajdzie, nie jest zdrowy.

- Zapewne jednak nie dość szybko. Czy jest jakiś sposób, żeby go odsunąć?

Natalia się zastanowiła.

- No, Politbiuro musi robić to, co każe Andropow.

- Zatem mógłby wydać polecenie, żeby posiedzeniu przewodniczył Gorbaczow?

- Tak, mógłby. Nadal jest szefem.

- Powinien dodać taki akapit do swojego przemówienia.

- Doskonale. Zadzwoń do niego i zaproponuj mu to.



Późnym popołudniem Dimka otrzymał wiadomość wzywającą go do biura Natalii. Gdy tam dotarł, zobaczył w jej oczach błysk podniecenia i triumfu. Był z nią Arkadij Wolski, osobisty doradca Andropowa. Sekretarz generalny wezwał Wolskiego do szpitala i wręczył mu odręczną notatkę, która miała być dodana do przemówienia. Wolski pokazał ją teraz Dimce.

Ostatni akapit głosił:

Ze zrozumiałych powodów w najbliższym czasie nie będę w stanie przewodniczyć posiedzeniom Politbiura i Sekretariatu. Tak więc polecam członkom Komitetu Centralnego zbadać możliwość powierzenia kierownictwa Politbiura i Sekretariatu Michaiłowi Siergiejewiczowi Gorbaczowowi.

Wprawdzie była to sugestia, ale na Kremlu sugestia przywódcy była rozkazem.

- To dynamit - rzekł Dimka. - Nie mogą nie posłuchać.

- Co mam z tym zrobić? - spytał Wolski.

- Najpierw zróbcie kilka kserokopii, żeby nikt tego nie próbował podrzeć - odparł Dimka. - Ponadto... - Zawahał się.

- Nie mówcie nikomu - włączyła się Natalia. - Po prostu dajcie to Bogoljubowowi. - Mówiła o urzędniku, który przygotowywał dokumenty na posiedzenia Politbiura. - Zróbcie to dyskretnie. Powiedzcie mu tylko, żeby dodał tę notatkę do czerwonej teczki z przemówieniem Andropowa.

Zgodzili się, że to najlepszy plan.

Boże Narodzenie nie było hucznie obchodzone. Komuniści nie lubili jego religijnego charakteru. Przerobili Świętego Mikołaja na Dziadka Mroza, a Marię Dziewicę na Śnieżną Panią, przenosząc obchody na Nowy Rok. Wtedy dzieci dostawały prezenty. Grisza, teraz już dwudziestoletni, dostał magnetofon kasetowy, a czternastoletnia Katia nową sukienkę. Dimka i Natalia, jako komunistyczni politycy, nawet nie myśleli o świętowaniu Bożego Narodzenia. Niezależnie od swoich osobistych przekonań. Oboje jak zwykle poszli do pracy.

Dzień później Dimka poszedł do sali obrad na posiedzenie Politbiura. W drzwiach napotkał Natalię, która przyszła tam wcześniej. Była wzburzona. W rękę trzymała czerwoną teczkę zawierającą przemówienie Andropowa.

- Usunęli go! - powiedziała. - Usunęli ostatni akapit!

Dimka opadł ciężko na krzesło.

- Nie przypuszczałem, że Czernienko się na to odważy - rzekł.

Zrozumiał, że nic już się nie da zrobić. Andropow leżał w szpitalu. Gdyby wpadł na salę i nawrzeszczał na wszystkich, odzyskałby autorytet; ale nie mógł. Czernienko poprawnie

ocenił słabość przywódcy.

- Wygrali, prawda? - spytała Natalia.

- Tak - rzekł Dimka. - Znow zaczyna się „wiek stagnacji”.

**CZĘŚĆ DZIEWIĄTA**

**Bomba**

**1984-1987**

## ROZDZIAŁ 55

George Jakes poszedł na otwarcie wystawy sztuki afroamerykańskiej w centrum Waszyngtonu. Niespecjalnie interesował się sztuką, ale czarny kongresmen musiał popierać takie inicjatywy. Większość jego pracy jako kongresmena była znacznie ważniejsza.

Prezydent Reagan ogromnie zwiększył rządowe wydatki na zbrojenia, ale kto miał za to zapłacić? Nie ludzie bogaci, którzy otrzymali duże obniżki podatków.

Był taki żart, który George często opowiadał. Reporter zapytał Reagana, jak zamierza zmniejszyć podatki, a jednocześnie zwiększyć wydatki. „Będę prowadził dwie księgi rachunkowe”, padła odpowiedź.

W rzeczywistości Reagan zamierzał zmniejszyć wydatki na opiekę socjalną i medyczną. Gdyby wprowadził swój plan w życie, straciliby na tym bezrobotni i matki na zasiłkach, żeby sfinansować boom w przemyśle zbrojeniowym. Ten pomysł doprowadzał George'a do szału. Usiłował temu zapobiec wraz z innymi członkami Kongresu i dotychczas im się to udawało.

Rezultatem był znaczny wzrost zadłużenia państwa. Reagan zwiększył deficyt budżetowy. Za te wszystkie błyszczące zabawki dla Pentagonu miały zapłacić następne pokolenia.

George wziął kieliszek białego wina z tacy trzymanej przez kelnera i pooglądał eksponaty, po czym chwilę porozmawiał z dziennikarzami. Nie miał wiele czasu. Verena musiała wyjść wieczorem na służbową kolację w Georgetown, więc on powinien zająć się ich synem, czteroletnim teraz Jackiem. Mieli nianię - musieli mieć ze względu na wymagającą pracę - ale jedno z nich zawsze pozostawało w pogotowiu, na wypadek gdyby się nie zjawiła.

Odstawił kieliszek, nie próbując wina. Darmowe nigdy nie było warte kosztowania. Włożył płaszcz i wyszedł. Zaczął padać zimny deszcz i biegnąc do samochodu, George trzymał nad głową katalog wystawy. Dawno pozbył się swojego eleganckiego starego mercedesa: polityk musiał jeździć amerykańskim pojazdem. Teraz miał srebrnego lincolna town car.

Wsiadł, włączył wycieraczki i ruszył w stronę Prince George. Przejechał po South Capitol Street Bridge, a potem wjechał na Suitland Parkway. Zaklął na widok korków: spóźni się.

Kiedy dotarł do domu, czerwony jaguar Vereny stał na podjeździe przodem do ulicy, gotowy do drogi. Verena dostała go w prezencie od ojca na swoje czterdzieste urodziny. George zaparkował obok i wszedł do domu, niosąc walizeczkę pełną papierów do przejrzenia wieczorem.

Verena stała w przedpokoju, wyglądała olśniewająco w czarnej koktajlowej sukni i lakierowanych szpilkach. Była zła jak osa.

- Spóźniłeś się! - wrzasnęła.

- Naprawdę mi przykro - powiedział George. - Na Suitland Parkway są dziś straszne korki.

- Ta kolacja jest dla mnie bardzo ważna. Będą na niej trzej członkowie gabinetu Reagana, a ja się spóźnię!

George rozumiał jej irytację. Dla lobbyستيki możliwość towarzyskiego spotkania z tak ważnymi osobami była bezcenna.

- W porządku, już możesz iść - rzekł.

- Nie jestem służącą! Kiedy się umawiamy, masz dotrzymać umowy!

Ta tyrada nie była czymś niezwykłym. Verena często się złościła i krzyczała na niego. Zawsze próbował podchodzić do tego ze spokojem.

- Czy niania Tiffany jest tutaj?

- Nie, nie ma jej. Zachorowała i poszła do domu, dlatego musiałam tu na ciebie czekać.

- A gdzie Jack?

- Ogląda telewizję w salonie.

- Dobrze, pójdę i popilnuję go. Jedź.

Gniewnie prychnęła i wymaszerowała.

Trochę zazdrościł temu, kto będzie siedział obok niej na tej kolacji. Nadal była najseksowniejszą kobietą, jaką znał. Teraz jednak wiedział, że lepiej być jej kochankiem, którym był przez piętnaście lat, niż małżonkiem. Dawniej więcej razy kochali się przez jeden weekend niż teraz przez miesiąc. Odkąd się pobrali, częste i gwałtowne kłótnie, zazwyczaj o opiekę nad dzieckiem, nadwątliły łączące ich uczucie jak powoli kapiące krople kwasu siarkowego. Mieszkali razem, zajmowali się synem i robili kariery. Czy się kochali? George już nie wiedział.

Wszedł do salonu. Jack siedział na kanapie przed telewizorem. Chłopczyk był ogromną pociechą dla George'a. Usiadł przy nim i objął jego szczupłe ramiona. Jack wtulił się w niego.

W programie występowała grupa uczniów szkoły średniej przeżywających jakąś przygodę.

- Co oglądasz? - zapytał George.

- Whiz Kids. To fajny serial.

- O czym?

- Łapia przestępców za pomocą komputerów.

George zauważył, że jeden z małych geniuszy jest czarny, i pomyślał: Ależ ten świat się zmienia.

- Naprawdę mamy szczęście, że zaproszono nas na tę kolację - powiedział Cam Dewar do żony, Lidki, gdy ich taksówka podjechała pod wspaniałą posiadłość na R Street niedaleko biblioteki Georgetown. - Chcę, żebyśmy oboje zrobili dobre wrażenie.

Lidka zlekceważyła jego słowa.

- Jesteś ważną figurą w tajnej policji - powiedziała. - Myślę, że to oni powinni zrobić wrażenie na tobie.

Nie rozumiała amerykańskiej rzeczywistości.

- CIA nie jest tajną policją - rzekł Cam. - A ja dla tych ludzi nie jestem ważną figurą.

Jednak nie był też nikim. Ze względu na doświadczenie wyniesione z pracy w Białym Domu Cam był teraz łącznikiem CIA z administracją Reagana. Cieszył się z tej posady.

Przeszło mu rozczarowanie klęską Reagana w Polsce. Złożył ją na karb niedoświadczenia. Reagan był prezydentem zaledwie niecały rok, gdy w Polsce wprowadzono stan wojenny.

W zakamarkach umysłu Cama adwokat diabła mówił, że prezydent powinien być wystarczająco mądry i mieć należytą wiedzę, by podejmować prawidłowe decyzje od chwili, gdy obejmie urząd. Pamiętał, jak Nixon mówił: „Reagan to miły gość, ale za Boga nie ma pojęcia, co się dzieje w polityce zagranicznej”.

Jednak Reagan miał serce po prawidłowej stronie, to najważniejsze. Był zażartym antykomunistą.

- A twój dziadek był senatorem! - powiedziała Lidka.

To również niewiele się liczyło. Gus Dewar skończył pięćdziesiąt lat. Po śmierci babci przeprowadził się z Buffalo do San Francisco, żeby być blisko Woody'ego, Beep oraz swojego prawnuka, Johna Lee. Już dawno wycofał się z polityki. Ponadto był demokratą i według standardów zwolenników Reagana, ultraliberałem.

Cam i Lidka weszli po schodkach do domu z czerwonej cegły wyglądającego jak francuski zameczek, z lukarnami w krytym dachówkami dachu i portykiem z białego kamienia zwieńczonym antycznym frontonem. Był to dom Franka i Marybell Lindemanów, hojnych sponsorów kampanii Reagana i wielomilionowych beneficjentów jego obniżki podatków. Marybell była jedną z kilku kobiet, które zdominowały życie towarzyskie Waszyngtonu. Podejmowała ludzi rządzących Ameryką. Dlatego zaproszony tu Cam uważał

się za szczęściarza.

Chociaż Lindemanowie byli republikanami, na obiadach Marybell bywali także demokraci i Cam spodziewał się spotkać ważne osobistości z obu stron sceny politycznej.

Kamerdyner odebrał od nich płaszcze.

- Po co powiesili tutaj te okropne obrazy? - zapytała Lidka, rozejrzawszy się po wielkim holu.

- To się nazywa sztuka Zachodu - wyjaśnił Cam. - Pędzla Remingtona, bardzo cenne.

- Gdybym miała tyle pieniędzy, nie kupowałabym obrazów kowbojów i Indian.

- Chcą dać do zrozumienia, że impresjoniści niekoniecznie byli najlepszymi malarzami.

Amerykańscy artyści są równie dobrzy.

- Nie, nie są, i każdy o tym wie.

- Kwestia zapatrywań.

Lidka wzruszyła ramionami: kolejna zagadka amerykańskiego stylu życia.

Kamerdyner zaprowadził ich do rozległej bawialni. Ta wyglądała jak osiemnastowieczny salon, z dywanem w chińskie smoki i mnóstwem krzeseł na cienkich nogach z tapicerką z żółtego jedwabiu. Cam uświadomił sobie, że są pierwszymi gośćmi. W następnej chwili z innych drzwi wyłoniła się Marybell. Była posagową kobietą z burzą rudych włosów, dla których ten kolor mógł być naturalnym lub nie. Nosiła naszyjnik z kamieni, zdaniem Cama będących niezwykle dużymi diamentami.

- Jak miło, że przyszliście tak wcześnie! - powiedziała.

Cam wiedział, że to nagana, ale Lidka tego nie wyczuła.

- Nie mogłam się doczekać, kiedy zobaczę wasz piękny dom - wypaliła.

- A jak się pani podoba życie w Ameryce? - zapytała ją Marybell. - Proszę powiedzieć, co pani zdaniem jest najlepsze w tym kraju?

Lidka zastanawiała się przez chwilę.

- Macie tu tych wszystkich czarnych - powiedziała.

Cam jęknął w duchu. Co ona wygaduje, do diabła?

Zaskoczona Marybell zamilkła.

Lidka machnięciem ręki wskazała kelnera trzymającego tacę z wysokimi kieliszkami do szampana, pokojówkę roznoszącą kanapki i kamerdynera. Wszyscy troje byli Afroamerykanami.

- Są od takich rzeczy jak otwieranie drzwi, podawanie drinków czy zamiatanie. W Polsce nie mamy nikogo do takich prac, każdy musi robić to sam!

Marybell nieco się spłoszyła. Takie słowa były niepoprawne politycznie nawet w

Waszyngtonie Reagana. Nagle spojrzała nad ramieniem Lidki i zauważyła innego gościa stojącego w pobliżu.

- Karim, kochany! - pisnęła. Uściskała przystojnego ciemnoskórego mężczyznę w nienagannym garniturze w prążki. - Poznaj Cama Dewara i jego żonę, Lidkę. To jest Karim Abdullah z ambasady Arabii Saudyjskiej.

Karim uściśnął im dłonie.

- Słyszałem o panu, Cam - powiedział. - Współpracuję z kilkoma pańskimi kolegami z Langley.

Dawał Camowi do zrozumienia, że jest pracownikiem saudyjskiego wywiadu.

Saudyjczyk odwrócił się do Lidki. Wyglądała na zaskoczoną. Cam wiedział dlaczego. Nie spodziewała się spotkać na przyjęciu Marybell gościa o tak ciemnej skórze.

Jednak Karim zaraz ją oczarował.

- Mówiono mi, że polskie kobiety są najpiękniejsze na świecie - oświadczył. - Jednak nie wierzyłem w to, aż do tej chwili.

Ucałował jej dłoń.

Lidka mogła bez końca słuchać takich bzdur.

- Słyszałem, co pani mówiła o czarnych - ciągnął Karim. - Zgadzam się z tym. W Arabii Saudyjskiej też ich nie mamy, więc musimy importować z Indii!

Cam widział, że żonę zaskoczyło to szczególne rozróżnienie. Dla Karima Hindusi byli czarni, ale Arabowie nie. Na szczęście Lidka wiedziała, kiedy się zamknąć i słuchać.

Przyszli kolejni goście. Karim zniżył głos.

- Jednak - rzekł konspiracyjnym szeptem - musimy uważać, co mówimy, gdyż niektórzy z gości mogą być liberałami.

Jakby na potwierdzenie jego słów wszedł wysoki, atletycznie zbudowany mężczyzna o gęstej blond czuprynie. Wyglądał jak gwiazda filmu. Był to Jasper Murray.

Cam poczuł irytację. Nienawidził Jaspera, od kiedy byli nastolatkami. Potem Jasper został dziennikarzem śledczym i pomógł odsunąć Nixona od władzy. Jego książka o Nixonie, *Sprytny Dick*, stała się bestsellerem i posłużyła za scenariusz cieszącego się powodzeniem filmu. Za kadencji Cartera siedział stosunkowo cicho, ale wznowił ataki, gdy tylko doszedł do władzy Reagan. Był teraz jedną z najsławniejszych osobowości telewizyjnych obok Petera Jenningsa i Barbary Walters. Poprzedniego wieczoru program Jaspera *This Day* poświęcił pół godziny popieranej przez Amerykę wojskowej dyktaturze w Salwadorze. Murray przytoczył twierdzenia organizacji broniących praw człowieka, że tamtejsze rządowe szwadrony śmierci zamordowały trzydzieści tysięcy ludzi.



Właścicielem sieci telewizyjnej nadającej This Day był Frank Lindeman, mąż Marybell, tak więc Jasper zapewne nie mógł odrzucić zaproszenia na przyjęcie. Biały Dom naciskał na Lindemana, żeby pozbył się Jaspiera, ale na razie Frank odmawiał. Chociaż posiadał większościowy pakiet akcji, odpowiadał przed radą nadzorczą i inwestorami, którzy mogliby narobić kłopotów, gdyby wylał jedną ze swoich największych sław.

Marybell zdawała się niecierpliwie na coś czekać. W końcu przybył jeszcze jeden gość, dość spóźniony. Była nim oszałamiająco piękna czarnoskóra lobbystka, Verena Marquand. Cam nie spotkał jej dotąd, ale rozpoznał ze zdjęć.

Kamerdyner oznajmił, że podano do stołu, i wszyscy przeszli podwójnymi drzwiami do jadalni. Kobiety wydawały okrzyki podziwu na widok długiego stołu zastawionego lśniącoymi kieliszkami i srebrnymi wazonami, w których pyszniły się żółte szklarniowe róże. Cam zobaczył, że Lidka robi wielkie oczy. Domyślił się, że to przebijało wszystkie zdjęcia w magazynach poświęconych dekoracji wnętrz. Z pewnością nigdy nie widziała ani nawet nie wyobrażała sobie takiego przepychu.

Do stołu zasiadło osiemnaście osób, lecz rozmowę zdominowała jedna. Była nią Suzy Cannon, napastliwa autorka plotkarskich artykułów. Połowa tego, co pisała, okazywała się nieprawdą, ale jak szkał potrafiła wywęszyć słaby punkt każdej potencjalnej ofiary. Była konserwatystką, lecz bardziej interesowały ją skandale niż polityka. Nie istniała dla niej żadna świętość. Cam modlił się, żeby Lidka trzymała język za zębami. Wszystko, co powie dziś wieczorem, znajdzie się w jutrzejszej porannej gazecie.

Jednak ku zdumieniu Cama Suzy skierowała swe wodniste oczy właśnie na niego.

- Zdaje się, że pan i Jasper się znacie - powiedziała.

- Niespecjalnie - odparł Cam. - Poznaliśmy się wiele lat temu w Londynie.

- Jednak słyszę, że obaj zakochaliście się w tej samej dziewczynie.

Skąd, do diabła, ona to wie?

- Miałem piętnaście lat, Suzy - rzekł Cam. - Zapewne kochałem się w połowie dziewcząt w Londynie.

Suzy zwróciła się do Jaspiera.

- A pan? Czy pamięta pan tę rywalizację?

Jasper był pogrążony w rozmowie z siedzącą obok niego Vereną Marquand. Teraz z irytacją spojrział na Suzy.

- Jeśli zamierzasz napisać artykuł o romansach nastolatków sprzed ponad dwudziestu lat i nazwać to wiadomością, Suzy, to mogę tylko powiedzieć, że chyba sypiasz ze swoim naczelnym.

Wszyscy się roześmiali: Suzy rzeczywiście była żoną szefa działu wiadomości swojej gazety.

Cam zauważył, że śmiech Suzy był wymuszony i z nienawiścią spoglądała na Jaspera. Przypomniał sobie, że jako młoda dziennikarka została zwolniona z zespołu This Day za szereg potwornie nieprawdziwych reportaży.

- Zapewne z zainteresowaniem obejrzałeś wczorajszy program Jaspera, Cam - powiedziała teraz.

- Nie tyle z zainteresowaniem, ile z niepokojem - odparł. - Prezydent i CIA nie szczędzą starań, by wspierać antykomunistyczny rząd w Salwadorze.

- A Jasper stoi po przeciwnej stronie, nieprawdaż? - podsunęła Suzy.

- Opowiadam się po stronie prawdy, Suzy - rzekł Jasper. - Wiem, że trudno ci to pojąć.

Cam zauważył, że w jego głosie nie było już ani śladu brytyjskiego akcentu.

- Z przykrością patrzyłem na tego rodzaju propagandę w jednej z największych sieci telewizyjnych - oznajmił, spoglądając na dawnego rywala.

- A co ty byś powiedział o rządzie, który morduje trzydzieści tysięcy swoich obywateli? - warknął Jasper.

- Nie zgadzamy się z tą liczbą.

- Zatem, waszym zdaniem, ilu obywateli Salwadoru zostało zamordowanych przez ich własny rząd? Podaj szacunkowe dane CIA.

- Powinieneś był o to zapytać przed emisją programu.

- Och, zapytałem. Nie otrzymałem odpowiedzi.

- Żaden rząd środkowoamerykański nie jest doskonały. A ty skupiasz się na tych, które wspieramy. Myślę, że po prostu jesteś antyamerykański.

Suzy się uśmiechnęła.

- Jesteś Brytyjczykiem, prawda, Jasper? - powiedziała z jadowitą słodyczą.

Jasper się wściekł.

- Jestem obywatelem USA od ponad dziesięciu lat. Jestem tak proamerykański, że ryzykowałem moje cholerne życie dla tego kraju. Przez dwa lata służyłem w amerykańskiej armii w Wietnamie. I nie siedziałem na dupie za biurkiem w Sajgonie. Brałem udział w walkach i zabijałem ludzi. Ty nigdy tego nie robiłaś, Suzy. A co z tobą, Cam? Co robiłeś w Wietnamie?

- Nie zostałem powołany.

- To może powinieneś się, kurwa, zamknąć.

Marybell interweniowała.

- Myślę, że dość już o Jasperze i Camie. - Odwróciła się do siedzącego obok niej kongresmena z Nowego Jorku i zagadnęła: - Słyszałam, że pańskie miasto zniosło dyskryminację homoseksualistów. Czy pan to popiera?

Rozmowa przeszła na prawa gejów i Cameron się uspokoił - za wcześnie.

Padło pytanie o ustawodawstwo w innych krajach.

- Jak traktuje ich prawo w Polsce, Lidko? - zapytała Suzy.

- Polska jest katolickim krajem - odparła Lidka. - Nie mamy tam homoseksualistów. - Na moment zapadła cisza, w której dodała: - Dzięki Bogu.

Jasper Murray opuścił dom Lindemanów w tym samym czasie co Verena Marquand.

- Suzy Cannon to prawdziwa zaraza - powiedział, gdy schodzili po schodach.

Verena roześmiała się, pokazując białe zęby w świetle latarni.

- To prawda.

Dotarli na chodnik. Zamówionej przez Jaspera taksówki nigdzie nie było widać. Poszedł z Vereną do jej samochodu.

- Suzy założyła mi za skórę - przyznał.

- Nie może ci zbytnio zaszkodzić, prawda? Jesteś teraz gwiazdą.

- Wprost przeciwnie. W Waszyngtonie prowadzą przeciwko mnie groźną kampanię. Jest rok wyborczy i administracja nie chce takich programów telewizyjnych jak ten, który pokazałem wczoraj wieczorem.

Czuł, że może się jej swobodnie zwierzać. Zbliżyły ich wydarzenia tamtego dnia, kiedy patrzyli, jak umiera Martin Luther King. To poczucie bliskości nadal trwało.

- Jestem pewna, że poradzisz sobie z takimi oszczerstwami - powiedziała Verena.

- Nie wiem. Moim szefem jest dawny rywal, niejaki Sam Cakebread, który nigdy mnie nie lubił. A Frank Lindeman, właściciel sieci, z rozkoszą pozbyłby się mnie, jeśli tylko dałbym mu jakiś pretekst. Na razie zarząd się boi, że zostaliby oskarżeni o naruszanie wolności mediów, gdyby mnie zwolnili. Jednak wystarczy jeden błąd i wylecę.

- Mógłbyś tak jak Suzy poślubić szefa.

- Zrobiłbym to, gdybym mógł. - Rozejrzał się po ulicy. - Zamówiłem taksówkę na jedenastą, ale nie widzę jej. Sieć nie płaci za limuzyny.

- Podwieźć cię?

- Byłoby wspaniale.

Wsiedli do jej jaguara.

Zdjęła szpilki i wyciągnęła w jego stronę.

- Połóż je na podłodze przed twoim fotelem, dobrze?

Prowadziła w pończochach. Jasper poczuł lekkie podniecenie. Zawsze uważał Verenę za nieodparcie pociągającą. Obserwował ją, gdy włączyła się w słaby o tak późnej porze ruch i pomknęła ulicą. Była dobrym kierowcą, chociaż jeździła trochę za szybko: żadna niespodzianka.

- Niewiele jest osób, którym ufam - powiedział. - Stałem się jedną z najbardziej znanych osób w Ameryce, a czuję się bardziej samotny niż kiedykolwiek. Jednak tobie ufam.

- Ja czuję to samo od tamtego strasznego dnia w Memphis. Nigdy nie ogarnęła mnie tak przerażająca bezsilność jak w tym momencie, gdy usłyszałam ten strzał. Zastonięś mnie własnym ciałem. Czegoś takiego się nie zapomina.

- Żałuję, że nie odnalazłem cię, zanim zrobił to George.

Zerknęła na niego i uśmiechnęła się.

Nie był pewny, co to oznacza.

Dojechali do jego domu i zatrzymała samochód po lewej stronie jednokierunkowej ulicy.

- Dzięki za podwózkę - powiedział Jasper. Wysiadł. Pochyliwszy się, podniósł jej buty z podłogi i umieścił je na fotelu. - Piękne buty - mruknął.

Zatrzasnął drzwi.

Obszedł samochód i stanął na chodniku przy jej oknie. Opuściła szybę.

- Zapomniałem pocałować cię na dobranoc - oświadczył.

Wetknął głowę do środka i pocałował ją w usta. Natychmiast rozchyliła wargi. Muśnięcie zmieniło się w namiętny pocałunek. Verena położyła dłoń na jego karku i przyciągnęła go. Całowali się gorączkowo. Jasper sięgnął do wnętrza wozu i podciągnął skraj jej wieczorowej sukni, aż poczuł miękką, okrytą bawełną wzdórek między jej nogami. Jęknęła i uniosła biodra na jego spotkanie.

Bez tchu przerwał pocałunek.

- Wpuść mnie do środka - poprosił.

- Nie.

Odsunęła jego dłoń od swojego krocza.

- Spotkaj się ze mną jutro - nie ustępował.

Milcząc, odpychała go, aż jego głowa i ramiona znalazły się na zewnątrz.

Zapytał ponownie:

- Spotkasz się ze mną jutro?

Włączyła bieg.

- Zadzwoń - powiedziała.

Potem przydepnęła pedał gazu i odjechała z rykiem silnika.

George Jakes nie wiedział, czy wierzyć programowi Jaspera Murraya. Nawet jemu wydawało się niemożliwe, żeby prezydent Reagan wspierał rząd, który zamordował tysiące swoich obywateli. Nagle, cztery tygodnie później, „New York Times” podał sensacyjną wiadomość, że dowódca salwadorskich szwadronów śmierci, pułkownik Nicolas Carranza, jest agentem CIA otrzymującym rocznie dziewięćdziesiąt tysięcy dolarów od amerykańskich podatników.

Wyborcy byli wściekli. Myśleli, że po aferze Watergate CIA została wzięta w ryzy. Tymczasem najwidoczniej wymknęła się spod kontroli i opłacała potwora, żeby dokonywał zbiorowych mordów.

Tuż przed dziesiątą George skończył przeglądać papiery w gabinecie w swoim domu. Zakręcił wieczne pióro, ale jeszcze przez kilka minut siedział tam, rozmyślając.

Nikt z kongresowej ani senackiej komisji do spraw wywiadu nic nie wiedział o pułkowniku Carranzie. Wszyscy zostali zaskoczeni i czuli się zakłopotani. Mieli nadzorować CIA. Ludzie uważali, że ta wpadka to ich wina. A co mogli zrobić, jeśli byli okłamywani przez szpiegów?

Westchnął i wstał. Wyszedł z gabinetu, gasząc światło, po czym wszedł do pokoju Jacka. Chłopiec mocno spał. Na widok swojego dziecka śpiącego tak spokojnie George miał wrażenie, że pęka mu serce. Miękką skórą Jacka była zaskakująco czarna, jak u Jacky, pomimo tego, że miał dwoje białych dziadków. Społeczność Afroamerykanów nadal preferowała jaśniejszą karnację, pomimo całej tej gadaniny, że czarne jest piękne. Jednak dla George'a Jack był piękny. Oparł głowę o pluszowego misia w pozycji, która chyba nie była zbyt wygodna. George wsunął dłoń pod głowę chłopca i poczuł miękkie loki, takie same jak jego własne. Odrobinę podniósł mu głowę, delikatnie wyjął spod niej misia, a potem ostrożnie złożył ją z powrotem na poduszce. Jack spał dalej, nieświadomy tego.

George poszedł do kuchni i nalał sobie szklankę mleka, a potem zaniósł ją do sypialni. Verena już była w łóżku, w koszuli nocnej, z plikiem gazet leżących obok niej, czytając i jednocześnie oglądając telewizję. George wypił mleko, a potem poszedł do łazienki i umył zęby.

Ostatnio układało się między nimi trochę lepiej. Rzadko się kochali, ale Verena była spokojniejsza. W istocie chyba już od miesiąca nie wpadła w gniew. Ciężko pracowała, czasem do późnej nocy: może czuła się szczęśliwsza, gdy jej praca była bardziej wymagająca.

George zdjął koszulę i podniósł wieko pojemnika na pranie. Już miał wrzucić ubranie do środka, gdy jego spojrzenie padło na bieliznę Vereny. Zobaczył koronkowy czarny biustonosz i takie same majteczki. Komplet wyglądał na nowy i George nie pamiętał, żeby go na niej widział. Jeśli kupowała sobie seksowną bieliznę, to dlaczego mu się w niej nie pokazywała? Było cholernie pewne, że nie krępowała się w tych sprawach.

Przyjrząwszy się uważniej, zauważył coś jeszcze dziwniejszego: jasny włos.

Nagle poczuł przeraźliwy lęk. I skurcze brzucha. Wyjął komplet z pojemnika.

Zaniósł go do sypialni.

- Powiedz mi, że zwariowałem - rzekł.

- Zwariowałeś - powiedziała, a potem zobaczyła, co trzyma w ręku. - Chcesz mi zrobić pranie? - zażartowała, ale widział, że się zdenerwowała.

- Ładna bielizna - zauważył.

- Masz szczęście.

- Tyle że nie widziałem jej na tobie.

- No to masz pecha.

- Jednak ktoś widział.

- Jasne. Doktor Bernstein.

- Doktor Bernstein jest łysy. Na majtkach jest jasny włos.

Jej kakaowa skóra zbladła, ale Verena się nie poddawała.

- No i co z tego wydedukowałeś, Sherlocku Holmesie?

- Że uprawiałaś seks z mężczyzną o długich blond włosach.

- Dlaczego to musiał być mężczyzna?

- Ponieważ lubisz mężczyzn.

- Może lubię też dziewczyny. Teraz jest to w modzie. Wszyscy są biseksualni.

George poczuł głęboki smutek.

- Zauważyłem, że nie zaprzeczasz, że masz romans.

- No, George, masz mnie.

Z niedowierzaniem pokręcił głową.

- Traktujesz to tak lekko?

- Chyba tak.

- Zatem przyznajesz się. Z kim się pieprzysz?

- Nie powiem ci, więc nie pytaj.

George z coraz większym trudem powstrzymywał gniew.

- Zachowujesz się, jakbyś nie zrobiła niczego złego!

- Nie zamierzam udawać. Tak, widuję się z kimś, kto mi się podoba. Przepraszam, że zraniłam twoje uczucia.

George nie wierzył własnym uszom.

- Jak mogło dojść do tego tak szybko?

- Wcale nie szybko. Jesteśmy małżeństwem ponad pięć lat. Urok przeminął, jak w tej piosence.

- Czy zrobiłem coś złego?

- Poślubiłeś mnie.

- Czym cię rozgniewałem?

- Czy jestem rozgniewana? Myślałam, że tylko znudzona.

- Co zamierzasz zrobić?

- Nie zrezygnuję z niego dla małżeństwa, które już właściwie nie istnieje.

- Wiesz, że nie mogę tego zaakceptować.

- To odejdz. Nie jesteś więźniem.

George usiadł na jej taborecie przy toalecie i schował twarz w dłoniach. Targany burzą emocji nagle wrócił myślami do dziecięcych lat. Przypomniał sobie, jaki był zawstydzony tym, że jako jedyny chłopiec w klasie nie ma ojca. Znów poczuł męki zazdrości, jakie cierpiał, widząc innych chłopców z ich ojcami, grających w piłkę, latających przebitą dętkę rowerową, kupujących kije bejsbolowe czy mierzących buty. Znów poczuł gniew na tego mężczyznę, który porzucił matkę i jego, nie troszczył się o kobietę, która mu się oddała, ani o dziecko zrodzone z ich miłości. Chciał wrzeszczeć, tłuc Verenę, chciało mu się płakać.

W końcu odzyskał głos.

- Nie zostawię Jacka - powiedział.

- Twój wybór - odparła Verena.

Wyłączyła telewizor, zrzuciła gazety na podłogę, zgasła lampkę przy łóżku i położyła się, odwrócona do niego plecami.

- To wszystko? - ze zdumieniem zapytał George. - Tylko tyle masz do powiedzenia?

- Chcę spać. Rano mam naradę.

Wytrzeszczył oczy. Czy on ją w ogóle znał?

Oczywiście, że tak. W głębi serca wiedział, że są dwie Vereny: oddana działaczka ruchu obrońców praw obywatelskich oraz zabawowa dziewczyna. Kochał je obie i wierzył, że z jego pomocą mogą one stać się jedną szczęśliwą, zrównoważoną osobą. Mylił się.

Stał tam jeszcze przez kilka minut, patrząc na nią w słabym świetle latarni na rogu ulicy. Tak długo na ciebie czekałem, myślał, wszystkie te lata miłości na odległość. Potem

wreszcie wyszłaś za mnie i mamy Jacka, i myślałem, że wszystko będzie dobrze, już zawsze.

W końcu wstał. Rozebrał się i włożył piżamę.

Nie mógł się zmusić, żeby położyć się do łóżka obok niej.

W pokoju gościnnym też było łóżko, ale niepościelone. Wyszedł do przedpokoju i wyjął z szafy ciepły płaszcz. Poszedł do gościnnego pokoju, położył się i nakrył płaszczem.

Jednak nie zasnął.

George już jakiś czas temu zauważył, że Verena czasem nosi rzeczy, w których nie jest jej dobrze. Miała ładną sukienkę w kwiatki, którą wkładała, gdy pragnęła uchodzić za niewinne dziewczę, choć w rzeczywistości wyglądała w niej śmiesznie. Miała brązowy kostium, który ją postarzał, ale zapłaciła za niego tyle, że nie chciała się przyznać do błędu. Miała musztardowy sweter, który sprawiał, że jej cudowne zielone oczy wydawały się mętne i matowe.

Każdy ma takie rzeczy, rozmyślał George. On miał trzy kremowe koszule, które zamierzał wyrzucić, gdy tylko ich kołnierzyki się wystrzępią, co - jak miał nadzieję - nastąpi bardzo szybko. Z rozmaitych powodów ludzie noszą ubrania, których nienawidzą.

Jednak nigdy na spotkanie z kochankiem.

Gdy Verena włożyła czarną garsonkę od Armaniego oraz turkusową bluzkę i czarne korale, wyglądała jak gwiazda filmowa i dobrze o tym wiedziała.

Widocznie szła na spotkanie ze swoim kochasiem.

George odczuwał to upokorzenie jak rwący ból brzucha. Nie mógł znieść tego dłużej. To sprawiało, że miał ochotę skoczyć z mostu.

Verena wyszła wcześniej i powiedziała, że wcześniej wróci, więc George odgadł, że spotkają się w porze lunchu. Zjadł śniadanie z Jackiem, a potem zostawił go z nianią Tiffany. Poszedł do swojego gabinetu w biurowcu Cannon House w pobliżu Kapitolu i odwołał wszystkie spotkania w tym dniu.

O dwunastej w południe czerwony jaguar Vereny był jak zwykle zaparkowany niedaleko jej biura w centrum. George czekał przecnicę dalej w swoim srebrnym lincolnie, obserwując wyjazd. Czerwony samochód pojawił się o wpół do pierwszej. George włączył się do ruchu i pojechał za nim.

Przejechali na drugi brzeg Potomacu i skierowali się na wiejskie tereny. Ponieważ ruch był tu mniejszy, George zwiększył odstęp. Byłoby krępujące, gdyby go zauważyła. Miał nadzieję, że nie zwróci uwagi na tak pospolity wóz jak srebrny lincoln. Nie mógłby jej śledzić w swoim starym mercedesie.



Kilka minut przed pierwszą zjechała z drogi do wiejskiej restauracji Worcester Sauce. George przemknął obok, przejechał kilometr i zawrócił. Wjechał na parking restauracji i wybrał miejsce, z którego mógł widzieć jaguara. Potem siedział i czekał.

Był w ponurym nastroju. Wiedział, że głupio postępuje. Wiedział, że to mogło doprowadzić do kłopotliwej sytuacji lub czegoś gorszego.

Jednak musiał się dowiedzieć, kim jest kochanek jego żony.

Wyszli o trzeciej.

Po chodzie Vereny odgadł, że wypła do lunchu parę kieliszków wina. Przeszli przez parking, trzymając się za ręce; chichotała z czegoś, co powiedział ten mężczyzna, i George zagotował się z wściekłości.

Mężczyzna był wysoki i barczysty, miał gęste jasne włosy, dość długie.

Gdy podeszli bliżej, George rozpoznał Jaspera Murraya.

- Ty skurwysynu - warknął.

Jasper zawsze pożywał Vereny, odkąd tylko ją poznał w hotelu Willard tamtego dnia, gdy Martin Luther King wygłosił przemówienie „Mam sen”. Jednak wielu mężczyzn pożywało Vereny. George nigdy nie przypuszczał, że z nich wszystkich zdradzi go akurat z Jasperem.

Podeszli do jaguara i pocałowali się.

George zdawał sobie sprawę, że powinien zapuścić silnik i odjechać. Dowiedział się tego, co chciał wiedzieć. Nic więcej nie mógł zrobić.

Widział, że Verena rozchyliła wargi. Naparła na Jaspera biodrami. Oboje mieli zamknięte oczy.

George wysiadł z samochodu.

Jasper ścisnął pierś Vereny.

George zatrasnął drzwi samochodu i pomaszerował ku nim po asfalcie.

Jasper był zbyt zaabsorbowany tym, co robił, ale Verena usłyszała trzaśnięcie i otworzyła oczy. Zobaczyła George'a, odepchnęła Jaspera i wrzasnęła.

Za późno.

George zamachnął się i uderzył Jaspera, wkładając w cios całą siłę pleców i barku. Trafił w lewy bok twarzy Jaspera. Z satysfakcją poczuł, jak jego pięść miażdży miękkie ciało i ułamek sekundy później natrafia na twarde zęby i kości. Potem poczuł przeszywający ból ręki.

Jasper zatoczył się do tyłu i runął na ziemię.

- George! - wrzasnęła Verena. - Co ty robisz?!

Uklęka przy Jasperze, nie zważając na pończochy.

Jasper podparł się łokciem i pomacał twarz.

- Pierdolone zwierzę - powiedział do George'a.

Ten pragnął, by Jasper się podniósł i spróbował oddać cios. Chciał walki, bólu, krwi. Przez długą chwilę patrzył na Jaspersa, ledwie go widząc przez czerwoną mgłę. Potem ta mgła się rozeszła i pojął, że Jasper nie zamierza wstać i walczyć.

George odwrócił się, poszedł do swojego samochodu i odjechał.

Gdy dotarł do domu, Jack był w swoim pokoju, bawiąc się kolekcją samochodzików. George zamknął drzwi, żeby niania Tiffany go nie usłyszała. Usiadł na łóżku nakrytym narzutą w kształcie samochodu wyścigowego.

- Mam ci coś ważnego do powiedzenia - rzekł.

- Co ci się stało w rękę? - spytał Jack. - Jest cała czerwona i spuchnięta.

- Uderzyłem nią w coś. Musisz mnie wysłuchać.

- Dobrze.

Czterolatki trudno będzie to zrozumieć.

- Wiesz, że zawsze będę cię kochał - powiedział George. - Tak jak babcia Jacky kocha mnie, chociaż nie jestem już małym chłopcem.

- Czy babcia dziś przyjdzie?

- Może jutro.

- Przyniesie ciasteczka.

- Posłuchaj. Czasem mamusi i tatusiowie przestają się kochać. Wiedziałeś o tym?

- Taak. Tata Pete'a Robbinsa już nie kocha jego mamusi - poważnie powiedział Jack. - Wzięli rozwód.

- Cieszę się, że to rozumiesz, ponieważ twoja mama i ja już się nie kochamy.

George obserwował twarz Jacka, usiłując wyczuć, czy ten zrozumiał to, czy nie. Chłopczyk patrzył z niedowierzaniem, jakby działo się coś, co wydaje się niemożliwe. Wyraz jego twarzy łamał serce George'a. Jak mogę robić coś tak okrutnego osobie, którą kocham najbardziej na świecie? - pomyślał.

Jak do tego doszło?

- Wiesz, że spałem w pokoju gościnnym.

- Taak.

Teraz najtrudniejsze.

- Cóż, dziś w nocy będę spał w domu babci.

- Dlaczego?

- Dlatego, że mama i ja już się nie kochamy.

- No dobrze, więc zobaczę cię jutro.

- Od tej pory będę często spał u babci.

Jack zaczął rozumieć, że ta sprawa jego też dotyczy.

- Będziesz mi czytał bajki na dobranoc?

- Co wieczór, jeśli chcesz.

George przysiągł w duchu, że dotrzyma tej obietnicy.

Jack nadal rozpatrywał konsekwencje.

- Będziesz mi podgrzewał mleko na śniadanie?

- Czasem. Albo mama to zrobi. Lub niania Tiffany.

Jack znał się na takich wykrętach.

- No, nie wiem - powiedział. - Może lepiej nie śpij u babci.

George'owi zabrakło odwagi.

- No cóż, zobaczymy - odparł. - Hej, masz ochotę na lody?

- Tak!

To był najgorszy dzień w życiu George'a.

Wracając z Kapitolu do domu w hrabstwie Prince George, George myślał o zakładnikach. Tego roku w Libanie porwano czterech Amerykanów i Francuza. Jeden Amerykanin został wypuszczony, ale pozostali tkwili w jakimś więzieniu, chyba że już nie żyli. George wiedział, że jeden z nich był szefem placówki CIA w Bejrucie.

Porywaczami byli niewątpliwie członkowie islamskiej organizacji zwanej Hezbollah, Partia Boga, założonej w odpowiedzi na izraelską inwazję na Liban w 1982 roku. Byli finansowani przez Iran i szkoleni przez irańskich Strażników Rewolucji. Stany Zjednoczone uważały Hezbollah za zbrojne ramię irańskiego rządu, a Iran za sponsora terroryzmu, a więc państwo, któremu nie należy pozwalać kupować broni. Zdaniem George'a było to zabawne, zważywszy, że prezydent Reagan sponsorował terroryzm w Nikaragui, finansując contras, brutalną antyrządową organizację dokonującą zabójstw i porwań.

Mimo wszystko George był zły z powodu tego, co działo się w Libanie. Chętnie wysłałby tam piechotę morską, żeby zrobiła porządek. Dać im nauczkę, by wiedzieli, że za porywanie amerykańskich obywateli trzeba słono zapłacić!

Tak to czuł, a jednocześnie wiedział, że to dziecinna reakcja. Tak jak izraelska inwazja zrodziła Hezbollah, tak gwałtowny amerykański atak na Hezbollah spowodowałby kolejne akty terrorystyczne. Następne pokolenie młodych mieszkańców Bliskiego Wschodu

wyrosłoby, przysięgając zemstę Ameryce, temu wielkiemu Szatanowi. Kiedy emocje opadły, George i wszyscy rozsądni ludzie zdali sobie sprawę, że zemsta jest porażką. Jedyne słuszne rozwiązanie to przerwać ten łańcuch.

Co łatwiej powiedzieć niż zrobić.

George miał również świadomość, że on sam nie zdał tego egzaminu. Uderzył Jaspera Murraya. Dziennikarz nie był słabeuszem, ale rozsądnie oparł się pokusie oddania ciosu. W rezultacie nie doszło do czegoś gorszego - ale nie dzięki George'owi.

George znów mieszkał z matką - mając czterdzieści osiem lat! Verena pozostała w ich domu z małym Jackiem. George zakładał, że Jasper spędzał tam noce, ale nie wiedział tego na pewno. Usiłował znaleźć sposób na pogodzenie się z rozwodem - tak jak miliony mężczyzn i kobiet.

Był piątkowy wieczór i skupił myśli na weekendzie. Właśnie jechał do domu Vereny. Wypracowali pewien harmonogram. George zabierał Jacka w piątek wieczorem do domu Jacky na weekend i odwoził w poniedziałek rano. Nie tak chciał wychowywać swoje dziecko, ale niczego lepszego nie mógł wymyślić.

Zastanawiał się, co będą robić. Jutro może pójdą razem do biblioteki i wypożyczą kilka książek z bajkami do poduszki. W niedzielę, oczywiście, do kościoła.

Dotarł do budynku stylizowanego na ranczo, który kiedyś był jego domem. Samochodu Vereny nie było na podjeździe: jeszcze nie wróciła do domu. George zaparkował i podszedł do frontowych drzwi. Z grzeczności zadzwonił, a potem otworzył je swoim kluczem.

W domu panowała cisza.

- To tylko ja! - zawołał. W kuchni nie było nikogo. Znalazł Jacka siedzącego przed telewizorem, samego. - Cześć, kolego - powiedział. Usiadł i objął Jacka. - Gdzie jest niania Tiffany?

- Musiała iść do domu - odparł Jack. - Mama się spóźnia.

George opanował gniew.

- A więc jesteś tu sam?

- Tiffany powiedziała, że to nagły padek.

- Jak dawno to było?

- Nie wiem.

Jack jeszcze nie znał się na zegarku.

George był wściekły. Jego czteroletni synek został w domu sam. Co ta Verena sobie myśli?

Wstał i rozejrzał się. Weekendowa walizeczka Jacka stała w holu. George zajrzał do

niej i zobaczył, że jest w niej wszystko, co trzeba: piżamka, czyste ubrania, pluszowy miś. Niania Tiffany zapakowała wszystko, zanim wyszła załatwić to, co Jack nazwał „nagłym padkiem”.

George poszedł do kuchni i napisał notatkę:

Zastałem Jacka samego w domu. Zadzwoń do mnie.

Potem poszedł z synkiem do samochodu.

Dom Jacky znajdował się niecałe dwa kilometry dalej. Kiedy tam dotarli, babcia dała Jackowi szklanek mleka i domowe ciasteczko. On opowiedział jej wszystko o kocie sąsiadów, który przyszedł w odwiedziny i dostał spodek mleka. Potem Jacky spojrzała na George'a.

- No dobrze, co cię gryzie? - zapytała.

- Przejdźmy do salonu, to ci powiem. - Poszli do sąsiedniego pokoju i George rzekł: - Jack był sam w domu.

- Och, to nie powinno się zdarzyć.

- Cholerna racja.

Tym razem nie skarciła go za przeklinanie.

- Czy wiesz dlaczego?

- Verena nie wróciła na czas, a niania musiała wyjść.

W tym momencie usłyszeli pisk opon na zewnątrz. Oboje wyjrżeli przez okno i zobaczyli Verenę, która wysiadła z czerwonego jaguara i pobiegła do drzwi.

- Zaraz ją zabiję - warknął George.

Jacky otworzyła drzwi. Verena pobiegła do kuchni i ucałowała Jacka.

- Och, dziecino, wszystko w porządku? - spytała ze łzami w oczach.

- Taak - nonszalancko odparł Jack. - Dostałem ciasteczko.

- Ciasteczka babci są wspaniałe, prawda?

- Jasne.

- Vereno - powiedział George. - Może przyjdiesz tutaj i wyjaśnisz swoje postępowanie.

Była zdyszana i spocona. Choć raz straciła swoją arogancką pewność siebie.

- Spóźniłam się tylko kilka minut! - krzyknęła. - Nie wiem, czemu ta przeklęta niania sobie poszła!

- Nie możesz się spóźniać, kiedy opiekujesz się Jackiem - gniewnie rzucił George.

To się jej nie spodobało.

- Och, bo ty się nigdy nie spóźniłeś?

- Nigdy nie zostawiłem go samego.

- Trudno samej zajmować się dzieckiem!

- To twoja cholerna wina, że jesteś sama.
- George, źle do tego podchodzisz - powiedziała Jacky.
- Nie wtrącaj się, mamó.
- Nie. To mój dom i mój wnuk, więc będę się wtrącać.
- Nie mogę przymknąć na to oka, mamó! Źle zrobiła.
- Gdybym ja nigdy niczego źle nie zrobiła, nie miałabym ciebie.
- To nie ma z tym nic wspólnego.
- Mówię tylko, że każdy z nas popełnia błędy i czasem wszystko się jednak dobrze kończy. Zatem przestań się znęcać nad Vereną. Niczego dobrego to nie przyniesie.

George niechętnie przyznał jej w duchu rację.

- No i co z tym zrobimy?

- Przepraszam, George, ale po prostu sobie nie radzę - powiedziała Verena i zaczęła płakać.

- Cóż - odezwała się znów Jacky. - Teraz, kiedy przestaliśmy wrzeszczeć, może zaczniemy myśleć. Ta twoja niania jest do niczego.

- Nie wiesz, jak trudno znaleźć opiekunkę do dziecka! - jęknęła Verena. - A nam jeszcze trudniej niż innym. Wszyscy zatrudniają nielegalnych imigrantów i płacą im gotówką, ale politycy muszą mieć kogoś z zieloną kartą, kto płaci podatki, więc nikt nie chce takiej pracy!

- W porządku, uspokój się, nie winię cię - powiedziała Jacky do Vereny. - Może ja mogę pomóc.

George i Verena spojrzeli na nią ze zdumieniem.

- Mam sześćdziesiąt cztery lata - ciągnęła Jacky. - Wkrótce przechodzę na emeryturę i potrzebuję jakiegoś zajęcia. Będę twoją rezerwą. Jeśli opiekunka nawali, przywieź Jacka tutaj. Możesz zostawić go na noc w razie potrzeby.

- O rany - rzekł George. - Moim zdaniem to jest najlepsze rozwiązanie.

- Jacky, to byłoby cudowne! - powiedziała Verena.

- Nie dziękuj mi, skarbie, jestem samolubna. Będę częściej widywać mojego wnuka.

- Jesteś pewna, że to nie będzie dla ciebie zbyt ciężkim obowiązkiem? - zapytał George.

Jacky pogardliwie machnęła ręką.

- A czy kiedy coś było dla mnie zbyt ciężkim obowiązkiem?

George się uśmiechnął.

- Chyba nigdy.

I to przesądziło sprawę.

## ROZDZIAŁ 56

Zimne łzy spływały po policzkach Rebekki.

Był październik i mroźny wiatr znad Morza Północnego smagał cmentarz Ohlsdorf w Hamburgu. Ten cmentarz był jednym z największych na świecie: tysiące hektarów smutku i żałoby. Znajdował się tam pomnik ofiar hitleryzmu, ściana pamięci bojowników ruchu oporu oraz zbiorowy grób trzydziestu ośmiu tysięcy hamburczyków: mężczyzn, kobiet i dzieci zabitych w trakcie operacji Gomora, czyli alianckich nalotów dywanowych w lecie 1943 roku.

Nie było specjalnego miejsca dla ofiar muru berlińskiego.

Rebecca uklękła i pozbierała zeschnięte liście z grobu męża. Potem umieściła na nim jedną czerwoną różę.

Stała nieruchomo, spoglądając na nagrobek i wspominając ukochanego mężczyznę.

Bernd nie żył od roku. Przeżył sześćdziesiąt dwa lata, sporo jak na człowieka z uszkodzeniem rdzenia kręgowego. Umarł na niewydolność nerek, częstą przyczynę śmierci w takich przypadkach.

Rebecca rozmyślała o jego życiu. Zostało dotkliwie naznaczone przez mur berliński i obrażenia, jakie Bernd odniósł, uciekając z Niemiec Wschodnich, ale mimo to żył godnie. Był dobrym, a może nawet wspaniałym nauczycielem. Odrzucił tyranie wschodnioniemieckiego komunizmu i uciekł do wolnego świata. Jego pierwsze małżeństwo zakończyło się rozwodem, ale z Rebeccą kochali się bardzo przez dwadzieścia lat.

Nie musiała tu przychodzić, żeby go pamiętać. Myślała o nim każdego dnia. Jego śmierć była jak utrata kończyny: nieustannie ze zdumieniem odkrywała, że już go nie ma. Samotna w mieszkaniu, w którym tak długo mieszkali razem, często mówiła do niego, opowiadając, jak minął jej dzień, komentując wiadomości, opisując, jak się czuje - głodna, zmęczona lub niespokojna. Niczego nie zmieniła i nadal były tam sznury i poręcze, które umożliwiały mu poruszanie się po mieszkaniu. Jego wózek inwalidzki stał obok łóżka, jakby czekając, aż Bernd usiądzie i przeniesie się na niego. Gdy się masturbowała, wyobrażała sobie, że on leży obok niej, obejmując ją, wspominała ciepło jego ciała, dotyk warg.

Na szczęście praca nieustannie ją absorbowała i stawiała nowe wyzwania. Była teraz wiceministrem spraw zagranicznych zachodnioniemieckiego rządu. Ponieważ mówiła po rosyjsku i przez pewien czas mieszkała w Niemczech Wschodnich, była ekspertem do spraw Europy Środkowej. Miała niewiele czasu dla siebie.

Niestety, ponowne zjednoczenie Niemiec wydawało się jeszcze odleglejsze niż

kiedykolwiek wcześniej. Rządzący w NRD zatwardziały komunista Erich Honecker wydawał się nieprzejejdany. Wciąż ginęli ludzie próbujący uciec za mur. A w Związku Sowieckim śmierć Andropowa wyniosła do władzy następnego słabowitego i leciwego przywódcę, Konstantina Czernienkę. Od Berlina aż po Władywostok sowieckie imperium było niczym bagno, w którym obywatele szamotali się i często tonęli, ale wszelki postęp był niemożliwy.

Rebecca uświadomiła sobie, że błędzi myślami daleko od Bernda. Czas iść.

- Żegnaj, ukochany - powiedziała cicho i powoli odeszła od grobu.

Idąc przez stary cmentarz, otuliła się płaszczem i schowała dłonie do rękawów. Z ulgą wsiadła do samochodu i uruchomiła silnik. Wciąż jeździła vanem z zaczepem na wózek inwalidzki. Czas zamienić go na zwykły samochód.

Pojechała do swojego mieszkania. Przed budynkiem stał błyszczący czarny mercedes 500s, a przy nim tkwił szofer w czapce. Poprawił jej się humor. Tak jak przypuszczała, okazało się, że Walli otworzył sobie drzwi własnym kluczem. Siedział za kuchennym stołem przy włączonym radiu, przytupując w rytm jakiejś piosenki. Na stole leżał egzemplarz najnowszej płyty zespołu Plum Nellie, *Interpretacja snów*.

- Cieszę się, że cię złapałem - powiedział. - Za chwilę muszę być na lotnisku. Lecę do San Francisco.

Wstał, żeby ją ucałować.

Za parę lat skończy czterdziestkę, a wygląda wspaniale. Wciąż palił, ale już nie brał narkotyków i nie pił alkoholu. Miał na sobie niebieską dzinsową koszulę, a na niej kurtkę z brązowej skóry. Jakaś dziewczyna powinna go złapać, pomyślała Rebecca. Jednak chociaż miewał różne dziewczyny, nie spieszył się do żeniaczki.

Pocałowała go, dotknęła rękawa jego kurtki i zauważyła, że jest miękka jak jedwab. Zapewne kosztowała majątek.

- Przecież dopiero skończyliście nagrywać płytę.

- Ruszamy w trasę po Stanach. Najpierw trzy tygodnie prób na Daisy Farm. Za miesiąc zaczniemy od Filadelfii.

- Pozdrów ode mnie chłopaków.

- Jasne.

- Minęło trochę czasu od waszego ostatniego koncertu.

- Trzy lata. Dlatego potrzebujemy tyle czasu na próby. Jednak teraz dajemy koncerty na olbrzymich stadionach. Nie tak jak z All-Star Touring Beat Revue, gdzie dwanaście zespołów grało po dwa lub trzy utwory dla kilku tysięcy ludzi w kinie lub w sali gimnastycznej. A teraz? Tylko pięćdziesiąt tysięcy ludzi i my.



- Macie zaplanowane jakieś występy w Europie?
- Tak, choć jeszcze nie ustaliliśmy szczegółów.
- Jakież w Niemczech?
- Niemal na pewno.
- Daj mi znać.
- Oczywiście. Może nawet załatwię ci darmowy bilet.

Rebecca się roześmiała. Jako siostra Wallego była traktowana niczym królowa, ilekroć weszła za kulisy podczas występów Plum Nellie. Udzielając wywiadów, członkowie zespołu często opowiadali o dawnych czasach w Hamburgu i o starszej siostrze Wallego, u której zjadali jedyny porządny obiad w tygodniu. Słysząc z tego w świecie rock and rolla.

- Powodzenia w trasie - powiedziała.
- Lecisz do Budapesztu, prawda?
- Na konferencję handlową, owszem.
- Będą tam jacyś Niemcy z Niemiec Wschodnich?
- Tak, dlaczego pytasz?
- Myślisz, że któryś z nich mógłby przekazać płytę Alice?

Rebecca się skrzywiła.

- Nie wiem. Moje stosunki ze wschodnioniemieckimi politykami są chłodne. Oni uważają mnie za marionetkę kapitalistycznych imperialistów, a ja ich za bandziorów, którzy zostali narzuceni narodowi i terrorem trzymają ich w niewoli.

- A zatem nie ma mowy o wspólnym języku.
- Nie. Jednak spróbuję.
- Dzięki.

Wręczył jej płytę.

Rebecca spojrzała na zdjęcie na okładce, ukazujące czterech długowłosych mężczyzn w średnim wieku w dzinsach. Buzz, basista zespołu i kobieciarz, miał nadwagę. Perkusista, gej Lew, łysiał. U Dave'a, lidera zespołu, pojawiły się siwe nitki we włosach. Byli uznani, szanowani i bogaci. Pamiętała ich jako głodnych chłopców, przychodzących do tego mieszkania: chudych, pryszczatych, zabawnych, czarujących oraz pełnych nadziei i marzeń.

- Dobrze się spisaliście - powiedziała.
- Owszem - rzekł Walli. - Dobrze.

Ostatniego wieczoru budapeszteńskiej konferencji Rebecce i innym delegatom dano pokosztować węgierskiego tokaju. Zabrano ich do piwnicy przy państwowej rozlewni win.

Znajdowała się w Peszcie, na wschód od Dunaju. Poczęstowano ich kilkoma rodzajami tego białego wina: wytrawnym i mocnym, słabym i półsłodkim zwanym eszencia oraz słynnym wolno fermentującym aszú.

Na całym świecie państwowi urzędnicy wydają kiepskie przyjęcia i Rebecca obawiała się, że to też będzie nudne. Jednak stara piwnica z łukowatymi sklepieniami i rzędami beczek była przytulna i unosił się w niej aromatyczny zapach węgierskich zakąsek, nadziewanych grzybów i kielbasy.

Rebecca wybrała jednego ze wschodniemieckich delegatów i obdarzyła go swym najcieplejszym uśmiechem.

- Nasze niemieckie wina są najlepsze, nie uważa pan? - powiedziała.

Gawędziła z nim kilka minut, po czym zadała mu pytanie:

- Mam bratanicę w Berlinie Wschodnim i chcę jej wysłać płytę z muzyką rozrywkową, ale obawiam się, że zostanie uszkodzona na poczcie. Przekazałby ją pan w moim imieniu?

- Tak, chyba mógłbym - odparł niepewnie.

- Dam ją panu jutro przy śniadaniu, jeśli mogę. Jest pan bardzo miły.

- W porządku.

Był zakłopotany i Rebecca pomyślała, że może przekazać tę płytę Stasi, ale musiała spróbować.

Kiedy wszyscy odprężyli się pod wpływem wina, do Rebekki podszedł Frederik Bíró, węgierski polityk w jej wieku, którego lubiła. Specjalizował się w polityce zagranicznej, tak jak ona.

- Jak wygląda prawda o tym kraju? - zagadnęła go. - Jak naprawdę sobie radzi?

Spojrzał na zegarek.

- Jesteśmy około półtora kilometra od pani hotelu - rzekł. Dobrze mówił po niemiecku jak większość wykształconych Węgrów. - Chciałaby pani wrócić tam ze mną spacerem?

Odebrali swoje płaszcze i wyszli. Droga powrotna biegła wzdłuż szerokiej, ciemnej rzeki. Na drugim brzegu światła średniowiecznej starówki, Budy, romantycznie wznosiły się do pałacu na szczycie wzgórza.

- Komuniści obiecywali rozkwit gospodarki i ludzie są rozczarowani - opowiadał Bíró, gdy szli. - Nawet członkowie partii komunistycznej narzekają na rząd Kádára.

Rebecca odgadła, że mógł swobodniej mówić na otwartej przestrzeni, gdzie nie obawiał się podsłuchu.

- A rozwiązanie? - spytała.

- Dziwne jest to, że wszyscy znają odpowiedź na to pytanie. Rezygnacja z centralnego

sterowania, wprowadzenie ograniczonego wolnego rynku i zalegalizowanie szarej strefy zapewni rozwój gospodarczy.

- Kto stoi temu na drodze? - zapytała i uświadomiła sobie, że zarzuca go pytaniami jak prokurator na sali sądowej. - Przepraszam - powiedziała. - Nie chciałam pana przesłuchiwać.

- Nie ma za co - odparł z uśmiechem. - Lubię ludzi, którzy mówią bez ogródek. To oszczędza czas.

- Mężczyźni często nie lubią, kiedy tak zwraca się do nich kobieta.

- Nie ja. Można by rzec, że mam słabość do stanowczych kobiet.

- Ma pan taką żonę?

- Miałem. Jestem rozwiedziony.

Rebecca uświadomiła sobie, że to nie jej sprawa.

- Miał mi pan wyjaśnić, kto stoi na drodze reform.

- Piętnaście tysięcy biurokratów, którzy straciliby władzę i posady, pięćdziesiąt tysięcy wysokich urzędników partii komunistycznej, którzy podejmują większość decyzji, oraz János Kádár, który jest naszym przywódcą od tysiąc dziewięćset pięćdziesiątego szóstego roku.

Rebecca uniosła brwi. Bíró mówił niezwykle otwarcie. Przyszło jej do głowy, że ta szczerłość może nie jest zupełnie spontaniczna. Czyżby zaplanował tę rozmowę?

- Czy Kádár ma jakieś alternatywne rozwiązanie?

- Tak - odparł Bíró. - Aby utrzymać poziom życia węgierskich robotników, pożyczają coraz więcej pieniędzy od zachodnich banków, w tym niemieckich.

- I jak spłaciecie procenty od tych pożyczek?

- To dobre pytanie - rzekł Bíró.

Znaleźli się naprzeciw jej hotelu na drugim brzegu rzeki. Przystanęła i oparła się o balustradę.

- Czy Kádár jest stałym elementem sceny politycznej?

- Niekoniecznie. Jestem bliskim współpracownikiem obiecującego młodego człowieka, Miklósa Németha.

Ach, pomyślała Rebecca, zatem taki jest cel tej rozmowy: poinformować niemiecki rząd, po cichu i nieformalnie, że Németh jest reformatorem i rywalem Kádára.

- Jest po trzydziestce i bardzo bystry - ciągnął Bíró. - Jednak obawiamy się węgierskiej powtórki sytuacji w Związku Radzieckim, gdzie Breżniewa zastąpił Andropow, a tego Czernienko. To jak kolejka do ubikacji w domu starców.

Rebecca się roześmiała. Bíró przypadł jej do gustu.

Pochylił się i pocałował ją.

Była tylko trochę zdziwiona. Wyczuła, że mu się podoba. Zaskoczyło ją tylko to, że ten pocałunek sprawił jej taką przyjemność. Odwzajemniła go z ochotą.

Potem odsunęła się. Oparła dłonie o jego pierś i lekko go odepchnęła. Przyjrzała mu się w świetle latarni. Żaden mężczyzna po pięćdziesiątce nie wygląda jak Adonis, ale twarz Frederika świadczyła o inteligencji, współczuciu i umiejętności żartowania z kaprysów losu. Miał krótko ostrzyżone siwe włosy i niebieskie oczy. Nosił granatowy płaszcz i czerwony szalik: konserwatywny strój z wesołym akcentem

- Dlaczego się rozwiodłeś? - zapytała.

- Miałem romans i żona mnie zostawiła. Możesz mnie potępić.

- Nie - odparła. - Ja też popełniałam błędy.

- Żałowałem tego, kiedy było za późno.

- Dzieci?

- Dwoje, dorosłych. Wybaczyły mi. Marta ponownie wyszła za męża, ale ja wciąż jestem samotny. A ty?

- Rozwiodłam się z pierwszym mężem, kiedy odkryłam, że pracuje dla Stasi. Mój drugi mąż odniósł obrażenia podczas ucieczki przez mur berliński. Jeździł na wózku inwalidzkim, ale byliśmy szczęśliwą parą przez dwadzieścia lat. Umarł rok temu.

- Daję słowo, przydałoby ci się trochę szczęścia.

- Może je mam. Odprowadzisz mnie pod drzwi hotelu?

Przeszli przez ulicę. Na rogu, gdzie latarnie uliczne nie świeciły tak jasno, znów ją pocałował. Tym razem sprawiło jej to jeszcze większą przyjemność i przytuliła się do niego.

- Spędź ze mną tę noc - powiedział.

Korciło ją.

- Nie - odparła. - To za szybko. Ledwie cię znam.

- Ale jutro wracasz do kraju.

- Wiem.

- Możemy już nigdy więcej się nie spotkać.

- Jestem pewna, że się spotkamy.

- Możemy pójść do mojego mieszkania. Albo ja mogę pójść do twojego pokoju.

- Nie, chociaż pochlebia mi twoja wytrwałość. Dobranoc.

- Zatem dobranoc.

Odwróciła się.

- Często bywam w Bonn - powiedział. - Będę tam za dziesięć dni.

Odwróciła się z powrotem, z uśmiechem.

- Zjesz ze mną kolację? - zapytał.
- Z przyjemnością - odparła. - Zadzwoń do mnie.
- Dobrze.

Weszła do hotelowego holu uśmiechnięta.

Lili była w domu w dzielnicy Berlin-Mitte pewnego popołudnia, gdy jej bratanica Alice przysłała w ulewnym deszczu pożyczyć książki. Alice nie została przyjęta na uniwersytet, pomimo bardzo dobrych stopni, ponieważ jej matka była piosenkarką śpiewającą nieprawomyślne piosenki. Jednak Alice postanowiła kształcić się sama, więc wieczorami po pracy w fabryce uczyła się angielskiego. Carla miała małą biblioteczkę powieści w języku angielskim odziedziczoną po babci Maud. Lili przypadkowo była w domu, kiedy przysłała Alice, i poszły na górę do saloniku, żeby razem przeglądać książki, gdy deszcz bębnił o szyby. Były to stare wydania, zapewne przedwojenne, domyślała się Lili. Alice wybrała zbiór opowiadań o Sherlocku Holmesie. Lili wyliczyła, że będzie je czytać już czwarte pokolenie.

- Złożyliśmy podanie o pozwolenie na wyjazd do Niemiec Zachodnich.

Była pełna młodzieńczego entuzjazmu.

- My? - zapytała Lili.
- Helmut i ja.

Helmut był jej chłopakiem, o rok starszym. Miał dwadzieścia dwa lata i studiował na uniwersytecie.

- Z jakiegoś szczególnego powodu?

- Napisałam, że chcemy odwiedzić mojego ojca w Hamburgu. Dziadkowie Helmuta mieszkają we Frankfurcie. Jednak Plum Nellie odbywają światowe tournée i tak naprawdę chcemy zobaczyć występ taty. Może uda nam się zgrać nasz pobyt z jego koncertem w Niemczech, jeśli tam będzie.

- Na pewno będzie.
- Myślisz, że nam pozwolą?
- Może dopisze wam szczęście.

Lili nie chciała rozwiewać młodzieńczego optymizmu, ale mocno w to wątpiła. Jej zawsze odmawiano pozwolenia. Mało komu go udzielano. Władze będą podejrzewały, że tacy młodzi ludzie jak Alice i Helmut nie zamierzają wrócić.

Lili też to podejrzewała. Alice często z tęsknotą mówiła o życiu w Niemczech Zachodnich. Jak większość młodych ludzi chciała czytać nieocenzurowane książki i gazety, oglądać nowe filmy i sztuki oraz słuchać muzyki niezależnie od tego, czy zaaprobował ją

siedemdziesięciodwuletni Erich Honecker. Gdyby zdołała wyjechać z NRD, po co miałyby wracać?

- Wiesz - powiedziała Alice - większość tego, przez co nasza rodzina podpadła władzom, wydarzyło się, zanim przyszłam na świat. Nie powinni mnie karać.

Jednak twoja matka, Karolin, nadal śpiewa te piosenki, pomyślała Lili.

Zadzwonił dzwonek i po minucie usłyszały podniecone głosy w holu. Zeszły na dół sprawdzić i zastały Karolin stojącą tam w mokrej pelerynie. Dziwne, ale trzymała w ręku walizkę. Wpuściła ją Carla, która stała obok niej w holu, w fartuszkuz założonym na ubranie, w którym chodziła do pracy.

Twarz Karolin była zaczerwieniona i spuchnięta od płaczu.

- Mamo...? - powiedziała Alice.

- Czy coś się stało? - spytała Lili.

- Alice - odezwała się Karolin - twój ojczym mnie zostawił.

Lili była oszołomiona. Odo Vossler? Zaskoczyło ją to, że ten spokojny Odo miał odwagę zostawić żonę.

Alice bez słowa objęła matkę.

- Kiedy to się stało? - spytała Carla.

Karolin wytarła nos chusteczką.

- Powiedział mi trzy godziny temu. Chce rozwodu.

Biedna Alice, pomyślała Lili, porzucona przez dwóch ojców.

- Przecież pastorom nie wolno się rozwodzić! - z oburzeniem powiedziała Carla.

- Stan duchowny też porzuca.

- Wielkie nieba.

Lili uświadomiła sobie, że dla rodziny to istne trzęsienie ziemi.

Carla była praktyczna.

- Lepiej usiądź. Wszyscy chodźmy do kuchni. Alice, weź płaszcz od matki i powieś, żeby wysechł. Lili, zaparz kawę.

Lili nastawiła wodę i wyjęła ciasto z kredensu.

- Karolin, co naszło Odonę? - zapytała Carla.

Karolin spuściła oczy.

- Jest... - Najwyraźniej trudno było jej to powiedzieć. Nie patrząc nikomu w oczy, wyszeptała: - Odo mówi, że zrozumiał, iż jest homoseksualistą.

Alice wydała cichy okrzyk zdumienia.

- Wstrząsające! - zakrzyknęła Carla.

Lili nagle coś sobie przypomniała. Pięć lat temu, kiedy wszyscy spotkali się na Węgrzech i Walli po raz pierwszy zobaczył Odonę, zauważyła zdziwienie na jego twarzy, przelotne, ale wyraźnie widoczne. Czy Walli w tym momencie wyczuł, kim jest Odo?

Sama Lili też zawsze podejrzewała, że miłość Odonę do Karolin nie jest wielkim uczuciem, ale raczej chrześcijańską misją. Gdyby jakiś mężczyzna kiedyś oświadczył się Lili, nie chciała, żeby robił to z dobrego serca. Powinien pożądać jej tak bardzo, żeby nie móc utrzymać rąk przy sobie: to jedyny dobry powód do oświadczenia.

Karolin podniosła głowę. Teraz, gdy wyrzuciła z siebie tę okropną prawdę, mogła napotkać spojrzenie Carli.

- Tak naprawdę to żaden szok - powiedziała cicho. - Tak jakbym wiedziała.

- Skąd?

- Zaraz po ślubie był taki młodzieniec, Paul, bardzo przystojny. Parę razy w tygodniu bywał zapraszany na obiad i studiowanie Biblii w zakrystii, a w sobotnie popołudnia chodzili na spacer dla zdrowia po parku Treptower. Może nigdy nie robili nic więcej, bo Odo nie potrafił oszukiwać. Jednak kiedy się ze mną kochał, miałam wrażenie, że myśli o Paulu.

- I co się stało? Jak to się skończyło?

Słuchając, Lili pokroiła ciasto. Położyła kawałki na talerzu. Nikt się nie częstował.

- Nigdy nie poznałam całej tej historii - odparła Karolin. - Paul przestał przychodzić do naszego domu i do kościoła. Odo nigdy nie wyjaśnił powodu. Może obaj obawiali się fizycznego pociągu.

- Jako pastor Odo musiał przeżywać straszny konflikt sumienia - zauważyła Carla.

- Wiem. Tak mi go żal, kiedy się nie złościsz.

- Biedny Odo.

- Jednak Paul był tylko pierwszym z pół tuzina chłopców. Wszyscy byli podobni do siebie, strasznie przystojni i pobożni.

- A teraz?

- Teraz Odo znalazł prawdziwą miłość. Gorąco mnie przeprasza, ale postanowił stawić czoło temu, kim naprawdę jest. Przeprowadza się do niejakiego Eugena Freuda.

- I co będzie robił?

- Chce wykładać teologię na uniwersytecie. Mówi, że to jego prawdziwe powołanie.

Lili zalała wrzątkiem zmieloną kawę w dzbanku. Teraz, kiedy Odo i Karolin się rozwiodą, ciekawe, co pomyśli o tym Walli. Oczywiście, nie mógł wrócić do Karolin i Alice z powodu tego przeklętego muru berlińskiego. A czyby tego chciał? Nie związał się na stałe z żadną kobietą. Dla Lili to świadczyło o tym, że wciąż traktował Karolin jako prawdziwą

miłość swojego życia.

Jednak to były akademickie rozważania. Komuniści zdecydowali, że tych dwoje nie może być razem.

- Jeżeli Odo przestał być pastorem, będziesz musiała opuścić wasz dom - powiedziała Carla.

- Tak. Jestem bezdomna.

- Nie bądź niemądra. Zawsze masz tutaj dom.

- Wiedziałam, że to powiesz - rzekła Karolin i wybuchła płaczem.

Zadzwoił dzwonek do drzwi.

- Pójdę otworzyć - powiedziała Lili.

Na progu stali dwaj mężczyźni. Jeden nosił uniform szofera i trzymał parasol nad drugim, którym był Hans Hoffmann.

- Mogę wejść? - zapytał Hans i wszedł, nie czekając na odpowiedź. W ręku trzymał płaską paczkę.

Jego kierowca wrócił do limuzyny ZIŁ zaparkowanej przy krawężniku.

- Czego chcesz? - z odrazą zapytała Lili.

- Porozmawiać z twoją bratanicą, Alice.

- Skąd wiedziałeś, że tu będzie?

Hans uśmiechnął się i nie odpowiedział. Stasi wiedziało wszystko.

Lili poszła do kuchni.

- To Hans Hoffmann. Chce rozmawiać z Alice.

Alice wstała, pobladła z przestachu.

- Zaprowadź go na górę, Lili - poprosiła Carla. - I zostań z nimi.

Karolin zaczęła podnosić się z krzesła.

- Powinam pójść z nią.

Carla powstrzymała ją, kładąc dłoń na jej ramieniu.

- W tym stanie nie poradzisz sobie ze Stasi.

Karolin przyznała jej rację i usiadła z powrotem. Lili przytrzymała drzwi Alice, która wyszła z kuchni do holu. Obie poszły na górę, a Hans za nimi.

Lili odruchowo o mało nie zaproponowała Hansowi filiżanki kawy, ale powstrzymała się. Niechby padł z pragnienia.

Hans podniósł opowiadania o Sherlocku Holmesie, które Alice zostawiła na stole.

- Angielska - zauważył, jakby to potwierdzało jakieś podejrzenia. Usiadł, podciągając nogawki spodni z dobrej wełny, żeby ich nie pognieść. Położył paczkę na podłodze obok



krzesła. - A więc, młoda Alice - powiedział - chcesz pojechać na Zachód? Dlaczego?

Był teraz grubą rybą. Lili nie знаła jego rangi, lecz musiał być kimś więcej niż tylko tajniakiem. Wygłaszał przemówienia na zjazdach i rozmawiał z dziennikarzami. Jednak to mu nie przeszkadzało prześladować rodziny Francków.

- Mój ojciec mieszka w Hamburgu - wyjaśniła Alice w odpowiedzi na jego pytanie. - Tak jak moja ciotka Rebecca.

- Twój ojciec jest mordercą.

- To się zdarzyło, zanim się urodziłam. Chcecie mnie za to karać? To chyba nie jest ta wasza komunistyczna sprawiedliwość... a może?

Hans znów z wyniosłą miną skinął głową.

- Masz niewyparzony język, jak twoja babka. Wasza rodzina nigdy się nie nauczy.

- Nauczylismy się - gniewnie rzuciła Lili - że w komunizmie byle urzędasy mogą mścić się, nie zważając na prawo i sprawiedliwość.

- Myślisz, że takie gadanie przekona mnie, by zezwolić Alice na wyjazd?

- Ty przecież już zdecydowałeś - ze znużeniem powiedziała Lili. - Odmówicie jej. Nie przyszedłbyś, gdyby było inaczej. Chcesz się tylko tym napawać.

- W którym to dziele Karola Marksa czytamy, że w komunistycznym państwie robotnikom nie wolno podróżować do innych krajów? - zapytała Alice.

- Obecna sytuacja zmusza nas do wprowadzania ograniczeń.

- Wcale nie. Chcę zobaczyć ojca. Wy mi nie pozwalacie. Dlaczego? Tylko dlatego, że możecie! To nie ma nic wspólnego z socjalizmem, to po prostu tyrania.

Hans się skrzywił.

- Wy, burżuje - rzucił z niesmakiem - nie możecie znieść tego, że inni mają nad wami władzę.

- Burżuje? - powtórzyła Lili. - Ja nie mam szofera w liberii, który trzyma nade mną parasol, kiedy przechodzę z samochodu do domu. Alice też nie. W tym pokoju jest tylko jeden burżuj, Hans.

Podniósł paczkę i wręczył ją Alice.

- Otwórz - polecił.

Alice zdjęła opakowanie z brązowego papieru. W paczce była ostatnia płyta Plum Nellie, *Interpretacja snów*. Alice się rozpromieniła.

Lili zastanawiała się, jaki numer szykuje teraz Hans.

- Dlaczego nie puścisz płyty twojego ojca? - zapytał.

Alice wyjęła z kolorowej okładki białą kopertę z płytą. Potem sięgnęła po czarny

winyłowy krążek.

Był złamany na pół.

- Chyba jest uszkodzona. Co za szkoda - rzekł Hans.

Alice zaczęła płakać.

Hans wstał.

- Znam drogę do wyjścia - powiedział i wyszedł.

Unter den Linden to szeroki bulwar biegnący przez Berlin Wschodni do Bramy Brandenburskiej. Pod inną nazwą ulica ciągnęła się do Berlina Zachodniego przez park Tiergarten. Jednak od 1961 roku Unter den Linden kończyła się ślepo przy Bramie Brandenburskiej, zamknięta murem berlińskim. Z parku po zachodniej stronie widok na Bramę Brandenburską szpeciło wysokie, brzydkie, szarozielone ogrodzenie i tablica z napisem po niemiecku, głoszącym:

#### UWAGA

Opuszczasz Berlin Zachodni.

Za tym płotem była strefa śmierci przed murem.

Ekipa techniczna Plum Nellie zbudowała podium przed samym tym brzydkim płotem i ustawiła ścianę wielkich głośników, skierowanych w stronę parku. Pod nadzorem Wallego równie mocne kolumny zwrócono w przeciwną stronę, Berlina Wschodniego. Chciał, żeby usłyszała go Alice. Jakiś reporter powiedział mu, że rząd wschodniemiecki protestuje przeciwko ustawianiu tych kolumn.

- Powiedźcie im, że jeśli rozbiorą swój mur, ja zrobię to samo z moim - powiedział Walli i ten cytat znalazł się we wszystkich gazetach.

Początkowo zamierzali grać w Hamburgu, ale potem Walli się dowiedział, że Hans Hoffmann połamał płytę Alice, i w odwecie poprosił Dave'a o przeniesienie koncertu do Berlina, żeby milion Niemców ze Wschodu mogło usłyszeć piosenki, których Hoffmann chciał pozbawić Alice. Dave'owi bardzo spodobał się ten pomysł.

Teraz stali razem, patrząc ze sceny na tysiące wielbicieli zebranych w parku.

- To będzie najgłośniejszy występ, jaki kiedykolwiek daliśmy - zauważył Dave.

- To dobrze - odparł Walli. - Chcę, żeby usłyszeli moją gitarę aż w pieprzonym Lipsku.

- Pamiętasz dawne czasy? - spytał Dave. - Te blaszane głośniczki na stadionach baseballowych?

- Nikt nas nie słyszał, nawet sami się nie słyszeliśmy!

- Teraz sto tysięcy ludzi może słuchać muzyki brzmiącej tak, jak sobie wymarzymy.

- To istny cud.

Kiedy Walli wrócił do swojej garderoby, zastał tam Rebeccę.

- Fantastyczne - powiedziała. - W parku jest chyba sto tysięcy ludzi!

Była w towarzystwie siwowłosego mężczyzny mniej więcej w jej wieku.

- To mój przyjaciel Fred Bíró - przedstawiła go.

Walli uściskał mu dłoń.

- To zaszczyt pana spotkać - powiedział Fred po niemiecku z węgierskim akcentem.

Walli był rozbawiony. Jego pięćdziesięcioletnia siostra chodziła na randki! Cóż, to dobrze jej robi. Facet wydawał się w jej typie, intelektualista, ale z poczuciem humoru. A ona wyglądała młodziej, z fryzurą na księżną Dianę i w fioletowej sukience.

Pogawędzili chwilę, a potem zostawili go, żeby się przygotował. Walli włożył czyste niebieskie dzinsy i ogieńczerwoną koszulę. Zerkając w lustro, podmalował oczy, żeby tłum lepiej widział wyraz jego twarzy. Z niesmakiem wspominał czasy, gdy tak ostrożnie musiał dawkować sobie narkotyki: niewielką ilość pozwalającą mu przetrwać występ, a potem dużą porcję jako nagrodę. Ani przez moment nie miał ochoty wrócić do nałogu.

Wezwano go na scenę. Dołączył do Dave'a, Buzza i Lew. Przyszła cała rodzina Dave'a, żeby życzyć im powodzenia: jego żona Beep, ich jedenastoletni syn John Lee, rodzice Dave'a - Daisy i Lloyd, a nawet jego siostra Evie; wyglądali na dumnych z Dave'a. Walli cieszył się, widząc ich wszystkich, lecz ta obecność dotkliwie przypomniła mu, że nie może zobaczyć swojej rodziny: Wenera i Carli, Lili, Karolin i Alice.

Jednak przy odrobinie szczęścia usłyszą go po drugiej stronie muru.

Zespół wyszedł na scenę i tłum powitał ich radosnym wyciem.

Unter den Linden zakorkowały tysiące fanów Plum Nellie, starych i młodych. Lili i jej rodzina, włącznie z Karolin, Alice oraz jej chłopakiem Helmutem, byli tam od rana. Zajęli miejsce w pobliżu ustawionego przez policję kordonu mającego trzymać tłum z daleka od muru. W miarę jak tłum rósł w ciągu dnia, na ulicy zapanowała atmosfera radosnego święta; ludzie rozmawiali z obcymi, dzielili się piknikowym prowiantem i puszczały kasety Plum Nellie z przenośnych radiomagnetofonów. Gdy zapadł zmrok, otworzyli butelki z piwem i winem.

Potem zespół zaczął grać i tłum oszalał.

Mieszkańcy Berlina Wschodniego widzieli tylko cztery konie z brązu ciągnące rydwan zwycięstwa na szczycie łuku. Jednak słyszeli wszystko głośno i wyraźnie: perkusję Lew, dudniące basy Buzza, rytmiczne akordy Dave'a, a przede wszystkim doskonały baryton i

gitarowe solówki Wallego. Znajome piosenki płynęły z rzędów kolumn głośnikowych i urzekały falujący, tańczący tłum. To mój brat, myślała Lili; mój starszy brat, śpiewający dla świata. Werner i Carla mieli dumne miny, Karolin uśmiechała się, a Alice błyszczały oczy.

Lili spojrzała na pobliski budynek rządowy. Na balkoniku stało kilku mężczyzn w czarnych płaszczach i krawatach, dobrze widocznych w świetle ulicznych latarni. Ci nie tańczyli. Jeden robił zdjęcia tłumowi. Lili pojęła, że to Stasi. Fotografowali zdrajców nielojalnych wobec reżimu Honeckera - czyli prawie wszystkich.

Kiedy przyjrzała się im uważniej, miała wrażenie, że poznaje jednego z tych tajniaków. Była prawie pewna, że to Hans Hoffmann. Był wysoki i lekko zgarbiony. Zdawało jej się, że mówi coś gniewnie, gwałtownie machając prawą ręką. Udzielając wywiadu, Walli powiedział, że zespół chce zagrać tutaj, ponieważ Niemcom ze Wschodu nie wolno słuchać ich płyt. Hans musiał wiedzieć, że powodem koncertu i przybycia tu tego tłumowi jest to, że połamał płytę Alice. Nic dziwnego, że był wściekły.

Zobaczyła, jak desperacko rozkłada ręce, odwraca się i opuszcza balkon, znikając w budynku. Jedna piosenka się skończyła, a następna zaczęła. Tłum wrzasnął z aprobatą, rozpoznając początkowe akordy jednego z największych przebojów Plum Nellie. Z głośników popłynął głos Wallego: „To piosenka dla mojej córeczki”.

I zaśpiewał: „Tęsknię za tobą, Alicia”.

Lili spojrzała na Alice. Łzy płynęły jej po twarzy, ale uśmiechała się.

## ROZDZIAŁ 57

William Buckley, Amerykanin porwany w Libanie przez Hezbollah szesnastego marca 1984 roku, oficjalnie zajmował stanowisko oficera politycznego Ambasady USA w Bejrucie. W rzeczywistości był szefem tamtejszej placówki CIA.

Cam Dewar znał Billa Buckleya i uważał go za porządnego gościa. Bill był szczupłym mężczyzną noszącym konserwatywne garnitury od Brooks Brothers. Miał bujne siwiejące włosy i wygląd uwielbianego aktora. Zawodowy żołnierz, walczył w Korei i służył w siłach specjalnych w Wietnamie, skąd wrócił w stopniu pułkownika. W latach sześćdziesiątych podjął pracę w wydziale operacji specjalnych CIA. Był to wydział, który przeprowadzał zamachy.

Pięćdziesięciosiedmioletni Bill pozostał kawalerem. Według plotek krążących w Langley łączył go romans na odległość z niejaką Candace z Farmer w Karolinie Północnej. Ona pisała do niego miłosne listy, a on dzwonił do niej z różnych części świata. Kiedy przebywał w USA, byli kochankami. A przynajmniej tak mówiono.

Jak wszyscy w Langley, Cam był rozgniewany porwaniem i rozpaczliwie pragnął uwolnienia Billa. Jednak wszystkie wysiłki zawiodły.

I były jeszcze gorsze wiadomości. Jeden po drugim agenci i informatorzy Buckleya w Bejrucie zaczęli znikać. Widocznie Hezbollah zdobył ich nazwiska od Billa. A to oznaczało, że był torturowany.

CIA znała metody Hezbollahu i mogła odgadnąć, co się działo z Billem. Dzień po dniu i tydzień po tygodniu trzymali go w kapturze na głowie, ze skutymi rękami i nogami, w klatce niewiele większej od trumny. Po kilku miesiącach dosłownie oszaleje: będzie się ślinił, bełkotał, drżał, przewracał oczami i wydawał z siebie przeraźliwe wrzaski.

Dlatego Cam był bardzo zadowolony, kiedy w końcu ktoś opracował plan działania przeciwko porywaczom.

Ten plan nie wyszedł z CIA, tylko od prezydenckiego doradcy do spraw bezpieczeństwa narodowego, Buda McFarlane'a. Do personelu Buda należał bojowy podpułkownik piechoty morskiej, niejaki Oliver North, znany jako Ollie. Jednym z ludzi, których North zwerbował do pomocy, był Tim Tedder i to on powiedział Camowi o planie McFarlane'a.

Cam ochoczo zaprowadził Tima do gabinetu Florence Geary. Tim był dawnym agentem CIA i starym znajomym Florence. Jak zawsze miał włosy obcięte tak krótko, jakby nadal

służył w wojsku, a tego dnia nosił komplet safari, ze wszystkich cywilnych ubrań najbardziej przypominający wojskowy mundur.

- Zatrudnimy do tego cudzoziemców - wyjaśnił Tim. - Trzy zespoły po pięć osób. Nie będą to pracownicy CIA ani nawet Amerykanie. Jednak Agencja ich przeszkoli, wyposaży i załatwi finansowanie.

Florence skinęła głową.

- I co zrobią te zespoły? - zapytała beznamiętnie.

- Pomysł polega na tym, żeby dopaść porywaczy, zanim uderzą - rzekł Tim. - Kiedy się dowiemy, że planują porwanie, zamach bombowy lub jakąś inną akcję terrorystyczną, skierujemy jeden z zespołów, żeby wkroczył i wyeliminował przestępców.

- Pozwól, że wyrażę to jasno - powiedziała Florence. - Te zespoły będą zabijały terrorystów, zanim ci popełnią zbrodnię.

Najwyraźniej nie była tak podekscytowana tym planem jak Cam, który zaczął mieć złe przeczucia.

- Właśnie tak - potwierdził Tim.

- Mam tylko jedno pytanie - rzuciła Florence. - Czy wy dwaj postradaliście pierdolony rozum?

Cam był wściekły. Jak Florence mogła być temu przeciwna?

- Wiem, że to niekonwencjonalne... - zaczął urażony Tim.

- Niekonwencjonalne? - przerwała mu Florence. - Według prawa każdego cywilizowanego kraju to morderstwo. Bez procesu, bez dostarczania dowodów i jak sam przyznałeś, ludzie mający być celem tych ataków mogliby tylko myśleć o popełnieniu przestępstw.

- Właściwie to nie morderstwo - rzekł Cam. - Działalibyśmy jak policjant strzelający do przestępcy, który kieruje w niego broń. To uzasadniona samoobrona.

- Zatem teraz jesteś prawnikiem, Cam.

- To nie moja opinia, ale Sporkina.

Stanley Sporkin był radcą prawnym CIA.

- Cóż, Stan się myli - oświadczyła Florence. - Ponieważ nigdy nie widzimy wycelowanej broni. Nie wiemy, kto zamierza dokonać ataku terrorystycznego. Nie mamy tak dobrego wywiadu w Libanie. Nigdy nie mieliśmy. Tak więc zabijalibyśmy ludzi, których podejrzewalibyśmy o planowanie aktów terroru.

- Może moglibyśmy poprawić wiarygodność naszych informacji.

- A co z wiarygodnością cudzoziemskich wykonawców? Kim byliby członkowie tych

pięcioosobowych zespołów? Miejscowymi zabijakami? Najemnikami? Pracownikami jakiejś parszywej międzynarodowej firmy ochroniarskiej? Jak można takim ufać? Jak ich kontrolować? Tymczasem odpowiedzialność za wszystko, co by zrobili, spadłaby na nas, szczególnie gdyby zabili niewinnych ludzi!

- Nie, nie - zapewnił Tim. - Cała operacja byłaby przeprowadzona dyskretnie, tak żebyśmy mogli się jej wyprzeć.

- Nie bardzo w to wierzę. W końcu CIA ma ich wyszkolić, wyposażyć i sfinansować. A pomyśleliście o konsekwencjach politycznych?

- Mniej porwań i zamachów bombowych.

- Jak możecie być tak naiwni? Czy myślicie, że jeśli zaatakujemy w ten sposób Hezbollah, będą siedzieć spokojnie i mówić: „O rany, ci Amerykanie są twardsi, niż myśleliśmy, może zrezygnujemy z tego całego terroryzmu”? O nie. Będą domagać się zemsty! Na Bliskim Wschodzie przemoc zawsze rodzi przemoc. Jeszcze się tego nie nauczyliście? Hezbollah wysadził koszary piechoty morskiej w Bejrucie. Dlaczego? Według pułkownika Geraghty’ego, który wówczas dowodził marines, była to reakcja na ostrzał niewinnych muzułmanów w wiosce Suk al-Gharb przez Szóstą Flotę. Jedna zbrodnia rodzi drugą.

- Zatem zamierzasz się poddać i powiedzieć, że nic nie da się zrobić?

- Nie ma żadnego łatwego rozwiązania, tylko trudna polityczna robota. Zmniejszać napięcie, powstrzymywać obie strony i raz po raz zapraszać ich do negocjacji, obojętnie, ile razy je zerwą. Nie poddajemy się, ale cokolwiek się stanie, nie będzie eskalacji przemocy.

- Sądzę, że możemy...

Jednak Florence jeszcze nie skończyła.

- Ten plan jest przestępczy, niepraktyczny, miałby koszmarnie konsekwencje polityczne na Bliskim Wschodzie i zagraża reputacji CIA, prezydenta oraz USA. Jednak to nie wszystko. Jest jeszcze coś, co wyklucza jego realizację.

Zamilkła i Cam był zmuszony zapytać.

- Co?

- Prezydent zabronił nam dokonywania zabójstw. „Żadna osoba zatrudniona przez rząd Stanów Zjednoczonych lub działająca na jego rzecz nie będzie brała ani planowała wzięcia udziału w zabójstwie”. Zarządzenie numer dwanaście trzysta trzydzieści trzy. Ronald Reagan podpisał je w osiemdziesiątym pierwszym roku.

- Myślę, że już o tym zapomniał - rzekł Cam.

Maria spotkała się z Florence Geary w centrum Waszyngtonu w domu towarowym Woodwarda i Lothrop, nazywanym przez wszystkich Woodies. Umówiły się na spotkanie w dziale biustonoszy. Większość agentów to mężczyźni i każdy, który by tam za nimi poszedł, rzucałby się w oczy. Mógłby nawet zostać aresztowany.

- Kiedyś nosiłam trzydzieści cztery A - powiedziała Florence. - Teraz noszę trzydzieści sześć C. Co się stało?

Maria zachichotała. Miała czterdzieści osiem lat, więc była trochę starsza od Florence.

- Witaj w klubie kobiet w średnim wieku - powiedziała. - Zawsze miałam duży tyłek, ale za to małe i dumnie sterczące cycki. Teraz potrzebują solidnego oparcia.

W ciągu dwudziestu lat pracy w Waszyngtonie Maria pieczołowicie nawiązywała kontakty. Szybko się przekonała, ile - dobrego lub złego - można zrobić dzięki odpowiednim znajomościom. W czasach, gdy CIA wykorzystywała Florence jako sekretarkę, zamiast ją szkolić na agentkę, co jej obiecano, sympatyzowała z nią jak kobieta z kobietą. Maria miała znajomości głównie wśród kobiet, zawsze o liberalnych poglądach. Wymieniała z nimi informacje, ostrzegając o groźnych posunięciach przeciwników politycznych, i dyskretnie pomagała im, często nadając priorytet zadaniom, które konserwatywni mężczyźni zepchnęliby na boczny tor. Mężczyźni zachowywali się podobnie.

Obie wzięły teraz po kilka staników i poszły je przymierzać. Był wtorkowy wieczór, przymierzalnia była pusta. Pomimo to Florence mówiła ściszym głosem.

- Bud McFarlane wymyślił plan, który jest kompletnym szaleństwem - powiedziała, rozpinając bluzkę. - Jednak Bill Casey zgodził się na udział CIA. - Casey, kumpel prezydenta Reagana, był dyrektorem CIA. - A prezydent się zgodził.

- Co to za plan?

- Szkolimy ekipy zabójców złożone z cudzoziemców, żeby zabijali terrorystów w Bejrucie. Nazywają to wyprzedzającymi działaniami antyterrorystycznymi.

Maria była wstrząśnięta.

- Przecież według prawa to przestępstwo. Jeśli do tego dojdzie, McFarlane, Casey i Ronald Reagan będą mordercami.

- Właśnie.

Obie zdjęły biustonosze i stanęły obok siebie przed lustrem.

- Widzisz? - powiedziała Florence. - Straciły ten swój powalający wygląd.

- Moje też.

Maria pomyślała, że kiedyś byłaby zbyt skrupowana, żeby robić coś takiego z białą kobietą. Może świat naprawdę się zmienia.



Zaczęły przymierzać nowe biustonosze.

- Czy Casey poinformował komisję do spraw wywiadu? - zapytała Maria.

- Nie. Reagan postanowił zawiadomić tylko przewodniczących i wiceprzewodniczących obu komisji oraz przywódców republikanów i demokratów w Izbie Reprezentantów i Senacie.

Maria domyśliła się, że to dlatego George Jakes nic o tym nie wiedział. Reagan wykonał sprytny ruch. W komisjach do spraw wywiadu było kilku liberałów, mających dopilnować, aby zostały zadane przynajmniej niektóre krytyczne pytania. Reagan znalazł jednak sposób, jak z tego wybrnąć: pominął krytykujących i poinformował tylko tych, których poparcia był pewny.

- Jeden z tych zespołów jest teraz w Stanach na dwutygodniowym szkoleniu - dodała Florence.

- Zatem cała ta operacja jest już dość zaawansowana.

- Owszem. - Florence przejrzała się w lustrze w czarnym biustonoszu. - Mój Frank jest zadowolony z tego, że mój biust się powiększył. Zawsze chciał mieć żonę z dużymi cyckami. Twierdzi, że pójdzie do kościoła podziękować Bogu.

Maria się roześmiała.

- Masz fajnego męża. Mam nadzieję, że spodobają mu się te nowe biustonosze.

- A co z tobą? Kto doceni twoją nową bieliznę?

- Znasz mnie. Moje życie to praca.

- Zawsze tak było?

- Był jeden facet, dawno temu, ale umarł.

- Przykro mi.

- Dziękuję.

- A potem już nikogo?

- Jedno bliskie trafienie - odparła prawie bez wahania. - Wiesz, lubię mężczyzn i seks, ale nie jestem gotowa zrezygnować z całego mojego życia, żeby zostać dodatkiem do jakiegoś faceta. Twój Frank najwyraźniej to rozumie, ale niewielu jest takich mężczyzn.

Florence skinęła głową.

- Kochana, masz zupełną rację.

Maria zmarszczyła brwi.

- Co chcesz, żeby zrobiła w sprawie tych ekip zabójców?

Przyszło jej do głowy, że Florence jest jednak tajną agentką i mogła odkryć lub odgadnąć, że to ona przekazuje informacje Jasperowi Murrayowi. Czy chciała, żeby przekazała mu i tę?

Jednak Florence nie chciała.

- Nie proszę cię, żebyś robiła cokolwiek w tej chwili. Ten plan wciąż jest tylko głupim pomysłem, który może zostać zduszony w zarodku. Chciałam tylko mieć pewność, że wie o tym ktoś spoza kręgów wywiadu. Jeśli gównu wpadnie w wentylator i Reagan zacznie kłamać o morderstwach tak jak Nixon o włamaniu, przynajmniej ty będziesz znała prawdę.

- A tymczasem módlmy się, żeby do tego nie doszło.

- Amen.

- Wybraliśmy pierwszy cel - powiedział Tim Tedder do Cama. - Załatwimy grubą rybę.

- Fadlallaha?

- Jego samego.

Cam skinął głową. Muhammad Hussein Fadlallah był wybitnym islamskim teologiem i wielkim ajatollahem. W swoich kazaniach wzywał do zbrojnego oporu przeciwko izraelskiej okupacji Libanu. Hezbollah twierdził, że jest dla niej inspiracją, niczym więcej, lecz CIA była przekonana, że to Fadlallah stał za szeregiem porwań. Cam chętnie zobaczyłby go martwego.

Siedział z Timem w swoim gabinecie w Langley. Na biurku stało oprawione w ramki jego zdjęcie z prezydentem Nixonem, z którym prowadził ożywioną rozmowę. Langley było jednym z niewielu miejsc, gdzie człowiek wciąż mógł być dumny z tego, że pracował dla Nixona.

- Czy Fadlallah planuje następne porwania? - spytał Cam.

- A czy papież planuje następne chrzty?

- Co z zespołem? Czy można im ufać? Można ich kontrolować?

Zastrzeżeń Florence Geary nie wzięto pod uwagę, ale jej obawy nie były bezpodstawne i Cam pamiętał, co o tym mówiła.

Tim westchnął.

- Cam, gdyby byli godnymi zaufania, odpowiedzialnymi ludźmi mającymi szacunek dla władzy, nie byłiby płatnymi zabójcami do wynajęcia. Można na nich polegać do pewnego stopnia, jak na wszystkich takich ludziach. I na razie mniej więcej ich kontrolujemy.

- Cóż, przynajmniej nie my ich finansujemy. Dostałem pieniądze od Saudyjczyków: trzy miliony dolarów.

Tim uniósł brwi.

- Dobra robota.

- Dzięki.

- Moglibyśmy praktycznie przekazać kierowanie całą tą operacją saudyjskiemu

wywiadowi, żeby w razie czego łatwiej się jej wyprzeć - zauważył Tedder.

- Dobry pomysł. Jednak nawet wtedy będziemy potrzebowali dobrej przykrywki po zlikwidowaniu Fadlallaha.

Tim zastanawiał się chwilę, zanim odpowiedział:

- Obwińmy Izrael.

- Taak.

- Wszyscy chętnie uwierzą, że Mossad zrobił coś takiego.

Cam zmarszczył brwi.

- Nadal się niepokoję. Wolałbym wiedzieć, jak zamierzają to zrobić.

- Lepiej, jeśli nie będziesz wiedział.

- Muszę to wiedzieć. Może polecę do Libanu. Przyjrzeć się temu bliżej.

- Jeśli to zrobisz - rzekł Tim - to uważaj.

Cam wypożyczył białą toyotę corollę i z centrum Bejrutu pojechał na południe, na zdominowane przez muzułmanów przedmieście Bir el-Abed. Była do dżungla brzydkich betonowych apartamentowców z rozrzuconymi w niej ładnymi meczetami, usytuowanymi na rozległych parcelach niczym ozdobne drzewa rosnące na starannie karczowanych polanach w gęstym świerkowym lesie. Chociaż kraj należał do biednych, na ulicach panował ożywiony ruch, a sklepy i stragany oblegały tłumy. Dzień był upalny, a toyota nie miała klimatyzacji, ale Cam nie otwierał okien, obawiając się kontaktu z natrętnymi mieszkańcami.

Był już raz w tej dzielnicy z przewodnikiem z CIA, więc szybko odnalazł ulicę, przy której mieszkał ajatollah Fadlallah. Powoli przejechał obok wysokiego budynku i zaparkował sto metrów dalej po drugiej stronie drogi.

Przy ulicy stało jeszcze kilka innych apartamentowców, kino i - co najważniejsze - meczet. Codziennie po południu Fadlallah o tej samej porze opuszczał swoje mieszkanie i szedł do meczetu.

Wybrali ten moment, żeby go zabić.

Boże, proszę, tylko bez kiksów, modlił się Cam.

Na całym tym krótkim odcinku ulicy, który musiał przejść Fadlallah, stały przy krawężniku ciasno zaparkowane samochody. W jednym z nich znajdowała się bomba. Cam nie wiedział w którym.

Gdzieś w pobliżu przyczajony zamachowiec tak jak Cam obserwował teren i czekał na ajatollaha. Cam przyjrzał się samochodom i oknom wychodzącym na ulicę. Nie zauważył obserwatora. To dobrze. Zamachowiec był dobrze ukryty i tak powinno być.

Saudyjczycy zapewnili Cama, że nie ucierpią żadne postronne osoby. Fadlallah nigdy nie wychodził bez ochroniarzy: kilku z nich niewątpliwie odniesie rany, ale zawsze trzymali tłumy z daleka od swojego przywódcy.

Cam obawiał się, że zasięgu rażenia bomby nie da się tak dokładnie wyliczyć. Jednak na wojnie zawsze są ofiary wśród ludności cywilnej. Spójrzcie na te wszystkie japońskie kobiety i dzieci zabite w Hiroszynie i Nagasaki. Oczywiście, Stany Zjednoczone toczyły wojnę z Japonią, a z Libanem nie, lecz Cam uważał, że można tu zastosować tę samą zasadę. Jeśli paru przechodniów zostanie pokaleczonych i posiniaczonych, to cel niewątpliwie uświęca środki.

Jednak przeraziła go liczba przechodniów. Bomba w samochodzie sprawdza się w odludnym miejscu. Tutaj lepszy byłby strzelec z karabinem snajperskim.

Za późno, by to zmienić.

Spojrzał na zegarek. Fadlallah się spóźnił. To było denerwujące. Cam popędzał go w myślach.

Na ulicy było mnóstwo kobiet i dziewcząt. Zadał sobie pytanie dlaczego. Po chwili zorientował się, że wyszły z meczetu. Widocznie były na jakimś zebraniu, muzułmańskim odpowiedniku spotkania matek. Niestety, zatłoczyły tę przekłętą ulicę. Teraz Cam zapragnął, żeby Fadlallah pojawił się jeszcze później.

Ponownie popatrzył na budynki, szukając obserwatora z jakimś radionadajnikiem włączającym detonator. Tym razem wydało mu się, że go dostrzeżga. Trzysta metrów dalej okno w bocznej ścianie budynku naprzeciwko meczetu było otwarte. Cam nie zauważyłby tego człowieka, gdyby popołudniowe słońce nie przesunęło cieni tak, że ujawniły jego obecność. Nie widział twarzy mężczyzny, ale odczytał mowę ciała: spiętego, nieruchomego, czekającego, trzymającego w dłoniach coś, co mogło być radiem tranzystorowym z wyciąganą anteną, gdyby nie ścisnął tego czegoś tak kurczowo.

Z meczetu wychodziło coraz więcej kobiet, niektóre tylko w hidżabach zasłaniających włosy, inne w zakrywających wszystko burkach. Zajmowały całą ulicę. Cam miał nadzieję, że ten tłum szybko się rozejdzie.

Popatrzył w kierunku budynku, w którym mieszkał Fadlallah, i z przerażeniem zobaczył, że ajatollah wychodzi, otoczony przez sześciu czy siedmiu innych mężczyzn.

Fadlallah był niskim starcem z długą białą brodą. Nosił czarną kefię i długie białe szaty. Jego twarz miała ożywiony, inteligentny wyraz i śmiał się z czegoś, co mówił jeden z jego towarzyszy, gdy wyszli z budynku.

- Nie - powiedział Cam. - Nie teraz. Nie teraz!

Popatrzył na ulicę. Na chodnikach wciąż był tłum kobiet i dziewcząt, rozmawiających, śmiejących się, z widoczną w tych uśmiechach i gestach ulgą ludzi opuszczających świątynię po nabożeństwie.

Spełniwszy swój obowiązek i oczyściwszy dusze, były gotowe wrócić do codzienności: nadchodzącego wieczoru, kolacji, rozmów, rozrywek, rodzin i przyjaciół.

Tylko że niektóre z nich miały umrzeć.

Cam wyskoczył z samochodu.

Rozpaczliwie pomachał w kierunku okna mieszkania, w którym krył się zamachowiec, ale nie dostrzegł żadnej reakcji. I nic dziwnego: znajdował się za daleko, a ten człowiek skupił uwagę na Fadlallahu.

Cam spojrzął na drugą stronę ulicy. Fadlallah oddalał się od niego, idąc różnym krokiem w kierunku meczetu i stanowiska obserwatora. Do wybuchu pozostały sekundy.

Cam pobiegł ulicą w tamtą stronę, ale musiał przedzierać się przez tłum. Przyciągał zaciekawione i wrogie spojrzenia - biały biegnący w tłumie muzułmanek. Zrównał się z Fadlallahem i zauważył, że jeden z ochroniarzy pokazuje go palcem. Za kilka sekund ktoś go zatrzyma.

Pobiegł dalej, zapominając o ostrożności. Piętnaście metrów od okna zatrzymał się, krzyknął i pomachał do znajdującego się na piętrze zamachowca. Teraz widział go wyraźnie: młody Arab z rzadką brodą i przerażoną miną.

- Nie rób tego! - wrzasnął Cam, wiedząc, że ryzykuje życie. - Przerwij akcję! Na miłość boską, przerwij akcję!

Ktoś od tyłu złapał go za ramię i warknął coś chrapliwie po arabsku.

Nagle rozległ się potworny huk.

Podmuch rzucił Cama na ziemię.

Nie mógł złapać tchu, jakby ktoś przyłożył mu w plecy deską. Bolała go głowa. Słyszał krzyki, przekleństwa i rumor osypującego się gruzu. Przetoczył się na bok, dysząc, po czym podniósł się z ziemi. Był żywy i o ile mógł powiedzieć, nie odniósł poważnych ran. Jakiś Arab leżał nieruchomo u jego stóp, zapewne ten, który złapał go za ramię. Wyglądało na to, że mimowolnie przyjął na siebie całą siłę wybuchu, osłaniając Cama.

Ten spojrzął na ulicę.

- O mój Boże - jęknął.

Wszędzie leżały ciała, straszliwie powykręcane, zakrwawione i poszarpane. Ludzie, którzy nie leżeli bez ruchu, zataczali się, zaciskając rękami rany, krzyczeli i szukali swoich najbliższych. Podmuch zdarł z niektórych ich luźne wschodnie szaty i wiele kobiet pozostało

półnago w obscenicznych pozach gwałtownej śmierci.

Wybuch zniszczył frontowe ściany dwóch apartamentowców, z których nadal sypały się kawałki murów i domowe sprzęty: potężne kawały betonu, fotele i telewizory. Kilka budynków stało w płomieniach. Jezdnia była zasypana zniszczonymi samochodami, jakby zrzuconymi z dużej wysokości.

Cam natychmiast zrozumiał, że ładunek był za duży, o wiele za duży.

Po drugiej stronie ulicy zobaczył białą brodę i czarną kefię Fadlallaha, którego ochroniarze pośpiesznie prowadzili w kierunku jego kamienicy. Wyglądało na to, że nawet nie został ranny.

Akcja się nie powiodła.

Cam popatrzył na pobożowisko wokół. Ilu było zabitych? Podejrzewał, że pięćdziesięciu lub sześćdziesięciu, a może nawet siedemdziesięciu. I setki rannych.

Musiał się stąd wydostać. Za chwilę ludzie zaczną się zastanawiać, czyja to sprawka. Chociaż miał posiniaczoną twarz i podarte ubranie, rozpoznają w nim Amerykanina. Musiał stąd odejść, zanim ktoś sobie uświadomi, że mają okazję, by natychmiast się zemścić.

Pospieszył do swojego samochodu. Wszystkie szyby zostały wybite, ale wyglądało na to, że wóz może ruszyć. Szarpnięciem otworzył drzwi. Na fotelu leżało potłuczone szkło. Zerwał z siebie marynarkę i zmiótł nią odłamki z siedzenia. Potem, na wypadek gdyby jakieś przeoczył, złożył marynarkę i umieścił ją na siedzeniu. Wsiadł i przekręcił kluczyk w stacyjce.

Silnik zapalił.

Cam ruszył, zawrócił i odjechał.

Przypomniał sobie stwierdzenie Florence Geary, które wówczas uznał za historyczną przesadę. „Według prawa każdego cywilizowanego kraju to morderstwo”, powiedziała.

Jednak to nie było zwykłe morderstwo. To było masowe morderstwo.

I winnym był prezydent Ronald Reagan.

A także Cam Dewar.

Na stolyczku w salonie Jack układał puzzle ze swoją chrzestną, Marią, a jego ojciec, George, przyglądał się temu. Było niedzielne popołudnie w domu Jacky Jakes w hrabstwie Prince George. Wszyscy poszli razem do Kościoła Ewangelickiego Bethel, potem zjedli przygotowane przez Jacky kotlety wieprzowe w sosie cebulowym z czarną fasolą. Później Maria wyjęła przyniesione puzzle, starannie wybrane tak, aby nie były zbyt łatwe czy trudne dla pięcioletniego chłopca. Maria wkrótce wyjdzie, a George odwiezie Jacka do domu

Vereny. Potem George przesiedzi kilka godzin przy kuchennym stole nad dokumentami, przygotowując się do nadchodzącego tygodnia pracy w Kongresie.

Jednak teraz mieli chwilę spokoju, bez niecierpiących zwłoki spraw. Popołudniowe słońce oświetliło dwie głowy pochylone nad puzzlami. Jack będzie przystojny, pomyślał George. Miał wysokie czoło, szeroko rozstawione oczy, zgrabny płaski nos, uśmiechnięte usta i ładnie zarysowaną brodę, a wszystko w dobrych proporcjach. Rysy twarzy już świadczyły o charakterze. Teraz całkowicie pochłonęło go intelektualne wyzwanie, jakim były te puzzle, i każdy poprawnie umieszczony przez siebie lub Marię fragment kwitował uśmiechem satysfakcji, który rozjaśniał jego twarzyczkę. George nigdy nie widział czegoś tak fascynującego i poruszającego jak to, ten rozwijający się umysł synka, codziennie nabywana wiedza o liczbach i literach, mechanizmach, ludziach i grupach społecznych. Widok Jacka biegnącego, skaczącego i grającego w piłkę był cudowny, ale George'a jeszcze bardziej poruszało głębokie skupienie, z jakim chłopczyk podchodził do zajęć wymagających myślenia. Na widok tego stawały mu w oczach łzy dumy, wdzięczności i zachwytu.

Był także wdzięczny Marii. Przychodziła raz w miesiącu, zawsze przynosząc jakiś prezent i spędzając trochę czasu z chrześniakiem, cierpliwie czytając mu coś, rozmawiając lub bawiąc się z nim. Maria i Jacky zapewniły Jackowi poczucie stabilizacji podczas traumy wywołanej rozwodem rodziców. Minął rok, odkąd George wyprowadził się od Vereny. Jack już nie budził się w nocy z płaczem. Wydawało się, że przyzwyczyił się do nowego życia, chociaż George nie przestał się zamartwiać o ewentualny długoterminowy wpływ tej sytuacji na psychikę chłopca.

Skończyli układać. Babcia Jacky została wezwana, żeby podziwiać dzieło, a potem zabrała Jacka do kuchni na szklanek mleka i ciasto.

- Dziękuję za wszystko, co robisz dla Jacka - powiedział George. - Jesteś najlepszą matką chrzestną na świecie.

- To żadne poświęcenie - odparła. - Jego widok to radość dla oczu.

Maria za rok kończyła pięćdziesiątkę. Nigdy nie urodzi własnego dziecka. Miała siostrzenice i siostrzeńców w Chicago, lecz głównym obiektem jej uczuć macierzyńskich był Jack.

- Muszę ci coś powiedzieć - oznajmiła. - Coś ważnego.

Wstała i zamknęła drzwi salonu, a George zastanawiał się, co to takiego.

Usiadła, zanim zaczęła mówić.

- Ten przedwczorajszy zamach bombowy w Bejrucie.

- Był straszny - powiedział George. - Zginęło osiemdziesiąt osób, a dwieście zostało

rannych, głównie kobiety i dziewczęta.

- Tej bomby nie podłożyli Izraelczycy.

- A więc kto?

- My.

- O czym ty mówisz, do diabła?

- To była operacja antyterrorystyczna prezydenta Reagana. Sprawcami są Libańczycy, ale wyszkoleni, finansowani i kierowani przez CIA.

- Jezu. Przecież prawo nakazuje prezydentowi informować moją komisję o tajnych operacjach.

- Sądzę, że odkryjesz, że poinformował jej przewodniczącego i wiceprzewodniczącego.

- To potworne - rzekł George. - Jednak widzę, że jesteś pewna swoich słów.

- Wiem o tym od wysokiego funkcjonariusza CIA. Wielu weteranów Agencji było przeciwnych tej operacji. Jednak prezydent chciał, by została przeprowadzona, i Bill Casey ją przeforsował.

- Co, do licha, w nich wstąpiło? - dziwił się George. - Popełnili masowe morderstwo!

- Rozpaczliwie chcą położyć kres porwaniom. Myślą, że stoi za nimi Fadlallah. Próbowali go zlikwidować.

- I spieprzyli sprawę.

- Kompletnie.

- To musi wyjść na jaw.

- Też tak uważam.

Weszła Jacky.

- Nasz młody człowiek jest gotowy wrócić do matki.

- Już idę. - George wstał. - W porządku - powiedział do Marii. - Zajmę się tym.

- Dzięki.

George wsiadł z Jackiem do samochodu i powoli pojechał podmiejskimi ulicami do domu Vereny. Brązowy cadillac Jaspersa Murraya stał na podjeździe obok jej czerwonego jaguara. Dobra okazja, jeżeli to oznaczało, że Jasper tam jest.

Verena otworzyła drzwi w czarnym bawełnianym T-shircie i wyblakłych niebieskich dżinsach. George wszedł do środka, a Verena zabrała Jacka do łazienki, żeby go wykapać. Jasper wyszedł z kuchni.

- Pozwolisz na słówko? - powiedział George.

Jasper spojrzał na niego czujnie, ale zgodził się.

- Jasne.



- Możemy pójść do... - George o mało nie powiedział „mojego gabinetu”, ale powstrzymał się. - Do gabinetu?

- Dobrze.

Z ukłuciem żalu zobaczył, że maszyna do pisania Jaspera stoi na jego starym biurku obok sterty książek potrzebnych dziennikarzowi: Kto jest kim w Ameryce, Atlasu świata, encyklopedii Pearsa oraz almanachu amerykańskiej polityki.

Gabinet był niewielki i znajdował się w nim tylko jeden fotel. Żaden z nich dwóch nie chciał usiąść na krześle za biurkiem. Po niezręcznej chwili wahania Jasper wyciągnął krzesło zza biurka i postawił je naprzeciw fotela, po czym obaj usiedli.

George powiedział mu to, o czym poinformowała go Maria, nie podając jej nazwiska. Mówiąc, zastanawiał się, dlaczego Verena wolała Jaspera od niego. Jego zdaniem Murray był bezwzględny egoistą. George zadał to pytanie matce, która powiedziała: „Jasper jest gwiazdą telewizji. Ojciec Vereny jest gwiazdą filmu. Przez siedem lat pracowała dla Martina Luthera Kinga, który był gwiazdą ruchu obrońców praw obywatelskich. Może jej mężczyzna musi być gwiazdą. Chociaż co ja tam wiem?”.

- To dynamit. - Jasper wyprostował się gwałtownie na krześle, kiedy George opowiedział mu całą historię. - Jesteś pewny wiarygodności źródła?

- Z tego samego źródła pochodziły informacje, które przekazałem ci poprzednio. Jest absolutnie wiarygodne.

- To czyni prezydenta Reagana mordercą.

- Tak - odparł George. - Wiem.

## ROZDZIAŁ 58

W tę niedzielę, gdy Jacky, George, Maria i mały Jack byli w kościele i śpiewali *Shall We Gather at the River*, w Moskwie zmarł Konstantin Czernienko.

Stało się to dwadzieścia po siódmej wieczorem czasu moskiewskiego. Dimka i Natalia byli w domu, jedli na kolację zupę fasolową ze swoją córką Katią, piętnastoletnią uczennicą, oraz synem Dimki, Griszą, dwudziestojednoletnim studentem uniwersytetu. Telefon zadzwonił o siódmej trzydzieści. Odebrała Natalia. Gdy tylko powiedziała: „Cześć, Andriej”, Dimka domyślił się, co zaszło.

Czernienko był umierający, odkąd został przywódcą przed trzynastoma miesiącami. Teraz leżał w szpitalu z marskością wątroby i rozedmą płuc. Cała Moskwa niecierpliwie czekała na jego śmierć. Natalia przekupiła Andrieja, pielęgniarza w szpitalu, żeby zadzwonił do niej, gdy tylko Czernienko wyda ostatnie tchnienie. Teraz odłożyła słuchawkę i potwierdziła domysł Dimki.

- Sekretarz generalny zmarł.

Odżyła nadzieja. Po raz trzeci w ciągu niespełna trzech lat zmarł znużony, stary, konserwatywny przywódca. Znowu pojawiła się szansa na to, by jego miejsce zajął jakiś młody człowiek, który zmieni Związek Radziecki w taki kraj, o jakim Dimka marzył dla swoich dzieci, a w przyszłości także dla wnucząt. Jednak już dwukrotnie te nadzieje zostały przekreślone. Czy teraz też się tak stanie?

Odsunął talerz.

- Musimy natychmiast działać - powiedział. - O sukcesji zadecyduje kilka następnych godzin.

Natalia potwierdziła skinieniem głowy.

- Ważne jest tylko to, kto będzie przewodniczył następnemu posiedzeniu Politbiura - dodała.

Dimka pomyślał, że ma rację. Właśnie tak to wygląda w Związku Radzieckim. Gdy tylko jeden pretendent wysunie się na prowadzenie, nikt już nie stawia na inne konie.

Michaił Gorbaczow był drugim sekretarzem, a więc oficjalnym zastępcą zmarłego przywódcy. Jednak jego nominacji na to stanowisko gorąco sprzeciwiała się stara gwardia, która wolała szefa moskiewskiej organizacji partyjnej, Wiktora Griszyina, siedemdziesięcioletniego przeciwnika reform. Gorbaczow wygrał wybory tylko jednym głosem.

Dimka i Natalia odeszli od stołu i przeszli do sypialni, nie chcąc rozmawiać o tym przy dzieciach. Dimka stanął przy oknie, patrząc na światła Moskwy, podczas gdy Natalia usiadła na brzegu łóżka. Nie mieli wiele czasu.

- Po śmierci Czernienki - rzekł Dimka - zostało dokładnie dziesięciu rzeczywistych członków Politbiura, włącznie z Gorbaczowem i Griszynem. - Ci członkowie tworzyli wewnętrzny krąg radzieckiej władzy. - Według moich obliczeń głosy dzielą się po połowie: Gorbaczow ma czterech zwolenników i Griszyn tyle samo.

- Jednak nie wszyscy są w mieście - przypomniała Natalia. - Dwaj ludzie Griszyina wyjechali: Szczerbicki jest w Stanach Zjednoczonych, a Kunajew u siebie w Kazachstanie, pięć godzin lotu stąd.

- Ale jeden z ludzi Gorbaczowa, Worotnikow, jest w Jugosławii.

- Pomimo to przez kilka następnych godzin mamy przewagę trzech do dwóch.

- Gorbaczow musi zwołać na wieczór posiedzenie członków rzeczywistych. Proponuję, żeby jako powód podać zaplanowanie pogrzebu. Zwoławszy posiedzenie, może mu przewodniczyć. A wtedy wyda się zupełnie naturalne, że będzie przewodniczył wszystkim następnym i zostanie przywódcą.

Natalia zmarszczyła brwi.

- Masz rację, choć wolałabym to przyklepać. Nie chcę, by nieobecni przylecieli jutro i powiedzieli, że wszystko trzeba omówić ponownie, ponieważ ich tu nie było.

Dimka zastanawiał się chwilę.

- Nie wiem, co innego możemy zrobić - rzekł.

Zadzwoił do Gorbaczowa z aparatu stojącego w sypialni. Gorbaczow już wiedział, że Czernienko nie żyje - on też miał swoich szpiegów. Zgodził się z Dimką, że należy natychmiast zwołać posiedzenie.

Dimka z Natalią włożyli grube zimowe płaszcze i buty, po czym pojechali na Kreml.

Godzinę później najbardziej wpływowi ludzie w ZSRR zebrali się w sali Prezydium. Dimka wciąż się niepokoił. Grupa Gorbaczowa potrzebowała mistrzowskiego posunięcia, które nieodwołalnie uczyniłoby drugiego sekretarza przywódcą.

Tuż przed posiedzeniem Gorbaczow wyciągnął królika z kapelusza. Podeszedł do swojego rywala i oficjalnie go zagadnął.

- Wiktorze Wasiljewiczu, czy chciałbyś przewodniczyć temu posiedzeniu?

Dimka, stojący dostatecznie blisko, żeby to usłyszeć, popatrzył na niego zdumiony. Co, u licha, wyprawia Gorbaczow - godzi się z przegraną?

Jednak stojąca obok Natalia uśmiechnęła się triumfalnie.

- Genialne - szepnęła z entuzjazmem. - Griszyn jako kandydat na przewodniczącego i tak by przepadł, bo nie ma większości głosów. To pozorne ustępstwo, propozycja bez pokrycia.

Griszyn zastanawiał się chwilę i najwidoczniej doszedł do tego samego wniosku.

- Nie, towarzyszu - odparł. - To wy powinniście przewodniczyć temu posiedzeniu.

I wtedy Dimka z rosnącą satysfakcją pojął, że przeciwnik wpadł w zastawioną przez Gorbaczowa pułapkę. Teraz, kiedy Griszyn odmówił, trudno byłby mu zmienić zdanie i domagać się przewodniczenia jutro, gdy przybędą jego zwolennicy. Każdą propozycję uczynienia Griszyna przewodniczącym utraciłby argument, że już takową odrzucił. A gdyby spróbował się z tego wycofać, wyszedłby na chwiejnego.

Tak więc Dimka uśmiechnął się szeroko, dochodząc do wniosku, że Gorbaczow zostanie nowym przywódcą Związku Radzieckiego.

I tak też się stało.

Tania wróciła do domu, zamierzając jak najszybciej przedstawić Wasilijowi swój plan.

Właściwie mieszkali ze sobą, nieoficjalnie, od dwóch lat. Nie wzięli ślubu: gdyby zalegalizowali swój związek, nigdy nie mogliby razem opuścić ZSRR. A postanowili wydostać się z radzieckiego obozu. Oboje czuli się tu jak w pułapce. Tania nadal pisała dla TASS reportaże niewolniczo trzymające się partyjnych wytycznych. Wasilij był głównym autorem scenariuszy do telewizyjnego serialu, w którym bohaterowie z KGB o kwadratowych szczękach przechytrzali głupich i sadystycznych amerykańskich szpiegów. I oboje pragnęli powiedzieć światu, że Wasilij jest uznanym powieściopisarzem Iwanem Kuzniecowem, którego ostatnia książka *Oddział geriatryczny* - ostra satyra na Breżniewa, Andropowa i Czernienkę - była obecnie bestsellerem na Zachodzie. Czasem Wasilij mówił, że liczy się tylko pisanie prawdy o Związku Radzieckim w opowiadaniach czytanych na całym świecie. Jednak Tania wiedziała, że pragnął cieszyć się uznaniem za swoją twórczość, a nie trwożliwie kryć się z nią, jakby była jakąś perwersją.

Chociaż Tanię przepełniał entuzjazm, zanim zaczęła rozmowę, włączyła radio w kuchni. Nie sądziła, by w ich mieszkaniu umieszczono podsłuch, ale zrobiła to z przyzwyczajenia, nie chcąc ryzykować.

Komentator radiowy opisywał wizytę Gorbaczowa i jego żony w fabryce dżinsów w Leningradzie. Tania rozumiała znaczenie tego wydarzenia. Dotychczasowi przywódcy odwiedzali stalownie i stocznie. Gorbaczow preferował dobra konsumpcyjne. Zawsze mówił, że radzieccy producenci powinni być równie dobrzy jak zachodni - jego poprzednikom coś

takiego nawet się nie śniło.

I zabrał ze sobą żonę. W przeciwieństwie do żon dotychczasowych przywódców, Raisa nie była tylko dodatkiem. Atrakcyjna i dobrze ubrana, niczym amerykańska Pierwsza Dama, odznaczała się także inteligencją: wykladała na uniwersytecie, zanim jej małżonek został pierwszym sekretarzem.

Wszystko to rodzi nadzieję, ale na razie tylko symboliczną, rozmyślała Tania. Czy coś z tego będzie, zależy od Zachodu. Jeśli Niemcy i Amerykanie dostrzegą liberalizację w ZSRR i zaczną zachęcać do takich zmian, Gorbaczow może coś osiągnąć. Jednak jeśli jastrzębie w Bonn i Waszyngtonie uznają to za słabość i poczynią groźne lub agresywne posunięcia, radzieckie elity władzy wycofają się do swej skorupy ortodoksyjnego komunizmu i wyścigu zbrojeń. Wtedy Gorbaczow dołączy do Kosygina i Chruszczowa na cmentarzu nieudolnych kremlowskich reformatorów.

- W Neapolu jest konferencja scenarzystów - powiedziała Tania do Wasilija przy dźwiękach grającego w tle radia.

- Ach! - Wasilij natychmiast dostrzegł znaczenie tego faktu. W Neapolu wybrano także komunistyczną radę miejską.

Usiedli razem na kanapie.

- Chcą zaprosić pisarzy z bloku wschodniego, by udowodnić, że Hollywood nie jest jedynym miejscem, gdzie powstają seriale telewizyjne - powiedziała Tania.

- Oczywiście.

- Jesteś najlepszym autorem scenariuszy telewizyjnych w ZSRR. Powinieneś pojechać.

- To Związek Literatów zdecyduje, kto będzie tym szczęśliwcem.

- Oczywiście kierując się radami KGB.

- Uważasz, że mam szansę?

- Napisz podanie, a ja poproszę Dimkę, żeby się za tobą wstawił.

- A ty będziesz mogła pojechać?

- Namówię Daniła, żeby wysłał mnie na tę konferencję jako dziennikarkę TASS.

- A wtedy oboje znajdziemy się w wolnym świecie.

- Tak.

- I co dalej?

- Jeszcze nie obmyślałam wszystkiego szczegółowo, ale to powinno być łatwe. Z naszego hotelu zadzwonimy do Anny Murray w Londynie. Kiedy się dowie, że jesteśmy we Włoszech, przyleci pierwszym samolotem. Wymkniemy się naszym opiekunom z KGB i pojedziemy z nią do Rzymu. Anna powie światu, że Iwan Kuzniecowa to naprawdę Wasilij

Jenkow, który ze swoją dziewczyną prosi o azyl polityczny w Wielkiej Brytanii.

Wasilij milczał.

- Myślisz, że to może się udać? - zapytał, niemal jak dziecko rozmawiające o bajce.

Tania ujęła jego dłonie w swoje.

- Nie wiem - odparła. - Jednak chcę spróbować.

Dimka miał teraz duży gabinet na Kremlu. Było tam spore biurko z dwoma telefonami, mały stół konferencyjny i para foteli przed kominkiem. Na ścianie wisiała kopia słynnego sowieckiego obrazu *Mobilizacja przeciwko Judeniczowi w Putiłowskiej Fabryce Maszyn*.

Jego gościem był Frederik Bíró, minister węgierskiego rządu o postępowych poglądach. Był dwa lub trzy lata starszy od Dimki, ale wyglądał na wystraszonego, gdy usiadł na kanapie i poprosił sekretarkę o szklanekę wody.

- Jestem tu, żeby wysłuchać reprimendy? - zapytał z wymuszonym uśmiechem.

- Dlaczego pan tak sądzi? - odpowiedział pytaniem Dimka.

- Należę do grupy ludzi uważających, że węgierski komunizm utknął w koleinach. To żadna tajemnica.

- Nie zamierzam napominać was za to ani za nic innego.

- Zatem mam być pochwalony?

- Też nie. Zakładam, że pan i pana przyjaciele utworzą nowy węgierski rząd, gdy tylko János Kádár umrze lub złoży rezygnację, i życzę wam szczęścia, ale nie zaprosiłem tu pana, żeby o tym mówić.

Bíró odstawił szklanekę, nie napiwszy się wody.

- Teraz naprawdę się boję.

- Pan pozwoli, że rozproszę te obawy. Priorytetem Gorbaczowa jest naprawa radzieckiej gospodarki poprzez zmniejszenie wydatków na zbrojenia i zwiększenie produkcji artykułów konsumpcyjnych.

- Dobry plan - ostrożnie zauważył Bíró. - Wielu ludzi pragnie tego samego na Węgrzech.

- Jedyne problem, że to się nie udaje. A raczej, ściśle mówiąc, nie przebiega dostatecznie szybko, co wychodzi na jedno. Związek Radziecki jest zadłużony, zbankrutowany, przegrany. Bezpośrednią przyczyną obecnego kryzysu wydaje się spadająca cena ropy, ale w ujęciu długoterminowym winić należy fatalny niedowład gospodarki opartej na centralnym planowaniu. Jest zbyt poważny, żeby można to naprawić, odwołując zamówienia na pociski rakietowe i produkując więcej dzinsów.

- Jakie jest rozwiązanie?

- Przestaniemy was subsydiować.

- Węgry?

- Wszystkie wschodnioeuropejskie państwa. Nigdy nie płaciliście za wasz poziom życia. My go finansujemy, sprzedając wam ropę i inne surowce poniżej cen rynkowych i kupując wasze tandetne wyroby, których nikt inny nie chce.

- To oczywiście prawda - przyznał Bíró. - Ale to jedyny sposób, by utrzymać spokój społeczny i władzę partii komunistycznej. Jeśli poziom życia spadnie, wkrótce społeczeństwo zacznie pytać, dlaczego Węgry mają być komunistyczne.

- Wiem.

- Co więc powinniśmy zrobić?

Dimka wzruszył ramionami.

- To nie mój problem, tylko wasz.

- Nasz problem? - z niedowierzaniem powtórzył Bíró. - O czym pan, kurwa, mówi?

- O tym, że musicie znaleźć jakieś rozwiązanie.

- A jeśli Kremłowi się ono nie spodoba?

- Nieważne - rzekł Dimka. - Od teraz jesteście zdani na siebie.

Bíró skrzywił się pogardliwie.

- Chce mi pan powiedzieć, że czterdziestoletnia dominacja Sowietów w Europie Wschodniej się kończy i będziemy niepodległymi państwami?

- Właśnie.

Bíró długo i bacznie przyglądał się Dimce, zanim odpowiedział.

- Nie wierzę w to.

Tania i Wasilij poszli do szpitala odwiedzić ciotkę Zoję, fizyka. Zoja miała siedemdziesiąt cztery lata i raka piersi. Jako żona generała, leżała w izolatce. Odwiedzających wpuszczano po dwóch, więc Tania i Wasilij czekali na zewnątrz z innymi członkami rodziny.

Po pewnym czasie wyszedł wuj Wołodia, wsparty na ramieniu swojego trzydziestodziewięcioletniego syna, Kotii. Silny mężczyzna i bohater wojenny wydawał się teraz bezradny jak dziecko, idąc tam, dokąd go prowadzono, i szlochając w chusteczkę, która już była mokra od łez. Byli małżeństwem przez czterdzieści lat.

Tania weszła ze swoją kuzynką Galiną, córką Wołodii i Zoi. Zaszokował ją wygląd ciotki. Zoja nawet po sześćdziesiątce zadziwiwała urodą, ale teraz była chuda jak szkielet, prawie łysa i najwyraźniej pozostało jej zaledwie kilka dni lub godzin życia. Raz po raz

budziła się i zapadała w sen, i wydawało się, że nie cierpi. Tania domyśliła się, że podają jej morfinę.

- Wołodia po wojnie udał się do Ameryki odkryć, jak zrobili bombę zrzuconą na Hiroszimę - powiedziała Zoja, wyraźnie niedyskretna pod wpływem narkotyku. Tania zamierzała powiedzieć jej, żeby nie mówiła nic więcej, ale zaraz uświadomiła sobie, że te tajemnice nikogo już nie obchodzą. - Przywiózł katalog Searsa Roebucka - ciągnęła Zoja, uśmiechając się na to wspomnienie. - Było w nim mnóstwo pięknych rzeczy, które mógł kupić każdy Amerykanin: suknie, rowery, płyty, ciepłe płaszczyki dla dzieci, a nawet traktory dla farmerów. Nie uwierzyłabym, uznając to za propagandę, ale Wołodia był tam i wiedział, że to prawda. Od tamtej pory zawsze chciałam pojechać do Ameryki, tylko po to, żeby to zobaczyć. Tylko popatrzeć na to wszystko. Chyba jednak już mi się to nie uda. - Zamknęła oczy. - Nieważne - mruknęła i znowu zapadła w sen.

Po kilku minutach Tania i Galina wyszły, a ich miejsce przy łóżku zajęło dwoje wnucząt.

Dimka przyjechał i dołączył do grupy na korytarzu. Odprowadził Tanię i Wasilija na bok.

- Zarekomendowałem cię na tę konferencję w Neapolu - powiedział Wasilijowi.

- Dziękuję...

- Nie dziękuj. To nic nie dało. Miałem dziś rozmowę z nieprzyjemnym facetem, Jewgienijem Filipowem. To on teraz zajmuje się tymi sprawami i wie, że w tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym pierwszym zostałeś zesłany na Syberię za działalność wywrotową.

- Przecież Wasilij został zrehabilitowany! - powiedziała Tania.

- Filipow dostał tę informację. „Rehabilitacja to jedno”, powiedział, „a wyjazd za granicę to drugie. Nie ma mowy”. - Dimka dotknął ręki Tani. - Przykro mi, siostrzyczko.

- Zatem utknęliśmy tutaj - podsumowała Tania.

- Ulotka na spotkaniu poetyckim ćwierć wieku temu - z goryczą rzekł Wasilij - i nadal mnie za to karzą. Myślimy, że nasz kraj się zmienia, ale wcale tak nie jest.

- Tak jak ciocia Zoja - dodała Tania - nigdy nie zobaczymy świata poza nim.

- Jeszcze się nie poddawajcie - rzekł Dimka.



**CZEŚĆ DZIESIĄTA**

**Mur**

**1988-1989**

## ROZDZIAŁ 59

Jasper Murray został zwolniony jesienią 1988 roku.

Nie był tym zdziwiony. Atmosfera w Waszyngtonie zmieniła się. Prezydent Reagan nadal cieszył się popularnością, chociaż popełnił przestępstwa znacznie gorsze od tych, które spowodowały upadek Nixona: finansowanie terroryzmu w Nikaragui, wymiana uzbrojenia za zakładników w Iranie oraz zmasakrowane zwłoki kobiet i dziewczynek na ulicach Bejrutu. Współpracownik Reagana, wiceprezydent George H.W. Bush, wydawał się jego pewnym następcą. Nie wiadomo dlaczego - i Jasper nie mógł zrozumieć, jak to możliwe - ludzie kwestionujący poczynania prezydenta oraz przyłapujący go na oszustwach i kłamstwach przestali być bohaterami, jakimi byli w latach siedemdziesiątych, a zamiast tego uważano ich za niełojalnych, a nawet antyamerykańskich.

Tak więc Jasper nie był zaszokowany, ale głęboko zraniony. Dołączył do personelu This Day przed dwudziestoma laty i pomógł mu stać się powszechnie szanowanym programem informacyjnym. Zwolnienie wydawało się przekreśleniem dzieła jego życia. Hojna odprawa nie łagodziła bólu.

Zapewne nie powinien żartować z Reagana na zakończenie swojego ostatniego programu. Po tym, jak powiedział widzom, że odchodzi, dodał:

- I pamiętajcie, jeśli prezydent oznajmi wam, że pada deszcz, i powie to bardzo, ale to bardzo szczerze, na wszelki wypadek spójrzcie za okno.

Frank Lindeman był wściekły.

Koledzy Jaspera urządzili mu przyjęcie pożegnalne w Old Ebbitt Grill, na które przyszła większość waszyngtońskich osobistości. Opierając się o bar, Jasper późnym wieczorem wygłosił przemówienie. Zraniony, smutny i oburzony, powiedział:

- Kocham ten kraj. Pokochałem go od razu, kiedy tu przyjechałem w tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym trzecim roku. Kocham go, ponieważ to wolny kraj. Moja matka uciekła z hitlerowskich Niemiec, reszcie jej rodziny się to nie udało. Pierwszym posunięciem Hitlera było przejęcie prasy i podporządkowanie jej rządowi. Lenin zrobił to samo. - Jasper wypił kilka kieliszków wina i w rezultacie był trochę szczerzy niż zwykle. - Ameryka jest wolnym krajem, ponieważ wychodzą w niej bezkompromisowe gazety, a programy telewizyjne demaskują i zawstydzają prezydentów, którzy dymają konstytucję od tyłu. - Podniósł kieliszek. - Za wolną prasę. Za brak respektu. I Boże, błogosław Amerykę.

Następnego dnia Suzy Cannon, zawsze gotowa dokopać leżącemu, opublikowała długi i zjadliwy artykuł o Jasperze. Udało jej się zasugerować, że zarówno jego służba w Wietnamie,

jak i przyjęcie amerykańskiego obywatelstwa były rozpaczliwymi próbami ukrycia zażartej nienawiści do Stanów Zjednoczonych. Ponadto przedstawiła go jako bezwzględnego uwodziciela, który odebrał Verenę George'owi Jakesowi, tak jak w latach sześćdziesiątych ukradł Evie Williams Camowi Dewarowi.

W rezultacie trudno mu było znaleźć inną pracę. W końcu po kilku tygodniach prób konkurencyjna sieć zaproponowała mu posadę europejskiego korespondenta w Bonn.

- Na pewno możesz znaleźć coś lepszego - powiedziała Verena. Nie miała czasu dla przegranych.

- Żadna telewizja nie zatrudni mnie jako komentatora.

Siedzieli w salonie późnym wieczorem. Obejrzelі wiadomości i zamierzali wkrótce położyć się spać.

- Ale Niemcy? - zdziwiła się Verena. - Czy to nie miejsce dla jakiegoś dzieciaka zaczynającego piąć się po szczeblach kariery?

- Niekoniecznie. Europa Wschodnia to kocioł. Za rok lub dwa w tej części świata może dojść do różnych interesujących wydarzeń.

Nie zamierzała pozwolić mu dostrzec żadnych jasnych stron tej oferty.

- Są lepsze zajęcia - powiedziała. - Czy „Washington Post” nie zaproponował ci własnej kolumny?

- Przez całe życie pracowałem w telewizji.

- Nie próbowałeś jeszcze w lokalnej - rzuciła. - Byłbyś dużą rybą w małym stawie.

- Nie, nie byłbym. Raczej byłą i upadłą sławą. - Na myśl o tym Jasper się wzdrygnął. - Nie zamierzam próbować.

Zrobiła wyzywającą minę.

- Cóż, nie prosz mnie, żebym wyjechała z tobą do Niemiec.

Przewidział taką reakcję, ale był zaskoczony jej brutalną determinacją.

- Dlaczego nie?

- Ty znasz niemiecki, ja nie.

Jasper niezbyt dobrze mówił po niemiecku, ale to nie był najlepszy argument w sporze z Vereną. Zamiast tego powiedział:

- To byłaby przygoda.

- Obudź się - szorstko odparła Verena. - Mam syna.

- Dla Jacka też byłaby to wspaniała przygoda. Stałby się dwujęzyczny.

- George poszedłby do sądu, żeby zabronić mi wyjazdu z chłopcem z kraju. Mamy wspólnie się nim opiekować. A poza tym nie zrobiłabym tego. Jack potrzebuje ojca i babci. A

co z moją pracą? Odniosłam duży sukces, Jasperze. Pracuje dla mnie dwanaście osób, tworzących lobby domagające się od rządu liberalnych rozwiązań. Nie możesz prosić, żebym z tego zrezygnowała.

- Cóż, pewnie będę przyjeżdżał tu na wakacje.

- Poważnie? Jakiego rodzaju byłby to związek? Ile minie czasu, zanim wskoczysz do łóżka jakiejś pulchnej nadreńskiej dziewczyny z platynowymi warkoczykami?

To prawda, że Jasper przez większość swego życia był rozwiąły, ale nigdy nie zdradzał Vereny. Myśl o jej utracie nagle wydała mu się nieznośna.

- Potrafię być wierny - rzekł rozpaczliwie.

Verena zauważyła jego przygnębienie i złagodniała.

- Jasperze, to miłe. Myślę, że naprawdę tak uważasz. Jednak znam ciebie, a ty znasz mnie. Żadne z nas nie potrafi długo pozostać w celibacie.

- Posłuchaj - prosił. - Wszyscy w amerykańskiej telewizji wiedzą, że szukam pracy, a jednak ta jest jedyna, jaką mi zaproponowano. Nie rozumiesz? Przyparli mnie do cholernego muru. Nie mam innego wyjścia!

- Ależ rozumiem to i jest mi bardzo przykro. Jednak musimy być realistami.

Dla Jaspera jej współczucie było gorsze od pogardy.

- Poza tym to nie będzie na zawsze - rzucił z determinacją.

- Nie?

- Och, nie. Zamierzam wrócić do gry.

- W Bonn?

- W amerykańskiej telewizji będzie teraz więcej informacji o Europie niż kiedykolwiek.

Zobaczysz.

Verena zrobiła smutną minę.

- Cholera, ty naprawdę wyjeżdżasz, prawda?

- Mówiłem ci. Muszę.

- Cóż - powiedziała z żalem - nie spodziewaj się, że będę czekała na twój powrót.

Jasper nigdy wcześniej nie był w Budapeszcie. Jako młody człowiek zawsze patrzył na zachód, na Amerykę. Ponadto przez całe jego życie Węgry spowijały szare chmury komunizmu. Jednak w listopadzie 1988 roku, gdy gospodarka tego kraju się załamała, wydarzyło się coś zdumiewającego. Grupa reformatorsko nastawionych komunistów przejęła rządy i jeden z nich, Miklós Németh, został premierem. Wkrótce potem podjął decyzję o otwarciu giełdy.

Jasper uważał to za zdumiewające.

Zaledwie sześć miesięcy wcześniej Károly Grósz, zamordystyczny przewodniczący węgierskiej partii komunistycznej, powiedział w wywiadzie dla „Newsweeka”, że demokracja wielopartyjna jest „historyczną niemożliwością” na Węgrzech. Tymczasem Németh wprowadził nowe prawo zezwalające na tworzenie niezależnych klubów politycznych.

To była doniosła wiadomość. Tylko czy te zmiany okażą się permanentne? Czy może Moskwa wkrótce je ukróci?

Jasper poleciał do Budapesztu w styczniowej zamieci. Na neogotyckich wieżyczkach położonego nad Dunajem budynku parlamentu leżała gruba warstwa śniegu. W tym budynku Jasper spotkał się z Miklósem Némethem.

Zdobył ten wywiad z pomocą Rebekki Held. Chociaż wcześniej jej nie znał, słyszał o niej od Dave’a Williama i Wallego Francka i odszukał ją zaraz po przybyciu do Bonn. Teraz zajmowała ważne stanowisko w niemieckim Ministerstwie Spraw Zagranicznych. Lepiej, bo była znajomą - a może nawet kochanką - Frederika Bíró, doradcy Miklósa Németha. Bíró umówił go na to spotkanie.

Teraz czekał na Jaspера w holu i poprowadził go labiryntem korytarzy i przejść do biura premiera.

Németh miał zaledwie czterdzieści jeden lat. Był niskim mężczyzną o gęstych ciemnoblonde włosach, których kosmyk opadał mu na czoło. Jego twarz zdradzała inteligencję i determinację, ale także niepokój. Na czas wywiadu usiadł za dębowym stołem i nerwowo otoczył się tłumem doradców. Niewątpliwie doskonale zdawał sobie sprawę z tego, że będzie mówił nie tylko do Jaspера, ale także do rządu Stanów Zjednoczonych - i że Moskwa też będzie słuchać.

Jak każdy premier, używał głównie przewidywalnych ogólników. Nadchodzą ciężkie czasy, ale w bliżej nieokreślonej przyszłości kraj wyjdzie z nich silniejszy. Bla, bla, bla, pomyślał Jasper. Potrzebował czegoś lepszego.

Zapytał, czy te nowe „kluby” polityczne mogą kiedyś stać się niezależnymi partiami politycznymi.

Németh obrzucił Jaspера przenikliwym, uważnym spojrzeniem, po czym odparł stanowczo i wyraźnie:

- To jedna z naszych największych ambicji.

Jasper ukrył zdumienie. Żadne z państw za żelazną kurtyną nigdy nie miało niezależnych partii politycznych. Czy Németh naprawdę tak myślał?

Idąc za ciosem, zapytał, czy partia komunistyczna zrezygnuje kiedyś ze swojej

„wiodącej roli” w węgierskim społeczeństwie.

Németh znów posłał mu to spojrzenie.

- Jestem sobie w stanie wyobrazić, że za dwa lata premierem może nie być członek Biura Politycznego - odparł.

Jasper z trudem powstrzymał okrzyk „Jezu Chryste!”.

Był na fali i nadszedł czas na najważniejsze pytanie:

- Czy Sowieci mogą interweniować, żeby powstrzymać te zmiany, tak jak zrobili to w pięćdziesiątym szóstym roku?

Németh po raz trzeci obrzucił go tym spojrzeniem.

- Gorbaczow zdjął pokrywę kotła z wrzącą zawartością - powiedział powoli i wyraźnie. A potem dodał: - Para może parzyć, ale zmiana jest nieodwracalna.

I Jasper zrozumiał, że ma swoją pierwszą rewelacyjną wiadomość z Europy.

Kilka dni później oglądał kasetę wideo z nagraniem swojego reportażu, który pokazano w amerykańskiej telewizji. Rebecca siedziała obok, opanowana, pewna siebie kobieta po pięćdziesiątce, przyjazna, ale władcza.

- Tak, sądzę, że Németh dokładnie tak myśli - powiedziała w odpowiedzi na pytanie Jaspiera.

Jasper zakończył reportaż, mówiąc do kamery przed budynkiem parlamentu, z płatkami śniegu padającymi mu na głowę:

„Tu, w tym wschodnioeuropejskim kraju, ziemia jest zamrożona. Jednak jak zawsze pod ziemią kiełkują wiosenne nasiona. Najwyraźniej mieszkańcy Węgier pragną zmiany. Tylko czy ich moskiewscy władcy na to pozwolą? Miklós Németh wierzy, że na Kremlu zapanował nowy duch tolerancji. Tylko czas pokaże, czy ma rację”.

To był końcowy akcent reportażu Jaspiera, ale teraz ze zdziwieniem zobaczył, że dodano do niego jeszcze jeden fragment. Rzecznik Jamesa Bakera, sekretarza stanu prezydenta George’a H.W. Busha, który właśnie został zaprzysiężony, mówił do niewidocznego reportera:

„Oznakom złagodzenia komunistycznej polityki nie należy ufać. Sowieci usiłują uspić czujność Stanów Zjednoczonych, wzbudzając fałszywe poczucie bezpieczeństwa. Nie ma powodu wątpić w gotowość kremlowskich przywódców do interwencji w Europie Wschodniej, gdy tylko poczują się zagrożeni. Pilną potrzebą jest teraz zwiększenie możliwości NATO w zakresie odstraszania nuklearnego”.

- Dobry Boże - westchnęła Rebecca. - Na jakiej planecie oni żyją?

Tania Dworkina wróciła do Warszawy w lutym 1989 roku.

Niechętnie zostawiła Wasilija samego w Moskwie, głównie dlatego, że będzie za nim tęskniła, ale także dlatego, że wciąż żywiła lekką obawę, czy nie zapełni mieszkania ponętными nastolatkami. Chociaż tak naprawdę w to nie wierzyła. Tamte czasy minęły. Mimo wszystko trochę się niepokoiła.

Jednak wyjazd do Warszawy był wspaniałym zleceniem. W Polsce wrzało. Solidarność jakoś zdołała zmartwychwstać. Zdumiewające, ale generał Jaruzelski - dyktator, który zaledwie osiem lat wcześniej stłumił ruch niepodległościowy, łamiąc wszystkie przyrzeczenia i depreczując niezależne związki zawodowe - teraz desperacko przystał na rozmowy przy okrągłym stole z przedstawicielami opozycji.

Zdaniem Tani Jaruzelski się nie zmienił - zmiana zaszła na Kremlu. Generał pozostał tym samym starym tyranem, ale już nie był pewny radzieckiego poparcia. Według Dimki Jaruzelskiemu powiedziano, że Polska musi sama rozwiązać swoje problemy, bez pomocy Moskwy. Kiedy Michaił Gorbaczow powiedział to po raz pierwszy, Jaruzelski mu nie uwierzył. Jak wszyscy wschodnioeuropejscy przywódcy. Jednak to było trzy lata temu i w końcu ten fakt zaczął do nich docierać.

Tania nie wiedziała, co się stanie. Nikt tego nie wiedział. Nigdy w życiu nie słyszała tytułu rozmów o zmianie, liberalizacji i wolności. Jednak komuniści nadal kontrolowali państwa bloku wschodniego. Czy zbliżał się dzień, w którym ona i Wasilij będą mogli ujawnić swoją tajemnicę i wyjawić światu prawdziwe nazwisko pisarza Iwana Kuzniecowa? W przeszłości takie nadzieje zawsze roztrzaskiwały się w drobny mak pod gąsienicami radzieckich czołgów.

Zaraz po przyjeździe do Warszawy Tania została zaproszona na obiad do mieszkania Danuty Górskiej.

Stojąc przed drzwiami i naciskając guzik dzwonka, przypomniała sobie, że ostatnio widziała Danutę wywlekaną z tego mieszkania przez brutalnych oprawców z ZOMO w maskujących kombinezonach tamtej nocy przed siedmioma laty, gdy Jaruzelski wprowadził stan wojenny.

Teraz Danuta otworzyła drzwi, uśmiechając się szeroko. Uściskała Tanię, a potem zaprowadziła ją do pokoju stołowego małego mieszkanka. Jej mąż, Marek, otwierał butelkę węgierskiego wina, a na stole stał talerz z kiełbaskami i miseczka z musztardą.

- Siedziałam w więzieniu osiemnaście miesięcy - powiedziała Danuta. - Myślę, że mnie wypuścili, ponieważ radykalizowałam inne internowane.

Roześmiała się, odchylając głowę do tyłu.

Tania podziwiała jej odwagę. Gdybym była lesbijką, zakochałabym się w Danucie, pomyślała. Wszyscy mężczyźni, których Tania kochała, imponowali odwagą.

- Teraz biorę udział w obradach okrągłego stołu - ciągnęła Danuta. - Codziennie i przez cały dzień.

- Czy ten stół naprawdę jest okrągły?

- Tak, i olbrzymi. Teoretycznie, żeby nikt nie przewodził obradom. Jednak w praktyce Lech Wałęsa zdominował te spotkania.

Tania nie mogła się nadziwić. Elektryk bez wykształcenia zdominował debatę nad przyszłością Polski. Takie rzeczy były marzeniem jej dziadka, bolszewickiego robotnika Grigorija Peszkowa. Tymczasem Wałęsa miał antykomunistyczne przekonania. W pewien sposób cieszyła się, że dziadek Grigorij tego nie dożył. Byłby załamany.

- Czy coś wyjdzie z tego okrągłego stołu? - zapytała.

- To podstęp - rzucił Marek, zanim Danuta zdążyła odpowiedzieć. - Jaruzelski chce pokonać opozycję, czyniąc ją częścią komunistycznego rządu bez zmiany systemu. W ten sposób pozostanie przy władzy.

- Marek zapewne ma rację - powiedziała Danuta. - Jednak ten podstęp się nie uda. Domagamy się niezależnych związków zawodowych, wolnej prasy i prawdziwych wyborów.

Tania była zaszokowana.

- Jaruzelski naprawdę rozmawia o wolnych wyborach?

W Polsce odbywały się pozorne wybory, w których kandydatów mogły zgłaszać tylko PZPR i jej partie satelickie.

- Rozmowy co chwilę są zrywane. Jednak Jaruzelski musi ugasić strajki, więc ponownie zwołuje obrady okrągłego stołu, a my znów żądamy wolnych wyborów.

- Co się kryje za tymi strajkami? - zapytała Tania. - No wiesz, zasadniczo?

Marek znów się wtrącił:

- Słyszałaś, co mówią ludzie? „Czterdzieści pięć lat komunizmu i nadal nie ma papieru toaletowego”. Jesteśmy biedni! Komunizm się nie sprawdza.

- Marek ma rację - powtórnie przyznała Danuta. - Kilka tygodni temu jeden sklep w Warszawie ogłosił, że od poniedziałku przyjmuje przedpłaty na telewizory. Nie miał żadnych odbiorników, rozumiesz, tylko liczył, że jakoś je zdobędzie. Ludzie zaczęli formować kolejkę już od piątku. W poniedziałek rano stało w niej piętnaście tysięcy osób, tylko po to, żeby wpisać się na listę!

Danuta poszła do kuchni i wróciła z wazą pachnącej zupy ogórkowej, którą Tania



uwielbiała.

- I co się stanie? - zadała pytanie gospodarzom. - Będą prawdziwe wybory?

- Nie - odparł Marek.

- Może - powiedziała Danuta. - Ostatnia propozycja to dwie trzecie miejsc w Sejmie zarezerwowane dla partii komunistycznej, a pozostałe obsadzone w drodze wolnych wyborów.

- Tak więc wybory nadal będą zmanipulowane! - zawołał Marek.

- Jednak i tak lepsze od tych, które mamy teraz - przypomniała Danuta. - Nie sądzisz, Taniu?

- Sama nie wiem - powiedziała Tania.

Wiosenna odwilż jeszcze nie przyszła i Moskwa wciąż była okryta kołdrą śniegu, gdy nowy premier Węgier przyjechał na spotkanie z Michaiłem Gorbaczowem.

Jewgienij Filipow wiedział o przyjeździe Miklósa Németha i dopadł Dimkę przed gabinetem pierwszego sekretarza kilka minut przed spotkaniem.

- Trzeba zakończyć ten nonsens! - powiedział.

Dimka zauważył, że Filipow ostatnio wygląda na coraz bardziej zdesperowanego. Miał już ponad sześćdziesiąt lat i twarz zastygła w grymasie dezaprobaty, którą tak często okazywał. Jego workowate garnitury i krótkie włosy znów były w modzie: dzieciaki na Zachodzie nazywały to stylem retro.

Filipow nienawidził Gorbaczowa. Radziecki przywódca uosabiał wszystko, co Filipow zwalczał przez całe swoje życie: rozluźnienie surowej dyscypliny partyjnej, stawianie na prywatną inicjatywę zamiast centralnego planowania, przyjaźń z Zachodem zamiast wojny z kapitalistycznym imperializmem. Dimka niemal współczuł temu człowiekowi, który zmarnował swoje życie, tocząc z góry przegraną bitwę.

A przynajmniej taką nadzieję miał Dimka. Konflikt jeszcze się nie zakończył.

- O jakim konkretnie nonsensem mowa? - zapytał znużony.

- O niezależnych partiach politycznych! - wykrzyknął z obrzydzeniem Filipow. - Węgrzy rozpoczęli ten niebezpieczny trend. Teraz Jaruzelski mówi o tym samym w Polsce. Jaruzelski!

Dimka rozumiał zdumienie Filipowa. Istotnie było zdumiewające, że ten polski tyran mówił teraz o uczynieniu Solidarności częścią przyszłości państwa, a także wyrażał zgodę, by partie polityczne współzawodniczyły w demokratycznych wyborach.

A Filipow nie wiedział wszystkiego. Siostra Dimki, wysłana do Warszawy przez TASS,

przekazała mu dokładne informacje. Jaruzelski był przyparty do muru, a Solidarność nieugięta. Oni nie tylko mówili o wolnych wyborach, ale też zamierzali je przeprowadzić.

Właśnie temu starali się zapobiec kremlowscy konserwatyści tacy jak Filipow.

- To bardzo niebezpieczny rozwój wydarzeń! - powiedział Filipow. - Otwierają drzwi dla kontrrewolucyjnych i rewizjonistycznych tendencji. Jaki to ma sens?

- Taki, że nie mamy już pieniędzy na finansowanie państw satelickich...

- Nie mamy państw satelickich, tylko sojuszników.

- Czymkolwiek są, nie chcą wykonywać naszych poleceń, jeśli im nie zapłacimy za posłuszeństwo.

- Kiedyś mieliśmy wojsko do obrony komunizmu, ale już nie mamy.

W tej przesadnej ocenie sytuacji była szczypta prawdy. Gorbaczow zapowiedział, że wycofa z Europy Wschodniej ćwierć miliona żołnierzy i dziesięć tysięcy czołgów - co było koniecznością ekonomiczną, ale także pokojowym gestem.

- Nie stać nas na utrzymanie takiej armii - rzekł Dimka.

Filipow był tak oburzony, aż pękał ze złości.

- Nie widzicie, że mówicie o końcu wszystkiego, co wypracowaliśmy od tysiąc dziewięćset siedemnastego roku?

- Chruszczow stwierdził, że dorównanie Amerykanom w zasobności i sile militarnej zajmie nam dwadzieścia lat. Minęło już dwadzieścia osiem, a jesteśmy za nimi dalej niż w sześćdziesiątym pierwszym, kiedy to powiedział. Jewgienij, co ty usiłujesz uchronić?

- Związek Radziecki! Jak sądzisz, co sobie myślą Amerykanie, gdy likwidujemy armię i pozwalamy naszym sojusznikom na pełzający rewizjonizm? Śmieją się w kułak! Prezydent Bush to zimny wojownik, zamierzający pokonać ZSRR. Nie oszukuj się.

- Nie zgadzam się z tym - odparł Dimka. - Im bardziej się rozbroimy, tym mniej powodów będą mieli Amerykanie, żeby rozbudowywać swój arsenał nuklearny.

- Mam nadzieję, że się nie mylisz - rzekł Filipow. - Dla dobra nas wszystkich.

Odszedł.

Dimka też miał taką nadzieję. Filipow dostrzegł słaby punkt strategii Gorbaczowa. Wszystko zależało od tego, czy prezydent Bush wykaże rozsądek. Jeśli Amerykanie odpowiedzą na rozbrojenie analogiczną redukcją zbrojeń, działania Gorbaczowa będą uzasadnione, a jego kremlowscy rywale wyjdą na głupców. Jeśli jednak Bush nie zredukuje zbrojeń - lub, jeszcze gorzej, zwiększy wydatki na nie - to Gorbaczow wyjdzie na głupca. Jego pozycja zostanie osłabiona, a przeciwnicy będą mogli wykorzystać tę okazję, żeby go odsunąć od władzy i powrócić do dobrych dawnych czasów konfrontacji supermocarstw.

Dimka wszedł do apartamentów Gorbaczowa. Niecierpliwie czekał na spotkanie z Némethem. Wydarzenia na Węgrzech były ekscytujące. Dimka chciał również usłyszeć to, co Gorbaczow powie Némethowi.

Radziecki przywódca był nieprzewidywalny. Chociaż przez całe życie opowiadał się za komunizmem, nie chciał go narzucać innym państwom. Jego strategia wydawała się przejrzysta: głośność i pieriestrojka, jawność i przebudowa. Taktyka była jednak mniej oczywista i nie dawało się przewidzieć, co postanowi w konkretnych sprawach. Wciąż zaskakiwał Dimkę.

Gorbaczow niezbyt ciepło potraktował Németha. Węgierski premier prosił o godzinne spotkanie, a zaproponowano mu dwadzieścia minut. Mogła to być trudna rozmowa.

Németh przybył z Frederikiem Bíró, którego Dimka już znał. Sekretarka Gorbaczowa natychmiast zaprowadziła wszystkich trzech do okazałego gabinetu. Było to wysoko sklepione pomieszczenie o ścianach wyłożonych boazerią w kremowym kolorze. Gorbaczow siedział za nowoczesnym biurkiem pomalowanym na czarno. Na blacie stały tylko telefon i lampka. Goście usiedli w stylowych fotelach obitych czarną skórą. Wszystko tutaj symbolizowało nowoczesność.

Németh po krótkim powitaniu przeszedł do rzeczy. Powiedział, że zamierza ogłosić wolne wybory. Wolne wybory mogły wyłonić niekomunistyczny rząd. Co o tym sądzi Moskwa?

Gorbaczow poczerwieniał i znamię na jego łysinie pociemniało.

- Właściwą drogą jest powrót do korzeni leninizmu - oświadczył.

To niewiele mówiło. Każdy, kto próbował zmienić Związek Radziecki, twierdził, że wraca do korzeni leninizmu.

- Komunizm może znów odnaleźć swoją drogę - ciągnął Gorbaczow - wracając do czasu przed Stalinem.

- Nie, nie może - śmiało odparł Németh.

- Tylko partia może stworzyć sprawiedliwy ustrój! Tego nie można pozostawić przypadkowi.

- Nie zgadzamy się z tym założeniem. - Németh wyglądał, jakby był chory. Zbladł i głos mu drżał. Był jak kardynał rzucający wyzwanie autorytetowi papieża. - Muszę zapytać prosto z mostu - rzekł. - Jeśli przeprowadzimy wybory i w wyniku głosowania partia komunistyczna zostanie odsunięta od władzy, czy ZSRR dokona zbrojnej interwencji tak jak w pięćdziesiątym szóstym roku?

W pokoju zapadła głucha cisza. Nawet Dimka nie wiedział, jak zareaguje Gorbaczow.

Ten odpowiedział tylko jednym krótkim słowem.

- *Niet.*

Zatem nie. Németh wyglądał niczym skazaniec, którego właśnie ułaskawiono.

- Przynajmniej dopóki siedzę za tym biurkiem - dodał Gorbaczow.

Németh się uśmiechnął. Nie sądził, aby Gorbaczowowi groziło odsunięcie od władzy.

Mylił się. Kreml zawsze prezentował się światu jako monolit, lecz nigdy nim nie był. Ludzie nie mieli pojęcia, jak niepewna jest pozycja Gorbaczowa. Németh był zadowolony, poznawszy zamiary samego Gorbaczowa, ale Dimka wiedział lepiej.

Jednak nie był to jeszcze koniec rozmowy. Németh uzyskał ogromne ustępstwo ze strony Gorbaczowa - obietnicę, że Związek Radziecki nie będzie interweniował, aby zapobiec obaleniu komunizmu na Węgrzech! Teraz jednak, z zaskakującą śmiałością, Németh zażądał kolejnej gwarancji.

- Ogrodzenie się rozsypuje - powiedział. - Trzeba je odnowić lub rozebrać.

Dimka wiedział, o czym mówi Németh. Granica między komunistycznymi Węgrami a kapitalistyczną Austrią była zabezpieczona płotem ze stalowego drutu pod wysokim napięciem, mającym dwieście czterdzieści kilometrów długości. Utrzymywanie tej przeszkody było oczywiście bardzo kosztowne. Odnowienie całego tego ogrodzenia kosztowałoby miliony.

- Jeśli wymaga odnowienia, to je odnowcie - powiedział Gorbaczow.

- Nie - rzekł Németh. Może był zdenerwowany, ale także zdeterminowany. Dimka podziwiał jego odwagę. - Nie mam takich pieniędzy i nie potrzebuję tego płotu - ciągnął. - To jest instalacja Układu Warszawskiego. Jeśli jest wam potrzebna, powinniście ją odnowić.

- Nie zrobimy tego - odparł Gorbaczow. - Związek Radziecki nie ma już takich funduszy. Dziesięć lat temu baryłka ropy kosztowała czterdzieści dolarów i stać nas było na wszystko. Teraz ile kosztuje, dziewięć dolarów? Nie mamy pieniędzy.

- Chcę mieć pewność, że się dobrze zrozumieliśmy - powiedział Németh. Pocił się i wytarł twarz chusteczką. - Jeśli nie zapłacicie, nie odnowimy tego płotu i przestanie skutecznie odgrywać swoją rolę. Ludzie będą mogli przechodzić do Austrii i nie zdołamy ich powstrzymać.

Znów zapadła brzemenna cisza. W końcu Gorbaczow westchnął i odpowiedział:

- Niech tak będzie.

Na tym zakończyło się to spotkanie. Pożegnali się uprzejmie, lecz krótko. Węgrzy chcieli jak najszybciej opuścić gabinet. Uzyskali wszystko, z czym przyszli. Uścisnęli dłoń Gorbaczowowi i pospiesznie się oddalili. Jakby chcieli wsiąść do samolotu, zanim

Gorbaczow zdąży zmienić zdanie.

Dimka w refleksyjnym nastroju wrócił do swojego gabinetu. Gorbaczow zaskoczył go dwukrotnie: najpierw niespodziewanie wrogim nastawieniem do reform Németha, a potem nie sprzeciwiając się im.

Czy Węgrzy wyłączą elektryczne ogrodzenie? Było istotną częścią żelaznej kurtyny. Jeśli nagle ludzie będą mogli przejść przez granicę i udać się na Zachód, będzie to zmiana znacznie donioślejsza niż wolne wybory.

Jednak Filipow i konserwatyści jeszcze nie złożyli broni. Czujnie wypatrywali jakichkolwiek oznak słabości Gorbaczowa. Dimka nie wątpił, że mieli przygotowane plany przewrotu.

W zadumie spoglądał na duży rewolucyjny obraz na ścianie swojego gabinetu, kiedy zadzwoniła Natalia.

- Wiesz, czym jest pocisk Lance, prawda? - zapytała bez żadnych wstępów.

- To taktyczna rakietka nuklearna typu ziemia-ziemia - odparł. - Amerykanie mają około siedmiuset takich w Niemczech Zachodnich. Na szczęście ich zasięg to tylko sto dwadzieścia kilometrów.

- Już nie - powiedziała. - Prezydent Bush chce je zmodernizować. Nowe będą pokonywały czterysta pięćdziesiąt kilometrów.

- Do diabła. - To było coś, czego obawiał się Dimka, a co przewidywał Filipow. - Przecież to nielogiczne. Nie tak dawno temu Reagan i Gorbaczow zrezygnowali z pocisków balistycznych średniego zasięgu.

- Bush uważa, że Reagan za daleko posunął rozbrojenie.

- Jak zaawansowany jest ten plan?

- Według placówki KGB w Waszyngtonie, Bush otoczył się zimnowojennymi jastrzębiami. Sekretarz do spraw obrony Cheney jest bardzo wojowniczy. Scowcroft również.

- Brent Scowcroft był doradcą do spraw bezpieczeństwa narodowego. - Jest też niejaka Condoleezza Rice, która jest równie agresywna.

Dimka wpadł w rozpacz.

- Filipow powie: a nie mówiłem...

- Filipow i inni. Ten rozwój wydarzeń jest niebezpieczny dla Gorbaczowa.

- Kiedy Amerykanie zamierzają zrealizować swój pomysł?

- Postarają się wywrzeć nacisk na swoich europejskich sojuszników podczas szczytu NATO w maju.

- Kurwa - zaklął Dimka. - Teraz naprawdę mamy kłopot.

Rebecca Held była w swoim mieszkaniu w Hamburgu, pracując późnym wieczorem, z papierami rozłożonymi na kuchennym stole. Na szafce stał kubek po kawie i talerzyk z okruchami kanapki z szynką, którą zjadła na kolację. Zdjęła elegancki strój, zmyła makijaż, wzięła prysznic, po czym włożyła wygodną luźną bieliznę i starą jedwabną podomkę.

Przygotowywała się do swojej pierwszej wizyty w Stanach Zjednoczonych. Leciła tam ze swoim szefem, wicekanclerzem Niemiec i zarazem ministrem spraw zagranicznych Hansem-Dietrichem Genscherem oraz przewodniczącym Wolnej Partii Demokratycznej, FDP, do której należała. Mieli wyjaśnić Amerykanom, dlaczego nie chcą więcej broni nuklearnej. Związek Radziecki stał się mniej groźny pod rządami Gorbaczowa. Modernizacja arsenału nuklearnego nie tylko była zbyt kosztowna, ale mogła się okazać wręcz szkodliwa, przekreślając pokojowe inicjatywy Gorbaczowa i wzmacniając argumenty moskiewskich jastrzębi.

Czytała opracowanie niemieckiego wywiadu dotyczące walki o władzę na Kremlu, gdy ktoś zadzwonił do drzwi.

Spojrzała na zegarek. Było wpół do dziesiątej. Nie spodziewała się żadnych gości i z pewnością nie była odpowiednio ubrana na ich przyjęcie. Jednak zapewne był to któryś z sąsiadów z jakąś trywialną sprawą, na przykład prośbą o pożyczenie kartonu mleka.

Nie przysługiwała jej całodobowa ochrona: nie była dostatecznie ważną osobą, żeby przyciągać uwagę terrorystów, dzięki Bogu. Pomimo wszystko miała w drzwiach wizjer, przez który mogła spojrzeć, zanim je otworzyła.

Ze zdziwieniem zobaczyła stojącego na progu Frederika Bíró.

Miała mieszane uczucia. Niespodziewana wizyta kochanka sprawiła jej przyjemność, lecz Rebecca uświadomiła sobie, że wygląda okropnie. W wieku pięćdziesięciu siedmiu lat każda kobieta potrzebuje czasu, żeby się przygotować, zanim się pokaże swojemu mężczyźnie.

Nie mogła jednak kazać mu czekać na korytarzu, aż się umaluje i zmieni bieliznę.

Otworzyła drzwi.

- Kochanie - powiedział i pocałował ją.

- Miło mi cię widzieć, ale zaskoczyłeś mnie - powiedziała. - Wyglądam okropnie.

Wszedł, a ona zamknęła drzwi. Przytrzymał ją na odległość wyciągniętych rąk i przyjrzał jej się.

- Włosy w nieładzie, okulary, szlafrok, bosa nogi - wyliczył. - Wyglądasz urzekająco.

Roześmiała się i zaprowadziła go do kuchni.

- Jadłeś kolację? - zapytała. - Zrobić ci omlet?

- Tylko kawę, proszę. Jadłem w samolocie.

- Co robisz w Hamburgu?

- Szef mnie wysłał. - Fred usiadł przy stole. - Premier Németh w przyszłym tygodniu przejeżdża do Niemiec spotkać się z kanclerzem Kohlem. Zamierza zadać mu jedno pytanie. I jak każdy polityk, chce znać na nie odpowiedź, zanim je zada.

- Jakie pytanie?

- Zaraz ci to wyjaśnię.

Postawiła przed nim filiżankę kawy.

- Mów. Mamy całą noc.

- Mam nadzieję, że to nie potrwa tak długo. - Przesunął rękę po jej nodze, pod szlafrok.

- Mam inne plany. - Dotarł do bielizny. - Och! - powiedział. - Luźne majteczki.

Zarumieniła się.

- Nie spodziewałam się ciebie!

Uśmiechnął się.

- Zmieściłyby się w nich obie dłonie, a może nie tylko.

Odsunęła się i przeszła na drugą stronę stołu.

- Jutro wyrzucę całą starą bieliznę. - Usiadła naprzeciwko niego. - Przystań mnie zawstydzając i powiedz, po co przyleciałeś.

- Węgry zamierzają otworzyć granicę z Austrią.

Rebecca nie wierzyła własnym uszom.

- Co ty mówisz?

- Otworzymy naszą granicę. Pozwolimy, by ogrodzenie przestało działać. Damy naszym obywatelom swobodę podróżowania.

- Nie mówisz poważnie.

- To decyzja zarówno ekonomiczna, jak i polityczna. Ogrodzenie się psuje, a nie stać nas na jego odbudowę.

Rebecca zaczęła rozumieć.

- Ale jeśli Węgrzy będą mogli się wydostać, to wszyscy inni też. Jak powstrzymacie Czechów, Jugosłowian, Polaków...

- Nie będziemy ich powstrzymywać.

- ...i mieszkańców Niemiec Wschodnich. Dobry Boże, moja rodzina będzie mogła wyjechać!

- Tak.

- To niemożliwe. Sowieci na to nie pozwolą.

- Németh był w Moskwie i powiadomił Gorbaczowa.

- Co powiedział Gorbi?

- Nic. Nie jest uszczęśliwiony, ale nie będzie interweniował. I nie stać go na odnowienie ogrodzenia.

- Jednak...

- Byłem przy tym spotkaniu na Kremlu. Németh zapytał go wprost, czy Sowieci dokonają inwazji tak jak w pięćdziesiątym szóstym roku. Odpowiedział: *Niet*.

- Wierzysz mu?

- Tak.

To była wiadomość zmieniająca świat. Rebecca dążyła do tego, odkąd zajęła się polityką, lecz nie wierzyła, że naprawdę do tego dojdzie: jej rodzina będzie mogła przyjechać do Niemiec Zachodnich! Wolność!

- Może być w tym tylko jeden haczyk - powiedział Fred.

- Tego się obawiałam.

- Gorbaczow obiecał, że nie będzie interwencji wojskowej, ale nie wykluczył sankcji ekonomicznych.

Rebecca uważała, że to najmniejszy problem.

- Gospodarka Węgier ukierunkuje się na Zachód i okrzepnie.

- Właśnie tego pragniemy. To jednak potrwa. Naród mogą czekać ciężkie czasy. Może Kreml ma nadzieję doprowadzić do załamania gospodarczego, zanim zdążymy stanąć na nogi. To mogłoby doprowadzić do kontrrewolucji.

Rebecca wiedziała, że Frederik ma rację. To było poważne zagrożenie.

- No tak, to zbyt piękne, żeby mogło być prawdziwe - powiedziała ze zniechęceniem.

- Nie rozpaczaj. Znaleźliśmy rozwiązanie. Właśnie dlatego tu jestem.

- Jaki macie plan?

- Potrzebujemy wsparcia najbogatszego państwa w Europie. Jeśli będziemy mieli linię kredytową w niemieckich bankach, zdołamy się oprzeć radzieckim naciskom. W przyszłym tygodniu Németh poprosi Kohla o pożyczkę. Wiem, że ty sama nie możesz autoryzować czegoś takiego, ale miałem nadzieję, że możesz dać mi jakąś wskazówkę. Co powie Kohl?

- Nie wyobrażam sobie, żeby odmówił, jeśli nagrodą będzie otwarcie granic. Pomyśl, co by to oznaczało dla niemieckiej gospodarki, nie biorąc nawet pod uwagę korzyści politycznych.

- Możemy potrzebować dużej kwoty.



- Jak dużej?
- Być może miliard marek.
- Nie martw się - powiedziała Rebecca. - Dostaniecie je.

Według raportu CIA leżącego przed kongresmenem George'em Jakesem sowiecka gospodarka coraz bardziej podupadała. Reformy Gorbaczowa - decentralizacja, zwiększenie produkcji towarów konsumpcyjnych, ograniczenie zbrojeń - nie wystarczały.

Na wschodnioeuropejskie państwa satelickie naciskano, żeby za przykładem ZSRR liberalizowały swoje gospodarki, ale według prognoz Agencji wszelkie zmiany miały być niewielkie i stopniowe. Jeśli jakiś kraj odrzuci komunizm, Gorbaczow wyśle tam czołgi.

George'owi, biorącemu udział w posiedzeniu kongresowej komisji do spraw wywiadu, nie wydawało się to prawidłową oceną. Polska, Węgry i Czechosłowacja wyprzedzały ZSRR, zmierzając ku wolnemu rynkowi i demokracji, a Gorbaczow nic nie robił, żeby je powstrzymać.

Jednak prezydent Bush i sekretarz do spraw obrony Cheney byli głęboko przekonani o zagrożeniu ze strony Sowietów i jak zwykle naciskano na CIA, żeby mówiła prezydentowi to, co chciał usłyszeć.

Spotkanie pozostawiło George'owi poczucie rozczarowania i niepokoju. Z Kapitolu przejechał metrem z powrotem do biurowca Cannon House, gdzie zajmował niewielki trzypokojowy apartament. W holu było stanowisko recepcjonistki, kanapa dla czekających gości i okrągły stolik. Po jednej stronie znajdowało się pomieszczenie personelu zatłoczone biurkami, regałami z książkami i szafkami na akta. Po drugiej gabinet George'a, z biurkiem, stołem konferencyjnym i zdjęciem Bobby'ego Kennedy'ego.

Był zaintrygowany, ujrawszy na liście popołudniowych gości duchownego z Anniston w Alabamie, wielbnego Clarence'a Bowyer, który chciał porozmawiać z nim o prawach obywatelskich.

George nigdy nie zapomni Anniston. To w tym mieście uczestników Rajdu Wolności zaatakował tłum, który podpalił także ich autobus. To był jedyny przypadek, kiedy ktoś naprawdę próbował go zabić.

Widocznie wyraził zgodę na spotkanie z tym człowiekiem, chociaż nie mógł sobie przypomnieć dlaczego. Zakładał, że chcący się z nim zobaczyć kaznodzieja z Alabamy będzie Afroamerykaninem, i poczuł się zaskoczony, gdy asystent wprowadził białego mężczyznę. Wielbny Bowyer był mniej więcej w wieku George'a, nosił szary garnitur, białą koszulę i ciemny krawat, ale na nogach miał sportowe buty, zapewne dlatego, że sporo chodził po

Waszyngtonie. Miał duże przednie zęby, cofnięty podbródek i siwiejące rude włosy podkreślające podobieństwo do wiewiórki. Wydał się George'owi dziwnie znajomy. Towarzyszył mu nastoletni chłopiec, bardzo do niego podobny.

- Próbuję nieść Słowo Boże żołnierzom i innym osobom pracującym w magazynach wojskowych Anniston - rzekł Bowyer, przedstawiając się. - Wielu moich wiernych to Afroamerykanie.

George pomyślał, że Bowyer sprawia wrażenie szczerego, a skoro do jego kościoła chodzą czarni i biali, to musi być niezwykłym człowiekiem.

- Dlaczego interesują pana prawa obywatelskie, wielebny?

- No cóż, proszę pana, jako młody człowiek byłem zwolennikiem segregacji.

- Jak wiele osób - powiedział George. - Wszyscy dużo się nauczyliśmy.

- Ja nie tylko się uczyłem - odparł Bowyer. - Kajałem się przez długie lata.

To wydawało się lekką przesadą. Niektórzy ludzie proszący o spotkanie z kongresmenem byli mniej lub bardziej szaleni. Personel George'a starał się odsiewać wariatów, ale od czasu do czasu jakiś prześlizgiwał się przez tę sieć. Jednak Bowyer wydawał się George'owi najzupełniej normalny.

- Kajał się pan - powtórzył George, chcąc zyskać na czasie.

- Kongresmenie Jakes - poważnie powiedział Bowyer. - Przyszedłem tu pana przeprosić.

- Za co dokładnie?

- W tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym pierwszym roku uderzyłem pana łomem. Sądzę, że złamałem panu rękę.

W nagłym przebiegu George zrozumiał, dlaczego ten człowiek wyglądał znajomo. Był w tym tłumie w Anniston. Próbował uderzyć Marię, ale George osłonił ją ręką. Wciąż bolała go w chłodne dni. George ze zdumieniem spojrzał na tego szacownego duchownego.

- A więc to był pan - powiedział.

- Tak, proszę pana. Nie mam na to żadnego usprawiedliwienia. Wiedziałem, co robię, i to było złe. Jednak nigdy pana nie zapomniałem. Chciałbym tylko, żeby pan wiedział, jak bardzo jest mi przykro, i aby mój syn, Clam, był świadkiem tego, jak przyznaję się do winy.

George był zaskoczony. Jeszcze nigdy nie przytrafiło mu się coś takiego.

- Zatem został pan kaznodzieją.

- Najpierw stałem się pijakiem. Przez whisky straciłem pracę, dom i samochód. Potem pewnego dnia Pan skierował moje kroki do małej misji w baraku znajdującym się w biednej dzielnicy. Tamtejszy kaznodzieja, który przypadkiem był czarny, wybrał do kazania

dwudziesty piąty rozdział z Ewangelii świętego Mateusza, a szczególnie wers czterdziesty: „Wszystko, co uczyniliście jednemu z tych braci moich najmniejszych, Mnieście uczynili”.

George słyszał niejedno kazanie oparte na tym wersie. Oznaczał, że krzywdząc kogoś, krzywdzimy Jezusa. Afroamerykanie, którzy byli krzywdzeni częściej niż inni obywatele, czerpali z tego pociechę. Ten cytat widniał nawet na witrażu kościoła Baptistów przy Szesnastej Ulicy w Birmingham.

- Wszedłem do tego kościoła, by drwić - powiedział Bowyer - a wyszedłem zbawiony.

- Cieszę się, słysząc o tej przemianie, wielebny - powiedział George.

- Nie zasługuję na pańskie przebaczenie, kongresmenie, ale mam nadzieję, że Bóg mi wybaczy. - Bowyer wstał. - Nie będę dłużej zajmował pańskiego cennego czasu. Dziękuję.

George też wstał. Czuł, że nie zareagował odpowiednio na wizytę tego człowieka miotanego tak gwałtownymi emocjami.

- Zanim pan pójdzie - powiedział - podajmy sobie ręce. - Ujął dłoń Bowyera w obie swoje. - Jeśli Bóg mógł panu wybaczyć, Clarence, to chyba ja też powinienem.

Bowyer załkał. Ze łzami w oczach uścisnął dłoń George'a.

Po chwili George puścił jego dłoń i odsunął się. Bowyer próbował coś powiedzieć, ale nie zdołał. Płacząc, odwrócił się i opuścił pokój.

Jego syn uścisnął dłoń George'a.

- Dziękuję, kongresmenie - odezwał się drżącym głosem. - Nie potrafię wyrazić, ile pańskie przebaczenie znaczy dla mojego ojca. Jest pan wielkim człowiekiem.

Wyszedł z gabinetu w ślad za ojcem.

George usiadł, oszołomiony. No, pomyślał, i co wy na to?

Wieczorem opowiedział o tym Marii.

Nie podzielała jego współczucia.

- Zapewne masz prawo im wybaczyć, bo to tobie złamali rękę - powiedziała. - Ja nie użalam się nad segregacjonistami. Chciałabym zobaczyć, jak wielebny Bowyer odbywa karę paru lat więzienia albo robót przymusowych. Potem może przyjąłabym jego przeprosiny. Wszyscy ci skorumpowani sędziowie, brutalni policjanci i konstruktorzy bomb nadal są na wolności, jak wiesz. Nigdy nie zostali postawieni przed sądem za to, co robili. Niektórzy pewnie biorą teraz emerytury. I chcą jeszcze przebaczenia? Nie zamierzam poprawiać im samopoczucia. Jeśli dręczy ich poczucie winy, to bardzo się z tego cieszę. Należy im się przynajmniej tyle.

George uśmiechnął się. Po pięćdziesiątce Maria stała się zapalczywa. Była jedną z

najważniejszych osób w Departamencie Stanu, szanowaną przez republikanów i demokratów. Emanowała pewnością siebie i stanowczością.

Spotkali się dzisiaj w jej mieszkaniu i teraz przygotowywała obiad, okonia morskiego faszerowanego ziołami, a George zastawiał stół. Kuszący zapach wypełnił pokój, aż George'owi pociekła ślinka. Maria napełniła mu kieliszek winem Lynmar Chardonnay, a potem wstawiła brokuły do szybkowaru. Była nieco tęższa niż kiedyś i próbowała przyswoić sobie kulinarne upodobania szczupłego George'a.

Po kolacji usiedli przy kawie na kanapie. Maria była w łagodniejszym nastroju.

- Gdy będę odchodzić z Departamentu Stanu, chcę móc spojrzeć wstecz i powiedzieć, że świat jest bezpieczniejszym miejscem niż wtedy, kiedy zaczynałam pracę - oświadczyła. - Chcę, by moi siostrzeńcy i moje siostrzenice, a także mój chrześniak Jack wychowywali swoje dzieci bez wiszącej nad nimi groźby atomowego holocaustu. Wtedy będę mogła powiedzieć, że dobrze wykorzystałam swoje życie.

- Rozumiem, co czujesz - rzekł George. - Jednak to wydaje się nieziszczalnym marzeniem. Czy ono może się spełnić?

- Być może. Blok sowiecki jest bliższy rozpadu niż kiedykolwiek od zakończenia drugiej wojny światowej. Nasz ambasador w Moskwie uważa, że doktryna Breżniewa umarła.

Według doktryny Breżniewa Związek Sowiecki kontrolował Europę Wschodnią, tak jak doktryna Monroego przyznawała USA takie prawo w Ameryce Południowej.

George skinął głową.

- Jeżeli Gorbaczow nie chce dłużej rządzić komunistycznym imperium, USA mogą wyciągnąć z tego ogromne korzyści polityczne.

- A my powinniśmy robić, co w naszej mocy, żeby pomóc Gorbaczowowi utrzymać się przy władzy. Tymczasem nie robimy tego, ponieważ prezydent Bush uważa, że wszystko to jest tylko podstępem Gorbaczowa. I dlatego zamierza zwiększyć nasz potencjał nuklearny w Europie.

- Co z pewnością osłabi pozycję Gorbaczowa i zachęci jastrzębie na Kremlu.

- Właśnie. W każdym razie jutro przyjeżdża delegacja Niemców, którzy spróbują przemówić mu do rozumu.

- Powodzenia - rzucił George ze sceptycyzmem w głosie.

- Taak.

George dopił kawę, ale nie chciało mu się wychodzić. Czuł się wspaniale po dobrym jedzeniu i winie, a ponadto zawsze lubił rozmawiać z Marią.

- Wiesz co? - powiedział. - Poza moim synem i matką lubię cię bardziej niż

kogokolwiek na świecie.

- A co z Veroną? - ostro zapytała Maria.

George się uśmiechnął.

- Spotyka się z twoim byłym chłopakiem, Lee Montgomerym. Jest teraz redaktorem „Washington Post”. Myślę, że to coś poważnego...

- To dobrze.

- Czy pamiętasz... - Zapewne nie powinien tego mówić, ale wypił pół butelki wina i pomyślał: a co tam, do diabła. - Czy pamiętasz, jak uprawialiśmy seks na tej kanapie?

- George - odparła. - Nie robię tego tak często, żeby o tym zapomnieć.

- Niestety, ja też nie.

Roześmiała się, ale dodała:

- Cieszę się.

Wpadł w nostalgiczny nastrój.

- Jak dawno to było?

- Tamtego wieczoru, gdy Nixon złożył dymisję, piętnaście lat temu. Byłeś młody i przystojny.

- A ty niemal tak piękna jak dzisiaj.

- Och, ty czarusiu.

- To było miłe, nieprawdaż? Mówię o seksie.

- Miłe? - uśmiechnęła się. - Tylko tyle?

- Wspaniale.

- Taak.

Zaczął żałować straconych okazji.

- Co się z nami stało?

- Poszliśmy różnymi drogami.

- Chyba tak. - Milczeli chwilę, a potem George zapytał: - Chcesz zrobić to znowu?

- Już myślałam, że nigdy nie zapytasz.

Pocałowali się i natychmiast przypomniał sobie, jak czuł się za pierwszym razem: tak swobodnie, tak naturalnie, tak dobrze.

Jej ciało było teraz inne: miększe, mniej napięte, a skóra suchsza. Domyślał się, że to samo można było powiedzieć o jego ciele: mięśnie zapaśnika zanikły już dawno. Jednak to niczego nie zmieniało. Jej wargi i język wykazywały gorączkową aktywność, a on znów czuł tę znajomą przyjemność wywołaną bliskością zmysłowej i kochającej kobiety.

Rozpięła mu koszulę. Gdy ją zdejmował, wstała i szybko wyslizgnęła się z sukni.

- Zanim posuniemy się dalej... - zaczął George.
- Co takiego? - spytała, siadając. - Rozmyśliłeś się?
- Wprost przeciwnie. Nawiasem mówiąc, ładny biustonosz.
- Dziękuję. Możesz go zdjąć ze mnie w mgnieniu oka.

Rozpięła mu pasek.

- Jednak jest coś, co chcę ci powiedzieć. Nawet ryzykując, że wszystko zepsuję...
- No już - powiedziała. - Zaryzykuj.
- Właśnie coś sobie uświadomiłem. Chyba powinienem odkryć to wcześniej.

Obserwowała go z uśmiechem, nic nie mówiąc, i miał dziwne przeczucie, że już odgadła, co zamierzał powiedzieć.

- Zrozumiałem, że cię kocham - wyznał.
- Naprawdę?
- Tak. Masz mi to za złe? Czy uważasz, że to dobrze? A może wszystko popsułem?
- Głuptasie - powiedziała. - Kocham cię od lat.

Rebecca przybyła do Departamentu Stanu w Waszyngtonie w ciepły wiosenny dzień. Na klombie rosły narcyzy, a ona była pełna nadziei. Sowieckie imperium słabło, może ostatecznie. Niemcy miały szansę zjednoczyć się i wyzwolić. Trzeba było tylko popchnąć Amerykanów we właściwym kierunku.

Rozmyślała o tym, że dzięki Carli, jej przybranej matce, jest teraz w Waszyngtonie jako przedstawicielka swojego kraju, żeby negocjować z najbardziej wpływowymi ludźmi na świecie. To Carla przyjęła przerażoną trzynastoletnią żydowską dziewczynę w pograżonym w wojennym zamęciu Berlinie i dała jej pewność siebie, która doprowadziła ją do sukcesów w międzynarodowej polityce. Muszę wysłać jej zdjęcie, pomyślała Rebecca.

Wraz ze swoim szefem, Hansem-Dietrichem Genscherem, i kilkoma doradcami weszła do nowoczesnego budynku Departamentu Stanu. W dwupiętrowym holu znajdował się olbrzymi fresk zatytułowany *Obrona swobód obywatelskich*, przedstawiający pięć praw chronionych przez amerykańskie wojsko.

Niemców powitała kobieta, którą Rebecca dotychczas знаła tylko jako ciepły, inteligentny głos w słuchawce: Maria Summers. Rebecca ze zdziwieniem odkryła, że Maria jest Afroamerykanką. Zaraz poczuła się winna z powodu tego zdziwienia: nie ma powodu, by Afroamerykanin nie zajmował wysokiego stanowiska w Departamencie Stanu. Po chwili Rebecca uświadomiła sobie, że w tym budynku jest bardzo niewiele czarnych twarzy, więc jej zdumienie jest jednak uzasadnione.

Maria była przyjazna i miła, ale wkrótce stało się oczywiste, że sekretarz stanu James Baker nie podziela tych uczuć. Niemcy czekali przed jego gabinetem pięć minut, a potem dziesięć. Maria była wyraźnie udęczona. Rebecca zaczęła się niepokoić. Kazać czekać niemieckiemu wicekanclerzowi - to z pewnością nie był przypadek, lecz zamierzona zniewaga. Baker najwyraźniej był wrogo nastawiony.

Rebecca słyszała o takim postępowaniu Amerykanów. Później mówili dziennikarzom, że gości potraktowano tak z powodu ich poglądów, i w ojczyźnie pojawiały się irytujące artykuły. Ronald Reagan zachował się w taki sposób wobec przywódcy brytyjskiej opozycji, Neila Kinnocka, ponieważ on też był zwolennikiem rozbrojenia.

Rebecca nie przejmowała się zniewagą jako taką. Politycy często stroszyli piórka. Jak chłopcy popisujący się swoją męskością. Jednak to oznaczało, że spotkanie zapewne okaże się bezowocne, a to była zła wiadomość dla zwolenników rozbrojenia.

Po piętnastu minutach wpuszczono ich do gabinetu. Baker był tyczkowatym, muskularnym mężczyzną mówiącym z teksańskim akcentem, ale nie miał w sobie nic z wiejskiego chłopaka: był nienagannie ostrzyżony i ubrany. Zauważalnie krótko uściśnął dłoń Hansa-Dietricha Genschera i od razu przeszedł do rzeczy.

- Jesteśmy głęboko rozczarowani waszym nastawieniem - powiedział.

Na szczęście Genscher nie był mimozą. Od piętnastu lat pełnił obowiązki wicekanclerza Niemiec oraz ministra spraw zagranicznych i potrafił ignorować złe maniery. Ten łysawy mężczyzna w okularach miał szeroką, nalaną twarz.

- A my uważamy, że wasza polityka nie nadąża za zmianami - rzekł chłodno. - Sytuacja w Europie się zmieniła i musicie wziąć to pod uwagę.

- Musimy utrzymać siłę arsenału atomowego NATO - rzekł Baker, jakby powtarzał mantrę.

Genscher z wyraźnym trudem opanował zniecierpliwienie.

- Nie zgadzamy się z tym i nasi obywatele również. Czterech na pięciu Niemców chce wycofania wszelkiej broni nuklearnej z Europy.

- Dali się zwieść propagandzie Kremla!

- Mamy demokrację. Ostateczna decyzja należy do narodu.

Dick Cheney, amerykański sekretarz do spraw obrony, również był w pokoju.

- Jednym z priorytetowych celów Kremla jest rozbrojenie atomowe Europy - powiedział. - Nie możemy wpaść w tę pułapkę!

Genscher był wyraźnie zirytowany tym, że polityki europejskiej próbują go uczyć ludzie wiedzący o niej znacznie mniej niż on. Wyglądał jak nauczyciel daremnie próbujący

wytłumaczyć coś krnąbrnym uczniom.

- Zimna wojna się skończyła - oświadczył.

Rebecca ze zgrozą zrozumiała, że to spotkanie będzie kompletnie bezowocne. Nikt nikogo nie słuchał; wszyscy wcześniej podjęli decyzje.

Miała rację. Obie strony jeszcze przez kilka minut wymieniały irytujące uwagi, po czym spotkanie przerwano.

Nie zrobiono pamiątkowego zdjęcia.

Kiedy niemiecka delegacja odchodziła, Rebecca rozpaczliwie szukała jakiegoś sposobu ratowania sytuacji, ale nie znalazła.

- Nie poszło to tak, jak tego oczekiwałam - powiedziała do niej w holu Maria Summers.

To nie były przeprosiny, ale coś najbardziej do nich zbliżonego, co osoba na jej stanowisku mogła zaoferować.

- W porządku - odparła Rebecca. - Przykro mi, że nie było więcej dialogu, a mniej punktowania.

- Czy możemy coś zrobić, żeby przybliżyć stanowiska naszych zwierzchników w tej kwestii?

Rebecca już miała odpowiedzieć, że nie, ale nagle przyszła jej do głowy pewna myśl.

- Niewykluczone - rzuciła. - Może zorganizujecie wizytę prezydenta Busha w Europie? Niech sam zobaczy. Niech porozmawia z Polakami i Węgrami. Wierzę, że zmienią zdanie.

- Masz rację - powiedziała Maria. - Zamierzam to zaproponować. Dziękuję.

- Powodzenia - rzekła Rebecca.



## ROZDZIAŁ 60

Lili Franck była zdumiona i jej rodzina także.

Oglądali wiadomości zachodnioniemieckiej telewizji. Wszyscy w Niemczech Wschodnich oglądali zachodnioniemiecką telewizję, nawet komunistyczni aparaczczy; można to było poznać po ustawieniu anten na dachach.

Przed odbiornikiem siedzieli rodzice Lili, Carla i Werner, oraz Karolin i Alice, a także narzeczony Alice, Helmut.

Dziś, drugiego maja, Węgrzy otworzyli granicę z Austrią.

Nie zrobili tego dyskretnie. Rząd zwołał konferencję prasową w Hegyeshalom, w miejscu gdzie szosa z Budapesztu do Wiednia przechodzi przez granicę. Tak jakby chcieli sprowokować Sowietów. Z wielką pompą, przed obiektywami setek kamer, alarm elektroniczny i system monitoringu zostały wyłączone wzdłuż całej granicy.

Rodzina Francków patrzyła na to z niedowierzaniem.

Strażnicy graniczni wielkimi nożycami do drutu zaczęli ciąć ogrodzenie, podnosić ogromne prostokąty z drutu kolczastego, przenosić je i rzucać bezładnie na stertę.

- Mój Boże - powiedziała Lili. - Żelazna kurtyna opada.

- Sowietci tego nie zniosą - skomentował jej słowa Werner.

Lili nie była tego pewna. Ostatnio niczego nie była już pewna.

- Przecież Węgrzy nie zrobiliby tego, gdyby nie byli pewni, że Sowietci to zaakceptują, prawda?

Jej ojciec pokręcił głową.

- Może uważają, że ujdzie im to płazem...

Alice poczuła przypływ nadziei.

- Jednak to oznacza, że Helmut i ja możemy wyjechać! - zawołała. Ona i jej narzeczony rozpaczliwie chcieli się wydostać z Niemiec Wschodnich. - Możemy po prostu pojechać na Węgry, niby na wakacje, i przekroczyć granicę!

Lili sympatyzowała z nimi. Pragnęła, by Alice miała w życiu możliwości, których ją samą pozbawiono. Jednak to nie mogło być takie proste.

- Możemy? - zapytał Helmut. - Naprawdę?

- Nie, nie możecie - odparł Werner. Wskazał na ekran. - Po pierwsze, nie widzę, żeby ktoś już przechodził przez granicę. Poczekajmy, aż naprawdę do tego dojdzie. Po drugie, węgierski rząd może w każdej chwili zmienić zdanie i aresztować ludzi. Po trzecie, jeśli

Węgry naprawdę pozwolą ludziom uciekać, Sowieci przyślą czołgi i położą temu kres.

Lili uważała, że ojciec jest zbytnim pesymistą. Obecnie siedemdziesięcioletni, na starość stracił swoją odwagę. Zauważyła to w interesach. Wyśmiewał pomysł używania pilotów do telewizorów, a kiedy szybko stały się nieodzowne, jego fabryka musiała gwałtownie gonić konkurencję.

- Zobaczymy - powiedziała Lili. - W ciągu kilku następnych dni jacyś ludzie na pewno spróbują uciec. Wtedy się dowiemy, czy ktoś ich zatrzymuje.

- A jeśli dziadek Werner się myli? - zapytała podekscytowana Alice. - Nie możemy zmarnować takiej okazji! Co powinniśmy zrobić?

- To wydaje się niebezpieczne - powiedziała zaniepokojona Karolin, jej matka.

- Dlaczego myślisz, że wschodnioniemiecki rząd będzie nadal pozwalał nam wyjeżdżać na Węgry? - zapytał Werner Lili.

- Będą musieli - spierała się Lili. - Gdyby odwołali wakacje tysiący rodzin, naprawdę wybuchłaby rewolucja.

- Nawet jeśli to okaże się bezpieczne dla innych, dla nas może nie być.

- Dlaczego?

- Ponieważ jesteśmy rodziną Francków - ze zniechęceniem rzekł Werner. - Twoja matka była socjaldemokratyczną radną miejską, twoja siostra upokorzyła Hansa Hoffmanna, Walli zabił pogranicznika, a ty i Karolin śpiewacie protest songi. Poza tym nasz rodzinny biznes znajduje się w Berlinie Zachodnim, więc nie mogą go skonfiskować. Zawsze drażniliśmy komunistów. W rezultacie, niestety, jesteśmy traktowani w szczególny sposób.

- Zatem musimy zastosować specjalne środki ostrożności, to wszystko - powiedziała Lili. - Alice i Helmut będą bardzo ostrożni.

- Chcę wyjechać, niezależnie od tego, jakie to niebezpieczne - z naciskiem oznajmiła Alice. - Zdaję sobie sprawę z ryzyka i jestem gotowa je podjąć. - Oskarżycielsko spojrzała na dziadka. - Wychowałeś dwa pokolenia pod komunistycznymi rządami. Ten reżim jest zły, brutalny, głupi i zbankrutowany, a jednak nadal istnieje. Chcę żyć na Zachodzie. Helmut też. Chcemy, by nasze dzieci wychowywały się w demokratycznym i bogatym kraju. - Zwróciła się do narzeczonego. - Prawda?

- Tak - odparł, ale Lili wyczuła, że był ostrożniejszy od Alice.

- To szaleństwo - rzekł Werner.

Carla odezwała się dopiero teraz.

- To nie jest szaleństwo, kochanie - powiedziała z naciskiem do Wenera. - Niebezpieczne, owszem. Jednak pamiętaj, co sami robiliśmy, jak ryzykowaliśmy dla

wolności.

- Niektórzy z nas zginęli.

Carla nie poddawała się.

- Jednak uważaliśmy, że warto ryzykować.

- Była wojna. Musieliśmy pokonać nazistów.

- A to jest wojna Alice i Helmuta. Zimna wojna.

Werner zawahał się, a potem westchnął.

- Może masz rację - przyznał niechętnie.

- Dobrze - powiedziała Carla. - W takim razie opracujmy plan.

Lili znów spojrzała na ekran. Na Węgrzech nadal rozbierano płot.

W dniu wyborów w Polsce Tania poszła do kościoła z Danutą, która była jedną z kandydatek.

Był słoneczny niedzielny dzień, czwarty czerwca, i na niebie widać było tylko kilka puszystych obłoczków. Danuta ubrała dwójkę swoich dzieci w najlepsze ubranka i uczesała oboje. Marek założył krawat w biało-czerwone paski Solidarności, a także polskiej flagi. Danuta miała na głowie słomkowy kapelusz: biały melonik z czerwonym piórkiem.

Tanię nękały wątpliwości. Czy to wszystko dzieje się naprawdę? Wybory w Polsce? Demontaż płotu na Węgrzech? Rozbrojenie w Europie? Czy Gorbaczow poważnie myślał o jawności i przebudowie?

Tania marzyła o wolności z Wasilijem. Razem objechaliby świat: Paryż, Nowy Jork, Rio de Janeiro, Delhi. Wasilij udzielałby wywiadów telewizyjnych, mówiąc o swojej pracy i wielu latach utrzymywania jej w tajemnicy. Tania pisałaby reportaże z podróży, a może własną książkę.

Jednak budząc się z tego snu na jawie, czekała, godzina za godziną, na złe wieści: blokady drogowe, czołgi, aresztowania, godzinę policyjną i łysych mężczyzn w brzydkich ubraniach głoszących w telewizji, że udaremnili kontrewolucyjny spisek finansowany przez imperialistów.

Kapłan powiedział wiernym, żeby głosowali na najpobożniejszych kandydatów. Ponieważ wszyscy komuniści byli z założenia ateistami, nie mogło być jaśniejszej wskazówki.

Autorytarny polski kler niespecjalnie lubił liberalną Solidarność, ale wiedział, kto jest jego prawdziwym wrogiem.

Do wyborów doszło szybciej, niż Solidarność się spodziewała. Związek zaczął

pospiesznie zbierać pieniądze, wynajmować biura, zatrudniać personel i prowadzić kampanię wyborczą w całym kraju, a wszystko to w ciągu kilku tygodni. Jaruzelski zrobił to celowo, chcąc zaskoczyć związek i wiedząc, że rząd jest przygotowany do wyborów.

Jednak było to ostatnie sprytne posunięcie Jaruzelskiego. Komuniści działali apatycznie, jakby tak byli pewni wygranej, że nie potrzebowali zwracać sobie głowy prowadzeniem kampanii. Ich sloganem było „Z nami bezpieczniej”, co przypominało reklamę prezerwatyw. Tania zamieściła ten żart w swoim reportażu dla TASS i ku jej zdumieniu redakcja tego nie wycięła.

Ludzie uważali te wybory za pojedynek między generałem Jaruzelskim, od prawie dekady komunistycznym szefem państwa, a niesfornym elektrykiem, Lechem Wałęsą. Danuta miała zdjęcie z Wałęsą, jak każdy z kandydatów Solidarności, i te fotografie znajdowały się wszędzie. W trakcie kampanii związek wydawał codzienną gazetę, redagowaną głównie przez Danutę i jej koleżanki. Na najlepszym plakacie Solidarności Gary Cooper jako szeryf Will Kane zamiast rewolweru trzymał w ręku kartę wyborczą, a podpis głosił: „W samo południe 4 czerwca 1989”.

Może po komunistach należało się spodziewać tak nieudolnej kampanii wyborczej, rozmyślała Tania. W końcu pomysł pokornego proszenia ludzi, żeby na nich głosowali, był całkowicie obcy polskiej elicie władzy.

W Senacie, nowej, wyższej izbie parlamentu, było sto miejsc. Komuniści spodziewali się zdobyć większość z nich. Polacy byli ekonomicznie przyparci do muru i Tania sądziła, że raczej opowiedzą się po stronie znanego im Jaruzelskiego niż indywidualisty Wałęsy. W niższej izbie, Sejmie, komuniści nie mogli przegrać, ponieważ sześćdziesiąt pięć procent miejsc zarezerwowano dla nich i dla ich sojuszników.

Solidarność przejawiała umiarkowane aspiracje. Uważała, że jeśli uzyska znaczącą liczbę głosów, komuniści będą zmuszeni włączyć jej przedstawicieli do rządu.

Tania miała nadzieję, że tak się stanie.

Po mszy Danuta uścisnęła dłonie wszystkich obecnych.

Potem Tania poszła z rodziną Górskich do lokalu wyborczego. Lista kandydatów była długa, a sposób głosowania skomplikowany, więc Solidarność postawiła przed lokalem stolik, przy którym pokazywano ludziom, jak głosować. Zamiast zaznaczać swoich kandydatów, mieli skreślać tych, których nie lubili. Członkowie Solidarności z lubością pokazywali wzór wypełnionej karty do głosowania z przekreślonymi nazwiskami wszystkich komunistycznych kandydatów.

Tania obserwowała głosujących. Dla większości były to pierwsze wolne wybory.

Widziała, jak biednie ubrana kobieta wodzi długopisem po liście, wydając cichy pomruk satysfakcji przy każdym zidentyfikowanym komuniście i z uśmiechem zadowolenia skreślając jego nazwisko. Tania zaczęła podejrzewać, że rząd niemądrze wybrał ten sposób głosowania, dający przeciwnikom tyle radości.

Rozmawiała z niektórymi ludźmi, pytając, czym się kierowali, dokonując wyboru.

- Głosowałam na komunistów - powiedziała kobieta w drogim płaszczu. - To oni umożliwili przeprowadzenie tych wyborów.

Jednak większość wybierała kandydatów Solidarności.

Oczywiście, sondaż Tani był całkowicie nienaukowy.

Poszła na obiad do Danuty, a potem obie zostawiły Marka z dziećmi i pojechały samochodem Tani do kwatery głównej Warszawskiego Komitetu Obywatelskiego Solidarności, mieszczącej się na piętrze kawiarni Niespodzianka w centrum miasta.

Panował tam radosny nastrój. Sondaże dawały Solidarności prowadzenie, lecz nikt im nie wierzył, ponieważ niemal pięćdziesiąt procent pytanym odpowiadało: „nie wiem”. Jednak raporty spływające z całego kraju mówiły o wysokim morale. Tania też była wesoła i optymistycznie nastawiona. Niezależnie od rezultatu, w państwie należącym do bloku wschodniego odbyły się wolne wybory i samo to musiało być powodem do zadowolenia.

Po zamknięciu lokali wyborczych Tania poszła z Danutą popatrzeć na liczenie głosów. Był to moment pełen napięcia. Gdyby władza postanowiła oszukiwać, miała sto sposobów na sfalszowanie wyników głosowania. Obserwatorzy z Solidarności uważnie przyglądali się liczeniu głosów, ale nie zauważyli żadnych nieprawidłowości. Samo to było zdumiewające.

Danuta wygrała miażdżącą przewagą głosów.

Widząc ją, pobladłą i zaskoczoną, Tania zrozumiała, że przyjaciółka nie spodziewała się zwycięstwa.

- Jestem posłanką - powiedziała Danuta z niedowierzaniem. - Wybraną przez ludzi.

Potem na jej twarzy pojawił się ten szeroki uśmiech i zaczęła przyjmować gratulacje. Tyle osób ją wycierało, że Tania zaczęła się niepokoić o higienę.

Gdy wreszcie się stamtąd wyrwały, pojechały jasno oświetlonymi ulicami z powrotem do kawiarni Niespodzianka. Wygrana Danuty nie była jedynym druzgoczącym zwycięstwem: kandydaci Solidarności zdobyli więcej głosów, niż ktokolwiek się spodziewał.

- To cudownie! - powiedziała Tania.

- Nie, wcale nie - ponuro odparła Danuta.

Tania uświadomiła sobie, że obecni tam członkowie Solidarności wcale się nie cieszą. Zaskoczyła ją ta posepna reakcja na tak wspaniałe wieści.

- Co się stało, do licha?

- Za dobrze nam poszło - wyjaśniła Danuta. - Komuniści tego nie zaakceptują. Muszą zareagować.

O tym Tania nie pomyślała.

- Na razie rząd nie zdobył ani jednego miejsca - ciągnęła Danuta. - Nawet ci kandydaci komunistów, którzy nie mieli rywali, nie uzyskali minimum pięćdziesięciu procent głosów. To dla nich policzek. Jaruzelski będzie musiał unieważnić wybory.

- Porozmawiam z bratem - rzekła Tania.

Miała jego kremłowski numer i mogła połączyć się z nim za pośrednictwem specjalnej linii. Było późno, ale Dimka nadal przebywał w biurze.

- Tak, Jaruzelski właśnie tu dzwonił - powiedział Tani. - Rozumiem, że komuniści zostali upokorzeni.

- Co mówił Jaruzelski?

- Chce znów wprowadzić stan wojenny, tak jak osiem lat temu.

Tania podupadła na duchu.

- Cholera. - Przypomniała sobie Danutę wywlekaną z mieszkania przez zbirów z ZOMO i płacz jej dzieci. - Nie może znowu tego zrobić.

- Proponuje unieważnienie wyborów. „Wciąż trzymamy w rękach ster władzy”, powiedział.

- To prawda - z przygnębieniem przyznała Tania. - Mają broń.

- Jednak Jaruzelski boi się zrobić to samodzielnie. Chce poparcia Gorbaczowa.

Tania się ożywiła.

- I co powiedział Gorbi?

- Jeszcze nic. Ktoś poszedł go obudzić.

- Jak myślisz, co powie?

- Zapewne każe Jaruzelskiemu samemu rozwiązywać swoje problemy. Tak mówił wszystkim przez ostatnie cztery lata. Jednak nie mam pewności. Zobaczyć, że partia przegrała tak sromotnie wolne wybory... to może być zbyt wiele nawet dla Gorbaczowa.

- Kiedy będziesz wiedział?

- Gorbaczow powie tylko „tak” lub „nie” i znów zaśnie. Zadzwoń do mnie za godzinę.

Tania rozłączyła się. Nie wiedziała, co myśleć. Najwyraźniej Jaruzelski był gotowy uderzyć, aresztować wszystkich działaczy Solidarności, zawiesić prawa obywatelskie i ponownie wprowadzić swoją dyktaturę, tak jak w 1981 roku. Zawsze tak się działo, gdy któreś z komunistycznych państw poczuło zapach wolności. Jednak Gorbaczow powiedział,

że dawne czasy minęły. Czy to prawda?

Polska miała zaraz się dowiedzieć.

Tania w udręce niepewności spoglądała na telefon. Co powiedzieć Danucie? Nie chciała nikogo straszyć. A może jednak powinna ich uprzedzić o zamiarach Jaruzelskiego.

- Teraz ty też masz ponurą minę - odezwała się Danuta. - Co mówi twój brat?

Tania zawahała się, ale postanowiła powiedzieć, że jeszcze niczego nie zdecydowano, co było prawdą.

- Jaruzelski dzwonił do Gorbaczowa, ale jeszcze z nim nie rozmawiał.

Znów zaczęły oglądać telewizję. Solidarność zwyciężała wszędzie. Dotychczas komuniści nie zdobyli ani jednego miejsca. Kolejne raporty tylko potwierdzały wcześniejsze doniesienia. Zwycięstwo Solidarności było nie tylko przytłaczające, ale wręcz miażdżące.

W sali na piętrze euforia mieszała się z obawą. Stopniowe przejście władzy, na które liczyli, teraz nie wchodziło już w grę. W ciągu następnych dwudziestu czterech godzin były tylko dwa możliwe warianty wydarzeń. Komuniści ponownie obejmą władzę siłą albo zostaną od niej odsunięci na zawsze.

Tania w napięciu odczekała godzinę, po czym znów zadzwoniła do Moskwy.

- Rozmawiali - rzekł Dimka. - Gorbaczow odmówił wsparcia.

- Dzięki Bogu - powiedziała Tania. - I co teraz zrobi Jaruzelski?

- Schowa ogon pod siebie.

- Naprawdę? - Tania nie mogła uwierzyć w tak dobrą wiadomość.

- Nie ma innego wyjścia.

- Chyba nie ma.

- Ciesz się.

Tania rozłączyła się i odwróciła do Danuty.

- Nie użyją siły - poinformowała. - Gorbaczow się nie zgodził.

- O mój Boże! - zakrzyknęła Danuta głosem, w którym niedowierzanie mieszało się z radością. - Naprawdę zwyciężyliśmy, tak?

- Tak - potwierdziła Tania z głęboką satysfakcją i nadzieją, która przepełniała jej serce.

- To początek końca.

W Bukareszcie siódmego lipca był środek lata i panował tam potworny skwar. Dimka i Natalia przylecieli z Gorbaczowem na szczyt państw Układu Warszawskiego. Ich gospodarzem był Nicolae Ceaușescu, szalony rumuński dyktator.

Jako najważniejszy punkt programu zapowiadano „problem Węgier”. Dimka wiedział,

że umieścił go na liście przywódca wschodnioniemiecki, Erich Honecker. Liberalizacja Węgier zagrażała wszystkim innym państwom Układu Warszawskiego, zwracając uwagę na represyjny charakter ich niezreformowanych rządów, ale w największym stopniu Niemcom Wschodnim. Setki ich obywateli przebywających na wakacjach na Węgrzech opuszczało namioty, aby przejść przez las i dziury w starym płocie do Austrii i wolnego świata. Drogi prowadzące znad Balatonu do granicy były usiane porzuconymi bez żalu trabantami i wartburgami. Większość tych ludzi nie posiadała paszportów, ale to nie miało znaczenia: przewożono ich do Niemiec Zachodnich, gdzie nadawano im obywatelstwo i pomagano się osiedlić. Niewątpliwie wkrótce zastąpią swoje stare samochody lepszymi i wygodniejszymi volkswagenami.

Przywódcy państw Układu Warszawskiego spotkali się w wielkiej sali przy ustawionych w prostokąt stołach ozdobionych flagami. Jak zwykle doradcy, tacy jak Dimka i Natalia, siedzieli pod ścianami. Honecker był głównym atakującym, ale atak poprowadził Ceaușescu. Wstał ze swojego fotela obok Gorbaczowa i zaczął krytykować reformatorską politykę węgierskiego rządu. Był niskim, przygarbionym mężczyzną o krzaczastych brwiach i rozbieganych oczach. Chociaż mówił do kilkudziesięciu osób w sali konferencyjnej, krzyczał i gestykułował, jakby przemawiał do tysięcy na stadionie. Wykrzywił usta i zapluwał się. Nie ukrywał, czego chce: powtórki 1956 roku. Wzywał państwa Układu Warszawskiego do inwazji na Węgry, usunięcia Miklósa Németha i przywrócenia w tym kraju ortodoksyjnych rządów partii komunistycznej.

Dimka rozejrzał się po sali. Honecker kiwał głową. Czeski twardogłowy Miloš Jakeš patrzył na to z aprobatą. Todor Žiwkowi z Bułgarii wyraźnie się zgadzało. Tylko przywódca Polski, generał Jaruzelski, siedział niewzruszony z nieprzeniknioną miną, być może upokorzony klęską wyborczą.

Wszyscy ci ludzie byli brutalnymi tyranami, winnymi stosowania tortur i masowych mordów. Stalin nie był wyjątkiem, lecz typowym komunistycznym przywódcą. Każdy system polityczny dopuszczający do władzy takich ludzi jest zły, myślał Dimka. Dlaczego tak długo trwało, zanim na to wpadliśmy?

Jednak Dimka, tak jak większość ludzi na sali, obserwował Gorbaczowa.

Retoryka nie miała już znaczenia. Nie było ważne, kto ma rację, a kto się myli. Nikt na tej sali nie mógł nic zrobić bez zgody człowieka z ciemnym znamieniem na łysinie.

Dimka uważał, że wie, co teraz robi Gorbaczow. Jednak nie był tego zupełnie pewny. Gorbaczow sprawiał wrażenie rozdartego, tak jak imperium, którym władał, czy dać się uwieść tendencjom konserwatywnym, czy reformatorskim. Ale żadne przemówienia nie



zmieniają jego decyzji. Przez większość czasu wyglądał na znudzonego.

Ceaușescu podniósł głos niemal do wrzasku. W tym momencie Gorbaczow pochwycił spojrzenie Miklósa Németha. Rosjanin nieznacznie uśmiechnął się do Węgry, gdy Ceaușescu pluł i wrzeszczał.

A potem, ku głębokiemu zaskoczeniu Dimki, Gorbaczow mrugnął do Węgry.

Uśmiechał się jeszcze sekundę, po czym odwrócił wzrok i znów przybrał znużoną minę.

Maria zdołała unikać Jasperra Murrya niemal do końca europejskiej wizyty prezydenta Busha.

Nigdy się z nim nie spotkała. Znała jego twarz, bo widywała go w telewizji, jak wszyscy. Naprawdę był wyższy, to wszystko. Przez lata była źródłem jego najlepszych newsów, ale on o tym nie wiedział. Spotykał się tylko z George'em Jakesem, pośrednikiem. Byli ostrożni. Dlatego nigdy nie zostali zdemaskowani.

Znała całą historię wyrzucenia Jasperra z This Day. Biały Dom naciskał na Franka Lindemana, właściciela sieci telewizyjnej. Dlatego gwiazda reportażu znalazła się na wygnaniu. Jednak zamieszanie w Europie Wschodniej oraz dziennikarski instynkt Jasperra zmieniły to zesłanie w bardzo interesujące zajęcie.

Bush i jego świta, włącznie z Marią, zakończyli podróż w Paryżu. Czternastego lipca, w święto narodowe Francji upamiętniające zdobycie Bastylji, Maria stała na Champs Élysées, oglądając z dziennikarzami niekończącą się paradę wojskową i pragnąc jak najszybciej wrócić do domu, żeby kochać się z George'em, gdy zagadnął ją Jasper. Wskazał na ogromny plakat Evie Williams reklamującej krem do twarzy.

- Durzyła się we mnie, kiedy miała piętnaście lat - powiedział.

Maria spojrzała na zdjęcie. Evie Williams znalazła się na czarnej liście Hollywood za swoją działalność polityczną, ale była wielką gwiazdą w Europie. Maria przypomniała sobie, że czytała, iż ekologiczne kosmetyki produkowane przez firmę Evie przynoszą jej większe dochody niż role filmowe.

- My się nie znamy - dodał Jasper. - Jednak poznałem pani chrześniaka, Jacka Jakesa, kiedy mieszkalem z Veroną Marquand.

Maria ostrożnie uścisnęła jego dłoń. Rozmowy z reporterami zawsze były niebezpieczne. Obojętnie co się powiedziało, sam fakt rozmowy stawiał cię na przegranej pozycji, gdyż zawsze mogli przekreślić twoje słowa.

- Cieszę się, mogąc w końcu pana poznać - odparła.

- Podziwiam pani osiągnięcia - rzekł. - Taka kariera byłaby niezwykła nawet dla białego mężczyzny. W przypadku kobiety i Afroamerykanki jest zdumiewająca.

Maria uśmiechnęła się. Oczywiście, Jasper był czarujący - w ten sposób skłaniał ludzi do rozmowy. Był również absolutnie niegodny zaufania i zdradziłby rodzoną matkę dla sensacyjnej historii.

- Jak się panu podoba Europa? - spytała niezobowiązująco.

- Teraz to najbardziej ekscytująca część świata - stwierdził. - Mam szczęście.

- To wspaniale.

- W przeciwieństwie do prezydenta Busha - dodał Jasper. - Jego wizyta nie była sukcesem.

Zaczyna się, pomyślała Maria. Znalazła się w trudnej pozycji. Musiała bronić prezydenta i polityki Departamentu Stanu, mimo że zgadzała się z oceną Jaspersa. Bush nie został przywódcą ruchów niepodległościowych w Europie Wschodniej; był zbyt bojaźliwy. Pomimo to zaprzeczyła.

- Uważamy tę wizytę za triumf polityczny prezydenta.

- Cóż, musicie tak mówić. Jednak, między nami, czy Bush dobrze zrobił, zachęcając Jaruzelskiego, komunistycznego tyrana ze starej szkoły, do kandydowania na prezydenta Polski?

- Jaruzelski może być najlepszym kandydatem do nadzorowania stopniowych reform - odparła Maria, chociaż w to nie wierzyła.

- Bush rozwścieczył Lecha Wałęsę, oferując skromne sto milionów dolarów pomocy zamiast oczekiwanych przez Solidarność dziesięć miliardów.

- Prezydent Bush jest ostrożny - argumentowała Maria. - Uważa, że Polacy najpierw muszą zreformować gospodarkę, a dopiero potem otrzymać pomoc. Inaczej pieniądze zostałyby zmarnowane. Prezydent jest konserwatystą. Może pan nie pochwałać jego postępowania, ale Amerykanom się podoba. Dlatego go wybrali.

Jasper uśmiechnął się, uznając jej rację, ale nie rezygnował.

- Na Węgrzech Bush chwalił za zlikwidowanie ogrodzenia na granicy komunistyczny rząd, a nie opozycję, która się tego domagała. Powtarzał Węgrom, żeby nie posuwali się za daleko i za szybko! Co to za rada od przywódcy wolnego świata?

Maria nie spierała się z Jasperem. Miał stuprocentową rację. Postanowiła zbić go z tropu. Aby dać sobie chwilę do namysłu, popatrzyła na przejeżdżający pojazd, który transportował długą raketę z namalowaną na boku francuską flagą.

- Nie dostrzega pan lepszego tematu.

Sceptycznie uniósł brwi. Taki zarzut rzadko stawiano Jasperowi Murrayowi.

- Słucham - rzekł z lekkim rozbawieniem.

- Nie mogę powiedzieć tego oficjalnie.

- Zatem nieoficjalnie.

Przeszyła go surowym spojrzeniem.

- Tylko jeśli jest to zupełnie jasne.

- Jest.

- W porządku. Zapewne wie pan, że niektóre rady otrzymywane przez prezydenta, sugerują, że Gorbaczow jest oszustem, głośność i pieriestrojka to komunistyczne bajdy, a wszystko to jest tylko podstępem mającym skłonić Zachód do opuszczenia gardy i przedwczesnego rozbrojenia.

- Kto mu tak mówi?

Odpowiedź brzmiała: CIA, doradca do spraw bezpieczeństwa narodowego i sekretarz do spraw obrony, ale Maria nie zamierzała tego mówić w rozmowie z dziennikarzem, nawet nieoficjalnie, dlatego odpowiedziała unikiem.

- Jeśli jeszcze pan tego nie wie, to nie jest pan takim reporterem, za jakiego wszyscy go uważają.

Uśmiechnął się.

- Dobrze. I co to za rewelacyjny temat?

- Prezydent Bush był skłonny słuchać tych rad przed wizytą w Europie. Sęk w tym, że kiedy zobaczył, jak naprawdę wygląda tutaj sytuacja, zmienił swoje stanowisko. Będąc w Polsce, powiedział: „Mam to podniecające wrażenie, że jestem świadkiem tego, jak tworzy się historia”.

- Czy mogę wykorzystać ten cytat?

- Oczywiście. Powiedział to do mnie.

- Dziękuję.

- Teraz prezydent uważa, że zmiany w państwach komunistycznych są rzeczywiste i trwałe, a my musimy zareagować na nie ostrożną zachętą, zamiast się oszukiwać, że nic takiego się nie dzieje.

Jasper posłał Marii przeciągłe spojrzenie, które jej zdaniem wyrażało zdziwienie i respekt.

- Ma pani rację - powiedział w końcu. - To lepszy temat. W Waszyngtonie tacy zimnowojenni wojownicy jak Dick Cheney i Brent Scowcroft będą wściekli jak diabli.

- Pan to powiedział - odparła Maria. - Nie ja.

Lili, Karolin, Alice i Helmut przyjechali z Berlina nad Balaton na Węgrzech białym trabantem Lili. Jak zwykle, zajęło im to dwa dni. Po drodze Lili i Karolin odśpiewały wszystkie znane im piosenki.

Śpiewały, żeby ukryć strach. Alice i Helmut zamierzali podjąć próbę ucieczki na Zachód. Nikt nie wiedział, co się stanie.

Lili i Karolin zamierzały zostać. Nienawidziły reżimu, ale chciały z nim walczyć, a nie uciekać. Poza tym przeżyły w Niemczech Wschodnich tyle lat, inaczej niż Alice i Helmut, których życie tak naprawdę dopiero się zaczynało.

Lili знаła tylko dwie osoby, które próbowały uciec: Rebeccę i Wallego. Narzeczony Rebekki spadł z dachu i został kaleką. Walli przez wiele lat miał wyrzuty sumienia, ponieważ przejechał strażnika granicznego, który zmarł. Tak więc nie były to zbyt szczęśliwe próby. Jednak teraz sytuacja się zmieniła - czyż nie?

Pierwszego wieczoru na kempingu poznali mężczyznę w średnim wieku, niejakiego Bertholda, który siedział przed swoim namiotem i przemawiał do kilku młodych ludzi popijających piwo z puszek.

- To oczywiste, prawda? - rzekł zniżonym, lecz dobrze słyszalnym głosem. - Wszystko to jest pułapką zastawioną przez Stasi. To ich nowa metoda wyłapywania wywrotowców.

Jakiś siedzący na ziemi i palący papierosa młodzian potraktował to sceptycznie.

- I jak to niby działa?

- Gdy tylko przekroczycie granicę, zostajecie aresztowani przez Austriaków. Ci przekazują was węgierskiej policji, która odsyła was do Niemiec Wschodnich w kajdankach. Potem zabierają was prosto do pokoju przesłuchań w głównej siedzibie Stasi w Lichtenbergu.

- Skąd ty o tym wiesz? - zapytała siedząca w pobliżu dziewczyna.

- Mój kuzyn próbował tu przekroczyć granicę - odparł Berthold. - Gdy się zegnaliśmy, obiecał, że przyśle mi pocztówkę z Wiednia. Teraz jest w obozie pod Dreznem i pracuje w kopalni uranu. Tylko w ten sposób nasz rząd może znaleźć ludzi do pracy w tych kopalniach, nikt dobrowolnie by tam nie pracował, ponieważ promieniowanie powoduje raka płuc.

Przed pójściem spać rodzina ściszonymi głosami przedyskutowała teorię Bertholda.

- Berthold jest jednym z tych, którzy wiedzą wszystko - pogardliwie skomentowała jego słowa Alice. - Jak się dowiedział, że jego kuzyn pracuje w kopalni uranu? Rząd nie przyznaje się do wykorzystywania więźniów w taki sposób.

Jednak Helmut się niepokoił.

- Niewykluczone, że ten facet jest idiotą, ale co, jeśli mówi prawdę? Granica może być

pułapką.

- Dlaczego Austriacy mieliby odsyłać uciekinierów z powrotem? - zapytała Alice. - Nie kochają komunizmu.

- Może nie chcą mieć z nimi kłopotów i ponosić kosztów. Dlaczego Austriacy mieliby przejmować się Niemcami ze Wschodu?

Spierali się przez godzinę i nie doszli do żadnych wniosków. Lili długo leżała, nie mogąc zasnąć, zaniepokojona.

Następnego ranka w stołówce na kempingu Lili zobaczyła Bertholda wygłaszającego swoje teorie innej grupie młodzieży. Przed nim stał duży talerz z szynką i serem. Mówił szczerze czy wykonywał polecenie Stasi? Czuła, że musi to wiedzieć. Wyglądało na to, że Berthold nieprędko stąd wyjdzie. Pod wpływem nagłego impulsu postanowiła przeszukać jego namiot. Opuściła stołówkę.

Namiotów nie pilnowano: wczasowiczom po prostu radzono nie zostawiać w nich pieniędzy ani cennych rzeczy. Pomimo to wejście do namiotu Bertholda było starannie zasnurowane.

Lili zaczęła rozwiązywać troki, usiłując wyglądać beztrosko, jakby miała prawo to robić. Serce waliło jej w piersi jak młotem. Z trudem powstrzymywała się, by nie zerkać płochliwie na przechodzących ludzi. Przywykła do skradania się, gdyż jej występy z Karolin zawsze były półlegalne, ale jeszcze nigdy nie robiła czegoś takiego. Jeśli Berthold z jakiegoś powodu wcześniej zakończy śniadanie i wróci szybciej, niż się spodziewała, co mu powie? „Och, to nie ten namiot, przepraszam!” Wszystkie namioty są podobne do siebie. Może by jej nie uwierzył, ale co by zrobił, poszedł na policję?

Otworzyła klapę i weszła do środka.

Berthold był schludny, jak na mężczyznę. Jego ubrania leżały złożone w walizce, a przeznaczone do prania w sznurowanym worku. Miał kosmetyczkę z maszynką i mydłem do golenia. Sypiał na łóżku polowym z brezentu rozciągniętego na stelażu z metalowych rurek. Obok łóżka leżał stosik gazet w języku niemieckim. Wszystko to wyglądało niewinnie.

Nie spiesz się, powiedziała sobie. Dokładnie szukaj wskazówek. Kim jest ten człowiek i co tu robi?

Na łóżku polowym leżał złożony śpiwór. Gdy Lili go podniosła, poczuła, że jest w nim jakiś ciężki przedmiot. Rozpięła zamek i wsunęła rękę do środka. Znalazła książkę z pornograficznymi zdjęciami - i broń.

Był to mały czarny pistolet z krótką lufą. Niewiele wiedziała o broni palnej i nie potrafiła zidentyfikować producenta, ale wydawało jej się, że to pistolet kalibru dziewięć

milimetrów. Wyglądał na specjalnie zaprojektowany, tak, żeby łatwo można go ukryć.

Wepchnęła broń do kieszeni dzinsów.

Miała odpowiedź na swoje pytanie. Berthold nie był przemądrzałym chwalipiętą, tylko agentem Stasi, przysłanym tutaj, by opowiadać przerażające historie i zniechęcać potencjalnych uciekinierów.

Lili złożyła śpiwór i wyszła z namiotu. Na szczęście Berthold wciąż nie nadchodził. Pospiesznie zasznurowała namiot drżącymi palcami. Jeszcze kilka sekund i będzie bezpieczna. Gdy tylko Berthold odkryje brak pistoletu, zorientuje się, że ktoś tu był, lecz jeśli Lili zdoła się stąd szybko oddalić, nie będzie wiedział kto. Lili przypuszczała, że nawet nie zgłosi kradzieży węgierskiej policji, gdyż ta z pewnością nie byłaby zadowolona z tego, że niemiecki tajny agent trzymał pistolet na jednym z ich kempingów.

Odeszła rażnym krokiem.

Karolin była w namiocie Helmuta i Alice. Rozmawiali ściszymi głosami, wciąż spierając się o to, czy przekraczając granicę, mogą wpaść w pułapkę. Lili przerwała tę dyskusję.

- Berthold jest agentem Stasi - powiedziała. - Przeszukałam jego namiot.

Wyjęła z kieszeni pistolet.

- To makarow - rzekł Helmut, który służył w wojsku. - Półautomatyczny pistolet radzieckiej produkcji, standardowa broń Stasi.

- Gdyby granica naprawdę była pułapką - dodała Lili - Stasi trzymałoby ten fakt w tajemnicy. Tymczasem Berthold opowiada o tym praktycznie każdemu, co dowodzi, że to nieprawda.

Helmut skinął głową.

- To mi wystarcza. Idziemy.

Wszyscy wstali.

- Chcesz, żebym pozbył się tego pistoletu? - zapytał Helmut Lili.

- Tak, proszę.

Oddała mu broń, pozbywając się jej z ulgą.

- Znajdę jakiś odludny kawałek plaży i wrzucę go do jeziora.

Kiedy Helmut to robił, kobiety zapakowały ręczniki, stroje kąpielowe i olejki do opalania do bagażnika trabanta, jakby wybierały się na całodzienne plażowanie, podtrzymując przykrywkę rodzinnych wakacji. Gdy Helmut wrócił, pojechali do sklepu spożywczego i kupili ser, chleb i wino na piknik.

Potem ruszyli na zachód.

Lili wciąż oglądała się za siebie, lecz na ile mogła to stwierdzić, nikt ich nie śledził.

Przejechali osiemdziesiąt kilometrów i zbliżywszy się do granicy, zjechali z głównej drogi. Alice miała mapę i kompas. Jadąc wiejską drogą i udając, że szukają w lesie miejsca na piknik, widzieli na poboczu kilka porzuconych samochodów ze wschodnioniemieckimi rejestracjami i zrozumieli, że są we właściwym miejscu.

Nigdzie nie było widać strażników, ale Lili i tak się niepokoiła. Wschodnioniemiecka tajna policja na pewno interesowała się uciekinierami, ale być może nie mogła nic zrobić.

- Według moich obliczeń jesteśmy teraz nieco ponad kilometr od ogrodzenia - powiedziała Alice, gdy mijali jakieś jezioro.

Parę sekund później siedzący za kierownicą Helmut zjechał z szosy na nieutwardzoną drogę biegnącą między drzewami. Zatrzymał wóz na polance kilka kroków od wody.

Zgasił silnik.

- Cóż - powiedział w nagłej ciszy. - Będziemy udawać, że jemy lunch?

- Nie - odparła Alice piskliwym z napięcia głosem. - Chcę to zrobić teraz, już.

Wszyscy wysiedli z samochodu.

Alice prowadziła, sprawdzając kierunek kompasem. Szło im się łatwo, rzadkie poszycie nie spowalniało marszu. Wysokie sosny filtrowały światło słoneczne, rzucając złote smugi na dywan igliwia pod stopami. Las był cichy. Lili słyszała dźwięki wydawane przez ptactwo wodne, a czasem warkot traktora w oddali.

Minęli żółtego wartburga 353, na wpół skrytego przez nisko zwisające gałęzie, z wybitymi szybami i już zardzewiałymi zderzakami. Jakiś ptak wyleciał z otwartego bagażnika, Lili zastanawiała się, czy uwił tam sobie gniazdo.

Nieustannie rozglądała się, szukając plamy zielonej lub szarej wełny munduru, lecz żadnej nie dostrzegła. Zauważyła, że Helmut był równie czujny.

Wspięli się na wzniesienie, a potem las nagle zniknął. Wyszli na pas wykarczowanej ziemi i sto metrów dalej zobaczyli ogrodzenie.

Nie robiło wielkiego wrażenia: słupki z nieheblowanego drewna i przymocowane do nich druty, które niegdyś zapewne były pod napięciem. Na wysokości dwóch metrów znajdował się zwykły drut kolczasty. Po drugiej stronie płotu rozpościerało się pole zboża dojrzewającego w sierpniowym słońcu.

Przeszli przez pas graniczny i podeszli do ogrodzenia.

- Możemy przejść przez płot tutaj - oznajmiła Alice.

- Czy aby na pewno wyłączyli prąd? - zapytał Helmut.

- Tak - odparła Alice.

Karolin niecierpliwie wyciągnęła rękę i dotknęła drutu. Dotknęła każdego po kolei, mocno zaciskając dłoń.

- Wyłączony - powiedziała.

Alice ucałowała i uściskała matkę oraz Lili. Helmut uścisnął im dłonie.

Sto metrów dalej, zza wzniesienia, wyłonili się dwaj żołnierze w szarych bluzach i wysokich czapkach węgierskiej straży granicznej.

- Och nie! - jęknęła Lili.

Obaj mężczyźni wycelowali w nich karabiny.

- Stójcie spokojnie, wszyscy - rzucił Helmut.

- Nie wierzę - powiedziała Alice. - Byliśmy tak blisko!

Zaczęła płakać.

- Nie rozpaczaj - rzekł Helmut. - To jeszcze nie koniec.

Podszedłszy bliżej, pogranicznicy opuścili lufy karabinów i odezwali się po niemiecku. Niewątpliwie dobrze wiedzieli, co się dzieje.

- Skąd się tu wzięliście? - zapytał jeden z nich.

- Wybraliśmy się na piknik w lesie - odparła Lili.

- Piknik? Naprawdę?

- Nie robimy nic złego.

- Tutaj nie wolno chodzić.

Lili bała się, że żołnierze ich aresztują.

- W porządku, w porządku - powiedziała. - Zawróćmy!

Obawiała się, że Helmut spróbuje im się postawić. Wtedy wszyscy czworo mogliby zginąć. Drżała i nogi się pod nią uginały.

Odezwał się drugi strażnik.

- Uważajcie - powiedział. Wyciągnął rękę wzdłuż płotu, w kierunku, z którego przyszedł z kolegą. - Czteryście metrów stąd jest dziura w ogrodzeniu. Moglibyście przypadkiem przekroczyć granicę.

Obaj pogranicznicy popatrzyli na siebie i parsknęli śmiechem. Potem poszli dalej.

Lili z niedowierzaniem spoglądała na odchodzących: szli dalej, nie oglądając się.

- Oni chyba powiedzieli nam... - zaczęła Lili, gdy mężczyźni zniknęli im z oczu.

- ...żebyśmy poszukali tej dziury w płocie! - dokończył Helmut. - Zróbmy to, szybko!

Pospieszyli w kierunku wskazanym przez strażnika. Szli wzdłuż skraju lasu, na wypadek gdyby musieli się ukryć. I rzeczywiście, czterysta metrów dalej znaleźli miejsce, gdzie płot był zwalony. Drewniane słupki zostały wyrwane, druty leżały na ziemi. Wyglądało



to tak, jakby przejechała tędy duża ciężarówka. Ziemia wokół była mocno zdeptana, a trawa pożółkła i rzadka. Za tą luką w ogrodzeniu dostrzegli drogę wiodącą między dwoma polami do odległej kępy drzew, wśród których sterczały dachy jakiejś wioski lub osady.

Wolność.

Mała sosenka w pobliżu była obwieszona pękami kluczy: mogło być ich trzydzieści lub czterdzieści, albo nawet pięćdziesiąt. Ludzie zostawili tu klucze do swoich mieszkań i samochodów, w wyzywającym geście, który miał pokazać, że nigdy nie wrócą. Gdy wietrzyk poruszał gałęziami, metal błyszczał w słońcu. Sosenka wyglądała jak bożonarodzeniowe drzewko.

- Nie zwlekajcie - ponagliła Lili. - Już się pożegnaliśmy. Idźcie.

- Kocham cię, mamó - powiedziała Alice. - I ciebie, Lili.

- Idź - odezwała się Karolin.

Alice wzięła Helmuta za rękę.

Lili rozejrzała się na boki. Na pasie granicznym biegnącym wzdłuż ogrodzenia nie było nikogo.

Dwoje młodych ludzi przeszło przez lukę w ogrodzeniu, ostrożnie omijając jego resztki.

Po drugiej stronie przystanęli i pomachali, chociaż byli zaledwie trzy metry dalej.

- Jesteśmy wolni! - zawołała Alice.

- Przekażcie moje pozdrowienia Wallemu - poprosiła Lili.

- I moje - dodała Karolin.

Alice i Helmut poszli, trzymając się za ręce, ścieżką między polami zboża.

Na jej końcu znowu pomachali.

Potem weszli do wioski i znikli z oczu Karolin i Lili.

Karolin miała twarz mokrą od łez.

- Nie wiem, czy jeszcze kiedyś ich zobaczę - powiedziała.

## ROZDZIAŁ 61

Berlin Zachodni wywoływał u Wallego nostalgię. Wspominał czasy, gdy jako nastolatek z gitarą grał przeboje Everly Brothers w folkowym klubie Minnesänger niedaleko Ku'damm i marzył o wyjeździe do Ameryki oraz zostaniu gwiazdą rocka. Mam, co chciałem - i wiele tego, czego wcale nie chciałem.

Kiedy meldował się w hotelu, wpadł na Jaspera Murraya.

- Słyszałem, że tu jesteś - powiedział Walli. - Relacjonowanie tego, co dzieje się w Niemczech, musi być ekscytujące.

- Jest - odparł Jasper. - Zazwyczaj Amerykanów nie interesują wiadomości z Europy, ale to szczególna sytuacja.

- Twój program, This Day, bez ciebie nie jest już taki sam. Słyszałem, że traci oglądalność.

- Pewnie powinienem udawać, że jest mi przykro. Co teraz porabiasz?

- Przygotowuję nowy album. Zostawiłem Dave'a miksującego go w Kalifornii. Pewnie schrzani podkład, dorzucając smyczki i cymbałki.

- Co cię sprowadza do Berlina?

- Mam się spotkać z córką, Alice. Uciekła z Niemiec Wschodnich.

- Twoi rodzice wciąż tam są?

- Tak, i moja siostra Lili.

I Karolin, pomyślał Walli, ale nie wymienił jej imienia. Marzył, żeby i ona uciekła. W głębi serca wciąż za nią tęsknił, pomimo upływu tylu lat.

- Rebecca jest na Zachodzie - dodał. - Została szyczą w Ministerstwie Spraw Zagranicznych.

- Wiem. Pomogła mi. Może moglibyśmy zrobić reportaż o rodzinie podzielonej przez mur. Pokazać ludzkie cierpienia spowodowane przez zimną wojnę.

- Nie - stanowczo odparł Walli. Nie zapomniał wywiadu, który Jasper przeprowadził z nim w latach sześćdziesiątych i który narobił tyle kłopotów Franckom na Wschodzie. - Moją rodzinę spotkałyby za to represje ze strony wschodnioniemieckiego rządu.

- Szkoda. Jednak miło było cię spotkać.

Walli zatrzymał się w apartamencie prezydenckim. Włączył telewizor w salonie. Był to odbiornik firmy Franck, wyprodukowany w fabryce jego ojca. W wiadomościach mówiono tylko o ludziach uciekających z NRD przez Węgry, a teraz także przez Czechosłowację.

Zostawił telewizor włączony, ściszywszy dźwięk. Miał zwyczaj robić różne rzeczy przy włączonym telewizorze. Ucieszył się, kiedy odkrył, że Elvis też tak robił.

Wziął prysznic i włożył czyste ubranie. Potem zadzwoniono z recepcji, informując, że Alice i Helmut są na dole.

- Proszę przysłać ich na górę - powiedział Walli.

Denerwował się, co było niemądre. Przecież to jego córka. Jednak widział ją tylko raz w ciągu dwudziestu pięciu lat jej życia. Była wtedy chudą nastolatką z długimi jasnymi włosami, przypominającą mu Karolin, taką, jaką ją poznał w latach sześćdziesiątych.

Po chwili rozległo się pukanie i Walli otworzył drzwi. Alice była teraz młodą kobietą, nie miała w sobie nic z tamtej niezdarnej nastolatki. Jasne włosy ścięła krótko, więc już nie była tak uderzająco podobna do młodej Karolin, chociaż miała jej tysiącwatowy uśmiech. Nosiała brzydkie wschodnioniemieckie ubranie i stare buty, więc Walli zanotował w myślach, żeby pójść z nią na zakupy.

Niezdarnie ucałował ją w oba policzki i uścisnął dłoń Helmuta.

Alice rozejrzała się po apartamencie.

- Oo, ładny pokój! - powiedziała.

To nic w porównaniu z hotelami w Los Angeles, pomyślał Walli, ale nie powiedział jej tego. Musiała się jeszcze wiele nauczyć, lecz było na to mnóstwo czasu.

Zamówił do pokoju kawę i ciastka. Usiedli przy stole w salonie.

- To niesamowite - szczerze wyznał Walli. - Jesteś moim dzieckiem, a tak mało o sobie wiemy.

- Jednak znam twoje piosenki - powiedziała Alice. - Każdą z nich. Nie było cię, ale śpiewałeś mi je całe moje życie.

- To coś wspaniałego.

- Tak.

Opowiedzieli mu szczegółowo historię swojej ucieczki.

- Patrząc wstecz, mam wrażenie, że było to łatwe - podsumowała Alice. - Jednak w trakcie byłam śmiertelnie przerażona.

Na razie mieszkali w lokalu wynajętym dla nich przez księgowego fabryki Francka, Enoka Andersena.

- Co zamierzacie robić? - zapytał Walli.

- Jestem inżynierem elektrykiem - odparł Helmut - ale chciałbym uczyć się marketingu. W przyszłym tygodniu ruszam w trasę z jednym z akwizytorów fabryki Francka. Pański ojciec, Werner, twierdzi, że od tego należy zacząć.

- Na Wschodzie pracowałam w aptece - powiedziała Alice. - Tutaj z początku pewnie będę robiła to samo, ale pewnego dnia chciałabym mieć własny sklep.

Walli ucieszył się, że zamierzają pracować. W duchu obawiał się, że poproszą, by ich utrzymywał, co nie byłoby dla nich dobre.

- Cieszę się, że żadne z was nie chce pracować w show-biznesie - rzucił z uśmiechem.

- Jednak przede wszystkim chcemy mieć dzieci - oznajmiła Alice.

- Cieszę się. Nie mogę się doczekać, kiedy zostanę dziadkiem rockmanem. Pobierzecie się?

- Rozmawialiśmy o tym - odparła. - Mieszkając w NRD, nie przejmowaliśmy się tym, ale teraz chcemy. Co o tym sądzisz?

- Dla mnie małżeństwo nie jest istotne, ale będę zachwycony, jeśli się na nie zdecydujecie.

- Dobrze. Tatusiu, zaśpiewasz na moim weselu?

To było niespodziewane i zważyło Wallego z nóg. O mało się nie rozpląkał.

- Jasne, skarbie - zdołał wykrztusić. - Z przyjemnością.

Chcąc ukryć wzruszenie, odwrócił się do telewizora.

Na ekranie widać było demonstrację z poprzedniego dnia w Lipsku. Demonstranci niosący zapalone świece wyciszerowali w milczeniu z kościoła. Szli spokojnie, ale policyjne furgonetki wjechały w tłum, potrącając kilka osób, a potem wyskoczyli z nich policjanci i zaczęli aresztować maszerujących.

- Dranie - syknął Helmut.

- O co chodzi w tej demonstracji? - zapytał Walli.

- O prawo do podróżowania - wyjaśnił Helmut. - Uciekliśmy, ale nie możemy wrócić. Alice ma teraz pana, ale nie wolno jej odwiedzić matki. Ja nie mam prawa zobaczyć się z obojgiem rodziców. Nie wiemy, czy jeszcze kiedyś się z nimi spotkamy.

- Ludzie demonstrują - gniewnie powiedziała Alice - ponieważ nie ma powodu, żebyśmy mieli tak żyć. Powinam móc się widywać zarówno z matką, jak i z ojcem. Powinniśmy mieć prawo swobodnego poruszania się między Wschodem a Zachodem. Niemcy to jeden kraj. Powinniśmy pozbyć się tego muru.

- Amen - rzekł Walli.

Dimka lubił swojego szefa. Gorbaczow głęboko wierzył w prawdę. Od śmierci Lenina każdy radziecki przywódca był kłamcą. Wszyscy upajali się iluzjami i nie przyjmowali do wiadomości rzeczywistości. Najbardziej uderzającą cechą radzieckich przywódców w ciągu

ostatnich sześćdziesięciu pięciu lat była niechęć do stawiania czoła faktom. Gorbaczow był inny. Starając się żeglować w czasie burzy szalejącej w ZSRR, kierował się jedną nadrzędną zasadą: że trzeba mówić prawdę. Dimka to podziwiał.

Obaj - Dimka i Gorbaczow - ucieszyli się, gdy Honecker przestał być przywódcą NRD. Honecker stracił kontrolę nad państwem i partią. Jednak byli rozczarowani osobą jego następcy. Ku irytacji Dimki władzę przejął lojalny zastępca Honeckera, Egon Krenz. To tak jakby zastąpić Flipa Flapem.

Pomimo to Dimka sądził, że Gorbaczow będzie musiał podać Krenzowi pomocną dłoń. Związek Radziecki nie mógł pozwolić na upadek Niemiec Wschodnich. ZSRR mógł pogodzić się z demokratycznymi wyborami w Polsce i gospodarką rynkową na Węgrzech, ale Niemcy to co innego. Były podzielone jak Europa, na zachodnią i wschodnią część, komunistyczną i kapitalistyczną, więc gdyby Niemcy Zachodnie miały zatriumfować, oznaczałoby to początek dominacji kapitalizmu oraz koniec snu Marksa i Lenina. Nawet Gorbaczow nie mógł na to pozwolić - a może?

Dwa tygodnie później Krenz odbył zwyczajową pielgrzymkę do Moskwy. Dimka uściskał dłoń tego uśmiechającego się z zadowoleniem siwowłosego mężczyzny o szerokiej twarzy. Krenz za młodu mógł być obiektem kobiecych westchnień.

W wielkim gabinecie z żółtymi ścianami Gorbaczow powitał go z chłodną kurtuazją.

Krenz przywiózł raport komisji planowania wykazujący, że Niemcy Wschodnie są bankrutem. Twierdził, jakoby Honecker zataił ten raport. Dimka wiedział, że prawdę o wschodnioniemieckiej gospodarce ukrywano przez dziesięciolecia. Zapewnienia o rozwoju gospodarczym były propagandowymi kłamstwami. Wydajność w fabrykach i kopalniach była nawet o połowę mniejsza niż na Zachodzie.

- Musimy brać pożyczki - powiedział Krenz Gorbaczowowi, siedząc na obitym czarną skórą fotelu w wielkim gabinecie na Kremlu. - Dziesięć miliardów marek rocznie.

Nawet Gorbaczow był wstrząśnięty.

- Dziesięć miliardów?

- Braлиśmy krótkoterminowe pożyczki, żeby spłacić odsetki od długoterminowych.

- Co jest nielegalne - wtrącił Dimka. - Jeśli banki się dowiedzą...

- Odsetki od naszego długu wynoszą obecnie cztery i pół miliarda marek rocznie, czyli dwie trzecie całego naszego eksportu na rynki zachodnie. Potrzebujemy waszej pomocy, żeby uporać się z tym kryzysem.

Gorbaczow się zjeżył. Nienawidził, kiedy wschodnioeuropejscy przywódcy prosili o pieniądze.

Krenz naciskał.

- Niemcy Wschodnie są w pewnym sensie dzieckiem Związku Radzieckiego. - Spróbował męskiego żartu. - Trzeba przyznać się do ojcostwa swojego dziecka.

Gorbaczow nawet się nie uśmiechnął.

- Nie mamy możliwości udzielenia wam pomocy - rzekł bez ogródek. - Nie w obecnym stanie ZSRR.

Dimka był zaskoczony. Nie spodziewał się, że Gorbaczow będzie taki nieustępliwy.

Krenz wyglądał na zdumionego.

- To co mam robić?

- Musicie szczerze powiedzieć waszemu narodowi, że nie mogą dalej żyć na takiej stopie, do jakiej przywykli.

- Wybuchną zamieszki - oświadczył Krenz. - Trzeba będzie ogłosić stan wyjątkowy. I poczynić odpowiednie kroki, by zapobiec masowym ucieczkom przez mur.

Dimka pomyślał, że to niemal polityczny szantaż. Gorbaczow też tak uważał i zeszywniał

- W takim razie nie oczekujcie ratunku od Armii Czerwonej - powiedział. - Musicie sami rozwiązać te problemy.

Czy naprawdę tak myślał? Czy ZSRR naprawdę zamierzał umyć ręce od problemów Niemiec Wschodnich? Podniecenie Dimki rywalizowało ze zdziwieniem. Czy Gorbaczow zamierzał posunąć się tak daleko?

Krenz wyglądał jak kapłan, który pojął, że nie ma Boga. Niemcy Wschodnie były stworzone przez Związek Radziecki, subsydiowane z kremlowskiego kufra i chronione przez radziecką potęgę militarną. Nie mógł pojąć, że to się skończyło. Najwyraźniej nie miał pojęcia, co teraz robić.

Kiedy odszedł, Gorbaczow zwrócił się do Dimki:

- Wyślij okólnik do dowódców naszych sił w NRD. W żadnym wypadku nie wolno im mieszać się do konfliktu między tamtejszym rządem a jego obywatelami. Ta sprawa ma najwyższy priorytet.

Na Boga, pomyślał Dimka, czy to naprawdę koniec?

Do listopada demonstracje odbyły się w każdym większym mieście Niemiec Wschodnich. Liczba demonstrantów rosła i tłumy były coraz śmielsze. Brutalne ataki policji nie zdołały stłumić tych protestów.

Lili i Karolin poproszono, by zagrały podczas wiecu na Alexander Platz, niedaleko ich

domu. Przyszło kilkaset tysięcy osób. Ktoś namalował duży transparent z hasłem *Vir sind das Volk*, jesteście narodem. Plac ze wszystkich stron otaczała policja w pełnym rynsztunku, czekając na rozkaz zaatakowania tłumu pałkami. Jednak policjanci wyglądali na bardziej przestraszonych od demonstrantów.

Jeden mówca po drugim krytykował reżim komunistyczny, a policja nic nie robiła.

Organizatorzy pozwolili przemawiać również zwolennikom komunizmu i ku zdumieniu Lili wybranym przez rząd obrońcą systemu okazał się Hans Hoffmann. Stojąc z boku podium i czekając z Karolin na swoją kolej, ze zdziwieniem patrzyła na znajomą, zgarbioną postać tego człowieka, który przez ćwierć wieku prześladował jej rodzinę. Chociaż miał na sobie drogi granatowy płaszcz, drżał z zimna - a może ze strachu.

Spróbował uśmiechnąć się przyjaźnie, lecz wyglądał przy tym jak wampir.

- Towarzysze! - zawołał. - Partia wysłuchała głosu ludu i poczyni odpowiednie kroki.

Tłum wiedział, że to brednie, i zaczął gwizdać.

- Jednak musimy wprowadzać je w spokojny sposób, uznając przywódczą rolę partii w rozwoju komunizmu.

Gwizdy zmieniły się w wycie.

Lili uważnie obserwowała Hansa. Wyraz jego twarzy zdradzał wściekłość i frustrację. Rok temu jedno jego słowo mogło zniszczyć każdego człowieka w tym tłumie, lecz teraz, nieoczekiwanie, to oni wydawali się mieć władzę. Nawet nie mógł zamknąć im ust. Chociaż mówił do mikrofonu, musiał podnieść głos do krzyku, żeby być słyszany.

- A szczególnie nie możemy czynić funkcjonariuszy służb bezpieczeństwa kozłami ofiarnymi za jakiegokolwiek błędy popełnione przez poprzednich przywódców.

Krótko mówiąc, domagał się współczucia dla oprawców i sadystów, którzy przez dziesięciolecia gnębili naród. Rozwścieczył tym tłum, który zaczął szydzić i krzyczeć: *Stasi raus!*

- W końcu oni tylko wykonywali rozkazy! - krzyknął ile tchu w piersiach Hans.

Jego słowa wywołały wybuch drwiącego śmiechu.

Dla Hansa wyśmianie było najgorszą rzeczą, jaka mogła go spotkać. Poczerwieniał z wściekłości. Nagle Lili przypomniała sobie scenę sprzed dwudziestu ośmiu lat, gdy Rebecca rzucała w Hansa jego butami z okna na piętrze. To drwiący śmiech sąsiadek doprowadził go do szału.

Teraz pozostał przy mikrofonie, nie mogąc przekrzyczeć wrzawy, ale nie chcąc się poddać. Jednak przegrał tę walkę z tłumem. Jego arogancka mina gdzieś zniknęła i wydawał się bliski łez. W końcu odwrócił się i zszedł z mównicy.

Jeszcze raz spojrział na tłum, śmiejący się i szydzący z niego, i poddał się. Odchodząc, zobaczył Lili. W jego oczach pojawił się błysk świadczący o tym, że ją poznał. Ich spojrzenia się skrzyżowały, kiedy wchodziły z Karolin na scenę, niosąc swoje gitary. W tym momencie wyglądał jak zbity pies, tak załamany, że Lili niemal zrobiło się go żal.

Minęła Hansa i wyszła na środek sceny. Niektórzy w tłumie rozpoznali Lili i Karolin, inni znali ich nazwiska i powitali je owacjami. Podeszły do mikrofonów. Trąciły struny, a potem razem zaśpiewały: „Ten kraj jest twoim krajem”.

A tłum oszalał.

Bonn było prowincjonalnym miastem nad Renem. Nie nadawało się na stolicę państwa i właśnie z tego powodu zostało wybrane - jako symbol tymczasowości tego wyboru i wiary Niemców, że pewnego dnia Berlin znów będzie stolicą zjednoczonych Niemiec. Jednak to wydarzyło się przed czterdziestoma laty, a Bonn wciąż było stolicą. I nudnym miejscem, ale to odpowiadało Rebecce, która zawsze była zbyt zapracowana, żeby mieć życie towarzyskie - oprócz tych dni, gdy przyjeżdżał Fred Bíró.

Miała tyle do roboty. Jej specjalnością była Europa Wschodnia, wstrząsana przez rewolucyjne zmiany, których końca nikt nie mógł przewidzieć. Przeważnie pracowała nawet podczas lunchu, ale dziś zrobiła sobie przerwę. Wyszła z ministerstwa i poszła do ulubionej niedrogiej restauracji, gdzie zamówiła ulubione danie, Himmel und Erde, czyli kaszankę z purée jabłkowo-ziemniaczanym.

Kiedy jadła, pojawił się Hans Hoffmann.

Rebecca odsunęła krzesło i wstała. W pierwszej chwili pomyślała, że przyszedł ją zabić. Już miała zawołać pomocy, gdy zauważyła wyraz jego twarzy. Wyglądał na przybitego i smutnego. Przestała się bać: już nie był groźny.

- Proszę, nie obawiaj się. Nie chcę cię skrzywdzić - powiedział.

Nadal stała.

- Czego chcesz?

- Zamienić kilka słów. Parę minut rozmowy, nie więcej.

Przez moment zastanawiała się, jak zdołał się przedostać z Niemiec Wschodnich do Zachodnich, ale zaraz pojęła, że ograniczenia swobody podróżowania nie dotyczą wyższych funkcjonariuszy tajnej policji. Ci mogli robić, co chcieli. Zapewne powiedział swoim kolegom, że ma wykonać tajne zadanie wywiadowcze w Bonn. Może je miał.

Pojawił się właściciel restauracji.

- Czy wszystko w porządku, Frau Held?



Rebecca jeszcze przez moment spoglądała na Hansa.

- Tak, dziękuję ci, Güntherze, myślę, że wszystko w porządku.

Znów usiadła, a Hans zajął miejsce naprzeciwko niej.

Podniosła widelec i odłożyła go. Nagle straciła apetyt.

- Mów.

- Pomóż mi - powiedział.

Nie wierzyła własnym uszom.

- Co takiego? - zapytała. - Mam ci pomóc?

- Wszystko się wali. Muszę się wyrwać. Ludzie się ze mnie śmieją. Obawiam się, że mogę zostać zabity.

- I wyobrażasz sobie, że co miałabym dla ciebie zrobić?

- Potrzebuję dachu nad głową, pieniędzy, papierów.

- Oszalałeś? Po tym wszystkim, co zrobiłeś mnie i mojej rodzinie?

- Nie rozumiesz, dlaczego to robiłem?

- Ponieważ nas nienawidzisz!

- Ponieważ cię kocham.

- Nie bądź śmieszny.

- Tak, kazano mi szpiegować ciebie i twoją rodzinę. Umawiałem się z tobą, żeby się dostać do waszego domu. Jednak potem coś się stało. Zakochałem się w tobie.

Powiedział to już kiedyś, tego dnia, gdy uciekła za mur. Naprawdę tak myślał. Doszła do wniosku, że oszalał. Znów zaczęła się bać.

- Nikomu nie mówiłem o tym uczuciu - rzekł z tęsknym uśmiechem, jakby wspominał niewinny młodzieńczy romans, a nie nędzne oszustwo. - Udawałem, że cię wykorzystuję i manipuluję tobą. Jednak naprawdę cię kochałem. Potem powiedziałaś, że powinniśmy się pobrać. Byłem w siódmym niebie! Miałem doskonały pretekst dla moich zwierzchników.

Żył w świecie złudzeń, lecz czyż nie odnosiło się to do całej wschodnioniemieckiej elity władzy?

- Ten rok, który spędziliśmy razem jako mąż i żona, był najlepszym okresem w moim życiu - ciągnął Hans. - A kiedy mnie odrzuciłaś, złamałaś mi serce.

- Jak możesz tak mówić?

- A jak myślisz, dlaczego się ponownie nie ożeniłem?

Była zaskoczona.

- Nie wiem - odparła.

- Nie interesują mnie inne kobiety. Rebecco, jesteś miłością mojego życia.

Spoglądała na niego ze zdumieniem. Uświadomiła sobie, że to nie jest głupia bajeczka, beznadziejna próba wzbudzenia współczucia. Hans mówił szczerze. Naprawdę tak myślał.

- Pozwól mi wrócić - poprosił.

- Nie.

- Proszę.

- Odpowiedź brzmi: „nie” - powtórzyła. - I zawsze taka będzie. Nic, co mógłbyś powiedzieć, tego nie zmieni. Proszę, nie zmuszaj mnie do użycia ostrych słów, żebyś to zrozumiał.

Nie wiem, dlaczego nie chcę go zranić, pomyślała, on nigdy nie wahał się postępować wobec mnie okrutnie.

- Po prostu przyjmij do wiadomości to, co powiedziałam, i odejdz.

- Dobrze - rzekł ze smutkiem. - Wiedziałem, że tak zareagujesz, ale musiałem spróbować. - Wstał. - Dziękuję ci, Rebecca. Dziękuję ci za tamten rok szczęścia. Zawsze będę cię kochał.

Odwrócił się i wyszedł z restauracji.

Rebecca patrzyła, jak odchodzi, wciąż głęboko wstrząśnięta. Boże w niebiesiech, pomyślała, tego się nie spodziewałam.

## ROZDZIAŁ 62

W Berlinie był zimny listopadowy dzień i w powietrzu wisiała gęsta mgła oraz kwaśny odór siarki ze smrodliwych fabryk zacoфанego Wschodu. Tania, pospiesznie przeniesiona tu z Warszawy, żeby pomóc sprawozdawcom narastającego kryzysu, miała wrażenie, że Niemcy Wschodnie czeka atak serca. Wszystko się waliło. W wyniku znamiennej powtórki tego, co zaszło w 1961 roku przed wzniesieniem muru, na Zachód uciekło tyle osób, że szkoły zamykano z braku nauczycieli, a szpitale pracowały przy minimalnej liczbie personelu. Ci, którzy zostali, byli coraz bardziej rozgniewani i sfrustrowani.

Nowy przywódca, Egon Krenz, skupił się na swobodzie podróżowania. Miał nadzieję, że jeśli załatwi tę kwestię, naród zapomni o innych problemach. Tania uważała, że się myli: żądanie większej swobody mogło wejść w nawyk Niemcom ze Wschodu. Szóstego listopada Krenz zatwierdził nowe przepisy, które pozwalały ludziom wyjechać za granicę za zgodą Ministerstwa Spraw Wewnętrznych i wywieźć piętnaście marek, które wystarczały na talerz parówek i kufel piwa w Niemczech Zachodnich. Społeczeństwo szydziło z tego ustępstwa. Dziś, dziewiątego listopada, ten coraz bardziej zdesperowany przywódca zwołał konferencję prasową, żeby ogłosić wprowadzenie kolejnych zmian dotyczących swobody podróżowania.

Tania rozumiała mieszkańców Niemiec Wschodnich, którzy pragnęli możliwości swobodnego poruszania się po świecie. Marzyła o tym samym dla siebie i Wasilija. Był światowej klasy pisarzem, ale musiał ukrywać się pod pseudonimem. Nigdy nie opuszczał Związku Radzieckiego, w którym nie wydano żadnej jego książki. Powinien móc wyjechać i osobiście odebrać nagrody, które mu przyznano, oraz choć trochę pławić się w blasku uznania - a ona pojechałby razem z nim.

Niestety, nie widziała możliwości, by obywatele NRD uzyskali kiedykolwiek wolność. Nie po to zbudowano mur. Gdyby pozwolono obywatelom podróżować, miliony wyjechałyby na stałe. Niemcy Zachodnie może były konserwatywnym krajem ze staroświeckimi poglądami na prawa kobiet, ale był to raj w porównaniu z Niemcami Wschodnimi. A żaden kraj nie zdołałby przetrwać wyjazdu swej najbardziej przedsiębiorczej młodzieży. Dlatego Egon Krenz nigdy dobrowolnie nie dałby Niemcom ze Wschodu tego, czego pragnęli najbardziej.

Tak więc nie oczekując niczego szczególnego, Tania poszła do międzynarodowego centrum prasowego przy Mohren Strasse kilka minut przed szóstą wieczór. Sala była pełna dziennikarzy, fotoreporterów i kamer telewizyjnych. Ponieważ nie widziała już wolnych

miejsce siedzących, dołączyła do tłumu stojącego pod ścianami. Zebrali się dziennikarze z całego świata: zwęszyli krew.

Rzecznik prasowy Krenza, Günther Schabowski, wraz z trzema innymi urzędnikami wszedł na salę dokładnie o szóstej i usiadł za stołem na podium. Miał siwe włosy, szary garnitur i krawat. Był kompetentnym urzędnikiem, którego Tania lubiła i darzyła zaufaniem. Przez godzinę informował o zmianach w ministerstwie i reformach administracyjnych.

Tania dziwiła się, słysząc, że komunistyczny rząd usiłuje choć raz zaspokoić żądania społeczeństwa. Rzadko dochodziło do takich sytuacji. A jeśli już, to wkrótce potem przyjeżdżały czołgi. Pamiętała okropne rozczarowania Praskiej Wiosny w 1968 roku i Solidarności w 1981. Jednak według jej brata Związek Radziecki nie miał już siły ani chęci zwalczać dysydentów. Nawet nie śmiała marzyć, żeby to okazało się prawdą. Próbowwała myśleć o rzeczywistości, w której ona i Wasilij mogliby pisać, co tylko by chcieli, bez obaw. Wolność. Trudno było to sobie wyobrazić.

O siódmej Schabowski ogłosił wprowadzenie nowych przepisów wyjazdowych.

- Każdy obywatel NRD będzie mógł opuścić kraj, korzystając z przejść granicznych - powiedział.

To nie było zbyt precyzyjne i kilku dziennikarzy poprosiło o wyjaśnienie.

Sam Schabowski zdawał się mieć wątpliwości. Założył połówkowe okulary i głośno przeczytał dekret.

- O prywatne wyjazdy zagraniczne będzie można się ubiegać bez konieczności spełnienia wymagań wizowych, udowodnienia potrzeby podróży czy regulacji spraw rodzinnych.

Wszystko to było podane w zawiłym biurokratycznym żargonie, ale brzmiało dobrze.

- Kiedy te nowe przepisy wejdą w życie? - spytał ktoś.

Schabowski najwyraźniej nie wiedział. Tania zauważyła, że się poci. Domyśliła się, że ten projekt nowych przepisów sporządzono w pośpiechu. Przekładał leżące przed nim kartki, szukając odpowiedzi.

- O ile wiem - rzekł - natychmiast, niezwłocznie.

Tania była zaskoczona. Coś wprowadzano niezwłocznie - ale co? Czy każdy mógł podjechać na punkt kontrolny i przekroczyć granicę? Jednak konferencja prasowa zakończyła się i nie podano dalszych informacji.

Pokonując pieszo krótką drogę do hotelu Metropole przy Friedrich Strasse, Tania zastanawiała się, co napisać. W topornym przepychu marmurowego holu siedzieli agenci Stasi w typowych dla nich skórzanych kurtkach i dżinsach, paląc i gapiąc się w kiepsko

odbierający telewizor. Pokazywano w nim reportaż z konferencji prasowej. Biorąc klucz do swojego pokoju, Tania słyszała, jak jeden recepcjonista pyta drugiego:

- Co to oznacza? Możemy po prostu wyjechać?

Nikt nie wiedział.

Walli był w swoim apartamencie hotelowym w Berlinie Zachodnim, oglądając wiadomości z Rebeccą, która przyleciała zobaczyć się z Alice i Helmutem. Wszyscy planowali, że zjedzą razem obiad.

Walli i Rebecca omawiali beznamiętną wiadomość podaną o siódmej w programie ZDF Dzisiaj. W Niemczech Wschodnich wprowadzono nowe przepisy wyjazdowe, ale nie było wiadomo, co to oznacza. Walli zachodził w głowę, czy rodzina będzie mogła odwiedzać go w Niemczech Zachodnich, czy też nie.

- Zastanawiam się, czy może wkrótce zobaczę Karolin - powiedział.

Alice z Helmutem przyszli kilka minut później i zdjęli grube zimowe płaszcze oraz szaliki.

O ósmej Walli przełączył telewizor na dziennik w ARD, ale niewiele więcej się dowiedział.

Wydawało się niemożliwe, żeby mur, który tak zaciążył na życiu Wallego, mógł zniknąć. W nagłym, aż nazbyt znajomym przeblysku przypomniał sobie te traumatyczne sekundy za kierownicą starej furgonetki Joego. Pamiętał swoje przerażenie, gdy zobaczył, jak pogranicznik przyklęknął i wycelował pistolet maszynowy, a on w panice skręcił i przejechał go, zaskoczony, gdy kule rozbiły przednią szybę. Ze zgrozą poczuł, jak koła podskakują na ludzkim ciele. A potem staranował szlaban i był wolny.

Mur odebrał mu niewinność. Odebrał mu Karolin. I dzieciństwo jego córki.

- Czy mur nadal jest murem, czy nie? - zapytała teraz jego córka, która za kilka dni miała skończyć dwadzieścia sześć lat.

- Nie pojmuję tego - powiedziała Rebecca. - Tak jakby otworzyli granicę przez pomyłkę.

- Może wyjdziemy i zobaczymy, co się dzieje na ulicach? - zaproponował Walli.

Lili, Karolin, Werner i Carla regularnie oglądali dziennik w ARD, jak wiele milionów ludzi w Niemczech Wschodnich. Uważali, że podaje prawdziwe wiadomości, w przeciwieństwie do kontrolowanych przez ich państwo programów informacyjnych, opisujących wymagany świat, w który nikt nie wierzył. Pomimo to byli zaskoczeni

niejasnymi informacjami odczytanymi o ósmej.

- Czy granica została otwarta, czy nie? - spytała Carla.

- Niemożliwe - rzekł Werner.

Lili wstała.

- Cóż, pójdę zobaczyć.

W końcu poszli wszyscy czworo.

Gdy tylko wyszli z domu i wciągnęli w płuca zimne nocne powietrze, wyczuli atmosferę napięcia. Ulice Berlina Wschodniego, słabo oświetlone żółtym światłem latarni, były dziwnie pełne ludzi i samochodów. Wszyscy zmierzali w tym samym kierunku, do muru, przeważnie grupami. Niektórzy młodzi próbowali łapać okazję, zatrzymując samochody, za co jeszcze tydzień wcześniej zostaliby aresztowani. Nieznający się ludzie rozmawiali ze sobą, wymieniając informacje, pytając, czy to prawda, że można teraz przejść do Berlina Zachodniego.

- Walli jest w Berlinie Zachodnim - powiedziała Karolin do Lili. - Słyszałam to w radiu. Pewnie przyleciał zobaczyć się z Alice. - I dodała w zadumie: - Mam nadzieję, że się polubili.

Rodzina Francków szła na południe wzdłuż Friedrich Strasse, aż w oddali stał się widoczny jasno oświetlony Checkpoint Charlie, zajmujący cały kwartał ulicy, od Zimmer Strasse po ich komunistycznej stronie do Koch Strasse w wolnym świecie.

Podszedłszy bliżej, zobaczyli rzekę ludzi wylewającą się ze stacji metra Stadtmitte i zasilającą tłum. Na ulicy stał długi rząd samochodów, których kierowcy najwyraźniej nie wiedzieli, czy wjechać na przejście, czy nie. Lili wyczuwała radosny nastrój, lecz nie była pewna, czy jest się z czego cieszyć. O ile widziała, brama nie została otwarta.

Wiele osób trzymało się z daleka, poza zasięgiem reflektorów, bojąc się pokazać swoje twarze: jednak odważniejsi podeszli bliżej, popełniając przestępstwo „nieupoważnionego wkroczenia na teren przygraniczny”, zagrożone aresztowaniem i karą trzech lat obozu pracy.

Przy przejściu granicznym ulica się zwężyła i tłum zgęstniał. Lili i jej rodzina przecisnęli się do przodu. W jasnym jak dzień żółtym świetle reflektorów zobaczyli czerwono-białe bramki dla pieszych i pojazdów, uzbrojonych strażników, budynki kontroli celnej i wznoszące się nad tym wszystkim wieżyczki wartownicze. W oszklonej dyżurce jakiś oficer rozmawiał przez telefon, gwałtownie wymachując przy tym ręką.

Na prawo i lewo od przejścia wznosił się zniechęcony mur. Lili poczuła przykre ssanie w żołądku. To była budowla, która przez większą część jej życia rozdzielała rodzinę Francków na pół, niemal zupełnie uniemożliwiając im kontakty. Nienawidziła tego muru nawet bardziej niż Hansa Hoffmanna.

- Czy ktoś próbował przejść? - zapytała głośno.

- Zawracają wszystkich - gniewnie odpowiedziała stojąca obok kobieta. - Mówią, że potrzebna jest wiza z policji. Jednak byłam na policji i nic tam o tym nie wiedzą.

Miesiąc temu kobieta wzniosłaby ramionami na taki typowy przejaw biurokratycznej głupoty i wróciłaby do domu, ale tego wieczoru było inaczej. Została tutaj, niezadowolona, żeby zaprotestować. Nikt nie szedł do domu.

Ludzie wokół Lili zaczęli rytmicznie skandować: „Otwierać! Otwierać!”.

Gdy przycichli, Lili wydało się, że słyszy skandowanie z drugiej strony. Nadstawiła uszu. Co tam wołano? W końcu rozróżniła słowa: „Przechodźcie! Przechodźcie!”. Zrozumiała, że berlińczycy z Zachodu też zgromadzili się przy przejściu.

Co się stanie? Jak się to skończy?

Pół tuzina furgonetek przyjechało Zimmer Strasse na przejście i wysiedli z nich strażnicy graniczni - pięćdziesięciu lub sześćdziesięciu uzbrojonych ludzi.

- Posiłki - ponuro rzekł stojący obok Lili Werner.

Dimka i Natalia siedzieli na czarnych skórzanych fotelach w gabinecie Gorbaczowa. Byli podnieceni i spięci. Strategia Gorbaczowa, pozwalającego środkowoeuropejskim państwom satelickim iść własną drogą, wywołała kryzys, który zdawał się osiągać punkt kulminacyjny. Było to niebezpieczne lub budzące nadzieję. Może jedno i drugie.

Dla Dimki, jak zawsze, problem polegał na tym, w jakim świecie będą dorastać jego wnuki. Grigor, syn, którego miał z Niną, już się ożenił; córka Dimki i Natalii, Katia, studiowała na uniwersytecie; zapewne oboje w najbliższych latach będą mieli swoje dzieci. Co tym dzieciom przyniesie przyszłość? Czy komunizm starej daty naprawdę się skończył? Dimka nadal tego nie wiedział.

- Tysiące ludzi gromadzą się przy przejściach w murze berlińskim - powiedział do Gorbaczowa. - Jeśli rząd NRD ich nie otworzy, wybuchną rozruchy.

- To nie nasz problem - rzekł Gorbaczow. Powtarzał to jak litanię. Zawsze. - Chcę rozmawiać z zachodnioniemieckim kanclerzem Kohlem - dodał.

- Dziś wieczorem jest w Polsce - powiedziała Natalia.

- Połączcie mnie z nim najszybciej, jak się da. Nie później niż jutro. Nie chcę, żeby zaczął mówić o ponownym zjednoczeniu Niemiec. To pogłębiłoby kryzys. Otwarcie granicy jest teraz zapewne wystarczająco destabilizującym problemem dla wschodnioniemieckiego rządu.

Dimka uważał, że Gorbi ma absolutną rację. Jeżeli granica zostanie otwarta, w

najbliższym czasie pojawi się kwestia zjednoczenia Niemiec; ale lepiej nie poruszać teraz tak zapalnego tematu.

- Zaraz zadzwonię do Niemiec Zachodnich - zapewniła Natalia. - Jeszcze coś?

- Nie, dziękuję.

Natalia i Dimka wstali. Gorbaczow nadal nie powiedział im, co robić z bieżącym kryzysem.

- A jeśli Egon Krenz zadzwoni z Berlina Wschodniego?

- Nie budźcie mnie.

Dimka i Natalia wyszli z gabinetu.

- Jeżeli szybko czegoś nie zrobi, będzie za późno - oświadczył Dimka, gdy znaleźli się na korytarzu.

- Za późno na co? - spytała Natalia.

- Za późno, by uratować komunizm.

Maria Summers była w domu Jacky Jakes w hrabstwie Prince George, jedząc wczesną kolację ze swoim chrześniakiem, Jackiem. Telewizor był włączony i zobaczyła Jaspera Murraya w płaszczu i szaliku, komentującego z Berlina. Był po zachodniej stronie Checkpoint Charlie, stojąc w tłumie w pobliżu małego alianckiego posterunku wzniesionego na środku Friedrich Strasse, obok tablicy z napisem głoszącym w czterech językach: „Opuszczasz sektor amerykański”. Za jego plecami widziała reflektory i wieże strażnicze.

„Dziś wieczorem kryzys komunizmu osiąga nowy szczyt napięcia”, mówił Jasper. „Po kilku tygodniach demonstracji wschodnioniemiecki rząd zapowiedział dziś otwarcie granicy między Wschodem a Zachodem, jednak najwyraźniej nikt nie zawiadomił o tym straży granicznej ani policyjnych wydziałów paszportowych. Tak więc tysiące berlińczyków gromadzi się po obu stronach niesławnego muru, domagając się respektowania swego nowo uzyskanego prawa do przekraczania granicy. Ponieważ rząd nic nie robi, uzbrojeni pogranicznicy zaczynają się denerwować”.

Jack skończył jeść kanapkę i poszedł się wykapać.

- Ma dziewięć lat i zaczął się wstydzić - odezwała się Jacky z krzywym uśmiechem. - Mówi mi, że jest za duży, żeby kąpała go babcia.

Maria była zafascynowana wieściami z Berlina. Pamiętała, jak jej kochanek, prezydent Kennedy, powiedział światu: *Ich bin ein Berliner*.

- Przez całe życie pracowałam dla amerykańskiego rządu - powiedziała do Jacky. - Staraliśmy się pokonać komunizm. Tymczasem w końcu komunizm pokonał się sam.



- Dlaczego tak się stało? - spytała Jacky. - Nie rozumiem tego.

- Doszło do władzy nowe pokolenie przywódców, z których najważniejszy jest Gorbaczow. Otworzyli księgi, zobaczyli wyniki finansowe i powiedzieli: „Jeśli to najlepsze, na co nas stać, to po co nam komunizm?”. Mam wrażenie, że równie dobrze mogłam nie podejmować pracy w Departamencie Stanu, ja i setki innych.

- A co innego byś robiła?

- Wyszłabym za mąż - odparła bez zastanowienia Maria.

Jacky usiadła.

- George nigdy nie rozmawiał ze mną o twoich tajemnicach - powiedziała. - Jednak przypuszczam, że w latach sześćdziesiątych byłaś zakochana w żonatym mężczyźnie.

Maria skinęła głową.

- Kochałam tylko dwóch mężczyzn - powiedziała. - Jego i George'a.

- I co się stało? - spytała Jacky. - Wrócił do żony? Zwykle tak robią.

- Nie - odparła Maria. - Umarł.

- O mój Boże! - zawołała Jacky. - To był prezydent Kennedy?

Maria popatrzyła na nią ze zdumieniem.

- Jak się dowiedziałas?

- Nie dowiedziałam się. Zgadłam.

- Proszę, nie mów nikomu! George o tym wie, ale nikt inny.

- Potrafię dochować tajemnicy. - Jacky się uśmiechnęła. - Greg nie wiedział, że został ojcem, dopóki George nie ukończył sześciu lat.

- Dziękuję. Jeśli to kiedyś wyjdzie na jaw, znajdę się we wszystkich tabloidach. Bóg wie, jak wpłynęłoby to na moją karierę.

- Nie obawiaj się. Jednak posłuchaj. George wkrótce wróci do domu. Oboje praktycznie już mieszkacie razem. Tak dobrze do siebie pasujecie. - Zniżyła głos. - Lubię cię o wiele bardziej niż Verenę.

Maria się roześmiała.

- Możesz się założyć, że moi rodzice woleliby George'a niż prezydenta Kennedy'ego, gdyby o nim wiedzieli.

- Myślisz, że ty i George pobierzecie się kiedyś?

- Sęk w tym, że nie mogłabym wykonywać mojej pracy, gdybym była żoną kongresmena. Muszę być neutralna, przynajmniej pozornie.

- Kiedyś przejdziesz na emeryturę.

- Za siedem lat kończę sześćdziesiątkę.

- Wyjdiesz wtedy za niego?

- Jeśli mnie poprosi... tak.

Rebecca była przy Checkpoint Charlie, po jego zachodniej stronie, z Wallim, Alice i Helmutem. Starła się unikać Jaspera Murraya i jego kamer telewizyjnych. Uważała, że udział w ulicznej demonstracji nie przystoi posłance do Bundestagu i minister. Jednak nie zamierzała przegapić takiej okazji. Była to największa z dotychczasowych demonstracji przeciwko murowi - temu murowi, który zrobił inwalidę z jej ukochanego mężczyzny i tak zaciążył na jej życiu. Wschodnioniemiecki rząd nie mógł przetrwać jego upadku - a może?

Było zimno, ale w tłumie ciepłej. Na całej długości Friedrich Strasse aż do przejścia zebrał się kilkutyśięczny tłum. Rebecca z pozostałymi znajdowali się niemal na samym przodzie. Tuż za budką strażników na jezdni był pas namalowany białą farbą - tam, gdzie Friedrich Strasse przecinała Koch Strasse. Ta linia pokazywała, w którym miejscu kończy się Berlin Zachodni, a zaczyna Wschodni. Café Adler na rogu miała dziś wyjątkowe powodzenie.

Mur biegł wzdłuż Koch Strasse. Właściwie były to dwa mury, oba zrobione z wysokich betonowych bloków, rozdzielone pasem ziemi niczyjej. Po zachodniej stronie beton pokrywały kolorowe graffiti. Naprzeciw miejsca, gdzie stała Rebecca, znajdował się prześwit, przez który mogła dostrzec kilku uzbrojonych strażników stojących przed czerwono-białymi bramkami: dwiema dla pojazdów i jedną dla pieszych. Za bramkami wznosiły się wieże wartownicze. Rebecca widziała za szybami żołnierzy, złowrogo oglądających tłum przez lornetki.

Niektórzy ludzie w pobliżu Rebekki rozmawiali ze strażnikami, zachęcając ich do przepuszczenia ludzi ze Wschodu. Strażnicy nie odpowiadali. Jakiś oficer wyszedł do tłumy i próbował wytłumaczyć, że jeszcze nie ma nowych przepisów dotyczących przechodzenia ze wschodniej strony. Nikt mu nie uwierzył: przecież mówiono o tym w telewizji!

Tłum napierał niepowstrzymanie i Rebecca była stopniowo popychana naprzód, aż przekroczyła białą linię i teoretycznie znalazła się w Berlinie Wschodnim. Strażnicy patrzyli na to bezradnie.

Po chwili wycofali się za bramki. Rebecę ogarnęło zdumienie. Wschodnioniemieccy żołnierze zwykle nie cofali się przed tłumem; panowali nad nim, w razie potrzeby używając brutalnej siły.

Teraz na skrzyżowaniu nie było strażników i tłum powoli posuwał się naprzód. Po obu stronach podwójny mur kończył się krótką ścianą łączącą zewnętrzne i wewnętrzne ogrodzenie, blokującą dostęp do pasa ziemi niczyjej. Rebecca ze zdumieniem zobaczyła, że

dwaj zuchwali demonstranci wspięli się na mur i usiedli na okrągłym zwieńczeniu betonowych paneli.

Strażnicy podeszli do nich.

- Proszę zejść - odezwali się.

Siedzący uprzejmie odmówili.

Rebecca czuła, jak mocno bije jej serce. Ci dwaj siedzący byli w Berlinie Wschodnim - tak jak ona - więc mogli zostać zastrzeleni przez strażników za nielegalne przekroczenie granicy, jak wielu innych w ciągu ostatnich dwudziestu ośmiu lat.

Jednak nikt nie strzelał. Zamiast tego kilka osób wspięło się w różnych miejscach na mur i usiadło na szczycie, zwieszając nogi i prowokując strażników do jakiegoś działania.

Strażnicy wrócili na swoje posterunki za bramkami.

To było niezwykle. Według komunistycznych norm uznano by to za bezprawie i anarchię. Jednak nikt nic nie robił, żeby powstrzymać protestujących.

Rebecca przypomniała sobie tamtą niedzielę w sierpniu 1961 roku, kiedy miała trzydzieści lat i wyszła z domu, żeby pójść do Berlina Zachodniego, a zastała wszystkie przejścia zablokowane zasiekami z drutu kolczastego. Ta zaporą była tam przez pół jej życia. Czyżby ta epoka wreszcie miała się zakończyć? Pragnęła tego całym sercem.

Teraz tłum rzucał wyzwanie murowi, strażnikom i wschodnioniemieckiemu reżimowi. I Rebecca zauważyła, że nastawienie strażników się zmienia. Niektórzy rozmawiali z protestującymi, co było zabronione. Jeden z demonstrantów zdjął czapkę z głowy strażnika i włożył ją na swoją.

- Czy mógłbym dostać ją z powrotem? - powiedział strażnik. - Muszę ją odzyskać, bo będę miał kłopoty.

Demonstrant dobrodusznie mu ją zwrócił.

Rebecca spojrzała na zegarek. Dochodziła północ.

Po wschodniej stronie ludzie wokół Lili skandowali: „Puście nas! Puście nas!”.

Z zachodniej strony przejścia odpowiedział im okrzyk: „Chodźcie! Chodźcie! Chodźcie!”.

Tłum z każdą minutą zbliżał się do strażników, aż w końcu znalazł się na odległość ręki od bramek i strażnicy wycofali się do budynku.

Za Lili liczący dziesiątki tysięcy ludzi tłum i rząd samochodów ciągnął się jak okiem sięgnąć wzdłuż Friedrich Strasse.

Wszyscy wiedzieli, jak zatrważająco niepewna jest sytuacja. Lili obawiała się, że

strażnicy otworzą ogień do zebranych. Nie mieli dość amunicji, żeby obronić się przed wielotysięcznym tłumem, ale co innego mogli zrobić?

W następnej chwili Lili dowiedziała się co.

Jakiś oficer wyłonił się nagle z budynku i zawołał:

- Wszyscy przechodzić!

I wszystkie bramki otworzyły się jednocześnie.

Czekający tłum ryknął i ruszył naprzód. Lili usiłowała trzymać się blisko rodziny, gdy wszyscy runęli przez bramki dla pieszych i pojazdów. Biegając, potykając się i krzycząc z radości, minęli punkt kontrolny. Bramki na drugim końcu też były otwarte. Pomknęli ku nim i Wschód spotkał się z Zachodem.

Ludzie szlochali, obejmowali się i całowali. Czekający mieli bukiety kwiatów i butelki szampana. Zgiełk powitań był ogłuszający.

Lili rozejrzała się. Jej rodzice byli tuż za nią. Karolin przed nią.

- Zastanawiam się - powiedziała - gdzie są Walli i Rebecca?

Powrót Evie Williams do Ameryki był triumfem. Po premierze *Domu lalki* na Broadwayu otrzymała owacje na stojąco. Ponury, introspektywny dramat Ibsena idealnie pasował do jej skupionego i intensywnego aktorstwa.

Gdy w końcu widownia zmęczyła się klaskaniem i opuściła teatr, Dave, Beep i ich szesnastoletni syn John Lee poszli za kulisy, aby dołączyć do tłumu wielbicieli. W garderobie Evie było mnóstwo ludzi i kwiatów oraz kilka butelek szampana w lodzie. Jednak, co dziwne, ludzie milczeli i nie otwierali szampana.

W kącie stał telewizor i większość obsady stłoczyła się wokół niego, w milczeniu oglądając wiadomości z Berlina.

- Co jest? - zapytał Dave. - Co się dzieje?

Cam siedział w swoim biurze w Langley z Timem Tedderem, oglądając telewizję i pijąc szkocką. Na ekranie Jasper Murray relacjonował na żywo wydarzenia z Berlina, wykrzykując z podnieceniem: „Przejścia są otwarte i mieszkańcy Niemiec Wschodnich nadchodzą! Napływają setkami, tysiącami! To historyczny dzień! Mur berliński runął!”.

Cam ściszył odbiornik.

- Uwierzyłybyś?

Tedder uniósł szklaneczkę w toaście.

- Koniec komunizmu.

- Pracowaliśmy na to przez te wszystkie lata - powiedział Cam.

Tedder sceptycznie pokręcił głową.

- Wszystko, co robiliśmy, było kompletnie nieskuteczne. Pomimo naszych wysiłków Wietnam, Kuba i Nikaragua stały się komunistycznymi państwami. Spójrz na inne kraje, w których usiłowaliśmy powstrzymać komunizm: Iran, Gwatemala, Chile, Kambodża, Laos... W żadnym nam się to nie powiodło. A teraz Europa Wschodnia odchodzi od komunizmu bez naszej pomocy.

- Pomimo to powinniśmy wymyślić jakiś sposób, żeby przypisać sobie zasługę. Albo przynajmniej pozwolić na to prezydentowi.

- Bush sprawuje urząd niespełna rok i przez cały czas trzymał się na uboczu - rzekł Tim.

- Nie może twierdzić, że to spowodował: jeżeli już, to próbował spowolnić ten proces.

- To może Reagan? - zastanawiał się Cam.

- Bądź rozsądny - rzekł Tedder. - Reagan tego nie zrobił. To zasługa Gorbaczowa. Jego i ceny ropy. Oraz tego, że komunizm nigdy się nie sprawdził.

- A Gwiazdne Wojny?

- To system obronny, który zawsze pozostanie fantastyką naukową, o czym wiedzą wszyscy, włącznie z Sowietami.

- Jednak Reagan wygłosił to przemówienie. „Panie Gorbaczow, rozbierzcie ten mur”. Pamiętasz?

- Pamiętam. Zamierzasz powiedzieć ludziom, że komunizm upadł, ponieważ Reagan wygłosił przemówienie? Nigdy w to nie uwierzą.

- Na pewno uwierzą - rzekł Cam.

Pierwszą osobą, którą zobaczyła Rebecca, był jej ojciec, wysoki mężczyzna z przerzedzonymi jasnymi włosami i równo zawiązanym krawatem widocznym pod rozpiętym pod szyją płaszczu. Postarzał się.

- Patrz! - zawołała do Wallego. - To ojciec!

Na twarzy Wallego pojawił się szeroki uśmiech.

- No tak - powiedział. - Nie sądziłem, że znajdziemy ich w takiej masie ludzi.

Objął Rebecę i razem zaczęli przeciskać się przez tłum. Helmut i Alice podążali tuż za nimi.

Poruszanie się w gęstym tłumie było irytująco trudne. Wszyscy tańczyli, podskakiwali z radości i obściskiwali obcych ludzi.

Rebecca zobaczyła stojącą obok ojca matkę, a potem Lili i Karolin.

- Jeszcze nas nie widzą - odezwała się do Wallego. - Pomachaj!

Nie było sensu krzyczeć. Wszyscy krzyczeli.

- To największa uliczna zabawa na świecie - orzekł Walli.

Jakaś kobieta w papilotach wpadła na Rebecę i runęłaby na ziemię, gdyby Walli jej nie podtrzymał.

Potem obie grupy w końcu się spotkały. Rebecca rzuciła się w ramiona ojca. Poczowała jego wargi na swoim czole. Ten znajomy pocałunek, dotyk lekko drapiącej brody i słaby zapach wody po goleniu wypełniły jej serce bezgraniczną radością.

Walli uściskał matkę. Potem zamienili się miejscami. Rebecca niewiele widziała przez łązy. Uściskali Lili i Karolin.

- Nie sądziłam, że zobaczę cię tak szybko - mówiła Karolin, całując Alice. - Nie wiedziałam, czy jeszcze cię zobaczę.

Rebecca popatrzyła na Wallego, witającego się z Karolin. Trzymał jej dłonie w swoich i uśmiechali się do siebie.

- Jestem tak szczęśliwy, że znowu cię widzę, Karolin - powiedział. - Tak szczęśliwy.

- Ja też - odparła.

Utworzyli krąg, obejmując się na środku ulicy, w środku nocy, w środku Europy.

- Jesteśmy tu - powiedziała Carla, patrząc na swoją rodzinę i uśmiechając się szeroko, radośnie. - Znów razem, w końcu. Po tym wszystkim. - Urwała, a potem powtórzyła: - Po tym wszystkim.

## **EPILOG**

**4 listopada 2008 roku**

## ROZDZIAŁ 63

Spoglądając na salon w domu Jacky Jakes kilka sekund przed północą, Maria pomyślała, że ich rodzina jest przedziwnym zbiorowiskiem osób.

Była tam Jacky, teściowa Marii, osiemdziesięciodziewięcioletnia i energiczniejsza niż kiedykolwiek.

Był George, od dwunastu lat mąż Marii, teraz siwowłosa i siedemdziesięciodwuletni. Maria została panną młodą w wieku sześćdziesięciu lat, co może krępowałoby ją, gdyby nie była tak szczęśliwa.

Była pierwsza żona George'a, Verena, niewątpliwie najpiękniejsza sześćdziesięciodziewięcioletnia kobieta w Ameryce. Przyszła ze swoim drugim mężem Lee Montgomerym.

Był syn, którego George miał z Vereną: Jack, dwudziestosiedmioletni prawnik, ze swoją żoną i śliczną pięcioletnią córeczką Margą.

Oglądali telewizję. Pokazywano relację z parku w Chicago, gdzie zebrało się dwieście czterdzieści tysięcy ekstatycznie szczęśliwych ludzi.

Na podium stała rodzina: przystojny ojciec, piękna matka i dwie słodkie dziewczynki. Był wieczór wyborczy i Barack Obama wygrał.

Michelle Obama i dziewczynki zeszły ze sceny, a prezydent elekt podszedł do mikrofonu.

„Witaj, Chicago”, powiedział.

- A teraz cicho, wszyscy - odezwała się Jacky, najważniejsza osoba w rodzinie Jakesów.  
- Słuchajcie.

Podkreśliła głośność.

Obama miał na sobie ciemnoszary garnitur i krawat w kolorze burgunda. Za nim powiewało na łagodnym wietrze więcej amerykańskich flag, niż Maria mogła zliczyć.

Mówiąc powoli i robiąc przerwy po każdym zdaniu, Obama rzekł:

„Jeśli jest ktoś, kto nadal wątpi, czy Ameryka jest miejscem, w którym wszystko jest możliwe, kto wciąż się zastanawia, czy marzenia naszych przodków się urzeczywistniają, kto jeszcze kwestionuje siłę naszej demokracji - dziś wieczór otrzymał odpowiedź”.

Mała Marga podeszła do siedzącej na kanapie Marii.

- Babciu Mario - wyszeptała.

Maria posadziła ją sobie na kolanach.

- Teraz cicho, maleńka, wszyscy chcą posłuchać nowego prezydenta.



„To odpowiedź udzielona przez młodych i starych, bogatych i biednych, demokratów i republikanów, czarnych, białych, Latynosów, Azjatów, rdzennych Amerykanów, gejów, heteroseksualnych, niepełnosprawnych i sprawnych - Amerykanów, którzy wysyłają światu wiadomość, że nigdy nie byliśmy zbiorem jednostek czy czerwonych lub niebieskich stanów: jesteśmy i zawsze będziemy Stanami Zjednoczonymi Ameryki”.

- Babciu Mario - znów szepnęła Marga. - Patrz na dziadka.

Maria spojrzała na swojego męża, George'a. Spoglądał na ekran, lecz jego pomarszczona twarz była mokra od łez. Ocierał je wielką białą chusteczką, ale łzy znów popłynęły, gdy tylko je wytarł.

- Dlaczego dziadek płacze? - spytała Marga.

Maria wiedziała dlaczego. Opłakiwał Bobby'ego, Martina i Jacka. I cztery uczennice szkółki niedzielnej. Medgara Eversa. Wszystkich bojowników o wolność, zmarłych i żywych.

- Dlaczego? - powtórnie spytała Marga.

- Skarbie - odparła Maria. - To długa historia.

KONIEC

Chwalebnym jest godzić zwaśnionych władców,  
Falsz demaskować i prawdę usilnie wyjawiać,  
Odciskać na wiekowych rzeczach pieczęć czasu,  
Budzić ranek i w mroku nocy strażować,  
Gnębić gnębicielea by prawa scedował,  
Za życia dumne budowle obalać  
I prochem ich lśniące złote wieże brukać.

William Szekspir, *Gwałt na Lukrecji*

## PODZIĘKOWANIA

Moim głównym konsultantem historycznym podczas pisania trylogii Stulecie był Richard Overy. Pozostałymi historykami pomagającymi przy tworzeniu tego tomu byli Clayborne Carson, Mary Fulbrook, Claire McCallum i Matthias Reiss.

Pomagało mi także wiele osób będących świadkami opisywanych wydarzeń, sprawdzając maszynopis lub udzielając mi wywiadów, a szczególnie: Mimi Alford o Białym Domu za prezydentury Kennedy'ego; Peter Asher o byciu gwiazdą muzyki rozrywkowej; Jay Coburn i Howard Stringer o Wietnamie; Frank Gannon, razem ze swoimi kolegami Jimem Cavanaughem, Todem Hullinem i Geoffem Shephardem, o Białym Domu za czasów Nixona; kongresmen John Lewis o prawach obywatelskich oraz Angela Spizig i Annemarie Behnke o życiu w Niemczech. Jak zawsze, Dan Starer z nowojorskiej Research for Writers pomógł mi znaleźć tych doradców.

Podczas zbierania materiałów na amerykańskim Południu moimi przewodnikami byli: Barry McNealy w Birmingham w Alabamie; Ron Flood w Atlancie w Georgii oraz Ismail Naskai w Waszyngtonie, DC. Ray Young z dworca Greyhound we Fredericksburgu uprzejmie znalazł fotografie z lat sześćdziesiątych.

Moi przyjaciele Johnny Clare i Chris Manners przeczytali maszynopis i poczynili wiele użytecznych uwag. Charlotte Quelch poprawiła liczne błędy.

Moja rodzina pomogła mi na niezliczone sposoby. Dr Kim Turner doradzała w wielu sprawach, szczególnie medycznych. Jann Turner i Barbara Follett przeczytały maszynopis i wygłosiły celne oraz pomocne komentarze.

Do redaktorów i agentów, którzy czytali maszynopis, należeli: Amy Berkower, Cherise Fisher, Leslie Gelbman, Phyllis Grann, Neil Nyren, Susan Opie, Jeremy Trevathan i jak zwykle Al Zuckerman.